



TOMASZ PACYŃSKI



Sherwood

Tomasz Pacyński

Sherwood

TTTN

Część pierwsza

OSZUST I RZEŹNIK

I

Palcami bosej stopy uderzył boleśnie w ostry, wystający korzeń. Pomimo odrętwienia dochodzącego już do kolan ból był tak silny, że nagi mężczyzna upadł i zwinął się z kłębek. Leżąc na boku, odgarnął z twarzy długie, zlepione mokrym śniegiem włosy. Spojrzał na stopę. Choć przed chwilą właśnie pomyślał, że gorzej być już nie może, okazało się, iż się mylił, po raz kolejny w ciągu ostatnich dwóch dni. Dwa palce zranionej stopy sterczały pod dziwnym kątem, krew plamiła nasiąknięte wodą i pokryte topniejącym śniegiem liście.

Diabli, powinno przecież bardziej boleć, błysnęło w zamroczonym umyśle, prawie urwane...

Zaczęło go ogarniać obezwładniające ciepło, nie czuł już zacinającego, jesiennego śniegu z deszczem. Dobrze jest tak leżeć, bez ruchu, chociaż chwilę, zasnąć...

W zakamarkach umysłu znów zamajaczyła myśl o wilkach, niedźwiedziach, lisach, wampirach, wilkołakach i innym zwierzu zamieszkującym ten przeklęty las. Nie chciał umierać, rozdierany żywcem przez jakąś głodną bestię. Przyzwyczał się do myśli o śmierci, przez całe życie ocierał się o nią często, lecz zawsze sądził, że przyjdzie do niego w inny, nie tak straszny sposób. Bał się śmierci z ręki kata, gdy otoczony drwiącą, podekscytowaną, gawiedzią, będzie stał z pętlą na szyi. Zawsze jednak sądził, że to najgorsze, co może go spotkać. Okazało się, że jeszcze gorsza może być cuchnąca paszcza pełna poźółkłych, ostrych zębów... Ta świadomość gnała go przez mroczny, lodowaty las, pomimo iż zdawał sobie sprawę, że nie uda mu się nigdzie dobiec, i nieistotne było to, że wcale nie wiedział, w którym kierunku uciekać.

Tymczasem, jak zwykle ostatnio, obawiał się nie tego, czego powinien. W ten ponury, jesienny dzień, w zacinającą, mokrą śnieżycę każdy szanujący swe zdrowie wilkołak siedział w suchym, przytulnym barłogu. Nie mówiąc już o wilkach i niedźwiedziach.

Prawdziwy zabójca był przy nim od dawna. Nie miał najeżonej kłami paszczy i cuchnącego oddechu. Nie można było go uniknąć, biegnąc na oślep przez las, to

tylko odsuwało chwilą nieuchronnego dopadnięcia ofiary, która wycieńczona ucieczką stawała się łatwiejszym łupem. Tym zabójcą było zimno, atakujące nagie ciało mężczyzny mokrym, zacinającym śniegiem i porywami zimnego, wilgotnego wiatru. Przed tym zabójcą nie można uciec, można się najwyżej przed nim ukryć. Znaleźć zaciszny wykrot, osłonięty sięgającymi do ziemi łapami

wiekowego świerku, zagrzebać się w pokładach suchych igieł, nie tracić ciepła i sił wysysanych bezlitośnie przez wiatr i śnieg. Zwinąć się jak najciaśniej i, ogrzewając własnym oddechem, mieć nadzieję, że cierpliwy, niewidzialny wróg nie będzie miał dostępu. Wielu doświadczonych, puszczańskich myśliwych, osaczonych przez mróz po niespodziewanej kąpieli w oparzelisku, potrafiło w ten sposób ująć śmierci.

Nagi mężczyzna nie był puszczańskim myśliwym.

Ostatnim zrywem energii usiłował dźwignąć się z powrotem na nogi. Udało się, no, prawie się udało. Tak jak wszystko w ciągu ostatnich dwóch dni. Co śmieszniejsze, zawiodła druga noga. W tej zranionej uderzenie przywróciło czucie, lecz druga, zdrętwiała z zimna i zmęczenia, okazała się giętka jak zasady moralne królewskiego poborcy podatków. Nie poczuł, jak kolano ugina się pod ciężarem zażywnego ciała. Zobaczył tylko, jak ziemia nagle staje pionowo i wali go z rozmachem w twarz. Ujrzał z bliska pojedyncze igielki sosnowe, czerwony błysk i zapadł w ciemność.

Zimno nie zabija szybko i bezboleśnie, okrutnie bawi się z ofiarą. Nagły poryw wiatru chlasnął mokrym śniegiem po nagim ciele. Człowiek drgnął, palce wczepiły się w mokre igliwie. Lecz to było wszystko, na co stać było wychłodzone, okradzione z energii ciało. W wypełnionym szarą mgłą umyśle poczęły krążyć ospałe, urywane myśli. Już się nie bał, nie walczył. Patrzył na wszystko jakby z zewnątrz, jakby dotyczyło to kogoś innego.

Powiadają, że wielu wśród umierających, oczywiście jeżeli dany im jest na to czas, widzi przed oczyma całe swoje życie. Dzieciństwo, uśmiech matki, pierwsze zwycięstwa i pierwsze pocałunki... Wszystko, co w życiu było ważne, wszystko, co było drogie. Co warto zobaczyć w tej ostatniej godzinie. Jeżeli to prawda, mężczyzna do końca miał pecha. Przed jego oczyma przewijały się bez końca obrazki z ostatnich dwóch dni. A nie były to najlepsze dni. Prawdę mówiąc, zważywszy na finał, były to najgorsze dni w jego życiu.

Widział siebie przed ową rudera nazywaną przez miejscowych, z braku innego określenia, „karczmą”. Zapewne słusznie, gdyż było to jedyne tego typu miejsce w promieniu wielu mil.

Widział czterdziestoletniego, tęgiego mężczyznę z pełną, rumianą twarzą, siedzącego na dobrze wypasionym koniu. Odzienie, aczkolwiek niezbyt ostentacyjnie bogate i kord z drewnianą rękojeścią przy pasie świadczyły o przynależności

właściciela do któregoś z szacownych cechów kupieckich. Daleko, zdawałoby się do tego zabłoconego, zakrwawionego strzępu człowieka, leżącego w coraz gęściej padającym śniegu na mokrym poszyciu. Daleko... Całe dwa dni...

Jason pchnął krzywe drzwi, zawieszane z braku zawiasów na przybitych do futryny starych skórkach od słoniny. W poczerwieniałą od wiatru twarz uderzył go jak miękka poduszka niemal materialny zaduch kiszonej kapusty, skwaśniałego piwa i brudnych onuc. Zaduch był wręcz gęsty, zabarwiony na szaro dymem ze źle ciągnącego komina. Nie, nie z komina –

karczma nie znała takich luksusów. Dym miał uchodzić przez dwa otwory w szczytach dachu, zatkałe teraz prawie w całości z powodu wichury. Wichurze to nie przeszkadzało, co chwilę silniejsze podmuchy wpadały przez szczeliny, spychając siną chmurę dymu do samej polepy. Bywalcom karczmy najwidoczniej nie przeszkadzało również.

Przepychając się przez gęsty smród jak żaba przez zarośnięty rzęsą staw, Jason wszedł na środek izby i stanął w kręgu światła smolnego łuczywa, dodającego dzielnie swój gęsty dym do ogólnej puli. Łuczywo było niezbędne, gdyż maleńkie, zasmolone błony w jedynym oknie przepuszczały niewiele światła jesiennego, i tak mrocznego dnia. Rozejrzał się, gładząc się po wydatnym brzuchu opiętym barwnym kubrakiem. Karczma nie wyglądała na taką, która posiada loszek z beczkami wina. W ogóle nie wyglądała na karczmę. Trudno, trzeba poprzestać na piwie.

Karczmarz, mały, przypominający zezowatego szczura człowieczek, wylazł niechętnie ze swego kąta. Wprawnym rzutem oka ocenił nowego klienta i jego twarz rozjaśniła się w nieszczerym uśmiechu, okraszonym imponującymi siekaczami. Prawy był nadłamany.

–Powitać, powitać! – zahuczał, zgięty w przymilnym ukłonie. – Dokąd to droga prowadzi?

Głos miał niespodziewanie niski i głęboki. Jason zafascynowany wpatrywał się w poźótkle

zębiska. To nie szczur, przemknęło mu przez głowę, to co najmniej stary bóbr-weteran...

Zdziwiony przedłużającą się ciszą karczmarz zgiął się jeszcze głębiej, zerkając niespokojnie na boki. Przyszło mu to spodziewanie łatwo, zważywszy rozbieżnego zezą. Jason ocknął się.

–A prowadzi, prowadzi! – rzekł jowialnie. – A na razie, mój dobry człowieku, zagrzejcie no onych szczyn, które tu nazywacie piwem.

–Ależ, panie – oburzył się karczmarz – sam warzę one szczynty, to jest, chciałem rzec, piwo...

Tu przerwał. Urażona ambicja toczyła w nim walkę z chęcią jak najlepszego oskubania najwyraźniej zamożnego klienta. Tacy nie zjawiali się zbyt często w jego karczmie. Walka była zacięta, lecz krótka. Ambicja przegrała.

–Co prawda, to prawda, panie. Szczynty to są w rzeczy samej... Ale dla takich gości jak wy,

panie, znajdzie się antałek wina, albo i dwa...

Jason ożywił się. Cóż, może nie jest tak źle. Nawet najgorszy sikacz będzie lepszy od tego, jak ten człowiek mówił, piwa. Sam je warzy, no, no. Nie najlepsza rekomendacja.

Karczmarz wyraźnie się rozkręcał. Jego błyszczące oczka biegały po całej, obszernej postaci Jasona, usiłując dostrzec, gdzie nosi sakiewkę oraz chociaż z grubsza ocenić jej ciężar. Jason był przyzwyczajony do takiej reakcji, wiedział, że robi solidne i zamożne wrażenie. Sakiewka także z kształtów przypominała właściciela – gruba i okrągła, niedbale zawieszona przy pasie. Postronni nie wiedzieli jednak, że zawiera trochę miedziaków oraz, dla nadania odpowiedniego ciężaru, sporą garść hufnali. Prawdziwe pieniądze Jason nosił w specjalnym pasie, skrytym pod kubrakiem.

Jason skrzywił się bezwiednie. Wzrok karczmarza, bezwstydnie wlepiony w sakiewkę, przypomniał mu, że pas pod kubrakiem jest ostatnio bardzo lekki. Z prostej przyczyny, sama skóra waży niewiele. A nie było nic, co mogłoby ją obciążyć, ostatnie sztuki srebra przełożył właśnie do sakiewki na koszt bieżące.

–...tej hołocie nie daję! – bóbr-weteran postanowił iść na całość. – Tylko dla szlachetnych gości! Panów kupców!

–Dobry człowieku... – Jason, spragniony już obiecanego wina usiłował przerwać potok wymowy. Bezskutecznie.

–Dla strażników pana hrabiego! Sam pan hrabia, jak jedzie na łowy, to u mnie...

Karczmarz zająknął się, lecz bezczelne kłamstwo nie wywołało rumieńca na zapadniętych

policzkach. Prawdopodobnie po prostu zabrakło mu oddechu. Jason wykorzystał chwilę przerwy.

–Tak, tak, dobry człowieku – powiedział dobrotliwie. – Tymczasem idźcie już i

zagrzejcie

tego wina.

–Już, już, szlachetny panie. Tymczasem spocznijcie, spocznijcie. Ot tu, na ławie.

Cofając się tyłem, wciąż zgięty w pół, karczmarz okrągłym gestem wskazywał miejsce

przy palenisku, pod kopącym łuczywem. Jason zawahał się. Zawsze starał się siadać, mając za plecami solidną ścianę, zwłaszcza w miejscach takich, jak to. Znał zbyt wielu ludzi, którzy siedząc plecami do izby, znęcani ciepłem paleniska i widokiem tańczących płomieni, nie mieli nawet czasu, aby zdziwić się po raz ostatni. Zaś to miejsce wyglądało na takie, w którym nie należy w ogóle siadać.

Karczmarz opacznie zrozumiał wahanie Jasona. Podbiegł do ławy i zaczął ją wycierać sztywnym od tłuszczu fartuchem. Starania te nie odniosły skutku, ale w każdym razie ława nie wyglądała na bardziej brudną niż przed wycieraniem. Jason obserwował sceptycznie krzątanicę karczmarza, zastanawiając się, czy kiedy siądzie, to później zdoła odlepić się bez odcinania tyłka nożem.

Rozejrzał się. Pozostali goście, porozwalani na ławach poza kręgiem światła, nie wyglądali na zabijaków. Na rzezimieszków, owszem, ale nawet zawodowy zabójca w tym stanie miałby problem z dobytciem sztyletu. I dobrze, bo w przeciwnym wypadku mógłby się fatalnie pokaleczyć. Trzech jeszcze siedziało, pociągając z kufli, ale sądząc po ilości piwa ściekającej po brodach, nie posiedzą już długo. Pozostali leżeli w rozmaitych pozach na ogromnym kulawym stole, ławach i polepie. Jeden, z czerwoną i zaślinioną twarzą, obmacywał dwie chichoczące dziewczki. Biorąc pod uwagę zapał, z jakim to robił oraz urodę dziewczek, musiał już wypić bardzo dużo.

Karczmarz zniknął w mrocznych zakamarkach. Jason z westchnieniem pokręcił głową, odpiął pas z kordem i usiadł na ławie. Mimo widocznego braku zagrożenia siadł bokiem, niewygodnie, by nie tracić z oczu pozostałych. Kord położył w poprzek kolan. Za towarzystwo

miął trzy i pół pary suszących się przy palenisku długich butów. Stąd onuce, pomyślał z rezygnacją.

Diabli nadali. Wycierać się po takich miejscach. W dodatku bez żadnej szansy na zarobek.

Solidny kupiec sam w takim miejscu. Dobroduszny, brzuchaty, na pierwszy rzut oka zasobny. Sam prosi się o nieszczęście. To tak, jakby owieczka przyszła do stada wilków i poprosiła o garść trawy i nocleg.

Te myśli sprawiły, że Jason poweselał. Tak, prawdziwego kupca szlag by tu trafił, prędzej czy później. Raczej prędzej.

Lecz Jason był tak prawdziwym kupcem, jak jego sakiewka. Był graczem.

Rumiana gęba, starannie wyhodowane brzuszysko, dostatnie odzienie, kord przy pasie. To wszystko było inwestycją. Budziło zaufanie, tłumilo podejrzenia. Z takim człowiekiem ludzie nie obawiają się grać w kości. Dla bardziej dociekliwych Jason wyjawiał, że należy do cechu kupców wełnianych. Było to wygodne, jarmarki wełniane odbywały się raz w roku, po strzyży owiec. Nie musiał więc dla zwiększenia wiarygodności ciągnąć ze sobą wozów z towarem. A na jarmarkach wełnianych nigdy nie pracował.

Także imię. Sam je sobie wybrał. Tak jakoś pasowało – gracz powinien nazywać się Jason. Bo przecież nikt nie zagra w kości z kimś o imieniu Clever. Cóż, mamusia nie mogła przewidzieć...

Kord przy pasie nie był tylko dekoracją. Jason potrafił się nim posługiwać, jak do tej pory wystarczająco. Co śmieszniejsze, większość problemów stanowią problemy dotyczące zazwyczaj właśnie kupców, a nie wynikające z jego rzeczywistego zajęcia. O wiele częściej zdarzali się chętni do rabunku, niż gracze starający się odwrócić złą passę przy użyciu niekonwencjonalnych metod. Ci drudzy byli zresztą bardziej przewidywalni. Dobry gracz stara się nie doprowadzać do takich sytuacji, zawsze lepiej się wycofać i ponieść niewielką stratę, przegrywając, niż niepotrzebnie zwracać na siebie uwagę.

Z rzezimieszkami nie było wyboru. Atakowali zawsze, gdy mieli okazję. Ponieważ zaś sprawianie pozorów bogactwa było niezbędne w grze, próbowali często.

Karczmarz wychynął z mroku z dymiącym dzbanem i glinianym kubkiem. Postawił wino na stole.

–Znakomite wino, z miodem i korzeniami – powiedział radośnie, nalewając wina do kubka. Wyszczrzył siekacze w uśmiechu.

Jasne, z korzeniami, chyba chrzanu, pomyślał Jason sceptycznie. Schylił się i wyjął z sakwy chleb i małą gomółkę sera. Na szczęście nie musiał prosić o miskę polewki. Sądząc z tego, jak starannie wałęsające się po izbie psy omijały stojący na polepie kociołek, nie była zbyt smaczna. Wyjął zza cholewy nóż i odkroił plaster sera. Spojrzał na karczmarza.

–Coś jeszcze, mój dobry człowieku? – zapytał, nadając głosowi ton lekkiego zniecierpliwienia.

–Nie, szlachetny panie... – zająknął się karczmarz, miotając oczkami na lewo i prawo. –

Właściwie tak, szlachetny panie. Czy szlachetny pan stanie u nas na noc? Na stryżku w stajni...

Chciałbyś, pomyślał Jason. Ale ja nie lubię budzić się z poderżniętym gardłem.

**–Nie, odpocznę trochę i jadę dalej. Do Nottingham daleka droga, a dni krótkie –
odpowiedział.**

Na twarzy szczurowatego odbiło się wyraźne rozczarowanie. Rozbiegane oczka świadczyły o wielkim wysiłku umysłowym. Zapewne owocnym, bo po chwili małe oczka zwęziły się złośliwie.

–A szlachetny pan tak bez czeladzi, sam? – spytał powoli. – Okolica tu paskudna, panie...

**Tu cię mam, pomyślał Jason bez zdziwienia. Kombinujesz, czy tych trzech, którzy
jeszcze**

nie padli, wystarczy.

**Odgryzł kawałek sera, odłożył resztę wraz z nożem na stół. Powoli wstał, trzymając
wpół pochwę korda okręconą pasem. Stał przed chuderlawym człowieczkiem,
górując na nim potężnym brzuszyskiem.**

**Karczmarz zadarł głowę i popatrzył Jasonowi w oczy. Nie spodobało mu się widać
to, co zobaczył, bowiem spuścił wzrok i stał się jakby jeszcze mniejszy. Zerknął na
swych pijanych kompanów, porównując ich ze zwalistą postacią Jasona, po czym
zgarbił się jeszcze bardziej. Najwidoczniej kalkulacja nie wypadła po jego myśli.**

**Jason roześmiał się głośno i wolną ręką klepnął mocno karczmarza w ramię.
Człowieczkiem zatrzęsło, zatoczył się.**

**–A sam! – powiedział głośno, wciąż się śmiejąc. Klepnął karczmarza jeszcze raz i
usiadł.**

**Mały człowieczek był już najwyraźniej przekonany. Cóż, zawsze pozostaje nadzieja
na**

normalny zarobek. Jason jeszcze nie skończył.

**–Czeladź została ze dwie mile, z wozami – krzyknął w kierunku pleców karczmarza.
–**

Przyjadą tu albo spotkam się z nimi na rozstajach.

Mam nadzieję, że są w okolicy jakieś rozstaje, pomyślał. Powinno wystarczyć. Zwykle wystarcza, a zresztą, do Nottingham naprawdę daleko, a dzień krótki. Trzeba wypić to wino i ruszać.

Sięgnął po kubek i zbliżył do ust. W nozdrza uderzył intensywny zapach imbiru i goździków. Jason z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy i pociągnął łyk. Znakomite wino. Ani chybi przejeżdżał tu kiedyś kupiec winny. I pewnie nie odjechał daleko.

Wino było naprawdę doskonałe. Nalewając drugi kubek, Jason powoli odprężył się i poweselał. Nie jest tak źle, pomyślał. W Nottingham jest duży targ, kilka karczm, dużych, nie takich jak ta. Karczmy pełnych kupców, rzemieślników i żołnierzy. Nie byłem tam jeszcze, więc mnie nie znają. Można będzie wiele grać. I wiele wygrywać.

Jason był nie tylko graczem – był także oszustem. Nikt, kto siadał z nim do gry w kości, nie miał równych szans. Nie zawsze wygrywał, przegrana także bywała elementem gry, lecz przegrywał tylko wtedy, gdy chciał. Przynajmniej do tej pory.

Żadnych obciążanych czy szlifowanych kości, nic tak pospolitego. Obstawiając rzut, Jason zawsze wiedział, czy wyrzuci więcej niż przeciwnik. No, prawie zawsze. Wiedział, kiedy passa się zaczyna i kiedy kończy. Przy długiej grze to wystarczało. Te wrodzone zdolności rozwijały się w nim w miarę doświadczeń. Po latach mógł na nich polegać. Po tych wszystkich latach...

Usiadł wygodniej i pociągnął z kubka. Zapatrzył się w płomyki pelgające nad wpół zwęglonymi głowniami w palenisku.

Gdy miał dziesięć lat, ojciec zabrał go na jarmark. Rzadko się to zdarzało. Ojciec był płatnerzem, najlepszym w okolicy, jak zwykł z upodobaniem mawiać. Nie kłamał, ponieważ był jedynym w mocno podupadłej okolicy. Ziemie należały do zubożałego rycerza, sir Briana, mieszkającego w zamku o popękanych murach, zamulonej fosie i na stałe opuszczonym zwodzonym moście. Nikt nie widział sensu w podejmowaniu napraw, gdyż żaden z sąsiadów nie pałał chęcią oblegania zamku w celu zdobycia paru włók bagien i wyjałowionych pól. Rycerz dobiegał pięćdziesiątki, był wciąż kawalerem i szukał szczęścia na turniejach, z których nieodmiennie wracał w pogiętej uderzeniami zbroi. Zdarzało się, że przywożono go na wozie. Lecz gdy tylko doszedł do siebie, rozglądał się za następną okazją, całe dochody ze swych mizernych dóbr przeznaczając na odtwarzanie zdolności bojowej. Co bardzo cieszyło najlepszego płatnerza w okolicy.

Dochody z dóbr rycerza były marne, więc i usługi, które za nie nabywał, były podobne. Ojciec Jasona kochał szczerze swe rzemiosło, lecz namiętność tę dzielił z równie szczerym umiłowaniem piwa. Problem polegał na tym, że rzemiosłu miał

okazję oddawać się rzadko. Zamkowi zbrojni w liczbie pięciu – rycerz zawsze twierdził, że to i tak za dużo, ale nie mógł na turniejach pokazywać się samopas – sami ostrzyli swoje miecze i topory. Prawdę mówiąc kiepsko, ale i tak nigdy nie mieli okazji sprawdzić jakości swej roboty. Pozostawało tylko nieskończone wyklepywanie i dopasowywanie zbroi, przecieranie octem do połysku starego, tandetnego miecza i dorabianie drzewc kopii, łamanych przez sir Briana w olbrzymich ilościach. Rycerz starzał się wyraźnie i coraz więcej czasu zajmowało mu dojście do siebie po kolejnych starciach. Bywało, że i pół roku. A zima była martwym sezonem. Dopiero na wiosnę można było ruszać w poszukiwaniu wyzwań i sławy. Dla zamkowego płatnerza pozostawało osadzanie na styliskach wieśniaczych siekier, przekuwanie motyk, rydli i prostowanie wideł. Pozostawało wiele czasu na drugą namiętność, a piwo było tanie.

Tym razem wyglądało znów tak samo. Gdy sir Brian wylizał się z obrażeń odniesionych na ostatnim turnieju („Przebóg, koń się potknął w ostatniej chwili, ale trzeba było widzieć tego drugiego! Jeszcze jedno złożenie i byłoby po nim!”), zajechał przed kuźnię na swym wychudłym koniu bojowym. Koń wyglądał na ozdrowieńca po długiej i ciężkiej chorobie, co zresztą było zgodne z prawdą. Turnieje były dla koni tak samo niebezpieczne, jak dla ludzi.

Dobry bojowy wierzchowiec był najcenniejszą rzeczą dla rycerza. Tego sir Brian kupił przed laty, wydając na niego większość schedy po zmarłym ojcu. Był to dobry zakup. Koń przewyższał znacznie umiejętnościami bojowymi swego pana, wiele razy wynosił go cało z opresji. Zestarzał się jednak i coraz częściej sir Brian w przebłyskach trzeźwiejszego osądu widział, że długo już nie pociągnie. Zaś cały obecny majątek rycerza starczyłby może na zakup jednej końskiej nogi, oczywiście bez podkowy.

Płatnerz wyszedł przed kuźnię, osłaniając dłonią oczy przed ostrym blaskiem słońca. Słońce w rzeczywistości nie stało wcale tak nisko, lecz skutkiem wczorajszego piwa niechętnie wychodził na światło dzienne i poruszał się raczej ostrożnie, unikając gwałtownych ruchów.

Patrzył ospale, jak pacholkiwie zrzucają z chrzęstem stertę pogiętych blach. Coraz gorzej, pomyślał. Niedługo nie będzie jak tego wyprostować.

Ze swego miejsca pod niskim okapem kuźni dziesięcioletni chłopiec widział, jak rycerz podjeżdża do ojca i, nie zsiadając, rozpoczyna swą zwykłą przemowę.

Otóż ojciec po raz ostatni już będzie musiał doprowadzić do porządku niemiłosiernie potrzaskaną zbroję. Bowiem już na następnym turnieju rycerz wyzwie i oczywiście pokona samego sir Osberta, który właśnie sprawił sobie piękną, lśniącą jak samo słońce zbroję turniejową. Po szczęśliwym i nieuniknionym zwycięstwie ojciec będzie miał pełne ręce roboty – trzeba będzie dopasować zdobyczną zbroję do

postury sir Briana. Otrzyma za to królewskie wynagrodzenie z okupu, które rodzina jęczącego w lochu sir Osberta wpłaci za jego uwolnienie, potem zaś będzie się mógł zająć przygotowaniem uzbrojenia dla całego zastępu zbrojnych, których trzeba będzie, nie mieszkając, zaciągnąć. Dobrych zbrojnych, najlepiej weteranów, nie takich, jak ci, zapijaczone ciury w wieku, delikatnie mówiąc, średnim...

Płatnerz słuchał przemowy, uprzejmie kiwając głową. Miał niejaką wprawę, ponieważ od lat przemowa była taka sama, zmieniały się jedynie imiona rycerzy prawie pokonanych przez sir Briana. Nieodmiennie za to rosła wysokość spodziewanego okupu. Dawniej sir Brian wtrącał też wzmianki o pięknych dziewczicach na wydaniu, rzucających płomienne spojrzenia z trybun, powiewających chusteczkami. Od kilku lat przestał czegoś o tym wspominać...

Odgłosy szamotania połączone z piskiem wyrwały Jasona ze wspomnień. Obrzucił szybkim spojrzeniem izbę, myśląc, że to pijanemu zalotnikowi udało się wreszcie dobrać do jednej z dziewczek. Nie dostrzegł ich jednak na ławie, gdzie przedtem siedzieli. Gdy wzrok przyzwyczaił mu się do ciemności, ujrzał całą trójkę zgodnie chrapiącą w zmierzwionej słomie pod ścianą. Piski wydawał dorodny szczur, szarpiąc się w uchwycie szczęk jednego z małych, wyliniałych kundli, wałęsających się po izbie. Jason przez chwilę przyglądał się walce bez większego zainteresowania. Na pierwszy rzut oka szansę były równe.

Jason westchnął i zajął się swym kubkiem nie całkiem jeszcze wystygłego wina. Co mnie dziś naszło, pomyślał. Wspomnienia. Ech, starzeję się chyba... No, Jason, dopij to wino i ruszaj,

nic tu po tobie. Sam na takim zadupiu, to przecież proszenie się o kłopoty. Diabli wiedzą, kto tu jeszcze może zawitać. Te nieszczęsne pijaki mają pewnie jakichś przyjaciół. Trzeba odlepić dupsko od ławy i się ruszyć...

Zamiast tego sięgnął po dzban i dolał do kubka resztę wina, z ustałym na dnie cynamonem, imbirem i paroma goździkami. Pociągnął łyk.

–Hej, karczmarzu – zawołał. – Daj no... Tfu! – splunął z niesmakiem rozmiękłym goździkiem.

Karczmarz zmaterializował się w jednej chwili, stawiając na stole parujący dzban. Małe oczka świeciły radośnie. Jason chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Ostatecznie nie jest jeszcze tak późno, zdąży dojechać przed zmrokiem. A jeśli nawet, gościniec szeroki. Sięgnął po dzban i dolał do kubka. Cholera, jakie dobre... Cholera i czarna śmierć...

Dziesięcioletni chłopiec patrzył z cienia pod nisko zwieszającym się okapem kuźni. Widział chudego, nikczemnej postury rycerza na równie wychudłym koniu. W

kolczudze tak sztywniej od rdzy, że można by ją bez trudu postawić w kącie. Poczerniałą od paleniska, pobrużdżoną twarz ojca. Stertę pogiętej blachy leżącą w kurzu podwórka. Widział i obserwował bez zainteresowania, odkąd pamiętał, podobne sceny powtarzały się nieustannie. Wiedział, że rycerz będzie mówił coraz głośniej i szybciej, pod koniec przemowy zapluwając się i połykając końcówki wyrazów. Potem zamilknie, a po chwili zawróci i odjedzie bez słowa, sztywno wyprostowany na swym wierzchowcu równie sztywno i ostrożnie stawiającym nogi. Zaś ojciec zaklnie pod nosem i ciężko człapiąc do kuźni, krzyknie w przelocie do syna, by zebrał blachy z podwórka.

Oczy chłopca rozszerzyły się ze zdziwienia. Rycerz w połowie przemowy uniósł coś w dłoni, prezentując dumnie wszystkim obecnym. W pierwszej chwili chłopiec wziął dziwny przedmiot za świeżo zdartą wiewiórczą skórkę, tak samo bowiem powiewał w dłoni sir Briana. Mylił się, była to sakiewka, równie chuda i zabiedzona, jak jej dumny właściciel. Zciekawiony chłopiec wsłuchał się uważniej w monolog rycerza.

–...jarmark w Kynigestun! – wykrzykiwał sir Brian z podnieceniem. – Z Ziemi Świętej!

Wrócili! Głownie... tego... damasceńskie!

Jak zwykle pod koniec przemowa rycerza nie grzeszyła nadmierną spójnością.

–...Artur... miecz z tego tam, kamienia... Takim mieczem ja... zastawę i przeciwnika...

Sława! Sława!

Sir Brian ścisnął chudą sakiewkę niczym rękojeść Excalibura. Zapadnięte oczy pały dziwnym płomieniem.

–...jarmark, płatnerze... Przywieźli! – rycerz czerwieniał coraz bardziej. – Wszystko, co

mam! Wszystko!

Zamilkł nagle. Sapał, wodząc oczyma dookoła. Chłopiec pomyślał, że to już koniec, że za chwilę szarpnie wodze, zawróci konia i odjedzie, jak zwykle. Nagle stało się coś niezwykłego.

Rycerz przerzucił nogę przez łęk siodła i ciężko zeskoczył na ziemię. Stał przed ojcem Jasona i, rzecz niebywała, położył rękę na jego ramieniu. Zaczął coś mówić...

Chłopiec przysunął się bliżej.

–...wszystko, co mam – sir Brian mówił teraz cichym, równym i spokojnym głosem.

–
Wszystko, co pozostało.

Wytrząsnął na dłoń monety z sakiewki. Nie było tego wiele.

–Następny turniej będzie ostatni. Wiem – kontynuował cicho i spokojnie rycerz. – Goniłwy konne... To już nie dla mnie... Nie dla nas... – poprawił, klepiąc konia po chudej szyi.

–Pojedziesz ze mną do Kynigestun, na jarmark. Stanęli tam kupcy, mają damasceńskie główne. Ty wybierzesz, i oprawisz dla mnie. Nie przerywaj, wiem, kim jesteś... kim byłeś. Zawsze wiedziałem. Potrafisz.

Płatnerz próbował coś powiedzieć. Sir Brian mocniej zacisnął rękę na jego ramieniu.

–Zawsze chciałem... – podjął rycerz. – Zawsze wierzyłem... Nieważne. Wiem, że teraz się

uda. Ten ostatni raz. W walce pieszej, na ostre...

Zamilkł. Chwilę stał w milczeniu, po czym wsypał monety do sakiewki. Odwrócił się i wskoczył na konia. Bez strzemion, prosto z ziemi. Zdarł wodze, zawrócił konia i odjechał, sztywno wyprostowany na sztywno stawiającym nogi koniu. Wtem odwrócił się i z uśmiechem rzucił przez ramię:

–Jutro wyruszamy!

Zostali sami nad kupą pogiętego żelastwa. Chłopiec ze zdziwieniem spojrzał na ojca. Zniknęło gdzieś pijackie otępienie. Oczy płatnerza lśniły tym samym dziwnym blaskiem, co wcześniej oczy sir Briana.

–Damasceńska głównia! – wymamrotał gniewnie. – Starczy mu tego najwyżej na rozeń!

Przesadzał. Za resztkę majątku rycerza można było kupić dobry miecz, nie tylko półwyrób,

jakim była głównia. Dobry, nowy miecz. Normañski miecz. Na damasceńską głównię było trochę za mało. Według cen, które pamiętał, mniej więcej o dwie trzecie. Beznadziejne.

Ale wiedział też, że pojedzie do Kynigestun. Że weźmie do rąk chłodne ostrza, oceniając ich wartość po delikatnym rysunku ciemniejszych i jaśniejszych fal na powierzchni metalu. Że znów mimowolnie zdziwi się ich lekkością i pozorną

kruczością. Będzie uderzał jedną o drugą, słuchając niepowtarzalnego dźwięku. Tak jak kiedyś, dawno temu...

Na podwórzu karczmy koń zarżał i szarpnął się u koniowiązu. Jason przez chwilę patrzył nieprzytomnie w przestrzeń. Koń uspokoił się.

Niech to szlag, dawne czasy, pomyślał Jason. Wtedy jeszcze nic nie rozumiałem... Dopiero później... Szkoda...

Właściwie, dlaczego szkoda? Potrząsnął gniewnie głową. Co mi się dzisiaj pieprzy w tym głupim łbie?

Jason nigdy nie chciał zostać płatnerzem, jak ojciec. Nie chciał spędzić życia w mrocznej, oświetlonej tylko kowalskim paleniskiem kuźni. Walić młotem w pogięte blachy. Od najmłodszych lat chciał czegoś innego. Czego konkretnie, tego długo nie wiedział. Aż do jarmarku w Kynigestun...

...Ojciec z sir Brianem zniknęli w namiocie handlarzy. Chłopiec został, rozglądając się niepewnie, bardziej wystraszony, niż zaciekawiony. Po raz pierwszy w życiu był w mieście. Już sama jazda skrzypiącym wozem zaprzężonym w woły dostarczyła nadspodziewanych wrażeń. Chłopiec z otwartymi ustami chłonał niecodzienne widoki. Czterej zbrojni sir Briana (jeden był chory), jadący na myszowatych koniach, wydawali mu się wspaniałym poczem rycerskim. Sam rycerz jechał jak zwykle sztywno, tym razem nie na swym bojowym koniu, ale na zwykłej szkapie, takiej samej, jak jego zbrojni. Widocznie podekscytowany, co chwila podjeżdżał do wozu i zamieniał kilka słów z siedzącym na słomie płatnerzem.

Samo miasto przyniosło chłopcu jeszcze więcej oszołomienia. Wysokie mury miejskie, strażnicy o marsowych minach, wrzeszczący przekupnie. Brukowane uliczki, na których śmiesznie dzwoniły podkowy i turkotały koła wozu. Kupieckie stragany i namioty oferujące rozmaite towary, których chłopiec nie potrafił nawet rozpoznać. Widział kramy rymarzy, rozsiewające ostrą woń świeżo wyprawionych skór, obwieszane girlandami pasów i uprzęży. Jatkę, przed którą na wielkim, zatłuszczonym pniu rozebrany do pasa, spocony czeladnik dzielił właśnie ćwiartkę tuszy, nie zwracając uwagi na kłębiące się dokoła, brzęczące głośno muchy. Kramy obwieszane tkaninami, gdzie kupcy łokciem odmierzali sztuki sukna. Duży namiot, przed którym rozchełstane dziewczki zaczepiały przechodniów, śmiejąc się piskliwie. Nie wiedział, co oferowały, tym niemniej powodzenie miały duże.

Nadmiar emocji przytłoczył chłopca, który w końcu skulił się na słomie, przytulony do boku ojca.

Gdy został sam przed namiotem płatnerzy, marzył tylko, by jak najszybciej znaleźć się przy ojcu. Jego nieobecność przedłużała się. W końcu nuda zaczęła brać górę

nad łąkiem. Chłopiec ostrożnie ruszył przed siebie.

Za rogiem namiotu siedziało na ziemi nad rozłożonym płaszczem dwóch ludzi. Ich broń leżała rzucona niedbale obok. Chłopiec zatrzymał się zaciekawiony. Mężczyźni nie zwrócili na niego uwagi. Starszy, wyglądający na żołnierza, a w oczach chłopca będący wspaniałym wojownikiem, potrząsnął z grzechotem trzymany w rękach kubkiem. Patrzył wyczekująco na drugiego mężczyznę. Młodszy począł ściągać z palca gruby, złoty pierścień. Szło mu niesporo. W połowie zawahał się, zacisnął palce. Starszy wciąż czekał, grzechocząc kubkiem.

Twarz młodszego drgnęła, szybkim ruchem zerwał pierścień i rzucił na płaszcz. Starszy skinął głową z aprobatą.

Szybki ruch nadgarstka i kości potoczyły się po leżącym na ziemi płaszczu. Gdy znieruchomiały, starszy uśmiechnął się.

Chłopiec dostrzegł, że twarz młodszego z mężczyzną ściągnęła się ze złości. Wstał gwałtownie, zaciskając pięści.

Starszy nie wstał. Patrząc drugiemu w oczy spokojnym, nieruchomym wzrokiem, zgarnął z koca garść srebrnych monet. Młodszy przez chwilę stał, wciąż zaciskając pięści i czerwieniejąc gwałtownie. W chwili, gdy wystraszony chłopiec oczekiwał, że rzuci się na siedzącego, mężczyzna odwrócił się, podniósł pas z kordem i bez słowa odszedł.

Na leżącym na ziemi płaszczu pozostał złoty pierścień.

–Nie wziął... – wyjąkał chłopiec po dłuższej chwili.

Siedzący jakby dopiero teraz zauważył jego obecność. Wolno obrócił głowę i spojrział chłopcu w twarz. Bez uśmiechu.

–Pierścienia? – spytał spokojnie. – To jest teraz mój pierścień. Na tym polega gra...

To było jak olśnienie, przypomniał sobie Jason, pociągając kolejny łyk wina. Od tego się wszystko zaczęło.

Gdy ojciec uczył go rzemiosła, wkładał w naukę wszystko, co pozostało jeszcze z jego własnej pasji i umiejętności. Opowiadał jednemu synowi o słynnych mieczach, noszących słynne imiona. Opowiadał o cudownych przemianach rdzawego kęsa żelaza w lśniącą klingę. Opowiadał o dostatku, pięknym domu na podgrodzium, murowanym, z drewnianą podłogą, o warsztacie wypełnionym tłumem posłusznych czeladników, o srebrnych monetach, które rycerze wytrząsają z sakiewek w zapłacie za sztukę płatnerza.

Tak, za sztukę, nie za rzemiosło. Chłopiec słuchał i widział mroczną kuźnię z zapadniętym dachem, brudną chatę w cieniu rozsypujących się murów zamkowych, pogiętą zbroję sir Briana, jedyną, jaką widywał. Ojca otępiełego od śmierdzącego piwka, jedyne go produktu, na który starczyło zapłaty za dorywcze prace. Czuł ból słabych, chłopiących mięśni przy kręceniu koła szlifiernego czy poruszaniu miechów. Słuchał ojca i rozmyślał o skarbie zakopanym na krańcu tęczy. O garnku złotych monet, który niechybnie odkopie. Jeżeli nie dziś, to na pewno jutro.

Tego dnia na jarmarku w Kynigestun po raz pierwszy naprawdę zobaczył to, w co zawsze podświadomie wierzył, że można coś dostać – od szczęścia. Oczywiście, jeśli się je ma.

Był już zupełnie pewny, że nie spędzi całego życia w mrocznej, zadymionej kuźni. Że czeka go coś lepszego od ciasnej, lepiącej się od brudu chaty i cienkiej jęczmiennej polewki na obiad.

Tego dnia Jason ostatecznie uwierzył, że sam będzie miał szczęście. Że można coś mieć niekoniecznie tylko wtedy, gdy urodziło się szlachcicem. Że niekoniecznie trzeba pracować od świtu do nocy za miskę polewki i kufel piwa od święta. Że przyszłość płatnerza, nieskończenie

lepsza przecież od losu zwykłego chłopca, nie jest niczym nadzwyczajnym. Możesz mieć wszystko. Jeżeli tylko spróbujesz. Jeżeli będziesz miał szczęście. Oto jasna i prosta droga na resztę życia. Trzeba tylko łuta szczęścia na początek. Potem też, ale przecież szczęście towarzyszy tym, którzy w nie wierzą. I trochę pomagają.

Nie, nie uwierzył. Już wiedział.

Jason miał szczęście. Już wtedy.

Gdy sir Brian wyszedł przed namiot, jego twarz jaśniała z radości. Wyglądał, jakby ubyło mu z dziesięć lat. Idący za nim ojciec chłopca niósł długi pakunek zawinięty w czyste, natłuszczone płótno. Okazało się, że wyjazd po damasceńską głównię nie był zupełną mrzonką – zdziwaczały rycerz miał niezłe informacje. Wyprawy krzyżowe spowodowały znaczny wzrost podaży wschodniej broni, a co za tym idzie – spadek cen. Wszystko, co sir Brian posiadał, wystarczyło. Nawet trochę zostało.

Rozjaśniony radością wzrok rycerza, błędzący z rozczuleniem po otoczeniu, zatrzymał się na chłopcu. Sir Brian patrzył przez chwilę ciepłym, wilgotnym spojrzeniem, jakby nie poznając, kim jest stojący przed nim zalękniony smarkacz. Schylił się, chwycił dłoń chłopca swym kościstym, stwardniałym od wodzy i kopii łapskiem. Chłopczyk szarpnął się. Rycerz włożył coś w jego dłoń, zacisnął palce na tym czymś, po czym puścił gwałtownie. Wyprostował się.

–Na, masz... – powiedział. Odwrócił się i odszedł sztywnym, podrygującym krokiem.

Chłopiec stał i patrzył na swą zaciśniętą pięstkę. Po chwili odważył się rozprostować palce.

Na dłoni matowo błysnęła srebrna moneta...

To było to szczęście, na które tak czekałem, myślał sennie Jason w obskurnej karczmie, nad prawie już pustym kubkiem wina. Od tego się wszystko zaczęło. To już trzydzieści lat, psiakrew... Ta moneta stała się kluczem do innego świata. Trzeba było zrobić pierwszy krok, dopomóc szczęściu...

Starszy mężczyzna wciąż siedział za namiotem przed rozłożonym na ziemi płaszczem. Bawił się kośćmi, wyrzucając je raz po raz. Spojrzał na chłopca ściskającego w rączce srebrną monetę. Zmarszczył brwi.

–Czego tu szukasz, smarkaczu? – spytał bez specjalnego gniewu w głosie. Chłopiec zebrał

całą swą odwagę.

–Chcę, eee... – wyschnięte gardło odmówiło posłuszeństwa. Mężczyzna zmarszczył się jeszcze bardziej. Chłopiec spróbował jeszcze raz.

–Chcę... chcę... – znowu nic. Mężczyzna zniecierpliwił się.

–Jeżeli chcesz kopa w dupę, to przyszedłeś we właściwe miejsce – powiedział znudzony. – No, zbieraj się stąd, szczyłu!

–Chcę zagrać! – wypalił chłopiec.

Starszy człowiek roześmiał się serdecznie. Przypatrując się purpurowiejącemu na twarzy chłopcu, śmiał się, aż łzy pociekły mu po twarzy.

–Zagrasz ze mną czy nie?! – wrzasnął chłopiec, tupiąc nogami. – Zagraj ze mną, ty... ty...

Uśmiech znikł z twarzy mężczyzny. Przerażonemu własną bezczelnością chłopcu głos

uwiązł w gardle. O mało się nie posikał.

–Zagrać chce szlachetny pan... – powiedział wolno mężczyzna. – A czy szlachetny pan ma

o co zagrać?

Chłopiec bez słowa podsunął mu przed oczy rozwartą dłoń ze srebrną monetą.

Mężczyzna spojrzał.

–O tak, to poważna stawka – powiedział z drwiącym uśmiechem, choć oczy pozostały

poważne. – A wiesz, synku, jak w to się gra?

Chłopczyk pokręcił głową.

–Siadaj więc, zanim zaczniemy grać, nauczę cię. Będziemy mieli równe szansę.
Starszy

człowiek roześmiał się serdecznie. Gdy wyjaśniał chłopcu zasady gry, uczył trzymać i rzucać

kości, uśmiechał się nadal. Przestał się śmiać, gdy po jedynej grze na serio, grze o jedyną

monetę chłopca, ten zabrał z płaszcza obie monety – swoją i jego.

Długo milczał, patrząc na chłopca spod oka. Wreszcie powiedział:

–Synu, to była twoja jedyna moneta. Wiele warta. Czy naprawdę nie bałeś się jej postawić?

–Nie.

–Dlaczego?

–Wiedziałem, że wygram – odparł spokojnie chłopiec.

–Jak to wiedziałeś? Nie mogłeś wiedzieć! – rzucił ze złością mężczyzna. Chłopcu łzy stanęły w oczach.

–Wiedziałem... – powtórzył z uporem. Mężczyzna potrząsnął ze zniecierpliwieniem głową.

–Nie mogłeś! – powtórzył. – To jest, cholera, zupełnie niemożliwe... Chłopczyk spuścił głowę. Milczenie przedłużało się. Po chwili mężczyzna sięgnął do swej sakiewki, wyjął z niej garść miedziaków i wysypał na płaszczy przed chłopcem. Chłopiec spojrzał pytająco. Mężczyzna spuścił wzrok.

–Kurwa, co ja robię... – wymamrotał do siebie. – Przecież to niemożliwe, taki szczył... Dobrze – podjął po chwili, zwracając się już bezpośrednio do chłopca, Zagramy jeszcze, o mniejsze stawki. Zobaczmy...

Chłopiec pokręcił głową.

–Co, nie chcesz? Trudno, to spadaj stąd...

Przerwał i patrzył ze zdziwieniem, jak chłopiec wysupłał jedną ze swych srebrnych monet i położył obok kupki miedziaków.

–Chcesz grać za swoje? W porządku, tak będzie ciekawiej...

Wziął monetę chłopca, sięgnął do sakiewki i dołożył chłopcu miedziaków.

–To mniej więcej tyle samo – powiedział. – A zresztą, nie wyglądasz na takiego, co umie

liczyć. Musisz mi uwierzyć na słowo.

Skrzywił się w nieprzyjemnym uśmiechu.;

–Zaczynamy! Szlachetny pan pierwszy!

Przez pół godziny kupka pieniędzy przed chłopcem to rosła, to malała. Powoli chwycił reguły, wyczuwał kiedy przychodzi nieuchwytna passa, kiedy odchodzi. Odczuwał to podniecające mrowienie, gdy grzechotał kośćmi przed rzutem. Odczuwał pewność. I z wolna kupka pieniędzy przed nim zaczęła rosnać.

Po godzinie jego przeciwnik, śmiertelnie już poważny, zdjął z palca gruby złoty pierścień.

–No dobrze, mały. Łatwo przyszło, łatwo poszło. Ostatni rzut! Rzeczywiście, łatwo poszło. Mężczyzna przestał już kręcić z niedowierzaniem głową, teraz miał w oczach czyste osłupienie.

–Coś ty zrobił, szczeniaku! – powtarzał gniewnie. – Coś ty, kurwa, zrobił! Chłopiec skulił się zalękniony. Mężczyzna chwycił go za rękę. Chłopczyk zaszlochał w panice.

–Oddam, panie, oddam wszystko... – wyjąkał. – Oddam, tylko nie bijcie, panie...

Mężczyzna zeszywniał. Chwycił chłopca za zmierzwione płowe włosy, drugą ręką

trzasnął go w zalaną łzami buzię. Mocno, na zimno i z wyrachowaniem. Chłopiec przestał szlochać. Wbił oczy w przeciwnika i w tych oczach, poprzez łzy, błysnęło coś zupełnie innego. Mężczyzna puścił go.

–Tak już lepiej – sapnął. – A teraz posłuchaj, szczyłu. Gdy siadasz do gry, to ponosisz

wszelkie tego konsekwencje. Możesz przegrać. Możesz wygrać. Możesz wygrać, a pomimo to

przegrasz, bo stracisz zdrowie, a nawet życie. Ale gdy już zaczniesz grać, to nie możesz tego

cofnąć, nie możesz oddać wygranej i powiedzieć, że nic się nie stało. Musisz wiedzieć, z kim

siadasz do gry. I pamiętaj, czasem trzeba przegrać. Czasem trzeba wygrać mniej, niż mógłbyś i

chciałbyś. Takie jest życie i taka jest gra!

Przez chwilę sapał zdenerwowany. Wysmarkał się w palce z widoczną irytacją.

–Musisz patrzeć, z kim siadasz do gry, powtarzam ci, bo to chyba najważniejsze – podjął

po chwili, wycierając zasmarkane palce połą kubraka. – Do licha, zdenerwowałeś mnie, gdzie

się podziały moje dworne maniery. Ale do rzeczy, nigdy nie graj kimś, przed kim się nie

obronisz lub, w ostateczności, nie zdołasz uciec. I pamiętaj, nigdy, ale to nigdy nie ogrywaj

nikogo do końca. Bo ostateczna przegrana rodzi desperację. A desperaci zabijają...

Chłopczyk słuchał bez ruchu. Mężczyzna wreszcie uśmiechnął się.

–Jak ty to zrobiłeś, smarkaczu? – znów pokręcił głową. – Popatrz... Szarpnął lewy rękaw.

Na płaszcz wypadł drugi komplet kości, z pozoru identyczny z tymi, które już tam leżały.

Chłopiec podniósł je i zbliżył do oczu.

–Przyjrzyj się dobrze – usłyszał. – To są szlify. To znaczy, te kości są specjalnie przygotowane, szlifowane. No, sfalszowane, żeby już nazwać rzecz po imieniu. Gdy nimi

rzucam, na ogół padają tak, jak chcę. Mówię, na ogół, ale to wystarcza. Ja z tego

żyję,

smarkaczu. Wystarczy, żebym wygrał z każdym. Tylko nie z tobą...

–Wiem, kiedy wygram – powiedział cicho chłopczyk.

–Dobrze już, dobrze... Powiedzmy, że ci wierzę. Dobrze, synku, zbieraj wygraną i znikaj...

Chłopiec zaczął niezgrabnie zgarniać miedziaki w połę koszuli. Szło mu to niezdarne.

Mężczyzna obserwował go z rozbawieniem.

–Zaczekaj – powiedział. Przesypał monety ze swego mieszka do skórzanej sakwy, leżącej przy pasie z kordem. Rzucił sakiewkę małemu

–Bierz! – uśmiechnął się. – Taki bogacz bez sakiewki...

Gdy chłopiec zbierał się do odejścia, mężczyzna wstał i ujął go pod brodę.

–To nie tak, jak myślisz, synku, nie tak... – rzekł łagodnie. – To nie jest życie usłane różami, to, które sobie w tej chwili wybrałeś. Lepiej wracaj do tatusia i mamusi. A jeśli już

koniecznie chcesz, to pamiętaj, nie graj na razie z dorosłymi. Graj z chłopakami o miedziaki,

masz jeszcze czas. Wiesz, ja jestem zawodowcem, jestem... byłem najlepszy. Do dziś. Ale

jestem zawodowcem i nie połamię dzieciakowi rąk, za to, że ze mną wygrał. Nie ja... I wybacz,

że cię uderzyłem. Głupio to zabrzmiało, ale to dla twojego dobra...

Chłopczyk spojrzał mu prosto w oczy.

–Dziękuję, panie – powiedział po prostu...

Wino już wystygło. Tak, pomyślał Jason leniwie, tego dnia w pół godziny zarobiłem więcej niż mój ojciec przez pięć lat klepania zbroi sir Briana. Ale nie pieniądze były najważniejsze. Jason posłuchał swego nieznanego przeciwnika. Czekał na swoje dni. Owszem, grywał z rówieśnikami, głównie dla wprawy, o stronie aktywów miał wkrótce garść miedziaków, złamany, ale całkiem jeszcze dobry nóż, kilka kocich

skórek, a przede wszystkim doświadczenie. Po stronie pasywów wybitny ząb i wielokrotnie podbijane oczy. W miarę upływu czasu i zdobywania doświadczenia coraz rzadziej.

Ojciec wykonał zlecenie sir Briana. Oprawił damasceńską głownię na sposób wschodni, którego nauczył się w młodości. Rycerz pojechał na swój ostatni turniej i wrócił, o dziwo, siedząc o własnych siłach na olbrzymim, młodym bojowym rumaku. Stary, niedowidzący już Smok stąpał dumnie na sztywnych nogach, prowadzony za uzdę. Na pierwszym wozie – co też było ewenementem, bo zazwyczaj w taborze rycerza był tylko pierwszy i jedyny wóz – leżała na słomie piękna, lśniąca zbroja. Nieco tylko pogięta i zakrwawiona. Zawiodły tylko nadzieje sir Briana na okup. Puste lochy zamku nie doczekały się innych lokatorów niż szczury. Gdy ojciec Jasona oglądał rozchlastany jak pergaminowa karta naramiennik nowej zbroi, uznał, że sir Briana po długim okresie niepowodzeń poniósł entuzjazm. Ale i tak rycerz nie miał na co narzekać. W turnieju był klasycznym fuksem, wszyscy nauczeni wieloletnim doświadczeniem stawiali przeciw niemu. I teraz, na kilku wozach wiozł małą fortunę.

Ojciec dopasował nową zbroję, lecz sir Brian nie pojechał już więcej na turniej. Dokupił ziemi i osiadł na swym zamku. Nie naprawił jednak murów i nie kazał założyć nowych łańcuchów do zwodzonego mostu.

Gdy piętnastoletni Jason klęczał na podwórzu przed dymiącymi zgliszczami kuźni, trzymając na kolanach zakrwawioną głowę zabitego ojca, pomyślał, że losy rycerza i jego ojca były w dziwny sposób związane. Im obu damasceński miecz przyniósł wielkie chwile radości, i obu też przywiódł w końcu do zguby.

Jeden z sąsiadów sir Briana, normański szlachcic o posturze przerośniętego niedźwiedzia, nomen omen Hugo de Malvoisin, także zapragnął mieć nową zbroję. A i reszta by się też przydała. Po spaleniu okolicznych zabudowań i wycięciu wszystkich, których udało się dogonić, poczet Hugona stanął pod zamkiem sir Briana. Z braku łańcuchów przy zwodzonym moście prowadzenie oblężenia było bezprzedmiotowe i rycerze starli się od razu pieszo na dziedzińcu zamkowym. Jak wiadomo, sir Brian nigdy nie był orłem w walce, nawet pieszej, a wobec zwierzęcej wściekłości Hugona, przewagi wzrostu, siły i szybkości, nie pomógł wiele piękny, damasceński miecz. Ostatni obrońca zamku mógł się tylko cofać. Niebawem w sieni zamkowej pod potężnym ciosem morgensterna Hugona pękł jak garnek lśniący, pieczołowicie polerowany przez najlepszego płatnerza w okolicy hełm. Mózg sir Briana ozdobił malowniczo ściany i powałę sieni.

Drugiej swej myśli Jason wstydził się długo. Brzmiała ona – wreszcie jestem wolny.

Tego dnia ostatecznie zniknął gdzieś Clever, syn płatnerza. Narodził się Jason.

Dość tego! Jason otrząsnął się i wrócił do rzeczywistości. To było trzydzieści lat

temu, a teraz trzeba podnieść dupsko z ławy i ruszać w drogę. Dopił resztę wina, odstawił kubek. Trzeba zawołać karczmarza i zapłacić. Wprawdzie wredny sukinsyn, ale trudno.

Wstał, przeciągnął się aż zatrzeszczało w stawach i sięgnął do sakiewki. Szlag by to trafił, wychodzić na dwór w taką pogodę, ale trudno. W Nottingham znajdzie lepszą karczmę, a choćby i stryżek w jakiejś stajni. To tylko dwanaście mil.

Przez wycie wiatru na zewnątrz przebił się tętent koni. Co najmniej kilku. Zachryple nawoływania.

Jason zeszywniał. Kurwa, doczekałem się, pomyślał w nagłym przeczuciu kłopotów i ciężko opadł z powrotem na ławę.

Pchnięte drzwi z rozmachem uderzyły o wewnętrzną stronę ściany, wpuszczając do izby wirujący kłęb śniegu. Skórki od słoniny wytrzymały. Za kłębem śniegu do izby wtoczyła się zwalista postać, ocierając czoło i oczy z przyklejonych, topniejących płatków. Przybysz rozejrzał się po izbie i wrzasnął:

–Hej, karczmarzu! No rusz się, suczy pomioście!

Żaden z zamroczonych pijaków nie poruszył się. W otwartych drzwiach stanął drugi mężczyzna, młodszy i szczuplejszy. Szczurowaty karczmarz już biegł w ich stronę, z mieszaniną zachwytu i lęku na twarzy.

–Prędzej! – warknął ten zwalisty. Wydawało się to niemożliwe, ale karczmarz ruszył jeszcze szybciej. Szczuplejszy zatrzasnął drzwi i ruszył w stronę światła, otrząsając śnieg z odzienia. Jason przyjrzał mu się spod oka. Nie był zachwycony tym, co zobaczył. Chłopak – bo był to chłopak najwyżej osiemnastoletni – miał na bladej twarzy wypisaną butę i arogancję. I był wyraźnie wściekły. Zwalisty zaczął coś mówić. Jason nadstawił ucha.

–Słuchaj, chamie, jakie niecodzienne szczęście cię spotkało – mówił zwalisty głośniejsz niż potrzeba. – Zawitał do ciebie najstarszy syn twojego miłościwego hrabiego, Gilbert. Ze swoim giermkiem, znaczy się, ze mną...

Niech to szlag, niewesoło pomyślał Jason, rzeczywiście niespotykane szczęście. Obłowi się chłopina, oczywiście jeżeli zdoła przetrzymać pańskie humory. Ten smarkacz wygląda na nieobliczalnego...

–...wina, piwa, sera i polewki, jeżeli masz takową – ciągnął giermek – I to szybko, bo inaczej...

Twarz karczmarza wyrażała mocno mieszane uczucia. Trzęsły mu się w widoczny sposób nogi.

–...inaczej, wisząc na gałęzi zobaczysz jeszcze, jak się pali ta twoja buda!

Reakcja karczmarza poważnie zaniepokoiła Jasona. Szczurowaty nie płoszył się tak łatwo, trzeba było nad nim popracować. Widać miody Gilbert, najstarszy syn miłościwego hrabiego musiał mieć w okolicy ustaloną reputację.

Karczmarz pomknął do komory, po drodze budząc celnymi kopniakami śpiące dziewczki. Klnąc z cicha, zaczęły wygrzebywać się ze zmierzwionej słomy. Pierwsza usiadła z

rozdziawionymi ustami, poczęła wyczesywać palcami *żdźbła* słomy z rozczochranych włosów. Mrużąc oczy przed światłem, nieprzytomnym wzrokiem wodziła po izbie. Gdy jej wzrok zatrzymał się na młodym Gilbertcie, zeszytniała. Trzęsącą się ręką zaczęła szturchać drugą, wolniej wracającą do przytomności. Gdy tamta usiadła, z opuszczoną głową i twarzą zasłoniętą szopą potarganych włosów, szepnęła jej coś do ucha. Obie pośpiesznie wstały i chwiejnie wycofały się w mrok.

Niedobrze. A raczej zupełnie źle.

Młody Gilbert spojrział zimno w twarz Jasona. Ten po krótkiej chwili opuścił wzrok. Nie miał najmniejszej ochoty na pojedynek na spojrzenia. Nie teraz. Nie z tym przeciwnikiem.

Z komory wybiegł karczmarz i stanął przed Gilbertem.

–Prosimy, panie, prosimy! Wino już się grzeje, siadajcie, panie, przy ogniu... Panicz

Gilbert obdarzył karczmarza spojrzeniem zarezerwowanym zazwyczaj dla psiego gówna,

leżącego w słomie na posadzce zamkowej komnaty. Odwrócił się bez słowa.

Giermek podskoczył do karczmarza i z rozmachu trzasnął go otwartą dłonią w tył głowy. Huknęło głośno, ale szczurowaty ustał na nogach. Na szczęście giermek zdążył uprzednio zdjąć kolcze rękawice.

–Uważaj, do kogo się odzywasz, śmieciu! – ryknął giermek. – Szlachetny panicz nie ma

ochoty cię słuchać! I dawaj szybciej to wino, bo jak nie...

Karczmarz nie przejawiał zainteresowania tym, co się stanie, jeżeli szlachetni panowie nie dostaną na czas swojego wina. Być może dobrze wiedział. W każdym razie zniknął w mgnieniu oka.

Korzystając z zamieszania, Jason spróbował nieznacznie usunąć się w cień. Z opuszczoną głową przesunął owinięty pasem kord po ławie i zamierzał właśnie przenieść jego śladem swój ciężki tyłek. Zamarł w bezruchu na dźwięk cichego, kulturalnego głosu. Podniósł głowę i spojrział na Gilberta.

–Nie trudźcie się, wam starszym przy ogniu wygodniej – powiedział uprzejmie Gilbert. –

Siadźcie, powiadam. Zaraz wina dadzą, napijecie się. Ziąb taki, a żeby stare kości rozgrzać, to

grzane wino najlepsze. My spoczniemy przy stole. Kiciak, zrób no trochę miejsca, posprzątaj.

Jason z udawanym stęknieniem usiłował powstać z ławy.

–Siadajcie – powtórzył z naciskiem Gilbert. – Napijcie się. Kiedy ja proszę, to trzeba usiąść. Wypić i podziękować.

Cóż było robić. Jason z ponownym stęknieniem posadził tyłek na ławie.

–Dziękuję, panie – powiedział cicho, nie podnosząc wzroku. Gilbert nieoczekiwanie uprzejmie skinął głową.

Źle, psiakrew. Nie da się spokojnie wyjść. Trzeba będzie zostać i skorzystać z wątpliwej przyjemności gościny panicza Gilberta. Doczekałem się, psiakrew. No cóż, trzeba przeczekać, może później będzie lepsza okazja.

Jason odpędził niewesołe myśli i spojrzał, jak też giermek zwany Kiciakiem poradzi sobie ze sprzątaniami. Okazało się to całkiem proste. Kiciak chwycił koniec ławy obciążonej ciałami śpiących i bez specjalnego wysiłku podniósł ją do pionu. Śpiący opoje zwalili się z łomotem na polepę i niezupełnie rozbudzeni zaczęli się gramolić przy akompaniamencie przekleństw. Kiciak z hukiem opuścił trzymaną ławę i począł im pomagać, smagając gdzie popadnie ciężką, kolczą rękawicą. Po krótkiej chwili sprzątanie było prawie zakończone. Giermek kopniakiem popędził spóźnionego, rozległ się donośny kwik i spóźniony wylądował głową w stercie słomy pod ścianą. Zaszamotał się chwilę i znieruchomiał.

–Gotowe, panie – oznajmił Kiciak skwapliwie.

Przed karczmą, na zewnątrz, przez szum wiatru i zacinającego mokrego śniegu znów dały się słyszeć kroki. Kilku ludzi. Jason drgnął, spodziewając się następnego kopa w drzwi.

Drzwi otwarto, tym razem, o dziwo, nie kopniakiem, lecz całkiem normalnie. Zaczynało zmierzchać. Wraz z kolejnym kłębem mokrego śniegu weszło trzech zbrojnych. Dwóch gołowąsów i jeden starszy już człowiek. Zatrzymali się u progu i rozpoczęli zwykły rytuał otrząsania się. Najstarszy przetarł wierzchem dłoni długie, zwisające wąsy i zbliżył się do giermka.

–Konie w stajni – zameldował. – Znaleźliśmy obrok, to i zadaliśmy.

–Wytarte? – spytał Kiciak.

–Jakżeby nie? – oburzył się stary. – Toć przecież zawsze...

–Dobrze już, dobrze... – niechętnie przyznał giermek. – Wiem. Ale sprawdzić zawsze warto.

–Sprawdzajcie – fuknął gniewnie stary.

–Kiciak – wtrącił łagodnie panicz Gilbert. – Trochę zaufania. Przynajmniej do pierwszego razu. Bo przecież drugiego razu by nie było, prawda, Kiciak?

Giermek zarechotał obłeśnie. Stary zbrojny stał sztywno, wpatrzony w punkt gdzieś za plecami giermka.

Młody panicz ze swym wiernym i niewątpliwie pasującym do siebie giermkim zasiedli przy koślawym stole. Pojawił się karczmarz z dzbanami wina i kubkami. Rozbudzone już całkiem dziewczki uwijały się, przynosząc skądś bochenki chleba, gomółki sera i dymiące miski gorącej polewki. Jason z ulgą zauważył, że polewka nie pochodziła ze stojącego na polepie usmolonego kociołka. Być może reakcja Gilberta po skosztowaniu nie będzie zbyt gwałtowna.

Gilbert szepnął coś giermkowi do ucha. Kiciak szarpnął karczmarza za połę kubraka i wskazał na Jasona. Szczurowaty kiwnął głową i zniknął. Pojawił się po chwili z nowym dzbanem wina, zmierzając w kierunku Jasona. Stawiając dzban na ławie, karczmarz usilnie starał się pochwycić jego spojrzenie. Nie było to łatwe, straszliwy zez powodował, że Jason musiał się domyślać, którym okiem właściwie patrzy mu w twarz. Ale gdy wreszcie udało im się spojrzeć sobie w oczy, Jason ujrzał w małych oczkach szczurowatego śmiertelnie poważne ostrzeżenie. I coś na kształt współczucia.

Ostrożności nigdy za wiele. Jason napełnił kubek, wstał, skłonił się i z uśmiechem przepił w stronę Gilberta. Ten kiwnął łaskawie głową. Bez uśmiechu. Gdy Jason siadając, spojrzął na karczmarza, zobaczył na jego twarzy ślad rozczarowania i dezaprobaty. Szczurowaty ledwo dostrzegalnie wzruszył ramionami, po czym odwrócił się i odszedł, nie poświęcając Jasonowi więcej uwagi. Niech to diabli, błąd, pomyślał Jason. Tylko jaki? Przymknął oczy. Trzeba się poważnie zastanowić, jak wykaraskać się z tej sytuacji. Wyjść teraz nie można, nie pozwolą. Nie teraz, nie po tym ujmującym zaproszeniu. Trzeba przeczekać, zobaczyć, jak się sytuacja rozwinie. Może się upiją i przestaną zwracać uwagę. Poczekamy.

Jason nigdy nie miał zaufania do synów wielmożów. Zawsze starali się coś udowodnić, wykazać własną wartość. Bo też sytuacja ich była trudna, trudniejsza niż w przypadku zwykłej szlachty. Szykowani przez swych ojców na następców, nie mając na ogół trudności materialnych do pokonania, nie mieli tej powszechnej motywacji do pomnażania majątku czy doskonalenia rycerskiego rzemiosła. Oni to

już mieli zagwarantowane – majątek, tytuł. Póki jednak żył ojciec, nie mieli jednego – poczucia swej siły i wartości. Zawsze byli na drugim miejscu. Starali się więc wykazać, często za milczącym przyzwoleniem ojca. Najczęściej przez wszczynanie burd i bezmyślne okrucieństwo. Z tego, co Jason zdążył zauważyć, panicz Gilbert był jak najbardziej typowym okazem. Bezpieczny w towarzystwie swych zbrojnych i giermka, traktowanego bardziej jak towarzysza najbliższych zabaw, niż podwładnego, postrzegał świat jako coś stworzonego wyłącznie dla własnej rozrywki. Co najmniej świat w obrębie hrabstwa swego ojca, gdzie mógł odgrywać pana życia i śmierci. Gdzie tylko od jego kaprysu zależało, czy zabije, okaleczy, a może dla odmiany poczęstuje, na przykład, dzbanem grzanego wina.

Zbrojni odpinali właśnie swe pasy z krótkimi mieczami. Stary ze zwisającymi wąsami podszedł do Jasona.

–Pozwolicie, panie? – zapytał. – Czas paskudny, warto się ogrzać przy ogniu. Nie wiadomo, kiedy każą znowu ruszać...

–Oczywiście – Jason uśmiechnął się. Rzucił okiem w kierunku Gilberta i giermka. Wydawali się całkowicie pochłonięci jedzeniem i piciem. Kiciak zaczynał właśnie podszczypywać jedną z dziewczek, tę mniej paskudną.

–Oczywiście, siadajcie – powtórzył zaproszenie Jason. – Nie wydaje się jednak, abyście wkrótce ruszali. Wasz pan dopiero co zaczął posiłek.

Stary żołnierz usiadł na ławie. Pokręcił głową.

–Z naszym paniczem nigdy nie wiadomo. Ot, dobrze byłoby chociaż piwo wypić. Nigdy

nie wiadomo... Wciąż kręcił głową.

–Zwłaszcza dzisiaj... – dokończył i zwracając się do pozostałych zbrojnych, przestępujących z nogi na nogę pod ścianą, zawołał:

–A chodźcie, nie stójcie, jak... ten... Łaskawy pan pozwolili!

Dziewka przyniosła dzban z grzanym piwem i gliniane kubki. Zbrojni skwapliwie zabrali się do picia. Jason przyglądał się z uśmiechem. Tak, dobry żołnierz zawsze się spieszy, by

zdążyć z przyjemnościami, zanim znowu gdzieś pogonią. Stary dostojnie umoczył obwisłe wąsiska w kubku, trzymanym dla rozgrzewki w splecionych dłoniach. Młodszy ciągnęli, jakby ich kto poganiał. Jason nie odwracając się, krzyknął:

–Hej, dziewczko... tego... jeszcze piwa!

Młodziakom zabłyśły oczy, stary kiwnął głową z aprobatą. Jason umoczył usta w kubku. Dość już wina na dziś.

Zanim w pierwszym dzbanie pokazało się dno, zjawił się osobiście sam szczurowaty, niosąc w obu rękach parujące dzbany.

–To żeby dwa razy nie chodzić – wyjaśnił nie pytany, stawiając ostrożnie piwo.

No dobrze, pomyślał Jason, zacznij wreszcie myśleć, jak się z tego wszystkiego wykręcić. Dobrze byłoby się dowiedzieć, jak panicz Gilbert zwykł spędzać czas. Czy będzie pił, aż zwali się pod stół, czy też zacznie wcześniej rozrabiać. Czy dla dobrej zabawy wystarczy mu podszczypywanie dziewczek, czy też musi kogoś pochłastać gwoli rozrywki. Zbrojni wiedzą. Trzeba ich trochę rozruszać, może co powiedzą.

Prawdę mówiąc, nie liczył specjalnie na to. Zwykle pytani o zwyczaje pana służy nabierali wody w usta. No, ale trzeba spróbować. Stuknął swym kubkiem o kubek starego.

–No, ale służbę macie niczego – zaczął niezobowiązująco. Stary nie zareagował. Uniósł wprawdzie swój kubek, wypił, ale nie podchwytował tematu.

–...ludzki ten wasz pan, inny to by kazał w stajni, przy koniach, a ten do izby... – ciągnął Jason niezrażony.

Jeden z gołowąsów już otwierał usta, aby odpowiedzieć, ale stary spojrzał na niego. Młodziak zamarł ze śmiesznie otwartymi ustami. Stary pociągnął piwa.

–My, panie, z pocztu samego pana hrabiego – odezwał się wreszcie niechętnie. – Tylko dzisiaj pojechali my z młodym paniczem...

–...i na wino grzane zaprosi, chociaż on szlachcic, a ja cóż, zwykły kupiec. Widać włos siwy uszanować potrafi...

Obwisłe wąsiska zanurzyły się w kubku. Młodziaki siedziały ze wzrokiem wbitym w swe naczynia.

–...nieczęsto się to zdarza, oj, nieczęsto – paplał Jason radośnie. – Dzieciskom ja opowiem,

jak z drogi wrócę, jak to z jaśnie panem...

Stary odstawił kubek i skrzywił się, jakby znalazł w nim co najmniej zdechłą mysz. Spojrzał na Jasona, ale nic nie powiedział. Jason przerwał.

Gównu, pomyślał niewesoło, to tyle, jeżeli chodzi o zdobywanie informacji. Stary zajął się swoim piwem, młodszy poszedł za jego przykładem.

W pewnej chwili Jason spostrzegł, że bezwiednie obraca w dłoni kości do gry. Nieraz przyłapywał się na tym, idiotycznym jak uważał, nawyku. W momentach napięcia bezwiednie wyjmował kości i obracał je w dłoni z cichym, ledwie słyszalnym grzechotem. Próbował usilnie zwalczyć to przyzwyczajenie, ale jak dotąd bez skutku. Prawdopodobnie dlatego, że

naprawdę go to uspokajało. Tak jak teraz. Kości grzechotały cicho, a Jason myślał intensywnie. Nie podobały mu się szybkie spojrzenia, rzucane co jakiś czas w jego stronę przez Gilberta. Coraz częstsze. Jakby na coś czekał i nie mógł się już doczekać. Błądą twarz co pewien czas wykrzywił nerwowy grymas. Jason doszedł do smutnego wniosku, że dany mu czas zaczyna się kurczyć. Ten miły i cichy głos był tylko pozorem, pod maską spokoju Gilbert gotował się z wściekłości.

Kości w dłoni grzechotały coraz szybciej. Może tak wyjść za potrzebą, do stajni, na konia i w las? Już ciemno, może nie dogonią. Cienki pomysł, ale z braku lepszych...

Powoli wstał, przeciągnął się. Wtedy spostrzegł istotną wadę swego pomysłu. Nie zostawi przecież korda ani sakwy, a trudno będzie w razie czego wyjaśnić, po co je ze sobą zabiera. No, jeszcze kord ewentualnie do oganiania się od wilków, ale sakwa? Trudno, spróbujemy, może nie zauważą. Wolno skierował się w stronę drzwi. Gilbert patrzy w inną stronę...

Krok. Drugi, trzeci, sakwę trzymać przed sobą, jeszcze kawałek...

Spokojny głos osadził go na miejscu.

–A dokąd to, panie kupiec? – spytał panicz Gilbert. Jego twarz nie była już beznamiętną

maską, wykrzywił ją złośliwy uśmiech. – Dokąd to? – powtórzył.

Jason stał, przeklinając w myśli w bardzo plugawy sposób.

–No, odlać się – odparł wreszcie. – Wino pędzi...

–A lejcie w kąt, panie kupiec, nie czyńcie subiekcji – zezwolił panicz łaskawie. – Ziąb taki na dworze, jeszcze sobie co przeziębicie, nie daj Boże. Lejcie w kąt, my zwyczajni.

Kiciak i obie dziewczki zarechotali radośnie.

–...albo i co sobie utniecie, nie daj Bóg – kontynuował Gilbert. – Ot, na przykład tym

kordem, co go tak przed sobą chowacie...

Stojąc w kącie tyłem do izby i obserwując pryskające mu spod nóg mokre, oburzone myszy, Jason stwierdził, że już teraz wszystko jasne. Teraz to naprawdę ma przechłapane.

Skończył, schował, po czym wrócił na ławę przy palenisku. Stary zbrojny podsunął mu pełny kubek. Jason pokręcił głową. Stary spojrzał mu w twarz i przysunął kubek ponownie.

–Napijcie się – powiedział.

–Dzięki, mam już dosyć – odparł Jason dość opryskliwie. Miał już dosyć.

–Napijcie się – powtórzył z naciskiem zbrojny. – Napijcie. Mniej będzie boleć...

–Nie rozumiem – powiedział Jason ostro. W istocie rozumiał już doskonale. Zbrojny nie odpowiedział. Przysunął kubek jeszcze bliżej Jasona. Widząc, że ten nie sięga po niego, pokręcił z irytacją głową.

–Żywiej tam, żywiej z tym piwem – rzucił w kierunku młodych. – Zara do stajni trza, zobaczyć, paszy zadać...

–Ale po co, przecież... – zaprotestował jeden nieśmiało.

–Żywiej, mówię, mać wasza smutna... – warknął stary.

Wystarczyło. Zbrojni ruszyli do wyjścia, dopinając po drodze pasy i poganiając wzajemnie. Dyscyplina, zauważył Jason mimochodem.

Gdy za młodymi zamknęły się drzwi i ustały chwilowo straszliwe przeciągi, stary milczał jeszcze dłuższą chwilę.

–Widzicie nasz panicz nie miał dziś dobrego dnia... – zaczął wreszcie – a przecież i w

zwykłe dni...

Przerwał. Pokręcił głową.

–Oj, nie miał ci on dobrego dnia – podjął po chwili. – Do panny pojechał, co to się żenić z

nią ma. Chociaż teraz, to już po prawdzie nie wiadomo... Całą drogę mówił, że do ślubu nie

strzyma. Jeszcześmy koni rozpoprężyć nie zdążyli, jak panicz z sieni wypadł, a na gębie pięć

palców równo miał odcisnięte. I taki cichy był, spokojny... A to u niego najgorzej. I jeszcze

ojciec panienki, rycerz prawy, na cały kasztel ryczał, cobyśmy wyp... wynosili się z jego domu

natychmiast, bo właśnie kusze napinają. Tak co było robić – tak i my wyjechali. A panicz przez

całą drogę się uśmiechał i głosu nie podniósł. Tak najgorzej...

Staremu zaschło w gardle. Splukał je piwem i kontynuował:

–Nasz panicz dzieciuch to jeszcze prawy... Wszystko sobie do serca bierze, każde głupstwo. Jak nikt mu nie krzyw, to do rany przyłożyć. Bywa, że i przez tydzień nikogo nie

pobije, żadnego chłopca w łeb nie zdzieli czy dziewczki nie wyonacy, ba, nawet kota żadnego nie

rozedrze. Ale jak mu co za skórę zalezie, to robi się taki grzeczny i spokojny. I nie przejdzie

mu, dopóki kogo nie skatuje. Bywa, że i na śmierć...

Jason spojrzął mimo woli na panicza Gilberta. Panicz przestał rzucać szybkie spojrzenia. Teraz wpatrywał się w Jasona ciężkim, nieruchomym wzrokiem. Jason poczuł zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

–Jaki to ma związek ze mną? – spytał spokojnie. Zbrojny uniósł ze zdziwieniem krzaczaste brwi.

–Nie wiecie? – spytał. – Nie udawajcie, na bystrego wyglądacie. W tej karczmie jesteście do wyboru wy albo ten kurdupel karczmarz. Jak myślicie, z kim panicz będzie miał więcej zabawy? Przecież wiecie.

Jason z niechęcią kiwnął głową. Zaprzeczanie oczywistym faktom nie miało sensu.

–I ja myślę, że na was popadło – zgodził się stary z przekonaniem. – Dlatego mówię,

napijcie się. Ten kubek i następny. A potem jeszcze jeden. Aż padniecie pod stół. Bo wtedy

mniej boli. A i panicz szybciej się znudzi, zgrzeje... Wykpicie się może połamanymi żebrami.

Dobrze wam radzę... A jeśli wam się wydaje, coście duży, silny, a panicz chuchro, że

strzymacie... Co więcej mówić, popatrzcie na Kiciaka. Panicz nie wozi go ze sobą dla ozdoby...

Rady były zapewne dobre, ale Jason zaczął właśnie odczuwać zalewającą go zimną złość. Zgoda, sam się w to wpakował, przez własne lenistwo i nieostrożność, ale nie będzie dostarczał rozrywki zdegenerowanemu gówniarzowi i jego kompanii. Do własnych żeber był bardzo przywiązany i nie chciał wydobywać się z opresji ich kosztem. Poza tym, bywało gorzej.

Spotykał się ju z ludźmi typu Gilberta. W porządku, rozegra to po swojemu. Plan powinien się udać, a jeeli nie, to jest jeszcze drugi. Poczul przyływ optymizmu.

Śmiało zaczął brnąć w swój największy błąd.

Był pewien, e Gilbert stale go obserwuje. To była część zabawy, smakować strach ofiary, kiedy ta ju wie, co ją czeka. Przedluc przyjemność. Widzieć narastający lęk, gdy ofiara miota się i usiłuje znaleźć wyjście. Poczekać na nieuniknioną rezygnację. No dobrze, przyjacielu, patrz, patrz zachłannym wzrokiem, tak, eby niczego nie uронić. Patrz, bo za chwilę się zdziwisz. Czas na przedstawienie.

Uniósł kubek i przepił w stronę Gilberta. Nie miał najmniejszych trudności z uchwyceniem jego wzroku. Gilbert ju nie jadł, nie pił, nie zwracał uwagi na Kiciaka kotłującego się z dziewczkami na słomie tu obok. Wpatrywał się nieruchomo w Jasona. Jason wychylił kubek i uśmiechnął się serdecznie. Sięgnął po dzban i dolał piwa. Zbrojny patrzył na niego jak na kogoś, kto właśnie przewiesił pętlę przez gałąź i poczyna zakładać ją sobie na szyję. Splunął pod stół.

Niezraony niczym Jason znów przepił do Gilberta, ciągle z tym samym serdecznym uśmiechem. W twarzy panicza coś drgnęło. Najwyraźniej nie wiedział, co począć w obliczy takiej beczelności czy błogiej nieświadomości. Spojrzał bezradnie w stronę, gdzie powinien znajdować się giermek, lecz w ciemności na słomie błyskał tylko podskakujący goły tyłek. Znikąd wsparcia.

Jason uśmiechał się dalej, z naprawdę szczerym zadowoleniem. Punkt dla niego. Udało się zakłócić pozorny spokój Gilberta, wybić go z transu. Teraz zacznie się zastanawiać, dlaczego nie jest tak, jak zwykle. Tylko tak dalej.

Wyrzucił trzymane w ręce kości na stół. Potoczyły się z grzechotem. Raz, drugi, trzeci... Stary zbrojny i dwóch gołowusów, którzy wrócili tymczasem ze stajni,

odstawiło kubki. Patrzyli zaintrygowani jak na mysz, która zamiast uciekać, delektuje się serem tu przed kocim nosem. Jason ciągle uśmiechał się beztrosko.

–Zagramy? – zaproponował wesoło. Młodziakom opadły szczęki. Starego zatkało.

–Gdzie nam, chudopachołkom... – wyjąkał po chwili – to i postawić co nie mamy, chyba ołd za następny miesiąc, bo z tego tośmy ju przepili. Ale te wam się chce grać, teraz... Alboście durni, albo...

Pokręcił głową.

–Tak, jednak durniście... – zdecydował.

–Moe jednak? – uprzejmie ponowił propozycję Jason.

–A moe ze mną? – głos zza pleców. Ju nie tak spokojny. Ostry i gniewny. Jason schylił głowę, aby ukryć uśmiech. Chwyciło.

Wstał z ławy. Starając się nie patrzeć na Gilberta z góry, co nie było łatwe, zaczął przymilnie:

–Zaszczyt to wielki, panie, naprawdę. Ale jakże mi, niskiego stanu człekowi, grać z samym paniczem? Nie ośmie...

–Ośmielisz się, ośmielisz – przerwał Gilbert, nie starając się już ukrywać złości. – A jak nie, to my cię ośmielimy...

–Jakże to, jam niegodny ze szlachetnym panem...

Gilbert poczerwieniał i sapał coraz głośniej. Nie przeciągaj struny, upomniał się Jason w myśli. Panicz przetarł twarz dłonią i powiedział spokojniej:

–O tym, czyś godny grać ze mną, to ja decyduję! Zrobisz, co ja chcę! A nie, to każę

Kiciakowi rozedrzeć jak...jak... – Gilbert nagle uśmiechnął się. – Jak kota. On to lubi.

Ryknął na całe gardło:

–Kiciak, kończ to pieprzenie i chodź tu!

Jason spał się cały. Teraz wóz albo przewóz. Giermek wypadł z kąta, dopinając w biegu spodnie.

–Rozedrzeć? – spytał zdyszany.

–Głupiś. Panu kupcowi spieszno do gry, mnie takż. Może później... A ty siadaj z nami. Popatrzysz, może się czego nauczysz.

Zaprosił Jasona do stołu okrągłym gestem.

Plan był prosty, za prosty. Opierał się na doświadczeniach, jednak Jason nigdy nie miał okazji sprawdzić go w praktyce z takim przeciwnikiem. Zwykle unikał gry ze szlachtą. Szlachetnie urodzeni byli zbyt ambitni, zbyt nieobliczalni. Jason nieźle znał się na ludziach, lecz ta znajomość obejmowała głównie jego zwykłą zwierzynę łowną – kupców, rzemieślników, żołnierzy. Tam pierwszy rzut oka wystarczał mu zwykle, aby ocenić, czy siadać do gry. A w razie czego, jak grą pokierować. Ocena szlachcica była trudniejsza. Pamiętał chrobrego rycerza, który po naprawdę niewielkiej przegranej, ot, parę sztuk srebra, rozplakał się jak dziecko. Inny znów, po pierwszym przegranym rzucie obiecywał Jasonowi rozsiekanie na plasterki i wtrącenie do lochu, bez sensu zresztą, przynajmniej w tej kolejności. Szlachta miała jeszcze jedną paskudną przywarę – nawet beznadziejnie splukani, nie potrafili odejść od stołu, bo honor nie pozwalał. Tak, zwykle gra ze szlachcicem była stratą czasu, w dodatku niebezpieczną.

Jason liczył na młodość i niedoświadczenie Gilberta. Z jego zachowania i słów starego zbrojnego wnioskował, że młodzieniec wrażliwy jest na niepowodzenia i łatwo wpada w złość. Zamierzał więc na koniec niepomyślnego dnia poprawić mu nastrój, pozwalając wygrać, nie za łatwo, aby docenił wygraną. Martwiło go jedynie to, że niewiele pozostało mu do przegrania. Czy to, co ma będzie wystarczającą rekompensatą? Na szczęście miał do postawienia jeszcze konia. Szlachetnie urodzeni byli osobiwie przywiązani do swych zwierzaków. Strata konia, oprócz materialnego, miała dla nich wymiar moralny, niemal hańby. Bo jak to, szlachcic na piechotę? To gorzej niż bez gaci. Wygranie konia mogło sprawić Gilbertowi dużą satysfakcję, pognębiając ostatecznie – przeciwnika. Co do Jasona, to nie przejawiał on żadnego

przywiązania do swego konia, wrednego i narowistego bydlaka, wygranego zresztą przed niespełna dwoma tygodniami. Im szybciej się go pozbędzie, tym lepiej. Do Nottingham dojdzie spokojnie piechotą, trudno. Plan, aczkolwiek niesprawdzony, trzymał się kupy. Może się uda.

Alternatywny plan opierał się na ryzykownym nieco założeniu. Zakładał ogranie Gilberta, nie za bardzo, ale zawsze. Cóż bowiem znaczy skatować nieznanego człowieka bez powodu? Taki kaprys po prostu. Co innego zasieć człowieka, z którym przegrało się właśnie w kości, w dodatku człowieka niskiego stanu. Wstyd, zwłaszcza, jeżeli się rozniesie. Plan również był niezły, ale zawsze istniała możliwość, że w decydującej chwili złość weźmie górę nad wstydem. Jason postanowił najpierw realizować plan numer jeden.

Gilbert zasiadł za stołem, wskazał miejsce po przeciwnej stronie. Ponaglany przez giermka karczmarz mocował właśnie nowe łuczywo w żelaznej kunie przybitej do belki nad samym stołem. Jason siadł na wskazanym miejscu, rozejrzał się. Światło nowego łuczywa wydobyło z mroku więźbę dachu i solidne, okopcone belki biegnące w poprzek całej izby. Szczury z oświetlonych teraz kątów chowały się w dalsze, nadal mroczne. Na belce, niemal nad głową panicza Gilberta, nieco w lewo, siedział wielki, nastroszony, szarobiały kocur. Wydawało się, że śpi, czemu przeczyły jednak ledwie widoczne drgnięcia nastawionych, ponadrywanych w niezliczonych bojach uszu. Wielki, mordziasty bydlak, pomyślał Jason z sympatią. Lubił koty, wbrew rozpowszechnionym poglądom nie uważał ich za sługi diabła. Podobała mu się ich niezależność i nonszalancja, ogólnie niedbałe podejście do życia, które nieraz porównywał ze swym własnym. Koty, jak on, z reguły odmawiały udziału w codziennej bezsensownej gonitwie. Szły przez życie na skróty, wydając minimum energii. Nie wdziękowały się do nikogo bez sensu, nie uznawały panów ani autorytetów, chodziły własnymi ścieżkami. Był to ideał Jasona. Z jednym zastrzeżeniem – ich sposób bycia często wyzwalał bezmyślną agresję. Dobrze ci tu, draniu, uśmiechnął się do kota. Ciepło, pełno żarcia, możesz spać, ile chcesz... Pewnie nawet myszy nie łapiesz, przyznaj się...

Mylił się. Wielki mordziasty bydlak polował na myszy. Głównie dla rozrywki.

Jason spoważniał. Jak zwykle, gdy siadał do gry, ciężar kości w dłoni uspokoił go. Zaczął koncentrować się na najważniejszym, na samej grze. Rozejrzał się. Niepokoił go nieco zwalisty giermek, który ulokował się obok niego na ławie. Nie mógł powstrzymać się od zerkania przez ramię. Trudno, trzeba będzie uważać.

Gilbert zaczynał się niecierpliwić. Dobrze, oby tak dalej. Jason z namysłem grzebał w sakiewce. Nie mógł przecież rzucić na stół garści hufnali, nie była to stawka, jakiej po nim oczekiwano. Starannie wyławiał nieliczne monety.

Przewagą Jasona w każdej grze było coś, czego nawet on sam nie potrafił do końca określić i nazwać. Gdy brał do ręki kości, coś głęboko w umyśle, coś nieuchwytnego, mówiło mu, czy rzut będzie dla niego korzystny, czy nie. Nie było to wyraźne przeczucie najbliższej przyszłości, nie wiedział, jak potoczą się kości, ani ile oczek wyrzuci. Przeczuwał tylko, czy wygra, czy nie. Przeczucie było ledwo, ledwo uchwytnie i wymagało wielkiej koncentracji,

łatwo było je przegapić, nie odebrać właściwie. Nie sprawdzało się też zawsze – Jason nie wiedział, czy to przeczucie było fałszywe, czy też sam nie wsłuchał się wystarczająco. Było tak, jakby to ktoś za plecami, a raczej głęboko w głowie, mówił najcichszym z szeptów – teraz obstawiaj wysoko!

Już dawno Jason zauważył, że ten nieuchwytny ktoś odzywa się tylko wtedy, kiedy zależy mu na wyniku gry, kiedy gra o coś ważnego, gdy jest maksymalnie

skoncentrowany. Gdy odpuszczał sobie grę, tajemniczy głos milkł lub stawał się tak cichy, że nie mógł go dosłyszeć.

Przy pomocy swego niewidzialnego współnika Jason budował strategię gry. Z biegiem czasu doszedł do dalszych odkryć. Wygrane rzuty układały się w serie, na granicy których nawet owe ciche przeczucie traciło swą pewność. Następowало kilka rzutów, przy których przeczucie mogło się mylić. Potem przychodziło nieuchronne odwrócenie losu. Jason próbował kiedyś przełamać wyroki przeczucia. Grał wysoko wtedy, gdy miał przegrać, i odwrotnie. Przekonał się, że jest to możliwe tylko na początku i na końcu passy, kiedy indziej wewnętrzny głos był w zasadzie nieomylny. Owszem, zdarzały się wyjątki, lecz jak to bywa przy dłuższej grze, były nieistotne. Świadczyło to jednak o tym, że pierwsza w życiu gra o jedyną posiadaną sztukę srebra była wielkim ryzykiem.

Jason przystąpił do realizacji swego pierwszego planu. Już po kilkunastu rzutach przekonał się jednak, że jego realizacja będzie niemożliwa – panicz Gilbert grał jak idiota. Przekonany nie wiedzieć czemu o swej przewadze stawał wysoko, za każdym razem, nie bacząc na rezultaty. Stos monet przed Jasonem rósł nieustannie, zaś jego przeciwnik dawno utracił swój wystudiowany, zimny spokój. Kości ze stołu chwycił tak zachłannym, drapieżnym ruchem, aż dziw, że nie zostawiał na deskach głębokich bruzd od paznokci. Każdy przegrany rzut – a jak dotąd wszystkie takie były – kwitował wściekłym waleniem pięścią w stół. Gdy passa zaczęła się odwracać, wpadł w drugą skrajność – zaczął obstawiać ostrożnie, rzucając miedziaka czy dwa. Niskie wygrane zdawały się denerwować go jeszcze bardziej od przegranych.

Jason westchnął. Wśród licznych wad Gilberta dostrzegł właśnie jeszcze jedną - zamiłowanie do hazardu. Hazardziści, jak wiedział z długoletnich obserwacji, bywają różni. Są tacy, co zachęcenii przypadkową wygraną, gdy po raz pierwszy zasiedli do gry, grają już całe życie. Ze zmiennym skutkiem, raz wygrywając, raz przegrywając. Jedno jest jednak pewne, prędzej czy później przegrają wszystko, co mają. Zawsze szukają okazji, gdy nie można grać w kości zakładają się o najbardziej nieprawdopodobne rzeczy. Ponieważ jednak muszą grać, przymus jest silniejszy od rozsądku, to w końcu wyzbędą się całego posiadanego majątku, zaczynają pożyczać, a w końcu kraść. Aż wreszcie nikt nie chce z nimi zagrać, po prostu nie ma o co.

Inni są jeszcze mniej rozsądni. To tacy, którzy przegrywają zawsze. Po prostu nie potrafią grać, nawet z uczciwym przeciwnikiem, który traktuje grę tylko jak rozrywkę. Po prostu nie potrafią, przekonani o własnej wyższości i nieomylności stawiają wciąż coraz więcej i więcej, wpadając w niepohamowaną złość, gdy przegrywają. A przegrywają prawie zawsze, bowiem

nigdy nieopanowany desperat nie wygra z człowiekiem, który potrafi trzymać nerwy na wodzy. Są gorsi, bo nieobliczalni. Jednak niewielu z nich ma szansę na spokojną karierę żebraka, która zwykle czeka pierwszy rodzaj hazardzistów. Zbyt często mają

tendencję do prób zmiany wyniku gry za pomocą przekraczania jej reguł, przy użyciu miecza lub sztyletu. Z powodu tej skłonności wcześniej giną.

Gilbert był hazardzistą. Świadczyło o tym wiele oznak, obgryzanie paznokci, rozbiegane spojrzenie. Co i rusz panicz nerwowo przeliczał leżące przed nim monety. Pytanie tylko, do którego typu się zalicza. Jason obawiał się, że do drugiego.

Pierwszy plan zawiódł na całej linii. Nie może dać wygrać Gilbertowi tak, by ten się nie zorientował. Poza tym są pewni ludzie, którzy po prostu nie mogą wygrać, zawsze znajdą sposób, aby obstawić nie tak. Zawsze uczciwie zapracują na swoją całkowitą klęskę.

Co gorsza, założenia leżące u podstaw drugiego planu zaczynały poważnie się chwiać. Pozostawała jedna, jedyna, jakże nikła szansa – ograć przeciwnika tak, aby go upokorzyć i złamać psychicznie. Gilbert przekroczył już dziś cienką czerwoną linię między rozwagą i szaleństwem. Jego świat w tym dniu rzucił się na niego i ugryzł boleśnie w zadek. Najpierw ta wredna dziwka, co to nie chciała dać i narobiła wrzasku, teraz ten tłusty sukinsyn, co do którego miał przecież zupełnie inne plany. To wszystko miało być zupełnie inaczej!

Jason spod oka obserwował chłopaka. Spozstrzegł paznokcie obgryzione do krwi. Teraz trzeba wygrywać, powiedział sobie. Przeciągać grę, wbijając od czasu do czasu szpilę, wygrywać konsekwentnie i bezlitośnie, nie dając Gilbertowi czasu na otrząśnięcie się. Skoncentrować się i nie odpuszczać ani jednego rzutu.

Skoncentrować się. Skończyły się żarty, aby pewnie wygrywać, potrzebował skupienia. Odetchnął powoli, głęboko. Po chwili przestał czuć na plecach oddech zaciekawionego karczmarza, wyciągającego szyję nad jego ramieniem, przestał słyszeć tubalny głos podchmielonego giermka, który, choć nikt go nie słuchał, opowiadał kolejną historię o swych pijackich, wojennych czy dziwkarskich przewagach. Pozostał tylko Jason i jego przeciwnik. Kości toczące się po stole. I szarobiały kot na belce. Kot, który zwyczajem kotów nie wadził nikomu, choć, sądząc z wieku i aparycji, miał równie bogaty życiorys, jak przechwalający się głośno giermek. Kot, gdy musi, staje do walki, ale w przeciwieństwie do ludzi nie uważa za stosowne zanudzania kogokolwiek opowiadaniem o niej. Cóż, kwestia smaku.

Zbliżał się najbardziej niebezpieczny moment gry. Całe srebro z sakiewki Gilberta leżało już przed Jasonem. Panicz, któremu ręce trzęsły się coraz bardziej, stawił teraz monety wyjmowane po jednej z mieszka, który niechętnie, dopiero po dwukrotnym powtórzeniu rozkazu, wyciągnął z zanadru Kiciak. Giermek po tej operacji stracił humor, przestał mleć ozorem i tylko postukiwał w stół trzymany w brudnej garści obgryzionym gnatem. Spoglądał z urazą na swego pana. Widać młody panicz nie jest zbyt skrupulatny w oddawaniu długów, skonstatował Jason.

Pora przykręcić śrubę. Po każdym wygranym rzucie Jason zaczął rzucać Gilbertowi złośliwe uśmieszki. Gilbert skończył obgryzać paznokcie, zabrał się za palce. Jason pozwolił sobie na chwilę przerwy. Rozejrzył się. Zobaczył, że giermek bezwiednie się uśmiecha, paskudnym, złośliwym uśmiechem. Widać żal po stracie pieniędzy stłumił nieco wpojona lojalność.

Spostrzegł to także Gilbert. Zatkąło go na chwilę.

–Kiciak, kurwa... – wrzasnął. Głos załamał się. – Przestań walić w ten stół, ja tu próbuję grać!

Giermek zastygł z przyklepionym do twarzy uśmieszkiem, z uniesioną nad stołem kością. Chwilę trwał w bezruchu, po czym cisnął gnatem w siedzącego na belce kota, chybiając o dwa, trzy cale. Wielki mordziasty bydlak nie raczył nawet drgnąć. Zdenerwowało to giermka, który schylił się i zaczął gwałtownie macać w brudnej słomie pod stołem. Widać z powodzeniem, bo za chwilę wychylił się spod stołu, wściekle potrząsając kością, która, sądząc z rozmiarów, pochodziła z udźca nieźle wyrosniętego smoka. Zamachnął się. Potworny gnatał zawirował w gęstym powietrzu, z hałasem poszybował w kierunku kocura. Wielki, mordziasty bydlak ocenił spod przymkniętych powiek tor pocisku, błyskawicznie zamienił się w długą futrzastą sprężynę, która nie wiedzieć kiedy zniknęła z belki. Gnatał przeleciał nad wygrzanym miejscem i walnął w przeciwległą ścianę z hukiem, od którego zatrzęsała się cała karczma. Na siedzących przy stole posypały się śmieci.

–Kurwa... – powiedział z żalem giermek i usiadł. Już bez złośliwego uśmiechu.

Gilbert uparcie grzebał w sakiewce. Nie dogrzebał się już niczego, i na jego twarzy po raz pierwszy pojawił się płaczliwy grymas. Spróbował jeszcze wyrzucić sakiewkę na drugą stronę, co nie dało żadnych pozytywnych rezultatów. To znaczy, tylko częściowo – sakiewka dała się wyrzucić dość łatwo, lecz nadal pozostała pusta, z obu stron. Chłopak zacisnął bezradnie pięści.

Chwila prawdy, pomyślał Jason. Teraz albo wyciągnie miecz, albo postawi konie... Najpierw konia giermka. Jason prawą ręką masował sobie powoli kark.

Nie był to wbrew pozorom nerwowy gest ani próba przywrócenia krążenia w zdrętwiałej szyi. To było ostatnie ubezpieczenie, ostatnia linia obrony. Na karku Jasona, pod kołnierzem, przymocowana była skórzana pochwa kryjąca pięć niewielkich noży. Właściwie nawet nie noży, a samych ostrzy w kształcie wydłużonego liścia lub grotu włóczni, zakończonych krótkim, żelaznym trzonkiem dla uchwytu. Krawędzie były tępe, by nie pokaleczyć trzymającej nożyk dłoni, ale czubki ostre jak igły. Szczelina w połowie ostrza zalana ołowiem służyła lepszemu

wyważeniu. Chwycone za trzonek i rzucone wprawna ręką ostrze z trzech, czterech łokci przebijało półcalową deskę. To wystarczało – stoły do gry w kości rzadko bywają szersze niż trzy, cztery łokcie. Pozornie uniesione w bezradnym geście ręce mogły w jednej chwili porazić przeciwnika.

Już na początku swej kariery szulera Jason odczuł potrzebę posiadania dodatkowego argumentu. A raczej ostatecznego. Gdy jego koleżka Bili, chuderlawy chłopczyzna, zwany Wypierdkiem, wykonał ostatni w grze rzut, używając nie kości, lecz kamienia, który akurat nawinął mu się pod rękę, Jason nie zdążył się nawet uchylić. Za jednym zamachem stracił wygraną – poważną, zdechły kot, całkiem świeży, to nie w kij dmuchał, sama skórka warta pensa! – kawałek zęba i przyjaciela. Z tej lekcji wypływał jeden nieodparty wniosek, nawet najbardziej niepozorny i godny lekceważenia przeciwnik może w przyływie desperacji zmienić reguły gry. Przez pewien czas Jason nie siadał do gry bez sękatej pały na podporządku. Nie było to jednak optymalne rozwiązanie, widok pały sprawiał, że miał coraz większe trudności w doborze partnerów. Potrzebował czegoś mniej rzucającego się w oczy, a o porównywalnej lub większej sile rażenia. Jason był przewidujący, w sporach z rówieśnikami wystarczyło ogłuszyć przeciwnika, ale przecież jego ambicje nie kończyły się na rozgrywkach o zdechłe koty, nawet całkiem świeże.

Rozwiązanie problemu przyszło z całkiem niespodziewanej strony. Ojciec, gdy był trochę niedopity, lubił snuć opowieści o dalekich krajach, w których jakoby w młodości bywał i dziwach, które tam zobaczył. Jason nie dałby złamanego pensa za ich prawdziwość, zwłaszcza, że ojciec nie miał dobrej pamięci i rzadko opowiadał tę samą historię dwa razy tak samo. Zaś w miarę pochłanianego piwa szybko tracił wątek i nigdy nie kończył swego bajania. A opowieści pozbawione puenty nie miały żadnego wzięcia...

Gdy pewnego razu stary, kiwając się na zydlu, zaczął wyjątkowo niewiarygodną i kretyńską opowieść o wojownikach nocy, ukrywających swe długie miecze w podróźnych kosturach i zabijających przeciwników niechybnie ciskanymi ostrymi, metalowymi gwiazdami, Jason nawet nie udawał, że słucha. Porąbało się starymu do końca, pomyślał z rozbawieniem, zaraz powie, że w nocy byli niewidzialni i gołymi rękoma rozbijali mury. Opowiedział by raz coś wiarygodnego, na przykład o błędnych rycerzach zabijających smoki, po co zaraz tak zmyślać. I tak już wszyscy się śmieją z tych bzdur. Gdy stary wdał się jednak w szczegóły, zaczął słuchać uważniej. Tak, małe nożyki do rzucania, ukryte pod odzieniem! To było to, czego Jason szukał. Zamienił się w słuch w nadziei na dokładniejszy opis, ale ojciec właśnie kończył ten jeden kufel za dużo. Ostatnią bełkotliwą kwestią, jaką wygłosił, było zdanie o Maggie, co ma cyce jak donice... Dalszy monolog przerwała dość gwałtownie matka, przy użyciu mokrej ścierki. Maggie, żona wójta z sąsiedniej wsi miała ustaloną reputację. I rzeczywiście imponujące cycki.

Nazajutrz Jason usiłował podpytać ojca o tajemniczych wojowników. Stary jednak,

jak zawsze po przepiciu zgaszony i przemykający się ukradkiem, bąknął niechętnie, że słyszał coś od kupców jedwabnych, powracających z kraju za wielkim murem, gdzie żółci ludzie mają skośne oczy, a psy dupami szczekają... I to było wszystko. Jason był zniechęcony. Wszystko było ewidentnym wymysłem starego pijaczyny. W te psy można jeszcze od biedy uwierzyć, ale

mur otaczający cały kraj? Żółci ludzie? Czarni, zgoda, widział kiedyś takiego cudaka z trupą wędrownych kuglarzy w mieście, ale żółci?

Żółci czy nie, opowieść może bzdurna, ale sam pomysł całkiem niezły, uznał jednak Jason po zastanowieniu. Obeznany nieco z płatnerskim rzemiosłem, poświęcił następne miesiące na próby. Rezultatem była pochwa z pięcioma ostrzami o kształcie i rozmiarach będących wynikiem długich doświadczeń. Przez następne lata sztuka szybkiego, niepostrzeżonego dobywania i rzucania nożyków stała się jedyną sztuką, której doskonalenia nigdy nie zaniedbywał, pomimo wrodzonego lenistwa.

Po latach musiał oddać sprawiedliwość zapijaczonemu blagierowi, swemu ojcu. Po raz pierwszy, gdy splukany do samych gaci najemny żołdak osuwał się powoli z ławy, śmiesznie zezując na tkwiący pomiędzy oczami trzonek ostrza, a z martwiejących palców wysuwał mu się zdradliwy sztylet. Po raz drugi, gdy w porcie Smyrna zobaczył małego, niepozornego człowieczka o skośnych oczach, który zabawiał gawieź łamaniem calowych desek i rozbijaniem cegieł gołą ręką. I tylko wszystkie psy, jakie w życiu napotkał, szczekały właściwym końcem...

...Jeszcze nie tym razem. Gilbert nie zerwał się jeszcze z ławy, zaciśnięte pięści rozluźniły się. Jason odetchnął ze szczerą ulgą. Ciężko byłoby. Najgorszy ten giermek, siedzący z boku niewygodnie. Trzej zbrojni. Pięciu ludzi, pięć ostrzy. Szansę niewielkie. A nawet, jeżeli jakimś cudem udałoby się powalić wszystkich, to przecież syn hrabiego to nie jakiś włóczęga, o którego się nikt nie upomni. Pozostają świadkowie. O ile zechcieliby pozostać tylko świadkami, a nie na przykład ubić na miejscu. Zaś jeśliby przeżył, oznaczałoby to tylko bezlitosny pościg i bardzo prawdopodobną zemstę.

Jednak mimo wszystko wiedział, że w razie potrzeby podejmie nawet najbardziej bezsensowną walkę, nie da się zaszlachtować jak bezbronne bydło.

Cisza przedłużała się. Gilbert patrzył tępym wzrokiem na przeniecioną sakiewkę. Cisza. Jeszcze nie jest gotów, pomyślał Jason, jeszcze się waha, jeszcze rozbicie mojego łba wydaje mu się równie dobrym rozwiązaniem, jak próba postawienia wszystko na ostatni rzut i nadzieja odegrania się. Trzeba mu pomóc...

–Czyżby znudziła cię nasza niewinna rozrywka, panie? – zapytał z wystudiowaną, nieszczerą troską.

Panicz podniósł głowę i wpatrywał się szklistym wzrokiem w Jasona, jakby nie docierało do niego to, co słyszał. Jason przycisnął mocniej:

–Fortuna ci nie sprzyja, panie – zarechotał z udanym współczuciem. – Cóż, ja nie mam

powodu, by narzekać... Raz się wygra, a raz...

Zaczął zgarniać srebro ze stołu. Gilbert rzucił się i przycisnął jego rękę do desek.

–Jeszcze nie skończyliśmy... – zasyczał cicho – jeszcze nie...

Zbliżył twarz do twarzy Jasona. Kwaśno dysząc mu w twarz wypitym winem, wyszeptał:

–Stawiam mojego konia. Przeciwno wszystkiemu. Ostatni rzut.

Jason rzucał pierwszy. Ledwie toczące się po deskach kości znieruchomiały, panicz zastygł w dzikim grymasie twarzą zgarnął je ze stołu. Potrząsnął. Raz, drugi. Już, już miał je wyrzucić z dłoni, gdy zamarł. Gestem nieszczęsnego dyletanta uniósł zaciśniętą pięść do ust i chuchnął. Szybkim ruchem nadgarstka rzucił kości na stół.

Przegrał.

Zerwał się, przewracając ławę. Dłoń bezradnie macała przy boku, szukając rękojeści miecza, który wprzód odpiął wraz z pasem i rzucił na ławę. To ostatecznie przeważało. Chłopak zapadł się w siebie, ramiona opadły mu bezwładnie. Rozplakał się.

Ciepła fala ulgi spłynęła na Jasona. Gilbert nie tylko nie umiał grać, nie potrafił też przegrać w dobrym stylu. Jason opuścił wzniesione nad karkiem ręce. Teraz trzeba gówniarza ugłaskać, pocieszyć i spróbować przegrać do niego tego pieprzonego konia. I może trochę pieniędzy. Spostrzegł, że nogi trzęsą mu się pod stołem. W czasie rozgrywki nie zdawał sobie sprawy ze straszliwego napięcia, ale teraz przyszła reakcja. W końcu stawka była wysoka, jak nigdy chyba dotąd. Coś trzeba wymyślić, ale to za chwilę, nie teraz, teraz trzeba przepłukać gardło... Choćby tym paskudnym piwem. Rozejrzał się. Gilbert siadł już, kryjąc twarz w dłoniach. Jego plecami, chudymi, jak zauważył ze zdziwieniem Jason, wstrząsały wciąż spazmy. Zbrojni wpatrywali się w palenisko, udając, że dostrzegają w nim coś niezmiernie interesującego. Giermek... Gdzie podział się ten pier...

Zanim Jason z rozmachem uderzył twarzą w nieheblowane deski stołu, w gasnącym czerwonym rozbłysku zrozumiał, gdzie podział się giermek. Pokłady smocznych gnatów pod stołem były widać niewyczerpane i Kiciak nie miał trudności ze znalezieniem odpowiedniego.

Powrót do przytomności był procesem trudnym i bolesnym. Świadomość wracała i odpływała, wszystko wirowało w mętnej, szarej mgle. Rozpaczliwie czepiał się tych przebłysków, usiłując wydobyć z mroku, nie wiedząc, kim ani gdzie jest. Powoli wracała doń świadomość własnego ciała, napływała bólem ściskającym skronie, palącymi ukłuciami w bok. Ból, acz dotkliwy, pomagał chwytać strzępiące się myśli. Spróbował poruszyć się. Paląca fala przetoczyła się przez całe ciało. Zwiotczał gwałtownie, a po chwili spróbował czegoś łatwiejszego. Na przykład otwarcia oczu. Nie mógł. Panika wyzwoliła następny przyływ bólu. Znieruchomiał.

Poczuł zimny dotyk i wilgoć spływającą po policzkach. Ktoś przemywał mu twarz. Starając się ignorować ból, powoli, z wysiłkiem uniósł rękę. Z trudem przesunął po czole, oczodołach. Namacał twardą, zeschniętą skorupę. Nie jestem ślepy, pomyślał, nie mając nawet siły na ulgę. To tylko krew, zlepiła powieki...

Niezbyt delikatne zabiegi przy twarzy zaczynały przynosić rezultat. Mógł już uchylić powieki jednego oka, co niezwłocznie uczynił. I zaraz je zamknął. Światło wbiło się w czaszkę jak sztylet i eksplodowało jaskrawo.

–Spokojnie... – usłyszał – nie spiesz się tak, człowiecze...

Posłuchał dobrej rady. Leżał spokojnie, czując jak mokra szmata zdiera rozmiękłe strupy z twarzy. Zapieкло rozcięte głęboko czoło. Ten drobny ból dodany do ogólnej sumy dolegliwości nie zrobił na nim większego wrażenia.

–No, gotowe – powiedział znajomy, niski głos. – Możesz otworzyć oczy, tylko ostrożnie.

Jason usłuchał. Przezornie przesłaniając oczy dłonią, uchylił powieki, spróbował unieść

głowę i usiąść. Przywołany do porządku nagłym łupnięciem wewnątrz czaszki, uderzył potylicą o polepę i na razie poprzestał na zastanawianiu się, gdzie może być i co tu tak naprawdę robi. Nie było to łatwe, bo myśli rwały się jak zetlane płótno. Karczma... szczurowaty kurdupel... kocur na belce... Powoli, z wielkim trudem składał wszystko do kupy. Gilbert... zwalisty giermek... ostatni rzut o wszystko... Wiedział już i nagły poryw lęku zmusił go do dźwignięcia głowy. Z takim samym skutkiem, jak poprzednie. Poprzez huczące w głowie dzwony dosłyszał:

–Mówiłem, otworzyć oczy, a nie siadać, dupku.

No proszę, awansowałem na dupka, pomyślał Jason niewesoło. Poniekąd słusznie. Wbrew radom spróbował ponownie. Zapewne znów by się nie udało, ale tym razem karczmarz pomógł mu się unieść. Jason siadł chwiejnie w zmierzwionej słomie, przezornie nie otwierając oczu. Nie miał na to czasu, klucie w żebrach i kołatanie w czaszce pochłaniało go chwilowo bez reszty. Kiwał się bezradnie, miotany falami

bólu. Szczurowaty chwycił go za ramiona i oparł o ścianę. Tak było trochę lepiej.

Uchylił ostrożnie powieki. W głowie zahuczało, ale po chwili ujrzał przed sobą trzech karczmarzy. Coś nie tak. Mozolnie skupił wzrok. Karczmarze poczęli nakładać się na siebie, aż pozostał tylko jeden. Ten środkowy.

–Jak... – chciał zapytać, ale z gardła wydobyło się tylko niezrozumiałe skrzeczenie.

Zakaszłał. W żebrach znów zakłuło.

Karczmarz przytrzymał mu głowę i podsunął do ust gliniany kubek. Jason zaczął pić, krztusząc się raz po raz. Miał problemy z oddychaniem przez nos. Gdy karczmarz odsunął kubek, uniósł rękę i z niedowierzaniem dotknął czegoś w rodzaju dorodnej rzepy, wyrastającej ze środka twarzy. Tam, gdzie u innych ludzi, a i przedtem u niego, zwykł znajdować się nos.

–Jak długo... – spytał zgrzytliwie, lecz zrozumiale.

–Długo. Już dzień. Całą noc bez ducha przeleżałeś. Jason ponownie pomacał dorodną rzepę.

–A tak – powiedział szczurowaty, szczerząc się złośliwie. – Też złamany.

Coś w tym uśmiechu było nie tak, mętnie skonstatował Jason. Pozbierał z wysiłkiem wzrok do kupy. Po chwili wiedział. Szczurowatemu pozostał tylko jeden siekacz. Ten nadłamany. Karczmarz pochwycił jego spojrzenie. Chuda twarz ściągnęła się.

–Tak, kurwa – wycedził wolno – przez ciebie... Nie tylko to...

Zamilkł. Po chwili podjął, cicho i jakoś bezradnie:

–Jak dostałeś w łeb, panicz zaraz przestał płakać. Wściekł się. Myślał, że nie żyjesz, zresztą, wyglądało zrazu, że się nie myli. Tyle juchy wypłynęło z twojego nocha. Panicz dał

giermkowi w pysk, krzyczał, że to on powinien ci urwać łeb przy samej dupie... Giermek

próbował tłumaczyć, ale panicz wściekł się jeszcze bardziej... Biegał po izbie. Nie zdążyłem

odskoczyć, walnął w pysk... Cóż, zwyczajny jestem, wywinąłem się i w ką. Zęba po drodze

wyplułem. Nie gonił mnie, niestety... Odwrócił się i wpadł prosto na Mary...

Głos załamał mu się. Na chudej twarzy malował się ból.

–Wpadł prosto na Mary. Głupia dziewczka, nie uciekła zawczasu... Tak bez niczego, bez

racji uderzył ją w twarz... Rękojeścią... Ładna nigdy nie była, a teraz... Córka moja...

Zgarbionymi plecami wstrząsnął szloch. Po chwili karczmarz przetarł oczy i mówił dalej:

–Na szczęście zacząłeś się ruszać. Wtedy zajęli się tobą. Skopali cię obaj, z giermkim.

Kiedy chcieli cię dobić, stary James, wiesz, ten zbrojny, krzyknął, że nie uchodzi. To, że

jeszcze żyjesz, to tylko jego zasługa. Panicz sklął go, rzucił się z mieczem, ale James nie uląkł

się. Po prawdzie, on hrabiowski, nie panicza. A mir u hrabiego ma duży, trzydzieści lat będzie,

jak w służbie... Posłuchanie u hrabiego ma. Panicz wie, że gdyby hrabia dowiedział się, że

znowu do kości zasiadł, że wszystko przegrał, a ciebie potem usiekł, to... Pewnie nogi by mu z

dupy powyrywał i psom do zabawy rzucił. Bo łośkiego roku konia zacnego, bojowego panicz

w kości na jarmarku przegrał do szlachcica pewnego. A jak próbował siłą go odbierać, to tylko

ludzi wytracił. I honor, jak powiadał pan hrabia. A dla takich panów ludzie to furda, honor to

grunt...

Wysmarkał się hałaśliwie, krzywiąc się.

–Otrzeźwiło to panicza. Giermek radził wprawdzie, coby wszystkich wyrznać i karczmę

spalić, to i wstydu nijakiego nie będzie, bo się nie rozniesie, ale panicz już nie

słuchał.

Gotowało się w nim dalej, ale poniechał cię. Miotał się jeno po izbie i klął, tak, że aż mi

straszno było. Pochowali my się wszyscy, tylko kocur, jak krew poczuł, zawściekł się okrutnie.

Biegał po izbie, ba, żeby to po izbie. Po ścianach i powale biegał, nie uwierzycie, jako po

polepie. Syczał, parskął, z pazurami się rzucał. Próbowali go zarąbać, ale gdzie tam, na kota z

mieczem... Z kuszy jeno, a i to trudno. Wywijał się. Raz giermek w kął go zapędził, chwycił, a

rękawice kolcze miał... Tyle tego było, że kot pysk mu zorał, szkoda, że ślepiów nie wydrapał.

Wyrwał się zaraz i tyle go widzieli. Jemu jednemu się udało...

Szczurowaty zamilkł na chwilę. Spojrzał Jasonowi prosto w oczy.

–Czy możesz podać mi powód? – zapytał już spokojnie. – Choć jeden powód, dla jakiego

nie miałbym urznąć ci łba i zawieźć paniczowi w prezencie? Tylko jeden, więcej nie oczekuję...

Jason nie spuścił wzroku. Było mu wszystko jedno.

–Nie mogę – mruknął po prostu.

–Nie możesz – powtórzył powoli karczmarz. – Nie możesz... Skoro tak, to ja ci podam. Bo widzisz, szlachetny panie kupiec, z ciebie jest taki sam kupiec, jak ze mnie królewski szeryf. Bo

jesteś taki sam oszust, złodziej i skurwysyn, jak ja. Nie obrażaj się, widziałem jak grasz. Widziałem twoją sakiewkę, równie prawdziwą jak ty. Widziałem, co masz za kołnierzem...

–Nie obrażam się... – powiedział Jason z trudem. Palił go wstyd. Nie dlatego, że karczmarz go przejrzał. Z powodu tego, co ściągnął mu na głowę.

–Nie obrażasz się... To dobrze, bo gdyby było inaczej, może jednak urznąłbym twój

głupi łeb. A jeśli nie urznę, to wiesz dlaczego? Nie, nie przez jakąś pieprzoną solidarność, niech ci się nie wydaje. Takie sukinsyny jak my nie mają żadnych zasad. Nie urznę ci łba tylko dlatego, że nie mam w tym żadnego interesu. Bo twoje pieniądze i tak zabrał Kiciak. Nie masz nic, dla czego warto by cię ukatrupić. Ja nie zabijam dla zabawy, tym się różnię od miłościwego panicza...

Zamilkł i tylko fukał gniewnie.

–Teraz spróbuj się pozbierać i wynoś się stąd. Panicz ochłonie i wróci tu niebawem. Wróci

na pewno. Kto wie, co robi, może zabije tylko ciebie. A może nas wszystkich i karczmę spali.

Wynoś się czym prędzej. Dość już narobiłeś złego...

Jason spróbował wstać. Z trudem, ale o dziwo udało się. Z lekka tylko zamroczyło.

Chwiejnie, trzymając się ściany ruszył do drzwi. Po trzech krokach nogi się pod nim ugięły, opadł na kolana. I zwymiotował. Nie bardzo miał czym, więc uporczywe skurcze niemalże wyrzuciły mu żołądek przez gardło.

–Zaczekaj! – zawołał za nim karczmarz. – Nie tak ostro. Usiądź na ławie, oprzytomniej

trochę. Inaczej na koniu nie usiedzisz, a teraz całą izbę mi zarzygasz...

Obrzucił wzrokiem zagrożone pomieszczenie.

–Po prawdzie, niewiele to zaszkodzi... – dodał samokrytycznie.

Gdy Jason wyszedł przed karczmę, mógł już zrobić kilka kroków bez zataczania się. Zrywał się wiatr, z niskich chmur zaczynał sypać rzadki, mokry śnieg. Jason podszedł powoli do swego konia, trzymanego za uzdę przez karczmarza. Bez słowa, przeklinając z bólu w myślach, wgramolił się z trudem na siodło. Karczmarz podał mu kord i sakwę. Z tyłu, w otwartych drzwiach dostrzegł dziewczynę z twarzą obwiązaną brudną, zakrwawioną szmatą. Zakłuło go ze wstydu. Nie wiedział, co zrobić. W końcu nie zrobił nic.

–Jeszcze jedno – dobiegi go głos szczurowatego. – Na twoim miejscu nie jechałbym gościńcem. Panicz może tam na ciebie czekać. Wprawdzie w taki ziąb... – wstrząsnął się. – Ale

panicz zajadły. Jedź przez las, droga wprawdzie dalsza, a las, mówią, przeklęty,

upiory tam

podobno krążą, zwierza okrutnego dużo... Dla ciebie jednak i upiór lepszy od panicza.

Jason zastanowił się. Rozsądna propozycja. Bał się wprawdzie lasu, bał się zabłądzić, ale w obecnej sytuacji... Nawet upiory mniej straszne. Kiwnął głową.

–Masz rację – powiedział. – I... dziękuję...

–Za co? – wybuchnął oszust, złodziej i skurwysyn. – Za co?! Za to, że ci gębę otarł? Za to, że drogę wskazał? Zwyczajna to rzecz...

–Nie za to. Za to, żeś nie uznał konia, kordu i sakwy za wartych mojego łba. Bo tylko interes się liczy, zasad przecie żadnych nie ma między nami skurwysynami...

Karczmarz długo milczał. Bo i cóż było mówić.

–Jedź już – rzekł wreszcie cicho. Odwrócił się i nie oglądając się, zamknął za sobą koślawe

drzwi, zawieszane z braku zawiasów na skórkach od słoniny.

Jason popędził konia. Na belce pod okapem siedział białoszary kocur, śledząc go nieruchomym spojrzeniem żółtych ślepiów. Uśmiechał się wewnętrznie, jak to koty mają we zwyczaju – za wyjątkiem słynnych kotów z Cheshire, które jak wiadomo śmieją się pełną gębą – wspominając krew tryskającą pod pazurami z twarzy paskudnego giermka. Kota bowiem skrzywdzić łatwo, wystarczy przerwać mu spokojną drzemkę czy też polać wodą. Brrr... Kot wzdrygnął się na samą myśl o tak niecnym i bezsensownym czynie. Tak, kota skrzywdzić łatwo... Ale kot pamięta. Długo pamięta.

Jason gnał wąskim, leśnym traktem, popędzając konia tyle, na ile pozwalały połamane żebra, dokuczające przy każdym wstrząsie. Po kilku próbach zmuszenia konia do galopu zrezygnował i poprzestał na wolniejszym, lecz powodującym dużo mniej bolesnych podskoków klusie. Zimny wiatr, spotęgowany pędem konia i zacinający mokry śnieg, przemieszany z deszczem, otrzeźwiły go nieco. Mógł już jaśniej myśleć. Wiatr i śnieg chłodziły też porozbijaną twarz, tłumiąc tępy ból promieniujący od zatok i złamanego nosa, ściskający mózg jak orzech w imadle. Tylko te żebra, przypominające o sobie z denerwującą regularnością przy każdym podskoku.

Przestały go już nachodzić ataki podwójnego widzenia, powodujące zawroty głowy i trudności z utrzymaniem się w siodle. Do Jasona zaczęły docierać szczegóły otoczenia, widok wąskiego traktu biegnącego ponurym, podmokłym grądem. Rzecz jasna Jason nie wiedział, że jest to akurat grąd. Jego naturalnym środowiskiem były zadymione karczmy i gwarne jarmarki, zamkowe dziedzińce i, rzadziej wprawdzie, zamkowe komnaty. Na zapluty, śmierdzących uliczkach, z rynsztokami pełnymi wylewanych z okien nieczystości, czuł się jak w domu. Kochał gwar i jazgot miast, nie straszne były mu cienie przemykających się po zmroku, w zakazanych zaułkach, rabusiów i rzezimieszków. W podróży wybierał trakty wiodące przez pola i poprzecinane kamiennymi murkami pastwiska, nakrapiane tu i ówdzie jasnymi plamami pasących się owiec, unikając, gdy tylko mógł traktów wiodących przez lasy. A wtedy, gdy musiał, starał się wybierać możliwie szerokie i uczęszczane gościńce, przedkładając ewentualne spotkanie z bandą grasantów nad watahę wilków.

Teraz, gdy mijało napięcie, patrząc na kołysane wiatrem pod niskimi, ołowianymi chmurami konary, zaczynał się bać. Dzień wstawał późny, mroczny, będący krótką przerwą marnego światła przed długim mrokiem. Zacinający śnieg zalepiał oczy, powodując, że każdy jałowiec w polu widzenia jawił się jako przyczajony zwierz. Gdziekolwiek wiekowe świerki wyciągały swe obwisłe, czarne łapy nad ścieżkę jak mroczne olbrzymy, pragnące schwytać i konia, i jeźdźca. W tym lęku Jason zapomniał, wiele to mil miało być tą leśną drogą do Nottingham. Drogą, przez ponury, pełen rzeczywistych i wyimaginowanych zagrożeń las -przeklętą przez Boga i ludzi puszcę Sherwood. Przez puszcę, która jak wiadomo, pełna była prócz dzikiego zwierzaka także nieludzkich i niezwierzęcych potworów, niespotykanych już

gdzie indziej, poza dzikimi i niezbadanymi krańcami wyspy. Przez puszcę, gdzie po osławionej, krwawej rebelii łatwiej ponoć spotkać upiora spoglądającego krwawymi, pustymi oczodołami spod okapu zardzewiałego hełmu, niż swojskiego borsuka czy wiewiórkę. Gdzie w tajemniczych wykrotach czają się wampiry i sysuny, wyruszające nocą do leśnych wiosek na swe koszarne łowy. Gdzie ścieżkę przed podróżnym przebiegały niekształtne postaci gnomów i koboldów. Gdzie wreszcie myśliwi

wyruszający na polowanie w upalne lata nie wracali już nigdy, a czasem tylko znajdowano ich wiszące na drzewach, wprawnie oskórowane i oprawione zwłoki.

Jason przeklinał w myślach wszystkie te chwile, gdy słuchał bają wiejskich dziadów i wędrownych minstrelów o wszystkich okropnościach puszczy Sherwood. Wtedy wydawały się zabawne i ciekawe, wtedy, gdy siedział w bezpiecznej karczmie czy komnacie, otoczony ludźmi. Z zainteresowaniem słuchał o wszystkich szczegółach, a im były okropniejsze i przeraźliwsze, tym lepiej się bawił. Tu i teraz, na wąskiej, ciemnej ścieżce pomiędzy bezlistnymi drzewami, pikantne szczegóły gwałtownie straciły swój cały urok. Jason usiłował myśleć o czymś przyjemnym, mozolnie przywołując z pamięci fragmenty uczt, wesołych jarmarków, widok i dotyk obfitych biustów, smak pocałunków... Daremnie. Przed oczyma stawały wciąż wyciągnięte gdzieś z pokładów podświadomości, dawno zapomniane, zdawałoby się, strzępy straszliwych historii. Jego żywa wyobraźnia była w tym momencie największym wrogiem, ubierając dawno zasłyszane słowa w wyraziste obrazy. Próbował pomyśleć o tym, jak już niebawem, po szczęśliwym przybyciu do miasta wejdzie do ciepłej, wypełnionej swojskim tłumem oberży, wyciągnie się na sianie na stajennym stryszku... Też na nic.

Przez drogę przebiegł oszroniony dzik, nie zwracając uwagi najeźdźca, podążając w sobie tylko wiadomym kierunku. Jason z przerażenia zdarł gwałtownie wodze, spinając chrapiącego konia. O mało nie przeleciał przez końską szyję. Łomoczące serce skoczyło mu do gardła. Brutalnie wstrzymany koń tańczył po ścieżce, miotając przerażonym, obolałym jeźdźcem o nisko zwisające gałęzie wiązów.

Dopiero po dłuższej chwili Jasonowi udało się uspokoić najpierw rozszalałe serce, a potem tańczącego konia. Gdy serce zdecydowało się powrócić z gardła na zwykle zajmowane miejsce, a koń stanął wreszcie spokojnie, oddalając groźbę wybicia oczu przez bezlistne gałęzie, do Jasona dotarło, że dzik poszedł spokojnie swoją drogą. Że nie rzucił się na niego ze skowytem, czy jaki tam dźwięk wydawać zwykły szarżujące odyńce. Że jeśli nie zapanuje nad sobą, to prędzej rozwali sobie łeb o pierwszy z brzegu pień, niż dojedzie szczęśliwie do miasta.

Uderzył konia piętami i, wciąż jeszcze rozdygotany, ruszył wolno dalej. O mało nie popuściłem w gacie, przyznał w myśli. Ponaglił konia.

Las wokół zmieniał się. Z podmokłych łąk wjechał w wyższe partie, porośnięte głównie wysokimi, ciemnymi, prostymi świerkami. Ścieżka pomroczyła jeszcze bardziej. Patrząc w ciemne otchłanie pod nawisami zwieszonych gałęzi, Jason nie był wcale

zachwycony tą odmianą. Na dodatek śnieg z deszczem wyraźnie zgęstniał. Na ścieżce osłoniętej wysokimi drzewami nie zacinął już wprawdzie prosto w oczy, ale ograniczał widoczność do kilkudziesięciu kroków. Rozsądne byłoby zwolnić, ale

Jasona znów zaczęły szarpać napływające fale paniki. Zdawało mu się, że spod ciemnych nawisów gałęzi śledzą go łakome, błyszczące oczy. Przez szum drzew zdawał się dochodzić odgłos tętentu czy też ciężkich, łamiących poszycie kroków... z tyłu... z boków... Kark począł drętwieć od ciągłego spoglądania przez jedno czy drugie ramię. Bez sensu, bo na tych kilkudziesięciu krokach wąskiej ścieżki, które widział, zanim gęstniejąca kurtyna wirujących płatków i mroku przesłaniała resztę, niczego, ale to niczego nie było. Nic nie skradało się, podchodząc coraz bliżej, nie otaczały go żadne hordy widmowych postaci. No tak, ale dalej, w mroku...

Zupełnie nie w porę Jason przypomniał sobie, że niektóre z krwiożerczych stworów miały ponoć niemiły zwyczaj siadywania na drzewach i stamtąd rzucania się prosto na karki zaskoczonych podróżnych. Wprawdzie nie przypominał sobie nazwy i innych zwyczajów owych stworów – co robią, gdy już spadną na kark? Od razu przegryzają? Czy może tylko zasłaniają oczy zimnymi, kościstymi dłońmi i chichoczą złośliwie? – ale natychmiast, w przerwach między oglądaniem się za siebie, zaczął zadzierać głowę do góry. Tyle skorzystał, że śnieg nasypał mu się do oczu. Oślepiony, puścił wodze, koń puszczony luzem zwolnił kroku.

Gdy po długim przecieraniu oczu odzyskał wreszcie zdolność widzenia i spojrzał na drogę, kilkanaście kroków przed koniem zamajaczył na samym środku ścieżki przycupnięty, nieforemny kształt. Jason nawet nie schwycił puszczonych luzem wodzy. Nie mógł. Kształt ten bowiem wlepił w niego swe nieruchome, żółto świecące ślepia, wielkości mało oberżniętych dukatów. Koń wolno zbliżał się do owych ślepiów, a Jason mógł tylko kurczyć się w sobie, w nadziei, że potwór uzna go za zbyt mały, niewart zachodu kąsek.

Oczy zgasły nagle, stwór rozłożył wielkie skrzydła i bezszelestnie wzleciał.

Sowa, zwykły pieprzony puchacz, dotarło do Jasona po chwili. Był to chyba jedyny leśny stwór, którego zdolny był rozpoznać na pierwszy rzut oka. Wiele wina wypił w cieniu rozłożonych, zakurzonych skrzydeł wypchanego puchacza, umocowanego do ściany w jednym z ulubionych zajazdów. Wiele gier odbył, spoglądając w kunsztownie uczynione przez nieznanego artystę szklane ślepia. Stary borowy, dumny właściciel wielkiego fioletowego nochala, jak to zwykle bywa w tej profesji – od mrozu, rzecz jasna, od mrozu – zwykł przysiądać się do Jasona i snuć swe opowieści, dopóki nie dostał kubka wina na odczepnego. Jason przypomniał sobie jedną z nich, dotyczącą sowych obyczajów. Otóż niemożliwe jest, ale to zupełnie niemożliwe, aby człowiek pieszy lub konny mógł zobaczyć puchacza w lesie. Ten niesłychanie ostrożny i płochy ptak zawsze pierwszy usłyszy zbliżającego człowieka i odleci, zanim ten zbliży się na tyle, by go ujrzeć. A co dopiero ustrzelić. Wynikało z tego jasno, że wiszący na ścianie puchacz niechybnie zdechł ze starości.

Niesłychanie ostrożny i płochy ptak wylądował cicho na skraju ścieżki, skąd spokojnie obserwował mijającego go jeźdźca.

Jason poweselał nieco, zadowolony z pomyślnej identyfikacji potwora i pocieszony, że w ludzkim bajaniu niekoniecznie zawiera się jedyna i niepodważalna prawda. Nie pomyślał o jednym, o tym, że lepiej byłoby, gdyby sprawdziły się teorie borowego z fioletowym nochalem. Według innych rozpowszechnionych wierzeń ujrzanie sowy zwiastowało bowiem niechybne nieszczęście. Nie wiedzieć czemu, zazwyczaj się to sprawdzało...

Las zaczynał rzednąć, droga pojaśniała nieco. W dalekiej perspektywie, zmaconej padającym wciąż śniegiem, zaczął niewyraźnie dostrzegać coś, co mogło być polaną, porębą lub może nawet puszczańską wioską. Puszczańska wioska! Wreszcie jacyś ludzie, choćby i śmierdzące chłopstwo. Uderzył konia piętami.

Jason, pomimo wrodzonego sceptycyzmu, gdzieś w głębi umysłu wierzył w większość opowiadań o dziwnych potworach i ich zwyczajach. Wnosiło to nieco romantyzmu w szarą rzeczywistość, w której zagrożeniem byli na ogół całkiem zwyczajni ludzie. Pokazywano mu kiedyś w mieście człowieka, o którym opowiadano, że odważnie zszedł do lochu pod popadłym w ruinę miejskim domem i zarąbał straszliwego bazyliżka, który się tam nieopatrznie załagał. Sam spotkał kiedyś żołnierza, który zaskoczony na nocnej służbie przez wampira cudem wyrwał się z jego szponów. W pierwszym przypadku Jason wolałby, aby okazano mu bazyliżka jako takiego, ale bliźni żołnierza mówiły same za siebie. Złośliwi mawiali wprawdzie, że pochodzą od wideł, którymi zazdrosny mąż potraktował go, spotkawszy zamiast na miejskich murach – w ciepłej izbie, gdzie zamiast patrolować jak na służbistę przystało, grzał tyłek na ławie, umilając sobie czas obmacywaniem nadobnej gospodyni. Jason puszczał te plotki mimo uszu. Wampir był o wiele ciekawszy. Jego wiara w zjawiska nadprzyrodzone, wzmocniona wydatnie tymi niezbitymi dowodami, tym chętniej poszerzała się na inne, znane tylko ze słyszenia potwory. Tym chętniej, im potwór był bardziej potworny i przerażający.

Nieco sceptycznie podchodził tylko do opowieści o słynnych przeklętych polach.

O polach, na których z powodu nieznanego a strasznej klątwy wyginęło wszystko – drzewa, trawy, zboże, zwierzęta wszelaki i robale w ziemi. Nad którymi ptak, gdy nieopatrznie się tam zapuścił, spadał martwy jak kamień na ziemię. O polach, gdzie latem nie słyhać było nawet brzęczenia owadów, gdzie wszystko, co rosło czy żyło, zginęło w jednej chwili. I nic więcej, po wsze czasy nie wyrośnie. Co w tym straszniejszego, myślał kiedyś, w splachetku wyjąłowanej ziemi.

Śnieg przestał na chwilę padać. Jason mijał coraz rzadsze zarośla. Wreszcie wyjechał na otwartą przestrzeń. Rozejrzał się w poszukiwaniu wioskowych zabudowań. Potem mógł już tylko ścisnąć wodze zdrętwiałymi nagle dłońmi. I patrzeć.

Jechał właśnie skrajem takiego pola.

Trudno byłoby nazwać je splechotkami. Pod niskimi, pędzonymi wiatrem granatowymi, brzemiennymi mokrym śniegiem chmurami rozciągała się ogromna, pusta przestrzeń. Aż do niewyraźnej, sinej i zamglonej ściany lasu, daleko na horyzoncie. Wiało od niej szczególnym zimnem. I opuszczeniem. Pusta? Jason po chwili zaczął dostrzegać szczegóły. Szkielety drzew

rosnące rzędami wzdłuż czegoś, co kiedyś zapewne było miedzami. Zetlałe wspomnienia grusz, którymi nawet porywisty wiatr nie był w stanie poruszyć, gdyż wiatry poprzednich jesieni zdarły już i uniosły w dal gałązki i konary. Stały więc nagie, powykręcane pnie, nieporuszone w podmuchach wichury. Chałupy, z których pozostały jedynie rozwalające się zręby ścian pad zapadniętymi resztkami strzech. Szczerbate, kamienne ocembrowanie studni. I ziemia, szara, nie pokryta topniejącym śniegiem ziemia, z której ciepłe letnie wiatry dawno zwiały martwy humus, pozostawiając jałowy piach, przetykany spletanymi korzeniami dawno umarłych roślin. Walające się gdzieś tam zwierzęce kości, kruche i zetlałe jak wszystko dokoła. Wszystko szare, bez barw, powleczone jakby warstwą popiołu.

Droga wiodła skrajem strasznej pustaci. Jason już nie odczuwał lęku, jego umysł wyłączył się. Mógł już tylko patrzeć i rejestrować koszmarnie widoki, machinalnie uspokajając chrapiącego, rzucającego głową konia. Las stykający się z przeklętym polem też nie wyglądał zbyt pięknie. Jason mijał jałowce wielkości dorodnych dębów. Kątem oka dostrzegał pnie drzew, powykręcane w dziwaczne kształty, jakby w straszliwych męczarniach. Krwawe, wilgotne nacieki na korze, spuchnięte i pączkujące jak potworne grzyby. Minął truchło dorodnego jelenia, nienaruszone z zewnątrz przez drapieżniki, ale zapadłe w sobie płaskie, jakby jeleni pożarty został od środka...

Nie pamiętał, jak długo trwała ta koszmarna jazda. Co jeszcze odbiło się w szklistych, zmartwiałych oczach. Ocknął się dopiero w zwyczajnym, ciemnym i ponurym lesie, z radością witając jego groźną normalność. Nie oglądając się już za siebie, zmusił zmęczonego już konia do kłusa.

Pomylili się obaj, on i karczmarz... Nie docenili panicza Gilberta. Gdy Jason, ujechawszy następną milę, zaczynał wierzyć w szczęśliwe zakończenie niemiłej przygody, pod koniem załamały się przednie nogi. Zwykle tak bywa, gdy biegnący koń napotka na swej drodze nadlatujący z przeciwka bełt.

Usiłował wyszarpnąć nogi ze strzemion. Udało się. Zjedna. Pociągnięty za drugą przez padające w pędzie zwierzę zatoczył szeroki łuk i grzmotnął z rozmachem o ziemię. Ciemność.

Ocknął się z uczuciem, że coś przyciska mu pierś, powodując nieznośny ból połamanych żeber i trudności w oddychaniu. Że coś zimnego i ostrego styka się z gardłem. Że po rozgrzanym ucieczką ciele spływają lodowate, aż parzące krople.

Leżał na wznak, a młody panicz Gilbert stał nad nim, całym ciężarem opierając się na nodze wpartej w jego pierś. Z nic nie wyrażającą bladą twarzą gmerał z namysłem sztychem miecza przy gardle leżącego.

Na Jasona spłynęło ciepło ostatecznej rezygnacji. Już po wszystkim... Zrobiło się dziwnie lekko, jakby patrzył na wszystko z zewnątrz, gdzieś spoza własnego ciała. Jakby to nie on był głównym zainteresowanym.

Dokonało się, pomyślał z niezamierzonym patosem, koniec. Zaraz przyszpili mnie tym mieczem do ziemi jak karalucha do polepy. Ciekawe, jak to będzie... Swoją drogą sprytny gówniarz. Przewidział, którędy pojedę. Nie zawahał się zagłębić w tę przeklętą puszcę... No dalej, smarkaczu, kończ już... Taki jestem zmęczony...

Panicz ani myślał kończyć. Nie zależało mu na szybkiej egzekucji. Wpatrywał się uparcie w oczy Jasona, chcąc się upewnić, czy jest dostatecznie przytomny, czy rozumie...

–A tak! – powiedział cicho, ledwie słyszalnym przez szum wiatru w nagich gałęziach głosem – Myślałeś, żeś lepszy od Gilberta. Że możesz drwić z niego, ograć bezkarnie...

Przycisną mocniej miecz.

–Myślałeś, że wyjedziesz, ot tak, bez pożegnania – chełpił się dalej Gilbert. – A tymczasem Gilbert cierpliwy. Począł. A teraz cię troszkę naznaczy. Niedużo, na początek...

Odjął sztych miecza od gardła Jasona, przyłożył do policzka, powoli pociągnął.

–Troszkę naznaczy... Powoli, mamy czas... – dodał, wiercąc sztychem tuż pod kością jarzmową. Jason szarpnął się, z bólu pociemniało mu w oczach.

–Panie... – zaczął giermek zwijający zdartą z Jasona odzież w zgrabny tobolek. – Zmierzchać się wkrótce będzie, do kasztelu droga daleka...

–Spokojnie, Kiciak, zdążymy. Rzuć no te łachy i chodź tu na chwilę. Przytrzymaj.

Kiciak wzruszył ramionami, rzucił węzełek i stanął w rozkroku na rozrzuconych nadgarstkach leżącego. Jason mimo bólu dostrzegł pochyloną twarz, naznaczoną zaognionymi już, głębokimi szramami. Tak, po kocie długo się paskudzi. Tobie się przynajmniej udało, przyjacielu, wspomniał szarobiałego kocura.

Panicz powoli przeciągnął sztychem po drugim policzku. Jason zadrgał, ale zdusił

krzyk w gardle. Niedoczekanie, sukinsynu...

–A pokrzycz sobie, pokrzycz – powiedział Gilbert, zgadując jego myśli. – Pokrzycz sobie,

lżej będzie. Tu nikt nie usłyszy...

–Co, nie chcesz? – zdziwił się po długiej, wypełnionej bólem chwili. – Nie chcesz?

Pomożemy...

Odjął miecz, obrócił się nieco i przytknął sztych do krocza. Jason wbrew sobie wrzasnął.

–Tak lepiej, kochaneczka, tak lepiej... – usatysfakcjonowany Gilbert zdjął nogę z piersi

leżącego, wijącego się bezradnie człowieka. Odstąpił krok. Uniósł z namysłem miecz,

trzymany dotąd ostrzem do dołu.

Dobij, pomyślał Jason.

–Dobij wreszcie! – krzyknął już głośno.

Gilbert wzniósł miecz, szukając najwyraźniej właściwego miejsca do uderzenia. Giermek odskoczył, nie chcąc stracić przypadkiem jakiejś istotnej części ciała. Jason przymknął oczy i czekał... Czekał...

Nic się nie stało. Po raz ostatni pomylił się w ocenie panicza. Gilbert był większym sukinsynem, niż mu się z początku wydawało. A nawet większym, niż okazał się przed chwilą.

Gdy otworzył oczy, Gilbert siedział już na koniu, miecz spokojnie tkwił w pochwie u boku. Z wysokości konia panicz z ujmującym uśmiechem powiedział:

–Daruję cię zdrowiem. Zgrzałeś się, to i ostygniesz trochę... Ochłoniesz... A i czas będziesz miał, zastanowisz się nad sobą, nad tym, jaki z ciebie skurwysyn... Kiciak, zbieraj te łachy, ruszamy!

Spiął konia, i odjechali, nie zaszczycając leżącego już żadnym więcej spojrzeniem. A gdy padający śnieg z deszczem stłumił w oddali odgłos kopyt, Jason mimo bólu i niemocy wstał chwiejnie. I zaczął biec. Nie patrząc dokąd, przed siebie...

IV

I padł na kolana bł. Piotr, usłyszawszy iako człek ów nieszczęsny, poznaie rzeczy skryte, a prorokuie iako Saul od czarta porwany, a językiem przemawia o rzeczach wysokich. A odbieżali wszyscy, widząc, iż permittente Deo demon wstąpił w nieszczęsne ciało, ingres mając przez usta alboli per secessum.

Bł. Piotr nie uląkł się, ni opętanego nie poniechał, jeno remediów, od Kościoła Bożego wykoncypowanych iął imać się, duszę swą nieulęktą Bogu polecając. Tako też siedem dni i siedem nocy z mocą y perfidyą dyabelską się zmagał. I choć zwykle Mocy na to potrzeba starszych, alias Biskupa, to Energumenus, iako też od innych Daemoniacus zwany pocił się y zgrzytał, pomieszanie wielkie pokazując. Dowodzi to snadnie, iak wielką Łaską Pańską Bł. Piotr był obdarzon, tak w leciech niedoyrzały Exorcyzmy mocarne odprawując. Za co Bóg dobry zaszczytami go obsypał y śmiercią męczeńską na Swą chwałę żywota zbyć dozwolił.

Żywot bł. Piotra z Blyton. Biskupa Lincoln.

Mały leśny klasztorzek zdawał się drzemać pod roziskrzoną niskim słońcem pierzyną śniegu. W przejrzystym powietrzu nad przysypanymi strzechami ubogich zabudowań unosiły się prosto w niebo sine smugi dymu. Zabudowania były drewniane, na kształt prostych, chłopskich chat i stodół. Widać jednak, że okolica zasobna w drewno, gdyż niskie budynki miały ściany z grubych bali, nie zaś z plecionki obrzuconej gliną.

Jedyną kamienną budowlą była niewielka kaplica. Niska i przysadzista, zbudowana była nie z polnego kamienia, jak można by się spodziewać, lecz z ciętych wapiennych bloków, zwiezionych niegdyś z niemałym trudem do puszczy. Kaplica była uboga, jak reszta zabudowań, w wąskich oknach nie było nawet błon chroniących przed chłodem i deszczem.

Nic nie zakłócało ciszy i spokoju ciągnących się daleko pól, otoczonych zewsząd ścianami wysokiego boru. Mróz trzymał srogi, jak to w styczniu zwyczajnie, niewiele pracy o tej porze roku pozwalało mnichom bardziej przyłożyć się do modlitwy i medytacji, zaniedbywanej nieco podczas wytężonych prac w polu. Mróz nie pozwalał nawet na zwykłe zimowe zajęcia, jakim była wycinka lasu i wypalanie karczwy w zbożnym trudzie powiększania pól ku pożytkowi klasztoru i Bożej chwale. W taki mróz kruszyły się ostrza siekier, a i podcięte wpół drzewo

potrafiło zniecka pęknąć wzdłuż z donośnym trzaskiem, raniąc drwali, gdy nie zdążyli na czas odskoczyć. Nawet młody przeor, niechętny zazwyczaj lenistwu, uważając je za źródło wszelkich grzechów, z grzechem nieczystości i sodomii włącznie, nie zezwolił dziś mnichom na wyruszenie do lasu. Senny był ten dzień w małym, zasypanym śniegiem klasztoru, stanowiącym zaledwie leśną, samodzielną

komórkę wielkiego klasztoru w odległym o trzydzieści mil mieście.

Gdy prócz modlitw i codziennych zajęć, zajmujących wprawdzie niewielu wśród zamieszkujących klasztor mnichów, nie było innych prac dla wypełnienia krótkiego dnia i dłuższego znacznie, wczesnego wieczoru, pozostawały jeszcze kozy. Oczywiście chodziło o nic innego, jak oporządzanie i karmienie liczego stada kóz, hodowanych w klasztorku. Bo klasztor słynął na całą okolicę ze znakomitych, kozich serów.

Gdy mnich nie ma co robić, łatwy dostęp ma do niego diabeł. Młody przeor wierzył niezłomnie w tę zasadę i starał się jak mógł, by nie ułatwiać szatanowi roboty. Nie miał łatwego zadania. Jeszcze parę lat temu leśna komórka była zwyczajowym miejscem zsyłki wszelkich niepokornych i niezdyscyplinowanych z macierzystego klasztoru. Młodych, co zasypiali przy jutrzni i z nudów szeptali pomiędzy sobą podczas prymy. Wszystkich tych, którzy oddani do klasztoru jako ostatnie dziecko wielodzietnej rodziny buntowali się przeciwko wybranemu dla nich wbrew woli losowi. Po przybyciu do leśnego klasztorku zaczęli dziwnie prędko chwalić sobie wielce to miejsce odosobnienia. Bowiem dawny przeor, człek stary i schorowany, zupełnie nie potrafił poradzić sobie z tą zgrają wyrzutków. Mnisi, wbrew regule, odżywiali się głównie mięsem skłusowanych w królewskiej puszczy saren i jeleni, popijając warzonym na miejscu piwem. Na to piwo przeznaczano lwią część mizernych zbiorów jęczmienia, do klasztoru odsyłając mizerne resztki. Leżące odłogiem pola, w pocie czoła wyrwane puszczy przez poprzedników, porastały coraz wyższe brzoźki i olszyny, drzewa postępujące zwykle w forpoczcie lasu odzyskującego swe tereny. O nabożeństwach nawet nie warto wspominać, dobry Bóg niewielki miał z nich pożytek. Nie mówiąc o samych mnichach.

Słodkie życie skończyło się po śmierci starego, schorowanego przeora, który do ostatnich swoich dni traktował klasztor jako swą niezasażoną krzywdę i dopust Boży. Jako jego następcęznaczono brata Piotra z Blyton, młodego wówczas, zaledwie dwudziestoletniego człowieka o szczupłej, ascetycznej twarzy. Piotr nie traktował swego stanowiska jako zesłania. Dla niego był to pierwszy stopień zakonnej kariery. Uśmiech fortuny, który niespodziewanie dotknął przygarniętego ongiś przez zakonników biednego sierotę. Ambitnego sierotę, który jasno widział swe cele w doczesnym życiu.

Przeor Piotr zrobił wszystko, aby na swym pierwszym stanowisku pokazać, ile jest wart. Trzeba oddać mu sprawiedliwość, sam pracował ciężko i wytrwale, licząc, że swym przykładem natchnie innych. Dobry przykład, a zapewne i inne, dosyć radykalne metody sprawiły, że mały leśny klasztor stał się perłą wśród pozostałych. Pierwszą decyzją przeora była odmowa przyjmowania jakichkolwiek dostaw żywności z klasztoru i okolicznych

puszczańskich wiosek. W zaledwie trzy lata po tej decyzji klasztor otaczały wciąż

powiększające się uprawne pola, coraz większe stado kóz pomekiwało na pastwiskach, a braciszek dzielnie trudził się wyrębem i karczowaniem lasu, podbieraniem miodu z leśnych barci, produkcją kozich serów. Ostatni, najwytrwalszy z oponentów już od roku poświęcał się służbie mnicha jałmużnika, obchodząc z drewnianą miską bliższe i dalsze miejscowości, wciąż klnąc w duchu swój niewyparzony jęzor i błąd w ocenie przełożonego. Nabożeństwa wyczekiwane były z wytęsknieniem, jako okazja do wymarzonego odpoczynku. Nawet w zimie, gdy w nieopalanej nigdy kaplicy hulał wiatr. Klasztor rozkwitał ku chwale Bożej, a zasługi przeora Piotra rosły, rzecz nie bez znaczenia. Tak, mnich bez zajęcia jest mnichem zgubionym.

Młody braciszek, kulący się z zimna w swym cienkim habicie, daleki był od zguby. Czekąco go właśnie długie rąbanie pieńków pod kuchenne palenisko. Szedł szybko do drewni, pocieszając się, że przy tym zajęciu zaraz się rozgrzeje. Mogło mu przecie przypaść w udziale noszenie wody ze strumienia. Ceber był ciężki, strumień daleko, a i brzegi śliskie i oblodzone, jak sam przekonał się o tym niedawno. W dodatku, gdy powrócił wtedy w sztywniejącej od mrozu, przemoczonej odzieży, wysłano go natychmiast z powrotem, gdyż z trudem wygramoliwszy się na brzeg, z tego wszystkiego zapomniał cebra. Tak, rąbanie drzewa to zajęcie w sam raz na taki mroźny dzień.

Postawił pierwszy pieńek na wrośniętym w zlodowaciałą ziemię wielkim pniu. Podniósł siekierę, zamachnął się szeroko...

Powietrze przeszył rozpaczliwy krzyk.

Siekiera odbiła się od pieńka, z rozmachem wbiła o cal od stopy. Braciszek puścił stylisko i przeżegnał się szeroko. Ponowny krzyk.

To już ponad miesiąc, jak słyszał te krzyki. Codziennie. Co noc. Lecz w krzykach było tyle rozpacz, taki ból i strach, że nie sposób było się przyzwyczaić. Wciąż budziły lodowaty dreszcz, spływający po krzyżu. Popatrzył na niepozorną chatę noszącą dumne miano sypialni przeora. To stamtąd dochodziły krzyki. To tam przeor Piotr siedział przy swym łożu, zajęty przez wychudłego mężczyznę o ledwie zagojonych ranach na twarzy. Minęły już najgorsze dni, trawiąca ciało gorączka. Mężczyzna był jednak wciąż słaby, przez większość dnia i nocy spał. Śnił. I krzyczał.

Braciszek przeżegnał się znów i z trudem wyrwał siekierę ze zlodowaciałej ziemi. Z pasją uderzał w pieńki pękające pod siekierą na dwoje, w nadziei, że stukot siekiery zagłuszy potępieńcze wołania. Bez skutku. Krzyki wciąż brzmiały w uszach. Zaprawdę, wieka jest moc szatana, co potrafi tak wnijść w ludzką duszę, myślał braciszek z trwogą. A nim śniegi z dróg zejda, błota po roztopach wyschną, nim egzorcystę zawezwać zdołają...

W klasztoru nie było stanowiska brata furtiana. Z braku furty. Toteż wtedy, przed ponad miesiącem, w mroczną, wilgotną noc listopadową zakołatano od razu do wrót kaplicy. W migotliwym świetle nielicznych świec – przeor był także oszczędny i mawiał, że Wszechwiedzący i w ciemnościach widzi, kto się do modlitwy nie przykłada, a i on sam, nawet jak nie widzi, to się domyśla – mnisi ujrzeli niewyraźną postać stojącą we wrotach. Był to ów tajemniczy człek, który za zgodą przeora od roku mieszkał w chacie na skraju klasztornych pól. Widywali go rzadko, całymi dniami znikał w lesie, napotkany odzywał się półsłówkami, kryjąc brodatą twarz w cieniu noszonego zwykle na głowie kaptura. Czasem tylko rozmawiał z przeorem.

Teraz stał na progu kaplicy, oddychając ciężko, tylko w mokrym, skórzanym kubraku bez rękawów. Przed nim leżał na glinianej polepie nieokreślony kształt, owinięty w jego długi płaszcz. Z płaszcza wystawały bose, poranione stopy.

Pierwszy otrząsnął się brat Will, starszy już, bywały w świecie człowiek. Powiadali, że przed wstąpieniem do klasztoru nie mało różnego życia zakosztował. Istotnie, postawę miał raczej starego żołnierza, niż pokornego członka zakonu świętego Benedykta. Najważniejsze jednak, że znał się na leczeniu różnych przypadłości, przytrafiających się braciszkom od czasu do czasu, ze szczególnym uwzględnieniem ran ciętych i tłuczonych. Co przy zwykłej w klasztorze ciężkiej pracy zdarzało się wcale często.

Przypadł do leżącej postaci, odwinął koc. To, co zobaczył nie zachwyciło go wyraźnie, dotknął jednak szyi tuż pod uchem. Wyprostował się gwałtownie i zaczął wydawać rozkazy. O dziwo, przeor nie zareagował na tak niebywałe naruszenie obyczajów. Ujął pod ramię stojącego wciąż w drzwiach mężczyznę i obaj zniknęli w mroku za drzwiami.

–W kuchni rozpalać, wody grzać, cały sagan! – wykrzykiwał tymczasem brat Will. – A jak

się zagrzeje, to drugi. Płótno na szarpie drzeć! Żywo, żywo!

Rozejrzał się.

–Wy tam, wy czterej! Za rogi płaszcza złapać i nieść do... A, cholera, do przeora!

Jeden z braciszków, który zdążył już chwycić za przypadający mu róg płaszcza, wypuścił go z wrażenia.

–Dokąd? – wybałuszył oczy ze zdziwieniem. Nie zwrócił uwagi na przekleństwo, choć przeorowi dawno udało się już wypłenić plugawe wyrazy i bluźnierstwa nie mówiąc już o wzywaniu imienia Bożego nadaremno.

–Tak, do mnie – powiedział dziwnie spokojnie przeor Piotr, stając znów w otwartych

wrotach. Braciszek zamarł z rozwartą gębą.

–Do mnie – powtórzył przeor bezbarwnie. – A w kominie też napalić! Will z aprobatą skinął głową.

–A ostrożnie nieście, uważajcie! Wstrząs może go zabić. Po prawdzie, i tak pewnie zabije... – dodał już sam do siebie.

Ogień buzował w kominie, pożerając z trzaskiem smolne szczapy. Młody braciszek raz po raz dorzucał drewna, ocierając pot z wygolonej tonsury. Dawno nie było tu tak ciepło, zauważył siedzący na twardym zydłu przeor. I tak jasno, spoglądając na palące się woskowe świece. Nie był człowiekiem przykładającym dużą wagę do doczesnych wygod. Odkąd pamiętał, sypiał we wspólnych dormitoriach. Gdy został przeorem, długo wahał się, czy korzystać z odosobnionej izby. Przeważył argument o konieczności zachowania autorytetu. Nie po to, broń Boże, aby się wywyższać, czy korzystać z wygod. Jednak ktoś, z kim przebywa się dzień i noc, po pewnym czasie powszednieje, a nic nie przeszkadza bardziej w utrzymaniu posłuchu, jak okazanie przez zwierzchnika, że jest takim samym człowiekiem, jak inni. Że tak samo chrapie i puszcza wiatry pod przykryciem ze skór, że tak samo trudno mu wstać na dźwięk dzwonu na jutrznię.

Izba prócz murowanego komina posiadała jeszcze inne niesłychane wygody, jak podłoga z heblowanych desek i wielkie łoże z baldachimem, wprawdzie bez zasłon, zarzucone miękko wyprawionymi niedźwiedzimi skórami, z lekka już wyliniałymi. Dawny przeor dbał o wygodę, łoże sprowadzono z wielkim trudem z pobliskiego miasta. Stary zakonnik tłumaczył zawsze, że to przecież nie dla niego, gdzie tam, dla skromnego mnicha takie wynalazki. To przecież tylko na wypadek, gdy klasztor nawiedzi ktoś znaczny, hrabia, diakon, może nawet sam biskup. Wtedy przeor odstąpi mu wygodne łoże, sam, jak to u zakonników we zwyczaju, prześpi się choć na grochowinach przykrytych starym workiem. Jednak nikt znaczny nie zawitał do klasztoru, ani hrabia, ani diakon, nie mówiąc już o biskupie. Co prawda nie bardzo wiadomo, po co biskup miałby odwiedzać zagubionych wśród borów mnichów. Nawet przeor czy komornik macierzystego klasztoru, przyjeżdżający czasami na inspekcje, wybierali na to letnie, długie dni, w które przed zmierzchem mogli wrócić do siebie. Zawsze odmawiali propozycji noclegu.

Wystroju izby dopełniały dwa niezgrabne zydle i wiszący na ścianie krucyfiks, z którego Chrystus, wyrzeźbiony w lipowym drewnie przez zapoznanego artystę, spoglądał wyjątkowo frasobliwie.

Niesłychane wygody nie przewróciły w głowie Piotrowi. Rzadko palił we wspaniałym kominie. Uważał za niegodną rozrzutność zużywanie pozyskiwanego ciężką pracą braciszków drewna dla dogadzania swej grzesznej, ziemskiej powłóce. Wolał

zagrzebać się w łysiejące skóry i powoli rozgrzewając się, doczekać świtu. Izbę oświetlał łożowym kagankiem, krótko zresztą, gdyż nie miał zwyczaju trwonić czasu na samotne rozmyślenia. Uważał, że aby wymagać od innych, trzeba być surowym przede wszystkim dla siebie. Nie wróżyło to dobrze jego dalszej karierze zakonnej w tych naznaczonych ogólnym zepsuciem i rozpustą czasach, ale cóż, wszystko idzie ku gorszemu i cały świat schodzi na psy. Przeor nie miał nic przeciwko temu, by jego naprawę rozpocząć od siebie i najbliższego otoczenia. Na razie się to udawało.

Piotr obserwował krzątanie brata Willa i mimowolnie podziwiał oszczędną celowość jego ruchów, nieomylną pewność wydawanych braciom rozkazów. Will pochylał się nad rannym,

ułożonym na imponującym łożu. Maczał szmaty w parującym saganie, stojącym obok na podłodze, i tymi kompresami okładał wychłodzone ciało. Ranny oddychał chrapliwie i nieregularnie, oddech stawał się coraz bardziej płytki. Will przyłożył palce do wyprężonej szyi. Trzymał chwilę.

–Więcej tych szmat, na rany Chrystusa – wrzasnął do braciszków. – Jeśli go nie ogrzejemy, to go stracimy!

Młodzi braciszkanie spojrzeli po sobie niepewnie. Wydało im się to bluźnierstwem, nie samo wezwanie imienia Zbawcy nadaremno, choć wiedzieli, że przeor winowajców przyłapanych na tym potrafi ukarać bardzo dotkliwie. Jakże to, toć przecie Bóg wyraźnie powołał już tego nieszczęśnika, by odpowiedział przed Jego surowym sądem za swe ziemskie postęпки. Jakże sprzeciwiać się Jego woli? Popatrzyli niepewnie na przeora.

–Słuchajcie Willa – powiedział z naciskiem Piotr. Mimo że sprawiał wrażenie oschłego i

surowego zwierzchnika, dla którego najważniejsza jest praca i ściśle przestrzeganie reguły, był

człowiekiem głębokiej i prawdziwej wiary. Kościół w jego osobie spełnił już swe obowiązki,

udzielając rannemu absencji. Co złego jest w próbach uratowania człowieka, który jeszcze

oddycha, jeszcze bije w nim serce? Może nie jest jeszcze gotów stanąć przed Stwórcą? Może

Bóg w swych nieodgadnionych zamiarach przeznaczył mu jeszcze jakieś zadania na tej ziemi?

Przecież to Bóg kieruje w tej chwili uczynkami Willa. Ostatecznie sam Chrystus wskrzeszał kiedyś zmarłych. Nawet Łazarza, jak można było się dowiedzieć, czytając uważnie Pismo, po pobycie w grobie nieco już nadpsutego. A ten tutaj przecież jeszcze żyje, jeszcze oddycha...

Piotr pamiętał pewne zdarzenie, kiedy był młodym nowicjuszem, jeszcze przed ślubami wieczystymi. Ze stawu wyłowiono topielca, młodego chłopca. Chciał poślizgać się na kruchym jeszcze, pierwszym lodzie. Sprowadzony kapelan klasztorny, człowiek starszy i zgryźliwy, spojrział na chłopca i palnął nowicjusza w ucho.

–Trupa mam namaszczać? – spytał skrzywiony wzgardliwie, zły, że wyciągnięto go z ciepłej izby. Uczynił niedbały znak krzyża, jakby się od much oganiał i pomaszerował z

powrotem. Wtedy do chłopca zabrał się Will, po którego długich zabiegach chłopczyk otworzył

oczy, wykrztuszając wodę z płuc. Piotr wyciągnął z tego wypadku dwie nauki. Pierwszą, że

niezależnie od godności, człowiek omylnym jest i drugą, że zawsze trzeba próbować.

Niezbadane są bowiem wyroki Boskie i, jak mawiał pewien znajomy jurysta, niebezpiecznie

ocierając się o herezję, również sądów królewskich.

Zaś w tym przypadku... W tym przypadku ów człowiek miał jeszcze coś do spełnienia na świecie.

Tak, braciszku niechybnie popełnili grzech pychy, próbując odgadywać Jego zamiary. Trzeba zapamiętać, którzy to...

Oddech rannego stał się urywany. Jeszcze jeden chrapliwy wdech. Wydech. Ciało wyprężyło się i zaraz zwiotczało. Will pochylił się i przyłożył ucho do nieruchomej piersi.

Nasłuchiwał chwilę. Gwałtownie uniósł głowę i zwiniętą w kułak pięścią uderzył w mostek rannego, aż ugięły się żebra. Raz, drugi. Obecni zmartwieli ze zgrozy. Jeszcze raz, aż zatrzeszczało stoczone przez komiki łoże. Ranny zacharczał. Jeden niepewny oddech. Drugi. Will znów nasłuchiwał bicia serca. Uniósł głowę i otarł pot, który obficie wystąpił mu na czoło.

–Więcej tych szmat, mówię – rzucił już spokojniej. – I nowy sagan wody. Przyłożył rękę do brzucha rannego.

–Wciąż za zimny, za zimny... Piotr sam podał nowy kompres.

Po długich zabiegach oddech rannego ustabilizował się, blada skóra poczęła się zaczerwienić. Will już spokojniej przykładał nowe kompresy, mając teraz czas na przyjrzenie się obrażeniom. Odprężony już nieco, rozgadał się, wpadając w mentorski ton.

–Zapamiętajcie sobie, baranie łby – pouczał braciszków. – Zawsze najpierw rozgrzać, można gorącą wodą, można w ostateczności rozcierać. Chłód może zabić. Napoić ciepłym, jeżeli przytomny i nie ma podziurawionych kiszek... Dlaczego? – spytał niespodziewanie najbliższego mnicha, trafiając przypadkiem na najmniej rozgarniętego. Ten gapił się chwilę z otwartą gębą.

–Bo... tego... dziurami wyleci... – odpowiedział niepewnie.

–Głupiś! – spiorunował go wzrokiem Will. – Bo gorączki dostanie i brzuch mu spuchnie. I umrze prędzej niż powinien, jak to wielu zresztą z przedziurawionym brzuchem pisane... Ale męczyć się będzie bardziej.

Ale za to krócej, pomyślał nieprzekonany wcale braciszek.

Piotr obserwował, jak to z kolei Will wpada w pułapkę grzechu pychy. A niech tam, wybacz mu dziś, Panie, jego winy, jako i ja mu wybaczam...

Will powrócił do uważnego badania ran. No tak, żebra oczywiście połamane. Wiedział o tym bez obmacywania, rozległe siniaki mówiły same za siebie. Ale żebra nie przebiły płuc, inaczej już by nie żył. Niezliczone zadrapania na całym ciele, spowodowane najwyraźniej przedzieraniem się przez zarośla, nie były groźne. Paskudnie wyglądała za to rana na czole, ściągnięta skóra odkrywała nagą kość. Trzeba zeszyć. Cięcia na policzkach, dość głębokie, ale czyste, o równych brzegach. Zrosnie się, nie powinno się paskudzić. Złamany, zatkany skręplą krwią nos. Dlatego tak ciężko oddycha. Trzeba od czasu do czasu przekładać na bok, by nie zadławił się zbierającą się w gardle flegmą. Nic więcej nie poradzimy. I jeszcze ta noga. Will z troską oglądał dwa niemal oderwane, sterczące groteskowo palce.

Trzeba odjąć, bo inaczej zgorzel pewna, ocenił. Ale na to jeszcze czas.

–Hej, ty tam – rzucił, nie oglądając się na stojącego za nim mnicha. – Skocz no do kuchni,

przynieś parę kromek chleba ze śruty. Mają być spleśniałe, im bardziej, tym lepiej...

pajęczynę...

Urwał, wpatrując się uważnie w kąty pod powałą.

–Nie, pajęczynę to ja sam... No, rusz się wreszcie, ino migiem! Powrócił do badania.

**Rzeczywiście było migiem, bo nie minęły dwie zdrowaśki, jak ktoś trącił go w ramię.
Will**

odwrócił się. Przed nim stał przeor, trzymając kosz wypełniony po brzegi zielonymi od pleśni skibkami chleba.

–Wybaczcie, ojcie – zająknął się stary mnich. – Ja nie wiedziałem...

–Nieważne – przerwał niecierpliwie Piotr. – Dobry będzie?

–Dobry! Tymczasem... – zwrócił się do młodych braciszków. – Rwijcie płótno na pasy, a żywo!

Piotr przyglądał się, jak Will ugniata kromki chleba, popluwając od czasu do czasu w dłoń. Mnich zagoniony do zbierania pajęczyny balansował niebezpiecznie na chwiejnym zydłu. Will dodawał pajęczyny do zielonej papki i okładał nią dokładnie wszystkie głębsze skaleczenia, zawijając starannie pasami płótna.

Na koniec zostawił zeszycie rany na czole. Używał cienkich ściągien zwierzęcych, które w odróżnieniu od konopnych nici pękały i wchłaniały się w czasie gojenia, nie wymagając bolesnego usuwania. Pracował w skupieniu, mrużąc krótkowzroczne oczy i pohukując gniewnie na braciszka trzymającego świecę. Gruba igła, używana zazwyczaj do prac rymarskich przebijała raz za razem skórę, ciągnąc za sobą nić zwierającą brzegi rany. Jego szczęście, że bez ducha leży, przeszło Willowi przez myśl. Delikatnie starł kroplę krwi, która spłynęła z czoła. Gdy skończył, obłożył ranę papką z zagniecionej z pajęczyną chleba i obandażował. Wyprostował się wreszcie z jękiem. Zostało tylko ohydne stłuczenie na potylicy, na które nic nie mógł poradzić.

–Okryć ciepło – rozkazał. – Kory wierzbowej naparzyć, na wszelki wypadek, jakby kasłać

zaczął i gorączka go trawić poczęła. Uff, nie na stare moje kości taka robota...

Piotr położył mu dłoń na ramieniu.

–Odpocznij, bracie – powiedział – zrobiłeś swoje...

–Zrobiłem – zgodził się stary. – A reszta w Jego rękach...

Spojrzał w stronę wiszącego na krzyżu, wyjątkowo frasobliwego Zbawiciela.

Przez całe trzy doby Zbawiciel nie mógł się zdecydować, czy rzeczywiście pragnie już powołać rannego przed swe oblicze. Zgodnie z przewidywaniami starego mnicha, najpierw przyszła gorączka, rzucająca rozpalonym ciałem po posłaniu. Stary mnich, z pomocą przytrzymujących głowę chorego braciszków, wlewał w rozpalone, spękane usta napar z kory wierzbowej. Nie licząc zresztą zbytnio na pomyślny skutek, gdyż większość płynu spływała po brodzie i policzkach. Liczył jedynie na to, że silny organizm sam przezwycięży kryzys. Cały czas pozostawał przy łożu chorego, nie zwracając uwagi na propozycje odpoczynku, ponawiane wciąż przez przeora. Posunął się nawet do tego, że gdy Piotr chciał czuwać zamiast niego, ofuknął go ostro. Był zmęczony, inaczej nigdy by sobie na to nie pozwolił.

Przeor, o dziwo, znów nie zwrócił uwagi na naruszenie reguły i dyscypliny. Pokiwał tylko głową i ruszył do swych zajęć. Po drodze nie omieszkał podesać staremu dwóch braciszków do pomocy.

Will był naprawdę zmęczony, tak zmęczony, że nie zwrócił uwagi na niecodzienne reakcje przeora. Jak wiele już razy tego długiego dnia, poprawił zimny kompres na twarzy chorego, który właśnie chwilowo przestał się rzucać w gorączce i zaczął oddychać z nieco mniejszym trudem, i korzystając z obecności przysłanych pomocników, postanowił się zdrzemnąć. Na koślawym zydlu. Naturalnie dopiero po wydaniu wyczerpujących instrukcji. I naprawdę tylko na chwilę.

Stary mnich był bystrym obserwatorem. Ten był wojskowy cyrulik, który głęboko rozczarowany daremnością ratowania kruchego ludzkiego życia i śmiertelnie znużony nieskończoną liczbą kończyn, które przypadło mu odciąć, postanowił odgrodzić się od świata klasztornym murem, wiele w życiu zobaczył, jakkolwiek trywialnie by to brzmiało. Wiele się nauczył. Za murem – symbolicznym teraz, bo jego obecny klasztor nie mógł się pochwalić nawet zwykłym płotem – zamknął się w sobie, stracił chęć aktywnego wpływania na otoczenie. Postanowił skupić się na problemach ludzkiej duszy, mając nadzieję, że ta jest bardziej odporna od ludzkiego ciała, które nawet najprzemysłniej pozszywane i poskładane i tak dąży do nieubłaganego, wcześniejszego czy późniejszego końca. W przypadku rannych, nawet pozszywanych, zazwyczaj do wcześniejszego. Z radością podporządkował się regule, znajdując w niej upragniony spokój po zbyt wypełnionym wydarzeniami życiu. Zawsze jednak bacznie obserwował wszystko, co się wokół działo. I czasami, jak teraz, dawał się porwać dawnej pasji. Pasji niepoddawania się, póki był jeszcze cień nadziei.

W gorączkowej krzątaninie nie miał czasu dostrzec bladości przeora, jego drżących rąk, lęku w oczach. Gdyby zdążył to dostrzec, zastanowiłby się zapewne, co mogło tak wstrząsnąć tym młodym, silnym, zbrojnym siłą swej wiary mężczyzną. Pozbawionym, jak często myślał z niejakim poczuciem żalu i wstydu, wyobraźni i większej wrażliwości. Dziś ręce Piotra nie trzęsły się już, ale w oczach czaił się wciąż lęk. I gdyby nie piekące z niewyspania, łzawiące oczy, Will dostrzegłby go

niezawodnie.

Twoje szczęście, bracie, myślał tymczasem przeor Piotr, klęcząc sam w pustej i zimnej kaplicy, twoje szczęście, że nic nie wiesz... Że nic się nie domyślasz...

Nie mógł skupić się na modlitwie, dziwiąc się podświadomie, gdyż zawsze przychodziło mu to z łatwością. Modlitwa zawsze była pomocą w trudnych chwilach. Kiedyś, w młodości, oczekiwał zawsze głębokich, mistycznych przeżyć. Że dozna objawienia, że w odpowiedzi na jego modły kiedyś sam Bóg przemówi do niego. Jak dotąd się tak nie stało, ale tłumaczył to sobie zawsze tym, że nie jest jeszcze godzin. Tymczasem sam akt modlitwy, wolna kadencja powtarzanych wciąż tych samych, dobrze znanych fraz stała się azylem i ukojeniem, solidną opoką, na której w trudnych chwilach mógł się oprzeć.

Dziś to zawiodło, mimo iż próbował wyjątkowo żarliwie. Zza dobrze znanych słów wciąż wychylały się inne słowa, których nie mógł wymazać z pamięci. I, jak sam wiedział, na dobrą sprawę nie powinien. Nie, to nie tak. Nie wolno mu było.

–...nie może! – znów usłyszał chrapliwy głos człowieka w skórzanym kubraku. Znów widział mokre, lśniące w mętym świetle sączącym się z otwartych wrót kaplicy ramiona. Widział ostro, tak jak wczoraj, jakby wciąż to samo przeżywał.

–On nie może umrzeć!

–Wszystko w ręku Boga. – odpowiedział wytartą i jak się zaraz okazało niestosowną w tej chwili formułą.

Człowiek w kubraku chwycił go za ramiona. Mocno i boleśnie.

–Wiesz o wszystkim. Wiesz o mnie – wydyszał mu prosto w twarz, zacisnął mocniej palce.

–Wiesz o wszystkim, a teraz nadszedł czas, kiedy powinieneś zacząć się bać...

Potrząsnął mnichem.

–Czy ty rozumiesz, co mówię? – krzyknął. – Rozumiesz? To wróciło... Głos zawiódł

Piotra. Mógł tylko skinąć głową, sztywno, jak drewniana lalka...

O mało nie upadł, gdy człowiek puścił go nagle. Przed chwilą przysięgłby, że uścisk pogruchotał mu barki, ale, o dziwo, mógł nimi poruszać. Nawet nie czuł bólu. O tak, zaczynał się bać. Chryste, nigdy w życiu tak się nie bał!

–To wróciło... – powtórzył mężczyzna. – A on... On wie. Jak go znalazłem,

powiedział...

Urwał. Pochylił się do ucha przeora i, jakby obawiając się mówić na głos, zaczął szeptać.

Gdy skończył, przeor ze zdziwieniem spostrzegł, że można bać się jeszcze bardziej, niż przed chwilą.

–Tak, przeorze – mężczyzna w skórzanym kubraku mówił teraz na głos, lecz jakby do

siebie. – Trzeba zacząć się bać, bo to właśnie znów nadchodzi. Znów skoczy nam wszystkim do

gardel. Jeżeli on umrze... Jeżeli umrze, to nie dowiemy się, kiedy trzeba oglądać się za siebie.

Kiedy trzeba patrzeć, co wypelza z ciemnego kąta. A być może, kiedy trzeba wyjść i stanąć

temu naprzeciw. Jeśli on umrze... Wtedy nie dowiemy się nic... Tak, klecho, diabły i demony, o

których nie wyczytałeś w waszych spleśniałych księgach, zło, jakiego nie widziałeś w

najbardziej koszmarnych ze swoich snów... I żeby z nim wygrać, trzeba stać się jeszcze bardziej

złym. W tym starciu cała twoja wiara na nic się nie przyda...

Przerwał. Dotarło do niego, że wylewa na przeora swój własny strach i wściekłość. Dotarło całe przerażenie mnicha, jego głos złagodniał. Nie złagodniał za to sens tego, co mówił.

–W tej właśnie chwili dokonano za ciebie wyboru. Zostałeś postawiony po jednej ze stron,

nie wiem, czy po tej, która ma szansę na zwycięstwo. Nie wiem, jak wiele będziesz musiał

uczynić. Mam nadzieję, że niewiele, ale na twoim miejscu zbytnio bym na to nie liczył. Lecz

nie możesz się już cofnąć, uznać tego, co się właśnie dzieje, za niebyłe. Jeśli cię to pocieszy, ja

też kiedyś nie mogłem. Może wystarczy tylko, byś stał z boku i był świadkiem tego, co ma się

stać. Może nie... Tym niemniej, gdy wszystko się już skończy, obojętne jak, nie będziesz już sobą. Kim się staniesz, tylko ty możesz się domyślać...

Brodąta twarz wykrzywiła się w uśmiechu. Biegnąca od skroni do podbródka blizna sprawiła, że w słabym świetle ten uśmiech wydał się przeorowi uśmiechem samego diabła. W prezbiterium katedry w Newport znajdowała się wielka rzadkość, kunsztownie uczynione witraże przedstawiające sceny z Pisma ku zbudowaniu wiernych. Na jednym wyobrażony był szatan, kłujący widłami w słabiznę nagie, kłębiące się w piekielnym ogniu postaci grzeszników. Piotr przyglądał mu się często, czując dziwną, choć przemieszana z odrazą fascynację. Przyglądał się im znacznie częściej, niż sielankowym scenom z raję, pełnym fruujących aniołów i dobrotliwych świętych z udatnie oddanym na wizerunkach wyrazem szczerę zachwytu. Szatan z widłami uśmiechał się tak samo, jak człowiek z blizną.

–Przecież tak naprawdę już kiedyś wybrałeś, wtedy, gdy dowiedziałeś się wszystkiego o

mnie, a mimo to pozwoliłeś mi tu zostać. Cóż, jeżeli wtedy nie przewidziałeś konsekwencji, to

teraz masz problem. Poważny problem. Po prawdzie, to siedzisz w gównie po same uszy, nie

czując dna pod nogami...

Piotr nie mógł dłużej znieść spojrzenia oczu, w których pełgał ledwie widoczny płomyk szaleństwa.

–Niełatwą drogę wybrałeś, nędzny klecho – zadrwił człowiek z blizną bez złości. – Na

mnie czas, trzeba się przespać... A ty pamiętaj, on nie może umrzeć! Na razie to twój kłopot...

Roześmiał się zgrzytliwie i odszedł w ciemność.

–Wrócę niebawem – doszedł przeora cichnący głos.

Tak, siedzę w gównie po same uszy, pomyślał Piotr ze złością, nie bacząc na powagę świętego miejsca. Kto by przypuszczał, że z tego wszystkiego będą takie kłopoty. Wtedy, gdy zgodził się przyjąć na swe ziemie nieznanego włóczęgę. Miał on wprawdzie znakomite rekomendacje, bo samego szeryfa hrabstwa Nottingham.

Nawet więc gdy nieznajomy opowiedział mu swą przerażającą historię, gdy przeor poznał całe brzemie krwi i krzywdy na nim ciężące, nie zawahał się. Nawet, gdy szeryf ze swej strony dorzucił więcej szczegółów. Owszem, bał się już wtedy. Ale z młodzieńczym optymizmem uznał, że wszystkie te przerażające historie miały miejsce dawno, gdy on sam był jeszcze małym chłopcem. Że trawa porosła mogiły, a krzywdy i łzy zatarły się w ludzkiej pamięci. Że potwory zginęły lub powróciły już dawno do otchłani, które je na ten świat wypuły. Ten, kto był mimowolnym sprawcą tego wszystkiego, może zaznać reszty swych dni w spokoju. A szeryf... szeryf może w odpowiedniej chwili szepnąć odpowiednie słówko do odpowiedniego ucha. Piotr nie miał zamiaru kierować do końca życia hodowlą kóz na tym puszczańskim zadupiu. Nawet hodowlą powszechnie uważaną za znakomitą. Zło lęka się przecież dźwięku kościelnych dzwonów...

W swym zadufaniu Piotr myślał, że oto Bóg daje mu szansę. Szansę poprowadzenia drogą pokuty zatwardziałego, słynnego na całą okolicę grzesznika. Nie byle jakiego grzesznika, ale człowieka mającego niejasne związki z plugawym, przeciwnym prawdziwej wierze kultem, którego resztki tliły się jeszcze gdzieś w zakątkach wyspy, do których nie dotarło Słowo Boże.

Przeor miał nadzieję, że pokaże grzesznikowi drogę odkupienia. Że wysłucha jego wyznań, wyznaczy sprawiedliwą pokutę, wskaże drogę pokory i pobożnych medytacji. I z tego będzie wielka zasługa, jako że Bogu nawrócony grzesznik wielce jest miły, jak Księga powiada miłszy nawet od tych, co całe swe życie bez nijakiej skazy i występku przeżyli. A skoro tak, to i zasługi tego, co grzesznika na drogę cnoty nawrócił, dobry Bóg zauważyć powinien. Jeśli zaś zauważy, to może i nagrodi...

Prócz dobrego Boga istniał jeszcze szeryf, przeor, biskup. Piotr już widział, jak z podziwem będą mówić o nim, jako o tym, co z grzechem i występkiem potrafi sobie poradzić. Może wtedy stwierdzą, że szkoda takie talenty marnować w leśnym klasztorze...

Nie spełniły się nadzieje Piotra. Zatwardziały grzesznik nie przejawiał najmniejszej chęci czynienia wyznań, o odprawianiu pokuty nie wspominając. Na wszelkie propozycje odżegnania się od swych występków odpowiadał uprzejmie, lecz wymijająco. Gdy przeor próbował naciskać, po prostu odchodził i znikał na jakiś czas.

Owszem, pomagał przy wielu pracach. Nie chciał widać być żywiony darmo. Zaopatrywał klasztor w dziczyznę, nie obawiał się ciężkich prac, jak karczowanie lasu czy zwózka drewna. Na tym się jednak kończyło, zawsze wracał po pracy do chatki, którą zbudował sam na krańcu klasztornych pól, pod samym lasem. Nie brał nawet udziału w nabożeństwach.

Wkrótce wszyscy przyzwyczaili się do niego. Zakonnikom odpowiadało, iż odzywał się z rzadka, nie narzucał swej obecności. Poproszony o pomoc udzielał jej chętnie, lecz rzadko sam proponował. Piotr po pewnym czasie zrezygnował ze swych prób, widząc, że nie przynoszą żadnego rezultatu. Wyrzucał sobie tylko, że sam zgrzeszył pychą, sądząc, że za zasługi spotkają go zaszczyty.

Czasem tylko nieufnie spoglądał na milkliwego człowieka, wspominając jego przeszłość. Coraz rzadziej wprawdzie, choć była przerażająca, nie obawiał się. Wiedział, że zło lęka się prawdziwej wiary.

Teraz okazało się, że istnieje zło mało lękliwe, które nie zawahało się zakolatać nawet do wrót kaplicy. Nie pozostało nic innego, Piotr skupił się na modlitwie.

Ktoś, kto zobaczyłby klęczącego, kornie zgiętego do ziemi mnicha, pomyślałby, że ten świątobliwy człowiek poczynił jakieś ważne a tajemne śluby. Że gdy łamiącym się głosem recytuje łacińskie słowa, polykając łzy spływające po ściągniętej twarzy, prosi Boga o rzeczy wielkie i ostateczne. O pokój na ziemi czy też łaskę i wybaczenie dla wszystkich, co zgrzeszyli, grzeszą i będą znów grzeszyć.

Nikt nie widział klęczącego, kornie zgiętego mnicha, prócz myszy ogryzających łojowe ogarki i jego Boga. Myszom było to obojętne, ale Bóg zapewne z uwagą słuchał modlitwy przeora, gdyż modlił się on prawdziwie szczerze i żarliwie, jak nigdy dotąd. Modlił się o ocalenie własnego tyłka.

Trzeciego dnia brat Will wyglądał prawie tak samo, jak podopieczny. Brak snu okradł jego stare ciało z energii prawie do cna. Za to chory miał się lepiej. Gorączka, nie opuszczająca go przez prawie trzy doby, widocznie zelżała. Oddech stał się spokojniejszy, mniej chrapliwy, nie sprawiał już co chwila wrażenia, że chory za chwilę się udusi.

Przewidywania Willa sprawdziły się, zmiażdżone palce stopy objęła zgorzel. Will nie miał innego wyjścia, sprawnie odjął je kuchennym nożem, przy pomocy mdlejącego co i raz braciszka, trzymającego stopę. Zważywszy, że delikwent był nieprzytomny, a kończyny do amputacji najmniejsze z możliwych, było to fraszką w porównaniu na przykład z odcinaniem w warunkach polowych nogi w podudziu u wrzeszczącego, wrywającego się, nabuzowanego narkotykiem walki knechta. Poszło sprawnie i bez problemu. Stary oczyścił i zeszył starannie kikuty, opatrzył ranę.

Pozostałe rany goiły się dobrze. Na niezliczonych zadrapaniach zaczął zmniejszać się czerwony obrzęk, zeszyta rana na czole zaczęła wypełniać się ziarninującą blizną. Tego ranka Will mógł po raz pierwszy stwierdzić, że staruch z kosą oddalił się chwilowo. To, że kiedyś wróci było pewne, ale jeszcze nie tym razem.

Will był zbyt zmęczony, by odczuwać z tego powodu większą satysfakcję.

Podrzemywał tylko, skulony na zydlu, czujny jak zając w bruździe. W krótkich chwilach przebudzenia rzucał szybkie spojrzenia na chorego. I znów zapadał w krótki, niespokojny sen.

Za którymś razem spostrzegł otwarte oczy. Oprzytomniał. Chory nie raz już uchylał powieki, lecz oczy wciąż były szkliste i nieobecne. Tym razem patrzył przytomnie. Wargi poruszyły się.

Will położył mu delikatnie rękę na czole.

–Jak się nazywasz? – spytał.

Wargi drgnęły silniej. Will nachylił się, zbliżył ucho do popękanych, spieczonych ust.

–Ja... son... – usłyszał.

Wysiłek wyczerpał chorego, głowa opadła. Zamknął oczy. Will słuchał przez chwilę oddechu. Tak, teraz to już sen, nie maligna i gorączka, lecz przywracający zdrowie sen. Will z ulgą poprawił się na zydlu, oparł o ścianę z grubych bali, uszczelnianych mchem.

–Będzie żył? – spytał nieśmiało, po dłuższej ciszy jeden z braciszków-pomocników.

Bez odpowiedzi. Will spał.

Braciszek z pasją płał pieńki. Krzyki ucichły, lecz wciąż wibrowały w głębi umysłu. Szczęście, że to stary Will i przeor zajmują się tym, jak mu tam, Jasonem. Normalny człowiek by tego nie wytrzymał. Co innego przeor, człek młody wprawdzie, ale wielkiego rozumu i wielkiej wiary. Stary Will też niejedno w życiu widział, przyzwyczał się. Ale tak siedzieć dzień i noc, słuchać potępieńczych krzyków... Walka z szatanem to niełatwa rzecz, zadumał się braciszek, opuszczając siekierę.

Bracia dziwili się, iż pewnego dnia przeor zakazał im wszelkiej pomocy przy powoli dochodzącym do siebie człowieku. Zwłaszcza, że ci, co przed samym wydaniem kategorycznego zakazu pomagali Willowi opowiadali, że Jason we śnie rzuca się na łożu, aż trudno go utrzymać, gryzie własny język i wykrzykuje słowa bez związku. Czasem zawodzi jak śmiertelnie ranne zwierzę.

Z początku myśleli, że dla przeora to forma umartwienia, ofiarowania Bogu niełatwej posługi. Lecz gdy któregoś dnia przeor z nieznaną dotąd pasją sklął i przegnał przechodzącego mimo okna izby mnicha, zaczęły się plotki i domysły. Powiadano, że to szatan niezawodnie opętał biednego człowieka, a przeor usiłuje wypędzić go i oswobodzić duszę. Lecz nieprzyjaciel rodzaju ludzkiego uparty jest i trzyma w swych szponach nieszczęśnika, wyjąc tylko smagany palącymi słowami modlitw i zaklęć. Z

początku budziło to dla przeora podziw i uwielbienie.

Upływały długie zimowe noce, wypełniane krzykiem, co mroził krew w żyłach i nie dawał zmrużyć oka. Mnisi poczynali sarkać, że przeor przeliczył się z siłami. Trafił widać na wyjątkowo zajadłego i złośliwego przedstawiciela szatańskiego rodu. Owszem, wielkiej wiary mnichem jest przeor, ale młody jeszcze, niedoświadczony... Trzeba tu, widać, starego, zahartowanego w bojach egzorcysty, co niejednego diabła wypędził i niejedną wiedźmę przywiódł na stos. Kogoś, kto zna wszelkie sztuczki, jakich ima się zły na ludzką zgubę.

Braciszek kręcił głową, w pełni się z tym zgadzając. Nie wydoli nasz przeor, nie wydoli... Co gorsza, sam może wpaść w szpony złego. Braciszek wzdrygnął się. Tak, sam może wpaść, a my wszyscy zaraz potem...

–Apage! – powiedział szybko i przeżegnał się. Jak na urągowisko odpowiedział mu przeciągły krzyk. Braciszek cisnął siekierę, desperackim gestem zatkał uszy.

Tak, egzorcysty tu trza, i to jak najprędzej. Aby mrozy tylko zelżały. Przeżegnał się jeszcze raz w obronie przed swym lękiem, nieświadom prawdziwych zagrożeń.

Przeor podniósł głowę na skrzypnięcie drzwi. W drzwiach stał brat Will z wyrazem wzburzenia na twarzy.

–Chodź prędko – rzucił nerwowo bez żadnych wstępów. – Chodź, posłuchaj... Zaczęło się,

przemknęło Piotrowi przez głowę. Zaczęło się, a tak się przecież modliłem... Starał unieść się z

ławy, lecz nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

–Co z tobą? – stary był wyraźnie wstrząśnięty. Piotr nie widział go jeszcze w takim stanie.

–Prędzej, musisz posłuchać!

Posłuchać... Jason zaczął mówić, to pewne. Coś tak strasznego, że wstrząsnęło nawet starym weteranem. Po rozmowie z człowiekiem z blizną przeor nie miał złudzeń, co mógł usłyszeć brat Will. A tak się modliłem, wspomniał znów z dziecinnym wręcz rozżaleniem. Znowu mnie, Boże, nie posłuchałeś... Zebrał się w garść.

–Posłuchaj – powiedział, wkładając w głos całe opanowanie, jakie był w stanie

zgrupować. – Posłuchaj, od dzisiaj nikt nie ma do niego wstępu, nikt, prócz ciebie i mnie. Od dzisiaj

tylko my się nim zajmujemy, tylko ty i ja...

–Ale powinieneś pójść, zobaczyć... – Will nie dawał za wygraną.

–Zamilknij wreszcie! – huknął ze złością przeor. – Powtarzam, nikt z braci nie ma mieć dostępu do tego człowieka!

Stary mrugał oczyma z niedowierzaniem. Piotr mimo woli zawstydział się swego wybuchu. Co on winien, ten stary dureń...

**–Bracie, zaufaj mi – rzekł łagodnie. – Ja już wiem, co mogę zobaczyć, usłyszeć...
Wiem, że**

nie jest to przyjemne. Powiedz, przytomny jest? Jak do ciebie mówił? Nie co, ale jak?

Will memłął przez chwilę w ustach cisnące się na wargi wyrazy. Początkowy strach przesłoniła złość spowodowana słowami przeora. Sam wie, a nie raczy powiedzieć. Co on sobie myśli, ten... Za kogo mnie uważa. Dyscyplina wzięła jednak górę.

–Dotąd sypiał spokojnie, ojciec – powiedział z trudem. – Dopiero wczoraj. Wczoraj zaczął

mówić przez sen. Z początku nie słuchałem, ot, takie mamrotanie, pojedyncze słowa. Gdy się

obudził, to normalnie, wypił rosół, nic nie powiedział, jak to u niego we zwyczaju. Gdy zasnął,

rzucił się chwilę, po czym oczy zaczęły mu latać pod powiekami, o tak!

Stary pokazał, jak. Przeor nie roześmiał się. Nie w takim momencie.

–Za chwilę zaczął mówić, coraz głośniejsze, całe zdania. Nie bój się, nie jestem takim zidiociałym staruchem, na jakiego może wyglądam. Gdy tylko zrozumiałem, co mówi,

wyrzuciłem nowicjusza z izby na zbity łeb...

Piotrowi mimo zdenerwowania zrobiło się przykro. Szanował szczerze tego starego mnicha, cenił jak ojca, którego nigdy nie miał.

–Przepraszam – szepnął cicho, nie patrząc.

–A, co tam – sapnął stary. – Mówił...

–Zamilcz! – przerwał przeor, zrywając się z ławy. – Zamilcz, i wyrzuć to z pamięci! Proś Boga, by pozwolił ci zapomnieć!

–Ale... – Will zaskoczony usiłował mówić dalej.

–Zamilcz! To mój krzyż i ja dźwigać go będę!

Zaciskał pięści, tocząc wściekle wzrokiem dokoła. Brat Will zamilkł wreszcie nie wiedząc co czynić. Pogubił się zupełnie. Widział zaciśnięte pięści Piotra i pot na jego twarzy.

–Tylko ja będę czuwał przy nim podczas snu. Tylko ja. Ty będziesz go obrządzał, karmił,

jak dawniej. Przykro mi, ale musisz poradzić sobie sam, bez pomocy, już i tak niedobrze się

stało... bardzo niedobrze...

Trzasnął z rozmachem pięścią w blat stołu. Mocno, aż zajęczały grube deski. Will dostrzegł krew na knykciach. Położył dłoń na zaciśniętej wciąż pięści.

–Co się dzieje, synu? – zapytał ze szczerą troską. – O co w tym wszystkim chodzi? Kim on

jest?

Przeor utkwiał w nim smutne spojrzenie. Wyraz jego oczu przeraził starego mnicha. Z młodej twarzy spoglądały wypalone oczy starca.

–Wybacz, bracie – powiedział Piotr z trudem. – Wybacz, ty wcale nie chcesz tego wiedzieć. Wierz mi, naprawdę nie chcesz...

Stary mnich nic już nie odpowiedział. Siedział z dłonią na zaciśniętej, zakrwawionej pięści, widział zmartwiałą twarz i opuszczone gestem rezygnacji ramiona. Nie chciał już wiedzieć.

Tak rozpoczął bł. Piotr Exorcyzmy, co czarta wypędzają, mocą słów świętych y strasznych z Pisma św. wybranych, żywą wiarę y życie dobre za sobą mając. Postem y modlitwą się na to czas iaki gotowi iako Apostołom podał Pan Chrystus ten sposób u Marka Św. 9,28. A człek nieszczęsny, przez Demony udręczon y nawiedzon, bestyi głosy naśladował, zębami zgrzytał y iako pies wściekły zapieniał się. Nie było w iego mocy milczyć albo mówić, co chce, bo załumiony był y niby śpiący, a czart iego władał organami.

A nie uląkł się bł. Piotr, modlitwami swemi y Wodą Święconą Złemu dyzgusta czyniąc, a do podania imienia iego wzywając.

Żywot bł. Piotra z Blyton, biskupa Ancjum.

Początek lutego przyniósł gwałtowną odwilż. W ciągu jednego dnia deszcz padający z przeganianych po niebie porywistym wiatrem niskich chmur zmył śnieg, zalegający lasy i pola. Ociepliło się gwałtownie. Po kilku dniach przyszło roz pogodzenie, skuwając lekkim mrozem rozmiękłe drogi.

W klasztoru nie działo się dobrze. Wszyscy doprowadzeni byli do kresu wytrzymałości. Zaczęły się swary i kłótnie, doszło nawet do bójki pomiędzy nowicjuszami. Poszło o jakieś głupstwo, co samo w sobie było bardzo niepokojącym objawem. Przeor wyczerpany czuwaniem u łoża Jasona nie był w stanie utrzymać porządku. Mnisi posuwali się do tego, że sarkali głośno i krytykowali jego zarządzenia.

Domagali się sprowadzenia egzorcysty, kwestionując jawnie decyzje przełożonego.

Tego dnia słońce, choć stojące jeszcze nisko, poczynało już nieśmiało grzać, roztopiając szron na południowej stronie dachów. Ta widoma oznaka zbliżającego się końca długiej i ciężkiej, tak obfitej w wydarzenia zimy poprawiła nieco nastrój przeora. Także Jason, w miarę odzyskiwania sił, sypiał coraz spokojniej. Koszmary były rzadsze. I dobrze, gdyż Piotr dobiegał już kresu wytrzymałości.

Zaczął poważnie skłaniać się do pomysłu sprowadzenia egzorcysty. W słoneczny lutowy dzień ujrzał całą sprawę w nieco innym świetle. Może się przecież okazać, że to najzwyczajniejszy w świecie przypadek opętania, diabeł, którego doświadczony egzorcysta

zapędzi z powrotem do piekła tak szybko i sprawnie, jak kmieć celnymi kopniakami prosiaka do chlewa. Może ten cały Match ma po prostu świra. Trudno się zresztą dziwić, po takich przejściach.

To wszystko przez ten las, otaczający nas zewsząd mrocznymi ścianami i sączący w nasze dusze swój zatruty jad. To przez te długie zimy, gdy człowiek tkwi tu odcięty od innych ludzi, za towarzystwo mając kozy i wyjące z lasu wilki. Wyrwać się stąd trzeba jak najprędzej...

Zdecydowany już, ku niekłamanej radości braci, wydał stosowne polecenia.

Braciszkanie, wysłani do macierzystego klasztoru, by prosić o przysłanie egzorcysty, uwinęli się nadszpodziewanie szybko. Ledwo tydzień temu wyjeżdżali na wozie wymoszczonym słomą, mając dla asysty przydanych dwóch uzbrojonych w rohatyny kmieci z pobliskiej wioski. Kmiotkowie nie wyglądali zbyt groźnie, ale wszystkim wiadomo było, że są to wytrawni kłusownicy, potrafiący bez trudu nadziać na ostrze szarżującego odyńca. Teraz radośnie smarkali w palce, podnieceni perspektywą wycieczki do miasta. Trzymał lekki mróz, bezśnieżny, jazda po zamrzniętych błotnistych drogach powinna być lekka.

Przeor, znając kościelną, niespieszną procedurę – jak może spieszyć się instytucja mająca ponad tysiąc lat doświadczeń – nie liczył na ich powrót wcześniej, niż na początku kwietnia. Ostatecznie trudno było przypuszczać, że poważny specjalista rzuci od razu wszystko na wezwanie jakiegoś nic nie znaczącego przeora z leśnej głuszy. Piotr spisał wprawdzie, jak potrafił, całą historię na czystym kawałku płótna – coś takiego, jak pergamin, nie figurowało w klasztornej inwentarzu – ale nie spodziewał się, że zbyt przyspieszy to sprawę.

Zdziwił się szczerze, gdy po tygodniu za ledwie wóz zaturkotał na drodze wiodącej z lasu. Nic z tego, pomyślał, odesłali ich. Gdy jednak wyszedł na spotkanie, zobaczył że za dwoma braciszkanami, siedzącymi na moszczonym słomą wozie w towarzystwie dwóch, najwyraźniej pijanych w dym kmiotków, jedzie konno samotny człowiek.

Przeor zmarszczył brwi. Jeżeli już, to spodziewał się liczniejszego orszaku. Wyświęconego księdza w asyście mnichów i zbrojnych dla ochrony. Niejednego człowieka, u którego odrzucony na plecy kaptur grubo tkanego, samodzielnego burego habitu, odsłaniał nieco przerzedzone na skroniach włosy bez tonsury, wskazujące na świeckiego brata.

Obcy zeskoczył z konia, zbliżył się. Biodra opasane miał pasem obciążonym kordem.

– Witaj, ojciec – powiedział spokojnym głosem. – Przybyłem pomóc w twoich kłopotach.

Z bliska nie wyglądał tak młodo, jak wtedy, gdy siedział na koniu. Miał chyba

pięćdziesiątkę. Nieruchoma jak maska, szczupła, naznaczona głębokimi bruzdami twarz. Wysokie czoło, wąskie wargi, wyglądające, jakby nigdy się nie uśmiechały.

Niespodziewanie błękitne, bystre oczy. Ta twarz budziła niepokój. Było w niej coś tragicznego.

–A czy ty jesteś w stanie pomóc? – ze złością rzucił Piotr. – Spodziewałem się kogoś

innego. Nie takiego...

Świecki brat nie odpowiedział. Jego niepokojąca maska nie wyrażała nic. Nawet urazy.

–Spodziewałem się księdza – kontynuował zbity nieco z tropu przeor. – Kogoś, kto by

potrafił...

Przybysz przerwał mu, nie zmieniając w niczym wyrazu twarzy.

–Stary przeor z klasztoru chciał przegnać twych posłańców – powiedział cicho. – Wykrzykiwał, aż wstyd powtarzać, że niedługo każdy cięższy przypadek sraczki będziecie uważać za opętanie. Twojego pisma nawet nie przeczytał, powtarzał tylko, że niektórym smarkaczom przewraca się dziś w głowie...

–Skąd więc ty się tu wzięłeś? – złość nie mijała. – Co tu robisz?

–Pewnych ludzi zainteresował ten przypadek. Widzisz, przeor nie przeczytał twego pisma, rzucił w kąt. Ktoś zobaczył, podniósł. Przysyła mnie biskup. Jestem, można to tak nazwać, jego doradcą w pewnych sprawach...

–Jakich sprawach? – spytał Piotr. Nie otrzymał odpowiedzi.

–Chodź, siądźmy gdzieś, opowiesz mi wszystko – powiedział po chwili doradca biskupa w pewnych sprawach. Odwrócił się i, nie czekając na zaproszenie, ruszył w kierunku zabudowań.

Piotrem aż zatrzęsło.

–Zaraz, do diabła! – krzyknął, nie licząc się specjalnie ze słowami. – Kim ty jesteś? Za

kogo ty się uważasz?

Idący nawet nie zwolnił.;

–Powiedz przynajmniej swoje imię! Przybysz stanął. Odwrócił się wolno.

–Nazywaj mnie Lance – powiedział.

Poczynania Lance’a mocno rozczarowały przeora i pozostałych. Wysłuchał wprawdzie uważnie opowieści Piotra, lecz nie wyraził ochoty na bezpośrednie spotkanie z obiektem domniemanego opętania. Poprosił, by pokazano mu miejsce, gdzie po raz pierwszy ujrzeli Jasona.

Piotr zaprowadził go do kaplicy, pokazał miejsce na progu, gdzie niegdyś złożono owinięte płaszczem ciało. Lance przyklęknął. Dłonią dotknął posadzki kaplicy. Chwilę nie poruszał się. Potem jego nieruchoma twarz drgnęła, niebieskie oczy rozszerzyły się gwałtownie. Wpatrywał się gdzieś w przestrzeń. Wstał po chwili. Nic swoim zwyczajem nie mówiąc, odszedł.

Do wieczery snuł się po całym klasztorze, zachodząc tu i tam. Czasem zadawał pozornie bezsensowne, nie związane ze sprawą pytania. Twarz miał wciąż bez wyrazu, nieruchomą jak tragiczna maska.

Wieczere zjadł bez widocznego apetytu, ale nie krzywił się też na nieśmiertelne jagły, stanowiące zwykły klasztorny pokarm na przednówku. Uprzejmie odmówił udziału w wieczornych modłach, jak też noclegu w dormitorium. Wyciągnął się w stodole na sianie przykryty burką i spokojnie zasnął, pozostawiając Piotra w lekkim osłupieniu.

Rano zniknął gdzieś na godzinę czy dwie. Gdy wrócił, poprosił, by osiodłano jego konia. Zapytał o przeora.

Znalazł go w kaplicy, klęczącego przed ołtarzem. Zaczekał, aż ten skończy modlitwę, po czym, gdy już wyszli na dwór, powiedział bez żadnych wstępów:

–To nie jest opętanie.

–To nie jest... – powtórzył Piotr, nie rozumiejąc. – Zaraz! Jak to nie jest, skąd wiesz? Przecież ty go nawet nie widziałeś!

Lance nie odpowiedział. Jego twarz jak zwykle nie wyrażała żadnych uczuć.

–Powiedz! – nalegał przeor – Dlaczego, na jakiej podstawie...

–To nie jest opętanie – bezbarwny głos Lance’a nie zmienił się nawet o pół tonu. – Uwierz mi ja nie kłamię. Zazwyczaj wolę przynosić lepsze wiadomości.

Piotr poczuł znajomy ucisk w gardle. To na nic.

–Wyjeżdżam wkrótce – jak przez mgłę usłyszał bezbarwny głos. – Bywaj. Nie wiedział, że

Lance nie powiedział wszystkiego.

Jason siedział na krawędzi łoża, wpatrując się bezmyślnie w swe wychudłe nogi. Zniknęło gdzieś imponujące brzuszysko. Przeciągnął bezmyślnie ręką po krótko, prawie przy skórze obciętych siwiejących włosach. Brat Adalbert pełniący obowiązki klasztornego balwierza znał tylko jedną fryzurę – na łyso. Dłoń natrafiła na gruby szew blizny na czole. Dobrze, że nie ma tu zwierciadeł, pomyślał bez specjalnej emocji. Czuł się już nieco silniejszy, zaczynał samodzielnie chodzić, choć zaraz po przebudzeniu czuł się zwykle jak zbity pies. Silny organizm brał górę nad chorobą, ale psychicznie był w środku jak wypalony. Czuł otaczający go zewsząd chłód, jakby śmierć, o którą się otarł, pozostawiła w umyśle nieuleczalne rany. Nie interesowała go ani przeszłość, ani przyszłość, nie rysująca się przecież zbyt różowo.

Nie cieszyło go szybkie odzyskiwanie sił, gdy po raz pierwszy usiadł, wstał, później przeszedł samodzielnie parę kroków. Nie zwrócił uwagi, gdy ustał tępy ból w czaszce, który ścisnął ją przez wiele dni. Nie potrafił określić momentu, w którym poczęły się zrastać połamane żebra i każdy oddech przestał być okupywany kłującym bólem.

Pomimo braku zainteresowania otoczeniem Jason dostrzegł, że traktowany jest jak zapowietrzony. Że opiekuje się nim tylko jeden stary mnich, który, gdy wydaje mu się, że Jason nie widzi, popatruje na niego z lękiem pomieszanym z ciekawością. Gdy wyruszał na swoje, z początku krótkie, potem coraz dłuższe przechadzki, wszyscy napotkani zakonnicy schodzą mu z drogi i nigdy, ale to nigdy się do niego nie odzywają. Zaś gdy z początku próbował zagadywać, odwracali w milczeniu twarze, czyniąc dłońmi ukradkowe gesty od uroku. Nie miał już żadnej motywacji, by domyślać się przyczyn.

Trzeba iść do kuchni, może znajdzie się skopek mleka. Nie, żeby miał na nie specjalną ochotę. Nieposkromiony kiedyś apetyt zniknął gdzieś wraz z ogólną chęcią do życia. Resztki wpojonych kiedyś nawyków zmuszały go jednak do przestrzegania rzucanych półgębkiem

zaleceń starego zakonnika. Zawsze dbał o kondycję fizyczną, o własne zdrowie. Resztki tych zwyczajów kołatały się gdzieś na dnie świadomości dawnego Jasona.

Ubrany w długi, ciepły samodziałowy habit, dany mu przez mnichów, gdy tylko zaczął wstawać, wspierając się na sękatym kosturze, wyszedł na dwór i wolno ruszył w stronę zimowej kuchni. Miał przed sobą kawałek drogi, zimowa kuchnia stała w pewnym oddaleniu od reszty zabudowań, w obawie przed pożarem. Miało to jedną wadę – potrawy zawsze donoszono wystygłe. Po drodze nie spotkał nikogo, z czego był raczej zadowolony.

Gdy wszedł do kuchni, zatrzymał się zaskoczony. Nad cebrzykiem w kącie stał

obnażony do pasa nieznamy mężczyzna. Wodą z cebrzyka ochlapał się pod pachami.

Jason stanął jak wryty. Iskierka zainteresowania zapaliła się w jego wyjąłowym umyśle. Widok był niebywały, mnisi w swej odrazie do wody prawie dorównywali kotom.

Na nagich plecach mężczyzny dostrzegł dziwny krąg. Przyjrzał się uważniej. Tatuaz. Zwinięty w krąg wąż, połykający własny ogon.

Wąż Uroboros. Symbol nieskończoności. Symbol czasu nie mającego początku ani końca. Myśli i obrazy wybiegają nie wiadomo skąd.

Kurwa, skąd ten wąż? Skąd ja to wszystko wiem? W życiu nie słyszałem o żadnym...

Błędne koło, nie mające początku, ani końca.

Resztki dawnej świadomości tłuką się rozpaczliwie, rozpaczliwie ulatują. Ból ściska skronie.

Mężczyzna odwraca się. Szczupła twarz jak tragiczna maska. Blade błękitne oczy. Głębokie.

Błysk. Trzask jak bliskiego pioruna. Znajomy ból ściska skronie.

Zaraz pęknie czaszka...

Twarz znika. Krąg ludzi siedzących w mrocznym lesie. Migoczą płomyczki trzymany w rękach świec. Kaptury osłaniają twarze.

Biel. Mgła. Z bieli wyłania się wolno nieruchoma twarz. Wąskie wargi rozchylają się w powolnym uśmiechu, wyglądającym jak cięcie mieczem. Bardziej tragicznym w wyrazie niż jego brak.

Błysk. Trzask. Lśnienie noża w mroku lasu. Strumień bełkoce na kamieniach, krystalicznie czysta woda fosforyzuje w świetle księżyca. Krew ścieka wolno z rozciętej dłoni, wolno, bardzo wolno...

Oto kim jesteśmy.

Ocknął się, zwinięty w pozycji embrionu na brudnej polepie zimowej kuchni. Zaciśnięte pięści przyciskał do skroni. Nie wiedział, jak długo tak leżał. Przeciąg łomotał niedomkniętymi drzwiami. W wyięblej kuchni nie było nikogo.

W kilka dni po wyjeździe Lance'a nastroje w klasztorze zaczęły się zwolna

poprawiać. Dni były dłuższe, pomimo że spadł znów świeży śnieg, słońce stało zauważalnie wyżej. Im krótsza noc, wiadomo, tym trudniejszy dostęp ma diabeł do ludzkiej duszy.

Choć Lance w widoczny sposób nie przykładał się do pracy, dziwnym trafem po jego odjeździe koszarne krzyki urwały się jak nożem uciął. Jason spał teraz twardo, spokojnie, tak jak powinien sypiać ozdrowieniec dla nabrania sił. Przeor nie uchylił wprawdzie zakazu kontaktowania się z nim, ale nawet widząc go z daleka, próbującego coraz dłuższych spacerów, mnisi nie odwracali się, mrużąc modlitwy od uroku. Nie wiedząc wprawdzie jak, uznali jednak, że najwidoczniej przybysz zrobił swoje.

Przeor również wyglądał lepiej. Uwolniony od konieczności czuwania przy śniącym koszmarmy chorym, mógł wreszcie poświęcić się codziennym zajęciom. Ciągłe jednak nie widać w nim było dawnej energii, nadal wyglądał, jakby nie mógł uwolnić się od zgryzoty.

Zakonnicy kładli to na karb urażonej dumy. Bo jak to on, przeor, wyświęcony zakonnik, nie mógł nic poradzić, a tu przyjeżdża taki świecki obszczymur i w dwa dni, nawet nie całe, załatwia sprawę? Zaiste, ciężkim to ciosem mogło być dla każdego, a co dopiero dla mnicha tak dumnego i ambitnego. Co poniektórzy bracia pozwalali sobie nawet na złośliwe uśmiešky i niestosowne uwagi.

Piotr szybko położył temu kres. Owszem, być może nie potrafił poradzić sobie z banalnym przypadkiem opętania, ale utrzymać posłuch i dyscyplinę umiał. Złośliwcy szybko się przekonali, że nawet wyczerpany i pochłonięty kłopotami Piotr znakomicie dostrzega, co dzieje się wokół niego.

Tymczasem Piotr nie czuł się wcale lepiej, niż przed wizytą Lance'a. Ba, nawet gorzej. Nie spełniła się desperacka nadzieja, że to wszystko jest czymś zwykłym, codziennym. Nadzieja, której czepiał się przez cały czas, wbrew temu, co zobaczył i usłyszał. Zwyczajny, ordynarny szatan, co wszedł w biedne ciało, jak zwykły był często czynić od niepamiętnych czasów. Coś, przy czym wystarczy zajrzeć do właściwych ksiąg, by znaleźć odpowiednie remedium. Coś, do zwalczenia czego nie jest potrzebny, dajmy na to srebrny miecz czy włócznia świętego Jerzego, ale wystarczy tania i ogólnie dostępna woda święcona. Niestety, nie było to tak proste.

Do wszystkiego można się przyzwyczaić, jak rzekł kiedyś pewien pijany kmieć, nie mogąc podnieść rzyki z rozpalonych kamieni paleniska. Przez długie dni Piotr zdołał przywyknąć do stałej obecności ukrytego gdzieś głęboko w trzewiach lęku. Był tam cały czas, przycajonny, nie pozwalający spokojnie zasnąć, ale nie szarpał już gwałtownymi spazmami, uniemożliwiającymi Piotrowi normalne funkcjonowanie. Spowszedniał. Piotr coraz lepiej radził sobie z codziennymi obowiązkami, znajdował w nich nawet niejaką pociechę. Pozwalały zapomnieć, choć na chwilę. Lecz gdy tylko

znajdował chwilę samotności, przy modlitwach czy przed snem, zmory wracały. Piotr leżał, wpatrując się otwartymi oczyma w ciemność.

Kilka razy już zbierał się, by porozmawiać wreszcie z Jasonem, mimo iż ten nie wydawał się skory do rozmów czy zwierzeń. Wprawdzie jego stan poprawił się bardzo, ale na pierwszy rzut oka tylko stan fizyczny. Sprawiał wrażenie, jakby cały świat wokół nie istniał. Gdy nie spał, siedział godzinami wpatrzony w przestrzeń. Owszem, odpowiadał na zadawane mu proste pytania, słuchał poleceń brata Willa dotyczących leczenia, lecz czynił to tak, jakby dotyczyło to kogoś innego. Sam o nic nie pytał.

Tak, przeor zbierał się wielokrotnie do trudnej rozmowy, lecz nigdy się do końca nie zdecydował. Cóż bowiem mógł usłyszeć od człowieka, którego sny pełne były krwi, cierpienia i śmierci? Pełne straszliwych obrazów... tego, co było? Co będzie? Nie wiadomo. Nie wiedział, czy sny wieszczą jakieś brzemiennie w skutki wydarzenia, czy tylko są przerażająca relacją z tego, co już się dokonało, gdzieś i kiedyś. Jedno było pewne, nie była to piękna przeszłość. Ani przyszłość.

Słowa rzucone wśród krzyków przez sen były chaotyczne, trzeba było uważnie się wsłuchiwać, by wyłapać sens, zanim wątek urwie się bezpowrotnie. Jak na wytrzymałość Piotra wystarczały jednak te urywki, które zdołał poskładać. Fragmenty, po których wysłuchaniu czuł, że cały świat, jaki dotąd znał, usuwa mu się spod nóg, a wiara, będąca do tej pory jedynym oparciem, rozwiewa się i znika.

Strach pomyśleć, co człowiek śniący takie sny może powiedzieć na jawie.

Ten stary rzeźnik miał rację – Piotr stanąwszy oko w oko z ponurą tajemnicą, już stał się innym człowiekiem.

Ten stary rzeźnik, wspomniał ze złością przeor. Ten stary rzeźnik zwał mi to wszystko na łeb i zniknął. Nie raczy się nawet pokazać.

Z wściekłością usiłował kopnąć chudego kota, który napatoczył się pod nogi. Chudy kot, wzorcowy przykład klasztornej ascezy umknął nietknięty z oburzoną miauczeniem. Ataki pasji były ubocznym skutkiem napięcia nerwowego. Zdarzało się, że braciszki mieli mniej szczęścia od chudego kota.

Nie potrafił zmusić się, by wreszcie stanąć twarzą w twarz z tajemnicą, rzucić wyzwanie nieznanemu. Odkładał decyzję z dnia na dzień, nabierając do siebie coraz większej odrazy. Dawniej uważał się za człowieka twardego, umiającego zmierzyć się z losem. Ze starannie ukrywaną, niegodną sługi Bożego pogardą spoglądał na wszystkich wyznawców zasady: „co się odwlecze, to pewnie uciecze”. Za nim stała wiara, a przed nim rysowała się prosta droga sukcesów i zaszczytów, które czekały w życiu człowieka o twardych zasadach i jasno wytyczonych, ku chwale Bożej, rzecz

jasna, celach. Piotr czuł, jak to wszystko przecieka mu między palcami.

Jak to zwykle bywa, w końcu zniecierpliwiony los zdecydował za niego.

To Jason pierwszy przyszedł do przeora. Stał przed nim, wysoki, wychudły, wciąż wspierając się na sękatym kosturze. Piotr zmusił się do spojrzenia na przystojną niegdyś zapewne twarz. Szybko spuścił oczy.

Nie mógł przywyknąć do tego, oglądanego przecież codziennie widoku. Symetryczne, świecące jeszcze różowomłodą tkanką blizny na policzkach ściągały twarz, nadając jej diaboliczny wyraz. Brzydko zagojone rozcięcie na czole, zachodzące od brwi za linię włosów, z obu stron obramowane wypukłymi, zda się, punkcikami po szwach. Krzywo zrośnięty nos. Wrażenie potęgowała wyostrajająca rysy chudość, uwypuklająca kości policzkowe.

–Nazywam się Jason, ojcze. Chciałem... – głos był głęboki i w dziwny sposób miły dla

ucha, kontrastujący z zeszpeconą twarzą.

Przeor nie pozwolił dokończyć.

–Nie wiem, kim jesteś, i nie chcę wcale wiedzieć – wyrzucił z siebie gwałtownie. – Jaka

otchłań piekielna cię wyrzuciła. Wypełniłem swą powinność. Przeżyłeś. Bóg nie pozwolił ci

szczęść, choć blisko do tego było, bardzo blisko... Ale to wszystko, co mogłem dla ciebie

zrobić. Więcej nie jestem w stanie. I wątpię, czy ktokolwiek jest...

Piotr wyrzucał całą gorycz nagromadzoną przez długie dni i noce. Głos łamał się ciężkie słowa padały jak kamienie. Cały lęk wszystkie nocne zmy, wszystkie obawy.

Jason słuchał bez słowa, bez zmiany wyrazu oszpeconej twarzy. Gdy Piotr uspokoił się wreszcie nieco i zamilkł, wyczerpany wyrzuconym jednym tchem potokiem słów, powiedział cicho:

–Chciałem podziękować. Za wszystko.

Przeor milczał. Meł pod nosem niezrozumiałe słowa, może modlitwy, może klątwy.

–Podziękować, powiadasz – wymamrotał po chwili, jakby do siebie. – Podziękować...

–A wiesz, co ci odrzeknę? – kontynuował po chwili. – A nie ma za co! Zwykły to, chrześcijański uczynek, rannego w dom przyjąć, zdechnąć nie pozwolić! Nawet jeżeli diabelskim miałby się okazać posłańcem! Bo zło dobrem zwyciężać trza, dopiero gdy za wysoko łeb podniesie, trzeba mu ten łeb odciąć. W imię Boże! Pychę pokora zwalczyć jeno zdoła, a ten, kto się wywyższa, będzie poniżony!

Targany emocjami, zaczął gonić w piętę, brnąc coraz głębiej w mistycyzm.

–Sprowadziłeś niepokój na to miejsce, zatruliś je jadem, który się w tobie zagnieździł.

Przyniosłeś tu strach i zwątpienie, odebrałeś mi to, w co wierzyłem. Jakim bowiem może być

świat, który zniesie to, o czym krzyczałeś we śnie? Gdzie jest ten Bóg, który na to pozwala?

Odpowiedz, jeśli potrafisz. Może nie potrafisz, może jesteś tylko narzędziem w rękę tego, co

realizuje swój przewrotny plan...

Nic dodać, nic ująć, pomyślał Jason. Nie przerywał. Nie bardzo wiedział, co i jak mógłby powiedzieć. Przeor uspokoił się trochę. Nie wykrzykiwał już, nie wymachiwał rękoma. Lecz w tym, co mówił, nie było spokoju.

–Wiem, Bóg sprowadza czasem takich, jak ty, by doświadczać swe sługi. Życie

człowiecze krótkim jest czasem próby, której musimy sprostać, aby godnymi być Jego

królestwa. Ty mi nie wyglądasz jednak na Bożego wysłannika. Jeśli zatem nie przysłał cię też

szatan, to muszę podejrzewać, że twoje sny mówią prawdę, że ta ziemia znów spłynie krwią i

łzami, z czeluści wyjdą niepojęte ludzkim umysłem zjawy i stwory, a zło znów zatriumfuje.

Tak, jak już było przed laty. I dobro będzie bezsilne, bo tylko zło może pokonać inne zło. Może

ktoś, nie śmiem nawet zgadywać, kto, przeznaczył ci udział w tym wszystkim...

–Ja spełniłem już swą rolę w tym niepojętym planie – głos był cichy, zgaszony. – Nie

mogę zrobić nic więcej, i nie chcę. Odegrałem swą rolę i zapłaciłem. Wszystkim, co miałem.

Kiedy odejdziesz, będę mógł tylko czekać. Modlić się i mieć nadzieję, że to wszystko, o czym

się dowiedziałem, nie nadejdzie, że odzyskam swą wiarę w Boski porządek...

Przedłużając się, ciężką, aż namacalną ciszę przerwał Jason.

–Wkrótce odejdę – powiedział. Wiele słów cisnęło mu się na usta, ale czuł, że nie byłyby właściwe. Żadne słowa nie będą zadośćuczynieniem. Nie przyniosą pociechy ani otuchy. Pozostało jeszcze jedno, coś, przed czym – po wysłuchaniu Piotra – miał wielkie opory. Ten człowiek, który w uratowaniu mu życia miał wielki udział, zasługiwał, by zaznać wreszcie spokoju. Jason wiedział, jak trudne było dla przeora to, co przeszedł. Nie było jednak innego sposobu.

–Wkrótce odejdę – wyrzekł w końcu Jason z niechęcią. – Ale najpierw... Piotr wiedział, co usłyszy. Obawiał się tego od początku.

–Chcesz, bym opowiedział ci o twoich snach – słowa z trudem wydobyły się z gardła. Jason poważnie skinął głową.

–Chcę zrozumieć... – powiedział cicho.

Przeor w duchu przyznał mu rację. Ale nic nie stało się przez to łatwiejsze.

VI

Stało się tak, iż czart, Słowem Świętym smagany niemiłosiernie, ciało nieszczęsne opuścił, a biorąc na siebie ciało z powietrza y Waporów grubych ziemskich, Błogosławionemu w swej postaci obrzydłej a sprośney ukazał się. A że przez wieki na zgubę ludzką na ziemi przebywając experyencyi nabył wielkiej przeto samego Błogosławionego iął kusić a do złego namawiać, plugawe wizye ukazując.

Widząc, iż słabnie dyabelska moc, iż Daemona flagra tormenta upragniony skutek daia, Bł. Piotr Złemu nie folgował, jeno Słowa Święte wymawiał, Wody Święconej nie żałując, od czego Dyabeł ból wielki y przykrość znosił. Tak mocy Błogosławionego strzymać dłużej nie mogąc, iako spectrum w chwili iedney zniknął, smród po sobie plugawy ino zostawując.

Padł tedy człek od czartowskiej mocy oswobodzon przed Błogosławionym, stopy lego całując, za wybawienie dzięki zanosząc. I podniósł go z prochu Błogosławionym ramieniem własnem, Bogu Jedynemu podziękowania zanosić każąc, nie zaś niegodnym sługom Jego. A człowiek wstał y ruszył drogą swoją, świadectwo zwycięstwa cnoty y wiary nad złym wszędy zanosząc.

Powiaadaia, że człek ów Zbójem i Oszustem drzewiey bywał, niegodnym chrześcijanina miana, nie dziwota przeto, iż czart iego właśnie na instrumentum swoje wybrał. Powiaadaia takóż, że laską Boską i przykładem Błogosławionego oświecony, pustelnikiem na resztę życia pozostał, umartwieniem i modlitwą swe grzechy okupując. Lecz tyle byłoby o nim, bo nie przystoi dla Zbója, nawet oświeconego, inkaustu i kart owej Xięgi żywotowi Błogosławionego Męża poświęconey marnować.

Żywot bł. Piotra z Blyton, biskupia Lincoln.

Jason siedział na koślawej ławeczce, wystawiając twarz na anemiczne jeszcze promienie marcowego słońca. Z długich opowieści przeora, który z trudem wyjawiał mu koszmarne szczegóły jego snów odniósł jedną niezaprzeczną korzyść. Nie to, żeby wiele zrozumiał. Koszmary były zbyt fragmentaryczne, by poskładać je w sensowną całość. Ich słuchacz zbyt poruszony, by wszystko spamiętać i powtórzyć.

Korzyść była jedna – skończyły się strachy dręczące Jasona zaraz po dojściu do przytomności. Nie obawiał się już wyjścia na świat, między ludzi. Urwały się wizje, w których czuł zimne ostrze tnące twarz. Zniknął uraz każący nieufnie spoglądać na każdego napotkanego człowieka w poczuciu zagrożenia. Zniknęła obojętność będąca w rzeczywistości skorupą, w której zamknął się przed całym światem, światem, który skrzywdził go tak dotkliwie.

W chłodnym, bystrym umyśle zaczęły budzić się isierki ciekawości. Jednak dawny,

Jowialny i beztroski Jason zniknął bezpowrotnie. Zdawał sobie sprawę, że nigdy już nie będzie taki sam. Lecz ponura tajemnica, która wyglądała z jego snów, teraz bardziej go intrygowała, niż przejmowała lękiem. Tak jak kiedyś.

Wizje, jakich zaznał w obecności człowieka z tatuażem, nie powtórzyły się. Jason przypuszczał, że nic teraz nie stymulowało ich pojawienia się. Pamiętał dokładnie ich treść, lecz teraz, mimo uporczywego szperania w zakamarkach umysłu, nie znajdował w nim nic, czego by tam kiedyś nie było. Żadnej wiedzy pochodzącej nie wiadomo skąd. Żadnych prawd objawionych.

Zawsze wierzył w prorocтва, jasnowidzenie i tym podobne historie. Ubarwiało to otaczający go na co dzień szary świat, przydawało szczypty tajemniczości. Zawsze ciekawiło go, jak to jest znać czy też przewidywać przyszłość. Wieszczyć rzeczy straszne i doniosłe. Cóż, przekonał się teraz, że jest to znacznie mniej zabawne, niż wprzód sądził. Tym niemniej intrygujące.

Wizji nie było. Sny nie dawały się łatwo zinterpretować. Pozostało jedynie niejasne przeświadczenie, że coś się niedługo wydarzy. Ledwie uchwytnie wrażenie oczekiwania na coś, czego nawet się nie domyślał.

Westchnął, przeciągając się na koślawej ławeczce. Długo to trwa, pomyślał.

Zastanawiał się przedtem, co zrobi ze sobą, gdy już opuści klasztor. Twarz, którą zobaczył, gdy zajął nieopatrnie do cebrzyka z wodą, jasno świadczyła o tym, że jego dotychczasowe zajęcie skończyło się bezpowrotnie. Nikt nie zasiądzie do gry z właścicielem takiej twarzy. Nie wzbudzała sympatii ani zaufania, delikatnie mówiąc. Bardzo delikatnie. Prawdę mówiąc, zastanawiał się, dlaczego wałęsające się po podwórzu kundle nie wyją na jego widok. Albo nie uciekają, podkuliwszy ogony. Tak, nie zagramy już więcej, pomyślał bez specjalnego żalu. Nie był pewien, czy byłby jeszcze w stanie wytrzymać napięcie gry.

W dobrych czasach odłożył trochę. Pomimo iż specjalnie nie liczył się z wygranymi pieniędzmi, dogadzając sobie przy każdej okazji, myślał jednak o przyszłości, o tym, co będzie robił, wycofawszy się wreszcie ze swego zajęcia. U żydowskich lichwiarzy czekała więc wcale okrągła sumka, którą zamierzał kiedyś przeznaczyć na urządzenie sobie innego życia. Stale jednak odkładał ten moment, jak się okazało, o jeden raz za dużo. Nie z zachłanności, lecz po prostu dlatego, że lubił takie życie, jakie prowadził, a nie czuł się jeszcze stary i zmęczony.

Tak, trzeba było wcześniej, dumiał melancholijnie. Trudno, trzeba było zacisnąć pasa i żyć oszczędnie ze zgromadzonego kapitału. Przesadzał, jak zwykle. Sumka odłożona u lichwiarzy starczyłaby na dwie, a nawet trzy niezłe wsie...

Przez mgnienie oka dostrzegł wysokiego mężczyznę zmierzającego w jego kierunku.

Tylko przez mgnienie, bo zaraz nastąpił znajomy już błysk. W oczach pociemniało...

... Wysoki mężczyzna stojący w kręgu megalitów, pod niskimi, ciemnymi chmurami pędzonymi wiatrem. Mokra włosy oblepiają twarz. Trzymany ostrzem do ziemi miecz lśni ciemną, lepłą czerwienią... Biała mgła przesiania obraz...

...Z mgły wyłonił się mężczyzna, stojący przed Jasonem, z uśmiechem zeszpeconym blizną biegnącą od policzka do oczodołu. Jason zachwiał się na ławeczce, człowiek wyciągnął rękę, by go podtrzymać. Zacisnął palce na ramieniu...

...Ta sama twarz przecięta blizną, widziana z dziwnej perspektywy, jakby pochylona nad leżącym. W oczach gniew i coś jeszcze, głęboki, szczery ból. Ze skroni ścieka wolno strużka krwi. Twarz zdaje się oddalać, odpływać. Coraz mniejsza, otoczona rosnącą zewsząd strefą mroku. Nic. Zupełnie nic...

–Dobrze się czujesz? – dobiega głos. – Powiedz, słyszysz mnie? Jason spojrzał nieprzytomnie.

–Match... – powiedział cicho. Zastanawiając się, skąd zna to imię... Mężczyzna spoważniał.

–Tak, Match – odpowiedział po chwili. – Obecnie szerzej znany jako Wieprz. Wieprz z

Nottingham. Pozwolisz?

Match, znany szerzej jako Wieprz, nie czekając na odpowiedź, usiadł obok Jasona na koślawej ławeczce. Jason wprawdzie nie zdążył pozwolić, ale posunął się, robiąc mu miejsce. Ławeczka była nie tylko koślawa, była też krótka.

Jason milczał. Match przyglądał mu się z ukosa.

–Z dalekiej drogi wróciłeś, przyjacielu – zaczął wreszcie. – A teraz wszystko wskazuje, że

będziemy musieli poznać się lepiej. Mamy sobie dużo do opowiedzenia. Nie, żeby to było

specjalnie ciekawe, ale tak trzeba. Wiesz o tym, przyjacielu. To może być początek ciekawej

znajomości...

Jason powstrzymał na razie cisnące się na usta pytania. Słuchał dalej.

–Ciekawej, acz zapewne krótkiej – Match uśmiechnął się beztrąsko. – Na razie

posiedzimy, powspominamy... Ty, zdaje się znasz moje wspomnienia. Przeor mi opowiadał...

Match roześmiał się krótko. Nie był to nieprzyjemny śmiech.

–Wiesz, przeraziłeś śmiertelnie tego biednego prostaczka. Niestety, znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Jego pech. Zazwyczaj tak bywa, roimy sobie

plany, człowiekowi wydaje się, że wie, co będzie robił jutro, pojutrze, za rok... Nagle okazuje

się, że na drodze pojawia się zbój z wielką pałą, i okazuje się naraz, że nie będzie już żadnego

jutra. Nie mówiąc już o pojutrze. Albo nadchodzi mór. Albo ty... Zaczynam filozofować. To

jedna z moich licznych wad, ale wiesz, jak człowiek tak łązi sam po lesie... Skoro już ma okazję, lubi sobie pogadać... Wracając do rzeczy, znasz moje wspomnienia, i nie tylko wspomnienia, jak mniemam...

Urwał. Braciszek niosący miskę z wetkniętą drewnianą łyżką na jego widok zatrzymał się jak wryty. Zawartość miskiomal nie znalazła się na ziemi. Nie byłoby specjalnie czego żałować, zauważył Jason mimochodem. Braciszek opanował się, kryjąc twarz w cieniu kaptura, postawił miskę na ławie. Uciekł, jakby go kto gonił.

Match zerknął do miski, skrzywił się.

–Oczywiście, cóż by innego. Nie wychodzą ci jeszcze te jagły nosem? Tobie mięska trzeba, sarenkę jaką by tu albo koziołka... Zajaczek też byłby niezły. Prawda, przecież post –

zafrasował się, stuknąwszy w czoło. – Jason, a rybkę byś zjadł, no, dobrą rybkę, pstrąga?

Niech mnie, przemknęło przez myśl Jasonowi, teraz o rybkach. Jakby nie było o czym...

–Mamy czas – jakby domyślając się, Match przerwał jego zadumę. – Jeszcze się nagadamy

0 rzeczach ostatecznych, jeszcze będziesz miał tego szczerze dosyć. Na razie pójdę, jutro... nie,

do diabła, pójdziemy na pstrągi. Przyniosę ci coś z odzienia, ten habit zupełnie do ciebie nie

pasuje. Wyglądasz w nim jak... No, mniejsza z tym, jak kto lub co wyglądasz, ale nie pasuje,

uwierz na słowo. A i niewygodnie by w nim było nad strumieniem...

–Ale...

Match nie zwrócił uwagi. Uśmiechnięty perorował dalej.

–Zobaczysz, jakie to ciekawe. Założę się, że jeszcze nigdy...

–Match! – Jason wrzasnął wreszcie, wyprowadzony z równowagi. – Zamknij się wreszcie.

1 posłuchaj!

Match zamknął się wreszcie, lecz nie przestał się uśmiechać.

–Słuchaj, powiedz mi tylko jedno. Tylko jedno. Na razie, jak sam twierdzisz, mamy czas.

Ale teraz wytłumacz mi chociaż, co powoduje ten twój znakomity nastrój. Rozmawiałeś z

przeorem, więc teraz wytłumacz, dlaczego zamiast uciekać jak najdalej czy chociaż zapytać, co

to wszystko znaczy, pieprzysz głupoty!

Człowiek szerzej znany jako Wieprz spoważniał na chwilę. Ale tylko na chwilę, bo zaraz znów uśmiechnął się szeroko. Tylko w oczach zgasły wesole iskierki.

–Widzisz, uciekałem już w życiu nie raz – odpowiedział. – W końcu przekonałem się, że

są rzeczy, przed którymi nie ucieknę. Można tylko poddać się lub wyjść naprzeciw. Poddawać

się nie lubię, choć i to się zdarzało. Wiesz, zawsze wiedziałem, że przyjdzie czas, kiedy trzeba

będzie zdać rachunek... Rozumiesz. A jeśli jeszcze nie, to zrozumiesz niebawem...

Urwał. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

–A poza tym... – podjął. – Poza tym każdy z nas wie, że kiedyś umrze, że całe życie jest

tylko odwlekaniem tego, co nieuchronne. Banalne to, co mówię, ale tak jest. Ta pewność bywa

czasem ciężka, zwłaszcza, że nie znamy dnia ani godziny. Tym cięższa, im człowiek starszy,

im bliżej. Otóż widzisz, ja już teraz wiem, kiedy i jak umrę. Ile dokładnie czasu mi pozostało. To czym jeszcze, twoim zdaniem, mam się zamartwiać?

Jasonowi zabrakło odpowiedzi. W rzeczy samej, pomyślał.

–Tak, wiem już kiedy. Sam mi to przecież powiedziałaś – dokończył Match z uśmiechem, który nagle zaczął Jasonowi przypominać trupie wyszczerzenie zębów.

Strumień, a właściwie niewielka rzeczka, meandrował leniwie wśród wiekowych olch. Krystaliczna woda odsłaniała jasne dno, poryte piaskiem i ławicami żwiru. Gdzieś u zewnętrznych brzegów ostrych zakoli ciemniały głębokie dołki. Zwalone pnie przegradzały nurt, który w ich sąsiedztwie burzył się i piętrzył. Bezlistne gałęzie pochylały się nisko nad wodą.

Dostępu do brzegu nie broniły pokrzywy, suche i połamane o tej porze roku badyle. Nie było mrozu, jedynie w spokojniejszych zakolach, przy samym brzegu pozostały jeszcze topniejące tafle lodu, skryte w cieniu przed coraz mocniej grzejącym słońcem. Pod nogami cicho chrzęściła sucha, zeszłoroczna trawa i opadłe jesienią liście.

Jason nie przypuszczał, wyruszając, że tak zauroczy go ciche piękno tego leśnego zakątka. Szedł jak najciszej potrafił, pomny ostrzeżenia, że pstrąg potrafi być czujny i ostrożny.

Marcowy pstrąg nie jest łatwą zdobyczą. Wycieńczony tarłem, z racji swej chudości nazywany czasem pogardliwie onucą, żeruje łapczywie, by odzyskać utraconą energię. Jego łupem padają kielże i małe rybki, kielbiki i strzeble. Brak owadów powoduje jednak, że nie widać charakterystycznych oznak na powierzchni wody, poluje głęboko, skryty w dołkach i pod wypłukanymi prądem burtami. Miejsca, gdzie stoi, osłonięte gałęziami zwisającymi na wodą, utrudniają podanie przynęty. Przynęta też trudna jest do znalezienia, o tej porze roku trudno o żwawe kompostowe robaczki czy chrabąszcze.

Dopiero trochę później, gdy pierwsze wiosenne żaby wyroją się na gody z zimowych

kryjówek i jeszcze odrętwiałe po zimie, poczną niezgrabnie pływać, pstrąg wpadnie w szal polowania. Żaby są łatwą zdobyczą, będzie mógł wreszcie nasycić się bez większego trudu.

Niejeden pstrąg padł już ofiarą swej żabiej namiętności. Niejeden jeszcze padnie, gdyż często wyglądająca smacznie żabka, wyprężająca swe długie nogi w wartkim prądzie strumienia kryje w sobie kościany czy żelazny haczyk, wbity przemyślnie w skórę na udzie. A haczyk ten przywiązany bywa do konopnej czy też przemyślnie ukręconej z końskiego włosia linki. Zaś wiosenny pstrąg nie był jeszcze tym letnim, dzielnie walczącym i potrafiącym zerwać każdą linkę lub nawet poszarpać sploty sieci. Wiosenny kropkowaniec nie ma jeszcze wiele siły, przegrywa częściej, co nie znaczy, że łatwo.

Teraz nie było jeszcze żab. Jako przynęta dobra byłaby ikra, lecz Match dysponował jeszcze czymś innym. Pokazał Jasonowi śmieszna, małą na palec rybkę wystruganą z drewna.

Rybka miała ścięty skośnie pyszczek, w który wkręcone było oczko z drutu. Z ogonka wystawał ostry, żelazny haczyk.

Jason oglądał rybkę z niedowierzaniem, słuchając wyjaśnień.

–W Irlandii łowią tak szczupaki – mówił Match. – Oczywiście na większe, ciągnięte za

łódką. To stary sposób, prawie już zapomniany. Siecią łatwiej albo widłami zatłuc na płycznach, na tarle. Ościeniem. Ale pomyślałem kiedyś, że na pstrąga też się nada, trzeba

zrobić tylko mniejszą. Tu siecią pociągnąć trudno, za dużo zawad. A i na oścień za głęboko

teraz siedzą, w dołkach, nie w płani i na płycznach. Co, nie wierzysz?

Dostrzegł wątpliwości wypisane na twarzy Jasona i roześmiał się.

–Nie wierzysz, że można rybę oszukać kawałkiem drewna? Poczekaj, zobaczysz tę rybkę

w wodzie! O, tu powinno być dobre miejsce, tam, kawałek dalej, pod gałęziami. Tam jest

dołek, patrz, jaka woda ciemna. Zobaczymy zaraz, kto też tam może mieszkać. Podejdź do

brzegu, tylko cicho i ostrożnie.

Przyklęknął na wysokim brzegu. W lewej ręce trzymał zwój linki na drewnianym motowidle. Delikatnie, bez pluśnięcia opuścił rybkę na wodę. Zaczął popuszczać linkę, rybka nieruchomo spływała z prądem. Match, popuszczając uważnie linkę, mówił dalej:

–To jedwabna plecionka ze Wschodu, majątek mnie kosztowała. Ale pleciona z włosia za

gruba, za sztywna, przynęta nie pracuje dobrze. A konopna za słaba... Popatrz!

Wstrzymał wysnuwanie linki. Rybka zatrzymała się na chwilę, napierana prądem strumienia. Zanurzyła się i poczęła szybko drgać. Jason aż otworzył usta ze zdumienia, tak przypominała rybi drobiazg mozolnie walczący z prądem w drodze w górę rzeki.

Match znów zaczął popuszczać linkę. Rybka zaprzestała ruchów i wynurzyła się. Płynęła teraz spokojnie, jak martwy kawałek drewna.

–Teraz powinna spłynąć aż za dołek – wyjaśniał Match. – Wtedy będę podciągał ją z powrotem. Jeżeli tam jest pstrąg, na pewno uderzy.

Zagłębiona w wodzie linka wskazywała, gdzie jest przynęta. Ściągana wolno pod prąd minęła dołek, nic się nie stało. Match pociągnął ostrzej i rybka zanurzyła się głębiej. Czuł, jak opukuje pyszczkiem twarde, żwirowate dno. Nic. Rybka wpłynęła na płyciznę.

–Bywa – rybak zwijał szybko linkę. – Spróbujemy dalej. To spora rzeczka, a pstrągów nie jest wcale tak dużo.

Następny dołek także nie posiadał lokatora lub, jak pomyślał Jason, pstrąg nie miał ochoty na przekąszanie kawałkiem drewna, mimo podobieństwa do żywej istoty. Przeszli kawałek dalej. Tym razem Match wypuścił przynętę dalej, aż pod zwalone drzewo, tworzące omszały mostek, łączący oba brzegi.

Gdy ściągana powoli rybka opuszczała cień pod pniem, w ciemnej wodzie Jason dostrzegł srebrny błysk i linka napięła się. Match spokojnie amortyzował ręką szarpanie ryby. Linka przecinała powierzchnię, ryba uciekała na boki, lecz powoli zbliżała się, przyciągana zwijaną

linką. Na koniec Match przyklęknął nad brzegiem, starannie utrzymując napięcie

linki, podebrał rybę ręką.

–Krótki – ocenił, spojrzawszy na rzucającą się rozpaczliwie rybę. Delikatnie odczepił hak, wbity czysto w wargę ryby, ostrożnie wpuścił ją z powrotem do wody.

–Nigdy nie zabieram pstrągów krótszych jak łokieć – wyjaśnił, widząc zdziwienie Jasona. – Ten nie zdążył się jeszcze ani razu wytrzeć. Wiesz, zabrać takiego, to trochę tak, jak strzelać do łoszy z młodym, nieładnie jakoś. Nawet nie walczył. Zresztą, nie mam nigdy cierpliwości do tych drobnych ości... Nie przejmuj się, są takie, będą i większe – dodał. – Najważniejsze, że dziś biorą.

Nie czekali długo. Match spróbował jeszcze raz posłać przynętę pod ten sam zwalony pień, tym razem bliżej brzegu. Już myślał, że nic z tego, przynęta minęła głęboki dołek. Zaraz jednak zwijającą linkę ręką gwałtownie szarpnęło, linka napięła się. Pstrąg uderzył pod samym brzegiem, z głębokiej burty wymytej w wysokim brzegu przez bystry nurt. Ryba uciekała w stronę płytkiej płani, napięta linka szybko cięła powierzchnię. Match z wyczuciem przyhamował jej ucieczkę, nie chcąc pozwolić, by wpłynęła w zwalone wiatrem gałęzie, tkwiące w płytkiej wodzie.

Nie spodobało się to rybie. Długie kropkowane cielsko zamłynkowało nad powierzchnią w srebrnych bryzgach, linka niebezpiecznie się zluzowała. Pstrąg próbował wytrząsnąć z pyska tkwiący w nim hak. Nie udało się, linka napięła się znów, lecz tym razem ryba uciekała na głębię, dokładnie tam, gdzie chciał ją skierować Match. Jeszcze dwukrotnie stary lorbas próbował swoich sztuczek, lecz męczył się coraz wyraźniej. Wkrótce odjazdy ryby straciły na sile, i niewiele minęło, jak pstrąg znalazł się na brzegu.

–No, ten będzie dobry – powiedział Match, zabijając rybę uderzeniem trzonka noża.
–

Jeszcze dwa takie i będzie komplet. Wystarczy dla nas dwóch... Nigdy nie zabieraj więcej, niż

dasz radę zjeść – dodał sentencjonalnie.

Za następnym zakolem było następne pobicie. Ryba nie walczyła jednak tak ostro. Mimo iż była duża, szybko znalazła się na brzegu.

–Kleń – Match pokazał Jasonowi rybę o większych łuskach i czerwonych płetwach.
–

Dobry najwyżej na zupę. Tak w ogóle, to bez smaku...

Wpuścił rybę. Dwa dołki dalej mieli następnego pstrąga, jeszcze większego niż pierwszy. Walka trwała długo.

–Uff, ten był niezły – sapnął Match z uznaniem. – Wymęczył mnie... Wypuścił przynętę w

następny dołek. Szarpnął gwałtownie ręką i zaklął: – Psiakrew, zaczepek. Daleko od brzegu, a

woda zimna... No nic, spróbujemy wyciągnąć...

Szarpnął kilkakrotnie, mocno, lecz z wycuciem. Potem pociągnął aż do mocnego napięcia linki.

–Nie puszcza, psia jego... Trzeba z drugiej strony...

Przeszedł po brzegu. Z drugiej strony zaczepek też nie puszczał. Szarpnięcia nie pomagały.

–No trudno, trzeba rwać – powiedział po chwili z rezygnacją. – Szkoda, nie mam drugiej.

No, ale te dwa powinny nam wystarczyć... – dodał, wskazując na dwa leżące w zeschniętej,

zeszłorocznej trawie cielska.

Owinął linkę na chronionym skórzanym rękawem przedramieniu, pociągnął silnie, odwracając głowę, by przypadkiem uwolniona przynęta nie wyskoczyła gwałtownie z wody i nie trafiła w oko. Nic z tego. Trzasnęło głośno i linka zwiotczała.

–Szkoda, myślałem, że też spróbujesz... – Match zwijał linkę. – Tak, dobra ta plecionka.

Pamiętaj, Jason, dobra linka to ta, która pęka na węzłach, a nie w połowie. Tylko w mróz się nie

sprawdza, chłonie wodę, robi się sztywna...

Jason kiwał głową, słuchając tych rybackich mądrości. Od dłuższego czasu podejrzewał, że cała ta gadanina nie należy do zwykłego sposobu bycia Matcha. Że służy tylko po to, by nie dopuścić innych myśli, by zagłuszyć lęk. Ciekawe, o czyj lęk chodzi, pomyślał Jason, mój czyjego? Może o jeden i drugi...

–No, nie stój tak, rozpalaj ogień – Match nie dawał chwili wytchnienia. – Ja sprawię ryby,

mam sól, zioła... Pamiętaj, ma być dużo żaru, i nie dawaj sośniny ani jałowca, będzie

śmierdzieć. Tylko brzoza, olcha...

Jedli pstrągi upieczone na patykach wbitych w ziemię obok żaru ogniska. Przegryzali ziarnistym chlebem, popijali winem z bukłaczka. Gdy wypulili już ostatnie ości i pociągnęli ostatni łyk, Jason zaczął:

–Posłuchaj, Match – urwał. Odezwał się chyba po raz pierwszy, odkąd dotarli nad strumień. Match spoglądał na niego przez siwy dym snujący się z popiołu w gęstniejącym mroku zapadającego, wczesnego zmierzchu.

–Jeszcze nie, Jason – powiedział łagodnie. – Nie dziś. Mamy jeszcze czas, nie psujmy sobie pięknego dnia...

Piękny dzień. Pierwszy piękny dzień od wielu, bardzo wielu złych dni. Pod koniec tego pięknego dnia Jason miał paskudne przeczucie, że to ostatni taki dzień. Na bardzo, bardzo długo. Może na zawsze.

Skończył się piękny dzień, odpłynął w przeszłość, jak to z dobrymi dniami zwykle bywa. Przyszły następne, nie tak może piękne, ale leszcze spokojne.

Jason opuścił już chatę przeora, nie chciał sprawiać nadmiernych kłopotów. Noce nie były już mroźne, zaczął sypiać w stodole, zagrzebany w sianie, przykryty ofiarowanym przez Matcha ciepłym, wełnianym pledem. Całkiem wróciły już siły, zaczął cieszyć się nawet z ich powrotu.

Przed wyprawą na połów pstrągów Match rzucił mu zwinięte w tobolek ubranie, swoje zapewne, byli bowiem jednakowego wzrostu, a po tym, jak Jason stracił swe długo i starannie hodowane brzuszysko, również i tuszy. Używał go teraz na co dzień, skórzanego kubraka,

krótkiego wojskowego płaszcza i długich, z cholewami za kolana, łośiowych butów. Dziwnie spodobał mu się ten strój, pasował do pokierszowanej gęby. Nie przypominał już jowialnego kupca czy wychudłego, kalekiego stracha na wróble w obszernym habicie, jakim ujrzał go niedawno Match. Wyglądał na srogiego, doświadczonego weterana.

Jakby ubiór do czegoś zobowiązywał, zaczął nieświadomie zachowywać się tak, jak wyobrażał sobie zachowanie człowieka noszącego podobne odzienie. Trzymał się prosto i godnie, poruszał się coraz sprężystszym krokiem. Match przyglądał się temu z aprobatą.

Nie narzucał swego towarzystwa, chociaż spotkali się jeszcze kilka razy. Zbyszał wciąż czynione przez Jasona próby rozpoczęcia rozmowy na bardziej poważne tematy. Jakby jeszcze na coś czekał.

Jason domyślał się przyczyn. Nie podobały mu się zbytnio, przypuszczał, że Match nie uważa go jeszcze za dostatecznie przygotowanego. Obawia się, że mógłby znów załamać się, nie wytrzymać napięcia. Sam nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie gotowy. Że wytrzyma wizje, które będzie musiał przeżyć. Które, jak przeczuwał, będą gorsze od tych, które już zobaczył. Gorsze nawet od wypowiedzianych we śnie słów, które nieskładnie powtórzył mu przeor. Tak więc nie będzie lepszej chwili.

Tymczasem jednak nie nalegał zbytnio. Ulotna radość, jaką przynosił powrót do sił i zdrowia, zacierające się powoli w pamięci koszmary, te realne, związane z paniczem Gilbertem, to wszystko warte było tej niepewności.

W klasztoru życie powoli wracało do normy. Ponieważ nic strasznego na razie się nie wydarzyło, przeor powoli zaczynał wierzyć, że tym razem jeszcze nie nadszedł dla niego czas ostatecznej próby. Choć o tym nie wiedział, to jednak miał szczęście – znalazł się wśród ludzi, których straszne wydarzenia, jakie nadeszły lub miały dopiero nadejść, skrzywdziły całkiem lekko, mimochodem niejako. Jako natura z gruntu nieskomplikowana i odporna, odzyska swą wiarę i dojdzie kiedyś do zaszczytów, jakie Bóg przeznacza na tej ziemi dla wybranych wśród swych sług. I nigdy się nie dowie, o jak ponurą tajemnicę przyszło mu się otrzeć.

Piotr powrócił do swej izdebki, opuszczonej przez Jasona. Nie sypiał już w ogólnym dormitorium, co mnisi przyjęli z niekłamanym zadowoleniem, powracając, nieśmiało zrazu, do naganego acz nagminnego, praktykowania grzechu nieczystości.

Match kilkakrotnie zabierał Jasona na polowanie. Jak powiedział, dostarczanie dziczyzny stanowiło jego główne zajęcie, świadczone na rzecz zakonników. Pryncypialny zwykle przeor przymykał oko na ewidentne kłusownictwo, klasztor bowiem nie miał lasów w okolicy, otaczająca go puszcza był dziedziną królewską.

Któregoś dnia, już w kwietniu, odbili się od klasztoru zbyt daleko, aby powrócić przed nocą. Match poprowadził do starego szałas, w którym, jak mówił, spędził już wiele nocy podczas swych leśnych wędrówek.

Rozpalili ognisko, nacięli świeżych świerkowych łapek na legowiska. Na zaimprovizowanym rożnie piekli nad żarem ustrzelonego tłustego królika. Jason spod oka obserwował swego towarzysza.

Słyszał nieraz o osławionym Wieprzu z Nottingham, zdrajcy, służalcy szeryfa, kacie męża i niewiasty. O tym, który na czele najemnych żołdaków wycinał w pień wioski, które kiedyś dawały mu schronienie. Mówiono również, że przyczynił się do śmierci Robina W Kapturze, prawego obrońcy uciśnionych i pogromcy ciemżycieli, walczącego z samowolą. Mówiono o Wieprzu, który zdradził swego wodza i za judaszowskie srebrniki przystał do ciemżyców, wysługując się im, jak tylko umiał.

Który poniósł wreszcie zasłużoną karę, ginąc jak pies z ręki niewiernych.

Ostatnie przynajmniej było ewidentną nieprawdą. Match wydawał się cieszyć dobrym zdrowiem, stwierdził Jason, przyglądając się, jak osławiony Wieprz ogryza z apetytem królicze kostki. Lecz ludzkie gadanie, zwykle przejaszkrawione i wyolbrzymione, zawsze zawierało jakieś ziarno prawdy. A nawet więcej niż ziarno. Jason, mimo iż pochodził z odległych stron, słyszał nieraz z ust godnych zaufania relacje, potwierdzające ogólne opinie. W końcu wszystko nie wydarzyło się tak dawno, nie zdążyło zatrzeć się w ludzkiej pamięci, obrosnąć zanadto mitami, uniemożliwiającymi dojście do prawdy. Tylko jakiej prawdy?

Dziwnie nie pasował mu do tego obrazu człowiek, który właśnie wysysał kostki po przeciwnej stronie ogniska. Owszem, jego twarz znamionowała surowość i nawet drzemiące gdzieś okrucieństwo, nawet jeżeli nie sugerować się paskudną blizną. Oczy spoglądały na ogół twardo, opuszczone kąciki ust wskazywały, że od lat nie miał wielu powodów do radości.

Jason wiedział, że sam wygląd człowieka nie jest zwykle dostateczną podstawą do oceny. Sam widywał nieraz okrutników, mających dobrodusze, szerokie twarze zażywnych mnichów. Żeby daleko nie szukać, szczurowaty karczmarz, za którego na podstawie pierwszego spojrzenia nikt nie dałby złamanego pensa, okazał się jednak zdolny do szlachetnych postępów. Przypomnił sobie człowieka, którego widział kiedyś wiezionego na wózku na miejsce kaźni, gdzie czekały go tortury, wśród których szarpanie rozpalonymi szczypcami miało być zaledwie łagodnym wstępem. Człowiek ten, o surowym i ascetycznym wyglądzie, spoglądał na rozwrzeszczany tłum jasnym wzrokiem męczennika idącego na śmierć za swoją wiarę. Jason wiedział jednak, że ów człowiek, niezdolny do czerpania normalnego zadowolenia z kobiety, miał tego zabijać je w okrutny sposób, folgując swym chuciom. Schwytany przy swej ostatniej ofierze, przyznał się do wszystkich czynów z dumą i radością, bez tortur, sprawiając tym niekłamany zawód katu i jego pomocnikom. Tak, pozory mylą.

Mimo to Jason uważał, że jest w stanie trafnie ocenić człowieka, nie tylko po wyglądzie, prędeż po zachowaniu się, po tym, co i jak ów człowiek mówi. Na ogół nie mylił się w swych ocenach, wyjąwszy ostatni, niefortunny przypadek.

Tak, Match stanowczo nie pasował do stereotypu zdrajcy i mordercy. Jeszcze jedno, przypomniał sobie Jason, dlaczego przeor, człowiek wprawdzie dość ograniczony, jak zdążył

się przekonać, ale niewątpliwie surowych zasad, zgodził się przyjąć do siebie kogoś, na kim ciążyła przelana niewinnie krew? Match był zagadką, tragiczną i tajemniczą. Tajemnicza i tragiczna zagadka beknęła głośno.

–Uff, dobry był króliczek – zagadał Match. – Ale mały... Jason zdecydował się. Nie

da się już zbywać.

–Match – zaczął. – Nie ma co tego przedłużać. Los zetknął nas ze sobą i trudno, obaj od tego nie uciekniemy. Nie da się więcej udawać, że jeszcze nie pora, że...

Przerwał, spojrzał mu prosto w oczy.

–Los zetknął nas – powtórzył. – Nie wiemy jeszcze po co, przynajmniej ja nie wiem. Dotąd

zawsze wydawało mi się, że to ja sam kieruję swoimi postępkami, swym, jak by to nazwać,

przeznaczeniem. Teraz mam wrażenie, że niesie mnie jakaś fala, nie wiem, dokąd, nie wiem, po

co. Czuję, jakby ktoś zdecydował za mnie, że nie mam na nic wpływu, że musi się wypełnić to,

co przeznaczone... Nie podoba mi się to, bardzo nie podoba... Wiem, że nie mogę się temu

przeciwstawić, ale przynajmniej chcę zrozumieć... Może nawet uwierzyć, że jest w tym jakiś

cel. Nie chcę mieć świadomości, że bawią się ze mną jakieś obce siły, wykorzystują mnie,

przemawiają przeze mnie, a ja mogę tylko patrzeć, jak całe moje życie diabli biorą... Nie bój

się, wytrzymam tę wiedzę, jaka by ona była. Wytrzymam, bo nie mam innego wyjścia, może

jeszcze tylko szaleństwo lub śmierć...

Match słuchał, wpatrzony w dogasające ognisko. Dorzucił dREW, aż prysnął w górę snop iskier.

–Dobrze. Jason – odezwał się po chwili – Może masz rację. Nie będzie lepszej pory.

Uśmiechnął się.:

–Przy ognisku, przy ognisku – zadrwił. – Tak siedzimy sobie blisko... Spoważniał, zniknął uśmiech.

–Dobrze, Jason – powtórzył, innym już głosem, cichym i matowym, głosem, którego Jason jeszcze nie znał. – Posiedzimy, pogawędzimy. Usłyszysz o Wieprzu z Nottingham, zdrajcy i służalcy. Posłuchasz o jego niemiłosiernych uczynkach. Przyjrzyj się im z bliska. Tak, przyjrzyj, bo wiem, że potrafisz... To dlatego los nas zetknął, dlatego, że otrzymałeś od losu ten straszliwy dar, którego najchętniej byś się pozbył. Który być może odebrał ci już przyszłość, wszelkie nadzieje i zamiary. Z którego ja zamierzam skorzystać, też po to, aby zrozumieć... Mnie też unosiły wydarzenia, których nie pojmowałem do końca i nadal nie pojmuję. Nie, nie zrozum mnie źle. Ja nie chcę tłumaczyć się z moich postępów. Szukać usprawiedliwień. Ja tylko wiem, że zbliża się czas zapłaty. Bo jest czas siewu i zbiorów, czas narodzin i śmierci, czas uczynków i czas płacenia za nie.

Oczy lśniły w blasku migocących płomieni. Lśniły twardo i złowrogo.

–Opowiem ci wszystko. I tak wszystko już wiesz, chociaż może nie zdajesz sobie z tego w

pełni sprawy. Zobaczysz wszystko tak wyraźnie, jakbyś przy tym wszystkim był, jakbyś sam w

tym uczestniczył. Nie będzie to łatwe, będziesz świadkiem cierpienia i zdrady, namiętności i

rezygnacji. I jeśli to wszystko wytrzymasz, może zdołasz pomóc mi wypełnić luki, zrozumieć... Tylko po to, brutalnie mówiąc, jesteś potrzebny, abym mógł zrozumieć, do czego jeszcze potrzebny jestem ja... Jak mogę przerwać ten błędny krąg, który właśnie zaczyna zataczać kolejny obrót.

Zamilkł na chwilę, znów szturchnął węgle patykiem. Iskry strzeliły w niebo, wypalona od spodu głównia odwróciła się i wkrótce zajęła się większym płomieniem. Match podjął po chwili:

–Dowiedziałem się nieco o tobie. Gdy jeszcze leżałeś, mało przytomny, pojechałem twoim

śladem, do karczmy. Karczmarz opowiedział mi, co zaszło. Kim naprawdę jesteś. Wiesz,

Jason, przykro mi mówić... Kiedy po raz drugi przejeżdżałem tamtędy, zastałem tylko

zgliszcza. Nikt nie przeżył, nawet kot leżał przebity strzałą na podwórzu. Przykro mi mówić,

ale powinieneś o tym wiedzieć. Za tobą, jak i za mną, idzie śmierć.

Jason bezwiednie zacisnął pięści, nic nie powiedział. Bo i nie było co.

–Dobrze więc, opowiem ci historię Matcha, syna młynarza, zasmarkanego wiejskiego

głupka, którego przygarnął Robin i jego wesoła czeredka. Historię chłopaka, którego do

siedemnastego roku życia bito i wyśmiewano, bo jąkał się i ślinił, nie potrafiąc sklecić całego

zdania. Którym pomiatał każdy, kto tylko miał ochotę. Dla którego Robin i jego ludzie stali się

niedościgłym, zdawałoby się, wzorem, w których patrzył jak w tęczę. Bo to oni byli

pierwszymi, co potraktowali go jak człowieka. Pokazali mu świat, nauczyli walczyć o siebie i

innych.

Usłyszysz o człowieku, który w zamian za to wszystko, co Robin dla niego uczynił, zaczął pożądać Marion, rojąc marzenia, jak to wtedy, gdy ów zginie, jemu przypadnie w udziale jej miłość. Nie, nie zdradziłem wtedy, nie wydałem Robina na śmierć, jak wieść gminna niesie... Nie zdradziłem, jeszcze nie wtedy...

Jason chciał coś wtrącić, nie zdążył. Znajomy błysk.

...Jeszcze nie zamknął się pierścień okrążenia. Jeszcze pozostała droga, którą można się wymknąć. Człowiek z odrzuconym na plecy kapturem trzyma dłoń na ramieniu chłopaka, po którego twarzy spływają łzy.

–Uciekaj, Match – mówi. – Uciekaj, póki jeszcze czas.

Chłopak nie rusza się. Pierścień zwiera się coraz bardziej, coraz mniej pozostaje czasu. Wie, że powinien także zostać. Zostać z nim do końca. Tylko on zobaczył w nim człowieka. Tylko on traktował go jak innych. Ale chłopiec nie chce umierać. Chce żyć. I chce także, by on zginął. Wtedy...

–A ty? – pyta, przetykając łzy.

Ja zostanę – odpowiada Robin, spokojnie, smutno. – Uciekaj, za chwilę nie zdążysz. Dostrzega dziwny wyraz oczu chłopca. Wydaje mu się, że to tylko ulga. Został sam, żołnierze u stóp wzgórza widzą jego wysoką sylwetkę na tle pochmurnego nieba. Widzą, jak

chwytła ostatnią pozostałą strzałę, wbitą w ziemię u stóp. Spokojnie naciąga łuk, mierzy. Każdemu z żołnierzy wydaje się, że to właśnie w niego.

W ostatniej chwili unosi łuk, wypuszcza strzałę prosto w niebo. Wysoko. Sledzi jej lot spokojnym spojrzeniem.

Szczękają zwolnione cięciwy kusz...

...Z białej mgły wyłania się las, ognisko, cienie tańczące na mrocznej ścianie drzew. Jasona dobiega cichy, równy, beznamiętny głos:

–...Nie tak, jak myślisz. Ale w tej chwili, gdy szczerze płakałem na myśl o śmierci Robina,

gdy chciałem z nim zostać aż do końca, gdzieś w głębi czułem tę paskudną radość. Radość, że

Marion nie będzie już jego. Jeszcze nie moja, ale kiedyś... Wiedziałem już, że zajmę jego

miejsce. Nie tylko jako przywódca banitów. Cały czas wydaje mi się, że on to wtedy dostrzegł... Że zginął, mając świadomość moich marzeń...

Nie dostrzegł, pomyślał Jason, to zostało mu oszczędzone. On w tobie widział do końca przerażonego chłopca.

–I tak ja, wiejski głupek, który wszakże bardzo się wyrobił, jak zwykł powtarzać Will

Scarlett, zostałem wkrótce przywódcą banitów. Kontynuatorem walki Robin Hooda. Nie od

razu, jednak mój zapał pozwolił z czasem na zebranie z powrotem do kupy całej bandy. W

końcu wykazałem się na tyle, że uznali mnie za przywódcę... A Marion...

Wizja przyszła łagodnie, bez ostrzeżeń i błysków. Twarz Matcha rozplynęła się niepostrzeżenie...

...Marion. Kasztanowłosa lady Marian. Gdy uciekali, uwolnieni ze stodołki, gdzie więzili ich zbrojni szeryfa, na jej pobladłej twarzy nie było widać bólu i rozpacz. Dumnie niosła miecz, który oddał jej Robin. Miecz o sławnym imieniu, o historii sięgającej legend o okrągłym stole i prawych rycerzach. Będący symbolem sprawiedliwej walki, niesplamiony krwią niewinnych, dobywany w słusznej sprawie i nie chowany bez honoru. Drobna, kasztanowłosa Marion o zielonych oczach była

twarda.

To ona zaprowadziła porządek, nie pozwoliła, by odwrót stał się bezładną ucieczką. Ona, trzymając miecz jawiła się przywódcą, pobitym, lecz niepokonanym. W zielonych oczach nie było łez.

Dopiero w nocy, skulona na świerkowym postaniu szałas w leśnej kryjówce, zaczęła płakać jak mała, skrzywdzona, bezbronna dziewczynka. Jak mała dziewczynka przytuliła się do Matcha, szukając ciepła i pocieszenia. Nie przypadkiem, gdyż zawsze wydawał się jej równie bezbronny i zagubiony, jak ona teraz. Tuliła się, kryjąc twarz na jego piersi, chlipiąc bezradnie, spragniona ciepła i bezpieczeństwa. On sztywno gładził jej włosy, nie śmiać dotknąć jej ciała. Pragnął przytulić ją z całej siły, ukołysać w ramionach. Nie śmiał, i tylko dłoń gładziła kasztanowate pukle włosów... Leżeli tak długo, on patrząc szeroko otwartymi oczyma w

ciemność, ona płacząc coraz ciszej. Gdy wreszcie usnęła, objął ją niezgrabnie. Nie zasnął do rana, czując jej oddech i ciepło... Jej upragnioną bliskość. Przez całą, długą noc...

Jason wzdrygnął się, policzki paliły. Czuł się jak jakiś pieprzony podglądacz. Wbrew sobie poddał się znowu wizji...

...Match przemawiał z pasją do otaczających go ludzi. Słuchali, dziwiąc się zapewne, skąd ten mało elokwentny dotąd chłopak, mruk i niezbyt przecież bystry, potrafi tak mówić. Ich początkowa niechęć i sceptycyzm przeradzały się z wolna w wytężoną uwagę.

Mówił o powinnościach, jakie wzięli sami na siebie, o konieczności kontynuowanie dzieła zmarłego przywódcy. Mówił o wieśniakach, dla których byli i powinni nadal być jedyną obroną przed uciskiem, przed samowolą panów i baronów. O tym, że to sam Hern Myśliwy będzie ich prowadził, jak czynił to dotąd. O długu, jaki mają wszyscy do spłacenia wobec tego, który zginął samotnie na wzgórzu. Wobec siebie.

Słuchali uważnie, bo przecież sami chcieli to wszystko usłyszeć. Być może chcieli sami to powiedzieć, ale on był pierwszy. I w tej chyba właśnie chwili zaczęli widzieć w nim kogoś więcej, niż młodego, zahukanego, niepozornego chłopaka. Po raz pierwszy ujrzeli przeczucie tych zdolności, które niebawem pozwolą poprowadzić ich do dalszej walki. Jakąś nieuchwytną charyzmę, której nie dostawało żadnemu z nich.

Nawet Will Scarlett, człowiek, co niejedno w życiu widział i przeżył, przestał krzywić się niechętnie.

Siedzieli i słuchali, bo trafiał w ich najskrytsze odczucia. Bezbłędnie odgadywał

chęć działania, odwetu czy choćby przełamania marazmu, w jakim spędzili ostatnie dni. Dni, podczas których kryli się w ostępach jak ścigane zwierzęta. Mieli tego dość, byli ludźmi czynu. A Match był pierwszym, który te odczucia wypowiedział na głos. Słuchali więc uważnie, choć był najniżej w hierarchii, choć przedtem wydawał się ostatnim, którego posłuchają.

Słuchali, czując, że z każdym słowem stają się silniejsi. We wspomnieniach zacierał się obraz zasmarkanego chłopaka, którego pamiętali zaledwie sprzed paru miesięcy. Zobaczyli nagle pewnego siebie, pełnego wiary w swe racje mężczyznę, który pierwszy miał odwagę wypowiedzieć na głos to, co wszyscy czuli gdzieś głęboko. Nie mogli znać prawdziwej motywacji...

Bowiem pod wypowiedzianymi z przekonaniem i pasją słowami o powinnościach krył się lęk, że wszystko może się nagle skończyć. Ze rozejdą się, każdy w swoją stronę. Ze nigdy już nie zobaczy Marion, tak teraz bliskiej, bliższej niż kiedykolwiek... On zaś wróci do młyna i stanie się znów zasmarkanym wiejskim głupkiem. Tak, dalsza walka była środkiem, nie celem, lecz o tym nie wiedzieli.

Przewrotny los sprawił, że to właśnie Marion pierwsza podjęła decyzję. Ujęła oburącz trzymany na kolanach miecz, stanęła przed Matchem. Podała mu miecz w wyciągniętych rękach. W zielonych oczach Match zobaczył wdzięczność. I wydawało mu się przez chwilę, że coś jeszcze...

Decyzję przypieczętował Nazir. Ten hasz-szaszi, niegdyś członek bractwa asasynów, precyzyjnie od wczesnej młodości uformowana maszyna do zabijania, wyczuwał wokół chłopaka jakąś niepochwytą aurę. Jakieś niejasne przeznaczenie do wielkich zwycięstw i równie wielkich porażek, co Nazir przyjmował z właściwym sobie fatalizmem. Tak, przed tym chłopakiem była wielka przyszłość, wielka, a zarazem mroczna i krwawa. Jak to zwykle zresztą bywa. Jeżeli mają jeszcze walczyć i zwyciężać, to tylko on może ich poprowadzić. Co może być piękniejsze dla asasyna od walki i krwi?

Położył rękę na ramieniu chłopaka.

–Co rozkażesz, Match? – zapytał spokojnie. Decyzja została powzięta...

Ognisko dogasało. Jason poczuł na plecach chłód, nie wiedząc, czy to ciągnie od niedawno rozmarzłej ziemi, czy przecucie tego, co jeszcze usłyszy i zobaczy.

–Ja nie byłem Robinem z Locksley, romantycznym i w gruncie rzeczy naiwnym szlachcicem. Robinem, który tak naprawdę walczył wyłącznie przeciwko normańskim

najeźdźcom, uosabianym przez szeryfa i jego świtę. Był Sasem czy też, jak wolisz,

Saksonem,

potomkiem Celtów, Brytów, także tych, co przybyli tu wcześniej, Jutów, może nawet Rzymian.

Dla tego saksońskiego panicza Normanowie wciąż byli najeźdźcami. On walczył o swe

dziedzictwo, tożsamość. Ja nie miałem dziedzictwa. Zacząłem wojnę, w której potyczki

przestały być jak romantyczne przygody, w których kilku śmiazków z wdziękiem przechytrza

tępe żołdactwo i okrutnego szeryfa. W której nie ginie nikt niepotrzebnie, a okrucieństwo jest

tylko po stronie przeciwnika, na którego tle wyglądamy jeszcze szlachetniej. Zacząłem wojnę,

w której nie wystarcza obrabować bogatych i rozdać biednym. Ja wiedziałem, że obdarowani

biedni zaczną uciskać tych jeszcze nieobdarowanych, wyrosną ponad nich i staną się jeszcze

okrutniejsi od tych, co ich samych przedtem uciskali. Wszystko co do tamtej pory widziałem,

dowodziło, że tak właśnie będzie. Roilo mi się co innego, że biedny puszczański lud,

wyzwolony od danin i ciężarów będzie żył sam, szczęśliwie. Będzie pracował tylko dla siebie,

wolny od panów i wyzyskiwaczy. Będzie miał znów swego Herna Myśliwego, swe święte

dęby, a nie obcych, narzuconych bogów. A ja będę ich tarczą, ich obroną, a gdy mnie kiedyś

zabraknie, to ktoś z nich przejmie moje dzieło. To było takie proste, wystarczało tylko

wypowiedzieć wojnę totalną, wojnę zniszczenia wszystkiemu, co wrogie i obce. Poczynając

**rzecz jasna od szeryfa i jego poborców, od baronów i hrabiów. A uciskani staną
wraz ze mną w**

tej sprawiedliwej walce...

**Match mówił teraz z pasją, wypluwał słowa z wyczuwalną pogardą. Twarz ściągnęła
się ze złości.**

**–Dopiero później przekonałem się, że w żaden sposób nie pokonam utartych przez
wieki**

**układów i zwyczajów. Dopiero później, gdy wszystko zaczęło wymykać mi się z rąk,
gdy**

**wszystko zaczęło stawać przeciwko mnie. Z początku nie wiedziałem, że moja
walka, mój bunt**

**to tylko kropla otoczona morzem. Że za wcześnie jest na jakiegokolwiek zmiany, że
porywam się z motyką na słońce, że nie wygram nic, dosłownie nic... To, czego
pragnąłem, nie nadejdzie chyba nigdy, a przynajmniej jeszcze bardzo, bardzo
długo... Na razie jednak zacząłem prowadzić wojnę tak, jak potrafiłem. Nie jak
szlachetny Robin Hood. Gdzieś głęboko we mnie siedział ten zasmarkany, pomiatany
chłopak, który teraz mógł odegrać się za wszystko. Za wszystkie kopniaki i drwiny,
za pogardliwe spojrzenia. Za kij, którym ojczym łoił mi skórę. Trzeba zresztą
przyznać, że był osobiście sprawiedliwy, bił mnie nie częściej, niż inne dzieci. Co nie
znaczy, że rzadko. Teraz ten pomiatany chłopak miał w ręku miecz, który sam w
sobie był legendą. Miał ludzi, którzy go słuchali, szli za nim w ogień, na dobre i złe.
Za nim szła legenda Robina, legenda, bez której, jak sam nawet wtedy przyznawał,
byłby nikim... Dołączali nowi ludzie, przyciągnięci tą legendą, ale także już jego
własną sławą. Rósł w siłę, straty, jakie powodował u przeciwników, były poważne.
Znacznie poważniejsze, niż te, których kiedykolwiek przysporzył Robin, nawet w
najlepszych swych czasach. Skończyło się wypuszczanie w samych gaciach
pokonanych zbrojnych, na pośmiewisko gawiedzi. Nie było kogo wypuszczać... W
przeciwieństwie do naiwnego i szlachetnego Robina wiedziałem, że ośmieszony
żołnierz wyfasuje nową odzież i ekwipunek, po czym wróci, tym groźniejszy, że
wściekły i dyszący żądzą zemsty. Nie pozwalałem na to... Odnosiłem sukcesy.
Zaczynano mnie postrzegać z lękiem i podziwem. A Marion... Wydawać mi się
zaczęło, że coraz częściej spogląda na mnie z czymś więcej niż podziw... Nie myliłem
się chyba... Wszystko układało się pomyślnie. I chyba od tego zaczęło przewracać
mi się we łbie...**

**Match przerwał swój cichy monolog. Ujrzał Jasona skulonego nad wygasłym prawie
ogniskiem.**

–Skończymy na dzisiaj – powiedział. – Jeszcze wiele przed nami, dopiero zaczęliśmy. Wrzucił w dogasające ognisko grube jesionowe kłody, które przywlekli przedtem z lasu.

–Będą się tlić całą noc, będzie ciepło...

Jason ocknął się, gdy tylko pierwszy brzask rozjaśnił mroczny las. Leżał przez chwilę, patrząc jak oddech skrapla się jasną chmurką w rześkim powietrzu. Zupełnie nie mógł uświadomić sobie, gdzie się znajduje. Nie wiedział, co go obudziło, czy było to dokuczliwe zimno, które wkradło się pod okrycie. Pamiętał za to dokładnie sen, pierwszy sen od wielu dni, który nie uleciał z pamięci zaraz po obudzeniu. Pamiętał dokładnie każdą sytuację, każde wypowiedziane słowo. Jego samego nie było w tym śnie. Wszystko widział jakby z boku, sam będąc dla innych niewidzialny. Słyszał najskrytsze myśli. Niebywały, wyrazisty sen.

Dotarła do niego wreszcie świadomość czasu i miejsca. Szałas zagubiony w leśnej głuszy, opowieści ciągnące się długo w noc, zwierzenia i wizje... Niepokojące wizje. Odpędził na chwilę kłębiące się przed oczyma obrazy, powodowany prozaiczną potrzebą opróżnienia pęcherza.

Niegdyś nie wierzył w sny, w ich znaczenie. Nawet teraz, po tym jak doświadczył tylu dziwnych i niezwykłych przeżyć, nadal traktował je z rezerwą. Ten był jednak na tyle inny, że musiał poważnie zastanowić się nad jego znaczeniem. Wiele przemawiało, że nie był zwykłym snem, był kontynuacją wizji, których doznawał na jawie. Rozpoznawał w tym śnie ludzi, co do których był pewien, że nigdy ich w życiu nie spotkał. Miejsca, w których nigdy nie był.

Stojąc nad parującą w chłodzie poranka kałużą. Jason przecierał zapuchnięte oczy. Potem trzęsąc się z zimna, rozgarnął szary popiół ogniska w poszukiwaniu głęboko ukrytego żaru. Dorzucił drobnych gałązek, patrzył jak zajmują się pierwszym, nieśmiałym płomieniem. Dołożył większych drewek. Gdy ogień znów rozpalił się na dobre, usiadł przy nim skulony, owinięty pledem. Rozpamiętywał dziwny, wyrazisty sen...

Kolumna zbrojnych jechała wolno puszczańskim traktem, zmarznięta ziemia dźwięczała pod podkowami. Dzień był mroźny, słoneczny, jeden z pierwszych, mroźnych, lecz jeszcze bezśnieżnych dni późnej jesieni. Konie poparskiwały, wypuszczając wraz z oddechem kłęby pary.

Zbrojnych było wielu, kolumna rozciągnęła się znacznie. Przodem jechali konni żołnierze, dobre dwie setki chłopca. Jechali wolno, czujnie rozglądając się wokół, dobrze pamiętając to, co przytrafiło się ich poprzednikom. Jednak wokół wciąż było spokojnie, widzieli tylko bezlistne już drzewa, nie licząc rzadkich w tej części puszczy dębów, które swymi suchymi, zbrunatniałymi, pozwijanymi liśćmi potrafiły szeleścić

aż do wiosny. Ten brak liści i rzadkie poszycie cieszył otuchą, utrudniał ukrycie się łucznikom. Tak, pora roku zdecydowanie sprzyjała wyprawie.

Guy Gisbourne, zaufany szeryfa, dowódca i organizator wyprawy, która w zamierzeniach była karną ekspedycją mającą położyć kres rebelii, inaczej bowiem nie można było tego nazwać, jechał za zbrojnymi, za towarzystwo mając kilku szlachty z okolicznych dworów i kaszteli.

Kolumnę zamykały wozy. Ponieważ wyprawa planowana była na kilka dni, na wozach wieziono spore zapasy jada i wszelakich napitków. Wprawdzie zbrojnych wysyłano nawet na dłuższe wyprawy bez żadnego zaopatrzenia, licząc na to, że przeżyją tym, co przezornie zabiorą ze sobą w sakwach lub ukradną po drodze, ale panowie szlachta i sam Gisbourne nie będą przecież żywić się suchym chlebem i łapać kur po obejściach.

Gisbourne zdusił w sobie obawy dręczące go od chwili, gdy las zasłonił za nimi pola i wioski. Przebyli już ładnych parę mil, a nic się nie stało. Nie zaświszczała znienacka strzała, nie spotkali ani zoczyli żadnej żywej duszy. Zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem banici nie postanowili przezimować i nie wychylać nosa aż do wiosny, zapadając w niedostępnych uroczystkach. Ale nie, przecież nie dalej jak wczoraj złupili kupców na trakcie wiodącym wedle lasu. Według opowiadań ocalałych napastników było wielu, bez problemu poradzili sobie z

eskortą złożoną z przygodnych zabijaków, którą zapewnili sobie przezorni kupcy. Jak się okazało, nie dość przezorni...

Może przestraszyli się siły, jaką prowadził? Możliwe, Gisbourne zaklął pod nosem. Trzeba było podzielić siły, wysłać kilkunastu przodem. Po pierwszym ostrzale mogliby zawrócić skokiem i wciągnąć banitów w zasadzkę. Można jeszcze by tak zrobić...

Jadący obok baronet William, najstarszy syn barona z sąsiedztwa, młodzieniec chudy i krostowaty, z wystającymi spod misiurki sztywnymi, konopiastymi blond włosami, podsunął się bliżej.

–Coś nie widać tych waszych banitów, panie hrabio – powiedział cedząc pogardliwie słowa. – Obyśmy tylko nie na darmo dupska na kulbakach wytrząsali, w dodatku w taki chłód.

Gisbourne nie odpowiedział od razu. Też ci się spieszy, pomyślał z niechęcią. Zobaczmy, jak ci strzała nad uchem świśnie...

–Oj, słusznie prawicie, słusznie – dodał drugi, z drugiej strony, przypominający jako żywo z tuszy i aparycji dorodnego wieprzka, wbitego w kolczugę. Gisbourne nie

pamiętał, czym był synem.

–Widzi mi się, że wy i ten wasz szeryf zającem kapoty macie podszyte – ciągnął ubrany w kolczugę wieprzek niewiadomego pochodzenia. – Toć my sami tu byśmy wystarczeli, nie trza tego wojska, coście tu, panie hrabio, zgromadzili, he, he... – zarechotał.

Gisbourne zmeł w ustach przekleństwo. Ale ostatecznie, kto płaci, ten ma prawo narzekać. To okoliczna szlachta finansowała wyprawę. Poprzednie klęski mocno uszczupliły szeregi zbrojnych szeryfa. Stan szkatuły także.

–I to za nasze pieniądze – dodał krostowaty, jakby zgadując jego myśli.

Pozostali synowie, bracia i inni krewni zachowywali na razie taktowne milczenie. Rozglądali się tylko ponuro, najwyraźniej przyrównując zainwestowane środki do osiągniętych do tej pory skutków.

–Toć mówiliście, panie hrabio, że do tego lasu w ogóle wjechać nie można – krostowaty

najwyraźniej nie zrażał się brakiem odpowiedzi. – Że od pierwszych stajń nie przymierzając,

mieczami drogę wyrąbywać będziemy. A tu co, pusto, głucho, psa z kulawą nogą nie widać...

Splunął, o mało nie trafiając własnego konia między uszy.

–Mówię, zającem podszyty ten nasz szeryf – podjął ochoczo temat wieprzek. – Rebelią straszył, pod wasze zamki i dwory, powiadał, podejdą... W zarodku zdusić trza...

–Terror zaprowadzają, prawil – dodał ze swej strony krostowaty. – A wiecie co, panie hrabio? A nam się widzi, że nasz szeryf, jak by to rzec, niezguła jest. I to wasze wojsko diabła warte... Mówicie, że z pierwszego podjazdu ni świadek nie wrócił? Że następne hołota poszczerbiła? A to ja wam powiem, takie wojsko, to sobie możecie wsadzić w rzyć!

Synowie, bracia i krewni zgodnie zarechotali. Zadowolony z efektu, krostowaty ciągnął dalej:

–Takie wojsko, co go hołota pobiła! Kmioty z lasu! Paru rzezimieszków, po traktach zebranych! To powiem wam, panie hrabio, takie wojsko jak wasze, to i moi stajenni widłami by

rozpędzili... Nie trza byłoby tych walijskich odmieńców.

Tu cię boli, zauważył hrabia z mimowolnym rozbawieniem. Walijscy łucznicy, ukryci pomiędzy zbrojnymi, byli jego tajną bronią mającą odegrać kluczową rolę w spodziewanej potyczce. Ponoć niezrównani w strzelaniu z długiego łuku. Jeśli sądzić po cenie, jakiej zażądali, rzeczywiście musieli się za takich uważać.

–Tak – zawołał wieprzek. – Słusznie prawi! Nas trzeba było od razu poprosić, nie wstydić

się! Już dawno hołota by na stryczkach tańczyła!

Ach, pocałuj mnie, pomyślał Gisbourne. Gdyby nie sakiewka twojego tatusia, nikt by sobie tobą dupy nie zawracał.

–Wybaczcie, szlachetni panowie, obowiązki wzywają! – powiedział zimno i ruszył w skok. Ścigał go zgodny rehot.

Wciąż nic się nie działo. Próżno ukryci wśród maszerujących zbrojnych Walijszczy czujnie rozglądali się wokoło. Las jak był pusty, tak pozostał. Zapadał wczesny jesienny zmierzch.

W miejscu, gdzie gościniec przecinał dużą polanę, rozłożyli nocny obóz. Próżno stary, doświadczony wojak tłumaczył hrabiemu, żeby nie palić ogni i czuwać do rana. Gisbourne przychyliłby się do tej, rozsądnej jak sam stwierdził propozycji, mimo iż z niechęcią myślał o spędzeniu mroźnej nocy, mając za jedyną ochronę przed chłodem podbity futrem płaszcz. Panowie szlachta zaprotestowali jednak zgodnie.

Wkrótce zapłonęło wesoło wielkie ognisko, podsycane z zapalem przez koniuchów przynaglanych rozkazami zgłodniałych i spragnionych szlachciców. Na widok wypakowywanych z wozów bukłaków i połci mięsa szlachetnym panom wrócił humor, którego nie dostawało im podczas jazdy. Zasiedli kręgiem przy ogniu, gadając i śmiejąc się głośno, aż echo niosło się po ciemnym lesie. Na sąsiednich ogniskach piekły się całe ćwiartki baraniny. Zapach dotarł do żołnierzy, którzy z braku czegoś lepszego wyciągali ze swych juków połcie wędzonki. Wkrótce, pomimo niechętnych spojrzeń starszyny, zaczęli rozpalać własne ogniska.

Hrabia machnął na wszystko ręką. Usiadł w kręgu szlachty, z przyjemnością wyciągając zziębnięte dłonie w stronę ognia. Z wdzięcznością przyjął kubek wina.

W miarę wypijanego wina wesołość przy ognisku stawała się coraz głośniejsza.

–A mnie się widzi – perorował młodzik z haczykowatym nosem, jak przypomniał sobie

Gisbourne brat krostowatego. – A mnie się widzi, że dopiero w wiosce ich zdybiemy, jak piwo

żłopią i niczego się nie spodziewają. Taki kmiot to przecie głupi, ot, kupców złupić, to w sam

raz na jego rozum. Ale jak złupi, to myśli sobie, że jak w las odskoczy, to nikt go nie znajdzie...

–Głupiś – zgromił go krostowaty starszy brat. – Starszych lepiej słuchaj! To nie z głupoty

kmiot tak robi, tylko że taka jego natura, bydlęca, w samej rzeczy! On poza własnym gnojem

świata prosto nie widzi, to i dokąd ma pójść?

Gisbourne nie brał udziału w dyskusji. Nie bawiła go jakoś.

–A wy, panie hrabio, coście taki miłkliwy? – spytał ktoś z przekąsem. – Co, nie w smak wam nasza kompania?

–Dajcie spokój, panie! – zarechotał wieprzek. – Pan hrabia martwi się, że banici tyły podali. Bo jakby nie, to dopiero by nam pokazał, odwagą zadziwił... Chrobry przecie pan, nie to co jego wojaki.

Wokół ogniska podniósł się zgodny rechot. Gisbourne poczuł, jak czerwienieją mu policzki. Następnym razem niech sobie szeryf sam jedzie, pomyślał ze złością. Powiem mu to, jak tylko wrócę, klnę się na wszystko, że powiem...

–Paszcie, jah to na gembie pan hhabia pokhaśmał – krostowaty wskazywał na Gisbourne'a

trzymanym w ręce baranim gnatem. Mówił trochę niewyraźnie, przeżuwając odgryziony kęs. –

Fidać skhomność u niego hówna otwadze...

Śmiał się, aż łzy pociekły mu z oczu. Wtem zacharczał głośno, jakby zakrztusił się przeżuwany, wielkim kawałem mięsa. Oczy wyszły mu na wierzch.

–Wina mu dać, niech popije – wrzasnął ktoś.

–A walnij go tam który w plecy, prędzej, bo się zatchnie! – dodał drugi. Wybałuszone oczy krostowatego wywróciły się do tyłu, źrenice uciekły w głąb czaszki. Powoli zwałił się twarzą na ziemię.

Pomysł, by potraktować go po plecach okazał się spóźniony. Ktoś to zrobił wcześniej – w okolicy łopatk, pod dziwnym kątem tkwiła wbita prawie po brzechwy strzała.

Z daleka strzelają, uderzyła prawie pionowo z góry, przemknęła hrabiemu myśl, gdy zrywał się z ziemi. Nie było wcale słyhać, nie dziwota, w takim hałasie...

Strzały sypały się zewsząd jak grad. Niektóre ze stukotem wcinały się w twardą, zmarzniętą ziemię. Nie wszystkie. Gisbourne zauważył, jak jedna z biegających beładnie postaci zwija się z jękiem i pada, za chwilę druga. Zakwicział przeraźliwie zraniony koń.

–Gasić ognie, gasić ognie! – wrzeszczał ktoś przytomnie. Ta rozsądna rada nie zdała się na

nic. Nie było czym.

Żołnierze, którzy zdołali napiąć kusze strzelali na oślep w las. Reszta, zamiast kryć się w cieniu, biegała jak oszałała, jak ćmy niemogące wydostać się z kręgu światła.

Gisbourne dał nura pod najbliższy wóz.

Pod wozem leżało już pięciu walijskich łuczników. Niechętnie posunęli się, robiąc mu miejsce. Hrabia szarpnął najbliższego za ramię.

–Co wy tu robicie? – ryknął wściekle. – Wyłazić mi stąd i strzelać! Walińczyk spojrzał na niego z ukosa.

–Chętnie, panie – odpowiedział spokojnie po chwili. – Jak tylko powiecie, do czego...

O wóz stuknęła strzała. Za chwilę druga, trzecia. Następna przebiła półcalowe deski, jej grot zatrzymał się tuż nad głową hrabiego. Gisbourne przypadł do ziemi.

–Długa strzała, dalekiego zasięgu – ocenił beznamiętnie łucznik. – Trzydzieści cali, jak

nic. Są ze trzysta kroków stąd.

Drugi grot przebił deski.

–Łuk co najmniej stufuntowy – z uznaniem dodał Walińczyk. – Ten sam strzelec, dobry. Będą jeszcze dwa.

–Skąd wiesz? Widziałeś go? – parsknął nerwowo hrabia.

–Po co widzieć? Wystarczy zobaczyć to – łucznik wskazał na wystające z desek groty. – Jak wyjmiesz strzały z kołczanu, to chwytasz je między palce, o tak – pokazał. – Po to, żeby nie pogiąć brzechw. Wbijasz je potem w ziemię, przed sobą, żeby nie tracić czasu. A łuk... Przy mniejszym naciągu strzała nie poleciałaby tak wysoko, żeby spadając przebić...

Trzask. Następny grot wystrzelił przez deski. Posypały się drzazgi.

–...żeby przebić te deski – przecierając zaprószone oko, wyjaśnił łucznik. – Teraz będzie

ostatni. I koniec.

Ostatniego nie widzieli. Widocznie łucznik zmienił punkt celowania.

Zgodnie z przewidywaniami Walijczyka grad strzał ustał, tak samo nagle, jak się rozpoczął. Bieganina znacznie osłabła, widać sporo ludzi znalazło już schronienie, chowając się w mrok na skraju lasu. Jęki rannych świadczyły o tym, że nie wszystkim się udało.

Ogniska, które udało się rozrzucić, przygasły.

–No, na razie koniec – stwierdził łucznik i zaczął gramolić się spod wozu. Gisbourne złapał go za nogę.

–Zaczekaj, skąd wiesz, zaraz mogą znowu... Albo uderzą...

–Posłuchajcie, panie – zaczął uprzejmie, acz z lekkim już zniecierpliwieniem łucznik. – Nie wiem, jak to u was, ale... Strzelać dalej nie będą, bo ludzie pochowali się już w zarośla, a strzelać w gąszcz po ciemku, to marnowanie strzał. Co innego, kiedy siedzieli jak barany przy ogniu... I tak napsuli ludzi... Nie uderzą zaś, bo po co walczyć wręcz z kimś, kogo można z daleka ustrzelić, nie dziś, to jutro. My u siebie zawsze tak robimy. Nie wyjdziecie z tego lasu, nie wyjdziecie... – pokręcił głową.

–Jeżeli my nie, to i ty też! – krzyknął ze złością hrabia.

–Co do nas, to nie jest tak zupełnie pewne – uśmiechnął się łucznik w odpowiedzi.

Gdy wstał poranek po ciągnącej się bez końca, długiej nocy, spędzonej bez snu i bez ognia, Gisbourne obszedł polanę. Stracili blisko jedną czwartą ludzi. Większość rannych nie doczekała wschodu słońca. Padła połowa koni.

Ruszył w kierunku stojącej w zwartej grupie szlachty. Spośród niej zabrakło jedynie krostowatego, zabitego na początku ataku. Reszta miała szczęście. Stali, rozmawiając półgłosem. Gdy podszedł, zamilkli jak na komendę.

–Wracamy – powiedział bez żadnych wstępów.

–Jak to, wracamy? – spytał jeden po dłuższej chwili. Gisbourne zdziwił się, sądził, że jest to dla wszystkich oczywiste. Straty były duże, a taktyka, którą zastosował przeciwnik, nie dawała żadnych szans na obronę. Żeby tylko zdążyć przed zmierzchem opuścić las. Miał nadzieję, że w dzień nie zaatakują. I tak trudno będzie, pomyślał, koni mało. Najwyżej wozy trzeba będzie zostawić, tak, to najlepsze wyjście, tylko opóźniałyby marsz. Niektóre konie będą musiały ponieść po dwóch, inaczej nie zdążą wyjść z lasu. Następnej zaś nocy nie przetrzymają, tego był pewien.

–Popatrzcie wokół, jeśli jeszcze nie rozumiecie – hrabia poparł swe słowa wymownym gestem. – Straciliśmy połowę koni, wielu ludzi. Nawet nie widzieliśmy, kto do nas strzela, a...

–Prawdę o was mówili, panie hrabio – przerwał bezceremonialnie ten z haczykowatym nosem, brat zabitego strzałą w plecy krostowatego. – Prawdę mówili. Tchorzem podszyci jesteście, w gębie jeno mocni... Chcecie, to zawracajcie, nie zatrzymujem... – popatrzył po towarzyszach.

Zgodnie pokiwali głowami.

–Nie zatrzymujem! – potwierdził któryś. – Zawracajcie, a bystro, takich lękliwych to nam

nie trzeba! Tfu! – splunął hrabiemu prosto pod nogi.

Gisbourne rzeczywiście nie był zbyt odważny, tym niemniej wielce wrażliwy i mający duże wyobrażenie na temat własnej osoby. Poczuł, jak zalewa go złość, od której pociemniało mu w oczach. Zmacał rękojeść miecza.

–Niech no pan hrabia zabierze z powrotem tę rękę, i wsadzi ją sobie w rzyć, dla przykładu

–wycedził haczykowaty nos. – Bezpieczniej dla hrabiego będzie. Bo tak, stracić ją

przypadkiem może... Patrzcie go, banitów się wystraszył, wracać chce, a tu obraził się, broń

podnosi. I to na kogo, pytam się, na kogo?

Do Gisbourne'a dotarła nagle liczba przeciwników. Ochłonął w mgnieniu oka. Spróbował z innej beczki, może uda się przemówić do rozsądku.

–Nie ze strachu ja powrót proponuję – zaschło mu naraz w gardle, odchrząknął.

–Nie ze strachu – podjął po chwili, postanawiając nie zwracać uwagi na pogardliwe śmiechy. – Tylko dlatego, że straty duże nam zadano. Koni braknie...

Najstarszy obecnie syn barona postąpił krok, stanął tuż przed hrabią. Ujął się pod boki.

–Tedy posłuchaj, panie hrabio – wysyczał z wściekłością, zionąc mu prosto w twarz.

–

Posłuchaj. Sram na twoje straty, twoje konie. Nie będzie żaden pasowany rycerz przed hołotą z

lasu uciekał. W nocy nas, zdradliwie napadli, jak to zbóje i rzezimieszki, bez zasad i honoru.

Ale w dzień, w polu nam nie strzymają. Na kopytach ich rozniesiemy. Bo ty może o tym nie

pamiętasz, ale honor nam droższy. I powiadam jeszcze raz, zakarbuj to sobie dobrze, panie

hrabio! Szlachcic przed chamem nie ucieka! Bo jak ucieka, to nie szlachcic on już, nie hrabia, ale chmyz zwykły i jako chmyza traktować go trzeba!

Gisbourne cofnął się i odwrócił głowę. Nie ze strachu, tym razem, jak pomyśleli zapewne mający o nim już wyrobione zdanie pasowani rycerze. Syn barona miał wyjątkowo nieświeży oddech.

Gdy hrabiemu udało się zaczerpnąć świeżego powietrza, próbował spokojnie rozważyć zaistniałą sytuację. Próba przemówienia do rozsądku zawiodła. Nie miał zresztą wielkiej nadziei, pasowany rycerz, gdy tylko przypomniał sobie o honorze, stawał się ślepy i głuchy jak tokujący głuszc. Za wyjątkiem nielicznych realistów, do których zaliczał się hrabia. Mimo to spróbował jeszcze raz.

–Ale zważcie szlachetni panowie, że jak sami mówicie, zasad ani honoru chamy te nie

znają. Nie staną oni nam w polu, tylko znów zdradliwie następnej nocy z łuków ostrzelają. Nie

chcę bez pożytku zbrojnych wygubić. Mnie to szeryf dowódcą tej wyprawy naznaczył, na mnie

tedy odpowiedzialność spoczywa. Zastanówcie się...

Zbyt wiele wymagał. Baronet znów postąpił krok do przodu. Był już zupełnie wściekły.

–Gównu mnie obchodzą wasi zbrojni! – wrzasnął, pryskając śliną. – Jak dupa jest do srania, tak zbrojny po to jest, by za swego pana zginąć! Ochoczo! I z pożytkiem, w miarę możliwości! Mienicie się dowódcą, panie hrabio? To mówię wam, wskakujcie na kulbakę i zaczniecie dowodzić!

–I dobrze wam radzimy, bystro, żebyśmy nie musieli was sztychem na koń podsadzać! – dodał niezidentyfikowany głos.

Hrabia posłuchał płynącej ze szczerego serca rady.

Niedługo spostrzegł, że dowódcą pozostał jedynie nominalnym. Panowie naradzali się dłuższy czas, narada chwilami przeradzała się wręcz w kłótnię. Dla uspokojenia nastrojów kazano przynieść z wozów ocalałe, niepodziurawione bukłaki wina. Jak zauważył Gisbourne, usiłujący w międzyczasie ocenić straty i zaprowadzić jaki taki porządek wśród ocalałych z ostrzału sił, ścierały się dwa główne poglądy. Pierwszy, że należy natychmiast siadać na koń i ruszać na przełaj śladem banitów. Jak, po bezdrożach, tym nie zaprzętało sobie głowy. Drugi plan zakładał wyruszenie w dalszą planowaną drogę i gdy banici zastąpią drogę, roznieść ich frontalnym atakiem. Nikt nie dostrzegł jednak podstawowej wady drugiego planu, co mianowicie zrobić, gdy banici drogi nie zastąpią.

Narada wojenna skończyła się około południa. Zwyciężyli zwolennicy drugiego planu. Pocieszyło to nieco Gisbourne'a, gdyż pierwszy pomysł był oczywistym szaleństwem. Zejście z utartych traktów w tym przeklętym lesie, bez przewodników, o których wprzód nie pomyślano, groziło w najlepszym razie pobłądzeniem i zalegnięciem w bagnach, których było tu wcale niemało. Zaś zbrojni w lesie niewiele mogli zdziałać przeciw puszczańskiemu łucznikom, nie mówiąc już o rycerzach. Drugi plan też nie był dobry, lecz dawał pewne szansę, jeżeli nie powodzenia, to przynajmniej wyjścia cało. Gisbourne podjął już decyzję.

Gdy ruszyli dalej, las po obu stronach traktu wciąż wyglądał na pusty, tak jak wczoraj. Hrabia nie dostrzegał nikogo, lecz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że stale śledzą ich jakieś niewidzialne oczy. Nie mylił się.

Marsz był powolny, pozostałe konie, obciążone, szły wolno. Zmierzchało już, gdy drogę przegrodziły zwalone pnie. Kolumna zatrzymała się w pewnej odległości od przeszkody.

Zbrojny, wysłany do bliższego jej zbadania, wrócił dziwnie szybko.

–Nie da się objechać – zameldował. – Las po bokach gęsty, wozy nie przejadą. Ściągnąć na

bok się nie da, za duże pnie, rosochate, w siebie wczepione. Rąbać by trzeba, ale to na cały

dzień roboty... – machnął ręką ze zniechęceniem.

Gisbourne podjechał do baroneta.

–Teraz to już zawracajmy, panie – powiedział. Nie doczekał się odpowiedzi.

–Wracajmy, to na nic – powtórzył.

Do baroneta nic nie docierało. Spoglądał na zaporę pustym wzrokiem.

–Do siekier! – wrzasnął, nie zwracając uwagi na hrabiego. – Rąbać tam, a żywo!

Żołnierze z ociąganiem zsiadali z koni, spoglądając po sobie ukradkiem. Nie mieli ochoty

leżać jak barany w ewidentną zasadzkę. Niektórzy rzucali niezbyt przyjazne spojrzenia na baroneta.

–Rąbać, bo obwiesić każę! – zbrojni jednak wcale nie ruszali się szybciej, spojrzenia

rzucane baronetowi stawały się coraz bardziej wymowne. Zaczęli się zatrzymywać.

Ten dureń nic nie rozumie, przemknęło hrabiemu przez głowę. Nie zapanuje nad nimi. Podjechał do baroneta, chwycił jego konia za wodze. Baronet szarpnął się wściekle, chwycił za miecz.

–Z drogi! – wrzasnął. – Z drogi, bo jak cię za...

–Rozejrzyj się, durniu! – wrzasnął równie głośno hrabia. O dziwo, poskutkowało. Baronet toczył przez chwilę wściekłym spojrzeniem, ale puścił rękojeść miecza. Dostrzegł zbrojnych, stojących zwartym murem, wpatrzonych w niego ponuro. Dwóch czy trzech zamiast siekier trzymało kusze. Napięte.

Z baroneta uszło całe powietrze. Nie protestował, gdy hrabia, trzymając za wodze jego konia, odciągnął go na bok.

–Jeśli już uparłeś się ciągnąć tych ludzi na śmierć, to częściej oglądaj się za siebie

–

Gisbourne mówił spokojnie, mając nadzieję, że nikt nie dostrzega trzęsących się rąk. –

Zmierzcha się już, za chwilę będzie ciemno, wystrzelaliby ich przy tej zaporze jak

kaczki. Oni o

tym wiedzą, nie bój się. Pomyśl trochę, to naprawdę takie trudne? Jak myślisz, dlaczego chcieli

nas akurat tutaj zatrzymać? Jak myślisz, jakie mamy szansę na przeżycie tu kolejnej nocy?

Zresztą, do diabła, gównu mnie obchodzi, czy ty w ogóle myślisz! Zejdź mi tylko z drogi.

Zawrócił konia.

–Wsiadać tam, szybko – krzyknął do żołnierzy. – Zawracamy.

Hrabia miał nikłe, co prawda nadzieje, że odjeżdżając jak najdalej spod zapory, pokrzyżuje plany banitów. Pewien był, że w nocy znów zaatakują, ale niekoniecznie w dogodnym, wybranym przez siebie miejscu. Teraz tylko odskoczyć jak najdalej...

Odwrót przebiegał szybciej, niż marsz w przeciwną stronę. Wszyscy chcieli przed zapadnięciem zupełnego mroku przejechać jak najwięcej. Mieli nadzieję, że banici poruszają się pieszo, że uda się zwiększyć dystans.

Nie zatrzymali się, gdy nastał wczesny, jesienny zmierzch. Księżyc wprawdzie był w drugiej kwadrze, lecz przesłaniały go niskie chmury. Mimo to Gisbourne nie pozwolił się zatrzymać. Jechali nadal, wolno wprawdzie, ale nie zatrzymując się.

Panowie szlachta wlekli się tuż przed wozami zamykającymi kolumnę, niespotykane milczący, zbici w ciasną gromadkę. Może dotarło coś do tych zakutych łbów, pomyślał Gisbourne, lepiej późno niż wcale. Pomny wczorajszych i porannych upokorzeń, nie miałby zresztą nic przeciwko temu, aby banici wystrzelali ich wszystkich, co do jednego.

Koszmary marsz trwał długo, bardzo długo. Dopiero gdy ponad miarę obciążone konie zaczęły się coraz częściej potykać, hrabia niechętnie zdecydował, by zatrzymać się do rana.

Nie musiał przypominać, by nie rozpalać żadnych ogni. Nawet panowie szlachta tym razem nie nalegali. Jazda po ciemku dała im zresztą w kość tak samo, jak wszystkim, wyleczyła ich ze zwykłej kłótności i warcholstwa. Milcząc, zsiadli z koni, skulili się, owinąwszy w burki i opończe.

Wymęczeni żołnierze kładli się gdzie popadło, grzejąc się jeden od drugiego. Najlepiej mieli wozacy, układający się na słomie moszczącej wozy, z których ukradkiem wyrzucali po drodze zapasy, by ulżyć koniom. Pozostali popatrywali na

nich z zazdrością.

Choć hrabia, tak jak wszyscy, padał z nóg, wyczerpany nieprzespaną nocą, ciągłym napięciem i długą jazdą w ciemnościach, gdy wciąż musiał podrywać potykającego się konia, rozglądał się usiłując przebić wzrokiem gęstą ciemność. Wreszcie dostrzegł to, czego szukał. Sześciu walijskich łuczników nie ułożyło się gdzie bądź, jak reszta ludzi. Gisbourne znalazł ich na skraju zarośli, oddalonych od całej reszty. Nie sprawiali wrażenia ludzi, szykujących się do snu czy odpoczynku. Siedzieli okutani w swe wełniane pledy, jednak długie łuki trzymali na podporządku. Spod kapturów błyskały czujne oczy.

Hrabiemu zapadły głęboko w pamięć słowa wypowiedziane pod koniec przez jednego z łuczników. W słowach tych dostrzegł szansę na wydobyć się cało z całej tej nieszczęsnej awantury. Po krótkim wahaniu ruszył w stronę siedzących.

Gdy stanął przed nimi, żaden nie raczył nawet się poruszyć. Nie mając innego wyjścia, Gisbourne także usiadł.

–A co wy tak, na uboczu, nie ze wszystkimi? – spytał, nie oczekując odpowiedzi, po to tylko, by przerwać milczenie.

Siedzący najbliżej, jak poznał hrabia, ten, z którym rozmawiał podczas nocnego ataku, nie od razu odpowiedział. Przez dłuższą chwilę mierzył Gisbourne'a chłodnym spojrzeniem. Ten spuścił wzrok. Obawiał się, by ten przedwcześnie nie zauważył prośby w jego oczach.

–Widzicie, panie – odparł po dłuższej chwili łucznik. – Głupio czegoś tak w kupie, na samym środku gościńca siedzieć, kiedy tylko czekać, jak strzały spadną.

Pokręcił z dezaprobatą głową.

–Bardzo głupio – ciągnął. – My zaś nie lubimy karku bez potrzeby nadstawiać...

–Nie sądzę, żeby tej nocy nas dopadli – odparł Gisbourne, w głosie można było wyczuć bardziej nadzieję niż powątpiewanie. – Oni czekali na nas przy zaporze, tam byli przygotowani. Odskokczyliśmy daleko...

–Nie liczyłbym na to zbyt, panie hrabio, nie liczyłbym – pokręcił głową łucznik. – Oni puszczą znają, gościniec kręci, na skrót mogli, przez las. Nie ciągną ze sobą wozów, lekko idą. Po mojemu, to już czekają. Czekają, aż pośniemy.

–A tak w ogóle, to trzeba było powiedzieć, żeby w kupie nie siadać, jak żeście tacy mądrzy – ze złością rzucił Gisbourne.

Łucznik znów milczał przez dłuższą chwilę. Ktoś inny złośliwie zachichotał. Łucznik spojrzał groźnie i śmiech umilkł.

–Bo widzicie, panie – zaczął z namysłem. – Aby zwierzchności głowę zawracać, to najpierw trzeba wiedzieć, kto owa zwierzchność. A tu już nijak nie można rozeznać, kto

dowodzi, wy, panie hrabio, czy ów gołowąs, w samej rzeczy dupek, co tak głośno wrzeszczy.

Który jak wam rankiem kazał, to wskoczyliście na kulbakę tak szybko, jakby się wam w rzyci

zagotowało.

Gisbourne nie zareagował na jawny brak szacunku dla wyższych stanem. Nie była na to pora. Walijczyk ze złośliwym uśmiechem ciągnął dalej swe wywody:

–Sądząc z tego, panie hrabio, to jednak on. A dupek, choć pasowany, zawsze dupkiem

pozostanie. Nijak pójść do takiego z dobrą radą, bo zamiast wysłuchać, gotów po łbie

przeciągnąć... Niech mu więc tyłek grotami naszpikują. Wtedy też pewnie nie zmądrzeje...

Zamilkł. Owinął się szczelniej płaszczem i pozornie przestał zwracać uwagę na hrabiego. Gisbourne również postanowił się na razie nie odzywać, lecz po jakimś czasie nie wytrzymał.

–Mówisz, że tylko czekać, jak zaatakują, a jednak nie wydajesz się specjalnie przejęty.

Walijczyk zmierzył go uważnym spojrzeniem. Dostrzegł rozbiegane spojrzenie i drżące ręce.

–A bo widzicie, panie, widziało się różne rzeczy – stwierdził. – W różnych opałach bywało. Coś mi się widzi, że jeżeli ktoś głowę stąd całą uniesie, to...

Inny ostro wpadł mu w słowo, mówiąc coś, czego hrabia nie zrozumiał. Łucznik odpowiedział w tym samym języku. Uśmiechnął się i po chwili kontynuował:

–...to chyba tylko my. My w lesie wychowani, więc i ten nam niestraszny, zresztą, las jak

las. Wiemy, co tamci robią, my u siebie też tak robimy, jak przyjdzie zdybać takich, jak wy.

Nas trafić niełatwo, a drogę z powrotem też potrafimy znaleźć. Nie to co wy, panie. Wyście wszyscy w tym lesie bezradni, wy tylko po traktach wojować umiecie.

Łatwo ci mówić, ty walijski dzikusie, niechętnie pomyślał Gisbourne. Sam z lasu, to i leśnych rozumiesz, taka sama swołocz. Ech, gdyby nie okoliczności, to ja bym ci pokazał, gdzie twoje miejsce, hołoto.

–Na waszym miejscu, panie, to najpierw bym dwa razy pomyślał, zanim bym tu z wojskiem pociągnął. Jeśli bym zaś już pociągnął, to nie robił bym takich głupstw, jak wy. Z

rana już trzeba było wracać, już byśmy z lasu wychodzili, na pola. Tam, gdzie nas gonić nie

ośmieliliby się. Bo to wasze zasrane wojsko tylko w polu dobre, w lesie to jak byście barany na

rzeź przywiedli. A wy nie, w las głębiej iść, na zatracenie... Wiesz, że jeśli miałiby kusze, to już

przy onej zaporze by was wystrzelali, bezpiecznie, z daleka. Nawet byście nie widzieli, skąd.

Kusz widać nie mają, a że ostrożni, to za dnia nie podeszli. Wiedzą o nas, wiedzą, że choć ich

więcej, to wielu z nich by padło. Nie są głupi, po co straty bez sensu ponosić. Wolą poczekać...

Nigdzie już nie uciekniecie.

Dobrze, postanowił hrabia, do konkretów.

–Wy, jak widzę, zamierzacie jednak uciec – zaczął ostrożnie. – To może i ja... Walijszczyki zgodnie zarechotali. Gisbourne urwał, spłoszony. Za wcześnie, kurwa, za wcześnie, zganił się w myśli. Trzeba bardziej grunt przygotować, nagrodę jaką obiecać, nie tak prosto z mostu... Łucznik spoważniał.

–Mylicie cię, panie hrabio – powiedział dobitnie. – Nie zamierzamy uciekać.

Najęliście nas, mimo że uważacie nas za hołotę, to też mamy swoje zasady. Nie uciekniemy, będziemy walczyć, jak trzeba będzie. Nie nasza to wina, że tak prowadzicie do tej walki, iż nie bardzo mamy jak, nie możemy się przydać. Wasza to sprawa, że marnujecie pieniądze, jakie nam zapłaciliście. Nie damy jednak łatwo się zabić i nie miejcie pretensji, panie hrabio, że pewnie okaże się, że to my zostaniemy z całego waszego wojska. Bo tamci, pod waszym dowództwem raczej przyszłości nie mają. Dobrze, wysłuchaliście nas, panie hrabio, a teraz zejździe z drogi i pozwólcie zapracować na to, coście nam zapłacili. Coś mi się widzi, że niedługo się zacznie.

Wstał i zaczął wydawać półgłosem rozkazy. Czterech zniknęło w mroku, sam z jeszcze jednym został na miejscu, począł wbijać w ziemię przed sobą strzały dobywane z kołczanu.

–Zejździe no, panie hrabio, z linii celowania – powiedział – nie utrudniajcie.

Gisbourne spostrzegł, że stoi pomiędzy łucznikiem a niezbyt odległą linią drzew. Usunął

się pospiesznie, nie odszedł jednak do zbrojnych. Usiadł na suchych liściach, pokrywających zmarzniętą ziemię, owinął szczelnie płaszczem. Wpatrywał się w ciemny las.

Nie minęło wiele czasu, gdy wydało mu się, że dostrzega w ciemnej głębi pełgające światelko, jakby chwiejny płomyk. Wytrzeszczył oczy. Obok płomyka pojawił się drugi, trzeci, piąty... Gisbourne już otwierał usta, by ostrzec Walińczyka, że coś się dzieje, gdy spostrzegł, że ten wypuszcza właśnie pierwszy pocisk. Natychmiast sięga po następną strzałę, tkwiącą w ziemi i posyła ją w ślad za pierwszą.

Płomienie pomknęły w ich stronę po wysokim łuku.

Owinięte nasmołowanymi pakułami, płonące strzały trafiały w wozy, które zaraz zajęły się huczącym ogniem. W jego świetle, jak na dłoni widać było zaskoczonych ludzi, których zaczęły zwałać z nóg precyzyjnie mierzone strzały. Nadlatywały znacznie bardziej płaskim torem niż wczoraj, strzelcy widać byli bliżej, nie dalej jak sto, sto pięćdziesiąt kroków. Gisbourne wytężył wzrok, lecz oślepiiony buchającym ogniem widział tylko czern.

Strzały trafiały niechybnie, coraz więcej słyszał krzyków i jęków. Wszystko to jednak zagłuszyły przeraźliwe wrzaski tarzających się po ziemi w płonących odzieniach wozaków, których atak zaskoczył śpiących wygodnie na słomie wyścielającej wozy. Niektórzy mieli szczęście, zginęli od razu, trafieni zapalającymi strzałami. Nikt nie zazdrościł im już ciepłego, wygodnego pośłania.

Poprzez tumult i wrzaski dobiegł szczepek kusz. Kuszownicy strzelali w las na oślep, nie mogąc zobaczyć celu.

Gisbourne spostrzegł, że wciąż siedzi jak osłupiały, doskonale widoczny na tle płomieni, gdy tymczasem łucznik, po wystrzeleniu wszystkich strzał jeszcze w czasie, gdy pierwsze pociski przeciwnika były w drodze do celu, rzucił się płasko na ziemię i poczołgał w kierunku rozłożystego jałowca. Hrabia czym prędzej poszedł w jego ślady.

Inaczej niż wczoraj, ostrzał nie ustawał. Coraz więcej ludzi spoczywało nieruchomo lub miało się w drgawkach. Wozacy znieruchomieli, umilkły potępieńcze krzyki.

Pierwsi nie wytrzymali panowie szlachta. Obok wciskającego się ze wszystkich sił w ziemię Gisbourne'a przebiegł, pędząc w panice, młody baronet. Nie ubiegł daleko. Padł z rozmachem ze sterczącym spomiędzy łopatek, wbitym głęboko bełtem. Bełtem, nie strzałą z łuku, spostrzegł hrabia bez specjalnego zdziwienia. Mimo okoliczności któryś z kuszników okazał się pamiętliwy.

Panika pasowanego dupka udzieliła się pozostałym. Zaczęli zrywać się i biec przed siebie, w ciemny, wrogi las, aby tylko ująć z oświetlonego płonącymi wozami kręgu, gdzie śmiertelne trafienie było tylko kwestią czasu. Biegli na oślep, byle przed siebie i wkrótce las rozbrzmiał ze wszystkich stron krzykami mordowanych. Paru zdołało dopaść ocalałych jeszcze koni. Pomknęli gościńcem.

Hrabia podczołgał się do łucznika. Ten spojrzał na niego bez zdziwienia.

–Jesteście, panie hrabio, mniej głupi, niż myślałem. A teraz leżcie tu spokojnie i bez ruchu...

–Co zrobimy – wyszeptał Gisbourne.

Łucznik dosłyszał go pomimo panującego wciąż hałasu.

–Na razie nic. Po prostu leżcie i starajcie się nie ruszać...

Ognie dogasały. Cichły przerażone krzyki i jęki w lesie. Gisbourne poczuł, jak łucznik szturcha go pod żebro.

–Teraz za mną – usłyszał. – Tylko cicho, powoli i ostrożnie. Rób to, co ja, gdy padnę na

ziemię, to nie zastanawiaj się, rób to samo. I cicho, bo sam nożem pchnę... Nie zgub się, bo

zginiesz. Ruszamy!

Walijczyk poderwał się i nisko pochylony pobiegł w las.

Hrabia nie pamiętał, jak długo trwał ten przerywany przypadaniem do ziemi bieg. Raz przysiągłby, że zobaczył majaczące, przebiegające w mroku sylwetki o kilkanaście łokci od siebie. Za drugim razem potknął się i padł prosto na mokre od ciepłej, lepkiej krwi ciało. Chciał poderwać się z odrazą, lecz silne ramię przygięło go z powrotem.

–Leż, bo za chwilę zostaniecie tu pospołu – syknął mu prosto w ucho cichy głos. Udało się

prześlizgnąć przez rzadkie linie przeciwnika. Po pewnym, nie wiedzieć jak długim czasie,

Walijczyk wyprostował się, mimo iż pozostał czujny i przystawał na każdy szelest.

Szli przez całą resztę nocy, Gisbourne sam dziwił się, że zdołał wykrzesać z siebie tyle siły. Gdy mrok zaczął szarzeć, spotkali innych Walijczyków. Dwóch.

Wybawca hrabiego spytał o coś. Padła niechętna odpowiedź. Łucznik pochylił głowę.

Ten, co udzielał odpowiedzi spojrzał na hrabiego i powiedział coś, czego Gisbourne nie mógł zrozumieć. Zrozumiał za to wymowny gest, z jakim tamten przeciągnął dłońią po gardle. Rozejrzał się błędnym spojrzeniem i padł na kolana.

–Ja wynagrodzę... Po królewsku wynagrodzę... – zajęczał. – Tylko nie zabijajcie, tylko

wyprowadźcie mnie stąd!

Błagalnym wzrokiem złowił jedynie zimne spojrzenia. Zamknął oczy i zasłonił głowę rękoma. Usłyszał wymianę zdań w niezrozumiałym języku, ostatnie zabrzmiało twardo, jak decyzja. Skulił się jeszcze bardziej w oczekiwaniu na cios. Cios nie następował. Zamiast tego usłyszał:

–On mówił, żeby zabić was, panie hrabio. Bo od zbrojnych słyszał, że z was kłamca,

tchórz i wredny sukinsyn. Nic dobrego dla nas nie będzie, jak cię stąd wyprowadzimy, teraz

obiecujesz nagrodę, a potem obwiesić każesz, bośmy banitów nie pobili... Pono już tak

bywało...

Gisbourne chlipał bezradnie, kręcąc głową.

–Ale nie godzi się tak... Po prostu nie godzi... Swoją nagrodę zaś możesz wsadzić psu pod

ogon... Jeszcześmy nie w Nottingham, panie hrabio.

Nim Gisbourne odważył się wstać, odeszli już kawałek. Hrabia, ocierając zasmarkany nos, niezdarnie pobiegł za nimi...

W ognisku strzelił głośno smolny sęk, wrywając Jasona z zamyślenia. Zdrętwiały od długiego bezruchu wstał, przeciągnął się, aż zatrzeszczało w stawach. Aby rozruszać mięśnie, zaczął przechadzać się wokół ogniska.

Match nie obudził się jeszcze, a przynajmniej nie zwlekł się z posłania. Jasonowi było to na rękę. Potrzebował czasu, by poukładać w głowie te wszystkie wizje i opowiadania. A przede wszystkim ten aż nieprawdopodobny sen.

Wczorajsze doznania zaskoczyły go przede wszystkim tym, że nie towarzyszył im, tak jak pierwszym, ból i uczucie zagubienia, zatracenia własnej jaźni. Owszem, widział wszystko, wręcz przeżywał wyraźnie, lecz cały czas gdzieś świadomie pamiętał, kim i gdzie jest. Zaczynało to coraz bardziej przypominać, wyjąwszy oczywiście intensywność doznań, dawne przeczucia podczas gry w kości. Coś znajomego, coś, co tak naprawdę, jak zaczął sobie uświadamiać, tkwiło w nim od zawsze.

Spostrzegł też, że ujrzenie wizji wymagało pewnego skupienia, wręcz ukierunkowania uwagi na zasłyszane słowa lub widziane obrazy. Niejasne zadowolenie wzbudzało w Jasonie to, że nie zawsze wizja przychodziła wtedy, kiedy się spodziewał. Rzadko, ale zdarzało się to. Podczas słuchania opowieści Matcha kilkakrotnie chciał ujrzeć coś, o czym akurat słyszał, coś, co akurat go zaintrygowało. Udawało się, ale nie zawsze. Ten brak perfekcyjności niesamowitego w swej istocie zjawiska sprawiał, że stawało się bardziej zwyczajne, swojskie, łatwiejsze do zaakceptowania.

Jason był racjonalistą, teraz, po pierwszym okresie szoku i zagubienia, starał się więc usystematyzować i uporządkować swe doznania. Minął już okres, gdy sądził, że popada w szaleństwo, że w jego umyśle zagnieździło się coś obcego, nieznanego, coś, co zawładnie nim w końcu bez reszty. Z właściwym sobie optymizmem doszedł do wniosku, że zaczyna nad tym panować. Zgodnie ze starą prawdą, że o poranku wszystko to, co wieczorem wydawało się straszne i groźne, wygląda nieco lepiej.

Bardziej niepokoił go sen. Nie potrafił sobie wytłumaczyć, jak sen może tak dokładnie i wyraziście pokazywać wydarzenia, których przecież nie był świadkiem. Przekonanie, że był prawdziwy i pokazywał coś, co rzeczywiście gdzieś i kiedyś się stało, tkwiło w nim bardzo głęboko i zaakceptował je od razu. Nie wiedział dlaczego,

ale po prostu tak było. Tylko skąd ta cała wiedza, znajomość ludzi, miejsc, wydarzeń?

Doszedł do wniosku, że sen był taką samą wizją, jak wszystkie inne. Było to trochę niepokojące. Jason przypomniał sobie opowieści przeora o tym, co wykrzykiwał podczas innych snów, snów, których nie pamiętał po przebudzeniu...

Zduszone przekleństwa Matcha, który właśnie wygramolił się przed szafas, wyrwały Jasona z zadumy.

Match, wciąż klnąc pod nosem, powłókł się do ogniska, wyciągnął ręce do żaru. Siedział tak chwilę, aż przestał poszczekiwać zębami i mruzczyć kłatwy.

–Szlag by trafił, wiosna, a zimno jak... jak... – zabrakło mu porównania. Wstał szybko i jęknął.

–Ech, stare kości, w kolanach trzeszczy, w krzyżu boli...

–Poruszaj się trochę, to ci przejdzie – Jason bez współczucia przerwał te narzekania. – Ja nie śpię już od świtu, tak było zimno, że nie dałem rady...

–...a i wszystkie mięśnie się zastały, ot co – dokończył Match niezrażony. Przeciągnął się z głośnym jękiem. Jason zniecierpliwiał się wreszcie.

–Posłuchaj, mam tyle samo lat, co ty – powiedział oschle. – Jeżeli sobie przypominasz, to całkiem niedawno nie byłem w stanie wysikać się bez pomocy, nie mówiąc już o wstawaniu czy samodzielnym chodzeniu. Jeśli ktoś z nas dwóch ma podstawy do narzekania, to tylko ja.

–Co, ponarzekać już nie można... – Match nie był całkiem przekonany.

–Można, można, byle z sensem. Ale może przestałbyś się wreszcie kręcić i usiadł. Muszę ci coś opowiedzieć...

Match jak zwykle zwlekał z odpowiedzią.

–Mamy czas, ranek dopiero – zaczął po dłuższym milczeniu – po co... Jason miał wreszcie dosyć.

–Zaraz powiem ci, po co i dlaczego – głos aż zatrzęsł mu się ze złości. – Otóż wyobraź sobie, że ja się tu nie prosiłem, żebyś opowiadał mi swoje długie i smutne życie. Nie miałem zamiaru głosić przepowiedni, które wszystkim wokoło zdają się ważne i doniosłe, a które dla mnie są niezrozumiałym bełkotem. I wcale nie jestem przekonany, czy mam ochotę je zrozumieć. Czy mam ochotę słuchać tych twoich wyznań i tajemnic...

Match spuścił głowę, patrzył w dogasające ognisko, jakby dostrzegł w nim nagle coś bardzo interesującego.

–Nie wiem, Match – Jason mówił już nieco łagodniej. – Nie wiem, czy mam ochotę doznawać wizji, po których tylko mnie łeb nap... to znaczy, miewam bóle głowy. I jeżeli mam już to wszystko robić, to może bądź uprzejmy nie odwlekać tego za każdym razem, bo zaczyna mi to już uszami wychodzić, te twoje pogaduszki, o rybkach, duperelkach... Jeżeli mamy coś zrobić, to zrobmy to w miarę szybko...

–Przepraszam cię, Jason – odezwał się po chwili Match, wciąż patrząc w ognisko. – To wszystko nie jest jednak takie proste. Przeznaczenia nie uniknie żaden z nas, a to przeznaczenie właśnie skrzyżowało nasze drogi. Akurat ciebie wybrało, byś wskazał mi moje dalsze przeznaczenie. Nie możemy z tym walczyć, nikt nie może...

–Match, daj spokój! Zapomnij na chwilę o przeznaczeniu, które, jak mogę wnosić z tego, co mówisz, prześladowuje cię przez całe życie. Zgoda, mogę wysłuchiwać tych twoich opowiadań, mogę nawet o nich śnić, choć uwierz mi, wolałbym słuchać i śnić o zgoła innych rzeczach. O jedno cię tylko proszę, o to, żebyś raczył mi powiedzieć wprost, o co w tym wszystkim chodzi...

Jason zamilkł w końcu. Match przez dłuższy czas sprawiał wrażenie, jakby całkowicie był pochłonięty struganiem nadpalonego patyka, który wyciągnął z ogniska. Masz ci los, teraz go zatkało, pomyślał Jason z rezygnacją. Match znęcał się nad patykiem, spod szerokiego ostrza noża pryskały grube strużyny. Jason przypatrywał się, jak patyk robi się coraz cieńszy.

–Posłuchaj, jestem ci wdzięczny za to, że wyniosłeś mnie z tego przeklętego lasu. Wiem,

że zawdzięczam ci życie – przerwał po chwili Jason przedłużające się milczenie. – Gdyby nie

ty, to gdzieś tam lisy dawno rozwłóczyłyby moje kości. W zamian za to, zamiast podziękować,

przepowiedziałem ci ponoć rychłą i nieuchronną śmierć. Mówię ponoć, bo sam tego nie

pamiętam. Nie pamiętam też snów, które według przeora wieszczły ni mniej, ni więcej, tylko

apokalipsę. I to tylko na dobry początek, bo dalej miało być jeszcze straszniej. Tak strasznie, że

nie potrafił tego nawet powtórzyć. Tego, kurwa, również nie pamiętam. Ale skłonny

jestem

uwierzyć, że wpadłem po same uszy w coś, co nie będzie miłe, a skończy się być może również

nie najlepiej. Nie zamierzam uciekać, nie wiem zresztą, czy w ogóle można przed tym uciec...

Tylko nie traktuj mnie tak, jak dotąd. Nie bój się, wytrzymam. Może nie wyglądam na to, ale

wytrzymam, wierz mi.

Match wrzucił ostrugany patyk w ogień. Rozglądał się chwilę za następnym, ale na szczęście żaden inny nie nawinął mu się pod rękę. Wbił nóż w niedopaloną głównię, leżącą obok ogniska.

–To nie tak, Jason – zaczął wreszcie. – Nie tak jak myślisz. Owszem, masz rację, siedzisz w tym wszystkim po uszy. A ja... Przez całe życie zrobiłem wiele złego, świadomie i nieświadomie, co zresztą, jak wiesz, nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Wiele zła stało się z mojego powodu, wiele krzywd, wielu ludzi zginęło. To jednak nie jest najgorsze, najgorsze są rzeczy, o których dopiero się dowiesz. Wierz mi, nie będą to rzeczy o których łatwo ci będzie słuchać. Co dopiero zobaczyć. I mam poważne podstawy, żeby przypuszczać, że to, o czym usłyszysz, co już się wydarzyło, nie jest jeszcze tym najgorszym, co może się wydarzyć...

–Match, posłuchaj... – próbował wtrącić się Jason.

–Poczekaj, zaraz skończę. Chciałeś, to mówię. Widzisz, nie uważam się naprawdę za pępek świata, ale wiem, że w dużym stopniu jestem odpowiedzialny za to, co może się stać. Co pewnie się stanie. Wiedziałem od dawna, że kiedyś będę musiał się z tym zmierzyć, być może po to, aby zapłacić za wszystko, co kiedyś zrobiłem. Te twoje sny, w które nie chcesz uwierzyć, przed którymi tak rozpaczliwie się bronisz, jasno na to wskazują. Przeor ich nie zrozumiał, ty też nie, ale ja chyba tak. Koło musi się zamknąć. I mimo wszystko, mimo tego, co na początku naszej nieoczekiwanej znajomości powiedziałeś, muszę wyjść temu naprzeciw. Nazwałem to przeznaczeniem, cóż, słowo tak samo dobre, jak każde inne. Tak jak twoim przeznaczeniem, zamiast spokojnie zginąć w lesie, było spotkanie mnie. Chociaż może tak właśnie byłoby dla ciebie lepiej...

–Match, na litość boską, nie o to...

–Już kończę, Jason. Idą złe czasy, bardzo złe... Gorsze pewnie od tych, o których zacząłem ci opowiadać. To, co do tej pory powiedziałeś, jak sam mówisz, nieświadomie, pozwoliło mi przynajmniej podjąć decyzję. Ale może jesteś w stanie

powiedzieć coś więcej, jak dowiesz się wszystkiego, co ja sam wiem. Coś, co być może jeszcze zobaczysz, może pozwoli choć minimalnie zwiększyć szansę. Naprawdę, Jason, to, co jeszcze usłyszysz ode mnie, będzie

gorsze, znacznie gorsze. Dlatego właśnie zwlekam, nie chcę się bowiem mimo wszystko pozbawić tego cienia szansy, które dało mi przeznaczenie, gdy spotkałem ciebie... Match uśmiechnął się krzywo.

–Wydawało mi się, że to, co widzisz w swych wizjach, nie spływa po tobie, jak woda po

gęsi. Nie chciałbym stracić twego wsparcia, naciskając cię zbyt. Cały czas obawiam się, że

możesz sobie z tym wszystkim nie poradzić...

Odwrócił głowę. Po czym, nie patrząc na Jasona, dodał cicho, bardzo cicho:

–A poza wszystkim, to nie jest łatwo tak wszystko opowiadać. Do tej pory z nikim tak nie

rozmawiałem... Naprawdę, z nikim...

Zgarbił się jakoś bezradnie. Jason po raz pierwszy uświadomił sobie, jaki ciężar nosi przez cały czas ten, tak pozornie silny i odporny, człowiek. Jak cięży na nim cały balast niegdysiejszych uczynków. Po raz pierwszy Jason zaczął mu współczuć.

Match otrząsnął się szybko. Podniósł głowę, spojrzał poważnie Jasonowi prosto w twarz.

–Musisz mi zaufać, Jason – powiedział już swym normalnym, zdecydowanym głosem. –

Zaufać i wysłuchać cierpliwie wszystkiego, co mam do powiedzenia. Tak, żebyś mógł

zobaczyć wszystkie następstwa. Może wtedy zobaczysz coś, czego ja nie jestem w stanie

zobaczyć...

Jason roześmiał się głośno. Match spojrzał na niego, nie wiedzieć, bardziej zdziwiony czy urażony.

–Ja nie z tego, co mówiłeś – wyjaśnił Jason, wciąż się śmiejąc. – Tylko wiesz, jeżeli to, co

mówiłeś o przeznaczeniu, jest prawdą, to i tak niepotrzebnie tylko strzępimy ozory. Jak to

mówią, wyżej dupy nie podskoczysz, a przed przeznaczeniem nie uciekniesz. Przynajmniej to

pierwsze zawsze się sprawdza, więc być może i z przeznaczeniem jest tak samo. Tak czy owak,

wychodzi na moje, nie ma co odwlekać i wygłaszać wzniosłych przemówień. Nie za bardzo

zresztą ci to wychodzi... A o mnie się nie bój, wytrzymam, nie mam innego wyjścia.

Match roześmiał się w końcu również.

–Masz rację – przyznał – głupio jakoś wyszło. Dobrze, nie będziemy zwlekać, załatwimy

to najszybciej, jak się tylko da. Co nie znaczy, że szybko, bo dopiero zaczęliśmy.

Spowaźniał znów i kontynuował:

–Tylko jeszcze jedno. Chcesz, żebym ci powiedział, o co w tym wszystkim chodzi.

Częściowo może się nawet domyślasz, przecież to, co stało się przed dwudziestu laty, rozeszło

się szeroko... Tylko widzisz, ja sam do końca nie wiem, gdzie leży sedno wszystkiego. Liczę na

to, że ty zobaczysz więcej. Dlatego nie chcę tego, co mi się wydaje, powiedzieć ci od razu, w tej

chwili... Może to właśnie ty uzupełnisz luki, korzystając ze swego daru, którego zresztą

naprawdę szczerze ci nie zazdroszczę...

Rozmowa najwyraźniej przyniosła ulgę Matchowi, zauważył Jason. Przypuszczał, że ten człowiek, na którym od lat ciążyło brzemień popełnionych uczynków, który przez cały ten czas oczekiwał chwili, gdy przyjdzie spłacać dawno zaciągnięte długi, po raz pierwszy od całego tego czasu poczuł, że nie jest sam. Że jest z nim ktoś, komu może o wszystkim opowiedzieć, zrzucić z siebie choć część tego ciężaru.

Zaczynał odczuwać sympatię to tego, nieznanego przecież wciąż człowieka.

Opowiedział swój sen. Match słuchał uważnie, nie przerywając. Gdy Jason skończył, powiedział tylko:

–Więc tak to wyglądało z drugiej strony... Ciekawe...

Tylko tyle, pomyślał Jason ze wzburzeniem. Ciekawe, i nic więcej... Żadnych wyjaśnień, pytań.

–Match, do cholery – wybuchnął. – Ciebie to, kurwa, nie zastanawia? Bo ja jak na razie,

mam więcej wątpliwości niż...

Match spojrział na niego ze spokojem.

–Prawda – powiedział. – Skąd ty możesz wiedzieć... Ty tylko widzisz obrazki, sytuacje,

nic więcej. Dobrze, spróbuję ci wyjaśnić. Przestań biegać wte i wewte, usiądź sobie. Bo to

trochę potrwa...

Sam rozsiadł się wygodnie, opierając o pień drzewa.

–To była, jak sądzę z tego, co mówisz, ich trzecia wyprawa do puszczy. Trzecia karna

ekspedycja po śmierci Robina.

Uśmiechnął się krzywo.

–Trzecia poważna – dodał. – Wcześniej były małe potyczki, ot, poborca do lasu pojechał,

sam jak palec, dziesięciny ściągać, chłopów do porządku przywołać. Oczywiście słuch po nim

ginął. Ale zaraz pojawiał się następny, nawet w asyście zbrojnych. Nic nie potrafili się nauczyć,

tak byli pewni, że gdy zabili Robina, to skończyły się kłopoty. Zanim nabrali obycia... A, co

tam się nad tym rozwodzić, trochę ich teraz leży, zakopanych po opłotkach. Wiesz, my na

początku to tylko chcieliśmy ich przykładowo obić, wypędzić z puszczy, przykazać, żeby więcej

nie wracali. Ale chłopci się rozzuchwalili. Gdy tylko widzieli poborcę, to od razu za widły

chwyтали. Sami, we własnym zakresie. Niektórzy nawet doły zawczasu mieli wykopane...

Match przerwał, zamyślił się. Jason chciał się wtrącić, otworzył już nawet usta. Nie zdążył.

–Wtedy jeszcze byliśmy słabi, nie było nas wielu, w zasadzie tylko ci, co ocaleli z dawnej

bandy Robina. Mały John, Will Scarlett, Nazir, brat Tuck i ja. I oczywiście Marion. Wtedy

jeszcze zamierzałem działać tak, jak przedtem Robin. Na nic innego nie było nas jeszcze stać, a

i prawdę mówiąc, nie potrafiłem wyobrazić sobie nic innego. Ot, jakiś patrol, kilku zbrojnych

poszarpać, przegonić z puszczy, bogatego szlachcica na trakcie zdybać, ograbić, potem

wszystko rozdać biednym. Tak to sobie wtedy wyobrażałem.

Zaśmiał się sardonicznie, pokręcił głową.

–Potem trochę zmądrzeli. Wysłali większy podjazd, tak ze dwudziestu ludzi. I poborcę, a

jakże. Mieli zamiar daniny siłą brać. Wioskę dla przykładu ukarać. Przybyliśmy trochę za

późno. Chłopci chcieli stawić opór, jak zwykle ostatnio. Zbrojni zmasakrowali ich, to było dobre

wojsko, wybrane widać wśród innych. Gdy przybyliśmy pod wioskę, kilka chałup paliło się,

leżały ciała. Na majdanie, przywiązanych do wozu stało kilkunastu tych, których chcieli zabrać

ze sobą, dla przykładowego ukarania. Byli czujni, wystawili strażę, żadnej pijatyki, żadnego

gania kur po opłotkach. Dobry żołnierz...

Jason już nie przerywał, słuchał. Tym razem właśnie chciał posłuchać, chciał mieć relację z pierwszej ręki, nie mętne, wieloznaczne obrazy. Spostrzegł ze zdziwieniem, że udało się zapanować nad nadchodzącą wizją, odepchnąć ją, nie dopuścić do świadomości. Zaczynam nad tym panować, pomyślał.

–Z początku chciałem uderzyć na wioskę. Bez zastanowienia, bez przygotowania, na

silniejszego i gotowego do walki przeciwnika. Jak kiedyś, za dawnych czasów, licząc, że gdy

coś pójdzie nie tak, to zawsze zdążymy się wycofać. Bo na ogół się udawało, i choć często nic

się przez taki atak nie osiągało, to przecież tak trzeba było, bez wahania, bez strachu, bez

zastanowienia... Jednak nie wydałem rozkazu do ataku, coś mnie powstrzymywało.

Wiedziałem, że nawet jeżeli zabijemy kilku, to nic to nie da, będziemy musieli odskoczyć, a oni

i tak zrobią to, po co przyszli. Leżeliśmy więc w wysokiej trawie, patrząc jak zbrojni tłuką jakąś

oporną babę. W końcu upadła, cała pokrwawiona, nawet z daleka było widać, a my dalej

leżeliśmy. Will zaczął kląć, rwać się do wioski, ale Nazir go uspokoił. Popatrzył na mnie, jakby

oczekiwał rozkazów. A ja miałem w głowie tylko pustkę, nic nie przychodziło mi na myśl...

Znaleźli nas w tej trawie chłopci. Kilku sprytniejszych, którzy zdołali ujść do lasu, przeważnie młode chłopaki, takie zasmarkańce, jak kiedyś ja sam. Uciekli, każdy z tym, co miał akurat pod ręką, z widłami, kijami. Kilku miało łuki. Wtedy pomyślałem, że można będzie przechwycić zbrojnych, kiedy już opuszczą wioskę. Na leśnym trakcie będą bezbronni, nie zobaczą nas, kiedy zaczniemy do nich strzelać. Nie to, co na otwartym polu...

Match przerwał, przetarł twarz dłonią. Jason czekał na dalszy ciąg. W końcu spytał:

–Co było później?

–No cóż, udało się. Mieliśmy co prawda tylko siedem łuków, z tego trzy należące do wiejskich chłopaków. Trochę się obawiałem, czy dadzą sobie radę. Niepotrzebnie, dali sobie radę znakomicie. Zaskoczyliśmy zbrojnych na zakręcie traktu, w podmokłym lesie, gdzie nie mogli zjechać w las. Jechali zresztą zupełnie bez sensu, zbici w gromadę, przed wozem wiozącym powiązanych jak barany chłopów. Śmiali się głośno, rozmawiali. Pierwszych strzał nawet nie mogli usłyszeć. Potem kłębili się na drodze bezładnie, krzyczeli. Udało się, wszystkich zwaliliśmy z koni, wielu zginęło od razu. A ci, którzy nie zginęli od razu...

Match podniósł głowę, popatrzył Jasonowi prosto w oczy.

–Tych, co nie zginęli od razu, kazałem dobić. Nikt nie zaprotestował, nawet Tuck. Nawet

Marion. Wszyscy pamiętali, Robina, tę wioskę, kobietę okładaną płazami mieczy. A ja... Ja

chciałem w ten sposób dać przeciwnikowi coś do zrozumienia. Że zmieniły się reguły. Że nikt nie może oczekiwać litości. Że ja nie jestem szlachetnym Robinem... Uwolnieni z więzów chłopci podeszli do sprawy ze zrozumieniem i wielkim entuzjazmem. Mało się nie pobili. Co tu gadać, ci co ocaleli z naszego ostrzału żalowali, że nie zginęli od razu... Wywieźliśmy ich potem, zwaliliśmy na skraju puszczy. Trzeba było na dwa razy, sporo ich było... To też miał być znak...

Jason nic nie powiedział. Match nie kwapił się do kontynuowania wynurzeń. Milczenie przedłużało się.

–Match, ja nie o tym chciałem... – zaczął w końcu Jason. – Źle mnie zrozumiałeś. To jest,

owszem, to też chciałem wiedzieć. Ale teraz przede wszystkim zastanawiam się na tym swoim

snem. Słuchaj, ja nigdy...

Spojrzał bezradnie. Szukał właściwych słów. Match nie pomógł mu, spoglądał gdzieś w przestrzeń nieobecny wzrokiem.

–Posłuchaj – podjął Jason. – Ja rozumiem już chyba te całe wizje. No, trochę rozumiem.

Wydaje mi się, że to twoje słowa coś we mnie wyzwalają, że te obrazy pochodzą... Nie wiem...

Może z twojego umysłu... Coś widziane kiedyś twoimi oczyma. Przynajmniej te, co dotyczą

tego, co już było, co sam widziałeś. Nie wiem... Te co dotyczą przyszłości są mętne, niejasne...

Trudno je z czymkolwiek powiązać. Może to obraz tego twojego pieprzonego przeznaczenia, o

którym tak lubisz gadać... Może...

Zabrakło mu tchu. Zorientował się nagle, z jakim napięciem mówi. Zaczerpnął głęboko powietrza, starając się uspokoić. Zaszło mu w gardle, odkaslnął.

–Match, ja chyba zaczynam rozumieć te swoje, mówiąc wielkimi słowami, objawienia –

mówił już spokojniej. – Mogę chyba na nie wpływać, widzieć wtedy, kiedy chcę. Wiesz,

mówiłem ci, zawsze miałem, nazwijmy to, zdolności. Pamiętasz, opowiadałem ci, jak grałem w

kości. Czym innym była ta pewność, kiedy wygram, jeśli nie przewidywaniem przyszłości?

Zgoda, na krótką metę. Ale ja to miałem przez całe życie, przyzwyczailem się... Potem

dostałem w łeb i od tego czasu coś mi się porobiło, widzę więcej i dalej. Tak jak kiedyś, tylko

dalej. Proste i zrozumiałe...

Match przyjrzał mu się uważnie spod oka. Proste i zrozumiałe. Nie podzielał tej opinii, lecz wstrzymał się od uwag na ten temat.

–Tak, właśnie proste i zrozumiałe – Jason domyślił się wątpliwości. – Coś, na co mogę

przystać, nawet jeżeli nie do końca zrozumieć, to zaakceptować... Ale sen, taki jaki ci

opowiedziałem... W którym widzę wszystkie szczegóły, rozpoznaję osoby, których w życiu nie

widziałem, ba, nawet o nich nie słyszałem... Sytuacja, o której ty, nawet ty nie miałeś pojęcia...

To wszystko, kurwa...

Urwał, przez chwilę dyszał ciężko.

–To wszystko, kurwa, we łbie mi się nie mieści – dokończył bezradnie. – No, co tak siedzisz i milczysz! Powiedz coś!

Match wstał.

–Sny odpowiadają na pytania, których nawet nie potrafimy zadać – powiedział cicho.

Jason ochłonął trochę. W końcu co on może o tym wiedzieć. To ja powinienem sam dojść

do tego, to ja mam ten dar, który chętnie bym zwrócił, gdybym tylko znał ofiarodawcę, pomyślał.

–Ładnie powiedziane – rzekł po chwili, bez złośliwości. – Chociaż niewiele wyjaśnia... Powiedz, sam na to wpadłeś?

–Nie – odparł Match. – Usłyszałem kiedyś. Dawno...

Usiadł znów, oparł się o pień. Odchylił głowę, popatrzył w niebo.

–Kiedyś też miałem sny. Dawno. Też ich nie rozumiałem. Teraz chyba zaczynam rozumieć.

Jason odchrząknął. Dajmy temu spokój, przeszło mu przez głowę. Teraz niech lepiej opowiada dalej, jak już zaczął. Zanim znowu zamknie się w sobie na dłuższy czas i zanim coś się z niego wyciągnie, będą kolejne rozważania o przeznaczeniu. Match odgadł jego myśli.

–Dobrze, Jason – powiedział. – Skoro już omówiliśmy sprawę snu, skoro twierdzisz, że

potrafisz zapanować nad wizjami, to słuchaj dalej. Uprzedzam tylko, że dalej będzie jeszcze

paskudniej. Dopiero zaczęliśmy...

Popatrzył na Jasona uważnie. Ten nie opuścił wzroku, odwzajemnił poważne spojrzenie.

–Dobrze, ale... – zaczął, wciąż patrząc mu w oczy. Match przerwał:

–Możemy z tym poczekać.

–Nie o to chodzi. Widzisz, jak by ci to powiedzieć...

–Najlepiej po prostu – usłyszał Jason zimną odpowiedź. Nie spieszył się, nie opuścił wzroku.

–Dobrze, skoro chcesz... Match, ty nie powiedziałeś prawdy. A w każdym razie nie całą prawdę... Wtedy, kiedy mówiłeś o swoich motywacjach, na początku... No wiesz, kiedy...

Urwał, oczekując wybuchu złości. Może zaprzeczeń. Sam nie wiedział. Jednak nic z tych rzeczy.

–Prawda, zapomniałem, że ty to wszystko widzisz... – głos był głuchy, lecz równy i spokojny. – Zapomniałem, że ty jesteś nieledwie mną... Tak, masz rację, to nie była cała

prawda. Przecież wiesz... Tylko że ty chcesz, żebym ja sam to powiedział... Dobrze, posłuchaj

więc. Gównu mnie obchodzili ci wszyscy poniewierani i skrzywdzeni chłopci. Pewnie wiesz, co

ja mówię, wiesz na pewno, że w głębi duszy pogardzałem nimi, tak, brzydziłem się tego

śmierdzącego chłopstwa, brzydziłem się swojej przeszłości. I gównu dla mnie znaczyły całe

wzniosłe ideały Robina, sprawiedliwość, karanie winnych, obrona dawnej wiary, tradycyjnych

wartości i inne bzdury. To wszystko było środkiem, nie celem. Roilem sobie, że zdobędę sławę,

bogactwo. Że ta puszca to tylko początek. Wiedziałem, że w Anglii nawet chłop może stać się

rycerzem. Może zostać pasowany na polu bitwy, nie tak jak we Francji czy gdzie indziej, gdzie

ten co się chłopem urodził, chłopem umrze. Szlachcic może do swej godności podnieść nawet

zwykłego ciurę, bywały takie wypadki, wcale nierzadkie. To właśnie było moim celem. Chciałem stać się silny, zdobyć może nawet czyjś zamek, potem oddać usługi koronie, aby król me zdobycze potwierdził własnym nadaniem. Chciałem, by Marion była panią mego zamku. Chciałem w końcu sam ściągać daniny od kmieci... A oni, ci biedni kmiotkowie z wiosek, które niby chronilem, moi towarzysze, którzy za mną poszli... Oni wszyscy mieli być tylko narzędziem, środkiem do osiągnięcia celu... Pokręcił głową.

–I wiesz, co ci jeszcze powiem – podniósł w końcu głos. – Byłem blisko osiągnięcia tego,

o czym marzyłem... Cholernie blisko... I mimo tego wszystkiego, co się później wydarzyło,

nadal żałuję, że się nie udało... No co, zadowolony jesteś? Sam ci w końcu powiedziałem, z kim

masz do czynienia! Tego chciałeś?! Odpowiedz!

Jason nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć. W końcu wybrał najgorszy wariant.

–Posłuchaj, przepraszam cię – zaczął niepewnie. – Wiem, że to dla ciebie trudne, ale...

Gorzej nie mógł trafić. Match zerwał się na równe nogi, oczy błysnęły wściekłością.

–Odpierdol się ode mnie! – wrzasnął. – Wsadź sobie w głęboko w dupę to twoje

współczucie i zrozumienie! Myślisz, kurwa, że nie widzę, jak cię to wszystko brzydzi?! Jak

wstrząsasz się, odwracasz wzrok, żeby mnie nie urazić? To wiedz, że gównu mnie obchodzi, co

sobie o mnie myślisz! Poczekaj, jeszcze mało usłyszałeś! Jeszcze będziesz miał wiele okazji do

moralnych ocen i obrzydzenia! Dopiero, kurwa, zaczęliśmy!

Pochylił się nad Jasonem, złapał za kołnierz kubraka. Szarpnięciem postawił go na

nogi.

–Jeśli jeszcze nie rozumiałeś – wysyczał mu prosto w twarz. – Jeśli nie rozumiałeś, to

uświadom sobie łaskawie, że też jesteś tylko narzędziem. Może w rękach tego przeznaczenia, w

które tak bardzo nie chcesz uwierzyć. Jesteś narzędziem, które można będzie wyrzucić po

wykorzystaniu. Kiedy już będzie zużyte i nieprzydatne. Bo tu idzie o coś ważniejszego niż ty i

ja, twoje odczucia i emocje... Jeszcze jedno. Możesz sobie nie wierzyć w przeznaczenie, twoje

sprawa. Ale nie igraj z nim, nawet, jeśli nie wierzysz. Bo to się zazwyczaj źle kończy...

Puścił zniecka. Jason zatoczył się ale nie upadł. Gniew Matcha zgasł niemal tak szybko, jak się rozpałił.

–Dobrze, obiecuję, że będę mówił ci wszystko. Dokładnie tak, jak było, sam tego chcesz.

Wszystko, co wiem, co czułem i myślałem. Resztę możesz sobie sam zobaczyć...

Odwrócił się, począł grzebać w sakwach, wydobył poleć wędzonki, pół bochenka nieco zeschniętego chleba. Jak gdyby nigdy nic wyjął nóż i zaczął kroić chleb.

–Najpierw coś zjemy – burknął.

Jason odszedł na bok, usiadł pod drzewem. Nie przyłączył się do przygotowania posiłku. Myślał o tym, co przed chwilą usłyszał.

Miał wrażenie, że to właśnie teraz Match nie mówi prawdy. Że to, co powiedział, te niedokończone przeprosiny trafiły Matcha bardzo boleśnie, że właśnie oczekiwał tej odrobiny zrozumienia, nie przyznając się do tego przed samym sobą.

Jason podejrzewał, że od bardzo dawna był pierwszym człowiekiem, który usłyszał od Matcha prawdę. Może nawet w ogóle pierwszym. Przypuszczał, że był pierwszym, który chciał okazać współczucie, nie tylko lęk i odrazę. Pancerz, którym Match odgradził się od świata, jeszcze nie zaczął pękać. Ale wkrótce pęknie, prędzej czy później. Choć Match starał się za wszelką cenę do tego nie przyznawać,

najwidoczniej przynosiło mu to ulgę.

Jason uśmiechnął się w duchu. Za nic nie powiedziałby tego głośno, ale był pewien, że teraz opowieść popłynie składniej, bez odwlekania. Odwlekania pod pozorem troski o jego wytrzymałość.

I rzeczywiście, gdy skończyli skromny posiłek, wytarli zatłuszczone palce i popili resztką wina, Match zaczął mówić. Bez ponagrania, bez odwlekania. Spokojnie, już bez emocji. Bez zwracania uwagi na reakcje słuchacza.

Jason mógł już tylko słuchać. Przyglądać się wydarzeniom sprzed dwudziestu lat. Powoli rozumieć nieprawdopodobny wręcz splot wydarzeń, które do nich doprowadziły. Słuchał, doznając niekiedy wręcz dotykającego wrażenia uczestnictwa, zaglądając w myśli i przeżycia, czując dawno przebrzmiałe emocje, oglądając zapomniane fakty. Wszystko zaczynało się układać...

Część druga

SHERWOOD

*Came upon an ancient forest A guiding power had led me there Walking through
the mystic forest The legend, tale of times gone by.*

*Once its whisper in the black night Reflection deep in wooded lands A floating mist
that circles shadows A legend, tale of times gone by.*

*Giant trees are falling night and da For many years and ages past Will they ever
share the answer Of legend, tales, and times gone by?*

Walking through the mystic forest... Im walking through the mystic forest...

Clannad, Ancient lorest

Obsessed with fantasy, possessed with my schemes

I mixed reality with pseudogod dreams

The ghost of violence was something I seen

I sold my soul to be the human obscene

How could it poison me?

The dream of my soul

How did my fantasies take complete control, yeah?

Why don't you just get out of my life, yeah?

Why don't you just get out of my life now?

Why doesn't everybody leave me alone now?

Why doesn't everybody leave me alone, yeah?

Well I feel something's taken me I don't know where

Its like a trip inside a separate mind

The ghost of tomorrow from my favorite dream

Is telling me to leave it all behind

Black Sabbath. Megalomania

W czarnej urnie moich wszystkich czarnych lat Czarna błyskawica spala czarny kwiat Czarne słońca gasną, wschodzi czarny nów Śpieszmy się nim czarny dzień powróci znów... Twoje ciało złote zwija się jak dym... Drga i złotym potem płynie, a ja w nim. W czerni tonąc piję złoto z twoich ust Tak jak tamtej wiosny sok z rozdartych brzoź

Stanisław Staszewski, *W czarnej trumnie*

Match obserwował siwe dymy, leniwie snujące się z ognisk, Był ciepły, bezwietrzny, wiosenny wieczór, lecz wszystko zwiastowało zmianę pogody. Dym z ognisk nie wznosił się wysoko, lecz snuł szarą warstwą, poniżej koron drzew okalających polanę.

Polanę starannie wybraną. Położoną na niewielkim, piaszczystym wzniesieniu, otoczonym przez bagna i gęste, podmokłe grądy. Niezbyt daleko od skraju puszczy, lecz tak niedostępna, jakby znajdowała się w najbardziej odległym mateczniku. Wiodła do niej jedna, jedyna ścieżka, na której mógł się zmieścić pojedynczy jeździec. Jedyna droga, którą konny mógł dotrzeć do polany. Oczywiście, jeśli znał las i umiał odczytywać prawie niewidoczne znaki, będące drogowskazami pozwalającymi nie utonąć w bagnach już po przejechaniu paru stajañ. Prawie niedostrzegalne nacięcia na pniach i nadłamane gałazki.

Pozostałe ścieżki wiodące do wzniesienia wśród bagien mogły służyć tylko pieszym. Kiedyś były to przesmyki zwierzyny leśnej, mogące jednak posłużyć wprawnym leśnym wędrowcom. Aby w ogóle dostrzec je w gąszczu, trzeba było pochylić się, upodobnić do przemykającego się przez ostępy dzika. Ktoś, kto stał wyprostowany, nie widział nic prócz nieprzebytej gęstwiny.

Polana na wzniesieniu wśród bagien posłużyła za miejsce założenia stałego obozu. Match postanowił zrezygnować z postojów w wioskach, to było do przyjęcia wtedy, gdy była ich

zaledwie garstka. Teraz, gdy patrzył na rząd szałasów, na zagrodę dla koni, na ziemianki będące składami żywności, widział obozowisko małej armii.

Pierwsza większa potyczka była przełomowa. Już nie byli tylko garstką. Z początku przystali do nich chłopcy biorący udział w walce. Zakosztowali smaku zwycięstwa, nie chcieli wracać do swej wioski, do beznadziejnej, ciężkiej pracy. Chcieli dalej walczyć, dalej zwyciężać. Stać się kimś, nie tylko zginającym grzbiet od rana do wieczora kmiotkiem. Match przyjął ich bez namysłu, wszystkich pięciu, którzy wyrazili ochotę. Nie zwracał uwagi na sarkanie swych towarzyszy, którzy uważali się, mimo wszystko, za coś lepszego od tych nieokrzęsanych wieśniaków. Ochotnicy

zbyt przypominali jego samego, zahukanego wiejskiego chłopaka, przed którym nagle otworzył się inny świat.

Okrucieństwo i bezwzględność, z jakimi rozprawił się ze zbrojnymi, odniosła skutek. Nie ten zamierzony, na reakcję przeciwnika trzeba było jeszcze poczekać, uświadomić mu reguły gry jeszcze nie jeden raz. Bezpośrednim skutkiem postępu Matcha był napływ ochotników z leśnych osad.

Zdawał sobie sprawę, że ośmielili się przyjść tylko dlatego, że okazał się taki sam, jak oni. Brutalny i okrutny, rozumiejący doskonale, że nie wystarczy wroga pobić i ośmieszyć. Match wiedział to, czego nie dostrzegał Robin, prowadząc swą walkę nie tyle z całym systemem, włączając w to zbrojnych, lecz z wielmożami, których potrafił zrozumieć i przewidzieć ich reakcje.

Zbrojny pobity, obezwładniony i przegnany z lasu wyfasuje nową broń i powróci, jeszcze gorszy niż przedtem, bo upokorzony, wściekły i szukający już własnej zemsty. Aby na pewno nie wrócił, jest tylko jeden sposób – trzeba go zabić. Tego nigdy nie potrafił zrozumieć Robin, naiwny i szlachetny, umiejący ulitować się nad pokonanym. W końcu zapłacił za to cenę najwyższą. Nie rozumieli tego chłopci. W końcu lisa przyłapanego w kurniku nie wypuszcza się z powrotem do lasu, udzieliwszy mu surowego napomnienia. Nie wystarczy lisowi udaremnić zagryzienie kurcząt, trzeba upewnić się, że więcej tego nie zrobi...

Był jeszcze drugi powód. Match wiedział, że ci wszyscy zasmarkani chłopcy, którzy stawali przed nim, niosąc swe cisowe łuki, widzą w nim takiego samego chłopaka, jak oni sami. Nie był obcym, wyższego stanu, jak Robin. Tak odległym, że aż nierealnym. Szlachcicem, który miał akurat kaprys stanąć po ich stronie, ale zawsze przecież obcym. Słusznie domyślali się, że Robin tak naprawdę walczy tylko dla siebie, że to tylko w samej rzeczy waśń pomiędzy szlachtą, a oni przypadkiem są po jednej ze stron. Match natomiast był jednym z nich. Może akurat on był wodzem, lecz każdy myślał, iż nic nie stoi na przeszkodzie, by może kiedyś zająć jego miejsce.

Grot z trzaskiem przebił blaszany napierśnik. Match, wyrwany z zamyślenia uniósł głowę, popatrzył. Ludzie wprawiali się w strzelaniu do słomianej kukły, przystrojonej w pancerz zdarty ze zbrojnego, dla którego wyprawa do puszczy stała się ostatnią. Strzelali z

pięćdziesięciu kroków. Rezultaty były niezłe, w balach tworzących ścianę za słomianą kukłą tkwiło zaledwie kilka strzał. Zaś sam cel przypominał jeża.

Match uśmiechnął się. Przypomniawszy sobie, jak Will Scarlett odwoził go od przyjmowania wiejskich łuczników, dowodząc, że wiele czasu minie, zanim nauczą się trafiać w stodołę. Bardzo się mylił. Wiejscy chłopcy od maleńkiego strzelali do wszystkiego, co się w puszczy poruszało, od wiewiórek poczynając. Gdy dorastali,

stawali się bardziej wybredni, polując przede wszystkim na zwierzynę, którą można było zjeść. Co tłumaczyło niewielkie obecnie pogłowie królewskich jeleni.

Will, aczkolwiek niechętnie, zmienił wkrótce zdanie. Zwłaszcza po drugiej wyprawie zbrojnych do lasu. Gisbourne, zaufany szeryfa, nie wyciągnął bowiem żadnych wniosków ze sterty zwłok, znalezionej pod lasem. Wybrał rozwiązanie najprostsze – wysłał wojsko ponownie, podwajając tylko jego liczbę.

Tym razem byli uprzedzeni. Chłopi odwiedzający miejski targ donieśli o szykowanej wyprawie. Pozostało tylko czekać.

Tym razem banici nie pozwolili wojsku zagłębić się zbyt w las. Ledwie za pierwszym zakrętem drogi zniknęły pola, z gęstego lasu posypał się grad strzał. Match miał mniej ludzi, stosunek sił był mniej więcej jeden do trzech. Jakie jednak ma szansę żołnierz, jadący konno wąskim traktem, wobec łuczników ukrytych w koronach drzew, w gęstym listowiu? Wiejscy chłopcy strzelali szybko i celnie. Wkrótce zwycięstwo było kompletne i druzgocące, bez żadnych strat własnych. Match nie pozwolił nawet na zbliżenie się do rannych, aby ich dobić, uczyniono to z daleka, strzałami. Na trakt wyszli dopiero wtedy, gdy nie było kogo dobijać.

Po tej wyprawie nastąpiła długa cisza. Przeciwnik zrozumiał, że w ten sposób nic nie osiągnie, że może posyłać kolejne, coraz silniejsze podjazdy, a skutek będzie taki sam. Match miał teraz wystarczająco ludzi, by kontrolować wszystkie leśne trakty, które nadawały się do przemarszu wojska. Puszcza stała się niedostępna.

Nawet następna wyprawa, podjęta jesienią przy udziale okolicznej szlachty, podjęta znacznie większymi siłami, poniosła klęskę. Teraz, po zimie, która była okresem wymuszonego przez naturę rozejmu, można było zrobić następny krok.

Dawni towarzysze, na początku niechętnie podchodzący do wszelkich zmian i zaskoczeni bezwzględnością Matcha w traktowaniu przeciwnika, zaakceptowali sytuację. Przyszło im to, prawdę mówiąc, bez trudu. Will Scarlett, były żołnierz, był twardy i okrutny. Z początku, po pierwszym napływie ochotników, obawiał się o swoją pozycję, lecz wkrótce przekonał się, że nie jest spychany na dalszy plan. Match często powierzał mu dowództwo, Will z ochotą zajął się szkoleniem nowych ludzi w posługiwaniu się zdobycznymi mieczami i toporami. Broni nie brakowało, wystarczyło ją pozbierać...

Mały John nie miał wątpliwości. Prosty, nieco ociężały umysłowo, potężny, kudłaty brodacze miał proste zasady. Match był przywódcą, należało go słuchać. Jeżeli kazał dobijać

pokonanych, to trzeba dobijać. John słuchał rozkazów, nie odczuwając specjalnych emocji. Bo niby dlaczego okazywać pokonanym jakiegokolwiek względy?

Być może tylko brata Tucka i Marion dręczyły wątpliwości. Tylko oni, tak naprawdę, mogli być do nich zdolni. Nic jednak po sobie nie okazywali. Dla obojga śmierć Robina była głębokim przeżyciem. Tuck stał się cieniem dawnego, jowialnego i wesołego mnicha-rzeźmieszka. Coś się w nim wypaliło, zgasła radość życia. Został, bo sądził, że tak trzeba. Zrzucił nawet habit, zaczął nosić się po świecku, jak wszyscy inni. Match widział kiedyś jego twarz, gdy napinał łuk i celował w leżącego na tracie rannego, który sikając krwią z przebitej tętnicy usiłował odczołgać się w ukrycie. Twarz Tucka nie wyrażała nic, jakby właśnie celował do tarczy, nie do bezbronno człowieka, który i tak za chwilę by się wykrwawił. Spokojnie wypuścił strzałę, śledząc uważnie jej lot aż do trafienia, które rzuciło wijącym się z bólu i strachu człowiekiem o zlepiony krwią piasek traktu. Jeżeli Tuck miał jeszcze wątpliwości, to nie przeszkadzały mu zabijać.

Marion pierwsze miesiące przeżyła w napięciu i euforii, która kazała jej pchać się na pierwszą linię. Match starał się hamować te zapędy, bezskutecznie. Dla Marion najważniejsze było to, że może działać, może się mścić. Najgorsze były chwile beczynności, w których miotała się jak zwierzę w klatce, lub przeciwnie, zamykała się w sobie, siedząc bez ruchu i nie reagując na nic dokoła.

Match otrząsnął się z rozmyślań, słysząc znajomy głos.

–Przyprowadzili jakichś ludzi, mówią, że do ciebie – powiedział Nazir. Nazir. Ten nie miał żadnych problemów. Urodzony i wyszkolony zabójca, czuł się teraz jak ryba w wodzie. Match podejrzewał, że lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

–Kto przyprowadził? – spytał krótko.

–Wartownicy, ci z wylotu traktu – wyjaśnił Maur. – Nic nie mów, już ich opieprzyłem -uprzedził spodziewane wymówki, widząc jak Match krzywi się niechętnie.

Wartownicy mieli za zadanie informować o zbliżającym się zagrożeniu i zniechęcać wszystkich, nawet pojedynczych, nieszkodliwie wyglądających wędrowców do zagłębiania się w las. Zniechęcanie polegało na strzelaniu prosto pod nogi. Jeżeli ktoś nie rozumiał wymowy wbijającej się przed nim w drogę strzały, strzelano drugi raz, i jeszcze trzeci. Jeżeli nadal nie rozumiał, to sam był sobie winien. Tacy uparci jednak zdarzali się rzadko i jak dotąd nie mieli okazji do powtórzenia błędu.

Ci wszyscy, którzy udawali się do puszczańskich wiosek, musieli wcześniej uzgadniać, kiedy i którędy chcą pojechać. Nie robiono wyjątków. Tej wiosny ruch był niewielki, wymiana handlowa z miastem prawie ustała. Chłopi nie ośmielali się wozić swych produktów na targ, wioski miały jeszcze wystarczające zapasy. Match miał nadzieję, że tego lata sytuacja zmieni się, gdy przeniosą walkę na teren przeciwnika, gdy umocnią swe wpływy w siolach poza puszcza.

Nazir wskazał trzech łuczników prowadzących przybyszów. Nie mieli broni, widać zabrano im ją wcześniej. Obaj mieli około trzydziestki, ubiór i postawa wskazywały na byłych żołnierzy lub członków cechowej milicji. Rozglądali się niepewnie, starając się trzymać hardo i robić jak najlepsze wrażenie. Nie bardzo im to wychodziło.

Match poczuł złość. Podstawową zasadą miało być utrzymanie w tajemnicy lokalizacji obozu na polanie. Te bezmyślne matoly zaś prowadzą tu dwóch nieznanymi ludzi, nie pomyślawszy nawet, by zawiązać im chociaż oczy. A najlepiej w ogóle ich nie przyprowadzać, były wydane odpowiednie, wyraźne rozkazy. Cholera, przepędzę jak psy, pomyślał Match.

Nazir zrozumiał od razu.

–Match, oni nie mogą stąd wyjść – spojrzał znacząco. – Mogą zostać, ale wyjść nie mogą...

–Wiem, Nazir, wiem – skrzywił się Match. – Mam nadzieję, że nie wpadli tylko po to, żeby, dajmy na to, zapytać o drogę...

Okazało się, że jeden z przybyłych był krewnym chłopaka pełniącego wartę. Obaj uciekli ze straży jednego z okolicznych baronów, by przystać do banitów. Oczekiwali, że ze swym doświadczeniem dostaną natychmiast pod swą komendę co najmniej niewielkie oddziały. Tłumaczyli jeden przez drugiego, jak wielkie szczęście spotkało Matcha, że będzie miał tak wybornych i doświadczonych dowódców.

Match nie wiedział, czy śmiać się, czy złościć. W końcu roześmiał się. Wyższy z przybyszów, o poznaczonej śladami po ospie twarzy, oburzył się.

–Co ty sobie myślisz, popatrz na tę swoją hołotę, tacy, jak my damy sobie radę z każdym z

osobna!

Match nie odpowiedział. Wciąż się uśmiechał. Drugi, krewny wartownika, zawtórował:

–Tak, z każdym z osobna! – krzyknął. – I z wszystkimi naraz! My jesteśmy zawodowi żołnierze, nie to, co te twoje kmiotki!

–Te moje kmiotki, jak byłeś łaskaw się wyrazić, mój dobry człowieku, pokonały ostatniej jesieni wielu takich, jak ty. Bez specjalnych trudności.

Match mówił spokojnie, mimo wzbierającej w nim złości.

–Oni z łuku trafiają na pięćdziesiąt kroków kozła w gąszczu. Znają las wszystkie

ścieżki, trakty, bagniska. Potrafią poruszać się po nim w dzień i w nocy. A ty co potrafisz?

–Co ty mi tu... – zaczął wyższy. Krewny wartownika trącił go w bok.

–Młodzi jesteście, panie – zaczął pojednawczo. – A my żołnierze doświadczeni, wiemy, co potrzeba. Z łuku, z zasadzki ustrzelić każdy głupi potrafi. Nawet, choćby kmiot był zafajdany, za przeproszeniem, jak mój krewniak. Ale żeby w polu stanąć, to już tylko żołnierz, szkolony, taki jak my. Takich potrzebujecie. My to każdego z tych wieśniaków w ziemię możemy wdeptać. Najmij nas, panie, a nie pożałujesz...

Match rozejrzał się. Wskazał siedzącego opodal łucznika zajadającego pajdę chleba.

–Widzisz tego tam... – wskazał na jedzącego. – Tego tam, jak to mówisz, kmiota?

–Widzę, a bo co? – wysoki wzruszył ramionami. – Idź do niego i zabierz mu ten chleb.

–Jak to, zabierz?

–Po prostu, idź i zabierz. Jak nie będzie chciał oddać, to wdepcz go w ziemię.

Nazir uśmiechnął się dyskretnie. Josh, który nieświadom niczego zajadał wielką pajdę, był znakomitym łucznikiem. Tak znakomitym, że wybaczano mu wszelkie bójki, które wszczywał.

–Po co? – wysoki nastroszył się, podejrzliwie wodził oczyma po wszystkich.

–Chcę zobaczyć, czy się nie przechwalasz. Czyś taki mocny tylko w gębie... Wysoki zezłościł się. Wojowniczo podwinął rękawy. Zatrzymał się jednak.

–Nie mam broni – bąknął, spoglądając niepewnie na Matcha.

–On też – uśmiechnął się Match.

Wysoki ruszył w stronę Josha. Po chwili było po wszystkim. Kandydat na dowódcę siedział, trzymając się za nos, między palcami ciekła mu krew. Josh poszedł ukroić sobie nową pajdę chleba. Nie lubił, gdy piasek zgrzyta mu w zębach.

Gdy niefortunny zapaśnik przyłożył już sobie do nosa mokry gałgan, Match spróbował wyjaśnić im sytuację.

–Posłuchajcie, chłopcy – zaczął. – Nikt was tu nie prosił, sami przyszliście. Nie

dostaniecie ludzi pod komendę. Pójdziecie do Willa Scarletta, pokażą wam, który to. On będzie

waszym dowódcą, będziecie robić to, co każe. Ponieważ każdy z moich ludzi ma od was więcej

doświadczenia, przynajmniej tu, w tej puszczy, ich będziecie słuchać także. A gdy się już

czegoś nauczycie, to wtedy zobaczymy...

Wysoki słuchał, ponuro pociągając złamanym nosem. Drugi aż podskoczył ze złości.

–Nie tak chcieliśmy! – wrzasnął. – Skoro tak, to bez łaski, my wracamy. Nie będziemy tu robić za podkomendnych tych kmiotów! Nie chcecie, to nie!

–Nie zrozumiałeś mnie – powiedział spokojnie, lecz z naciskiem Match. – Ja nie daję wam wyboru. Wyboru nie macie, albo mnie posłuchacie, albo...

Wysoki okazał się bystrzejszy. Widać cięgi, które dostał, nauczyły go nieco pokory. I rozjaśniły w głowie.

–Nie możecie pozwolić nam odejść... – powiedział cicho. – Skoro tu przyszliśmy, to musimy zostać, tak? – dodał płacząco.

Match skinął głową. Nazir uśmiechnął się tylko. Gdy wysoki zobaczył ten uśmiech, zrozumiał do końca.

–To przez ciebie, ty głupi... – walnął z rozmachem kamrata w łeb. – Przez ciebie tu przyjeźliśmy, złote góry obiecywałeś, i teraz co... Tak jak u barona, wszyscy będą nami

pomiatać, a jak nie, to do piachu...

–Do bagna – poprawił Nazir, wciąż się uśmiechając. – Mniej kłopotu, kopać nie trzeba...

Gdy odprowadzono ich wreszcie, Match odetchnął z ulgą.

–Trzeba coś postanowić – powiedział do Maura. – Takich będzie więcej. Trzeba znaleźć jakieś miejsce, gdzie będzie można z nimi porozmawiać, nie zdradzając obozu. Mogą trafić się lepsi, nie takie dupki, jak ci... Mogą się przydać, rzeczywiście będziemy potrzebować takich, co to w polu potrafią stanąć, nie tylko z łuku strzelać. Zanim naszych Will wyszkoli, sporo czasu upłynie... Ale trzeba wybierać, nie można wszystkich brać, jak leci...

–Bagna duże – zażartował ponuro Nazir. Match roześmiał się.

–Z tymi wartownikami to ja jeszcze pogadam – dodał Maur, już poważnie. – A ty lepiej porozmawiaj z Marion. Długo jesteśmy bezczynni...

Zielonooka lady Marion. Młodziutka Marion, która nie chciała poślubić tego, którego przeznaczili jej opiekunowie. Nie chciała też zamknąć się w klasztorze. Taki jej dano wybór, niechciany i tak naprawdę wstrętny mąż lub zamknięcie się za klasztorną furtaa.

Młoda, słaba i bezwolna, zda się, dziewczyna dokonała w odpowiedzi własnego wyboru. Wyboru, którego nikt się po niej nie spodziewał. Wybrała miłość. Do romantycznego banity, którego pokochała, choćby to głupio i trywialnie zabrzmiało, od pierwszego wejrzenia. Bez żalu pożegnała życie szlachcianki, przyszłość rycerskiej żony, spokój i dostatek. Wołała niepewne jutro z nim, Robinem z Locksley.

Była mu towarzyszem stającym w walce u jego ramienia. Była kochanką dzielącą z nim chwile w leśnych szałasach i wiejskich chatach. Była żoną, wierną i dbającą o niego, jakby była mu naprawdę zaślubiona... Była...

Jason otworzył oczy. Zniknęła kasztanowłosa, roześmiana dziewczyna.

Była... zabawką?

Robin, księżę złodziei, władca puszczy Sherwood. Drwiący z wielmożów i z prawa, śmiały, zuchwały. Zuchwały siłą swej młodości, legendy, która zaczynała go otaczać. Dufny w swą szczęśliwą gwiazdę, pewien stojących za nim racji. Dla niego wszystko było zabawą, nawet walka o utracone dziedzictwo.

Miał szacunek i posłuch wśród towarzyszy. Podziw i uwielbienie tych, których brał w obronę. Strach i nienawiść przeciwników. Wszystko zasłużone. Należało mu się, leśnemu hersztowi. Straszemu dla wrogów, kochanemu przez przyjaciół, podziwianemu przez maluczkich. Miał też ją. Ona też się należała, jak wszystko inne.

Nie wiedziałeś o tym, myślał Jason, spoglądając na ukrytą w mroku twarz Matcha. Nawet się nie domyślałeś. Nie dostrzegłeś chwil, kiedy popłakiwała w samotności.

Nie domyślałeś się, jak mało dla niego naprawdę znaczy. Nie domyślałeś się, dlaczego...

Jason znów przymknął oczy. Nawet gdyby chciał, gdyby próbował to wszystko Matchowi uświadomić, to i tak nie wiedział jak.

Match mówił niewiele, w zasadzie tyle, co nic. Mówił niechętnie, milkł co i raz na dłuższą chwilę. Nie potrafił ubrać w słowa uczuć, które, choć dotyczyły spraw sprzed

lat, wciąż były tak samo silne.

Nie musiał mówić wiele. Emocje były silne, Jason pod natłokiem wywołanych przez nie obrazów czuł się zagubiony, przywalony nadmiarem wrażeń. Czuł się nieswojo, jak mały chłopiec, co z wypiekami na twarzy, ukryty za krzakami przygląda się czemuś, czego tak do końca jeszcze nie rozumie. Nie wiedząc, że za tym, za tymi splecionymi ciałami, kryje się być może coś więcej, coś, czego jeszcze, nie jest w stanie pojąć. Być może...

Zrozumie kiedyś, gdy przyjdzie jego czas. Zrozumie, że namiętność jest nierozłączna od cierpienia. Że za każdą chwilę radości trzeba zapłacić smutkiem.

To nie w porządku, myślał Jason. Tak nie można. Nie chcę tego oglądać, daj spokój, Match. Nie chcę...

Match szedł powoli przez obozowisko. Coś było nie tak, coś się psuło. Zupełnie nie wiedział, co.

Marion traktowała go dziwnie. On sam, przez cały czas, podchodził do niej jak pies do jeża. Ostrożnie. Starał się być blisko, lecz obawiał się narzucać. Cieszył się z każdego pretekstu, który dawał okazję do rozmowy czy choćby popatrzenia na nią z bliska. Tak jak teraz.

–Wejdz – usłyszał.

Płachta zawieszona u wejścia do szałasów uniosła się, zachodzące słońce rozświetliło wnętrze. Marion zmrużyła oczy. Siedziała na przykrytym skórami pośłaniu. Match zawahał się chwilę, w końcu wszedł. W szałasie było tylko pośłanie, nie zdecydował się usiąść obok niej. W końcu przykucnął na ziemi, zarzuconej naciętymi świerkowymi gałązkami.

Nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Rozglądał się w milczeniu po szałasie.

Szałas Marion wyglądał inaczej, niż wszystkie inne na leśnej polanie. Prawdę mówiąc, była to raczej mała chatka. Match sam zadbał, by Marion miała zapewnione wszelkie możliwe wygody. W odróżnieniu od szałasów, którym zadowalali się inni, a także on sam, przy budowie schronienia dla niej włożono więcej trudu. Ściany z żerdzi pokryte były plecionką z łyka, szpary starannie poutykano mchem. Konstrukcja dachu pokryta strzechą z trzciny sprawiała solidne wrażenie. W palenisku tliły się grube bierwiona. Duże kamienie otaczające palenisko, nagrzane przy ogniu, oddawały nocą ciepło, promieniowały żarem do samego rana.

Marion pierwsza przerwała ciężką ciszę. Ze sztucznym ożywieniem zaczęła wypytywać o plany na najbliższe dni. Odpowiadał jak umiał, mając nadzieję, że to, co mówi, trzyma się kupy.

Owszem, słuchała, nawet wtrącała pytania i komentarze. Ale wzrok miała trochę nieobecny, a czasem spoglądała spod oka, jakby dziwiąc się sama, po co tego słucha. Przecież

nic ją to nie obchodzi. Przecież nie o to chodzi... Match, złowiwszy raz i drugi błysk spojrzenia, zająknął się, urwał. Po chwili znów podjął ze sztucznym ożywieniem.

Nie na długo starczyło. Rozmowa, o ile przerywany coraz rzadszym potakiwaniem monolog można nazwać rozmową, rwała się coraz bardziej. Wreszcie zapadło milczenie. W chatce było coraz ciemniej, Match ledwie widział w mroku owal twarzy. Siedział i patrzył.

–Match, chcesz mi coś powiedzieć... – to nie było pytanie, to było stwierdzenie. Ciche i

łagodne.

Match bez sensu próbował podjąć monolog, nie potrafiąc odpowiedzieć wprost na zadane pytanie. Usiłował sobie przypomnieć o czym właściwie przed chwilą mówił.

–Match... – przerwała Marion. – Daj spokój... Już od dłuższego czasu chcesz mi coś powiedzieć...

Owszem, chciał. Ale nie potrafił. Zamilkł i spoglądał w ciemność, na ledwie widoczną jaśniejszą plamę twarzy. Zdobył się tylko na to, żeby lekko skinąć głową. Nie poruszyła się. Nie odpowiedziała.

–Pomóż mi – szepnął po chwili.

Lekki, przeczący ruch głowy, prawie niedostrzegalny. Tylko szybkie spojrzenie spod opadających na pochyloną twarz włosów.

Sam nie wiedząc, jak się na to zdobył, wyciągnął rękę. Poczł ciepło jej dłoni, szorstkiej od gryfu łuku.

Nie cofnęła się, gdy przygarniał ją do siebie, gdy zanurzył twarz w pachnące ziołami włosy. Wsunął dłoń pod opadające pukle, gładził po karku, czując gładkość i zapach skóry. Przycisnęła się mocniej.

Gdy zsunął dłoń niżej, pod koszulę, głaszcząc po plecach, zadrżała. Nie odsunęła się, lecz poczuł wyraźnie, jak sztywnieje. Zaczęła mówić, cichym, urywanym głosem.

–Nie, Match, proszę... To... to za wcześnie... za wcześnie... Spróbował przytulić mocniej.

–Proszę, Match...

Delikatnie wyswobodził ją z objęć. Nie odsunęła się, to on musiał się cofnąć. Opuściła głowę, kryjąc twarz pod opadającymi włosami. Cisza.

Mrok, milczenie i jej bliskość. Zapach ciała, wciąż odczuwany dotyk gładkiej skóry. Ból niespełnienia.

–Marion, wyrzuć mnie stąd... – odezwał się wreszcie ochryple. – Wyrzuć mnie, bo sam nie

wyjdę...

Długa cisza. Nadzieja. Nadzieja, że powie „zostań”.

–Idź już, Match... Tak będzie lepiej... Nawet nie uniosła głowy.

Chata, zapadający mrok, rozświetlony jedynie żarzącymi się na palenisku węglami. Twarz ledwo widoczna w ciemności, jasny owal na ciemnym pościeliu ze świerkowych łapek. Milczenie pełne niewypowiedzianych znaczeń.

Nawet nie rozmawiali. Nie było o czym. Nie było po co. Siedzieli tylko na pościeliu dziwnie usztywnieni wzajemną bliskością.

Gdy tego wieczora stanął przed chatą, długo nie mógł się zdecydować, czy wejść do środka. Przez cały dzień zamienili kilka zdawkowych, obojętnych zdań. Spoglądali tylko na siebie, dziwnym trafem przez cały dzień trzymając się blisko. Jednak nie za blisko. Match spostrzegł jedynie kilka uważnych spojrzeń. Nie był jednak najlepszy w odczytywaniu sygnałów.

Zdecydował się w końcu, odchylił ciężką płachtę zastępującą drzwi do chatki. Zatrzymał się.

–Wejdz – usłyszał. Jak zwykle.

Dziś nie zaczął już bezsensownej, prowadzonej ze sztucznym ożywieniem rozmowy. Było to zupełnie niepotrzebne. Więcej, byłoby śmieszne, o czym wiedzieli oboje. Usiadł tylko na pościeliu. Dziwna rozmowa bez słów.

Bawił się kosmykiem kasztanowatych włosów. Gdy przypadkiem dotknął szyi, westchnęła. Delikatnie, samymi opuszkami przesunął po gładkiej skórze. Zadrżała lekko. Siedział tak, gładząc jedwabistą skórę, czując drżenie, słuchając coraz głośniejszych westchnień. Mógłby tak siedzieć bez końca...

Ktoś krzyknął na skraju polany. Zanim Match uświadomił sobie, że to straż nawołuje

się na krańcach obozu, drgnął i odsunął się od Marion. Sam nie wiedział dlaczego.

Marion też zeszywniała. Gdy chciał znów ją pogłodzić, odsunęła się.

–Nie znasz się na kobietach, Match – w głosie nie było złości, nawet rozczarowania.
Po

prostu stwierdzenie faktu. – Nie znasz się – podjęła po chwili. – Gdybyś się znał, wiedziałbyś,

że teraz... Że jeszcze przed chwilą... Mogłeś... Mogliśmy...

Mówiła, nie odwracając się, gdzieś w przestrzeń przed sobą. Nie znosił tego. Ale teraz nie zwrócił uwagi, słysząc ledwie dostrzegalną nutę zawodu.

–Mogłaś chociaż tego nie mówić – mruknął bardziej zawstydzony, niż rozzłoszczony. –

Mogłaś nie mówić...

Nie wiedział, co teraz zrobić. Niejasno zdawał sobie sprawę, że powinien po prostu wstać i wyjść. Przeprosiwszy wprzód. Nie mógł się jednak na to zdobyć. W głowie miał tylko pustkę, czuł się jak... Sam nie wiedział jak.

Marion też nie zrobiła nic. Siedziała objawszy kolana, wpatrzona w mrok. Match, sam nie wiedząc kiedy, przygarnął ją.

Poczuł przy swoim policzku ciepło jej policzka. Oddech delikatnie łaskotał go w ucho. Coraz bardziej przyspieszony. Gdy musnął wargami policzek, zadrżała i przycisnęła się mocniej. Zwróciła twarz, szukając jego warg. Po chwili znalazła.

Match czuł pod palcami nabrzmiewającą sutkę, czuł wyraźnie przez szorstki materiał. Objął dłonią pierś. Marion westchnęła głośniej. Namacał rozcięcie koszuli, wsunął dłoń. Marion wygięła się do tyłu, oddychała coraz szybciej.

Gdy dotarł do zapięcia płóciennych spodni, odsunęła go na chwilę. W mroku przed sobą widział błyszczące oczy.

–Musisz postawić na swoim? – spytała. Bez kpiny w głosie. Bez niechęci. Nagle stał się bardzo konsekwentny. Zniknęły gdzieś początkowe opory.

–Muszę – wyszeptał ochryple, uparcie pracując nad opornym zapięciem. Udało się w końcu. Zaśmiała się, tchnąc mu w twarz. Wsunął dłoń, jęknęła i przywarła do niego z całych sił. Gdy dotarł do gorącej wilgoci, ścisnęła jeszcze mocniej...

–Dosyć! – Jason o mało nie zerwał się na równe nogi. Nie dlatego, że był

pruderyjny, co to, to nie. Ale nie chciał dalej słuchać. Co innego męskie opowiadki i przechwałki przy piwie. Ale ta... spowiedź... opowiadanie najintymniejszych przeżyć... Nie opowiadanie, pokazywanie... Przecież nie dlatego, by pochwalić się, jaką to udało się przelecieć... Nie, do cholery, pomyślał Jason, dosyć tego. Nie jestem jakimś pieprzonym spowiednikiem, gównu mnie to obchodzi...

–Dosyć, Match – powiedział wreszcie spokojniej. – Nie mam specjalnej ochoty tego słuchać, a podejrzewam, że ty nie masz ochoty opowiadać. Nie widzę zresztą związku ani konieczności...

Urwał, gdy dostrzegł minę Matcha. Match nie miał już stężałej, ściągniętej twarzy, jak przedtem, gdy opowiadał o innych rzeczach. Nie mówił spokojnym, głuchym głosem. Teraz twarz była łagodna.

Match uśmiechał się. Uśmiechał się do swoich wspomnień.

Ciemność, a przecież widział dokładnie nagie ciało, wyciągnięte na posłaniu ze świerkowych łapek. Każde poruszenie, każdy gest, każde słowo. Jakby nie upłynęły te wszystkie lata. Jakby to było wczoraj... dziś... przed chwilą...

Dotyk, zapach, smak... Tak intensywne, jakby odczuwane właśnie teraz. Znów. Znów? Nie, Match, ty durniu, to tylko złudzenie... To już tylko złudzenie... I nigdy nie będzie inaczej...

–Mówiłem, dosyć! – Jason naprawdę miał dosyć. Zerwał się na równe nogi. Od Matcha,

od jego słów i myśli emanował taki żal, taka beznadziejność, że Jason miał wrażenie, iż łeb mu

za chwilę pęknie. Nie, nie tak, raczej wrażenie pogrążania się w lepkim, zimnym i ciemnym

bagnie. Co gorsza, zupełnie nie potrafił nad tym zapanować. Nie znał jeszcze swych nowych

zdolności od tej strony. Ciemnej strony.

Do dupy z takim darem, pomyślał mgliście, gdyż zupełnie nie mógł zebrać myśli. Do dupy... Potrząsnął głową, lecz paskudne uczucie nie opuszczało go. Miał wrażenie, że za chwilę się w nim utopi...

Nagle zelżało. Jason potrząsnął jeszcze raz głową, spróbował skupić wzrok. To Match nagle spostrzegł, że coś z nim nie tak. I wreszcie zaczął myśleć o czymś innym.

–Dosyć, Match – z trudem wykrztusił Jason. – To nie ma nic do rzeczy, mówiłem już. To

jest, kurwa, twoja prywatna sprawa, i tej kobiety... Poza tym, ja nie mogę, naprawdę nie mogę...

Nogi mu zmiękły i z rozmachem usiadł na ziemi. Match sprawiał wrażenie, jakby nic nie rozumiał. Trudno się dziwić.

Jason powoli dochodził do siebie. Do dupy z takim darem, powtórzył w duchu. Cholera, czy to ma znaczyć, że jeżeli kogoś przy mnie rozboli dajmy na to ząb, to i mnie też? To już nie tylko obrazy z czyjegoś umysłu, ale i uczucia? Zwłaszcza takie paskudne? To co, mam teraz z daleka omijać wdowy nieutulone w żalu? A jak taką na pierwszy rzut oka poznać? A co z nieszczęśliwie zakochanymi?

Tak, Jason, dostałeś moc. A teraz poznałeś jej ciemną stronę. I chętnie byś ją komuś oddał. Całkiem za darmo.

Nie wiedział jeszcze, że się myli. Że to od niego głównie zależy, co będzie odczuwał i kiedy. Że to on powinien kontrolować swe zdolności, a przynajmniej starać się to robić. Że to się udaje. Na ogół.

Nieutulone w żalu wdowy nie stanowiły zagrożenia. Nie będzie odczuwał ich bólu i cierpienia, chyba, że będzie chciał dzielić z nimi to cierpienie. Tak jak z tym człowiekiem, do którego czuł nieświadomioną jeszcze, ale głęboką sympatię i współczucie.

Wreszcie dotarło do niego, że Match coś mówi.

–...to ma związek, Jason, to jest ważne. Bo widzisz, ja większość głupstw w życiu zrobiłem

z powodu tej dziewczyny. Nie, nie usprawiedliwiam się, nie mogę przecież... Sam jestem

winien wszystkiemu... Ale wszystko zaczęło się od niej, dla niej...

Jason nie odpowiedział. W duchu przyznawał Matchowi rację, to mogło być ważne. A przynajmniej było ważne dla Matcha. Ale tak trudno tego słuchać... Jeszcze trudniej widzieć...

–Gdy zrozumiesz, kim była... kim jest dla mnie, może zrozumiesz wszystko to, co stało się

później. Tylko zrozumiesz, usprawiedliwiać nie musisz...

Jason tylko kiwnął głową. Nie czuł się na siłach, by odpowiadać. Przymknął oczy i słuchał dalej.

–Match, odpowiedz na jedno pytanie.

Leżeli obok siebie, trzymając się za ręce, jakby bojąc się utracić wzajemny kontakt. Match pocałował nagie ramię, słone od potu.

–Odpowiedz mi...

To spytaj, pomyślał Match. Na pewno odpowiem, na każde pytanie. Zawsze ci odpowiem. Zawsze.

Czuł ciepło drobnych palców w swej dłoni. Czuł ciepło rozgrzanego ciała obok siebie. Czuł ciepło w sobie. Głęboko.

–Match, powiedz mi, co to dla ciebie właściwie znaczy – znów odwracała głowę, nie patrzyła w oczy. – Powiedz, jak to było... jak to jest...

Nie zrozumiał.

–Jak co...? – spytał głupio. Poczuł, jak drobne palce zaciskają się na jego dłoni. Teraz spojrzała mu prosto w twarz.

–Czy po prostu zaliczyłeś, i już? Czy może...

–Marion... – aż się zająknął. Nie z gniewu, z zaskoczenia. Nie spodziewał się tego. – Marion, ja...

–Czy może chcesz, jeszcze kiedyś, kiedy będzie okazja... – przerwała mu bezlitośnie. – Niewiele będzie...

Pokręciła głową.

–Niewiele będzie okazji. Ale będą... Była poważna. Nic nie zostało z uśmiechów, z uniesienia.

–Marion, ja... – chciał powiedzieć więcej, co czuje, jak bardzo... Przerwał, widząc ledwie dostrzegalny przeczący ruch głowy.

–Marion... – spróbował jeszcze raz.

–Nie.

Usiadła, objąwszy kolana, kryjąc twarz w rozsypanych włosach. Niezdarnie objął ją,

odwrócił jej głowę. Spojrzał w poważne, nieruchome zielone oczy. Gdy całował, poczuł słony smak. Smak potu. Albo łez. Tak zostało. Bez słów. Bez deklaracji. Bez uśmiechu. To musiało wystarczyć. Przecież będzie jeszcze okazja...

Wciąż ciaśniejszy wokół poplątany krąg Coraz częściej straszy zimno naszych rąk

Stanisław Staszewski, *W czarnej*

urnie

Dźwięki lutni były dziwnie nie na miejscu na tej leśnej polanie. Pasowały raczej do sali zamkowej czy też zamkowego podwórca. To na ucztach i jarmarkach zazwyczaj koncertowali minstrele i wędrowni kuglarze. Rzadko zapuszczali się w leśne ostępy, a już na pewno nie po to, by w nich dawać występy.

Jednak ci, którzy grali teraz i śpiewali w leśnym obozowisku nie byli zwykłymi bardami. Chociaż zazwyczaj bardzo się obrażali, gdy ich tak nie nazywano. Prawdę mówiąc jednak muzykowanie nie było ich jedynym zajęciem, aczkolwiek robili to nad podziw dobrze. Drugim powołaniem, któremu oddawali się z równym zaangażowaniem, była wojaczka i rozbój.

Oprócz tego, że posiadali podwójne zainteresowania, mieli inne nietypowe cechy. Minstrele występowali na ogół samotnie, co najwyżej w towarzystwie ucznia, którego głównym zajęciem było zbieranie datków od publiczności. Oni zawsze grali razem, w czterech, zaś do datków nie przywiązywali zwykle większej wagi, wychodząc z założenia, że ich drugie rzemiosło jest znacznie bardziej dochodowe. Zdarzało się, że dla kaprysu żądali zapłaty za swe kompozycje, jednak nie musieli nigdy korzystać z usług pomocnika obchodzącego publiczność z czapką lub bębenkiem. Na stanowcze żądanie, poparte widokiem broni, publiczność ochęco oferowała zapłatę, dorzucając niekiedy coś z ozdób i biżuterii.

Gdy po raz pierwszy pojawili się w lesie, wyrażając chęć dołączenia do banitów, Match o mało nie parsknął śmiechem na widok tych cudaków. Bo też było na co popatrzeć. Lecz ci, co przyszli wcześniej, nie byli lepsi. Czasami nawet gorsi, Match miewał już kłopoty z odsyłaniem różnych zabijaków. Nie chciał kłopotów, a tacy ludzie zawsze je zapowiadali, zbyt niezdyscyplinowani i skłonni do okrucieństw, popełnianych głównie w celu nabicia sobie kabzy. Gorszi zresztą byli wariaci i nawiedzeni – rzezimieszek zwykle pojmował sytuację i odchodził, rzuciwszy najwyżej na odchodnym grubym słowem. Z wariatami bywało gorzej, bardzo trudno było się ich pozbyć.

Czterej minstrele wyglądali na oryginałów, ale nie na wariatów. Nie widać było po nich krwiożerczej bezwzględności i chciwości. Wyglądali groźnie, a i bronią potrafili się posługiwać, co zademonstrowali na wyraźne życzenie Nazira. Wyglądało na to, że

mogą się przydać. Choćby dla rozrywki, śpiewali i grali naprawdę dobrze.

Match zdawał sobie sprawę, że liczni nowi przybysze zaczęli stanowić problem. Początkowo przyjmowano ich chętnie, uważając, że do walki przyda się każda para rąk. Zwłaszcza takich, które potrafią sprawnie obracać mieczem. Wędrowni poszukiwacze przygód byli mile widziani, zwłaszcza, że w swym rzemiośle przewyższali niezmiernie wioskowych ochotników, z których każdy obeznany był wprawdzie od małego z łukiem, puszczańskimi ścieżkami i traktami, ale niewielu miało pojęcie o bezpośrednim starciu z przeciwnikiem.

Wszystko zaś wskazywało, że niedługo skończą się czasy, w których żołnierzy szeryfa można było wystrzelać z ukrycia. Owszem, pozwalało to nie dopuszczać podjazdów do lasu, chronić puszczańskie wioski, ale nic poza tym. Zaś Match miał szersze plany, a z realizacją tych planów łączyła się konieczność podjęcia walki na terenie przeciwnika, walki otwartej, nie prowadzonej z ukrycia. Pod częstokołem szlacheckiego dworu, na gościńcu czy pod murami miasta mały był pożytek z łuczników. Trzeba było doświadczonych żołnierzy, sprawnych w polnych potyczkach i przy zdobywaniu umocnień.

Niestety, większość ludzi, którymi dysponował do tej pory Match, nie miała o takiej walce pojęcia. A nauka była ciężka i żmudna. Toteż przyjmowano większość wyszkolonych ochotników.

Nazir nie miał złudzeń. Wiedział, kim są przybywający do lasu ludzie. Wiedział, z czego żyli dotąd. Wiedział, czego oczekują. Ich motywacją nie była walka o wolność czy ludzkie traktowanie. Oni walczyli tylko dla zdobycia majątku. Owszem, sławy też, to pomagało przy ewentualnych późniejszych kontraktach. Ale pieniądze były głównym motywem, dla którego ryzykowali życie.

Maur wiedział jednak, że tych ludzi nie trzeba szkolić, przeciwnie, można niejednego się od nich nauczyć. Wiedział, że dopóki będzie im się to opłacać, pozostaną lojalni, będzie można na nich polegać. Ufając swemu instynktowi, miał nadzieję, że udało się na wstępie odrzucić tych wszystkich, którzy sprawiali wrażenie ewidentnie niezrównoważonych, jak również tych, o których było głośno z powodu uprzednio popełnionych zbrodni. Miał nadzieję, że nie pozwolił zostać żadnemu maniakalnemu mordercy. Znał się na ludziach, rzadko się mylił.

Najemnicy, jak ich w myśli, zgodnie zresztą z prawdą nazywał, spełnili jak na razie pokładane w nich oczekiwania. W kilku potyczkach, które udało im się do tej pory stoczyć, odnosili druzgocące zwycięstwa, przy bardzo małych stratach własnych. Łupy jakie przy okazji zdobyli, jak na razie wydawały się ich zadowalać. Mieli prócz tego nadzieję, że prawdziwe żniwa przyjdą wtedy, gdy zdobędą wreszcie jakąś szlachecką siedzibę czy też uda się wypad do miasta. Stratami się nie przejmowali, jedynym, na co zdobywali się po śmierci kogoś ze swoich, była zwykle kłótnia o

pozostawione przez niego dobra.

Jednak mimo bezsprzecznych korzyści, z których największą była możliwość przeniesienia wojny na teren wroga, zaczęły się też kłopoty. Najemnicy nie grzeszyli subordynacją, a do tego z wyższością i pogardą odnosili się do wiejskich ochotników, którzy stanowili dotąd trzon sił banitów. Mimo iż trzymali się osobno, w obozie wynikały co rusz sprzeczki i bójki, w których zazwyczaj poszkodowani bywali wiejscy chłopcy, często nie ze swej winy. Ot, nie zeszli w porę z drogi dzielnemu wojakowi lub nie dość chętnie zabierali się do oporządzania koni. W końcu doszło do tego, że wiejscy chłopcy, jak to mieli w zwyczaju, kupą zasadzili się na najbardziej znienawidzonego najemnika. Mieli dość szykan, które spotykały ich z jego strony przy każdej okazji. Wyczekali okazji i chłopską metodą skoczyli w kilkunastu, wyczekawszy, gdy nieopatrznie odszedł z kręgu ogniska bez broni.

Skończyło się ponuro. Problemem nie były wybite zęby, to rzecz zwyczajna. Ale jeden z chłopaków zmarł następnego dnia, nie odzyskawszy przytomności.

Do dźwięków lutni dołączył śpiew. To też było niezwykle, Robert, jeden z minstrelów nigdy sam sobie nie akompaniował. On tylko śpiewał, grali trzej pozostali. Może po prostu nie umiał grać.

Śpiew przerwał na chwilę niewesołe myśli Nazira. Robert śpiewał jedną ze swych najpiękniejszych ballad. Nazir, mimo iż wychowany w innej kulturze, przyzwyczajony do zupełnie innego rodzaju muzyki, zasłuchał się. Aż dziw, że człowiek, który potrafi obracać mieczem i zabijać bez cienia wątpliwości, umie tak śpiewać. Maur wsłuchał się słowa ballady o pani, która jest pewna, iż wszystko, co błyszczące, jest złotem... Coś było w tych słowach, to nie był zwykła ballada o miłości, ptaszkach i innych duperelach...

Nazir uśmiechnął się mimo woli. O ptaszkach też było, lecz jakoś sensowniej...

Patrząc na snujące się z pomiędzy drzewami kłęby dymu z ognisk, słuchał dalej. Słuchał, by nie niepokoić się szelestem w żywopłotach, to tylko wiosenne porządki dla Królowej Maja. Słuchał, że są dwie ścieżki, którymi można pójść, lecz zawsze jest czas, by zmienić swą drogę. Mimo woli uśmiechnął się niewesoło. Nie zawsze, pomyślał, niekiedy jest za późno...

Robert przerwał śpiew, akompaniament narastał. Jeden z pozostałych, Jimmi, grał niesamowicie szybką melodię. Znów śpiew, wysoki, podkreślony gwałtownymi akordami. I kiedy tak mkniemy drogą w dół, nasze cienie są wyższe niż nasze dusze. I może wszystko zamieni się w złoto.

Akompaniament zamilkł, jeszcze kilka fraz, śpiewanych coraz ciszej. Koniec.

Pora wracać do rzeczywistości. Maur wstał ociężale. Muzycy chowali instrumenty,

przy ognisku zaczynało się zwykle pijaństwo. Nazir ruszył poszukać Matcha. Miał nadzieję znaleźć go, zanim znów zniknie, jak ostatnio coraz częściej.

Maur od początku stał się nieformalnym zastępcą Matcha. Jakoś tak samo wyszło, nikt go oficjalnie nie mianował, natomiast wszyscy od razu to uznali. Nawet Will Scarlett, który

niechętnie widział nad sobą jakąkolwiek zwierzchność. Nazir nigdy o to nie zabiegał, ale zaakceptował. Teraz miał tylko kłopoty.

Po nieszczęsnej bójce, a raczej napaści, która zakończyła się śmiercią jednego z wiejskich chłopaków, atmosfera w obozie pogorszyła się znacznie. Utworzyły się dwie, wzajemnie izolowane grupy, patrzące na siebie z nieufnością. Ze strony wiejskich chłopaków coraz częściej zza tej nieufności wyzierała nienawiść. Nienawiść i zawiść wobec tych, którzy przybyli nie wiadomo skąd, a cieszyli się zaufaniem przywódców. Tych, co spijali całą śmietankę. Bo też łucznicy rzadko mieli teraz okazję do obszukania poległych przeciwników. Zazwyczaj nie zdążali, zaś ściąganie poległym butów im nie wystarczało. Najemnicy zaś, pamiętając o tym, co spotkało jednego z nich, traktowali ich jeszcze gorzej.

Najemnicy potrzebowali twardego dowódcy, który trzymałby ich krótko za twarz, nie pozwalając na wybryki. A teraz, co tu dużo mówić, Match nie stawał na wysokości zadania.

Nazir splunął. Nie ma czasu, pomyślał ze złością, zbyt ostatnio zajęty... Zwalił wszystko na mnie...

Sprawy zakończonej śmiercią napaści nie dało się załatwić tak, by obie strony były zadowolone. Napadnięty, ponury drab, zwany nie wiedzieć czemu Pieszczoszką, był zdeklarowanym łobuzem i sukinsynem. To właśnie on dawał się wszystkim najbardziej we znaki i, prawdę mówiąc, po stokroć zasłużył na to, co chciano mu zrobić. Z drugiej jednak strony... Z drugiej strony był bezbronny i nawet nie zdążył się do końca wysikać, gdy pierwszy kij z trzaskiem pękł mu na plecach. Mógł się zdenerwować, zważywszy na przewagę napastników. I tak też się stało, trudno więc było mieć do niego pretensje. Pomimo iż niepotrzebnie skopał chłopaka, gdy ten leżał już na ziemi, podobnie zresztą jak pozostali. Pieszczoszek tłumaczył się potem, że nie czuł do chłopaka jakiejś specjalnej złości, ale leżał on najbliżej, a zbyt bolała go trafiona kijem noga, by mógł chodzić i obdarzać wszystkich sprawiedliwie kopniakami. Wyładował więc swój gniew na tym jednym. Dodał nawet, że jest mu przykro...

Przeprosiny, nawet szczere, nie załatwiły niczego. Wróżyło to problemy.

Maur, aczkolwiek nieformalny zastępca, nie miał posłuchu takiego, jak Match.

To wszystko z jej powodu, myślał Nazir niechętnie. To przez nią tak zgłupiał. I przez nią zaczynało wkradać się rozprężenie. Zwłaszcza teraz, kiedy najwyraźniej zaczynało się nie układać...

Zresztą, nie wiadomo, kiedy było gorzej. Czy wtedy, kiedy było dobrze i Match chodził cały szczęśliwy, z głową w obłokach, nie przejmując się zbytnio tym, co działo się dokoła, czy teraz, kiedy najwyraźniej coś go gryzło.

Nazir zupełnie nie mógł tego pojąć. W jego kulturze miejsce kobiety było jasno określone. Miała dawać wojownikowi odpoczynek i wytchnienie. A tu wyglądało, że jest wręcz przeciwnie.

Leśny oddział rozrastał się. Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebny był twardy dowódca. Bowiem jeszcze trochę, a ludzie zaczną w jawny sposób łamać dyscyplinę. Zaczną działać na własną rękę. Do tej pory udało się zapobiec samowolnym wyprawom. Jednak już parę razy najemnicy zmawiali się, by potem odłączyć od reszty przy najbliższej okazji. Co gorsza, więcej chłopcy zaczęli robić to samo.

Tylko patrzeć, jak przy okazji szukania szczęścia i łupu zaczną się gwałty i rozboje. A to prowadzi prostą drogą do przegranej.

Maur zatrzymał się niezdecydowany. Matcha nie było nigdzie widać. Nazir domyślał się wprawdzie, gdzie go może znaleźć, ale nie zdobył się, by tam poszukać. Cóż, jeszcze jest czas, porozmawiać można jutro. Może się opamięta. A teraz trzeba zająć się ważniejszymi sprawami. Ktoś tu, kurwa, musi wszystkiego dopilnować.

Nazir zawrócił na pięcie i klnąc pod nosem, zawrócił do obozu.

Najprostsza i zarazem najskuteczniejsza metoda walki z partyzantami polega na biciu ich takimi środkami i sposobami, jakimi oni sami walczą. Oznacza to, że trzeba żyć i walczyć tak, jak partyzanci, rozpoznawać ich w sposób nie zwracający uwagi, śledzić bez ustanku, zmuszać do walki i likwidować.

Płk Eike Middeldorf. *Taktyka w kampanii rosyjskiej*

Szeryf przechadzał się po słonecznej komnacie, kroki stukały po posadzce, zarzuconej z rzadka dawno nie zmienianym, zeschniętym sitowiem. Nie zwracał uwagi na wpadające przez oprawne w ołów szybki promienie wiosennego słońca.

Szybki były świadectwem zasobności i bogactwa, niewielu mogło sobie na nie pozwolić. Jednak w tej chwili przywodziły na myśl jedynie to, że i on sam, w tej chwili, nie mógłby się zdobyć na ich wprawienie zamiast zwykłych, natłuszczonych pęcherzy. Finanse szeryfa sięgały obecnie dna.

Nie to było najgorsze, że praktycznie odcięto jakiegokolwiek dochody z puszczańskich wiosek. Nigdy nie stanowiły znaczącej pozycji. To sama wojna była kosztowna, utrzymanie nadmiernej ilości zbrojnych wydawało się workiem bez dna. Co gorsza, nie dawało żadnych widocznych rezultatów.

Najgorsze było to, że banici przejmowali inicjatywę. Z lasu przenieśli wojnę na tereny przeciwnika. Już nie tylko trakty puszczańskie gwarantowały kupcom utratę towaru, wozów, a często życia. Napady zdarzały się wszędzie, na terenie całego hrabstwa, a nawet, jak to ostatnio, poza jego granicami. Zbrojni nie mogli nic poradzić przeciwko szybkim, lekko uzbrojonym oddziałom, które zjawiały się nie wiadomo skąd w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, zadawały błyskawiczne uderzenie, po czym odskakiwały i rozplywały się nie wiedzieć gdzie.

Celem ataków byli zazwyczaj kupcy lub oddziały wysyłane, by ściągać należne daniny. Tak, oddziały, bo dawno minęły czasy, gdy wystarczał poborca w asyście dwóch, trzech zbrojnych. Teraz każdy potrzebował poważnej eskorty, a i to nie zawsze wystarczało. O tych, którzy próbowali wyruszyć po staremu, samotrzeć lub samowtór, słuch zaginął.

Zresztą eskorta też nie dawała gwarancji powodzenia. Ataki były częste, zgodnie z ulubioną taktyką banitów poprzedzone zazwyczaj morderczym ostrzałem, po którym pozostawało tylko dobić nielicznych, których chybiły strzały. Naprawdę byli to nieliczni, gdyż banici strzelali bardzo precyzyjnie. Ostatnio zaczęli stosować kusze, których większy zasięg pozwalał na urządzenie zasadzek w wielu pozornie niezbyt do tego nadających się miejscach. Teraz każda kępa drzew, każdy zagajnik, nawet o trzysta czy więcej kroków odległy od traktu mógł okazać się miejscem, skąd nagle

posypią się bełty.

Banici nigdy nie popełnili błędu, który polegałby na bezpośrednim uderzeniu na żołnierzy. Atak zawsze poprzedzony był przygotowaniem. Jeżeli ostrzał nie przynosił oczekiwanych rezultatów, po prostu wycofywali się. Szeryf nie miał żadnej możliwości, by spróbować odpowiadać w ten sam sposób. Po idiotycznym pomysle Gisbourne'a okazało się, że walijscy łucznicy nie przejawiają żadnej chęci do wstąpienia na służbę w barwach szeryfa Nottingham. Na miejscowych nie można było liczyć, ci lepsi od dawna byli po drugiej stronie.

Taktyka szarpania przeciwnika przynosiła wymierne rezultaty. Dochody z targu miejskiego spadły prawie do zera, odkąd coraz trudniej było znaleźć kupców, którzy zaryzykowałiby przyjazd z towarem. Doszło do tego, że sąsiednie miasta, nie posiadające przywilejów targowych, organizowały wręcz ostentacyjnie swoje własne jarmarki. I nic nie można było na to poradzić. Co, może udać się ze skargą? Pięknie by to wyglądało, ktoś, kto nie potrafi zapewnić bezpieczeństwa aż do całkowitego upadku handlu, zgłasza się z pretensjami o naruszanie swych praw. Można przewidywać jedynie to, że przywilej targowy otrzyma jeden z nielegalnych jarmarków, nielegalny, lecz przynoszący koronie wymierne dochody.

Cechy szemrały coraz głośniej, nie mając gdzie zbyć towarów. Blokada była coraz bardziej skuteczna.

Rozpoczęły się napady na młyny, gdzie zapasy, których banici nie mogli unieść ze sobą, były po prostu niszczone. Zaczęły chodzić słuchy, że nie wszystkie przypadki zaginięć poborców były dziełem banitów, że to rozzuchwaleni chłopci brali sprawy w swoje ręce, a raczej na zęby wideł.

Niewesołe myśli szeryfa miały jedną konkluzję. Przegrywał. Nie, żeby sądził, iż na koniec cała ta leśna banda przyciągnie pod miejskie mury i rozpocznie oblężenie. Nie, tego się jeszcze nie obawiał, chociaż zdarzyły się już przypadki ostrzelania szlacheckich dworów zapalającymi strzałami. Nawet skuteczne, gdyż rzadko który dwór mógł pochwalić się kamiennymi murami. Zwykle drewniane zabudowania otaczał również drewniany częstokół. Wszystko to z natury rzeczy było bardzo łatwopalne.

Szeryf przewidywał bardziej prawdopodobne niebezpieczeństwo, które mogło grozić już rychło, jak zaczynały wskazywać właśnie pierwsze oznaki. Obawiał się mianowicie, że sam król uzna go za niezdolnego do zaprowadzenia porządku. Zaś następca chętnie go ugości w zamkowych lochach. Wiele wskazywało, że koniec będzie właśnie taki.

Zaciskał pięści w bezsilnej złości. Nie miał tylu zbrojnych, by strzec wszystkich zagrożonych traktów czy też innych obiektów, mogących stać się celem ataku.

Został zepchnięty do głębokiej defensywy, a czas grał na korzyść przeciwnika. Czas, którego było coraz mniej.

Jeszcze tego tylko brakuje, żeby królowi zachciało się zapolować w królewskich lasach, pomyślał ze złością. Ładnie będę wyglądał, kiedy trzeba będzie powiedzieć, że to chwilowo niemożliwe... Do diabła, tyle w tym kraju lasów, a ten wciąż uważa miejscowe jelenie za najbardziej godne jego strzał. Nie zdaje sobie nawet sprawy, że odkąd wypędzono z puszczy ostatniego borowego, połamawszy mu wprzódy na plecach jego własny łuk, królewskie jelenie stały się wielką rzadkością. Bez nadzoru byle chmyz stawał się kolekcjonerem poroży.

Szeryf uśmiechnął się mimo woli, gdy przypomniał sobie królewskiego borowego, który stanął przed nim, aby wnieść skargę. Stanął, to zbyt dużo powiedziane. Szeryf spoglądał na zgiętego w pół draba, który z tej niewygodnej pozycji usiłował zadrzeć głowę, by z szacunkiem spojrzeć zwierzchności w oczy. Można było dostrzec fioletowe obwódki wokół oczu i spuchnięty, już ze swej natury fioletowy i żyłkowany nochal. Tak, banici nie mieli lekkiej ręki, zauważył szeryf z dużą satysfakcją. Pamiętał dobrze tego bezczelnego sukinsyna, który kiedyś ośmielił się zaglądać mu na wozy, gdy wracał z polowania na dziki. Szukał, uważacie, skłusowanych w królewskiej puszczy jeleni. I to gdzie, w taborze szeryfa hrabstwa! Dobrze, że tego dnia żaden królewski jeleni nie zaplątał się pod strzały. Inaczej trzeba byłoby chyba tego sukinsyna ubić, zanim doniesie. Z tego zaś same kłopoty, za dużo ludzi, ktoś zawsze chlapnie ozorem. Leśnicy wiedzieli o tym dobrze, dlatego pozwalali sobie na taką bezczelność. Łapówki od szlachty spragnionej królewskiego trofeum stanowiły okazałą część ich dochodów, hardzi więc byli ponad wszelką miarę. Nosili się butnie, przypominając nieco zbrojnych z utrzymywanej przez cechy milicji, które członkowie uważali się za równych niemalże koronnemu zaciężnemu wojsku. Tak samo z góry traktowali wszystkich innych, pozwalając sobie nawet na bezczelność wobec wyżej urodzonych. Jedno było niezbitą prawdą, musieli być twardzi. Śmiertelność w tym zawodzie była wysoka. Nie było roku, by jakiś leśniczy nie utonął w bagnie, przypadkiem, rzecz jasna. Niektórzy wiązali to z dziwną niechęcią do królewskich borowych, która w niezwyklej sposób jednoczyła puszczańskich chłopów i szlachetnie urodzonych wielmożów.

Patrząc na zanoszący swe jęklive skargi, kornie zgięty przed nim wrak dawnego twardziela, dufnego niegdyś w swe królewskie pełnomocnictwa, szeryf przypomniał sobie pewne ludowe porzekadło. Jak to mówią, milicjant i leśnik to fiut nie rzemieślnik...

Wspomnienia rozjaśniły na chwilę twarz szeryfa, lecz tylko na chwilę. Zaraz wróciły natrętne problemy.

Czym ja się martwię, przemknęło mu przez myśl, przecież dziś już może się okazać, że jest po wszystkim. Że to właśnie ten obleśny baron zakomunikuje mi wkrótce

królewską decyzję, po której zapoznam się bliżej ze szczurami we własnych lochach. Po kiego diabła

przyjmowałem tego nowego kata... Dawny wprawdzie już nieco niedomagał, a tego przedstawiono jako znakomitego specjalistę. Miał takie dobre referencje... Żebym tylko nie musiał przekonać się na własnej skórze, jak dobre...

Szeryf miał poważne powody do zmartwienia. Obleśny baron Godfrey, który przybył wczoraj do zamku, rzekomo przysłany przez króla tylko po to, aby pomóc rozprawić się z rebelią, wzrok miał wyjątkowo nieszczerzy. Być może to było wrodzone, lecz szeryf wolał spodziewać się najgorszego, widząc rozbiegane spojrzenie tonących w tłuszczu małych oczek.

Baron wprawdzie jowialnie zapewniał, że to tylko sąsiedzka pomoc, że gdy na dworze zasłyszał o kłopotach szeryfa, to z przyjemnością pospieszył, by przejechać się chamstwu po karkach, jak to ujął. Ładna sąsiedzka pomoc, myślał szeryf, wiedząc, że rodowe dobra barona dzieli od Nottingham wiele mil. Prawdę mówiąc, nigdy przedtem o nim nie słyszał. To, że baron przywiódł ze sobą w sumie więcej zbrojnych i czeladzi, niż wszystko, czym sam szeryf kiedykolwiek dysponował, pogłębiło tylko podejrzenia.

Podczas gdy zbrojni, na łaskawe zezwolenie barona, zajmowali się pijatyką po karczmach i wyjadaniem ostatnich szynek, które w Nottingham stały się wielką rzadkością, sam baron ucztował w towarzystwie szeryfa, Gisbourne'a i kilku z okolicznej szlachty. Baron rozkazał wytoczyć kilka beczek, które przywiózł w swych taborach. W normalnych czasach szeryf poczułby się zapewne urażony, ale teraz tylko machnął ręką. Czasy nie były normalne, przy obecnych kłopotach z zaopatrzeniem... Szeryf niejednokrotnie oczyma wyobraźni widział banitów, wesoło popijających na jakiejś zakazanej leśnej polanie jego burgunda. Dziwnym bowiem trafem, podczas gdy przechwycone przez banitów wozy ze zbożem zazwyczaj płonęły, nigdy nie spotykało to wozów wiozących beczki wina. Znikały w całości.

Siedząc przy wysokim stole szeryf usiłował wybadać, po co tak naprawdę przybył baron. Czy przypadkiem nie po to, aby po rozeznaniu się w sytuacji – a nie było to specjalnie trudne -zakomunikować królewską decyzję o pozbawieniu urzędu. Po czym nastąpiłoby niezwłoczne doprowadzenie do lochów prosto w ręce kata, wybitnego specjalisty.

Mimo wszelkich podejmowanych prób i wysiłków szeryfa, baron wciąż ględził tylko o swej bojowej chwale i o tym, jak to już nazajutrz popędzą kota hołocie. Gestykulował przy tym puginałem, którym raz po raz odkrawał wielkie kawały mięsa z upieczonego w całości dzika. Apetyt barona sprawiał, że coraz wyraźniej z pieczystego prześwitywała klatka nagich żeber. Widok posilającego się barona dziwnie odbierał szeryfowi chęć do jedzenia. Baron Godfrey miał zwyczaj, nader

niemiły, jak szeryf był zmuszony zauważyć, mówienia zaraz po odgryzieniu potężnego kęsa. Zwracał się przy tym serdecznie do rozmówcy.

Jako sąsiada z drugiej strony baron miał hrabiego Gisbourne'a, który jednak nie zwracał na nic uwagi, nadrabiając ze wszystkich sił uprzednie braki w spożyciu wina.

Szeryf zrezygnował wkrótce z prób skierowania rozmowy w interesującym go kierunku, poprzestając jedynie na udawaniu, że uważnie słucha tego, co baron Godfrey uważa za warte opowiedzenia. Na szczęście nie był on wymagającym rozmówcą i szeryf mógł poprzestać na

wtrącaniu od czasu do czasu słów „w rzeczy samej” lub „to naprawdę niebywałe”. W zupełności wystarczało to do podtrzymania konwersacji.

–...I tak, na koniec, nie uwierzycie, panie – huczał baron, żując jednocześnie i pryskając na

wszystkie strony chrząstkami i tłuszcem. – Krwi było, nie przymierzając, po kostki!

Szeryf uprzejmie potakiwał. Żeby cię tak przy jedzeniu, myślał jednocześnie.

–...Bo też, żadna to przyjemność dla rycerza hołotę tak tłuc – baron zasępił się trochę. – To i trzeba sobie trochę pofolgować, he, he!

–Słusznie prawicie, panie – wtrącił szeryf dla odmiany. – W rzeczy samej – dodał wypróbowany już wcześniej przerywnik.

Siedząca przy niskim stole szlachta wpatrywała się w barona z podziwem, nie wiedzieć, czy z powodu jego budujących opowieści, czy też w uznaniu dla niewątpliwych osiągnięć w obżarstwie. Sami nie bardzo mogli mu sprostać, gdyż chudy zwierz na ich stole nie dorównywał w żaden sposób temu, z którym dzielnie rozprawiał się baron. Tak, nie było obecnie łatwo o dzika w Nottingham. Na szczęście ta zwierzyna wychodziła na podleśne pola, gdzie można było ją ustrzelić bez nadmiernego ryzyka bycia ustrzelonym wcześniej. Całe szczęście, bo inaczej za całą dziczyznę musiałyby starczyć króliki.

Baron począł rozwlekle i głośno opowiadać, jak to kiedyś w jego rodowych lasach zagnieździła się banda wyjętych spod prawa i jak to w mgnieniu oka niemalże rozprawił się z nimi osobiście. Rzeczywiście, o samej rozprawie opowiadał w miarę krótko, lecz o tym, jak następnie karał wioski, które udzielały banitom schronienia, mówił już bardziej szczegółowo.

–Nie uwierzysz, panie – rozwodził się z lubością. – Szubienice stały na każdym rozstajach, awisielców nie pozwalałem zdejmować. Osobliwie dobrze działało na

kmiotów,

jak tak klekotali na wietrze, jak już całkiem ptactwo z mięsa ich obrało...

Baron zarechotał z zadowoleniem, przypomniawszy sobie ten budujący widok. Ukroił kolejny płat pieczeni.

–A i śmierdzieli tak, że gdy wiał dobry wiatr, to i na dwa stajania czuć było, że wioska już blisko – ze smakiem odgryzł potężny kawał mięsa. – Czasem nawet na trzy... Ale co wy, panie? Nic nie mówicie...

–W rzeczy samej, panie baronie – wtrącił pośpiesznie szeryf.

–Właśnie, w rzeczy samej – baron rozpromienił się, oczka skryte w fałdach tłuszczu zaśniły radośnie. – Słusznie mówicie, panie. Tak, ciężkie czasy teraz. Trudno dla prawego rycerza o godnego przeciwnika. I sąsiedzi czegoś przycichli, a zresztą nie bardzo jest ich po co oblegać... Marne te ich dobra... Cóż pozostaje, hołotę jeno karać, przykładnie. Jedyna to radość dla rycerskiego serca, jedyna... – zatroskał się. – Ot, co jeszcze pozostaje, to na wyprawę w obronie wiary prawdziwej ruszyć, Saracenów ogniem i mieczem pokarać. Tylko wiecie, panie, Bóg łaski poskąpił... Chciałbym ruszać choć zaraz, ale co zrobić, nie dla mnie zamorskie podróże. Bo wiecie panie, wstyd przyznać, ale na korabiu rzygam jak kot...

Baron poczerwieniał i zaniósł się głośnym kaszlem. Poczerwieniał, małe oczka wyszły na wierzch. Szeryf przez chwilę obawiał się, że za chwilę baron zademonstruje, jak zgubne skutki ma dla niego morska podróż. Na szczęście nie. Godfrey wypluł na dłoń kawałek kości, który utkwiał mu w gardle. Wpatrywał się weń z uwagą.

–Ot, świństwo – mruczał, przecierając załzawione oczy. – Patrzcie no, takie gówna, a

zadławić człeka może. No popatrzcie tylko... – podsunął szeryfowi rękę pod oczy. Ten

pomyślał, że jeszcze trochę, a sam poczuje się jak na mocno kiwającej łodzi. Udało mu się

wytrzymać. Baron rzucił kostkę pod stół, przez chwilę przyglądał się, jak dwa psy warcząc, biją

się o nią, zupełnie bez sensu, bo obok leżało dużo większych, nie pozbawionych jeszcze

całkiem mięsa kości, które przed chwilą niespiesznie ogryzały. Osobliwy gust mają

te

zwierzęta, pomyślał szeryf.

Baron wytarł ręce o rozłożystą brodę, gęsto przetykaną kawałkami tłuszczu. Powrócił do tematu.

–O czym to ja... – zaczął. – A, o kmiotach, co to ich uczyliśmy posłuszeństwa. Wiecie, nie

obrażcie się, panie, ale mi się widzi, że wy jesteście za dobrzy. Tak, za dobrzy. Bo wy tylko

tych banitów, co to po lasach... A tu trzeba inaczej. Jak banici do wioski przychodzą, to trzeba

potem paru kmiotów obwiesić. Usiec też można, ale lepiej obwiesić. Bo jak oni będą już wisieć,

na wietrzyku wesoło się kręcić, to reszta się dwa razy zastanowi, zanim banicie schronienie da.

A jak jeszcze paru obwiesić, to prędzej takiego widłami zakłują, niż w wiosce przyjmą.

Szeryf zaczął słuchać z nagłym zainteresowaniem. Uczta trwała dalej.

Dziś od rana zastanawiał się nad słowami barona. Racja, siłą banitów było poparcie, jakiego nie szczędziły im wioski. Wprawdzie to puszczańskie siola były ich głównym oparciem, a te były na razie niedostępne, ale i w innych kmiotkowie mieli sporo na sumieniu. Przy dalszych wypadach banici musieli gdzieś zdobywać żywność i schronienie. Szeryf podejrzewał, że i wiadomości o kupieckich taborach czy ruchach jego nielicznych oddziałów także pochodziły głównie od chłopów. Tak, to dobry pomysł, by zacząć zniechęcać ich do pomocy.

Plan był dobry, byleby tylko starczyło jeszcze czasu na wprowadzeni go w życie. Wciąż nie był pewien, czy dużo jeszcze go pozostało. Od barona bowiem nie udało się wyciągnąć nic.

Z zamyślenia wyrwały szeryfa skradające się jak zwykle kroki Gisbourne'a. Szeryf spojrział na niego niechętnie. Twarz hrabiego nosiła widome ślady wczorajszego nadrabiania winnych zaległości.

–Czas ruszać, panie – powiedział niechętnie hrabia, mrużąc zapuchnięte oczy. Światło raziło go w widoczny sposób. – Pana barona właśnie wsadzają na konia...

–Co ty powiesz? – zainteresował się szeryf. – Warto to zobaczyć, wczoraj cały czas zastanawiałem się, jak on właściwie to robi...

Zamiarem barona, jak to wyjawiał wczoraj szeryfowi, było wyruszyć na skraj puszczy, tam, gdzie trakt opuszczał pola i zagłębiał się w lesie. Usłyszał już, że wylotu leśnego traktu pilnuje

zazwyczaj kilku banitów, którzy nieopatrznie zbliżających się doń witają strzałami, bez żadnych wstępnych rozmów. Baron chciał, jak to zawile tłumaczył, pokazać się przeciwnikowi w całej swej potędze, by wzbudzić w nim grozę w obliczu niechybnej klęski. Banici, tłumaczył, gdy spostrzegą, z kim mają do czynienia, zapadną głęboko w las. Tam też ich się w swoim czasie wygniecie. W jaki sposób, tego nie precyzował i szeryf dość sceptycznie, biorąc pod uwagę dotychczasowe doświadczenia, podchodził do tych zamierzeń. Tymczasem jednak, jak ze swadą dowodził baron, przerażeni banici będą siedzieć w lesie jak mysz pod miotłą, skończą się wypadki i rozboje poza puszczą. Jeśli zaś tylko wychylą z niej nosa, to tylko tym gorzej dla nich.

Poczet barona na zamkowym podwórcu prezentował się bardzo okazale. Doskonale wyekwipowani zbrojni, razem około czterdziestu ludzi. Kilku genueńskich kuszników, o których mistrzostwie szeryf wiele słyszał. Grupa czeladzi, dwóch giermków.

Zdążyli na moment, w którym czterech rosłych pachołków rozpoczęło trudne przedsięwzięcie umieszczenia barona, ubranego w płytową, niebiesko szmelcowaną pełną zbroję, na ogromnym bojowym koniu, opancerzonym niemalże tak samo. Niesamowite musiało być to zwierzę, by prócz swego pana unieść jeszcze własny pancerz.

Baron już od dawna nie potrafił sam dosiąść konia. Zapewne to było główną przyczyną, że nie ryzykował od dawna starcia z innymi, równymi sobie stanem i wyposażeniem, poprzestając na gromieniu przeróżnej, nieopancerzonej przeważnie hołoty. Szeryf zaczął powątpiewać zresztą, czy nawet to czynił osobiście. Nie mylił się, baron zwykle poprzestawał na mordowaniu *per procura* zadowolając się obserwowaniem z lubością skutków tegoż.

Baron z chrzęstem blach usadowił się wreszcie na swym monstrualnej wielkości rumaku. W asyście obu giermków ruszył w kierunku bramy. Gdy przejeżdżał przez zwodzony most, szeryf mógłby przysiąc, że grube belki wyraźnie się ugięły.

Wraz z Gisbournem ruszył w ślad za baronem.

Orszak posuwał się wolno, dostosowując prędkość przemarszu do dostojnie kroczącego baronowego konia. Otoczony zbrojnymi baron sterczał spomiędzy nich, jak hulajgród wśród popychającej go do szturm na mury piechoty. Wiosenne słońce

odbijało się w błękitno szmelcowanej zbroi, rzucając ostre odbłyски.

Mimo wolnego tempa marszu mury miejskie wkrótce zniknęły za horyzontem. Posuwali się szerokim, wiodącym przez puste jeszcze pola traktem. Kopyta mlaskały po rozmięklej drodze.

Szeryf rozmyślnie wstrzymywał konia, chcąc pozostać z Gisbournem w tyle. Zamierzał porozmawiać z nim bez świadków, mając nadzieję, że ten, mimo wczorajszego opilstwa, zdołał wyłowić coś istotnego z gadaniny barona przy stole. Coś, co może da wskazówki, jak potoczą się dalsze wydarzenia. Mimo wszelkich swych wad hrabia miał bystry umysł, zaś wrodzone kręactwo i skłonność do odruchowego kłamania pozwalały mu dostrzec takie same objawy u innych. Wobec szeryfa zaś hrabia był wciąż lojalny. Na razie, zauważył niechętnie szeryf.

Hrabia nie wyglądał jeszcze na zdatnego do sensownej rozmowy. Blady, o drżących dłoniach, pociągał co chwila łyk rozcieńczonego wodą wina z podróznego bukłaczka. Wszelkie nagabywania zbywał półsłówkami. Trzeba poczekać, wiaterek na koniu go przewieje, będzie bardziej rozmowny.

Oczekiwania szeryfa sprawdziły się. Po przejechaniu następnej mili hrabia zaczął wyraźnie prostować się w siodle, mętne dotąd oczy poczęły patrzeć przytomniej. Właśnie wtedy do hrabiego podjechał starszy giermek ze świty barona.

–Piękny dzionek mamy, panie hrabio – powiedział radośnie, błyskając oczyma spod okapu

plaskiego hełmu. – Zaprawdę, piękna pora na przejażdżkę, szlachetny szeryfie!

Gisbourne wstrząsnął się. Spojrzał na starszego giermka z wyrzutem.

–A idźcie wy sobie w cholerę, mój dobry człowieku – odpowiedział po chwili uprzejmie.

Starszy giermek nie obraził się. Był widać z natury człowiekiem rozmownym i towarzyskim.

–Prawda to, wino naszego pana barona mocne – zwrócił się tym razem do szeryfa. – Jak kto do picia nie nawykł, młodzieniaszek jaki albo insze co, to będzie go cały dzień trzymać... -giermek wskazał na hrabiego. Ten spurpurowiał gwałtownie i próbował coś powiedzieć, ale z wyschniętego gardła dobył jedynie skrzek, cichy i żaloszny. Giermek zaśmiał się wesolo.

–Tak, do samego wieczora – powtórzył. – Takie wino to tylko dla wprawnych, dla dojrzałych mężów. Ja sam, nie uwierzycie, panie, ale garniec albo i dwa...

–Wierzę, wierzę! – zapewnił szeryf pospiesznie, spoglądając na rumianą gębę i solidną posturę giermka. – I zgaduję, że nawet i trzy...

–Skąd wiecie, panie? – zdziwił się giermek. – Ano zdarza się, zdarza... Sami wiecie, panie, mocne wino, to trzeba chłopca, jak ja i pan baron. I oczywiście wy, szlachetny panie... A takie chuchro... – spojrzał wymownie na hrabiego.

Gisbourne znów zwiotczał w siodle. Widać nie był zainteresowany polemiką, w której fakty świadczyły wymownie na jego niekorzyść. Lub zastanawiał się nad perspektywą dotrwania do wieczora. Zwolnił i począł zostawać w tyle. Giermek pokiwał głową.

–Sami widzicie, panie. Na moje wychodzi. A my z panem baronem... – zaczął giermek.

Szeryf począł rozważać kilka możliwości. Nie miał specjalnej ochoty wysłuchiwać o przewagach rozmownego ochlapusa, nawet, jeżeli dokonywane były pospołu z samym panem baronem. Na temat pojemności tego ostatniego zdążył już wyrobić sobie właściwą opinię. On sam, choć podczas uczyt starannie kontrolował ilość wypijanego wina, odczuwał pewną ociężałość i, lekkie co prawda, łupanie w skroniach. Baron należał bowiem do tego rodzaju biesiadników, którzy szczerze nienawidzą pić sami. Po prostu w głowie im się to nie mieści i ociąganie się ze spełnieniem kolejnego pucharu kwitują zdziwionymi i wrogimi pomrukami. Szeryf, mając do wyboru wypicie następnej kolejki lub perspektywę sklepania michy, jak dwornie wyrażał się baron, wolał to pierwsze. Nie miał ochoty na zwadę, zaś swą alternatywę baron przedstawiał ze szczerym uśmiechem i swoistym wdziękiem, lecz w małych oczkach

dostrzec można było żelazną konsekwencję. Sam zaś na szczęście był już tak radośnie i serdecznie narąbany, że nie dostrzegał, jak wino z kubka szeryfa ścieka bardziej po brodzie i piersi, niż trafia do ust. Baron widząc, iż współbiesiadnik bawi się równie dobrze jak on sam, wykrzykiwał radośnie kolejną bzdurę w rodzaju „zdrowie wasze, w gardło nasze” i z entuzjazmem dopełniał naczynia.

Gdy uczyta dobiegała końca, z pieczonych dzików pozostały tylko szkielety, zaś większość biesiadników zsunęła się pod stoły, by dołączyć do leżących tam, obżartych i puszczających okrutne baki psów, szeryf przekonał się, że baron należy do gatunku pijaków figlarnych. Dwóch służących, mających odprowadzić barona na spoczynek, miało z nim wiele uciechy. Z początku dał się prowadzić, co już samo w sobie, zważywszy jego tuszę, nie było sprawą łatwą. Służący jednak mieli odpowiednią posturę i radzili sobie, nawet wlokąc za sobą bezwładne, nieoczekiwanie cienkie w stosunku do reszty ciała nogi. W samych odrzwiach jednak baron sprężył się, strząsnął z ramion ich ręce, po czym zaczął obiecywać lekko tylko

podpitemu kapitanowi zamkowej straży rozliczne rozkosze, jakich ten zazna z nim tej nocy w łożu. Ponieważ oblicze srogiego wojaka nie było zbyt powabne, należało przypuszczać, że zmałony wzrok wielmoży zawiódł go, pozwalając sądzić, że ma przed sobą nadobną dziewczkę. Przez chwilę obaj służący mieli pełne ręce roboty, usiłując powstrzymać niezbyt zachwyconego propozycją zbrojnego, który nie bacząc na różnicę stanu, rwał się z pięściami do zaślinionego, uśmiechającego się z rozmarzeniem barona. Z pomocą szeryfa udało się zażegnać skutki nieporozumienia, jednak w tym czasie baron zdążył zniknąć. Znaleźli go dopiero po dłuższych poszukiwaniach, siedzącego na zimnej posadzce pod samym wychodkiem, zaśmiewającego się do łez z udanego dowcipu. Zanim doprowadzono go do komnaty, uciekał jeszcze dwa razy.

A teraz wstał z rana i siedzi na tym swoim bydlęciu jak gdyby nigdy nic, pomyślał szeryf. Jak przyśrubowany. Nawet wody nie popija, z samego rana wychlał tylko garniec tego swojego niezrównanego wina, i zdrów.

–Na przepicie, panie, to najlepiej z samego rana poprawić – giermek kontynuował swe wynurzenia, ciesząc się zapewne z uważnego słuchacza. – Wtedy ręce się nie trzęsą, w głowie nie łupie... Człek jak nowo narodzony.

Szeryf starał się nie słuchać, lecz mimo wszystko słowa giermka zapadały w umysł, przywodząc natrętnie na myśl dolegliwości, o których usilnie starał się zapomnieć. Na sam pomysł zastosowania się do sprawdzonej recepty giermka robiło mu się słabo. Zaczynał mieć dosyć.

Najprościej ruszyć szybciej i zostawić sukinsyna, niech sobie gada, rozważał. Ale to na nic, dogoni i będzie pieprzył dalej. Popędzić nie można, szeryf wiedział, że giermek to szlachcic, rycerski syn, drażliwy pewnie jak cała reszta. Było mu wprawdzie już pod trzydziestkę i wciąż nie doczekał się pasowania, ale jak widać wcale mu to nie przeszkadzało, nie wyglądał na specjalnie nieszczęśliwego z tego powodu. Odpowiadało mu widocznie życie, jakie prowadził

u boku barona. Tym niemniej szlachcic. Cóż pozostaje, chyba obuchem w łeb zajadę i z konia zwalę, pomyślał szeryf z rozpaczą.

Było to jednak mało realne. Giermek nie wyglądał na takiego, co to od jednego ciosu zwali się na ziemię. A poza tym, nieładnie jakoś...

–Słyszycie, panie? – natarczywy głos przedarł się przez niewesołe myśli. Szeryf otrząsnął się.

–Tak? – spytał. – Wybacz, nie dosłyszałem, zamyśliłem się. Tak ciekawie prawicie...

–No, czyście radzi, panie – giermek daleki był od przypuszczeń, że jest lekceważony. – Pytałem, czyście radzi, że ja z panem baronem z sąsiedzką pomocą

przybyliśmy. Bo krucho już z wami było, jako to słuchy niosą...

–Oczywiście, oczywiście – przytaknął szeryf. Tak, rad jestem jak cholera, dodał już nie na głos. Tak rad, że trudno bardziej...

–Bo wiecie, szeryfie, słuchy niosą, żeście zupełnie tym bandytom pofolgowali. Czekać, to już dwie niedziele będzie, jak na dworze mówili...

No, no, zaczyna być ciekawe. Szeryf uważniej spojrzął na mówiącego. Może od niego czegoś się dowiem, blisko jest z baronem, jak sam mówi...

–A, mniejsza z tym, co mówili. Powtarzać nieprzystojnie. Co takie... tego... wybaczcie,

panie, tacy rycerze, chciałem rzec, mogą wiedzieć o banitach i innej swołoczy. Toż oni tylko

między sobą się wadzą, na turniejach znoszą, oblegają, jak nuda przyciśnie. Ani się spodziewają, ile to kłopotu cham zwykły przysporzyć może, zwłaszcza jak rozzuchwalony. A

rozzuchwala się on łatwo, oj, łatwo! Wystarczy trochę but z karku zdjąć...

Urwał, przetarł spocone czoło. Gorąco pod tym watowanym kubrakiem i kolczugą, zauważył szeryf. A i tak na nic się to nie zda, jak przyjdzie co do czego, grot jak przez koszulę przejdzie. Jak chcesz wyglądać groźnie, to cierp. Sam, nauczony doświadczeniem, nie miał najmniejszego zamiaru w ten ciepły wiosenny dzień pocić się pod pancerzem czy kolczugą. Nie widział najmniejszych szans na bezpośrednie starcie, gdzie pancerz mógł się przydać. Ciekawe, jak tam pan baron, zastanowił się przelotnie. Pod tym pancerzem już pewnie mu się w dupsku gotuje.

–Nie wiedzą, panie, możecie mi wierzyć – powtórzył po chwili giermek, pokrzepiwszy się łykiem wina. Uprzejmie wyciągnął go w stronę szeryfa, który przecząco pokręcił głową.

–Nie, to nie – skwitował częstujący, pociągając po chwili kolejny łyk. – Ale na mój rozum, to głupstwo robicie, szlachetny panie. Bo jak to już mówiłem, na przepicie nie ma to jak...

–Mówiliście, co tam na dworze opowiadają – szeryf spróbował przywrócić rozmowie właściwy kierunek. Giermek wyglądał na lekko urażonego.

–Nie słuchacie dobrych rad, to nie – odrzekł w końcu filozoficznie. – A ja ze szczerego serca, i z doświadczenia... Wierzcie, panie, wieloletniego...

Szeryf wierzył. Było to widoczne na pierwszy rzut oka.

–Dobre rady są za darmo, szlachetny panie – dodał giermek z godnością. Święte słowa, pomyślał szeryf. I tyle samo są warte.

–O czym to ja... – jego rozmówca niechętnie podjął przerwany wątek. – A, już wiem. Jakby to powiedzieć, panowie szlachta gównem się na hultajstwie znają. Co innego my, ja i pan baron. Nam los zrządził, że już od lat hultajstwo znosim. Zaraz, ile to lat będzie...

Zsunął płaski hełm, usiłował podrapać się po głowie. Przeszkadzała kolcza misiurka. Zniechęcony nasunął z powrotem hełm i ciągnął:

–No, będzie z piętnaście... To było wtedy, jak pan baron po raz ostatni na turniej pojechał.

Nie poszczęściło się, prawdę mówiąc. Jak w gonitwach konnych z konia go zwałili, to nie

uwierzycie, dziurę w udeptanej ziemi wybił na dwa cale. Słusznej postury był już wtedy. Huk

był taki, że aż się konie pozrywały. Jak go podnieśliśmy i kował go ze zbroicy wydłubał, a

wierzcie panie, niełatwo szło, bo srodze była pogięta, myśleliśmy już, że ducha oddał. No, ale

tylko słabował przez rok bez mała, z izby nie wychodził. Szczęściem apetyt mu wrócił szybciej.

Jak wreszcie z łoża wstał, to już się w zbroję nie zmieścił, nową musiał płatnerz robić.

Dziwował się przy tym srodze, dwie z tej blachy by wyszły albo i trzy, prawil ciągle. Narzekał,

że i zapłata powinna być potrójna, bo roboty tyle. Aż skarcić go trzeba było... No, ale jak w

dybach dwa dni postął, to robota aż w rękach mu się palić zaczęła, nie uwierzycie, panie...

Konia nowego też pan baron kupić musiał, bo ten poprzedni, jak pierwszy raz go dosiadł, to

cosik mu w krzyżu trzasło. Nijak z niego więcej pożytku nie było, a szkoda, zacne było zwierzę,

drogie. Młode jeszcze. Trzeba było nowego, a ile trzeba się było odpowiedniego naszukać!

Dopiero zza morza trza było sprowadzać, a cena jaka była...

Do rzeczy, do rzeczy, niecierpliwił się szeryf. Skończ już wreszcie z tym koniem. Owszem, ciekawie byłoby się dowiedzieć, skąd biorą się takie monstrualne bydlęta, ale może nie teraz.

–No więc, jak mówiłem, pan baron słabował rok bez mała – giermek powrócił do rzeczy. –

Nie najeżdżał nikogo, na daniny, jak to dawniej, nie nalegał. Drużyna, jak to drużyna, chlęła

przez cały czas. Młody baronet zaś szczył był jeszcze, dziesięć lat smarkowi było. To tylko jak

dziecko się bawił, do psów z kuszy strzelał, kota od czasu do czasu rozdarł. Jak dziecko,

powiadam. Pamiętam, tę kuszę to trzeba mu było napinać, sam rady nie dawał jeszcze. To my

wszyscy chętnie napinali, dzieciak powinien się wprawiać w wojennym rzemiośle.

Roześmiał się wesoło, coś widać zabawnego mu się przypomniało.

–Raz ręka mu się na spuście omskła, psa chybił, a komorzemu to z rzyci jeno brzechwy sterczały. Dzieciak śmiał się do łez, komorzy tak ucieszenie podskakiwał, zanim cała jucha z niego spłynęła – na samo wspomnienie giermkowi aż łzy z oczy popłynęły. Zaiste, zabawna musiała być scena. Zaraz jednak spoważniał.

–Tak wiecie, panie, nie było komu dopilnować. Wtedy w lasach pana barona załagł się niejaki Robert, szlachcic zresztą, syn rycerza z sąsiedztwa, Panie, świeć nad jego duszą. Zawzięty był to smarkacz, urazę do pana barona ponad miarę chował. Bo trzeba wam wiedzieć, panie, że ten jego zamek to my najechali parę lat wcześniej. Król na wojnę wtedy ciągnął,

zajęty był srodze, a my na tę wojnę dobrą setkę zbrojnych posłaliśmy, poczet zacny. To i król jegomość rad był panu baronowi. A u sąsiada ziemie zacne, orne i lasy. Nie polowali tam zanadto, to i zwierzyny dużo było. Nie to co u nas, gdzie i o

borsuka było już trudno. Pan baron lubi polować... Więc najechaliśmy sąsiada, zamek bez oblężenia zdobyliśmy, mostu nie zdążyli podnieść ani brony spuścić. Później król swym nadaniem potwierdził prawo barona do zamku, ziemi, lasów... Tylko poprzedni właściciel słaby się okazał. Jak przy dobywaniu zamku wziął po łbie buzdyganem, nie za mocno nawet, to już do przytomności nie doszedł. Słaby był, nie nadawał się...

–A jego syn, młody Robert, zamiast jak na szlachcica przystało giermkom u jakiegoś

zaczynającego rycerza zostać, pasowania czekać, dobra w walce z niewiernymi na ten przykład

zdobyć... Ech, co tu gadać, nie zachował się szczeniak. Wprzód do króla pojechał ze skargą,

sądu się domagał. Nawet go przed najjaśniejsze oblicze nie dopuścili, i dobrze, bo jakże tak...

No to potem do banitów, co po lasach się kryli, przystał, hersztem ich się ogłosił, Robertem z

Lasu. Zemstę nam obiecywał, mnie i panu baronowi, że nas ogniem i mieczem karać będzie, z

zamków wyżenie...

Giermkowi od długiej przemowy zaschło w gardle. Pokrzepił się kolejnym łykiem.

–Uff, jakie dobre... – znów wyciągnął bukłak w stronę szeryfa. – Może tym razem, panie?

Tym razem szeryf postanowił skorzystać. Giermek był najwidoczniej niezłe

poinformowany, warto posłuchać, co ma jeszcze do powiedzenia. Gadatliwy jest, może co powie, byle nie przerywać. Nie chciał także wysłuchiwać kolejnych dobrych rad dotyczących przepicia i sposobów usuwania jego skutków. Przyjął bez słowa podany bukłak, ukradkiem wycierając obśliniony otwór. Pociągnął łyk, czując jak wnętrzności podjeżdżają mu do gardła. Nigdy następnego dnia po przepiciu nie tykał wina. Trudno, tym razem trzeba. Giermek obserwował z aprobatą.

–Widzicie, panie – ucieszył się w widoczny sposób. – Od razu lepiej... Niech cię, pomyślał szeryf, mając wrażenie, że żołądek obija mu się o zęby.

–Mówcie dalej – odrzekł niewyraźnie przez zaciśnięte szczęki. Obawiał się otworzyć

je szerzej. Giermek nie potrzebował zachęty.

–Panoszyć się ten skurwiel zaczął coraz bardziej. Na zły czas po prawdzie trafił, baron niemocą złożon, drużyna w rozsypce, dyscypliny nijakiej. I tak zaczęło się, daniny przestały spływać, poborców pobito, na kupców napadać poczęto. Tak jak i u was, panie. Onże Robert obrońcą się począł mienić, tych, co to niby z panem baronem uciskamy. A kmiot, jak to kmiot, głupi wprawdzie ze swej natury, ale zawzięty. Chciwy. Już nie tylko banici do tej bandy przystawali, kmioty widły brali i łuki... Po wsiach ich w biały dzień żywili, noclegów i schronienia dawali. To i rozzuchwaliło się hultajstwo. Doszło do tego, że podjazdy nasze znosić zaczęli, tak, jak nie przymierzając, u was... Wędrowni minstrele ballady poczęli o nim śpiewać, jaki to on obrońca i rycerz prawy. Wstyd nam jeno przynosząc i sromotę.

Głos giermka stwardniał. Widać wspomnienia owych dni nie były specjalnie miłe.

–No, ale pan baron podniósł się z łoża szczęśliwie. Na koń zaczął potem siadać, znaczy się,

na tego nowego, bo stary... Mniejsza z tym. Jak posiadłości zaczęliśmy objeżdżać, pocztem

dużym, dla pewności, to banici nieco przycichli. Nie całkiem, bo wkrótce znów podnieśli

plugawy łeb. Pan baron zrazu nie wierzył, co się dzieje, ale wkrótce zobaczył na własne oczy.

Sklął nas okrutnie, żeśmy do tego dopuścili. A co nam, biednym, było robić? No, powiedzcie

sami, panie?

Zamiast chłać, trzeba było pilnować spraw swego suwerena, chciał powiedzieć szeryf. Zrezygnował jednak. Takie były brutalne realia, na lojalność mógł liczyć tylko silny pan, a nie leżący w łożu, bezsilny, chory. I tak mógł się cieszyć, że pozwolono mu szczęśliwie ozdrowieć. Drużyna mogła przecież postawić na młodego baroneta.

–W każdym razie, pan baron wkrótce zobaczył na własne oczy – nie doczekawszy się

odpowiedzi, giermek podjął przerwany wątek. – Otóż w karczmie, gdzie zajechaliśmy

pokrzepić się co nieco, siedział jeden z tych przybłędów, minstreli z lutnią. Z daleka widać, bo

nie poznał, kto zaczął do karczmy zjechać. I nie przestał śpiewać, tak się w tym zapamiętał, że

nawet nie zauważył jak jego publika dziwnie zamilkła. I zaczęła się wymykać ukradkiem. Pan

baron, jak usłyszał, co ów wierszokleta śpiewa, to tak sczerwieniął, że już myśleliśmy, że się

zatchnie... Bo też świństwa to były niebywale i zuchwałe...

Szeryf nadstawił ucha z zaciekawieniem. Giermek zauważył to.

–Ciekawi was, jakie? – spytał. – Ano, aż strach powtarzać, co się tej hołocie roi we łbach.

Nie pamiętam już dobrze, jak to szło, ale było coś o tym, żeby zerwać kajdany i połamać bat. I

coś o rwaniu zębów... Nie, już wiem! Nie zębów, a krat, z murów. Takie tam, brednie, ale

wiecie, panie, niebezpieczne brednie, podburzające! Taki przybłęda, wierszokleta pieprzony, a

judzi, podżega, śpiewa o tym, ilu to ich, jak to poczują siłę i czas...

Zsunął znów hełm z czoła, otarł pot. Roześmiał się nagle.

–I wiecie, panie, coś w tym jest, co ludzie bajają, że w balladach prawda sama najszczęśliwsza. Bo bat pan baron zaraz na grzbiecie mu sam połamał, jak tylko żeśmy go z karczmy wywlekli. A przyznać trzeba, niełatwo było, jako ten kot wszystkiego się czepiał, ław, stołów, za nogi łapał. Pluł i drapać próbował. No, ale jak dwa razy w łeb wziął, to zaraz spokojny się zrobił. A pan baron aż się spocił, jak mu grzbiet łoił. Nie na jego lata taki wysiłek. I przecież po chorobie, ozdrowieniec... A ten bydlak, jakieś go koniem po dziedzińcu włóczyli, to krzyczał jeszcze, że pieśń ujdzie cało... Taki bezczelny, i głupi. Bo przecież nie uszła. Jak się rozniosło, to był ostatni minstrel, który zawitał w nasze strony, na długie lata. A i teraz, jak się pojawiają, to śpiewają tylko o panienkach, miłości, nimfach przy ruczaju... Pilnie się rozglądając, czy kto nie krzyw. A tu u was, jak widzę, panie, nawet na waszym zamku, przy uczcie usłyszałem coś o Robinie. Za pozwoleniem, mości szeryfie, do dupy taka robotą. Toż szacunek dla was przez to upada... Widzę, panie, że nie wierzycie...

–Wierzę, wierzę – pospiesznie odparł szeryf, starając się zmienić wyraz twarzy. Nie podzielał bowiem optymistycznych poglądów rozmówcy dotyczących wpływu

włóczenia

końmi na poezję. Miał po temu powody. Owszem, może i we włościach barona ballada nie była zbyt popularna, lecz sam słyszał ją wielokrotnie. Dlatego nie uważał za sensowne walczyć z czymś takim, widząc, że im bardziej się walczy, tym częściej będą ją śpiewać. Jak zakażesz śpiewać, to zaczną gwizdać. Zupełnie jak w tej balladzie – i sama melodia bez słów... Nie zaprzeczył jednak, uprzejmie się uśmiechając. Niezupełnie przekonany giermek kręcił głową.

–Za dobrzy jesteście, panie, za dobrzy. U nas to już ten pierwszy wystarczył, cośmy go na

koniec, po dokładnym przewłóczemu, końmi rozerwali. A i to pan baron szubieniczkę kazał

specjalną wyrychtować, rozgłosić, że to specjalnie dla bardów, minstrelów. Szkoda, zmarnowała

się, spróchniała, stryczek zetlał. Bo już drugi się taki nie trafił.

Przerwał, rozejrzał się. Pola na horyzoncie zamykała już ciemna ściana puszczy. Dojeżdżali na miejsce.

–No, las już widać. Teraz tylko banitów wyglądać, wkrótce pod samą puszcza staniemy...

Tak pod samą, to nie radzę, przemknęło przez myśl szeryfowi. W każdym razie ja bliżej niż

na strzelenie z kuszy nie podjadę.

–Dokończę, panie, czasu wystarczy – podjął giermek. – Potem trzeba z panem baronem,

obowiązki, tego, wzywają... No więc, pokrótce, co wam chciałem rzec, mości szeryfie. Jak

mówiłem, radzi winniście być, że ja z panem baronem na pomoc wam przyszliśmy. Sąsiadką,

znaczy. Nikt tak jak my na gromieniu tej hołoty tak się nie zna. Zobaczysz, panie, już dziś, jak

tylko nas z pocztą ujrzą, to ogon pod siebie wezmą. Idę o zakład, że w dwie, trzy niedziele po

wszystkim będzie. Ze dwie wsie spalić trzeba będzie, katu roboty trochę przysporzyć... Cieszyć

się winniście, panie, że sam pan baron w gościnę na ten czas zawita. Wy tylko spyżę dla

zbrojnych musicie zapewnić, o nic więcej się nie kłopotać. My sami to załatwimy, krótko, po

naszemu. Porządek zaprowadzimy, jako to na dworze od nas oczekują.

Wszystko było jasne. Ciekawe tylko, czy król już przystawił swą pieczęć na nowym nadaniu. Cholera, Jerozolima podobno piękna o tej porze roku. Lepszy już Saraceni od królewskiej niełaski. Żeby się tylko na niełasce skończyło...

Zaufany, aczkolwiek nadmiernie gadatliwy giermek pana barona ciągnął dalej, już bez jowialnego uśmiechu:

–Bo wy, panie, miękki jesteście, nie poradzicie sobie. Ot, ten wasz Robin Hood. Ubiliście

go w końcu, chwali się to wam, ale co później? Nawet głowy nie urznęliście, żeby na drągu

zatknąć, ku przestrodze i przypomnieniu. Niedobitkom pozwoliliście w las ujść. I macie teraz.

A u nas...

Przerwał, uśmiechając się z rozmarzeniem. Po chwili podjął:

–U nas, panie, krótko było. Jak już go mieliśmy w swoich rękach, tego Roberta, znaczy się,

to zaraz szafot stawiać poczęliśmy. Gadali ludzie, że u niego ta... jak to mówią, charyzma jest,

że dla pospólstwa on jak wódz, że nawet wzór dla niektórej szlachty. Tfu, pies z taką szlachtą

tańcował... I wiecie, nie musieliśmy wcale w las wjeżdżać, żeby go złapać, wystarczyło parę

wsi spalić, nikogo nie żywić. Wójtów paru na paliki nasadzić, wiecie, szubienica dla nich za dobra, za łagodna... Szybko okazało się, że sami przyszli, powiedzieli, w której wsi nocuje. Skwapliwie, z dokładnością do chałupy i baby, na której leżał.

Mimo tej, jak jej tam, charyzmy... Wiedzieli, że jak nie powiedzą, to niedługo na palikach będą podrygiwać. Giermek splunął. Chwilę jechali w milczeniu.

–I to już zaraz koniec będzie – odezwał się giermek po chwili. – Widzicie, panie, na rusztowaniu, jak mistrz pokazał mu cęgi, dobrze już rozpalone, to aż ze strachu pod siebie

popuścił. I krzyczał, błagał o litość, aby go zwyczajnie powiesić. Wył, nie przymierzając, jak

pies. A hołota stała, i nijakiej już charyzmy w mm nie widziała, ino te obesrane nogi... Silny

był, wytrzymał do ćwiartowania... Ale teraz już nikt o nim nie wspomina. A jak wspomni, to

nie o charyzmie pomyśli... No, las już blisko, na mnie czas...

Smagnął konia rękawicą. Ruszył, nie oglądając się.

–Dzięki za pouczającą rozmowę – mruknął do siebie szeryf.

O dwa strzelenia z łuku od ściany lasu orszak zatrzymał się. Las był gęsto posyty, rosnące na skraju rozłożyste jałowce mogły dać schronienie całej armii. Ludzie z pocztu barona nieufnie popatrywali w stronę puszczy.

Baron tubalnym głosem zaczął wydawać rozkazy. Głos dudnił niewyraźnie z wnętrza garnkowego hełmu. Jeden z giermków podał tarczę, na której jaskrawymi farbami wymalowane były jakieś zwierzęta w pozie ataku, w przednich łapach trzymające topory. Szeryf podjechał bliżej, zatrzymał się obok rozmownego giermka.

–Co teraz? – zapytał.

–Teraz pan baron zbliży się sam do tchórzliwych banitów, po czym zacznie ich lżyć i przepowiadać im marną i krótką przyszłość. Gdy hołota usłyszy, z jakim to rycerzem przyjdzie im mieć do czynienia...

–Zaraz – przerwał dość niegrzecznie szeryf. – Z doświadczenia wiem, że oni mają kusze.

–Pan baron zawsze lży z właściwej odległości – odparł godnie giermek, mierząc go nieprzyjaznym spojrzeniem. – Chrześcijański rycerz bez trwogi staje naprzeciw takiej swołoczy, a gdy bełty odbiją się od zbroi, duch w hołocie upadnie. Bo prócz pancerza rycerza chroni cnota jego rycerska i...

Giermek zaplątał się. Pancerza rycerza cnota rycerska, pomyślał szeryf, wszystko się zgadza.

–Poza tym pancerz z przodu dubeltowy – zachichotał nerwowo z tyłu drugi, młodszy giermek – dlatego naszego pana na koń podsadzać trzeba, sam nie uradzi...

Rozmówca szeryfa rzucił mu miażdżące spojrzenie.

–Zawrzyj jadaczkę, Morholt, żebym ja sam nie musiał ci jej zamknąć. Albo panu baronowi

powtórzyć...

Morholt istotnie zamknął jadaczkę. Zbladł nawet.

–Dubeltowy, nie dubeltowy, pan baron i bez niego na koń nie... – rozmowny giermek

poczerwieniał i ugryzł się w język. Szeryf uśmiechnął się. Poza nim nikt.

Giermek splunął, odwrócił się i zaczął wydawać rozkazy. Zbrojni ustawili się w szereg. Rzeczywiście, widok był imponujący.

Do szeryfa przywłókł się Gisbourne. Wyglądał, jakby go już przewiało.

–Co teraz? – spytał. Szeryf powtórzył, co przed chwilą usłyszał. Gisbourne pokiwał tylko głową.

–Usuńmy się lepiej – powiedział.

–Daj spokój, tu nie doniesie. To ze czterysta kroków. Musi podjechać bliżej.

Stali na skrzydle rozwiniętego w szereg pocztu, patrząc jak olbrzymi koń barona stąpa dostojnie po rozmiękłym polu. Szeryf przyjrzał się bliżej zwierzętom wymalowanym na tarczy. Prawdopodobnie lwy, stwierdził po zastanowieniu. Baron w prawej ręce dzierżył długą kopię, z powiewającym tuż pod ostrzem proporcem, na którym wyszyty był kunsztownie złotą nicią jakiś długi zwierz. Nawet nie próbowali zgadywać, co to takiego. Na pierwszy rzut oka wychudzona kuna, ale kto wie...

Siedząc jak przyśrubowany do siodła, prawy chrześcijański rycerz oddalał się powoli. Wreszcie zatrzymał się, jak spostrzegli, dokładnie na krańcu zasięgu typowej kuszy. Nawet z tyłu wyglądał imponująco.

Wyprostował się w siodle z chrzęstem blach i począł lżyć. Głos miał jak trąba jerychońska, odpowiedni do postury, lecz do hrabiego i szeryfa dobiegały jedynie

strzępy słów, tłumionych pełnym, garnkowym hełmem i porywanych przez wiejący wietrzyk.

–Co on mówi? – zainteresował się hrabia. Szeryf wsłuchał się uważniej w dudniący, blaszany głos. Bez rezultatu.

–Przecież w tym lesie wcale go nie słychać – zdziwił się po chwili Gisbourne. – Po co sobie gardło zdzierać? Tak w ogóle, to jak długo jeszcze zamierza? Zimno tu, na tym polu, trząść mnie zaczyna...

Hrabia skulił się w siodle. Trzeba było tyle nie chlać, bez współczucia pomyślał szeryf.

Szereg zbrojnych stał nieporuszony, przyzwyczajony widać do takich scen.

Gdy blaszany głos barona podniósł się o kadencję, na znak jednego z giermków zaczęli miarowo uderzać bronią o tarcze. Miarowy łoskot niósł się daleko, dalej niż dudniące okrzyki barona. Może nawet docierał do puszczy.

Rzeczywiście, imponujące, zauważył szeryf. Sam bym się przestraszył. Tylko jak widać, banici nie bardzo lękliwi.

–Nic nie rozumiem – rzekł Gisbourne z rezygnacją. Marzył o powrocie do zamku.

–Przecież to nieistotne, co on mówi – wyjaśnił szeryf. – On ma przestraszyć samym sobą, że się tak wyrażę...

Hrabia wzruszył ramionami. Nie był specjalnie przekonany co do powodzenia całej imprezy. Ich tam chyba po prostu nie ma...

Rzeczywiście, z lasu nie padł dotąd ani jeden strzał. Żaden bełt nie odbił się nieszkodliwie od szmelcowanej zbroi. Poczёт nie miał okazji do wydawania szyderczych okrzyków. Wciąż nic. Głos barona, aczkolwiek wciąż niezrozumiały, zaczynał wyraźnie tracić na pewności. Baron zająknął się nawet raz i drugi, lecz uparcie podjął znów swe wyzwiska.

Sytuacja zaczynała stawać się głupia. Szeryf począł z zainteresowaniem przyglądać się widocznej konsternacji wśród pocztu barona. Zbrojni popatrywali po sobie, przestali miarowo uderzać w tarcze. Zaczęli półgłosem wymieniać różne uwagi.

Baron jakby zorientował się wreszcie, że coś jest nie tak. Uniósł z wysiłkiem rękę, potrząsnął trzymaną kopią. Długi zwierz na proporcu załopotał na wietrze.

Trzask był głośny, dał się słyszeć ostro i wyraźnie. Brzmiał dźwiękliwie, jakby ktoś trafił kamieniem w blaszany szyld. Głos barona zamilkł nagle, urwany w pół

niezrozumiałego zresztą słowa.

Baron nie drgnął nawet w siodle, nie zachwiał się. Tylko kopia wypuszczona z ręki opadła tępym końcem na ziemię, po czym wolno, bardzo wolno przechyliła się. Długi zwierz na porporcu padł w błoto pod kopytami konia. Ten, spłoszony, zaczął tańczyć w miejscu, obracając się. Baron wciąż sztywno siedział w siodle, wyniosły jak wieża. Lecz gdy koń obrócił się, wszyscy ujrzeli jaskrawą czerwień spływającą po błękitno szmelcowanym pancerzu.

Powoli trzymana wciąż w odsuniętej od ciała ręce tarcza poczęła przeważać i zakuty w ciężką stal rycerz zaczął zsuwać się w jej stronę. Szereg zbrojnych patrzył w bezruchu, jak skamieniały. Pękły strzemiona, nie wytrzymując potężnego ciężaru. Zwalił się z ciężkim chrzęstem blach. Wysoko trysnęła rozmiękła ziemia.

Szereg wciąż stał. Pierwszy ocknął się szeryf. Przerzucił nogę przez łęk, zeskoczył z konia. Ruszył w stronę wbitej w miękki grunt postaci, która już teraz nie wyglądała tak imponująco i potężnie. Może dlatego, że zbyt się zagłębiła przy upadku.

Gisbourne spał konia, zajechał mu drogę.

–Panie, dokąd? – krzyknął. – Ustrzelą!

Szeryf spostrzegł szczery niepokój na jego twarzy. Zdziwił się pomimo wzburzenia.

–Spieprzaj, Gisbourne, zejdź mi z drogi – klepnął z rozmachem hrabiowskiego konia po zadzie. Koń zerwał się i poniósł hrabiego prosto w stronę lasu. Gisbourne rozpaczliwie ścigał wodze, usiłując go powstrzymać. Udało się po dłuższej chwili, z ulgą zawrócił.

–Nie będą więcej strzelać – powiedział szeryf, bardziej do siebie, niż do zbliżającego się znów hrabiego. Był tego dziwnie pewien.

Mimo tej pewności przejście kilkudziesięciu kroków dzielących go od nieruchomej postaci wspominał potem, jak najdłuższą w życiu drogę. Cały czas podświadomie oczekiwał uderzenia nadlatującego bełtu. Starał się jednak iść wyprostowany, walcząc z chęcią zgięcia się do ziemi i pobiegnięcia zygzakiem. Miał nadzieję, że nie mylą go przewidywania, że nie trafi go bełt. Nawet bowiem na granicy zasięgu nie odbiłby się raczej od skórzanego kubraka.

Przeczucia nie myliły, doszedł do leżącego bez dodatkowych otworów w ciele. Zanim przyjrzał się ciału, uważnie obserwował mroczną ścianę puszczy, stojąc wyprostowany, jakby rzucając wyzwanie niewidzialnemu przeciwnikowi. Czuł, jak pomimo chłodnego wiatru pot spływa po plecach. Wiedział jednak, że zbrojni obserwują go uważnie i zapamiętują taki, niecodzienny przecież przykład odwagi. Był przewidujący, a co do pocztu barona miał swoje plany. Baron nie będzie już ich

przecież potrzebował. Tylko tych giermków trzeba będzie przegonić, pomyślał szeryf.

Nie musiał się spieszyć. Z lasu nie padł żaden strzał, zaś dla barona na jakąkolwiek pomoc było już za późno. Jeśli nawet żył, zanim spadł z konia, w co szeryf, prawdę mówiąc, wątpił, upadek musiał go zabić.

Przyklęknął obok zakutego w blachy ciała, nie bacząc na błoto. Tak, tym razem to więcej niż dwa cale, przypomniał sobie słowa giermka. No tak, ale to nie udeptana ziemia, a miękkie pole. A i baron przytył pewnie od tamtych czasów. Nie mówiąc już o dubeltowym pancerzu, uśmiechnął się szeryf do siebie.

Rękaw jeździeckiej rękawicy starł krew z napierśnika. Przyjrzał się uważniej i zmarszczył brwi. Czegoś takiego jeszcze nie widział. Bezwiednie przetarł czoło rękawicą, rozmazując po nim smugi baronowej krwi. Ordynarnie czerwonej, wcale nie błękitnej.

W szmelcowanym napierśniku, w samym środku widniała mała dziurka. Trzykrotnie mniejsza od tych, które zostawiają strzały, nie mówiąc już o bełtach. Odchodziły od niej zygzaki pęknięć, przecinające we wszystkich kierunkach hartowany napierśnik, widoczne jak na dłoni z powodu wtartej w nie krwi. Mała dziurka. Żadnego drzewca, sterczących brzechw. Tylko mała dziurka.

Podobne pęknięcia zostawiają ołowiane kule z arbaletu kulowego, przypomniał sobie. Ale one nie przebijają pancerza, wgniatają go tylko, jeżeli strzelec ma szczęście, to z kośćmi czaszki, na przykład. A strzała czy bełt nigdy nie wbijają się głęboko, zawsze coś sterczy na wierzchu. Zwłaszcza z takiej odległości...

Potrząsnął głową. Nic tu w tej chwili nie wymyśli. Wstał.

–Chodź no tu który – zawołał w kierunku giermków. Przez chwilę wydawało się, że żaden

nie odważy się podejść. Po dłuższej chwili jeden ruszył. Był bardzo blady.

Morholt, ten młody, zauważył szeryf bez zdziwienia, gdy giermek zeskoczył z konia. Może nie trzeba będzie się go pozbywać.

Morholt zeskoczył z konia obok szeryfa, spojrzał na zwłoki swego pana. Zbladł jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe. Przeżegnał się.

–Czary! – wyjąkał. – To moc szatańska...

–Zamknij się, durniu – warknął szeryf. – Przynieś jakiś płaszcz albo co... Przykryć go trzeba, niech inni nie widzą. Powiesz, że przypadkiem w szczelinę zbroi trafiło. Ale

przestań pieprzyć o czarach, bo ludzie się rozbiegną...

–Panie, ale to nie ludzka ręka... – zaczął Morholt trzęsącym się głosem, w którym brzmiała panika. Szeryf chwycił go za ramię, potrząsnął. Morholtowi zadzwoniły zęby.

–Opanuj się i posłuchaj – szeryf starał się mówić spokojnie. – Pomyśl trochę. Czary czy nie, jeżeli ludzie się rozbiegną, to nie ujdą już z tego pola. Oni tam czekają... – wskazał na milczący las. Morholt opanował się nieco, choć wciąż był bardzo blady.

Zaczął jednak słuchać i widać było, że dociera do niego to, co słyszy.

–Do Nottingham daleko, a głowę dam sobie uciąć, że już na nas po drodze dybią. Tam

zagajniki są przy trakcie. Jeżeli nie w kupie będziemy wracać, to wytną nas do nogi.

Zrozumiałeś?

Młody giermek kiwnął głową.

–Ale przecież nie zostawimy... – odważył się po chwili. – Pogrzeb trzeba godny, chrześcijański. Tak nie można, tu wilcy ogryzą, kości rozwłóczą... Nie godzi się tak...

–Wilcy nie ogryzą, przecie nie wywloką go z tej zbroi. A żeby ją przegryźć, to nawet wilcy

nie dadzą rady. I tak zabrać nie damy rady, wozów nie mamy, konie tylko. Jak to sobie

wyobrażasz, na siodło mamy go wsadzić? Nie, poleży tu sobie do jutra, przyślemy wóz, i to w

wołu zaprzężony. Koń nie da rady...

Spojrzał krytycznie na olbrzymi zewłok, obleczony w ciężką zbroję.

–W dwa woły... – dodał.

Morholt sprawnie wypełnił polecenia. Udało mu się zaprowadzić porządek wśród zaszokowanych zbrojnych. Sprawnie uformowali kolumnę.

Rozmowny giermek usiłował protestować, lecz Gisbourne szybko, acz w niewybrednych słowach przywołał go do porządku. Giermek musiał podpaść hrabiemu, który zwykle długo pamiętał urazy.

Jechali na czele milczącej kolumny. Szeryf w głębi duszy czuł coś na kształt wdzięczności do banitów. Po raz pierwszy wybawili go z kłopotów, zamiast ich przysparzać. Tak, nieoczekiwanie dobrze się stało.

Jadący obok hrabia podobne myśli wyraził na głos.

–No i dobrze – powiedział rażno. Minęły już widać skutki przepicia. – Bo jak pomyślę, to

ciężko byłoby temu panu służyć...

Urwał i niepewnie spojrzał na szeryfa. Ten nic nie odpowiedział. Gisbourne zamilkł i zmarkotniał.

Tak, pomyślał szeryf, wiedziałeś, odkąd tylko przyjechał. Wiedziałeś, i nie pisałeś słowa. Woląceś sam się dogadać...

Śmierć barona oddaliła na razie groźbę sąsiedzkiej pomocy. Nie było następnych chętnych do wyzwania banitów na walną rozprawę, okoliczni wielmoże, nauczeni przykładem coraz

rzadziej powtarzali opinie o nieudolności szeryfa. Nikt jakoś nie kwapił się, by zająć jego miejsce, nawet z królewskiego nadania.

Zwłaszcza okoliczności chwalebnej śmierci barona Godfrey'a na polu walki z hołotą i pieniącym się bezhołowiem działały odstraszająco. Było niezaprzeczalnym faktem, że przyczyna zgonu była tajemnicza. Powtarzano o klątwie druidów, która dosięgnie każdego, kto ośmieli się zbliżyć do przeklętej puszczy. Powiadano, że banici sprzysięgli się z mrocznymi siłami, które potrafią zabić każdego, kogo chcą, z niewiarygodnej odległości. Że to dopiero początek, że z zemsty za wycinane święte gaje, za zaprzestanie oddawania czci pogańskim bogom druidzi swą tajemniczą magią zniszczą mury zamków i dworów, zrównają z ziemią klasztory i kościoły. A banici wraz ze zbuntowanym chłopstwem dokończą dzieła zniszczenia.

Krążące plotki ożywiały doniesienia o dziwnych wydarzeniach, jakie miały ostatnio miejsce w okolicach Nottingham. O potworach, dawno zapomnianych, znanych dotąd tylko z mrocznych legend. O zabójstwach, dokonywanych w podleśnych wsiach, które nie były dziełem ani ludzi, ani dzikich zwierząt.

Szeryf miał mieszane uczucia. Z jednej strony zadowolony był z krążących opowieści, które skutecznie odstraszały innych żądnych jego stanowiska i włości. Z drugiej strony... Z drugiej strony sam był nieźle wyprowadzony z równowagi tym, co zobaczył na własne oczy wtedy, na polu pod ścianą puszczy. Sam skłaniał się raczej ku racjonalnym wyjaśnieniom, nie składając wszystkiego, czego nie rozumiał, na karb magii i sił nieczystych. Zbyt wiele w życiu już widział, nawet rzeczy, w które

trudno było z pozoru uwierzyć. W końcu jednak, skoro nie mógł znaleźć zadowalającego wyjaśnienia, starał się zaprzestać bezpłodnych rozmyślań, mając nadzieję, że wszystko się kiedyś wyjaśni.

Na razie skorzystał z przedśmiertnych rad barona. Nie posiadał jego okrucieństwa, posłużył się Gisbournem, hamując jednak trochę zapędy hrabiego. Mimo wszystko nie podzielał upodobania barona do dyndających na każdym rozstajach, objadanych przez ptaki wisielców. Gisbourne nie miał takich zahamowań. Dostał zatem szczegółowe instrukcje.

Mimo narzuconych ograniczeń, już pierwsza wyprawa hrabiego zakończyła się sukcesem. Celem była wioska, o której już dawno chodziły słuchy, że sprzyja rebeliantom. Gisbourne nie zamierzał zaskoczyć banitów w wiosce, wręcz przeciwnie, upewnił się najpierw, że ich tam nie spotka. Chodziło bowiem o zastraszenie chłopów, nie o walkę. Aby odciąć banitów od zaplecza, jak ujął to szeryf.

Wszystko poszło nadspodziewanie łatwo. Gisbourne na czele zbrojnych wjechał do wioski bez przeszkód. Obili paru chłopów, nie wybierając, winnych czy nie, po prostu tych, co nie zdążyli w porę uciec. Podpalili kilka chat, w czym hrabia wziął osobisty udział, nie wyręczając się podwładnymi. Gdy na wóz wrzucono związanych jak barany wójta wraz z rodziną, obiecując im pobyt w lochu, krótki wprawdzie, bo rychło zakończony na szafocie, który właśnie budowano w Nottingham, szybko i skwapliwie kmiotki wskazały kryjówkę, w której banici przechowywali broń i zapasy pożywienia.

Hrabia triumfalnie powrócił do Nottingham. Więźniów umieszczono w lochu, gdzie mogli skracać sobie czas, przyglądając się przez kraty cieślom pracującym na rynku. Cieśle pracowali szybko, szafot rósł w oczach. Znalezione w kryjówce kusze i miecze rzucono do zbrojowni.

Dowody winy wójta były bezsporne, resztę rodziny szeryf ułaskawił, nie bacząc na gniewne pomruki hrabiego, który sprzeciwiał się wypuszczaniu na wolność groźnych buntowników, których ujął, nie szczędząc wysiłków i narażając życie. Obydwaj groźni buntownicy, w wieku lat ośmiu i dziesięciu powlekli się, popłakując, wraz z matką i babką z powrotem do wioski. Babka zawodziła głośno, obiecując, że jak tylko dostanie w swoje ręce tego głupiego sukinsyna, swego zięcia, to oczy mu wydrapie za to, że z banitami się zadał i nieszczęście na wieś sprowadził. Głupi sukinsyn stał pod pręgierzem na rynku, wystawiając do słońca obatożony zadek i zastanawiając się, co go podkusiło do sprzyjania buntownikom, oraz co jest lepsze, gnój i zdechłe szczury, którymi rzucała w niego gawiedź, czy spotkanie z mamuszką. Miał jeszcze sporo czasu na te rozmyślenia.

Po załatwieniu czynności urzędowych szeryf zainteresował się zdobytą bronią.

Miecze nie zaskoczyły go, były to te, w które sam wyposażył kiedyś swoich zbrojnych. Łuki były standardowe, takie jakich używał każdy kłusownik, wykonane z cisowych prętów. Nic specjalnego. Kusze zaciekały go bardziej, miały kilka usprawnień, w tym jedno naprawdę ciekawe...

Gisbourne zmierzał w kierunku szeryfa, stojącego przy tarczy na końcu toru łuczniczego. Klął w myślach, wezwanie zaskoczyło go przy posiłku. Kurwa, spokoju nie da, mamrotał pod nosem.

Szeryf przynaglił go niecierpliwym machnięciem ręki. Hrabia spostrzegł, że do tarczy przymocowany był napierśnik płytowej zbroi. Podeszedł bliżej. Szeryf, nic nie mówiąc, wskazał na napierśnik.

–I co? – spytał po chwili, nie doczekawszy się reakcji, poza prawie niezauważalnym wzruszeniem ramion...

–No, nic... – odpowiedział hrabia niepewnie. – A co ma być?

–Powiedz, co widzisz – powiedział szeryf z podejrzaną łagodnością w głosie. – Skup się...

–No, napierśnik, od płytowej zbroi, chyba turniejowej... No dobrze, tylko po co...

–Gisbourne, przetrzyj te zapuchnięte oczy i przyjrzyj się łaskawie! – zirytował się szeryf w końcu. – Z bliska, jeśli łaska!

Gisbourne posłusznie zbliżył się do napierśnika. Wytrzeszczył oczy.

–I co widzisz? Mów! – przynaglił szeryf.

–No, szmelcowany, mniej więcej wasz rozmiar, panie... Szeryf podniósł oczy do nieba.

–Chryste, znaczy, cierpliwości... – powiedział z rozpaczą.

–W samym środku dziurka... O, kurwa... – hrabia załapał wreszcie.

–No właśnie – westchnienie ulgi. – A wiesz, Gisbourne, skąd się wzięła? Jak nie wiesz, to

chodź, zaraz ci pokażę...

Przeszli cały tor, weszli na plac targowy, pusty tego dnia. Dwaj kusznicy, stojący pośród pustych kramów wyglądali zupełnie nie na miejscu. Na znak szeryfa jeden z genuęczyków, odziedziczonych po baronie Godfreyu, uniósł kuszę.

Hrabia zmierzył wzrokiem odległość.

–To dobrze ponad trzysta kroków, nie doniesie – zauważył sceptycznie. – A nawet, to

odbije się od tej zbroi, jeżeli trafi, oczywiście...

Kusznik zmierzył go zimnym spojrzeniem, pod którym Gisbourne mimowolnie spuścił wzrok. Mierzył starannie. Świsnął bełt, po chwili usłyszeli dźwięczące uderzenie.

–No, człowieku małej wiary – złośliwie roześmiał się szeryf. – Idź tam teraz, a jak wrócisz,

to powiedz, co zobaczyłeś.

Hrabia spojrział niepewnie, spostrzegł, że szeryf nie żartuje. Gdy po dłuższej chwili wrócił zdyszany, w oczach miał niedowierzenie.

–Jak on to zrobił? – zapytał – Wprost nie do wiary...

–Najpierw powiedz, co zobaczyłeś.

–No, drugą dziurę, taką samą, jak pierwsza, trochę z boku... Cholera, jak to możliwe, nigdzie ani śladu bełtu...

Szeryf odszedł w stronę tarczy, niedaleko, kilkanaście kroków. Rozglądał się chwilę, schylił się, podniósł coś z ziemi. Po chwili podsunął hrabiemu przed oczy coś jak dwie połówki pocisku, bez grotu.

–Już rozumiesz? – spytał.

Hrabia nadal nic nie rozumiał, patrząc tępo na kawałki drewna zaopatrzone w brzechwy.

–Wszystko wam trzeba, panie hrabio, jak na tacy... – mruknął szeryf. Rzucił drewnienka na ziemię. Wyciągnął rękę do kusznika. Ten podał mu bełt, dziwny, pozbawiony grotu, w miejsce którego na czubku było głębokie wyżłobienie.

–Nadstaw rękę – powiedział szeryf. Hrabia posłuchał. Szeryf nożem lekko podważył drzewce w miejscu ledwo widocznego spojenia. Na podstawioną dłoń wypadł cienki, żelazny pręt długości około czterech cali. Zaostrzony z jednej strony, z drugiej starannie rozklepany w podwójne brzechwy. Gisbourne zważył go w dłoni.

–Ciężki – powiedział.

–Zgadza się – potwierdził szeryf. – Ciężki. A teraz spróbuj go zgiąć. Gisbourne popatrzył. Pręt nie był grubszy od gwoźdźca. Powinno się udać.

Ujął go oburącz, natężył się. Zamiast się wygiąć, pręt pękł z trzaskiem.

–Hartowany, i to dobrze, tak jak na przykład miecz – szeryf pokiwał głową. – Zaraz po

strzale belt rozpada się, jest słabo sklejonny, chyba żywicą. Dalej leci już tylko ten pręt, cienki,

stawia mały opór. Jest ciężki, więc leci daleko. Blachę przebija z łatwością, jak widziałeś.

Przebija cały, na zewnątrz nic nie zostaje. Kusza też ma wzmocniony naciąg, żeby ją napiąć, nawet korbą, trzeba dwóch ludzi... Ciekawe, co Gisbourne?

–Z czegoś takiego ustrzelili barona – hrabia klepnął się z rozmachem w czoło. – A ja myślałem...

–Myślałeś, że to czary? Czarna magia? Zemsta druidów? Gisbourne, więcej wiary w ludzi! W ludzką pomysłowość! Człowiek zawsze znajdzie nowe sposoby uśmiercania bliźnich.

–E, tam – Gisbourne wyraźnie wracał do równowagi. – To przecież proste, wielkie mi co...

–Zupełnie jak koło, co, Gisbourne? – spytał szeryf złośliwie. – Popatrz, też proste, a jak się przyjęło. Pewnie też, jak je pierwszy raz zobaczyłeś, to dziwiłeś się, czemu sam na to nie wpadłeś...

Hrabia puścił docinki mimo uszu. Wyniosłym gestem kazał podać sobie już napiętą kuszę. Kuszniak podał ją, założywszy wcześniej belt na cięciwę.

Gisbourne uniósł broń, wycelował. Kuszniak powiedział coś, czego hrabia nie rozumiał. Opuścił kuszę, spojrzał pytająco.

–On mówi, niżej celuje – łamaną angielszczyzną powiedział drugi kuszniak. – Leci bardzo

płasko...

–Co wy mi tu będziecie... – zachnął się Gisbourne, unosząc broń. – Uczyć mnie będzie...

Nacisnął spust. Broń kopnęła potężnie. Hrabia usiadł z rozmachem na ziemi.

Tym razem nie było słycać uderzenia pocisku. Dopiero po dłuŹszej chwili uslyszeli z za muru, z podgrodzia bolesny koński kwik.

–On mówi, kusza bardzo kopie – udzielił nieco spóźnionych wyjaśnień genuencyk, nieznacznie się uśmiechając.

Hrabia podniósł się, rozcierając ukradkiem stłuczone miejsce. Kopnął ze złością kuszę, którą wypuścił z ręki.

–Jesteście komuś winni konia, panie hrabio – stwierdził sucho szeryf. – Mam nadzieję, że tylko konia...

–To trzeba zniszczyć, to diabelski wynalazek – rozdarł się Gisbourne. – Toż przecież byle łyk może szlachcica w zbroi na trzysta kroków ustrzelić! Do czego, to, kurwa, podobne, żeby rycerza...

–Uspokójkcie się, panie hrabio – szeryf spojrział z dezaprobatą. – Pomyślcie trochę... Nic nie będziemy niszczyć. Może kiedyś będziemy mieli zatarg z którymś z naszych opancerzonych przyjaciół? Nic nie będziemy niszczyć, może się jeszcze przydać...

IV

Jasonowi zaczynała doskwierać beczynność. Przez całe dotychczasowe życie nie zwykł zatrzymywać się tak długo w jednym miejscu. Jego profesja wymagała stałego przemieszczania się, szukania nowych, jeszcze nie wyeksploatowanych terenów. Nie mógł przecież osiąść na stałe w jednym miejscu, liczba naiwnych, którzy siadali do gry, była ograniczona. Zwykle zresztą, oprócz nielicznych nałogowców, których nic nie nauczy, nie siadali ponownie.

Jeździł więc po całym kraju, i nie tylko, kiedyś zapędził się nawet na Wschód. Zwykle jednak wyspa mu wystarczała. Odwiedzał jarmarki i turnieje, targi i odpusty. Tam znajdował najobfitszy łup. Zimy spędzał w zacisznych karczmach lub goszcząc u licznie rozsianych przyjaciół.

Dla Jasona wiosna oznaczała porę, kiedy trzeba ruszać. Kojarzyła się z traktem, podróżą, nowymi wrażeniami. Teraz miał przez cały czas wrażenie, że powinien wyruszyć, że zbyt długo zwleka. Miał oczywiście świadomość, że dotychczasowa kariera jest nieodwołalnie zakończona, lecz nie sposób było pozbyć się od razu wieloletnich nawyków.

Beczynność męczyła. Czas wypełniały wprawdzie rozmowy z Matchem, wyczerpujące niejednokrotnie, powodujące wizje i sny, po których czuł się umysłowo wypalony. Brakowało jednak fizycznej aktywności, brakowało tego radosnego, jak pamiętał, oczekiwania nowych wrażeń, gdy ruszał w nieznane lub dawno nie odwiedzane miejsca.

Brakowało treningów, do których przyzwyczał się przez lata. Swe ostrza do rzucania stracił wraz ze wszystkim. Rozpoczął nowy rozdział w życiu dosłownie nagi i bosy, nie posiadając zupełnie nic. Nosił odzienie podarowane przez Matcha, trochę rzeczy osobistych otrzymał od mnichów. Zastanawiał się czasem, skąd u braciszków znalazł się na przykład morderczy sztylet, którego używał teraz do krojenia mięsa i chleba.

Bez swej broni ostatniej szansy czuł się dziwnie nagi. Nie spodziewał się wprawdzie, że przyda się ona w klasztorze lub w lesie, na polowaniach, w których brał udział z dużą przyjemnością, acz z pewnymi obawami. Nie było tu nikogo, kto rzuciłby się na niego nagle z morderczymi zamiarami.

Polowali głównie na sarny i koziołki. Raz wybrali się na dziki, Jason wprawdzie uważał, że sposób Matcha jest bardzo ryzykowny i on osobiście wolałby strzelać do dzika z kuszy, z

możliwie dalekiego i ukrytego stanowiska, najlepiej na wysokim, grubym drzewie. Jednak i w tym wypadku jego tajna broń nie przydałaby się na wiele. Nie widział

szans na zatrzymanie szarżującego dzika, nawet przy celnym trafieniu między oczy.

Tym większą niechęcią przejął go sposób polowania na dziki, który stosował Match. Polegał on na wypłoszeniu odyńca z matecznika, sprowokowaniu do szarży i oczekiwaniu na niego z nastawioną rohatyną. Rohatyna, rodzaj drugiej dzidy, posiadała poprzeczkę, mającą uniemożliwić nadzianemu na nią dzikowi kontynuowanie szarży wzdłuż drzewca. A przynajmniej utrudnić. Widok Matcha, trzymającego rohatynę z dorodnym, ważącym co najmniej dwa razy więcej od niego odyńcem na drugim końcu, miotanego po krzakach i zaroślach zniechęcił Jasona całkowicie do takich polowań. Tym bardziej, że Match, nie dysponując psami, jego właśnie zachęcał do wypłaszania dzików z bagienek i podmokłych polanek, gdzie zwykły spędzać dzień.

Nie przekonało Jasona twierdzenie Matcha, że spłoszony dzik na ogół będzie uciekał w kierunku, gdzie on będzie go oczekiwał z rohatyną. Stanowczo odmówił odgrywania roli sfory psów – dzikarzy. Na natrętne pytania Matcha o przyczynę odmowy odpowiedział, że chodzi właśnie o to „na ogół”.

Przydatne czy nie, myślał Jason, dobrze byłoby mieć znów czym porzucać, chociażby dla wprawy. Ostatecznie robił to prawie codziennie przez... Ile to już? Tak, dwadzieścia pięć lat...

Dlatego ucieszył się, gdy kiedyś, myszkując z nudów po klasztorze, zaszedł do walącej się szopy, zwanej przez zakonników kuźnią.

W klasztorze nie było wiele pracy dla kowala. Kozy, jak wiadomo, rzadko wymagają podkuwania, prócz nich zaś w klasztorze były tylko dwa konie. Kuźnia służyła więc głównie do napraw narzędzi rolniczych.

Funkcję kowala spełniali przygodni braciszczowie, wyznaczeni do tej pracy przez przeora. Wystarczyło, by potrafili trafić młotem niekoniecznie we własne palce.

Jason obejrzał uważnie wyposażenie, poruszył miechem z popękanej skóry. Ku swej radości znalazł zapas węgla drzewnego, młoty na nie całkiem spróchniałych i potrzaskanych trzonkach, a co najważniejsze, kilka sztab surowego żelaza.

Gdy postukiwał jednym kęsem o drugi, słuchając wydawanego przez nie dźwięku, przekonał się, że żelazo jest zupełnie dobrej jakości. Nie nadawało się wprawdzie do wyrobu broni, miał jednak nadzieję, że po nawęgleniu da się zahartować.

Kuźnia posiadała nawet koło szlifierskie, mało wyszczerbione. Osadzone na topornym stojaku, poruszane było wielką, skrzypiącą korbą.

Jason z radością zabrał się do pracy. Najpierw namoczył w korycie, służącym najwyraźniej za wannę hartowniczą, wszystkie młoty, jakie znalazł. Chodziło o to, by

luźne trzonki spęcały na tyle, by główce młotów nie spadały przy pierwszym uderzeniu. Miał nadzieję, że to wystarczy, w ostateczności zamierzał dorobić nowe, jesionowe trzonki.

Uważnie przebierał kęsy żelaza, nasłuchiwał dźwięku, jaki wydają przy uderzeniu. Rozpalił w kotlinie kowalskiej, nagrzewał pręty, przyglądając się, jakiej barwy nabierają po rozżarzeniu. Oczyszczył upaprane kurzem gnojem kowadło, próbował plastyczności materiału. Wybrał w końcu dwa kęsy, które wydały mu się najlepsze.

Przed rozpoczęciem właściwej pracy potrzebował pomocnika. Przeor wprawdzie zgodził się na wykorzystanie kuźni, Jason nie chciał jednak prosić go o wyznaczenie kogoś z braciszków do pomocy. Wystarczająco już kłopotów sprawił temu człowiekowi. Zamiast tego porozmawiał z Matchem. Tez zgodził się natychmiast, nie zadając żadnych pytań.

Jason najpierw podzielił jeden z kęsów na krótsze odcinki, z których każdy powinien wystarczyć na jedno ostrze. Kawałki były znacznie krótsze, niż miał być docelowy wyrób, kształt miał zostać nadany przez precyzyjne przekucie. Średnica surowego kęsa wyglądała na wystarczającą, Jason nie musiał zaprzętać sobie głowy skuwaniem kilku ze sobą. Był zadowolony, gdyż w ten sposób odpadało dużo żmudnej pracy.

Kęs podzielił, używając specjalnego narzędzia. Był to młot mający ostrą, przypominającą nieco siekierę główicę. Przytrzymał rozgrzany pręt cęgami na kowadle, przystawiając przecinak we właściwym miejscu. Match uderzał od góry ciężkim młotem.

Poszło nieźle, choć za pierwszym uderzeniem Match uderzył zbyt pod kątem. Przecinak zamiast zagłębić się w żelazo odskoczył w bok, o mało nie wrywając Jasonowi ręki ze stawu. Match nie miał wprawy, lecz siły mu nie brakowało.

Potem Jason zajął się bardziej precyzyjną robotą. Wykuwał kształt każdego ostrza, używając już mniejszego młotka. Match poruszał miechem, żelazo trzeba było często rozgrzewać. Była to ciężka praca, miech z wyschniętej i spękanej skóry wypuszczał znacznie więcej powietrza przez szczeliny niż w palenisko.

Praca szła na razie w milczeniu, stukot młota, skrzywienie miecha nie sprzyjały rozmowom. Milczeli więc obaj, znajdując jakieś dziwne upodobanie w tej prostej pracy. Jason wspominał lata spędzone w ojcowskim warsztacie. Ze zdumieniem spostrzegł, że wspomina je z przyjemnością i rozrzewnieniem. Match milczał, zajęty własnymi myślami. Jemu też praca sprawiała przyjemność.

Po trzech dniach wszystkie ostrza były wstępnie wykute. Najtrudniejsze było wykonanie szczelin, które później będą zalane ołowiem. Jason nie mógł znaleźć

odpowiedniego narzędzia. Do naprawy wideł i rydli nie była potrzebna taka precyzja. W końcu poświęcił jeden z małych młotków, szlifując go odpowiednio na szlifierskim kole.

Match z podziwem obracał w dłoni wystygłe już, wykute ostrze. Jak wielu ludziom, przemiana twardego, zardzewiałego żelaza w celowy kształt wydawała mu się cudem. Zafascynowany patrzył, jak pod uderzeniami młota świecący, sypiący iskrami kawałek żelaza nabiera kształtu.

–Cholera, że też tak potrafisz – mruknął z podziwem. Jason zerknął podejrzliwie, ale nie dopatrzył się ironii.

–Nic wielkiego – roześmiał się w końcu. – Zresztą, mój świętej pamięci tatko za taką robotę dałby mi po uszach.

Match spojrział z niedowierzaniem. Przyjrzał się czarnemu od żaru ostrzu, pokrytego drobnymi wgłębieniami od uderzeń młotka.

–Przecież to jest... – zawahał się. – Przecież to jest prawie gotowe...

–Nie znasz się na tym – zgasił go Jason. – Wyszedłem z wprawy, zresztą nigdy nie byłem w tym za dobry. Nie potrafią, jak widzisz, samym kuciem nadać ostatecznego kształtu, osiągnąć gładkiej powierzchni. Trzeba będzie dużo szlifować, a to długa i żmudna robota. Strata czasu, jak mawiał tata. Zawsze mówił, że płatnerz, który nie potrafi dobrze wykuć ostrza za pierwszym razem, powinien raczej kury macać...

Match nie wyglądał na przekonanego. Spoglądał na Jasona z podziwem. Jason to zauważył.

–Nie gap się tak – burknął, niby niechętnie, lecz z głębokim zadowoleniem. Mimo wszystkich krytycznych uwag pod swym adresem, był bardzo zadowolony. Okazało się, że jeszcze potrafi, że nie zapomniał, tak jak się obawiał.

–Dobrze Match, teraz będzie trochę wytchnienia. Musimy te ostrza nawęglić.

Na pytające spojrzenie Matcha rozpoczął wyjaśnienia. Sam nie wiedział czemu, ale rozmowa na ten temat sprawiała mu przyjemność. Sypiąc węgiel drzewny do wygasłej kotliny opowiadał, co będą robić.

–To żelazo jest marne. Nie da się zahartować tak, żeby było twarde. Trzeba je zatem utwardzić. To bardzo proste. Rozpalimy ogień, zagrzebiemy ostrza w węglu. Na długo. Po

czymś takim powierzchnia metalu, po zahartowaniu, będzie twarda.

Wyprostował się, otarł pot z czoła, rozmazując sadzę po twarzy. Roześmiał się na widok miny Matcha.

–Tak, po tym właśnie można poznać kowala i płatnerza. Węgiel, sadza wżera się w twarz,

nigdy nie zmyjesz. Profesja, że tak powiem, wypisana na gębie... Kiedyś strasznie się bałem, że

będę w końcu tak wyglądał...

Pokręcił głową, uśmiechając się do wspomnień.

–Wracając do rzeczy... – kontynuował, otrząsnąwszy się po chwili. – Nawęglanie powoduje, że powierzchnia żelaza, nawet takiego marnego, staje się podatna na hartowanie,

utwardza się. Tym głębiej, im dłużej trwa nawęglanie. Tak robi się klingi mieczy, tych

pośledniejszych, dla zbrojnych... Miękki, plastyczny rdzeń i twarda powierzchnia, twarde

ostrza. Bo inne... Nie, to opowiem ci później, będziemy mieli sporo czasu...

Match nie bardzo rozumiał, lecz powstrzymał się od pytań. Nie chciał wyjść na głupka.

–Mam dla ciebie jedną złą nowinę, Match – nie doczekawszy się pytania wyjaśnił Jason. –

Będę musiał sporo zeszlifować, w związku z tym nawęglać będziemy długo, może nawet cały

dzień.

Rozpalił ogień w palenisku. Starannie zagrzebał ostrza w węglu.

–Teraz tylko trzeba dmuchać – powiedział w końcu. Match skinął głową i zabrał się do miecha. Jason rozsiadł się wygodnie.

–Teraz już nie musisz tak mocno, jak wtedy przy kuciu – pouczył Matcha, który odetchnął z ulgą.

Zapadła cisza, przerywana tylko skrzypieniem popękanego miecha i sykiem powietrza.

–Wiesz, Match – przerwał ciszę Jason. – Mój tatko potrafił godzinami opowiadać o mieczach, sposobie wykuwania kling, ostrzeniu... Znał się na tym. A ja wtedy widziałem w nim tylko pijacznę, który spieprzył całe swoje życie. I moje przy okazji... Słuchałem tego wtedy i myślałem sobie...

Match nie przerywał, tylko oczy błyszczące w świetle paleniska, w półmroku kuźni, świadczyły, że słucha uważnie. Miarowo poruszał miechem. Jason robił długie przerwy w opowiadaniu, zamyślał się. Match nie ponaglał.

–...myślałem sobie, co ten żaloszny pijaczyna wie o tym wszystkim. Opowiada o damasceńskich głowniach, przekuwając pogięte widły. Nie wiedziałem... Nie wiedziałem wtedy, że kiedyś ojciec był uczniem jednego z najlepszych w całym kraju płatnerzy. Że pracował na książęcym zamku. Że jego mistrzem był Saracen, Abu ibn jakiś tam, zapomniałem zresztą... Że był jednym z jego najlepszych czeladników... I że zaprzepaścił to wszystko w imię mrzonki, mając zresztą na myśli moją przyszłość...

Match spostrzegł dziwne lśnienie jego oczu. Odwrócił wzrok. Jason przetarł oczy, wmawiając sobie, że łzawią od żaru paleniska.

–Został zwykłym złodziejem – podjął po chwili, mając nadzieję, że nie zawiedzie go głos.

–Nie, może nie zwykłym, ale zawsze złodziejem. Okradł swego mistrza, musiał uciekać. W

najlepszym wypadku przed napiętnowaniem i osadzeniem w lochu. Już nigdy... Już nigdy nie

wydobył się z gnoju... Dowiedziałem się o tym późno, zbyt późno... Przekonasz się

zresztą,

jakim był płatnerzem....:

Jason podjął właśnie pewną decyzję. Przerwał wreszcie, wysmarkał się głośno.

–A, co tam, dawne dzieje... – powiedział już rażniej. – Wiesz, powiem ci o czym innym, o

tym, jak robi się miecze... Nasłuchałem się tego, to naprawdę ciekawe...

Jason zaczął opowiadać o normańskich mieczach, skuwanych z trzech kęsów żelaza, gdzie miękki, niepodatny na hartowanie rdzeń okuwany jest twardymi, tworzącymi ostrza, dając klingę odporną na pęknięcie przy uderzeniach. O uproszczonej metodzie, polegającej na nawęglaniu tandetnego żelaza, gdzie środek tworzył miękki, nie nawęglony rdzeń. Krzywił się przy tym z niesmakiem, twierdząc, że metoda ta dobra jest przy wyrobie seryjnym mieczy dla milicji cechowej lub innych łachudrów. Opowiadał o metodach produkcji damastu skuwanego, zwanego również dziwerem, który służy do wykonania kling składających się z niezliczonych warstewek twardego i miękkiego materiału, kling o niebywalej odporności i sprężystości, dających naostrzyć się tak, że kolczugę cięły jak lnianą koszulę.

Nic jednak nie dorównywało niezwykłemu, magicznemu wręcz materiałowi, bryłom żelaza, które, jak mawiano, pochodziło z nieba. Miecz, którego ostrza wykonano z takiego metalu nie miał sobie równych. O magicznych właściwościach świadczyło to, że klingi zawsze pozostawały niepokalanie czyste, nigdy nie pokrywały się rdzawym nalotem. Zaś sprężystość, odporność, możliwość wyostrzenia była jak... Jak...

Jasonowi zabrakło słów. Dodał tylko, że podobne miecze można było policzyć na palcach jednej ręki. Jak dodał z pewną przesadą, nawet na palcach jednej ręki zasłużonego, długoletniego pracownika tartaku. Przesadzał, takich mieczy było na pewno więcej niż trzy.

Jason zaczął następnie opowiadać o rodzajach mieczy, kształtach kling i rodzajach oprawy. O zboczach, wykuwanych wzdłuż ostrzy, które, jak sądzili naiwni, służyły do ułatwienia spływania krwi. Nic z tych rzeczy, wyjaśnił Jason poważnie. Zboczą służyły do czegoś zgoła innego, pozwalały zmniejszyć wagę klingi przy zachowaniu wytrzymałości.

W końcu zaschło mu w gardle. Pociągnął łyk wody z glinianego dzbanka.

–Ale się rozgadałem – zreflektował się. – Poczekaj, zmienię cię, pewnie masz już dosyć.

Zajął miejsce Matcha przy miechu. Match usiadł, nic nie mówiąc.

–Pewnie cię zanudziłem na śmierć – między jednym a drugim naciśnięciem miecha

odezwał się Jason. – Ty przecież tylko machałeś mieczem, na cholerę ci znajomość tych

wszystkich szczegółów...

Match zaprzeczył. To było ciekawe, słuchał ze szczerym zainteresowaniem. Jason rozgadał się wyraźnie. Praca dobrze na niego wpływała.

–Wiesz Match – powiedział po chwili. – Nawet wśród szlachty, wśród rycerzy rzadko się

spotyka przyzwoitą broń. Noszą takie różny, mówiąc, że to po przodkach. Zgoda, po

przodkach, ale przecież świat nie stoi w miejscu. Wszystko idzie do przodu, sztuka płatnerska

też. A taki nosi szacowne żelastwo, nie zastanowi się nawet, że może trafić na przeciwnika, dla

którego jego czcigodny miecz będzie równie groźny, jak dajmy na to, marchewka...

Ze złością nacisnął silnie miech, który zapiszczał niczym dudy.

–Dla nich najważniejsza jest tradycja. Wiesz, Match, zawsze unikałem szlachetnie

urodzonych, jak zarazy. Miałem zresztą rację, jak mogłem się ostatnio przekonać. Cały ten ich

kodeks... Mają go pełną gębę, a przecież oszukują, jak wszyscy diabli, gdy tylko mogą.

Widziałem wiele turniejów, wiele pojedynków. Na palcach mógłbym policzyć tych, którzy, jak

przyszło co do czego, wstrzymali się od zadania ciosu z tyłu, gdy tylko nadarzyła się okazja.

Czy na przykład nie sypnęli piaskiem w oczy... Widziałem takich, którzy dzielnie we trzech

siekli mieczami bezbronno, no prawie bezbronno... Chociaż też był to szlachcic...

Uważasz, cnota rycerska rzadsza w tych czasach niż dziewica w zamtuzie... A ty, Match,

spotkałeś kiedyś takiego, cnót dochowującego? Który by słowa niezłomnie dotrzymywał, a nie

był przy tym nadętym zarozumialcem? Bo ja niewielu...

Jason uważał pytanie za czysto retoryczne, toteż zdziwił się, gdy Match zdecydowanie potwierdził. Aż przestał ze zdumienia poruszać miechem.

–Tak, Jason, kiedyś spotkałem – zaczął Match w odpowiedzi na wyczekujące milczenie...

Ruiny starego klasztoru były jeszcze w całkiem niezłym stanie. Mury kaplicy i refektarza sterczały wprawdzie mocno wyszczerbione, lecz w zabudowaniach gospodarskich ostały się jeszcze belki stropu. Mury zbudowane były z solidnego, wapiennego kamienia, wypełniane gdzieniegdzie prawdziwą, wypalaną cegłą. Ruiny położone były na uboczu, z dala od głównych traktów. Od lat służyły wprawdzie okolicznym mieszkańcom za źródło budulca, lecz niedogodne położenie i wynikające stąd trudności z transportem sprawiły, że dewastacja wciąż nie był zbyt posunięta.

Ruiny cieszyły się ponadto złą sławą. Opowiadano, że były siedliskiem mnichów-rabusiów, którzy więcej czasu, niż na modlitwy poświęcali łupieniu kupców na traktach. Była to prawda, jak również i to, że za swe nieczne postęпки zostali ekskomunikowani. Nie przeszkodziło im to w kontynuowaniu owego procederu, aż do dnia, gdy zabudowania stanęły w ogniu. Klasztor spłonął, mnisi rozproszyli się po świecie. Powiadano, że dosięgła ich klątwa, że to piorun z jasnego nieba poraził plugawców. Że w szalejącym ogniu, którego nikt nie mógł ugasić, Pan dał im szansę oczyszczenia grzesznych dusz. Prawdziwa przyczyna, jak to zwykle bywa, była bardziej prozaiczna – pożar zaczął się od woskowej świecy, pozostawionej przez nieuwagę po mszy w kaplicy. Bowiem jak najbardziej, braciszkanie solennie odprawiali msze, gdy tylko pozwalały im na to codzienne zajęcia.

Mimo iż miejsce to uważano za przeklęte, przez wiele lat po pożarze wielu ludzi przeszukiwało je w nadziei odnalezienia skarbów, jakie mnisi nagromadzili pono przez wiele lat. Rozkopywano podwórze, kuto ściany, odważniejsi zapuszczali się do przywalonych zwęglonymi belkami loszków. Nie znaleziono nic.

Braciszkanie albo byli rozrzutni, albo, co bardziej prawdopodobne, zdołali zabrać wszystko ze sobą, pomyślał Match. Albo też rozbój na drogach był owymi czasy znacznie mniej zyskowy niż teraz.

Wyglądał przez małe okienko nieźle zachowanego budyneczku, prawdopodobnie obory, o czym świadczyło kamienne, poobtłukiwane koryto pod ścianą. Widok

roztaczający się z okienka nie nastrajał go bynajmniej pogodnie.

Zarośnięty chwastami podwórzec roił się od zbrojnych. Beztrosko stali na widoku, nie próbując się ukryć. Dobrze wiedzieli, że Match i jego ludzie nie mają z czego strzelać.

Okienko w przeciwległej ścianie zasłaniały wprawdzie wybudzące, gęste krzaki dzikiego bzu, ale Match zdawał sobie sprawę, że tam też na pewno są, że ta droga ucieczki została także odcięta.

Byli w pułapce.

Uderzył pięścią w pokruszoną, kamienną krawędź okna, z którego ktoś już dawno wyjął drewnianą ramę. Od początku tej całej wyprawy miał złe przeczucia. Sprawdziły się, niestety.

Pojechali do karczmy, samotnej, stojącej na rozstajach dróg, z dala od najbliższej wioski. W szczerym polu. Match miał wątpliwości, gdy szpiedzy donieśli, że zatrzymał się tam bogaty kupiec jadący z niewielką tylko grupką zbrojnej czeladzi. Kupiec, samotny, w tych okolicach? Nie było to zbyt prawdopodobne. Kupcy wiedzieli już, że szansę dowiezienia towaru na miejsce przeznaczenia są niewielkie. A ten, jakby nigdy nic, ładuje wozy, jedzie sobie beztrosko. Jeszcze popasa w karczmach, zamiast spieszyć się na złamanie karku. Czeka tam, jakby sam prosił się o rabunek. Coś tu śmierdziało z daleka.

Z drugiej strony miejsce na ewentualną zasadzkę było co najmniej dziwne. Można było ukryć żołnierzy w karczmie, ale też przeciwnik nie mógł wiedzieć, z jaką siłą nadciągną. Karczma stała wprawdzie w szczerym polu, ale niedaleko od lasu. Z racji tego położenia karczmarz był zaufanym człowiekiem. Nie miał zresztą wyjścia, praktycznie jedyną jego klientelę stanowili obecnie ludzie Matcha.

Match zastanowił się. Może rzeczywiście zjawił się jakiś desperat liczący na to, że akurat jemu jednemu uda się dotrzeć z towarem do Nottingham. Może znęciły go wysokie ceny, jakie spowodowała blokada i trudności w zaopatrzeniu. I postanowił zaryzykować, licząc na to, że jednym wozem i z małą grupką chroniącej go czeladzi zdoła przemknąć się niepostrzeżenie.

Jeżeli tak, to należy przywołać go do porządku.

Nazir podzielał wątpliwości. Radził dać spokój całej sprawie, stwierdzając, że jest co najmniej podejrzana. Jeden wóz, powiedział, cóż to zmienia.

Pozostawało jednak coś jeszcze. Jeżeli to rzeczywiście zasadzka, oznaczało to, że w szeregach informatorów znalazł się zdrajca. A to było bardzo niepokojące. Do tej pory nie zdarzały się takie przypadki, owszem, bywały informacje błędne lub wręcz

falszywe, ale nigdy dotąd nie próbowano wciągnąć ich w zasadzkę.

Match był poważnie zaniepokojony. Całe ich działanie zależało w dużej mierze od sieci informatorów. Stąd znali wszelkie przemieszczenia wojska, trasy kupców, poczynania szeryfa w samym Nottingham. Gdyby zostali pozbawieni tego źródła informacji, ich siła dramatycznie by zmalała. Zaś jeszcze gorzej byłoby wtedy, gdyby świadomie wprowadzano ich w błąd.

To trzeba było koniecznie wyjaśnić. Gdyby podejrzewa potwierdziły się, trzeba zdusić sprawę w zarodku, dać odstraszący przykład dla innych, którym zapachniałyby łaski szeryfa.

Zdecydował, że pojedą w kilku zbadać sytuację. Kilku ludziom łatwiej będzie odskoczyć, gdyby podejrzewa okazały się słuszne. Zaś gdyby nie, powinno to wystarczyć, aby poradzić sobie z uzbrojonymi czeladnikami. A jeśli byłoby zbyt wielu, to przecież kupiec ze swym wozem daleko nie ucieknie, zdążą jeszcze...

Postanowił pojechać tylko z Nazirem i wybranymi przez niego pięcioma ludźmi. Rozkazał wybrać najlepsze konie, na wypadek, gdyby zaszła potrzeba szybkiego odwrotu. Zostawić kusze, by nie obciążać nadmiernie koni.

Nazir kręcił nieco nosem, gdy usłyszał polecenia, ale w końcu nic nie powiedział. Starannie wybrał konie, wyznaczył ludzi. Potem długo dopasowywał idące na krzyż przez pierś pasy,

utrzymujące na plecach pochwy z dwoma krzywymi mieczami. Kilkakrotnie sprawdził, czy dobrze wychodzą z pochew, czy jelce o nic nie zawadzą. Pieczołowicie sprawdził popręgi przy siodłach, dopasował strzemiona.

Match przyglądał się tym zabiegom, które starczyły za całą odpowiedź. Nazir był przekonany, że pakują się prosto w zasadzkę.

Trzeba było posłuchać, pomyślał Match ze złością. Zdrajcę znaleźlibyśmy prędzej czy później, wystarczyłaby większa ostrożność.

Spod ściany obórki dobiegł go kaszel. Jeden z ludzi, Match nie pamiętał nawet jego imienia, rozpryskiwał wraz z kaszlem jasną krew. Nazir, pochylony nad nim, tylko pokręcił głową.

Aż dziwne, że zdołał tu dojechać, pomyślał Match. Oberwał zaraz na początku, prosto w pierś. Dobrze, że strzałą, nie bełtem, bełt wysadziłby go z siodła. Zresztą, co za różnica, i tak płuco przebite...

Drugi ranny, David z Wickham, jak przypomniał sobie Match, wyciągał przed siebie sztywno nogę. Nie jęczał już, pobladł tylko i zaczynały trząść nim dreszcze. W

samym środku plamy krwi na udzie tkwiło ułamane drzewce strzały. On już też na nic się nie przyda. Zostało nas czterech, czterech przeciwko... Popatrzył przez okienko. Tylko w polu widzenia mógł bez trudu naliczyć dwudziestu.

Tak, to Nazir miał rację. Gdy zbliżali się do karczmy, jadąc odkrytym zewsząd traktem, wszystko zaczynało wyglądać nie tak...

Karczma wyglądała jak zwykle, niska, rozłożysta budowla z poczerniałych bali, pokryta zapadniętą strzechą. Stajnie i stodoła, przekrzywione ze starości, osiadłe na popróżniałych zrębach. Wóz, przykryty rozpiętą na pałkach opończą. Żadnego ruchu.

Wozu nie pilnował, jak to zwykle bywa, żaden pacholek. Nikt nie chodził po obejściu. Dziwne, gdy do karczmy zawitał taki gość? Mimo pięknego, letniego popołudnia czeladź nie siedziała przed karczmą z garncami piwa. Coś jest bardzo nie tak...

Zwolnili kroku. Jechali od strony pól, nie od lasu. Match sądził, że jeżeli to zasadzka, to będą ich oczekiwać właśnie z tamtej strony, tym bardziej, że z puszczy do karczmy prowadziła całkiem wygodna ścieżka. Wybrał więc drogę z przeciwka, licząc, że jak przyjdzie co do czego pokrzyżuje to szyki przeciwnikowi.

Maur podjechał bliżej. Trąciła Matcha w ramię. Pokazał coś ręką.

Match zaklął. O tym nie pomyślał. Na polach dokoła kołysał się w lekkim wietrze dorodny, nie zżęty jeszcze owies, wysiany wraz z żytem. W zbożu można było ukryć całą armię. Match ściągnął wodze, przystanęli. Nieufnie spoglądali na falujące pola.

Nic się nie wydarzyło. Match podniósł rękę, chciał dać znak, by ruszać dalej. Nie zdążył. Kilkanaście kroków przed nimi, wzbijając wysoko kurz z gościńca, wbił się prawie po brzechwy bełt.

Szarpnęli konie. Match nie musiał wydawać rozkazu do odwrotu. Dostrzegł powstające ze zboża sylwetki kuszników. Na szczęście dość daleko.

Za wcześnie wystrzelił, przemknęło mu przez myśl. Jeszcze trochę dalej, i byłoby po nas. Dobrze, jesteśmy daleko, może nas nie trafią. Drugi raz nie zdążą załadować, zanim nie odskoczymy.

Bełty zaświstały wokół nich. Nie tylko bełty. Bliżej musiało być ukrytych co najmniej kilku łuczników. Pędzący przed Matchem banita wyprostował się w siodle, wyrzucił ręce do góry. Wolno pochylał się do tyłu, wciąż wznosząc wysoko rozkrzyżowane ręce. W końcu przewalił się przez łąk, koń skręcił w zboże, ciągnąc go za sobą, za nogę uwięzioną w strzemieniu. Jadący z drugiej strony stęknął nagle, co Match usłyszał nawet przez tętent koni, zgarbił się. Utrzymał się jednak w siodle.

Strzały padały rzadziej. Wyjeżdżali już z zasięgu. Match obejrzał się za siebie i zaklął.

Zza przysadzistej karczmy wysypywali się konni. Wielu. To nie była zwykła zasadzka, to była cała oblawa.

Nazir podjechał w galopie.

–Dogonią nas – wrzasnął głośno. – Konie mają wypoczęte!

Match wiedział, że Maur ma rację. Wbił wzrok w majaczące daleko wzgórze, porośnięte gęsto zaroślami.

–Nazir – krzyknął.

Maur odwrócił się do niego.

–Tam, na wzgórze – Match wskazał ręką. – Te ruiny, pamiętasz? Tam możemy się bronić!

Nazir skinął tylko głową, pognał konie. Mila, może półtorej. Nie powinni nas dojść. Match

spojrzał przez ramię, wciąż mieli sporą przewagę, szybko jednak malejącą. Może będzie dość czasu, by znaleźć dogodne miejsce do obrony, najlepiej takie, skąd można by się wymknąć. Wieczór niedaleko. Jeżeli dopadną nas w polu, to koniec. W zabudowaniach nie wezmą nas tak łatwo, będą obawiali się odsiecz. Byle dotrzeć do wieczora, może przed nocą odstąpią.

Gdy przejeżdżali przez bramę w zwalonym murze, pogoń była kilkadziesiąt kroków za nimi. Zdążyli tylko wpaść do pierwszego z brzegu budyneczku, właśnie tej obórki. Obórki bez wyjścia. Match zaklął po raz kolejny.

Na podwórku dostrzegł hrabiego Gisbourne. Zdziwił się. Czyżby hrabia odważył się zapuścić tak daleko? Zresztą, przy takiej przewadze...

Zbrojni zachowywali się spokojnie, wiedzieli, że mają czas, zdobycz im nie ucieknie. Nikt zaś nie kwapił się na ochotnika szturmować budynku, wiedząc, że w ciemności, nawet bez łuków czy kusz, obrońcy będą mieli przewagę. Zgoda, oczywiście ulegną przewadze liczebnej, ale nikt nie chciał być tym pierwszym, który wejdzie w ciemny otwór po dawno wyłamanych wrotach.

Nie musieli się spieszyć, wystarczyło poczekać.

Match spostrzegł, że zbrojni nie noszą barw szeryfa. Wyjaśniło się to zaraz, gdy w

pole widzenia wszedł nieznajomy mężczyzna, ubrany w skórzany kubrak z wyciśniętymi śladami od pancerza. Na głowie miał misiurkę. Szlachcic. I to nie było szlachciura. Z oszczędnych ruchów emanowała spokojna pewność siebie, jaką mają tylko doświadczeni w szrankach rycerze.

W dłoni niedbale trzymał pochwę z mieczem, okręconą pasem. Widać przed chwilą odtoczył ją od siodła. Wysoki, barczysty, o przystojnej męskiej twarzy nawet pieszo, bez pancerza budził respekt. Jeden z tych, co są rzadkimi gośćmi na swych włościach, cały czas spędzając w rozjazdach, na wojnach i turniejach.

Jeden z tych, co wyruszają na wyprawę krzyżową nie dla zbawienia duszy, a ot tak, dla przygody i wprawy.

Spokojnie przeszedł parę kroków, stanął tak, by być dobrze widoczny z okienka obórki. Popatrzył prosto w ciemny otwór.

–No, mości rozbójniku – powiedział beznamiętnie – wychodźcie, oszczędźcie trudu. Sami

widzicie, że nie macie szans. Wychodźcie po dobroci...

Match nie odpowiedział. Rzeczywiście, szansę przedstawiały się mizernie. Jednak, mimo iż były mizerne, zamierzał je wykorzystać. Do końca. Nie odpowiedział.

–Posłuchajcie rady, panie rozbójniku – ponowił propozycję rycerz – Przecież wiecie, że i tak was w końcu wyciągniemy, nawet, jeżeli tego bardzo nie chcecie... Popatrz, was garstka tylko, a nas ćma...

–A ilu was gardła tu położy? – odkrzyknął Match. – Zanim nas, jak to mówicie, panie, wyciągniecie? Bo rację macie, bardzo nie chcemy...

–A wyłaż, zbójku jeden! – wrzasnął z tyłu Gisbourne, dobrze ukryty za zbrojnymi. – Wyłaż, bo cię jak jaźwca z nory wykurzimy! Ty łajdaku pierdolony, ty... Wyłaż, już tam kat na ciebie czeka, narzędzia opatruje, żelazka rozpala!

Rycerz skrzywił się z niesmakiem. Postąpił jeszcze parę kroków, jakby chcąc się zdystansować od tych słów, godnych bardziej przekupki na targu niż szlachcica. Wyraźnie nie w smak mu było takie okazywanie emocji.

–Zlitujcie się, panie hrabio – Match roześmiał się drwiąco. – Chcecie, żebym wyszedł, to zaproponujcie co miłszego! Choćby szubienicę!

–Słyszeliście, panie, jaki łotr bezczelny – oburzył się hrabia. – Spalić go tam trzeba, razem z tą budą, nie przemawiać do niego!

Rada była niewykonalna. To, co w obórcie mogło się spalić, spaliło się już dawno, pozostały nagie kamienne mury i sklepienie.

–Pan hrabia ma w zasadzie rację, chociaż przedstawiają w sposób... – rycerz uśmiechnął

się kwaśno. – Mniejsza z tym... Wyciągniemy cię, panie rozbójniku, prędzej czy później. Nie

będziesz chciał po dobroci, to trudno, poczekamy...

Gisbourne wychylił się zza pleców żołnierzy.

–Co tam gadać po próżnicy, niech szturmują zaraz – wykrzyknął gniewnie. – Co tam, paru

najwyżej ubiją, ale skurwysyna w końcu wywloką...

Zbrojni popatrzyli po sobie, potem na hrabiego. Bardzo wymownie. Hrabia zbladł, zająknął się.

–Ja tak tylko... – powiedział po chwili. Wycofał się.

–Ja, panie hrabio, nie zwykłem ludzi bez potrzeby na śmierć posyłać – powiedział spokojnie rycerz, nie uznając za stosowne odwrócić się. – No, mości rozbójniku, do honoru twego się odwołam. Wiesz przecie, że już przegrałeś. Po co jeszcze bez potrzeby zabijać? Poddaj się, sprawiedliwy sąd ci obiecuję, tobie, i twoim towarzyszom.

–Bardzoś pewien swego, panie rycerzu – zawołał Match w odpowiedzi. – A popatrz tylko, zmierzcha się, nie wiesz, czy moi ludzie już nie podchodzą, wzgórze niebawem nie otoczą. Nie wiadomo jeszcze, kto przegrał...

Nie miał wielkiej nadziei, że rycerz weźmie sobie do serca tę groźbę. Nie wyglądał na lękliwego. Nazir, przysłuchujący się rozmowie pokręcił tylko głową. Beznadziejne.

Tym bardziej, że w odsiecz Match sam nie wierzył. Wiedziano wprawdzie dokąd jadą, ale nieprzerwane pasmo sukcesów przytłumiło czujność. Zaczną się zastanawiać, co się stało, najprędzej nazajutrz rano.

Rycerz rzeczywiście nie wziął groźby do serca. Stał nieporuszony. Match zobaczył jednak, że hrabia przyskoczył do niego i coś mu szeptem do ucha. Rycerz pokręcił przecząco głową. Hrabia podniósł głos.

–...nie łże, skurwysyn jeden – doszedł do ucha Matcha jego nerwowy, podniecony

głos. –

Może już na nas czekają, zawsze tak robili, wierzcie mi, panie. Trzeba nam szybko kończyć i

zabierać się stąd. Wydajcie rozkazy do szturm, panie, bo jak nie...

Rycerz skrzywił się znów, przerwał hrabiemu niedbałym gestem ręki. Hrabia urwał w pół zdania.

Chwilę trwało ciężkie milczenie. W końcu rycerz wyciągnął miecz z pochwy, odrzucił ją na bok. Machnął ostro mieczem przed sobą, zasyczało powietrze rozcinane klingą. Zalśniło krwawo odbite w polerowanej powierzchni zachodzące słońce.

–Jest jeszcze jedno rozwiązanie, panie rozbójniku – usłyszał Match spokojny głos. Rycerz

wbił miecz przed sobą.

–Wyjdź sam i stań tu, na tej ziemi. Pokonasz mnie, to wolny odjedziesz, ty i twoi towarzysze... Przysięgam na mą cześć i na ten miecz. Położył dłoń na rękojeści z krzyżowym

jelcem.

–Jeśli zaś nie staniesz, to rzeczywiście za uszy cię stamtąd wyciągniemy. Wybieraj...

Match spojrzął z niedowierzaniem, przeniósł wzrok na Nazira. Maur tylko pokręcił głową.

–Posieka cię na kawałki – mruknął. – Widziałeś, jak dobył tego miecza? Widziałeś, co to

za miecz? Widziałeś, jak się złożył? A ty przecież nie masz pojęcia...

–A mamy jakieś inne wyjście? – spytał sucho Match. Nie oczekiwał odpowiedzi. Nie mieli. Wyjrzał przez okienko. Zobaczył Gisbourne'a, jak podbiega do hrabiego.

–Nie może to być! – wrzasnął hrabia. – Nie może być! Jego zasieć bez sądu należy, katu oddać! Tego zbója, tego...

–Może być i będzie – wycedził rycerz, nie zaszczycając hrabiego spojrzeniem. – A jeśli wam się nie podoba, to idźcie, hrabio, po mego, dajcie katu. Wasza wola!

Gisbourne zamilkł. Najwidoczniej był odosobniony w swych poglądach, jak zorientował się po pogardliwych uśmieszkach żołnierzy. Miecz znów z sykiem przeciął powietrze.

–Wybieraj – powtórzył rycerz.

Match wydobył broń, podał pochwę Nazirowi. Ich oczy na chwilę się spotkały.

–Match – zaczął Nazir, doskonale zdając sobie sprawę, że i tak już jest za późno. –
Uważaj

na jego ręce, nie patrz na miecz. Patrz, jak się porusza. Nie będzie łatwo, wystarczy na niego

popatrzeć. Zobaczyć, co trzyma w ręce. Nie taki ciężki drąg, jak wszyscy inni.

Maur skrzywił się pogardliwie.

–Ten miecz wygląda na bardzo lekki, chyba wschodnia robota. Przynajmniej głównia. Nie będzie rąbał na oślepa, jak większość z nich. Wygląda na takiego, co umie nim obracać. Musisz...

–Widzę – westchnął Match. – Dziękuję, Nazir, ale nie ma czasu. Nie mogę pozwolić szlachetnemu panu czekać...

Klepnął Maura w ramię i wyszedł na dziedziniec, mrużąc oślepienie niskim, czerwonym słońcem oczy.

Przesunął się nieco w bok, by nie mieć słońca prosto przed twarzą. Rycerz przyjrzał mu się, oceniając najwidoczniej. Jego wzrok zatrzymał się na obnażonym mieczu, który Match trzymał przed sobą, tak jak i on. Oczy rozszerzyły mu się na chwilę, gdy zobaczył znaki trawione na klindze. Lekko, jakby wbrew sobie skłonił głowę.

–Jestem Bertrand de Folville – powiedział. Zawiesił głos, najwidoczniej przyzwyczajony do wrażenia, jakie robiło jego imię. Match stwierdził, że i jemu nie jest obce. Sława sir Bertranda dotarła nawet do takiej głuszy, jaką była puszcza Sherwood. Nie miał złudzeń, że dotrzyma pola temu wstawionemu na wojnach, turniejach i niezliczonych pojedynkach rycerzowi. Stawianemu w dodatku za wzór wszelkich cnót rycerskich, którym, jak wieść niosła, nigdy nie uchybił. Cóż, przynajmniej śmierć będę miał godną opiewania w balladach, pomyślał Match z rezygnacją.

–Jestem Match – powiedział, by nie okazać się zupełnym prostakiem. Rycerz uprzejmie skłonił głowę. Zmierzył Matcha uważnym spojrzeniem, po czym zdjął z głowy swą kolczą misiurkę, chroniącą głowę i ramiona. Odrzucił ją na bok. Jasne, krótko

przycięte włosy rozsypały się na czole. Zbrojni zaszemrali z podziwem. Match nie miał misiurki, a jedną z

niewzruszonych zasad sir Bertranda było dawanie równych szans przeciwnikowi. Przynajmniej wtedy, gdy wyglądał na w miarę godnego.

–Świadom swych danych mi od Boga i korony przywilejów – przemówił rycerz
dźwięcznym, silnym głosem – uznaję was za godnych stawienia mi czoła, wynosząc
do swego
stanu.

Matchowi było w zasadzie obojętne, czy rycerz zaszlachtuje go jako prostaka, czy też równego sobie, powstrzymał się jednak od wzruszenia ramionami. Skłonił tylko głowę. Kątem oka dostrzegł Gisbourne'a, który słysząc te słowa, poczerwieniał ze złości jak burak.

–Boga i wszystkich tu obecnych biorę za świadków, że jeśli mnie pokona, odjedzie wolny

i nikt wstrętów nie będzie mu czynił, jako też nie będzie winien krwi, która na tę ziemię

zostanie rozlana.

Wyjął zza pasa długie do łokcia, nabijane ćwiekami rękawice. Nałożył je starannie.

–Gotowi jesteście, panie? – zapytał spokojnie. – Na śmierć, nie na niewolę? Match skinął tylko głową. Choćby chciał, nie mógł być bardziej gotowy.

–Tedy zaczynamy!

Klingi skrzyżowane po raz pierwszy zadźwięczały głośno.

Rycerz nie natarł ostro, jego ostrze poruszało się oszczędnymi łukami, wychwytyjąc jednak bez trudu cięcia Matcha, który swą jedyną szansę widział w szybkim ataku, licząc na łut szczęścia. Wiedział, że w tym pojedynku czas gra na jego niekorzyść.

Sir Bertrand cofał się powoli, nie zadawał żadnego cięcia. Jednak każdy atak Matcha zatrzymywany był nieodmiennie, krótkimi, niepochwytnymi ruchami. Match atakował zaciekle, spróbował pchnięć z wypadu, jednak żadne nie odniosło skutku. Miecz zawsze trafiał na klingę przeciwnika. Spostrzegł spokojny wzrok rycerza, jego równy oddech. Sam oddychał ciężko, usiłując przebić się przez osłonę przeciwnika. Na próżno.

Match spróbował zmylić rycerza ruchem ciała, zrobił wykrok w prawo, zamarkował pchnięcie. Próbował przedostać się pod osłoną przeciwnika, ciąć z dołu. Ostrze miecza przecięło tylko powietrze, rycerz znów poprzestał na uniku.

Obserwując sztych miecza, Match zapomniał o radzie Nazira. W ostatniej chwili wyrzucił rozpaczliwie rękę do góry, cudem przyjmując w połowie klingi niespodziewany cios sir Bertranda. Rycerz rozpoczął atak.

Uderzał wyraźnie sygnalizowanymi ciosami, budząc zdziwienia Matcha. Jednak gdy po raz kolejny zadzwoniły klingi, gdy po raz kolejny zatrzymał uderzenie, poczuł, jak drętwieje mu ręka. Zadawane niby mimochodem, lekko, bez rozmachu ciosy miały straszliwą siłę.

Teraz Match zaczął się cofać. De Folville spychał go powoli, wciąż nie siląc się na przełamanie obrony. Uderzenia były łatwe do osłony, choć każde, gdyby nie zostało przechwycone, mogło zakończyć walkę. Match nie mógł już atakować, mógł się tylko osłaniać.

Kolejny cios przechwycił samą nasadą głowni, tuż przy krzyżowym jelcu.

Poczuł, jak siła uderzenia przenosi się przez kości, jak porażona ręka opada bezwładnie, wiedział, że przed następnym ciosem nie zdoła się osłonić, nie zdąży unieść broni. Choć był już zmęczony, nogi jednak miał nadal sprawne. Odwinął się w bok, zszedł z linii, po raz pierwszy zaskakując pana de Folville. Jego pchnięcie, niskie, zadane z półprzysiadu przeszło powietrze. Rycerz poszedł za pchnięciem. Gdyby nie ociężała, porażona potężnym uderzeniem ręka, Match po raz pierwszy miałby szansę zadania niebezpiecznego uderzenia – przez chwilę miał przeciwnika w bardzo niedogodnej dla niego pozycji. Nie zdołał, rycerz bez trudu odbił wolne, spóźnione cięcie. Zwiększył dystans.

Oczy pana de Folville zwężyły się. Po raz pierwszy pomyślał, że nie docenił przeciwnika. Wprawdzie Match wymachiwał mieczem jak pierwszy lepszy żołdak, nie miał pojęcia o zwodach, nie znał żadnych szermierczych sztuczek, ale jego instynktowne uniki były bardzo szybkie. Na szczęście tylko uniki, atakować zupełnie nie umiał. Trzeba kończyć, pomyślał rycerz.

Zamarkował lekki wypad, myląc przeciwnika ruchem tułowia. Jednocześnie ruszył w drugą stronę, minął osłonę Matcha i zadał potężne, płaskie cięcie, wzmocnione skrętem w biodrach. Match jak zwykle patrzył na miecz, nie na nogi Bertranda, co mogłoby go ostrzec. Zawyło rozcinane lekką klingą powietrze. Rycerz zrobił krok, odwracając się jednocześnie z powrotem do przeciwnika. Lecz cięcie, które miało rozplatać brzuch aż do kręgosłupa, przecięło jedynie kaftan, zostawiając na skórze płytką, krwawą kresę. Match jakimś cudem zdążył zgiąć się w uniku tak, że dosięgnął go sam koniec klingi.

Sir Bertrand był zaskoczony. Po takim ciosie przeciwnik, zanim upadł, przyglądał się zwykle zdumionym wzrokiem swym przelewającym się przez palce wnętrzościom. Po czym, jeśli cięcie było porządne, załamywał się w sobie, składał w pół i padał. Ten zaś, rozwścieczony widąc bólem, skoczył do ataku.

Zaatakował wprawdzie zupełnie bez pojęcia, machając mieczem jak cepem, ale zaskoczony rycerz z najwyższym trudem przyjął pierwsze zadane z rozmachem, od ucha ciosy. Teraz on poczuł odrętwienie w dłoni trzymającej wibrujący pod uderzeniami oręż. Nie mógł kontratakować, nie mógł polegać na precyzji zdrętwiałej ręki. Szybkim zwodem zmylił Matcha, odskoczył, wybił go z rytmu ataku. Furia zadawanych niemal na oślep ciosów opadła, pan de Folville znów mógł powrócić do stosowanej na początku oszczędnej obrony.

Spostrzegł, że Match, nie wiadomo, rozwścieczony zranieniem czy też upojony chwilowym powodzeniem, stał się mniej ostrożny. W widoczny sposób szukał okazji, by przedrzeć się przez obronę. Rycerz nie zatrzymywał już uderzeń, pomny na ich siłę, lecz zręcznie powodował, że ześlizgiwały się wzdłuż ostrza. Wytrącało to przeciwnika z równowagi, zadawał ciosy coraz potężniej, nie bacząc na własną obronę, odsłaniając się coraz bardziej.

W najmniej spodziewanym momencie rycerz uderzył lekko w sam środek klingi trzymanego w zbyt wygiętej w nadgarstku ręce miecza. Zaraz po tym, jak stał zderzyła się ze

zgrzytem, wykonał nieznaczny z pozoru ruch. Palce Matcha rozgięły się jakby mimo woli, miecz z furkotem wyleciał w powietrze. Wbił się w trawę, chwiejąc się lekko. Match zatrzymał się w ostatniej chwili, ze sztychem pod brodą. Nad błyszczącą klingą widział wpatrzone w siebie zimne oczy. Z rezygnacją czekał na pchnięcie.

–Podnieś! – usłyszał zamiast tego. Nie zrozumiał.

–Podnieś! – powtórzył rycerz z naciskiem. – Jeszcze nie koniec!

Opuścił miecz. Match szarpnął rękojeść, wyrwał wbitą głęboko broń. Ciężko dysząc uniósł ją, skoczył do przodu.

Do tej pory wszystko odbywało się w ciszy, przerywanej jedynie szczękami broni i oddechami przeciwników. Teraz otaczający kręgiem walczących zbrojni zaczęli wydawać radosne okrzyki. Zнали swego pana, wiedzieli, że walka już długo nie potrwa.

Rzeczywiście, Match wciąż atakował, ale już jakby bez przekonania, jakby ostatecznie zwątpił w swe powodzenie. Pan de Folville nie miał już żadnych trudności w ich parowaniu. Jego pierwszy wypad, wysoki, mierzący w szyję przeciwnika, Match odbił z najwyższą trudnością, właściwie przypadkiem. Kontratakował wprawdzie, lecz

rycerz z łatwością zatrzymał sygnalizowany cios, przyjął tuż przy gardzie. Przez chwilę napierali na siebie, wyszczerzając zęby i dysząc prosto w twarze. Match był ciężki i silny, lecz sir Bertrand bez trudu odrzucił go w tył, podbijając jednocześnie rękę trzymającą broń do góry. Match o mało nie potknął się, z trudem utrzymał równowagę, z wyrzuconymi wysoko w górę rękoma. W tym samym momencie rycerz skurczył się i runął do przodu.

Zamierzał ciąć tak samo jak przedtem, nisko, w brzuch, samym środkiem klingi. Tak, by pociągnąć oburącz w chwili, gdy będzie mijał przeciwnika, rozcinając go na dwoje.

Pierwszy krok na lewą nogę, mocne stąpięcie, ręka wychyla się do tyłu, nabierając rozmachu. Przeciwnik szarpie wzniesioną ku górze rękę, usiłuje ściągnąć ciężkie, bezwładne ostrze w dół, osłonić się. Nie zdąży...

Za chwilę prawa stopa mocno wesprze się w ziemię. But trafia na ukryty w trawie kamień, ślizga się przez chwilę, zanim znajdzie pewne oparcie. Rozpęd pcha do przodu, cięcie spóźnia się o mgnienie oka...

To mgnienie oka pozwoliło Matchowi na opuszczenie miecza na tyle, że zdołał pochwycić straszliwe cięcie, nie zatrzymać, lecz tylko nieco zmienić jego kierunek. Ostrze, które miało rozciąć go na pół poszło za wysoko, znacząc jedynie kolejną krwawą szramę, tym razem przez pierś.

Rozpęd przeniósł rycerza obok niego. Klinga nie napotkała na opór, który pozwoliłby na obrót, zwrot do przeciwnika. Jej bezwładność szarpnęła w drugą stronę, wybiła z rytmu.

Rycerz padł płasko na twarz, starając się uniknąć w ten sposób nieuchronnego ciosu z tyłu.

Przecenił przeciwnika. Match nie zdołał zadać uderzenia, które nieodwołalnie zakończyłoby pojedynek, miał zbyt mało doświadczenia. Przegapił najlepszy moment. Zamiast tego skoczył na przeciwnika, gdy ten już odwracał się na plecy, by powrócić się do walki.

Tym razem Match zdążył. Gdy sir de Folville spręzał się, by zerwać się na nogi, Match już przystawił sztych do jego gardła. Rycerz zamarł na chwilę, po czym opadł z powrotem na trawę z rozrzuconymi ramionami. Otworzył zaciśnięte na rękojęści palce.

Cisza, zmacona jedynie ciężkimi oddechami.

Sir Bertrand przymknął na chwilę oczy. Ostrze przy gardle drżało lekko.

Pan de Folville otworzył oczy, spojrzął wzdłuż klingi, na dłoń trzymającą miecz, zakrwawiony kubrak, twarz, z której nie wyczytał triumfu. Wzrok utkwiony prosto w jego oczy, wzrok, którego wyrazu nie mógł odgadnąć.

Rycerz uśmiechnął się. Nie był to ładny uśmiech.

–Dobij! – powiedział ze spokojem.

Match chwilę stał bez ruchu, patrząc w oczy pokonanego. Wszyscy w koło zamarli w oczekiwaniu tego, co za chwilę się stanie. Wstrzymali oddech.

Sztych miecza odsunął się od gardła rycerza. Match ujął broń oburącz, z rozmachem wbił w ziemię. Odstąpił do tyłu.

–Brać go! – rozdarł się Gisbourne – Brać skurwysyna, zanim...

–Stać! – huknął sir Bertrand, wypluwając żwir. – Stać! Niepotrzebnie. Żaden ze zbrojnych nawet się nie poruszył. Hrabiemu głos uwiązał w gardle. Zamarł bez ruchu.

Match zbliżył się do leżącego, wyciągnął rękę. Pan de Folville bez wahania przyjął podaną dłoń, ze stęknieniem uniósł się z ziemi.

–Zaiste, szlachetny to i cnót niespotykanych w tych plugawych czasach dowodzący uczynek – powiedział głośno. – Ja też, jako ten szlachetny pan, czci swej nie uchybię, lecz

udam się z nim, dokąd zażąda, póki okupu sprawiedliwego nie dostanie. Lub też stawię się,

gdziekolwiek i kiedykolwiek zechce, wedle woli...

Match pokręcił ze znużeniem głową.

–Nie jesteście nic winni, panie – powiedział cicho.

–Jakże to? – spytał zimno rycerz. – Pokonałeś mnie, niewielu może to o sobie powiedzieć. Oszczędziłeś, mimo że na śmierć mieliśmy iść, nie na niewolę. Nie wiem, możeś śluby jakoweś poczynił, nie moja to rzecz dociekać... Ja bym cię nie oszczędził, sam wiesz... Tak więc według praw rycerskich dług swój muszę spłacić...

–Już spłaciliście swój dług – Match przerwał. – Zaraz na początku, rozumiecie przecież. Kto jak kto, panie, ale wy na pewno rozumiecie...

Bertrand de Folville zadumał się. Znów źle go oceniłem, pomyślał. Popatrzył Matchowi prosto w oczy.

–Rozumiem – odrzekł po chwili. – Rozumiem i decyzję twą uszanuję, choć ciężkie brzemie na me barki wkładasz, panie. Cóż, może kiedyś jeszcze się spotkamy...

–Może – odparł Match obojętnie. Rycerz odwrócił się do zbrojnych.

–Przyprowadzić konie szlachetnego pana – krzyknął. – Żywo. I nikt wstrętów czynić nie śmie! – dodał, patrząc znacząco na hrabiego.

Ten stał blady, zaciskając pięści. To co za chwilę zrobił, nie było najrozsądniejsze.

–Jak to, p... puszczasz go? – wykrzyknął, aż jękając się ze złości. – T... tego bandytę? Tego

skurwysyna? Na szafocie jego miejsce, w lochu, na szubienicy! Jak się szeryf dowie, że

mieliśmy go w ręku...

Pan de Folville podszedł niespiesznie, chwycił hrabiego za kołnierz.

–Ot, co mi twój szeryf! – zgrzytnął zębami. – Ot, twoje lochy!

Pchnął hrabiego z całej siły. Ten zatoczył się, z trudem ustał na nogach. Ręce trzymał daleko od boków, starając się, by były jak najlepiej widoczne. Nie był na tyle nierozsądny, by choć zbliżyć dłoń do rękojeści miecza. Sir Bertrand nie miał broni, lecz za sobą Gisbourne usłyszał chrzęst dobywanych kling. Zresztą, wyciąganie miecza na Folville'a, nawet bezbronnego, nie było rozsądne.

–Jak wiesz, dałem słowo, iż jeśli mnie pokona, wolny odjedzie, on i jego towarzysze –

kontynuował rycerz cichym, spokojnym, lecz strasznym przez to głosem. – Rycerskie słowo to

jak ślub. Nie ubliżajcie przeto, panie hrabio, nie strzępcie ozora nadaremnie. Bo wiezcie, że

kurwim synem go zowiąc, nie tylko jego cześć plugawicie.

Gisbourne był już blady jak mąka.

–Gościem na waszych ziemiach jestem, panie hrabio – dodał pan de Folville poważnie. –

Przeto niewdzięcznym się nie okażę i flaków wam od razu nie wypuszczę... Baczcie jednak,

panie hrabio, bym ślubu jakowego nie poczynił, was mając na myśli...

Odwrócił się i odszedł. Zbrojni odsuwali się od hrabiego, jak od zapowietrzonego. Jak od kogoś, kto zapadł właśnie na straszliwą i nieuleczalną chorobę, prowadzącą do rychłego zgonu. W rzeczy samej tak było, ci, przeciwko którym Bertrand de Folville poczynił śluby, nie żyli zbyt długo.

A to się wpier... pomyślał Gisbourne żałośnie. Jak jeszcze szeryf się dowie, żeśmy go wypuścili... To kto będzie winien, ja, oczywiście. Nie ten, rycerz bez skazy. Jeszcze mi tylko brakuje, żeby mnie wyzwiał...

Pocieszał się trochę, że sir Bertrand nie poczynił jeszcze definitywnych ślubów, poprzestając na pogrózkach.

Zmierzchało już. Z ruin obórki wyszedł Nazir wzbudzając swą postacią ogólny podziw zbrojnych. Zwłaszcza sterczące nad ramionami rękojeści krzywych mieczy budziły zainteresowanie. Match podszedł do niego.

–Więcej szczęścia niż... – skwitował Maur, kręcąc głową. – Gdyby się nie potknął...

–Nie musisz mówić, wiem o tym – odparł Match. – On zresztą też... – wskazał głową w kierunku rycerza.

–Sam de Folville – Nazir wciąż kręcił głową. – Bawił się z początku, zlekceważył cię. Do diabła, szybki jesteś, myślałem, że dostanie cię tym pierwszym ciosem. Sam bym nie zdążył uskoczyć. Szybki jesteś, nigdy nie widziałem...

Zmierzył Matcha wzrokiem z zastanowieniem. Match nie zwrócił na to uwagi. W spojrzeniu Maura było coś dziwnego.

Zbrojni przyprowadzili konie. Wyniesiono rannego, dotrwał tylko jeden, ranny w nogę. Usadzono go na kulbace, licząc, że da radę jechać. Chłopak zaciskał zęby, spod prowizorycznego opatrunku wciąż sączyła się krew. Ciało drugiego przewieszono przez kulbakę.

Match był śmiertelnie znużony. Rozejrzał się dokoła. Wszystko gotowe było do odjazdu. Zbrojni pana de Folville przypatrywali się, w ich spojrzeniach było uznanie. I można było doszukać się jakby sympatii.

Czego nie można było powiedzieć, widząc wzrok Gisbourne'a. Gdy Match przejeżdżał obok niego, wysyczał z wściekłością:

–Jeszcze się spotkamy...

Match wstrzymał konia. Zaczynał mieć tego dosyć.

–Kiedy tylko zechcesz... – wycedził, spoglądając z góry na hrabiego. – Nawet zaraz... Gisbourne szarpnął się.

–Teraz to jesteś odważny, ty... ty...

–Szlachetny panie – poddał Match, uśmiechając się złośliwie. Spoglądał ponad ramieniem hrabiego. Ten obejrzał się, dostrzegł sir Bertranda stojącego za nim. De Folville skinął poważnie głową.

–Szlachetny panie... – wykrztusił hrabia z trudem.

–Bertrand de Folville – zadumał się Jason. – Tak, ten stary zabijaka. Przecież on ma teraz grubo ponad pięćdziesiątkę...

Match pokiwał głową. Policzył szybko, zgadza się, spotkali się przed dwudziestu laty.

–Widziałem go, zaraz, ze dwa lata temu – Jason zmarszczył czoło z zastanowieniem.
–

Tak, to już będzie ze dwa lata, na turnieju, na zamku pana... Cholera, nie pamiętam już, jak się

ten stary opój nazywał... Jakiś diuk, w każdym razie. Nieważne. Ale gdy zobaczyłem Folville'a, powiem ci, żaden człowiek nie potrafi tak mieczem obracać...

Match nie zaprzeczył. Dochodziły go później wieści o dalszych dokonaniach sir Bertranda. Wszystkie imponujące.

–Turniej to zresztą nie było nic wielkiego. Położył paru, nawet nie bardzo kalecząc. Kręć

wolniej!

Match posłusznie zwolnił obroty skrzypiącej korby, napędzającej koło szlifiarskie. Piaskowiec był w dobrym gatunku, drobny. Nie zostawiał głębokich rys. Jason nie miał pumeksu, używanego do ostatecznego wygładzania metalu, ale stwierdził, że rezultat po szlifowaniu jest zupełnie zadowalający. W końcu nie robił paradnego miecza. Ze skupieniem dociskał zahartowane już ostrze do kamienia, mrużąc oczy przed strumieniem tryskających

iskier. Starał się nie dociskać zbyt mocno, by nie rozgrzać zbyt szlifowanego ostrza, nie przypalić go, jak mawiali płatnerze. Przypalenie powodowało zmiękniecie już utwardzonego przez hartowanie metalu. Jason zapobiegał temu przez częste

zanurzanie ostrzonego nożyka w wodzie. Rozgrzane ostrze posykiwało cicho, po wyjęciu z wody unosiła się znad niego smużka pary.

Nie musiał ostrzyć krawędzi, wystarczył ostry jak igła czubek. Wreszcie odłożył ostrze na bok.

–No, jeszcze tylko cztery, Match. Możesz już przestać kręcić, odpoczniemy trochę, nie

pali się.

Usiedli na ławie pod ścianą kuchni.

–Jak mówiłem, turniej to jeszcze nic – podjął Jason po chwili milczenia. – Po turnieju

wyzwał dwóch takich, rycerzy, psia ich... Nie, nikt mu osobiście nie podskoczył, zbyt się

wszyscy bali. Obrazili jakąś damę innego rycerza, mieli pecha, że de Folville usłyszał. Zawsze

był czuły na takie chamstwo. Powiem ci, zanim rycerz, ten od obrażonej damy zareagował, nie

spieszył się zresztą, tamci dwaj to byli znani zabijacy... Co tu dużo gadać, sir Bertrand

wychlastał ich po pyskach rękawicą, a jak wiesz, nosi ciężkie, nabijane...

Jason pociągnął wody z dzbana, podał Matchowi. Ten odmówił, nie chciało mu się pić. Jason odstawił dzban, kontynuował:

–Gdy tylko otarli się z krwi, spytali, jak zamierza się z nimi potykać, po kolei czy jak.

Wściekli się, wściekłość wzięła górę nad strachem, jaki budził. Folville odpowiedział, że jak

chcą, po kolei czy razem, jak wolą... Jemu za jedno...

Urwał na chwilę, jakby starał się jak najlepiej przypomnieć sobie szczegóły. Przymknął oczy, widząc całą scenę w pamięci.

–Skoczyli zaraz, z obu stron. On tylko w kubraku, z gołą głową, tak, jak z ucztę wyszedł.

Oni w kolczugach. Gównu im to pomogło... Jednego dostał zaraz w pierwszym złożeniu... Co

ja mówię, nawet bez złożenia, nawet nie skrzyżowali ostrzy... Blisko stałem, widziałem

dokładnie. Wyminął jakoś jego sztych, bo ten z wypadu chciał pchnąć, od razu... Chlasnął go

tak od dołu, oburącz, mówię ci, od samych jaj do gardła go rozciął. Razem z kolczugą i

żebrami, a tak silnie, że rzuciło drabem aż o mur. Jak tak leciał, to gubił po drodze różne rzeczy,

wypadały z niego...

Skrzywił się mimowolnie, gdy stanął mu przed oczyma ten widok. Niezbyt to musiało być przyjemne, pomyślał Match, widząc jego minę.

–Drugi chciał go trafić z tyłu. Folville się tylko odwinął, tak, że tamten trafił w próżnię.

Myślę, że odeszła mu ochota do walki, ale de Folville nie pozwolił mu nawet się cofnąć. Tylko

kilka ciosów odbił, za którymś razem sir Bertrand wytrącił mu miecz... I wiesz co? Nie

pozwoił mu podnieść, jak tobie. Od razu pchnął, tak, że sztych plecami wyszedł. Potem

wyciągnął, odwrócił się i odszedł. Nie poczekał nawet, aż tamten upadnie... Tak Match,

skrzyżować miecz z Folvillem, nie na turnieju, a w pojedynku... I móc później o tym opowiadać... Niewielu jest takich...

–Przypadek, jak wiesz – Match mówił całkiem obojętnie. – Potknął się, miałem po prostu

szczęście.

Jason nie był przekonany. W większości swych pojedynków Bertrand de Folville nie miał zbyt wiele czasu, by się potknąć. Zabijał przeciwnika zwykle szybciej. Zgoda, potknął się, ale wcześniej... Nic jednak nie powiedział. Widział, że Match nie ma

specjalnej ochoty do dalszej rozmowy na ten temat.

Klepnął go po ramieniu.

–No, to do roboty – powiedział. – Jak już oszlifujemy, to tylko trzeba będzie zalać te szczeliny. Nie ma ołowiu, ale widziałem w kuchni pęknięta cynową misę. Trzeba zwędzić,

może nie zauważą. Cyna jest wprawdzie lżejsza, ale zrobiłem większe otwory...

Jason zważył ostrze w ręce. Może być, cyna, wprawdzie lżejsza od ołowiu, spełniła swoje zadanie. Nożyk wyraźnie ciążył ku ostrzu. Jason przymknął oczy, starając się ocenić ciężar.

Nie potrafił wyczuć różnicy pomiędzy ostrzami, którymi używał całe życie, a tym nowym, jeszcze nie pociemniałym, błyszczącym świeżo obrobioną powierzchnią. Z zadowoleniem stwierdzi, że wyszło dobrze, waga była bardzo istotna. Ostatecznie przyzwyczał się do niej przez wiele lat.

Prawidłowo ocenił jak widać różnicę ciężaru ołowiu i cyny. Większa szczelina, jaką pozostawił dla obciążenia była dobrana w sam raz. Pora zaczynać.

Odwrócił się gwałtownie, machnął z rozmachem ręką. Ostrze ze świstem przecięło powietrze. Głuchy stuk, jaki rozległ się w momencie, gdy do prawie jednej trzeciej długości wbiło się w sosnowy pień, zabrzmiał dla Jasona jak najpiękniejsza muzyka.

Ten dźwięk towarzyszył mu przez większość życia. Kiedy tylko mógł poświęcał godzinę dziennie na trening w rzucaniu ostrzami. Lubił to, dawało odprężenie, prawdę mówiąc, było jedynym rodzajem aktywności fizycznej, jaki stale praktykował. Choć czasem wymagało wiele zachodu znalezienie odosobnionego miejsca – niechętny był, by ktoś przyglądał się ćwiczeniom, po co budzić sensację i prowokować pytania – starał się nie zaniedbywać ćwiczeń. Kilka razy biegłość w posługiwaniu się swą tajną bronią uratowała mu życie.

Teraz na dźwięk wcinającego się w drewno ostrza poczuł prawdziwą radość. Coś wreszcie znowu jest tak jak dawniej.

Gdy podszedł do ustawionego na stercie porąbanych szczap pieńka radość nieco przygasła. Ostrze utkwilo o dobry cal na prawo od środka. Pokręcił z niezadowoleniem głową, mruknął coś pod nosem. Coś takiego kiedyś się nie zdarzało, z ośmiu kroków... Z ośmiu kroków powinien trafić w środek, sam środek. Zaniedbałeś się, Jason, ile to, już ponad cztery miesiące, pomyślał. Teraz trzeba nadrobić, poświęcić więcej czasu.

Ta myśl była wcale przyjemna. Z chęcią zajmie się ćwiczeniami, nawet po kilka godzin dziennie.

Pocieszyło go nieco, że pomimo iż celność nie okazała się najlepsza, siła rzutu była taka, jak dawniej. Ostrze wbiło się prawie na cal. Gdyby nie był to twardy, sosnowy pień, a ludzka czaszka, spomiędzy oczu wystawałby jedynie walcowaty trzonek.

Z oka, niezdaro, nie spomiędzy oczu, skorygował Jason. Między oczy to nie trafiłeś.

Dobrze, skoro tak, to nie ma co filozofować, trzeba zabierać się do roboty. Jason poszedł do drewni, wyszukał jeszcze cztery pieńki. Ustawiał je kolejno na stercie narąbanych szczap. Sterta była trochę za niska, ale trudno. Zawsze można wyobrazić sobie, że przeciwnicy właśnie siedzą...

Pieńki stały blisko, zbyt blisko – sterta nie była zbyt duża. Teraz, wiosną, nie było już dużego zapasu drewna do palenisk. Kiedyś Jason, gdy tylko były po temu warunki, ustawiał sobie znacznie trudniejsze cele, w różnych odległościach i kierunkach. Ostatecznie zawsze może trafić się kilku drabów, którzy zaatakują ze wszystkich stron. Bardzo lubił taką zabawę. Oczywiście, było to możliwe tylko wtedy, gdy znalazł odosobnione miejsce, co nie zdarzało się zbyt często. Na co dzień był szczęśliwy, gdy mógł porzucać we wrota od stodoły lub drzewo w zagajniku.

Teraz jednak sam przyznawał, że takie zadanie mogłoby okazać się za trudne.

Zastanawiał się, czy trafi we wszystkie, nawet blisko stojące pieńki, i co ważniejsze, w jakim czasie wyrzuci wszystkie ostrza.

Nie miał swojej, mocowanej na karku, skórzanej pochwy. Zastanawiał się właśnie, jak i z czego wykonać podobną. Rezultaty dotychczasowych poszukiwań dowiodły, że skóra w klasztorze jest surowcem praktycznie niedostępnym. Zresztą, nawet gdyby znalazł odpowiednią skórę, nie miał nawet złudzeń, że uda się samemu wykonać coś, co wyglądało na robotę dla wprawnego rymarza. Trzeba poczekać, aż wyrwie się wreszcie stąd i trafi do jakiegoś miasta. A na razie trzeba sobie radzić bez pochwy.

Dociągnął klamrę szerokiego pasa, który dostał od Matcha razem z resztą stroju. Pozatykał ostrza za pasem na brzuchu. Nie musiał się obawiać, że się pokaleczy, nie miały zaostrzonych krawędzi. Trzeba tylko pamiętać, żeby nie przykucnąć, uśmiechnąć się do siebie.

Stał w rozkroku, balansując na ugiętych kolanach. Spróbował wyrwać ostrze zza pasa...

Do niczego.

Gdy wyciągał ostrze spod kołnierza, ręka gotowa było do rzutu. Wystarczał silny wymach. Teraz musiał najpierw podnieść rękę, odchylić dla zamachu... Dużo czasu, w sam raz, by poczuć sztylet w brzuchu. To na nic.

Wyjął ostrza z pasa, przysiadł na pniu służącym do rąbania drzewa. Coś trzeba wymyślić, tak to bez sensu. Spojrzał na ostrza trzymane w dłoni. Z trudem, lecz wszystkie pięć mieściło się w garści. Wstał, przytrzymał cały pęk przy karku, sięgnął drugą ręką. Może się uda.

Wyrzucenie pięciu pocisków zajęło więcej czasu niż kiedyś. Przeszkadzała uniesiona lewa ręka, nie mógł właściwie balansować ciałem. Jednak wszystkie pieńki zostały trafione, choć niezbyt czysto.

Jason jednak zrezygnował z dalszych prób. Pozycja była trudna i nienaturalna, obawiał się nabrać złych nawyków. Trudno, trzeba poćwiczyć pojedyncze rzuty, potrenować celność. Na resztę przyjdzie jeszcze czas.

Postępując, przytargał ciężki, wypatrzony przed drewnią pieńki. Postawił go na sztorc, powbił ostrza – nie miał ochoty trzymać ich za pasem.

Uniósł jedno ostrze, rękę chowając za karkiem. Chwilę stał, po czym nagle zamachnął się. Ostrze trafiło w sam środek pieńka. Dobrze, pomyślał, teraz tylko tak dalej.

Gdy szykował się do następnego rzutu, spod sterty szczap wybiegł dorodny szczur, wypłoszony widząc odgłosem trafienia. Jason brał już zamach. Nie myśląc nawet, w ostatniej chwili zmienił cel. Nie lubił szczurów.

Nawet w swej najlepszej formie Jason musiałby uznać rzut za znakomity. Szczur biegł dosyć szybko, oddalony był już o dobre dziesięć kroków. Nic to nie pomogło. Pocisk przybił go do ziemi, niemalże odcinając głowę.

Teraz trzeba będzie wycierać, przebiegła Jasonowi przez myśl, mimo zadowolenia, spóźniona refleksja. Nie tylko nie lubił szczurów, brzydził się również.

Drgnął, gdy usłyszał śmiech gdzieś z tyłu, za sobą. Pochłonięty ćwiczeniami nie spostrzegł, że ma towarzystwo. Odwrócił się.

–No, no, wspaniale – Match z aprobatą kiwał głową. – Taki mały cel... Więc do tego służą

te nożyki... Zastanawiałem się...

Match urwał. Właśnie, zastanawiałeś się, pomyślał Match, zastanawiałeś się, zamiast po prostu spytać. W tym był cały problem z Matchem, nigdy nie pytał

wprost, jeżeli czegoś nie wiedział, pomijał to milczeniem. Czekał, aż ktoś sam powie lub wszystko się wyjaśni.

–To i tak na nic – zaczął Jason gwoli podtrzymania rozmowy. Wyjaśnił trudności, jakie sprawiał brak pochwy. Match słuchał, kiwając głową.

–No, tutaj nic nie wymyślisz – powiedział po chwili. – Trzeba by do miasta...

Tyle Jason wiedział sam. Podeszedł do przybitego do ziemi szczura. Zaciskając zęby, przycisnął ścierwo butem i wyciągnął ostrze. Rozejrzył się, czym tu wytrzeć. Po chwili znalazł trochę słomy na podłodze drewnutni.

Match próbował wyciągnąć nożyk wbity w pień. Szło ciężko, dopiero gdy z całej siły poruszał ostrzem na boki poluzowało się na tyle, że wyszło z drewna. Match był zdziwiony głębokością, na jaką się wbiło.

–Musisz mocno rzucać – zauważył.

–To raczej kwestia wagi – sprostował Jason. – Najważniejsze jest, by nauczyć się rzucać tak, by trafiało ostrzem. Wszystko inne samo przychodzi z czasem...

Match z niedowierzaniem pokręcił głową.

–Po jakichś pięciu latach – dokończył Jason ze śmiechem. – Chcesz spróbować?

Oczekiwał, że Match zacznie się wymawiać. Zdziwił się zatem, gdy ten bez słowa wyciągnął rękę.

–Zaraz, zaraz – powiedział Jason zaskoczony. – Najpierw zasady. Rzucałeś kiedyś czymś takim?

–Nożem, owszem. Czymś takim nie.

–To słuchaj. Trzymasz zawsze za trzonek, nieważnie, czy rzucasz na pięć, czy dziesięć kroków. Dalej niż dziesięć wprawdzie można trafić, ale to się już rzadko udaje. Pamiętaj, za trzonek, nie za ostrze, jak nóż. To sprawa wyważenia. Ostrze musi zrobić dokładnie pół obrotu, zanim trafi w cel. Nie mniej, nie więcej. Właściwy obrót nadajesz ruchem nadgarstka.

Match słuchał uważnie lub przynajmniej sprawiał takie wrażenie. O nic nie pytał, jak zwykle. Jason zezłościł się. Denerwowała go beznamietna maska, jaką Match często przybierał. Jeszcze bardziej, niż gadanina, w jaką wpadał od czasu do czasu, o rybkach i innych duperekach...

–Nie myśl, że od razu ci się uda. Musisz zgrać ruch nadgarstka z siłą wymachu. To

zależy

od odległości, na jaką rzucasz, i jest najtrudniejsze do opanowania. Zajmuje najwięcej czasu.

Nie zwracaj sobie głowy celowaniem, i tak nie trafisz w to, co chcesz. Może za parę miesięcy,

jeżeli będziesz pilnie ćwiczył... Kwestia wyczucia.

Jason uśmiechnął się złośliwie. Czasami Match działał mu na nerwy. Przyszedł czas na rewanż.

–Rzucaj tam, w ścianę drewni. Pięć kroków na początek będzie w sam raz. Match podrzucił ostrze w dłoń.

–Dlaczego nie w pień? – zapytał, nie zmieniając wyrazy twarzy.

–Dlatego, że nie mam zamiaru szukać potem nożyka gdzieś w trawie – wypalił Jason już ze złością. – Ciężki jest, daleko polecą, a te chwasty, choć zeszłoroczne, to są wysokie. Za dużo pracy mnie to kosztowało, żebyś teraz miał zgubić za pierwszym rzutem...

Match tylko wzruszył ramionami, ale posłusznie stanął naprzeciw zbitej z krzywych desek ściany. Zamachnął się silnie.

Huknęło głośno. Ostrze uderzyło płasko o deski. Jason starał się ukryć uśmiech.

–Za silnie, za mały obrót – powiedział. – Jeszcze raz.

Za drugim razem ostrze uderzyło trzonkiem. Huk był taki sam, Match rzucał mocno, bardzo mocno.

–Teraz za silna rotacja – skomentował. – Sam widzisz, że to nie takie proste. Match podniósł ostrze, odszedł od ściany. Jeszcze raz zamachnął się. Nie pociemniały jeszcze nożyk

błysnął w locie.

Utkwił w poczerniałych deskach, wbity prawie do połowy. Miękkie te deski, spróchniałe, przeleciało Jasonowi przez głowę, zanim jeszcze dotarło do niego, co właśnie zobaczył.

–Przypadek – powiedział, siląc się na spokój. – Mnie też na początku od czasu do czasu się

udawało.

Match podszedł do ustawionego na sztorc pieńka, na którym leżały pozostałe ostrza. Podniósł jedno.

–Założę się, że nie uda ci się drugi raz. Nikt nie ma na początku takiego szczęścia...
Match,

co ty robisz, daj spokój...

Silny wymach ręki, świst pocisku. Ostrze ze stukotem wcięło się w pieńek, który odrzucony siłą uderzenia stoczył się ze sterty narąbanych szczap.

Jasona zatkąło. Przez dłuższą chwilę nie mógł wydobyć głosu. Spoglądał to na Matcha, który stał z twarzą bez wyrazu, to na leżący na ziemi pieńek ze sterczącym jak na urągowisko ostrzem.

–To przypadek? – spytał w końcu cicho. – Powiedz Match, to przypadek? W głosie słyhać było błagalne nuty. Match z wolna pokręcił głową.

–Nie, to nie przypadek – uśmiechnął się, lecz oczy pozostały poważne. – Jak to sam powiedziałeś, kwestia wyczucia...

–Match, nie pieprz mi tu, po dwóch rzutach? – oburzył się Jason. – Kurwa, ja na to potrzebowałem wiele dni, co ja mówię, tygodni, miesięcy...

Wyglądał na zdruzgotanego. Po raz pierwszy miał nadzieję czymś zaimponować, a tu masz...

–Powiedz, już to kiedyś robiłeś? – spytał w końcu podejrzliwie. Match zaprzeczył.

–Nie, nie robiłem. Z tym wyczuciem to nie żartowałem, przepraszam, jeśli tak to zrozumiałeś. Ja się szybko uczę takich rzeczy, wystarczyło.

Jason nie był przekonany. Co zresztą było po nim widać. Nieprzekonany i obrażony.

–Z tym trafieniem w pieńek, to rzeczywiście przypadek – zaczął Match pojednawczo. –

Chodzi o to, że wystarczyło mi, żeby złapać, o co ogólnie w tym chodzi, jak rzucać, żeby trafiać

ostrzem. Żeby rzucać tak jak ty, musiałbym sporo ćwiczyć. Sam nie wiem, co mi do głowy

strzeliło z tym pieńkiem, no, ale udało się...

Akurat, pomyślał Jason, strzeliło do głowy. Chciałeś się popisać, to wszystko. Zauważył już, że z Matcha wyłaził czasami mały chłopak, który musiał być we wszystkim najlepszy. Pewnie w młodości zakładał się, kto dalej nasika. Stąd te twoje problemy, zauważył Jason już serio. Zawsze musiałeś być ten pierwszy.

Match również spochmurniał. Przysiadł na stercie drewna.

–W końcu muszę ci o tym powiedzieć, to istotne – zaczął po chwili. – Należy do całej

sprawy, że się tak wyrażę. Może już się domyślasz, może to widziałeś... Nie, gdybyś widział, to

nie zareagowałbyś w ten sposób...

Nazir, idąc przez obozowisko, spostrzegł wysokiego mężczyznę kryjącego twarz w obszernym kapturze szarego płaszcza. Mężczyzna zdawał się drzemać, siedząc na skraju polany ze skrzyżowanymi nogami. Na kolanach trzymał jałowcową laskę.

Maur przyspieszył kroku. Jako prawowierny muzułmanin unikał spotkań z druidem, który ostatnio często odwiedzał leśny obóz. Gdzieś w głębi duszy Nazir pogardzał tą religią, odzywały się głęboko wpojone kiedyś nawyki i przekonania. Wiedział wprawdzie, że raj i tak jest niedostępny dla wszystkich niewiernych, ale chrześcijanie wierzyli przynajmniej w jedyne Boga. Nie tak jak ten, oddający pokłony całej plejadzie fałszywych bóstw.

Ten był gorszy. Nazir widział, co potrafi ten niepozorny człowiek. Skoro ich bóstwa były fałszywe, a zatem nie mogły mieć prawdziwej siły, niewątpliwie druidzi byli więc na usługach szejtana. Może nawet to ghola – trup przywrócony do życia mocą demonów. Tacy przecież istnieją, jeden z jego braci asasynów zginął w walce z takim właśnie szatańskim tworem.

Tak, z tego nie będzie nic dobrego. Gdyby to od niego zależało, Nazir pchnąłby druida mieczem przy pierwszej okazji, zdając się na Allacha. Niestety, wpojone posłuszeństwo nie pozwalało nawet myśleć o tym.

Druid bowiem cieszył się wielkim uznaniem Matcha i pozostałych. Nazir nie zastanawiał się specjalnie, dlaczego. Wystarczyło mu, że tak jest, podporządkował się bez większych oporów. Starał się tylko unikać druida, czego nikt nie mógł mu zabronić.

Tymczasem sprawa była prosta. Dla banitów, pochodzących z puszczańskich wiosek, potomków Celtów, Brytów, Piktów dawna wiara była wciąż żywa. Powłoka

chrześcijaństwa, mimo kilku wieków, które upłynęły od chrztu, była bardzo cienka. Wciąż kultywowano dawne, pogańskie obrzędy i zwyczaje. Chrześcijaństwo wciąż było religią panów, normańskich najeźdźców. Im dalej od miast, im bardziej niedostępne rejony, tym żywotniejsze były dawne wierzenia.

Teraz, podczas rebelii z wierzeń tych uczyniono symbol. W puszczańskich wioskach, dokąd nie docierali teraz wysłannicy chrześcijaństwa, dawna wiara rozkwitała jak nigdy od kilku wieków.

Ze zdaniem druida Match liczył się bardzo. Nazir musiał się z tym pogodzić.

Spod kaptura błysnęło uważne spojrzenie. Maur odwrócił głowę. Niechęć najwidoczniej była obopólna.

Nazir minął siedzącego mężczyznę. Znalazł Matcha w szalasię.

–Jeżeli chcesz, to zaczynajmy – powiedział bez żadnych wstępów.

Chodziło o naukę. Maur był jedynym wśród banitów człowiekiem mogącym uchodzić za mistrza w posługiwaniu się mieczem. A raczej mieczami, nosił bowiem dwa krzywe, arabskie miecze w pochwach skrzyżowanych na plecach. Z pozostałych jedynie Will Scarlett, posiadał, jako były żołnierz, pewne umiejętności, nawet dość wysokie, jak sam przyznał kiedyś Nazir. Daleko było mu jednak do perfekcji Maura. Pozostali z dawnych ludzi Robina, jak również napływający coraz większym strumieniem ochotnicy, posiadali pewne pojęcie, lecz raczej nie

dotrzymaliby pola komuś z rycerzy, zaprawionemu w walce od najmłodszych lat. O tych, co rekrutowali się z puszczańskich wiosek szkoda było nawet mówić. Ich bronią był łuk, widły, kij, sękata pała. W starciu wręcz nie daliby sobie rady nawet ze zwyczajnymi, słabo wyszkolonymi zbrojnymi.

Match po nauczce, jakiej udzielił mu pan de Folville chciał zabezpieczyć się na przyszłość. Kiedyś, gdy otrzymał z rąk Marion miecz Robina, Will Scarlett stwierdził, że to wstyd, by taki sławny miecz nosić tylko od parady. Przez pewien czas uczył Matcha podstaw, twierdząc, że robi postępy. Match jednak niedługo przerwał naukę, gdyż inne zajęcia zbyt go pochłaniały. Wziął sobie poza tym zbyt do serca pochwały Willa, uznał, że umie już wystarczająco. Dopiero spotkanie z sir Bertrandem sprowadziło go z powrotem na ziemię.

Zaraz po walce poprosił Maura o pomoc. Wstydził się zwrócić ponownie do Willa, uważał także, że jego umiejętności nie dostawały umiejętnościom rycerza. Nie mylił się. Nie wiedział, że także Nazir, obserwując walkę, doszedł do wniosku, że nawet w jego przypadku wynik byłby wątpliwy. Zgodził się jednak od razu, myśląc, że przy okazji wyjaśnią się może niejasne wrażenia, jakie odniósł, przyglądając się walce. Coś mu się bardzo w tym wszystkim nie podobało, coś, czego nie potrafił dokładnie

określić...

Match podniósł owiniętą pasem pochwę z pośłania. Zaczął szykować się do wyjścia z szałas. Nazir zatrzymał go jednak. Poprosił o pokazanie miecza. Match zdziwił się, lecz podał go, nie wyjmując z pochwy.

Nazir zważył miecz w ręce. Nic nie mówiąc, wyszedł przed szałas. Obnażył ostrze, odrzucił pochwę niedbale na trawę. Zamachnął się, wykonał szybkie cięcie. Zasycało rozcinane powietrze.

–Za ciężki – stwierdził niechętnie. Match wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

–Za ciężki dla mnie? – spytał po chwili. – Jesteś niższy ode mnie, lżejszy. Może ci się wydaje.

–Za ciężki dla każdego – odpowiedział Nazir spokojnie. – Trudno, lepszego nie ma...

–Czy ty wiesz, co mówisz? – oburzył się Match. – To sławny miecz, od niepamiętnych czasów... Ponoć należał kiedyś do rycerza Okrągłego Stołu! Cholera, nie pamiętam którego, Robin mówił kiedyś... No, mniejsza z tym, w każdym razie już nasi sławni przodkowie...

–No właśnie – Maur skrzywił się. – Już przodkowie... Tymczasem, Match, cały problem w tym, że świat idzie naprzód, jeśli to w ogóle zauważyłeś. To, co było dobre dla przodków, niekoniecznie jest dobre dzisiaj. Z wami to jest cały problem, przodkowie, tradycja... Nosicie te ciężkie drągi, nawet rycerze. I tylko dziwicie się, jeżeli ktoś, kto jest mniej przywiązany do tradycji, a bardziej ceni sobie skuteczność, posieka was na kawałki...

Szybkim ruchem sięgnął do ramienia, dobył jednego ze swych krzywych mieczy. Podał go Matchowi, razem z jego mieczem.

–Porównaj ciężar – powiedział.

To było widoczne na pierwszy rzut oka. Match skinął niechętnie głową. Maur roześmiał się.

–A teraz przypomnij sobie, jaki miecz miał de Folville, o ile oczywiście zdołałeś się przyjrzeć. Ja się przyjrzałem, mam oko do takich szczegółów...

Nazir miał rację. Match wprawdzie podczas walki nie zaprzętał sobie zbytnio głowy orężem przeciwnika, ale parę rzeczy zapadło mu w pamięć. To na pewno nie był miecz po przodkach, nawet słynnych. Od razu widać było, że w porównaniu z tym, którym wymachiwał Match, był bardzo lekki. Nawet mając na uwadze wprawę

rycerza, dało się zauważyć łatwość, z jaką mógł kierować lekką klingą.

Match spostrzegł jeszcze jedno, miecz wbrew powszechnym obyczajom nie miał żadnych zdobień. Była to broń czysto funkcjonalna.

–Klinga była naszej roboty, to znaczy wschodnia – dodał Nazir swe spostrzeżenia. – Albo

robiona na zamówienie, albo specjalnie dobierana do jego wzrostu, przyzwyczajień. Prosta,

wzór normański, nie zakrzywiona, jak większość naszych. Rękojeść długa, bastardowa, do

jednej lub obu rąk. Na pewno nie używa tarczy, i słusznie.

Matchowi pozostało jedynie robić mądrą minę i potakiwać. Małomówny zwykle Maur rozgadał się, gdy trafił na interesujący go temat.

–Wiesz, de Folville zlekceważył cię z początku. Mógł cię zabić od razu, w pierwszym złożeniu. Chciał jednak trochę przedłużyć zabawę, w której nie miałeś większych szans...

Match przytaknął w duchu. Sam miał takie wrażenie, domyślał się też, dlaczego rycerz nie zabił go przy pierwszej okazji. To nie było lekceważenie, sir Bertrand był i tak pewny zwycięstwa. Gdy po raz pierwszy spojrzął w oczy rycerza, zobaczył w nich cień uznania, że przyjął wyzwanie, stanął do walki. Rycerz przestał w nim widzieć zwykłego zbrojnego, którego należy jak najszybciej unieszkodliwić. Nie chciał, by przypominało to egzekucję...

–Miał pecha, potknął się – ciągnął Nazir. – A ty miałeś szczęście. Ten ciężki miecz pomógł

ci w ostatniej chwili, ściągnął ci rękę w dół odrobinę szybciej, tak, że mogłeś odbić ten cios. Ale

to tylko przypadek. Przedtem jego waga tylko ci przeszkadzała...

Wyciągnął ręce, odebrał od Matcha obydwa miecze. Swój, nie patrząc nawet, wsunął z powrotem do pochwy na plecach.

–Jeszcze jedno, Match – dodał. – Twojego miecza nie da się porządnie naostrzyć. Jak na

dzisiejsze wymagania, ostrze jest miękkie. Owszem, nie ma to większego znaczenia

przy

pchnięciach, jednak kolczugę już nie zawsze przetniesz. Jeżeli przeciwnik będzie miał pod

kolczugą grubą, watawany kubrak, to owszem, poczuje uderzenie, ale wielkiej krzywdy mu nie

zrobisz. Najwyżej siniaka, może złamiesz kość... Zresztą w ogóle, jak walczysz prostą klingą,

to jeśli tniesz, musisz pociągnąć. Albo popchnąć, ale to już trudniejsze. Rozumiesz? Uderzasz

środkiem ostrza i pociągasz jednocześnie do siebie. Wtedy masz większe szansę przecięcia

kolczugi, zresztą każde cięcie prostą klingą jest wtedy skuteczniejsze.

Maur podał Matchowi miecz, podniósł z trawy pochwę z pasem. Match rozważał to, co właśnie usłyszał. Widział efekty uderzeń Nazira, czysto przecięte kolczugi, rozwalone wraz z misiurkami głowy, odcięte ramiona. Przypomniawszy sobie codziennie odprawiany przez Maura rytuał ostrzenia i przecierania kling obu mieczy, do czego Nazir używał specjalnej skórzanej opaski, którą zwykle nosił na przegubie. Czynność ta pochłaniała go całkowicie, nie zwracał uwagi na zwykłe wtedy żarty i docinki.

Odeszli kawałek w las. Match nie chciał zbiegowiska, obawiał się śmieszności, na jaką mógł się narazić. Znaleźli kawałek równego terenu. Podłoże było twarde, porośnięte niską trawą. Zatrzymali się.

Nazir postanowił zacząć od zwykłej, pozorowanej walki. Chciał najpierw poznać możliwości Matcha, nie chciał zaczynać od układania mu ręki. Na to będzie czas, trzeba zobaczyć, do czego jest tak naprawdę zdolny. Sama obserwacja walki z rycerzem powiedziała Maurowi wprawdzie wiele, ale nic tak naprawdę nie mogło zastąpić rzeczywistego skrzyżowania ostrzy.

Użył tylko jednego ze swych mieczy. To na początek. Zadźwięczały skrzyżowane ostrza, nie trwało to jednak długo. Wkrótce Match zezował z niedowierzaniem na klingę Maura przystawioną do swojej szyi, tuż pod uchem. Na wszelki wypadek tępą krawędzią, zakrzywione miecze Nazira nie były obosieczne. Lepiej przyłożyć tępą stroną, na wypadek, gdyby Matcha poniosło i szarpnął się, zamiast znieruchomieć.

Nazir błysnął zębami w uśmiechu, odjął broń od szyi Matcha. Odstąpił o krok.

–Masz lepszy miecz – oskarżycielski ton Matcha wywołał jeszcze szerszy uśmiech.

– Sam

mówiłeś, to dlatego...

Nazir spoważniał. Już się nie uśmiechał.

–Owszem, mam – przytaknął, w głosie nie było wesołości. – Właśnie to usiłuję ci wbić do

głowy. Nie ma walki, która jest z założenia uczciwa, mimo tego, co opowiadają ci wasi

bardowie i minstrelle. Zawsze ktoś ma przewagę, lepszą broń, słońce, dajmy na to, za plecami,

zamiast w twarz. Czasem ma dłuższe ręce albo jest po prostu lepszy. Walka nigdy nie jest

sprawiedliwa. Jeśli ci się to nie podoba, to poprzestań na strzelaniu z łuku, najlepiej z ukrycia,

wtedy będziesz miał przewagę...

Match poczerwieniał.

–Nazir, posłuchaj, ja nie... – próbował wtrącić.

–Jeśli jednak już staniesz do walki – Nazir nie pozwolił przerwać. – Jeżeli już staniesz, to wtedy musisz wykorzystać to wszystko, co masz, a nie narzekać, że przeciwnikowi z jakiegoś powodu jest łatwiej.

Match słuchał i potakiwał w milczeniu. Było mu głupio. Ostatecznie miał się czegoś nauczyć.

–Twój miecz jest dłuższy, ty sam jesteś wyższy, masz dłuższe ręce – nie zwracając uwagi

na jego zakłopotanie, ciągnął Maur. – Wyciągnij więc wnioski...

Uniósł miecz i skoczył do przodu.

–Tylko szybko! – dokończył, przekrzykując szczęk uderzających o siebie ostrzy.

Match nie wyciągnął wniosków. Odbił wolne, specjalnie sygnalizowane cięcie, niepomny

na pouczenia skoczył do przodu. Po chwili znów mógł popatrzeć z bliska na ostrze przyłożone do szyi. Trochę niżej, nie do tętnicy pod uchem, ale tym razem ostrą stroną. Nazir uznał, że dosyć żartów, może w ten sposób do niego dotrze.

Match poruszył się ze złością. Maur lekko docisnął broń, na skórze pojawiła się kropelka krwi.

–Co ty... – wykrztusił Match. – Zabieraj to zaraz!

Maur nie poruszył się. Oczy zwęziły mu się tylko. Stał nieporuszony.

–Rzuć broń – warknął po chwili.

Match wyprostował palce zastygłej w pół zamachu ręki. Broń upadła na trawę. Ostrze naciskające na szyję cofnęło się. Match syknął. Nazir nie odmówił sobie przyjemności przejechania samym czubkiem po skórze.

–Jesteś trupem – skwitował krótko. – Jesteś trupem, bo nie myślisz. Nie chcesz, widać, niczego się nauczyć...

–Właśnie miałeś mnie uczyć! – wybuchnął Match. Potarł dłonią szyję, z niedowierzaniem przyjrzał się krwi na palcach. – Miałeś pokazać wszystkie sztuczki, jakie sam umiesz! Jak mam z tobą wygrać, skoro ich jeszcze nie znam? Naucz mnie najpierw, a nie zaczynaj od pokazywania, że gówno umiem!

Trząśnięty całym ze złości. Nazir spoglądał z twarzą bez wyrazu.

–Sam wiem, że gówno umiem – dodał w końcu Match z rozgoryczeniem. Usiadł na trawie. Nazir siadł obok niego. Może coś z tego jeszcze będzie, pomyślał.

–Sztuczki nie przydadzą ci się na nic – zaczął po chwili spokojnie. – Na nic, wierz mi. Przynajmniej dopóki nie zrozumiesz podstawowych rzeczy.

Urwał na chwilę. Spojrzał uważnie.

–Wydawało ci się, że to na niby. Że możesz bezkarnie spróbować, co się stanie, jak zlekceważysz to, co ci właśnie powiedziałem. Że zrobisz to po swojemu. Bo przecież co się

może stać? Najwyżej wyjdiesz na głupka, co się zresztą stało. Otóż nie. Zawsze może się coś

stać, chociażby ręka mi się trochę omsknie, niewiele, tylko trochę. Nie walczymy na patyki,

Match, tu nie kończy się na poobijanych palcach. Jakby co, to paluchów będziesz szukał w tej

trawie... Rozumiesz już?

Match pokiwał głową.

–Nie, Match, to nie wystarczy – twardo odrzekł Maur. – Zakarbuji sobie dobrze to, co ci

teraz powiem. Jeśli jeszcze raz nie posłuchasz, to może cię nie zabiję, ale trochę naznaczę, tak,

żebyś poczuł. Może wtedy dotrze do ciebie to, że nie ma walki na niby. Odczujesz to na własnej

skórze. A teraz, jeżeli ochota ci nie przeszła, to zaczynamy. Dokładnie tak, jak mówiłem...

Gdy po kilku złożeniach odskoczyli od siebie, Nazir uśmiechnął się tylko.

–Jak to u was mówią, nauka wypisana na dupsku najlepiej wchodzi do głowy – zażartował.

–O to chodziło, zwiększyć dystans, wykorzystać długość miecza i rąk. Nie rzucać się do ataku

jak idiota. To ja wtedy muszę iść do przodu...

Match uśmiechnął się również, za chwilę jednak spochmurniał.

–W ten sposób cię nie dosięgnę – w głosie zabrzmiało zniechęcenie. – Mogę się tylko

bronić.

–Dopiero zaczynamy. Na razie powinno ci wystarczyć, że i mnie byłoby trudniej cię dosięgnąć. Pamiętaj, twoja broń jest cięższa, potrzebujesz zatem więcej czasu, więcej miejsca...

Poza tym, pamiętaj, że nie walczysz tylko mieczem, nie to jest najważniejsze. Nie koncentruj

się tylko na broni. Walczysz, że tak powiem, całym sobą. Unik jest równie dobry jak zasłona,

czasami nawet lepszy, wybija przeciwnika z rytmu, powoduje utratę równowagi. Pamiętaj o

tym.

Znów przyjęli postawę do walki.

–Nie patrz tylko na miecz – dodał Nazir. – Ostrze może zmylić, zresztą, właśnie o to chodzi. Obserwuj całe ciało przeciwnika, nogi, tułów... To więcej powie ci o jego zamiarach niż broń, na którą...

W połowie zdania zaatakował, myląc właśnie Matcha szybkim ruchem ciała w prawo. Match odruchowo osłonił się, zdążyłby, gdyby cięcie przyszło ze spodziewanej strony. Po chwili wstawał, rozcierając szczękę, w którą trafiła pięść Maura.

Match splunął. Drugą ręką rozcierał kolano, stłuczone przy upadku.

–Wiem, patrzyłem na miecz – przyznał niechętnie.

Nazir kiwał głową, luźno opuściwszy rękę trzymającą broń.

Match, pozornie niezgrabnie zbierając się z ziemi, tuż przed nim, wyprostował się nagle. Błyskawicznym ruchem przystawił mu do gardła wyciągnięty z cholewy sztylet. Ruch był szybki, bardzo szybki.

–O to ci chodziło? – sapnął Match triumfalnie, przybliżywszy twarz do twarzy Maura. Zdziwił się, nie widząc w jego oczach zaskoczenia.

–Mniej więcej – Nazir nie mógł pokiwać głową, uniemożliwiało to sztylet opierający się o grdykę. – Nie ciesz się jednak za bardzo...

Nazir wskazał wzrokiem w dół. Match spostrzegł, że stoi mu się trochę niewygodnie, coś uwierało w kroku. Poszedł za wzrokiem przeciwnika i zobaczył rękę trzymającą miecz. Klinga wystawała pomiędzy rozstawionych nóg, przystawiona do krocza. Tępą stroną. Match wolno, ostrożnie odsunął ostrze od gardła Nazira.

–Owszem, zabiłbyś mnie – przyznał ten spokojnie. – Ale resztę życia spędziłbyś jako dziewczynka, w najlepszym wypadku...

Match szybko się uczył. Aż za szybko. Nazirowi powrócił niejasny niepokój, który udzielił mu się już wtedy, gdy przyglądał się walce z de Folvillem.

Gdy Match, nauczony doświadczeniem, przestał robić głupstwa, Maur spostrzegł, że nie popełnia dwa razy tego samego błędu. Co więcej, gdy cokolwiek, cios, unik, zwód ciałem wyjdzie mu raz poprawnie, powtarza to potem idealnie.

Chociażby to. Pokazał mu, jak zatrzymywać silny cios w ten sposób, by nie drętwiała ręka, która przejmowała całą energię uderzenia. Match pamiętał znakomicie, jak sir Bertrand najpierw serią uderzeń doprowadził do tego, a następnie wytrącił broń, której nie mogły utrzymać zmartwiałe palce. Chodziło o to, by zasłonę ustawiać pod pewnym kątem, a w samym momencie uderzenia lekko zmienić kierunek ciosu przeciwnika, tak, by nie zatrzymać jego ostrza w miejscu, nie przejmować całej energii. Niby proste... Maur przypomniał sobie jednak, ile czasu i bólu ponaciąganych ścięgien i mięśni kosztowało go kiedyś opanowanie tego pozornie prostego sposobu.

Match długo nie mógł pojąć, o co chodzi. Kiedy jednak pojął, nie udało mu się tylko trzy razy. Za czwartym zrobił to znakomicie. Nazir złożył to na karb przypadku, szczęścia nowicjusza. Wiedział, że do opanowania tego sposobu trzeba długich, bolesnych ćwiczeń.

Match nie potrzebował ćwiczeń. Od tej chwili powtarzał to bezbłędnie, mimo wielokrotnie ponawianych przez Nazira prób.

To było niesamowite.

Nazir zrozumiał to, co w czasie, gdy patrzył na walkę Matcha z rycerzem, wydawało mu się niemożliwe. De Folville nie zlekceważył Matcha. Nie przedłużał walki w imię jakichś niejasnych powodów. On naprawdę miał trudności. Niesamowita szybkość reakcji Matcha, jego intuicja, niezdolność do powtarzania tych samych błędów równoważyła kompletny brak przygotowania.

Do Maura dotarło właśnie, że jeżeli potrafił trafić Matcha, przejść przez zasłonę, to tylko dlatego, że obciążony wagą swej broni Match nie zdążał czasem z zasłoną. Ale prawie zawsze rozpoczynał ruch, który świadczył o tym, że zrozumiał zamiary przeciwnika. Gdy oduczył się wpatrywania tylko w ostrze, Nazirowi coraz trudniej było przejść jego zasłonę.

To niesamowite, myślał Nazir. Wręcz niemożliwe. Żaden człowiek nie może...

Żaden człowiek...

Niepostrzeżenie dla samego siebie Nazir zaczął walczyć prawie na serio. Match jeszcze nic nie spostrzegł. Oddychał już ciężko, uwijając się, by wyłapać padające wciąż ciosy. Posłuchał polecenia, nie atakował, bronił się tylko. Mimo zmęczenia uśmiechał się, dobrze mu szło.

Nie spostrzegł nawet dziwnych błysków w oczach przeciwnika.

Nazir zdał sobie sprawę, że ten gówniarz, który jeszcze nie tak dawno nie wiedział niemalże, którą stroną miecza sieć przeciwnika, nie da się trafić. Że zdążył przyswoić sobie tyle, co on sam przez pół roku wyczerpującej nauki. Choć Maur dobrze wiedział, że dla normalnego człowieka to niemożliwe...

Niejasny niepokój przeradzał się powoli w lęk i wściekłość. Z kim zatem walczę teraz w tym obcym, wrogim lesie? Bo to już walka, chociaż ty jeszcze o tym do końca nie wiesz. Kim ty jesteś, Match?

Błysnęły zęby spod ściągniętych warg. Nie bacząc już, że gdy ten cios dojdzie, rozpląta Matchowi głowę jak dojrzały melon, uderzył.

Miecz zadzwonił o wyrzuconą w bok, trzymaną ostrzem do ziemi klingę. Match zszedł półobrotem, nie próbował unieść miecza. Instynktownie zrobił coś, co było jedynym sposobem uniknięcia śmiertelnego ciosu.

Uśmiechnął się radośnie, oczekując pochwały. Nie doczekał się.

Nazir wyszarpnął z pochwy na plecach drugi miecz. Match spojrzął z zaskoczeniem. Nazir natarł bez pardonu.

Tym razem Match nie zdołał się zasłonić. Tego jeszcze nie przerabiali. Po paru rozpaczliwych zasłonach i unikach stanął, mając na szyi skrzyżowane ostrza krzywych mieczy Maura. Wiedział, że teraz wystarczy tylko pociągnąć oburącz, a głowa potoczy się po trawie.

Uśmiechnął się, dysząc ciężko.

–Co, nie było tak źle, prawda? – spytał radośnie. – Sam powiedz! Nie było tak źle...

Nacisk ostrzy na gardle wzmógł się. Oczy Nazira były zimne. Match poczuł, jak stal wbija

się w skórę.

–Zabieraj to – wykrztusił z trudem. – Nie musisz mi już nic pokazywać, już zrozumiałem...

Nazir nie poruszył się, nacisk nie zelżał. Widząc jego spojrzenie Match poczuł zimny pot

spływający po kręgosłupie.

–Odbiło ci?! – wrzasnął już nieźle przestraszony. – Kurwa, odbiło ci?

–Kim ty jesteś? – spytał zimno Nazir. Ostrza nawet nie drgnęły.

–Nazir, kurwa, o co ci chodzi? – Match nie rozumiał zupełnie. Zimne spojrzenie napawało go lękiem. Zwariował, przeleciało mu przez myśl, zaraz podejrzenie mi gardło. O co mu, kurwa, chodzi?

–Mów, kim jesteś – powtórzył swe pytanie Maur.

–O co ci chodzi? – rozdarł się Match. – Może wyjaśnisz, bo ja nic, kurwa, nie rozumiem...

Przez chwilę myślał, widząc niebezpieczny błysk w utkwionych w siebie oczach, że to już

teraz, że Nazir pociągnie miecze. Jednak nie.

–Powiedz, kim jesteś – spokojny, równy głos, choć w zimnych oczach czaiło się szaleństwo. – Nie jesteś człowiekiem. Żaden człowiek nie może tak... Co ci zresztą będę mówił, sam wiesz najlepiej...

Match z trudem przełknął ślinę. Wciąż nic nie rozumiał. Myślał z rozpaczą, że nie zrozumie.

–Może jesteś demonem, który nawiedził to ciało. Może złym duchem. Wiem, nie mogę cię

zabić – Nazir wyszczerzył zęby w złym uśmiechu – ale zawsze mogę zabić to śmiertelne ciało,

w którym teraz przebywasz. Wzywam cię przeto, byś wyjawił, kim jesteś, po co się tu zjawieś...

No, pięknie, mimo całej powagi sytuacji Match o mało histerycznie się nie roześmiał. I co ja mam mu teraz powiedzieć? I to szybko, bo jak nie...

–Odpowiedz więc szybko, wyjaw swe prawdziwe imię. Nie wiem, może będę nadal ci służył. Może nie. Ale muszę wiedzieć...

–Nazir, ja... – spróbował błagalnie Match. – Zastanów się, co ja mogę...

–Wzywam cię po raz ostatni, wyjaw swe imię, swe zamiary – mięśnie ramion Maura naprężyły się. – W imię jedyne Boga, mów, kim jesteś!

Match z rezygnacją przymknął oczy. Czekał na ostatnie cięcie. Zamiast tego dobiegł go obcy głos.

–Jest jednym z nas – usłyszał.

–Jest jednym z nas, muzułmaninie – człowiek w jasnym płaszczu z kapturem pojawił się nie wiedzieć skąd na polanie. – Opuść broń, i tak nie jesteś w stanie tego pojąć.

Match uchylił zaciśnięte powieki. Zimny ucisk na gardło osłabł trochę.

Nazir powoli, jakby wbrew woli odwrócił wzrok od jego twarzy. Powoli, bardzo powoli. Zwrócił głowę, napotkał wzrok mężczyzny w płaszczu z kapturem. Blade błękitne oczy, wpatrzone w niego z uwagą.

Poczuł, jak napięte mięśnie ramion rozluźniają się, ręce opadają bezwładnie. Palce stały się sztywne, nie mógł utrzymać rękojeści. Po chwili wypuszczone z rąk miecze brzęknęły spadając na trawę.

–Tak lepiej – powiedział druid. Przeniósł spojrzenie na Matcha.

Nazir poczuł, że znów może się poruszać. Znów spojrział na Matcha, który stał wciąż, pocierając szyję dłońmi. Rozmazywał po niej krew z dwóch cienkich kresek, które zostawiły ostrza. Twarz miała wyraz zaskoczenia i niedowierzania.

Jest tak samo zaskoczony i zdziwiony, jak ja, zrozumiał Nazir, gdy wróciła po krótkim oszołomieniu zdolność myślenia. On też nie wiedział...

–Spodziewałem się silniejszej reakcji – druid siedział po swojemu, trzymając na kolanach

jałowcową laskę. Odrzucił tylko kaptur z głowy.

Match pokręcił głową. Wciąż do niego nie docierało to, co niedawno usłyszał. Było zbyt niewiarygodne. Co innego Nazir.

Ten przykucnął, ponuro wpatrzonego w ziemię. Owszem, to wiele tłumaczyło. Podczas dotychczasowego pobytu w tym obcym, dziwnym kraju widział wiele przykładów, co mogą

druidzi. Przed chwilą przekonał się na własnej skórze. Wciąż rozcierał mrowiące nieprzyjemnie ramiona.

Nie miał przyjaciół. Tacy jak on nigdy nie mieli. Świat dzielił się na wrogów i na tych, wobec których był lojalny, którym służył. Teraz ze zdziwieniem spostrzegł, że czuje tkwiący głęboko żal. Żal, że ten chłopak, do którego zaczynał czuć podziw i

sympatię, uczucia tak niewiarygodne, których dotąd nigdy nie doświadczył, okazał się czymś obcym. Czymś, czego nie rozumiał. Czego się obawiał. Do czego czuł odrazę. Właśnie czymś, nie kimś...

–Dobrze, więc ja zacznę – przerwał druid ciszę. – Skoro nie ma żadnych pytań... Są jednak

odpowiedzi.

Pytań wciąż nie było. Match wyglądał, jakby już nic nie rozumiał. Nazir nie podniósł nawet głowy.

–Dobrze – powtórzył druid. – Zaczniemy od ciebie, będzie szybciej. Do ciebie mówię, morderco.

Maur uniósł powoli twarz, spojrzał na druida. Nie hamował się specjalnie, spojrzenie nie wyrażało nic dobrego. Druid uśmiechnął się.

–Nie uważasz się pewnie za mordercę, wolisz nazywać się zabójcą, zawodowcem. To na

jedno wychodzi, tak naprawdę. Boisz się, ale zęby szczerzysz, patrzysz spode łba. Chwali się

odwaga, ale nic ponadto. Nic nie wiesz i nic nie rozumiesz...

Nazir nie odwrócił wzroku.

–Nie lubisz mnie. Gardzisz mną i takimi jak ja, mimo iż się nas obawiasz. Pogardzasz naszą wiarą, nazywasz nas, niech no sobie przypomnę, niewiernymi psami. Nie zaprzeczaj, wystarczy tylko spojrzeć, posłuchać twoich myśli. Tak, właśnie posłuchać, nie wstrząsać się tak. Tyle w nich pogardy i nienawiści, że rozchodzi się daleko...

–Jeden jest Allach, a Mahomet jest jego prorokiem. Tylko ten, kto w niego wierzy, dostąpi rajy – w ochryplym nagle głosie Nazira nie było tłumaczenia. Była niewzruszona pewność.

–O to ci chodzi – mężczyzna zdziwił się obłudnie. – No, no, cóż za niewzruszona i szczerza wiara. Dobrze więc, co prawda nic nie muszę ci tłumaczyć, ale spróbuję. Mówisz, że Bóg jest jeden, jeden prawdziwy, i jest to przypadkiem akurat ten, którego wyznajesz ty i tobie podobni. Pozazdrościć pewności. W związku z tym, wszyscy inni, co wybrali sobie innego lub innych, są po prostu niewierni, w najlepszym przypadku błędzą. Nieważne, że dużo wcześniej od was, zanim ten

prorok zstąpił do was i objawił wam prawdę, co nastąpiło całkiem niedawno, byli już tacy, którzy wpadli na ten sam pomysł. Właśnie taki, że ich Bóg jest jeden, a wszyscy inni to fałszywe bałwany. Nawet nie próbuj!

Wyciągnięty do połowy miecz znów wsunął się do pochwy. Nazir nie spróbował.

–Jak już wiesz, nie wszystko można załatwić, ucinając głowę temu, z kim akurat się nie

zgadzasz. Nawet w kwestiach wiary – druid nie podniósł głosu. Utkwił tylko w twarzy Maura

nieruchome spojrzenie swych jasnoblękitnych oczu.

–Tak lepiej – dodał, widząc, że dłoń cofnęła się od rękojeści. – Nie mam wprawdzie wielkiej nadziei, że zrozumiesz, tym niemniej spróbuję ci coś uświadomić. Jesteśmy tu od

dawna, od bardzo dawna. Wierzymy, że istnieje sprawcza moc, od której wszystko wzięło

początek. Która wciąż ma wpływ na to, co się dzieje, na nasze uczynki, na cały świat. Na to, co

było, jest i będzie. Staramy się ją zrozumieć. I nieważne, że personifikujemy ją przez bóstwa i

duchy. Tak jest po prostu łatwiej, jeżeli nie dla nas, to dla innych, tych, co nie mają daru

widzenia natury rzeczy. Zastanów się więc, czy przypadkiem ty nie wierzysz w to samo,

choć inaczej to nazywasz.

Zaśmiał się krótko, nieprzyjemnie.

–Tak, wiem, że cię nie przekonałem – dodał, widząc brak reakcji Maura. – Nadal uważasz

to za gusła, nadymasz się z dumy, że to ty widzisz samą prawdę. Nasza moc nie ma do ciebie

dostępu, nad tobą czuwa Allach, który jest Bogiem jedynym i prawdziwym. My nie mamy

žadnej mocy, którą daje tylko jedyna i prawdziwa wiara...

Głos był monotony.

–Nasze zło, które jest złem wcielonym, nic ci przecież nie może uczynić. Nawet jeśli cię

pokonamy, to i tak trafisz prosto do raju. Dlatego nie lękasz się nas, tylko czujesz odrazę...

Nagłym ruchem cisnął jałowcową laskę wprost przed Maura. Upadła na trawę.

Nazir zerwał się. Wrzasnął.

Wąż z sykiem skręcił się w trawie. Uniósł się, odchylił głowę w tył.

Miecz utkwiał chyba w pochwie, klinga nie daje się wyciągnąć.

W otwartej paszczy podnoszą się długie zęby. Widać mętny, spływający z nich jad, formujący się na końcach w kropelki. Głowa balansuje na wzniesionym ciele, odchyła się...

Zaraz uderzy.

Ostrze w końcu wyszło z pochwy, lecz głowa węża już skoczyła do przodu.

Za późno. Klinga przecina cielsko, obie połówki wiją się w trawie. Za późno, na ten jad nie ma lekarstwa... Nazir zacisnął powieki.

Jak przez mgłę dociera rozbawiony głos.

–A taki dobry był kijek... Czy ty wiesz, muzułmaninie, jak trudno znaleźć w lesie taki

ładny, prosty jałowcowy pręt? Popatrz, co z nim zrobiłeś! Co on ci zawinił? No, otwórz oczy,

popatrz!

Nazir otworzył oczy. Zobaczył połówki jałowcowej laski, przecięte czystym ciosem.

–Tak, wyznawco jedyne i prawdziwego Boga są rzeczy na niebie i ziemi... – usłyszał jeszcze. – Przemyśl sobie to, co powiedziałem.

–No to łatwiejszą część mamy za sobą – w głosie druida nie było rozbawienia. – Teraz kolej na ciebie, Match. Naprawdę, sam nie wiem, od czego zacząć...

–Najlepiej od początku – odparł Match zimno. Pozbierał się już, mimo zaciekawienia sytuacja zaczęła go złościć.

–Masz rację, od początku – druid spojrział uważnie. – W takim razie łaskawie staraj się nie przerywać, bo cała historia jest długa. I skomplikowana. Pytać możesz na końcu.

Match na razie nie przerywał. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Rzeczywiście, trzeba posłuchać.

–Nie jest mi łatwo mówić, Match – zaczął w końcu mężczyzna. – Może dlatego, że chyba

nie byliśmy wobec ciebie w porządku, utrzymując cię tak długo w nieświadomości. Bo my

wiedzieliśmy już od pewnego czasu, kim naprawdę jesteś. Mieliśmy powody, by ci nie mówić,

zrozumiesz je wkrótce. Ale w niczym nie zmienia to mojego poczucia winy wobec ciebie.

Druid zawahał się. Obracał w rękach połówki laski, które podniósł z ziemi. Nie patrzył na Matcha, unikał jego wzroku.

–Jesteś jednym z nas, lecz nie takim samym, jak my – słowa były ciche, lecz wyraźne. –

Żeby być tym, czym stałem się ja, musiałbyś zdobyć wiele umiejętności, wiedzy. Gdyby

wszystko potoczyło się normalnie, właśnie kończyłbyś wstępną naukę. Bo nauka trwa

dwadzieścia lat, kosztem wielkiego wysiłku i wyrzeczeń. Nie wszyscy ją kończą, Match, nie

dlatego, że jest zbyt ciężko i rezygnują. Nie kończą, bo nie wytrzymują. I umierają. Zanim po

wysłuchaniu mnie do końca potępisz mnie, nas wszystkich, pomyśl też i o tym. Może to

właśnie ty nie skończyłbyś nauki.

Match słuchał nieporuszony. Nie było widać po nim wrażenia, jakie wywarły

usłyszane właśnie słowa. Druid odrzucił kawałki drewna.

–Jesteś jednym z nas, lecz nigdy nie będziesz takim, jak my – kontynuował. – Już nie

możesz. Mimo że jesteś potomkiem tych, co byli wybrani spośród innych. Byli wybierani od

wieków, od początku dziejów. Nosisz w sobie wszystkie ich doświadczenia, lecz nie będziesz

mógł z nich skorzystać. Nosisz je w sobie, bo my jesteśmy kontynuacją, naszej wiedzy nie

ogranicza nasze krótkie życie. Wiemy wszystko, co wiedzieli ci, którzy byli przed nami.

Dokładamy własne doznania do tego, co odziedziczą po nas następni.

Druid uśmiechnął się, spojrzenie zamgliło się, jakby przed nim stanęły obrazy, które pamiętał. Których nigdy nie widział na własne oczy.

–Pamiętam czasy, gdy w tym lesie oprócz nas żyli ci, których lud nazywa elfami, krasnoludami czy gnomami. Kiedy walki toczono przy użyciu maczug i kamiennych toporów.

Pamiętam najeźdźców, którzy przybywali na te ziemie...

Uśmiechnął się szerzej do własnych wspomnień. Własnych? Nieważne, wspominał wszystko, jakby przy tym był...

–Widzę właśnie jednego z nich. Kulawy, zaśliniony staruch z wykręconą gębą. Nie wyglądał na wielkiego wodza, nie potrafił nawet mówić, nie jękał przy tym. A jednak

podbił Brytanię...

Rzucił Maurowi, siedzącemu w ponurym milczeniu, złośliwe spojrzenie.

–Też wątpił w naszą siłę, tak jak ty. Miał jednak otwarty umysł, nie zmałowany wiarą w jedyne prawdziwego Boga. Nie musieliśmy go straszyć. Wystarczył drobny pokaz, niemal

jarmarczna sztuczka z ziarnkami grochu. Zrozumiał od razu i w duszy przyrzekł sobie wytępić

naszą wiarę w całej Brytanii. Cóż, dziś z jego imperium nie pozostało wiele... Tak, Match,

gdzieś w głębi twego umysłu drzemią te wspomnienia, jednak ty nie możesz ich wydobyć.

Match poruszył się niecierpliwie, otworzył usta. Druid potrząsnął głową.

–Co prawda miałeś nie przerywać, ale masz rację – uśmiechnął się. – Wybacz, rozgadałem

się, zbaczamy z tematu. Tak więc, Match, kiedyś zostałeś wybrany. Zostałeś wybrany, bo

trzeba ci wiedzieć, że nie wszyscy z naszego rodu nadają się do tego, by zostać druidami. Ty

rokowałeś wielkie nadzieje. Dlatego zajął się tobą osobiście najznamienitszy z nas wszystkich.

Miał towarzyszyć ci przez dwadzieścia długich lat, aż do końcowych prób. Uważał, że warto,

że jesteś kimś wyjątkowym, że powinien ci się poświęcić bez reszty. Odszedł wraz z tobą,

mieliście wrócić dopiero po dwudziestu latach, po zakończeniu twej nauki. Albo miał wrócić

sam, wcześniej, gdyby okazało się, że mylił się co do ciebie.

Zaledwie jednak po dwóch latach, ty miałeś wtedy cztery, stało się coś, co pokrzyżowało wszystkie plany. Podczas któregoś z napadów na leśne wioski, przy okazji ściągania zaległych danin czy czegoś w tym rodzaju, zbrojni natknęli się na was. Twój opiekun zginął, ty zniknąłeś. Sądziliśmy, że też nie żyjesz...

Teraz Match nie wytrzymał.

–Nie przypominam sobie nic z tego, co mówisz – wybuchnął gniewnie. – To... to nieprawdopodobne, niemożliwe...

–Posłuchaj, przecież ty nic nie pamiętasz z dzieciństwa. Nic a nic, przyznaj sam. To,

że nie

pamiętasz, nie świadczy więc o tym, że to nieprawda.

Match urwał. Druid miał rację. Pierwsze, mętne wspomnienia pochodziły z późniejszego okresu. Oderwane obrazy, słowa. Uśmiech tej, którą uważał za matkę.

–Widzisz, uważano cię za głupka – podjął druid. – Za opóźnionego w rozwoju zasmarkańca, zdatnego jedynie do wykonywania prostych poleceń. Który do późnego wieku

młodzieńczego wcale nie umiał mówić. Potem mu się nagle poprawiło, ot, wola boska. Ale za

mądry to nigdy nie był. Tymczasem to proste, Match. Te pierwsze lata, to jeszcze nie była

nauka. To było tylko przygotowanie do niej. Wtedy dostawałeś środki, składem których nie

będę cię zanudzał, a które wpływały na twój rozwój, także umysłowy. Które miały pomóc ci

pojąć, przyswoić to wszystko, czego od ciebie oczekiwaliśmy. Te środki... Te środki

przyspieszały rozwój pewnych funkcji, hamując jednocześnie inne. Inne środki miały później

pomóc ci w innych rzeczach. Te, których nigdy nie dostałeś... Druid znowu spuścił wzrok. Nie

było widać łatwo mówić takie rzeczy.

–Bez tych, zgoda, sztucznych i przeciwnych naturze sposobów nie miałbyś żadnych szans

przyswoić sobie tej całej wiedzy. Wierz mi, to stosowano od wieków. Dawało to również

większe szansę przeżycia prób, które cię czekały. Ale w twoim przypadku... W twoim

przypadku to, co otrzymałeś spowodowało, że do piętnastego roku życia zatrzymałeś się na poziomie czterolatka. Przecierpiałeś wiele. Mogę tylko powiedzieć, że jest mi po prostu, w całkiem zwyczajny sposób przykro...

Urwał. Match nadal o nic nie spytał. Rozmyślał ponuro o tym, kto zwróci mu te wszystkie lata. Wszystkie razy, które musiał znosić od rówieśników i ojca. Przybranego ojca, uświadomił sobie ze zdziwieniem. Przybranej matki, która nigdy mu tego nie okazała. Na koniec pomyślał, co druid może sobie zrobić ze swoją przykrością i współczuciem. No dobrze, powiedzialesz swoje, człowieku czy też czym tam tak naprawdę jesteś, a teraz daj już święty spokój. Było, minęło, co to wszystko zmienia. Naprawdę nic...

Mylił się, to nie było jeszcze wszystko.

–Jesteś wściekły – w głosie druida nie było zdziwienia. – Czujesz się oszukany. Żałujesz

straconych lat. Masz trochę racji, lecz tylko trochę. Jak to często bywa, jest także jaśniejsza

strona tego wszystkiego...

Jasne, teraz powie, że nadal mógłbym być zasmarkanym głupkiem, pomyślał Match ze zniechęceniem, Że miałem wielkie szczęście, że tak się to wszystko skończyło i powinienem być wdzięczny losowi, że tak łagodnie się ze mną obszedł. Każda porządna wieś musi mieć swojego wiejskiego głupka. Po to, by smarkacze mogli rzucać kamieniami i krzyczeć „głupek idzie, patrzcie, ludzie, głupek idzie!”. Znow zobaczył wykrzywione szyderczo dziecięce buzie, poczuł ból, jakby znow trafił go ciśnięty ręką małego łobuziaka kamień. Zobaczył matkę, ocierającą krew z rozciętego czoła. To nic, synku, to tylko głupie, niedobre łobuzy.

Synku...

Nawet nie była moją matką, przeszło mu przez myśl. Nawet tego mi nie zostawili...

–Miałeś wielkie szczęście, Match – usłyszał jak z oddali. – Powinieneś być wdzięczny

losowi. Twój organizm dał sobie z tym radę, nie zostałeś opóźnionym w rozwoju dzieciakiem

na całe życie. A oprócz tego...

Druid spostrzegł, że Match go nie słucha. Potrząsnął go za ramię. Match spojrział nieprzytomnie, jak obudzony ze snu.

–Rozczulać się nad sobą możesz zacząć później – kolejne szarpnięcie, mocniejsze, przywołało Matcha do rzeczywistości. – Teraz może posłuchaj. Zwalczyłeś to w

sobie. Stałeś

się normalnym człowiekiem. A nawet coś więcej. Widzisz, to, co ci podawano, w połączeniu z

twoimi wrodzonymi, naturalnymi zdolnościami dało ci coś, czego jeszcze żaden człowiek

przed tobą nie miał. Nie robiono takich prób, a szkoda. To co ci podano, miało otworzyć twój

umysł, pomóc ci zapamiętywać, zwiększyć ogólną sprawność. I spełniło swoją rolę. Przyjrzyj

się sobie...

Tak, przyjrzyj się, a potem jeszcze podziękuj... Matcha stać było tylko na gorzką ironię. Za to Nazir uniósł głowę, spojrział z uwagą.

–Widzisz, on już zaczyna rozumieć – druid spostrzegł poruszenie Maura – A i wcześniej

coś podejrzewał. Spostrzegawczy ten twój przyjaciel, Match, szybko zorientował, że coś jest

nie tak. Wprawdzie wyciągnął zupełnie fałszywe wnioski, ale trudno od natury z gruntu prostej i nieskomplikowanej oczekiwać czegoś więcej niż powierzchowne obserwacje i konkluzja, która była jedyna do przyjęcia dla ciasnego, ograniczonego prymitywnym światopoglądem umysłu...

Nazir, natura z gruntu prosta i nieskomplikowana, cicho zgrzytnął zębami. W ciasnym i ograniczonym prymitywnym światopoglądem umyśle zaczęła rodzić się myśl o ustrzeleniu druida przy pierwszej okazji z kuszy. Z daleka, bez żadnych sztuczek z węzami...

Miał to wyraźnie wypisane na twarzy, druid poniechał więc dalszych rozważań światopoglądowych. Match uśmiechnął się mimo woli. Nazir często wywierał takie wrażenie na rozmówcach. Druid powrócił do rzeczy:

–Jak mówiłem, Match, te środki miały zwiększyć chłonność twego umysłu, na początku,

aby przygotować cię do dalszej nauki. Gdy spełniłyby już swą rolę, przestałyby być potrzebne,

ich działanie miało zostać zniwelowane. Tak się nie stało. Zapłaciłeś za to ciężko, ale teraz

zbierasz zupełnie nieoczekiwane owoce. Masz olbrzymią zdolność przyswajania wiedzy.

Rozumujesz sprawniej od innych. Zupełnie ubocznym skutkiem, którego w ogóle się nie

spodziewaliśmy, jest niesamowita sprawność ruchowa i koordynacja. Coś w rodzaju pamięci,

ale niezwiązanej z umysłem, raczej z ciałem. Zapamiętujesz bezbłędnie odruchy, nie musisz

ich nabywać żmudnym ćwiczeniem. Jakby na to patrzeć, niezależnie od ceny, jaką zapłaciłeś,

to wielki dar...

Wstał. Popatrzył na Matcha, wciąż siedzącego bez ruchu.

–Nasz przyjaciel z zasadami ma rację – dodał. – Nie jesteś zwykłym człowiekiem. Daleko

ci do demona, o co był łaskaw cię podejrzewać, ale zwykłym człowiekiem też nie jesteś. Nie

będiesz nigdy druidem, na to jest za późno, zmiany są zbyt głębokie. Straciłeś zbyt wiele

czasu. Ale masz coś, co możesz wykorzystać. Dobrze lub źle, to już twój wybór.

Match wciąż nie mógł się otrząsnąć. Zbyt wiele tego wszystkiego na raz. Trzeba trochę czasu, poukładać to w głowie. Zaakceptować samego siebie.

–Przemyśl to sobie – druid spostrzegł jego rozterkę, uśmiechnął się. – Mogę tylko dodać,

że i my zbyt późno spostrzegliśmy, kim naprawdę jesteś. No, Match, na mnie już czas...

Odwrócił się i odszedł. Zostali sami.

VI

Jason potarł znużonym gestem twarz. Nie spodziewał się tego, co usłyszał. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co mu się ukazało, wyraźnie i dobitnie. Był bardzo zmęczony, wręcz wyczerpany.

Coś nie dawało mu spokoju, jakaś myśl, której nie mógł sobie przypomnieć. Jakieś ulotne spostrzeżenie.

Po raz pierwszy opowieść Matcha nie zgadzała się z jego wizją. W drobnym szczególe. Za nic nie mógł sobie uświadomić, o co chodzi.

W końcu dał spokój. To przez to zmęczenie, pomyślał niechętnie. Zaczyna mi się wszystko pieprzyć, trzeba zrobić przerwę. Trzeba powiedzieć Matchowi, zrozumie. On też wygląda na wykończonego.

Znów wróciły zimne noce. Dotkliwy chłód przebudził Jasona bladym świtem. Skulony, pod grubym pledem i płaszczem, starając się rozgrzać zmarznięte stopy i dłonie, z niechęcią patrzył na skraplający się w powietrzu oddech. Wiedział, że już nie uda się zasnąć.

Nie pamiętał, by cokolwiek śnił tej nocy. Zasnął jak kamień, zmęczony do cna opowieściami Matcha, własnymi wizjami, a także ćwiczeniami, których zaniedbał na tak długo.

Zwłaszcza wizje zaczynały go męczyć. Z początku tego nie odczuwał, ale teraz zaczął dostrzegać, że gdy wraca do rzeczywistości, ma napięte wszystkie mięśnie, jak po olbrzymim fizycznym wysiłku. Bolało go w tej chwili wszystko, ręce, nogi, plecy. Czuł ból nawet tych mięśni, których istnienia nawet dotąd nie podejrzewał. Jeszcze gorsze od bólu było jednak uczucie pustki, wyjałowienia, jakiego doświadczał nazajutrz. Po obudzeniu długo nie mógł zebrać myśli, reagował ospale. Dojście do pełnej przytomności zabierało dłuższy czas.

Teraz też leżał skulony, czując, że w żadnym wypadku w ten sposób się nie rozgrzeje, lecz nie mógł zdecydować się na to, by wstać z pośłania i trochę się rozruszać. Leżał tak, pomiędzy snem i jawą, sam nie wiedząc, czy to, co widzi spod przymkniętych powiek, jest jeszcze snem. Co prawda, jeżeli to sen, to wyjątkowo nieciekawym, jedynym widokiem był jasny już prostokąt okienka pod samym dachem stodółki.

Przyczyna, która zmusiła go w końcu do zwleczenia się z pośłania była prozaiczna - zmarzniętemu człowiekowi pełny pęcherz bardzo doskwiera. Nie mogąc powstrzymać szczykania zębami, odrzucił w końcu przykrycie, zszedł po krótkiej drabince, mając duże trudności, by trafić w szczeble.

Gdy zrobił już to, po co wyszedł na dwór, postanowił nie wracać na posłanie. Zabrał tylko płaszcz, którym owinął się szczelnie. Ruszył bez celu przed siebie, licząc na to, że ruch ogrzeje go trochę. W klasztoru nie można było liczyć na ciepłą strawę lub napój o tej porze, pod kuchennymi paleniskami rozpalano najwcześniej w południe.

Jason kiedyś, w tym życiu, które zostawił za sobą, nigdy nie wstawał o tak nieludzkich porach. Trudno znaleźć partnera do gry przed wschodem słońca. Zdarzało się siadywać długo w noc, w karczmach, oberżach czy w gościnie w jakimś przytulnym dworze, lecz gdy pierwszy brzask rozjaśniał niebo, wszyscy przykładowie chrapali już pod stołem. Owszem, zdarzyło mu się nieraz wstawać o świcie, gdy była taka konieczność, był jednak nieprzytomny do południa. Bardzo denerwowali go wtedy wszyscy, którzy radośnie, wypoczęci i wyspani, próbowali nawiązywać rozmowy.

Ruch rozgrzał go trochę. Zaczynał już jaśniej myśleć. Co jednak robić z tak mile rozpoczętym dniem? Po obiedzie trzeba się będzie trochę przespać, postanowił solennie.

To postanowienie poprawiło trochę podły humor. Dzień wstawał bezchmurny, ogromny dysk wschodzącego słońca wynurzał się właśnie zza lasu. Słońce przygrzewało już całkiem nieźle, gdy uniesie się wyżej, będzie ciepło. Zamierzał znaleźć kawałek suchej łączki, rozłożyć tam płaszcz i trochę sobie posiedzieć. Właśnie, tylko posiedzieć, nie myśleć o niczym, wreszcie trochę odetchnąć.

Jednak dobrego nastroju nie starczyło na długo. Gdy wyciągnął się na rozłożonym płaszczu na zacisznej, osłoniętej krzakami głogu od podmuchów rzeńskiego wiatru łączce, czekając, aż słońce zdecyduje się trochę lepiej przygrzać, powróciło to, co męczyło go już wczoraj. Coś, co jak zdawał sobie sprawę, było ważne. Coś, czego za żadne skarby nie mógł sobie przypomnieć. Ze złością zmełł w ustach przekleństwo. To tyle, jeżeli chodzi o wypoczynek.

Cholera, Match miał trochę racji, pomyślał ze złością. Słusznie obawiał się, czy to wszystko wytrzymam, starał się oszczędzać. Mylił się tylko, sądząc, że to lęk i groza mnie wykończy. A tymczasem to będzie zwykłe wyczerpanie... Dobrze, dość tego, teraz pomyślmy o czymś miłym, przyjemnym, czymś w sam raz na taki miły poranek... Może o kobietach, czemu nie. A gdyby tak... W zasadzie można spróbować...

Próbował skoncentrować się. Tak, Emily. Mała, czarnowłosa Emily, córka zubożalego szlachcica, u którego zabawił kiedyś całą zimę. Właśnie z jej powodu. Emily, z którą przeżył kiedyś tak wiele wspaniałych chwil. Która szczerze go kochała, cudowna, wspaniała, oddana Emily. Która ciążyła jak kamień na sumieniu, gdy w końcu wykradał się z dworu jej ojca jak złodziej, bojąc się własnego zaangażowania, bojąc się utraty wolności. Ale także bojąc się jej

rozpaczy, zawodu, gdy tak zostawiał ją bez pożegnania, samotną, opuszczoną. Żałował tego potem nie raz, uważając, że bezmyślnie zmarnował prawdziwą miłość. Wybacz, moja mała...

Tak, dobrze byłoby jeszcze raz przeżyć którąś z tych wspaniałych chwil. Dobrze byłoby jeszcze raz...

–Emily, kochanie, co ty właściwie widzisz w tym Jasonie? – z wystudiowanym niesmakiem zapytała Claire. Emily spojrzała na przyjaciółkę.

–Przecież wiesz, że to prostak – nieszczerze zatroskała się Claire. – Powinnaś bardziej dbać o opinię. Wiesz, kochanie, jak droga mi jesteś, niepokoję się o ciebie...

Ty wredna larwo, uśmiechnęła się promiennie Emily. Niepokoisz się, a sama rozpuszczasz większość plotek. Twój obleśny tatuś mieszka w pięknym, nowym zamku, wszystkiego masz po same uszy, to nie zrozumiesz, jak to jest...

Popatrzyła na palisadę otaczającą dwór, wyglądającą miejscami jak szczęki cierpiącego na okrutną próchnicę wieśniaka. Na błotnisty dziedziniec, zapadnięte dachy budynków. Popatrzyła i aż zatrzęsała się ze złości, widząc Claire, która w swym pięknym stroju wyglądała tu zupełnie nie na miejscu.

Ty franco, pomyślała złośliwie, przyjeżdżasz ty tylko po to, by na to popatrzeć. Wiesz, że w tym otoczeniu nawet twoja ospowata gęba wygląda ładnie. Emily objęła przyjaciółkę.

–Chodź do izby – powiedziała – nie ma co tak tu stać, suknię sobie powalasz... Sama wiesz,

jakie tu błoto...

Emily uśmiechnęła się jeszcze serdeczniej. To miała opanowane do perfekcji. Claire usiadła na samym brzeżku ławy. Skwapliwie powróciła do interesującego ją tematu.

–Ostatecznie, moja droga, musisz dbać o pozycję – już bez zatroskania, teraz czas na lekką

naganę. – To tylko kupiec, zgoda, zasobny, ale przecież kupiec. Masz przecież tylu starających

się, chociażby Alfred... Szlachcic, za giermka służy u sir Adalberta...

Tak, i taki sam gołodupiec jak mój ojciec, trzepocząc niewinnie powiekami, pomyślała Emily. Inni tak samo. Kto by chciał taką jak ja, z takim, za

przeproszeniem, posagiem. Owszem, przelecieć gdzieś na sianie, to tak, z tym nie ma problemu. Ale nic więcej...

–Popatrz na mnie, moja droga – Claire postanowiła wzmocnić siłę argumentów. – Mój

Edward na przykład. Z dobrego domu, rycerz prawy. I kocha mnie do szaleństwa.

Emily opuściła głowę, kryjąc uśmiech, tym razem złośliwy. Znała poglądy Edwarda, sam jej kiedyś powiedział, w sytuacji, w której nie podejrzewała go o nieszczerłość. Jak to było „nie chciałbym nawet dać kopa w to chude dupsko, ale sama wiesz, interes to interes”. Emily chciała posłuchać więcej, temat sprawiał jej dużą przyjemność, ale Edward był zbyt zajęty. Nie było się co dziwić, tyłek, który właśnie wdzięcznie wypinała na pewno nie był chudy.

Claire opacznie zrozumiała gest Emily. Złagodniała.

–Cóż, wiem, kochanie, że nie jest ci łatwo... – zaczęła.

–Ach, moja droga przyjaciółko – przerwała Emily. – Od czegoż jest przyjaźń? Wiem przecież, jak na sercu ci leży moje szczęście... Któż, jak nie ty może mi pomóc?

Claire zerknęła podejrzliwie. A udław się, kocmołuchu, pomyślała. Myślałby kto! Powinnaś tego prostaka w dupę całować, że chciał na ciebie spojrzeć. Prostak bo prostak, ale mógłby cię kupić razem z całym dworem, tatusiem niezgułą, wszystkimi kmiotami i nędznym bydłem. Nawet by pewnie nie zauważył ubytku w sakiewce.

–Claire, kochanie – ciągnęła Emily nie zwracając uwagi na widoczne zmieszanie drogiej

przyjaciółki. – Nawet z prostaka jest pożytek. Nie jestem taka całkiem głupia, kotku, nie

całkiem...

Claire zrobiła obrażoną minę.

–Ależ, jak możesz! – zaprotestowała gwałtownie.

–Mogę, mogę – głos Emily stwardniał. – Widzisz, te wszystkie podłe plotki, które źli ludzie roznoszą... Nawiasem mówiąc, wiem, kto, i kiedyś ślepią wydrapię... Nie jest ci aby zimno, kochanie? Tak się wstrząsnęłaś? – zatroskała się.

Przyjaciółka spojrzała z urażoną niewinnością.

–Skąd, przemarzłam trochę na dworze, to wszystko...

–A już się martwiłam, przecież jesteś słabego zdrowia, o suchoty nietrudno, musisz

bardziej dbać o siebie. Ale o czym to ja... Aha... Otóż widzisz, moja droga, te wszystkie

paskudne plotki to nawet są po mojej myśli...

Claire zmartwiła się. Tak się starałam, a ona mówi, że to po jej myśli. Może udaje, pocieszyła się.

–Widzisz, ja doskonale wiem, że ten prostak jest tłusty, stary i obleśny – Emily spojrzała twardo. – Ma już ze trzydzieści lat. Że to, jak sama raczyłaś powiedzieć, człowiek niskiego stanu. Nie jest na razie prawdą to, co tak skwapliwie wszędzie opowiadasz, że daję mu dupy, bo on daje mi pieniądze na stroje...

–Ależ kochanie, co ty... – próbowała wtrącić zdetonowana Claire. Poczzerwieniała, ślady po ospie wystąpiły jeszcze bardziej, co Emily odnotowała z dużą satysfakcją...

–Zamknij się – warknęła. – Zamknij się i słuchaj, może się czegoś nauczysz.

Wracając do rzeczy, nie jest na razie prawda, ale będzie. On da mi nie tylko na stroje, on da mi wszystko, co ma. Właśnie dlatego, że na razie nic od niego nie chcę, o nic nie proszę. Tak właśnie trzeba robić, nie rozmieniać tyłka na drobne, jak ty...

Jej serdeczna przyjaciółka wydała z siebie dziwny odgłos, jakby się czymś zachłysnęła. Emily przyjrzała się jej uważnie.

–Co, chcesz powiedzieć, że ty tak nie robisz? – spytała słodko. – Możliwe, kto by chciał. Ty

przecież, że tak powiem, w drugą stronę, to twój tatuś zapłaci...

Claire poderwała się z ławy.

–Siadaj, siadaj – Emily spojrzała pobłażliwie. – Nie obrażaj się tak... Sama mówiłaś, że

mię dzy przyjaciółkami...

Claire jak drewniana lalka z rozmachem siadła z powrotem. Emily zaśmiała się. Ostrożnie, chciała powiedzieć, potłuczesz to swoje chude dupsko.

–Już kończą, kochanie – uspokoiła przyjaciółkę, która nie mogła wydobyć głosu. – Już

zaraz. Widzisz, ten stary, tłusty prostak ma dwie zalety. Po pierwsze, jest bogaty.

Po drugie, jest

szczerze i bezgranicznie we mnie zakochany. Dlatego jest ślepy. Nie widzi, że kiedy mu dam, to,

wierz mi, bez nijakiej przyjemności...

Kłamała. Choć nie do końca.

–dlatego, kiedy już będę mogła go oskubać – dokończyła triumfalnie Emily. – To nawet się

nie spostrzeże. Nie zrozumie. Będzie do końca myślał, że go kocham, że to on coś zrobił źle.

Nawet wtedy, gdy psami każę poszczuć...

Jason zerwał się z płaszcza. Wytrzeszczył oczy.

Kurwa...

W rzeczy samej.

Chyba nie o to chodziło. Nie to chciał zobaczyć. Masz, durniu, za swoje, pomyślał. Chciałeś, to masz...

Opadł bezwładnie na płaszcza. Czuł obrzydzenie. Nie do niej, do siebie. Jak, kurwa, mogłem być taki głupi, myślał żałośnie. Taki ślepy.

Pomysł wywołania wizji dla przypomnienia miłych przeżyć wydał się nagle wyjątkowo perwersyjną formą onanizmu. Nigdy więcej.

A jak to było z innymi, wypłynęła naraz przewrotna myśl. Nie, Jason, nic z tych rzeczy, wystarczy. Po co ci to wiedzieć? Nie, to niemożliwe, to tylko ona...

To zła kobieta była...

Jeszcze bardziej roztrzęsiony, zwinął płaszcza i ruszył. Przed siebie.

Otrząsnął się dopiero, gdy minął klasztorne pola, puste jeszcze o tej porze roku i wszedł pomiędzy drzewa.

Nie chciał zapuszczać się głębiej w las. Nie znał lasu, obawiał się go. Co prawda spędził w nim ostatnio sporo czasu, ale nigdy sam, zawsze z Matchem. Bał się zabłądzić, wszystkie ścieżki wyglądały tak samo. Obawiał się dzikiej zwierzyny, choć kiedyś Match,któremu nieopatrzenie zwierzył się ze swych obaw, wyśmiał go

bezlitośnie.

Prawda, przypomniał sobie, ponoć dziki, wilki i inne nieprzyjemne stworzenia zapadają na cały dzień w swoich kryjówkach. Co będzie jednak, jeśli trafi się jakiś cierpiący na bezsenność?

Obejrzał się niespokojnie. Poprzez rzadkie jeszcze drzewa mógł dostrzec pola i oddalone zabudowania. Postanowił nie oddalać się bardziej. Znalazł kawałek porośnięty miękkim mchem, rozłożył płaszcz.

Odeszła mu już chęć na miłe wspomnienia.

Zamiast tego, jakby samemu sobie na złość, zaczął zastanawiać się nad tym, co niepokoiło go od wczoraj. Pomimo iż jeszcze niedawno obiecywał sobie, że dziś to wszystko odpuści, że

trzeba dać sobie trochę odpoczynku, zaczął analizować to wszystko, co wczoraj zobaczył i usłyszał.

Intrygował go druid. Było w nim coś tajemniczego, mrocznego. Wzbudzał niejasny lęk, który Jason uświadamiał sobie wyraźnie. Dopiero zresztą dzisiaj, jak się głębiej zastanowił.

Nie było w tym nic dziwnego, pomyślał. Zła sława otaczająca druidów była powszechna, podsycana wciąż przez Kościół i rządzących. Przez całe życie Jason nie usłyszał nigdy o czymś tak niezwykłym, jak dobry druid.

Wprawdzie nie słyszał zbyt wiele. Rzadko bywał w zapadłych zakątkach królestwa, gdzie wpływy druidów były wciąż silne. Przez długi czas nie zdawał sobie nawet sprawy z ich istnienia, tam, gdzie się wychował, dawno wszelkie wspomnienie starych kultów zaginęło.

Lecz i w miastach zdarzało mu się usłyszeć złowrogie opowieści o pogańskich rytuałach, jakim oddawano się jeszcze w niezbadanych zakątkach wyspy. Jak wiedział, ślady tych rytuałów i wierzeń można było spotkać wszędzie, w każdej wiosce, nawet z pozoru leżącej z dala od krańców królestwa. Nigdy natomiast nie zobaczył prawdziwego, żywego druida.

Zawsze był z natury ciekawy, lubił wszelkie tajemnice. Kiedyś, po przypadkowej zupełnie rozmowie na ten temat, postanowił dowiedzieć się czegoś więcej. Rozmowa była zresztą idiotyczna, rozmówca Jasona, bogaty kupiec winny nie grzeszył zbyt dużą inteligencją. Ponieważ jednak był bogaty i najwidoczniej miał skłonności do hazardu, Jason nie zwracał uwagi na poziom konwersacji. Podtrzymywał uprzejmie rozmowę, słuchając najbardziej nieprawdopodobnych wynurzeń w zbożnym celu ulżenia zbyt ciężkiej sakiewce kupca. Kupiec wciąż przegrywając, nudził coś o tym, że słyszał

niedawno, jak ksiądz w jakimś miasteczku rzucał gromy na oddających się dawnym obrzędom, którzy to ostatnio rozplenili się okrutnie i znów głowę podnoszą. Zamiast w Ziemi Świętej zatem, chrześcijańscy rycerze powinni zrobić porządek najpierw na własnym podwórku, plugastwo wytępić, a wszystkich winnych, ba, nawet tylko podejrzanych przykładnie powywieszać. To ostatnie kupiec dołożył od siebie. Bo nie ma gorszej rzeczy na świecie, jak nie omieszkał dodać, niż poganin, tfu, czy inny odmieniec. Dla takiego, to i szubienica jest za dobra.

Jason słuchał z lekkim obrzydzeniem, łagodzoną przez miły uchu brzęk monet, które co i raz wpadały do jego sakiewki. Kupiec zaś, w miarę coraz częstszych przegranych narzekał coraz bardziej napastliwie, za całe zło na świecie, w tym i swoją złą passę, obwiniając obmierzłych pogan. Miał po temu logiczne powody, jak powiedział bowiem, nie dalej niż dwie niedziele temu, gdy przejeżdżał przez wieś cieszącą się wyjątkowo złą sławą, dziewczka wszeteczna rzuciła na niego urok. Spojrzała złym okiem, wyjaśnił kupiec na pytające spojrzenie Jasona, takiej to więcej nie trzeba. I mamrotała pod nosem.

Jason skłaniał się ku przypuszczeniu, że kupiec po prostu jej nie zapłacił, jednak dalsze, wygłaszane przy akompaniamencie plucia i przekleństw szczegóły rozwiały jego wątpliwości. Dziewka wszeteczna miała bowiem tak na oko dziesięć lat i kosę spojrzenie, co jasno wskazywało na konszachty ze złym. Nie wiek naturalnie, lecz właśnie to kosę spojrzenie.

Tak, pomyślał wtedy Jason z przekąsem, to kosę spojrzenie zupełnie wystarcza. Wszystkiemu na świecie winni są zezowaci. Na stryczek z nimi, to wystarczający dowód zgubnych wpływów pogaństwa. Co do wszeteczeństwa, to wprawdzie miał wątpliwości, czy dziewczynka w tym wieku była na to dostatecznie dojrzała, ale cóż, może po prostu była nad wiek rozwinięta. Albo też, co bardziej prawdopodobne, kupcowi pomyliły się po prostu słowa.

Kupiec opowiadał dalej, jak to ta wioska, wprawdzie przy trakcie, lecz wśród głuchych borów położona, od dawna cieszyła się złą sławą w okolicy. Jak to wieść niesie, nadal jej mieszkańcy dzikie obrzędy odprawują, na urągowisko Bogu i Kościołowi. W noc majową, którą po dawnemu Beltaine zowią, zamiast, jak Bóg przykazał, Zielonymi Świątkami, ognie wielkie rozpalają, zbierając się przy nich. I tak raz do roku, każdy z każdym, jak zwierzęta w rui... Tfu! Kupiec poczerwieniał, zapłuł się w końcu ostatecznie i zamilkł. Jason nie wiedział, czy z obrzydzenia, czy z żalu, że sam nigdy w maju przez tę wieś nie przejeżdżał. Patrząc na obleśną, lubieżną gębę wykrzywioną świętym oburzeniem, Jason sądził, że raczej z tego drugiego powodu.

Pamiętał teraz, że z ulgą wtedy przyjął propozycję zakończenia gry. Wygrał i tak sporo, nie zamierzał pracować dalej w takich warunkach.

Zamierzał jak najszybciej wyrzucić z pamięci tę rozmowę, lecz coś z niej zapadło w nim głęboko. Nie, nie chodziło naprawdę o obyczaje praktykowane w noc Beltaine, aczkolwiek sam nie widział w nich nic specjalnie zdrożnego ani niezwykłego. W wielu zamkach i dworach, w których bywał, nie trzeba było do tego nocy majowej – uprawiano to na okrągło... Sam znał kilku ze szlachty, przed którymi nic, co szybko nie uciekało, nie było bezpieczne. Z wyjątkiem może własnych żon.

Rzecz była w tym, że po raz pierwszy zdał sobie sprawę z istnienia tego potężnego, wciąż żywego nurtu, który ciągle trwał, mimo wieków chrześcijaństwa. Zdał sobie sprawę, jak cienka była jeszcze ta powłoka, tak niewzruszona na pierwszy rzut oka w miastach, wśród panujących. Zaczął składać w całość drobne, pozornie nieważne szczegóły, obserwacje poczynione podczas podróży, fragmenty opowieści.

Lubił tajemnice. Zawsze coś ciągnęło go do rzeczy nieznanych, owianych zagadką.

Zaczął gromadzić wiadomości na ten temat, wypytywać przygodnie spotkanych ludzi, którzy mogli cokolwiek wiedzieć. Jednak dowiedział się niewiele.

Nigdy nie spotkał kogoś, kto mógłby udzielić wiadomości z pierwszej ręki. Zresztą, może i spotkał, ale w wioskach, gdzie widywał uschnięte pęki jemioly pod powałą, niewykarczowane wiekowe dęby, rosnące na środku pola i na pierwszy rzut oka przeszkadzające w orce, że trudno bardziej, czy inne oznaki, na które z czasem wyostrzył uwagę, zbywano go byle czym. Zaś gdy naciskał, rozmówcy stawali się niemili. Cóż, sam przyznawał, że nie mógł wzbudzać zbytniego zaufania.

Zanim zniechęcił się całkiem – a było to częścią jego natury, do wielu rzeczy zabierał się z zapalem, lecz ich nie kończył – zebrał, jak sam uważał, całkiem sporo interesujących

wiadomości. W końcu jednak dał sobie spokój, machnął na wszystko ręką. Na cholerę mi to, pomyślał wtedy.

Teraz usiłował przypomnieć sobie wszystko, czego kiedyś się dowiedział. Zdawał sobie sprawę, że jest to bardzo jednostronne, większość informacji pochodziła od osób nie mogących żywić sympatii do druidów. Byli to zapijaczeni borowi, drwale, czasem poborcy, którzy z racji obowiązków odwiedzać musieli zapadłe kąty. Kilku księży z małych kościółków. Ci ostatni zresztą byli najbardziej, wbrew pozorom, wiarygodni, po prostu musieli wiedzieć, co chcą za wszelką cenę wykorzenić. Zwłaszcza jeden, stary już człowiek, równie stary, jak jego wałący się kościółek, stojący w dużej przeciw, zasobnej na pierwszy rzut oka wsi.

Staruszek był inny, niż wszyscy napotkani wcześniej i później wiejscy księży, wspominał Jason. Nie miał w sobie tej tępej nienawiści, żywionej do wszystkiego, co obce, tak często spotykanej u młodszych. Nie miał tej ociężałej obojętności

starszych. Nie narzekał na swą ciężką posługę, jak wielu innych. Wiedział też dużo więcej od nich.

Jason przypomniał sobie kilka długich rozmów, jakie przeprowadził ze starym księdzem. Dowiedział się wtedy wiele, o wiele więcej niż kiedykolwiek. Starzec nie był zgorzkniały, mimo iż we wsi, w której przyszło mu osiaść, pogaństwo było wyjątkowo mocno zakorzenione. Nie był zgorzkniały, mimo że jak sam przyznawał, głoszone przez niego Słowo trafiało w próżnię. Jak sam powiedział, zamiast bezsilnie i bezskutecznie wyklinać druidów, postanowił się czegoś o nich dowiedzieć, nawet, być może, narażając na szwank swą własną duszę. I, jak musiał przyznać Jason, dowiedział się sporo.

Potwierdził przerażające opowieści drwali i borowych o ofiarach składanych z ludzi, palonych żywcem w wiklinowych koszach. O karaniu śmiercią wszelkich prób naruszania spokoju uznawanych za święte gajów. O misteriach, odprawianych w dniach dawnych celtyckich świąt.

Jason wstrząsnął się. Uświadomił sobie właśnie, że noc, w którą błądził nagi po lesie, była nocą Samhain, nocą, gdy po świecie krążą duchy i upiory...

Staruszek opowiadał o nauce, jaką musi przejść kandydat na druida, o ostatecznych próbach, którym jest poddawany. O tym, że takie próby przeżywa niewielu. Nie chciał wdawać się w szczegóły, straszne i przeciwne Boskiemu porządkowi, jak mówił. Jason był wtedy ciekawy. Powoli wyciągnął ze staruszka to i owo. Dowiedział się też, co stary ksiądz wyjawiał niechętnie, że on sam dowiedział się o nich od kandydata odrzuconego we wcześniejszej selekcji. Broń Boże nie na spowiedzi, jak z naciskiem zaznaczył. Na pytanie, co więcej się od niego dowiedział, stary ksiądz z nieoczekiwanym cynizmem stwierdził, że niewiele. Bowiem odstępcą wkrótce utopił się w gnojówce, przypadkiem naturalnie...

Wtedy Jason nie wierzył do końca słowom księdza. Kładł je na karb rozgoryczenia. Teraz, po ostatnich opowieściach Matcha, musiał przyznać, że pokrywały się one dokładnie z tym, co usłyszał przed laty. Uwierzył już w to, co kiedyś wydawało się nie do wiary. Na przykład, że ostateczną próbą jest wypicie kubka trucizny. Wtedy podśmiewał się, że to bez sensu, zadawać

sobie trud dwudziestu lat kształcenia kogoś, a potem sprawdzać, czy się nadaje w tak niebezpieczny sposób. Nie lepiej na początku, zanim zaczniesz nauki? Teraz już nie miał ochoty do żartów.

Tak, pomyślał, w końcu udało mi się zobaczyć druida, wprowadzie tylko w wizjach, ale...

Zobaczyć druida...

Jason zerwał się z płaszcza. To było właśnie to! Coś, czego nie mógł sobie przez dłuższy czas uświadomić.

Zobaczyć druida...

Dotarło do niego, że w wizji nie udało mu się ujrzeć twarzy. Pamiętał dokładnie, jak wyglądał Nazir, tak, jakby spotkał się z nim twarzą w twarz. Znał nawet jego myśli. Dostrzegął zupełnie nieistotne szczegóły, tak jak rzeczywiście kościsty, jak u chudej jałówki, tyłek Claire. Jednak gdy starał się sobie uświadomić, jak wyglądał druid, widział jedynie niewyraźną plamę pod kapturem. I oczy. Tylko oczy.

Pomimo że ostatnio starał się ograniczać wizje, poprzestając na słuchaniu słów Matcha, wczoraj poddał się im. Może dlatego, że poruszyły w nim dawne zainteresowania. Jednak teraz, gdy na chłodno analizował to, co zobaczył, stwierdził, że nie wie nic. Nic ponad to, co usłyszał.

Może to tylko zmęczenie. Może mój umysł zaczyna się bronić, wyobraźnia płata figle. Trzeba chyba powiedzieć Matchowi, pomyślał. Tylko po co, zamknie się znowu, wszystko trzeba będzie z niego znów wyciągać. Lepiej nie.

Ruszył z powrotem do swej stodółki. Trzeba się przespać.

Obudził go Match, z rozmachem waląc pięścią w deski. Jason zerwał się, jeszcze niezbyt przytomny zaklął szpetnie. Ściemniało się już, przespał cały dzień. Usiadł na posłaniu.

–I z czego się tak cieszysz? – spytał zgryźliwie, widząc uśmiech na twarzy Matcha.

Czego tak szczerzysz zęby, jak ten głupi do sera?

Sam zupełnie nie miał ochoty do śmiechu, czuł się paskudnie. Spał cały dzień, a wcale nie czuł się wyspany. Głowa pulsowała tęnym bólem.

Match przysiadł na słomie. Uśmiech zniknął z twarzy, wyglądał na lekko obrażonego. Jasonowi zrobiło się głupio.

–Przepraszam, Match – powiedział pojednawczo. Kręcił głową, próbując rozruszać zeszywniały kark. Chrupnęły kręgi, lecz kark wciąż był sztywny. Jason skrzywił się.

–Przepraszam – powtórzył. – Ale jeśli ktoś mnie z nagła obudzi...

–Z nagła – mruknął Match. – A kiedy zamierzałeś wstać, że tak powiem, normalnie? Jutro? Czy dopiero na sąd ostateczny, jak anieli na trąbach nad uchem ci zagrają?

–Match, odczep się, pozwól się pozbierać! Jeszcze chwila, a będziesz mógł sobie gadać, co tylko chcesz. Ale na razie daj spokój, bo ci jeszcze coś powiem, i po co...

Match zdecydowanie podniósł się ze słomy. Ruszył do wyjścia.

–Poczekam na zewnątrz – rzucił przez ramię. Zamknął za sobą skrzypiące odrzwia.

Mocno, aż znów zadudniły ściany stodołki.

Jason popatrzył za nim. Masz ci los, pomyślał, teraz naprawdę się obraził. Match wciąż go czymś zaskakiwał. Z ponurego zamyślenia potrafił nagle wpadać w żartobliwy, żeby nie powiedzieć frywolny nastrój, zaczynał gadać jak najęty, najczęściej o rzeczach zupełnie błahych i nieistotnych. Jason domyślał się, że jest to forma obrony, że Match stara się żarcikami i gadaniną bez sensu ukryć prawdziwe uczucia. Uczucia, których Jason się domyślał. Znał się wystarczająco na ludziach, by zdawać sobie sprawę, że Match pragnący za wszelką cenę uchodzić za gruboskórnego, prostego człowieka, skrywa pod tymi pozorami swą prawdziwą, wrażliwą naturę. Może nawet delikatną i marzycielską, przez cały czas pozostaje młodym chłopcem. Zgoda, pokłady nagromadzonego przez lata cynizmu, wszystkie przeżycia i ciosy, jakich nie szczędziło mu życie, pogrubiały tę zbroję, którą przez cały czas nosił. Ale i tak nie zdołał całkiem ukryć przed Jasonem swego prawdziwego ja.

A teraz ten człowiek, który z kamienną twarzą opowiada o swych przeżyciach i czynach, których się zapewne wstydzi i żałuje, opowiada o najskrytszych pragnieniach i namiętnościach głosem, w którym rzadko można wychwycić emocje... Teraz ten człowiek zdaje się być na serio urażony o byle co. Jason tylko pokręcił głową.

Zebrał się w końcu w sobie i wygramolił ostatecznie z posłania. Wyszedł przed stodołkę. Match nie odszedł daleko, czekał, siedząc na krawędzi koryta, używanego niegdyś do pojenia bydła. Obecnie, z braku takowego, rozeschnięte koryto leżało odwrócone na ziemi. Jason przysiadł obok, niemile zaskoczony wieczornym chłodem. Owinął się opończą.

Match milczał. Nie przeszło mu jeszcze, jak widać. I co, będziemy tak siedzieć, pomyślał Jason niechętnie. To na cholerę mnie budziłeś?

Aby przerwać milczenie, zaczął opowiadać, zupełnie bez sensu, o tym, co przytrafiło się z samego rana. O swojej nieproszonej wizji. Sam dziwił się sobie, nigdy dotąd nie zwierzał się nikomu z tak osobistych przeżyć. Rankiem był zupełnie wytrącony z równowagi, teraz jednak zaczął dostrzegać śmieszność całej tej idiotycznej sytuacji. Opowiadał więc gwooli poprawy nastroju.

Gdy kończył swą opowieść, zauważył, że Match wcale nie jest rozbawiony. Wręcz przeciwnie. Jakby to wszystko sprawiało mu osobistą przykrość. Jason pod jego

spojrzeniem zaczął się plątać, z trudem dokończył.

–I po co mi to wszystko mówisz? – spytał tylko oschle Match, gdy Jason wreszcie dotarł do końca.

Cholera, po co ja to wszystko mówię, zastanowił się Jason. Coś mi się widzi, że to nie był najlepszy pomysł.

–Bo wiesz, zdawało mi się... – zaczął niepewnie, nie wiedząc, jak wybrnąć. – To niech ci

się nie zdaje – uciął Match. – Nie interesują mnie cudze... Zamilkł w pół zdania. Jak to zwykle.

Nie interesują cię cudze problemy, bo masz dosyć własnych, dokończył za niego Jason, lecz nie na głos. Dobrze, nie chcesz, to nie, twoje prawo. Chociaż raz ty na odmianę mógłbyś mnie wysłuchać. Trudno, nie, to nie. Trzeba zmienić temat. Na twoje problemy, jeżeli już bardzo chcesz...

–Wiesz, Match, zastanawia mnie... – zaczął, myśląc o druidzie. O niepokojąco niepełnej

wizji.

Match zerwał się z koryta, stanął przed nim. Twarz miał ściągniętą złością.

–Posłuchaj! – wybuchnął. – To, że rozmawiamy o różnych sprawach... Że mówię ci to

wszystko... To tylko dlatego, że muszę! Sam, kurwa, wiesz, że muszę! Nie dlatego, że chcę się

przed kimś wygadać, wyżalić! To wszystko, kurwa, nie ode mnie zależy, i od ciebie też nie! Nie

potrzebuję powiernika, sam dobrze o tym wiesz!

Match zaciskał pięści, aż zbieleły kostki. Jason spoglądał zdetonowany. Nigdy go jeszcze nie widział w takim stanie, zawsze dotąd panował nad sobą.

–Ja nie mam przyjaciół, Jason – Match wciąż mówił podniesionym głosem, twarz

wykrzywił mu teraz szyderczy grymas. – Nigdy ich nie miałem, i nigdy nie potrzebowalem!

Teraz potrzebuję ciebie, ale tylko twoich zdolności, nic więcej!

Szarpnął Jasona za ramiona, poderwał ze spróchniałego koryta. Zaciskając ręce na ramionach, zbliżył twarz.

–Nic więcej, Jason – wysyczał wściekle. – Nic więcej! A to ci nie daje prawa...

Puścił nagle Jasona, aż ten z rozmachem siadł na korycie. O dziwo, spróchniałe, porożsychnane deski wytrzymały. Gniew Matcha zniknął tak nagle, jak się pojawił.

–To ci nie daje prawa... – powtórzył jeszcze raz cicho.

Jason rozcierał ramiona. Match chwycił go mocno, naprawdę mocno. Skrzywił się.

–Przepraszam, Jason – Match dostrzegł bolesny grymas. Jason spojrzał niechętnie. Match

nie powiedział nic więcej. Usiadł obok niego.

Ból powoli przechodził, Jason z ulgą stwierdził, że nie ma wykręconych barków. Wiedział wprawdzie, że gdyby miał, nie zdołałby unieść rąk. Jednak przez dłuższy czas miał takie właśnie wrażenie.

Dobrze, że nie miał pod ręką jakiejś pały, zauważył z przekąsem. Albo miecza. Nie, gdyby naprawdę chciał, to by mnie po prostu udusił. Potem by mu przeszło, ja bym leżał na ziemi z wywalonym ozorem, a on by powiedział „przepraszam”.

Sapał gniewnie. Co go, kurwa, napadło, zastanawiał się. Bez sensu, przecież dobrze wiedział. Tak, Jason, trzeba było trochę się zastanowić, zganiał się w myśli. No dobrze, ale żeby tak od razu... Jeszcze mu nie przeszło.

To Match przerwał w końcu milczenie.

–Jason, ja... – zaczął.

–Odpierdol się – usłyszał w odpowiedzi. Ramiona jeszcze bolały. Match usłuchał rady, zamilkł od razu. Jason zerknął ukradkiem, dostrzegł zaciśnięte szczęki, aż guzy wyskoczyły na policzkach.

–Przynajmniej na chwilę – złagodził trochę.

Posiedzieli tak jeszcze przez jakiś czas. Ból ramion zniknął w końcu, Jason uspokoił się. Zaczęła do niego docierać cała śmieszność tej sytuacji, cały idiotyzm. Cholera, obrażamy się jeden na drugiego, jak panienki z dobrego domu. W końcu, niespodziewanie dla samego siebie, roześmiał się głośno.

–Match, dajmy spokój – powiedział. – Przecież to bez sensu, sam dobrze wiesz. Ja nie o

tym chciałem, wierz mi. Niepotrzebnie tak na mnie wyskoczyłeś. Źle mnie rozumiałeś...

Zobaczył, że Match nie jest chyba do końca przekonany. Wciąż siedział ze wzrokiem wbitym ponuro w ziemię.

–Źle mnie rozumiałeś – powtórzył Jason. – Zgoda, rzeczywiście niepotrzebnie

opowiadałem ci to na początku, masz rację, gównu cię to wszystko obchodzi. Ale wbij sobie też

do głowy, że i mnie gównu obchodzą twoje osobiste przeżycia. Masz rację, nic mi nie daje

prawa, aby wtykać w to nos. Zdaję sobie z tego sprawę, możesz mi wierzyć, doskonale. Wiem,

że to nie należy do sprawy...

Popatrzył na Matcha, ten przecząco pokręcił głową.

–Nie – powiedział zdecydowanie. – Jednak należy. Nie będę cię przeproszał, bo zdaje się,

jest ci to całkiem na nic. Powiem tylko, że to ty masz niestety rację, jak najbardziej należy...

Jason nie zaprzeczył. To była prawda. I choćby bardzo nie chciał, musi wysłuchać o tym, jak się to skończyło. Musi zobaczyć. Zobaczyć z bliska, z bardzo bliska. Poczuć ból, żal i nadzieję. Nadzieję bez sensu.

Zrozumieć uczucie, które było przyczyną wszystkiego.

Uczucie bez słów, bez ciepła, bez deklaracji. Uczucie, które było martwe, zanim się narodziło. I nikt nie odszedł nieskrzywdzony.

VII

Ilu istnień czas jak jedna chwila zbiegł

Jak to dawno może tydzień może wiek

Na mój barłóg czas jak deszcz jesienny mży

Zmywa ślady moich łez i twojej krwi

I okrywa zwolna zapomnienia płaszczy

Noc, gdy pierwszy raz pluliśmy sobie w twarz

Śpiewaliśmy wtedy, szczęście – ja, ty – fart

Jak sztylety wbici w siebie aż do gard

Stanisław Staszewski. W czarnej

urnie.

Bez ciepła, bez słów, bez deklaracji. Bez obietnic. Bez marzeń, które można snuć o przyszłości. Bo tej przyszłości, nie było. Nie było jutra, była tylko chwila, która trwała. Na razie.

Chwila pełna uniesień i przeżyć, lecz pusta. Bo była tylko chwilą. Dalej, w przyszłości nie było nic. Zupełnie nic.

Nie było planów. Nie było wyszeptywanych do ucha skrytych marzeń. Była tylko namiętność. Gdy gasła, nie zostawało nic. Tylko żal. Tylko lęk. I nadzieja.

Nadzieja bezsensowna, bo bezpodstawna. Match nie potrafił przebić się przez pancerz, jakim otoczyła się Marion. Każde cieplejsze słowo, każdy nieopatrzny gest napotykał ledwie widoczne zmarszczenie brwi, spotykał się z nieprzebyłym murem. Jeszcze próbował. Choć sam nigdy nic takiego od niej nie usłyszał. Nigdy.

Łudził się, że jeszcze nie czas. Że kiedyś, wreszcie doczeka się. Był gotów czekać długo. Nie wiedział, że nie ma czasu. Że to ona podejmie decyzję, a jemu przyjdzie tylko się z nią pogodzić. Nie zaakceptować, tylko pogodzić. Mimo iż będzie to zła decyzja.

Wszystko się rozpada. Wszystko przecieka między palcami. Nic nie jest ważne. Tylko ona.

Gdy po raz pierwszy poczuł, jak zeszywniała mu w objęciach, nie wiedział, co myśleć. Nie powiedziała nic, jak zwykle, unikając wzroku.

–Nie – usłyszał tylko w końcu. Nie zrozumiał. Spróbował jeszcze raz, przygarnąć, pogłodzić włosy.

–Nie chcę – to było wszystko.

–Dlaczego? – zdołał tylko spytać. Żałośnie i głupio. Nie doczekał się odpowiedzi. Jeszcze nie wtedy.

Później dowiedział się więcej. Tłumaczenia i oskarżenia. Łzy i żal. Chyba szczerzy. Wtedy jeszcze tak.

A potem? Potem niezdarne próby. Tłumaczenia, prośby i błagania. W zamian coraz zimniejsze spojrzenie zielonych oczu. Już nie żal. Znużenie i złość. A na dnie coś, jakby nienawiść.

I wciąż głupia nadzieja. Że się zmieni. Że wróci to, co było.

Wszystko się rozpada. Wszystko przecieka między palcami. Nic nie jest ważne.

Do dziś.

W zielonych oczach już nie ma złości. Jest obojętność.

–Odchodzę, Match – za tymi słowami kryje się decyzja. Ostateczna i nieodwołalna.

Match nie pamiętał słów, jakie wtedy wypowiedział. Nigdy nie potrafił sobie ich przypomnieć. Czego jeszcze próbował. O czym mówił. Pamiętał za to odpowiedź, pamiętał aż za dobrze.

–Już nie mogę, Match. Nie mogę znieść ciebie. Twojej bliskości. Twoich starań. Duszę się

w tym wszystkim, jest mi ciasno, nie ma dla mnie miejsca... Mam dosyć, kiedy jesteś miły i

opiekuńczy, mam dosyć, kiedy jesteś zły... Match, muszę odejść. Zanim cię znienawidzę...

Ja już cię nienawidzę. Marion przymyka oczy, by nie pokazać złego błysku.

–...do końca.

Jeszcze raz te kilka słów. Może to do niej trafi.

–Mów za siebie, Match. Powinieneś zdawać sobie sprawę, że z mojej strony to wyglądało zupełnie inaczej.

–Ale przecież ty... – słowo nie chce przejść przez usta. Nigdy go nie wypowiedział. Nigdy na to nie pozwoliła.

Nic nie szkodzi. Nie potrzeba słów. Marion zrozumiała, jak zwykle.

–Match, pomyliłeś uprzejmość z czymś zupełnie innym...

To nieprawda. Mówi tak tylko, żeby zranić, żeby zakończyć tę rozmowę. To nie może być prawda.

To jest prawda. Może nie cała, ale zawsze.

Krąg zdawał się drzemać pod całunem gęstej, zimnej mgły zalegającej nad ziemią cienką warstwą. Głazy zapadnięte głęboko w mech, niektóre ledwie widoczne, inne wydzwignięte na

powierzchnię siłą niezliczonych zimowych mrozów i wiosennych roztopów lśniły wilgocią. Jak zawsze.

Ktoś, kto zabłąkałby się w ten zakątek puszczy, mógłby nawet nie spostrzec kręgu, nie uświadomić sobie, w jak niezwykle miejsce trafił. Młode drzewka rozpychały się w szczelinach głazów, gęste krzaki poszycia leśnego i grube wiekowe drzewa przesłaniały formę, w jaką ułożone były kamienie. Nie można było ogarnąć wzrokiem kręgu, można było dostrzec tylko kilka najbliższych kamieni.

Tak, przypadkowy wędrowiec miałby sporo trudności, by dostrzec, jak niezwykle to miejsce. Chyba, żeby trafił w sam środek kręgu.

Olbrzymi głaz, wyznaczający centrum już samym swym kształtem świadczył o tym, iż nie był dziełem natury. Wielki, płaski, ociosany w pięciokąt, sprawiał wrażenie, jakby to jakiś mityczny olbrzym położył go w samym sercu puszczy. Było w nim coś obcego, coś, co sprawiało, że nikt nie mógł spojrzeć na niego bez ściskania w gardle.

Lecz w to miejsce nie trafiali przypadkowi wędrowcy. Wręcz przeciwnie, ten mroczny zakątek omijano od wieków. Nie zaglądali tu myśliwi, drwale ani smolarze, całe życie spędzający w matecznikach Sherwood. Ci, co zbliżyli się nieopatrznie, zawracali zdjęci niewytłumaczalnym lękiem. Nie docierali nawet do zewnętrznego kręgu.

Zwierzyna leśna omijała również to miejsce. Poszycia nie przecinały ścieżki. Nawet ptaki nie przelatywały. Latem nie było słychać brzęczenia owadów.

Krąg drzemał od lat pod całunem gęstej, zimnej mgły. I czekał. Czekał od lat. Tylko głowy zapadały się coraz bardziej, kryjąc z wolna pod dywanem mchu.

Jazda na skróty nie jest najlepszym sposobem na przyspieszenie dotarcia do celu. Tę prostą prawdę Match powtarzał sobie w ostatnim czasie wielokrotnie. Zwłaszcza, gdy zobaczył na niewielkiej polance wystygłą już kupę końskiego nawozu i ogryzione kości. To był ślad ich niedawnego popasu. Niestety, przyznał z niechęcią, kręcili się w kółko.

Zaniedbał zwyczajnych sposobów odnajdywania drogi w nieznanach partiach lasu. Nie pamiętał, z której strony było słońce, gdy zjeżdżali z traktu. Zdał się na zapewnienia swego towarzysza, starego kłusownika, który zarzekał się, że zna ten las jak własne obejście. Ciekawe, czy w tym obejściu udaje mu się trafić za stodołę, pomyślał Match złośliwie, widząc teraz jego zakłopotanie.

Kłusownik zsiadł z konia.

–To przez niego – wskazał oskarżycielsko na swego wierzchowca. – Z chabety to ja nie widzę dobrze, ścieżek nie poznaję... Piechotą, to ho, ho!

–To prowadź go za sobą, jak ci wygodniej – odparł Match zimno. Zaczynał być zły. – Albo zostaw, wolna wola...

–Co wy, panie – zachnął się kłusownik. – Po co zostawiać. Ja tu zaraz się rozglądnę, wnet

drogę znajdę, poczekajcie ino...

Rzeczywiście, zaczął się rozglądać, zataczając coraz szersze kręgi wokół polanki. Wrócił po chwili, zaczął spoglądać w zasnute chmurami niebo, usiłując zobaczyć, gdzie może być słońce. Dłubał przy tym zawzięcie w nosie.

Match, nie mając nic innego do roboty, zastanawiał się, w jaki sposób ta nieskomplikowana czynność może pomóc do zorientowania się w położeniu słońca. Zdążyło się bowiem zupełnie zachmurzyć.

Kłusownik wyjął palec z nosa, przyjrzał mu się z uwagą. Tym samym palcem wskazał kierunek.

–Tam – oświadczył zdecydowanie. Match miał wątpliwości.

–Stamtąd właśnie przed chwilą przyszliśmy – powiedział z powątpiewaniem.

Kłusownik nie dał się zbić z tropu. Oczywiście, jeżeli w ogóle wpadł na jakikolwiek trop. Match srodze w to powątpiewał. Słuchał jednak wyjaśnień.

–Bośmy przyszli, panie – niewydarzony przewodnik miał w głosie niezachwianą pewność. – Aleśmy dobrze szli. Tylko tam, wedle tych trzech buczków...

Jakich buczków, do cholery? Match widział dookoła same buki.

–Wedle tych trzech buczków, to trza było k'sobie skręcić. K'sobie, a nie od się! – dokończył kłusownik triumfalnie.

Niech ci będzie, pomyślał Match. Chyba przyjdzie zanoćować w lesie. A może nie, dzień już długi, może jaki trakt znajdziemy, odegnał niewesołe myśli.

–Prowadź! – powiedział zrezygnowany. Ale jak jeszcze raz trafimy na tę polankę, to mu w

końcu dam po łbie, może mu się rozjaśni, zdecydował.

Wbrew obawom Matcha znaleźli trzy sławetne buczki. Kłusownik w szerokim uśmiechu pokazywał zęby. Wszystkie cztery. Skręcili w prawidłową stronę, k'sobie, a nie od się. Droga była łatwa, bukowy las był rzadko podszyty, jechało się dobrze po grubym dywanie zeschniętych, wieloletnich liści. Wkrótce znaleźli coś, co kiedyś, przed laty mogło być ścieżką.

Po dłuższej chwili, gdy nie napotkali przeszkód ani nie znaleźli się z powrotem na dobrze znanej polance, przewodnik całkiem odzyskał rezon.

–Teraz to już wiem, gdzie my są – uśmiechnął się radośnie. – Ba, cały czas żem wiedział,

ino koń, bydlę głupie... Ja się w lesie nie gubię...

Match nie podjął rozmowy na temat końskiej głupoty. Nie był przekonany, czy tylko koń jest głupi. Droga lekko opadała, z bukowego lasy wjechali w olszyny.

–Bo tam, wiecie – przewodnik wskazał gdzieś za siebie. – Za nami, to jest Zgnilcowe Oparzelisko. A wzięło się to stąd, wiecie, że był u nas we wiosce kiedyś chłop taki, co Zgnilec miał za przezwisko. Trzeba wam, panie, wiedzieć, że to z kolei wzięło się stąd...

–Zaczekaj – przerwał Match bezceremonialnie. Nie był ciekaw historii chłopca zwanego Zgnilcem. – Za nami, mówisz, oparzelisko. A przed nami?

–A, przed nami – przewodnik przerwał, urażony, swą opowieść. Zaraz jednak

rozpromienił się znowu. – Przed nami, to już tylko traktu patrzeć. Prosta droga, jak sierpem

rzucił, ino jeden zakręt będzie, potem drugi i tylko... tylko...

Urwał i gapił się przed siebie z głupio rozdziawioną gębą.

–Tylko co przed nami robi ta rzeczka? – dokończył za niego Match.

Przewodnik nie odpowiedział. Rzeczka zaś, jak to rzeczka, meandrowała sobie leniwie wśród wysokich kęp soczystej trawy i sitowia. Brzegi miała podmokłe, niedostępne. Nigdzie brodu.

–Co radzicie, dobry człowieku? – spytał Match z podejrzanym spokojem. Kłusownik wysmarkał się z zastanowieniem. Widać było ciężką pracę umysłową. Po chwili małe oczka zaślniły żywo.

–Pojedziemy z biegiem – oznajmił optymistycznie. – Rzeczki, znaczy... Jasne, pomyślał Match. Rzeczka kręci tak, że ryby o mało nie wypadają na zakrętach, brzegi podmokłe, zwalone kłody, dokoła pewnie bagna. A my sobie pojedziemy z biegiem. Ech, dałbym ci w ten głupi łeb...

–Jak was zowią, mój dobry człowieku? – spytał zamiast tego niesłychanie wręcz łagodnie. – Bo czegoś zapomniałem...

Kłusownik zdziwił się.

–Jestem Luke, panie – odparł skwapliwie. – A nazywają mnie Jaźwiec. Bo wiecie, to się wzięło stąd...

–Nie wiem – uciął Match. – I nie chcę wiedzieć. A ty zakarbuuj sobie, że za chwilę to bagno może się nazywać Jaźwcowym Oparzeliskiem. Na pamiątkę tego, jak cię w nim utopiłem, poderżnąwszy wprzód gardło. Chyba że...

–Że co? – spytał z nadzieją Luke alias Jaźwiec.

–Chyba że przestaniesz pieprzyć głupoty. I pojedziesz za mną. Teraz zawrócimy, pojedziemy do trzech buczków, a potem do polanki. A z niej udamy się w stronę

przeciwną...

Na polance nic się nie zmieniło. Trafili bez trudu, skręciwszy wcześniej wedle trzech buczków.

Match zastanowił się. W zasadzie można by tu przenocować, miejsce niezłe, suche. Noc nie powinna być zbyt zimna. Nie chciało mu się włączyć po lesie, nigdzie się dziś nie spieszył. Jedyne, co odstręczało go od tego pomysłu, to towarzystwo kłusownika.

Luke czy też Jaźwiec, jak kto woli, rozgadał się bowiem straszliwie. Mimo iż Match w żaden sposób nie sprawiał wrażenia, że jest zainteresowany, musiał jednak wysłuchać historii Zgnilca. Można ją było streścić w jednym zdaniu – pijany chłop poszedł zimą zastawiać wnyki

i utonął w oparzelisku. Historyjka może pouczająca, z morałem, ale mało oryginalna. W każdym razie nie na tyle, by przykuć uwagę słuchacza.

Kłusownik nie cenił sobie zwięzłości. Opowieść rozpoczął od przedstawienia szczegółów życia rodzinnego rzeźzonego Zgnilca, ze szczególnym uwzględnieniem komu we wsi i jak często dawała jego małżonka. Długo rozwodził się nad stanem zwierzyny płowej w tych partiach lasu, gdzie zastawiał wnyki bohater historii. Co mówiły jego liczne dzieci, gdy nie wracał przez długie ranki i wieczory. Jakie było ostatnie słowo Zgnilca, wypowiedziane w chwili, gdy pogrążył się w bagnie, a nieogoloną gębę miał jeszcze nad powierzchnią.

Match słuchał jednym uchem, nie zachęcając kłusownika żadnymi pytaniami ani nawet spojrzeniem. Cały czas miał nadzieję, że opowieść już zmierza ku nieszczęśliwemu w tym wypadku końcowi. Usłyszawszy końcowy fragment nie zdzierzył jednak. Wstrzymał konia.

–Zastanówcie się, dobry człowieku – powiedział z ironią. – Zastanówcie się, co tu gadacie. Przed chwilą mówiliście, że gdy topił się w oparzelisku, to wzywał pomocy, która znikąd nie mogła nadejść. Bo poszedł te pieprzone wnyki zakładać sam. I tylko głos wołający o pomoc odbijał się echem w puszczy, jak byliście łaskawi powiedzieć... Tak było?

–Ano tak było! – skwapliwie potwierdził Luke, rad z uważnego słuchacza.

–To powiedzcie mi, skąd u diabła wiecie, co powiedział na koniec? – spytał jadowniczo Match.

Luke nie stropił się ani na moment.

–A co taki chomąt mógł powiedzieć? – zdziwiony nieco spytał. – No pomyślcie sami...

Rzeczywiście, pomyślał Match, co mógł powiedzieć? Nietrudno zgadnąć. Odeszła mu

ochota do dalszej dyskusji.

Zachęcony powodzeniem kłusownik zaczął następną historię. Match nie słuchał, na szczęście dojeżdżali do polanki. Luke urwał w pół zdania.

Match zsiadł z konia, przysiadł na suchych liściach. Nie miał specjalnie pomysłu, dokąd dalej. Pomysł pojechania w przeciwną stronę był niezły, biorąc pod uwagę, że informacje przewodnika jak dotąd nieuchronnie prowadziły na manowce. Ciągle jednak byłaby to próba na chybił trafił.

Może zostać? Poczekać do rana, może się roz pogodzi, będzie łatwiej. Nie, nie można, samym gadaniem mnie wykończy, zdecydował Match w końcu. Do wieczora jeszcze daleko.

Wszystko się pieprzy, pomyślał ze złością. Wszystko idzie nie tak. Odkąd...

Odkąd odeszła. Tak, uświadom to sobie wreszcie, ty ślepy durniu. Nic już z tego nie będzie...

Nie mógł się z tym pogodzić, mimo iż Marion nie dała żadnej nadziei. Spaliła mosty, nie dając nic, czego mógłby się uchwycić. To było nieodwracalne. Sama tak powiedziała. Ze złością.

Mimo to wciąż miał nadzieję. Nadzieję zupełnie irracjonalną, że może zmieni zdanie, może zastanowi się... Może pojmie, co straciła... Bo czegoś takiego nie znajdzie już nigdy...

Wciąż rozmyślał nad rozmową, tą decydującą rozmową, w której wszystko zostało powiedziane. W której nic nie zostało oszczędzone. Po raz setny obracał w pamięci usłyszane słowa. I te, które sam powiedział. Nie znajdował nic nowego.

Nic nowego...

Nic...

Kobiety nie wracają, Match. To mężczyźni przywloką się na kolanach, będą błagać o wybaczenie, zrozumienie błędu, który popełnili. Bo już sami rozumieją. Kobiety nie wracają... Nigdy...

To, co usłyszał od minstrela Roberta wciąż wracało. To była prawda. Wiedział o tym.

Wiedział, ale wciąż nie chciał uwierzyć. Ani wtedy, gdy to usłyszał, ani teraz.

Marion nie mogła tak myśleć. Nie mogła tak zrobić. Nie ona.

Z zamierzonym okrucieństwem rzuciła w twarz słowa, o których wiedziała, że zranią do głębi. Zranią najskrytsze uczucia, poczucie własnej wartości. Miały zranić. Celowo i skutecznie.

Nie mogła tak myśleć. Naprawdę, nie mogła... Kłamała... Na pewno kłamała...

–Panie?

Uniósł głowę. Czego ten znowu chce? Odczepcie się ode mnie wszyscy!

–Panie, co wam? – kłusownik pochylił się. – Chórzyście?

Match spojrział nieprzytomnie, zastanawiając się, kim jest ten szczerzący spróchniałe pieńki typ z zarośniętą gębą. Przez chwilę nie mógł sobie uświadomić, gdzie jest, ani co tu robi. Z trudem wrócił do rzeczywistości.

–Nic – wychrypiał. – Już nic... Luke uradował się szczerze.

–Bo wiecie, panie, tak zbledliście – powiedział z ulgą. – Pot wam wystąpił na czoło, i oczy mieliście takie, no, błędne...

Match wstał. Przetarł czoło, rzeczywiście zroszone potem. Ze złością wytarł rękę w kaftan. Jeszcze do tego wychodzę na idiotę, i to wobec takiego... Nie była to wesoła myśl. A zresztą, wszystko mi jedno...

–Juzem myślał, że febra was chwyta – rozgadał się znów Luke. – A tu ratunku nijakiego,

dla nas, w puszczy zagubionych...

Proszę, proszę, zauważył Match mimo woli. To już jesteśmy zagubieni. A jeszcze nie tak dawno mówiłeś, że się w lesie nigdy nie gubisz... Rzucił przewodnikowi niechętnie spojrzenie. Nie zrobiło to większego wrażenia. Luke nie zamierzał się zamknąć.

–Takeście się, panie, zwinęli, że ażem myślał, że was dreszcze trzęsą. A to, chwalić Boga,

nie febra. Wiecie panie, tak se myślę, u nas we wsi woda niedobra... Nie martwcie się, to może

być zwykła sraczka...

Match ruszył do przodu, nie oglądając się za siebie. Obawiał się, że jeśli jeszcze chwilę posłucha, to zatłucze Jaźwca jak psa.

Udanie się w stronę przeciwną nie rozwiązało sprawy. Zrobili już ładny kawałek

drogi, wciąż nie natrafiając na żaden trakt ani ścieżkę. Co gorsza, las gęstniał. Nisko zwieszające się gałęzie uniemożliwiały jazdę, trzeba było prowadzić konie.

Mimo iż widać było, że nie jest to najlepszy kierunek, Match postanowił nie zawracać. Wszystko było lepsze od kręcenia się w kółko. Obawiał się tylko, by gęstwina nie stała się tak duża, by nie można było prowadzić koni.

Luke początkowo próbował wtrącać swe uwagi i rady, lecz gdy Match zmierzył go kilkakrotnie bez słowa zimnym spojrzeniem, w końcu zamilkł. Zauważył, że Match jest coraz bardziej zły. Nietrudno zresztą było, Match nie silił się na ukrywanie swego nastroju. Kłusownik włókł się więc markotnie z tyłu, cierpiąc wyraźnie z powodu wymuszonego milczenia.

Skończyły się buczyny, weszli w partie porośnięte sosenkami i brzoźami. Marsz stał się trudniejszy, nogi więzły po kostki w miękkim mchu. Powalone, spróchniałe pnie przegradzały drogę, trzeba było je przekraczać, a gdy były zbyt duże, obchodzić. Match starał się przy tej okazji nie zbaczać z wybranego kierunku. Miał nadzieję, że się to udaje. Niezbyt wielką.

Kolejny pień zagroził drogę. Match zaklął, rozglądając się. W dodatku nie mając obejść, z jednej strony splątane chaszczce, z drugiej wykroty. Nie ma rady, trzeba się cofnąć. Obejrzał się, oceniając jak daleko. Zaklął znów. Daleko.

–I co się tak gapisz? – naskoczył na kłusownika. – Bierz konia i zawracamy. Trzeba to obejść.

Luke pocierał zarośniętą szczękę. Chciał widocznie coś powiedzieć. W końcu wzruszył tylko ramionami, szarpnął konia za uzdę. Zawrócił posłusznie. Match poszedł za nim. Wyprzedził go po chwili, wskazał bez słowa kierunek. Również bez słowa Luke skręcił. Splunął tylko.

Match wybrał wykroty. Poszli wzdłuż leżących jedno na drugim zwalonych, martwych drzew. Mijali sterczące w górę, poskręcane korzenie, głębokie, wyrwane w ziemi doły. Pas wiatrołomów ciągnął, zda się, bez końca. Match zaczął się zastanawiać, czy trafnie wybrał, czy nie lepiej było obejść te krzaki z drugiej strony. Nie mógł wiedzieć, młode drzewka skutecznie ograniczały widoczność, jednak zły był coraz bardziej. W końcu z ulgą zauważył, że pas wiatrołomów nie kończy się wprawdzie, ale skręca coraz bardziej w kierunku, który wydawał mu się właściwy. Tak, to był chyba ten kierunek.

Teraz zaczął się zastanawiać, co, u licha mogło powalić te wszystkie drzewa. Wiatrołomy były stare, sądząc z tego, jak bardzo zarosły już mchem wyrwy po korzeniach, jak bardzo mech pokrył obalone pnie. Ogromne huby, rosnące równoległe do pni świadczyły o tym, że wyrosły już wtedy, gdy drzewa leżały. Co

najmniej kilkanaście lat, ocenił Match. Albo nawet kilkadziesiąt.

Co jednak mogło je wszystkie powalić? Nie padały ze starości, spróchniałe, stoczone przez szkodniki. Wszystkie padły w jednym kierunku, tam, gdzie niektóre pnie pękały przy upadku,

widział zdrowe niegdyś drewno, bez żadnych wypróchniałych dziupli. Match rozejrzał się. Tuż obok takie same drzewa rosły sobie spokojnie. Jakby nieznaną katastrofą przeszedł obok, zostawiając je nietknięte.

Match zaintrygowany chciał zwrócić uwagę Luke'a na to niecodzienne zjawisko. Spostrzegł nagle, że gadatliwy przewodnik nagle zamilkł. Przestał nawet smarkać w palce.

Właśnie brak tego odgłosu, do którego zdążył się już przyzwyczać, zaniepokoił Matcha. Zatrzymał się, poczekał aż Luke zrówna się z nim. Spojrzał na niego.

Luke był śmiertelnie blady pod szczeciniastym zarostem. Rozglądał się niespokojnie. Konia wiodł jedną ręką, drugą dłoń kurczowo zaciskał na wiszącym na szyi, widocznym spod rozchełstanej koszuli skórzanym woreczku. Ścisnął tak, aż naprężony rzemyk, na którym zawieszony był woreczek werznął się głęboko w szyję. Bieleły kostki zaciśniętej, brudnej dłoni.

–Jaźwiec, co ci? – spytał Match z niepokojem. Bez odpowiedzi. Kłusownik sprawiał wrażenie, jakby nic nie usłyszał. Zatrzymał się, wpatrując w jakiś punkt w gałęziach drzew przed nimi.

–Jaźwiec! – Match potrząsnął go za ramię. Jak obudzony ze snu kłusownik wolno obrócił ku niemu twarz. Spojrzał i znów odwrócił się z powrotem.

–Tam – wyszeptał znów, patrząc na oddalone o kilkadziesiąt kroków gałęzie. Match poszedł za jego wzrokiem.

Dość rzadko porośnięty fragment lasu zamykała ściana stłoczonych, rosnących jeden przy drugim wiązów. Splątane gałęzie z dużymi już liśćmi tworzyły gęstwiny, której niepodobna było przebić wzrokiem. Match wstrzymał oddech.

–Tam, w gałęziach... – wionął mu w ucho chrapliwy szept.

Sięgnął po omacku, rozwiązał rzemyki troczące łuk do siodła. Mozolił się chwilę z opornym węzłem, radząc sobie jedną ręką. Nie chciał odrywać wzroku od zielonej gęstwiny przed sobą. Wreszcie się udało. Wyciągnął łuk, nałożył wydobytą z kołczanu na plecach strzałę na cięciwę. Na ugiętych nogach, skradając się, ruszył do przodu.

Przeszedł kilkanaście kroków, zatrzymał się, nie odrywając wzroku od drzew. Żadnego poruszenia. Nic.

Usłyszał za sobą trzask łamanych, suchych gałązek. Nie odwrócił się. Zdążył już zauważyć, jak hałaśliwie kłusownik porusza się w lesie. Po chwili Luke stanął przy nim.

–Tam nic nie ma – szepnął Match, nie odwracając na wszelki wypadek wzroku od ściany

drzew. Żadnej odpowiedzi. Spojrzał w końcu na Jaźwca.

Kłusownik wciąż wpatrywał się w jeden punkt. Match powtórzył głośniejszym głosem:

–Luke, tam nic nie ma...

Wolno, bardzo wolno Luke odwrócił głowę. Puścił woreczek zawieszony na szyi. Odprężył się w końcu, zgarbił.

–Zdawało mi się – mruknął. Przetarł ręką twarz. – Zdawało mi się – powtórzył.

Wrócił do konia, którego zostawił za sobą. Match spuścił napiętą cięciwę. Dopiero teraz spostrzegł, że przez ten cały czas ścisnął napięty łuk. Po chwili ruszyli dalej.

W gęstwinie wiązów chyba rzeczywiście nic nie było. Albo, jeśli było, to już odeszło. Z bliska pnie nie wyglądały na rosnące tak gęsto, można było bez trudu przejść prowadząc konie, nie obchodząc kępy dokoła. W mroku pod koronami drzew nic nie rosło, szli po grubym dywanie zeschniętych liści. Kłusownik rozglądał się niespokojnie, przepatrywał gałęzie. Match klął cicho pod nosem, spoglądając na Jaźwca z niechęcią. Najpierw zgubił drogę, teraz ma zwidy...

Wiązy skończyły się, stracili z oczu pas wiatrołomów. Weszli w suchy, rosnący na piaskach sosnowy las, przetykany młodymi brzoškami. Szło się lepiej.

Pomimo to Match zauważył, że Jaźwiec coraz bardziej zwalnia, rozglądając się niespokojnie. Gdy zostawał w tyle, podbiegał gwałtownie, najwidoczniej nie chcąc iść sam. Pomny złości Matcha, nie ośmielał się na razie nic mówić, ale widać było, że czuje się coraz bardziej nieswojo. Co go teraz ugryzło, zastanawiał się Match. Przeszliśmy już najgorsze, teraz jest lżej. Pewnie niedługo trafimy na jakiś trakt.

Wiedział, że puszczańskie trakty omijają zazwyczaj takie uroczyiska, jakie przed chwilą przeszli. Wiedział też, że wbrew pozorom, mimo całej niedostępności i dzikości lasu Sherwood, drogi i ścieżki wcale nie są tak rzadkie. Na obrzeżach i w samym lesie było wiele wiosek, w puszczy żyli bartnicy i smolarze. Wbrew wszelkim zakazom prowadzono nielegalny wyrąb. Prowadzono polowania. Prędzej czy później

trafią na jakąś drogę. Przeszli już przecież daleko na przełaj przez las.

Drogę zagroziła im piaszczysta wydma. Match postanowił nie obchodzić jej, a wspiąć się na grzbiet. Wyglądała na tyle wysoką, że były szansę, iż coś stamtąd zobaczą. Choćby dalekie dymy, co pozwoli im przynajmniej obrać właściwy kierunek.

Zbocze wydmy było łagodne, nie zapadali się w piach porośnięty suchą trawą, pokryty igliwem. Wkrótce byli na szczycie. Powiało przejmującym chłodem. Match spojrział, słysząc za sobą, jak kłusownik wciąga głośno powietrze, jakby się zachłysnął.

Przed nimi, u stóp wydmy, rozciągała się rozległa kotlina. Ledwie widział przeciwległe zbocza. Była regularnego kształtu, prawie idealnie okrągła.

Mimo ciepłego dnia i wczesnej jeszcze pory całą kotlinę zalegała gęsta mgła. Wystawały z niej jedynie czubki drzew, ostre, ciemne sylwetki świerków, sprawiające wrażenie niezwykle ciemnych na tle szarej mgły, jasne korony brzoź.

Z kotliny wiało chłodem. Nieokreśloną grozą i smutkiem.

Match wstrząsnął się mimo woli.

I czymś znajomym. Czego nigdy nie widział, ale co znał. Wiedział, że na pewno zna. Nie mógł oderwać oczu od kłębiącej się w dole mgły. Miał wrażenie, że mgła wolno wiruje, obraca się wokół. Wolno, bardzo wolno... Przyciągała go, wzywała do siebie. Czuł to, czuł całym sobą.

Z tyłu dobiegło żalosne pochlipywanie. Odwrócił się niechętnie. Czego ten znowu...

Luke siedział, bezradnie zwiesiwszy ramiona. Wpatrywał się w kotlinę, nawet nie próbując ocierać płynących łez ani usmarkanego nosa. Match nie zdziwił się, widząc starego chłopca, łkającego jak dziecko, widząc łzy ściekające po siwym, szpeceniastym zaroście. Czuł niejasno, że Luke ma do tego powody.

Kłusownik spojrział zażalonymi oczami. Nie próbował nawet opanować wstrząsającego nim szlochu. Próbował coś powiedzieć, lecz tylko zabelkotał coś niezrozumiale.

Match kucnął przed nim, z rozmachem uderzył w zarośnięty pysk. Jaźwcowi zadzwoniły nieliczne zęby, ale nie przestawał szlochać. Match poprawił z drugiej strony. Wreszcie pomogło, teraz tylko pociągał nosem. Spoglądał błędnym wzrokiem. Za chwilę jednak wargi, z których pociekła strużka krwi z przygryzionego języka wykrzywiły się znowu. Match ponownie uniósł rękę.

–Mów – przykazał groźnie. – Mów, o co chodzi, bo jak ci zaraz przy...

Nie musiał kończyć. Jaźwiec wyteńczył wszystkie siły, zebrał się w sobie. Chyba nawet aż za bardzo, prosto z rozpaczy wpadł w rezygnację.

–Nie wyjdziemy stąd – powiedział niewyraźnie, na wargach pękł bąbelek krwawej śliny. –

Nie wyjdziemy...

Zaśmiał się, dziko tocząc oczyma. To na nic, pomyślał Match ze zniechęceniem, nie powie nic rozsądnego. Jest w szoku. Wstał, odwrócił się. Mglista kotlina miała na niego dziwny wpływ. Przyciągała, powodowała, że wpatrywał się z napięciem w kłębiącą się, wolnym ruchem wirującą mgłę. Tak obcą. Tak niesamowitą. Tak groźną.

I tak znajomą...

Czuł, że musi tam zejść. Zanurzyć się w tę mgłę. Że tam, na dole, w wilgotnym, zimnym oparze coś jest. Coś, co drzemie od wieków i czeka...

Czeka...

Na niego?

Tak, na mnie, powiedziało coś wyraźnie w głębi umysłu. W tej głębi, z której istnienia nawet nie zdawał sobie sprawy. Która, jak uświadomił sobie właśnie w nagłym przebłysku, zawsze tam była. Brzemienna w niepojęte jeszcze doświadczenia.

Powoli, krok za krokiem począł zstępować po zboczu wydmy. W zimną mgłę. Naprzeciw temu, co było przeznaczone. Od urodzenia. Od wieków. Od zawsze. Gonił go dziki wrzask.

–Dokąd?! Panie, dokąd?! Tam śmierć!

Kłusownik zerwał się na nogi, zachłystywał się krzykiem, aż grube żyły o mało nie pękły mu na skroniach.

Śmierć, obracał Match w myśli to słowo, jakby dziwiąc się jego brzmieniu... Śmierć... I dobrze! Równie dobrze można teraz... Po co tak dalej, po co?

Uważnie stawiał nogi. Chciał dotrzeć na samo dno, niech się dzieje, co chce. Nie chciał skręcić nogi na wystających korzeniach. Coraz niżej, coraz chłodniej.

Zatrzymał się. Spojrzał, mając głowę tuż nad powierzchnią mgły. Płynęła równo, okrążając kotlinę. Patrząc miał wrażenie, że tak płynie już od wieków. Nie wrażenie, pewność. Luke opadł na czworaki, krzyczał, plując śliną zmieszaną z krwią.

**–Stamtąd nikt nie wyjdzie! Tam nie wolno! Wracaj, ten, kto to zobaczył już nie żyje!
Nie**

żyje! Ja już też nie żyję!

Bezskutecznie. Match zniknął już w kłębach szarej, mokrej mgły. Kłusownik zastygł na czworakach, zwiesił głowę. Z poruszających warg zwisały krwawe nitki śliny.

–Nikt, kto widział, nie żyje – mamrotał, już tylko do siebie. – Nikt. On nie żyje. Ja nie żyję...

Zaniósł się histerycznym śmiechem.

–Już po nas – powtórzył cicho, dławiąc się własnym skowytem.

Gęsty tuman otulił szarą zasłoną Matcha, przez chwilę szedł na oślep. Czuł drobne, zimne kropelki osiadające na twarzy, wilgoć spływającą po włosach. Nie bał się. Trzeźwa część umysłu zastanawiała się przez mgnienie oka nad tym zadziwiającym faktem. Tylko przez mgnienie. Szybko uległa napierającym wspomnieniom. Wspomnieniom?

Wiedział, co znajdzie tam, na dole, w samym środku kotliny. Wiedział, dokąd iść, nawet nie patrząc. Wiedział, że dojdzie.

Wciąż schodził po zboczu. Mgła rzedła z wolna, nie była już jednolicie białą zasłoną, dostrzegał przejaśnienia. Wkrótce zbocze skończyło się, doszedł do płaskiego dna kotliny. Mgła wisiała nad nim równą warstwą, mżąc drobnymi kropelkami. Pod nogami miękko uginał się dywan mchu. Widział pnie drzew, niknące w mgle, lśniące od wilgoci, jak słupy podpierające szare, ciężkie sklepienie.

Sylwetki jałowców, prawie czarnych w tym mętnym świetle, nabierały fantastycznych kształtów. Zdawały się rozstępować przed nim jak milczący strażnicy. Już niedaleko.

Złowił ruch kątem oka. Trzeźwa część umysłu kazała się obrócić, ręka odruchowo sięgnęła do rękojeści miecza. Doń chwyciła próżnię, miecz został na górze, przytroczony do siodła. Wpatrzony w niego zielone oczy. Miecz ci niepotrzebny, Match, zdają się mówić. Nie wszystko da się zabić mieczem...

...Na pewno nie pamięć. Na pewno nie... miłość?

Zielone oczy spoglądają zimno. To nie miłość, Match, pomyliłeś...

...Pomyliłeś wdzięczność z czymś innym...

Kasztanowate włosy opadają na twarz, zasłaniają spojrzenie. W którym mógł dostrzec... gniew? Znużenie? A może... litość?

...Dlaczego? Dlaczego tak?

...To tylko... namiętność... Nic więcej... Nic...

...Spójrz na mnie... Przecież... szkoda...

Zielone oczy wypełniają się łzami.

...Tak, szkoda...

Zimna mgła spływa wilgocią po twarzy. To nie łzy, to tylko mgła. Wyciągnięta ręka dotyka tylko pustki. To tylko mgła...

Jak zimno. Jak pusto. Jak cicho. I nigdy nie będzie inaczej. Już nigdy.

Kroki miękko grzęzną w grubym, uginającym się mchu. Dalej, do samego środka. Już niedaleko. Mgła nad głową wiruje coraz szybciej, jakby ktoś chochlą mieszał w olbrzymim kotle. Strzępki przepływają przed twarzą, prawie dotykalne.

Szary pułap nad głową skręca się w spirale, rwie. Między wirującymi pasmami prześwituje niebo. Na mchu tańczą jasne plamy światła... Coraz więcej. Coraz szybciej...

...Jasne cętki światła padającego przez gałęzie szalasu tańczą na nagiej skórze. Miedziane błyski we włosach. Wplecione w siebie dłonie zaciskają się aż do bólu...

Słoneczne cętki zamierają, prawie w bezruchu, poruszane tylko oddechem. Zielone oczy, dalekie, nieobecne...

...Marion, ja...

Ledwie widoczne drgnienie twarzy, prawie niedostrzegalny grymas. Lekki przeczący ruch głowy...

...Marion, ja naprawdę...

...Nie, Match... Nie...

...Podeszwa buta zgrzyta na kamieniu. Mokry, śliski głaz wystaje ponad mech jak grzbiet przyczajonego zwierza. Obok następne, wrośnięte w mech, ogromne. Znaczące zarys kręgu.

Nie idź tam! Nie idź!

Ktoś krzyczał? Tu nikogo nie ma, tu nikt nie przyjdzie, nikt...

Oprócz mnie...

Mgła nad głową wiruje jak oszalała w bezwietrznej ciszy. Już widać. Powietrze drży nad głazem wyciosanym w kształt pięciokąta. Jak nad rozpalonym słońcem piaskiem w upalne południe. Mgła zaczyna uciekać na boki, nad głazem widać już krąg wolny od szarych oparów.

Match zatrzymał się, otarł z twarzy zimne krople. Spojrzał w górę. Zaczęła wracać jasność myśli. Odeszły zwidy.

Zobaczył, że nad okrągłym otworem uformowanym w środku mglistego wiru przeziera błękitne niebo. W ciężkich chmurach formował się okrągły otwór, odepchnięte na boki wirowały jak mgła nad kotliną.

Oślepiiony jasnym błękitem nieba zmrużył oczy, pod powiekami przelatywały czerwone plamy.

–Co dalej? – pomyślał. – Po co tu zszedłem, jaki jest cel tego wszystkiego? Wiedział, że cel istnieje. Był tego pewien. Od dawna, od urodzenia.

Od zawsze.

Był blisko, na wyciągnięcie ręki.

Całe życie. Całe życie dla tej jednej chwili. Wszystkie życia przedtem... Cały ten łańcuch istnień, ukryte gdzieś głęboko namiętności, lęki, pragnienia. Wszystko to służyło...czemu?

–Decyzji! – coś wymówiło wyraźnie. Rozejrzał się oszołomiony. Nikogo dokoła.

–Pospiesz się – rozbrzmiało dobitnie wewnątrz czaszki. – Już czas!

–Na co? – chciał spytać.

–Na twój wybór... – odpowiedź była taka, jakiej się spodziewał. Że będzie taka, a nie inna. Musiała taka być, już dawno tak postanowiono...

Kto? On sam, kiedyś, dawno. Nie ten sam, ale taki sam... Ten, który nie doczekał... Który musiał jeszcze czekać. Czekać długo, bardzo długo...

Już się nie wahał. Już zdecydował. Choćby miało to oznaczać...

...śmierć? A czym jest śmierć?

Wolno wyciągnął ręce, położył je na płaskiej powierzchni głazu. Była mokra. Szorstka. I zimna. Poczuł delikatne drgania, wibrację dochodzącą gdzieś z głębi...

Błysk. I ciemność.

Luke, wciąż klęczący na krawędzi doliny poczuł drżenie ziemi. Zdażył zobaczyć jasny błysk, który błękitnym kręgiem rozpełzł się po powierzchni wirującej mgły. Straszliwy ból przeszył go całego, ból, który ścisnął czaszkę, jakby za chwilę miała pęknąć.

Zacisnął powieki, zerwał się i popędził na oślep, za siebie. Biegł, potykając się, gramoląc na czworakach, znów podrywając na nogi. Nie czuł gałęzi chlaszczących go po twarzy, tnących skórę na czole i policzkach. Nie poczuł nawet, jak uderzył głową w pień, który wyrósł nagle prosto przed nim. Leżał chwilę oszołomiony, poderwał się znów, pobiegł. Wył jak zwierzę. W tym głosie nie było już nic ludzkiego.

Wył jak ktoś, kto postradał zmysły.

Tak było w istocie. Już do końca życia miał nie odzyskać rozsądku. To, co zobaczył, czego doświadczył, uczyniło w jego umyśle nieodwracalne spustoszenia. Do końca życia miał pozostać przerażonym zwierzęciem, zdolnym jedynie do krzyku, do panicznej ucieczki. Do końca życia miał nie opuścić go tępy ból, który zagnieździł się pod czaszką. Do końca życia...

Miał też szczęście. Nie trwało ono już zbyt długo.

Mgła nad kotliną rozwiała się, jakby nigdy jej nie było. Z grzbietu wydmy można było zobaczyć zieloną, porastającą kotlinę gęstwinę drzew. Niebo zaciągnęło się chmurami.

Match leżał na wydmie, wciskając głowę w piach pod cienką warstwą suchego igliwia. Tuż przed oczyma widział czerwoną mrówkę z wysiłkiem niosącą sosnową igłę. Jak gdyby nigdy nic.

Uniósł głowę, splunął piaskiem i igliwem. Powoli podniósł się na nogi.

Nie pamiętał, jak wyszedł z kotliny. Nie pamiętał, jak długo tak leżał. Pamiętał...

Nie, na to będzie jeszcze czas. Nie teraz, teraz trzeba się stąd wydostać. Cholera, nie ma koni, dotarło do niego wreszcie. Uciekł, skurwysyn, i zabrał konie... Broń, wszystko...

Nie było na co czekać. Teraz najważniejsze, to wydostać się stąd. Później będzie czas, żeby przemyśleć to wszystko. Wszystko tak niewiarygodne, niemożliwe. A jednak prawdziwe.

Ruszył przed siebie. Zszedł z wydmy, minął sosnowy, przetykany brzoškami las. Gdy przechodził przez gęste wiązy, przypomniał mu się Jaźwiec, jego strach.

Uciekł, skurwysyn, zostawił mnie bez niczego. Bez koni. Mam nadzieję, że szlag go trafi, pomyślał mściwie i proroczo.

Nie spojrział w górę, między skręcone konary. Szedł szybko, nie usłyszał szelestu kropli krwi, padających z góry na zeschnięte liście.

Kilkaset kroków dalej usłyszał tupot i rżenie konia. Znalazł go stojącego z zadartą do góry głową, ryjącego kopytami miękką ziemię. Puszczony luzno wodze zakleszczyły się w rozwidleniu gałęzi. Nic nie brakowało, broń była na miejscu. Uwolnił konia i ruszył dalej.

Zanim ściemniło się na dobre, dotarł na trakt.

–Gdzieś ty był? – Nazir wyglądał na wzburzonego. Match bez słowa rzucił mu wodze. Nie

miał ochoty na wyjaśnienia. Oczy piekły go z niewyspania.

Noc spędził w chacie smolarza, na którą natrafił zaraz po wjechaniu na leśny trakt. Smolarz przywitał go najpierw strzałą, która tylko świsnęła koło ucha. Na szczęście był kiepskim strzelcem i długo nie mógł trzęsącymi się rękoma nałożyć drugiej na cięciwę. Dopiero gdy Match bluznął wymyślnymi przekleństwami, opuścił łuk, zobaczywszy, że zbliżający się do chaty jeździec nie jest żadnym upiorem ani wilkołakiem. Oraz, że jedzie sam.

Match długo obsobaczał zgiętego do ziemi smolarza. Ten tłumaczył się jękliwie, że w tym przekętym miejscu musi się mieć na baczności. Że zawsze lepiej najpierw strzelać, a dopiero potem spytać, jak dowodzą przykre doświadczenia tych, co robili odwrotnie. Bo tutaj, w tym zakątku puszczy, to tylko złe może traktem nadjechać...

To po co akurat tu siedzisz, pomyślał Match. Gdy smolarz przerwał swą jękliwą litanię, zapytał o to głośno.

–Jakże to? – zdziwił się smolarz. – Drzewo tu dobre... A i innych nie ma, boją się... Takiś odważny, Match popatrzył na smolarza. A nie wyglądasz...

–A czego to się boją? – zapytał.

–Nie wiecie, panie? – smolarz popatrzył uważnie, w poczerniałej od dymu twarzy w zapadającym mroku świeciły białka oczu. Match stwierdził, że jeśli już, to właśnie jego można się było przestraszyć, napotkawszy nocą w lesie. Zgarbiony, zarośnięty nie sprawiał najlepszego wrażenia.

–Tu przecież Diabelska Kotlina niedaleko – wyjaśnił smolarz. – Przeklęte, zakazane miejsce. Ją wszyscy omijają, tam śmierć i potępienie...

Przerwał nagle, podejrzliwie zezując w stronę Mat cha.

–Właśnie z tamtej strony jedziecie – dokończył niepewnie. Skulił się w obawie, że właśnie

popęłnił największy w życiu błąd. Może ostatni.

Match nie zamienił się w świecącego ślepiami potwora. Nie pokazał w uśmiechu ostrych kłów. Stał tylko, czekając, aż smolarz przestanie się trząść.

Smolarz, stwierdziwszy po pewnym czasie, iż jest jeszcze w jednym kawałku i nikt nie wlecze go w mroczne czeluści, by tam spożyć w ciszy i spokoju, istotnie przestał się trząść. Poweselał nawet jakby.

–A i nie tylko zakazane miejsce niebezpieczne jest – podjął znów. – Różni tu tacy po lesie

się kręcą. Zbóje się trafiają. Po prawdzie, to prawie zawsze zbóje, uczciwych tu nie masz, co by

tu mieli robić... Ino patrzą, aby człeka obrabować, dobytku zbyć, kobity pokrzywdzić... Tak,

one zbóje okrutnie na kobity łase...

Pokręcił kudłatą głową, jakby dziwując się zbójeckiej namiętności do kobiet. Match chciał coś wtrącić, ale smolarz nie pozwolił dojść mu do słowa.

–Ciężko z nimi bywa, panie – ciągnął. – Trudno się obronić. Ale jak kto sam się trafi, to my

z synami...

Spojrzał znacząco.

–To my z synami – powtórzył z naciskiem – Poradzimy sobie... I ze szwagrem. Wiecie,

panie, my ze szwagrem...

Match nie był ciekaw, czego potrafi dokonać smolarz ze szwagrem. Nie wspominając już o synach.

–Prowadź do izby – przerwał niecierpliwie. – Noclegu potrzebuję. Z rana odjadę, nie kłopotz się. Może być nawet na sianie...

–Co wy, panie – zawstydził się smolarz. – Do izby proszę... Po prawdzie, to siana nie mamy, koni tu nikt nie trzyma, ani chudoby żadnej. Dopiero jak trza smołę i potaż wywieźć, to szwagier...

–Chodźmy już, nie stójmy tak po próżnicy.

**–To szwagier do wioski idzie, podwody sprowadza – dokończył smolarz niezrażony.
– Chodźcie panie, do izby, uboga wprawdzie, ale zawsze...**

Ruszył przed siebie. Match poszedł za nim, nie słuchając gadaniny. Smolarz prowadził do kopulastej lepianki, pokrytej łykiem i mchem. Z otworu w dachu sączył się dym. Zatrzymał się przed wejściem, zasłoniętym wyliniałą skórą. Zawahał się na chwilę.

–Wchodź, dobry człowieku – przynaglił go Match. – Ja nie jestem dziś specjalnie łasy na

baby...

Izba nijak nie zasługiwała na to miano. Oświetlona migotliwym blaskiem palącego się na gołej ziemi ognia prędzej mogła zasłużyć na określenie „nora”. Match zmrużył oczy, łzawiące od dymu, który niechętnie uchodził przez otwór w dachu.

Gdy odzyskał wzrok, rozejrzał się. Ujrzał dwie kobiety, o równie czarnych i zasmolonych twarzach. Ponurego draba, zapewne szwagra. Synów nie dostrzegł, może kryli się w mrocznych, zadymionych kątach. Może nie, może byli tylko produktem wyobraźni smolarza, obliczonym na zrobienie odpowiedniego wrażenia.

Westchnął tylko, przyjrząwszy się kobietom. Obawy smolarza były mocno przesadzone... Usiadł na wymoszczonym mchem pościeli.

Szwagier okazał się człowiekiem bywałym.

–Wyście, panie, są herszt tych... no... zbójów – wyjąkał na widok Matcha. Ten wolał wprawdzie, gdy nazywano go banitą, nie zaprzeczył jednak.

Szwagier z zachwytu rozdziawił zarośniętą gębę.

–Zaszczyt to dla nas wielki, panie – szwagier nie tylko był bywały, zachować też się umiał.

–Gościć w naszych progach...

Jakich progach, zdumiał się Match oszołomiony. Gdzie on ma te progi? Rozglądał się w osłupieniu po pokrytej naciętą słomą, odpadkami pożywienia i czymś jeszcze, bliżej nieokreślonym, polepie. Wolał nie zgadywać, cóż to może być...

–To wy prowadzicie tych... ciemiężonych, do boju, za wolność, tego, waszą i naszą... –

szwagier nie ustawał w zachwytach, białka oczy w poczerniałej, zarośniętej gębie błyszcząły

zapalem.

Match tylko z zażenowaniem spuścił głowę. Prowadząc ciemiężonych do boju za wolność waszą i naszą, nie brał dotąd pod uwagę smolarzy. Szwagrowi przerwał wysoki, przenikliwy pisk. Match rozejrzał się w popłochu. Źródłem dziwnego dźwięku okazała się jedna z kobiet, młodsza na pierwszy rzut oka. Nie było to jednak całkiem pewne.

Przypadła mu do nóg, szeroko uśmiechnięta, prezentując bezceremonialnie okrutnie popsute zęby. Na szczęście nieliczne.

–Sokole ty nasz, obrońco jedyny! – zapiszczała z entuzjazmem. Szarpnął się panicznie. Nie był przygotowany na takie hołdy.

–Pewnieś głodny, bohaterze ty nasz – niezrażona niczym kobieta uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Match tylko przymknął oczy.

–Nie, dziękuję – wyjąkał po chwili. Już samym zapachem w lepiance można się było najeść, tak był gęsty i zawiesisty.

–Dziękuję – powtórzył już głośniejszym głosem. Kobieta odsunęła się niepewnie. – Nie jestem głodny, zdrożony tylko. Zanocuję, a rankiem pojedę, bladym świtem. Obowiązki wzywają...

Obecni pokiwali ze zrozumieniem głowami. Pewnie, z samego rana musi jakiego wielmożę złupić albo nawet zamek jakowyś dobyć. Tak, być hersztem zbójów to nie w kij dmuchał. Nie można pozwolić sobie na wywczasy...

Match nie najlepiej wspominał bezsenną noc, spędzoną w zadymionej lepiance. Nie zmrużył oka, rozpamiętując wydarzenia minionego dnia. Nie zwracał uwagi na spojrzenia obu kobiet, rzucane spod nakrywających je skór. Coraz bardziej pełne urazy i zawodu. Nie zwracał uwagi na chrapanie smolarza i szwagra.

Trzeba porozmawiać z druidem, postanowił, drapiąc się zawzięcie. Pchły w lepiance były wielkości pasikoników. Skakały równie daleko. Z jedną różnicą – było ich

znacznie więcej.

Tak, tylko on będzie mógł wyjaśnić...

–...Match, co się z tobą dzieje, do cholery – Nazir szarpnął go za ramię. Match otrząsnął się z zamyślenia.

–Musisz coś zrobić, tak nie może być! – Maur był wzburzony. – Wszyscy robią co chcą...

–Później – przerwał niecierpliwie Match. – Nie, teraz, to ważne. Posłuchaj wreszcie...

Czego ten znowu chce? Są ważniejsze rzeczy, pomyślał Match z niechęcią. Gdzie jest ten...

Cholera, zawsze tu siedzi, a jak naprawdę potrzebny, to go nie widać...

–Nie widziałeś druida? – spytał.

–Nie – Nazir przerwał ze zdziwieniem. Zaraz jednak wrócił do tego, co chciał powiedzieć. – Match, posłuchaj, tak być nie może...

–Później – powtórzył Match zimno, tonem, od którego Maur zamilkł. W porządku, ty tu dowodzisz, pomyślał ze złością. Jeżeli jeszcze dowodzisz... Cholera, nic ostatnio do niego nie dociera. To przez nią...

Nazir, jak większość swych ziomków, nie darzył kobiet zbytnim poważaniem.

–Poszedł chyba do lasu, na tę swoją polankę – powiedział w końcu. Zrozumiał, że do

Matcha nic w tej chwili nie dociera. – Tam, gdzie zawsze siedzi, pod tym dębem...

Siedział jak zwykle na polance. Nie podniósł głowy na odgłos kroków. Też jak zwykle.

–Siadaj, Match – powiedział tylko. Match usiadł. Nie bardzo wiedział, od czego zacząć.

Druid nigdy nie ułatwiał rozmowy. Nie zadawał pytań. Nie patrzył nawet na rozmówcę. Match

nigdy nie mógł się do tego przyzwyczaić.

Druid nie dość, że nie ułatwiał rozmowy, lecz potrafił także odejść w pół słowa, bez

żadnych wyjaśnień. Często się to zdarzało. Ot, po prostu odwracał się i odchodził. Match uważał to za wyjątkowo denerwujące.

Miał nadzieję, że tym razem tak się nie stanie.

Nie stało się. Ledwie zaczął, stało się coś innego, wręcz niebywałego, co nigdy dotąd się nie przytrafiło. Druid zawsze sprawiał wrażenie, jakby w zasadzie nie słuchał, co się do mego

mówiło. Nie wykazywał najmniejszego zainteresowania. Jeśli odpowiadał, to po długim czasie, od niechcenia. Nigdy na zadane bezpośrednio pytanie.

Teraz, po pierwszych słowach zerwał się, stanął nad zdumionym tym i przestraszonym Matchem. Cisnął ze złością swój nieodłączny jałowcowy kij.

–Mów dalej – syknął tylko z pasją, która jeszcze bardziej zdumiała Matcha. Nigdy nie widział druida okazującego jakiegokolwiek uczucia. Owszem, uśmiechał się czasami, ale tylko wtedy, gdy chciał zadrwić z rozmówcy. Nigdy w innym przypadku. A złość? To było coś zupełnie nowego.

–Mów dalej! – ponaglił go druid. – Szybko, wyczerpująco i ze szczegółami... Match opowiedział.

–Co tam było? – spytał Jason zachrypniętym głosem. Zaszło mu w gardle, ledwo wydobył głos.

–W kotlinie? – Match też mówił z trudem.

–Nie – zaprzeczył Jason – Tam, w tych wiązach...

–W jakich wiązach? – spytał Match zaskoczony. – A w tych... Cholera, że też nie masz już o co pytać, to przecież nieważne...

Spojrzał na Jasona, zamyślił się na chwilę.

–Nie wiem – odparł w końcu. – Dopiero ty mi przed chwilą uświadomiłeś, że coś tam rzeczywiście było... Co, nie widziałeś tego? – zdziwił się.

–Nie, nie widziałem – Jason był poruszony. – Nie widziałem. Miałem tylko wrażenie, bo ja wiem...

Zmarszczył czoło, usiłując sobie uświadomić, co właściwie odczuwał. Nie było to widać łatwe, jak pomyślał Match, przyglądając mu się z uwagą.

–Miałem wrażenie czegoś strasznego... – powiedział wreszcie Jason wolno. – Nie, to

jeszcze nie tak...

Przetarł z wysiłkiem czoło.

–Czegoś obcego... – w końcu znalazł właściwe określenie. – Obcego i... drapieżnego...

Uśmiechnął się bezradnie, widząc niedowierzanie w oczach Matcha.

–Wiem, to bez sensu. Ale ja starałem się to zobaczyć, to roztaczało taką dziwną, bo ja

wiem... aurę? Coś dziwnego, w każdym razie. Coś, czego jeszcze nie spotkałem, nawet w

wizjach... Wiesz, starałem się to zobaczyć, ale widziałem tylko... Nie, to bez sensu...

Zamilkł. Widział, że Match chce o coś spytać.

–To bez sensu, sam przyznasz – uprzedził pytanie. – Widziałem tylko niebo, ciemne, nocne rozgwieżdżone niebo. I spadającą gwiazdę, spadającą wolno, nie tak jak zwykle, tylko

światlista krecha na ciemnym niebie... Gwiazda rozdzieliła się na dwie, jedna poleciała dalej, a

druga spadła, szerokim łukiem... Bez sensu, jak sam widzisz...

Bezradnie wzruszył ramionami. Gdyby spojrział na Matcha, zobaczyłby jego nagle pobladłą twarz. Jednak nie spojrział.

–Przepraszam – powiedział w końcu. – Masz rację, to nieważne. Ważne jest to...

–To, co przeżyłem w kotlinie? Co widziałem?

–Co tam jest, w środku tej kotliny?

–Tam jest brama, Jason – odpowiedział cicho Match. – W kotlinie nic nie ma, jest tylko brama...

Zacisnął pięści.

–Tam nic nie ma – powtórzył. – Ale za bramą jest wszystko...

VIII

Propozycja była zaskakująca. Tak zaskakująca, że szeryf nie zatrzymał nawet posłańca, który ją przyniósł. Szkoda, może dałoby się coś z niego wycisnąć. A może nie... Posłańcem był młody, bystro wyglądający chłopak. Ze stroju przypominał zwykłego wiejskiego chłopaka. Było w nim coś niepokojącego. Nie stracił rezonu w obliczu władzy, nie wodził rozbieganymi oczyma, gnąc się w ukłonie. Wyrecytował bez zająknięcia to, z czym go przysłano. Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się bez słowa i odszedł, ginąc w tłumie. Rzecz działa się na podgrodziu, w dzień targowy. Gdy szeryf, zdumiony tym, co usłyszał doszedł do siebie, było za późno. Wysłana na poszukiwania straż wróciła z niczym.

Gisbourne nie miał wątpliwości.

–To podstęp! – wypalił tylko, gdy szeryf powtórzył mu niecodzienną wiadomość. – Nie

ma wątpliwości!

Szeryf popatrzył tylko w milczeniu. Hrabia zawsze zdawał się na swój pierwszy osąd. Rzadko kiedy trafny.

–Chcą was zwabić w pułapkę, panie – Gisbourne nie stropił się pod spojrzeniem, pewny swych racji. – Zamordować podstępem! Porwać i zażądać okupu!

–Zdecyduj się może, zamordować czy porwać dla okupu – z lekkim zniecierpliwieniem powiedział szeryf.

–Jedno i drugie! – Hrabia nie dawał się zbić z tropu. – To znaczy, oczywiście, najpierw porwać, a gdy nie dostaną okupu, to zamordować!

Tak, ta możliwość jest prawdopodobna, pomyślał szeryf. Taka, że pies z kulawą nogą nie zapłaci za mnie okupu. A ty zajmiesz z ochotą moje miejsce. Spojrzał na hrabiego z niechęcią, lecz ten wyglądał jak ucieleśnienie niewinności. Jeśli jeszcze na to wpadłeś, to ja nie będę podsuwał ci takich pomysłów, szeryf rozchmurzył się nieco.

Gisbourne spostrzegł niechętnie spojrzenie. Zaczerwienił się.

–Nie myślcie sobie, panie... – oburzył się szczerze. – Nie myślcie! Ja z własnej szkatuły, jakby było konieczne, do ostatniego grosza...

–Nawet mi przez myśl nie przeszło – skłamał gładko szeryf, nie zająknął się nawet. Do ostatniego grosza... Kto by pomyślał?

–Nie, Gisbourne, nie w tym rzecz. Nie sądzę, że by to był podstęp...

–Nie bądźcie ślepi, panie – wykrzyknął hrabia. – To przecież zbóje, bez czci i honoru...

Znam ich aż za dobrze...

Chyba nie znasz, pomyślał szeryf. Chyba jednak nie...

–Nie sądzę – powtórzył. – Co najmniej z dwóch powodów.

Gisbourne wciąż nie był przekonany, jednak zaczekał, aż szeryf wyłoży swoje racje. Słuchał z powątpiewaniem.

–Po pierwsze, on nigdy dotąd nie uciekał się do podstępu. To my próbowaliśmy zwabić go w pułapkę, on nigdy...

–A lady Maud? – przerwał Gisbourne.

–W tym wypadku, jak wiesz, to była inicjatywa niesfornych podwładnych, jak wiesz. On nie wydał polecenia porwania szlachetnej pani. Co więcej, jak sobie przypominasz, polecił ją co prędzej uwolnić, przeprosić i wynagrodzić przykrości. Do tego stopnia wynagrodzić, że przez jakiś czas koło lasu kręciło się sporo wszelakich panien... Niestety, jak wiesz nadzieje ich pozostały płonne. To się już więcej nie powtórzyło, a sprawcy zostali przepędzeni. Bez prawa powrotu. Tak, że gdy zajęli się rozbojem już na własną rękę, mogliśmy ich schwytać i powiesić. Nie, Gisbourne, on jest na swój sposób uczciwy.

–Co? – wydarł się hrabia, czerwieniejąc gwałtownie. – Zupełnie nie rozumiem...

–Ciszej! – skrzywił się szeryf. – Cóż, być może to pojęcie jest dla ciebie z gruntu obce i niezrozumiałe, zapewniam cię jednak, że nawet w tych paskudnych czasach jeszcze istnieje. Czasami, aczkolwiek muszę przyznać, że rzadko można je spotkać. Jeżeli nie potrafisz zrozumieć, to uwierz mi na słowo...

Z twarzy Gisbourne'a można było wyczytać, że jednak nie uwierzył. A już na pewno nie rozumiał. Szeryf machnął ręką.

–Wiem, takie argumenty do ciebie nie przemawiają – z rezygnacją pokręcił głową. – Drugi zatem jest bardziej racjonalny. Otóż zważ sobie samo miejsce, gdzie mamy się spotkać. To szczerze, płaskie wrzosowisko, tylko na środku ta kupa kamieni. Rzadko zresztą stojących... To nie jest miejsce na zasadzkę, tam nie ma się gdzie ukryć. Wręcz przeciwnie nawet, to jasno miało nam przekazać intencje. My też nie możemy się tam zasadzić... Z daleka będzie widać, kto nadchodzi, jaką siłą. Zawsze będzie czas na ucieczkę.

–A gdyby zjawić się tam wcześniej – hrabia począł głośno rozmyślać. – Ukryć paru zbrojnych, niech tam leżą, schowani w tych wrzosach, niech sobie nawet dołki wykopią. Z daleka nie będzie widać... To się może udać! – dokończył z błyskiem w oku.

–Owszem, może – zgasił jego zapał szeryf. – Ale się nie uda. Po pierwsze, mam wrażenie, że korzystniej będzie wysłuchać, co ten tajemniczy ktoś ma do powiedzenia. Do zaproponowania. Po drugie, pamiętaj, że oni też mogą wpaść na taki pomysł...

–Co wy, panie, te głupie zbóje? – z oburzeniem zaprzeczył hrabia. – Te kmioty? W życiu tego nie wymyślą. Tu trzeba...

–Tak, Gisbourne, właśnie te zbóje. Jak dotąd wpadli już na wiele pomysłów, z których

kilka odczułeś na własnym tyłku. Boleśnie. Ale nie martw się, pomysł nie jest głupi, i trzeba się

zabezpieczyć.

Hrabia zbystrzał nagle, wietrząc kłopoty.

–Tak, dobrze myślisz – szeryf roześmiał się, widząc jak zaczął nadstawiać uszu. – Trzeba

sprawdzić, czy nie wpadli na taki pomysł. Dlatego ruszymy wcześniej, zatrzymamy się na

trakcie, na skraju wrzosowiska. Potem pojedziesz na miejsce, weźmiesz kilku ludzi,

sprawdzicie wszystko. Dokładnie! To w niczym nie narusza umowy, mam nadzieję, że

zawartej. Jeżeli wszystko będzie w porządku, nikogo nie znajdziesz, to potem zobaczymy z

daleka, kto tam przybędzie. Dopiero wtedy pojedę sam...

Gisbourne spieszył się z powrotem. Wysforował się spory kawałek przed zbrojnych, pędzących za nim przez wrzosowisko.

Gdy dojechał, brutalnie szarpnął konia, który czterema kopytami wrył się w trakt.

–Nikogo! – powiedział hrabia zdyszany.

–Dobrze sprawdziłeś? – spytał szeryf. – Dokładnie! Dokładnie. Nikogo tam nie ma, na pewno – hrabia wyglądał na urażonego podejrzeniami o niesumienne wypełnianie poleceń.

–Mówiłem ci przecież, to nie zasadzka. Teraz poczekamy. Powiedz ludziom, żeby się trochę cofnęli.

Po wydaniu stosownych rozkazów hrabia wrócił do szeryfa. Czekali, nie zsiadając z koni.

Dzień był pochmurny, lecz nie mglisty. W przejrzystym powietrzu ostro rysowały się rzadko stojące megality, tworzące na środku wrzosowiska wielki krąg. Szeryf spoglądał na rysującą się w dali, po przeciwnej stronie ścianę lasu. Pewnie tam są, czekają, tak jak i my, przemknęło mu przez głowę. Chcą być pewni, że będę sam.

To hrabia pierwszy dostrzegł dwie sylwetki, niewyraźnie widoczne na ciemnym tle lasu. Pokazał ręką.

–Idą – wykrzyknął z podnieceniem. – Dwóch! Spojrzał oskarżycielsko na szeryfa...

–Miał być jeden – dodał z oburzeniem.

Szeryf wytężył wzrok, usiłując dojrzeć szczegóły. Na razie widział tylko, że idących ku megalitom istotnie jest dwóch. Szli pieszo. Postanowił też zsiść z konia. Gisbourne miał lepszy wzrok.

–Ten drugi to kobieta – zdziwił się głośno.

Istotnie, przyznał szeryf. Druga zbliżająca się osoba była niewątpliwie kobietą, ubraną w taki sam jasny płaszcz, jak idący przed nią mężczyzna. Kaptur, w przeciwieństwie do niego miała odrzucony na plecy. Szeryf mógł już dostrzec kasztanowate włosy. Czyżby...

Kobieta szła sztywno, nie rozglądając się na boki. Jak we śnie.

–No, zsiadajcie, panie hrabio, z tej swojej kobyły – zdecydował szeryf. – Ruszamy?

–My? – Gisbourne wytrzeszczył oczy. – Mielście, panie, sami...

–Mielśmy, i co z tego? – spytał łagodnie szeryf. – Ich jest dwoje, to i nas też... Wprawdzie nie wyglądacie mi na kobietę, ale może się nadacie...

Gisbourne zaklął tylko pod nosem.

Szli, nie spiesząc się, brodząc w wysokich wrzosach. Tamci wyruszyli prędzej, mieli też nieco krótszą drogę do przejścia. Siedzieli bez ruchu w samym środku

kamiennego kręgu.

Szeryf spodziewał się samego Matcha. Okoliczności, w jakich mieli się spotkać, wykluczające zasadzkę, wskazywały właśnie na to. Nie miał pojęcia, czego może chcieć wódz banitów, jaką propozycję chce przedstawić. Bo to musiała być propozycja, nic innego. Długo łamał sobie nad tym głowę, rozważał różne możliwości, które po kolei odrzucał. Żadna nie była prawdopodobna. W końcu dał sobie spokój, i tak wkrótce się przekona.

Widząc siedzącego mężczyznę, szeryf stanął jak wryty. Ten człowiek w płaszczu z kapturem był ostatnią osobą, jaką spodziewał się zobaczyć. Nie ucieszył się jego widok. Nie wziął tego pod uwagę.

Poczuł zimno w okolicach kręgosłupa. Nie bał się przeciwnika, przeciw któremu można stanąć z mieczem w ręku. Nawet, jeśli ten przeciwnik miałby przewagę. Z tym człowiekiem nie było to takie proste... Jeśli to w ogóle człowiek. Jak sobie przypominał, zdania w tej sprawie były podzielone.

–Odpraw go – druid odezwał się bez żadnych wstępów...

–Co? – powiedział szeryf zaskoczony. Takiego powitania też się nie spodziewał.

–Odpraw go – powtórzył druid cicho. – Miałeś być sam. Tylko wtedy będziemy rozmawiać.

–Niedoczekanie! – hrabia, mimo iż porządnie wystraszony, wyrwał się jak zwykle nie w

porę. – I bacz, jak mówisz do szlachetnego...

Głos uwiązał mu w gardle pod ciężkim spojrzeniem wyblakłych oczu. Poderwał dłonie do gardła, zacisnął palce. Żyły na skroniach nabrzmiały, twarz pociemniała od nabiegłej krwi. Dusił się.

Szeryf patrzył to na hrabiego, który zbliżał się już do kresu wytrzymałości, to na nieporuszenie siedzącego mężczyznę. Tez nie mógł wydobyć głosu. Jednak gdy oczy Gisbourne'a wywróciły się, ukazując białka, krzyknął wreszcie:

–Puść go!

Druid nie drgnął nawet, nie zmienił wyrazu twarzy. Słysząc tylko cichnący charkot. Już niewiele brakowało, kiedy druid wolno odwrócił głowę od hrabiego, spojrzął na szeryfa. Gisbourne miękko, jak szmata, osunął się na ziemię. Oddychał ciężko, chrapliwie.

–Co chciałeś przez to pokazać? – spytał zimno szeryf, starając się nad sobą zapanować.

Udało się, głos nie zadrżał.

–Przez co? – padła obłudne pytanie. – Przecież nic mu nie zrobiłem. Może on niezdrów?

–Może. Ale tak nie będziemy rozmawiać. Pozbierałeś się, Gisbourne? To idziemy... Hrabia zbierał się właśnie z trudem. Szeryf miał wątpliwości, czy będą mogli tak sobie spokojnie odejść. Nie miał jednak wyjścia, nie mógł zgodzić się na rozmowę na takich warunkach. Cholera, jednak Gisbourne miał rację, przyznał w duchu niechętnie. To nie był najlepszy pomysł...

Schylił się nad wciąż charczącym Gisbourne 'em. Chwycił za kołnierz, mocnym szarpnięciem postawił na nogi. Hrabia zachwiał się, gdyby szeryf go nie podtrzymał, upadłby z powrotem. Wciąż nie mógł złapać oddechu, choć twarz powoli wracała do normalnej barwy.

Szeryf przerzucił sobie jego ramię przez plecy, spróbował poprowadzić. Ciężko, ale jakoś szło. Ruszyli, hrabia potykał się, ale szedł. Zwiślał ciężko na ramieniu.

–Zaczekaj – usłyszał za sobą szeryf. Nie zatrzymał się, zgarbił tylko w oczekiwaniu...

Czego? Sam nie wiedział...

Nic się nie stało.

–Zaczekaj – w głosie druida nie było irytacji. – Jak chcesz, to niech zostanie. Chociaż dla

niego byłoby lepiej, żeby nie słyszał tego, co ci chcę powiedzieć.

Na razie nie było wielkiej obawy, że hrabia w ogóle usłyszy cokolwiek. Usadzony przez szeryfa, oparty o wielki głaz nie sprawiał wrażenia kogoś, kto zainteresowany jest choćby w najmniejszym stopniu tym, co się wokół niego dzieje. Rozcierał tylko gardło, chwytając powietrze, jak ryba wyrzucona na brzeg.

–Zaraz mu przejdzie – powiedział druid w odpowiedzi na niechętnie spojrzenie szeryfa. –

Nie obawiaj się, nie zamierzam zrobić z tobą nic takiego... Siadaj wreszcie.

Szeryf wytrzymał spojrzenie wyblakłych oczu. Nie spuścił wzroku.

– Nawet nie próbuj – powiedział tylko, sam się dziwiąc, skąd jeszcze ma tyle opanowania. Odpiął pas z mieczem, usiadł, kładąc pochwę na skrzyżowanych nogach. Położył spokojnie dłoń na rękojeści, drugą w połowie pochwy. Nie drżały, zauważył z satysfakcją.

– Nie będę, po co mam próbować – obojętnie odpowiedział druid. – Jak mówiłem, chcę tylko porozmawiać. Potrzebny mi jesteś w pełni władz umysłowych, że się tak wyrażę.

A to dopiero, pomyślał szeryf, potrzebny mu jestem. Ciekawe, do czego...

– Dobrze, przejdźmy do rzeczy – usłyszał. – Najpierw wyjaśnijmy sobie coś. Nie lubię cię.

Ty, o ile wiem, też, jeśli można to tylko tak określić. Jesteśmy wrogami, zawsze będziemy, zbyt

odmienne wartości reprezentujemy. Dwa różne, wrogie światy, pomiędzy którymi zawsze

będzie wojna. Dopóki nie zostanie tylko jeden. Cóż, mam nadzieję, że mój, ty pewnie myślisz

zgoła przeciwnie. Ale teraz, mimo wszystkiego, co nas dzieli, mimo tego, że zawsze pozostaniesz dla nas tylko najeźdźcą, przedstawię ci pewną propozycję...

Druid zawiesił głos, obserwując reakcję szeryfa. Jeżeli spodziewał się zaskoczenia, to się zawiódł.

– Spodziewałem się tego – odparł szeryf. – Spodziewałem się rozmów, odkąd przycisnęliśmy was mocniej. Cóż, słucham. Spodziewałem się jednak, że to sam wódz mi je

przedstawi. Jednak mimo to, gotów jestem wysłuchać.

Druid roześmiał się tylko.

– Spodziewałeś się rozmów? – wydawał się być szczerze ubawiony. – Nie żartuj. Wasze

sukcesy, na które się zaraz pewnie powołasz, niewiele dotąd znaczą. Nie, szeryfie, nie

wystarczy odzyskać kontrolę nad kilkoma wioskami. Nie wygrasz w ten sposób, nie

masz

czasu. Nie masz już środków na prowadzenie wojny. Tylko czekać dnia, kiedy ośmieleni

sąsiedzi przyjdą ci z pomocą. Albo sam król. A tej pomocy, to już nie przetrzymasz...

Ma rację, przyznał szeryf. Nie mam najlepszej pozycji przetargowej. Zbyt późno wzięłem się za kmiotków, rebelia zanadto się rozpełzła. Co zatem? Zaproponują mi poddanie się, ocalenie życia? Nie są jeszcze tak silni, by zdobywać miasto, więc może o to chodzi? Żeby mniejszym kosztem...

Nie miał złudzeń. Wiedział, że herszt banitów, gdy zdobędzie zamek, opanuje okolicę, może nawet liczyć na potwierdzenie swych zdobyczy królewskim nadaniem. Zwykle tak bywało, zawsze uznawano prawa silniejszego. Czyżby od początku o to chodziło?

–Nie, szeryfie – druid spoważniał. – Nie będzie rozmów. Match nie przedstawi ci żadnych propozycji. To ja chcę ci coś zaproponować, tylko ja. Mimo to jednak posłuchaj, bo warto... Krótko mówiąc, chcę ci zaproponować pomoc... Tym razem szeryf nie zdołał zapanować nad wyrazem twarzy.

–Że co? – zdołał tylko wykrztusić. Szczeka mu opadła.

–Dokładnie to, co słyszałeś – powtórzył druid dobitnie. – Chcę ci pomóc. Chcę, żebyś zwyciężył. I to szybko.

Szeryfowi udało się otrząsnąć z zaskoczenia. Propozycja była niewiarygodna i przychodziła, prawdę mówiąc w samą porę. Ale...

–A co w zamian? – spytał szybko. – Bo jeśli chcesz, bym zaczął was popierać przeciwko Kościołowi, to nic z tego. To się nie da...

–W zamian nic – druid również nie zamierzał pozostawiać żadnych niejasności. – Zupełnie nic, wystarczy, że zwyciężysz. Że skończy się rebelia. Że zapanuje spokój...

–Poczekaj chwilę – przerwał zimno szeryf. – Mam uwierzyć, że staniesz po mojej stronie? Tak bez zobowiązań? Że ty, druid, staniesz przeciwko wyznawcom swej wiary? Może jeszcze chcesz się ochrzcić i zająć miejsce mojego braciszka opata? Powycinać święte gaje, a na ich miejscu postawić kapliczki? A tu, zamiast tych kamieni będzie co, droga krzyżowa?

–Nie rozumiałeś mnie.

–Nie, nie zrozumiałem. Więc może wyjaśnisz...

–Nie mam zamiaru nic wyjaśniać. Powiem tylko jeszcze raz, że chcę pomóc ci zwyciężyć. Dlaczego, to nie powinno cię interesować. Powiedz tylko, czy przyjmujesz propozycję?

Szeryf podniósł się zdecydowanie. Zaczął bez słowa zapinać pas na biodrach.

–Czy przyjmujesz propozycję? – druid ponowił pytanie.

–Nie – odparł szeryf krótko.

–Dlaczego?

–Bo nie wiem, co się naprawdę za nią kryje. Bo coś mi tu śmierdzi, śmierdzi z daleka. Bo wyczuwam jakiś haczyk. Wystarczy?

–Nie stać cię na jej odrzucanie – w głosie pojawił się w końcu gniew. – Możesz ją przyjąć albo...

–Albo?

–Albo twoje dni są policzone. Nie wytrzymasz już długo.

Szeryf roześmiał się tylko, choć wcale nie było mu do tego.

–Posłuchaj, przyjacielu – powiedział. – Może tak, może nie. Ale jeżeli chcesz coś

zapropionować, to bądź łaskaw trochę więcej powiedzieć. Bo na razie to wszystko się kupy nie

trzyma.

Druid po raz pierwszy zawahał się. Spojrzenie wyblakłych niebieskich oczu straciło zwykłą pewność. Widząc, że szeryf na serio nie zamierza kontynuować rozmowy, wstał również. Szeryf zatrzymał się.

–Dobrze, spróbuję więc wyjaśnić – zaczął druid po chwili. – Moja propozycja dotyczy tylko pomocy w pokonaniu banitów. Nie zamierzam pomagać ani tobie, ani tobie podobnym, w zwalczaniu, jak zwykliście to nazywać, zabobonu i pogaństwa. Nawet o tym nie myśl. Zamierzam wyłącznie pomóc ci w uporaniu się z problemem, któremu na imię Match. Może nie uwierzysz, ale to w tej chwili nasz wspólny problem.

–Dokładniej – zażądał sucho szeryf. Dopiero teraz dotarła do niego świadomość obecności nieruchomo siedzącej kobiety. Lady Marion. Co ona, do cholery, tu robi?

Nie odezwała się dotąd ani słowem, nieruchomo patrząc przed siebie nieobecny spojrzeniem. Szeryf uświadomił sobie, że od początku nie spoglądała na niego. Siedziała nieporuszona. Spostrzegł nienaturalnie rozszerzone źrenice. Bładość twarzy.

–Co ty sobie wyobrażasz? – Gniew w głosie druida zawibrował silniej. – Kim ty w ogóle

jesteś? Wystarczy, że trochę poczekam, a będziesz sam prosił, na kolanach, o ile zdążysz...

W głosie prócz gniewu szeryf usłyszał coś jeszcze. Nie poczeka, zrozumiał, on też nie ma czasu. To jemu na tym zależy. Powie wszystko, musi powiedzieć. Na samym początku powiedział prawdę, jestem mu potrzebny... Dobrze, zobaczymy, jak bardzo.

Skłonił się.

–Dziękuję za pouczającą rozmowę – powiedział z oschłą ironią. – Przemyślę to sobie. Jak

przemyślę, to dam znać. Żegnam. Lady Marion...

Skłonił się jeszcze raz. Żadnej reakcji. Jakby w ogóle nic nie dostrzegła. Nie miał czasu się nad tym zastanawiać.

–Źle cię oceniłem – usłyszał. – Nie będę przeproszał. Dobrze, skoro chcesz wiedzieć wszystko... W porządku, jak sobie chcesz. Uprzedzam jednak, że to, co usłyszysz, nie będzie

łatwe. Ani przyjemne. Możesz dojść poniewczasie do wniosku, że wcale nie chciałeś tego usłyszeć...

–Zaryzykuję – przerwał zimno szeryf.

–To siadaj – druid po raz pierwszy się uśmiechnął. – To potrwa dosyć długo...

Szeryf wysłał hrabiego z powrotem, gdy ten tylko był w stanie utrzymać się na nogach. Wolał, by ten nie usłyszał wszystkiego, nie miał zaufania do jego dyskrecji. Był wręcz pewien, że gdy Gisbourne dojdzie do siebie, natychmiast rozgada wszystko, co usłyszy. Miał przeczucie, że nie byłoby to najlepiej.

Gisbourne próbował protestować, jednak widać było, że polecenie przyjął z ulgą. Popatrywał nieufnie na druida, który jednak nie poświęcił mu wcale uwagi.

Druid zaczął od razu, ledwie hrabia, idąc jeszcze niezbyt pewnie zniknął z oczu. I od

razu udało mu się zaskoczyć szeryfa. Z niedowierzaniem słuchał, kim naprawdę jest Match. Szybko jednak opanował się.

–Zaraz – powiedział. – To w dalszym ciągu nie tłumaczy... A nawet wręcz przeciwnie.

–Cierpliwości – ostudził go druid. – Dopiero zacząłem. Uprzedzałem, że to wszystko jest skomplikowane. I długie. Nie przerywaj więc, jeżeli mamy skończyć przed wieczorem...

Nie skończyli przed wieczorem. Była prawie północ, gdy dojechali do bram miejskich. Szeryf słuchał, jak hrabia ochryple klnie strażników, którzy guzdrali się z podniesieniem brony.

Gisbourne nie doszedł jeszcze do siebie. Przez całą drogę chwiał się w kulbace, kaszląc i spluwając od czasu do czasu. Nie odzywał się wcale. Szeryf wielce był z tego zadowolony.

Był zadowolony, gdyż mógł spokojnie przemyśleć sobie wszystkie zasłyszane rewelacje. Poukładać je w głowie. Były niewiarygodne. A prócz tego... Tak, druid miał rację. Wolałby ich nie usłyszeć.

Rozpamiętywał wszystko przez całą drogę. Czując wciąż zimne dreszcze.

Miał nieprzyjemne wrażenie, że mylił się, wytykając druidowi, iż nie wierzy, by ten składał swą propozycję pomocy, nie żądając nic w zamian. Że niczym nie będzie musiał za pomoc zapłacić.

Wiedział już, że propozycja druida miała swoją cenę. Niemałą. Wiedział, że już ją częściowo zapłacił. Tą ceną była wiedza, jaką uzyskał.

Tak, pomyślał szeryf, już zapłaciłem. I będę dalej płacił, w te wszystkie bezsenne noce, które są jeszcze przede mną.

Nic już nie będzie takie jak kiedyś. Nigdy już nie zaśnie spokojnie, będzie leżał, wpatrując się w mrok, zastanawiając się, co się za mm kryje. I kiedy z tego mroku wylezie.

Pomyślał jeszcze, czy rozwiązanie problemów było warte takiej ceny. Odrzucił tę myśl, było już za późno.

Przeor wrócił z miasta. Jason, siedząc przed swoją stodółką, widział, jak zaprzężony w jedynego klasztornego konia wózek wpada pędem na podwórze. Łykawy konik pokryty był pianą, widać przeor nie szczędził po drodze bata. Jason nie wiedział wprawdzie, co w przypadku konia oznacza określenie „łykawy”, słyszał jedynie

kiedyś, jak któryś z braciszków właśnie tak określił dolegliwość, trapiącą to nieszczęsne zwierzę. Sam wiedział tylko, że zołzy też niekiedy konie miewają, jak również kolki. To wyczerpywało jego znajomość końskich schorzeń. W każdym razie koń wyglądał na łykawego, cokolwiek by to oznaczało.

Piotr zeskoczył z wozu i natychmiast, nie odzywając się nawet do witających go zakonników, zniknął w swojej chacie.

Jason czekał z wytęsknieniem na wieści ze świata. Zbyt długo już był zagrzebany na tym zadupiu, skazany na towarzystwo zakonników i Matcha. Mnisi byli cisi i bezbarwni, omijali Jasona nadal starannie, odzywając się wyłącznie wtedy, gdy wprost ich o coś zapytał. W ich spojrzeniach za to mógł wyraźnie odczytać pytanie, kiedy wreszcie się stąd wyniesie. Ba, gdyby mógł to wiedzieć. Sam wyniosłby się chętnie, nawet zaraz.

Ale nie mógł. Nie skończyli jeszcze. Wciąż było daleko. Mało tego, pomyślał Jason ze złością. Nie posunęli się naprzód, nawet na krok. Przeszłość Matcha, choć niewątpliwie barwna i intrygująca, delikatnie rzecz ujmując, nie wyjaśniała dotąd wiele z mrocznych, sennych prorocत्व Jasona. Wciąż nie widział związku, mimo iż zaczynały mu się rysować pewne, mgliste na razie domysły.

Złościło go, że przed kilkoma dniami Match przerwał nagle swe opowieści. Właśnie wtedy, gdy Jason zaczął mieć wrażenie, że coś w końcu zaczyna pojmować. Przerwał, i pozostawił bez jakichkolwiek wyjaśnień.

Jason nie próbował naciskać. Wiedział już, że to na nic się nie zda. Match unikał go, nie pojawiał się w klasztoru przez kilka dni. Nie szukał, wiedząc, że gdy Match nie chce, to i tak go nie znajdzie. Nie miał ochoty włóczyć się jego śladem po lesie.

Skazany na bezczynność, snuł się bez celu po klasztoru. Z początku spróbował, korzystając z tego, co usłyszał i zobaczył wcześniej, dowiedzieć się czegoś sam. Nie mógł. Po kilku bezowocnych próbach, od których tylko rozboleła go głowa, zrezygnował. Nie zobaczył nic, dosłownie nic. Widać do transu potrzebował obecności Matcha, bliskiej emanacji jego umysłu. Zrezygnował więc i tylko czekał, coraz bardziej rozdrażniony bezczynnością.

Gdy niedługo po powrocie przeora dostrzegł Matcha idącego szybko przez podwórze, zerwał się i chciał wybiec mu naprzeciw. Match jednak tylko skinął z roztargnieniem ręką i poszedł dalej. Zmierzał do chaty przeora.

Kiedy zniknął wewnątrz, zamykając za sobą starannie drzwi, Jason zrozumiał, że Match czekał na wieści. Spodziewał się widać czegoś ważnego. Przypomniawszy sobie widoczne wzburzenie przeora, Jason zaczął się obawiać, że nie będą najlepsze. Poczuł, że ich czas dobiega końca, był nagle zupełnie tego pewien. Czując zimny

ciężar, który nagle pojawił się w trzewiach, zrozumiał, że to, czego przybycie przepowiadał w snach, stoi już tuż za progiem. Mimo ciepłego dnia czuł otaczające zewsząd zimno. Wstrząsnął się...

Chwila jest bliska.

–Zostało mało czasu – Match, jak zwykle, nie bawił się w żadne wstępny. – Musimy się

spieszyć.

Jason nie przeczył. Miał dokładnie takie samo wrażenie.

–Jakie wieści przywiózł przeor? – spytał tylko.

–Złe – odparł krótko Match.

Jason zamyślił się. To, że były złe nie było dla niego żadną rewelacją, spodziewał się tego. Widział twarz zakonnika, gdy odprowadzał Matcha przez podwórze. Pamiętał wzburzenie zaraz po powrocie, pamiętał zagonionego prawie na śmierć łykawego konika. Wieści musiały być nie tylko złe, pomyślał Jason, musiały być pilne, skoro tak się spieszył.

–Może powiedz coś więcej... – zaczął.

–Nie teraz – przerwał Match niecierpliwie. – Później. Teraz muszę ci opowiedzieć wszystko do końca, żebyś zrozumiał. Może wtedy zrozumiesz swoje przepowiednie. Tyle tylko

mogę powiedzieć, że się sprawdzają, jak na razie...

Marna satysfakcja, przeszło Jasonowi przez myśl. Więc jednak to nie były zwykłe majaczenia w gorączce. Do tej pory ciągle miał taką nadzieję... Kurwa, może to zwykły przypadek... Może zbieg okoliczności, a ten, ze swoim poczuciem winy, z fatalistyczną wiarą w nieuchronność przeznaczenia...

Popatrzył na Matcha.

–Nie, Jason – Match zauważył wątpliwości w jego spojrzeniu. – Nie łudź się. Zbyt wiele się zgadza, żeby to był przypadek. Zaczyna się...

–To na nic, Match – wybuchnął Jason. – To przecież na nic. Cholera, przecież tak naprawdę to ja nic nie wiem. Nic, zupełnie nic. Zgoda, widzę to, co było. Widzę zdarzenia, o których opowiadasz. Owszem, dowiadujesz się czasem szczegółów, o których nie masz pojęcia. Tylko co z tego? Powiedz sam, co z tego?

–Niewiele – przyznał Match spokojnie. – Na razie niewiele.

–Sam widzisz! Match, ja znakomicie widzę to, co było. Nawet aż za dobrze, nawet to, czego nie chciałbym się nigdy dowiadywać. Nie chodzi tu akurat o ciebie, nie masz się co krzywić. Ale przyszłość? To tylko krótkie obrazki, bez sensu. Tak naprawdę, to nie wiem czego mogą dotyczyć. I czy w ogóle są w jakikolwiek sposób prawdziwe...

–A twoje sny? Te majaczenia w gorączce, którymi tak wystraszyłeś przeora? Mnie zresztą też...

–Moje sny! – Jason wciąż mówił ze złością. – Match, ja ich przecież nie pamiętam! Nie potrafię wytłumaczyć! Sam ich nie pojmuję, to przecież wy, ty i ten twój przeor odnaleźliście w nich złowrogie przepowiednie! Nie ja! Ja ich, kurwa, po prostu nie rozumiem, nawet wtedy, gdy przeor, trzęsąc się, opowiadał je bez końca!

Przerwał, sapiąc ze złości. Match nie odzywał się.

–Match, zakładając, że sny mówią prawdę – podjął Jason po chwili, już spokojniej. – To co w końcu z nich wynika? To, że nadchodzi coś złego? Coś, co zmieni cały świat? Że ten świat znów utonie we kiwi, a potem zapanuje nad nim coś, czego nawet pojąc nie jesteśmy w stanie? To jaki to ma związek z tobą, z tym, co przeżyłeś, nawet biorąc pod uwagę, kim tak naprawdę jesteś?

–Nie wiesz jeszcze wszystkiego – odparł oschle Match. – Związek jest, zapewniam cię. Nawet nie spodziewasz się, jak duży...

–Kurwa, Match, przestań się w końcu uważać za pępek tego pieprzonego świata! Za kogoś, wokół którego kręci się to wszystko! Za kogoś, kto jest odpowiedzialny za wszelkie zło, włącznie z pomorem bydła i nierogacizny!

Match nie przerywał. Poznał Jasona na tyle, iż wiedział, że czasami musi się wygadać. Pomimo że w momentach wzburzenia często przeczył sam sobie. Tak jak właśnie teraz.

–Nie rozumiem tego wszystkiego! Nic do siebie nie pasuje! – Jason zająknął się wreszcie. – Nie pasuje... – dokończył cicho. Zamilkł wreszcie.

–Jason, posłuchaj może spokojnie – Match skorzystał z ciszy. – Z tego, co mówisz, widzę, że nie wiesz jeszcze rzeczy najbardziej istotnej. Może więc pozwolisz, że najpierw się o niej właśnie dowiesz... Wtedy zrozumiesz, może nie wszystko, ale dużo, dużo więcej...

Uśmiechnął się niewesoło.

–Zobaczysz ten związek... – dodał. – Zobaczysz, dlaczego wszyscy obrócili się przeciw

mnie. I pewnie zrozumiesz. A o tym, co się dzieje teraz, porozmawiamy później. Tak będzie o

wiele lepiej...

Match wstał, rozejrzał się. Skrzywił się, widząc dwóch zakonników pozornie zajętych noszeniem wody do kuchni. Sądząc z tego, ile razy już obrócili z wiadrami, musieli już dawno napełnić wszystkie kotły po brzegi. Przechodząc obok, pilnie nadstawiali uszu.

Do Jasona dotarło dopiero, że cała rozmowa toczyła się na klasztorным podwórzu.

–Chodź, Jason, zejźmy im z oczu – powiedział Match. Jason wstał bez słowa.

Druid długo milczał, nie zaczynał oczekiwanych wyjaśnień. Szeryf zaczynał się niecierpliwić. Denerwowało go, że nie widzi twarzy rozmówcy, druid swym zwyczajem krył twarz w cieniu kaptura. Usiadł też tak, że cała jego postać znalazła się w mroku pod wielkim,

pienowem osadzonym w ziemi głazem. Celowo zapewne. Sam mógł dokładnie widzieć twarz szeryfa.

–Jeżeli mamy skończyć przed zmierzchem, to może w końcu zacznij – nie wytrzymał wreszcie szeryf. Był coraz bardziej zniecierpliwiony.

–Jako człowiek niewątpliwie inteligentny... – usłyszał w końcu.

–Daruj sobie dobre maniery – przerwał szeryf gniewnie. – Oszczędzi to czasu...

–Jako człowiek niewątpliwie inteligentny... – powtórzył druid niezrażony. – Zastanawiałeś się zapewne, co nas skłoniło do udzielenia pomocy w schwytaniu Matcha. Człowieka, który wypowiedział bezlitosną wojnę tobie, naszemu naturalnemu, konsekwentnemu i bezlitosnemu wrogowi. Wrogowi, który nie tylko jest wrogiem osobistym, ale reprezentuje cały wrogi nam porządek, reprezentuje najeźdźców krzwiących obcą nam, wrogą i niezrozumiałą wiarę. Co kazało nam zdradzić, tak, zdradzić człowieka, który chciał z tobą walczyć także w naszej obronie. I walczył, bronił naszych siedlisk, naszych braci, naszej ziemi. Bronił przed waszą ekspansją, wyzyskiem, prześladowaniami. Przed wycinaniem puszczy, będącej naszą ostoją. Przed bezlitosną eksploatacją chłopów, naszych współwyznawców. Przed samowolą baronów. I to bronił nas skutecznie...

Bardzo skutecznie, pomyślał szeryf. Przy twojej zresztą pomocy. Twojej i tobie

podobnych...

–Odpowiedź jest jedna, szeryfie. Robił to zbyt skutecznie. Widzisz, wy, chrześcijanie,

wierzycie w prawdę absolutną, w rację bezsporną, bo daną od waszego Boga. Zło jest zawsze

złem, dobro jest dobrem. Co prawda pojęcie dobra macie bardzo wąskie. Ale za to zło jest dla

was bardzo precyzyjnie określone – złem jest wszystko to, co jest wam obce lub po prostu inne.

My staramy się wybrać mniejsze zło. Gdybyśmy się kierowali waszą zasadą, popłynęłoby

jeszcze więcej krwi, po obu stronach. Match by w końcu przegrał, musiałby przegrać przy

takim stosunku sił. Walczyłby dalej w imię swojej racji, swojej prawdy, która stawiała się coraz

bardziej pustym słowem. W imię tej bzdury ginęliby darmo kolejni ludzie. Darmo, bowiem nie

ma prawd objawionych i jedynie słusznych, szeryfie, i warto czasem spróbować zrozumieć

innych. I wybrać mniejsze zło. Bo nie ma zła obiektywnego, zło ma wiele stopni i odcieni, i

nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej...

Urwał, jakby chcąc się przekonać, jakie wrażenie uczynił na rozmówcy. Szeryf nie przerywał. Zgadzał się, wbrew nakazom swej wiary, z tym, co usłyszał. Nie dzielił świata na czarny i biały, na zło i dobro. Zbyt wiele w życiu widział.

–Widzisz, Match chciał dobrze. Ale na jego nieszczęście przerastał przeciętność. Był za

skuteczny. Potrafił poderwać przeciwko tobie całą okolicę. Zgromadził siły, z którymi musiałeś

się poważnie liczyć, zagroził ci na serio. To nie Robin Hood, romantyk z garstką zapaleńców,

który był dokuczliwy, ale tak naprawdę niegroźny. Match nie był szlachcicem, obrońcą

chłopów z fantazji. On stał się ich przywódcą. A w tobie znalazł godnego przeciwnika.

Przeciwnika, który zrozumiał, że tę wojnę trzeba prowadzić inaczej. Że to wojna na całość, na

wyniszczenie. Że rycerstwo nie wygra z przeciwnikiem uderzającym nagle i znikającym w puszczy bez śladu. Z przeciwnikiem, którego ostoją jest każdy gąszcz, każda wioska. Więc przenieśli wojnę do wiosek. Nie będę się dalej rozwodził. Widzimy wszyscy, jak to się skończyło. Setki ofiar po obu stronach, wyludnione wioski, rosnąca nienawiść – wszystkich do wszystkich. I cóż z tego, że Prawda i Racja były w przekonaniu Matcha po jego stronie? Nie miej złudzeń. Jesteśmy wrogami. Nie martwię się, że podstawy twojego bytu zostały zachwiane. Że z wyludnionych wiosek trudno ściągać daniny. Ale podziały i nienawiść wśród ludu, wywołane wojną, będą trwały jeszcze dłużej. Może nie powinienem tego mówić. Powiem jednak. Zasługujesz na to. Wśród naszych wrogów, najeźdźców, ty zasługujesz na szacunek. Jesteś twardy, ale nie bezmyślnie okrutny. Nie jesteś fanatykiem, masz własne zdanie. Nie słuchasz ślepo nakazów twoich kapłanów, nie prześladujesz za odrębną wiarę. Walczysz wtedy, kiedy twoje interesy są zagrożone, zabijasz rzeczywistych wrogów, a nie tylko dlatego, że ktoś wierzy w innych bogów czy należy do innego narodu. Owszem, jesteś chciwy, kłamliwy i bezlitosny, ale twój świat jest taki. Mój, jak widzisz, też. Tobie jednak zadawanie cierpień nie sprawia przyjemności. Zadajesz je z konieczności, są dla ciebie tylko środkiem dla osiągnięcia celu. Więc powiem ci, że to wy wygracie. Wy przetrwacie i narzucicie swoje prawa i zasady, na długo, na bardzo długo. My chcemy już tylko zmniejszyć koszty. Żeby nie trzeba było ginąć za przegraną sprawę. Dlatego chcemy dobić targu...

To było przekonujące. Szeryf nie miał powodu, by w to wszystko nie wierzyć. Jednak czuł podświadomie, że to jeszcze nie wszystko, że siedzący przed nim człowiek coś jeszcze ukrywa. Nie spieszył się z dobijaniem targu.

–Więc jak? – druid nie miał zamiaru zwlekać. – Przyjmujesz moją propozycję?

–Jeszcze nie – odparł krótko szeryf. – Jeszcze nie wiem, na czym ona w rzeczywistości polega. Na razie, oprócz ogólnikowych zapewnień, że mi pomożesz, i przedstawienia motywacji nie powiedziałeś nic konkretnego. Ot, choćby tego, jak zamierzasz przyczynić się do mojego zwycięstwa...

–Co, nie domyślasz się? – zdziwił się druid. – To proste. Zamierzam pozbawić go naszego poparcia. To już bardzo dużo, jak wiesz. Zamierzam ponadto wspomóc

twoje, jak najbardziej zresztą skuteczne działania, polegające na wbijaniu klina pomiędzy banitów a wspierającą go dotąd ludność...

–To akurat nie będzie zbyt trudne. Na to już wpadliśmy sami, bez ciebie. I jak dotąd zupełnie dobrze nam idzie...

Szeryf miał rację. Szło nie najgorzej. Zdawał sobie sprawę, że i okoliczności były sprzyjające. Match najwyraźniej tracił kontrolę nad poczynaniami swoich ludzi. Trudno się dziwić, napływali do niego ostatnio różni, bardzo różni. W niczym nie przypominający Robina i jego szlachetnej gromadki.

–Idzie dobrze, ale za wolno – odparował druid. – Z nami pójdzie szybciej, wierz mi. Nie

masz zbyt wiele czasu, sam wiesz. To co, dogadaliśmy się?

Propozycja była nęcąca. Szeryf już chciał wyciągnąć rękę, by przypieczętować ten układ. Wyjątkowo paskudny dla ciebie, przyjacielu, pomyślał złośliwie. Coś wciąż go jednak powstrzymywało, czuł, że to jeszcze nie wszystko, że nadal nie usłyszał całej prawdy, jakkolwiek przekonujące by były dotychczasowe wyjaśnienia. Trzeba się więcej dowiedzieć, postanowił.

–Coś mi się zdaje, że niezbyt szczerze mówiłeś o mojej inteligencji, przyjacielu – spróbował. – Powody, które przedstawiłeś, dziwnie mnie nie przekonują... Pozwolisz, że

przemyślę sobie jeszcze...

Zawiesił głos, popatrzył wyczekująco w cień pod opuszczonym nisko kapturem. Czekał na odpowiedź. Niedługo.

–Nie nazywaj mnie przyjacielem – warknął druid. – Nie jestem nim i nigdy nie byłem. I nie

będę.

Szeryf wyczuł zdenerwowanie. Czuł już przedtem, ale teraz silniejsze. Uśmiechnął się tylko. Jeszcze nie zdobył przewagi w tej rozmowie, rozmowie przypominającą raczej starcie niż negocjacje. Nie liczył zresztą na to. Ale przynajmniej trochę poprawił swą pozycję.

–Dobrze, przyjacielu – zgodził się. – Sam jednak rozumiesz, że w takiej sytuacji... że nie mogę mieć do ciebie zbyt wiele zaufania. Zgodzisz się zatem, że przemyślę sobie to wszystko. I dam znać...

–Nie, nie zgodzę się. Nie ma na to czasu. Dobrze, skoro chcesz wiedzieć wszystko, proszę bardzo. Chciałem ci tego oszczędzić, ale jeśli sam chcesz...

Szeryf stropił się nieco. Być może rzeczywiście nie chce. Zabrnął jednak zbyt daleko.

–Mów – powiedział po chwili.

Potem mógł już tylko słuchać, dziwiąc się sam sobie, że tak nalegał. Otaczające ich kręgiem megality rysowały się ostro na tle pochmurnego nieba.

Głazy wrosły głęboko we wrzosowisko. W niepamiętnych czasach ułożono je tu, w niepojętym porządku. Niepojętym dla ludzi. Bo to nie ludzie zbudowali kamienny krąg.

–Kiedyś nie byliśmy sami na tym świecie – druid mówił cicho, beznamiętnie. – Kiedyś ten

świat był pełen mocy. Magii, tak to można też nazywać. Żyły wraz z nami inne rasy, starsze

rasy. Nazywacie je teraz elfami, krasnoludami, gnomami. Nazywacie wciąż, choć nikt z was

nie mógł ich spotkać. Odeszły dawno z tego świata, ale pamięć o nich jest wciąż żywa. Wciąż

wam się zdaje, że spotykacie je czasami, że kryją się gdzieś w niedostępnych zakątkach.

Spostrzegacie je, gdzieś na mrocznych krańcach pola widzenia. To tylko złudzenie, oni

wszyscy odeszli, dawno. Za nimi odchodzi moc... Ten świat ją traci, jest jej tu coraz mniej.

Wkrótce zniknie zupełnie. Nie, to nie stanie się jutro czy pojutrze. To będzie trwało jeszcze całe

lata, setki, może tysiące. Mówię wkrótce, bo cóż znaczą te lata wobec nieskończonego trwania. Ale jedno jest pewne, moc słabnie. Gdy świat ją całkiem utraci, nie będzie tu miejsca dla nas... Druid odrzucił wreszcie kaptur. Po raz pierwszy szeryf zobaczył jego twarz. Jest stary, bardzo stary, zrozumiał. Mimo że nie wygląda... Coś jednak w spojrzeniu wyblakłych oczu mówiło, że widziały one już bardzo wiele.

–Tylko jeden na tysiące ludzi jest w stanie pojąć moc. Tylko my, wybrani. I to też nie od

razu, nie spontanicznie. Trzeba wiele czasu, wielu prób, wielu niebezpiecznych środków.

Nawet spośród wybranych niewielu dochodzi wtajemniczenia. Inni poddają się próbom,

przyjmują tajemne zioła i trucizny, mające zmienić ich, przystosować. Zadając gwałt całemu

jestestwu. Przyjmują i...

Zamilkł, mrużąc oczy.

–Przyjmują... i zawodzą? – spytał w końcu szeryf. – Nie dostępują wtajemniczenia? Nie pojmują mocy?

–Tak, nie dostępują – przytaknął druid. – Dlatego, że umierają... Szeryf postanowił o nic więcej nie pytać.:

–Starsze rasy nie potrzebowały tego. To tylko my, ludzie – druid uśmiechnął się krzywo. – Tylko my, ludzie, jesteśmy ułomni. Tylko my potrzebujemy selekcji, długich lat ćwiczeń i medytacji. Potrzebujemy wspomagania. Oni nie potrzebowali. Wszystkie te elfy, krasnoludy, gnomy, skrzaty. Oni czuli moc, wszyscy, nie tylko wybrani spośród nich. Żyli związani z nią. Nie potrafili żyć bez niej. Kiedy moc zaczęła słabnąć, odeszli. Wszyscy. Do innych światów, szczęśliwszych od tego. W inne miejsca, w inne czasy...

Nie doczekał się pytań. Szeryf sprawiał wrażenie, jakby nic już nie pojmował.

–Zbudowali te kamienne kręgi. Tak, przyjacielu, ten krąg, w którym siedzimy, to jest przejście. Przejście do innych światów. Nazwij to, jak chcesz, brama, gwiazdne wrota. Różne już nazwy nadawano...

–Zaraz, chcesz powiedzieć – szeryf przełamał osłupienie. – Chcesz powiedzieć, że te głazy, te zwykłe kamienie...

Urwał. Nagle wszystko zrozumiał. Druid pokiwał tylko głową.

–Masz rację – przytaknął z aprobatą. – Kamienie tu nic nie znaczą, same w sobie nic nie

mogą. Oznaczają tylko miejsce. Miejsce szczególne... Miejsce, skąd można przejść,

dokąd się

chce. Jeżeli ma się moc. Jeżeli się potrafi... Widzę, że rozumiałeś.

Jasne, pomyślał szeryf, rozumiałem. Wszystko i do końca. Przestało im się tu podobać, więc zwinęli interes i poszli sobie. Po prostu ułożyli kilka kamieni, żeby się nikt nie pomylił, i poszli. Tak po prostu. Elfy, krasnoludy, gnomy. Nawet skrzaty. Proste i rozumiałe. Ciekawe, skrzatów już nie ma, a mleko nadal kwaśniej. To kto w nie teraz szcza?

–Zaraz, poczekaj... – zaczął bezradnie. Druid nie pozwolił mu dokończyć.

–Lepiej posłuchaj. Na pytania będzie jeszcze czas. Widzisz, moc słabnie. Żeby otworzyć

bramę, trzeba niezwykle skoncentrowanej woli. Pozwolisz, że nie będę zagłębiał się w

szczegóły, i tak nie zrozumiesz, zresztą, po co ci to. I tak nie skorzystasz...

Druid uśmiechnął się drwiąco, co szeryf przyjął spokojnie. Nawet nie zamierzał rozumieć.

–Dla nas, przyjacielu, też nie ma miejsca na tym świecie. To wy opanujecie ten świat. Dla

was moc nie jest potrzebna, przeszkadza nawet. Wy macie swoje sposoby na życie, może nie

lepsze, ale inne. Z naszego punktu widzenia na pewno nie lepsze, obce i niezrozumiałe. Nie

sądzę zresztą, abyście dobrze na tym wyszli, ale to wasz problem. My chcemy znaleźć dla

siebie inny, lepszy świat, zanim zniszczycie nas do końca. Bo wiemy, że nie wygramy z wami.

Wy możecie przegrać tylko z samymi sobą. I przegracie, tego jesteśmy pewni, ale zanim do

tego dojdzie... Nieważne zresztą... Tu dochodzimy do naszych wspólnych spraw, do Matcha.

Zastanawiasz się pewnie, jaki jest związek między tym, co usłyszałeś, a naszym wspólnym

problemem...

Druid miał irytujący zwyczaj przerywania, gdy dochodził do istotnych rzeczy. Teraz też zamilkł, przymknął oczy. Zamyślił się, jakby na coś czekał. Szeryf chciał go ponaglić. Nie zdążył. Głos kobiety rozbrzmiał głucho, słowa padały w dziwnej kadencji, jakby to ktoś inny, nie ona sama, przemawiał przez jej usta.

Później nie mógł przypomnieć sobie wypowiedzianych przez Marion słów. Nie pamiętał ich, mimo iż słuchając, miał wrażenie, że każde z nich zapada głęboko w świadomość, wypala się ognistymi zgłoskami w umyśle. Zapamiętał jednak sens. Zapamiętał widok bladej, zmartwiałej twarzy, szklistych, pozbawionych wyrazu oczu.

Trwało to długo. Gdy wreszcie zamilkła, urwała w pół słowa, nie mógł wydobyć głosu. Był zaskoczony. I nie tylko.

–Można było wyrazić to składniej, ale w gruncie rzeczy o to właśnie chodzi – przerwał

ciszę druid, jakby z lekkim zażenowaniem. – Ale w takim, jakby to nazwać, transie... Musisz jej

wybaczyć, i, jeżeli nie wszystko zrozumiałeś, dopowiedzieć sobie resztę... Nie powinno to być

specjalnie trudne. On nie jest jednym z nas, przyjacielu. On jest czymś, czego nawet my nie

potrafimy pojąć. Był naszą nadzieją, miał być tym, który otworzy drogę do nowego świata,

teraz jest tylko naszym błędem. Nie znamy jego możliwości. Przepraszam, źle się wyraziłem.

Nie znamy granic możliwości. Bo wiemy już, co dotąd zrobił... Nie wiemy, co jeszcze może,

choć na dobrą sprawę dotychczasowe dokonania już wystarczą.

Szeryf machinalnie obracał w palcach odłamana gałązkę wrzosu, pełną drobnych, liliowych kwiatków. Wrzos już kwitł, wcześniej w tym roku. Zakwitał tak samo, jak wtedy, gdy deptali po nim budowniczo kręgu. Zakwitał, gdy ich już nie było, przynajmniej w tym świecie. Będzie kwitł... Może zawsze. Nawet wtedy, kiedy nas już tu nie będzie, pomyślał zgniatając w palcach delikatne kwiatki. I będzie mu obojętne, czyje stopy depczą kruche gałązki.

Wstrząsnął się. W banalnych fioletowych kwiatach dostrzegł obojętność. Zrozumiał, jak mało znaczy jego efemeryczne istnienie. Zrozumiał, że cały świat, jego świat, wszystko co znał, przeżywał, przeminie wraz z nim. Nigdy dotąd nie myślał w ten sposób i wcale mu się to nie podobało. Znow wstrząsnął nim dreszcz. Druid miał rację. Już zaczynał żałować...

–Za późno – dobiegł go drwiący głos. Druid jak zwykle zgadywał myśli rozmówcy. Szeryf zastanowił się ponieważzasię czy tylko zgadywał.

–Za późno – powtórzył druid, już bez drwiny, raczej ze współczuciem. – Teraz musisz dowiedzieć się wszystkiego, choćbyś nawet nie chciał. Zresztą, chyba jednak chcesz, skoro zabrnąłeś tak daleko. Jesteś przecież ciekawy, i wydaje ci się, że zaspokoienie ciekawości warte jest strachu. Nie jestem pewien, czy masz rację, ale i tak już musisz...

W gęstniejącym mroku głązy wyglądały jeszcze groźniej, niż za dnia, połyskujące gładką, jakby stale wilgotną powierzchnią. Pomimo iż na trawie nie było rosy.

Umowa została zawarta. Dziwna umowa, na przypieczętowanie której strony nie podały sobie rąk. Umowa, której cena okazała się wyższa, niż można było się spodziewać. Za którą przyjdzie płacić przez całe lata. Do końca życia.

Umowa została zawarta. Match nie ma już wsparcia. Został sam. Mimo że jeszcze o tym nie wie, mimo iż wydaje mu się, że jest tak samo silny jak jeszcze wczoraj. Pomimo iż nie stracił ani jednego ze swych żołnierzy. Szeryf zdawał sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu. Druidzi nie muszą robić nic. I to właśnie, że nie zrobią nic, stanie się przyczyną klęski banitów. To wystarczy, sam szeryf nie musi robić nic więcej ponad to, co robił dotąd. Konsekwentnie i do skutku. Bo za jego wrogiem nie stoi już nikt.

Tak, to tylko kwestia czasu, niedługiego zresztą. Spełnią się oczekiwania, stanie się to, o co modlił się podczas bezsennych nocy, gdy rozpamiętywał kolejne porażki. Pokona wreszcie wroga, znow będzie niekwestionowanym panem swego hrabstwa. Wszystko będzie tak jak kiedyś...

Wszystko?

Nie, nic już nie będzie takie samo. Nigdy. Pozostaje cena, którą trzeba zapłacić. Którą zaczął spłacać już teraz. Której nigdy nie uda się spłacić do końca.

–Match, zamilknij na chwilę – Jason otworzył oczy. Match urwał w pół słowa, zaskoczony. Nigdy dotąd Jason nie przerywał. Bardziej zniecierpliwiony niż rozgniewany,

Match próbował podjąć opowiadanie. Opowiadanie nie przychodziło mu łatwo, a teraz ten

przerywa...

–Zamknij się!

Teraz Match przerwał już definitywnie. W głosie Jasona było coś takiego, że słowa uwięzły mu w gardle.

–Co się stało? – spytał po dłuższej chwili.

Jason zerwał się na równe nogi.

–Zamilknij wreszcie! Match wreszcie zamilkł. Pojął, że tylko w ten sposób może coś zrozumieć.

Oczywiście, o ile Jason będzie na tyle łaskawy, że wyjaśni... Nie czekał długo.

–Zrozum, wreszcie zaczyna się coś układać... – Jason znów usiadł spokojnie, przymykając

znów oczy. – Wreszcie zaczyna do siebie pasować...

Dotąd wszystko, co usłyszał i zobaczył w swoich wizjach, było jak pojedyncze, barwne kamienie mozaiki. Kamienie, które ktoś złośliwie rozsypał. I trzymając w dłoni kamyczek, można było podziwiać jego kształt i barwę, jednak nie wiadomo było, jaką część obrazu stanowi. Dopiero gdy trafił na miejsce...

To wszystko było jak rozsypana mozaika. I dopiero teraz kamyki zaczęły trafiać na swoje miejsce. Zaczynał wyłaniać się obraz, jeszcze mglisty, nieuchwytny. Obraz, w którym brakowało wciąż wielu fragmentów, ale który można było już przeczuwać, w jakim kształcie wyłoni się, gdy ostatnie kamienie trafiana swoje miejsce.

Obraz zaczynał być spójny, to, co do tej pory nieufnie uważał za majaczenia, stawało się istotnymi, wręcz kluczowymi elementami. Zaczynał wierzyć, że wystarczy dopasować jeszcze kilka, a zrozumie wszystko. Byle tylko nie stracić wątku, nie pomylić się...

Teraz wołał już tylko słuchać. Nie chciał polegać na wizjach. Przestał wprawdzie im nie dowierzać, ale wołał zdać się teraz tylko na swój umysł. Swój chłodny umysł, z którego był taki dumny...

Z fragmentów wyłaniał się obraz. Obraz, na który czekał wiele dni, bezowocnie obracając w myśli to wszystko, czego się dotąd dowiedział. Teraz, gdy było już

blisko, wiedział, że to, co zobaczy, nie spodoba mu się. Bo ten obraz ułożony z roztrzaskanych fragmentów potwierdzi wszystko, wszystko to, w co nie mógł uwierzyć. I to, w co nie chciał. Co było potwierdzeniem najgorszych obaw. Strasznych przepowiedni wypowiedzianych w malignie.

Jeszcze tylko kilka kamieni... Jeszcze trzeba trochę posłuchać...

Leżąc w ciemności obracał po raz nieskończony w głowie wszystko, co usłyszał. Jeszcze raz. I jeszcze raz od początku.

Nie poddał się wizjom. Było łatwiej niż przypuszczał, nie musiał się bronić przed natrętnymi obrazami wdzierającymi się pod czaszkę. Może dlatego, że Match tym razem opowiadał o rzeczach, których sam nie był świadkiem. O których usłyszał z drugiej ręki, od szeryfa. Jason kiedyś już spostrzegł, że wizje są tym intensywniejsze, im bardziej intensywne i osobiste były przeżycia Matcha. Jeszcze wczoraj rozmyślałby zapewne nad dziwnym

mechanizmem swych doznań, usiłowałby znajdować jakieś prawidłowości. Wyjaśnić i wytłumaczyć jedność myśli, fenomen oglądania zdarzeń czyimiś oczyma. Dziś zupełnie nie miał do tego głowy.

Match zrelacjonował wszystko, czego w mrocznym kręgu megalitów dowiedział się szeryf. Szeryf nie raz powtarzał mu tę rozmowę. Wprawdzie po wielu latach, ale powtarzał dokładnie. Nie było to coś, co mógł zapomnieć.

Trudno zapomnieć coś, co stawia na głowie cały świat. Wszystko, co do tej pory uważało się za niezbite prawdy, stawało się fałszem i ułudą. Cały porządek walił się w gruzy, a w zamian przychodziła tylko niepewność i lęk.

Jason sam się dziwił, że nie zareagował mocniej na to wszystko, czego się właśnie dowiedział. Nie, nie dlatego, że nie uwierzył. Wszystko było logiczne i spójne, bardziej spójne niż to, co do tej pory uważał za niewzruszoną prawdę. Ale dużo mniej przyjemne. Nie czuł jednak lęku, nie wstrząsnęło nim to wszystko. Zdawał sobie sprawę, że po ostatnich przeżyciach niewiele mogło nim wstrząsnąć. Że od dawna szykował się na coś takiego, nie wiedząc wprawdzie na co, ale spodziewał się. Gdzieś w głębi duszy wdzięczny był losowi, że wszystkie wypadki stępiły jego wrażliwość.

Pomogło też to, że nigdy nie był zanadto religijny. Nigdy nie był zbyt przywiązany do głoszonych prawd objawionych. Po prostu nie zastanawiał się nad nimi zbyt. Toteż teraz ich podważanie przyjął dość obojętnie.

Gdzieś z zabudowań klasztoru dobiegło pohukiwanie sowy. Jason przekręcił się na derce, wpatrując się w ciemność szeroko otwartymi, niewidzącymi oczyma. Jeszcze raz, pomyśl jeszcze raz...

Gdy Match skończył swą opowieść, Jason nie odezwał się ani słowem. Bał się spłoszyć delikatny, ledwie rysujący się obraz. Match, o dziwo, nie nalegał. Łatwo dał się zbyć, zniknął w ciemnościach bez słowa. Jason zebrał się na nogi i powlókł z powrotem do klasztoru, by w ciemności na swoim stryszku przemyśleć wszystko jeszcze raz. Jeszcze raz...

Człowiek nie był panem stworzenia. Nie powołano go, by czynił sobie ziemię poddaną. Nie był sam.

Gdy wyłonił się z nieodgadnionych mroków, obok niego wyłonili się inni. Podobni, lecz odmienni. Równie słabi i bezbronni w otaczającym wrogim świecie. Także walczący o każdy dzień, o przetrwanie wśród drapieżców. W inny sposób.

Po niezliczonych porażkach ludzie odkryli, że siła jest w gromadzie. Odkryli, że gdy się jest pozbawionym kłów i pazurów, to niekoniecznie trzeba przegrać z każdym, kto te kły i pazury posiada. Wystarczy takiego zdzielić kamieniem w łeb, najlepiej wspólnie. Wtedy kły i pazury nic nie pomogą.

Ci inni, tak podobni, ale przecież odmienni, z początku mieli łatwiej. Oni zawsze byli wspólnotą, od samego zarania ich dziejów. Byli wspólnotą, bo posiadali siłę. Posiadali moc.

Posiadali wspólnotę myśli. Do porozumiewania się nie potrzebowali znaków, nie potrzebowali dźwięków. Oni wiedzieli.

Nie byli wysepką świadomości we wrogim świecie. Byli jego częścią. Rozumieli siebie nawzajem i rozumieli świat. Siłę brali z wszechogarniającej, obecnej zawsze i wszędzie mocy.

Nie znali kłamstwa i podstępu. Bo jak oszukać kogoś, kto zna twoje myśli? Kto wie wszystko, co wiesz ty? Kto pamięta wszystko nie tylko od narodzin, kto pamięta wszystko to, co pamiętali przodkowie? Kto może zobaczyć wszystko, co sam masz przed oczyma?

Ludzie nie znali mocy. Zaledwie niewielu z nich posiadało takie możliwości, żałośnie zresztą słabe w porównaniu z obcymi. Tak, z obcymi. Bo wszystko, co dla nas niepojęte, jest obce i zamiast potęgi mocy, ludzie uwierzyli w potęgę rozumu. W jedność, która nie polega na wspólnym odczuwaniu, ale na działaniu. Nie na jedności myśli, ale na porozumieniu. Na hierarchii. Nie mogąc się stopić z otaczającym światem, nie mogąc korzystać z mocy go wypełniającej, zaczęli z nim walczyć. I wreszcie wygrywać. By obronić się przed drapieżcami, sami stali się najbardziej skutecznym z drapieżców.

Moc była wokół nich. Lecz tylko nieliczni sobie ją uświadamiali. Słabo, na swój ułomny sposób. Lecz w wystarczający, by wśród innych być uprzywilejowani.

Silniejsi. Jak jednoocy w kraju ślepców. Mniej ułomni od wszystkich innych.

Ludzie z ułomności uczynili siłę. Nie mogli się przyłączyć do świata. Musieli walczyć, i zaczęli wygrywać. Zaczęli zmieniać ten świat na swoją modłę. Nie poddawać mu się, ale zmuszać do uległości.

Obcy też nie stali w miejscu. Ich droga była inna. Oni świat poznawali. Poznawali rządzące nim zasady, poznawali siłę myśli. Czystej myśli, nie fizycznego działania. I w końcu moc pozwoliła im robić rzeczy niewiarygodne. W końcu pozwoliła wyjść poza świat.

Obcy też się rozwijali. Ale za wolno. Bo wreszcie świat stał się za ciasny. I zaczął tracić swą moc. Lecz wtedy była już droga ucieczki. Były bramy do innych światów. Więc odeszli.

A ludzie... Ludzie nie potrzebowali mocy. Była domeną nielicznych z nich.

Nawet słabiutkie i pożałowania godne zdolności tych nielicznych wystarczały, by byli ponad przeciętność. By przewodzili tym pozostałym, biednym ślepcom. By byli wodzami i nauczycielami.

Jednak biednych ślepców było więcej. Z ułomności uczynili siłę. Walczyli i wygrywali. I rozmnażali się. Przystosowywali świat dla siebie, nie wiedząc, że niszczą go zarazem. Dla wszystkiego znaleźli uzasadnienie, nawet dla swego istnienia. Wymyślili stwórcę, tak samo ułomnego, jak oni sami, który stworzył ich takimi, bo sam taki był, na własny obraz i podobieństwo. Który był doskonały, bo przecież oni tacy są.

Już nie potrzebowali więzi ze światem. Odrzucili moc, niepotrzebną do niczego.

I tylko nieliczni znali istotę rzeczy. Ci nieliczni, którzy przez jakiś kaprys natury nie zatracili poczucia mocy, nie zatracili pamięci pokoleń. Którzy przez wieki starali się wieść innych, ślepych we właściwym kierunku.

Druidzi. Jedyni, którzy nie odrzucili swego dziedzictwa. Którzy zachowywali ciągłość, którzy starali się poznać tajemnice mocy. Udawało się, mimo straszliwego ograniczenia, jakim były mizerne zdolności, nieodłącznie związane z pochodzeniem. Przez wieki doświadczeń doszli do sposobów, którymi można te zdolności wspomóc. Przez wieki wyszukiwali tych, którzy rokowali nadzieje, poddawali ich ryzykownym próbom. Sztucznie stymulowali ślady naturalnych predyspozycji. Wielu płaciło ostateczną cenę. Lecz byli nieliczni, którzy nieśli swą wiedzę dalej.

Lecz dany czas zaczynał się kurczyć. Coraz mniej było wyznawców dawnych obyczajów. Coraz więcej ludzi szło tą łatwiejszą drogą. Drogą, która nie wiodła do niczego dobrego.

Coraz trudniej było znaleźć następców. Z prostego powodu, nie bardzo było wśród kogo wybierać. Coraz częściej zwyciężała brutalna siła i ignorancja. Ignorancja, z której uczyniono cnotę.

Coraz częściej wybrani byli słabi. Byli coraz gorsi. Może to świat tracił swoją moc. Może po prostu było ich za mało.

Wreszcie trzeba było zaakceptować porażkę. Właściwie klęskę. Bo jak inaczej nazwać to, że cały znany świat się kończy? Że wszystkie zasady zastępowane są innymi, niemożliwymi do zaakceptowania? Obcymi?

Jak nazwać to, że wybrana przez ludzkość droga wiedzie ku zagładzie? Prędzej czy później?

Gdy już pogodzone się z myślą o klęsce, zaczęto szukać rozwiązania. Nie trzeba było szukać daleko, nasuwało się wprost, jako jedyne i logiczne. Trzeba ocalić to, co jeszcze można. Trzeba odejść, tak jak odeszli obcy. Znaleźć inny, lepszy świat. Zacząć wszystko od nowa.

Trzeba się pospieszyć, póki nie jest za późno.

Był tylko jeden problem. Słabe ludzkie zdolności korzystania z mocy czy też, inaczej mówiąc, magii, nie wystarczały. Nie można było otworzyć wrót do innych światów.

Niezliczone próby, niezliczone ofiary. Wszystko na nic. Wrota, pozostawione przez obcych, były wciąż niedostępne. Owszem, udawało się je otwierać. Ale nikt nie potrafił znaleźć tego właściwego świata. Wreszcie nawet otwarcie przejścia stało się niemożliwe. Moc słabła. Albo brakowało potrafiących ją wykorzystać.

Żaden człowiek nigdy nie otworzył przejścia w sposób naturalny. Musiał być wspomagany. Próbowano różnych halucynogennych środków, dekoktów wzmagających zdolności. Na ogół śmiałkowie umierali, zanim udało im się zrobić cokolwiek. Ci nieliczni, co przeżyli, zwykle zawodzili. Zaś jeszcze mniej liczni po prostu nie wracali.

Śmiałkowie wprawiali się w trans, licząc na to, że podświadomość wyzwoli się spod okowów rozumu. Pozwalali się zabijać na kamieniach umieszczonych w centrum kręgów, w nadziei na to, że w tej jednej chwili wyzwolone emocje przeniosą ich w niedostępny świat. Przenosili się, ale nie tam, gdzie chcieli.

Przygotowywano ich od dziecka. Dzieci wyselekcjonowanych rodziców. Od niemowlęctwa przygotowywane do tego jednego, jedyne zadania. To zaczynało dawać rezultaty. Były szansę, że w końcu któryś z nich dokona tego, do czego został wybrany. Do czego został stworzony i uformowany. Byle by tylko starczyło czasu.

Match był ostatnim z nich. Był wynikiem łańcucha pokoleń, doboru według jednego kryterium. Miał zdolności nieporównywalne z nikim innym dotąd. Był szczytem, był osiągnięciem zabiegów dokonywanych przez lata. Przez dziesiątki lat. Przez wieki.

Miał być tym, kto przeprowadzi ich przez bramę. Miał poznać wszystko, co będzie do tego potrzebne. Miał zostać poddany przemianom, które to umożliwią.

Został kimś innym. Wskutek splotu okoliczności stał się czymś, czego nie pojmowali nawet jego twórcy. Stał się nieobliczalną zagadką, o możliwościach, których nikt się nawet nie domyślał. Wynik wielu pokoleń selekcji i przemian, jakim został poddany w niemowlęctwie, przemian, które niewielu przeżywało, był tajemnicą.

Match nie był człowiekiem. Był tworem, który, stworzony do całkiem innych celów, wyrwał się spod kontroli. Obdarzony niezwykłymi zdolnościami nie miał zarazem wpojonego celu. Sam znalazł sobie cel. Nie taki, jaki mu przeznaczono.

Nie miał wiedzy. Nie znał zasad. Był tylko sprawny. I groźny. Groźny swą nieświadomością.

Ostatnie kamienie mozaiki wpadają na miejsce.

Match otworzył bramę. Otworzył, nie wiedząc, co robi. I pozostawił ją otwartą.

Nie wszystkie światy są przyjazne. Za bramą są rzeczy niepojęte i straszne. Przez bramę można przejść. W obie strony.

Jason prawie współczuł szeryfowi. Trudno żyć ze świadomością, że świat nie jest bezpieczny, że w każdej chwili z mroku, z innych miejsc i czasów może wyleźć coś obcego i nieodgadnionego. Coś wrogiego. Coś, co zechce opanować ten świat. Albo go zniszczyć.

Match uczynił coś strasznego. Spowodował zagrożenie, które się ziściło już kiedyś. Jason wstrząsnął się, wspominając mroczne pogłoski. Pogłoski, które zostały potwierdzone. Nie to jednak było najgorsze. Najgorsze było to, że zagrożenie nie minęło. Przeciwnie, zbliżało się znów.

Tak, to zaczynało do siebie pasować. Jeszcze przed chwilą nie rozumiał, dlaczego Matcha w swoim czasie po prostu nie zabito. Wydawało się, że to najprostsze wyjście, skoro samym swym istnieniem, swoją nieobliczalnością stwarzał zagrożenie. Ale tylko on, on jeden na całym świecie mógł stawić czoła temu, co może nadejść. I wszystko na to wskazuje, że już niedługo będzie musiał. Pozostaje tylko pytanie, czy wygra.

Wszystko inne było nieistotne. Match wszystko pojmował w kategoriach winy i kary, zadośćuczynienia za swe postęпки. No cóż, skoro tak uważał... Ale Jason wiedział

już, że to było nieważne. To nie żadne przeznaczenie, to czyjeś celowe działania doprowadziły do tego

wszystkiego. Miały inny cel, ale zawiodły. Match nie był przyczyną, ale ofiarą, jedną z wielu. Teraz zaś był tylko narzędziem. Jedynym, które pozostało... Jeżeli to narzędzie zawiedzie...

Czym narzędziem? Losu? Opatrzności? Przeznaczenia? Czy też może...

Wciąż więcej pytań niż odpowiedzi. Co wypełza teraz na ten świat? Z czym przyjdzie się zmierzyć? Czy są jakiegokolwiek szansę?

Jason bezradnie przetarł piekące oczy. Co ja w tym wszystkim robię? Skąd ja to wszystko wiem? Dlaczego to widzę? Czyja też...?

Spokojnie, przykazał sobie. Spokojnie, bo zwariujesz. Pomyśl jeszcze raz. Jeszcze raz...

Szeroko otwarte oczy wpatrzone w ciemność. Pohukiwanie sowy. Ostatnie kamyki wpadają na miejsce. Obraz jest gotowy. To już wszystko, na pewno... Ten był ostatni.

Dlaczego widać tylko kolorowy chaos? Dlaczego kamienie nie układają się w coś zrozumiałego? Czego jeszcze brakuje?

Prawda leży daleko.

IX

Ci ludzie rodzą się, żyją i umierają w tej samej wiosce – wiosce ich przodków. Wioska to ich cały ś wiat. A my co robimy? Równamy z ziemią takie wioski tylko po to, żeby nie mogły się tam schronić oddziały nieprzyjaciela [...]. Odtąd są całkowicie skazani na naszą łaskę i serdecznie nas nienawidzą.

Robert Mason. *Powiedz, że się boisz.*

Ciemna sylwetka przesłoniła wejście do szałas. Match podniósł głowę. – A, to ty, Elijah -powiedział.

Elijah był cały mokry od deszczu. Odgarnął zlepione, długie blond włosy, przewiązane na czole opaską z zielonego płótna. Odpiął pas z bronią i rzucił na posłanie z sosnowych gałęzek, przykryte wilgotną derką.

Match nie odzywał się. Patrzył na młodego banitę zmęczonym wzrokiem. Milczenie przedłużało się. Elijah także nie śpieszył się z meldunkiem.

–I co? – spytał wreszcie Match.

–Nie przywieźli.

–Jak to nie przywieźli?! – zdenerwował się Match.

–I Sheen nie wrócił – dodał Elijah, unikając jego wzroku. Wydobył miecz z pochwy i począł przecierać ostrze natłuszczonym kawałkiem skóry. Zdawał się całkiem pochłonięty tą nieskomplikowaną czynnością.

–Jak to nie wrócił?!

Elijah milczał jeszcze przez chwilę.

–Zapewne tak jak inni przedtem – powiedział wreszcie. – Miał dość i zwiął. Przecież wiesz, że ludzie już nie wytrzymują.

Match chwycił go za ramię z błyskiem szaleństwa w oczach.

–Nie mów tak do mnie! – warknął z wściekłością: – Było już gorzej i wytrzymywali. Po

prostu zamarudził. Jak wróci, to...

Przerwał. Spojrzał uważniej na rozmówcę.

–Nie to chciałeś powiedzieć – stwierdził.

Elijah milczał przez chwilę. Potem uwolnił się od chwytu dowódcy. Stał i milczał, unikając wzroku Matcha. Był inny niż cała reszta kompanii. Bardziej pasowałby do dawnych towarzyszy Robina – Małego Johna, Willa, brata Tucka. Teraz został tylko Nazir, zawsze lojalny, a może po prostu nie mający dokąd pójść. Ich miejsce zajęli ludzie różnej, aczkolwiek najczęściej podejrzanej proveniencji. Profesjonalni zabijacy, zbiegli żołnierze, naiwni poszukiwacze przygód i bogactwa. O tak, byli sprawni i groźni. Dla wszystkich.

Elijah był inny. Było w nim coś, co kazało wierzyć w jego prawość. W jego szczere intencje. Nie ułatwiała mu to życia, zwłaszcza teraz, gdy przegrywali.

–Lepiej by było, gdyby po prostu zwiął – powiedział smutno Elijah – ale nie wygląda na to. I nie wygląda dobrze.

–No dobrze, powiedz wszystko po kolei – rozkazał już spokojnie Match.

–Wioska jest wyludniona – rozpoczął Elijah cicho – zostali tylko starcy, kobiety i dzieci. A w każdym razie tylko ich można było zobaczyć. Nikogo z młodych. A wiesz, to przecież była ludna wieś. Wójt powiedział od razu, że sami nie mają zapasów. Pokazał pola. Rzeczywiście, wygląda na to, że w tym roku tylko część została obsiana, na innych były tylko chwasty, jeszcze zeszłoroczne. Dzieciaki zagłodzone. Wygląda na to, że mówił szczerze. Ale chłopakom coś się nie spodobało. Coś w jego oczach, w tym, jak się zachowywał. Postanowili sprawdzić w chałupach, w obejściach... Wiesz, czy czegoś nie ukrywają, bo tak się zachowywali. Rozeszli się. Jeden zauważył ślady koni, świeże ślady. Chciał zapytać wójta, ale ten nagle zniknął, jakby się zapadł pod ziemię. A chłopci... Chłopci stali się nieprzyjaźni.

Elijah... – przerwał Match, mówiąc podejrzanie spokojnym głosem. – Sam mówiłeś, że byli starcy, kobiety i dzieci... Nie chcesz chyba powiedzieć, że grozili pięciu uzbrojonym ludziom!

–Czterem – odpowiedział Elijah. – Sheen został przed wioską, na czatach. Nie powiedziałem, że grozili. To było coś w rodzaju biernego oporu. Rozumiesz, zagradzali drogę,

udawali, że nie słyszą, co się do nich mówi. Co gorsza, chłopcy zobaczyli, jak kilku wyrostków

wymyka się opłotkami z wioski do lasu. To im się już bardzo nie spodobało. Uznali, że nie mają

na co czekać, że może to zasadzka. Wycofali się z wioski. Na drodze powinni

spotkać Sheena.

Nie było go, więc ruszyli dalej. Nie od razu zresztą, najpierw szukali śladów, walki, krwi, no

wiesz, jak to w takich przypadkach...

–I co, nic takiego nie znaleźli? – spytał Match. Elijah pokręcił głową. Match ze złością zacisnął pięści.

–A więc zwał! Przestraszył się i zwał! Wróci pewnie, jak mu przejdzie.

–Nie, Match, nie sądzę... – powiedział wolno Elijah. – Sheen nie był tchórzem, sam wiesz. Poza tym...

Urwał. Sięgnął w zanadrze, wydobyl coś i rzucił Matchowi. Zerwany naszyjnik z malowanych kawałków drewna z wyrzeźbionymi runicznymi znakami.

–Co... to jego? – zrozumiał Match.

–Tak, jego talizman. Zawsze go nosił, na szyi, pod koszulą. Match wpatrywał się w rzemień. Był czysto przecięty, nie zerwany.

–Leżał w trawie, widoczny z daleka. On by go nie zostawił... – dodał niepotrzebnie Elijah.

Match odwrócił się. Zaczynamy przegrywać, pomyślał. U progu zimy, bez zapasów. Z

coraz mądrzejszym przeciwnikiem.

O tak, szeryf i szlachta nauczyli się czegoś. To już nie były czasy sprzed roku czy dwóch, gdy wojsko wjeżdżało do puszczy i Ignęło w młakach. Kiedy rycerze uważali, że szarża z kopią jest najlepszą metodą ataku na ukrytych łuczników. Kiedy wojsku towarzyszyły ociężałe tabory.

Wtedy wydawało się, że uda się nawet przenieść walkę na terytorium przeciwnika. Udało się kilka śmiałych wypadów do miasta, udało się zdobyć kilka dworów. Zaś w puszczy banici byli panami. Las dawał schronienie, przyjazne wioski żywność.

Przeciwnik zmienił w końcu taktykę. Zamiast szukać rozstrzygnięcia w walce z ruchliwym i nieuchwytnym wrogiem, postanowił zniszczyć jego zaplecze.

Bezlitośnie ściągano daniny, nie przejmując się tym, czy chłopci przeżyją zimę. Opornych więziono i zabijano. Poczęto palić wsie, w których banici zatrzymali się

choćby na jedną noc. Za kontakty z banitami była jedna kara – stryczek.

Rezultaty przyszły szybko. Szybko okazało się, że banici nie są w stanie ochronić swych sprzymierzeńców. Wygłodzeni i zdesperowani chłopcy coraz mniej przyjaźnie spoglądali na swoich obrońców. W końcu daniny i pańszczyzna nie były takie straszne.

Najpierw był bierny opór. Coraz niechętniej wieśniacy dzielili się żywnością, otwarcie odmawiali schronienia i noclegu. Aby przeżyć, trzeba było stosować rekwizycje. Co prawda, często okazywało się, że nie ma czego zarekwirować. Wtedy opór bierny zaczął stawać się czynnym. Szeryf nie miał już trudności ze znalezieniem chętnych do informowania o ruchach i zamierzeniach banitów. Lecz na tym się nie skończyło.

–Co o tym myślisz, Elijah? – spytał Match, znając przecież odpowiedź.

–Leśni – usłyszał. Tak jak oczekiwał.

Leśni. Specjalne oddziały utworzone do walki z banitami. Składające się z ludzi doskonale znających puszcę, przeważnie byłych gajowych i kłusowników. Zaopatrywane i uzbrojone przez szeryfa, ale przecież utworzone z mieszkańców wiosek. Z ochotników. Na pozór pozbawione jednolitego dowództwa, ale ściśle współpracujące z wojskiem.

Nie nadawały się do otwartych potyczek. Ich członkowie byli lekko uzbrojeni, przeważnie tylko w łuki i noże. Pojawiali się znikąd, szarpali przeciwnika i znikali. Las nie miał dla nich tajemnic, ciemności nocy nie były przeszkodą.

–Dobrze, Elijah – powiedział już spokojnie Match. – Idź, odpocznij. Rano ruszamy do wioski.

–Match, sam wiesz, że to nie ma sensu. On już nie żyje...

–Potrzebujemy żywności. Nie chcą dać, to sami weźmiemy – rzucił twardo Match.

–Może oni naprawdę nie mają? – powiedział Elijah bez przekonania.

–Dla nas muszą mieć. Ostatecznie to my ich bronimy.

–To dlaczego zaczęli się bronić przed nami? – zapytał Elijah z goryczą. – I czy przypadkiem nie staliśmy się gorsi od...

Urwał.

–No dokończ, dokończ – warknął Match. – Od kogo? Elijah nie odpowiedział. Siedział ze spuszczoną głową.

–Elijah, co ty tu jeszcze robisz? – zapytał Match lodowato. – Dlaczego nie odejdziesz, skoro już w nic nie wierzysz? Przecież uważasz, że przegraliśmy. No powiedz! Przegraliśmy?!

–Tak, Match, przegraliśmy. Przynosimy im tylko cierpienie i śmierć.

–To dlaczego, u diabła, nie odejdziesz? Jak ci wszyscy tchórze przed tobą! – krzyknął Match. – No idź, wracaj, skąd przyszedłeś!

Elijah nie od razu odpowiedział. Wreszcie podniósł głowę i spojrzał prosto w oczy Matcha.

–Match, ja się nie boję. A nie odejdę dlatego, że nie zostawię chłopaków. Przyszedłem tu

sam, przez nikogo nie zmuszany. I zostanę do końca. A chłopakom jestem coś winien. Już nie

tobie, Match, tylko im...

Match ścisnął w pięści naszyjnik Sheena. Obracał w palcach drewniane paciorki, wpatrując się w nie niewidzącym wzrokiem.

–Idź już, Elijah – powiedział w końcu – idź już... Rano ruszamy.

Mimo że znajdowali się w samym sercu lasów, nie mogli posuwać się jak kiedyś konno, w zwartym szeregu. To już nie była przyjazna puszcza Sherwood, w której byli bezpieczni. Po dwóch latach wojny z każdych zarośli mogły posypać się zniecierpliwione strzały, każdy zakręt leśnej drogi mógł skrywać zasadzkę. Nie było już bezpiecznych zakątków. Nie było bezpiecznych uroczyisk, gdzie mogli znaleźć odpoczynek. Byli tropieni przez cały czas, dniem i nocą, przez wszystkich. Każde osłabienie uwagi mogło kosztować życie.

Bezpieczeństwo dawał tylko ciągły ruch, ciągła zmiana pozycji. Ludzie byli coraz bardziej wyczerpani. I coraz bardziej bezwzględni, bo tylko to dawało szansę przeżycia.

Już dawno przestali korzystać z gościńców i leśnych dróg. Zbyt wielkie było ryzyko, że stłoczonych na wąskiej drodze ludzi zdziesiątkują ukryci strzelcy. Ścieżki też były niebezpieczne. Na podejściach do wiosek coraz częściej można było napotkać doskonale zamaskowane wilcze doły, ze sterczącymi na dnie zaostrzonymi palami posmarowanymi gnojem. Łąki przy chłopskich obejściach kryły w trawie wbite w ziemię kołki, kaleczące nogi przy nieostrożnych krokach. Zeschłe liście mogły skrywać linę, po zawadzeniu o którą z drzewa waliła się sękata, nabijana gwoździami kłoda.

Teraz posuwali się pieszo, gotowi do wydobywania broni w każdej chwili. Rozsypani szeroko, szli czujnie, rozglądając się i przystając na najmniejszy szelest. Kawałki otwartej przestrzeni przebywali biegiem, przygięci, osłaniani przez towarzyszy.

Z tyłu, w bezpiecznej odległości, kilku ludzi prowadziło konie.

Match stąpał po dywanie zeschniętych liści, niosąc napiętą kuszę. Mimo że wymagała dłuższego czasu przy napinaniu, pozwalała szybciej wystrzelić w razie niebezpieczeństwa. Ich głównym przeciwnikiem były teraz leśne grupy, potyczki odbywały się przeważnie w zaroślach, z zaskoczenia, na mały dystans. Decydowały pierwsze chwile, ten, kto pierwszy dostrzegł wroga i wystrzelił, przeżywał. Oczywiście, jeżeli trafił.

Z boku dał się słyszeć zduszony okrzyk. Match podniósł rękę, dając znak do zatrzymania się. Wszyscy zamarli z wydobytą bronią. Okrzyk powtórzył się. Brzmiał jakoś dziwnie, nie jak ostrzeżenie.

Match dał znak ludziom, aby pozostali na swoich miejscach. Sam ruszył ostrożnie w kierunku głosu.

Na małej polance stało trzech ludzi. Dwaj banici, którzy szli na skraju tyraliery. Zastygli z opuszczoną bronią, wpatrując się w trzeciego. Trzeci...

Trzeci stał przywiązany do drzewa. Sheen. A raczej to, co z niego zostało.

Polana powoli wypełniała się ludźmi. Stawali w milczeniu, patrząc z jakąś niezdrową zachłannością.

–Odetnij go, Królik – przerwał milczenie Match. – Ruszamy dalej.

Królik, ponury chłopak z szalonym wyrazem oczu wyjął nóż. Zmasakrowane ciało upadło na trawę.

Zapadli na skraju lasu, przed polami otaczającymi wieś. Match podczołgał się do brzegu zarośli.

Wioska z daleka wyglądała na wyludnioną, spod strzech nie unosił się dym.

Pomiędzy chałupami nie było widać żadnego ruchu. Obok Matcha zaszeleściły liście. Spojrzał w bok i zobaczył Nazira, tak jak on uważnie obserwującego zabudowania. Po chwili Nazir wskazał ręką w tył. Popęzli z powrotem.

–Co o tym sądzisz, Nazir? – zapytał Match. Maur zastanawiał się przez chwilę.

–Nie widać śladów wojska – odpowiedział po chwili. – Jeżeli tu byli, to najwyżej

kilku. Nie mieli żadnych powodów, by się nas tu spodziewać. Ale...

–Wiem – powiedział Match. – Ostrożność nie zaszkodzi.

–To nie to. Nie mamy tu czego szukać...

–Jak to nie mamy?! Musimy zdobyć żywność...

–Czy pozwolisz mi powiedzieć? – spytał spokojnie Nazir.

Match spojrział na niego ze złością. Chciał uciąć rozmowę, ale w oczach Maura zobaczył coś, co zmusiło go do uwagi.

–W porządku, słucham...

–Odejdźmy na bok.

Odeszli ścigani nieprzyjaznymi spojrzeniami. Ludzie zaczęli szemrać.

–Słucham – powtórzył Match.

–Jeżeli tam ktoś został, nie utrzymasz ludzi. Będzie rzeź – powiedział Nazir.

–Bzdury! Ludzie będą mnie słuchać. Ja chcę znaleźć tych, co zabili Sheena. W taki sposób...

–Ludziom jest w tej chwili wszystko jedno, kogo zabiją, Match. Tobie, jak sądzę, też. Match patrzył przez chwilę na Maura, potem odwrócił się do oczekujących ludzi.

–Panuję nad wszystkim, Nazir – powiedział cicho. Podniósł głos – Ruszamy, bez hałasu! Zwrócił się z powrotem do Maura stojącego z nieprzeniknioną twarzą.

–Idziesz z nami czy zostajesz? – zapytał wyzywająco.

–Idę, Match. Ale to błąd...

Z ludzi jakby opadło zmęczenie i zniechęcenie ostatnich tygodni. Dobywając broni, sprawnie rozsypali się na skraju lasu, posuwając w kierunku wioski. Gdy przebyli połowę drogi, Match zauważył w opłotkach ruch. Ktoś usiłował przemknąć się niepostrzeżenie do lasu. Match podrzucił napiętą kuszę i wystrzelił do ledwie widocznej sylwetki.

Uciekający potknął się, zrobił jeszcze trzy niepewne kroki i padł na ziemię z bełtem sterczącym między łopatkami.

–Piękny strzał – usłyszał Match za sobą. Odwrócił się. Maur patrzył na niego z zagadkową

miną.

Podbiegli do zabitego. Leżał na twarzy, z rękami wczepionymi w ziemię. Ktoś butem obrócił go na plecy. Młody, najwyżej dwudziestoletni chłopak, ubrany w szary kubrak z naszytymi brązowymi i zielonymi kawałkami szmat. Miał tylko krótki sztylet u pasa. Przed nim leżał łuk i rozsypane strzały. Leśny.

Z otwartej przy upadku sakwy wysunął się bochenek chleba. Match schylił się i podniósł go. Był ciepły.

–Patrz – powiedział ktoś z tyłu nieswoim, zduszonym głosem. Match nie wiedział, kto. – Miał chleb...

–Jasne – odpowiedział inny głos, również niemożliwy do zidentyfikowania. – To tylko dla nas, kurwa, nie mieli...

Match poczuł, jak zalewa go fala wściekłości. Wyprostował się, nie próbując nad sobą zapanować.

–No dalej, kurwa, na co czekacie? – powiedział. – Do wioski!

Przebiegli przez opłotki, rozsypali się pomiędzy chałupy. Już bez żadnej ostrożności, pokrzykując i kopiąc w pozamykane drzwi. Match szedł środkiem z obnażonym mieczem,

wskazując ludziom poszczególne chałupy. Elijah usiłował zapanować nad całym tym bałaganem, próbował komenderować, ale nikt go nie słuchał. Wkrótce z chałup zaczęły dobiegać rozpaczliwe krzyki.

–Elijah – krzyknął Match. – Znajdźcie wójta!

Sam stanął pośrodku majdanu i patrzył. Z rozbitego kopniakami chlewa wyrwała się maciora, z przerażonym kwikiem wypadła na majdan, prosto przed Królika idącego z napiętą kuszą.

–Świnka, świneczka – powiedział Królik z szalonym uśmiechem i poderwał broń.

Szczęknęła cięcziwa i maciora zwała się na bok wierzgając nogami w przedśmiertnych

skurczach. Królik spojrział obojętnie i poszedł dalej.

Podbiegł zdyszany Elijah.

–Znaleźliśmy ziarno. Cały spichlerz pod ziemią! – wykrzyknął. Stał, nerwowo rzucając

wokół siebie szybkie spojrzenia.

Na majdanie zaczęli pojawiać się wieśniacy, wywlekani z chałup. Starcy, kobiety i płaczące dzieci. Popychani brutalnie przez banitów, stawali kręgiem, otaczając studnię pośrodku majdanu i patrząc z przerażeniem na Matcha z obnażonym mieczem.

–Gdzie wójt? – krzyknął Match do Elijaha.

–Mamy go – odpowiedział Elijah. – Już tu prowadzą. – Dobrze. Wracaj i dopilnuj, żeby go zanadto nie uszkodzili.

–Tak jest! – odkrzyknął Elijah i zawahał się. – Match...

–Co jest? – spytał niecierpliwie Match.

–Match, uspokój ludzi, już mamy to, po co przyszliśmy.

–Wracaj! – powtórzył Match.

Elijah próbował jeszcze coś powiedzieć, ale w końcu odwrócił się i odbiegł. Nazir zbliżył się do Matcha.

–To baza leśnych – powiedział – tu się zaopatrywali. Popatrz...

Wskazał ludzi niosących worki z mąką, ziarnem, połcie słoniny. I jeszcze coś – zawinięte w natłuszczone szmaty nowiutkie miecze.

–Zabierajmy to, co zdołamy unieść – powiedział Maur – resztę trzeba zniszczyć. I wynośmy się stąd szybko. Coś mi mówi, żeby tu za długo nie zostawać. Miałeś rację, psiakrew... – dodał.

–Zaraz – powiedział wolno Match. – Jeszcze poczekamy.

Królik z jeszcze jednym towarzyszem, młodym chłopakiem, który niedawno dołączył do oddziału, kroczył szybko przez wioskę. Biegający bezładnie wieśniacy na ich widok przyskakiwali w opłotki. Tych, co nie zdążyli Królik kopniakami odrzucał na bok. Wpadli w obojętność. Pod ścianą chałupy stał młody chłopak. Nie miał szans na szybką ucieczkę, jego prawa noga była ucięta pod kolanem. Stał wspierając się na topornie wykonanej kuli, patrząc przerażonym wzrokiem, z zębami wyszczerzonymi w nerwowym uśmiechu.

–Królik – zawołał młody banita – ten skurwysyn się z ciebie śmieje! Królik postąpił

do przodu. Kopniakiem wytrącił kulę. Kaleka zachwiał się, ale nie upadł, oparł się tylko o ścianę.

–Tańcz! – krzyknął Królik. – Tańcz, jeśli potrafisz!

Kaleka spoglądał nic nie rozumiejącym wzrokiem. Królik uniósł kuszę i wystrzelił. Bełt wbił się po brzechwy w ziemię u nogi kaleki, wzbijając obłoczek kurzu. Kaleka zaczął niezdarnie podrygiwać. Z twarzy nie schodził mu nerwowy uśmiech.

–Królik – załamującym się histerycznie głosem powtórzył młody – on się z nas naśmiewa!

Królik zamachnął się kuszą. Ciężkie łoże uderzyło w głowę kaleki, druzgocąc kość policzkową. Osunął się po ścianie, zostawiając smugi czerwieni. Ocalała połowa twarzy wciąż szczyrzyła zęby w uśmiechu. Królik z szaleństwem w oczach ponawiał ciosy, aż głowa kaleki zamieniła się w bezkształtną masę. Młody poczuł, jak na twarz pada mu coś ciepłego i wilgotnego.

Gdy drgające ciało wreszcie zastygło, Królik odstąpił do tyłu. Za nim młody banita z twarzą opryskaną krwią i mózgiem stał zgięty w pół, szarpany torsjami.

Match stał na majdanie. Dwóch ludzi rzuciło przed nim starego wójta. Starzec poniósł się niezdarnie, ukląkł. Uniósł zakrwawioną twarz i spojrzał w górę.

Match milczał. Wreszcie przyłożył sztych miecza do gardła wójta. Ten wzdrygnął się, wyprostował.

–Dla kogo była żywność? – spytał Match. – Dla kogo broń?

Starzec drżał. Match lekko nacisnął miecz. Ostrze przebiło skórę, po szyi spłynęła kropla krwi.

–Mów! – krzyknął. – I tak wiem... Ale chcę to usłyszeć od ciebie...

–Kazali, panie! – zaskomlił wójt. – Musieliśmy! Powiedzieli, że spalą, zabiją...

–Przecież to wasi ziomkowie – zadrwił Match – nie musieli was chyba przymuszać, co? Wójt nie odpowiadał. Match cofnął miecz. Wójt jakby zwiotczał, osunął się w rękach

trzymających go banitów.

–No dobrze – podjął Match – powiedz, dokąd poszli.

–Nie powiem, panie! Zabijają!

–Nie, wójcie – powiedział Match ponuro, przykładając ponownie miecz do gardła starego.

–To wasi, nie zabiją. Ale ja to zrobię, jeżeli nie odpowiesz...

Starzec wyprostował się, zeszywniał. Wzrok mu stwardniał. – Nie powiem, panie! Chcesz, zabij! Śmierć jednaka! Czerwona mgła przesłoniła oczy Matcha.

–Jednaka, powiadasz? – usłyszał swój głuchy głos. – Może i racja... Puśćcie go! Spokojnie, powoli pchnął. Starzec zwałił się na ziemię. Nie charczał, jak to zwykle człowiek z podejrniętym gardłem, nie miotał się, usiłując rękoma zatrzymać wypływające życie. Mocne pchnięcie przecięło kręgosłup. Match wyprostował się, spojrzał wkoło.

–Kto następny? – krzyknął.

Ktoś chwycił go z tyłu za ramię, wytrącając z ręki miecz. Odwrócił się, i w tym samym momencie dostał pięścią prosto w twarz. Padł na kolana, kręcąc głową w oszołomieniu. Ktoś nie czekając aż powstanie, chwycił go, okładając pięściami. Zwarli się, potoczyli, wzbijając z ziemi obłoki kurzu.

Match poczuł chwytające ręce, odrywające go od przeciwnika. Szarpnął się, lecz trzymali mocno. Podniósł głowę i zobaczył Elijaha, trzymanego przez Nazira w mocnym uścisku. Po twarzy spływała mu krew z rozbitego łuku brwiowego.

–Coś ty zrobił, Match – krzyczał Elijah, wpijając w Matcha pałający nienawiścią i żalem wzrok. – Coś ty, kurwa, zrobił?!

–Zabiję cię, Elijah – powiedział wolno Match. Też widział już na czerwono. To nie wściekłość, to tylko krew spływająca z rozciętego łuku brwiowego.

–Mieliśmy ich bronić! Nie mordować!

–Zabiję cię – powtórzył Match, wolno i spokojnie. – Jesteś już trupem. Nazir puścił Elijaha, który bezsilnie opadł na kolana. Maur podszedł do Matcha.

–Kończmy to – powiedział. Match przestał się wrywać.

–Puśćcie mnie – mruknął. – Zabieramy się stąd. Nazir popatrzył badawczo. Dał znak trzymającym Matcha ludziom.

Do spichlerzy wrzucono płonące pochodnie. Gdakanie mordowanych kur mieszało się ze skowytem psów. Pod strzechy podkładano ogień. Wkrótce ogarnął całą wieś.

Wychodzili z wioski razem z mieszkańcami, uciekającymi z płonących domostw. Szli

przez pola z opuszczoną bronią, przemieszani z dziećmi, starcami, płaczącymi się pod nogami psami i beczącymi kozami. Kilku niosło na ramionach płaczące dzieci. Za nimi dym wznosił się coraz wyżej w niebo.

Ludzie byli zmęczeni. Całodniowy marsz przypominał raczej ucieczkę. Podniecenie dawno opadło, ludzie jechali, nie patrząc sobie w oczy, bez zwykłych rozmów. Nie zachowywali też zwykłej ostrożności. Jechali bezładną gromadą, stłoczeni na wąskiej drodze. Nazir usiłował zaprowadzić jaki taki porządek, lecz bez rezultatów. Rozkazy nie skutkowały. Konie obciążone zapasami, wymęczone całodniową jazdą potykały się coraz częściej.

Match nie był zdolny do zapanowania nad ludźmi, zresztą nie bardzo się ku temu kwapił. O wyjeździe z wioski nie odezwał się do nikogo. Na spojrzenia rzucane przez towarzyszy odpowiadał jedynie złym błyskiem oczu. Wkrótce wokół niego zrobiło się pusto. Jechał na czele, prawie nie zwracając uwagi na drogę, ani na to, co się za nim dzieje.

A nie działo się dobrze. Ludzie jechali za dowódcą z pochowaną bronią, nie zwracając uwagi na otoczenie. Dlatego strzały, które spadły pomiędzy nich, były całkowitym zaskoczeniem.

Strzelano z daleka. Pociski z cichym szumem spadały prawie pionowo, nabierając straszliwej szybkości przed uderzeniem w cel. Te, które trafiały w ziemię, wbijały się drgając prawie do połowy swej długości w miękki grunt, inne przebijały ciała ludzkie i końskie na wylot. Na wąskiej drodze zapanował zamęt. Strzelających było co najmniej kilkunastu, strzelali z długich łuków. Wprawdzie strzały miały o wiele mniejszą donośność i siłę przebicia niż bełty wystrzelone z kuszy, ale większa szybkostrzelność powodowała, że z nieba sypał się prawdziwy deszcz strzał.

Nieostrożna jazda zbitą gromadą nie pozwalała teraz na szybki odskok, na drodze kłębiła się zbita masa ludzi i przerażonych koni. W tę masę trafiały raz za razem strzały.

Jadący na przedzie Match usłyszał krzyki i kwik koni. Ściągnął wodze, aż wierzchowiec wspiął się na tylne nogi. Gdy zawrócił, tuż przed sobą dojrzał Królika i jego otwarte w krzyku usta. Wydawało mu się, że Królik krzyczy coś do niego, lecz nic nie rozumiał. To przez ten hałas, pomyślał tępo, patrząc w twarz banity. W tym momencie z ust Królika buchnęła krew. Match dostrzegł grot strzały sterczący pod brodą, strzały, która trafiła Królika w kark.

Match patrzył jak skamieniały. Królik wciąż siedział wyprostowany w siodle, patrząc uporczywie w twarz Matcha wzrokiem, w którym nie było już szaleństwa. Wpatrywał się w oczy dowódcy z jakąś nasiloną uwagą, jakby o coś pytając, jakby oczekując odpowiedzi. Z ust, z każdym charczącym oddechem chlustały fale jasnej krwi. Match

chciał się odwrócić, ruszyć dalej, lecz coś w tym wzroku wbitym w niego nie pozwalało na to. Przestań, krzyczało coś w nim, czego chcesz ode mnie. Dlaczego tak patrzysz. Lecz w nieruchomym wzroku nie było odpowiedzi. Było pytanie, był żal i bezmierna rozpacz, było oskarżenie i prośba.

Po długiej, zbyt długiej chwili, źrenice Królika drgnęły i skierowały się ku górze. Bardzo wolno głowa opadła na pierś, ciało zwiotczało i wreszcie osunęło się na koński kark.

Pierzasta strzała świsnęła koło głowy Matcha i z głuchym stukiem wbiła się w ziemię. Match ocknął się. Rozejrzał się, usiłując ogarnąć sytuację. Przed nim, na drodze kłębili się ludzie, usiłując skryć się przed strzałami, tratując się i przepychając nawzajem. Kilka ciał leżało nieruchomo na ziemi, tratowanych kopytami przerażonych koni. Match ruszył naprzód.

–Do tyłu, wycofać się! – krzyczał, zdzierając sobie gardło w panującym tumultcie.

Wyciągnął miecz. Wzniósłszy go do góry, wbił się w ciżbę, starając się z całych sił nie

skulić się instynktownie pod gradem padających strzał.

–Do tyłu! – powtórzył, wskazując kierunek wyciągniętym mieczem. Najbliżsi posłuchali

go, przestali miotać się bezładnie, poczęli przepychać się we wskazanym kierunku, pociągając

za sobą pozostałych. Match rozglądał się, szukając wzrokiem Nazira. Potrzebował jeszcze

kogoś do pomocy. Nie widział go jednak. Ujrzał, jak tuż obok młody chłopak, którego imienia

nawet nie zapamiętał, puszcza wodze, chwytając się za pierś, z której sterczały brzechwy

strzały. Matcha zaczęła ogarniać rozpacz.

Nagle koń potknął się. Match szarpnął wodze, usiłując go poderwać, lecz pod koniem załamały się nogi. Nim upadł na bok, Match zdążył wyszarpnąć stopy ze strzemion i, w chwili,

gdy jego ogier padał, przetoczyć się na bok, nie wypuszczając z ręki miecza. Poderwał się z ziemi prosto pod wzniesione kopyta konia, którego jeździec zwiślał

bezwładnie z nogą uwięzioną w strzemieniu. Match ujrzał błyszczące podkowy tuż nad swoją twarzą. Klęcząc na ziemi w niedogodnej pozycji, nie miał żadnych szans na unik. Czekał na nieuniknione nawet nie zamknął oczu, widząc wyraźnie tkwiące w podkowach hufnale...

Silne szarpnięcie rzuciło go w bok, opadające kopyta minęły o włos jego czaszkę. Padając, uderzył głową w coś twardego. Chwilę leżał bez ruchu, zmagając się z ogarniającym odrętwieniem. Poczuł, jak ktoś chwyta go pod ramiona, unosi z ziemi.

–Match, wstawaj! – krzyknął Elijah. – Wstawaj, nic ci nie jest!

Match podniósł głowę. Od uderzenia przez chwilę nie mógł zogniskować wzroku, twarz Elijaha majaczyła przed nim jako blada plama. Patrzył z wysiłkiem, walcząc z zawrotami głowy. Po chwili zaczął dostrzegać szczegóły, zlepione kosmyki długich jasnych włosów, krew płynącą z rozciętego policzka. Czego ten chce, pomyślał, zaraz wstanę. Usiadł, wciąż oszołomiony. Zaczęło do niego docierać, że to Elijah w ostatniej chwili wyciągnął go spod kopyt. Myśl ta, zamiast wdzięczności, wzbudziła w nim nagły gniew.

–Wstawaj! – powtórzył Elijah. – Trzeba coś zrobić! Ratować ludzi... Potrząsnął Matcha za ramię. Match uniósł rękę, chcąc w złości odtrącić go, lecz po chwili opuścił.

–Dobrze – powiedział powoli. – Cofajmy się. Ty poprowadzisz.

Grad strzał jakby zelżał. Match stęknął i podniósł się na nogi. Elijah przytrzymał go.

–No, co jest! – krzyknął Match. – Ruszaj!

Ostrzał ustawał. Pomimo zamieszania część ludzi zdołała wyrwać się z zabójczego kłębowiska, osiągnąć zbawcze zarośla na skraju drogi. Kilka koni biegało bezładnie bez jeźdźców, ranni usiłowali podnieść się lub choćby odpełznąć z drogi. Pozostali spinali konie, kierując je w kierunku lasu. Elijah poderwał się.

–Stójcie, kurwa, zabierzcie rannych! – krzyknął.

Nie czekając na reakcję zszokowanych ludzi, podbiegł do najbliższego leżącego. Ranny ze strzałą tkwiącą w plecach drapał bezradnie piach gościńca zakrzywionymi palcami, usiłując pełznąć. Elijah przykleknął przy nim. Szybkim ruchem ułamał drzewce strzały, ranny szarpnął się i zawył krótko. Elijah chwycił go za nogi i pociągnął w stronę zarośli. Za jego przykładem poszło dwóch konnych. Zeskoczyli z siodeł, puszczając wolno wierzchowce, przygięci podbiegli do pozostałych rannych. Z zarośli wyskoczyli następni.

Match rozejrzał się. Spłoszone konie rozbiegały się. Strzały przestały spadać z

nieba. Do diabła, nawet nie zauważyłem, skąd strzelali, pomyślał Match ponuro. Trzeba się stąd zabierać. Konie! Trzeba chwycić konie, jeśli się rozbiegną, to po nas!

–Łapać konie! – krzyknął. – I nie puszczać pozostałych!

Nikt go nie słuchał. Match z wściekłością podskoczył do najbliższego, schyłego nad rannym. Złapał go za kaptur, poderwał szarpnięciem.

–Nie słyszysz, kurwa! – wrzasnął. – Zostaw go i łap konie!

Chłopak odepchnął go i znów pochylił się nad rannym. Match uniósł miecz. Przed nim, jak spod ziemi, pojawił się Elijah. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Cisza.

Match kątem oka dostrzegł, że wszyscy dokoła zamarli. Spoglądali wzrokiem bez wyrazu. Ręka Matcha opadła bezwładnie. Już nie panował nad ludźmi. Słuchali Elijaha.

Elijah wolno odwrócił się.

–Pierdolić konie – powiedział – szybciej, bierzcie ich... Match wolno odszedł w kierunku

zarośli.

Zapadli w chaszczach, na skraju drogi. Na dalszy odskok nie mieli siły. Na drodze pozostało kilkanaście ciał ludzkich i końskich. Stracili zapasy wyniesione z wioski.

Match siedział oparty o drzewo. Wiedział, że powinien coś zrobić, rozkazać, poderwać ludzi. Czekanie prowadziło do nieuniknionej klęski. Nie potrafił jednak podjąć żadnej decyzji. W głowie miał zupełną pustkę. I lęk. Lęk, że nie posłuchają. Skurwysyny, przewodziłem im przez trzy lata, pomyślał. A teraz... Nawet na mnie nie patrzą. Patrzą na tego gówniarza, jakby tylko on mógł im pomóc. No dalej, pokaż, co potrafisz! Wyprowadź nas stąd. Nas? To ja też na niego liczę? Tak, liczę... Ja już nie dam rady. Nie wiem, co dalej... Nie dam rady?! A niech nas nawet wszystkich szlag trafi, to mnie macie słuchać!

–Nazir! – zawołał Match ochryple. Maur stanął przed nim. Ten posłucha, zawsze lojalny Nazir.

–Nazir, wracamy – powiedział Match, patrząc gdzieś w przestrzeń – tą samą drogą. Oderwiemy się od nich. Spróbujemy połapać konie, odzyskać zapasy. Pozbieraj ich, za chwilę ruszamy.

–Match, nie możemy wracać – odpowiedział Maur – oni najprawdopodobniej są za

nami, czekają.

–Co, ty też?! – warknął Match. – Wszyscy wiecie lepiej! Rób, co mówię, albo... Maura stał nieporuszony. Wybuch Matcha nie poruszył go.

–To była zasadzka – zaczął po chwili. – Elijah mówił...

–Elijah mówił! Kurwa, Elijah mówił! To po cholere do mnie przychodzisz! Idź do niego i niech on was wyciąga z tego gówna!

W oczach Nazira wreszcie błysnął gniew. Zaskoczony Match zamilkł, Maura niełatwo było wyprowadzić z równowagi.

–Uspokój się – powiedział Nazir – weź się wreszcie w garść. I pomyśl trochę.
Zaatakowali

nas w takim miejscu, że nie możemy wycofać się przez las. Po obu stronach bagna...

–Ja już wszystko wiem, Match. Już wszystko widziałem. Nie musisz mówić dalej...

W głosie Jasona było znużenie. Rzeczywiście, wszystko już zobaczył. Już wiedział, dlaczego Matcha nazywano Wieprzem. Dlaczego zaraz po tej potyczce wszystko się skończyło. Nie musiał tego słyszeć, już wiedział.

Ale musiał wysłuchać.

Śmiech Matcha był zgrzytliwy. Po raz pierwszy Jason usłyszał w nim niebezpieczne nuty szaleństwa.

–Muszę mówić, Jason. A ty musisz słuchać, musisz słuchać do końca...

Tak, on musi doprowadzić to do końca. Musi powiedzieć. Jason uświadomił sobie, że powie to pierwszy raz. Nigdy przedtem nie powiedział, mimo iż wszyscy dokoła wiedzieli. Żył z tym przez wszystkie lata, dusił w sobie.

A ty, Jason? Nie masz nic, czego byś się wstydził, czego byś żałował? Czego nie chciałbyś cofnąć? Jeżeli tak, to nie wzdragaj się, wysłuchaj. Nie umrzesz od tego, choćby nie wiem, jak było to mroczne i obrzydliwe. Przecież i tak wiesz, co usłyszysz, już to zobaczyłeś, ze wszystkimi szczegółami. Poznałeś myśli i motywy, nawet te najskrytsze. Twój przeklęty dar pozwolił je zobaczyć, odczuć. Teraz pozostało tylko... wybaczyć? A kimże ty jesteś, aby wybaczać za tych, których zdradzono? Możesz zaledwie zrozumieć. Albo starać się zrozumieć. Tak, Jason, nie masz wyjścia, zacząłeś, to dokończ. Nie wystarczy widzieć, trzeba usłyszeć. Zobaczyć, jak trudno, nawet po latach... Jak pali wstyd, jak głos nie chce się

wydobyć z gardła. Tak, Jason, słuchaj uważnie, skoro zacząłeś. Bo jak to mówią, albo sraj, albo zejdź z nocnika...

W głosie nie było już szaleństwa. Była tylko relacja, beznamiętna i szczegółowa. Straszliwa przez tę beznamiętność.

Match opowiadał, jak w końcu rozkazał, by ktoś zaszedł z boku następujących za nimi wrogów i powstrzymał ich na tyle, by dać reszcie czas na wyłapanie koni, pozбиieranie rannych i wycofanie się. Jak wyznaczył do tego niebezpiecznego zadania siebie. Siebie i Elijaha.

Opowiadał, jak później dołączył do wycofującego się oddziału sam, mówiąc, iż Elijah nie żyje. Wiedząc, że zostawił go tam, w gąszczu, rannego i samotnego. Wiedząc, że nikt mu nie wierzy.

Jason słuchał, jak Nazir, patrząc Matchowi w oczy, wypowiedział najpaskudniejsze wyzwisko, jakie mógł powiedzieć muzułmanin. I mimo iż wydawało się, że nikt tego nie słyszał, już następnego dnia Match za plecami słyszał szepty – „Wieprz”. Było to ostatnie słowo, jakim Maur odezwał się do Matcha. Do końca życia. Do następnej zasadzki, do następnego ranka.

Gdy Match skończył, Jason nie spytał nawet, czy Elijaha tylko zostawił. Bez względu na odpowiedź, Match winny był tak samo.

Taki był koniec wodza banitów, następcy Robin Hooda. Odtąd został tylko Wieprz.

Światło. Kłujący błysk wdzierający się pod opuchnięte powieki. Rechotliwy śmiech. Nic nie widać, tylko wirujące kręgi. Ból zlepionych zaschniętą krwią powiek. Zamknąć oczy, powrócić w niebyt, nie słyszeć, nie widzieć. Szarpnięcie za włosy podrywa opadającą głowę, brutalne ręce wykręcają twarz do góry. Zabierzcie to światło! Wbija się oczy, kłuje gdzieś pod czaszką gorzej niż rozpalone igły. Napięcie mięśni w odruchu obrony budzi gorące fale pulsującego bólu. Zdrętwiałe ręce nie czują więzów, tkwią za plecami jak martwe, bezużyteczne kawałki drewna. Jeszcze jedna próba. I jeszcze gorszy ból. Wyprężone przez chwilę w daremnej walce ciało zwisa znów bezwładnie w rękach żołnierzy.

Jeden z nich, trzymający za zeskorupiałe od zakrzepłej krwi włosy, próbuje ponownym szarpnięciem unieść więźnia z zeschniętej, wydeptanej trawy na polanie. Bez rezultatu. Ciało przelewa się bezwolnie, osuwa na ziemię. Żołnierz z wyrazem bezradnej złości na twarzy prostuje się, podkuty but trafia pod żebra. Więzień nie porusza się.

Ból. Ból nie od kopniaka, ale wypełniający całą ciemność, do której skurczył się świat. Ból, którego ciągła obecność sprawia, że przestaje być odczuwalny i zauważalny. Wtedy przez ciemność przebijają się głosy. Natarczywe, rozkazujące,

Żądające. Wstań, ścierwo! Otwórz oczy! Głosy w ciemności są jak jaskrawe błyski, eksplodujące gdzieś w mózgu. Stają się nie do zniesienia. Może lepiej wstać, może wtedy zamilkną. Jeszcze jeden wysiłek, jeszcze raz zebrać do kupy – strzępy myśli, przebić się przez ciemność i mgłę.

Nie kop go, głupi skurwielu! Dobijesz go, durniu! Kogo kopią, mnie? Nic nie czuję, niemożliwe. Polejcie go wodą, idioci! Chłód, wspaniały chłód. Ból staje się bardziej głuchy, stłumiony. Już nie wypełnia wszystkiego, rozpadł się na kilka osobnych, kłujący ból złamanych żeber przy każdym oddechu, pulsujący ból pod czaszką, tępy ból złamanego ramienia.

Ciałem leżącym w kałuży różowej od krwi wody wstrząsnął skurcz. Palce wczepione w źdźbła suchej trawy rozluźniły się.

Wysoki mężczyzna przyklęknął nad więźniem.

–Obróćcie go na wznak! – powiedział.

Żołnierze przypadli do więźnia. Nie byli zbyt delikatni, ich uchwyt spowodował, że z ust rannego wydobył się bolesny jęk. Wysoki mężczyzna rzucił żołnierzowi gniewne spojrzenie. Ten, przestraszony, rozluźnił uchwyt, patrząc z rozdziawioną tępo gębą. Uwolniona głowa więźnia uderzyła głucho o ziemię.

–Precz stąd natychmiast! – rzucił krótko mężczyzna. Żołnierze nie zawahali się ani chwili.

Wiedzieli, że jeśli tak mówi, to lepiej, żeby to naprawdę było natychmiast.

Mężczyzna z nieoczekiwaną delikatnością uniósł głowę rannego. Jego powieki uchyliły się, błysnęły białka. Ciałem wstrząsnął kaszel. Strużka krwi spływająca z rozbitej głowy splamiła podtrzymującą głowę dłoń.

–Spokojnie, synu. – powiedział miękko mężczyzna. – Już po wszystkim, uspokój się.

Ranny otworzył szerzej oczy. Usiłował zogniskować wzrok na twarzy klęczącej nad nim postaci. Po chwili udało mu się. Mężczyzna ujrzał błysk zrozumienia w oczach, które za chwilę powlekły się mgłą rezygnacji.

–Spokojnie – powtórzył. – Gisbourne, derkę! – rzucił, nie odwracając się.

–Szeryfie, po co? – zapytał stojący z tyłu Gisbourne, przyglądający się z sadystycznym uśmieszkiem. – Dobić to ścierwo! Powiesić! Do lochu!

Szeryf delikatnie opuścił głowę Matcha na trawę. Wyprostował się niespiesznie, zmierzył Gisbourne'a przeciągłym spojrzeniem.

–A jaką zalecasz kolejność, mój dobry hrabio? – zapytał. – Pozwolę sobie jednak zauważyć, że jeżeli najpierw dobijemy, a potem wrzucimy do lochu, to może wkrótce zacząć

śmierdzieć...

Hrabia poczerwieniał.

–Myślałem, panie... – zaczął.

–Otóż to! – przerwał szeryf. – Od razu widać, że myślałeś. Może jednak zamiast myśleć, zajmiesz się czymś w twoim przypadku bardziej celowym. Przynieś derkę.

Czerwony jak burak hrabia sztywno odwrócił się.

–Jeszcze jedno! – krzyknął szeryf. – Przyprowadź tego magika, którego nam tu podesłał

mój braciszek opat. Tego, wiesz, jak mu tam, Copperheada czy coś podobnego.

Odwrócił się i popatrzył na leżącego więźnia. Match miał oczy zamknięte, lecz oddychał swobodnie.

–No, Match, jeszcze pożyjemy – powiedział szeryf.

Match otworzył oczy. Usiłował podnieść się, ale po chwili z jękiem opadł z powrotem na trawę.

–Spokojnie – powiedział szeryf. – Mamy czas. Najpierw cię trochę doprowadzimy do porządku. A potem... Potem, no cóż, najpierw porozmawiamy.

Ranny z wysiłkiem poruszył opuchniętymi wargami, usiłując coś powiedzieć. Bez skutku. Patrzył tylko z nienawiścią w twarz szeryfa.

–Spokojnie – powtórzył po raz kolejny szeryf. – Nie męcz się teraz. Naprawdę zdążymy

porozmawiać. Copperhead cię poskłada. A Gisbourne będzie musiał poczekać ze swoimi

planami. Co, jednak chcesz coś powiedzieć? Zaczekaj...

Szeryf przyklęknął i zbliżył twarz do twarzy Matcha. Match z wysiłkiem otworzył usta, wraz z wyrazami na wargach pojawiły się bąbelki krwi.

–No nie, Match – powiedział szeryf z niesmakiem. – Tę propozycję muszę stanowczo

odrzucić. Jest nie na miejscu, a poza tym niewykonalna.

Wyprostował się.

–Zresztą, Match... – szepnął cicho, jakby do siebie, nie troszcząc się, czy ranny usłyszy. –

Nie marnuj sił na gadanie głupstw. Jeszcze ci będą potrzebne...

Podbiegł Gisbourne z czarodziejem. Czarodziej był niewysokim, chudym, czarno ubranym człowieczkiem. Na głowie nosił idiotyczną, spiczastą czapeczkę, wyszywaną w złote gwiazdki, nieco przybrudzone i ponadpruwane. Kosym spojrzeniem rzucał nerwowo dokoła. Generalnie nie budził zaufania.

–Dobrze – powiedział szeryf. – Podłóż mu tę derkę pod głowę. Hrabia rozejrzał się.

–Hej, ty tam, strażnik! – zawołał. – Podłóż no...

–Zaraz – przerwał szeryf. – Powiedziałem, podłóż. Nie chcę, żeby jakiś dureń go bardziej uszkodził. Na razie... Więc i ty uważaj.

–No dobrze – podjął, zwracając się do czarodzieja. – Może się wreszcie na coś przydasz, Copperhead...

–Copperfield – przerwał magik z urażoną miną. – Nazywam się Copperfield, raczcie panie zapamiętać. To imię sławne jest jak...

Copperfield czy jak mu tam było, nie zdążył przytoczyć swego ulubionego powiedzenia, w którym porównywał się do Merlina.

Szeryf nagłym chwytem szarpnął go za rzadką bródkę, zadzierając mu twarz do góry. Czarodziej zaskowyczał, lecz stał spokojnie, nie próbując się wyrwać, wodząc tylko dookoła rozbieganymi oczyma. Szeryf, sapiąc ze złości, zamierzył się wolną ręką, lecz po chwili opuścił ją i zwolnił uchwyt. Czarodziej zatoczył się do tyłu, z trudem odzyskując równowagę.

–Nigdy nie przerywaj! – warknął szeryf. – Pamiętaj, że ja w twoje zasrane czary nie wierzę, tak jak mój brat. Więc się nie boję.

–Magia istnieje – piskliwym głosem wykrzyknął czarodziej. – Może ukarać

niedowiarków! – dodał, zasłaniając się na wszelki wypadek przed spodziewanym

ciosem.

Szeryf nie uderzył.

–Nie mówię, że nie istnieje – powiedział z podejrzaną łagodnością. – Tylko w twoim wykonaniu jest zdatna psu na budę. Powiedzmy to sobie szczerze. Trzymam cię jedynie

dlatego, że z daleka wyglądasz na uczciwego czarodzieja i posiadasz w swoim kufierku różne

smrodliwe ingrediencje. Mam nadzieję, że ukradłeś je komuś, kto miał pojęcie o ich przyrządzaniu. A ponieważ nikt dotąd nie wbił cię jeszcze na pal, mniemam, że czasami zdarza

ci się ich użyć zgodnie z przeznaczeniem...

–Panie – nieostrożnie przerwał znów Copperfield. – Jestem tu, aby swą sztuką wspierać...

Podczas gdy magik potrząsając w oszołomieniu głową, zbierał się z ziemi, szeryf, rozcierając stłuczone kostki dłoni, kontynuował:

–Jesteś tu wyłącznie po to, by wojsku idącemu w puszcze będącą domeną banitów, druidów i potworów wydawało się, że i za nimi stoją jakieś magiczne moce. A do tej roli

nadajesz się znakomicie, jeżeli oglądać cię z daleka. Wprawdzie po ostatniej sprawie z

wilkołakiem...

Copperfield sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć

–Po ostatniej sprawie z wilkołakiem – ciągnął szeryf. – Twoje notowania bardzo spadły, ale teraz to już nieważne, wkrótce wracamy do Nottingham i będziesz mógł znowu zająć się eliksirami na potencję dla mojego brata. Jeżeli oczywiście wrócisz. Bo mamy tu dla ciebie jeszcze jedno zadanie... Nie, nie bój się, nie chodzi o kolejnego wilkołaka... No dobrze, mów, co chcesz powiedzieć, słucham!

–Panie, z wilkołakiem dałbym sobie radę – płaczliwie powiedział magik – to mój głupi uczeń...

–Dość tego! – zdenerwował się szeryf. – Nie zwalaj na ucznia, biedne pachole z wodogłowie, choć żałować go nie sposób, a nawet po jego śmierci wszyscy poczuli niejaką

ulgę. Za życia śmierdział bowiem na dwa stajania. Wyjaśnisz mi przy okazji, w jaki sposób

niemycie się pomaga w nauce magii... Po prostu, Copperfield czy jak ci tam, czarodziej z ciebie

jak z koziej dupy trąba. I nawet pachniesz podobnie. Nie jak trąba, oczywiście. Po prostu

braciszek opat jest skąpy i wynajął najtańszego szarlatana, jaki się nawinął. A wilkołak...

Trzeba było od razu wysłać zbrojnych i zastrzelić go z kuszy, jakby tylko wychynął z gąszczu.

Niechby tam, srebrnymi bełtami. Ale ty chciałeś po swojemu. I wysłałeś tego biedaka na

rozstaje, aby w magicznym kręgu zakreślonym magiczną kredą czekał na to bydlę, oszołomił je

zaklęciem spisany na kozłowej skórze i przebił magicznym ostrzem. Ty w tym czasie miałeś

roztaczać magiczną aurę nad wioską, aby wilkołak nie miał do niej dostępu. I to ci się nawet

udało. Wprawdzie wilkołak przeszedł przez magiczny krąg, jakby go wcale nie było – pewnie

magiczna kreda była zleżała, bo przecież nie błąd w sztuce – i zeżarł chłopczykę, ale jak się już

nażarł, to do wioski nie przyszedł. Cóż, i wilkołak musi od czasu do czasu coś przekąsić... Tak

nawiasem mówiąc, mówili mi wczoraj chłopci, że następnym razem poszli na niego kupą i

zatłukli kłonicami. Tak po prostu, bez zaklęć, magii i podobnych dupereli... Kłonicami w łeb i

teraz skóra suszy się na płocie. Niechętnie to czynię, ale nie mam wyjścia. Jak wiesz, nasz

cyrulik miał wypadek podczas przeprawy przez bagna. Bardzo go wciągnęły, tak że słuch po

nim zaginął. Na wezwanie innego z Nottingham nie ma czasu. W związku z tym to ty musisz

się zająć wodzem banitów. Marne mu to daje szansę, ale trudno, trzeba zaryzykować.

Potrzebny mi żywy. Tak więc sięgnij do swoich eliksirów i spróbuj postawić go na nogi. A

przynajmniej utrzymaj przy życiu, zanim nie dojedziemy do Nottingham. Uda ci się, to cię

wynagrodzę, choć w ogólnym rozrachunku na to nie zasługujesz. Nie uda... No cóż, urządzimy

dwa pogrzeby... Gisbourne cię nie lubi, a jest on naprawdę bardzo pomysłowy.

Szeryf odwrócił się, odszedł niespiesznie, nie oglądając się na magika. Gdy szedł przez polanę, z jego twarzy zniknął złośliwy uśmiech, ustępując miejsca zamyśleniu. Zmierzał ku namiotom rozbitym na skraju polany. Przed namiotami czekał na niego niemłody mężczyzna w łaciatym stroju zwiadowcy z leśnych oddziałów. Oparty na długim bojowym łuku, patrzył w niebo jasnobłękitnymi oczyma. Szeryf stanął przed nim bez słowa. Zwiadowca opuścił wzrok.

–Człowieku, ten dureń go zabije – powiedział spokojnie.

–Więcej szacunku! – parsknął szeryf gniewnie.

–Dla tego idioty? On nie zasługuje nawet na litość... – odpowiedział mężczyzna w stroju zwiadowcy.

–Dla mnie, przyjacielu, dla mnie! – powiedział szeryf. – Jak to wygląda, żeby żołdak tak mówił do swego szeryfa! Jeszcze ktoś zobaczy... A co do niego, to jak wiesz, nie ma innego wyjścia... Chyba, że chcesz sam...

–Paskudna sytuacja, przyjacielu?

–A dla ciebie nie? – Ze złością zapytał szeryf. Mężczyzna milczał przez chwilę.

–Owszem – przyznał po chwili. – Rzeczywiście paskudna, dla wszystkich. Dla mnie,

dla ciebie. I dla niego – dorzucił po chwili, wskazując na rannego, nad którym pochylał się zaaferowany czarodziej. – Ale z nas wszystkich on ma najmniej powodów, by czuć się paskudnie.

–Na razie – mruknął szeryf. – Na razie. Jeszcze będzie miał, o ile przeżyje. Ale na razie chodź do namiotu, zejdźmy ludziom z oczu.

–Dobrze – powiedział zwiadowca – ale mam jedną prośbę, której spełnienie ułatwi nam dalszą rozmowę...

–Jaką? – spytał szeryf.

–Nie nazywaj mnie przyjacielem.

Szeryf spojrział na niego przeciągle. Po chwili jego usta rozciągnęły się w złośliwym uśmiechu.

–W porządku. Ale ty też.

Odwrócił się i pierwszy zniknął w ciemnym wejściu do namiotu. Zwiadowca podążył za nim.

Wewnątrz namiotu było ciemno, tak, że nie sposób było widzieć twarzy rozmówcy. To dobrze, pomyślał szeryf z ulgą, dla tej rozmowy to lepiej, będzie się łatwiej rozmawiało. Zaraz jednak przypomniał sobie, że jego rozmówca zapewne widzi w tym mroku znakomicie. Poczuł znów przyływ niepewności.

–Jeśli chcesz, zapal kaganek – odezwał się zwiadowca – będzie lepiej rozmawiać, tak przy

świecie.

–Po co? – prawie wykrzyknął ze złością szeryf. – A w ogóle, skończ z tymi

uprzejmościami. Nie przypuszczam, żebyś chciał pchnąć mnie nożem pod żebro, nie teraz,

kiedy dogadaliśmy się. Zresztą miałeś już kilka okazji. Oszczędź mi więc swoich dobrych

manier i kończmy tę żalospną sprawę. Cholera, druid w przebraniu, królewski Szeryf spiskujący

z druidem, durny szarlatan usiłujący grać medyka, istne jasełka! Brakuje jeszcze połykacza

ognia i smoka z trzema głowami! Ziejącymi siarką, naturalnie, i porywającego dziewczice na

śniadanie.

Druid przebrany za zwiadowcę spoważniał nagle.

–Nie chcesz, w porządku – zgodził się. – I nie myśl, że chcę się usprawiedliwiać. To tylko

mniejsze zło, które udało się wspólnie wybrać. Wszyscy wiemy, jak wygląda to większe. A jak

wygląda jeszcze większe, nawet się jeszcze nie domyślamy. Wierz mi, to najlepsze rozwiązanie. Co nie znaczy, że czuję się z nim dobrze... On zasługiwał na lepszy los. Pamiętaj o tym.

Szeryf skinął głową. Wstał, spojrział w oczy rozmówcy. Wyciągnął rękę. Uścisnęli sobie dłonie, nie patrząc w oczy.

–Słuchaj – powiedział cicho szeryf. – Jeszcze jedno... Spróbuj mu pomóc. Pał diabli, co

ludzie powiedzą...

Podniósł wzrok. Ich oczy spotkały się. We wzroku druida szeryf dojrzał zrozumienie. I jakby cień wdzięczności.

Szli przez polanę w zapadającym mroku wczesnego, późnojesiennego wieczoru. Zbliżyli się do leżącej postaci, nad którą krzątał się Copperfield, z podejrzeniem wyglądającym flakonem w rękę. Na widok szeryfa zeszywniał...

–Panie, on zaraz... – wyjąkał – tego, on już lepiej oddycha...

–Odejdź – powiedział szeryf cicho.

–Panie, ja zaraz... – piskliwie krzyknął magik – tylko ten eliksir i on niechybnie wstanie...

–Spierdalaj, ale natychmiast! – krzyknął szeryf, popierając rozkaz celnym kopniakiem. Rzeczywiście było natychmiast. Copperfield zniknął w zapadających ciemnościach z osobliwym kwikiem. Wypuszczony przez niego flakon upadł na trawę, spod korka wypłynęło kilka kropel gęstej, cuchnącej cieczy. Suche źdźbła poszarzały i zadymiały.

–Niechybnie wstanie! – oburzył się szeryf. – Zdechłemu psu nalać to pod ogon, to

też niechybnie wstanie. W ostatniej chwili! Miałaś rację... Właśnie, jak mam cię nazywać?

–Jak chcesz – wzruszył druid ramionami. Jak zwykle nie zamierzał niczego ułatwiać rozmówcy. Uklęknął przy leżącym.

Po chwili, gdy druid rozwinął przesiąknięty krwią i ropą opatrunek na udzie, szeryf przestał się zastanawiać nad jego prawdziwym imieniem. Widok nie był piękny. Zapach również.

Walcząc z torsjami, szeryf pomyślał, że wszystko było na nic. Nie była potrzebna żadna umowa, żadne gwarancje dla Matcha. Match już nie skorzysta z gwarancji. Match już jest trupem.

Postrzał miał kilka dni. Grot ułamał się w ranie, podczas ucieczki nie było czasu, by go usunąć. Teraz było za późno. Nawet odjęcie nogi by nie pomogło. Szeryf znał się na ranach, wiele ich w życiu widział. Match nie dożyje do rana, tego był pewien.

Dlatego tak łatwo poszło, pomyślał szeryf. On nawet nie powinien utrzymać się na koniu, co dopiero walczyć. A jednak próbował. Po raz kolejny poczuł podziw dla przeciwnika.

Czując podchodzący do gardła żołądek, szeryf pochylił się nad rannym, dusząc się od zaduchu objętej zgorzelą rany. Dotknął ramienia druida, który w skupieniu obmacywał poczerwiałe, nabrzmiące ciało. Match był przytomny, zgorączkowane oczy błyskały spod powiek. Gdy druid nacisnął mocniej, ciałem wstrząsnął skurcz, jednak bez jęku. Szeryf spostrzegł spływającą z przygryzionej wargi strużkę krwi.

Druid odwrócił się z niecierpliwością.

–Daj mu coś... – wyksztusił z trudnością szeryf przez zaciśnięte gardło. To od tego smrodu, pomyślał, to tylko od smrodu...

–Daj mu coś, żeby zasnął. Daj mu odejść spokojnie... W oczach druida błysnęła drwina.

–A jesteś pewien, że możemy pozwolić mu odejść? Myślałem, że zrozumiałeś. On nie może odejść, to byłoby zbyt proste. On może być jeszcze potrzebny...

–Co ty pieprzysz?! – ze wzburzenia szeryf zapomniał o mimowolnym lęku, jaki wzbudzał w nim druid. – Nawet sam Bóg nie może go już ocalić... On gnije za życia! Kurwa, on powinien już nie żyć! Nawet jak mu urzniesz tę nogę, to tego nie przetrzyma! Zresztą, i tak jest za późno...

Wyprostował się gwałtownie. Torsje znów podjeżdżały pod gardło. Tym razem nie

dał rady. Odbiegł dwa kroki, pochylił się.

Druid nie przerwał obmacywania rany. Szeryf po chwili powrócił. Torsje minęły, nie minęła złość.

–Po co go jeszcze męczysz! – wybuchnął. – Raczej go dobij!

Druid skrzywił się. Wstał, wytarł ręce w szmatkę wydobytą z sakwy. Stanął przed szeryfem.

–Zgadza się, wasz Bóg nie może go ocalić – powiedział z krzywym uśmiechem. –

Zaryzykuję twierdzenie, że nikogo nie może ocalić, nawet ze sobą mu się nie udało. Czy też z

własnym synem, nie pamiętam, strasznie to u was pokrętne... W każdym razie na jedno

wychodzi. Ale zapominasz o jednym. Zapominasz o tym, kim on naprawdę jest. Nie doceniasz

siły tego człowieka, trochę odmiennego od ciebie. Poza tym...

W głosie druida zabrzmiały twarde tony.

–Poza tym nie doceniasz mnie. I jeśli mogę ci coś poradzić, nie rób więcej tego błędu.

Znów uklęknął przy rannym. Zaczął grzebać w sakwie.

–Jak wiesz zapewne, poradzę sobie sam – rzucił przez ramię – ale skoro już tu stoisz, to zapytam...

–O co? – spytał po chwili szeryf, sam nie doczekawszy się pytania.

–Pomożesz czy znowu będziesz rzygał?

Okazało się, że jedno i drugie. Szeryf pomagał, zacisnąwszy zęby, starając się nie patrzeć na czynności dokonywane przez druida małym, srebrnym nożykiem. Starając się ze wszystkich sił nie czuć trupiego zaduchu. Jednak gdy cuchnąca, żółta ropa spłynęła mu prosto na ręce, nie dał rady. Dobrze, że zdążył odwrócić głowę.

Później było łatwiej. Gdy srebrny nożyk zadzwęczał o ułamany grot, gdy druid po wydobyciu go zaczął oczyszczać ranę, zasypując ją zielonkawym proszkiem z małego skórzanego woreczka, szeryf mógł wreszcie rozluźnić zaciśnięte szczęki. Bolały go mięśnie.

Dopiero teraz uświadomił sobie, jak mocno zaciskał zęby. Zaczął z zainteresowaniem przyglądać się czynnościom druida.

Uderzyło go, że Match podczas całego zabiegu był przytomny. Oczy, choć błyszczące od gorączki, miał cały czas otwarte. I nie krzyczał. Nie drgnął nawet. A powinien. Szeryf wiedział, że cyrulicy do takich zabiegów wiążą delikwenta lub ogłuszają drewnianym młotkiem. Inaczej trudno go utrzymać. Zapytał wprost druida.

Ten skrzywił się tylko niechętnie.

–Mówiłem, że nas nie doceniasz, ani mnie, ani jego. Wydaje ci się, że zjadłeś wszystkie

rozumy. A tego akurat ci nie wytłumaczę, nie zrozumiesz i tak...

Szeryf prychnął ze złością.

–Nie obrażaj się – druid uśmiechnął się pobłaźliwie. – Nie twierdzę, że jesteś głupi czy coś

w tym rodzaju... Po prostu...

–Nieważne – uciął krótko szeryf. – Rób, co do ciebie należy, nie chcę przeszkadzać.

Siedział sztywno, nie patrząc na druida. Nie widział drwiącego uśmiešku. Zaczynało zmierzchać. Zastanawiał się, czy nie zawołać pacholka z pochodnią. Stwierdził jednak, że druidowi mrok najwidoczniej nie przeszkadza.

–Jedno chciałbym ci powiedzieć – odezwał się druid po dłuższym milczeniu. – Udzielić jednej rady. Chodzi o tego... jak mu tam...

–Copperfielda – domyślił się szeryf. Wciąż siedział sztywno, obrażony. Odpowiedział po prostu machinalnie.

–No, no, skąd wiesz? – zdziwił się druid nadspodziewanie uprzejmie. Wyglądało, że chce zatrzeć niemile wrażenie. Było to na tyle dziwne, że szeryf zapomniał o urazie. Do tej pory druid nie zwracał uwagi na konwenanse, wyrażał się swobodnie, w sposób niemile graniczący z lekceważeniem. Zapewne celowo. Tym razem szeryf nie zwrócił uwagi na to, że jak zwykle nie usłyszał słów „panie” czy chociażby „szeryfie”. Nigdy nie słyszał, dawno przestał reagować, ale zawsze zwracał na to uwagę, nie lubił rozmawiać z kimś, kto w ten sposób podkreśla swoją wyższość. Czy też chociażby równoprawność.

Było to zastanawiające. Jasne było, że nieszczęsny magik jest zwykłym

szarlatanem, oszustem nie mającym tak naprawdę pojęcia, o czym mówi. A tym bardziej o tym, co usiłuje robić. Skąd więc nagle zainteresowanie druida tak żalosną postacią? Przecież nie stanowi żadnej konkurencji. Ani zagrożenia.

Opat, jak wielu zresztą jemu podobnych, święcie wierzył w istnienie magii. Wyłącznie tej złej, destrukcyjnej. Miał jednak małe szansę na zetknięcie się z kimkolwiek, kto przejawiałby choćby blade pojęcie o używaniu mocy. Z prostej przyczyny, nikt taki nie zechciałby nawet z nim porozmawiać, nie miałby o czym. Jednak w przekonaniu opata zła, czarna magia i jej wyznawcy czyhali za każdym węglem, w każdym ciemnym kącie. Odpowiedzialna za większość zła, które działo się na świecie. I prawie całe zło w jego najbliższym otoczeniu.

Walczył z tym złem ze wszystkich sił i nawet odnosił sukcesy. Przy dużym udziale swego osobistego mistrza katowskiego, doświadczzonego i cenionego fachowca.

Lecz nawet świątobliwe osoby muszą czasem zniżyć się do kontaktów ze złem. W ogólnym, szeroko pojętym interesie. Opat nie sądził, by było w tym coś bardzo nagannego. Przecież zło, użyte w celu uzyskania dobrych celów działa samo przeciw sobie. Jest, można to tak nazwać, oszukane i wykorzystane. A gdy spełni już swe zadanie, to zawsze można z nim później postąpić w zwykły sposób.

Przecież nawet sam dobry Bóg, który jest miłością, kochający wszystkich, ze szczególnym uwzględnieniem grzeszników, rzecz jasna nawróconych, nie zajmuje się osobiście karaniem potępionych w piekle. Od tego jest szatan, któremu Bóg powierzył kierowanie tym zajęciem.

Teraz też sprawa była prosta i czysta, choć na mniejszą, rzecz jasna, skalę. Otóż wojsko szło walczyć z pogaństwem, wykorzeniać zabobony, unicestwiać bluźnierców. Którzy to bluźniercy, jak wiadomo, mają zło na swych usługach. W związku z tym należy wojsko wesprzeć. Wesprzeć wiarą, prawdziwą wiarą. A na wszelki wypadek wysłać z wojskiem kogoś, kto także umie posługiwać się złem. Kto zna to zło, potrafi z nim walczyć. Opat spodziewał się, że będzie to miało zbawienny wpływ na morale.

Problemem było znalezienie kogoś takiego. Wszyscy, którymi aktualnie dysponował w swoich lochach, a którzy niewątpliwie mieli konszachty z magią – sami się przecież przyznali -nie nadawali się już do użytku. Przyznawali się na ogół późno, na tyle wcześnie, by próbować ocalić ich dusze, lecz dla ziemskiej powłoki nie było już zwykle nadziei.

Został jeden. Copperfield. Także niewątpliwie winny, jak sam zeznał, był magiem siódmego wtajemniczenia, cokolwiek by to znaczyło. Uczynił to na tyle szybko, że nie zdążył doznać większych uszkodzeń. Tak naprawdę wystarczyło, by kat zaszczekał swymi narzędziami w blaszanej miednicy. Copperfield wyznał nie tylko, jaki ma

stopień wtajemniczenia. Ku rozczarowaniu kata, cenionego fachowca, rozgadał się tak, że pisarz nie nadążał notować.

Opat, gdy odczytano mu zeznania, rozpromienił się. Jeszcze bardziej ucieszył się, gdy zobaczył, że gadatliwy magik jest cały i zdrowy. Pomijając paskudnie podbite oko, co było dziełem zawiedzionego kata, który podchodził do swego zajęcia bardzo serio i sumiennie.

Opat nie wiedział, że z Copperfielda magik był żaden. Nigdy nie udało mu się zaczarować nawet muchy. Co nie znaczy, że się nie starał. Miał za to odpowiednią prezencję. I był posłuszny.

Gdy opat pokazał Copperfielda szeryfowi, ten skrzywił się tylko. Na pierwszy rzut oka poczuł antypatię do tego chuderlawego człowieczka o rozbieganych oczach. Znając jednak metody swego brata postanowił nie osądzać go zbyt surowo, tym bardziej, że fioletowy siniak pod okiem zdążył wprawdzie zżółknąć, ale nie zniknąć.

W jednym opat się nie mylił. Obecność czarodzieja, jak kazał nazywać się Copperfield w widoczny sposób podniosła na duchu zbrojnych. Ucichły powtarzane uporczywie czarne

przepowiednie co do losu wyprawy w czeluściach puszczy. Puszczy, w której ostatnio coraz częściej pojawiały się dziwne stwory i inne paskudztwa. Copperfield widząc to zhardział, zaczął nosić się sztywno i z godnością. Zbrojni odnosili się do niego z lękiem i szacunkiem. Nielicznym, bezczelnym ciekawskim, którzy pytali go o podbite oko, wyjaśniał dystyngowanie, że to z przyczyny godnego pożałowania wypadku, do jakiego doszło podczas rzucania wyjątkowo skomplikowanego zaklęcia. Do wypadku zaś doszło z powodu niedbalstwa, wyjaśniał dalej, spoglądając groźnie na chuderlawego chłopczynę o wyglądzie krety, swego pomocnika. Chuderlawy chłopczyzna nie odpowiadał, od czasu, gdy wraz z pryncypałem wypuszczono go z lochu, konsekwentnie udawał niemowę.

Copperfield spełniał więc swe zadanie. Kręcił się po zamku i obozach, robiąc wyniosłą minę i dobre wrażenie. Wziął udział w kilku wyprawach, jeszcze latem. W końcu szeryf pogodził się z jego obecnością, biorąc sobie do serca stwierdzenie opata, że wprawdzie Copperfield to skurwysyn, ale nasz skurwysyn.

–...Słuchasz, co do ciebie mówię? Szeryf drgnął...

–Przepraszam, zamyśliłem się... Mówiłeś o...

–Pamiętam, co mówiłem – burknął druid. – Mówiłem o Copperfieldzie. Przerwał na chwilę. Smarował właśnie ranę jadowicie zieloną maścią, a ta czynność najwyraźniej wymagała uwagi. Szeryf spostrzegł, że stara się pokrywać maścią wyłącznie poczerniałą, zmartwiałą tkankę. Wreszcie skończył i starannie wytarł dłonie w czystą

szmatkę. Wskazał łokciem na skórzany bukłak.

–Bądź tak uprzejmy połać mi ręce – poprosił.

Szeryf uczynił zadość temu życzeniu. Widział, jak druid starannie zmywa z dłoni resztki maści. Ciekawe, co to jest, pomyślał.

–Nawet się nie zastanawiaj – usłyszał tylko.

–Nie zastanawiam się – odpalił szeryf. Znow zaczynało mu to działać na nerwy. – A tak w ogóle, to spróbuj odpowiadać na pytania dopiero wtedy, gdy je zadam. Nie wcześniej.

–Przecież pytałeś? – zdziwił się druid obłudnie. – Nieważne zresztą. Wracając do tego...

–Copperfielda – poddał uprzejmie szeryf. Postanowił się już niczemu nie dziwić. Po raz kolejny zresztą.

–A tak, Copperfielda. Ciekawe, dlaczego tak łatwo to imię umyka z pamięci. Może dlatego, że to taka mała, nic nie znacząca gnida. Wracając do niego, to dam ci jedną radę. Pozbądź się go. Jak najszybciej.

–Pozbyć się go? – szeryf zdziwił się szczerze. – A po co? Przecież... przecież on i tak nie ma żadnej przyszłości. Spełnił już swoje zadanie. Jeszcze o tym nie wie, ale gdy tylko wrócimy do miasta, to mój brat opat się nim zajmie. A raczej nie on, tylko jego kat...

–Nie słuchałeś mnie uważnie – druid wydawał się pochłonięty zakładaniem opatrunku. Jednak w głosie był wyraźny nacisk. Ciężka zaangażowania, tak rzadki w jego wypowiedziach. Szeryf słyszał już kiedyś taki ton.

–Nie słuchałeś. Mówiłem, jak najszybciej, najlepiej zaraz. Bagna nie są jeszcze całkiem zamarznięte...

–Wyjaśnij mi – poprosił z zimną ironią szeryf. – Wyjaśnij, bo ja nie rozumiem, może jestem zbyt tępy, ale sam przed chwilą mówiłeś, że to mała, nieznacząca gnida. To na cholerę mam sobie brudzić ręce?

Opatrunek został założony. Match wreszcie przymknął oczy, przytomne i szeroko otwarte przy wszystkich zabiegach. To pewnie ten płyn, pomyślał szeryf, to, co wlał mu na koniec w usta. Istotnie, ranny rozluźnił się, oddech stał się spokojniejszy.

–Będzie po tym spał, długo. Jak się obudzi, to znowu mu dasz... Szeryf nie wytrzymał.

–Nie odpowiadaj również na pytania, których nie mam zamiaru zadać! Nigdy więcej, postanowił solennie, nigdy więcej nie mam zamiaru spotykać tego zarozumiałego sukinsyna. Nigdy więcej, o ile to nie będzie naprawdę konieczne.

–Masz rację – usłyszał. – Ja też tak uważam.

Szeryfa nagle opuścił gniew. To jak rzucanie grochem o ścianę.

–Więc, skoro to już ustaliliśmy, wróćmy do konkretów – rzekł po chwili już całkiem spokojnie. – Przecież ta, jak byłeś łaskaw powiedzieć, gnida jest całkiem nieszkodliwa. Jeżeli tylko uważać i nie pozwolić jej na jakąkolwiek inicjatywę. To po co? Czyżbyś był zazdrosny? Ty, taki, jak by to powiedzieć, profesjonalista? Przecież on ci do pięt nie dorasta, co tam, to przecież zwykły oszust!

–Niepotrzebna ironia – skwitował druid. – I niecelna złośliwość. Jasne, że nie dorasta. Podobnie jak wszyscy inni dokoła...

Przerwał, patrząc wymownie na szeryfa. Szeryf wytrzymał to spojrzenie. Myśl sobie, co chcesz, wiesz, gdzie mam tak naprawdę ciebie i twoje... Tok myśli urwał się, zastąpiony ukłuciem strachu. Przecież ten sukinsyn zapewne wie, co ja...

Nawet jeżeli wiedział, to nie dał po sobie znać. Rzeczywiście, był mało przewidywalny. Jak gdyby nigdy nic powrócił do tematu.

–On sam nie jest groźny. Rzeczywiście, jest oszustem. Ale przypomnij sobie jedno, to

świństwo, którym polewaliście pola. To, o którym mówił, że sam to zrobił...

On ma rację, uświadomił sobie szeryf ze zmartwiałym nagle sercem. Copperfield sam zapewne nie był groźny. Ale to, jak powiedział druid, świństwo...

Wszystko zaczęło się jeszcze w lecie, niedługo po pojawieniu się magika. Wtedy głównym celem była pacyfikacja wiosek, puszczańskich wiosek sprzyjających banitom, Inie tylko puszczańskich, wiele wsi na obrzeżu puszczy także było niepoprawnych.

Palenie zabudowań i zboża na pniu było niepraktyczne. Przecież nie chodziło o całkowite unicestwienie zbuntowanych chłopów, a tylko o danie im nauczki. Szeryf wydał dobitne

rozkazy, określające jasno postępowanie ekspedycji karnych, lecz żołnierzy często ponosił entuzjazm. Zwłaszcza, iż rzadko kiedy nie napotykali oporu. Dlatego przeważnie mordowali więcej wieśniaków, niż było to na początku założone, i puszczali wioskę z dymem. A to nie przysparzało szeryfowi zwolenników. Potrzebne

były subtelniejsze sposoby.

Wtedy napatoczył się Copperfield ze swoim wspaniałym pomysłem. Szeryf wysłuchał go, wzruszył ramionami i kazał wyprowadzić, chlasnąwszy dwa razy w pysk. Nie sądził, by coś wyszło z tak zwariowanych projektów, a w magię nie bardzo wierzył, zwłaszcza w wykonaniu tak niewydarzonego magika. Jednak Copperfield nie zrezygnował. Tak długo nudził, aż przekonał Gisbourne'a, który z natury był łatwowierny. Ten z kolei namówił opata. Szeryf nie mógł się dłużej opierać i Copperfield uzyskał zgodę.

Zniknął gdzieś na tydzień i powrócił triumfalnie wozem wyładowanym beczkami, po czym odbiwszy dno jednej z nich zademonstrował jaskrawo pomarańczową, obrzydliwie cuchnącą ciecz. Szeryf nie chciał słuchać opowieści o trudach przyrządzania czarodziejskiej cieczy, dławiąc się od smrodu, machnął tylko ręką i nakazał dalsze przygotowania.

Copperfield wraz z przydzielonymi pomocnikami szparko wziął się do roboty. Wynikiem tajemnych prac był wóz, na którym przywiązano beczki, wypełnione wodą z dodatkiem tajemniczego, śmierdzącego płynu, który Copperfield, z lubością posługujący się alchemicznym żargonem, nazywał „czynnikiem”. Beczki wyposażone były w kraniki, które doprowadzały ciecz do podziurawionej ołowianej rury, umocowanej z tyłu pojazdu. Wszystko przypominało wypisz wymaluj monstrualne urządzenie do polewania ogródka.

Jeszcze przez tydzień magik chodził dumny, opowiadając każdemu, kto chciał o tym słuchać, ile to lat strawił na studiowaniu tajemnych ksiąg. Jak wielkiej czarnoksięskiej wiedzy wymaga stworzenie tak śmiercionośnego i skutecznego eliksiru. Szeryfowi, który wprawdzie nie chciał słuchać, wpadły przypadkiem w ucho strzępki przepisu, w którym niepoślednią rolę odgrywały jaja koguta i gówno nietoperza. Które to gówno zresztą magik fachowo nazywał „odchodami”.

Gnębiony uporczywym smrodem, który przez tydzień unosił się ze stojących na dziedzińcu beczek, szeryf postanowił sobie solennie, że w przypadku niepowodzenia obwiesi magika natychmiast, nie bacząc na opata. Pod koniec tygodnia, gdy smród przesiąknął już wszystko dokoła, posuwał się nawet do tego, że tęsknie spoglądał na zamkową szubienicę i z gospodarską troską wypytywał kata o stan powroza, już dawno niezmienianego. Nie mógł jednak usunąć beczek poza mury, stanowczo sprzeciwił się temu magik, twierdząc, iż tak cennej i śmiercionośnej substancji nie można pozostawiać bez nadzoru całej załogi zamku. Magik zhardział bardzo, posunął się nawet do tego, że interweniował u opata. Szeryf tym bardziej niecierpliwie czekał na niepowodzenie. Niewątpliwe, jak sądził.

Mylił się. Rezultaty przeszły najśmielsze oczekiwania. Prawdopodobnie również autora pomysłu.

Plan był bardzo prosty w założeniach. Tajemniczy pomarańczowy czynnik, jak z uporem mówił magik, miał zniszczyć plony na polach. Bez ognia, bez niszczenia grobli. Po prostu zniszczyć to, co akurat rosło. Opata, który był już całkiem do pomysłu przekonany, zachwyciła ta idea. Oto broń, która nie niszczy zasobów, ani materialnych, ani ludzkich. Nie trzeba nikogo zabijać, machać z mozołem mieczem, narażając się na odwet i straty w zbrojnych. Nie trzeba marnować drogich bełtów. Nie trzeba podpalać chat, one mogą się przydać, gdy już pozbędziemy się tych niewłaściwych wieśniaków. Ci właściwi, którzy przyjdą później, będą mieli gdzie mieszkać. Wystarczy zniszczyć plony, od tego nikt od razu nie umrze, najwyżej potem trochę pogłoduje. I pójdzie sobie precz albo będzie pełen szacunku dla władzy. Cichy i spokojny. Oto nowy, wspaniały sposób prowadzenia wojny. Bez strat, bez zniszczeń. Zgodny z chrześcijańską moralnością, pasujący do niej, jak ulał.

Założenia były wspaniałe. Rezultaty też. Aż za bardzo.

Gdy pod osłoną żołnierzy wyprowadzono po raz pierwszy wóz na pola, szeryf nie oczekiwał nic więcej, niż potężnego smrodu, który być może zatruje zbuntowanym chłopom życie na jakiś czas. A potem... Potem można będzie obwiesić magika.

Rzeczywiście, gdy wybito szpunty z beczek rozszedł się straszliwy smród. Zgodnie z oczekiwaniami. Wóz ruszył po polu, ciągnięty przez chrapiące z przerażenia konie, poganiane przez kaszlących, załawionych pacholków. Z tyłu, z dziurawej, ołowianej rury sikały pomarańczowe strumyki.

Nie minął dzień, a jeszcze zielony owies na polach zszarzał. Potem rozsypał się w proch, który gorący, suchy wiatr rozwiewał po okolicy. Pełen sukces. Szeryf z żalem zrezygnował z zamiarów co do Copperfielda. Nawet sam stwierdził, że udało się nadspodziewanie dobrze.

Copperfield triumfował. Przez najbliższe dni, zgodnie z naciskami pełnego entuzjazmu opata akcję powtarzano. Najpierw w najbardziej zatwardziałyach wioskach. Upojony sukcesem magik snuł dalsze, bardziej ambitne plany. Dowiedział się, że największą przeszkodą w zwalczaniu puszczańskiej rebelii jest sama puszcza. Utrudnia poruszanie się wojsk, daje ukrycie buntownikom, pozwala im bez trudu urządzać zasadzki. Copperfield wpadł na pomysł prosty jak budowa cepa. Zaproponował użycie swego znakomitego czynnika do usunięcia puszczy. Cóż, to tylko kwestia ilości, powiedział. Opat zdawał się podzielać jego optymizm i wyraźnie skłaniać się ku temu rozwiązaniu.

Jednak już niedługo zaczęły napływać niepokojące wieści. Pomarańczowy czynnik nie tylko zniszczył plony. Zginęły glisty w ziemi. Na spustoszonych, pokrytych szarym popiołem polach znajdowano martwe ptaki. Zaczął zdychać inwentarz w oborach, ba, nawet wioskowe psy chorowały, szwendały się wyliniałe, o nagiej skórze pokrytej liszajami.

Na wszelki wypadek zaprzestano dawnych akcji. Copperfield tłumaczył się, że to tylko chwilowy efekt, jednak znajdował coraz mniejszy posłuch.

Po miesiącu spadły deszcze. Na polach, z których wiatr zdążył zerwać nieutrzymywaną przez korzenie warstwę próchnicy nie wyrosło nic. Nawet perz. I jasne się stało, że długo nie wyrosnie. Drzewa na skraju pól i na miedzach schły. Martwa strefa rozszerzała się.

Copperfield starał się schodzić wszystkim z drogi. Szeryf osobiście nakazał zakopanie pozostałych beczek na pustkowiu. Zaniepokojonym dzierżawcom i drobnej szlachcie, której ziemie graniczyły ze spustoszonymi polami opat wyjaśnił z ambony, że to nieuniknione koszty prowadzenia wojny i przywracania spokoju. Nawet najbardziej łagodna dla ludzi broń może czasem spowodować uboczne straty. Jest to teraz wnikliwie badane i w przyszłości będzie można jej używać, unikając takich wypadków. A wina i tak leży po stronie zbuntowanego chłopstwa, które nie chce przystać na sprawiedliwe warunki, nie chce wyprzeć się banitów. Niech więc się nie dziwią, że będzie się ich zwalczać dotąd, dopóki sami nie powstaną przeciwko Matchowi, który jest ich prawdziwym ciemieżcą, uznanym przez wszystkich za zbrodniarza.

Tak, pomyślał szeryf, to już kilka miesięcy. A na polach nic się nie zmieniło. A raczej zmieniło, tylko na gorsze...

Woźnice i pachołkowie, którzy kierowali wozami polewającymi pola zaczęli chorować, kilku już zmarło. Sparszywiawszy wprzódy. A pozostaje jeszcze problem tego zakopanego świństwa. Jak długo wytrzymają w ziemi dębowe beczki? Nawet starannie zabezpieczone smołą?

–Co, doszedłeś jednak do wniosku, że mam rację? – spytał druid, widząc zmienioną twarz

szeryfa. – A może doszedłeś też do dalszych wniosków?

Szeryf potwierdził. Tak, wnioski nasuwały się same.

–Tak, masz rację. To tylko mała gnida. Oszust. Ale to świństwo, ten pomarańczowy czynnik, skądś się to przecież wzięło. Jest śmiertelnie niebezpieczne. A on sam tego nie wymyślił...

–Na pewno nie. Zatem ktoś mu to dał. Ktoś, kto za nim stoi. I pytanie, co dał mu jeszcze albo da kiedyś...

–Na przykład trutkę na szeryfów? – zażartował ponuro szeryf.

–Nie ma się z czego śmiać. Ja trochę wiem o truciznach. Nie ma się z czego śmiać,

należy się obawiać. Skąd wiesz, że nie podtruwa cię czasem, już od dawna? Na przykład w porozumieniu z... No, wszystko jedno, ktoś cię przecież musi nie lubić. Albo chce zająć twoje miejsce...

Druid trafił. Nie trzeba daleko szukać. Poczynając od Gisbourne'a, kończąc na... E, w ten sposób można zwariować...

–Nie kręcił się czasem koło kuchni? – wbił szpilę druid, obserwując go z uwagą zmrużonymi oczyma. – Albo koło twoich sług? Nie próbował się zaprzyjaźnić? Nachalnie, jak

to ma w zwyczaju?

Szeryf zmieszany kręcił głową. Jasne, warto się nad tym zastanowić, ale na spokojnie, na spokojnie...

–Wiesz, ja się znam na truciznach – spokojnie drążył temat druid. – Potrafię je wykryć. Ale

ty? A wiesz, są takie trucizny...

Temat widocznie był bliski druidowi, gdyż mówił z wyraźną lubością.

–Są takie trucizny, które podaje się codziennie, w małych ilościach, nie do wykrycia. I to

się zbiera i zbiera... Człowiek się nie spodziewa, dobrze się czuje, aż tu nagle pewnego dnia

idzie, idzie i chlap... Leży.

Druid roześmiał się, przewrócił oczyma. Szeryf nie zawtórował. Nie odpowiadało mu takie poczucie humoru. Dyskretnie pomasażował sobie żołądek. Czuł w nim czczość i lekki ból. To po wymiotach, pocieszył się. Tak, na pewno od rzygania...

–Wezmę to pod uwagę – powiedział sucho.

Druid nie odpowiedział. Zbierał swoje przybory, pakował sakwę. Zarzucił ją na ramię. Było już całkiem ciemno.

–Dbaj o niego – przykazał, pokazując na leżącego. – Wiele od niego może zależeć...

–Pamiętam, dobrze pamiętam – odparł szeryf, idąc za jego wzrokiem. Match leżał spokojnie, oddychał miarowo. Wciąż rozpalony od gorączki, nie wyglądał już jednak

jak nad

grobem. Ulżyło mu, zauważył szeryf, nic dziwnego, tyle świństwa z niego wypłynęło, i to

żelastwo...

–Pamiętam – powtórzył cicho, nie podnosząc wzroku. – Ale ty też...

Chciał spojrzeć na rozmówcę. Mówił jednak w próżnię. Druid, swoim zwyczajem, zniknął cicho i bez pożegnania.

I dobrze, pomyślał szeryf, im prędzej, tym lepiej.

Wydało mu się, że z ciemności dobiegł go cichy śmiech. Zaklął pod nosem, ruszył w kierunku oświetlonych pochodniami namiotów.

Po drodze rozmyślał o tym, co niedawno usłyszał. Na temat Copperfielda. Mimo całej niechęci, i, prawdę mówiąc, obrzydzenia, jakie czuł do magika, wzdragał się nieco przed sugerowanym rozwiązaniem. Nie lubił tak, bez dowodów, bez sądu... Owszem, zdarzało się, i to, jak samokrytycznie musiał przyznać, wcale nierzadko... Zawsze czuł jednak potem jakiś niesmak.

Pomasował jeszcze raz żołądek. Przestało boleć. Wyrzucał sobie, że uległ głupiej sugestii, co tu dużo mówić, przestraszył się po prostu. Nie, tak nie można, postanowił. Trzeba po prostu uważać, izolować. Przydzielić kogoś, kto będzie miał oko na wszystko, co ten bydlak robi. Po co od razu do bagna, przecież opat się nim zajmie. On go wynalazł, to i on niech go załatwi.

Poczuł ulgę, po czym zawstydził się w głębi duszy. Opat go zamęczy. Szeryf dobrze znał brata, wiedział, że pchnięcie mieczem trwa znacznie krócej od zbawiania duszy w wykonaniu

cenionego i sumiennego fachowca. I znacznie mniej boli. Cholera, jeszcze mi tego brakowało, zaklął zniechęcony. Jeszcze jedno zmartwienie, co zrobić z takim małym sukinsynem. Brać to na swoje sumienie.

Cały problem z druidem polegał na tym, że odkąd szeryf go poznał, to sumienie miało wiele do roboty. Wciąż musiał dokonywać wyborów, najczęściej paskudnych. A sumienie szeryfa, mało przedtem używane, nie było gotowe do podźwignięcia takich ciężarów. Po prostu nie było do tego przyzwyczajone.

Postanowił nie iść na łatwiznę. Przed podjęciem decyzji porozmawia z magikiem, nakłoni do wyjawienia tajemnic. Wtedy zadecyduje. Może wystarczy, żeby zniknął, żeby poszedł sobie w cholerę...

Rozejrzał się. Tak, najlepiej od razu. Gdzie ta gnida się podziewa, jak jest akurat potrzebna? Normalnie, to wszędzie go pełno, a teraz...

W kręgu światła zobaczył najpierw idiotyczną spiczastą czapkę, obszerny chałat. Magik rozmawiał z jakimś mężczyzną, wymachiwał ramionami. Mężczyzna z szacunkiem słuchał perorowania czarodzieja.

–Copperfield! – wrzasnął szeryf. I zmartwił. Głos uwiązał mu w gardle.

Poznał człowieka, z którym rozmawiał magik.

Copperfield na głos szeryfa przerwał swój wykład, jakiemu oddawał się zawsze, gdy znalazł słuchacza. Zgarbił się i skurczył, jakby uszło z niego powietrze. Obawiał się, że szeryf powróci do nieszczęsnych prób uzdrawiania Matcha, do cudownego eliksiru. Z tego nie mogło wyniknąć nic dobrego, czuł jeszcze ból po kopniaku w tyłek.

–Słucham, panie – Copperfield uśmiechnął się służalczym, psim uśmiechem. Patrzył z

nieszczerym oddaniem w oczy szeryfa.

Nie wiedział, że właśnie jego los został przesądzony. Człowiek, którego nieopatrznie wybrał na słuchacza, któremu opowiadał o swych czarodziejskich przewagach i dokonaniach, nie był właściwym człowiekiem. Prawdę mówiąc, nie mógł wybrać gorzej. Człowiek ten był kucharzem. Osobistym kucharzem szeryfa.

Szeryf odwrócił się na pięcie, ruszył do namiotu.

–Gisbourne, do mnie! – wrzasnął po drodze. – Ale już!

Zniknął za płachtą wejściową. Copperfield odetchnął. Tym razem przeszło bokiem. Cóż, nawet szeryf musi docenić wytrawnego czarodzieja. Gdyby nie ten, przybłęda, szarlatan z lasu, to Copperfield dopiero by pokazał, jak należy leczyć rannych, jak cudowne działanie mają eliksiry.

–No cóż, mój dobry człowieku – magik powrócił skwapliwie do wykładu, przybierając swą zwykłą, nadętą pozę. – Trzeba wam wiedzieć, że na łamanie w kościach nie masz to jak

oczy żaby i krew miesięczna, koniecznie od rudej... Od czarnej, to na liszaje... Mieszasz to z

winem...

Kucharz słuchał z uwagą i szacunkiem. Wprawdzie nie łamało go w kościach, ale przecież rzadko miewał okazję posłuchać kogoś tak uczonego i bywałego w świecie.

Gisbourne odchylił płachtę. Nie czekając na pozwolenie, wszedł do namiotu. Buty miał umazane błotem, w oczach pałało święte oburzenie. Szeryf spojrzał pytająco.

–Załatwione – powiedział hrabia krótko. – Szybko poszło... Ale...

Szeryf już chciał go odprawić, ale hrabia najwidoczniej nie zamierzał wyjść. Przeszł pową z nogi na nogę.

–Coś jeszcze, hrabio? – spytał niechętnie szeryf. Nie miał zamiaru wypytywać, jak zostało załatwione. Nie chciał znać szczegółów. Nigdy nie chciał.

–Panie! – wypalił Gisbourne z oburzeniem. – Oszust to był! Sukinsyn prawy! Można się było tego domyślać już znacznie wcześniej, pomyślał szeryf. Już od dawna. Tylko ty nie byłeś przekonany...

–Nie może być? – zdziwił się obłudnie. – Oszust? A tak się obawialiście, panie hrabio...

Gisbourne stropił się. Istotnie obawiał się. A nawet więcej. Gdy szeryf wezwał go do siebie

i przekazał polecenia, hrabia nie był zachwycony. Zresztą, to mało powiedziane, był po prostu przestraszony. Polecenie było jasne – wziąć dwu zbrojnych, zaufanych i niełękliwych, zabrać magika na krótką przechadzkę na bagna. Wracać najszybciej jak możliwe. Z jednym zastrzeżeniem – bez Copperfielda.

Polecenie było jasne, jak wiele innych, wydawanych dawniej, przy innych okazjach. Jak zwykle, nie musiały padać żadne brzydkie słowa, jak „zabić”, „wykończyć” czy „utrpić”. Jak zwykle, hrabia zrozumiał w lot. I nie spodobało mu się to.

–Dlaczego ja? – spytał z ociąganiem, nie kwapiąc się do wykonania polecenia. – A dlaczego nie? – odwarknął szeryf. Ta sprawa zbyt długo się już ciągnęła.

A teraz jeszcze ten... Popatrzył groźnie na hrabiego, marszcząc brwi. Zwykle to wystarczało, by hrabia zabrał się do swoich obowiązków, z mniejszą lub większą ochotą. Szeryfowi zresztą było to obojętne, byleby rozkazy zostały wypełnione. Jednak nie poskutkowało. Nie tym razem.

Zamiast wybuchnąć, szeryf stał się osobliwie miły i spokojny, co zresztą wprawiało Gisbourne'a w jeszcze większe zakłopotanie. Po serii pytań, przy których hrabia wiał się i wykręcał, szeryf w końcu uzyskał odpowiedź. Hrabia, doprowadzony niemalże

do łez, wyznał wreszcie, iż boi się. Boi się, że zostanie zamieniony. Jak dodał zaraz, w ropuchę.

Na pytanie, dlaczego hrabia obawia się stać tym akurat zwierzęciem, szeryf nie uzyskał wyjaśnień. Gisbourne zasmarkał się tylko, łyż już całkiem jawnie spływały mu po policzkach.

Szeryf pomyślał mętnie, że może jakieś przeżycia z dzieciństwa hrabiego rzuciły by światło na takie, a nie inne zachowanie. Może źródłem lęków była dominacja matki, która, jak

pamiętał, rzeczywiście przypominała nieco owo stworzenie, którym tak obawiał się zostać hrabia.

Patrząc na dorosłego chłopca, który chlipał jak dziecko, szeryf uznał, że Gisbourne powinien z kimś o tym porozmawiać. Może by pomogło. Ale teraz nie było czasu.

–Posłuchaj, Gisbourne – ryknął szeryf wielkim głosem. Hrabia drgnął i otarł zasmarkany nos.

–Po pierwsze, magika możesz się nie obawiać...

–Dlaczego? – wyrwał się hrabia.

–Dlatego, bo ja ci to mówię! Dlatego wreszcie, że z niego jest żaden magik! Gisbourne nie wyglądał na przekonanego. Wargi wciąż mu się trzęsły.

–Przestań się mazać i słuchaj – szeryf spróbował łagodniej. – Wiem, że boisz się czarów, masz złe doświadczenia. Co prawda sam sobie jesteś winien, jak pamiętasz, ale teraz pomyśl. Copperfield to oszust. A nawet, czy ty wiesz, jakim wielkim magiem trzeba być, by zamienić kogoś w ropuchę? Czy zdajesz sobie sprawę, który stopień wtajemniczenia jest potrzebny?

–Który? – spytał hrabia niepewnie. Szeryf zaklął w duchu. Pytanie uważał za retoryczne, nie spodziewał się, że będzie musiał sam na nie odpowiedzieć. Zaraz, spróbował sobie przypomnieć, którym to stopniem chwalił się ten pokurcz? Chyba siódmym.

–Co najmniej dziewiąty – stwierdził szeryf triumfalnie dla pewności. – Albo nawet jedenasty!

Przedobrzył. Gisbourne nie tylko obawiał się czarów. On w nie wierzył. I zbierał skrzętnie wszelkie pogłoski na ich temat.

–Jak to, jedenasty? – wyjąkał niepewnie. – Przecież w Wielkim Kręgu Magii, w Czarnym

Zakonie najwyższy jest stopień dziesiąty, a i to posiada go tylko sam Wielki...

Masz ci los, teraz będzie ze mną dyskutował, mruknął pod nosem szeryf. Gisbourne na szczęście nie usłyszał. Szeryf zebrał się w sobie, mimo, iż w życiu nie słyszał o Czarnym Zakonie. Ani nawet o szarym...

–Masz nieaktualne wiadomości, panie hrabio – stwierdził surowo, przewiercając hrabiego

wzrokiem. – Stopień jedenasty jest nadawany, zaraz, niech sobie przypomnę, chyba już od

roku. A teraz zastanawiają się nad dwunastym...

Spokojnie, zmitygował się, bez przesady.

–Mówił mi o tym druid, właśnie dzisiaj – dokończył. – Trzeba być na bieżąco... Wstał. Miał już tego dosyć.

–Nieważne zresztą, te wszystkie stopnie – powiedział twardo. – Zakarbuje sobie w głupim łbie, to oszust, nie zaczaruje nawet muchy. Nie zrobi ci krzywdy. Natomiast...

Zawiesił głos, spoglądając wymownie na hrabiego. Ten wyprostował się posłusznie.

–Natomiast ja, o ile nie wyjdiesz natychmiast i nie zrobisz tego, co kazałem... O przyjacielu, ja zrobię ci krzywdę... Zgnijesz w lochu. I wiesz co? Siedząc tam, pożałujesz

jeszcze, że nie jesteś ropuchą, one dobrze czują się w lochach, zwłaszcza wilgotnych... Będziesz miał czas, dużo czasu, może sam się zmienisz...

–Do lochu, panie? – w głosie hrabiego nie było już strachu, było oburzenie. Nareszcie. – Za co do lochu?

–Już ty wiesz, za co... Wykonać!

Hrabia zniknął jak zdmuchnięty. Faktycznie, wiedział za co.

Gdy hrabia stał teraz przed szeryfem, nie było już strachu. Po wykonaniu zadania, jak szeryf zauważył, szybkim i sprawnym, zostało tylko oburzenie.

Zamiast odprawić hrabiego, jak miał z początku zamiar, szeryf postanowił z niego

zakpić. Może to poprawi trochę paskudny nastrój.

–I co, nie próbował zamienić cię w ropuchę? Kpina nie okazała się celna.

–Owszem, odgrażał się – Gisbourne roześmiał się, już zupełnie odprężony.

–Mówił, że on, mag wielkiego wtajemniczenia, siódmego stopnia... To ja mu się tylko roześmiałem prosto w tę głupią gębę. I powiedziałem, że się jeszcze musi długo uczyć, aż dojdzie do jedenastego stopnia. Tylko, że już mu niewiele czasu zostało, więc jak się zaraz nie nauczy, to nic z tego...

Gisbourne zadumał się.

–I wiecie co, panie? – spytał po chwili. – To ciekawe. Bo on przecież już i tak wiedział, o co chodzi. Wiedział, że po nim, jak tylko oparzelisko zobaczył. Ale mimo strachu, co mu gębę wykręcał, zdziwił się okrutnie, i mamrotał coś, że dziesiąty stopień jest najwyższy. Tak, kutas to był, nie magik, nie wieciec takich rzeczy... Widać też był nie na bieżąco... Potem to już łatwo poszło. Bo i chłopaki zobaczyli, że nic nie może zrobić...

–Nie może? – szeryf zmrużył oczy. – A przekupić nie próbował? Gisbourne zamilkł na chwilę, strzelając dokoła oczyma.

–Pró... bował... – zająknął się. – Ale co tam, my nie głupi. Wór złota obiecywał, ale dopiero w mieście. Na takich warunkach nie szło się było dogadać. A potem jeszcze...

Szeryf milczał wyczekująco.

–Potem jeszcze – ciągnął hrabia. – Potem jeszcze maść cudowną chciał nam dać. Taką, co

to od miecza chroni. Że niby kto się nią wysmaruje, to żelazo się go nie ima. Że dla rycerza to

bezcenna rzecz...

–I co, nie skusiliście się? – spytał szeryf. Nigdy nie dowierzał hrabiemu do końca. Zastanawiał się teraz, czy rzeczywiście Gisbourne nie skusił się na czarodziejską maść, zawsze miał słabość do takich dziwacznych, oszukańczych zazwyczaj wynalazków. Opatrzył badawczo na hrabiego. Ten roześmiał się tylko. Chyba mówi prawdę, pomyślał szeryf.

–My nie tacy głupi – zapewnił znów hrabia. – Najpierw trzeba wypróbować, może chce uczciwych ludzi oszukać. Wysmarowaliśmy go ową maścią i zaraz jeden pchnął

go mieczem. I wyobraźcie sobie, panie, na wylot przeszedł!

Szeryf parsknął śmiechem. Hrabia spoglądał z oburzeniem.

–Tak, panie, oszust to był! – powtórzył. – Oszust i skurwysyn!

Skinął głową odwrócił się i wyszedł. Szeryfowi śmiech zamarł na ustach. Znów pomasaował żołądek, w którym odezwał się ból.

Ostatnio robił się wygodny. Spostrzegł to teraz z niechęcią. Czy to już zaczyna się starość? Kiedyś, na wojennych wyprawach wystarczała skóra czy rozłożona na ziemi burka. Teraz kazał wozić za sobą zydle, stół na krzyżakach, nawet prostą pryczę. Miał dosyć spania na gołej czy też nawet przykrytej czymś ziemi. Tak, chyba już jest na to za stary.

Szeryf rozglądał się po namiocie, jakby po raz pierwszy widział ustawione w nim proste sprzęty. A przecież... przecież już od początku tej nieszczęsnej wojny kazał je wlec za sobą, gdziekolwiek by się ruszył. Gdy tylko zachodziło prawdopodobieństwo noclegu gdzieś w polu czy w lesie. Uśmiechnął się melancholijnie. Przypomniał sobie, jak zbrojni komentowali te nawyki, naturalnie wtedy, gdy wydawało im się, że nie słyszy. Nie miał im tego wcale za złe. Było to wystarczająco kłopotliwe, tym bardziej, że co znaczniejsi wśród poczty szybko poszli za jego przykładem, nie zachowując wszakże należnego umiaru. Nieraz złościł się, widząc górę betów, jakie kazał wlec za sobą chociażby Gisbourne. Ale nie mógł zabronić. Przecież sam dał przykład. Chyba zły, jak sam teraz stwierdzał. Ale przecież też mu się coś należy...

Tak, to była długa wojna. Za długa.

Od dawna przestał nazywać ją buntem, jak do tej pory mówili okoliczni wielmoże. Dla niego to była wojna, długa, ciężka. I prawie przegrana.

Teraz wreszcie koniec. Zwycięstwo. Długo oczekiwane, okupione wielkimi stratami. Bezsennymi nocami i dniami wypełnionymi trudem i szarpaniną. Zwycięstwo absolutne, zwieńczone pojmaniem przeciwnika i doszczętnym rozbiciem jego sił.

Dlaczego więc nie czuje satysfakcji? Dlaczego brak choćby zadowolenia? Tylko zmęczenie. I pustka.

Wyludnione wioski. Setki zabitych, po obu stronach. Pusty skarbiec. Długo jeszcze ze spalonych wsi nie zaczną spływać daniny. Wiele z nich nigdy już się nie zaludni, pola zarosną lasem, mech pokryje wypalone zręby chat. Niektóre pola nie zarosną, jeszcze bardzo długo, ale i nie będą rodzić.

Lęk i nienawiść. Sąsiedzi patrzący na siebie spode łba, w zależności od tego, kto kiedy opowiedział się po jakiej stronie. Nienawiść, która przetrwa długo. Która kiedyś

może wybuchnie znowu, gdy znów staną przed oczyma zapomniane winy i krzywdy. Ci, którym kiedyś spalono domostwa, palą teraz chaty tych, co palili. Albo i tych, co siedzieli cicho, nie wadząc nikomu, starając się pilnować swego nosa.

Zawistni sąsiedzi, patrzący z uwagą i słabo ukrywaną zachłannością na spustoszone hrabstwo. To nie oni urosli, nie oni stali się silni. To ja jestem słaby. I jeszcze długo będę. Szeryf zacisnął pięści.

Słabo pełga płomyk olejnego kaganka. Na zewnątrz nawołują się strażę. O tak, jeszcze długo będą czujni, mimo iż wszystko się skończyło. Kości tych, którzy czujni nie byli, próchnieją teraz pod mchem.

Jutro powrót. Trzeba się tym zająć, trzeba powoli powracać do zwyczajnego życia. Zmniejszyć poczet. Tym, których się odprawi, trzeba będzie zapłacić. Tylko czym?

Dziwna wojna. Wojna, w której ani razu sam nie skrzyżował ostrza z wrogiem, nie poprowadził wojska do ataku. Wojna, w której wróg nie stosował się do żadnych reguł. Aż doczekał się tego samego wobec siebie. Wojna, w której do zwycięstwa prowadziła nie otwarta walka, ale wzajemne wyniszczanie. W której głównym celem stali się nie walczący, ale ci, którzy dawali im oparcie.

Wojna, w której rzadko widywało się wroga. Dlatego skuteczna. Pewnie coraz częściej tak będzie.

Szeryf wstał z zydlu, rozciągnął się na pryczy. Żołądek dolegał coraz bardziej. Może w tej pozycji będzie lepiej, pomyślał. Nie było. By zapomnieć o bólu, wrócił do niewesołych rozmyślań.

Pomyślał o człowieku, który gdzieś niedaleko leży, na swe szczęście nieprzytomny. Który, pomimo iż ranny i niezdolny do ruchu, ma na rękach i nogach rzemienne więzy. Którego od dziś przez dzień i noc pilnować będą zbrojni. O człowieku, który był przeciwnikiem w tej długiej wojnie, człowieku, który przegrał.

Tak, właśnie przegrał, pomyślał szeryf. Bo nie mogę powiedzieć, że go pokonałem. Może jestem zwycięzcą w tej wojnie. Ale nie udało mi się go pokonać.

Dziwna wojna. Wojna, o której wyniku zadecydowała umowa. Umowa wyjątkowo paskudna, ale skuteczna.

Umowa, za którą trzeba będzie płacić. Ciekawe, czy wszyscy zapłacą, tak, jak się umówili? I kto najwięcej?

Szeryf bardzo wcześnie poczuł szacunek dla przeciwnika. Najpierw niechętny podziw, który potem przeobraził się w coś więcej. Oczywiście, zawsze czuł nienawiść i wrogość do kogoś, kto otwarcie zapowiadał, że go zniszczy. Ale nigdy nie potrafił

wyrażać się o nim z pogardą. Z początku było to zresztą co najmniej niestosowne, trudno nazywać głupim kmiotem kogoś, kto właśnie wyciął w pień cały oddział.

Tak, Match nie był głupim kmiotem. Na pewno był nieprzeciętny.

Teraz trzeba będzie wypełnić swoją część umowy. Zapłacić za zdradę. Nie będzie można przyglądać się z satysfakcją, uważając się w duchu za coś lepszego. Bo umówiona zapłata będzie równie wstrętna.

Trzeba będzie go złamać. Nie ukarać, nie zabić, nawet nie zgnoić po prostu w lochu. Trzeba złamać. Uczynić posłusznym narzędziem, pozbawić woli. Zachować przy życiu.

Zachować, aż narzędzie stanie się potrzebne.

Gdy po raz pierwszy szeryf to usłyszał, roześmiał się tylko. Nie mieściło mu się to w głowie. Dumny wódz banitów. Przecież on będzie wolał umrzeć.

Nic bardziej błędnego. Wszystko jest kwestią odpowiedniej obróbki. Najpierw odebrać wolność. Potem szacunek dla samego siebie. Zostawić tylko niepewność. I dużo czasu na myślenie. A jeżeli nie... Jeżeli nie, to na każdego znajdzie się haczyk. Na Matcha też.

Marion. Zwariowana dziewczyna. Szlachcianka, która najpierw była kochanką Robina z Locksley. Która swymi postępkami zasłużyła sobie na szafot. Żeby daleko nie szukać, za udział w rebelii chociażby. Dziewczyna, która jak wieść niesie, była dla Matcha wszystkim.

Szeryf pokręcił głową. Ta sama wieść niosła, że Match stał się dla niej niczym. Tak, wojna czy nie wojna, wieści daleko się roznoszą.

Marion, której opat najchętniej ułożyłby zgrabny stosik pod nogami. I sam, z wielką radością przytknął do niego pochodnię. Za konszachty z poganami. Za udział w podejrzanych obrzędach. Za wróżby, jakie zdarzało się jej wypowiadać.

Za to, że była kobietą.

Marion mogła być kluczem. Gdy nie poskutkuje nic innego...

Szeryf usiadł na posłaniu. Kurwa, na co mi przyszło, pomyślał. Pomacał skóry w poszukiwaniu bukłaka z winem. Gdzieś tam powinien być, pamiętał, jak rzucił go na posłanie. Wreszcie znalazł.

Wino miało smak żółci. To przez to rzyganie, pomyślał, na pewno przez rzyganie. Cisnął bukłak na ziemię. Wino rozlewało się na zdeptanej, suchej trawie.

Trzeba się zbierać, zaraz, z samego rana. Nie roztkliwiać się... nad nim? Nad sobą? Jak ci za gorąco, to spieprzaj z kuchni!

Trzeba wydać rozkazy. Nie, nie hrabiemu. On go zbyt nienawidzi, zbyt się boi. Zaraz... ten stary sierżant się nada. Łebski chłop, będzie wiedział, o co chodzi. Tak, jak Match tylko trochę wydobrzeje, to zaraz go do lochu. Na dziedzińcu trzeba szubienicę remontować, żeby miał zajęcie, miał na co popatrzeć przez kratki. I zobaczymy... Pewnie zmięknie.

Zwłaszcza, że na pewno się domyśla. Domyśla się, kto wbił mu ten nóż w plecy. Wie przecież, jak odnosiło się do niego ostatnio chłopstwo, kto donosił, kto kopał wilcze doły...

Szeryf znów splunął na ziemię. Tak, Match, to ci sami, których chciałeś bronić. Przemyśl to sobie. Zresztą, na pewno już przemyślałeś... Niewiele ci mogę zaoferować. Niewielki masz wybór. Prawdę mówiąc, żadnego. Ale jeżeli chcesz zemsty, to mogę ci ją ułatwić.

Jeszcze ta dziewczyna. Na razie niech zostanie tam, gdzie jest. U druidów, w jakimś tajemniczym leśnym schronieniu. Szeryf uśmiechnął się złośliwie. To na razie ich problem. Pomysł z klasztorem nie był najlepszy. Szkoda dziewczyny, nawet takiej wariatki...

Trzeba spać. Z samego rana trzeba ruszać z powrotem. Szeryf zdmuchnął kaganek.

Długo leżał, wpatrując się w ciemność szeroko otwartymi oczyma. Wmawiając sobie, że to zimno nie daje zasnąć.

–Zostawcie go tam, pod ścianą. Nie, nie tutaj, za blisko! Jeszcze za blisko...

Strażnicy szarpnęli Matcha, stawiając go w miejscu wskazanym przez szeryfa. Stał posłusznie, nie sprzeciwiając się żadnym gestem czy słowem. Nieobecny wzrok miał skierowany gdzieś w nieokreśloną przestrzeń.

Szeryf przez chwilę patrzył mu prosto w twarz. Po chwili, nie widząc żadnej reakcji, powrócił do przerwane go monologu.

–A więc, Gisbourne, po całym zamieszaniu spowodowanym przez naszego nieocenionego

nowego sługę, pozostała nam do załatwienia jeszcze jedna sprawa...

Szeryf zawiesił głos, spoglądając na hrabiego. Ten nie odpowiedział, wpatrując się w twarz szeryfa niewinnym wzrokiem.

–Jeszcze jedna sprawa! – powtórzył szeryf z naciskiem. Tym razem także nie doczekał się odpowiedzi. Gisbourne począł z nagłym zainteresowaniem wpatrywać się w nadjedzony przez mole gobelin na ścianie za plecami szeryfa. Gobelin przedstawiał tłuste nimfy nad brzegiem ruczaju.

–Gisbourne, do diabła! – zirytował się szeryf. – Po pierwsze, patrz na mnie, gdy do ciebie mówię. Po drugie, nie udawaj idioty, doskonale wiesz, o co mi chodzi!

–O co, panie? – zapytał teraz już wystraszony hrabia.

–O baronów! – wykrzyknął szeryf rozzłoszczony.

–A, o baronów, oczywiście, baronowie! Tak, ta sprawa dojrzała już do rozwiązania!

Szeryf przez chwilę parsknął gniewnie, rzucając hrabiemu nieprzyjemne spojrzenia. Po

chwili uspokoił się.

–A więc, Gisbourne – powiedział – ponieważ, jak widzę, ta błaża sprawa wyleciała ci z

pamięci, postaram się ci ją przypomnieć. A i nasz nieoceniony Match na tym skorzysta...

Hrabia znów stał się czujny – z takiego przypominania błahych spraw mogło diabli wiedzą co wyniknąć. Szeryf usiadł na ławie, rozparł się wygodnie. Nie śpiesząc się, uniósł kufel i zaczął powoli sączyć piwo. Cisza przedłużała się. Wreszcie Gisbourne nie wytrzymał.

–Panie... – zaczął.

–A więc jednak interesuje cię ta mało istotna sprawa – ucieszył się szeryf. – No dobrze.

Odstawił kufel.

–Jak pamiętasz, mniej więcej rok temu kilku z okolicznych baronów postawiło na złego

konia. Tym koniem był nasz przyjaciel Match i jego banda, która wtedy, przyznaję, odnosiła

niejakie sukcesy. Przy twojej zresztą pomocy, mimowolnej, mam nadzieję...

Szeryf przerwał, patrząc na niego wymownie.

–No dobrze, mniejsza z tym – podjął. – Nie bardzo wiem, co baronowie chcieli osiągnąć.

Nie sądzę, żeby chcieli widzieć Matcha na moim miejscu, a jego bandę na twoim. Prędkiej

chodziło o to, żeby popsuć mi opinię na dworze i zastąpić mnie kimś ze swoich zaufanych. W

każdym razie zaczęli wysyłać na wszystkie strony listy i petycje, opisujące moją nieudolność i

domagające się powołania nowego szeryfa. Do czego zresztą mają prawo, aczkolwiek ja tego

prawa nie pochwalam. No cóż, trudno, nie ma się tu do czego przyczepić. Na szczęście okazali się niecierpliwi i chcieli trochę przyspieszyć oczekiwane zmiany. I tu posunęli się do bezpośredniego wspierania naszego przyjaciela, dawali mu żywność, pieniądze. Zawiadamiali o królewskich konwojach. Jak pamiętasz, nie przeszkadzaliśmy. O własne transporty powinien we własnym interesie bardziej się zatroszczyć sam król jegomość, na szczęście nie dla nas były one przeznaczone. Pieniądze, jak wiesz, odzyskaliśmy. A raczej przejęliśmy. A jak sprawa się rozniosła wśród ludu, reputację naszego przyjaciela do reszty psi zjedli – wódz banitów ma konszachty z, tfu, za przeproszeniem, baronami! Jak mówiłem, nie przeszkadzaliśmy. Ale skrzętnie gromadziliśmy wszelkie zeznania, dowody, świadków. Szeryf spojrział na Matcha.

–Wiesz, – powiedział – jest to jeszcze jeden powód, dla którego zostałeś przy życiu. Tak,

wiem, że możesz nie zechcieć mówić, ale oni o tym nie wiedzą. Zresztą nawet nie musisz.

Mamy wystarczająco dużo świadków, godniejszych zaufania od ciebie, nawet jednego klechę...

On akurat wprawdzie nic nie wie, ale chętnie zezna wszystko, o co go poprosimy. Nawet

przysięgnie.

Przerwał i zwrócił się do Gisbourne'a.

–Teraz nadzieje panów baronów diabli wzięli. Co gorsza, mogę uwięzić ich, osądzić,

skazać i niechybnie powiesić. A nawet tylko uwięzić i powiesić. Problem jest tylko z pierwszą

częścią planu. Otóż siedzą oni teraz jak myszy pod miotłą w swoich dworach i kasztelach, w

mieście się nie pokazują, a i po okolicy rzadko jeżdżą. A zatem, aby ich uwięzić, trzeba

każdego po kolei najpierw oblegać. Na szczęście nie ma obaw, że się zgadają ze sobą, oni się

wzajemnie bardziej nie cierpią niż każdy z osobna mnie. Ale oblężenie trwa długo, kosztuje, a

poza tym jest nudne. Jestem już za stary na spanie w namiotach i jedzenie solonego mięsa. A

ciebie samego nie pošlę, oblężenie też musi mieć górną granicę kosztów.

Szeryf zwilżył piwem zaschnięte gardło i kontynuował.

–A więc oblężenie odpada, a problem pozostaje. Nie mogę przecież puścić sprawy płazem.

Inaczej zaczną wspierać przeciwko mnie rozbójników z gościńca, pijanych drwali czy choćby

tego skrybę, co napisał na murze „Gisbourne to kutas” – dokończył szeryf, patrząc na hrabiego

złościwie.

Gisbourne uśmiechnął się, tym razem szczerze. Nie umiał czytać, więc gównie go obchodziło, co kto nabazgra na murze. Nie był w tym odosobniony. A skrybie, jak go tylko spotka, to znów nakopie do tyłka.

–Tak więc trzeba sprawę załatwić inaczej – podjął szeryf zawiedziony nieco brakiem efektu – i tu oczekuję twojej pomocy...

–Chętnie, panie, ale doprawdy nie wiem...

–A powinieneś, Gisbourne, a powinieneś – w głosie szeryfa zadźwięczała troska. – A jeśli nie wiesz, to źle świadczy o twojej czujności. Otóż ludzie powiadają, że baronowie chcieliby sprawę załagodzić. Ostatecznie to nic przyjemnego siedzieć we własnym dworze i nie móc na

przykład pojechać na polowanie albo i na przejażdżkę bez baronowej. Ludzie mówią, że baronowie gotowi są ponieść pewne wydatki, aby sprawa przycichła, świadków wysłać do piachu lub na wyprawę krzyżową, co na jedno wychodzi, lub też w ostateczności przekupić. Problem polega na tym, jak też tę sumę, której wysokości plotka nie podaje, a my powinniśmy sprecyzować, przekazać we właściwe ręce. Moje, oczywiście, bo któż inny dysponuje świadkami...

–Nie można przekupić królewskiego szeryfa! – zawołał Gisbourne, srodze zawiedziony.

–Oczywiście, że nie można! Ale ciebie, hrabio, można. Gisbourne odetchnął. Do tej pory wszystko układało się pomyślnie.

–A więc, panie, jak zrozumiałem, ja mam zacząć dogadywać się z baronami. Oni wpłacą okup, który oddam waszej wielmożności, wasza wielmożność pozbędzie się świadków i w ten sposób zakończy się ta kłopotliwa sprawa! – wykrzyknął radośnie. Wszystko w porządku. Baronowie będą hojni, każdy w ich sytuacji byłby. A należność za przekonanie szeryfa do takiego załatwienia sprawy nie będzie mała.

–Ależ dobrze rozumiałeś, mój zacny hrabio, dobrze – wesoło zakrzyknął szeryf. – Wprost w lot pojmujesz!

Tu głos mu stwardniał.

–Z dwiema poprawkami, Gisbourne. Po pierwsze, to ty załatwisz świadków. Jak to zrobisz, to twoja sprawa. Ja polecam ci do pomocy naszego przyjaciela Matcha. Po drugie,

oddasz całą sumę, którą dadzą baronowie.

Gisbourne zamarł.

–J... jak to? – wyjąkał.

–Gisbourne, nie udawaj idioty! – powiedział słodkim głosem szeryf. – Ty już dogadałeś się z baronami. Wprost wyprzedzasz moje życzenia. I jeszcze jedno. Nasz przyjaciel Match, który właśnie w tej chwili awansował, pojedzie z tobą. Wiem, będzie to dla niego przykre, bo on cię nie lubi, ale chyba okaże trochę poświęcenia.

–Ależ panie! – krzyknął Gisbourne, szczerze oburzony – Dlaczego?

–Dlatego, przyjacielu, że ciebie naprawdę można przekupić. Po co więc ryzykować?. Tego mi, kurwa, brakowało, pomyślał ponuro Gisbourne.

–No dobrze, – powiedział szeryf – to jedno mamy z głowy. Podejdź bliżej, Match. Match posłuchał. Stał przed szeryfem, nadal patrząc w przestrzeń.

–Widzę, że twoje rany już się zagoiły. Samopoczucie też jakby lepsze. Match uśmiechnął się ponuro.

–Owszem, zagoiły. Ale skąd ten drugi wniosek?

–Panie! – rzucił ostro szeryf.

Uśmiech Matcha zniknął tak szybko, jak się pojawił...

–Skąd ten wniosek, panie? – powtórzył po chwili.

–Nigdy nie zapominaj dodać „panie”, jak się do mnie zwracasz. I nie odzywaj się niepytany!

–Pytałeś o samopoczucie – odpowiedział Match -...panie – dodał po dłuższej chwili.

–To nie było pytanie, to było stwierdzenie. A wzięło się stąd, że już od trzech dni nie próbowałeś zadusić klucznika, gdy przynosił ci posiłek, a strażnik, gdy cię wprowadzał, tylko lekko kulał. Drugi natomiast był nieuszkodzony. I nie rób takiej przerwy między pytaniem a słowem „panie”. I nie odzywaj się niepytany! Chryste, co ja mówię!

Szeryf opadł ciężko na ławę. Spowaźniał.

–Zaczynasz mnie złościć, Match. Za wszelką cenę chcesz udowodnić, że ci nie zależy.

Otóż na to jest za późno. Już zdecydowałeś.

Match milczał.

–Bez sensu, Match. Nie, nie będę cię straszył, że się rozmyślę i obwieszę cię publicznie

albo, że powrócimy do błyskotliwego pomysłu naszego krwiożerczego przyjaciela. Ja ci dałem

możliwość ocalenia życia, ty skwapliwie się na to zgodziłeś. Więc już to powinno cię do czegoś

zobowiązywać. Miałeś przecież wolny wybór – życie dla mnie albo śmierć. A dzięki

Gisbourne'owi nawet więcej możliwości – mogłeś wybierać pomiędzy toporem i szubienicą. A

teraz zachowujesz się, jakby tu był twój leśny szałas, śmierdząca chałupa lub zamtuz. Co

prawda pewnie nie wiesz, jak wygląda zamtuz od środka. Nie szkodzi, Gisbourne ci opowie po

drodze.

–Nieważne – szeryf zmienił ton, przemawiał teraz jak do niegrzecznego dziecka. –

Pamiętaj, że po dokonaniu wyboru dałem ci również nagrodę – bezpieczeństwo lady Marion.

Będę szczery, Match. Jesteś niebezpiecznym człowiekiem. Ta nagroda jest po to, by nie wpadła

ci przypadkiem do głowy myśl o poderżnięciu mi gardła od ucha do ucha. Bo po mojej śmierci

traci ważność. Nie jesteś głupi, mój chłopcze. Wręcz przeciwnie. Dlatego większość ludzi cię

nienawidzi i obawia się ciebie. Jesteś ambitny i masz szansę dojść wysoko, bardzo wysoko, jak

na twoje parszywe pochodzenie. Tobie już się podoba to, co masz robić. Dlatego nie udawaj

skrzywdzonego czy obrażonego. Pamiętaj, oczekuję – nie, nie wdzięczności, na cholerę mi

twoja wdzięczność – oczekuję lojalności i sprawności.

Match nie odpowiedział. W końcu nie było nic do powiedzenia. Czuł, że szeryf ma rację. Co w niczym nie zmniejszało poczucia klęski i wstrętu do samego siebie.

–Widzisz, Match, teraz dochodzimy do twojej osoby i twoich zadań, do których wykonywania jesteś już niewątpliwie zdolny. Jeżeli słuchałeś uważnie mojej rozmowy z

hrabią, a nie wątpię, że tak było, to usłyszałeś o swoim awansie. Nie, ja doprawdy nie robię tego

na złość Gisbourne'owi. Po prostu nie lubię marnotrawstwa, a stanowisko sierżanta w straży

jest marnowaniem twoich możliwości. Zaś miejsce kapitana jest zajęte. Pomijając już fakt, że

nie założę sobie sam pętli na szyję, mianując cię teraz na takie stanowisko. Nie, to nie to, że ci

nie ufam – ja nikomu nie ufam – ale mam wrażenie, że nie należy cię w tej chwili spuszczać z

oka. Musisz najpierw udowodnić, że jesteś mój, i to zapewne nie raz. Tak więc do marchewki,

którą dostałeś, jest także kij. Marchewka to lady Marion, kijem będzie twoje pierwsze zadanie.

Szeryf przerwał. Spojrzał na Gisbourne'a, który ze znudzenia dłubał w zębach puginałem.

–Gisbourne – powiedział cicho szeryf. – Może byś się skupił. Zdziwisz się, ale ta sprawa

ciebie również dotyczy. I połóż na miejsce mój puginał!

Hrabia istotnie się zdziwił. I posłusznie odłożył puginał.

–Na czym to ja... – zastanowił się szeryf. – Aha, zadanie. Otóż mój braciszek opat, gdy dowiedział się, że nie będziemy ścigać lady Marion w jej kryjówce u druidów i szykować drewek na stos, bardzo się zdenerwował. W każdym razie nie zważając na pokrewieństwo i wspólne interesy, zaczął wykrzykiwać o gnieździe pogaństwa, zagrożeniu ze strony szatana i tak dalej, i tak dalej. Posunął się nawet do gróźb, że szepnie słówko biskupowi. Chciałeś coś powiedzieć, Gisbourne?

–Przecież wasza wielmożność kiedyś powiedział, co biskup może waszej wielmożności...

–Co do tego, co mi biskup może, to zgoda, ale niestety biskup może także donieść królowi. I tu kończą się żarty. W każdym razie, jak powiada mój brat, co cesarskie Bogu, a co boskie... albo odwrotnie, nie pamiętam. A tak na serio, to opat pozazdrościł mi ostatnich sukcesów. I też by pragnął odnieść sukces na polu walki z pogaństwem. Na wyprawę krzyżową nie ruszy, za daleko i za drogo, po co zresztą, kiedy pod boki pogan jak napaskudził. Przez to twoje zamieszanie, Match, druidzi rozplenili się ponad miarę. Chłopstwo zaczęło znów wierzyć w tych swoich bogów –

mnie na złość! Jakby mnie to cokolwiek obchodziło. Mnie tam oni nie przeszkadzają, równowaga jakaś musi być. Ale braciszka i jego kolegów po fachu to złości, oj, złości. Zwłaszcza, że daniny zmalowały. A i wśród szlachty druidzi mają coraz większe wzięcie. Poniekąd słusznie – druid wyleczy chorobę, przyszłość przepowie, wiedźma lubczyku zada, potencję wzmocni, a potem jeszcze płód spędzi. Ponoć misteria jakieś ostatnio odprawiają na tej swojej kupie kamieni. Po wsiach co drugi dąb teraz święty. A z opata jaki pożytek? A poza tym te ceny! Wiesz, Gisbourne, ile ostatnio kosztuje klątwa z ambony? W każdym razie, powiadam, bratu potrzebny jest sukces. Tylko jest mały problem. Sukces mamy załatwić my, brat będzie zbierał profity. Bo tak naprawdę, to opat druidów się boi. I słusznie. Sam możesz coś powiedzieć na ten temat, Gisbourne. Hrabia wyraźnie zbladł.

–Jak to było z tym lasem bez wyjścia, Gisbourne? Łaziłeś po nim trzy dni i trzy noce, wyjąc z cicha. Głośno wyc się bałeś. Na początku myślałem, że to z pijaństwa, ale trzy dni, to niemożliwe, zazwyczaj szybciej trzeźwiejesz. A, i jeszcze ci obiecali, że sierścią porośniesz!

Gisbourne'a wyraźnie to nie bawiło. Był czegoś nieswój. Zastanawiał się, co przykrego wyniknie z tej przemowy szeryfa.

–Zapominasz, panie, że pojechałem tam, wypełniając twoje rozkazy – powiedział urażonym tonem. – To w twojej służbie spotkały mnie takie...

–Ja ci nie rozkazywałem wsadzać łap dziewicy pod kieckę – przerwał szeryf. – W dodatku

nie zwykłej dziewicy, a czemuś tam poświęconej... Tak, z pogańskimi bogami nie ma żartów.

Swoją drogą to ciekawe, pogańscy bogowie mściwi i okrutni, a druidzi łagodni do obrzydliwości, natomiast z moim braciszkiem i jego Bogiem odwrotnie... Zawsze się zastanawiałem, dlaczego chrześcijański Bóg nie broni swoich sług, tak jak tamci, w ropuchę nie zamieni, piorunem nie porazi albo przynajmniej kołtuna nie ześle. Przypuszczam, że wychodzi z założenia, że sami sobie poradzą. Do rzeczy. Aby zadowolić opata, trzeba przetrzepać skórę poganom. Ty to zrobisz, Match. Pojedziesz do jakiejś wsi, sam ją sobie wybierzesz, taką, której nie lubisz. Nie kręć tak głową, przecież wiem, że zależli ci nieźle za skórę, tylko nie chcesz się przyznać. Na początek zetniesz święty dąb. Chryste, przestań kręcić tym łbem, w każdej wiosce mają teraz jakiś święty dąb. Jak nie będziesz wiedział który, to zetnij byle jaki, co za różnica... Potem przejedziesz się po chłopach, bo prawdopodobnie będą protestować, zapewne czynnie. Druidzi nie powinni przeciw wam wystąpić, nawet, jeżeli jacyś przypadkiem tam będą. Przynajmniej nie fizycznie. Jeżeli jakiś żołnierz sparszywieje, to tylko zwiększy kosztorys, nie szkodzi. A ciebie nie ruszą. Co

najśmieszniejsze, mojemu braciszкови ta cała awantura tylko zaszkodzi. No cóż, sam tego chce. Ty, Gisbourne, pojedziesz jako mój oficjalny przedstawiciel. Ktoś w końcu musi odczytać przy wtórze bębna te wszystkie bzdury, które naskrobał na pergaminie mój brat. A raczej skryba pod jego dyktando. Ja w każdym razie nie zamierzam wychodzić na idiotę...

Szeryf stropił się.

–Prawda, nie umiesz przecież... – roześmiał się. – Nie szkodzi, nauczysz się na pamięć. Herolda niestety nie mamy, to zresztą pośrednio przez ciebie, Match.

Spojrzał z niechęcią. Trudno było o dobrego herolda, takiego, który nie dość, że potrafi czytać, to jeszcze sprawia odpowiednie wrażenie. Ostatni zresztą nie posiadał tej trudnej sztuki, polegając na niezawodnej pamięci. Mało się mylił, a poza tym potrafił trzymać pergamin właściwą stroną do góry. Ostatnim razem jednak wygłosił niewłaściwy tekst w niewłaściwym miejscu. Trochę w tym mojej winy, przyznał szeryf. Trzeba było lepiej sprawdzać gromadzących się na egzekucję gapiów. Nikomu już nie można wierzyć, straszne zdziczenie obyczajów. Niedługo nawet na turnieje zaczną przynosić ukryte pod odzieżą noże, pały i łańcuchy. Zamiast patrzeć z szacunkiem i podziwem, jak szlachetni panowie potykają się w szrankach, poczną tłuc się między sobą albo, co gorsza, ze strażą. Do czego to z czasem dojdzie, to brytyjskie i saksońskie pospólstwo... Żadnego święta nie uszanują...

Choćby na egzekucji. Wydawać by się mogło, że egzekucja marudera z leśnej bandy, egzekucja w samym Nottingham będzie wydarzeniem zwyczajnym, jak wiele poprzednich. Ściągającym uczciwych, spragnionych widowiska i jakiejś odmiany w szarym życiu mieszczan i okolicznych wieśniaków. Tymczasem liczni wciąż zwolennicy banitów wzięli się za łby z równie licznymi ich przeciwnikami, zachęcającymi kata do pośpiechu. Sarkającymi głośno na herolda, że marnuje czas, przynaglającymi kata głośnymi okrzykami „dalejże!” i „dość tego guzdrania”.

W ruch poszły pały i łańcuchy, które, jak wiadomo, łatwo dają się ukryć pod odzieżą. Największe cięgi zebrała usiłująca interweniować i zaprowadzić porządek straż, którą zgodnie łały obie zwaśnione strony.

Jeden w walczących musiał nosić wyjątkowo luźno i obficie skrojone szaty, pod którymi zdołał przemycić kuszę. Bełt trafił herolda, przerywając mu w pół zdania, przybijając do piersi trzymany pergamin. Herold zdegradowany nagle do roli zwykłego słupa z przybitym obwieszczeniem stał jeszcze przez chwilę, po czym zwałił się z podestu.

Z całej tej historii skorzystał jedynie główny zainteresowany, którego ktoś w zamieszaniu odciął od stryczka. Tyle go widziano.

Bilans całego zamieszania był opłakany. Wprawdzie w zastępstwie marudera szeryf chciał powiesić kilku z uczestników zajścia, jednak nie rozwiązywało to problemu strat, jakie ponieśli zbrojni. Wprawdzie skończyło się na porozbijanych łbach, wybitych zębach i połamanych kończynach, jednak herold był całkiem i definitywnie martwy. Taki dobry specjalista, wciąż z żalem wspominał go szeryf. Do czego to dochodzi, niedługo na jasełkach i korowodach też zaczną się tłuc. Na przykład zwolennicy Świętej Rodziny z tymi, do których bardziej przemawia Judasz... I to takie smarkacze, kto by pomyślał... Jak tylko którego dotknąć, to od razu baby jazgot podnoszą, że straż brutalna, dzieciom wyszumieć się nie da...

Szeryf otrząsnął się z rozmyślań. Gisbourne wyglądał jak kupa nieszczęścia. Poprawiło to nastrój szeryfa.

– Nie martw się, hrabio – powiedział wesoło. – Może nie obrośniesz sierścią. A jeśli nawet, to przecież cyrulik też musi z czegoś żyć...

Gdy Match skończył mówić, długo siedzieli w milczeniu. Match przegarniał patykiem węgle dopalającego się ogniska, nic nie mówiąc. Jason wiedział, że czeka na komentarz, na pytania. Na słowa potępienia.

Jason nie zadawał pytań. Nie powiedział nic. Milczał. To milczenie było jednak wymowniejsze od słów. Nie, nie cisnęły mu się na usta słowa potępienia czy odrazy. To nie było takie proste. Jednak nie wiedział, co można powiedzieć. Pomimo iż milczenie było znacznie gorsze.

Ktoś, kto zobaczyłby ich na leśnej polance, mógłby pomyśleć, że to para przyjaciół odpoczywa po trudach całodziennego polowania. Zobaczyłby dwóch milczących, znużonych już widać opowiadaniem odwiecznych myśliwskich historyjek mężczyzn, którzy przed udaniem się na spoczynek, siedzą jeszcze przy dogasającym już ognisku, odwlekając chwilę, gdy ułożą się na sprężynujących miękko pościeliach ze świeżo naciętych świerkowych łapek. A potem owiną się w płaszcze i pledy, zasną spokojnym snem pod pogodnym, wiosennym niebem, aby odespać zmęczenie po całodziennym tropieniu jelenia czy podchodzeniu kozła.

Gdyby wcześniej nie podszedł bliżej, to nie słysząc wypowiedzianych przez jednego z nich słów, sądziłby, że dotyczą błahych i jak zwykle przesadzonych łowieckich opowieści, jakie stale krążą powtarzane przy niezliczonych myśliwskich ogniskach. Opowieści, których już nawet się nie słucha, w których zmienia się jedynie imię myśliwego i rośnie nieodmienne rozmiar trofeum.

Nieruchome spojrzenie drugiego, jego skupioną twarz, wzięłby za wyraz zastłuchania w tę niespieszną melodię pogwarki przy ognisku, kiedy nie treść jest istotna, lecz samo miejsce i czas, gdzie można jej wysłuchać.

Nie, nie zobaczyłby nic, po czym mógłby poznać, o czym rozmawiają dwaj mężczyźni przy ognisku.

W końcu Match dorzucił do wygasającego ogniska kilka grubych gałęzi. Wciąż tym samym, cichym, beznamiętnym głosem podjął opowieść.

Kopyta stukały po bruku. Tak, po bruku, gdyż Nottingham mogło się pochwalić jedną brukowaną ulicą, wiodącą od rynku aż do głównej bramy podgrodzia. Uliczka miała nawet rynsztoki, co było znaczącą innowacją. Koński mocz, nieczystości wylewane z nocników przez niefrasobliwych mieszczan, zdechłe szczury i koty spływały gładko do fosy, zamiast stać w niewysychających nigdy, zasilanych ciągle ludzką i zwierzęcą aktywnością błotnistych, cuchnących kałużach. Tylko fosa śmierdziała coraz bardziej.

Match szczerze nie znosił miasta. Całe życie spędził w lasach, na polach, bez tego wszechobecnego smrodu. Bez gwaru, który nawet w zwykły, nie targowy dzień natrętnie wwierał się w uszy. Brakowało mu szerokiej perspektywy, zasłanianej przez budynki. Nawet w kniei, w gąszczu leśnym mógł zawsze swobodnie oddychać. Teraz miał wrażenie, że się dusi.

Nottingham, prócz zwykłych miejskich dolegliwości, było mu obmierzłe z jeszcze jednego powodu. Zawsze było symbolem, siedzibą przeciwnika, środkiem pajęczyny, skąd wrogi pajak snuł swe sieci. Było symbolem zniewolenia. Trudno się dziwić, Match, jak dotąd z całego miasta poznał najlepiej miejskie lochy. Spaczyło to jeszcze bardziej jego spojrzenie, trzeba bowiem przyznać, mimo wszystko, że nie było to najlepsze lokum w mieście. Choć ponoć bywały gorsze, jak mawiali bywalcy jednej z miejskich oberży.

Pobył w lochach był długi i wystarczająco nieprzyjemny. Na tyle długi, by Match mógł poznać wszystkie współmieszkające szczury tak, by zacząć je rozpoznawać po pyszczkach i przyzwyczajeniach. Były jego jedynymi towarzyszami, jako niebezpieczny przestępca dostąpił zaszczytu przebywania w pojedynczej celi, by nie wywierać złego wpływu na innych, pospolitych złodziei, koniokradów, morderców i tym podobnych.

Wtrącono go do lochu natychmiast, gdy tylko trochę wygoiły się rany. Szeryf nie chciał, mając wobec niego rozliczne plany, aby zmarł od zakażenia czy niewygód. Uwężenie miało posłużyć jedynie zmiękczeniu Matcha, przetrzymaniu go w nieświadomości co do dalszych

losów. Match siedział więc w swym małym loszku, posiadającym za jedyne wejście przykrywany klapą otwór w środku sklepienia, zbyt wysoko, by do niego doskoczyć. Nawet nie przykuto go do ściany, mimo iż w ścianę wmurowane były odpowiednie, służące właśnie do tego żelazne klamry. Z małego, zakratowanego okienka, przez

które, jeżeli podskoczyć i dobrze wczepić się paznokciami w kamienne obmurowanie, roztaczał się piękny widok na wewnętrzny zamkowy dziedziniec za stojącym rusztowaniem z szubienicą. Widoki można było podziwiać do woli, dopóki nie omdlały zaciśnięte na kamieniach palce.

Match nie korzystał zbyt często z dobrodziejstw świeżego powietrza, gdyż pełniący straż na wewnętrznym dziedzińcu mieli niemily zwyczaj odlewania się właśnie pod tą ścianą. Stołp zamkowy był w planie kolisty, w związku z czym nie zawsze można było w porę dostrzec zbliżającego się za potrzebą.

Na szczęście nie pamiętał wiele z okresu, gdy dochodził do zdrowia w dobrze pilnowanej izbie czeladnej. Osłabienie spowodowało, że przesypiał większość dnia. Toteż gdy tylko uznano, że pobyt w uważanych za niezbyt zdrowe pomieszczeniach pod stołpem nie powinien go zabić, kontrast nie był zbyt wielki.

Jednak wszystko trwało zbyt długo. Oczekiwanie, przerywane tylko spuszczeniem na sznurze dzbana z wodą i wrzucaniem twardych jak kamień, spleśniałych kawałków chleba, raz dziennie oczywście, żeby więźniowi w głowie się nie przewróciło, robiło swoje. Strażnik dokładał od siebie, ile tylko mógł. Gdy dopisywał mu dobry humor, często, gdyż był człowiekiem wyjątkowo zadowolonym z życia, opowiadał z lubością, jak kat szykuje swoje narzędzia. Opowiadał z lubością i szczegółowo.

W takich warunkach, w mroku i wilgoci, na przegniłej słomie, niedługo opierała się silna przecież osobowość Matcha. Mimo iż nie wierzył ponawianym wciąż obiecankom strażnika, że to już jutro z samego rana ma spotkanie z katem, to jednak na każdy dźwięk przepitego, radosnego głosu poczynął kulić się na śmierdzącej słomie, zatykając uszy, co zresztą tylko pobudzało strażnika do dalszych pogwarek. Gdy po długim, nie wiedzieć nawet jak długim, gdyż stracił rachubę, czasie spuszczone przez klapę w sklepieniu drabinę i dwóch pachotków wywlokło go na zewnątrz, był już innym człowiekiem, bez względu na to, jak trywialnie by to brzmiało.

Szeryf starannie obserwował jego zachowanie podczas uwięzienia. Nie chciał go całkiem złamać, chciał jedynie utwierdzić w przekonaniu, że każdy wybór, jakikolwiek, będzie lepszy od tych ciągnących się bez końca dni, urozmaicanych jedynie popiskiwaniami walczących o okruchy spleśniałego chleba szcurów i rubasznymi żartami strażnika. Nie przedobrzył, nie przetrzymał Matcha w zamknięciu tak długo, by zdążył osłabnąć, zobojętnieć na wszystko. Uwolnił go wtedy, gdy wciąż chciał żyć, wyrwać się stamtąd.

Dobrze wybrał moment. Osiągnął to, co zamierzał. Mimo obrzydzenia do samego siebie, Match pogodził się z losem, jaki mu wybrano. Mało tego, nabrał przekonania, że nie można było inaczej.

Co nie znaczyło, że odczuwał mniejszy wstręt. Wstręt do własnej słabości. Wstręt

do siebie.

Teraz, gdy zmierzali brukowaną uliczką w kierunku bramy miejskiej Match miał wrażenie, że wszyscy mijani ludzie gapią się tylko na niego. Że w ich wzroku można dostrzec pogardę i potępienie. Pogardę dla herszta banitów, który dla zachowania marnego żywota przyłączył się do wroga. Mało tego, nie przeszedł jako sojusznik, równorzędny partner – takie wypadki przecież zdarzały się często, nawet wśród szlachty i baronów. Nie, on nie przeszedł na stronę przeciwnika, on poszedł mu służyć.

Kolejny przechodzień uskoczył przed kopytami pod ścianę, zmierzył jadących wzrokiem wypranym z wszelkiego szacunku. Match był przekonany, że patrzy tylko na niego, że przekleństwa, mamrotane pod nosem, ciskane są na jego głowę, że tylko strach powstrzymuje klnącego od pogardliwego splunięcia. Zmusił się, aby nie odwracać wzroku, nie uciec spojrzeniem w bok.

Niepotrzebnie. Banici nigdy nie mieli w Nottingham zbyt wielu zwolenników. Blokada była dotkliwa, zbyt wielu mieszkańców miasta ucierpiało od niej bezpośrednio. Poza tym zawsze żyli blisko władzy, większości nigdy nie przeszło nawet przez myśl naruszanie, a co dopiero obalanie istniejącego od wieków, niewzruszonego, uświęconego porządku. Nie to co chłopci, zwłaszcza puszczańscy osadnicy, dla których pan był daleko. Osadnicy znający tylko poborcę, który był dla nich uosobieniem zła, odbierającego im część ciężko wypracowanych plonów.

Chłopi nie znali bliżej swego pana, nie widzieli go na co dzień, imponującego, tak odległego i wyniosłego, że nawet myśl, iż można mu się sprzeciwić była niesłychana. Spotykali tylko karbowych i poborców, w których niewiele było z pańskiej wyniosłości. Którzy, jak to często bywało, z widłami w brzuchu szybko tracili jej najmniejsze ślady. Wieśniacy może i nie potrafili liczyć, rozumieli jednak, że wielmożów jest znacznie mniej od nich. Stąd chłopskie bunty nie były niczym nadzwyczajnym.

Co innego w miastach. Złe spojrzenie uskakującego pod mur człowieka nie było skierowane do Matcha. Nie było skierowane personalnie do żadnego z jadących środkiem uliczki, brutalnie roztrącających tłum zbrojnych. Człowiek klnął bezosobowo, jak klnąłby gołębia, który napaskudził na czapkę. I jedno, i drugie było w miastach nieuniknione, panosząca się na ulicach, potrącająca przechodniów straż i obsrywająca ludzi gołębie. Na jedno i drugie nic nie można było poradzić.

Match czuł się jednak jak pod pręgierzem, smagany spojrzeniami, z których każde zdawało się rzucać mu w twarz przekleństwa i epitety.

Zdrajca... Tchórz... Morderca...

Zajęci swymi sprawami ludzie nie rozpoznawali nawet jego twarzy. Ot, jeszcze jeden z tych darmozjadów, utrzymywany z podatków tylko po to, by rozjeżdżać się konno środkiem ulicy i bałamucić dziewczki. A po służbie uchlać się w karczmie i wszczynać bójki i rozróby.

Przez całą drogę do bramy Match jechał sztywno, wysoko unosząc głowę z zastygłą twarzą. Nie miał nawet nadziei, że kiedyś mu to wszystko spowszednieje. Gisbourne zauważył jego nienaturalne zachowanie. Podjechał bliżej.

–Jak ci się podoba po drugiej stronie? – spytał złośliwie. – Nie wstydz się, pomyśl, ci

wszyscy całe życie marzyli, żeby dochrapać się tych barw, które tak palą ci grzbiet.

Zazdroszczą ci szczęścia, tak prosto z lasu do pańskiej straży. Oni długo na to pracowali...

Nie doczekał się reakcji. Match nawet nie spojrział w jego stronę, wyprostował się tylko jeszcze bardziej w kulbace. Hrabia był zły, nie podobało mu się polecenie szeryfa. Postanowił wziąć odwet, jedyny, jaki mógł.

–Tak, długo pracowali – zaśmiał się. – A ty... Popatrz, wystarczyło tylko pęknać, przejść

na drugą stronę... I już, wikt odpowiedni, żołd wypłacą, nawet izba własna, jak na, tfu, oficera

przystało. Tylko służyć wiernie trzeba, o nic nie pytać. Rąbać mieczem, kogo wskażą,

nieważne, chłop czy mieszczanin, krewny może czy też taki, którego się przedtem w obronę

przed dzisiejszym panem brało...

Match aż do bólu zacisnął trzymające wodze pięści. Hrabia z satysfakcją dostrzegł zbielejące kostki. Wpadł w nastrój filozoficzny.

–Wiesz, Match, wreszcie mogę ci tak mówić, teraz chyba się nie obrazisz... Wiesz, ja bym

nie był tak łaskawy. Kazałbym cię po prostu obwiesić. Może przedtem dałbym katu, żeby ci

trochę drogę na tamten świat umilił, nie z mściwości, broń Boże, tylko ku uciesze

gawiedzi. W

końcu muszą mieć jakieś moralne, budujące rozrywki, nie tylko chłanie po karczmach.

Kazałbym cię szybko wykończyć, szybko, mimo że z ciebie taki sukinsyn...

Szarpnął wodze, wstrzymując konia. Match nie wytrzymał wreszcie, naparł koniem na hrabiowskiego rumaka, wlepiając w niego pełen nienawiści wzrok. Hrabia nie cofnął się, pewien swej przewagi.

–Co jest, jechać mi tu dalej – wycedził pogardliwie. – Pan twój rozkazuje! Będzie mi się tu

obrażać, zębami błyskać... Zaraz ci pokażę, gdzie twoje miejsce...

Przez chwilę wyglądało, że Match, nie bacząc na konsekwencje, rzucił się na niego. Gisbourne też najwidoczniej to pomyślał, gdyż urwał nagle. Jednak Match skurczył się tylko i ruszył bez słowa do przodu.

Hrabia ze złością stwierdził, że wciąż się go jednak obawia. Trzeba będzie uważać, żeby nie odwracać się do niego tyłem, obiecał sobie solennie. Taki skurwiel w każdej chwili może wbić nóż w plecy. Co szeryfowi strzeliło do głowy, ja bym go kazał od razu powiesić...

–Tak, Match, ja bym cię kazał od razu powiesić – krzyknął ze złością w kierunku pleców

Matcha. – Przynajmniej byś się długo nie męczył, szast, prast i po krzyku. Uwierz mi, tak

byłoby dla ciebie najlepiej. Ale może to i dobrze, że cię szeryf w swej niezmiernie

łaskawości oszczędził, zobaczysz, jak będzie. Jak będą ci pluli w gębę. Tak, że nie nadążysz się

ocierać... A może ktoś gardło poderżnie, krew z ciebie spuści, jak z wieprza... Ktoś, kto się na

tobie okrutnie zawiódł, dużo takich, przyznasz sam...

Brak reakcji rozłościł hrabiego. Podjechał znów do Matcha.

–Powiedz, dlaczego nazwali cię Wieprzem? Dlaczego tak plugawo, bez szacunku? Czyżbyś już wcześniej go utracił? Już dawniej miałeś zadatki na sukinsyna? Powiedz, co takiego zrobiłeś, no powiedz, nie wstydź się! Nie powinieneś mieć

sekretów przed zwierzchnością...

Match wreszcie spojrzął na hrabiego. Od tego spojrzenia Gisbourne od razu zrezygnował z zadawania dalszych pytań, poniechał docinków. Dotarło do niego, że jeszcze jedno słowo, a Match wybierze łatwiejsze rozwiązanie – rozwali mu łeb na miejscu, nie bacząc na konsekwencje, nawet może ich oczekując. Nie mógł mieć złudzeń, pozostali zbrojni bacznie go obserwowali, wypełniając zresztą zalecenia szeryfa. Na każdy nieprzemyślany gest mieli rozkaz od razu reagować, nawet zabić, gdyby spostrzegli, że Match ma choćby zamiar wymknąć się spod kontroli.

A ja jeszcze podsuwam mu takie pomysły, zbeształ sam siebie Gisbourne. Wstrzymał konia, powlókł się dalej na końcu.

Wreszcie podkowy zadudniły na balach mostu. Zostawili za sobą miejskie mury, wyjechali na pastwiska, poprzecinane niskimi kamiennymi murkami. Match odetchnął. Szerokie pola przypominały wprawdzie boleśnie utraconą wolność, lecz po kilku miesiącach Match miał szczerze dosyć zaduchu miasta. Oddychał pełną piersią.

Do południa mury zostały daleko w tyle. Trakt z poprzedzielanych kamiennymi murkami pastwisk wszedł pomiędzy pola obsiane jęczmieniem. Oznaczało to, iż wioska będąca ich celem jest już niedaleko. Hrabia przywołał do siebie dowódcę, cichym głosem udzielał mu instrukcji. Match zauważył, iż zbrojny popatruje co rusz na niego, widać polecenia dotyczyły jego osoby. Istotnie, żołnierz po wysłuchaniu hrabiego wskazał go dwom ze swych ludzi, którzy przynaglili konie i zajęli miejsca po obu stronach. Starannie unikali jego wzroku. Dowódca zajął miejsce za nimi.

Hrabia sam wybrał wioskę, nie usłuchał polecenia szeryfa, by to Match wybrał taką, której nie lubi. Trafił zresztą nad podziw dobrze, leżąca na samym skraju puszczy wioska była jedną z pierwszych, której mieszkańcy poczuli się znużeni opieką banitów. Jedną z pierwszych, w której chłopci spostrzegli, że pomoc dla chłopców z lasu jest co najmniej tak samo uciążliwa, jak dziesięcina płacona panu. Płacenie zaś dziesięciny było ze wszech miar pochwalane, nie narażało na karne ekspedycje, które nieodmiennie czekały wioski zaopatrujące banitów. Tym bardziej, że poświęcali oni coraz mniej czasu i starań dla ochrony zaopatrujących ich wsi, coraz bardziej zajęci atakami na szlacheckie dwory i kasztele. Ponadto leśne oddziały przyjeżdżające po zaopatrzenie zachowywały się coraz bardziej jak okupanci. W odróżnieniu od zbrojnych, którzy na surowy rozkaz szeryfa zachowywali się poprawnie i nader uprzejmie, powściągając z trudem, lecz skutecznie swe zwykłe rozrywki. Za to banici przejęli ich rolę – bicie opornych, gwałcenie dziewczek i inne ekscesy stały na porządku dziennym. Ściągający do lasu maruderzy i

poszukiwacze przygód byli mniej zdyscyplinowani od żołnierzy, Match nie mógł nad nimi zapanować, zwłaszcza w takiej liczbie.

Wszystkich ich w bucie i okrucieństwie przerastali jednak prości chłopcy z leśnych wiosek, ci, którzy najwcześniej dołączyli do Matcha. Gdy tylko wyrosli ponad swych ziomków, bardzo szybko w pogardzie dla nich przewyższyli swych dawnych ciemżycieli. Byli bezwzględni w ściąganiu należnego zaopatrzenia, a ponieważ znali doskonale wszelkie sztuczki i kryjówki, byli też najbardziej skuteczni.

Wioska, do której jechali, z racji swego położenia niedaleko miasta, bardzo szybko odczuła ciężar leśnej opieki. Często odwiedzały ją karne ekspedycje, wójtowie zmieniali się co miesiąc. Wkrótce nie było chętnych do pełnienia tej zaszczytnej funkcji, skoro nieodmiennie kończyła się pod pręgierzem. Niektórzy wprawdzie twierdzili, iż pręgierz jest lepszy od metod stosowanych przez banitów, gdy uznawali, że zaopatrzenie dla leśnych oddziałów jest niewystarczające. Rzeczywiście, szeryf zachowywał umiar w karaniu winnych.

Nieprzypadkowo z tej właśnie wioski pochodził pierwszy zdrajca. Ten, którego informacje zwabiły Matcha w pułapkę, zakończoną pojedynkiem z panem de Folville.

Życzeniu szeryfa stało się zadość. Match nie miał powodów, by czuć sympatię do mieszkańców tej wioski.

Wjeżdżali w opłotki. Z założenia wyprawa miała wzbudzić postrach, przeto konni zaczęli się zabawiać rozbijaniem pozatykanych się na płotach glinianych garnków. Nikt nie bronił im tej, niewinnej na razie, zabawy, która wkrótce miała się przerodzić w coś nieporównanie gorszego. Mieszkańcy w popłochu schodzili im z drogi, kryjąc się po chałupach i opłotkach. Tylko dzieci przyglądały się z rozdziawionymi, umorusanymi gębami.

Wjechali na majdan, stanęli w niewyrównanym szeregu. Na majdanie, przy cembrowanej kamieniami studni z wysokim żurawiem stał już blady, wylękniony, trzęsący się ze strachu wójt. Nie czekał na nieuniknione wywlekanie z chałupy, wołał sam przyjść, choć nie spodziewał się niczego dobrego. Wiedział, że wywlekanie zawsze było bolesne, chciał oszczędzić sobie chociaż wstępного bicia. Bo wiedział dobrze, że zasadnicze i tak go nie minie. Długoletnie doświadczenie wskazywało, że nieważne, kto wjeżdża do wioski, kmieć i tak dostanie po łbie.

Gisbourne rozejrzał się niezadowolony. Wieśniacy pochowali się. To, co miał zrobić, wymagało jak najwięcej widzów.

Już chciał posłać wójta, by nakazał wszystkim mieszkańcom stawić się na miejscu. Zamiast tego jednak wysłał żołnierzy. Tak wzbudzi większy postrach.

Zbrojni dwójkami rozbiegli się po chałupach. Rozpoczęła się zwykła, przeplatana lamentami kobiet i kopniakami w pętające się pod nogami kury gonitwa. Wkrótce majdan zaczął zapełniać się wyciąganymi z chałup, popędzanymi uderzeniami i

kopniakami mieszkańcami.

Match przyglądał się temu, nie ruszając się z miejsca. Spozrzegł to hrabia.

–Ty, a ty co, na wycieczkę przyjechałeś? – krzyknął głośno. – Z konia i do roboty, co ty

sobie wyobrażasz!

Match nie ruszył się. Patrzył na wszystko pustym wzrokiem. Na twarzy miał ceglaste wypieki.

–No, rusz się! – w głosie hrabiego brzmiał urągliwy gniew. – Pora zapracować na swoje

utrzymanie, zarobić na żołąd, odwdzińczyć się za pańską łaskę!

Match powoli, z ociąganiem zsiadł z konia. Ruszył naprzód jak ślepiec. Na znak hrabiego ruszyli za nim dwaj wyznaczeni zbrojni, niosąc obnażone miecze. Ciekawe, czy będą musieli ich użyć, pomyślał Gisbourne. Czy będzie próbował zerwać się z łańcucha? To miała być próba. Ryzykowna nieco, jak uważał hrabia.

Match zaczął dostrzegać szczegóły otoczenia. Zakrwawioną, leżącą kobietę, którą zbrojny pchnął tak nieszczęśliwie, że uderzyła głową o belki chałupy. Zbrojny zniecierpliwiał się, kiedy broniła dostępu do chałupy w której leżał ponoć zraniony przez buchtującego pola dzika mąż. Rzeczywiście, chłopina wywleczony i rzucony przed chałupę nie mógł podnieść się o własnych siłach. Z sinej, opuchniętej nogi unosił się odór zgorzeli. Umrze, ocenił Match beznamietnie, jakby obserwował to wszystko z daleka. Za późno już, by odjąć nogę, sine pręgi sięgały biodra, co mógł zobaczyć przez porozrywaną podczas wywlekania z posłania koszulę.

Idący z nim zbrojni zgodnie zarechotali, widząc niezdarne, wolne ruchy usiłującego powstać, ledwie przytomnego od gorączki chłopca.

–Śmierdzi jak z wychodka – wciąż śmiejąc się, zauważył jeden z żołnierzy. – Ech, zasrana

roboty...

Bez złości kopnął czepiającą się jego nóg zakrwawioną kobietę. Niezbyt mocno, tylko tak, by się od niej uwolnić. Kobieta skuliła się z zawozeniem, przypadła do męża, który tymczasem znieruchomiał. Stracił w końcu przytomność.

Match nie wytrzymał, pchnął żołnierza w pierś z rozmachem, nie bacząc na obnażony miecz. Zamierzył się do ciosu. Żołnierz uniósł broń, już się nie śmiał.

–Nie próbujcie, nawet nie próbujcie – wycedził ze złością. – Obejrzyjcie się lepiej.

Match opuścił rękę, obejrzał się. Dostrzegł dowódcę straży, stojącego opodal z napiętą

kuszą.

–Za późno, przyjacielu – dodał zbrojny z ironią. – Teraz już musisz tak jak my. To my

jesteśmy teraz twoi przyjaciele...

Match bez słowa odwrócił się. Schylił się nad rannym chłopem, usiłując unieść przelewające się przez ręce ciało. Z trudem hamował wzbierające mdłości. Nie wiedział, czy to od smrodu gnijącego ciała, czy może z obrzydzenia do samego siebie. Nie wiedział, co zrobi, gdy już podniesie umierającego chłopca.

Poczuł nagły ból w policzkach. To zszokowana kobieta, źle oceniając jego intencje, wpiła mu dłoń w twarz, od tyłu. Puścił bezwładne ciało, chwycił za nadgarstki, starając się nie dopuścić, by paznokciami sięgnęła oczu. Słyszał i nieledwie czuł uderzenia, jakimi obaj zbrojni

poczęli okładać kobietę. Mimo to wciąż nie puszczała, dopiero gdy ścisnął jej przeguby tak, że o mało nie pękły, poczuł, jak palce się rozluźniają. Żołnierze odciągnęli ją do tyłu, poderwali do góry trzymając za ramiona. Próbowwała jeszcze kopać. Trzeci, przyglądający się dotąd z dala doskoczył, z rozmachem uderzył w brzuch. Zwiśła bezwładnie w trzymających ją ramionach.

Match szarpnął bijącego za ramię, odrzucił w tył. Żołnierz zatoczył się z wyrazem zdziwienia na twarzy. Oczekiwał raczej podziękowań.

Nie oglądając się na niego, Match stanął przed zbrojnymi trzymającymi bezwładną kobietę. Z wysiłkiem uniosła głowę, popatrzyła mu prosto w twarz. Splunęła. Po twarzy pociekła gęsta, zmieszana z krwią ślina. Match skulił się jak trafiony pięścią.

Zbrojni zaśmiali się znów. Puścili kobietę, która opadła na kolana i już tak została. Jeden kopnął ją w nasadę kręgosłupa, tuż nad kością ogonową. Padła bez jęku.

–Sami widzicie jakie ścierwo – powiedział ten bardziej wygadany. – Tak, ona już wie, że

wy z nami powinniście trzymać. Tylko wy sami jeszcze nie wiecie. A może jednak już wiecie?

Wytań w ubranie zakrwawione ręce.

–No, nie ma się co dąsać... – dodał, widząc wyraz twarzy Matcha. – Już za późno, już tylko

my wam zostaliśmy. A jeśli niemiła nasza kompania, to się lepiej przyzwyczajcie. Inaczej sami

zostaniecie, zupełnie sami...

Spojrzał na nieprzytomnego, leżącego w kurzu chłopca. Na kobietę, zwiniętą z bólu, wstrząsaną spazmami.

–Ech, trzeba zostawić to ścierwo, niech tu gnije – zdecydował. – I tak by na nogach nie

ustał, na cholerę go wlec. Za bardzo śmierdzi...

Rozejrzał się.

–Trzeba wracać, już nie ma kogo łapać. Wracamy. Nie stójcie tak, wytrzyjcie lepiej gębę,

jeszcze kto pomyśli, żeście ranni.

Match ruszył przed siebie, starając się nie dostrzegać sinych od płaczu dzieci, które przypadły do leżącej wciąż na ziemi matki. Machinalnie ocierał twarz rękawem.

Gisbourne potoczył wzrokiem po mieszkańcach wioski zbitych w ciasną gromadę, otoczoną zbrojnymi. Wysunął się do przodu, wyprostował w siodle. Teraz najtrudniejsze. Odchrząknął.

Wyjął z zanadrza zwinięty w rulon pergamin. Złamał woskową pieczęć. Rozplatał wstęgę opasującą rulon, rozwinął arkusz. Jeszcze raz powiódł wzrokiem po zgromadzonych.

–W imię... – zaczął. Zaschło mu naraz w gardle. Odkaszlnął, spróbował znów.

–W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego – no, jakoś poszło, oby tak dalej.

–Władzę od Boga daną tu, sprawując w imieniu Kościoła jedyne, matki naszej...

Recytował, wlepiając wzrok w pokrytą niezrozumiałymi znakami kartę. Wraz ze skrybą

poświęcili wiele czasu na przygotowanie tej przemowy. Skryba narzekał wprawdzie na niewyraźne pismo braciszka, który pisał orędzie opata, lecz ze szczerego serca przykładał się do nauczania hrabiego całości na pamięć. Motywację miał silną, gdyż

hrabia każdą swą

pomyłkę kwitował z niezadowoleniem, waląc skrybę skórzaną rękawicą w policzek, sprawiedliwie, to w jeden, to w drugi. Co gorsza, rękawica była długa, z mankietem i bez trudu sięgała uszu, które pod koniec nauki przypominały dorodne kalafiory. Gisbourne był pojętym uczniem, lecz wciąż pamiętał o napisie na murze, którego treść zacytował szeryf.

Wygłaszanie orędzia szło coraz lepiej, hrabia przestał się zacinać, recytował coraz płynniej. Zaczęło mu to sprawiać niejaką przyjemność, więc z rozczarowaniem przyjął dość obojętną reakcję stłoczonych kmiotków. Stali tylko z wbitym w ziemię wzrokiem. Ech, perły przed wieprze, pomyślał Gisbourne z niesmakiem. Żadnego poruszenia, a przecież padają tu słowa ważne i istotne.

–...doszło do wiadomości naszej, że oddają się obrzędom plugawym, Bogu i Kościołowi

niemiłym i wrogim. Bałwanom fałszywym się kłaniają, miast jednemu Bogu należną cześć

oddawać i daniny na potrzeby sług jego płacić przykładnie. Przeto nim Bóg w surowości swej

ich ukarze, postanawiamy, co następuje...

Gisbourne przerwał. Spozrzegł wreszcie poruszenie. Kmiotkowie najwyraźniej byli zainteresowani, co postanowił sam Bóg i Kościół święty w osobie opata. Zazwyczaj z takich postanowień nie wynikało dla nich nic dobrego. Wiedzieli z doświadczenia.

–Po pierwsze, *primo*, dwudziesta część plonów przez trzy lata na potrzeby opactwa przekazana będzie. Miłe Bogu jest bowiem, gdy zamiast na plugastwa i zabobonu szerzenie owoc trudu tych, co zbłądzili, na potrzeby sług Bożych obrócony będzie. Potrzeby te wielkie bowiem są, jak wszystkim winno być wiadomo – dodał hrabia od siebie. Zawsze warto dodać budującą sentencję.

–Po drugie, *primo* – Gisbourne miał trudności ze spamiętaniem łacińskich liczebników, uważał jednak, że ich opuszczenie obniży znacząco powagę wygłaszanych słów. – Bałwochwalców wydać należy, aby ciężką pokutą uratowali swe dusze nieśmiertelne, szatanowi niechybnie na łup wydane. Niech kara z ręki małodobrego mistrza oczyści ich z grzechu przez wyznanie win i wyrażenie szczerego żalu...

Z tym mogą być problemy, pomyślał. A co tam, wybierze się paru na chybił trafił, co za różnica. I tak wszyscy mają równo przerażane.

–Po trzecie, *primo* – szczęśliwie zbliżał się do końca. – Po trzecie, jak mówiłem, narzędzia

i miejsca odprawiania obrzędów wszetecznych zniszczyć i wypalić ogniem należy, aby Boga

nie obrażały i do plugastwa zachętą nie były. To wszystko, znaczy się, amen.

Chłopi zbili się w gromadę, zerkając na boki. Żaden nie miał ochoty być tym, który dostanie szansę zmycia swych grzechów i stawienia się w stanie oczyszczonym przed Bogiem.

–Hej, Match – krzyknął hrabia, wyraźnie zadowolony z udanego występu. – Wybierz dziesięciu, tych tam, bałwochwalców...

Match nie drgnął nawet. Gisbourne zreflektował się.

–Poczekaj, wystarczy pięciu, nie przesadzajmy. To nie jest taka duża wioska, pięciu wystarczy. No co jest, ruszaj! – zniecierpliwił się, że Match zwleka z wykonaniem rozkazu. –

Potem jeszcze trzeba zrąbać ten święty dąb, bo innych narzędzi szatana to pewnie nie znajdziemy. Cholera zresztą wie, jak wyglądają, i tak nie wiadomo, czego szukać...

–To powiedzcie, hrabio, którzy to ci bałwochwalczy – Match wreszcie odzyskał głos. – Jak dotąd nikogo nie wydali...

–I nie wydadzą, nie martw się... – hrabia zaczynał się złościć. – Wybierz, których chcesz, z lewej, z prawej, ze środka, wszystko jedno! No, rusz się wreszcie, bo każę jak psa oćwiczyć!

Match zgrzytnął zębami tak, że hrabia na ten odgłos aż się skrzywił.

–Słuchaj, ruszaj się, bo jak nie, to każę zabrać dwudziestu – Gisbourne wpadł wreszcie na

właściwy pomysł. – Sznurów na wozach dużo, wystarczy do wiązania. Może faktycznie ta wieś

jest mocno przesiąknięta złem, bardziej, niż myślałem...

Wolno, krok za krokiem Match ruszył przed siebie. Hrabia skinął na zbrojnych, którzy ruszyli za nim z obnażoną bronią. Tym razem nie po to, by przywołać go do

posłuszeństwa. Wyglądało, że już się złamał. Teraz już tylko po to, by w razie czego osłonić go.

Match nie przypominał sobie później, o czym wtedy myślał. Gdy szedł do stłoczonej, cuchnącej potem i strachem gromady wieśniaków miał w głowie tylko pustkę. Bezwiednie wysunął miecz z pochwy, niósł przed sobą zaciśniętej kurczowo rękę. Nie wiedział po co.

Stanął przed stłoczonymi ludźmi, którzy próbowali się cofać, rozstąpić przed nim. Nie pozwalali otaczający ich zbrojni, kłując lekko sztychami mieczy tych, których w ich stronę spychano.

Starali się odsuwać, unikając jego wzroku, starając się ukryć jeden za drugim. Spojrzenie Matcha prześlizgiwało się po pochylonych twarzach, które w umyśle zlewały mu się w jedną rozmazaną plamę.

Mignęła mu twarz starca o sztywnym, białym zaroście, wychudzona, o zapadniętych, umykających na boki oczach.

Ten już stary, niewiele życia zostało, pomyślał nieprzytomnie. Lepiej ten, niż ktoś młodszy...

Kurwa, kim jestem, żeby o tym decydować?! Kto mi dał prawo?! Dlaczego nie, przecież lepiej ten stary, niż...

Co wyście ze mną zrobili...

Nie, Match, to ty sam, powiedziało coś wyraźnie i dobitnie. To ty zdecydowałeś, wybrałeś życie, takie właśnie życie...

Nie udawaj, że nie wiedziałeś. Mogłeś przecież wybrać...

...Śmierć?

Tak, nie udawaj, że chodziło o Marion, to był tylko pretekst. Łatwy wybieg, który ci podsunięto, jak ochłap, na który rzuciłeś się łapczywie i z wdzięcznością. Chodziło o twoje zasrane życie, nic więcej...

Wybrałeś, teraz to ty musisz zabijać. Nie wstrząśnij się, zabijałeś już nieraz...

...Nie tak.

Kurwa, co ja mam zrobić? Powiedz, kimkolwiek jesteś...

Odpowiedź pojawiła się jasna i prosta, choć nie pomogła mu. Jestem sumieniem. Teraz musisz zabić najpierw mnie...

Dobrze więc, ten stary pójdzie pierwszy. Dosyć już się nażył.

Ręka sama, jak bez udziału woli wskazała na starca. Dwóch zbrojnych skoczyło do przodu. Wywlekło starego z tłumu.

Stary człowiek miał widać zgoła inne zdanie na temat długości swego życia. Szarpał się i zawodził głośno. Na próżno. Był stary, słaby, zbrojni nie zwracali nawet uwagi na niezdarne ciosy poznaczonych starczymi plamami pięści. Wlekli go bez trudu, jak kukłę.

Sumienie zamilkło. Match potrząsnął głową w oszołomieniu. Jeszcze czterech. Uniósł zmartwiały wzrok. Powoli przesuwiał go po twarzach, martwiejących pod jego spojrzeniem. Zagłębiał się rozstępujący się przed nim tłum. Ludzie, mimo braku miejsca wpierali się w siebie zostawiając przed nim wolną przestrzeń. Za sobą słyszał hamowane z trudem westchnienia świadczące o uldze tych, których właśnie minął. Mętnie pomyślał, co by było, gdyby nagle się odwrócił.

Napotkał nagle spojrzenie kogoś, kto nie opuścił wzroku jak inni. Nie odsuwał się. Patrzył prosto w oczy z nienawiścią. Jeszcze niestary człowiek, twarz ze szczeciniastym zarostem, wargi poruszały się, jakby cicho przeklinał. Albo modlił się, by Matcha spotkała nagle i gwałtowna śmierć.

Match nie opuścił oczu pod tym ciężkim, przepojonym żalem i nienawiścią spojrzeniem. Poznał człowieka, który nie uląkł się go, nie uciekł jak inni.

Był to jeden z byłych informatorów. Kiedyś szczerze oddany, rozmawiał z Matchem wiele razy. Miał powody, by nienawidzić zbrojnych, kiedyś, przy jakiejś okazji ciężko poranili mu brata, gdy ociągał się z wydaniem schowanych worków zboża. Był to rok wielkiego niedostatku, gdy wcześniej grad zniszczył zasiewy, a dzieci zimą marły z głodu. Lecz oddać trzeba było tyle, co zwykle. Zapasów nawet na to nie wystarczyło.

Teraz stał przed Matchem, wyizolowany nagle z tłumu, który odsunął się od niego, jak tylko zdołał. Stał i patrzył nieruchomym, ciężkim wzrokiem. Match zatrzymał się. Nie mógł się zdobyć, by wskazać tego człowieka. Nie mógł ruszyć dalej, człowiek stał nieporuszony, zagrządzając mu drogę. Nie mógł się cofnąć, jakby ten oskarżający wzrok przykuł go do miejsca, sparaliżował i tak otępiałe resztki woli.

Były informator podjął decyzję za niego. Wyszarpnął spod zgrzebnej kapoty schowany tam nóż. Nie bacząc na trzymany wciąż przez Matcha nagi miecz z nieartykułowanym wrzaskiem skoczył przed siebie. Ostrze celowało prosto w oczy.

Match zareagował instynktownie. Nie zdążył unieść miecza, trzymanego ostrzem do dołu. Przedramieniem ręki trzymającej broń zablokował cios, odbił rękę z nożem do góry. Ostrze minęło twarz o cal, osłonił się w ostatniej chwili. Lewą ręką w ciężkiej, skórzanej, zbrojonej

metałem rękawicy zadał cios, trafiając prosto w usta. Trysnęła krew z pękających warg, Match czuł, jak pod pięścią kruszą się zęby. Człowiek padł, nie wypuszczając z ręki noża.

Ostrzegawczy okrzyk. To któryś ze zbrojnych, tych, co szli za nim i zostali nieco w tyle.

Znów zadziałał instynkt. Match odwrócił się błyskawicznie, już w czasie obrotu, kątem oka dostrzegł ruch. Mieczem trzymanym już oburącz zadał cios, samym środkiem klingi, prosto pod pachę wzniesionej do ciosu ręki. Kontynuował obrót, wykorzystując go, by pociągnąć do siebie miecz, tak jak uczył Nazir. Krew chlusnęła szerokim strumieniem na zdeptany piasek. Barczysty, zarośnięty drab padł do tyłu z ramieniem prawie całkowicie odwalonym od tułowia. Z ręki wysunęła się krótkka, okuta żelazem pałka. Prawdopodobnie służąca zwykle do głośzenia była przed ubojem. Zarośnięty drab wyglądał na rzeźnika.

Match obrócił się. Powalony przed chwilą informator z ustami zalanymi krwią nie stracił przytomności. Prawie udało mu się pozbierać z ziemi. Wciąż trzymał nóż, nadal jeszcze pochylony, nieporadnie usiłował rzucić się znów do ataku.

Match uderzył samym końcem miecza, w bok nabrzmiałej z wysiłku szyi. Ten pozornie lekki cios podrzucił informatora tak, że ten padł na piasek dobrych parę kroków do tyłu. Krew z rozciętej tętnicy trysnęła szerokim wachlarzem, opryskując najbliższych stojących.

Człowiek przez chwilę drapał palcami ziemię, krew tryskała strumieniem w rytm uderzeń serca, wsiąkając w piasek. Niedługo trwało, nim zadygotał po raz ostatni. Znieruchomiał.

Cisza. Match okręcił się wolno, sprężony, trzymając oburącz gotowy do uderzenia miecz. Cofnęli się dalej, choć przed chwilą wydawało się, że to niemożliwe. Nikt więcej nie zaatakował. Cisza.

Ciszę przerwał głos hrabiego.

–Spodobało ci się, jak widzę – skwitował zimno Gisbourne;

Zbliżył się, lecz nie zanadto. Spoglądał z wysokości kulbaki. Match odszukał go wzrokiem. Postąpił krok ku niemu.

–Nie, Match, nie bądź nierozsądny – powiedział Gisbourne spokojnie. – Właśnie spaliłeś

za sobą ostatnie mosty, nieodwołalnie jesteś po naszej stronie. Nie rób takiej miny, przecież

widzę, że ci się podobało. Przejrzałem cię, wiesz? Powiem ci coś, czego pewnie nie chciałbyś

usłyszeć – ty ich naprawdę nie lubisz...

Trzymany w pozycji do ataku miecz opadł bezwładnie. Tak, to była prawda. Nie lubił ich. To oni pierwsi zdradzili, nie on. Nic nie stało się przez to łatwiejsze.

–A teraz wybierz jeszcze czterech – dobiegł go głos hrabiego. – A, cholera, niech będzie,

jeszcze dwóch. Może jestem za dobry, ale zawsze można powiedzieć, że ci dwaj to właśnie byli

obmierzli bałwochwalczy. Którzy wykryci rzucili się kasać, jak to u nich we zwyczaju.

Zawieziemy opatowi ścierwo, i tak na jedno wyjdzie. No, dalej, Match, wybieraj, a potem tylko

zetniemy ten pieprzony dąb i do domu...

Ognisko wygasło do końca. Nic nie rozjaśniało mroku na leśnej polanie tej wiosennej, bezksiężycowej nocy, nawet żar węgla, które zdążyły powlec się warstwą popiołu. Tak było lepiej. Lepiej, gdy twarz opowiadającego kryła się w ciemności.

–I to jest w zasadzie koniec tej całej historii, Jason – Match mówił cicho, lecz słowa były

doskonale słyszalne w leśnej ciszy. – To właśnie jest dno, którego wreszcie dosięgłem. Już nie

tylko byłem tchórzem, zdrajcą i mordercą, który potrafił zabić towarzysza broni w imię

urazonej ambicji. Daleko odszedłem od szczeniaka, który roił marzenia o śmierci jedyne

człowieka, który potraktował go po ludzku, bo sam ślinił się na widok jego kobiety.

Urwał na chwilę, lecz to tylko zaschło mu w gardle. Dlatego przerwał. To nie wstyd dławiał słowa w gardle, wstyd wypalił się już dawno, została pustka. To tylko zaschnięte gardło odmówiło posłuszeństwa.

Namacał w ciemności podróżny bukłaczek. Pociągnął łyk. Po chwili kontynuował:

–Nie chodziło o tych dwóch, których zabiłem. Tak, to też było straszne, lecz nie tak

bardzo... Chodziło o tych, których wybrałem, tego pierwszego, starca, którego wybrałem w

imię jakiegoś chorego rozumowania, wyboru mniejszego zła, o tych dwóch, których wskazałem potem na oślep, na chybił trafił. Nie umiałem już wybierać. Mogłem jeszcze się

cofnąć, odmówić, nawet zginąć. Ale nawet wtedy, gdy wypełniałem najbardziej haniebnym

rozkaz... Nie, haniebnym nie dla tych, którzy go wydali. Ich hańba była znacznie mniejsza.

Okazało się tylko, że dla haniebnego rozkazu znaleźli wykonawcę, tchórza i skurwysyna, który

dokonał wyboru... Selekcji...

Po raz pierwszy, odkąd Jason go poznał, głos mu się załamał.

–Wiesz, to nie był koniec. Później musiałem patrzeć, jak ten pobożny skurwysyn zbawia

ich dusze. Jak ślini się, ten stary, pierdolony zbrojeniec, jebany sodomita, kiedy wyznają swe

grzechy i zbrodnie. Ochoczo, byle szybciej. Niewiele im to pomogło. Ten stary skurwiel

wyznawał zasadę, że zeznanie nie wydobyte torturami jest nieważne. Niewiarygodne.

Wyobrażasz to sobie? Prawda, ty sobie nie wyobrażasz, ty to widzisz...

Jason nie widział. Nie chciał widzieć. Wystarczyła sama relacja. Nawet jej było za dużo. Ze wszystkich sił zaciskał pięści, starając się nie dopuścić do wizji. Na szczęście było ciemno, Match nie widział zaciśniętych kurczowo powiek i nabiegłej krwią twarzy.

–Zdałem egzamin, Jason – ciągnął Match. – Okazałem się godny zaufania. Posłusznie

wypełniałem rozkazy. Nawet te najgorsze. W imię ocalenia własnego, parszywego życia. Bo w

końcu okazało się parszywe. Niewiele jest już do dodania. Szeryf okazał się bardziej ludzki ode

mnie. Nigdy już nie rozkazał czegoś podobnego. Podejrzewam zresztą, że była to inicjatywa

Gisbourne'a. Szeryf by tego nie wymyślił. Był na swój sposób zbyt uczciwy i prostolinijny.

Tak zaczęła się moja kariera jako jego sługi. Nie zostałem kapitanem straży. Szeryf mnie nawet

chyba polubił, sam, kurwa, nie wiem dlaczego. Stałem się zaufanym, kimś w rodzaju hrabiego.

Może dlatego, że byłem w końcu takim samym sukinsynem. Służyłem wiernie, ponad dziesięć

lat. W tej służbie znajdowałem jakieś dziwne zadowolenie. Podejrzewam, że chroniło mnie to przed szaleństwem...

Wstał. Jason wbił wzrok w ciemność, tam, gdzie powinna znajdować się jego twarz.

–To wszystko, Jason – usłyszał jeszcze. – To cała moja historia. Nie dziw się więc, że wierzę w przeznaczenie. Bo za to wszystko w końcu muszę kiedyś zapłacić. A to, co nadciąga, może okazać się odpowiednią zapłatą... Chociaż nie wiem, czy wystarczającą...

Odszedł w ciemność. Jason został przy wygasłym ognisku. Wszystko zostało powiedziane.

X

KOZY, śmierdzący rodzaj zwierząt, w Piśmie Świętym znaczą grzesznych y potępionych, miących stać na dniu ostatnim na lewicy. Według Naturalistów uszyna y nosem oddychają, w nocy widzą iak koty sowy, puchacze, niedoperze. Wątrobę kozią iedząc wzrok ludzki naprawuie się, owszem oddala się ślepotą.

DRACO, toiest SMOK, to ma singulare o sobie: [...] całe staie sobą zasłonił, iieżdźca z koniem w swoim pysku pomieścić; łuska u niego była tak wielka, jak tarcze. Przy rzece Bragadus, czyli Brugada, w Afryce koło Utyki w morze wpadaiącey tak wielki smok się wylał, że Attilius Regulus z całym się woyskiem z nim potykał, pociskami, strzałami, kuszami położył bestyę; skóra z niey do Rzymu posłana na stóp 120 duża

Ks. Benedykt Ohmielowski, Nowe Ateny

...Hej, ty tam, smoku chędożony...

Andrzej Sapkowski, Granica możliwości.

Zbliżał się czas decyzji. Tego dnia siedzieli na polance, nie mając żadnych specjalnych planów. Nie polowali, mięsa mieli dosyć. Jason nie chciał jednak spędzać dni w klasztorze, ciążyło mu to coraz bardziej. Nigdy przedtem nie znajdował się dłużej w takim środowisku, braciszkanie coraz bardziej działali mu na nerwy. Owszem, świadom był, jak wiele im zawdzięcza. Lecz to tylko pogłębiało jego irytację.

Od kilku dni Match unikał go. Jason skazany był na wysiadanie na koślawej ławeczce, gdyż dość miał snucia się bez sensu po całym klasztorze. Trochę czasu udało się zapelnąć znoszeniem mchu do stodółki, w której sypiał. Siano zostało zużyte, jak to zwykle wiosną, zostały gołe, przyprószone pyłem i śmieciami deski stryżku.

Na jedną noc przyjął zaproszenie do noclegu w dormitorium, lecz po tym jednym razie zrezygnował. Było to mocne przeżycie, braciszkanie uważali przeciągi i świeże powietrze podczas spoczynku za równie niebezpieczne dla zdrowia, jak strzał z kuszy.

Jason domyślał się przyczyn nieobecności Matcha. Ostatnie rozmowy były trudne. Jason znosił je nieźle, nawet widząc wyraźnie drastyczne często szczegóły. Lecz widział, że dla Matcha nie było to łatwe. Rozumiał więc jego chęć do zrobienia przerwy.

Jasona denerwowało tylko, że wciąż nie mógł dopasować tego, czego już się

dowiedział, do tego, co widział w mętnych przeblyskach dotyczących przyszłości. Złościł fatalizm Matcha, jego niezachwiane przekonanie o nieuchronności przeznaczenia. Zaczynał odczuwać zniecierpliwienie i chociaż rozumiał opory Matcha, chciałby już dowiedzieć się więcej.

Dlatego gdy tylko udało mu się dopaść Matcha, namówił go na przechadzkę po lesie. Match zgodził się bez oporów, nie poruszał jednak istotnych spraw. Był jakby nieobecny, zajęty własnymi myślami.

Jason wytrzymał do południa. Rozmawiali o wszystkim i o niczym, starannie unikając zasadniczych tematów. W końcu rozmowa zaczęła się rwać, milczeli coraz dłużej.

To właśnie Match pierwszy przerwał milczenie.

–Słuchaj, Jason – powiedział. – Dziwi mnie, jak dobrze sobie z tym wszystkim radzisz.

Wysłuchałeś wszystkiego i nawet nie spojrzales na mnie krzywo. Owszem, parę razy oczy

wyłażyły ci na wierzch, wzdrygałeś się i krzywiłeś, ale nie powiedziałeś mi jednego złego

słowa...

Jason milczał, gryząc źdźbło suchej, zeszłorocznej trawy. Nie odzywał się. Match podjął:

–Wiesz, że mówię ci wszystko szczerze, jak na świętej spowiedzi – uśmiechnął się

krzywo. – Nie muszę nawet wszystkiego mówić, i tak widzisz wszystko, nawet więcej ode

mnie...

Usłyszał parsknięcie Jasona. Urwał.

–Match, daj spokój – powiedział Jason spokojnie. – Przestań wreszcie. Zgoda,

powiedziałeś mi wszystko. Wszystko, co w życiu zrobiłeś. Powiedziałeś też, że wpłynie to na

losy świata, że spowodowałeś być może śmiertelne zagrożenie dla tego wszystkiego, co nas tu

otacza...

Match usiłował przerwać. Jason podniósł niecierpliwie rękę.

–Teraz ja mówię, Match, bądź łaskaw nie przerywać. Ty już powiedziałeś wystarczająco.

Zgoda, może wszystko szlag niedługo trafi, a ty jesteś tego przyczyną. Obudziłeś coś, czego

wprawdzie nie możemy pojąć, ale co przyjdzie niechybnie i pożre nas wszystkich. Nas na

początku, bo przecież to my będziemy próbowali stanąć temu naprzeciw. Nie wiem tylko po co,

bo przecież i tak twierdzisz przez cały czas, że zło w końcu zwycięży, że ja sam przepowiedziałem to w swoich snach... Nie przerywaj, proszę!

Match zrezygnowany potrząsnął głową.

–Więc nie dziw się! – Jason w końcu zaczął krzyczeć. – Nie patrz tak na mnie, nie dziw się,

że jeszcze nie zwariowałem, nie uciekłem z krzykiem. Że rozmawiamy sobie, że chcę słuchać

dalej. A co, mam, kurwa, usiąść i płakać?! Powiedzieć ci w końcu, że takiego sukinsyna, jak ty

jeszcze nie widziałem?! Na to czekasz?! Co to, kurwa, zmieni?!

Z rozmachem walnął pięścią w ziemię. Uspokoił się po chwili.

–Match – podjął po chwili już spokojniej. – Zdziwisz się może, ale ja nie uważam cię za

sukinsyna. W każdym razie niekoniecznie za największego, jakiego w życiu widziałem. Wierz

mi, widziałem gorszych, nawet całkiem niedawno...

Bezwiednie potarł bliznę na czole. Skrzywił się.

–Ty po prostu miałeś pecha, wszystko stało się na większą skalę. Aż do zagłady

świata

włącznie. Ale nie nadymaj się tak, z tego, co widzę dotąd, to nie twoja zasługa... Po prostu los...

Ty pewnie nazwiesz to przeznaczeniem... Dobra, niech ci będzie. Musisz pogodzić się z tym, że

mimo twej wizji świata i przeznaczenia nie będę ci przytakiwał i nie powiem, jaki to jesteś

przez ten los skrzywdzony. Bo o to ci chodzi, może nie?

Match wstał i odszedł bez słowa.

–Tak, kurwa, a teraz jeszcze możesz się obrazić! – krzyknął za nim Jason. – Ach, pocałuj

mnie...

Być może Match nie był największym sukinsynem, jakiego spotkał w życiu Jason, ale niewątpliwie okazał się sukinsynem obraźliwym. Wrażliwym, co Jason od początku podejrzewał. Nie zatrzymał się. W końcu Jason pobiegł za nim, chwycił go za rękaw. Match wyrwał się. Jason wybiegł przed niego, zagroził mu drogę.

–Słuchaj, przepraszam – powiedział pojednawczo. – Naprawdę przepraszam. Ale ja już

taki jestem, nie lubię wielkich słów. Ja pewnie jeszcze na szafocie będę drwił, o ile oczywiście

będę miał szczęście doczekać szafotu... No, przepraszam, co, może mam jeszcze cię w dupę

pocałować? Match, ja chcę po prostu wiedzieć, zrozumieć...

Patrzył prosto w zaciętą twarz Matcha. Po chwili tę twarz rozjaśnił uśmiech. Szczery, po raz pierwszy naprawdę szczery.

–Jason, ty sukinsynu – powiedział Match z ciepłym zdziwieniem. – Zdaje mi się, że tobie

to wszystko zaczyna się podobać...

Wrócili na polankę, rozciągnęli się na trawie. Patrzyli na płynące po jasnym, majowym niebie białe obłoczki. Milczeli, lecz milczenie nie leżało już pomiędzy nimi,

jak bariera nie do przebycia. Sukinsyny wreszcie się zrozumiały.

–Wiesz, masz rację – zaczął wreszcie Jason. – Tylko może nie tyle podobać, co po prostu

ciekawić. Wiesz, jeżeli już ma być ten koniec naszego świata, wszystko ma ulec zagładzie, to

skoro tak... Skoro nie ma wyboru... To wiesz, ja chcę to zobaczyć z bliska.

Match nie odpowiedział. Śledził wciąż obłoczki na błękitnym niebie.

–To co opowiadasz, to co sam mogę zobaczyć, jest niewątpliwie straszne. Ale też ciekawe.

Te światy, które są za bramą, te stwory, które z nich wychodzą. Z innych miejsc, z innych

czasów. Pomyśl, przecież tak już kiedyś musiało być. Te wszystkie smoki z legend...

Przerwał na chwilę, zamyślił się nad czymś. Wysoko nad polaną, rozpościerając szeroko nieruchome skrzydła, kołował jastrząb. Albo myszołów, Jason nigdy nie potrafił powiedzieć,

czym oba ptaki różnią się od siebie. Dla niego wyglądały tak samo. Kwilenie drapieżnika dochodziło czysto i wyraźnie.

–Te smoki – podjął po chwili Jason, niezrażony milczeniem Matcha. – Jest w nich coś

romantycznego, szlachetnego. Wielkie skrzydła, złote łuski. Opowieści o pojedynkach z

rycerzami. Dobry smak w końcu, ostatecznie przecież preferują dziewice. Przedkładają je

ponoć nad krowy i owieczki. Zieją ogniem, siarką...

Match roześmiał się głośno. Jason urwał, urażony.

–Zgoda, może nie ma ich już w naszym świecie – zaczął po chwili z urazą. – Ale przecież

te wszystkie legendy muszą zawierać ziarno prawdy. Święty Jerzy, żeby nie szukać daleko. Są

przecież wizerunki, opisy w księgach...

Urwał. Match przestał się śmiać.

–Byłeś kiedyś w okolicach Dover? – spytał. Jason spojrział zdziwiony. Nie widział związku.

–W okolicach Dover – wyjaśnił Match spokojnie. – Jeżeli jedziesz brzegiem morza, wzdłuż wysokiego, kredowego klifu, możesz natknąć się na szkielety tkwiące w kredowej skale, olbrzymie czaszki, żebra. Możesz znaleźć wypłukane przez fale zęby długie na łokieć. To lepsze niż księgi i wizerunki. Tak, Jason, smoki niewątpliwie żyły kiedyś na tym świecie. Ale nie sądzę, że były podobne do tych twoich wizerunków. Wątpię, aby jakikolwiek rycerz mógł je pokonać. I wierz mi, nie ma w nich nic romantycznego...

–Ale przecież choćby ich słynne skarbcze, złoto, klejnoty. Powiadają, że im smok starszy, większy, bardziej straszny, tym większego skarbcza strzeże...

–Jason, zlituj się – parsknął Match ze zniecierpliwieniem. – Co smok miałby robić ze złotem? Pójść na jarmark i kupić sobie krówkę? Albo kierdel owiec?

Jason nie wyglądał na przekonanego. Match zniecierpliwiał się jeszcze bardziej.

–Smok ma znacznie prostsze sposoby pozyskiwania pożywienia. Poza tym jest to po

prostu bestia, drapieżna, śmierdząca i głupia. Powtarzam, nic w niej romantycznego. Jedyne

smok, jakiego widziałem...

Jedyny smok, jakiego widział Match, nie miał nawet skrzydeł. Nie pilnował skarbcza i nie porywał dziewic, chyba, że przypadkiem. Była to bestia drapieżna, śmierdząca i głupia.

Jechali do młyna. Dotarli właśnie wieści, że młynarz, mimo panującego w okolicy głodu, nie kwapi się do oddawania należnej mąki, nie zaniehbując za to skrzętnego odkładania worków, które pobierał od chłopów za swe usługi. Owszem, było to jego zwyczajowe wynagrodzenie, pierwszą jednak powinnością miało być dostarczanie należnej daniny. Później dopiero mógł pomyśleć o swych własnych potrzebach. Szeryf postanowił przywołać go do porządku.

Match nie spodziewał się większych problemów. Najwyżej przyjdzie wybić parę zębów, myślał. Wziął ze sobą tylko dwóch zbrojnych, aby w razie czego przytrzymali niesfornego młynarza. Młyn był niedaleko od skraju lasu, nad niewielką rzeczułką.

Wszystko zapowiadało się rutynowo.

Droga do młyna wiła się wśród bagien, przekraczając je gdzieniegdzie. Podkowy dudniły po okrągłakach, z których ułożona była droga w bardziej podmokłych miejscach.

Przejechali przez mostek nad płytką rzeczka. Match spojrzął w dół, spodziewając się widoku żółtego piasku pod wartko płynącą, czystą wodą. Zdziwił się. Woda płynęła mętna, nie było widać dna. Zupełnie jak po wiosennych roztopach, a przecież poziom wody był niski, taki jak zwykle o tej porze. Nie padało od wielu dni.

Coś było nie tak. Match począł rozglądać się baczniej.

Gdy zza zakrętu ujrzeli polanę z młynem, za którą połyskiwało w słońcu lustro młyńskiego stawu, zatrzymali się. Coś było bardzo nie tak.

Nie było słycać skrzypienia młyńskiego koła. Nic dziwnego, bo cała budowla zwała się do rzeczki, tarasując stertą desek i okrągłaków prawie całe koryto. Wyglądało to tak, jakby jakiś olbrzym kopnął budynek od niechcienia. Wszystko dokoła pobielone było rozsypaną mąką. Match usłyszał skrzypienie i warkot korb. Jego dwaj zbrojni napinali kusze.

Sam sprawdził tylko, czy miecz jest we właściwym miejscu i czy podczas wyciągania jelec nie zaczepi o coś. Podniósł bez słowa dłoń, nie oglądając się, zakręcił nią w powietrzu. Nie musiał się oglądać, wiedział, że obaj zbrojni zjadą na boki traktu, przepatrując każdy swoją stronę. Sam wolno ruszył środkiem.

Na młynarza natknęli się wkrótce. Leżał na wilgotnej ziemi zacienionej ścieżki. Po spodniach opylonych mąką poznali, że to młynarz. Z dokładniejszą identyfikacją mogły być problemy – młynarz kończył się na wysokości pasa. Match rozejrzał się. Górnej połowy nie było widać w pobliżu.

Zbrojny, który wysforował się naprzód, ściągnął brutalnie wodze i krzyknął zduszonym głosem. Match z dezaprobatą spojrzął na niego. Chłopak odwrócił się. Nie mógł wymówić słowa, trzęsącą się ręką pokazywał coś na ziemi. Match podjechał bliżej. Zobaczył odcisnięty w wilgotnej ziemi ślad.

Ślad jakby kury czy innego ptaka. Wyraźnie odcisnięte trzy palce, dziury po pazurach. Ślad, tak na oko, długości sążnia albo i więcej. Zagłębiony na dobre trzy cale. Koń parsknął, szarpnął się. Poczuli unoszący się w powietrzu kwaśny odór.

–Z koni – zakomenderował Match cicho. – Ruszamy, tylko powoli.

Nie musiał dodawać, że ostrożnie. Sam dziwił się nieco, że nie wskoczył jeszcze na konia i nie odjechał. W przeciwną stronę.

Na twardym klepisku młyńskiego podwórka nie było śladów. Tylko plamy krwi, do których zlatywały się brzęczące muchy. Parę krwawych strzępów. Match nie przyglądał im się bliżej. Jak pamiętał, młynarz miał rodzinę, żonę, dzieci. Chyba troje.

Cisza. Tylko brzęczenie much. Żadnych ptaków.

Posuwali się wolno, rejestrując szczegóły. Potrzaskane belki młyna, świecące świeżymi drzazgami wśród poczerniałego ze starości drewna. Zwalony płot. Wygniecione trzciny na brzegu młyńskiego stawu, woda zmacona, jakby przy brzegu taplała się niedawno wataha dzików. Przy brzegu ślady, mniej wyraźne w rozciapanej glinie.

Połamane drzewa na drugim brzegu.

Match zatrzymał się. Kwaśny odór wiercił w nosie.

–Wracamy, nic tu po nas – powiedział szeptem.

Wycofywali się ostrożnie, krok za krokiem, starając się nie robić hałasu. Obaj zbrojni rzucali wzrokiem dokoła, podrywając kusze na najlżejszy szelest. Żaden nie miał co prawda złudzeń, że bełt zdoła powstrzymać coś, co zostawiło takie ślady.

Konie nie rozbiegły się na szczęście. Stały zbite w ciasną gromadkę. Zapomniałem kazać je powiązać, zganiał się Match w myśli. Ładnie byśmy wyglądali, gdyby się rozbiegły.

Ruszyli cienistym traktem, rozglądając się na boki, z początku powoli, cicho, potem coraz szybciej. Gdy pomiędzy drzewami zaczęły wreszcie prześwitywać pola, z głębi puszczy doszedł ich chrapliwy ryk.

Szeryf nie był zachwycony przyniesionymi wiadomościami. Nie był również zaskoczony, bowiem zaraz po odjeździe Matcha zbrojni przyprowadzili roztrzęsionego chłopca, który mętnie opowiadał, jak to smok spustoszył wioskę. Zbrojni chcieli wyrzucić go za bramę, obiwszy wpierw przykładnie, lecz coś w wyglądzie kmiotka powiedziało im, że jednak może mówi prawdę. Może obłąd w jego oczach, a może to, że po wstępnym obiciu nadal upierał się przy swej opowieści. Postanowili więc zaryzykować i doprowadzić do zwierzchności.

Gisbourne z początku nie mógł nic zrozumieć. Kmiotek na jego widok zaniemówił ze strachu, stał, trzęsąc się tylko. Zbrojni nie potrafili wiele powiedzieć.

Hrabia zniecierpliwił się. Aby ośmielić przerażonego chłopca i skłonić go do zeznań, zdzielił go przez łeb. Pomogło. Kmieć powtórzył wszystko, dodając parę szczegółów, na tyle niecodziennych, że hrabia również podjął decyzję. I tak chłop po przejściu wszystkich instancji postawiony został przed obliczem samego szeryfa.

Ten wysłuchał nieskładnej opowieści, przerywanej szlochami i smarkaniem, lecz chłop nie miał daru przekonywania. Szeryf skłaniał się raczej do rozwiązania, na które wpadli już na samym początku zbrojni. Będąc jednak człowiekiem wyrozumiałym, tylko raz dał kmiotkowi po gębie i polecił wyprowadzić za bramę bez obicia. Sam udał się za zbrojnymi wlokącymi jęczącego chłopca, by samemu dopilnować dokładnego wykonania rozkazów. W bramie natknęli się na Matcha.

Match zeskoczył z konia, cisnął wodze pachołkowi. Podbiegł do szeryfa i niemal siłą odciągnął go na bok. Widząc jego twarz, szeryf zrezygnował z wygłoszenia uwag na temat należnego szacunku.

–Co się stało? – spytał zamiast tego niespokojnie. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył upióra...

–Gorzej – odpowiedział Match krótko. Opowiedział wszystko.

Szeryf w miarę słuchania pochmurniał coraz bardziej. Gdy Match skończył, mruknął:

–Żeby to się tylko nie rozeszło... Tylko tego nam trzeba, żeby zaczęli tu zjeżdżać różni

błądnie rycerze i inne oszołomy...

Rozejrzał się.

–Hej, wy tam – krzyknął do zbrojnych. – Tego kmiota do lochu, żywo! Chłop nawet nie zdążył jęknąć. Jeden zbrojny chwycił go za kudły, powłókł przez dziedziniec. Drugi popędzał kmiotka kopniakami.

–Na razie tylko wsadzić, niech siedzi! – krzyknął za nimi szeryf. – Nie bić, tylko posadzić, samego! Nikt z nim nie może rozmawiać! A później obaj do mnie...

Zbrojny słuchał z rozdziawioną gębą. Gdy dotarł do niego rozkaz szeryfa, puścił kmiotka, który padł na czworaki. Zbrojny walnął go z rozmachem w kark, bez złości.

–Widzisz, kmiocie? – powiedział łagodnie. – Ludzki pan ten nasz szeryf. Posiedzisz tylko w lochu, bić nikt nie będzie. No, ruszaj się, nuże! – pomógł chłopcu kopniakiem.

–Dobrze – szeryf zwrócił się do Matcha. – Teraz odpocznij. Tych dwóch co z tobą byli, i tych, co zaraz tu wrócą, wyślemy... Już wiem, pošlemy do pilnowania kamieniołomu. Kamienia się teraz nie dobywa, będą mogli pogadać najwyżej z borsukami. Cholera, dobrze byłoby posłać tam hrabięgo...

Niestety, byłoby to trudne. Szeryf postanowił poprzestać na wbiciu hrabiemu do

głowy, że jeżeli rozgada całą sprawę i pojawi się jakiś żądny laurów w walce ze smokiem rycerz, to sam Gisbourne posłuży za przewodnika.

–Ty weźmiesz jutro z dziesięciu ludzi i pojedziesz rozejrzeć się po tej wiosce. Ostrożnie,

jeśli trzeba, to tylko z daleka. Do wioski wjedziesz tylko wtedy, gdy uznasz to za bezpieczne.

Spokojnie, bez paniki. Może ten bydlak też szybko zdechnie, tak jak ten poprzedni, ten wyvern

czy jak mu tam... Grunt, żeby się nie rozeszło...

Match nie podzielał optymizmu szeryfa. Wyvern faktycznie zdechł szybko, lecz pojawił się późną jesienią. A i to, zanim znaleźli go zeszywniałego po pierwszych przymrozkach, zdążył narobić szkody. Namordował bydła, zabił lub poranił kilku pastuchów. Mierzył zaś zaledwie dwie końskie długości. Ten zaś, sądząc po śladach...

Wioska leżała tuż przy skraju puszczy. Nie wyglądała wcale na spustoszoną, wszystkie chaty stały na swych miejscach, na pierwszy rzut oka nienaruszone. Po drodze też nic nie zakłócało spokoju. W ogródkach pod chałupami białe siermięgi chłopów, zajętych pilnie

jakimiś pracami. Na pastwisku pod lasem stało spokojnie kilka kóz. Mimowolny lokator zamkowych lochów przesadzał chyba trochę.

Gdy podjechali bliżej, musieli jednak zmienić zdanie. Wioska nadal nie wyglądała na dotkniętą klęską. Wyglądała za to jakby przygotowywała się do oblężenia. Chłopi nie zajmowali się zwykłymi pracami polowymi, choć szybko obracali rydlami. Wkopywali w ziemię drewniane, zaostrzone pale. Nie przerywali pracy nawet wtedy, gdy zbrojni przejeżdżali obok, gapiąc się ze zdziwieniem.

Zatrzymali się na majdanie. Match polecił napić konie, a najpierw sprowadzić wójta.

Wójt okazał się żwawym, wysuszonym staruszkiem. Mamiąc bezzębnymi ustami, przyglądał się z niesmakiem zbrojnym.

–Co, tylko tyłu was przystali? – spytał z niezadowoleniem. – Nie uradzicie wy smokowi, nie uradzicie. Przeca wiecie, że rycerza tu trzeba, prawego a cnotliwego. Bo, jak powiadają, ino cnota chrześcijańska przeciw bestii srogiej uradzi, nic innego... Jeno rycerz prawy kopię mu w kałdun wrazić może, aż się gadzina rozpuknie...

–Zamknijcie się, wójcie – przerwał Match zimno. – Powiedzcie lepiej...

–...A gdy rycerz w obronie swej damy stanie przeciw gadzinie, to i opieka boska nad nim -marniał staruszek niezrażony. – A wy, wy... Was smoczysko ogonem po polu rozrzuci, nawet się spostrzec nie zdążycie... A jak już was wydusi, to i po nas przyjdzie, wygubi ze szczętem. Tak, rycerza tu trzeba, prawego, bez zmaży, nie was, drapichrustów...

Match chwycił go za rzadką, siwą brodę. Zadarł głowę do góry.

–Nie nadużywaj mojej cierpliwości, kmiecie – warknął. – Gadzina was może wygubi, ale

jak nie zaczniesz gadać z sensem, to ja pierwszy łeb ci rozwalę. I to zaraz...

Puścił brodę. Wójt zatoczył się do tyłu.

–Tak zawsze bazarze prawili... – dokończył z rozpędu.

Match spoglądał zimno.

–A i nie boję się ciebie. Stary jestem, już mi pięćdziesiąt років. Swoje przeżyłem! –

oświadczył dumnie rześki staruszek. Match wstrząsnął się mimo woli. Sam dobiegał już

trzydziestki.

Powoli Match wydusił z wójta sensowniejsze odpowiedzi. Smok pojawił się przed dwoma dniami, przed wieczorem. Wychynął z lasu, śmiertelnie przestraszył pastuszka, pilnującego kóz. Wzrostem przewyższał drzewa, gdy szedł, ziemia drżała pod jego krokami. Na szczęście najpierw zajął się kozami, bystre chłopię zdołało uciec. Ze wsi widzieli smoka, jak pożerał kozy, po czym ryknął i uszedł w las, łamiąc i druzgocąc drzewa.

–Wczoraj się nie pojawił – dodał wójt.

Match pokiwał głową. Smok miał wczoraj inne zajęcia.

–Kto go widział? – spytał krótko. – I jak wyglądał.

–No, wszyscy. Ino z daleka, tam, pod samym lasem. A najlepiej to chłopak, zanim uciekł. Widział z bliska...

Staruszek wysmarkał się z namysłem.

–Jak wyglądał, powiadacie – powiedział, skrobiąc się po głowie. – Jakby to wam powiedzieć, żeby nie skłamać... Ano, jak smok...

Match zaklął.

–No, dobrze mówię przecie! – obraził się wójt. Rozejrzył się. – Dobrze mówię, kumy?

–A ino, dobrze mówicie, wójcie – potwierdzili stojący kołem kmiotkowie. – Jako ten smok wyglądał! Ogromniasty!

Match miał dosyć. Zażądał sprowadzenia pastuszka. Może choć ten będzie bardziej rozgarnięty. Czekał, obserwując kozy pasące się pod lasem. Dziwne. Nie chodziły jak to zwykle po łące, poskubując trawę. Tkwiły w miejscu, jak... przywiązane?

Przyprowadzono chłopaka. Miał może ze dwanaście lat i wyglądał na rezolutnego. Niestety, jego opowieść, choć daleko bardziej składowa, miała jednak wielkie luki. Powiedział jedynie, że smok był wyższy od stodoły, miał długi ogon i wielką, najeżoną zębiskami paszczę. Kozy połykał jednym kłapnięciem szczęk.

Trudno było się dziwić, że chłopak tylko tyle zapamiętał. Match poklepał go po policzku i kazał uciekać. Zamyślił się. Coś trzeba zrobić.

–Mówicie wójcie, że wyszedł z lasu pod wieczór – spytał po chwili. – Tam, pod lasem? – wskazał na kozy.

–Ano, żebym tak zdrów był – wójt walnął się w zapadniętą pierś, aż zadudniło. – w sam raz tam, jak pokazujecie, panie. A słońce właśnie się już schowało...

–To dlatego kozy tam przywiązaliście. Myślicie, że gadzina nażre się, a wam da spokój...

–Tak, panie wojak – odrzekł wójt bez wahania. – Zamyślilim, że chudobę trza poświęcić, a my za częstokołem odsieczki czekać będziemy. Aż szeryf rycerza prawego przyśle, by nas z obieży srogich wybawił, bestię kopią poraził, w imię...

–Przestańcie, dobry człowieku, z tym rycerzem – skrzywił się Match z niesmakiem. – Na razie macie tylko nas, i to musi wystarczyć...

Wójt pokręcił tylko głową. Miał wątpliwości. Match zresztą też.

–Powiedźcie no, panie wójcie – podjął po chwili, – jest tam koło tej łąki jaki miejsce, gdzie

można się ukryć? Byle nie w lesie. Trzeba się będzie bliżej przyjrzeć...

Wójt nadal kręcił głową, zastanawiając się zapewne, jak człowiek może być tak głupi. Wyszło mu, że jednak może.

–Ano popatrzcie, panie – odparł po chwili, wciąż patrząc na Matcha z niedowierzaniem. –

Widzicie te krzaczki? Tam kotlinka jest, niegłęboka, ale dobrze zarośnięta. Ze dwóch się

zmieści...

Match podjął decyzję.

–Dobrze – powiedział spokojnie. – Przed zmierzchem zaprowadzicie mnie do tej kotlinki...

–No, skoro tak mówicie – skrzywił bezzębne usta wójt. – Jak chcecie, to zaprowadzę. Ino

nie przed zmierzchem, a teraz. I tylko kawałek, dalej sami traficie...

Odwrócił się.

–Przed zmierzchem, to se sami chodźta na smoki... – rzucił przez ramię.

Przed samym zmierzchem, gdy leżeli już w kotlince, pomysł zaczął się wydawać nieco mniej dobry niż za dnia. Nawet zupełnie chybiony. Match zastanawiał się ponuro, co u licha skłoniło go do podjęcia takiego ryzyka. Szeryf przecież polecił przyjrzeć się tylko. Nie precyzował, z jakiej odległości.

Kotlinka była znacznie mniej oddalona od kóz i lasu, niż wyglądało to z wioski. Za to wioska zdawała się być o wiele dalej. Match oceniał ponuro, ile też czasu może zająć dobiegnięcie do zbawczego częstokołu. Za każdym razem wychodziło mu, że za dużo.

Staruszek wójt przesadził też srodze, opisując rozmiary kotlinki. Biorąc pod uwagę, że na dnie stała woda, we dwóch ledwo się w niej pomieścili. Cztery napięte, załadowane przystosowanymi do przebijania zbroi bełtami kusze też tylko zawadzały.

Billy, kusznik, którego Match wyznaczył za swego towarzysza, wydawał się jeszcze mniej szczęśliwy, o ile to oczywiście możliwe. Match wybrał go ze względu na nieprzeciętne umiejętności w posługiwaniu się kuszą, celne oko, z którego kusznik był zawsze tak dumny. Teraz, patrząc na niego Match przypuszczał, że następnym razem nie trafi we wrota stodoły z dwudziestu kroków.

Na szczęście wójt nie mylił się w jednym – kotlinka rzeczywiście była zarośnięta i dawała niezłe schronienie. Również komarom, które w wodzie stojącej na jej dnie znajdowały znakomite warunki do rozmnażania.

Słońce zniknęło już za drzewami, robiło się coraz ciemniej. Przywiązane do palików kozy pomekiwały niespokojnie, jakby przeczuwając los, który je czeka. Match miał podobne odczucia. Starał się nie zwracać uwagi na brzęczące wokół, siadające na wszystkich odsłoniętych częściach ciała komary. Nie tylko na odsłoniętych. Jeden właśnie ukłuł boleśnie przez sukienny rękaw. Match patrzył z obrzydzeniem, jak wczepiony w sukno komar staje się coraz grubszy.

Billy wiercił się niespokojnie, szeleszcząc zaroślami. Z klaśnięciem zabił komara na czole, rozmazując krew. Match kopnął go ze złością w kostkę. Billy ucichł.

Kozy też ucichły, stawało się coraz ciemniej. Może dziś nie przyjdzie, pomyślał Match z nadzieją, może wczoraj nażarł się wystarczająco. We młynie musiały być jakieś bydłeta, świnie, kozy... Może mu wystarczyło, łącznie z młynarzową rodziną.

Zdrętwiał cały, poruszył się więc ostrożnie, usiłując, na ile to możliwe, zmienić pozycję. Obracając się na bok, popatrzył na lśniącą na dnie kotlinki wodę. Gdy zastanawiał się, ile jeszcze komarów się w niej może wylęgnać, spostrzegł nagle, że coś z tą wodą jest nie tak...

Lśniąca powierzchnia rytmicznie marszczyła się w drobne fale. Zupełnie jak powierzchnia wina w kubku na stole, gdy ktoś w ten stół uderzy pięścią. Gdy unosił głowę, poczuł drgania ziemi. Ostrożnie wychylił głowę z zarośli, kątem oka dostrzegając jasną plamę bladej twarzy Billego i jego szeroko otwarte, śmiertelnie przerażone oczy. Poszedł za jego wzrokiem.

Nad lasem, ostro zarysowana na tle jasnego jeszcze nieba, widniała potworna głowa. Szczęki rozwarły się, ukazując wyraźnie widoczne szeregi zakrzywionych zębów. Smok wznosił głowę i zaryczał. Match odskoczył w tył, pociągając kusznika za sobą. Zielsko zaszeleściło głośno. Niemożliwe, by ów dźwięk przedarł się przez słyszalny wciąż chrapliwy ryk, ale Match aż skulił się w sobie.

Wpadli obaj na samo dno kotlinki. Zgniła zielona woda plusnęła wysoko. Match otarł z twarzy lepka ciecz, zgarnął z rzęs larwy komarów. Wygramolił się z kałuży, padł płasko na pochyłym zboczu kotlinki. Billy nadal leżał w błocie.

Ryk ucichł. Ziemia znów zadrżała w takt kroków potwora. Drgania stawały się coraz silniejsze, smok zbliżał się. Jeszcze chwila i doszły do nich odgłosy łamanych gałęzi na skraju lasu.

Match ostrożnie rozchylił zielsko przed twarzą i wyjrzał na zewnątrz. Smok stał na skraju lasu, rozglądając się uważnie.

Nie przypominał żadnego smoka wymalowanego na tarczach rycerskich czy niezliczonych reprodukcjach przedstawiających wiekopomny bój świętego Jerzego. Nie pasował do opisów podawanych przez minstrela w balladach. Nawet ludowe bajania, piosenki dziadów proszalnych nigdy nie opisywały podobnej bestii.

Matchowi przemknęło przez myśl, że mimo wszystko opis podany przez kmiotków był jak dotąd najbardziej precyzyjny. Zgadzało się – smok był ogromniasty.

Nie miał błoniastych, wyrastających z barków skrzydeł, które, jak wiadomo, stanowiły najczęściej opiewaną cechę typowych smoków. Nie miał złotej łuski, nie miał nawet zielonej ani szarej. Skórę pokrywały rogowe guzy i narośla.

Stał na tylnych, potężnych nogach, które przywodziły na myśl grube, powężłone pnie dorodnych dębów. Przednie łapy, malutkie, jakby skarłowaciałe, ledwo dorównywały ramionom dorosłego mężczyzny. Tułów spoczywał poziomo na potężnych tylnych nogach, długi, ciężki ogon był sztywno wyprężony, nie dotykał ziemi. Stanowił przeciwwagę dla potężnej głowy, wyposażonej w długie szczęki, najeżone ostrymi zębami. Nie miała rogów, wielkich oślich uszu ani innych podobnych ozdób. Nie były zresztą potrzebne, była wystarczająco odrażająca.

Brak skrzydeł, łuski, płomieni buchających z paszczy oraz inne niedostatki w porównaniu z kanonicznym wizerunkiem bestii smok rekompensował rozmiarami. Na rycinie, którą Match kiedyś oglądał, święty Jerzy miał wręcz wymarzone warunki do walki. Jego smok posiadał wprawdzie wszelkie niezbędne atrybuty, wyglądał na srogą i wredną bestię, lecz wzrostem nie

przewyższał normalnego konia. Święty i cnotliwy rycerz mógł wygodnie siec go mieczem, nie unosząc się nawet w strzemionach.

Potwór, który wyszedł właśnie z lasu, miał długość mniej więcej sześciu koni. Gdy tak stał, rozglądając się i wciągając ze świstem powietrze, Match oceniał, że w kłębie wyższy jest od trzech. Sam łeb miał rozmiary krowy.

Mimo przerażenia Match rejestrował wszystkie szczegóły. Trójpalczaste tylne łapy, z palcami zakończonymi pazurami, przywodziły na myśl raczej olbrzymiego ptaka, nie gada.

Smok opuścił niżej łeb, począł kołysać nim na boki. Wolno ruszył w stronę kóz, szarpiących się rozpaczliwie, usiłujących zerwać krępujące je postronki. Już nie pomekiwały, walczyły w ciszy, słychać było tylko szamotanie i tupot racic. Smok kroczył powoli, z jakimś dziwnym wdziękiem i lekkością, nie pasującą do tak potężnego cielska. Nadal kiwał głową na boki, ruchem przypominającym ogromnego węża. Nie zaniedbywał przy tym węszenia i rozglądania się co jakiś czas. Gdy zatrzymywał się, unosił głowę wyżej, lecz ani razu długi ogon nie dotknął ziemi,

balansując w powietrzu.

Tuż przy uchu zaszeleściło zielsko, Match instynktownie szarpnął się w bok. Serce zabiło mu jak oszalałe. Zanim zorientował się, że to Billy wreszcie przemógł strach i wyczołgał się z błota na dnie kotlinki, zdążył poczuć krople potu spływające po twarzy. Billy spojrzał tylko raz, po czym wtulił twarz w trawę, wczepiając kurczowo palce w krawędź dołu.

Przeraźliwe beczenie rozdarło powietrze. Match spojrzał i zdążył jeszcze zauważyć, jak smok unosi jedną z kóz w górę. Chwycił ją bardzo delikatnie, tak, że nie złamał jej kręgosłupa ani nie rozdarł gardła. Gdy unosił łeb w górę, koza wciąż żyła, szamocząc się w uchwycie zębów. Smok trzymał ją tak chwilę, nie zwracając uwagi na szarpanie się ofiary ani na wyrwany z ziemi kołek, wciąż uwiązany do koziej szyi, który zwisał mu pod żuchwą. Wreszcie, jakby znudzony, zwarł szczęki. Rozległo się głośne chrupnięcie, po smoczych szczękach spłynęła krew. Match poczuł mdłości.

Zmusił się jednak do patrzenia. Szczęki potwora nie były przystosowane do żucia pokarmu. Sądząc z zębów, nadawały się raczej do cięcia mięsa i kości.

Potwór gwałtownie podrzucił głowę do góry, szeroko otwierając szczęki. Krwawa masa, która przed chwilą jeszcze była kozą, nieproporcjonalnie mała w stosunku do olbrzymiego łba wpadła prosto w gardziel. Match zauważył, jak potwór przelyka niewielki dla niego kąsek.

Właśnie, niewielki. Match zaczął się zastanawiać, czy pięć, nie, w tej chwili jeszcze tylko cztery kozy wystarczą potworowi do zaspokojenia głodu. Jakby nie patrzeć, to tak jak psu mucha. Dobrze, zeżre te kozy, i co potem? Wyraźnie widać było, że wąż ma dobry. Wprawdzie wiatr wiał w ich kierunku, ale po drobnej przekąsce może sprawdzić, czy w okolicy nie ma nic więcej do zjedzenia. Gdy podejdzie bliżej, nie będą mieli szans na ukrycie. Pozostaje tylko ucieczka.

Smok nie wyglądał na powolnego i ociężałego. Poruszał się z gracją, ruchy głowy miały szybkość węża. Do wsi nie dobiegną.

Pozostawał las. Być może w lesie tak duży potwór będzie miał więcej trudności. Będzie musiał przedzierać cię, łamiąc drzewa, co uciekającemu człowiekowi może dać pewną przewagę.

Smok chwycił drugą kozę. Tym razem nie zrobił tego delikatnie. Zwarł szczęki z całą siłą i po prostu odgryzł zwierzę od podłoża. Na ziemię upadły cztery nogi, odcięte niewiele ponad racicami. Powtórzył się rytuał podrzucania i przelykania.

Kurwa, trzeba spieprzać, póki jeszcze mu trochę zostało, pomyślał Match. Spojrzał na Billego. Kuznik leżał wciąż z twarzą ukrytą w trawie, wczepiony w grunt. Ramiona drgały mu spazmatycznie.

–Billy! – syknął Match.

Kusznik nie reagował. Nie uniósł głowy, nie rozluźnił zaciśniętych w szpony palców.

–Billy, uciekamy! – znów żadnej reakcji. Match zaklął, cicho i plugawo. Smok kończył

trzecią kozę. Billy zaczął cicho pojękiwać.

Trzeba nim potrząsnąć, pomyślał Match. Wtedy może oprzytomnieje. Kurwa, przecież go nie zostawię bydlakowi na kolację. Trzeba potrząsnąć, byle tylko nie narobił hałasu. Żeby tylko był cicho...

Delikatnie położył rękę na ramieniu kusznika. Zacisnął palce...

Billy wrzasnął. Wrzasnął tak, że Matchowi zadzwoniło w uszach. Smok otworzył paszczę, na ziemię upadła połówka kozy. Spojrzał, Matchowi wydawało się, że prosto na niego. Wrażenie to było spotęgowane tym, że oczy bestii nie były umieszczone bo bokach głowy, jak u jaszczurki. Osadzone blisko siebie mogły spoglądać w tym samym kierunku. Match miał wrażenie, że potwór spogląda mu prosto w oczy.

Smok zniżył łeb, rozwarł szczęki. Zasyczał głośno. Po czym ruszył, powoli, skradając się na ugiętych nogach.

Match zaklął, tym razem na głos, lecz jeszcze bardziej plugawo. Szarpnięciem za kark poderwał kusznika z ziemi. Zobaczył nieprzytomne oczy.

Trzasnął dłonią na odlew. Trochę pomogło. W oczach Billego błysnęło zrozumienie.

–Do lasu! – krzyknął, nie zwracając już sobie głowy szeptem. – Spieprzamy do lasu!

Smok szedł wciąż wolno, rozglądając się. Pozostało mu jeszcze ze sto kroków. Match dał

nura w błoto na dnie kotlinki, starając się w zapadającym mroku wymacać którąś z czterech napiętych kusz, jakie zabrali ze sobą. Udało się, od razu trafił na pokryte śliskim szlamem łoże. Chwycił broń, wychylił się. Znów wypluł z siebie plugawe przekleństwa.

Kusznik wciąż klęczał na skraju kotlinki, w pozycji takiej, w jakiej go zostawił. Match, klnąc wciąż i plując szlamem, trzepnął go z rozmachem w plecy.

–Kurwa, człowieku, rusz się, bo nas obu zeżre! – ryknął pełnym głosem. – Spierdalaj w

las!

Billy zerwał się na równe nogi. Zamarł na chwilę w tej pozycji, po czym rzucił się na ziemię, kryjąc głowę w ramionach. Smok gwałtownie przyspieszył.

Oszalał ze strachu, pomyślał z rezygnacją Match. Wyprostował się, stanął na wprost zbliżającej się bestii. Uciekaj, durniu, tłukły się w głowie oszalałe myśli, ratuj się sam.

Zamiast tego przesunął dłonią po łożu trzymanej kurczowo kuszy. Namacał bełt, przytrzymywany małą, sprężystą blaszką. Dobrze, nie spadł, kiedy wyszarpywał broń z błota.

Smok był już nie dalej niż pięćdziesiąt kroków. Szedł wolno, kołysząc łbem, jakby był pewien, że zdobycz mu nie ujdzie. Grzmiące kroki słychać było coraz wyraźniej, ziemia pod nogami drżała coraz silniej. Match wolno uniósł kuszę.

Kusza załadowana była ciężkim, specjalnym bełtem, używanym do przebijania zbroi. Także jej naciąg był silniejszy niż standardowej kuszy. Taki bełt, wystrzelony z niej na pięćdziesiąt kroków przebijał na wylot konia. Wzdłuż.

Match wycelował w pierś potwora, nieco poniżej pochylonej głowy. Nacisnął spust. Broń kopnęła potężnie, bełt ze świstem poszybował do celu. Po chwili Match usłyszał wyraźnie, jak uderzył. I to wszystko.

Smok nawet nie zwolnił. Nie było po nim wcale widać, że został trafiony. Match cisnął broń, sprężył się do skoku. Nie mając już wielkiej nadziei, kopnął Billego w biodro.

Nieoczekiwanie kusznik zareagował. Zerwał się do biegu. W złą stronę.

Wrzeszcząc głośno pobiegł w kierunku wsi, przez rozległą, równą łąkę. Smok zwinnie skręcił, przyspieszył bieg. Billy miał nad nim pięćdziesiąt kroków przewagi.

Potwór dogonił go w mgnieniu oka. Match, stojący wciąż jak skamieniały na krawędzi kotlinki chciał przymknąć oczy, by nie widzieć tego, co za chwilę się stanie. Nie mógł.

Smok nie schwytał kusznika w potężne szczęki. Zamiast tego wyrzucił wielki łeb do przodu, tuż nad ziemią, uderzył uciekającego w plecy. Kusznik, poderwany ciosem w powietrze poleciał bezwładnie, padł z hałasem na trawę. Smok zatrzymał się. Trącił nosem leżącego nieruchomo człowieka.

Z daleka ten ruch wyglądał lekko i delikatnie, lecz leżąca postać poturlała się po ziemi jak uderzona maczugą. Znów legła nieruchomo. Smok uniósł łeb, zakołysał nim.

Match był pewien, że Billy nie żyje, lecz po chwili dostrzegł, że nieruchome ciało porusza się. Wolno, z wysiłkiem kusznik uniósł się na rękach. Głowa zwisała mu między ramionami, lecz po chwili zdołał dźwignąć się na kolana, począł wstawać zgięty niezdarnie. Zrobił kilka chwiejnych kroków, znów opadł na czworaki. Zastygł w tej pozycji.

Smok zrobił niespieszny krok. Pochylił łeb, znów delikatnie szturchnął nosem. Kusznik potoczył się po ziemi, znieruchomiał z szeroko rozrzuconymi ramionami.

Ten skurwysyn bawi się nim, zorientował się Match. Jak jakiś wielki, pieprzony kot pieprzoną myszą. Rzucił okiem w stronę lasu. Jakieś sto kroków. Kurwa, może się uda.

Krzyknął głośno. Raz. Drugi. Smok sprężył się, płynnym ruchem obrócił całe ciało. Match wrzasnął jeszcze raz, zamachał rękoma.

Potwór ugiął nogi, ryknął głośno. Ruszył, z początku niespiesznie. Teraz! Match ruszył do biegu...

Chciał ruszyć. Noga osunęła się na krawędzi kotliny, poczuł ból w wykręconej kostce. Padł z rozmachem na ziemię.

Uratował go Billy. Gdy bestia ruszała do biegu, udało mu się podnieść na nogi. Smok kątem oka zauważył poruszenie. Zawrócił.

Match usłyszał przeraźliwy wrzask, który zaraz ucichł. Zaraz potem dał się słyszeć ohydny chrupot miażdżonych kości. Match podniósł głowę, wypluwając piasek. Zobaczył, jak smok wyrzuca głowę do góry, potrząsa nią, pozwalając by bezkształtna, krwawa masa spadała coraz głębiej do gardzieli. Match opuścił głowę, zacisnął pięści. Prawa dłoń zacisnęła się na czymś znajomym. Kusza Billego. Napięta, załadowana.

To, co zrobił, było szaleństwem. Poderwał się, nie zważając na ból w nadwerężonej kostce. Ruszył naprzeciw bestii. Krzyczał. Nie pamiętał co, przekleństwa czy prośby do opatrności. Szedł z uniesioną bronią.

Smok uporał się z Billym. Spojrzał na drobną, hałaśliwą istotkę idącą mu naprzeciw. Zawahał się. Znów opuścił głowę, kołysząc nią na boki jakby niezdecydowany. Otworzył szeroko paszczę i zasyczał.

Trzydzieści kroków. Match poderwał broń, celując w gardziel potwora. Nie wiedział, na co właściwie liczył.

Nacisnął spust. W ostatniej chwili, jakby spłoszony szczękiem cięciwy smok szarpnął głową. Bełt wbił się prawie do połowy tuż nad rzędem zębisk w górnej

szczęce. Potwór ryknął, wyprostował się. Przez chwilę próbował sięgnąć karłowatymi przednimi łapkami, bez rezultatu. Opuścił łeb, zaczął trzeć nim o ziemię, zupełnie jak pies, kiedy powącha coś paskudnego. Piach i trawa wylatywały w powietrze.

Match odzyskał świadomość. Cisnął kuszę, zerwał się do biegu. Kostka bolała coraz bardziej. Modlił się, by nie zawiodła go, nim dobiegnie do zbawczych drzew.

Usłyszał za sobą grzmiące kroki. Spróbował przyspieszyć, choć jeszcze przed chwilą myślał, że to zupełnie niemożliwe. Nie tracił czasu na oglądanie się za siebie.

Kilkanaście kroków od pierwszych zarośli Match instynktownie rzucił się w bok. Kątem oka dostrzegł olbrzymi łeb, który przemknął tuż obok niego. Toczył się jeszcze po ziemi, gdy ujrzał ogromną stopę, która wparła się w grunt zaledwie o cale od jego głowy. Przetoczył się jeszcze kawałek, poderwał się z zamiarem wykonania ostatniego skoku w zarośla. Gdy zrywał się do biegu, poczuł potężne uderzenie w plecy. Smok zawracał, potężny ogon trafił go samym końcem, wycisnął oddech z płuc i rzucił o pień starej sosny, rosnącej na skraju lasu. Match uderzył w pień barkiem, uderzenie okręciło go. Zsunął się po pniu jak szmaciana lalka.

Powróciła zdolność widzenia, lecz nadal nie mógł złapać oddechu ani się poruszyć. Półożąc, oparty o szorstką korę, mógł tylko patrzeć, jak smok zbliża się do niego, zniża olbrzymi łeb. Rozwiera szczęki.

Owiał go gorący, smrodliwy oddech. Siła wydechu smoka była potężna, gorący smród buchał jak z kowalskiego miecha. Match usiłował poruszyć się, lecz, ciało nie posłuchało go.

Zupełnie zatracił świadomość położenia swych kończyn. Mógł tylko czekać i patrzeć. Myśli przebiegały chłodne, jakby wszystko dotyczyło kogoś zupełnie innego.

Widział rzędy długich ostrych zębów, z których zwisał zaczepiony jakiś krwawy strzęp. Kolczuga, zrozumiał Match po chwili. Może ci zaszkodzi, skurwysynu, pomyślał mściwie. Nie miał wielkiej nadziei. Słyszał brzęczenie much i gzów kłębiących się dokoła otwartej paszczy, znęconych odorem gnijącego mięsa.

Smok kołysał głową, pysk zamykał się i otwierał. No, dalejże, kończ, sukinsynu, pomyślał Match. Paszcza przybliżyła się, dotykając prawie twarzy. Od smrodu o mało się nie udusił. No, dalej! Na co czekasz!

Pysk cofnął się. Smok uniósł głowę, zaczął węszyć, głośno wciągając powietrze. Znow zakolysał łbem, jakby z irytacją. Odstąpił krok do tyłu, ponownie zawęszył. Uderzył z łomotem ogonem o ziemię. Uniósł łeb, zaryczał, po czym zaczął kręcić łbem, jakby nasłuchiwał.

Nie widzi mnie, zrozumiał Match. Jak się nie ruszam, to mnie nie widzi. Próbuje

wypłoszyć, zmusić do ucieczki.

Smok widocznie tracił pewność siebie. Odszedł w bok, tak że Match, który nadal nie mógł poruszać głową, stracił go z oczu. Słyszał tylko ponawiane co chwila porykiwanie, czuł drżenie ziemi pod stopami bestii. Odgłosy zdawały się oddalać.

Powoli wracało czucie w bezwładnych kończynach. Match nie próbował jednak poruszać się. Okazało się, że słusznie, gdyż nieoczekiwanie smok pojawił się znowu tuż przed nim. Jednak ryknął tylko raz, jakby bez większego przekonania, po czym ruszył dalej. Po chwili do innych odgłosów dołączyły trzaski łamanych zarośli. Bestia przedzierała się przez las, uchodząc do swych nieznanych komyszy.

Match leżał, słuchając oddalających się dźwięków. Gdy ucichły w oddali, wciąż leżał, nie mając siły się podnieść. Wreszcie, nie wiedząc po jak długim czasie, udało mu się chwiejnie stanąć na nogi. Zgięty w pół, zataczając się, podążył do wioski.

Chata była nadszpodziewanie czysta, pobielane ściany, polepa wysypana świeżo naciętym, pachnącym tatarakiem. Zbita z desek prycza, wymoszczona słomą, przykryta kozimi skórami. Nawet pchły mało gryzły.

Match otworzył oczy, usiłował unieść głowę. Zaraz je zamknął, porażony bólem, który ścisnął skronie jak imadłem. Poczuł, jak ktoś unosi mu delikatnie głowę, wargami dotknął brzegu glinianego kubka. Jakieś zioła.

Ostrożnie uchylił powieki. Tuż przed sobą zobaczył białą, haftowaną bluzkę. Przez cienki len ostro rysowały się sterczące sutki. Otworzył szerzej oczy.

Jasnowłosa, pyzata dziewczyna zastygła z otwartymi ustami. Przez chwilę wpatrywała się w jego twarz. Spróbował coś powiedzieć.

–Jak długo... – zaschnięte gardło odmówiło posłuszeństwa. Dziewczyna poderwała się, o mało nie wylewając mu na piersi zawartości parującego kubka.

–Matko Jane! – wrzasnęła piskliwie. – Matko Jane! Match skurczył się, jakby dostał obuchem w łeb.

–Ciszej, na litość... – powiedział z niesmakiem. Piskliwy głos dziewczyny odczuł jak pchnięcie sztyletem w uszy. Match zamknął oczy.

–A co tam, córuś? – usłyszał po chwili drugi głos, równie piskliwy, lecz nieco cichszy i znacznie starszy. Stukanie, coś jakby laską o polepę. Znachorka, pomyślał.

–Oczy otworzyli, matko – pyzata dziewczyna mówiła już także ciszej. – I przemówili przytomnie! Jej, matko, taki piękny pan! I wiecie, matko, jakem go obmywała...

Zniżyła głos do szeptu. Match natężył słuch, lecz nic nie udało się usłyszeć. Poza cichym chichotem.

–Ty, Maggie, lepiej ziółek nowych naparz – zagderała matka Jane. – Ty jak dziecko, tylko jedno w głowie... A jemu jeszcze nie do tego, oj nie do tego...

–Jejku, co wy, matko Jane – Maggie zawstydziła się, przynajmniej tak można było sądzić z tonu głosu. – Ja tak ino...

Miły głos, pomyślał Match leniwie. I te sterczące sutki. Ciekawe, czy jest tak zimno, czy one tak zawsze...

–Tak ino, tak ino... – zamruczała znachorka, niezbyt widać przekonana. – Wiem ja,

Maggie, co z ciebie za ziółko... A jemu tymczasem rany trza maścią posmarować, zobaczyć,

czy opuchlizna schodzi... Na razie to se możesz jeno popatrzeć, nie do tego on jeszcze, mówię

ci... Ja na chłopach się znam, trzech swoich żem pochowała, a innych... No, dawaj gałgany

wilgotne, opatrunki trza pozmieniac...

Match uświadomił sobie nagle, że pod kozimi skórąmi leży całkiem nagi. Otworzył oczy i nie zważając na ból, gwałtownie usiadł na posłaniu. Pociemniało mu w oczach, nie chciał jednak, by matka Jane odkryła skóry i pokazała wszystkim, jak bardzo jest do tego...

Maggie pisnęła radośnie. Znachorka uśmiechnęła się.

–Ot, i obudził się nasz wojak, nasz obrońca – zagruchała dobrotliwie. – No, tym razem

smok górą, kochaneczku, ale później, kto wie...

Match skrzywił się. Do świadomości dotarły wydarzenia... Zaraz... Wczorajsze?

–Jak długo tu leżę? – spytał ochryple.

–Niedługo, niedługo, kochaneczku – matka Jane była drobną, bezzębnie uśmiechniętą staruszką, z imponującą brodawką koło haczykowatego nosa. – Tylko trzy dni będzie, jak w malignie się rzucałeś...

–Trzy dni?! – Match potrząsnął głową z niedowierzaniem. Niepotrzebnie, gdyż w

skroniach zakolał znów znajomy ból. Przymknął oczy, pomogło.

–Całe trzy dni? – powtórzył cicho.

–Po prawdzie, to pięć – radośnie odpowiedziała znachorka. Zaczęła wyliczać na palcach. –

Bo to będzie tak... Jak was podnieśli spod częstokołu, to pierwszy dzień przeleżeliście całkiem

bez ducha, ledwie dychając. Potem gorączka was chwyciła, febra trzęsła, całe trzy dni. Już

myślelim, że ducha oddacie... A ten piąty, ostatni, toście jako ten kamień przespali, po tych

ziólkach, com je wam zadała... Pięć dni było, jak w pysk strzelił.

Match spróbował spuścić nogi z pośłania, owijając biodra kozłową skórą. Udało się.

–Dajcie, matko, jaki przydzwiek – poprosił skrzywiony. – Muszę wstać, zbrojnych zebrać, z Nottingham odsiecz sprowadzić.

–A nie wstawaj, kochaneczku, nie wstawaj! – przeraziła się babka. – Słabyś,

wykopyrtniesz się zaraz... Leżeć jeszcze trza, rosółku popić... Dobry rosółek, z młodych

gawronów...

–Matko, ja muszę... – Match usiłował z wysiłkiem unieść się na nogi. – Konia mi trzeba...

Od progu izby dobiegł męski głos.

–Twoi zbrojni do rana ino strzymali – na progu stał wójt. Wyglądał mniej rzeško niż

wtedy, kiedy Match widział go po raz ostatni. – Nawet czekać nie chcieli, aż oczy otworzycie.

Albo pomrzecie, wedle woli. Gadziny widno się przelękli, jak ino słońce wstało, tośmy tylko

kurzawę za nimi na trakcie zobaczyli...

Match ciężko opadł na posłanie.

–Panie wójcie, ja muszę, sami tu przecie nie dacie rady, tu więcej zbrojnych trzeba, w

cekhauzie balisty mają. Ja mam u szeryfa posłuchanie, sprowadzę ich. Tylko zaraz ruszać

muszę, czasu nie ma.

Wójt wszedł do izby, przysiadł na zydlu przy posłaniu. Popatrzył na Matcha, oczy zwężyły mu się drwiąco.

–Kiedy widzicie, kozy osiodłać wam nie mogę, kozy, jak sami wiecie, potrzebne. Woły we

wiosce jeno trzy, do orki, do wozów, nie pod wierzch. Widzi mi się, ino kota zostało wam

dosiąść... Tłuste u nas, myszami wypasione, szybko pojedziecie... Bo jak by wam to

powiedzieć, waszego konia wasi zbrojni ze sobą zabrali. Mówili, że wam się już nie przyda. A

pachołka, co bronił, środzie skarcili...

Match przymknął oczy. Czekaście, skurwysyny, niedługo się spotkamy...

–Mówicie, wójcie, że kozy potrzebne. Wrócił? – spytał po chwili. Nie musiał mówić, co wróciło. Wójt tylko pokiwał głową.

–Wrócił – potwierdził poważnie, kiwając głową. – Ale ino raz, trzy dni nazad. Kóz my więcej przywiązali, cały tuzin. Nażarł się widać bardziej, bo od tej pory go nie widać. Z lasu jeno czasem porykiwanie słyhać, osobliwie pod wieczór.

Match usiadł znowu.

–Dajcie przyodziewek, panie wójcie – powiedział zdecydowanie. – I każcie dobytek na

wozy, w węzełki pakować. On tu wróci, a kóz na długo nie starczy.

Wójt milczał, skubiąc rzadką, siwą brodę. Wyglądał, jakby nie dotarły do niego słowa Matcha. Match pochylił się ku niemu, potrzęsął za ramię.

–Słyszycie, wójt! – huknął, nie bacząc na dotkliwy ból głowy. – Dopóki nie wrócę,

szeryf nie przyśle wojska. A smokowi ten tuzin kóz na długo nie starczy. Przyjdzie tu. Ile

jeszcze kóz wam zostało? Zeżre te kozy, zeżre woły, bo i woły będziecie musieli mu dać, w

końcu i do was się zabierze... Tylko te wasze tłuste koty zostaną, ich tak łatwo nie wyłapie...

Żadnej reakcji. Match z wściekłością potrząsnął mocniej.

–Obudź się, człowieku! Rozum ci odebrało?

–Ej, panie, może nie będzie tak źle – odrzekł po chwili wójt bez przekonania. – Może on tam w lesie jelenie, dziki żre. Może i od kóz się odzwyczai...

Ręce opadały. Match przymknął na chwilę oczy, próbował się opanować, by nie chwycić wójta za rzadką brodę i wywlec z chaty. Gdy próbował się wyprostować, zakłuł ostry ból w plecach. Ciekawe, kto by kogo wywlókł, pomyślał niechętnie.

–Posłuchaj – zaczął, znów spokojnie. – On nie poluje na jelenie w lesie. Jest za duży, nie da rady. Ja go widziałem z bliska. On poluje na otwartej przestrzeni, na polach. A tam tylko bydło. I ludzie. Właśnie wy. On już wie, że tu można znaleźć zdobycz. Przyjdzie, a gdy już kóz nie stanie, przejdzie przez te wasze pale jak... Mniejsza z tym. Uciekać wam trzeba. Powiedz, ile jeszcze kóz wam zostało? Na raz? Na dwa? Mówię wam, zostawcie to wszystko, uciekajcie! On w dzień nie poluje...

–Nie! – usłyszał z tyłu ostry głos. – Nigdy!

Odwrócił się gwałtownie, mimo ostrego bólu kręgosłupa. Maggie. Dziewczyna patrzyła na niego z zaciętym wyrazem pyzatej buzi. Piersi falowały pod bluzką.

–Nie uciekniemy! – powtórzyła, już ze łzami w oczach. – Nigdy!

–Słyszycie, panie – powiedział wolno stary wójt. – Płocha dziewczka, młoda, a swoje wie. I prawdę gada. My nie uciekniemy...

Match nie wiedział już, co o tym wszystkim sądzić. Postanowił posłuchać.

–My, panie, królewscy osiedleńcy – ciągnął stary. – Nie pańscy. My z królewskiego nadania te pola puszczy wydarli, ojce nasze, dziadowie... Całe nasze życie tutaj. My jeno

dziesięcinę płacim. A, szkoda gadać, nie pójdziem na niepewne, na poniewierkę...

Smarknął soczyście w palce, wytarł o kapotę.

–Jak to mówią, raz kozie... Tfu, na psa urok! – splunął, gdy dotarła do niego niestosowność

porównania.

Sytuacja była jasna. Tylko co w takiej sytuacji robić? Match nie miał zbyt wielu pomysłów.

–No cóż – odezwał się wreszcie. – Wasza wola. To powiedzcie mi najpierw, panie wójcie,

jak się zamierzacie bronić, jakby co. Pogadamy, może co wspólnie uradzimy. I dajcie,

psiakrew, jaki przydziejek, zostawcie samego choć na chwilę, żebym mógł się spokojnie

przydziać...

Napięcie zelżało. Babka zaśmiała się piskliwie.

–A co ty, kochaneczku taki wstydlivy? Ja, co żem miała zobaczyć, to zobaczyłam, nie

masz się czego wstydzić – zachichotała zalotnie. – A Maggie ino piszczy, żeby znowu

zobaczyć... Popatrzcie no tylko, jak nogami przebiera...

Match nie miał odwagi spojrzeć na dziewczynę, czuł, jak wykwita mu na twarzy ciemny rumieniec. Cholera, ale zrobiłem się nagle wrażliwy, zaklął w myśli. Ale też niezła ta dziewczyna. Właściwie, czemu nie... Kurwa, smoka tylko patrzeć, a mnie tu się zachciewa...

Wybawił go wójt. Podniósł się i postukując swym kosturem w polepę zaczął wypędzać kobiety z chaty.

–Wynocha, wynocha – pokrzykiwał bez gniewu. – Tfu, matko Jane, takie stare z was

próchno, za przeproszeniem, do piachu się trza szykować, a nie chłopom zaglądać...

Match dostał swe własne ubranie, czysto wyprane i pocerowane. Ktoś musiał się mocno napracować, skóra smoczego ogona była szorstka i ostra, gałęzie dokończyły dzieła. Stary wójt wręczył mu pochwę z mieczem, pieczołowicie owiniętą pasem.

–Sakwy przy siodle zostały, zabrały psiekrwie razem z koniem – wyjaśnił przepraszająco.

–Dzięki, panie wójcie – Match skłonił głowę. – Dzięki za wszystko, za to, za staranie...

–Nie mnie dziękujcie – zaprzeczył stary. – Babce wy zdrowie zawdzięczacie, ona mądra, zielarka... Gdyby nie ona, gorączka by was spaliła. A o przyodziewek Maggie zadbała. Dobrze to, choć młode i głupie...

Stary potrząsnął głową.

–Wyście, panie, poszli na smoka – splunął na polepę. – Nie uciekliście, jak tamte, tfu, wojaki... Mimo żeście nie rycerz, wiedzieliście przecie, że smokowi nie uradzicie. Bo wiecie, panie, na smoka ino rycerz cnotliwy...

–Wiem, wiem – skrzywił się Match niechętnie. – Najlepiej, jak w imieniu swej damy do walki staje. Ale na razie zostałem wam tylko ja. Nie mam damy, za którą mógłbym walczyć.

Twarz stężała mu na chwilę.

–Już nie mam – powiedział cicho, jakby do siebie. Stary wójt taktownie zmilczał.

Match podjął przerwana wędrowkę po izbie. Chciał rozchodzić zastale mięśnie, rozruszać

stawy. Początkowy ból towarzyszący krokom i wymachom ramion zaczął powoli ustępować. Czuł tylko wielkie osłabienie. Stary przyglądał się spod oka, mrużąc coś pod nosem. Match, posykując z bólu, zaczął skręty tułowia.

–Ej, dajcie spokój – burknął stary po chwili. – Zlegnijcie se lepiej, odpocznijcie. Słabiście jeszcze, zaraz wam żyłka pęknąć może, albo i skrętu kiszek dostaniecie. Kto to widział, tak skakać po izbie... Szkoda, że własnej rzyci nie możecie zobaczyć, sina cała, dobrze, że w poprzek nie pękła...

–Kiedy właśnie ruszać się trzeba – odparł Match – inaczej ból wejdzie w kości. Wierzcie mi, panie wójcie, nie zaszkodzi mi, raczej pomoże. Może nawet pięćdziesiątki dożyję, jak wy -uśmiechnął się krzywo.

–Ano, jak komu pisane – zgodził się stary. – Ale teraz już wystarczy, siednijcie se na zydłu, przy stole. Słyszę, że babka rosółek niesie.

Rosółek był rzeczywiście niezły, gawrony delikatne, widocznie niedawno opierzone, wybrane z gniazd. Gdy tylko Match poczuł zapach gorącej stawy, poczuł wilczy głód. No tak, pięć dni... Rosół dobry, tylko mogłaby je dokładniej skubać, pomyślał wypluwając pierze.

Stary zasiadł naprzeciw. Sam nie jadł, lecz śledził wzrokiem każdą łyżkę, którą Match unosił do ust. Grdyka na chudej szyi chodziła mu w dół i w górę. Po jakimś czasie Match poczuł skrępowanie.

–Zjedzcie coś, wójt – mruknął. – Niesporo tak samemu...

–Ależ nie, nie głodnym – zaprotestował godnie stary. – Ja ino tak pogwarzyć przysiadłem, może co uradzić będziemy mogli. Nie głodnym ja, nie głodnym.

Przełknął głośno ślinę. Matchowi kęs gotowanej gawroniej piersi omal nie stanął w gardle. Matka Jane, skromnie przycupnięta na skrzyni pod bieloną ścianą zachichotała.

–Nie przejmujcie się, kochaneczku. On zawsze taki. Ino by żarł i żarł. A popatrzajcie ino na niego, chudy, jak nie przymierzając tyka chmielowa. Szkoda jadła dla niego, zmarnuje się ino. Co innego ty, siłę musisz mieć. Jedz, kochaneczku, nie krępuj się.

–Co wy, matko Jane – zawstydził się wójt. – Ja ino pogwarzyć przysiadłem...

–No chyba, pogwarzyć – oburzyła się znachorka. – A tylko patrzeć, jak ślina ci z pyska pocieknie, jak nie przymierzając, temu twojemu psu, tfu, zaraza na niego... Bo trzeba wam wiedzieć, kochaneczku, że ten jego pies, to na żarcie taki sam, wypisz, wymaluj jak jego pan. Szkudny, wszystko znajdzie, ukradnie... Szpetne to takie, długie, niskie, nóżki krótkie, całkiem jak u maciory. Tylko by żarł... Człowiek sam zjeść spokojnie nie może, bo zaraz siądzie, czeka tylko, może co spadnie, ślina tylko z mordy cieknie...

–Coście się czepili, babo, jak nie mnie, to psa! – warknął wójt, wyprowadzony już z równowagi. – Wy lepiej swoich kotów pilnujcie!

–No i widzisz, kochaneczku – babka zwróciła się do Matcha, jakby mógł być świadkiem niesprawiedliwości, jaka ją spotyka. – Popatrz tylko, jaki wrażliwy! Co, może nieprawdę mówię? Ta twoja pokraka z piekła rodem wszystko ściągnie! Dzieckom chleb z ręki potrafi wyrwać. A wy, wójt, zamiast bydlakowi do rzyci nakopać albo od razu kamień do szyi i do potoku, to jeszcze mówicie, że jak szczyłe swego nie pilnują, to dobrze im tak. Co, może nie tak było?

Porażeni siłą wymowy babki wszyscy zgodnie pokiwali głowami. Nie wyłączając Matcha.

–A ty co tak głową kiwasz! – zirytowała się, widząc to znachorka. – Widziałeś, czy co? Jak

nie wiesz, to nie kiwaj, poczekaj, aż wszystko opowiem!

Match zamarł ze wzniesioną w pół drogi łyżką i otwartymi ustami. Popatrzył na starego. Ten tylko z rezygnacją pokręcił głową. Trudno, niech się babcia wygada...

–A jedz sobie, kochaneczku, jedz sobie – łaskawie przyzwoliła matka Jane. – Tylko

słuchaj... Bo wiesz, kochaneczku, ta jego długa zaraza to wszystko zeżre. Kiedyś, powiadam ci,

kochaneczku, chrzanu świeżego natarłam. Dobry był, krzepki. Zięć jak łyżkę w gębę wraził, to

tak mu ślęzy pociekły, słowa wymówić nie mógł. Myślę ja sobie, poczekaj, cholero, zaraz tak ci

zadam, że odechce ci się zebrać. A ta długa pokraka siedzi, ślina jej cieknie, jak zwykle. To

dałam jej od serca, całą chochlę. I co myślisz, kochaneczku?

Match nie wiedział, co myśleć. Stracił zresztą wątek. Nic więc nie odpowiedział, patrząc jedynie na znachorkę z wyrazem uprzejmego zainteresowania na twarzy.

–I nic, kochany! Nic! – oznajmiła babka triumfalnie. – Zeżarła pokraka i prosiła o jeszcze!

Ino się oblizywała...

Stary poczerwieniał, ale nic nie powiedział. Jedyna korzyść z tej całej dyskusji była taka, że Match zdążył spokojnie dokończyć rosół. Odsunął miskę.

–A, zjadłeś! – uradowana babka szturchnęła Maggie w bok. – Skocz no dziecko, przynieś

tej koźlęcej wątroby, co to w saganie na piecu stoi. Na utratę krwi, to gotowana wątroba

najlepsza. Bo wiecie, panie, w tej gorączce to sporo krwi trza wam było upuścić, sporo...

Match skrzywił się. To stąd ta słabość, pomyślał. Przyjrzał się żyłom w zgięciu łokci, potem w nadgarstkach. Zdziwił się, żadnych śladów.

–Nie, nie. Ja nie cyrulik, żył nie przecinam. Pijawki żem przystawiała, dobre, duże pijawki. Tu u nas we stawie, tam, gdzie było poimy, to siedzą takie, powiadam ci, jak palec.

Tylko do wody wejdiesz, to od razu do nóg się czepią, kłopotu nie ma, żeby nałapać. Dzisiaj

też trzeba będzie powtórzyć. Zła krew cała musi zejść, a na to pijawka najpewniejsza...

–Już nie trzeba, matko – zaprotestował Match pospiesznie. – Teraz czuję się znakomicie!

Brzydził się wszelkich robali. Na samą myśl zrobiło mu się niedobrze. W dodatku poczuł

zapach gotowanej wątroby, którą Maggie właśnie wniosła do izby. Nie znosił wątroby. Zwłaszcza gotowanej.

–Co ty tam wiesz – oburzyła się znachorka. – Pijawki nigdy nie zaszkodzą, nawet zdrowemu. Wiecie, ja czasem przystawiam je sobie, i od razu czuję się lepiej. One wszystką złą krew wyciągną... Coście, panie, taki blady? Sami widzicie, pijawki koniecznie trzeba...

–Przestańcie już gadać, matko Jane – zirytował się w końcu wójt, patrząc jak bladość Matcha przechodzi w odcień zielonkawy. – Dajże człowiekowi spokojnie zjeść, sama mówicie, że siły musi nabrać. My to pogadać musim, o ważnych sprawach. A te swoje pijawki to wsadźcie sobie... No, idźcie wreszcie, matko, wam już dziękujemy...

–Czekaj no, czekaj, będziesz ty maści na swoje bolenie w krzyżu potrzebował – zaburczała znachorka, ale podniosła się posłusznie. Gdy wyszła, wójt odetchnął głęboko.

–No i krzyżyk na drogę. Dobra to kobiecina, ta nasza babka, ino jak gadać zacznie, to... No, sami widzicie...

Match przytaknął z przekonaniem. Zabrał się za gotowaną wątróbkę, starając się połykać bez gryzienia. Jak zjem to całe świństwo, to może pijawki mnie ominą, myślał z nadzieją.

–Poszła wreszcie, to pogadać mogę o czymś przyjemniejszym – kontynuował stary. – Wiecie, tego waszego kusznika to my wczoraj pochowali. Jak zjecie, i będziecie mieli się lepiej, to pokażę wam, jaki kopczyk mu usypalim...

–Co, znaleźliście ciało? – zdziwił się Match – przecież widziałem, jak smok... Nie, przecież to niemożliwe!

–Tak żeby nie skłamać, to niezupełnie. Ino jedną nogę, a i to nie całą, o, tak dotąd - pokazał miej więcej na pół łydki. Match odłożył łyżkę.

–Przecie to ludzkie szczątki, sami wiecie, panie. Szacunek się im należy, pochówek trza było urządzić. Więcej my nie znaleźli, wątpia jeno rozwłózione, coś jakby kiszki i wątroba... Ale Ben, ten, co to u nas chudobę sprawia i tusze rozbiera, powiedział, że to bardziej od kozy. Tak i kazałem psu rzucić... Jakby tak razem przez pomyłkę pochować, to na sądzie ostatecznym... Czemu nie jecie, panie? Wątróbka na słabość dobra...

–Już się najadłem – powiedział Match słabo. Pal diabli te pijawki.

–Ależ co wy, podziubaliście trochę, jak ten ptaszek. Taki chłop jak wy, to powinien całą tę michę zjeść. Wątróbka zdrowa, powiadam...

–Może później – Match zdecydowanie odsunął glinianą misę. Jak najdalej od siebie.

–Do rzeczy, panie wójcie – powiedział. – Powiedzcie no, mieliście trochę czasu, może przyszło wam co do głowy, jak przed potworem się bronić. Zastrzegam od razu, na rycerza cnotliwego nie liczcie, przynajmniej na razie...

Maggie krzątająca się po izbie roześmiała się głośno. Wójt zgromił ją wzrokiem.

–Ja tylko tak... – powiedziała splotiona dziewczyna. – Powiedzcie, wójcie, coście z kumami radzili.

Okręciła się zwinnie, podeszła do skrzyni. Match z przyjemnością spoglądał na podrygujące pod bluzką piersi, na wystające spod zgrzebnej spódnicy kształtne łydki, czyste, o dziwo. Maggie spojrzała spod oka, złowiła jego spojrzenie. Uśmiechnęła się porozumiewawczo. Match odwrócił wzrok.

–Coście radzili, wójcie? – spytał szybko, by ukryć zmieszanie. – Razem z kumami, znaczy się...

–A, to i tak na nic – stary był zmieszany. – Gadać nie warto.

Maggie parsknęła śmiechem, zaraz zakryła usta dłonią. Wójt spojrzał gniewnie.

–Powiedźcie, nie wstyďte się – Match był całkiem poważny. – Widzicie, nie mamy wielkiego wyboru, nawet głupi z pozoru pomysł może coś pomóc...

–Nie wstydam się – odparł wójt dumnie. – To jeno dziewczka, młoda, płocha jeszcze, ze wszystkiego śmiechy urzęda. Pomysł wcale niegłupi, tylko trudności niejaki są...

Zadumał się, bębniąc palcami po nieheblowanych deskach stołu.

–No, powiedźcie wreszcie – przynaglił Match.

–Jak by wam to powiedzieć... Ano, ludzie zawsze bajali o smokach. W tych bajaniach zawsze ziarno prawdy leży, mądrość ludowa, jak niektórzy mówią. I w tych bajkach zawsze

się sposób na gadzinę znalazł. Co prawda, we wszystkich to rycerz cnotliwy... Wiem, wiem, nie przerywajcie... Ale szwagier przypomniał sobie taką jedną, w której był sposób, który w sam raz by się nadał. Nawet bez rycerza. Owoż szewczyk młody, sprytne pacholę, skórę owczą siarką wypchał, bestii do zeżarcia podrzucił. I smok, jak tylko zjadł, zaraz się od tego rozpuknął, pół rzeki wprzód wypiwszy. Trzeba wam wiedzieć, panie, że w kałdunie u takiej bestii ogień gorzeje, od czego zionąc onym ogniem może. A jak siarki do ognia dorzucić, to sami, panie, wiecie... Tak i uradziłem pospołu, że sposób dobry, w sam raz się nada, z braku rycerza cnotliwego... Tylko pojawiły się trudności...

–Jakie to? – spytał Match uprzejmie, starając się nie uśmiechać.

–Bo widzicie, panie, po pierwsze – wójt zaczął wyliczać na palcach. – Po pierwsze, nie mamy siarki. Po drugie...

–Ten pierwszy powód wystarczy – przerwał Match sucho.

–Po drugie – kontynuował wójt niezrażony. – To i z owcami u nas nie najlepiej. Tak po prawdzie, to żadnej nie mamy, kozy i świnie ino. Po trzecie, to nie masz u nas żadnego szewczyka idioty, który by tą wypchaną owieczkę pod las zadygował...

–Po czwarte, to ten bydlak ma za dobry węch, żeby się na to nabrać – podsumował Match. – Trudno, pomysł w zasadzie niezły, ale... – pocieszył starego na koniec.

Na nic to wszystko, trzeba wracać do Nottingham, choćby na piechotę. Zanim szeryf wojsko wyśle tak sam z siebie, miesiące miną, a bestia zdąży wioskę spustoszyć, jak kozy się skończą. Trzeba więcej zbrojnych, balistę z cekhauzu wytoczyć... Trzeba szybko ruszać, pieszo to ze dwa dni drogi, zwłaszcza z ciężkim sprzętem, a oni tutaj do tego czasu...

–Zaraz, panie wójt – dotarło do niego w tej chwili coś bardzo istotnego. – Nie sprawiacie wy na mnie wrażenia, jakbyście się już na śmierć od bestii szykowali. Nawet jak mówiłem, że kóz wam nie starczy, to nie przejęliście się zbytnio. Możecie mi to wyjaśnić?

–Czemu nie – wójt dumnie pogładził rzadką brodę. – Bo widzicie, panie, on tu na razie nie przyjdzie, do wioski. Boi się.

–Czego, kurwa, się boi? – rozzłościł się Match. – Was? Bo przecież nie waszego psa...

–Nas, to i owszem, nie za bardzo. Ale wiecie, bo to było tak... Jak ostatnim razem przylazł, wtedy, coście bez ducha leżeli, to jak wszystkie kozy zjadł, na wioskę ruszył. Głodny widać czegoś, kóz było za mało... Widno żarcie zwęszył, niby nas, jak sami mówiliście. Wtedy my chrust podpalili, cośmy mieli naszykowany, coby po ciemku nie uciekać. A on wtedy stanął się jak wryty, ino ryczał, nogami tupał, syczał jako ta żmija. Ino większa. Ale bliżej jak na sto kroków nie podszedł. A jak dym go owiał, to w las uszedł, tyleśmy go widzieli...

Match zastanowił się. Ognia się boi, skurwiel. To znaczy, że wioska na razie bezpieczna. Jest czas, by radę na smoka znaleźć...

–Tylko wiecie, panie, coś z nim zrobić trza, i to szybko – jakby zgadując jego myśli, dodał

wójt. – Do wioski on może nie przyjdzie, ale jak tu żyć z takim potworem pod bokiem? Toć do

lasu po chrust strach iść. Bydełko na łąki wygnać. Nawet jelonka w lesie nijak ustrzelić. A jak uczciwy kmieć ma z samej gospodarki wyżyć? No, powiedzcie tylko, panie?

Rzeczywiście, zgodził się w myśli Match. Nie idzie wyżyć bez wnyków w pańskim lesie.

Maggie sięgnęła po pustą miskę, wpierając twarde piersi w plecy Matcha. Jasne włosy załaskotały go w policzek. Nie odsunął się. Pachniały ziołami i sianem.

–A dajże człękowi spokojnie posiedzieć! – ofuknął ją stary. – Widział to kto! Później posprzątasz...

–Nie szkodzi – powiedział Match zmieszany. Sam nie wiedział, dlaczego. Stary zerknął na niego z ukosa.

–To żeby już szybko skończyć... Wiecie, on chyba dzisiaj przyjdzie, tak mi się coś

widzi. Od rana z lasu porykiwanie dochodzi, widać gdzieś blisko się kręci. Damy mu dzisiaj tuzin kóz, i tę maciorę, co to wczoraj zdechła. Niech się nażre, to znowu na dwa dni będzie spokój, nie przylezie. To my zamyśliłim wykopać wilczy dół, duży, na chłopa albo i dwóch głęboki. Paliki zastrugane na dnie powbijać, żerdziami i trawą przykryć. Jak tam wpadnie, ani chybi golenie połamie, duży jest, ciężki... Nawet jak od razu nie zdechnie, to my już wtedy cosik wymyślim, jak mu pomóc...

Tak, to jest to, pomyślał Match olśniony. Wiedział, że im większe i cięższe zwierzę, tym mniejsza wysokość była potrzebna, by przy upadku połamało nogi. Koń wpadając w jamę głębokości dwóch zaledwie łokci nie miał żadnych szans na wyjście cało. A takiego kota i z wieży zamkowej można zrzucić...

–To się może udać – powiedział już na głos. – Tylko dół musi być duży, dla pewności. I trzeba szybko wykopać, żeby jak następny raz przylezie, to był gotów. Inaczej może coś zwąchać...

–Zdążym, zdążym, nie pierwszyna to dla nas. Jak kiedyś zbóje nas najeżdżali, to na samym majdanie taki wykopalim, że trzej się razem z końmi zmieścili. I to w jedną noc wykopalim, bo co dzień przyjeżdżali, po spyżę i dziewczki psować... Potem ino zasypać było trza, i wyrównać...

Match spojrzął na majdan przez szeroko otwarte drzwi chaty. Rzeczywiście, chyba im nie pierwszyna...

Match wyciągnął się z rozkoszą na rozłożonym na pachnącym sianie płaszczu. To był długi dzień. Czuł się zupełnie dobrze, jego zdolność do szybkiej regeneracji sił, nawet po ciężkich przejściach, była zadziwiająca. Nawet dla niego samego, choć miał wiele okazji, by się przyzwyczać. Przecież zaledwie wczoraj z rana podniósł się z posłania, na którym przeleżał nieprzytomny całe pięć dni.

Jeszcze wczoraj poruszał się ostrożnie, nękany bólem pleców i zawrotami głowy. Dziś czuł jedynie osłabienie.

Jak przypuszczali, smok pojawił się wczorajszego wieczora. Za częstokół wyległa cała wieś. Smok nie był zbyt natarczywy, zapamiętał widać przykre doświadczenia z ogniem. Głód wygnał go z lasu, lecz poprzestał na pożarciu przeznaczonych dla niego kóz i zdechłej, wzdętej maciory. Jak się okazało, nie był wybredny. Porykiwał tylko groźnie spod samego lasu, nie zbliżył się do wioski.

Od samego rana kmiecie szparko zabrali się do roboty. Kopali dół, głęboki na dwóch chłopa. Na szczęście miejsce, które upodobała sobie bestia, nie było podmokłe, można było kopać głęboko, bez obawy, że podejdzie wodą. Grunt był zwięzły, ściany nie osypywały się, co ułatwi przykrycie dołu żerdziami i zamaskowanie trawą.

Match z zadowoleniem przypatrywał się, jak praca wre w najlepsze. Urobek wydobyty z dołu wywożono wozem zaprzężonym w woły, posłużył do zasypania bagienka z drugiej strony wioski. Wójt pilnował bowiem, żeby nic się nie zmarnowało.

Dwóch kmiotków zaciosywało pale, przeznaczone do wbicia w dno wilczego dołu. Spierali się przy tym zajadle, jaką jadowitą substancją wysmarować pale, aby gadzinie dobrze za skórę zalazło. Match przysłuchiwał się kłótni przez dłuższy czas. Odszedł, gdy stanęło na tym, że najlepszy będzie zwykły gnój.

Noc była ciepła. Match postanowił nie przykrywać się niczym, nie zagrzebywać w sianie. Przed zaśnięciem chciał jeszcze przemyśleć parę spraw, związanych ze spodziewaną wizytą potwora. Co zrobić, gdy ominie dół lub wyczuje go pod stopą i zdąży się cofnąć? Czy wtedy da się nabrać drugi raz? Czy nie lepiej zwabić go w stronę dołu, tak, aby w pogoni nie zdążył się zorientować? Dół można przygotować tak, by przykrycie wytrzymało ciężar człowieka.

Tak, tak byłoby pewniej, pomyślał, smok popędzi za człowiekiem dokładnie tam, gdzie trzeba. Tylko kto ma być za przynętę? Wypada na to, że znowu ja... Trzeba się poważnie zastanowić, poprzednim razem się udało, ale teraz...

Chciał się zastanowić, rozważyć wszystkie za i przeciw, żeby nie być zdany na decyzję w ostatniej chwili, na impuls, który jak często już bywało może go wepchnąć w sytuację, z której trudno wyjść cało. Chciał wszystko spokojnie przemyśleć, kiedy jest jeszcze na to czas. Nie mógł, myśli wciąż uciekały od pożądanego tematu. Nie mógł się skoncentrować.

Maggie. Odkąd wstał z posłania, dziewczyna przez cały czas szukała okazji, by być blisko niego. Nie było jej trudno, usługiwała mu, podawała posiłki. Pomagała matce Jane przy zmianie opatrunków, łowiąc ukradkowe spojrzenia, jakie jej wbrew woli rzucał. Uśmiechała się.

Z początku starał się nie reagować, co jednak ośmieliło dziewczynę na tyle, że przy każdej okazji zaczęła się o niego ocierać, niby przypadkiem.

Zmieszało go to na tyle, że starał się jej unikać, co nie było łatwe. Zaczęły go złościć dobrotliwe uwagi babki, która z rozbawieniem obserwowała, co się dzieje.

Podobała mu się bardzo, co czyniło sytuację jeszcze trudniejszą. Nie chciał jej skrzywdzić, tak jak krzywdził wszystkich wokół. Nie ją. Nie to miłe, zgrabne dziewczę o pyzatej buzi.

Gdy za którymś razem, miał usunąć się z drogi, gdy przechodził przez wąskie drzwi chaty przycisnęła się do niego całym ciałem, postanowił postawić sprawę wprost. Czując ciepło naprężonego uda, przyciśniętego do jego własnego, wymamrotał coś w tym rodzaju, że to bez sensu, że nic z tego nie będzie. Nie

pamiętał zresztą dokładnie, co powiedział, w każdym razie sens był mniej więcej taki. Maggie nie odsunęła się gwałtownie, jak się tego spodziewał i podświadomie obawiał. Nic z tych rzeczy. Nawet nie drgnęła, kryjąc pochyloną twarz pod jasnymi włosami. W końcu, nie wiedząc co zrobić, odsunął ją delikatnie i wyszedł przed chatę.

Później zachowywała się tak, jakby nic się nie stało. Czyli tak, jak wcześniej. Zaczął chodzić po wiosce wyłącznie w towarzystwie wójta, co hamowało trochę starania dziewczyny. Sam nie wiedział, czy się z tego cieszyć. Doszedł do wniosku, że nie jest zbyt szczęśliwy.

Teraz przewracał się na posłaniu, nie mogąc zasnąć, ani odegnąć natrętnego wyobrażenia podskakujących piersi Maggie ze sterczącymi sutkami. Bez białej, haftowanej bluzki.

Gdy wreszcie zasnął, nadal je widział. We śnie.

Kiedy poczuł na wargach miękki dotyk, nie wiedział, czy dalej śni, czy może właśnie się zbudził. Włosy łaskotały go po twarzy. Nie otwierał oczu. Jeśli to sen, to niech trwa...

Palce ciepłej, stwardniałej od pracy małej łapki wplotły się w jego dłoń. Zacisnął palce. Zapach świeżego siana, mocny, odurzający. Zapach ziół. Niechętnie otworzył oczy.

Przez małe okienko wpadała do stodołki smuga księżycowego blasku. W srebrnym świetle wszystko było nierealne, jakby nadal we śnie.

–Maggie... – wyszeptał.

Odsunęła twarz, wyprostowała się gwałtownie. Położyła palec na jego wargach, na chwilę, pogładziła policzek. Oburącz chwyciła kraj bluzki, ściągając ją przez głowę. Piersi zatrzęsły się. Dokładnie tak, jak sobie wyobrażał. Niech to wszystko...

–Maggie – zaczął z trudem. – Ja...

Pochyliła się. Jej włosy znów opadły na jego twarz. Zapach ziół, mocny, odurzający jak zapach siana...

–Nic nie mówcie, panie – tchnęła mu w twarz. Dotknęła wargami policzka, potem warg.

Lekko przytrzymała zębami...

Match przestał na chwilę myśleć cokolwiek. Maggie jedną ręką gładząc go po twarzy, drugą zaczęła rozpinać koszulę. Wsunęła dłoń na pierś, zaczęła głaskać,

palcami przeczesując porastające ją włosy. Dłoń była ciepła, sucha i szorstka.

Kurwa, z tego nic nie będzie, pomyślał Match z rozpaczą. Tak, kurwa, nie można...

Chwycił dziewczynę za ramiona. Poczuł gładkość skóry. Odsunął Maggie od siebie, starając się zrobić to jak najbardziej delikatnie. Dziewczyna przestała się uśmiechać tym spokojnym, rozmarzonym uśmiechem.

–Nie podobam ci się, panie? – spytała cicho.

–Match – powiedział bez zastanowienia. – Mów do mnie Match. Poglądził jej nagie ramiona. Aż wstrząsnął się cały, tak były miłe w dotyku.

Szkoda, kurwa, naprawdę szkoda...

–Maggie, to nie tak, jak myślisz – urwał, to co chciał powiedzieć, nie było łatwe. Ani przyjemne. Maggie wpatrywała się w niego bez ruchu. – Maggie, dziewczyno – zaczął znowu,

wciąż z trudem. Słowa więzły mu w gardle, gorzkie, paskudne. – Widzisz, ja nic nie mogę dać

ci w zamian. Nic, na co być może liczysz, czego oczekujesz. Ja już chyba nie potrafię... Nie

potrafię kochać...

Spojrzał na poważną pyzatą buzię. Oczy lśniły w księżycowym świetle wpadającym przez okienko stryżku. Jakie ona ma właściwie oczy? Chyba błękitne. Problem w tym, że ja wciąż widzę tamte, zielone, pomyślał.

–Nie chcę cię skrzywdzić... Ja już zbyt wiele krzywd wyrządziłem w życiu. Musisz przecież wiedzieć, kim jestem...

Ledwo dostrzegalne kiwnięcie głową. Żadnej innej reakcji.

–Maggie – powiedział już z rozpaczą. – Z tego, kurwa, nic nie będzie... Nie będzie...

Zręcznie wyswobodziła ramiona z uścisku. Pochyliła się, przylgnęła całym ciałem.

Przytuliła policzek do jego policzka.

–Match – szepnęła mu prosto do ucha. – Po co zaraz te wielkie słowa? Dobrze, wiem, kim

jesteś. I co z tego?

Poczuł, jak znów rozpina mu koszulę. Nie ruszył się. Po chwili poczuł ciepłą miękkość piersi, twarde sutki.

–Maggie, nic ci nie mogę dać – wyszeptał, już tylko wyszeptał. – Nie mam ci czego ofiarować...

–Match – szept był cichy, lecz brzmiał w nim cień rozbawienia. – Po co zaraz ofiarowywać? Po co mówić wielkie słowa? Będzie ci miło, zobaczysz... Przyjmij to tak, jak

jest. Podobasz mi się, ja tobie też...

Zaczęła manipulować przy klamrze jego pasa. Spróbował jeszcze raz. Tylko słowami.

–Dziewczyno – zaczął cichym szeptem. – Ja nie chcę... Roześmiała się cicho.

–Match – wyszeptała wesoło. – Nie bój się, nie skrzywdzisz mnie. Spróbuj raz tak po prostu, nie czyniąc sobie wyrzutów... Tak po prostu... Ja naprawdę niczego sobie nie obiecuję, nie oczekuję od ciebie... Match, ja to po prostu lubię...

Leżała z głową w zgięciu jego ramienia, czuł na swej skórze jeszcze przyspieszony oddech. Rzeczywiście lubiła to. I była osobą, która to, co lubi, robi znakomicie. I z zaangażowaniem. Pogładził tkliwie jasne włosy.

Był jej wdzięczny. Nie, nie za tych kilka chwil. Za to, że pozwoliła mu dostrzec to, czego uparcie od lat nie dostrzegał. Że można dać coś, nie oszukując. Że można dostać coś w zamian, bez zobowiązań, bez wielkich dramatów. Prosto i uczciwie.

Maggie zamruczała, wyprężyła się jak kot. Jej małe, ciepłe dłonie znów zaczęły błądzić po skórze Matcha.

–Maggie – wyszeptał. – Maggie, chciałem...

–Nic nie mów, nie trzeba. To się po prostu stało, tak po prostu... Nic nie mów, nie ma po co...

Match milczał. Czuł, że to, co chciał powiedzieć, będzie niestosowne. Że słowa o wdzięczności mogą tylko wszystko popsuć. Że tylko zakłóca to porozumienie, które nawiązało się pomiędzy nimi. Cholera, coś jednak trzeba powiedzieć...

–Maggie – zaczął jednak po chwili. – Nie, nic więcej nie powiem. Chyba tylko to, że

mięknę jak wosk w twoich dłoniach...

Aż się skrzywił, tak sztucznie, górnolotnie i wręcz idiotycznie to zabrzmiało. Zgodnie z przewidywaniami dziewczyna roześmiała się. Głośno i szczerze.

–W moich dłoniach możesz tylko stwardnieć – odrzekła wesoło.

–Panie, panie, rycerze jada, zbrojnych ćma na drodze!

Wrzask wyrwał Matcha ze snu. Odruchowo sięgnął dłonią obok siebie, oczekując, że trafi na jasne włosy. Pusto. Otworzył oczy.

Usmolony wyrostek stał nad nim. Zaczerwieniony, ciężko dyszący po biegu. Gdy ujrzał, że Match otwiera oczy, zaczerpnął powietrza.

–Ku nam jada, na trakcie – rozdarł się znowu.

–Ciszej, gówniarzu, głuchy nie jestem – skrzywił się Match boleśnie. – Jacy rycerze?

–Mówię, panie, ćma ich, aż kurzawa się w niebo wzbija. A na czele rycerz cnotliwy w zbroi srebrnej, aż oczy bolą patrzeć. Widno smoka jedzie ubić, gada straszliwego...

Prawda, smok, pomyślał Match niechętnie. Pewnie się rozeszło, już zaczynają ścigać różni smokobójcy, żądni sławy. Czeka, rycerzu cnotliwy, zobaczysz ty bydlaka, to jeszcze szybciej wrócisz tam, skąd przyjechałeś. Jeśli jesteś rozsądny, w co wątpię, wszak to u was wielką jest rzadkością...

Match w zamyśleniu nawijał na palec złoty włos, który został na burym płaszczu. Ach, pies trącał smoka wraz z cnotliwym rycerzem, myślał niechętnie. A i wszystkich zbrojnych, po kolei...

Przetarł zaczerwienione z niewyspania oczy, oprzytomniał nieco. Podniósł się niechętnie. Czuł się trochę jak poprzednio, po ucieczce przed smokiem. Delikatnie mówiąc, zmęczony. Dochodzące zewsząd odgłosy wrzawy i tętentu znaczyły, że orszak rycerza wjeżdżał właśnie do wioski.

Gdy Match wyszedł przed stodółkę, dopinając spodnie, pierwszym, na którego wpadł, był hrabia Gisbourne. Zeskoczył właśnie z konia, podał wodze pachołkowi. Jego chmurna twarz na widok Matcha rozjaśniła się.

–Match – zawołał radośnie. – Żyjesz, sukinsynu!

Match zdziwił się. Na twarzy hrabiego malowała się szczerą, niekłamana radość. Nie zareagował nawet na tego sukinsyna, tyle w tym słowie było serdeczności.

–Żyjesz – powtórzył hrabia. – No tak, od początku nie wierzyłem tym zbrojnym, co

twojego konia przywiedli. Opowiadali, skurwysyny jedne, że smok cię okrutnie pochłastał, że

zmarłeś zaraz.

Pokręcił głową.

–Nie zaczekali nawet aż ducha oddasz, od razu dali nogę...

Match spochmurniał. Poczekajcie, jak tylko przyjadę, pomyślał zimno. Hrabia roześmiał się, widząc wyraz jego twarzy.

–Wiem, o czym myślisz – roześmiał się. – Ale ja też nie jestem głupi, coś mi nie pasowało. Tak jakoś nie chcieli w oczy spojrzeć. A ciebie nie tak łatwo wykończyć, wiem coś o tym. Ucieszy cię zatem, że kazałem ich dla pewności obatożyć, ot tak, na wszelki wypadek... To nigdy nie zaszkodzi... Miałem nosa, od razu się przyznali, żeś dychał jeszcze, kiedy odjeżdżali. Od razu lżej mi się zrobiło...

–Czyżby? – spytał Match sucho.

Hrabia zmieszał się. Wbił wzrok w ziemię, przestąpił niespokojnie z nogi na nogę.

–Ten tam, w zbroi, to sir Mortimer de Montfort – zaczął, nie patrząc na rozmówcę. –

Kuzyn naszego sąsiada barona, właśnie bawił u niego z wizytą, kiedy i ja tam zajechałem. I

wiesz, chlapanąłem coś o tym smoku, no, zapomniałem się. A on od razu się zapalił, że niby

gadzinę z wielką chwałą pokona. Nie można mu było tego wyperswadować. Szeryf, gdy się

dowiedział, to rozkazał, żebym w takim razie sam na smoka go zaprowadził...

Hrabia urwał. Spojrzał Matchowi prosto w oczy.

–Wiesz, Match, nie lubisz mnie. Ja ciebie też zanadto nie lubię. Ale wiem, że jeżeli ktokolwiek zdoła nas wyciągnąć, jak coś pójdzie źle, to tylko ty... A jak przypadkiem smok mnie pochłasta, to nie zostawisz, mimo wszystko... Dlatego cieszę się, że udało ci się wylizać...

–Dobrze, panie hrabio, nie roztkliwiajmy się zanadto – uciał Match te wynurzenia. – A ten tam, w zbroi, wie, w co się pakuje? Wysłuchał świadków? Świadom jest tego,

że smok dwa razy wyższy od niego, wliczając nawet kopię? Ile dłuższy, to nawet szkoda gadać...

Hrabia popatrzył na rycerza. Ten, sztywno wyprostowany w swej srebrnej zbroi, napawał się podziwem otaczających go kołem kmiotków.

–Gdzie tam. Nawet słuchać nie chciał. Powiedział tylko, że w starciu z prawym chrześcijaninem moc smoka, który jest bez wątpienia tworem piekielnym, przegrać musi. Bo

rycerza prawego chroni szarfa od damy jego serca, którą się przed walką przewiąże. Chroni

zbroja i kopia niechybna, jego wiara i opatrność Boża. W tej właśnie kolejności...

Gisbourne machnął ręką.

–Przez całą drogę opowiadał mi o walkach ze smokami, bokiem mi to już wychodzi... -dodał w końcu.

–A ile ich dotąd zabił? – spytał Match z całą powagą. Gisbourne zdziwił się.

–Na razie ani jednego. Ale teorię ma opanowaną...

Match tylko pokręcił głową. Gisbourne zgodził się z nim chętnie. Sam wysłuchał zeznań świadków z uwagą.

–Chodźmy poszukać wójta, powiemy mu, jakie jasełka nas wieczorem czekają – powiedział Match. – Kurwa, przecież to spieprzy wszystkie dotychczasowe przygotowania... –

dokończył z wściekłością. Hrabia spojrział zaintrygowany.

Match opowiedział mu pokrótce, jak zamierzali poradzić sobie z potworem. Hrabia pokiwał głową.

–Rzeczywiście, szkoda. Bo jak to nie wyjdzie, trzeba ciężki sprzęt sprowadzić, z balisty

ustrzelić. A nie będzie łatwo... Znaczy sprowadzić też, ale co dopiero potem trafić bydlaka.

Szybkostrzelność mała... Cholera, ten dół trzeba będzie zasypać przed wieczorem, żeby ten tam

w niego nie wpadł. Masz rację, szkoda roboty... Kmiotki będą złe.

Match zgodził się z opinią. Spojrzał niechętnie na hrabiego. Ten zrozumiał.

–Match, ja wiem, że to moja wina. Przepraszam, naprawdę...

Takiego Gisbourne'a jeszcze nie widziałem, zdziwił się Match. Musiał się nieźle przestraszyć. No, po prawdzie to jest czego...

–Co się stało... – zaczął pojednawczo. – Ech, szkoda gadać, poczekajcie tu, przyprowadzę wójta...

–Poczekaj, Match, powiedz najpierw, da się tu co zjeść? Bogata wioska, widać...

–Da się, nawet nieźle – odpowiedział Match.

–Zgłodniałem po drodze – wyjaśnił hrabia. – A od tej jego gadaniny to aż mi w brzuchu burczy. A tu piękna wioska, i dziewczuchy jak rzepy... Hej, Match, coś tak poczerwieniał? Oczy ci się tak świecą...

–Dajcie spokój, panie hrabio – mruknął Match zmieszany. – Idę po wójta...

–Nie znałem cię z tej strony – usłyszał za sobą. – No, no, kto by pomyślał? Rzeczywiście, mruknął Match do siebie, kto by pomyślał...

Samotna koza szarpała się na postronku w cieniu leśnej ściany. Słońce właśnie zaszło. Lekki wietrzyk szarpał szmatami na wbitych w ziemię patykach. Patyki wyznaczały obrys wilczego dołu, starannie zamaskowanego trawą.

Match uśmiechnął się mimo woli. Sir Mortimer uwierzył w końcu zapewnieniom wójta, który z całą szczerością wypisaną na twarzy zaklinał się, że zasypianie takiego dołu zajmie co najmniej trzy dni wytężonej pracy. I to tylko wtedy, gdy zbrojni pana rycerza pomogą.

Spoglądał przy tym na hrabiego i Matcha, jakby biorąc ich na świadków swej prawdomówności. Gisbourne i Match nie zaprzeczali. Całkiem możliwe, że dół, który kilkunastu chłopów wykopało do południa, zasypywać trzeba całe trzy dni. Ostatecznie nie musieli znać się na kopaniu dołów.

Sir de Montfort przystał w końcu na oznakowanie dołu szmatami na patykach. Jego bojowy koń, jak oświadczył dumnie, nie takie przeszkody potrafi ominąć w pełnym galopie. Oczywiście, gdy powoduje nim wprawna ręka.

Match poświęcił wiele czasu i cierpliwości, starając się odwieść sir Mortimera od jego zamiarów. Hrabia pomagał mu, jak mógł. Groch o ścianę. Uzyskali tylko to, że

rycerz wyzwał Matcha na koniec od tchórzy, głupich wojaków, świńskich psów i innych nieczęsto spotykanych mieszańców, dodając, że sam na miejscu szeryfa natychmiast kazałyby go obwiesić. Gisbourne oczekiwał, że Match w końcu wybuchnie, ale ten tylko wzruszył ramionami, splunął, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Rycerz, patrząc na hrabiego jak na powietrze, wycedził coś o osobnikach niegodnych pasa rycerskiego, którzy nie dość, że nie stają na wyzwanie zła, to jeszcze usiłują odwieść od tego stokroć odważniejszych od siebie prawych rycerzy. Hrabia nie bez słuszności odniósł to do siebie i zastanawiał się, czy czasem nie cisnąć prawemu rycerzowi rękawicy w twarz, tym bardziej, że bez zbroi rycerz był dosyć mizernej postury. W końcu jednak poszedł za przykładem Matcha, dochodząc do wniosku, że smokowi też coś się należy.

Gdy zbliżał się wieczór, prawy rycerz, ubrany już w pełną zbroję, wyszedł przed rzadki częstokół. Wbił w ziemię miecz, z chrzęstem blach padł na kolana. Pochylił głowę w garnkowym hełmie i zastygł na dłuższą chwilę. Mieszkańcy wioski, stłoczeni za częstokołem i stertami przygotowanego do zapalenia chrustu, zaszemrali z podziwem.

Rycerz wstał z klęczek, nie odwracając się, skinął ręką. Gisbourne podjechał do niego, prowadząc pięknego, białego bojowego konia. Obok jechał Match, niosąc tarczę i kopię rycerza. Na tarczy wymalowany był, a jakże inaczej, czarny smok. Nicco inny.

Sir Mortimer wskoczył na konia. Przyjął z rąk Matcha tarczę i kopię, spoglądając na niego z obrzydzeniem.

–Zastanówcie się jeszcze, szlachetny panie – Match spróbował po raz ostatni. Prawy rycerz nie odpowiedział. Chciał pewnie splunąć, lecz w garnkowym hełmie było to niemożliwe. Zwrócił się do hrabiego, odwiązując niezdarnie ręką w pancерnej rękawicy przybrudzony i pomięty pas błękitnego materiału, okręcony na drzewcu kopii. Po kilku próbach udało się.

–Oto szarfa damy mego serca, lady Isabeli de Clisson – zadudnił z głębi hełmu. – Uczynicie mi tę łaskę, panie hrabio, przewiążcie nią moją zbroję, niech wspomaga mnie w walce ze złem.

Gisbourne uczynił mu tę łaskę. Słońce znikło już za drzewami, z głębin lasu dobiegł głuchy ryk. Rycerz wyprostował się dumnie w siodle. Niezwykle dramatyczne, pomyślał Match. Sir Mortimer de Montfort ruszył wolno w stronę lasy, unosząc wysoko ostrze kopii.

–Za cześć mej damy, za moją sławę rycerską, w imię Boże...

Match z hrabią spojrzeli po sobie. Szykował się niezłe widowisko. Sami cofnęli się do ostrokołu. Koza szarpała postronek jak oszalała.

–Jakby zaszarżował na nas, smok znaczy, nie ten tam, rycerz prawy – Match szepnął

hrabiemu. – To bez żadnych wygłupów, skaczemy za częstokół, zanim chrust podpalą. Ogień

go zatrzyma, chyba że nasz rycerz bardzo go rozwścieczy...

Gisbourne spojrział na Matcha poważnie.

–Możesz mi wierzyć, skaczemy od razu – zapewnił solennie.

Rycerz znieruchomiał na samym środku łąki. Stał tak, nieporuszony, dumnie wyprostowany w połyskującej zbroi, nasłuchując zbliżających się ryków. Stał jak żywy wzór wszelkich cnót rycerskich w oczekiwaniu na starcie z odwiecznym wrogiem. Nie czekał długo.

Drzewa rozchyliły się, pękając z szumem liści i trzaskiem. Z zarośli wychyliła się ogromna, zębata głowa. Za chwilę smok stanął na łące w całej swej okazałości. Uniósł łeb i zaryczał, zaskoczony najwyraźniej połyskliwą postacią tam, gdzie zapewne spodziewał się ujrzeć najwyżej kozy.

Match usłyszał, jak hrabia obok niego wciąga głośno powietrze.

–Jezu, Match... – jęknął hrabia po chwili.

Sir Mortimer de Montfort był może pozbawiony wyobraźni i zdolności oceny swych szans. Za to odwagi nie można było mu odmówić. Wyprostował się w siodle jeszcze bardziej, po czym zaczął rzucać pod adresem bestii zwyczajowe obelgi i wyzwania.

Po smoku nie można było spostrzec, że robi to na nim jakiegokolwiek wrażenie. Postąpił wolno w stronę jedynej kozy, nie zważając na jej rozpaczliwe szamotanie zwarł na niej potężne szczęki. Podrzucił głowę i zaczął przelykać mizerny kąsek. Rycerz począł wołać jeszcze głośniej.

Tuż z boku Matcha dobiegł dziwny dźwięk. Popatrzył na hrabiego, który walczył z ogarniającymi go mdłościami. Udało mu się.

–Jezu, Match – powtórzył po chwili. – On zaraz ruszy na niego. Powinien już zawrócić,

uciekać... Przecież nie da rady, temu potworowi nikt nie da rady...

Jasno widać było dysproporcję pomiędzy przeciwnikami.

–Za późno – Match ponuro pokręcił głową. – I tak go dopadnie, jest bardzo szybki.

Uważajcie, panie hrabio, zaraz skaczymy w tył...

Smok pochylił łeb, ruszył. Poczuli drgania ziemi. Match już chciał szarpnąć konia, zawrócić go, lecz zamarł bez ruchu. To co zobaczył, poraziło go.

Sir Mortimer zniżył kopię i ruszył do szarży. Ziemia drżała od uderzeń kopyt bojowego konia i nóg bestii. Rycerz nabierał szybkości.

–Piękna szarża – wykrzyknął z podnieceniem hrabia – zobacz, jak trzyma kopię! Widać, że

dla niego to nie pierwszyczna...

I gównu mu to pomoże, pomyślał niechętnie Match. Nie miał złudzeń.

Smok zatrzymał się, jakby zdziwiony bezczelnością małej istotki biegnącej mu naprzeciw. Pochylił nisko łeb, jak zwykle w chwilach niezdecydowania zakolysał nim na boki.

Rycerz był coraz bliżej, pęd konia był imponujący. Zajeżdżał nieco z prawej, luźno trzymając kopię, by dopiero w ostatniej chwili przerzucić ją nad końskim łbem i wycelować we właściwe miejsce. Niestety, w tym przypadku żadne nie było właściwe.

Już tylko kilka uderzeń serca dzieliło przeciwników od zderzenia. Spod kopyt konia wysoko tryskały grudy ziemi. Smok stał wciąż jak wryty, coraz mocniej kołysząc łbem. Syczał wściekle.

Jeszcze chwila. Match wstrzymał oddech. Rycerz wydał przenikliwy okrzyk, prawdopodobnie rodowe zawołanie bojowe.

Tego było dla smoka za wiele. Ryknął głośno, innym tonem niż poprzednio. Niewiarygodnie płynnie, jak na tak ogromne cielsko odskoczył w bok, odwracając się jednocześnie. Ziemia zadrżała. Rycerz rozpaczliwie szarpnął wodze, lecz było za późno. Sam koniec potężnego, długiego ogona, przelatujący przy odskoku bestii tuż nad ziemią z rozmachem trzasnął konia po pęcinach. Pod koniem załamały się w pełnym pędzie nogi. Pękło z trzaskiem drzewce kopii, której grot zarył się głęboko w ziemię. Cnotliwy rycerz zatoczył wielki, powolny łuk w powietrzu i ciężko grzmotnął o ziemię. Zadrżała, jak pod stopami potwora.

Gdy Match oderwał oczy od leżącej nieruchomo postaci, potwór dobiegał właśnie do lasu. Po chwili z trzaskiem łamanych zarośli zniknął im z oczu.

Gniewne porykiwania cichły w oddali, ciszę przerywał jedynie przeraźliwy kwik usiłującego powstać na połamane nogi konia.

Match westchnął.

–Ruszamy, panie hrabio – powiedział ciężko. – trzeba dobić to nieszczęsne zwierzę.

pozbiierać to, co obok leży...

Ruszył do przodu.

–Ruszcie się, panie hrabio, on już dziś nie wróci – dodał. – Na dziś ma dosyć.

Sir Mortimer leżał bez ruchu, wbity w miękki grunt. Szczelinami zbroi sączyła się krew. Gisbourne stanął nad nim, patrzył chwilę.

–Tak, za roztropny to on nie był, ale, co by nie mówić, to była piękna szarża – powiedział

z zadumą.

Starczyło za całe epitafium.

Słońce stało już nisko nad drzewami. Jastrząb czy też myszołów dawno odleciał.

–Co się potem stało? – spytał Jason.

–Ano, tak jak myśleliśmy – odparł Match, przeciągając się leniwie. Usiadł na trawie.

–Przylazł za dwa dni, jak zgłodniał. Nie wyczuł niebezpieczeństwa. Zwalił się do dołu, aż się ziemia zatrzęsa. Dół był solidny, głęboki, jeszcze go pogłębili, pale na dnie zasadzili. Nawet nie trzeba było dobijać, nadział się akuratnie, wszystkie flaki wypłynęły. Nie uwierzysz, Jason, w życiu nie widziałem takiej kupy flaków...

–Wierzę, wierzę – wykrzywił się Jason z niesmakiem.

–Twarde miał życie, do rana się rzucał, wył... Nogi miał widać połamane, tylko ogonem nad dołem miotał, w ziemię tłukł. Trzeba było w zasadzie dobić, ale nie bardzo wiedzieliśmy jak... Chłopi usypali potem nad ścierwem zgrabny kurhan. Bo mimo że dół był obszerny, to trochę na wierzch wystawał.

Match pokręcił głową, jakby znów, po latach, dziwiąc się rozmiarom smoka.

–Obok usypaliśmy drugi kurhanik, dla sir Mortimera. Chcieliśmy go zawieźć do

Nottingham, chyba rodzinę miał, nie pamiętam już zresztą. Ale ciepło było, psować się zaczął.

W wsi kowala nie było, nie mogliśmy go wyjąć z tej zbroi, taka była pogięta. Jak go podnosiliśmy, to w hełmie tylko chlupotało...

–Match, daj spokój, daruj sobie szczegóły – Jason głośno przełknął ślinę. – Zresztą, ja nie

o to chciałem na początku spytać.

Match umilkł, spochmurniał, jakby wiedział, o co Jason chce spytać. Odwrócił się niechętnie. Jason nie darował:

–Chciałem spytać o tę dziewczynę, Maggie. Czy spotkałeś ją jeszcze, czy... Match tylko

pokręcił głową.

–Nigdy nie wróciłem do tej wioski, Jason... – odpowiedział po chwili cicho. – Nigdy...

Jason spojrział na niego, zaraz odwrócił wzrok. Wyraz twarzy Match powiedział mu wszystko. Ty rzeczywiście masz narąbane, pomyślał. Na głos nic nie powiedział...

Część trzecia

KRAĞ

I

Chatka, którą zamieszkiwał Match, stała na skraju klasztornych pól. Sam ją zbudował, gdy przeor Piotr zezwolił mu osiąść na ziemiach klasztoru. Skorzystał tylko z niewielkiej pomocy mnichów. Była mała, Match nie miał wielkich potrzeb.

Jason, gdy pierwszy raz, zaproszony wreszcie przez Matcha, zobaczył jej wnętrze, stanął zdumiony. Ten człowiek wciąż go zaskakiwał. Spodziewał się mrocznego, paskudnego wnętrza, pasującego do ponurych opowieści Matcha. Zobaczył izbę wprawdzie małą, spartańsko urządzone, ale czystą i wesołą. Przykryta skórami prycza, murowany komin, stół i zydel. Żadnych trofeów myśliwskich, ogryzionych kości na polepie, broni zwalonej w kącie. Żadnych brudnych onuc pod pryczą. Zamiast tego spory stosik oprawnych w skórę ksiąg. Ksiąg!

–Umiesz czytać? – zdziwił się szczerze Jason.

–Owszem, i pisać też – odpowiedział opryskliwie Match. – A bo co?

–A bo nic, ja, wyobraź sobie też – wziął do ręki pierwszy z brzegu tom, otworzył, spojrzął na pergaminowe karty.

–Ale nie po arabsku – dodał ze zdumieniem, widząc niezrozumiałe zawijasy.

Match wyjął mu księgę z ręki.

–To nie po arabsku, to po hebrajsku – powiedział. – Księga Zohar. Inaczej kabała. Zresztą

nie oryginał, skopiowana przez templariuszy... Cała masa błędów – skrzywił się.

Jasonowi opadła szczęka.

–Co ty gadasz, jaka masa błędów – wykrzyknął.

–Czytałem oryginał – wyjaśnił Match jak gdyby nigdy nic. – Zresztą mniejsza z tym, ważne jest to, że można w niej znaleźć sporo ciekawych rzeczy. Dziwnie zresztą pasujących do tego, co się właśnie dzieje...

–Znasz hebrajski? – Jason nie mógł otrząsnąć się ze zdziwienia.

–Co, nie wyglądam? – zadrwił Match niewesoło. – Jason, ja się szybko uczę... Bardzo szybko...

Mruknął coś jeszcze pod nosem.

–Siadaj tu, na pryczy – powiedział Match po chwili. – Mam tylko jeden zydel, nie przewidywałem przyjmowania gości.

Sam zakrzętnął się po izbie.

–Cholera, nie mam piwa, wyszło czegoś. A w tym, co stoi w loszku, w chłodzie, myszą się

utopiła, miałem wylać i zapomniałem. Co prawda niedawno, może by tak odcedzić... Nie,

przejdę lepiej do klasztoru, pewnie co dadzą... Poczekaj tu, możesz sobie poczytać, reszta jest

po łacinie.

Zostawił Jasona całkiem oszołomionego. Możesz sobie poczytać, to po łacinie. *Dominus vobiscum, et cum spiritu tuo...* Jason był przekonany, że w księgach jest jednak nieco więcej, a ten zwrot wyczerpywał jego znajomość łaciny.

Zamiast tego rozejrzał się po izbie. Na stole leżała nie do końca ostrugana drewniana rybka. Jason wziął ją do ręki, obracał bezmyślnie...

Przypomniał sobie Lance'a, o którym opowiadał mu przeor. Tajemniczego świeckiego braciszka, z wężem Uroborosem wytatuowanym na plecach, którego widok, zresztą nie wiadomo, czy tylko widok, wywołał jego pierwsze wizje.

Dotąd wizje Jasona wywołane były widokiem osób, jak Lance czy Match, lub opowiadaniem Matcha, bardzo przecież sugestywnymi.

Przeor mówił jednak, że dla Lance'a wystarczył przedmiot, miejsce, by zobaczyć coś, co dla zwykłych ludzi było niedostępne. Doznać wizji wywołanej dotykaniem, widokiem, diabli wiedzą zresztą, czym tak naprawdę. Przeor z niechęcią mówił o Lance. Jason wyciągnął z niego w końcu trochę wiadomości o tajemniczych ludziach, którzy przysłali go do klasztoru. Wiadomości oparte zresztą głównie na mrocznych pogłoskach. Ponoć potrafili przewidywać przyszłość, wydostawać informacje nawet od zmarłych. Przeor mówiąc to aż wstrząsnął się ze wstrętem. Co dziwniejsze, dodał niechętnie, cieszą się poparciem niektórych biskupów.

Jason obracał bezmyślnie niedokończoną rybkę w dłoni. Jemu nic takiego dotąd się nie udało. A przecież coś mówiło mu, że jest to możliwe. Tylko jak, pomyślał ze złością. Ścisnął mocno rybkę w dłoni...

Usypany kamieniami brzeg jeziora. Wielkie głazy wystają ponad gładką toń, jak grzbiety wielkich, zanurzonych w wodzie zwierząt. Wyniosłe świerki odbijające się w wodzie. Zapach żywicy i rześki powiew znad wody.

Topolowe strużyny pryskają spod kozika, klocek drewna obracany w dłoniach nabiera wydłużonego kształtu małej rybki. Chyba strzebli potokowej...

Kobięcy głos dobiega jakby z dala, przebija się przez skupienie...

-...rzuć to wreszcie, wieczerza na stole! Ech, żadnego pożytku z tego chłopa, tylko by

strugał te swoje patyczki...

Człowiek pochylony nad topolowym klokiem przerwał na chwilę pracę. Te baby, żadnego zrozumienia, przecież w tę rybkę pstrągi będą walić jak opętane... Stary Rapala pokręcił głową. Spod kozika znów prysnęły cienkie strużyny...

Jason odłożył rybkę. Bez sensu.

Match wrócił niedługo. Nie miał widać trudności z wyłudzeniem piwa od braciszków. Postawił na stole wielki dzban.

–Kubek też mam jeden – powiedział przepaszająco. – Wolisz z kubka czy z dzbana?

Jasonowi było to obojętne. Match podał mu kubek, który przetarł przedtem skrajem koszuli. Nalał. Uniósł dzban, przepił do Jasona.

Jason odwzajemnił gest, pociągnął piwa. Skrzywił się boleśnie. Match stanowczo za długo przebywał na odludziu, wystarczająco, aby te pomyje nazywać piwem.

Match spostrzegł jego minę.

–Po roku można przywyknąć – wyjaśnił przepaszająco.

Na razie Jason pijał to piwo kilka miesięcy. O kilka miesięcy za długo. Nie sądził, że kiedykolwiek przywyknie.

Odstawił kubek, wspomniął niedawną wizję. I znowu nic nie wiadomo, nie pasowała do niczego. Była zupełnie obca, nie wiedział, przyszłość? Przeszłość? Jedno było nowe. Wizja była bardzo wyrazista, nie tak, jak te, których dotąd doświadczył, a które nie były bezpośrednio związane z zasłyszczanymi opowieściami czy spotkanymi osobami. Tamte były mgliste, fragmentaryczne, wieloznaczne. W tej zaś czuł się tak, jakby sam stał na zasłanym kamieniami brzegu jeziora.

To miało jakiś związek z tą cholerną rybką. Z przedmiotem, który trzymał w ręce. Cholera, a już myślałem, że nic nowego mnie nie spotka, że panuję nad tym, pomyślał. Wizje powszedniały powoli, zdawało się, że nawet gdy pokazują rzeczy drastyczne, straszne, nie są w stanie wstrząsnąć nim zanadto. Stawały się czymś znanym, zwyczajnym...

Niedługo miał się przekonać, jak bardzo się myli.

Na razie podniósł kubek, pociągnął łyk piwa. No proszę, już się przyzwyczailem, żeby nazywać ten płyn piwem, zauważył z niezadowoleniem. Jeszcze bardziej zmartwił go fakt, że drugi łyk przeszedł przez gardło całkiem gładko. Trzeba stąd ruszać, i to szybko, na spotkanie przeznaczenia, jak mawia Match. Nawet absolutne zło nie będzie przecież gorsze od tego piwa, pomyślał z wisielczym humorem.

Coś nie dawało mu spokoju. Wiedział, co.

–Match – zaczął w przerwie między jednym a drugim łykiem. Szło już całkiem dobrze.

–Match – powtórzył, wycierając mizerną pianę z wąsów. – Mówiłeś o bramie, przejściu,

czy jak to nazywać...

Match odstawił dzban, także otarł wąsy. Jemu od początku idzie gładko, pomyślał z niejaką zazdrością Jason.

–Mówiłeś, że do otwarcia przejścia potrzebne są silne emocje, skoncentrowana wola –

podjął Jason. – Wiesz, coś nie daje mi spokoju. Przecież takich bram są pewnie setki na świecie.

Może tysiące. Ostatecznie elfy, krasnoludy i inne kurduple zamieszkiwały kiedyś cały świat.

Mówiłeś, że z tych bram może wyleźć rozmaite plugastwo, zresztą nieraz wychodziło, i teraz

ponoć właśnie wychodzi. Słuchaj, to przecież bez sensu, że akurat ta brama, tu i teraz, jest taka ważna, o nią idzie cała gra... Urwał, pociągnął znów piwa.

–Załóżmy, że za sto lat, nad jakąś bramą ułoży się parka i zajmie... no wiesz... To też

wyzwała silne emocje, o ile pamiętam – skrzywił się pociesznie. – I co wtedy, wyjdzie smok i

pożre ich, nie pozwalając nawet skończyć?

Match był poważny. Rzucił Jasonowi niechętnie spojrzenie.

–Ty jeszcze pod szubienicą będziesz sobie jaja robił, Jason. Opowiesz katu jakąś dykteryjkę, tak, że stołek spod nóg ci wytrąci, śmiejąc się do rozpuku...

Jason stropił się trochę. Rzeczywiście, Match miał rację, przykład nie był najszczęśliwszy, a sprawa poważna. Spojrzał przepaszająco.

–Widzisz, Jason, z tego, co wiem, a wiem niestety niewiele, bramy tracą swą moc.

Potrzebna im do działania energia umysłów, które je zbudowały, magia, jeżeli chcesz to tak

nazwać. Ci, którzy je swą magią ożywiali, dawno odeszli. Druidów też jakby mniej,

przynajmniej odkąd zapanowało chrześcijaństwo. Tylko w takich zakątkach, jak te i może

jeszcze inne zapadłe kąty, zachowały się bramy aktywne. Reszta została zapomniana,

kamienne kręgi porosły mchem, zapadły się w ziemię... Słuchaj, od setek lat nawet druidom nie

udaje się ich otworzyć, za mało ich, mocy, czy też magii jest za mało... Mnie udało się

przypadkiem, ale nie rozumiałem, co robię, nie mogłem wybrać, do jakiego świata, wszystko

stało się losowo... Wiesz sam, co z tego wynikło. Tylko dlatego, że nie starczyło mi sił, by ją z

powrotem zamknąć. A ponoć jestem jedynym człowiekiem, któremu w ciągu ostatnich paruset

lat udało się ją otworzyć.

Wsparł głowę na łokciach, milczał dłuższą chwilę.

–Nie zamknąłem jej, działała jeszcze dłuższy czas, póki nie wyczerpała się energia, którą

jej przekazałem. Kurwa, nawet nie wiem jak... Wypluwała z siebie wszelakie plugastwo... A

teraz...

Podniósł głowę, spojrzał Jasonowi prosto w twarz.

–Teraz ktoś ją znów obudził. Ktoś z tamtej strony. Ktoś, kto trafił tu śladem pozostawionym przeze mnie. I to, co się w tej chwili dzieje, twoje pieprzone sny i proroctwa,

wieści, które przeor przywiózł niedawno z miasta, wszystko to świadczy tylko o tym, że nie

pochodzi z najlepszego ze światów, na jaki mogłem trafić.

Jason nie odpowiedział. Wciąż coś wymykało się jego myślom, coś na granicy postrzegania, coś, jak wiedział, cholernie istotnego.

–Mówiłeś kiedyś, że druidzi potrafili otwierać bramę, trafiać do innych światów – powiedział w końcu. – Że potrafili nawiązać kontakt, odkrywać tajemnice, przynosić tajemną

wiedzę.

–Tak, ale to było dawno – wyjaśnił Match. – Może jeszcze za czasów Rzymian. Mówiłem

już, bramy słabną. Wiesz, opowiadali, że w końcu nie wystarczał już zbiorowy trans, dekokty

powodujące wizje. Było ich zresztą coraz mniej, odkąd chrześcijanie zaczęli tępić zabobony,

walczyć z dawnymi wierzeniami. W swój prosty, zwyczajny sposób, zabijając wyznawców tych zabobonów. Tak jak teraz, w Palestynie, na większą zresztą skalę. Byłem tam, wiem coś o tym...

Wspomnienia nie były zbyt miłe, Match pomroczniał jeszcze bardziej.

–Tak więc przestało to wystarczać. Spróbowano czegoś innego. Najsilniejsze

emocje

człowiek odczuwa w chwili śmiertelnego zagrożenia, na chwilę przed śmiercią...

Jason wstrząsnął się. Miał przez moment wrażenie, że to coś niepochwytanego, czającego się dokoła, dotyka go zimną ręką. Miał wrażenie, że w izdebce nagle pociemniało. Miał przeczucie jakiegoś niejasnego koszmaru, nadciągającego nieubłaganie.

Przestań, miał ochotę wrzasnąć. Nie mógł wydobyć głosu. Słuchał ze stężałą twarzą. Match nic nie spostrzegł.

–Tak, składano w bramach ofiary – głos brzmiał w uszach Jasona jak z oddali. – Nie w

ofierze bogom, tylko w nadziei, że emocje ofiar potrafią otworzyć bramę. Tak, Jason, to byli

ochotnicy, koncentrujący się z całej siły na swym zadaniu, do końca... Czasem się udawało...

Jason już nawet nie słuchał. Ze wszystkich sił starał się odpędzić nadchodzącą wizję. Nie chcę tego widzieć, nie chcę słyszeć, nie... Przycisnął pięści do skroni. Głos Matcha dobiegał wciąż wyraźnie.

–...ale brama słabła. Ofiary nie wystarczały, zaniechano ich w końcu. Jason, za sto lat, jak

mówisz, trzeba by zabić jednocześnie setki ludzi, a to jest na szczęście niemożliwe, tak w jednej

chwili... Jason... Jason, kurwa, co z tobą... Jason!

Jason ścisnął z całych sił skronie. We wzroku wbitym w jeden punkt czaił się obłąd. Z przygryzionych warg sączyła się krew. Oczy wywróciły się do tyłu, błysnęły białka... Match doskoczył, chwycił przyjaciela za ramiona. Potrzęsnał.

–Jason, kurwa, nie umieraj! – krzyknął – Jason, kurwa! Ciało zadrgało, wyprężyło się.

–Jason...

Z krawędzi dołu oderwały się grudki czarnoziemu, spadły w głąb. Odsunął się od brzegu wykopu. W dole było wszystko w porządku. Kopiający spieszyli się, zawsze się spieszą. Już niedługo, niewiele zostało.

Wytarł but uwalany lepką glebą. Dobra ziemia w tych stepach, czarnoziem. To byłoby nie potrafi wykorzystać bogactwa, jakie ma pod nogami, pomyślał.

Przecież tu powinna rosnać pszenica, te ziemie to prawdziwy spichlerz. Trzeba tylko gospodarza. Już niedługo osadnicy zaorają pola, które dadzą obfity plon przez następne tysiąclecie. Tak, jak powiedział wódz.

Rozejrzał się. Dymy snuły się po horyzoncie, gęste, tłuste dymy. Tak nie dymią ogniska czy pożary lasów. Takie dymy unoszą się wyłącznie nad palonymi sadybami, wioskami, miasteczkami. Będą unosić się dotąd, zanim nie zapanuje nowy ład.

Mimo bezchmurnego nieba z oddali dochodził łoskot, jakby zbliżającej się nawałnicy. Ale to nie była burza.

Łopaty zazgrzytały na kamieniach. Usłyszał gardłowe wrzaski, poganiające kopiących. Znow ostrożnie zbliżył się do krawędzi.

Łopaty natrafiły na wielkie głazy, tkwiące głęboko w ziemi, ułożone dziwacznie, jakby w wycinek wielkiego kręgu. Kopiący próbowali je podważać, tempo kopania wyraźnie spadło.

Gestem przywołał jednego z podwładnych, wskazał przeciwległą skarpe. Przecież ten dół nie musi być równy jak pod sznurek. Po co mają się męczyć, z drugiej strony pójdzie łatwiej...

Był z natury dobrym człowiekiem, nie podobało mu się, że jego podwładni pogonili kopiących uderzeniami i kopniakami. Rozumiał ich jednak.

Wiedział, że kopiący nie byli ludźmi, mimo iż sprawiali takie pozory. Bo czyż nie potrafili mówić, śmiać się? Czyż nie płakali, gdy coś ich zmartwiło? Nie lękali się, gdy ich przestraszyło? Nie krwawili, gdy ich zranić?

Nie umierali, gdy ich zabijać?

Nie byli jednak ludźmi. Byli niższą rasą, chwastem, który należało wyrwać. Czynnikiem rozkładu, który zatruwał społeczeństwo. Który o mało nie przywiódł go do zguby.

Wiedziało tym, więc pełnił swą trudną, niewdzięczną służbę z samozaparciem, wiedząc, że to ojczyzna nałożyła na niego tę wielką odpowiedzialność. I chociaż stokroć wolałby, tak jak wielu kolegów, stanąć z bronią w ręku, stanąć naprzeciw wroga, pełnił tę służbę z wielkim oddaniem i zaangażowaniem. Świadom zaufania, jakie pokładała w nim ojczyzna i naród.

Rozumiał swych podwładnych. Gdy zmasakrowało się uderzeniami twarzy, gdy

rozbite czaszki spływały krwią, wtedy mniej przypominali ludzi, trudna praca stawała się łatwiejsza. Znikały łudzące pozory człowieczeństwa. On nie potrzebował takich ułatwień. Do pełnienia trudnej służby wystarczała mu świadomość. Starał się ją wykonywać bez zbędnego okrucieństwa. Choć i jemu ciążyła czasem ponad miarę.

–Dreckige Arbeit – mruknął pod nosem. Ot, chwila słabości.

Ocecił postęp prac. Dół wyglądał na wystarczająco pojemny. Dziś nie dostarczono zbyt wiele materiału. Oczyszczanie okolicy miało się ku końcowi.

Już czas. Odszedł w bok, uniósł rękę.

Pierwsi padli kopiący. Jak zwykle zresztą. Padli w drgawkach, wciąż ściskając rydle i łopaty, zalewając krwią miękką ziemię. I kamienie, układające się w wycinek kręgu.

Pierwszy szereg stanął nad krawędzią wykopu. Nikt nie próbował uciekać, wyrwać się. Nigdy nie uciekają.

Dół wypełniał się ciałami. Niektórzy żyli jeszcze, próbując wydzwignąć się spod przywalających zwłok, umazani krwią, własną i cudzą. Nieistotne.

Nad krawędź wykopu przygnano drugi szereg.

Dziewczynka, na oko trzynastoletnia, czekająca w trzecim szeregu na swoją kolej zamknęła oczy. Spod zaciśniętych powiek, po umorusanych policzkach płynęły łzy. Zaciskała piąstki, nie czując, jak paznokcie wbijają się w dłonie.

Mnie tu nie ma, to mnie nie dotyczy. Nie ma tego wężu z wykopanym dołem. Nie ma tych, co za chwilę kopniakami pognają nad krawędź, nierówną już, ziejącą szczelinami powyrywanej darni. Mnie tu nie ma, nigdy nie było, to wszystko się nie zdarzy...

Drugi szereg zwałił się do dołu. Ktoś popchnął ją silnie, padła na kolana, poderwała się. Bezwolnie pobiegła wraz z innymi, stanęła nad krawędzią.

Tylko nie patrzeć, nie patrzeć w dół. To nie boli, to nie może boleć, to będzie tak, jak w bajkach, które opowiadała mama. Mnie tu przecież nie ma, gdy otworzę oczy, znajdę się zupełnie gdzie indziej, winnym, lepszym świecie. Tak jak w bajkach, wystarczy tylko chcieć, tylko bardzo chcieć...

Boję się. Boję się, mamó... Mamó...

Dlaczego tak długo...

Match ułożył Jasona na posłaniu ze skór. Jason nie odzyskał przytomności.

Zwiotczał tylko w pewnej chwili. Oddech uspokoił się.

Spał. Nie rzucał się gwałtownie. Leżał spokojnie, całą noc...

Match siedział na zydlu, trzymając rękę przyjaciela. Patrzył w twarz śpiącego. Nie wiedział, czemu Jason uśmiecha się przez sen. Spokojnym, szczęśliwym uśmiechem...

...dlaczego tak długo... Ile jeszcze każą czekać...

Dziewczynka otworzyła oczy. Zniknął dół, wypełniony drgającymi ciałami. Zniknął wąż. Nie było słycać dochodzącego z oddali łoskotu, ucichły gardłowe wrzaski oprawców. Nie było dymów snujących się w oddali.

Pod stopami miała soczystą trawę łąki, ciepły wiatr owiewał nagie ciało, wysuszał łzy na policzkach.

Oczu dziewczynki rozszerzyły się ze zdumienia. Ruszyła przed siebie, rozglądając się nieprzytomnie.

Łąkę przecinał szmerzący łagodnie strumyk, woda cicho szumiała na kamieniach. Dostrzegła konia, pijącego wodę. Na odgłos jej kroków podrzucił głowę, odwrócił się do niej, zarżał głośno.

Nie widziała jeszcze takiego konia. Podziwiała srebrną maść, długi róg sterczący z czoła.

Ruszył w jej kierunku. Biegł lekko, jakby nie dotykając kopytami trawy, płynął nad nią. Zatrzymał się przed dziewczynką.

Roześmiała się radośnie przez nieobeschnięte jeszcze łzy, wyciągnęła rękę.

Jednorożec z gracją wygiął szyję, położył miękko głowę na podołku małej Ruth.

Jason ciężko odchorował przejmującą wizję. Przez dzień czy dwa nie zwłóknął się z posłania. Leżał w chatce, spoglądał przed siebie pustym wzrokiem. Nie chciał nawet jeść.

Odezwały się dawno już, zdawałoby się, zaleczone dolegliwości. Głowa pulsowała tęnym bólem. Znów czuł ukłucia w pozrastanych przeciw już żebrach. Nie to jednak było najgorsze. Czuł się po prostu słaby, wypalony.

Match doglądał go, nie zadając żadnych pytań. Po trosze dlatego, że taki już był. Zawsze wolał domyślać się najgorszego, zamiast po prostu zapytać i wyjaśnić sprawę. Głównie jednak dlatego, że nadchodzące coraz częściej wieści były coraz

gorsze.

Zbliżał się czas decyzji. A raczej nie decyzji, ta została dawno podjęta. Trzeba było ruszać. A Match nie chciał zostawiać Jasona w takim stanie. Postanowił więc dać sobie i jemu jeszcze trochę czasu. Niewiele, jak sam sobie tłumaczył, najwyżej kilka dni...

Teraz siedział przy zbitym z topornych desek stole. Czuł się źle. Nawet te kilka dni, które postanowił sobie i Jasonowi podarować, ciążyły mu niezmiernie. Wiedział, że już czas.

Niewesoło rozmyślał, że przecież tak to się musi skończyć. Całe życie do tego dążył. Nie, nie dążył, to tylko życie do tego prowadziło. Przeznaczenie...

Przypomniawszy sobie, że już raz odmówił. Niedawno, zaledwie kilka miesięcy przed tą paskudną nocą, kiedy znalazł w lesie konającego z ran i zimna człowieka. Człowieka, który wszystko zmienił.

Match potarł czoło gestem irytacji. Zmienił? Nic w zasadzie nie zmienił. Przecież w końcu nie dowiedział się od Jasona nic. Nic, czego by wcześniej nie wiedział. Owszem, ta dziwna, ciągnąca się dniami i tygodniami spowiedź pozwoliła na uporządkowanie pewnych rzeczy. Na zrozumienie, przyjrzenie się z dystansu.

Ale nie wpłynęła na decyzję. To wszystko było zdecydowane już kiedyś, dawno temu. Wtedy, kiedy wkroczył na tę drogę, wiodącą tylko w jednym kierunku. To, że kiedyś już odmówił, nie zmieniło nic. Może tylko odwlekło.

Tak, przyjrzałem się z dystansu, pomyślał Match. I nie zobaczyłem nic nowego. Nic to nie zmieniło.

Coś przerwało tok myśli. To dziwne uczucie, jakie ma się wtedy, gdy czuje się na sobie czyjś wzrok. Zabawne, zauważył jeszcze Match, zanim się odwrócił. Wszyscy to mamy. Wszyscy wiemy, nie wiedzieć skąd, kiedy ktoś nas obserwuje. Nazywamy to przeczuciem, przyzwyczailiśmy się do tego, uważamy za normalne. A wystarczy trochę więcej, więcej czuć, więcej wiedzieć, aby uznawać to za wizję, za proroctwo. Obawiać się tego. A przecież to normalne.

Odwrócił się. Jason już nie spał, jak ostatnio przez większość dnia. Uniósł się na łokciach i patrzył przytomnie. Już bez pustego wyrazu w oczach.

Match uśmiechnął się. Ostatnio, nie wiedzieć czemu, przychodziło mu to łatwiej. I częściej.

–Lepiej? – spytał krótko.

–Lepiej – odparł Jason, znów przymykając oczy. Nie opadł jednak z powrotem na posłanie. – Lepiej nie mówić...

Wbrew swym słowom usiadł jednak po chwili. Match odetchnął z ulgą. Zaczyna się poprawiać. Jeszcze trochę i dojdzie do siebie. Można będzie ruszać, da sobie radę sam...

Istotnie, było chyba lepiej. Jason domyślił się bowiem powodów westchnienia ulgi, jakie wydał z siebie Match.

–Nic z tych rzeczy – powiedział krótko.

Match zrozumiał od razu. Ostatnio coraz łatwiej przychodziło im porozumienie. Jednak udał, że nie rozumie.

–O co ci chodzi? – spytał ostrożnie.

Jason z jękiem wstał. Match nie protestował, uznał, że skoro chce, to i tak nic go nie powstrzyma. Nie wyglądał zresztą już tak źle.

Może i nie wyglądał, ale zaraz usiadł z powrotem na przykrytej skórą pryczy, skrzywiony masując sobie klatkę piersiową.

–Match, jak dotąd zawiodłem – zaczął po chwili bez żadnych wstępów. – Nie pomogłem. Co z tego, że mam te wizje, co z tego, że wszystko mi opowiedziałeś. Ale...

–Nie oczekiwałem – wtrącił Match, spoglądając uważnie na Jasona.

–Nie przerywaj. Widziałem dużo. Ale nic nie pasuje. Nie układa się. Match milczał. Jason podjął po chwili.

–Oczekiwałeś, że wyjaśnię, wytłumaczę. Może pomogę. Nie, nie zaprzeczaj, oczekiwałeś tego. Ja zresztą też. Tak, może nawet bardziej od ciebie. Ty, wybacz, jeśli się mylę, byłeś do tego przyzwyczajony. Od lat. A ja... Ja wpadłem w to wszystko nagle, i od razu po same uszy. Nie chciałem tego, nadal nie chcę. Boję się, nawet nie tego, co przepowiedziałem, co przepowiadają inni. Boję się... siebie. Tego, co się ze mną stało. Kim się stałem.

–Czy to ma...?

–Tak – potwierdził Jason, nie czekając, aż Match dokończy. – To ma związek z tym, co niedawno zobaczyłem. Nie pytaj mnie, co... Nigdy.

Głos go zawiódł. Match bez słowa podsunął mu kubek napełniony piwem. Jak

zwykle skwaśniałym.

–Match, ja wiem, że to prawda. Że czekają nas straszne rzeczy. Nas... i ten świat.
Dlaczego

tak jest... tak będzie... Mam tylko wrażenie, tak, właśnie wrażenie, przeczucie, że
coś się tu nie

składa, nie pasuje.

Zacisnął bezradnie pięści.

–Jestem o włos... Prawie rozumiem... Może wtedy będę mógł...

–Pomóc? – spytał Match po dłuższej chwili. Bez drwiny czy powątpiewania.

–Tak, pomóc! – wybuchnął Jason. – Może to nie tak, jak myślisz. Może nie musisz
przegrać. Może coś się dlatego nie wydarzy... Nie wszystko jest przeznaczone.
Trzeba

spróbować...

Wstał, podszedł do Matcha. Przysunął sobie drugi zydel, siadł naprzeciw.

–Posłuchaj – powiedział już ciszej. – Ja się nie boję... Nie boję się o siebie, już nie.

Przecież tak naprawdę, to ja już nie powinienem żyć od dawna, od tej nocy, kiedy
mnie

znalazłeś. Teraz boję się tylko tego, co jest we mnie, co widzę... Muszę przed tym
stać. Chcę

wiedzieć, zrozumieć. Inaczej nigdy nie przestanę się bać. Nie chcę żyć, pamiętając o
tym, co

zobaczyłem...

W końcu padło to, czego Match się spodziewał od początku.

–Chcesz ruszać. Wiem, że chcesz już niebawem. To się już zaczęło. A ja, Match,
jadę z

tobą... – uśmiechnął się. – Też siedzę w tym gównie po uszy... I wiesz, ciągle mam
nadzieję. Że

zrozumiem, zanim będzie za późno. Bo jestem blisko, uwierz mi, bardzo blisko...

Decyzja została podjęta. I gdzieś w głębi duszy, wbrew sobie, Match poczuł nadzieję. Po raz pierwszy od wielu lat.

Nie mówili wiele. Bo i o czym było mówić. Obaj już od dawna wiedzieli, że tak będzie. Że coś już dawno złączyło ich losy. Popijając skwaśniałe piwo, czuli ulgę, której nie potrafili ubrać w słowa.

–Czy jesteś pewien, że to już? – Jason w końcu dotknął sedna sprawy.

–Tak – Match nie rozwodził się długo. – Już trzeba. Odstawił z niesmakiem trzymany kubek. Splunął na polepę.

–Nie pij więcej tego świństwa. Muszę i tak iść do klasztoru, przy okazji przyniosę dzbanek. Nie będzie może lepsze, ale za to świeże...

Jason z aprobatą pokiwał głową. Też by się napił.

–Pójdę z tobą – zaofiarował się.

–Nie, odpocznij jeszcze. Ja muszę pogadać z przeorem, zna mnie lepiej, powie więcej. Trzeba się dowiedzieć najnowszych wieści, wszystko zaczyna się dziać bardzo szybko. Poza tym... Poza tym muszę dowiedzieć się, gdzie w okolicy można dostać konie. Nie będziemy się wlekli do Nottingham piechotą...

–Nie do Nottingham – zaprzeczył Jason. – Najpierw musimy pojechać zupełnie gdzie indziej. Do Lincoln...

Match zawrócił od drzwi.

–Jason, teraz trzeba się spieszyć. Po co mamy jechać do Lincoln?

Był podenerwowany. Jak zwykle, gdy coś postanowił, nie znosił najmniejszej zwłoki. Chciał działać. Jason tylko z politowaniem pokręcił głową. Match był jak zwykle mało praktyczny.

–Po pieniądze, Match, po pieniądze – wyjaśnił pobłaźliwie. – Po drodze trzeba coś jeść,

gdzieś nocować. W Nottingham też utrzymanie kosztuje. A ja nie zwykłem jadać byle czego...

Nadał się dumnie. To znów był dawny Jason. Match roześmiał się rozbrojony.

–Dobrze, niech ci będzie, to w końcu niedaleko, stracimy najwyżej dwa, trzy dni –

zastanowił się. – Nawet dobrze się składa, chciałem pożyczyć od przeora na konie, i prawdę

mówiąc...

Match urwał. Jason o mało nie roześmiał się z jego zakłopotania.

**–Nie miałbyś z czego oddać? Cóż, przeor pewnie nawet nie oczekiwałby...
Wystarczy na**

ciebie popatrzeć. Nie martw się, starczy i na konie...

Match burknął coś i wyszedł.

Tak, pomyślał Jason, do Lincoln, po pieniądze. I coś jeszcze, Match, coś, co na pewno ci się przyda. Jeszcze będziesz zadowolony...

Jason uśmiechnął się do siebie. Jest jeszcze coś... Jedna zagadka, całkiem mała i nieważna. Ale łatwa do rozwiązania. Po prostu trzeba zapytać, kiedy wróci.

Na widok postawionego na stole dzbana Jasonem zawładnęły mieszane uczucia. Wolał ich głębiej nie analizować, jednak wstyd, że ma ochotę na to paskudztwo był dosyć dotkliwy. No, już niedługo, pocieszył się. Niedługo napijemy się porządnego piwa.

Otarł z brody coś, co nieudolnie imitowało pianę.

–Odpowiedz mi na jedno pytanie...

Match, odprężony przed chwilą, znów w mgnieniu oka stał się ponury i zasępiony.

–Pytaj – rzucił krótko.

–Nie, nic z tych rzeczy – roześmiał się Jason. – Nic ważnego, nie tym razem. Ale zastanawiałem się przez cały czas nad jednym, i wiesz co, nie daje mi to spokoju, taki już jestem... Zresztą, jak nie chcesz, to nie odpowiadaj...

–Jason, streszczaj się. Odpowiedziałem już na wiele pytań, to i na to odpowiem...

–Dobrze. Powiedz w takim razie, skąd to imię. Skąd imię Match?

Match nie wyglądał na zaskoczonego. Ku zdziwieniu Jasona uśmiechnął się również.

–A co, nie pasuje?

–Pasuje, pasuje! Ale skąd... Od czego to pochodzi? Czy ty sam to wymyśliłeś? Match zamyślił się na chwilę.

–Wiesz, od dawna zastanawiałem się, kiedy o to zapytasz. Spodziewałem się już wcześniej, to dlatego, że tak je czasami wymawiałeś. Jakby pytająco. Masz rację, to nie jest

moje prawdziwe imię. Zresztą, diabli wiedzą, jakie było prawdziwe. To zapewne nadała moja

przybrana matka, zacna pani młynarzowa. Musiała mieć wtedy wyjątkowo zły dzień...

–Matka nazwała cię Match? – zdziwił się Jason. – Dlaczego?

Zupełnie nie mógł zrozumieć, jak można było nazwać dziecko takim imieniem. Może zdrobnienie od Matthew? Nie, niemożliwe...

–Nazwała mnie Midge – odparł sucho Match. – Muszka. Miałeś się nie śmiać.

–Tylko się zakrztusiłem – zaprzeczył z trudem Jason, udając że ociera twarz. Miał nadzieję, że pozwoli to nie parsknąć na cały głos.

–Zakrztusiłem się – powtórzył. – To przez tę paskudną ciecz, którą uparcie trwając w błędach nazywasz piwem. Poza tym, nic ci nie obiecywałem...

–Zdawało mi się – mruknął Match. – Domyślasz się, ile kosztowało mnie to imię w młodości. A później... Później, gdy przygarnął mnie Robin, było jeszcze gorzej. Wyobrażasz sobie?

Jason przytaknął. Wyobrażał sobie znakomicie. Pociągnął łyk w nadziei, że paskudny smak pomoże mu nie roześmiać się.

–Srogi banita Muszka Młynarczyk! Tak to właśnie wyglądało. Nie wiesz, Jason, jak to utrudniało życie...

–Coś o tym wiem – zaprzeczył Jason. – Mnie, wyobraź sobie, mamusia nazwała Clever. Zdajesz sobie sprawę, jak takie imię przeszkadzało przy moim zajęciu? Gdy tylko...

Przerwał, sam dziwiąc się, jak bardzo obchodziły go te wspomnienia. Wspomnienia rodziny, którą stracił tak wcześnie.

–Gdy tylko rodzice zginęli, zmieniłem to – podjął po chwili. – Gdy ruszyłem w świat,

byłem już Jasonem.

Match pokiwał głową.

–Było ci łatwiej. Zostawiłeś wszystkich, którzy cię znali. Dla innych od zawsze byłeś Jasonem. A ja... Pomyśl, co by było, gdybym nagle kazał nazywać się, dajmy na to, Lancelotem. Piękne imię dla wojownika. Już słyszę, jak by mówili – o, Lancelot, srogi rycerz! Jaki Lancelot? No wiesz, ten. Muszka Młynarczyk... Bardzo śmieszne... Co, nie śmiejesz się?

–Nie – zaprzeczył Jason, przygryzając wargę.

–Skoro tak... – Match zerknął nieufnie. – Jak widzisz, nie tędy droga. Pomyślałem trochę, i postanowiłem inaczej. Wymawiałem swoje imię bardziej twardo. Tak, że nie brzmiało to już jak Midge, pieprzona muszka czy mały robal. I jakoś przeszło, wszyscy przyzwyczaili się, przestali kojarzyć...

Wstał z zydła, przeciągnął się, aż zatrzeszczały kości.

–Dobra, dość na dziś miłych wspominek. Jutro możemy ruszać.

–Jutro? – zdziwił się niemile Jason. – Na piechotę? To daleko...

–Prawda, nie powiedziałem ci. Jutro dostaniemy konie, niedaleko stąd. Jest taka wioska, ziemie klasztoru, chłopci tam siedzą, za odrodek. Mają tam dwa, wierzchowe, zupełnie jak dla nas...

–Skąd wierzchowe konie na takim zadupiu? – zdziwił się Jason. – Po co w wiosce wierzchowe konie?

–A, zwykły przypadek – Match machnął ręką. – Jak tylko zapytałem przeora, to ucieszył

się i od razu powiedział, że znajdzie się coś, nie trzeba nawet kupować. Ponoć jeszcze zeszłego

roku rycerz jakowys z krucjaty wracał. Popasał w tej wiosce, zwiedził się, że klasztorna. I za

uratowanie życia od Saracenów w darze klasztorowi raczył zostawić dwa wierzchowce. W

komplecie, z rzędem. Na chwałę, znaczy, Bożą.

Match pokiwał z politowaniem głową.

–Nie pomyślał, na co klasztorowi wierzchowe konie. Do zaprzęgu niezdatne...

Przeor

mówił zresztą, że przez ten czas ów hojny dar zeżarł więcej owsa, niż jest wart.

Mówił, że

gdyby był przy owym zbożnym akcie ofiarowania, to by rycerzowi takiego kota popędził... Ale

cóż, był tam wtedy tylko jakiś nowicjusz. Żeby się długo nie rozwodzić, przeor nawet nie chciał

słuchać o zapłacie. Powiedział, żeby je sobie zabrać i jechać z Bogiem... Wiesz, nie

spodziewałem się tego po nim, taki sknera...

Pokręcił głową z niedowierzaniem. Jason też, z całkiem innego powodu. Przecież konia można sprzedać. Niedaleko, na jarmarku. A jeśli to nie były zwykłe chabety, tylko ułożone, wierzchowe konie, to można poszukać i lepszej okazji. W czym problem?

Match miał jedną, istotną wadę, był łatwowierny. A Jason miał brzydkie podejrzenia. Podejrzał, że to przeor z chudej klasztornej kiesy zakupił te wierzchowce. Po to, by mogli odjechać jak najprędzej. I nigdy nie wracać.

Match spoglądał na Jasona i dziwił się niepomiernie. Dziwił się radosnemu uśmiechowi. Dziwił się sylwetce wyprostowanej sprężyście w siodle. Dziwił się spojrzeniom omiatającym z widoczną aprobatą mijane widoki. Najbardziej zaś dziwiło go to, że Jason najwyraźniej z upodobaniem chłonie otaczające ich zapachy.

Rozejrzawszy się wkoło, Match nie mógł sobie uświadomić, co z otoczenia najbardziej przypada Jasonowi do gustu. Takim samym bowiem uśmiechem przywitał widok klójących się głośno, szarpiących za odzienie pacholków, grających w kości pod miejskim murem. Z takim samym uśmiechem odprawił uprzejmie śmierdzącego okrutnie, nachalnego żebraka, prezentującego dumnie wrzody, na sam widok których Match poczuł mdłości. Ten sam uśmiech zaprezentował, pokazując palcem płynącego rynsztokiem szczura.

Istotnie, dorodny gryzoń prezentował się nader okazale, płynąc na grzbiecie z wyprężonymi łapkami, gdy tak obijał się co chwilę o wystające z obmurowania rynsztoka, nierówno ociosane kamienie. Zdawało się, że igra, ścigając się z płynącymi rynsztokiem innymi odpadkami, których Match wolał bliżej nie identyfikować. Wyglądało, że szczur ma duże szansę zwyciężyć w tym wyścigu, którego metą była przepływająca przez miasto rzeka. Prawdę mówiąc, było mu to najzupełniej obojętne – zdechł bowiem na tyle dawno, że jego wzdęty, wyleniały brzuch, który tak wystawał nad powierzchnię ścieków, świecił jasną różowością.

O ile jednak widoki nie były zbyt natarczywe – wystarczyło przecież nie patrzeć – to nie dawało się umknąć przed wszechobecnym smrodem. Match wiedział, że niedługo przestanie go dostrzegać, powonienie stępieje po jakimś czasie. Miał jednak nadzieję, że wyjadą z miasta wcześniej, niż się to stanie. Tym bardziej denerwowało go to, iż Jason węszy z wyraźnym upodobaniem.

Tymczasem Jason napawał się wszystkimi zmysłami niewidzianym od dawna miastem. Chłonał wręcz wszystkie wrażenia, które towarzyszyły mu przez większość życia, a których pozbawiony był tak długo. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo brakowało mu miejskiego gwaru, życia, widoku ludzi. Jak bardzo ciążyło życie na odludziu.

Miało swoje dobre strony, to prawda. Trochę ciszy i spokoju każdemu się przyda, pomyślał, ale nie w nadmiarze. Zaś po pół roku...

Po pół roku spędzonym w leśnym klasztorze przychodziły chwile, że Jasonowi chciało się wyć. Dość miał żywiczego, świeżego powietrza. Dość widoku ciemnych ścian lasu, otaczających pola ze wszystkich stron. Dość widywania codziennie tych samych osób, z których wszystkie, poza jednym wyjątkiem, to zakonnicy.

Pragnął gwaru, ruchu, widoku ludzkiej ciżby, zajętej swoimi sprawami. Chciał pójść na targ, obejrzeć kramy, napić się wina w gwarnym zajeździe. Może nawet przyjrzeć się występom wędrownych trefnisiów lub akrobatów. A nawet... nawet może skorzystać z oferty którejś z licznych dziewczek, które zaczepiały ich odkąd minęli miejskie bramy. Na samą myśl poczuł rozlewające się ciepło.

Czemu nie, pomyślał, przecież to już ponad pół roku, jak zdarzyło się po raz ostatni. Tak, to dobra myśl, nie wiadomo, kiedy znów trafi się okazja... Tylko co zrobić z tym...

Jason obejrzał się. Match jechał za nim z widoczną na twarzy niechęcią i obrzydzeniem. Rzeczywiście, chyba nie lubił miast. Będzie nalegał, żeby załatwić wszystko jak najszybciej i jechać dalej.

Chyba nie da się namówić, stwierdził Jason z niechęcią. Nie ma co, jak załatwimy sprawę, trzeba znaleźć jakiś pretekst, niech sobie jedzie, dogonię go później. Dużo czasu nie trzeba, załatwimy to raz, dwa...

Zadowolony ze znalezionej rozwiązania Jason zaczął się rozglądać jeszcze uważniej, szczerząc zęby do napotykanym kobiet. Wszystkich bez wyboru, nie ograniczając się do przedstawicielek jednej tylko profesji.

O dziwo, jak zauważył jadący obok Match, większość obdarzonych uśmiechem kobiet odpowiadała tak samo. Jason w darowanym przez Matcha odzieniu sprawia wrażenie dziarskiego wojaka. W uśmiechniętej od ucha do ucha pokancerowanej gębie i zawadiackim spojrzeniu było widać coś, co sprawiało, że na bezczelne spojrzenia kobiety uśmiechały się zalotnie. Żadna nie sprawiała wrażenia rozgniewanej, nie wyłączając posuniętej już w latach kobiety, najwidoczniej praczki niosącej kosz bielizny. Ta nawet roześmiała się tak piskliwie, że aż konie się spłoszyły i rzuciła w odpowiedzi jakąś uwagę o jurnych żołnierzach, co to nikomu nie przepuszczą. Popatrywała przy tym zalotnie, bardziej zresztą na Matcha, niż na Jasona. Widać milczący i ponury jurny żołnierz podobał jej się bardziej od wesołego i rozgadane.

Match nie był zachwycony tym, że część splendorów spływa na niego. Przynaglił Jasona, który przystanął i szykował się najwyraźniej do żartobliwego dyskursu z zalotną praczką, która już postawiła na bruku swój kosz i wzięła się pod boki.

Jason niechętnie ruszył dalej. Praczka też nie była zadowolona, sądząc z tego, co usłyszeli, odjeżdżając. Głos miała donośny, więc przyspieszyli, by zniknąć jej z oczu.

Chwilę jechali szybciej, jednak niebawem Jason znów zwolnił, puszczając oko do obfitej w kształtach niewiasty, stojącej za ulicznym kramem.

–Poczekaj chwilę – rzucił do Matcha. – Muszę coś zobaczyć.

Zeskoczył z konia, podszedł do kramu. Match został na środku uliczki, trzymając wodze Jasonowego rumaka. Kram był kramem bławatnym i Match nie bardzo wiedział, co chce zobaczyć Jason.

Jason od niechcienia ujął skraj zwisającego z odwiniętej beli materiału, mówiąc coś, czego Match nie usłyszał. Jejmość za kramem usłyszała za to dobrze, roześmiała się tak, aż zatrząsał się obfity, wylewający się z obcisłej, sznurowanej bluzki biust. Palcem pogroziła żartobliwie Jasonowi, trzepocząc zalotnie rzęsami. Jason, wciąż szepcząc, pochylił się konfidencjonalnie, zapuszczając żurawia w apetyczny rowek pomiędzy pulchnymi piersiami. Kramarka zachichotała i pokraśniała. Z kolei ona coś powiedziała, zbliżając twarz do ucha Jasona. Zanosilo się na dłuższą konwersację. Na razie...

–Jason, rusz się, na litość boską – jęknął głośno Match, usiłując utrzymać tańczącego w

miejscu i parsającego konia. Zwierzęciu najwidoczniej również nie odpowiadało miasto,

gwar, ruch, a przede wszystkim zapach. Trudno się dziwić, wychowane na wsi młode jeszcze

zwierzę mogło przeżyć szok, będąc po raz pierwszy w tak dużym mieście, jak Lincoln.

Koń szarpnął się znów, spłoszony przez przebiegającego obok ulicznika. Match uspokoił go z trudem, trzymając wciąż wodze wierzchowca Jasona. Drugi koń był spokojniejszy, choć też nerwowo tulił uszy i rzucał łbem.

Match postanowił, że trzeba się jak najprędzej pozbyć tych nerwowych bydląt i kupić trochę starsze, lepiej ułożone wierzchowce. Jeżeli oczekiwania Jasona się sprawdzą, będzie ich stać na zakup. Właśnie, jeśli się spełnią... Jeżeli on dalej będzie zatrzymywał się przy każdej napotkanej babie, to dziś może nic z tego nie wyjść. I trzeba będzie czekać w tych zapowietrzonych murach diabli wiedzą jak długo... Match tylko wzdrygnął się, patrząc z niesmakiem na rynsztok. Na szczęście oddalili się już od płynącego szczura. Albo on od nich...

–Jason, do diabła, jedziemy! – wrzasnął Match już głośniejszym głosem, ze złością. Jason odwrócił się niechętnie. Obfita piękność popatrzyła z urazą. Cholera, nie można odmówić babie powabu, zauważył Match mimochodem. Coś w niej jest... Albo, co bardziej prawdopodobne, też za długo siedziałem w lesie...

–Ruszamy! – powtórzył zdecydowanie.

–Wybacz, piękna pani – Jason skłonił się przesadnie, co jejmość skwitowała

wymownym spojrzeniem spod spuszczonej ręki. – Obowiązki wzywają. Pozwól, że ucałuję twoje białe dłonie...

Pochylił się i zabrał do całowania...

–Jason, szybciej... – jęknął znowu Match.

Kramarka uniosła głowę i spojrzała z wyrzutem. Jason wreszcie oderwał się od białych dłoni. Match cisnął mu wodze. Gdy Jason wszedł, przesłał kramarce całusa.

–O co ci chodzi? – spytał niechętnie, gdy wreszcie ruszyli. – Nie bądź taki... Urwał. Match

zdenerwował się.

–No, jaki? – wykrzyknął. – Jason, cholera, sam najpierw mówiłeś, że musimy zdążyć przed zmierzchem, bo dzisiaj piątek. To jak, do diabła, mamy zdążyć, skoro zaczepiasz każdą napotkaną kobietę...

–Zdążymy, nie bój się, południe dopiero. I nie każdą, do cholery, tylko te ładniejsze...

–Ładniejsze?! A ta poprzednia, to co? Po cholere ją zaczepiałeś? Jason stropił się na chwilę. Tylko na chwilę.

–Dla wprawy! – odpalił zaraz. – Poza tym, każdej się coś od życia należy, nie można być sobkiem i egoistą...

Trudno było dyskutować.

–W porządku – ton Matcha był pojednawczy. – Obiecuj mi tylko, że najpierw załatwimy to, po co tu przyjechaliśmy, a potem możesz sobie robić, co chcesz, możesz przygadywać każdą napotkaną po drodze...

–Zaraz – przerwał udobruchany Jason ze śmiechem. – Mówiłem, że tylko te ładniejsze. Nie bój się, wiele czasu nie stracimy...

–To duże miasto, Jason... – w głosie Matcha brzmiało powątpiewanie. Chwilę jechali w milczeniu. Jason rzeczywiście przestał rzucać żartobliwe uwagi mijanym kobietom, poprzestał na uśmiechach. Match zastanawiał się mimochodem, co stanie się, gdy kiedyś zaczepi dziewczynę w towarzystwie, dajmy na to, starszego brata pozbawionego wyrozumiałości i poczucia humoru. Jason prezentował jednak taką pewność siebie i opanowanie, że widocznie nie była to dla niego pierwszozna. Zapewne zdarzało się to już w przeszłości i był na to przygotowany.

Ze zdziwieniem Match spostrzegł nagle, że przestał odczuwać wszechobecny smród. Skręcili wprawdzie z brukowanej uliczki, wyposażonej po obu stronach w wypełnione rynsztoki, ale stojące wszędzie kałuże zdawały się nie różnić zawartością od rynsztoka. Ciekawe, pomyślał Match, nie padało od tygodni... Tak, to po prostu powonienie stępiało, przyzwyczaïło się... Cholera, to nie do pomyślenia, tylu ludzi na tak małym obszarze. Ludzi, którzy przecież muszą coś robić z odpadkami, wydaliniami swoimi i domowych zwierząt.

Match nigdy nie lubił miast. Uważał tłoczenie się na kupie za przeciwne naturze. Był przekonany, że to ślepa uliczka, że miasta nie mogą rosnąć w nieskończoność. Przecież, biorąc tylko jedno pod uwagę, w odpowiednio dużym mieście, gdzie ludzie siłą rzeczy będą musieli poruszać się konno, sam koński gnój będzie stanowić poważny problem. Przy zwiększaniu ilości koni pokryje ulice na sążeń grubo. A jak inaczej szybko przemieszczać się z miejsca na miejsce?

Z politowaniem przyglądał się tłoczącym się wszędzie dokoła mieszczuchom. Przekonacie się jeszcze...

Koń brnął zanurzony po pęciny w śmierdzącej kałuży. Match zwolnił trochę, by gęsta ciecz nie pryskała zbyt wysoko.

–Co z tobą, Match? – zdziwił się Jason. – Przed chwilą tak ci się spieszyło... Match zaklął tylko pod nosem.

–Przecież powiedziałem, że nie będę już... – obruszył się Jason. – Nie masz się co nadymać.

–Ja nie dlatego... – minęli wreszcie kałuże, Match poweselał nieco, widząc, jak uliczka wznosi się w górę i staje się wyraźnie suchsza. Widząc, że Jason czuje się urażony, zaczął pojednawczo:

–Jason, ja przecież nie mam nic przeciwko temu. Tylko sam mówiłeś, że trzeba się pospieszyć, więc nie rozumiem...

–Czego nie rozumiesz? – Jason był zły. – Posłuchaj, siedziałem w tym pieprzonym lesie ponad pół roku, za jedyne towarzystwo płci odmiennej mając jedynie kozy. A wybaczone, nie gustuję... Tobie dobrze, psiakrew, łazisz po tym lesie, jak po własnej izbie, możesz sobie zająć do wioski czy gdzie tam znikasz od czasu do czasu. A ja... Ja siedziałem tam jak zamknięty w klatce. Nie wiem, Match...

Jason uśmiechnął się złośliwie.

–Nie wiem, czy sobie przypominasz... – podjął. – Ale mężczyzna od czasu do czasu potrzebuje... A jeszcze na dodatek ten pieprzony las! Ci braciszku! Match, ja

mam dosyć

lasu! Ja chcę widzieć ludzi, różnych ludzi, nie tych samych co dnia! Całe życie żyłem w

miastach, brakuje mi tego, nawet tego pieprzonego smrodu! Czy wiesz, że ja sobie dziś po raz

pierwszy uświadomiłem, jak takie miasto śmierdzi? A co gorsza, że brakowało mi tego

smrodu?

Przerwał, widząc niesmak na twarzy Matcha.

–Tak, brakowało! – powtórzył. – Tak, jak tobie brakowałoby zapewne twojego lasu, twoich szerokich przestrzeni, żywicznych zapachów... Bądź tak dobry i postaraj się zrozumieć... Nie masz się co krzywić.

Popędził konia niecierpliwym kopnięciem po bokach. Przez chwilę jechali w milczeniu.

–Jason, powiedz mi jedno – nie wytrzymał Match. – Przecież ta kobieta, ta kramarka... Owszem, przyznaję, nie najgorsza. Ale przecież ma dobrze po trzydziestce...

–No to co? Wolisz młódki? – Jason pokręcił głową. – Bez sensu, wierz mi, nie ma jak dojrzała kobieta...

–W porządku, ja nie o tym... Mówiłem w tym sensie, że ona przecież na pewno ma męża, więc jak...

–No to co? – zdziwił się Jason, wcale nie obłudnie.

–Dasz mi wreszcie skończyć? – spytał oschle Match. – Nie o to chodzi... Jason znów nie pozwolił mu dokończyć.

–Mąż wyjechał po towar – odparł spokojnie. – Wróci dopiero po niedzieli, nie ma więc problemu. Kramarka jest sama w domu, dzieci już duże, pojechały z nim. Mieszka na uboczu, więc...

Dostrzegł minę Matcha, rozszerzone ze zdziwienia oczy wielkości spodków.

–Kiedyś ty się zdążył tego wszystkiego dowiedzieć? – wykrztusił Match po chwili. –

Przecież prawie z nią nie rozmawiałeś...

–Wystarczająco długo – Jason miał trudności z utrzymaniem powagi. – A co, myślałeś, że ile potrzeba, cały dzień?

–Nie powiesz przecież, że od razu jej zaproponowałeś?

–A dlaczego nie? – padło zdziwione pytanie. – Lubię jasne sytuacje, po co zwlekać?

Match z powątpiewaniem kręcił głową.

–Dobrze – powiedział Jason z rezygnacją. – Mamy jeszcze kawałek drogi, spróbuję ci

wytłumaczyć...

Mijali właśnie ostatnie domy zwartej miejskiej zabudowy. Zmierzali ku położonej nad rzeką części miasta, gdzie osiedlali się żydowscy rzemieślnicy.

–No, słucham – przynaglił Match. Jason odchrząknął niepewnie.

–Wiesz, Match, aż mi głupio... – zaczął. – Stary chłop jesteś, nijak mi trochę cię pouczać...

–Zawsze warto wysłuchać mistrza – z przekąsem odparł Match. – Nie krępuj się, gdzie mi do ciebie...

Jason zerknął podejrzliwie. Match nie wyglądał jednak na urażonego. Jason już dobrze nauczył się rozpoznawać ten specyficzny wyraz twarzy, świadczący o tym, że trafił w czułe miejsce. Tym razem chyba jednak nie, w każdym razie nie do końca...

–Widzisz, tu trzeba zdecydowania – rozpoczął wyjaśnienia. – Kobiety to lubią, nie znoszą

mazgajów, nieśmiałych, takich, co to sami nie wiedzą, czego chcą... Nie, źle mówię, wiedzą,

czego chcą, ale nie wiedzą, jak się do tego zabrać. Ja się wcześniej o tym przekonałem, zresztą

chyba nigdy kobiety mnie nie onieśmiały. A potem... Potem dochodziłem do tego, że coraz

szybciej składałem propozycje...

Match wydawał się słuchać bardzo uważnie. Słuchaj, słuchaj, uśmiechnął się w

duchu Jason, nigdy nie jest za późno na naukę. Ty po prostu, jak mi się zdaje, zbyt poważnie traktujesz kobiety. Co się dziwić, z tą twoją tendencją do dzielenia włosa na czworo...

–Aż w końcu doszedłem do optymalnej metody – kontynuował z zadowoleniem. – Do

metody, która pozwala oszczędzić wiele czasu i rozczarowań, i na ogół się sprawdza. Otóż, po

prostu, konkretną propozycję składam od razu. No i co, dobre?

Jason błysnął zębami w uśmiechu.

–Zaraz, zaraz... – Match wyglądał na lekko zdetonowanego. Metoda nie przekonywała go widać do końca.

–Zaraz – powtórzył. – Mówisz, na ogół się sprawdza. A jak nie? Coś mi się wydaje, że nieraz dostałeś po gębie...

–Tak też się zdarza – Jason zgodził się. – Ale w ogólnym rozrachunku i tak się opłaca... -dokończył triumfalnie.

Match nie skomentował. Coś w tym jest, pomyślał. Życie nauczyło go ufać mistrzom, co osiągnęli biegłość w wybranej dziedzinie.

Dom nie spodobał się Matchowi od pierwszego spojrzenia. Wysoko sklepiona pierwsza kondygnacja nie miała żadnych otworów, ani wejściowych, ani okien. Już na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że zbudowane z ciosanego wapienia mury są bardzo grube. Aby wejść do domu trzeba było wspiąć się na chybotliwe z wyglądu drewniane schodki, przylepione niedbale do ściany. Schodki prowadziły do okutych żelazem, wąskich drzwi. Wyglądało na to, że w przypadku ataku schodki można zwalić jednym pchnięciem, a wtedy, by dostać się do jedyne go wejścia będzie potrzebna drabina.

Tak, tylko że każdy, kto chciałby oprzeć drabinę o mur znajdował się w polu widzenia roztaczającego się z okien w fasadzie budynku.

Wąskich, pozbawionych szyb czy błon okien. Bardzo przypominających strzelnice.

Match spoglądał nieufnie w ciemność kryjącą się za wąskimi oknami. Nic nie mógł zobaczyć, gdy stał w popołudniowym słońcu na podwórzu. Wszystko, co mógł dostrzec w szczelinach okien było nieprzeniknioną czernią. A jednak miał przeczucie, że z tej czerni ktoś bacznie obserwuje. Właściwie nie przeczucie, miał pewność. Miał też nadzieję, że spust kuszy niewątpliwie wycelowanej przez niewidocznego

obserwatora nie jest zbyt czuły.

Z drugiej strony, nie było czemu się dziwić. Złotnicy, nader często trudniący się również lichwą, nie zamieszkiwali zazwyczaj w zamkniętych na patyk chatach, których drzwi można otworzyć kopniakiem. A jeśli któremuś się to zdarzyło, to jego kariera nie była zbyt długa.

Nie było się czemu dziwić, jednak przez to cała sytuacja nie podobała się Matchowi ani trochę bardziej. Nie lubił tak stać, wiedząc, że jest potencjalnym celem. Wiedząc, że jeżeli jego intencje zostaną ocenione fałszywie, jeżeli nie wzbudzi na pierwszy rzut oka zaufania, już za chwilę pierwszy bełt może wbić się w ziemię pod nogami jego konia. Oczywiście, o ile strzelec będzie chciał się bawić w ostrzeżenia.

Niespecjalnie polegał na zapewnieniach Jasona, że dla mieszkańców tego domu, który bardziej zasługiwał na miano niewielkiej twierdzy, jest on osobą znaną. Miał wrażenie, że Jason nie bierze pod uwagę, jak bardzo zmienił się jego wygląd zewnętrzny. Obecnie nie przywodził na myśl uczciwego kupca, pragnącego nabyć złote błyskotki lub zaciągnąć kredyt. Wręcz przeciwnie.

Co do swojego wyglądu Match nie miał złudzeń. Jedyną transakcją, jakiej przeciętny złotnik czy lichwiarz mógł oczekiwać od osoby z jego aparycją, był rozbój lub rabunek.

Match siedział sztywno na koniu, trzymając w ręku wodze, swoje i Jasona, które ten rzucił mu, zsiadając. Ręce starał się trzymać jak najbardziej na widoku, z dala od wszelkiej broni.

Jason śmiało, nie oglądając się, wszedł na schodki. Konstrukcja zatrzeszczała, jakby miała za chwilę odpaść od ściany. Rzeczywiście, nie była zbyt solidna. Jason wspiął się na szczyt, stanął przed wąskimi, okutymi drzwiami. Uniósł rękę do mosiężnej kołatki.

Nie zdążył zakołatać do drzwi. Uchyliły się bezszelestnie na dobrze naoliwionych zawiasach. Nie padło ani jedno słowo zaproszenia, jednak Jason odwrócił się i z uśmiechem spojrzał na Matcha.

–Przywiąż konie i chodź – krzyknął. Sam zniknął w ciemnym wejściu. Widać była to zwykła procedura – gdy już otwierano drzwi, to nie były już potrzebne żadne pytania. Match

zeskoczył z wierzchowca, uwiązał oba konie do barierki. Wstąpił na trzeszczące i uginające się

wyraźnie pod jego ciężarem koślawe schodki.

Zaraz za zewnętrznymi drzwiami był szeroki, ciemny korytarz prowadzący do jasno oświetlonej woskowymi świecami izby bez okien. Młody mężczyzna zamknął za Matchem drzwi, gdy ten tylko przekroczył próg i postąpił w głąb korytarzyka. Nie odezwał się ani słowem.

Match dołączył do Jasona, który stał na samym środku oświetlonej izby. Rozejrzał się. Przed nimi, za niskim stołem starszy, siwobrody człowiek wstawał na powitanie. Poza stołem w izbie znajdowały się tylko dwie ciężkie, dębowe ławy pod bielonymi ścianami i zamczysta, okuta żelazem skrzynia za stołem.

–Panowie sobie życzą? – spytał siwobrody mężczyzna. Głos miał cichy i spokojny.

Jason poruszył się niespokojnie. Mężczyzna spoglądał wyczekująco. Młodszy, też brodaty,

lecz z brodą jeszcze nie posiwiął, uporał się z licznymi zasuwami w drzwiach wejściowych i także wszedł do izby. Bez słowa usiadł na ławie pod ścianą.

–Jak to... – Match ze zdziwieniem spostrzegł zmieszanie w głosie Jasona. –
Przyjechałem

po pieniądze, Izaaku...

Siwobrody Żyd ze zrozumieniem pokiwał głową. Sprawa była jasna. – A, po
pieniądze, oczywiście...

Jason odetchnął z wyraźną ulgą, uśmiechnął się do starego. Ten, również z
uśmiechem nadal kiwał głową.

–Po pieniądze... – powtórzył. Zerknął z ukosa na Jasona. – Jakie pieniądze? –
zapytał

zniecka.

Uśmiech spłynął z twarzy zapytanego.

–Jak to, jakie pieniądze? – wykrztusił Jason zaskoczony. – Przecież... przecież moje
pieniądze... Te, które u ciebie zostawiłem...

Żyd nie uśmiechał się już. Był wręcz śmiertelnie poważny.

–Szlachetny pan nie ma u mnie żadnych pieniędzy – odparł sucho.

–Nie rozumiem... To co się z nimi stało? Przecież zostawiłem je, ostatni raz, zaraz,

poczekaj, przypomnę sobie...

Z namysłem potarł czoło.

–Będzie rok temu! – wykrzyknął niemal. – Tak, rok temu, wtedy...

–Szlachetny pan nie zostawił u nas żadne pieniądze – przerwał lichwiarz.

Jason zamilkł zdetonowany. Spojrzał bezradnie na Matcha. Ten wzruszył tylko ramionami. Sam nie miał żadnego doświadczenia w deponowaniu oszczędności. Z prostej przyczyny -wszystko, co miał, wydawał natychmiast, nie mając zaufania do lichwiarzy. Zresztą miewał na ogół niewiele. Teraz odczuwał niejaką satysfakcję, widząc jak na dłoni potwierdzenie swych przekonań.

Trudno, pomyślał, i tak od początku nie wierzyłem w te wspaniałe zasoby na czarną godzinę. Szkoda tylko, że straciliśmy tyle czasu na przyjazd do tego zapowietrzonego miasta. Cholera, do tej pory radziliśmy sobie bez grosza, to i teraz poradzimy. Chwalić Boga, woda w strumieniach jest za darmo, a i za królewskie jelonki w lesie dotąd nie zdarzyło się płacić. A on może będzie miał nauczkę...

Jednak mina Jasona świadczyła o tym, że ma on zgoła inne podejście do spraw majątkowych. Powoli zdziwienie na jego twarzy przeradzało się w złość. Match doszedł do wniosku, że trzeba go jak najprędzej wyprowadzić z tej jaskini wyzysku, zanim wścieknie się bardziej i narozrabia. A i tak nic nie zwojuje, w najlepszym wypadku wyrzucą ich na zbity pysk. Przecież nie ma żadnego kwitu, nic, tak się chwalił swym zaufanym lichwiarzem. No cóż, ma za swoje...

Match delikatnie, by nie doprowadzić Jasona do większej złości, pociągnął go za rękaw. Na nic się to nie zdało.

Jason szarpnął się ze złością. Postąpił krok ku lichwiarzowi. Młodszy mężczyzna podniósł się powoli z ławy. Był duży.

–Do cholery, przecież dawałem ci je przy świadkach! – wybuchnął Jason. Stary Żyd uniósł brwi w niemym zapytaniu. Jason oskarżycielsko wskazał młodszego brodacza.

–Przy nim! Poznają go... Młodszy pokręcił głową.

–Wybaczcie, panie, nie znam was – powiedział przeproszająco, lecz z naciskiem. Jason tylko pokręcił głową. Wyglądało na to, że nie może już nawet nic wykrztusić. Poczerwieniał tylko, Match dostrzegł nabrzmiałe żyły na szyi.

Siwobrody uśmiechnął się lekko.

–Dawidek! – krzyknął.

Drzwi za stołem otworzyły się i do izby wpadł rzeczony Dawidek. Miał około czternastu lat, ubrany jak pozostali, lecz nosił jeszcze skórzany fartuch. Nie miał brody.

–Nigdy tego pana nie widziałem! – wrzasnął, zanim stary Żyd zdążył o cokolwiek zapytać.

–Nigdy!

Lichwiarz nagroził czeladnika klepnięciem w plecy.

–Wracaj do pracy. Czeladnik zawrócił na pięcie.

–Zaczekaj – rzucił za nim stary. – Mówię, do pracy, to znaczy do warsztatu, nie podsłuchiwać pod drzwiami...

Chłopak popatrzył wzrokiem pełnym urażonej niewinności.

–Za szybko wszedłeś – wyjaśnił złotnik. – Znam ja ciebie, ladaco...:

Gdy Dawidek zniknął, Jason parsknął przez chwilę ze złością. Match obawiał się, że za chwilę wybuchnie, ale on tylko odwrócił się i powiedział:

–Chodź, Match, nic tu po nas...

–Zaraz, do cholery – i dla Matcha tego już było za wiele. – Bez przesady! Może i nie dostaniesz swoich pieniędzy, ale...

Match sam nie wiedział, co jeszcze można zrobić. Wierzył Jasonowi, nie przypuszczał przecież, by ten dla wymagowanych pieniędzy tłukł się wiele mil do Lincoln. Cholera, można im chociaż nawrzucać, niech sobie nie myślą... Wściekłym spojrzeniem obrzucił starego Żyda.

Jednak Jason pociągnął go zdecydowanie do wyjścia.

–Chodź – powtórzył. – To na nic...

Match chwilę stał niezdecydowany. W końcu to twoje pieniądze, zdecydował wreszcie. Ruszyli do wyjścia.

Nie zrobili nawet trzech kroków, gdy usłyszeli za sobą skrzypienie.

–Zaczekajcie – powiedział lichwiarz schylony nad okutą skrzynią, unosząc z wysiłkiem wieko.

–Oto wasze pieniądze, panie – powiedział, kładąc na stół dobrze wypchany skórzany worek.

Match nic już nie rozumiał. Nie rozumiał uśmiešku błakającego się po twarzy Jasona.

–Zaraz, do cholery – spytał. – Jason, o co tu chodzi? Jason wzruszył ramionami. Wskazał na siwobrodego Żyda.

–Zapytaj go – poradził.

Match był zdezorientowany. Stary Żyd również uśmiechał się nieznacznie, jakby czegoś oczekiwał.

–No dobrze – powiedział Match wreszcie. – Skoro teraz zamierzasz wypłacić, co się należy, to po co było to wszystko? Te kręactwa?

Lichwiarz rozpromienił się. Na to pytanie czekał od dawna. – Bo widzicie, panie, chciałem wam pokazać...

–Co pokazać? – przerwał Match zimno. – Może wyjaśnisz...

–Chciałem pokazać, z jakimi skurwysynami ja muszę pracować! – dokończył Żyd triumfalnie. Widząc osłupienie na twarzy Matcha, Jason parsknął śmiechem. Młodszy Żyd

przyłączył się do gromkiego wybuchu wesołości. Za drzwiami dał się słyszeć cienki chichot

Dawidka.

Jason postąpił do przodu, objął siwobrodego.

–Witaj, Izaaku – powiedział serdecznie.

–Jason, stary oszuście – oczy Izaaka zaszklily się podejrzenie. – Żyjesz! A mówili...

–Nie wierz plotkom! – roześmiał się Jason. – Mnie nie tak łatwo... Lichwiarz spojrzał na blizny, pokręcił tylko głową.

–Wiesz, myślałem już, że się nie nabierze – Jason wskazał na Matcha, który nie wiedział, śmiać się czy złościć. W końcu wybrał to pierwsze, dołączając do ogólnej wesołości.

–Každy się nabiera – Żyd wzruszył ramionami. – Przypomnij sobie, ty nawet dwa razy...

–Gdzie tam, dwa razy! – oburzył się Jason. – Ten drugi raz, to tylko po to, żeby ci zrobić przyjemność...

–Jasne – w głosie Izaaka brzmiało wyraźne powątpiewanie. – Żeby mi zrobić przyjemność, wypadłeś stąd jak oparzony. Dawidek dogonił cię przy bramach miejskich...

Match zrozumiał, że tych dwóch zna się nie od dzisiaj. I że łączy ich coś więcej niż tylko wspólne interesy.

–Wiesz – podjął po chwili Jason. – Z początku obawiałem się, że naprawdę mnie nie poznasz. Jak widzisz, zmieniłem się nieco...

–Poznałem od razu...

–Opowiadasz... Chociaż, rzeczywiście, otworzyłeś drzwi bez pytania, mimo, że mało przypominam tego, którego znałeś. Cholera, jak wchodziłem na te twoje schodki, nawiasem mówiąc, diabelski wynalazek, dziwię się, że jeszcze nikt z nich nie spadł i nie skręcił karku... Jak wchodziłem na te schodki, to przez cały czas obawiałem się, że weźmiesz nas za rzezimieszków. Zwłaszcza jak popatrzysz na niego...

Jason wskazał Matcha i uśmiechnął się złośliwie.

–Poznałem od razu – powtórzył poważnie Izaak. – Człowiek może się zmienić, nawet bardzo zmienić. Ale oczu nie zmieni nigdy... A poza tym, rzezimieszek, który przybywa

samowtór w biały dzień, to musi być bardzo głupi rzezimieszek...

Żyd wymownie wskazał na wąskie szczeliny pod sufitem izby. Match zaklął pod nosem, dopiero teraz je spostrzegł. W lesie łatwiej zauważyć niebezpieczeństwo, pomyślał ze złością.

Szczeliny mogły służyć do wentylacji pozbawionej okien izby. Mogły też do czego innego...

Tak, zdenerwowany klient pozbawiony zdolności kredytowej nie miał wielkich szans na okazanie złości.

–Siadajcie, panowie – lichwiarz wskazał ławy pod ścianami. – Wybaczcie, nie mamy

wiele czasu, jeżeli chcemy dziś załatwić sprawę, sami wiecie...

Match z braku lepszego zajęcia rozglądał się po izbie. Jason siedział przy stole, na niskim zydłu przyniesionym przez Dawidka. Wraz z Izaakiem sprawdzali rozliczenia.

Początkowo Jason stanowczo odmawiał przeprowadzania rozliczeń. Tłumaczył, że nie zamierza zabierać całego depozytu, że zostawia resztę, więc na rozliczenia jeszcze jest czas. Mówił, że przecież ma zaufanie. Izaak jednak nalegał.

Siedzieli więc przy stole, licząc monety wytrząsane na blat ze skórzanych woreczków. Żyd rachował coś, zgrzytając rysikiem na łupkowej tabliczce.

Od zgrzytania Match czuł mrowienie w szczękach. Próby rozmowy z siedzącym na ławie pod przeciwległą ścianą młodszym Żydem spelzły na niczym, zbywał on wszelkie zagadnięcia półsłówkami, wreszcie przymknął oczy, dając wyraźnie do zrozumienia, iż nie jest zainteresowany rozmową.

Match rozglądał się więc po izbie. Pierwszy raz w życiu był w takim miejscu, spotykał się z przedstawicielem takiej profesji. Oczywiście, widywał już wielu złotników. W przypadku siwobrodego Izaaka złotnictwo było jednak najwidoczniej tylko przykrywką dla właściwego zajęcia – pożyczania pieniędzy na procent. Krótko mówiąc, lichwiarstwa.

Match nie dziwił się już środkom ostrożności podejmowanym przez lichwiarza. Nie dziwił się, że mieszka w fortecy, jak ocenił, trudnej do zdobycia nawet przez wyszkolonych żołnierzy. Co dopiero mówić o zwykłych rabusiach. Jednak co innego zaprzątało jego uwagę – lichwa była procederem zakazanym i wyklętym przez Kościół. A tymczasem Izaak nie wydawał się czynić ze swego zajęcia wielkiej tajemnicy...

Spoglądając mimo woli na stół, Match uświadomił sobie ze zdziwieniem, że Jason jest niezwykle majątnym człowiekiem. Nie wiedział, że gra w kości może być zajęciem tak dochodowym...

–Więc to byłoby tyle – Żyd podał Jasonowi łupkową tabliczkę z kolumnami cyfr. Jason wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym pokręcił głową.

–To się nie zgadza – powiedział. Izaak jeszcze raz sprawdził.

–Jason, tak musi być, inaczej nie wychodzi – odparł niespokojnie. – Nie mogę...

–To za dużo – przerwał Jason. – Nie zostawiłem ci tyle, a widzę, że doliczyłeś...

–Tyle się należy. Procenty policzyłem najuczciwiej, jak mogłem...

–Nie zostawiłem ci tyle – Jason nie pozwolił dokończyć. – Izaaku, to był depozyt, nie pożyczka. Ja nie...

–Nie pożyczasz na procent? – spytał zimno Izaak. – Bo co, nie godzi się? Jason, obracałem twoimi pieniędzmi przez lata. Przynosiły dochód. Część z niego należy się mnie, bo to ja spowodowałem, że zarabiała na siebie, nie leżały bezczynnie. Część do ciebie, bo to twoje pieniądze, twój kapitał. Ty go wypracowałeś, w taki czy inny sposób. Więc nie opowiadaj teraz, że ci się nie należy...

Jason próbował coś wtrącić, jak się okazało, nie w porę. Żyd uniósł się gniewem.

–Jason, myślałem, że ty jesteś inny – wybuchnął. – Tak, wiem, że lichwa jest zakazana.

Myślisz, że dlaczego mam takie dochody?

Match nadstawił ucha. Zaczynało być ciekawe.

–Otóż dlatego właśnie, mój panie, że jest zakazana! Dlatego, że sam biskup Lincoln, gdy

już rzuci z ambony swoje klątwy na krwio pijców, co jeszcze poza tym ukrzyżowali Chrystusa,

to po pieniądze przychodzi właśnie do mnie! I płaci te nieludzkie procenty sumiennie i w

terminie! Bo gdzie ma pójść? Do hrabiego, który pożyczy mu na piękne oczy i bez procentów? To ja się pytam, gdzie w tym interes? Pieniądz musi na siebie zarabiać. Wam się tylko wydaje, że można go najwyżej przepić, stracić, albo w najlepszym wypadku zakopać pod paleniskiem! Jason, myślałem, że chociaż ty jesteś inny...

Izaak podniecony wymachiwał rękoma w szerokiej gestykulacji.

–Myślałem, że jesteś mądrzejszy, pozbawiony tych przesądów...

–Posłuchaj, to nie tak – Jasonowi udało się wreszcie wtrącić, gdy Żyd umilkł na chwilę dla zaczerpnięcia oddechu. – Źle mnie zrozumiałeś...

Izaak sapał gniewnie, szarpiąc swą wspaniałą siwą brodę.

–Gdy zostawiałem ci pieniądze – ciągnął Jason cicho z wzrokiem wbitym w blat stołu. –

Gdy je zostawiałem, chciałem tylko, żeby były bezpieczne. Żebyś przechował je dla mnie. Nic

więcej nie oczekiwałem, nie spodziewałem się.

Głos mu stwardniał.

–Dziękuję ci za to. Jeżeli jednak mówię, że za dużo, to nie dlatego, że mam jakieś przesady, że tobą gardzę, jak to właśnie insynuujesz. Wiesz przecież, że tak nie jest...

Izaak zmieszał się.

–Wybacz – powiedział po chwili. – Nie będę się usprawiedliwiać, wiem, że akurat ty...

–Daj spokój – przerwał Jason. – Daj spokój...

Tak, to nie była zwykła znajomość, zauważył Match. To nie tylko interesy łączyły tych dwóch, tak różnych od siebie ludzi...

Izaak chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz Jason zdecydowanym ruchem sięgnął po łupkową tabliczkę.

–Wracajmy do rzeczy – powiedział rzeczowo. – Powiedz jeszcze raz, jak sprawy wyglądają...

Wkrótce wyglądało, że rachunki zadowolily obydwu. Jason zaczął wkładać monety z powrotem do woreczków. Zważył jeden w dłoni.

–To powinno wystarczyć – powiedział zdecydowanie. – Schowaj resztę...
Uśmiechnął się

szeroko.

–I postaraj się, żeby na siebie zapracowały. Ciekawe, ile będzie, jak przyjadę tu znowu...

Spoważniał. Jeżeli przyjadę, pomyślał. Izaak spostrzegł zmianę na jego twarzy. Chciał o

coś zapytać, lecz wstrzymał się w ostatniej chwili.

–Jeszcze jedno, Izaaku – powiedział Jason. – Chciałem odebrać coś jeszcze. Wiesz, znalazłem kogoś, kto zrobi z tego dobry użytek...

Żyd spojrzął na Matcha. Jason potwierdził skinieniem głowy.

–Dawidek! – zawołał Izaak.

Czeladnik zjawił się jeszcze szybciej niż przedtem.

–Zaraz przyniosę! – rzucił prędko i obrócił się na pięcie.

–Znowu podsłuchiwał – Izaak popatrzył melancholijnie za chłopakiem. – Trzeba będzie

poczekać, zanim znajdzie.

Gestem przywołał młodszego mężczyznę, który podniósł się z ławy i wysłuchał przekazanych półgłosem poleceń. Zaraz potem zniknął za drzwiami.

–Napijcie się wina – wyjaśnił Izaak. – Zaraz przyniosą. Wybaczcie, że nic więcej, ale wieczór się zbliża...

–Tak, wiemy – odparł Jason. – Nie będziemy ci zabierać czasu, i tak pora nam w drogę...

Match zdziwił się. Był pewien, że Jason ma na dzisiejszy wieczór zgoła inne plany.

Jason chciał powiedzieć, żeby Match przysunął ławę do stołu, nie zdążył jednak. Drzwi

otworzyły się i stanęła w nich dziewczynka, niosąca gliniany dzban.

Jasonowi głos uwiązł w gardle. Poblądł śmiertelnie.

Dziewczynka miała około trzynastu lat. Potrząsnęła głową, rozsypując czarne włosy na ramionach. Uśmiechała się.

Błada, umorusana twarz, na której lży wyżłobiły wilgotne ścieżki. Obłądny strach w ciemnych oczach...

Jasonowi pociemniało przed oczyma. Oburącz ścisnął z całej siły skronie. Ktoś chwycił go za ramię, potrząsnął.

Otworzył oczy. To Match podskoczył ze swej ławy, chwycił w ostatniej chwili, zanim Jason upadł na kamienną posadzkę.

Powoli, z lękiem podniósł wzrok na dziewczynkę. Uśmiechała się niepewnie, na twarzy nie było śladu łez. Izaak spoglądał na Jasona.

–Co się stało? – spytał z niepokojem. – Saro, postaw ten dzban, przynieś mokrą szmatę z kuchni, może okład na głowę...

–To nic... nic – wymamrotał Jason z wysiłkiem. Match podtrzymywał go wciąż.

To nie mogła być prawda, tłukło się w głowie Jasona. Tego, co wtedy widziałem, nie będzie, nie może być... To tylko... Tylko... Wyprostował się całym wysiłkiem woli.

–To tylko... – wychrypiał przez ściśnięte gardło.

–To tylko skutki ran, jeszcze nie do końca zaleczone – wtrącił szybko Match. – Zaraz mu będzie lepiej. Prawda, Jason? – spytał z naciskiem.

Domyślał się, co zobaczył Jason. Choć on sam nigdy mu tego nie powiedział, Match zapamiętał dobrze jego majaczenia. Za dobrze.

–Tak, zaraz będzie lepiej... – wyszeptał Jason ochryple. – To minie...

Dawidek przyniósł długi pakunek, zawinięty w natłuszczone, przewiązane konopnym sznurkiem szmaty. Podał go Izaakowi, który zważył go w dłoniach.

–Proszę – powiedział, przekazując pakunek Jasonowi. – Poczekaj, weź nóż, łatwiej ci

będzie... – dodał widząc, jak Jason mocije się ze sznurkiem.

Match widząc kształt pakunku domyślił się, co jest w środku. Nie sposób było się pomylić. Jason niecierpliwie przecinał zaciśnięte, trudne do rozwiązania węzły. Zaczął odwijać szmaty.

Płomienie świec błysnęły, odbijając się od natłuszczonej klingi. Match aż westchnął z zachwyty i zaskoczenia.

Miecz miał klasyczną normańską oprawę. Prosty, krzyżowy jelec bez żadnych ozdób, długą rękojeść obciążoną jaszczurem. Zaskakująco małą gałkę na końcu rękojeści, stanowiącą przeciwwagę dla klingi. Widać klinga, mimo swej długości, była bardzo lekka.

Jason ujął miecz w połowie klingi, przezornie chwytając nie gołą ręką, ale przez szmatę. Wstał, wyciągnął miecz rękojeścią w stronę Matcha. Match również wstał. W tej scenie było coś symbolicznego.

–Weź – powiedział Jason po prostu. – To dla ciebie...

Match czuł ściskanie w gardle. Jason nie był suwerenem, dającym miecz swemu lennikowi. Nie był mityczną Panią Jeziora, która jak wiadomo zawsze daje miecze

wybranym. Jednak coś w tym geście było takiego, że Match nie potrafił wypowiedzieć słów, które cisnęły mu się na usta. W końcu nie powiedział nic, ujął tylko rękojeść, która przylgnęła mu do dłoni. Jakby zawsze dla tej dłoni była przeznaczona. Jason rozchylił wolno palce ręki trzymającej klingę, natłuszczona szmata opadła na posadzkę...

Match uniósł miecz, błysnęły płomienie świec odbite przez klingę. Stał tak przez chwilę, czując idealnie zbalansowany ciężar. Odstąpił krok do tyłu, zamachnął się.

Klinga świsnęła w powietrzu, zataczając szeroki łuk. Płomień grubej, woskowej świecy lekko zamigotał. Match opuścił broń, popatrzył na świecę. Usłyszał westchnienie Izaaka.

Podszedł bliżej, sztychem miecza trącił lekko. Kawałek grubej świecy, czysto przeciętej w dwóch trzecich wysokości spadł, plamiąc roztopionym woskiem kamienną posadzkę.

Izaak odprowadził ich na podwórze. Match troczył do siodła swój nowy miecz, w czarnej, okutej, pokrytej skórą pochwie. Uśmiechnął się, przypomniawszy sobie, ile czasu stracił Dawidek na znalezienie tejże pochwy, a także ile kuksańców otrzymał w międzyczasie od starego Żyda.

Jason stał przed Izaakiem, najwyraźniej nie wiedząc, co powiedzieć na pożegnanie. Izaak wybawił go z kłopotu.

–Wróc niebawem – powiedział po prostu. Jason pokiwał głową.

–Postaram się – odpowiedział.

–Wiesz, że zawsze na ciebie czekamy – dodał Żyd.

–Tak – uśmiechnął się Jason. – Po to, żeby powiedzieć, że mnie w życiu nie widziałeś...

Spoważniał.

–Izaak, jeszcze coś... – zaczął.

–Jason, zbieraj się, do cholery – przerwał Match z naciskiem. – Nie zawracaj człowiekowi... Dzięki, Izaaku, ale na nas już czas – dodał, zwracając się do starego. – Jason, kurwa, ile razy mam jeszcze...

–Izaak... – Jason nie zamierzał słuchać. Match postanowił dobrze klepnąć jego wierzchowca w zad. Nie zdążył.

–Izaak, uważaj na siebie. I na swoich... – Jason mówił z trudem, Izaak patrzył poważnie, jakby w przeczuciu czegoś niedobrego.

–Idą złe czasy... – ciągnął Jason.

–A kiedy dla Żyda są dobre czasy? – uśmiechnął się Izaak melancholijnie. – No powiedz, kiedy? Dla Żyda są tylko złe, a czasami gorsze... Nie martw się, przywykliśmy...

Poklepał Jasona po ramieniu.

–Jedź już – powiedział. – Ty też na siebie uważaj...

Leżąc na derce przy ognisku, Jason dziwił się niepomierne. Jak miły jest zapach tłących się, grubych polan. Jak kojąca jest wieczorna, leśna cisza, przerywana jedynie trzaskaniem płonącego drewna i głosami nielicznych ptaków. Jak od czasu do czasu szumią korony wysokich sosen, poruszane lekkim, wieczornym wiatrem.

Jak przyjemnie oddycha się zapachem żywicy i igliwia.

Co się ze mną stało, zastanawiał się leniwie. Odzwyczailem się, cholera. Te pół roku w lesie, to było co najmniej o pół roku za dużo. Delikatny się zrobiłem, psiakrew, zacząłem doceniać świeże powietrze. Ciszę i spokój. Albo się starzeję, albo...

Samemu trudno było mu się przyznać, ale pobyt w mieście zmęczył go. Toteż po załatwieniu spraw z Izaakiem nie wspomniał nawet o wcześniejszych planach, o zabawie w damskim towarzystwie, noclegu w gościnnej oberży. Przedtem myślał, że największą przyjemność sprawi mu upicie się w gwarnej karczmie i zwalenie pod stół. Jednak coś gnało go z miasta.

Składał to początkowo na karb wstrząsu, jaki przeżył ujrawszy młodą Żydówkę. Sarę... Taką samą, młodziutką, wielkooką żydowską dziewczynę, jak ta, którą widział... Nie, nawet nie chciał wspominać swej okrutnej wizji. Nie chciał, ale wciąż nie mógł zapomnieć.

Jednak to nie tylko to. Przecież upicie się w gwarnej karczmie czy figle z panienką, niech tam, nawet taką, co daje za pieniądze... Jasne, zawsze przyjemniej *par amour*, jak mawiali na kontynencie, ale kiedy mało czasu... A poza tym, stać go przecież...

Jason poklepał z lubością przytroczony do pasa opasy mieszek. Lubił mieć pieniądze, nigdy tego przed sobą nie ukrywał. Dawały poczucie pewności siebie. Poza tym, to właśnie pieniądze, a nie co innego, pozwoliły wielokrotnie wyrwać się z opresji. Sztukę dawania

łapówek miał bowiem opanowaną do perfekcji, zawsze przedkładał łapówkę nad

brutalną siłę przy rozwiązywaniu wszelkich problemów.

Wracając do rzeczy, pomyślał. Wracając do rzeczy, to nie chodziło tylko o Sarę, o wspomnienie wizji, wywołane jej widokiem. W tej sprawie pozostanie w mieście i rzucenie się w wir rozrywek na pewno by pomogło. Pomogło zapomnieć. Chodziło jednak o to, jak stwierdził z niechęcią, że miasto zaczęło działać mu na nerwy...

Ładne rzeczy, dumął szczerze zmartwiony. I co ja teraz zrobię, jak to wszystko się skończy? Przecież, do cholery, nie osiądę na jakiejś pieprzonej leśnej polanie, żeby za jedynych towarzyszy rozmów mieć na przykład borsuki! Albo braciszków z klasztoru, co zresztą na jedno wychodzi, i z jednymi, i z drugimi zakres tematów do konwersacji był znacznie ograniczony. Cholera, trzeba będzie się znowu przyzwyczaić...

Jakby wbrew sobie znów z lubością wciągnął w płuca rzeńskie, leśne powietrze. Mimo swych licznych wad las ma swoje niezaprzeczalne zalety. Pociągnął nosem. Tak, stwierdził samokrytycznie, jedyne, co tu śmierdzi, to my... Trudno, dwa dni jazdy w upale zawsze mają taki skutek. Trzeba będzie znaleźć jakąś rzeczkę, i to jak najszybciej...

Gdy wyruszyli sprzed domu złotnika, sam nie wiedząc jeszcze dlaczego, skierował się od razu w stronę bram. Na pytające spojrzenie Matcha odpowiedział krótko, że zmienił zdanie, że powinni jak najszybciej wyjechać z miasta. Spodziewał się, że Match przytaknie z radością, tak przecież przedtem zrywał się na konieczność pobytu w mieście. Match nie okazał radości, lecz Jason nie zwrócił wtedy na to uwagi. Zbyt mu się spieszyło.

Teraz dotarło do niego, że gdy Match usłyszał, co zdecydował, zrobił się nagle milkliwy. I sprawiał dziwne wrażenie, jakby miał coś za złe. Nawet teraz, gdy po znalezieniu zacisznej polanki rozpalili ogień i przygotowali się do noclegu, nie odzywał się. Jason poznał go już na tyle, iż zorientował się, że jest obrażony. Nie za bardzo, widywał już gorsze stany, ale zawsze.

Niech to szlag trafi, on chciał zostać, zorientował się wreszcie Jason, obserwując Matcha spod oka. Tak, mimo iż nic nie mówił, krzywił się, to przecież chciał zostać w mieście. Po prostu chciał iść na dziewczki...

Jason ledwo powstrzymał się, by nie parsknąć śmiechem. W ostatniej chwili, widząc badawcze spojrzenie Matcha, udał atak kaszlu. Match spoglądał spod oka, a widząc w jego oczach urazę, Jason począł zanosić się sztucznym kaszlem, udając, że to dym z ogniska podrażnił mu gardło.

Żeby to ja wcześniej wiedział, pomyślał, gdy Match w końcu zajął się znów swoimi sprawami. To znaczy znów zaczął udawać, jak bardzo jest pochłonięty grzebaniem w

swej podróżnej sakwie.

Zupełny brak wrażliwości na potrzeby bliźnich, skarcił się w duchu Jason. Przecież wiesz, durniu, jaki on jest. Założę się, że nigdy w życiu... A, co tu gadać... On po prostu ma zbyt poważny stosunek do kobiet. Dla niego to musi być od razu wielka miłość, najlepiej tragiczna. Wtedy czuje się najlepiej, wtedy, kiedy ma się czym martwić. A w dodatku jest nieśmiały i

wrażliwy, choć to ostatnia rzecz, do jakiej by się przyznał. Nie potrafi tak po prostu, ot tak, żeby było przyjemnie... Chociaż bardzo by pewnie chciał. Teraz liczył na to, że tak we dwóch, to może będzie łatwiej. Uważał mnie, psiakrew, za mistrza... A ja, ja go po prostu zawiodłem, zignorowałem jego oczekiwania... Tak, Jason, marny z ciebie przyjaciel...

Jason nie bardzo wiedział, co można teraz zrobić. W końcu zdecydował, że i tak tym razem nic nie poradzi. Wiedział, że wszelkie próby napomknięcia czegokolwiek na ten temat skończą się tym, że Match obrazi się jeszcze bardziej. Że uzna to za kolejny przejaw litowania się nad nim. Tego zaś po prostu nie znosił.

Nie ma co, zdecydował Jason, trzeba poczekać, aż sprawa przyschnie. Aż mu przejdzie... Swoją drogą, przecież jak tak na to popatrzeć, to baby aż piszczą do niego. W mieście to co druga gapiała się na niego. Właśnie na niego, nie na mnie, mimo iż to ja zagadywałem, uśmiechałem się. A on tylko sterczał sztywno w siodle, jak nie przymierzając drużbie na weselu... Z tą swoją nieufną miną. Ani razu się nie uśmiechnął, nie mrugnął nawet... Szkoda gadać, nic z tego nie będzie, sam nic nie wykombinuje...

Jason postanowił solennie, że przy najbliższej okazji zrobi wszystko, co w jego mocy... Że nie dopuści, tak jak dziś, do zlekceważenia oczekiwań przyjaciela. Chociaż pewnie nie będzie to proste, począł się obawiać. On już taki jest, po prostu, jak coś sobie wbije do głowy, to nie da rady. Może kiedyś miał jakieś przykre doświadczenia? O to przecież nie trudno, zwłaszcza z tą jego nieszczęsną tendencją do przyjmowania wszystkiego śmiertelnie poważnie. Może kiedyś jakaś kobieta uraziła go czymś, a on, jak to zwykle wycofał się bez słowa, by cierpieć w samotności i w milczeniu? Głupieję całkiem, skarcił się Jason w myśli. Nie może, a na pewno. Przecież wiem...

Co mnie pokarało towarzystwem właśnie takiego człowieka, pomyślał Jason z rozpaczą. A, co tam, coś się wymyśli! Można na przykład wstępnie go upić. Nie za wiele, bo wtedy pojawią się z kolei problemy czysto fizycznej natury... Tak źle i tak niedobrze...

Dosyć tego! Będziemy się martwić, kiedy przyjdzie co do czego, nie na zapas.

Przeciągając się na rozłożonej na miękkim mchu derce, Jason jeszcze raz z radością wciągnął do płuc leśne powietrze. Tymczasem Match, nie zdając sobie nawet sprawy, jak wnikliwej analizy był obiektem, przerwał wreszcie grzebanie w sakwie i ociężale wstał.

–Rusz się, Jason – mruknął. – Zanim zaśniesz, trzeba jeszcze przynieść trochę drzewa. Noc

będzie chłodna, zwłaszcza nad ranem...

Uważnie popatrzył na skrawek ciemniejącego nieba pomiędzy koronami sosen. Jason usiadł niechętnie. Tyłek bolał go po dniu spędzonym w siodle. Po prostu nie chciało mu się ruszać.

–Skąd wiesz? – spytał niechętnie. – Dzień był taki upalny. Może tego, co przynieśliśmy,

wystarczy?

Match popatrzył krytycznie na parę cienkich, spróchniałych gałązek rzuconych niedbale koło ogniska. Nawet nie odpowiedział. Jason w duchu przyznał mu rację. Rachityczne gałązki

spalą się w mgnieniu oka, tu potrzeba znaleźć grubsze kłody, najlepiej brzoźowe, które tlić się będą do rana. Jednak strasznie nie chciało mu się wstawać. Sama myśl o powstaniu na nogi wywołała bóle w krzyżu.

–A, niech ci będzie – zdenerwował się w końcu Match, widząc jego ociąganie się. – Ale

chciałbym ci przypomnieć, że to ty zazwyczaj trzęsiesz się nad ranem z zimna...

Była to prawda. Może był to skutek osłabienia po długiej chorobie, może po prostu brak przyzwyczajenia do noclegów pod gołym niebem. W każdym razie Jason rzeczywiście źle znosił poranne zimno. Gdy tylko niebo zaczynało szarzeć na wschodzie, budził się i kulił pod przykryciem, usiłując zachować resztki ciepła. Nie na wiele to pomagało. Zwykle więc doczekał świtu, w męczącym półśnie obserwując srebrne od rosy trawy. Dopiero gdy słońce wstawało wyżej, rozgrzewał się na tyle, że mógłby znowu zasnąć. Mógłby, ale wtedy zazwyczaj Match wstawał z posłania i zaczynał ostentacyjnie krzątać się po obozowisku, pakując rzeczy i zrzedząc pod nosem na śpiochów, co najchętniej spaliły do południa. Gdy to nie odnosiło skutku, niby przypadkiem potykał się o posłanie Jasona, co wybijało go ze snu. Czasem, co gorsza, zaczynał nawet podśpiewywać...

–Mnie tam wszystko jedno, jak wiesz – Match usiadł i zaczął mościć sobie posłanie.

Tylko nie narzekaj z rana...

Dobrze ci mówić, przemknęło Jasonowi przez głowę. Ty od dziecka śpisz pod gołym niebem, jak jakiś pieprzony zając w bruździe, toś się i przyzwyczaił. Nie bołą cię kości odgniatane na gołej, przykrytej tylko derką ziemi. Nie trzęsie cię nad ranem. A ja, z natury delikatny...

Stękając z wysiłku, zaczął podnosić się z pośłania.

Nawet szybko poszło. Zaraz na skraju polanki znaleźli sporą brzoźkę, zwaloną wiatrem. Niedawno widać, bo była mało zmurszała. Brzoźka była w sam raz, bez większego wysiłku przytargali ją na środek polanki, przełożyli przez ognisko, by przepaliła się w środku. Potem, gdy już się przepali, położą oba kawałki, by w końcu uzyskać cztery kłody, które będą w sam raz do podtrzymywania ognia przez całą noc. Choć dłużej to trwało, wymagało mniej wysiłku niż rąbanie drewna małą siekierką, którą Match zawsze woził ze sobą.

Jason zawsze z podziwem przyglądał się, jak Match rozpala ogień. Gdy sam po raz pierwszy próbował, pozostawiony sam w lesie przez Matcha, który poszedł ustrzelić królika na kolację, zrozumiał, że rozpalanie ogniska jest jak wszystko inne na świecie. Po prostu trzeba to umieć. A jeżeli ktoś nie umie, to tylko poobija sobie w końcu kostki krzesiwem, a ognia i tak nie rozpali. Pamiętał wyraz twarzy Matcha, gdy ten wrócił, trzymając za nogi dwa ubite króliki, i zastał go klnącego przed kupą chrustu, który nijak nie chciał się zapalić. Match swoim zwyczajem nie skomentował tego, co zobaczył. Odebrał Jasonowi krzesiwo i hubkę, po czym zdecydowanym kopnięciem rozrzucił wielką konstrukcję z gałązek, która zbudował Jason. Jediną reakcją było podniesienie brwi na widok mokrego mchu, którego Jason pieczołowicie

natkał do środka sterty. Następnie odszedł na bok, ułożył cztery cienkie patyczki na krzyż i stuknął parę razy krzesiwem. Podmuchał i po chwili zamigotał płomyk.

W końcu Jason nauczył się rozpalać ogień. Wiedział już, skąd brać suche drewno na rozpałkę, nawet wtedy, gdy padał deszcz. Było to proste, trzeba było jedynie znaleźć wiatrołom. Sterczące w górę z powalonego drzewa, najlepiej iglastego gałązki prawie zawsze po przełamaniu okazywały się suche. Wiedział, że kora brzożowa, nawet wilgotna, zajmuje się jasnym, gwałtownym płomieniem, który zapali nawet mokre drewno. Nauczył się, jak podtrzymywać ogień przez całą noc, nie wstając co chwilę, by dorzucić paliwa. W końcu nawet Match zdobył się na to, by rzucić oszczędną pochwałę.

Owszem, miał też wpadki. Na przykład wtedy, gdy Match zostawił go, by doglądał piekącego się na zaimprovizowanym rożnie królika. Starannie podsyczał ogień,

zwracając uwagę by płomień był niewielki, za to dużo żarzących się węgli. Starał się jak mógł, dorzucając do ognia smolne, sosnowe szczapy i uważnie przegarniając żar patykiem... Gdy Match wrócił i spróbował pierwszy kęs apetycznej pieczeni, nie powiedział nic. Rzucił tylko pieczyste wraz z rożnem w krzaki, wstał i poszedł. Po nowego królika.

Teraz Jason wiedział, że brzozowe kłody wystarczą, by ognisko promieniowało do rana miłym ciepłem. Wiedział, że Match będzie co pewien czas przesuwiał brzozowe polano, by jego jeden koniec znajdował się w ognisku. Gdy tak kiedyś obserwował jego nocne poczynania, przysięgłby, że nawet się w tym celu nie budzi... Cóż, wieloletnia wprawa.

To, że Jason w końcu posłuchał i poszedł po drewno, poprawiło nieco Matchowi nastrój. Zawsze lubił postawić na swoim. Jason spostrzegł, że zły humor zaczyna mijać.

–No, teraz możesz spać – mruknął Match łaskawie. – Przynajmniej rano nie będziesz zawracał głowy...

Wyciągnął się na posłaniu, podkładając sakwę pod głowę. Jason puścił złośliwości mimo uszu.

–A kto mówi o spaniu? – zdziwił się wesoło. – Najpierw coś zjemy... Sięgnął do własnej

sakwy, wyjął zakupiony w mieście bochen chleba i kawał owczego, ostrego sera. Match ożywił

się wyraźnie.

–Tak – powiedział Jason. – Miła odmiana po tych pieprzonych królikach, dzikich kaczkach i innych specjałach... Szkoda, że tylko to zdążyłem kupić...

–Nikt cię nie poganiał... – zauważył Match sarkastycznie. – Mogłeś kupić cały targ, stać cię...

Jeszcze go trzyma, zdziwił się Jason. Pamiętliwy, cholera.

Jednak ser okazał się zbawienny. Match sam nie zdawał sobie sprawy z tego, jaki był głodny. Zwykle tak było, sam nie poświęcał wiele uwagi zdobywaniu żywności, zadowalał się byle czym. Jednak to, że w towarzystwie Jasona częściej miał okazję do zjedzenia czegoś lepszego, wcale go nie gniewało.

Gdy Match poczuł już miłą sytość, dopadły go wyrzuty sumienia.

–Wiesz, Jason, przepraszam cię – powiedział po dłuższym milczeniu.

–Za co? – uśmiechnął się Jason.

–Nie udawaj, wiesz przecież... Przecież wcale ci nie podziękowałem...

Nie musiał mówić za co. Jason z początku chciał rzucić jakąś złośliwą uwagę, jak to było w jego naturze. Coś go powstrzymało, gdy zobaczył wyraz twarzy Matcha.

–Oddałem go po prostu w godne ręce – powiedział w końcu szczerze. – Wiesz, to nie jest

zwyczajny miecz. Nie, nie dlatego, że jest taki wspaniały, jedyny... Że jest wspaniałym dziełem

sztuki płatnerskiej, tak, właśnie dziełem sztuki, a nie zwykłym przyrządem do zabijania...

Zamyślił się, spochmurniał.

–Do tej pory to był dla mnie symbol... Bardzo bolesny, symbol zawiedzionych nadziei...

Nie moich – Jason uśmiechnął się smutno. – Mojego ojca...

Wstał, podszedł do Matcha. Schylił się i podniósł miecz, który Match pieczołowicie ułożył przy boku. Ujął rękojeść, pociągnął. Klinga błysnęła krwawo w świetle ogniska. Zamachnął się niewprawnie.

–Widzisz, nie potrafię...

Schował ostrze z powrotem do pochwy. Nawet to nie wyszło mu zbyt dobrze, przez chwilę nie mógł trafić w wąski otwór. Odłożył miecz tam, skąd wziął, wrócił na swe posłanie. Przez chwilę siedział, dorzucając bezmyślnie do ogniska drobne gałązki, patrząc, jak zajmują się płomieniem i skręcają w ogniu.

Match nic nie mówił, o nic nie spytał. Domyślał się, że Jason i tak za chwilę zacznie mówić. Rzeczywiście, po chwili zaczął, cichym głosem, wciąż wpatrując się w ogień.

On też ma swoje tajemnice, zrozumiał Match. Takie, których dotąd nikomu nie wyjawiał. Których też się wstydzi.

–Opowiadałem ci o swoim ojcu. O ojcu, którego długo uważałem za kłamcę i żalosnego

pijaczynę. Którego uważał się za znakomitego rzemieślnika, gdzie tam rzemieślnika, za

artystę w

swym fachu. A który odkąd pamiętam najwyżej ostrzył chłopskie siekiery albo prostował

jedyną zbroję, z jaką miał do czynienia. I cały czas opowiadał o wspaniałych rzeczach, w które

w końcu zupełnie nie wierzyłem. Kiedy zacząłem wierzyć, kiedy przekonałem się, że mówi

prawdę, było za późno. Zbyt oddaliłem się od niego, zbyt wcześnie straciłem do niego

szacunek. I wierę w niego, wierę w mojego własnego ojca... Tymczasem wszystko było

prawdą. Wszystko...

Jason zacisnął pięści, aż pobieleły kostki.

–Cóż, Match, byłem głupim gówniarzem. Jak głupim, zrozumiałem dopiero wtedy, gdy

dowiedziałem się...

Głos mu się załamał. Zamilkł na chwilę, potrząsając głową. Po chwili wyprostował się, spojrzał na Matcha.

–Co ja pieprzę... – powiedział. – Przecież ty nic z tego nie zrozumiesz...

Match okazał się dobrym słuchaczem. Nie zadawał pytań, nie ponaglał. Wiedział, z własnego doświadczenia, jak właśnie spostrzegł ze zdziwieniem, że człowiek musi się wygadać. Że nie jest to wprawdzie łatwe, ale pomaga, bardzo pomaga. Potrzebny jest tylko ktoś, kto wysłucha, nie zlekceważy. Ktoś taki, jak na przykład Jason. Teraz Match był mu to winien, wiedział, że sam powinien go wysłuchać.

–Dobrze, zacznę od początku – ciągnął Jason po chwili. – Widzisz, wszystko, co opowiadał ojciec, było prawdą. Rzeczywiście był uczniem słynnego płatnerza ze Wschodu,

rzeczywiście pracował na zamku wielkiego diuka. I prawdą jest, że był najlepszym uczniem

swego mistrza, uczniem, w którym ów mistrz pokładał wielkie nadzieje. Kariera stała

przed

nim otworem, otwierały się wielkie perspektywy, dostatek, nawet bogactwo. Wszystko to

poświęcił... Poświęcił dla mnie... Zupełnie bez sensu, bo zawiódł się okrutnie...

Jason znów sięgnął po miecz. Podał go Matchowi.

–Wyjmij. Wyjmij i przyjrzyj się...

Match posłusznie obnażył ostrze, po raz kolejny dziwiąc się jego lekkości i wyważeniu. Wstał, wywinął krótkiego młyńca, aż zasyczało rozcinane powietrze. Uchwycił oburącz długą rękojeść, zamarkował wypad i cięcie.

–Widzisz, jest dla ciebie stworzony – Jason rozchmurzył się na chwilę. – Trudno o godniejsze ręce... Dobrze, ale teraz przyjrzyj się klindze...

Klinga była wąska, głęboko żłobiona dla zmniejszenia wagi. Pozbawiona jakichkolwiek zdobień lśniła czystą barwą metalu.

–Jak zauważyłeś zapewne, klinga nie jest jednorodna. Miękki, mało nawęglony rdzeń,

okuty na ostrzach innym metalem, inną stalą. Ma nieco inną barwę, jest jaśniejsza. Jak się

przyjrzyysz, zobaczysz szwy w miejscu, gdzie skuwano warstwy stali. A poza tym... Nie, tego

teraz nie zobaczysz, w tym świetle... Ale w dzień, jak przyjrzyysz się dokładnie, to na ostrzach,

na tym jaśniejszym metalu zobaczysz drobniutki deseń, jak marmur, tylko znacznie drobniejszy... Ten metal, Match, to najrzadszy surowiec w całym płatnerstwie. Także

najdroższy. To materiał, z którego zrobiono wiele sławnych mieczy, których imiona zapisały

się w historii i w legendach...

Jason zawiesił głos...

–To metal, który spadł z nieba...

Match, nic nie mówiąc, pieszczotliwie gładził powierzchnię klingi.

–Wiem, Match, że zapewne w to nie wierzysz. Nie wierzysz w metal z nieba...

Przeczący ruch głowy. Match mógł powiedzieć, że widział już wiele rzeczy, w które trudno było uwierzyć. Metal z nieba nie był wcale wśród nich najdziwniejszy. Jednak Jason nie oczekiwał odpowiedzi.

–Wielu ludzi uważa, że kamienie spadające z nieba to bajki. Ale ja znam historię bryły, z której pochodzi ten metal. Opowiedział mi ojciec, a nie mam już żadnych powodów, by w jego opowieść nie wierzyć. Zresztą, pośrednio świadczą o tym niezwykle właściwości tej stali.

Naprawdę, na ziemi nie znajdziesz nic, co by ją przypominało... A bryła metalu, z której wykuto ten miecz, rzeczywiście spadła z nieba. Daleko stąd, na zamorskiej pustyni. Ci, co to widzieli, opowiadali o jasnej gwiazdzie, która oderwała się od nocnego nieboskłonu i z hukiem spadła na ziemię. W miejscu jej upadku znaleziono dymiący krater, na dnie którego leżała bryła metalu. Jeszcze gorąca... Nie wiem, Match, skąd biorą się takie rzeczy, spadające z nieba, nikt nie wie. Może... Uśmiechnął się.

–Może bogowie ciskają w nas kamieniami. Może słońce zrobione jest z roztopionego

żelaza i od czasu do czasu jego krople spadają na ziemię. Jest to możliwe. A może po prostu,

tam, w górze krąży od cholery takich żelaznych i kamiennych brył, które czasami przylatują aż

do nas. Wiesz, czasem myślę, że te wszystkie spadające gwiazdy, te świetliste kreski, które

widać na letnim niebie, to właśnie takie kamienie i gwiazdne żelazo... Pewnie bez sensu, ale kto

wie... Nieważne zresztą. Ta bryła żelaza z nieba była największym skarbem mistrza mojego

taty. Chciał z niej zrobić miecz dla jednego jedyne go wybrańca, jedyne go, który będzie godny

takiej broni. Miało to być dzieło całego jego życia. Wciąż zwlekał, nie znajdując nikogo, komu

chciałby poświęcić swą pracę, nikogo godnego...

Jason dotarł do najtrudniejszego momentu swych zwierzeń. Sam nie przypuszczał, że będzie to tak trudne. Spojrzał z ukosa na Matcha, który wciąż gładził gładką klingę. Nie patrzył na niego, ale Jason wiedział, że pilnie słucha. Spróbował wziąć się w garść i kontynuować.

–Kiedy się urodziłem, ojciec podjął decyzję za mistrza. Uznał, że to dla mnie jest

przeznaczony ten oręż, który powstanie z niebiańskiego żelaza. Uwierzył, nie wiedzieć czemu,

że ja, syn prostego płatnerza dostąpię godności rycerskiej. Że ja, właśnie tym mieczem wyrąbię

sobie drogę do szczytów i sławy. Uwierzył, że czyn, którego postanowił dokonać, otworzy

mi jasną i szczęśliwą przyszłość... Po czym zrobił to. Ukradł swemu mistrzowi jego największy

skarb, bryłę żelaza z nieba. Po czym uciekł z całą rodziną. Zaszył się u najbardziej chyba

podupadłego rycerza, jakiego znalazł. Miał nadzieję, że zrobi dla mnie wspaniały oręż, który

otrzymam z jego ręki, jak tylko dorosnę. Miał nadzieję, że z jego pomocą stanę się sławnym

rycerzem... Nadzieje spełniły się tylko częściowo, jak sam widzisz. Ojciec był dobrym

płatnerzem. Mimo iż nędza, w jakiej bytowaliśmy, spowodowała, że staczał się powoli w

pijaństwo, wykuł wspaniały miecz. Sam to możesz ocenić. Ale zamiast młodzieńca, który

zostałby giermkim, a potem rycerzem, dochował się jedynie złośliwego gówniarza, który

patrzył z pogardą na niego i jego pracę. Który nie miał dla niego za grosz szacunku. Który stał

się tym, co właśnie widzisz, oszustem i wydrwigroszem... To wszystko poszło na

marne, całe

ryzyko i poświęcenie. Tak, Match, ja wiem, że to, co zrobił, było co najmniej nieprzemysłane,

ba, wręcz głupie. Ale on to zrobił dla mnie... Dla mnie, Match... I nigdy nie doczekał się ode

mnie dobrego słowa... Nigdy... Najgorsze jest to, że pod koniec, przed samą śmiercią, on już

zdawał sobie z tego sprawę. Z tego, że nic nie będzie z jego marzeń, że poświęcił wszystko dla

mrzonki. Tak, musiał zdawać sobie sprawę, wystarczyło przecież na mnie spojrzeć...

Gruby patyk pękł z trzaskiem w rękach Jasona. Match drgnął. Zobaczył, jak po zaciśniętych na patyku palcach spływa lśniąca rubinowo w świetle ogniska kropelka krwi. Jason ocknął się, dostrzegł spojrzenie Matcha.

–Widzisz? – spytał smutno. – Zaciąłem się, gdy próbowałem włożyć go do pochwy. Nawet

tego, kurwa, nie potrafię...

Cisnął przełamany patyk w ogień. Ścisnął przeciętą opuszkę palca. Krew wciąż kapiała. Głęboko przeciął, zauważył Match. Cholera, nawet pewnie nie poczuł. Sięgnął do sakwy, szukając kawałka czystej Inianej szmatki, wożonej właśnie na takie okazje. Cisnął ją Jasonowi.

–Masz, przewiąż – powiedział.

Jason rozwinął szmatkę. Zamiast jednak obwiązać przecięty palec, zaczął mówić dalej, nie bacząc na skapującą z wolna krew.

–Kiedy byliśmy u lichwiarza, widziałem, jak przyglądasz się, kiedy liczyłem pieniądze.

Miałeś taką lekceważącą minę, nie, nie zaprzeczaj, miałeś. Zauważyłeś na pewno, jak zgarniam

te monety, chciwie... A może nie uwierzysz, one sarnę dla mnie niewiele znaczą, nie jestem

chciwy, naprawdę. Nie zależało mi nigdy zbyttnio na pieniądzach, może dlatego, że

zawsze

jakieś miałem. Ale lubiłem je wydawać. Tylko wiesz, nie śmieję się... Od jakiegoś czasu zaczęło

**mi zależeć. Zależać na tym, żeby kiedyś kupić jakiś majątek, wieś, może niejedną...
Pobudować**

kasztel, mieć służbę, może kupić jakiś urząd... A wiesz dlaczego? Bo, kurwa, jak będę coś miał,

będę kimś, z kim liczą się sąsiedzi, kimś zasobnym kogo szanują... Bo tak sobie myślę, może

wtedy tato byłby ze mnie dumny...

Zaczął wreszcie obwiązywać palec. Gdy skończył, Match chrząknął. Bez specjalnej intencji, po prostu zaschło mu w gardle. Jason podniósł głowę.

–No, powiedz coś – rzucił przed siebie, nie patrząc. – Osądź mnie, tak jak ja osądziłem

ciebie...

Match milczał. Jason nie spodziewał się niczego innego. Bo cóż można było powiedzieć. Jednak Match zadziwił go.

–Mogę tylko jeszcze raz podziękować – powiedział cicho. – To bardzo cenny dar, możesz

mi wierzyć. Nie tylko z powodu materialnej wartości i niewątpliwych zalet...

Wstał i odszedł od ognia.

–Ja nie znałem swojego ojca – rzucił, zanim zniknął w gęstniejącym mroku. Jason został

przy ognisku. Przymknął oczy.

Mały chłopczyk zanosił się płaczem. Po posiniatej od krzyku twarzy spływały łzy. To nie był zwykły płacz, to był rozpaczliwy spazm, wołanie o pomoc, która nie mogła znikąd nadejść. Chłopczyk był mały, niewiele umiał powiedzieć. Wykrzykiwał więc słowa, które zawsze przynosiły pomoc, po których ten wielki mężczyzna o silnych, lecz łagodnych ramionach

przychodził utulić, ukołysać dziecięce lęki. Tak zawsze było do tej pory, gdy bał się

czegoś, wystarczyło wypowiedzieć to słowo, a zaraz było dobrze...

–Tata, tata! – krzyczał chłopczyk.

On zaraz przyjdzie, zaraz przytuli, tak jak zawsze dotąd było. Trzeba tylko głośno krzyżeć, żeby usłyszał, przecież śpi tak mocno...

–Tata!

Chłopczyk przykucnął, szarpał ramię ojca. Dlaczego nie otwiera oczu, dlaczego nic nie mówi? Co to spływa po palcach, takie lepkie, czerwone? Przecież musi wstać, chata się pali! Ci obcy nie pomogą, śmieją, się tylko...

–Tata...

–Match! Wrzasnął Jason. W główce czuł bolesne pulsowanie. Nikt nie odpowiadał.

–Match, do cholery!

–Idę, idę – Match wyłonił się z mroku, wchodząc w krąg światła, rzucanego przez ognisko. – Co się stało?

Spojrzał na twarz Jasona i od razu zrozumiał. Znał już ten wyraz twarzy. Przykucnął obok.

–Co widziałeś? – spytał bez żadnych wstępów. Jason nie odpowiedział. Oczy wciąż miał nieobecne.

–Co? – spytał po chwili nieprzytomnie.

–Pytam, co widziałeś? – powtórzył Match cierpliwie. Nie doczekawszy się odpowiedzi, siadł obok. Do tego też zdążył się przyzwyczać, wiedział, że Jason musi dojść do siebie. Zaczynał rozumieć, ile kosztują wizje...

–Pamiętasz, mówiłeś kiedyś o swym opiekunie – zaczął z trudem Jason. – Tym, który miał cię wychowywać, uczyć, ten, któremu cię oddali. Którego zginął, jak mówił ten druid.

–Tak, mówiłem – przytaknął Match.

–Wiesz coś więcej o nim?

Match zamyślił się. Wiedział niewiele, tyle, ile usłyszał kiedyś od druida. Jakieś strzępki informacji.

–No... – zaczął niepewnie. – To też był druid. Ponoć o największym stopniu

wtajemniczenia. Dlatego oddali mu mnie, bo jak sobie przypominasz, podobno wiazali ze mną

wielkie nadzieje...

Uśmiechnął się krzywo. Tak to już jest, pomyślał, zazwyczaj wielkie nadzieje zawodzą, jak sam się o tym przekonałeś...

–Prawie go nie pamiętam. Zabili go rozbójnicy, a ja...

–To był twój ojciec, Match – przerwał Jason.

–A ja błąkałem się... – powiedział Match z rozpędu i urwał. – Co ty powiedziałaś?!

–To był twój prawdziwy ojciec. Jestem tego pewien.

Jason przymknął oczy. Tak, pomyślał, tego jestem pewien. Ale jest jeszcze coś, czego ci teraz nie powiem. Coś, czego nie jestem tak pewien, coś, co zobaczyłem gdzieś na krawędzi

postrzegania. Chociaż może powinienem powiedzieć... Jego nie zabili rozbójnicy... Jego zabili... oni...

Wizja była jednak bardzo wyczerpująca. Match zobaczył, jak Jason chwieje się, siedząc na rozłożonej derce. Podtrzymał go, delikatnie ułożył i okrył. Będzie spał do rana, nie przejmując się chłodem.

Sam ułożył się na posłaniu, gładząc wciąż klingę, patrzył na gwiazdy widoczne pomiędzy koronami sosen. Rozmyślał o tym, co usłyszał.

Obudzili się wcześnie, ledwie słońce wzniosło się nad korony drzew. Dzień zapowiadał się taki jak poprzedni, upalny, co Match stwierdził z niechęcią. Przydałoby się trochę deszczu, jazda w upale, w kurzu gościńca była ciężka.

Jason wstawał z trudem. Okazało się po raz kolejny, że za wizje trzeba płacić, że kosztują wiele sił. Także fizycznych. Mimo że spał całą noc jak zabity, zgodnie z wczorajszymi przewidywaniami Matcha, czuł się jak po całonocnej hulance, która oprócz picia na umór obejmowała bójkę z przeważającymi siłami przeciwnika – przynajmniej tak odczuwał obolałe mięśnie. Przypuszczał, że doznając intensywnej, takiej jak ta wczoraj wizji sztywnieje cały, machinalnie napina wszystkie mięśnie. Sam tego nie pamiętał, jednak ból można było wytłumaczyć tylko tym. Tego, że na przykład Match go skopał, gdy wyczerpany wizją stracił przytomność, nie brał pod uwagę. Pomijając brak celu, jaki mógłby mieć Match, dokonując tego czynu, na jego korzyść świadczył brak siniaków.

Obmacując obolały kark, Jason postanowił zapytać kiedyś Matcha, jak to wygląda dla kogoś stojącego obok. Miał nadzieję, że nie toczy na przykład piany z pyska, jak ten nawiedzony mnich, którego widział kiedyś na placu targowym w Lincoln. Mnich przepowiadał rychły koniec świata i wzywał grzeszników do pokajania się. Jak zresztą wynikało z jego wrzaskliwych okrzyków, do grzeszników zaliczał wszystkich oprócz siebie. Czynił tak w każdy dzień targowy, od wielu zresztą lat, co świadczyłoby o tym, że do końca świata nie jest jeszcze tak blisko albo ktoś odsuwa wciąż ten termin. Albo po prostu ma nieścisłe informacje. Audytorium miał zazwyczaj spore, gdyż bardzo ciekawie opowiadał, jakie to męki czekają w piekle zwłaszcza wszeteczne dziewczki, i jak diabły zabierać się będą do czynienia tychże mąk. Ze szczegółami. Temat najwidoczniej był mu szczególnie bliski lub też wszeteczne dziewczki uważał za wyjątkowo wredną odmianę grzeszników, gdyż przemawiał z wielką pasją i ogniem w oczach. Cóż z tego jednak, w miarę upływu lat coraz trudniej było mu dokończyć przemowę, ponieważ gdy tylko dochodził do ulubionego tematu, zaczynał ślinić się i przewracać oczyma. Potem zwykle toczył pianę i przewracał się, a dwóch pomocników, co obchodzili tłum z miskami na datki, musiało go przytrzymywać i wkładać drewniany kołek między zęby. Wtedy mnich sztywniał tak, że można go było postawić pod ścianą. Co zresztą kiedyś ku uciesze gawiedzi uczynili jego pomocnicy, gdy byli bardziej niż zwykle pijani.

Tak, trzeba kiedyś spytać Matcha, jak to wygląda, postanowił Jason. Czy też sztywnieję. Kiedyś. Nie dzisiaj...

Match, widząc skrzywioną minę Jasona i ukradkowe rozcieranie mięśni, wbrew swym zwyczajom nie poganiał go do zwijania obozowiska. Zaniechał zwykłych uwag na temat ludzi, co prześpią całe życie, co Jasona zawsze denerwowało. Bez

przesady, nie był przecież aż tak gnuśny, jak wytykał mu to stale Match. Co do wstawania też miał określone zasady, których przestrzegał, uważał, że człowiek powinien spać najwyżej do południa, nie dłużej. Jednak w żadnym wypadku nie podzielał poglądu, że należy zrywać się o wschodzie słońca. W takim przypadku czuł się niewyspany, obojętne jak wcześniej by się poprzedniego dnia położył i jak długo by spał. Tak, stanowczo skłaniał się do uznawania wczesnego wstawania za swego rodzaju zboczenie, dobre dla kmiotów, wieśniaków, nocnych stróżów i podobnej hołoty.

Najgorsze było zaś to, że Match, gdy wstał o nieludzkiej porze, bywał radosny, rozgadany i tryskał energią. Zaś nagabywany przez niego Jason z trudem przypominał sobie, jak się nazywa i co tu właściwie robi.

Dziś było inaczej. Match okazał się zadziwiająco delikatny i wyrozumiały. Gdy wszystko było już popakowane, konie osiodłane i na polance została tylko derka, na której siedział zbolący Jason, Match nie powiedział nic. Stał tylko z boku i popatrywał wymownie w milczeniu.

Jason nie wytrzymał długo. Wstał w końcu z trudem, stękając zwinął derkę.

–Nie patrz tak – warknął ze złością. – Już idę, nie musisz mnie poganiać...

–Wcale cię nie poganiam – zaprotestował Match.

Jason tylko zaklął pod nosem i z trudem wgramolił się na kulbakę. Stuknął konia piętami i ruszył do przodu.

–No co, długo mam jeszcze czekać? – rzucił.

Match chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Ruszyli wąską przesieką, prowadzącą do gościńca. Jason mrucał coś pod nosem, stękając boleśnie przy każdym końskim kroku.

–Powinieneś się rozruszać – Match jak zwykle miał dobre rady. – Zanim jeszcze wsiadłeś

na konia...

Jason tylko mruknął pod nosem coś, czego Match nie zrozumiał, ale co zabrzmiało wystarczająco obraźliwie, by zaprzestać dalszej konwersacji.

Przejechali już dobre dwie mile, kiedy Jason wreszcie poczuł, że jest nieco lepiej. Rzeczywiście, przyznał w duchu, trzeba się rozruszać. Obolałe mięśnie przestawały dolegać. Gdy zaś gościniec począł schodzić niżej, a w perspektywie zobaczyli mostek nad strumieniem, wszystko zaczęło wyglądać inaczej.

Strumień płynął wąskim korytem pomiędzy wysokimi brzegami, jednak tuż obok mostu było miejsce, gdzie podróżni poili konie. Brzeg rozryty kopytami opadał łagodnie, woda rozlewała się szerzej na piaszczystej płyciźnie. Nic nie mówiąc, obaj skręcili z gościńca,

przecięli niewielką łączkę i wjechali do wody. Gdy wierzchowce piły, Jason spojrzał na Matcha.

–Dobrze, Jason – zgodził się Match bez słowa. – Zostaniemy tu trochę...

Kąpiel posłużyła wspaniale. Tak, że nawet Match nie narzekał na zwłoką w podróży. Tym bardziej, że wspaniałe miecz i pieniądze nie były jedynymi rzeczami, jakie wywieźli z miasta. Miasto obdarzyło ich jeszcze jednym – pchłami. Jason zapomniał już, jak potrafią być dokuczliwe.

Jason chciał uprać odzienie, w nadziei, że pchły się potopiają, jednak Match znalazł lepszy sposób. Znalazł duże mrowisko, do którego na czas kąpieli wrzucili ubranie, derki i zrolowane koce. Potem trzeba je było tylko wytrzepać z mrówek. Jediną wadą tego sposobu był zapach kwasu mrówkowego, który wiercił w nosie, lecz Match zapewniał, że wkrótce wywietrzeje.

Teraz jechało się dużo lepiej. Było jeszcze przed południem i Match zaczął obliczać, jak daleko zdołają tego dnia zajechać. Gościńiec wiodł przez podmokłe partie lasu, ocieniony przez wysokie olchy i graby. W niższych miejscach kopyta stuknęły po okrągłakach, którymi wyłożona była droga. Po obu stronach las wyglądał na nieprzejezdny, pomiędzy poszyciem błyskały lusterka wody. Od wody ciągnął miły chłód.

Gdy Match doszedł do wniosku, że uda im się tego dnia zrobić ładny kawał drogi, w dalekiej perspektywie gościńca coś zamajaczyło. Wstrzymał konia i przesłonił dłonią oczy, starając się dojrzeć, co to takiego. Zaklął pod nosem.

–Wygląda na wóz – powiedział Jason, również wpatrując się w odległy kształt.

–Aha – przytaknął Match. – Pewnie ci kupcy, którzy mijali nas przy moście. Jason uśmiechnął się. Przypomniał sobie dziewczynę, która machała z wozu, kiedy przejeżdżał przez most. Ruszył do przodu.

–Dokąd? – osadził go Match.

–A po co stać?

–Jak tobie udało się tak długo przeżyć – Match z dezaprobatą pokręcił głową. – Przypatrz się lepiej. A potem pomyśl...

–O co ci chodzi? – zdziwił się Jason. – Zwykły wóz, stoi na gościńcu... I co z tego?

–Właśnie, stoi. A powinien jechać. Na cholere zatrzymywać się w takim miejscu? Po obu stronach bagna. Gdyby, na przykład, pękła oś albo co, to przy wozie byłiby ludzie. A tam nikogo nie widać, i jakoś tak krzywo stoi, prawie w poprzek... A dalej... No, popatrz dobrze...

Jason usłuchał. Po chwili także zaklął.

–Zgadza się, dym – powiedział Match. – I to nie z jednego ogniska, za dużo. Wygląda, jakby...

–Jakby paliło się coś większego, na przykład inny wóz. – dokończył Jason. – Myślisz, że to napad? Zbóje?

–Niestety, wiele na to wskazuje – potwierdził Match niechętnie. – Szlag by to trafił, muszą akurat tutaj, jakby nie było innych traktów! I ze złością uderzył pięścią w otwartą dłoń.

–Pieprzona strata czasu – dodał.

Mrucząc coś jeszcze pod nosem, zjechał na bok traktu. Jason podążył za nim.

–To co, wracamy? – spytał ostrożnie. – Objechać się nie da, po obu stronach bagna. Ciągną

się, czekaj, chyba ze dwie mile, od samej rzeczki... A i wcześniej nie było żadnego objazdu,

trzeba by do samego miasta, objechać lasy... Ech, jak nie urok to...

–Nie wracamy – zdecydował Match, najwyraźniej nie zainteresowany, co zazwyczaj występuje zamiast uroku. A także, jak widać, niezbyt zachwycony perspektywą straty całego

dnia. Zresztą, nie tylko całego dnia, droga omijająca lasy była znacznie dłuższa.

Jasne, pomyślał Jason, nie wracamy. Pójdziemy prosto, licząc na to, że leśni rozbójnicy przestraszą się takiej śmiałości i od razu dadzą nogę, na sam widok. Albo, jeżeli nie uciekną, pobijemy ich. Cały tuzin. Jason nie wiedział, dlaczego akurat tuzin, ale tak mu pasowało. Gdy się chwilę zastanowił, doszedł do niejasnego wniosku, że to reminiscencje słyszanej nieraz w dzieciństwie, krwiożerczej i pełnej bezmyślnej przemocy bajki o dwunastu rozbójnikach. Był jeszcze trzynasty, herszt, zaraz, jak mu było, nieważne... Czy może o krasnoludkach i sierotce, co to ją spotkał taki mamy

los... Cholera, wszystko przez te bajki, myślał Jason, jakby nie miał akurat większych zmartwień. Tyle w nich przemocy i okrucieństwa, co rusz ktoś kogoś łupi lub zabija, albo jedno i drugie. Różne nieodpowiedzialne mamuśki i piastunki opowiadają dzieciom takie bzdury, i masz... Skąd niby smarkacze mają brać wzorce? W tych bajkach jest wszystko na niby, ale taki gówniarz posłucha, a potem bierze pałę i na gościniec! Zatłuc kogoś, ot tak, dla zabawy, żeby było tak, jak w bajce... A realnie zabity człowiek nie wstanie później, nie uzdrowi go dobra wróżka... Psiakrew, trzeba by zakazać tych bajek albo niech przynajmniej będą budujące, um oralni aj ące... Ktoś powinien tego dopilnować, tylko kto?

Przerwał swoje rozmyślania, gdy spostrzegł, że Match spogląda na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

Kurwa mać, czyżbym mówił na głos? Jason stropił się. A w ogóle, to skąd mi takie głupoty przychodzą do głowy?

Ze strachu, Jason, ze strachu, doszedł do niewesołego wniosku. Po prostu ze strachu głupieję, trzeba wziąć się w garść... Może da się wybić Matchowi ten wspaniały pomysł z głowy.

Jednak gdy zobaczył, jak Match pieczołowicie odwiązuje przytroczony do siodła nowy miecz, od razu stracił nadzieję. Nie było szans, Match najwyraźniej nie przejmował się potencjalną przewagą liczebną przeciwnika.

–Poczekasz tu, ja pójdę się rozejrzeć – Match najwidoczniej prawidłowo ocenił zapal

Jasona do walki. Nie zamierzał go ciągnąć za sobą, mając poważne wątpliwości co do jego

przydatności. Wręcz przeciwnie, po prostu obawiał się, że będzie zawadzał...

–W życiu! – zaprotestował energicznie Jason. Dziarskiemu głosowi wyraźnie przeczyła

bladość twarzy. – Idę z tobą!

Match tylko pokręcił głową.

–Nie zostanę, mówię ci!

–Zostaniesz – odparł Match spokojnie. – Podejdę kawałek, zobaczę. Może już odeszli...

–Nie zostanę – Jason nie silił się nawet na uzasadnienia. Match okazał się wręcz wzorem cierpliwości.

–Nie wygłupiaj się – tłumaczył spokojnie. – Poczekasz, tu ci nic nie grozi, a tam...

–Tam będę ci tylko zawadzał, co? – wykrzyknął Jason gniewnie. Strach zszedł na dalszy plan.

–Skoro tak uważasz... – Match zgodził się od razu. – Tak, chyba tak, będziesz zawadzał...

–Wypchaj się, nie zostanę. Psiakrew, taki jesteś mądry, ale ja mogę się przydać, wiesz, co dwie pary oczu, to nie jedna. Zgoda, do miecza się nie nadaję, nawet zresztą nie mam, ale wiesz co? Wezmę kuszę i będę... Zaraz, jak to się mówi? Wiem, będę cię krył od tyłu!

–Mów raczej „będę cię osłaniał” – skrzywił się Match. – Zastanów się jeszcze, tylko szybko...

Nie podobało mu się, że zbyt długo już sterczą na widoku. Już dawno trzeba było odprowadzić konie na pobocze, zejść z traktu. Być może już w tej chwili ktoś obserwuje ich z daleka, wśród zbójów z gościńca też może trafić się ktoś przytomny, kto pamięta o zabezpieczaniu tyłów. Match zmarszczył brwi, popatrzył wzdłuż drogi. Nie, chyba jednak nie...

Nie odczuwał tego ulotnego wrażenia, że jakieś oczy śledzą go z ukrycia. Zazwyczaj się nie mylił, ten dziwny zmysł posiadał, odkąd pamiętał. I miał długie lata na doskonalenie. Tak, tym razem chyba nikt nas jeszcze nie spostrzegł.

Nie znaczyło to jednak, że już za chwilę zza stojącego na drodze, przechylonego lekko wozu nie wychyli się zarośnięta, jak to u zbójów w zwyczaju, gęba. A jak już się wychyli, to będą raczej małe szansę, że weźmie ich za, dajmy na to, parę pastuszków. Lub wędrownych mnichów. A wtedy nie pozostanie nic innego, jak zawrócić, i to raczej szybko.

Match jeszcze raz ocenił sytuację. Droga nie biegła idealnie prosto, leciutko skręcała. Na tyle, że gdy będą podchodzić, trzymając się lewego skraju drogi, mogą przy dużej dozie szczęścia podkraść się dosyć blisko, samemu będąc niezauważonym. Psiakrew, wybrali dobre miejsce, pomyślał z niechęcią. Bagno po obu stronach, i to jeszcze zarośnięte paskudnymi, gęstymi krzakami. Nie ma mowy, żeby zejść z traktu i przedzierać się skrajem podmokłych zarośli. Za długo by to trwało, zbyt wiele hałasu.

–Dobrze, Jason, sam chciałeś – zdecydował Match w końcu – Skoro boisz się zostać... –

uśmiechnął się złośliwie.

Trafił w sedno. Jason istotnie bał się zostać sam. Obawiał się... Sam nie bardzo wiedział, czego. Rozum podpowiadał mu, iż to, że jakiś zbój zajdzie go niespodzianie i uczyni z nim to, co zbójcy z podróżnymi zwykli czynić, było mało prawdopodobne. Oni wszyscy zajęci są tam,

z przodu, o czym świadczył widoczny wciąż, snujący się nad drzewami i po trakcie dym, oraz słyszalne od czasu do czasu chrapliwe okrzyki. Pewnie dorzynają kupców albo biją się między sobą o łupy.

Match, właściwie po jaką cholereę chcesz tam iść, pomyślał Jason z wyrzutem. Przecież słyszysz, że jest ich dużo i nie zanosi się na to, żeby mieli niebawem odjechać. A znając zbójów, to i tak nie ma już komu przyjść z pomocą. Nie wypowiedział swych wątpliwości na głos. Wiedział, że gdy Match wbije sobie coś do głowy, to na nic wszelkie perswazje, i tak postawi na swoim. Zwłaszcza w sytuacjach takich, jak ta. Nie przejdzie obojętnie, musi zobaczyć na własne oczy. Co najmniej zobaczyć...

Jason miał tylko nadzieję, że Match zobaczy to, co chce zobaczyć, z bezpiecznej odległości. Takiej, która pozwoli na niepostrzeżone wycofanie się. Trudno, trzeba będzie wrócić, nadłożyć drogi...

Tymczasem Match zdążył przywiązać konie do lekko nadpróchniałej brzoźki, jaką z niemałym trudem znalazł obok suchszego miejsca na poboczu traktu. Jedyne zresztą w najbliższej okolicy. Ten odcinek wiodł niewysokim, piaszczystym nasypem przez podmokłe obszary. Match mimochodem pomyślał, jak wiele trudu musieli sobie zadać jego budowniczowie, jak wiele wozów piasku i kamieni trzeba było przywieźć, by droga mogła przekroczyć moczary.

Miało to swoje dobre strony, gościniec przewyższał o dobre dwie stopy poziom mokradeł. Niewielka, sucha polanka, na której przywiązał konie, była w dodatku osłonięta wysokimi zaroślami, co dawało nadzieję, że konie nie zostaną łatwo zauważone przez kogoś stojącego na trakcie.

Match odtoczył miecz, sprawdził, czy lekko wysuwa się z pochwy. Skinął na Jasona.

–Uważaj – powiedział cicho. – Idziemy lewą stroną, jak najbliżej bagna, ale tak, żeby w

nie nie włączyć. Zwłaszcza jak podejdziemy bliżej, żeby mi nic nie chlupotało ani nie trzeszczały

żadne zarośla... Zrozumiałeś?

Jason potaknął bez słowa. Zaczynał właśnie rozmyślać, czy jednak pozostanie na

miejscu nie byłoby lepszym pomysłem.

–Ja idę pierwszy – ciągnął Match, nie zwracając uwagi na bladość Jasona i pokryte kropelkami potu czoło. – Ty za mną, jakieś piętnaście kroków. I, na litość boską, nie strzelaj od

razu do każdego, kogo zobaczysz. Dopiero jak zaczniesz przejawiać wrogie zamiary...

Ponowne kiwnięcie głową. Jason uporał się już z napięciem kuszy, teraz usiłował nałożyć bełt na cięciwę. Po chwili się udało.

–Słyszałeś? – powtórzył Match z naciskiem. – Nie strzelaj od razu...

–Dobrze, dobrze – o dziwo, głos, który wydobył z siebie Jason, brzmiał całkiem pewnie. Match obrzucił go jeszcze jednym spojrzeniem, nie do końca przekonany jego zapewnieniami. Żeby mi tylko bełtu w tyłek nie wsadził...

–No to ruszamy. Ja pierwszy, ty za chwilę.

Co trzeba było Jasonowi przyznać, to przynajmniej poruszał się cicho. Match ledwie słyszał za sobą jego kroki. Nawet z początku obejrzał się raz czy dwa razy. Jason szedł lekko zgięty, czujnie przepatrując na boki. Napiętą kuszę niósł prawidłowo, lekko opuszczoną ku dołowi. Matchowi nie podobało się tylko to, że cały czas trzyma rękę na spuście. Ale przynajmniej nie celował mu w plecy.

Zagradzający drogę wóz zbliżał się. Coraz głośniejsze były dochodzące co chwilę okrzyki. I gwar, odgłosy jakby kłótni. Dziwne, spostrzegł Match, zaczyna czasami to brzmieć, jak... bo ja wiem... tłum na jarmarku. Tak, tłum na jarmarku, podziwiający występy kuglarzy, wyraźnie słyhać było gromki aplauz.

Wciąż nie widział wiele. Idąc tuż przy skraju bagien, dostrzegał za ledwie fragment blokującego drogę wozu, resztę zasłaniały zarośla i nisko zwieszające się, pokryte gęstym listowiem gałęzie. Gwar był coraz głośniejszy. Match czuł też dym, przesiąknięty zapachem... Tak, to zapach pieczonego mięsa. Ale nie był to zapach towarzyszący wojnie czy napadom, przeraźliwy, lepki zapach ciał ludzkich lub zwierzęcych strawionych pożarem. Był to zapach uczciwego, pieczonego na rożnie prosięcia. Sądząc po intensywności, zapewne nie jednego.

Nie wyglądało to na napad. Ale za nic nie mógł zgadnąć, co właściwie odbywa się na wiodącym przez bagna trakcie. Postanowił mimo wszystko zachować ostrożność, dopóki nie przekona się na własne oczy.

Znów zerknął do tyłu. Jason maszerował za nim, dokładnie piętnaście kroków z tyłu. Po nim nie widać było odprężenia, nadal sądził zapewne, że pakują się prosto w

zasadzkę. Wciąż skradał się przygięty, czujnie strzelając spojrzemiami w lewo i w prawo.

Jeszcze kilkadziesiąt kroków. Zagradzający trakt wóz był coraz lepiej widoczny. Można było dostrzec zaprzęgnięte konie, spokojnie posilające się z założonych worków z obrokiem. Match wsunął miecz do pochwy. To nie napad.

Zaraz za stojącym wozem trakt skręcał gwałtownie. Mimo iż sądząc z odgłosów było już niedaleko do ośrodka całego zamieszania, nadal nic nie było widać.

Match kiwnął ręką do Jasona, dając znak, że nie widzi żadnego niebezpieczeństwa. Z pewną ulgą zobaczył, jak Jason zdejmuje bełt z cięciwy. Bardzo rozsądnie, pochwalił w myśli, nawet się tego po nim nie spodziewałem.

Zauważył też, że znika denerwujące uczucie swędzenia w pośladkach. Zanim Jason rozładował kuszę, Match przez cały czas obawiał się podświadomie, że za chwilę bełt trafi go w sam środek tyłka, gdy Jason potknie się o kamień albo na przykład przestraszy go spłoszony ptak w zaroślach. Wprawdzie przy takich przypadkowych strzałach, gdy przestraszony strzelec podrzuci nagle broń, na ogół bełt idzie w górę. Tak więc mógł się spodziewać raczej trafienia w potylicę lub łopatki. Ale to właśnie tylek go swędział.

Staął wreszcie przy zagradzającym drogę wozie. Gestem przynaglił Jasona, by podszedł do niego. Mimo iż nie spodziewał się przykrych niespodzianek, wołał głośno nie krzyczeć. Na razie, nie wychodząc zza osłony, jaką dawał wóz, przyglądał mu się uważnie. Wszystko było w

porządku, żadnych wbitych w deski strzał. Rozpięta na pałkach płachta była cała, bez rozdarć, okrywała szczelnie cały wóz. Wyglądało na to, że właściciele, zanim odeszli, zasznurowali pieczołowicie płachtę i zaobrokowali konie.

Już miał ruszyć dalej, gdy deski wozu zaskrzypiały, gdy ktoś poruszył się w środku. Gwałtownie szarpnięta płachta odchyliła się. Match odwracał się właśnie z powrotem, gdy za sobą usłyszał zdławiony, pełen przestachu okrzyk i zaraz potem szczęk cięciwy. Rzucając się rozpaczliwym szczupakiem na piasek gościńca, Match przypomniał sobie ponieważ, że przecież Jason zdążył rozładować kuszę...

Zerwał się szybko, spluwając piaskiem. Jason stał z wyjątkowo głupią miną, ściskając kurczowo podrzuconą do strzału broń. Z wozu wychylała się dziewczyna. To z jej ust wydobywał się cienki pisk, który rozległ się zaraz po szczęku kuszy.

–Spokojnie, panienko, nic ci nie grozi! – krzyknął Match, pokazując puste ręce. Zdażył

odrzucić pochwę z mieczem. To ta sama, która machała do nas, tam, nad rzeczką,

spostrzegł.

– Jason, kurwa... – Match zająknął się. – Jason, rzuć ten sprzęt, dziewczyna się boi...

Jason ani drgnął, nie mogąc najwidoczniej wydobyć głosu. Nic dziwnego, pomyślał Match,

gdyby nie rozładował kuszy, najpewniej trafiłby to przestraszone dziewczę. Nie ma się co dziwić, że zgłupiał. Gapi się tak, jak idiota. Gapi się...

Gdy odwracał się, zdążył jeszcze pomyśleć, jak mógł być tak nieostrożny. Jason nie patrzył na dziewczynę. Nie patrzył też na Matcha. Patrzył gdzieś ponad jego ramieniem, na coś, co było z tyłu...

Widły są paskudnym, lecz bardzo skutecznym narzędziem. Zwłaszcza wtedy, gdy są używane niezbyt zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem, gdy nie służą do przerzucania siana czy gnoju. Stosowane do innych celów mają, co prawda, jedną wadę, o której przekonało się wielu użytkowników – dosyć łatwo ich zęby zginają się na sprzączkach od pasów.

Widły, które Match zobaczył tuż przed sobą na jednym końcu, tym bliższym, miały trzy ostre, umazane czymś cuchnącym długie zęby. Pewnie niedawno były używane do celu, w jakim zostały zrobione, do rozrzucania obornika. Na drugim końcu miały przysadzistego, zarośniętego kmiecia, który szczyrzył się nieprzyjaźnie.

Match wolno odsunął ręce od boków, pokazując puste, rozłożone dłonie. Na kmieciu nie zrobiło to większego wrażenia. Przysunął widły bliżej, starannie ustawiając je powyżej sprzączki. Miał widać doświadczenie.

Bardzo wolno Match spróbował się cofnąć. Jednak gdy zrobił ostrożny krok do tyłu, nieprzyjazny kmieć zaburczał coś niezrozumiale acz złowrogo i postąpił naprzód. Zęby nie oddaliły się ani trochę.

To, że w ten upalny dzień Match zrezygnował z założenia kolczugi nie miało większego znaczenia. Wąskie na końcach jak szydła ostrza z łatwością przebiłyby ją jak stary worek.

Przynajmniej więc pod tym względem Match nie miał sobie nic do zarzucenia. Bo pod innymi...

Mimo niezbyt korzystnego położenia był wściekły przede wszystkim na siebie. Dawno się nie zdarzyło, żeby tak dał się podejść. Żeby nic nie usłyszał. Zresztą, nie o to przecież chodziło, jak w ogóle mógł tak zlekceważyć niebezpieczeństwo, tak zagapić się w nie rozpoznanej do końca sytuacji. Żle to wróżyło na dalszą

przyszłość.

Na razie jednak został zmuszony do zajęcia się tą najbliższą przyszłością, rozważania o dalszej odkładając na bardziej sprzyjające po temu czasy. Kmieć naparł na niego, zmuszając do dalszego cofania się. Zezował przy tym nieufnie na Jasona, który stał bezradnie z nienapiętą kuszą. Nie miał żadnych szans na ponowne jej napięcie. Wiedział, że przy najmniejszym poruszeniu zajadły kmiot pchnie Matcha, a potem zapewne zdąży nadzieć i jego.

Dziewczyna wciąż krzyczała. Jason zastanawiał się mętnie, co złego uczynili nieznanemu wieśniakowi.

Match w końcu oparł się plecami o burtę wozu. Nie mógł już się cofać. Jego uniesione ręce nie robiły na wieśniaku żadnego wrażenia. Gdy zaś spróbował się odezwać, kmiotek skwitował to jedynie silniejszym naciśnięciem wideł. Match poczuł, jak któryś z zębów przebija ubranie. Złapać za drzewce, pomyślał nieźle już zły i przestraszony. Nie, nie zdążę, gdy tylko się poruszę, pchnie...

Gdy Match stał bezradnie oparty o wóz, kmiotek jakby się trochę odprężył. Ujął starannie jedną ręką swoją paskudną broń, wciąż napierając na brzuch Matcha. Uniósł drugą rękę, włożył do gęby dwa brudne paluchy i gwizdnął. Tak, że aż w uszach zadźwięczało. Dziewczyna zamilkła wreszcie, może zabrakło jej oddechu.

Match spróbował unieść wyżej dłoń. Kmiotek tylko pokręcił głową.

Za zakrętu rozległ się tupot. Match usiłował spojrzeć, nie odwracając głowy. Niedobrze.

Uzbrojony w widły wieśniak miał towarzystwo. Niewiele się od niego różniące, może tylko tym, że niektórzy z biegnących ku nim zamiast wideł mieli sękate pały i cepy. Jeden nawet dźwigał coś większego, chyba kłonicę.

Dwóch z widłami podskoczyło do Jasona, który miał tyle przytomności, że rzucił kuszę i grzecznie uniósł ręce w górę. Pozostali otoczyli kręgiem Matcha i jego prześladowcę.

Jeden z nich, niewiele różniący się od innych, tak samo obdarty i zarośnięty podsunął się bliżej. Oparty na swych widłach, przyglądał się chwilę.

–A opuście, no kumie, te widły – odezwał się po chwili. – Nie ucieknie już przecie...

Ten przynajmniej umie mówić, zauważył Match z niesmakiem. Sytuacja coraz bardziej go złościła.

Kum splunął soczyście, o włos chybiając but Matcha. Roześmiał się chrypliwie. Po

czym również pokazał, że sztuka wysławiania nie jest mu obca.

–A kto go tam wi – charknął, wlepiając małe oczka w twarz Matcha. – Sami wiecie, jak to

z wojakami zasranymi... Z konia, we zbroicy, z tym, no, mieczem to on górą, ale tak, to wie, że

z chłopem nie uradzi... Ino uciekać może albo w gacie popuścić...

Wieśniacy zaszemrali zgodnie. Tak, chłop potęgą jest... Zwłaszcza z widłami. Gdzie tam zbrojnym równać się z nim, zwłaszcza, gdy ma niewątpliwą liczebną przewagę...

–Tak właśnie, ino uciekać, patrzajta, chłopcy, jak ślipiami przewraca... A w gacie to może

już popuścił...

Opuścił nieco widły, odsuwając usmarowane gnojem zęby od brzucha Matcha. Zaczął pociesznie pociągać nosem, sprawdzając, czy Match istotnie popuścił w gacie. Pozostali rechotali wesoło.

Niedoczekanie twoje, pomyślał Match, nawet gdybym się tu zesrał, to i tak nic nie poczujesz. Za bardzo sam śmierdzisz, ty i twoi kompani... Rozejrzał się nieznacznie. Zauważył, że dwóch wieśniaków odstąpiło od Jasona, nie chcąc nic stracić z zapowiadającej się zabawy.

Kmiotek spostrzegł złość na twarzy Matcha. Ucieszyło go to wielce. Odwrócił się do swoich.

–Posłuchajta, chłopcy, a może to ślachcic – zarechotał wesoło. – Tak mu cosik wrednie z

gęby patrzy. Ja żem zawsze mówił, że jak capnę ślachcica, to mu...

Nikt nie zdążył dowiedzieć się, co miał zamiar zrobić schwytanemu szlachcicowi zarośnięty kmieć. Match chwycił za drzewce wideł, kopniakiem podciął mu nogi. Trafił dobrze, z boku w kolano. Coś głośno trzasnęło i po chwili wieśniak zwijał się na gościńcu, mając na gardle oparte drzewce własnych wideł. Pozostali zamarli.

Posłuchawszy chwilę cichego charkotu, Match zwolnił nieco nacisk buta na drzewce. Kmieć wreszcie zaczerpnął oddechu. Za chwilę zaczął dla odmiany pojękiwać. Cicho i żałośnie.

Wieśniacy stali jak skamieniali. Zanim zdążyli się otrząsnąć, Match już miał w rękę

miecz, rzucony przez Jasona. Żaden z kmiotków nie miał na tyle rozumu, żeby go wcześniej podnieść.

–Kupą na niego – z tyłu ścieśnionej grupki padł spóźniony okrzyk. Z przodu nikt się nie ruszył. Powstrzymywał ich błysk klingi.

–Zejdźcie nam z drogi, dobrzy ludzie – powiedział Match spokojnie. – Czegoście się czepili, co wam zrobiliśmy złego? Zejdźcie, a nikomu nie stanie się krzywda...

Popatrzył w dół na leżącego i jęczącego coraz głośniejszego chłopca. – No, nikomu więcej... Chłopi zbili się w ciaśniejszą gromadkę, najeżoną zębami wideł.

–No, ruszcie się, kmioty, bo jak nie... – Match naciskał dalej. Nie chciał, by się opamiętali, przypuszczał, że jest ich w pobliżu więcej. Nie miał specjalnej ochoty sprawdzać, ilu.

–Nie, dobrzy ludzie, nie podchodźcie – ostrzegł na widok jednego czy dwóch, w których oczach dostrzegł błysk podjętej decyzji. – Nie podchodźcie, bo...

Urwał i nacisnął mocniej butem na drzewce wideł. Chłop jęknął nieco ciszej, po czym znów zacharczał. Dla odmiany głośniejsze.

–Nie podchodźcie, bo widzicie, co się stanie...

Na razie sytuacja była stabilna, jednak wciąż było daleko do rozwiązania. Leżący i jęczący pod drzewcem wideł chłop i obnażony miecz znacznie studził zapalę wieśniaków, lecz było ich trochę za dużo. A nie można było wymachiwać bronią bez końca, przyzwyczajają się i przestanie robić wrażenie. A trudno pochłastać kogoś, ot tak, dla przykładu, pomyślał Match i aż się zdziwił. Kiedyś nie miał takich skrupułów. Być może jestem za stary na to wszystko, za stary i za miękki.

Sytuację poprawił nieco Jason, który zdążył napiąć kuszę. O dziwo, jak spostrzegł Match, gdy niebezpieczeństwo stało się całkiem realne, przestał się trząść i rozglądać nerwowo. Broń trzymał pewnie, wodząc nią po całej stłoczonej gromadce, sprawiedliwie, by nikt nie mógł uważać się za pokrzywdzonego. Odszedł nieco na bok, tak, że dla wszystkich było jasne, iż każdy, kto rzuci się na niego, nie ma szans na osiągnięcie. Najpierw spotka na swej drodze bełt. Na szczęście nikt z chłopów nie był uzbrojony w broń miotającą.

Nie boi się chłopów, stwierdził Match. Bał się rozbójników, a jeszcze bardziej chyba nieznanego, gdy nie wiedział, co czeka na nich za zakrętem gościńca. Ale gdy stanął naprzeciw realnego niebezpieczeństwa, od razu wziął się w garść, uspokoił. I zaczął sensownie działać.

Match pokręcił głową. Reakcja, owszem, powszechna, ale niezbyt uzasadniona. To

nie wyimaginowany przeciwnik jest niebezpieczny, nie tworzy własnej wyobraźni. To właśnie realne niebezpieczeństwo zabija. Możliwe też, że Jason uważał uzbrojonych kmieci za mniej niebezpiecznych od zbójów z gościńca. Match znów pokręcił głową. Jason w tym także się mylił.

Chłopskie bunty nie były wcale rzadkie. I choć na co dzień każdy szlachcic, żołnierz czy zwykły mieszczanin miał chłopa w głębokiej pogardzie, choć zdarzające się rebelie kwitowano najczęściej ogólnikami o „rozwydrzonym motłochu”, to skutki ich zazwyczaj bywały straszne. Chłopów niełatwo było porwać do buntu, lecz gdy już porwano... Match widywał już skutki takich rebelii. Chłopi byli zazwyczaj bezlitośni.

Kmiotkowie nie potrafili na ogół liczyć, lecz znakomicie potrafili ocenić, kogo jest więcej, ich czy szlachty i zbrojnych. Gdy mieli przewagę liczebną, nawet doświadczonym żołnierzom trudno było dotrzymać im pola. Oczywiście, w starciu jeden do jednego uzbrojony w widły czy inne narzędzie rolnicze chłop miał małą szansę z byle tarczownikiem. Ale chłopi nie walczyli jeden na jednego. I nawet wprawnemu rycerzowi, po rozwaleniu dziesięciu chłopskich łbów mogło omdleć ramię, ręka mogła się omsknąć. A wtedy ten jedenasty wspinał się na ciała pobratymców i wbijał w szlachecki brzuch zęby swych ordynarnych wideł, które zabijały równie skutecznie jak rycerski miecz.

Match nie słyszał wprawdzie ostatnio, by szykowały się kolejne zamieszki. Jednak obecność uzbrojonych chłopów na gościńcu trudno było inaczej wytłumaczyć.

Póki co, Match przeliczył po raz kolejny przeciwników. Ośmiu. No, nie jest jeszcze tak źle. Były dwa wyjścia. Albo rzucić się na nich od razu, zasieć jednego czy dwóch i odskoczyć,

zanim pozostali się opamiętają. Dawało to spore szansę powodzenia, pozostali za zakrętem gościńca, a sądząc z odgłosów było ich wielu, zajęci są czymś innym. Match nawet nie zastanawiał się czym. W każdym razie, przy odrobinie szczęścia, nie usłyszą, co się tutaj dzieje. Zanim przybiegną zaalarmowani, pewnie uda się dopaść koni.

Można spróbować pertraktacji. Ostatecznie nie uczynili kmiotom nic złego. Nie należeli do drużyny żadnego z okolicznych wielmożów. Nie wyglądali na ludzi wysokiego urodzenia. Kto wie, może dotrze do kmiotków, że nie są dla nich zagrożeniem.

Match zdawał sobie sprawę, że szansę są na to niewielkie. W chłopskiej naturze było coś, co kazało wieśniakom uważać wszystkich innych za naturalnych i przysięgłych wrogów stanu kmiecego. Tej wrodzonej nieufności nic nie było w stanie przełamać. Pan zawsze gnębił i wyzyskiwał, żołnierz bił, a kramarz oszukiwał. Co złego robili wieśniakom przedstawiciele innych stanów i profesji, Match nie wiedział,

lecz kmiotkom nie przeszkadzało to obdarzać ich taką samą niechęcią. Niechęcią okazywaną na co dzień, zmienianą w czyn w czasie rebelii.

Przed laty Match bez namysłu wybrałby pierwszy wariant, może tylko starając się w miarę spektakularnie zranić paru przeciwników, niekoniecznie od razu zabijać. Teraz, ku własnemu zdziwieniu, zamiast uderzyć zniechęca, odezwał się.

–No, gospodarze, cośmy wam takiego zrobili? – spytał łagodnie, nie opuszczając jednak

miecza. – Dobrze wam radzę, poniechajcie nas, my nic do was nie mamy...

Jak grochem o ścianę. Wystawione do przodu widły nawet nie drgnęły. Match zdawał sobie sprawę, że zbyt to wszystko przeciąga. Lada chwila zza zakrętu mogli pojawić się następni.

–Odstąpcie – spróbował jeszcze raz, usiłując spokojnym tonem głosu trafić wreszcie do

rozsądku. – A pójdziemy swoją drogą, nikomu nic się nie stanie... – dodał ostrzeżenie.

Znów nic. Trudno, nie można dłużej. Spojrzał na Jasona, ich spojrzenia skrzyżowały się. Jason chyba zrozumiał, sprężył się. Match lekko uniósł broń...

–Bo wy, ślachta, to wam... – rozdygotany głos powstrzymał Matcha w ostatniej chwili

przed wypadem. – To myślıta, że wam wszystko wolno!

Młody chłopak, co można było poznać po rzadkim zaroście, aż trząśł się z wściekłości. Gdyby mógł, to wraziłby swoje widły w kałdun tego bezczelnego zawalidrogi. Niestety, nie mógł, powstrzymywał go chłodny błysk stali. A także błysk w oczach Matcha, chłodniejszy chyba jeszcze od błysku miecza. Gdyby nie to, już rzuciłby się do przodu bez zastanowienia, nie powstrzymałby go od tego los leżącego na ziemi, któremu Match niechybnie zdążyłby zmiażdżyć tchawicę. Gwoli prawdy, to chłopak nigdy nie lubił Butcha, swego stryjca, który jęczał teraz coraz ciszej.

Sytuacja dla chłopaka była wysoce stresująca. Swój stres rozładował krzykiem.

–Choć wy ślachta albo i inny żołdak, to chłopca bić nie lza! – krzyknął, wyszczerzając poźółkłe siekacze, których nie powstydzilby się dorodny królik. – Prawa takiego nie ma! Bez

dania racji nie Iza!

–A widłami człowieka w brzuch szturchać, to Iza? – zapytał kpiąco Jason. – Bez dania racji?

Chłopak zamilkł z rozdziawioną gębą. Nie znalazł widać rzeczowych argumentów.

–Tfu, ślachcic, kurwi syn – gdy odzyskał głos, uciekł się do argumentów *ad personam*.

Argument chybił. Jason roześmiał się tylko.

Chłopi zaszemrali, spojrzeli po sobie.

–Praw jest, choć smark! – burknął któryś zdecydowanie. – Prawdę gada, chłopca to jeno ukrzywdzić...

–A, co tu gadać, kupą na nich – to był ten najbardziej zdecydowany. Jak zauważył Match, do czynu nawoływał, starannie trzymając się z tyłu. Toteż nie znalazł posłuchu.

–Dobra, Match – tym razem Jason podjął decyzję. – Chodź, wracamy, co będziesz z kmiotami gadał... I tak nie rozumiem, za durne na to... Widzisz, że kmiot to głupszy od swojej kozy... Ech, jak bym pieprzył w te głupie łby...

Match aż się skrzywił, lecz, o dziwo, skutek był zgoła odwrotny, niż się obawiał. Chłopi nie rzucili się z wściekłością na Jasona. Okazało się, że Jason ugodził ich boleśnie, w brutalny sposób pokazał, gdzie jest ich miejsce. W swej nieświadomości nie bał się zbuntowanych chłopów, zapewne w głębi duszy gardził nimi. Jego pewność siebie i pogarda brzmiąca w głosie sparaliżowała agresywnych przed chwilą wieśniaków, pozbawiła ich woli i osadziła na miejscu.

Jason począł cofać się, wciąż celując w grupkę coraz bardziej niezdecydowanych, porażonych taką bezczelnością chłopów. Widząc to, Match zdjął nogę z drzewca wideł leżących w poprzek szyi powalonego przeciwnika. Trzymając miecz tak, aby było widać, iż w każdej chwili może go użyć, również postąpił krok do tyłu. Chłopi nie ruszyli się.

Cholera, to się może udać, pomyślał Match. Zrobił kilka ostrożnych kroków. Jeden z kmiotków wysunął się do przodu, unosząc widły. Gdy jednak Match zatrzymał się i uniósł nieco wyżej broń, bardzo szybko wrócił na swoje miejsce. Pozostali nawet nie próbowali.

Tak, to się może udać. Swoją drogą, myślał Match, strasznie się wpieprzyliśmy. Myślałem, że to napad, że zbóje rabują kupców. Zrabują, co tam znajdą i pójdą sobie w cholerę. A to tutaj wygląda niestety na kolejny chłopski bunt. I nie dość, że trzeba spieprzać, potem wracać diabli wiedzą jak daleko i nadkładać drogi, to jeszcze cała okolica niedługo spłynie krwią. Jak to zwykle bywa...

Chłopskie bunty nie były rzadkością. Ale zawsze były nieudane. Bo też trudno uznać za sukces spalenie kilku dworów, wyrżnięcie do nogi poborców i zabicie pewnej liczby zbrojnych i szlachty. Bunty zaczynały się zwykle rzezią, gdy rozzuchwaleni, upojeni własną siłą i zadawaną przemocą kmiecie mordowali i bezmyślnie niszczyli, co tylko popadło. Kończyły się nieodmiennie też rzezią, rzezią buntowników. Chłopi byli zbyt niezdiscyplinowani, skłóceni, po prostu okrutni i pazerni, by w jakikolwiek sposób zdyskontować początkowe sukcesy. Potrafili tylko brnąć dalej i dalej...

Jeszcze kilka ostrożnych kroków. Nikt z grupy kmiotków nadal się nie poruszył. Już się nie ruszą, ocenił Match, jak zwykle, gdy sytuacja ich przerastała, nie wiedzą co robić. Przegapili już ten moment, kiedy mogli rzucić się do przodu. Match nie miał złudzeń, że któremuś udałoby się nadziać ich na widły. Ale już nie teraz. Tak, pewnie się uda.

Teraz trzeba im jeszcze raz pokazać, że się ich nie boją. Nie mają łuków, więc można zaryzykować, widłami tak daleko celnie nie rzucą. Match jeszcze raz ocenił odległość dzielącą ich od tarasującego drogę wozu i skonsternowanej grupki. Odległość była już wystarczająca. Odwracając się, by nonszalancko pokazać kmiotkom plecy Match zauważył jeszcze, że sponiewierany przez niego kmieć z trudem dźwiga się na nogi. Więc jednak nie złamał mu nogi, jak sądził na początku. Aż sam się zdziwił, gdy poczuł coś na kształt ulgi. Kmiotek nie był dla niego żadnym przeciwnikiem i Match uważał w głębi duszy, że nie zasługiwał na poważniejsze obrażenia.

Kmiotek miał widocznie inne zdanie. Match dawno nie słyszał tak kunsztownych i plugawych przekleństw. Jednak mimo iż poszkodowany wieśniak wyraźnie dyszał żądzą odwetu, ograniczył się jedynie do słownej agresji.

Match poczuł teraz, jak po plecach spływają mu strumyczki potu. On sam, w przeciwieństwie do Jasona nie miał złudzeń, mało było tak niebezpiecznych i nieobliczalnych przeciwników, jak zbuntowani chłopi, dla których wszyscy byli wrogami. W pełni zdawał sobie sprawę, jak wielkiego niebezpieczeństwa udało się uniknąć. No, już prawie udało... Niewielu ludzi, którzy wpadli na takich samowtór i nie należeli do jedynie słusznego stanu kmieckiego, miało okazję później o tym opowiadać. Tak, gdybym miał wybierać, wolałbym już chyba tego pieprzonego smoka, pomyślał Match. Tak, lepszy już smok, niż kilkunastu takich z widłami. Przypomniał sobie opowieść o szlachcicu, który podczas słynnej przed laty

chłopskiej rzezi, uciekając schronił się we wnętrzu wypróchniałej wierzby. Chłopi ścięli wierzbę, po czym porznęli ją piłą na pieńki. Nie zawracali sobie przy tym głowy wydobywaniem szlachcica ze środka... Tak, ale tym razem chyba się...

–A dokąd to, szlachetni panowie? – dobiegł z tyłu stanowczy okrzyk. Match zatrzymał się jak wryty. Nie wiedzieć czemu miał pewność, że spokojna stanowczość tego głosu wsparta jest strzałą wymierzoną w jego plecy. Niech to diabli, pomyślał, odwracając się ostrożnie, tak dobrze szło. Za długo to trwało, za długo, nie zdążyliśmy...

Match odwrócił się i zaklął pod nosem. Nie było żadnego napiętego łuku, nie wymierzono w nich żadnych strzał. Trzeba było spieprzać, pożałował ponieważ. Kolejny błąd dzisiaj...

Mężczyzna, który wyszedł zza zakrętu drogi i stanął obok uzbrojonej grupki, nie miał broni. Niemłody już, mimo iż na pierwszy rzut oka można było w nim rozpoznać chłopca, nosił się dziwnie, ni to z pańska, ni to z chłopska. Nie był też zarośnięty ani umorusany.

Stanął przy zbitej, skonsternowanej gromadce. Nie był uzbrojony, nie sprawiał wrażenia agresywnego. Był wzrostu ledwie średniego. Na szerokiej twarzy nie widać było złości czy napięcia. A jednak emanowała z niego butna siła. Nie zwracając uwagi na pozostałych, skinął ręką w kierunku Matcha i Jasona.

Jason, jakby wbrew swej woli postąpił krok naprzód. Spojrzał niepewnie na Matcha i zatrzymał się.

Nieznajomy podszedł do nich, nakazawszy stanowczym gestem, by inni pozostali na miejscu. Stanął, przyglądając się im badawczo.

Wolny kmieć, pomyślał Match, nie żaden pański. Mężczyzna ubrany był dostаточно. Na nogach nie miał łykowych łapci, płócienne spodnie wpuszczone były w cholewy długich butów. Gładko wygolona twarz, przylizane siwe włosy.

–Kto was przysłał? – zapytał kmieć bez wstępów. Match zmarszczył się. Dziwny akcent.

–A co was to obchodzi, gospodarzu? – spytał powoli, starając się być uprzejmy.

Mężczyzna pokiwał głową.

–Znaczy, wy nie od jaśnie pana... – mruknął pod nosem. – Tak myślałem, zbyt szczerze

wam z oczu patrzy...

Match wzruszył ramionami na ten nieoczekiwany komplement. Nic go to nie obchodziło.

–Zabierzcie swych kamratów, gospodarzu – zaproponował. – My chcemy tylko jechać dalej. Mógłbym wprawdzie powiedzieć, że z tych waszych buntów gównem wyjdzie, jak zawsze, ale nic mi do tego. Mógłbym powiedzieć, że i tak zbrojni wam po karkach przejadą, prędzej czy później. Ale nie powiem. Róbta se, dobrzy ludzie, co chceta, nam nic do tego.

–Chcecie jechać dalej? – ucieszył się nie wiadomo dlaczego przylizany kmieć. – Nic wam do tego? To coś wam powiem... Nie pojedziecie...

–A to dlaczego, gospodarzu? – zdziwił się zimno Match. Zupełnie nie pojmował całej sytuacji i zaczynało go to coraz bardziej złościć. – Zabronicie nam?

Mówiłem już wam, mój dobry człowieku, że rebelie nie wychodzą wam zazwyczaj na zdrowie. Głuchy jesteś? To powtórzę jeszcze raz... I zakarbuju sobie, coś mi się widzi, że pojedziemy dalej, kiedy tylko będziemy mieli ochotę. A właśnie mamy.

Jason pociągnął go nerwowo za rękaw. Match obejrzał się. Jason mrugnął i przewrócił oczyma, wskazując na kmiotków z widłami. Starał się usilnie uczynić to niepostrzeżenie.

–Widzicie, panie? – ucieszył się przylizany. – Wasz kamrat od razu zmiarkował, mądry jest. Wie, że zapalczywość nie popłaca, oj, nie popłaca...

–Jason, trzymaj mnie... – zgrzytnął tylko Match.

–Tak, tak będzie najlepiej – zgodził się kmieć. – W gorącej wodzie jesteście kąpani... Tak to jest, chłopu zawsze wiatr w oczy. Wszyscy przeciwko niemu, o, od razu miecza się ima...

Wskazał oskarżycielsko na Matcha, którego dłoń istotnie spoczęła na rękojęści. Na ten widok Match, sam nie wiedząc czemu, cofnął rękę.

–Przecie, wy, panie, nawet nie szlachcic... – kontynuował przylizany z kpiącym uśmieszkiem. – Na wojaka wyglądacie, weterana... A od razu stronę tych złodziei trzymacie,

tfu, szlachetnie urodzonych. Broni na chłopca chcecie dobyć.

Głos przylizanego stwardniał.

–Ale koniec nastał krzywdzie i przemocy! Chłop upomni się o swoje. I choćbyście tej

broni dobyli, to i tak nam nie strzymacie, bo siła nas! I nie bunt to, nie rebelia! Jenó słuszny

protest!

Za plecami gospodarza murem stanęli kmiotkowie. Groźnie unosili widły i cepy, smarkając gromko dla podkreślenia wagi słów swego przywódcy. Ten uśmiechnął się znowu.

–Widzicie? – zapytał. – Nie przejedziecie, choćbyście się i zesrali. To słuszny protest!

Match i Jason spojrzeli po sobie. Jason już też nic nie rozumiał.

–Popatrzcie sobie, popatrzcie... – przylizany popatrzył łaskawie. – Może zrozumiecie, jaka

w kmieciach siła. Wybaczcie, nie mogę sam wam pokazać, obowiązki wzywają. Ale dam wam

kogoś, on wytłumaczy...

Odwrócił się i odszedł z powrotem. Match popatrzył na Jasona, który nie wyglądał mądrzej od niego.

–Jacy złodzieje? – spytał bezradnie. – Kogo ja popieram? Co to jest, kurwa, słuszny protest?

Za zakrętem ujrzeni niecodzienny widok. Przed stłoczoną grupą kilku wozów z pomstującymi gromko podróżnymi na trakcie stała barykada. Składały się na nią dwa wyprzęgnięte, chłopskie wozy stojące w poprzek drogi, zasieki z kolczastych gałęzi i duża ilość bliżej nie zdefiniowanego sprzętu rolniczego. Jason rozpoznał wielkie radło, ale pozostałe przyrządy były dla niego tajemnicą.

Przed samą barykadą i wokół niej gromadzili się uzbrojeni w przeróżne narzędzia chłopci. Widać było, że potrafią ich użyć nie tylko do przerzucania gnoju czy omłotów. Chłopci zajęci byli odpowiadaniem na przekleństwa nieszczęsnych podróżnych, czyniąc to z dużym smakiem i inwencją.

Miejsce na zaporę było wybrane znakomicie. Trakt biegnący nasypem wśród gęstego, podmokłego lasu nie dawał nawet najmniejszych szans na objechanie barykady. Pozostawało tylko jedno, zawracać prawie do samego miasta. Widząc to Jason przestał dziwić się zapalczywości podróżnych, głównie kupców.

Za zachrypniętymi już od przekleństw kupcami, na skraju drogi ustawia się grupka zbrojnych. Chyba ze dwudziestu, jak naliczył Match. Ze zdziwieniem spostrzegł, że zbrojni stoją znudzeni, porzuciwszy tarcze i broń obok siebie. Od czasu do czasu rzucali złośliwe docinki pod adresem awanturujących się podróżnych. Przeważnie zachęcali ich do szarży na zbuntowanych chłopów. Musieli czynić to już długo, bo nikt nie reagował.

Po drugiej stronie zapory, pod brzegiem nasypu, była niewielka polanka. Na polance, nad ogniskami piekły się w całości spore prosiaki. Obok ognisk stały dzbany z piwem. Wszystko to nadawało całej scenie nierealną atmosferę wesołego jarmarku.

Przydzielony im przez przyznanego przywódcę przewodnik wskazał to wszystko szerokim gestem.

–To nas słusny protest – wyseplenił dumnie. Musieli dobrze nadstawiać ucha, brak przednich zębów powodował, że seplenił bardzo niewyraźnie.

Jason spojrział pytająco. Kmieć uśmiechnął się całą, bezzębną gębą.

–Wszystko powiem – obiecał. Match wzruszył ramionami.

–Wracam po konie, Jason – oznajmił. – Ty jak chcesz, to posłuchaj... Zresztą... Odciągnął go na bok.

–Popatrz dobrze, może da się jakoś przeskoczyć – szepnął. – Z wozami nie dadzą rady, ale na koniach...

–Co tam gadacie? – zaniepokoił się przydzielony kmieć.

–Nic, nic – odparł szybko Jason. – Podziwiamy wasz, jak to mówisz, protest. Słuszny zresztą. Idź, Match, przyprowadź konie, a ja posłucham naszego nowego przyjaciela...

–No, dobry człowieku, zaczynajcie – powiedział, gdy Match zniknął już za zakrętem. – Powiedźcie, coście z kumami uradzili... Dlaczego ludzi traktem nie puszczacie... Musicie mieć jakiś chytry zamysł...

Chłop rozpromienił zarośnięte oblicze, spojrział łaskawiej na Jasona.

–A mamy! – powiedział radośnie. – Bardzo, za pozwoleniem, chytry. Wy też, panie, bystry

rozum macie, coście od razu zmiarkowali.

Jason skrzywił się w duchu. Też coś, dumny wieśniaku, pomyślał. – Trudno było, ale się skupił – powiedział na głos. Chłop uśmiechnął się jeszcze szerzej. Trzonowych zębów też miał niewiele.

–Wicie co, nie będziem o suchym pysku ozorem mleć – wbił w ziemię swe widły, zatarł

brudne łapska. – Siednijcie se, a ja piwa psyniosę. I dla waszego kamrata też...

Nie ma to jak właściwe podejście do ludzi, z ironią pomyślał Jason. Od razu dadzą piwa, docenią. Po co od razu łapać za miecz... Kmieć wrócił niosąc ostrożnie gliniany garniec.

–Wy pierwsi – zaprosił dwornie. Zabrzmiało nieco wyraźniej, prawdopodobnie zanim przyniósł, to sam wypił co najmniej garniec, żeby się nie zmarnowało. Zwilżenie gardła pomogło, prawie przestał seplenić.

–Napijcie się, panie – ponowił zachętę. – Wy pierwsi...

I całe szczęście, pomyślał Jason, przykładając wargi do chłodnego garnka. Po tobie, to bym się chyba zrzygał. Piwo było nieoczekiwanie dobre i chłodne. W sam raz na taki upalny dzień. Nie odrywając ust od brzegu naczynia, Jason wypił od razu z połowę garnca. Podał naczynie kmieciowi, sapnął z ukontentowaniem, wycierając pianę z ust.

Kmieć zajrzał podejrzliwie do naczynia. Widać obawiał się, że niewiele zostało. Zaczął pić, głośno siorbiąc. Gdy skończył, beknął donośnie.

–Dobrze, gospodarzu – zagaił Jason. – A teraz opowiedzcie. Czymże to wasz słuszny

protest różni się od buntu? Wprawdzie jeszcze trupów nie widzę, ale chyba tylko tymczasowo.

Bo przecież gościniec królewski. Jakże go tak zagradzać, przejazdu nie dawać?

Kmiotek cmoknął z podziwem.

–Oj, bystry u was rozum, bystry – powiedział z uznaniem. – Od razu żem zmiarkował, ino

żem na was popatrział... Bo ten wasz kamrat, to czegoś tępy, coby nie powiedzieć przygłupi.

Tylko za miecz by łapał. A wy od razu w sedno trafiliście! W samo sedno!

Kiwał głową z podziwem, zerkając spod oka na Jasona. Ten niespecjalnie poczuwał się do bycia tytanem intelektu.

–W jakie sedno? – spytał ze złością.

–Nie udawajcie, panie... – kmieć spojrział ze zdziwieniem. – Przeca wicie... Wicie, że gościniec królewski...

–I co z tego?

–Kpita se z biednego chłopca – z wyrzutem zauważył kmieć. – Taką na przykład drogę na pastwisko, to mogliby my blokować do usranej śmierci. Psa z kulawą nogą by to nie obeszło. A królewski gościniec...

Tak, pomyślał Jason. Królewski trakt, którym jeździli wszyscy. Od kupców do wielmożów. Bez którego trzeba trzykrotnie nadkładać drogi. Owszem, obchodzi to wszystkich. Tylko po co?

–Wiecie co, gospodarzu? – spytał Jason. – Opowiedzcie wszystko od początku. Upał taki, myśleć się nie chce... Wolę posiedzieć i posłuchać.

–Tak, macie rację – kmieć wyraził aprobatę. – Ja też, jak mam czas, to siedzę i myślę. A jak ni mam, to ino siedzę... Poczekajcie, piwa doniesę.

Zapasy piwa po drugiej stronie zapory wyglądały na niewyczerpane, lecz kmiotek powróciwszy z pełnym garncem był zaniepokojony.

–Psiekrwie, świtanem mieli przywieźć – pomstował pod nosem, podając naczynie Jasonowi.

–Kto taki? – spytał Jason, zanim zaczął pić.

–No, zaopatrzenie – wyjaśnił kmieć z wyraźnym niepokojem, nieco wyraźniej. – Piwo się kończy, jakże to, na blokadzie stać bez piwa? W taki gorąc? Takich trzech od nas z wioski miało dowieźć. Mój brat i dwóch bratanków...

Faktycznie, nie sposób w taki upał, przyznał Jason.

–Zmitrężyli gdziesik po drodze – wieśniak sam sobie próbował wytłumaczyć opóźnienie. Starał się nie dopuścić do siebie najgorszej ewentualności. Jednak był mało przekonujący.

–Albo i wychlali... – mruknął z niepokojem.

–A dużo tego miało być? – zainteresował się Jason.

–Cały wóz! Do wieczora miało wystarczyć.

–To chyba nie wychlali – pocieszył go Jason. – Nie daliby rady...

–Wy ich, panie, nie znacie – wieśniak z powątpiewaniem pokręcił głową. – Tych trzech, to takie kurwie syny... Pijcie wolniej, panie, bo zaszkodzi...

Jason, który aż zakrztusił się piwem, machnął tylko ręką.

–Ano, może i nie zaszkodzi – stwierdził filozoficznie kmiotek. – Dobre piwo nigdy nie szkodzi...

Gdy sam dopił piwo z podanego garnca, Jason przynaglił go.

–Mniejsza z piwem, gospodarzu – powiedział. – Powiedzcie wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi...

–Jak to, o co? – kmieć podniecił się. – O nasze krzywdę chodzi! O wyzysk! O tych złodziejów, co skórę z nas łupiom! Chłopem pomiatajom!

–W porządku – skrzywił się Jason na ten wybuch. – To wszystko wiem, chłopu zawsze wiatr w oczy. Ale może powiedzcie coś bliżej...

–Prawi jesteście, zawsze rolnika chcom gnębić. Wszyscy! Jason już myślał, że nigdy nie zacznie. Ale mylił się.

–Bo wiecie – zaczął wreszcie kmieć, już spokojnie. – To wszystko przez świnie. To te świnie nas zniszczyły. Przez to bida u nas z nędzom, przez to nas do desperacji przywiodło.

Słowo „desperacji” wymówił szczególnie starannie. Widać ktoś wbił mu je do głowy. Jason popatrzył na piekące się nad węglami prosięta.

–Co, pomór był? – spytał sceptycznie. – Wyzdychały, a wy teraz głód cierpicie?

–Gorzej! – tym słowom towarzyszyło siarczyste splunięcie. – Gorzej, bo nie wyzdychali, psiekrwie. Ino kwiczom, coby im zryć dawać. Do gęby nie ma co włożyć, wszystko zeżarli...

Jason podrapał się w głowę. Tajniki rolnictwa i hodowli, jak się okazało, były mu najwyraźniej obce.

–Toż przecież trzeba je sprzedać – powiedział niepewnie. – Po to się je hoduje, nie myślę się chyba...

–Sprzedać! – charknął ze złością gospodarz. – Ino komu, jak nie chce kupić!

–Kto nie chce kupić? To tak trudno sprzedać wieprzka? Na targ popędzić? – A ten skurwysyn, oszust! Złodziej! Za tłuste, mówi, niedobre! Żle karmione! Sama słonina!

Świnia powinna mieć słoninę, zdziwił się Jason w myśli. Świnia bez słoniny to żadna świnia. Nadal nic nie rozumiał.

–Wiecie co, gospodarzu? – zaproponował. – Opowiedzcie wszystko od początku...

Wrócił Match, prowadząc konie, ścigany nieprzyjaznymi spojrzeniami chłopów. Zwłaszcza tych, których poznali na początku, wciąż zbitych w gromadę i rozprawiających

żywo. Match nie zwrócił na nich większej uwagi, nawet, gdy udało mu się dosłyszeć słowa uważane powszechnie za obelżywe.

Na słowach się skończyło. Stojący nieopodal, zajęty rozmową z dowódcą nudzących się na poboczu zbrojnych, przylizany przywódca popatrzył tylko groźnie. Szemrania umilkły jak ucięte nożem, zbita grupka najeżona widłami i cepami poczęła się z wolna rozchodzić.

Match stanął nad Jasonem rozciągniętym wygodnie na trawie. Rozejrzał się, znalazł niedaleko odpowiednie drzewko. Przywiązał poparskujące, zdenerwowane gwarem i zapachem dymu konie.

–O, masz piwo – ucieszył się, gdy wrócił i zobaczył gliniane naczynia.

–Miałem – odparł Jason. Match skrzywił się.

–Mogłeś trochę zostawić – powiedział z wyrzutem.

–Zaraz będę znowu miał – uspokoił go Jason. – O, już niesie.

Wskazał na zbliżającego się sepleniącego chłopca. Chłop, dojrawszy Matcha, zachmurzył się. Wieloletnie doświadczenie mówiło mu, że to on będzie tym, dla którego nie starczy przyniesionego napoju. Chłopu zawsze wiatr w oczy... Pomny jednak przykazania przylizanego postawił garniec obok Jasona.

–Napijcie się, panie – powiedział z nienawiścią.

Jason mało nie parsknął śmiechem, słysząc ton głosu. Ech, ta chłopska pazerność. Unikając rozżalonego wzroku podał garniec Matchowi. Ten przypiął się do niego. Sam nie przypuszczał, jak bardzo jest spragniony.

–Hej, gospodarzu – Jason przerwał kmiotkowi wytężoną obserwację poruszającej

się

grdyki Matcha. – Mówiłeś, że już niewiele piwa zostało...

Kmieć z trudem oderwał się od nieprzyjemnego dla niego widoku.

–Mówiłem – przyznał gniewnie. Jason uśmiechnął się.

–To może skocz i przynieś jeszcze, zanim się skończy. Sam słyszałeś, jak wasz szanowny przywódca mówił, że macie udzielić szczegółowych wyjaśnień. I spełniać nasze życzenie. To my właśnie życzymy sobie jeszcze piwa, na resztę wyjaśnień możemy poczekać. I przynieś od razu dla siebie, po co kilka razy chodzić...

Na twarzy chłopca odbiła się intensywna praca umysłowa. Podrapał się z chrzęstem po konopiastej czuprynie. Po chwili rozchmurzył się.

–Słusznie prawie, panie...

Gdy odszedł, prawie biegiem, Jason odetchnął z ulgą. Kmiotek zaczynał działać mu na nerwy. Sam przecież wszystkiego nie wychła, a innym żałuje. Chłopska natura...

Match odstawił gliniany garniec. Zajrzawszy do niego, Jason zobaczył, że obawy chłopca były słuszne. Nie zostało nawet dla niego. Niechętnie spojrzał na Matcha, który rozgłośnym beknięciem wyrażał właśnie swe ukontentowanie.

–Mogłeś zostawić łyk... – powiedział Jason oschle.

–Po co? – zdziwił się Match. – Przecież zaraz przyniesie...

Przyniesie albo i nie, pomyślał Jason. Zaczynał wczuwać się w położenie chłopstwa.

–Mów, czego się dowiedziałeś – przynaglił go Match, nie zwracając uwagi na urażone milczenie.

–Nie uwierzysz... – roześmiał się Jason mimo woli.

–Uwierzę – zapewnił Match krótko. – Widziałem już niejednego chłopski bunt. Z czego się tak śmiejesz?

–Widziałeś, mówisz, niejednego? – Jason uśmiechał się coraz szerzej. – Skoro tak, to tym bardziej nie uwierzysz...

Historia rzeczywiście była wręcz nieprawdopodobna. Istotnie, nie był to bunt. Przynajmniej nie taki, jakie widział już w życiu Match. Krwawy, od zarania skazany na jeszcze bardziej krwawe zakończenie. Był to, jakkolwiek dziwnie by to brzmiało, słuszny protest.

Tym razem chłopci nie wycięli w pień poborców wraz z asystą. Nie podpalali szlacheckich dworów i kaszteli. Nie rabowali wszystkiego, co zdołaliby unieść, nie gwałcili. Zrobili coś, co było wystarczająco dotkliwe dla włodarza tych ziem.

Zablokowali królewski gościniec. Po prostu stanęli na nim i nie przepuszczali nikogo.

Jason też z początku nie uwierzył opowieści sepleniącego chłopca. Jednak gdy trochę pomyślał... To miejscowy hrabia odpowiadał za utrzymanie porządku na drogach. To do niego mogli mieć pretensje kupcy, którym towar psuł się na wozach. Jego mogli obwiniać podróżujący gościńcem wielmoże. To właśnie na niego mogli znosić skargi. Nawet całkiem wysoko. Tak, pomyślał Jason olśniony, to mogło być bardziej skuteczne nawet od najazdu na zamek. A o wiele bardziej bezpieczne.

Innym wzrokiem spojrzął na przylizanego przywódcę. Ma łeb, skubany, pomyślał.

Przylizany odbiegał od stereotypu przywódcy kmiecych rebelii. Znać było pewne obycie, znajomość świata. I inteligencję. Jak powiedział sepleniący kміeć, przylizany pochodził z kontynentu, przybył na wyspę przed kilkoma laty.

–Jason, co ty pieprzysz? – oburzył się Match. – To się kupy nie trzyma... Przecież gdyby

tak było, wystarczy wysłać zbrojnych. Spuściliby chłopstwu łomot i raz dwa oczyścili

gościniec...

Jason zmrużył oczy, wskazał siedzących na poboczu żołnierzy.

–To dlaczego tego nie robią? – spytał z ironią.

Zbrojnych znudziły już docinki rzucane pod adresem zdesperowanych kupców. Może dlatego, że i kupcy zachrypli już od krzyków, coraz mniej przekleństw dolatywało od strony stojących w stłoczonej grupie wozów. Choć od czasu, gdy Match z Jasonem dojechali do blokady, na końcu zatrzymanej kawalkady przybyły trzy nowe wozy, zapal kupców wyraźnie opadał. Zaś nowo przybyli rozglądali się niepewnie, nie mogąc widać uwierzyć w to, co zastali na trakcie...

–Dlaczego? – krzyknął Match. – Przecież to... Zająknął się...

–No właśnie, dlaczego? – dokończył niepewnie.

Jason sam się nad tym zastanawiał. Jego sepleniący przyjaciel powiedział, że owszem, zbrojni przybyli onegdaj z rozkazem rozpędzenia protestujących. Jednak

nie doszło do szarży, która musiała by się skończyć niechybna klęską kmieci. Zbrojni przybyli, gdy było ich jeszcze niewielu, mieli znaczącą przewagę liczebną i wręcz przygniatającą w uzbrojeniu. Ale dowodzący nimi od początku spostrzegł, że jego ludzie niezbyt kwapią się do walki. Był rozsądny. Po krótkiej rozmowie z chłopskim przywódcą rozkazał zbrojnym stać i pilnować porządku. Nic więcej.

Jason przypuszczał, że to niecodzienna forma buntu tak zbiła z tropu wojaków. Co innego, gdyby zastali spalone kupieckie wozy, pomordowanych kupców. Ale tak... Nikomu nic się nie stało. Zaś wśród żołnierzy było wielu chłopskich synów. Owszem, w normalnych warunkach bez zmrżenia oka wysiekliby swych pobratymców na pierwszy rozkaz. Ale to nie były normalne warunki.

W tej chwili, sądząc na oko, sympatia żołnierzy była raczej po stronie kmiotków.

–Co ty pieprzysz, Jason! – oburzył się Match, gdy Jason wyłożył swoje racje. – To i tak się

źle skończy, dla tych kmiotów, oczywiście. Prędzej czy później, ale źle się skończy... Nikt nie

będzie tolerował w nieskończoność...

Jednak Jason przypuszczał, że chłopci mają pewne szansę. Owszem, przeciętny wielmoża szybko i bezwzględnie rozprawiłby się z protestującymi. Nawet słusznie protestującymi. Cóż, kiedy ze słów sepleniącego Jason wywnioskował, że władający tymi ziemiami hrabia nie jest przeciętny. Był to tchórz i kunktator. Zamiast postawić sprawę jasno, użyć wszelkich możliwych środków dla przywrócenia porządku, przestraszył się. Choć gromko pokrzykiwał, że nie pozwoli na łamanie królewskich praw, rozpoczął pertraktacje. Nie osobiście, broń Boże. Wysłał swego karbowego.

Musiała to być piękna scena, stwierdził Jason w myśli. Wystraszony wobec lżących go chłopów karbowy obiecywał mętnie spełnienie żądań chłopów, choć przyznawał, że w szkatule hrabiego nie ma na to pieniędzy. Nawet przywiózł spisane na pergaminie obietnice, które skryba na polecenie hrabiego przygotował, licząc, że nikt nie będzie w stanie ich odczytać. Pomylił się, brał ludzi swą miarką. W przeciwieństwie do niego przylizany przywódca umiał czytać. Zaś po przeczytaniu przedarł pergamin na pół i rzucił pogardliwie na ziemię. Karbowy odjeżdżał ścigany pogardliwymi okrzykami chłopstwa, i, co gorsza, pańskich żołnierzy.

–To bez sensu – Match pokręcił głową. – Tak, wiem, że ten tak zwany hrabia to dupek i

tchórz. Głupszy niż królewskie dekry przewidują. Żaden z niego hrabia, przecież te ziemie to

nadal hrabstwo Lincoln. Słyszałem o nim, wzbogacił się na czymś, kupił kilka wsi, trochę

lasów. Nawet zamek wybudował, nieduży, co prawda. I przewróciło mu się we łbie, każe

nazywać się hrabią...

Match splunął z pogardą.

–Ale nawet taki głup – kontynuował. – Nawet taki głupek musi wiedzieć, że nie może ustąpić. Że nawet jak nie jest żadnym hrabią, to na swojej ziemi odpowiada za przestrzeganie

praw. A kmioty te prawa łamią. Zgoda, to lepsze niż rebelia, ale zawsze... A on z nimi rozmawia, pertraktuje. To bez sensu, gorzej, to jest też łamanie prawa. Do czego to dojdzie, jeżeli się na to pozwala. Jeżeli jest taki słaby, nie potrafi sobie dać rady, to niech spieprza... Nastanie taki, co da sobie radę... Ale tak... Pokręcił głową z niesmakiem.

–A poza tym... – ciągnął po chwili. – Nie mogę uwierzyć, żeby kmiot był taki sprytny.

Nawet zza morza. Przecież i tam chłopstwo niewiele mądrzejsze od naszego... Do czego to

dochodzi...

Popatrzył na chłopskiego przywódcę, który właśnie wydawał jakieś rozkazy stojącym przed nim w uniżonych pozach chłopom.

Wrócił sepleniący dostarczyciel piwa, a w wolnych chwilach i informacji.

–Mieście rację, panie, to ostatnia – sapnął, stawiając na ziemi tym razem nie garniec, ale całkiem sporą baryłkę. Wyprostował się, czekając na uznanie. Gdy nie doczekał się, poszedł za wzrokiem Matcha.

–Ojczulek nasz... – szepnął na widok przylizanego i kaprawe oczka zasnuła mu mgła rozczulenia.

–Co powiedziałaś? – ocknął się Jason z zamyślenia.

–Ojczulek nasz – powtórzył z uwielbieniem kmięc. – Co by my bez niego zrobili, sieroty biedne? On nam drogę wskazał, on nas poprowadził. Dlatego Ojczulkiem go nazywamy, nadzieją naszą... Po ichniemu, Le Pere...

Match popukał się w głowę. Na szczęście chłop tego nie widział. Widział za to Jason.

–Nie pukaj się tak – skarcił Matcha. – To, że nie możesz w to uwierzyć, nie znaczy, że nie dzieje się naprawdę.

–Ależ wierzę, wierzę... – obruszył się Match. – Tylko nadal twierdzą, że to się źle dla nich skończy. Nawet Ojczulek nie pomoże...

Nie była to cała prawda. Przyczyna niesmaku, jaki odczuwał Match była inna. Oto kolejny przywódca, który na karkach chłopskich chce zdobyć powodzenie. Który zapewne już gra o coś całkiem innego. I już coś osiągnął. Już zdobył uznanie, już pertraktuje z wielmożami, choćby nawet tak poślednimi, jak ten samozwańczy, niewydarzony hrabia. Jeszcze nie jest mu równy, ale już może go obrazić. Ciekawe, gdzie kończą się jego ambicje? Kiedy chłopci przestaną być potrzebni? Czy wystarczy mu zająć miejsce fałszywego hrabiego?

Jeszcze jeden, pomyślał Match z niesmakiem. Jeszcze jeden...

–A nie krzywcie się tak, panie – kmieć wyseplenił z naciskiem. – Nie wierzycie, że nam się

uda, co? No powiedzcie, nie wierzycie? Macie to na gębie wypisane...

Match popatrzył prosto w kaprawe oczka.

–Istotnie, nie wierzę – stwierdził spokojnie. – Wezmą was za dupę, prędzej czy później...

Was, pomyślał, tylko was. Bo co do tego waszego Ojczulka, to nie wiadomo. On może się

wywinąć, waszym kosztem, oczywiście...

–Ech, panie, wybaczcie śmiałość... – wyseplenił ze złością chłop. – Aleście głupi jako ten

stary chodak... Wiary we chłopca nie macie, w Ojczulka naszego...

Match wybaczył śmiałość, nie zdzielił zuchwalca po uszach. Może było za gorąco na gwałtowne ruchy, a może zbyt wielu jego pobratymców było dokoła.

–Istotnie, coś nie mam – mruknął tylko.

–Boście głupi, panie – ośmielony brakiem reakcji i niewątpliwą przewagą liczebną chłop zaśmiał się tylko swym bezzębnym uśmiechem. – Jako ten chodak, powiadam

wam, albo i bardziej... Trza wam wiedzieć, że to nie pierwszy raz nasz Ojczulek hrabiego pognębił. Wicie, łośńskiego roku, jak karbowy do wioski zjechał dziesięcinę odbierać... A, trza było to widzieć...

Chłop przerwał, rozmarzył się.

–Opowiadaj – przynaglił go Jason zaciekawiony.

–Trza było widzieć, powiadam. Bo żadnej dziesięciny nie dostał, jeno kilka batów na gołe dupsko. Opowiadali potem, że panu hrabiemu przed nosem gołą rzyć wypinał, skarżył się na swoją krzywdę. A pan hrabia ino się śmiał z początku, dopiero potem przestał. Dopiero, jak karbowy powtórzył, co Ojczulek o nim powiedział... Oj, zgniewał się pan hrabia okrutnie, lochem groził, sądem a pręgieżem...

–A co powiedział? – zainteresował się Jason.

–Ano, prawdę jeno szczerom. Że pan hrabia głupi złodziej, co chłopą gnębi. I prędzej kury macać powinien, nie na zamku siedzieć. Że chyba z żoną nie spał, bo takie głupoty gada...

Match roześmiał się. Istotnie, rzekomy hrabia musiał być wielkim dupkiem, skoro bezczelny Ojczulek chodził jeszcze po świecie.

–I co dalej? – spytał.

–Pan hrabia pieklił się, kazał wojsko wysłać, Ojczulka pojmać. Ino jak trochę pomyślał, to się wystraszył, zbrojnych mało, a nas ćma. Więc ino pod sąd Ojczulka kazał przywieść...

–I przywiódł?

–Gdzie tam, nie dało się! – roześmiał się chłop. – My we wsi gotowi byli, zbrojni nawet wjechać nie próbowali. Od razu wrócili. A Ojczulek... Ojczulek sam na zamek poszedł, pod hrabiowski sąd się stawić. To znaczy, do zamku poszedł sam, tylko ze dwudziestu z nim weszło. Reszta pod bramą stała... I sąd sprawiedliwy pan hrabia odprawił. Skazał Ojczulka na grzywnę. Sześć pensów... Za to, że we wsi kamienie młyńskie bez pozwolenia mieli... A dziesięciny i tak nie płacim, nie ma z czego. My głodem przymieramy...

Kmieć wydobył z zanadrza solidny kawał wędzonki i wgryzł się w nią z trudem nielicznymi zębami.

O, niegodne królestwo i zguby bliskie, pomyślał Jason. Skoro takich masz wielmożów...

Niesepleniący już, opity piwem chłop zostawił ich samych, przywołany skinieniem ręki Ojczulka. Match z Jasonem popatrzyli po sobie.

Match odbił denko przyniesionej baryłki. Nie dziwił się już niczemu. Nabrał piwa do pustego garnca, podał Jasonowi. Ten odmówił, zajęty własnymi myślami Match wzruszył ramionami, uniósł garniec do ust.

Jason nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Owszem, podzielał obawy Matcha, iż prędzej czy później poleje się krew. Słuszny protest przerodzi się w normalną rebelię. Ale nie mógł zwalczyć uczucia podziwu dla chłopów i ich przywódcy. Umiejętnie wykorzystał słabość i głupotę wielmoży. Jego tchórzostwo i krótkowzroczność. Szkoda by było... A może nie. Ojczulek był niebezpieczny, bardzo niebezpieczny.

Ojczulek wydawał jakieś polecenia, wymachując ręką. Wskazywał na nich. Jason trącił Matcha w bok. Ten zakrztusił się.

–Czego chcesz? – mruknął, odstawiając garniec.

Jason dyskretnie wskazał na Ojczulka i dwóch uzbrojonych w widły chłopów, których przed chwilą wezwał. Chłopi słuchali cicho wydawanych poleceń, zezując podejrzliwie w stronę Matcha i Jasona.

–Popatrz – syknął Jason. Match wolno podniósł się z ziemi.

Chłopi ruszyli w ich stronę. Widły nieśli opuszczone, spostrzegł Jason z ulgą. Zresztą, jaki miałoby sens pojenie kogoś piwem, by zaraz je z niego wypuścić przez dziurki w brzuchu, pocieszył się.

Match nie okazał tyle zaufania. Podeszedł do koni, zaczął gmerać blisko rękojeści przytroczonego do siodła miecza. Kmiotkowie zatrzymali się.

–Możecie jechać, panie – mruknął jeden z nich. Drugi rozbieganymi oczkami rozglądał się nerwowo.

–Nie może to być? – zdziwił się obłudnie Match. – Co to, koniec protestu? Byłbym zapomniał... Słusznego protestu...

–Możecie jechać – chłop nie zareagował na ironię. – Ojczulek kazali... – A czymże zasłużyliśmy... – zaczął Match.

Jason zgrzytnął zębami. Cały Match. Przed chwilą mu się spieszyło, a teraz zaczyna się wdawać w idiotyczne i zupełnie niepotrzebne dyskusje. Jason pożałował, że jest zbyt daleko, by kopnąć go w kostkę. Zamiast tego szybko wtrącił:

–Wielceśmy radzi i wdzięczni. Za gościnę, piwo i w ogóle... Ruszamy, nie

mieszkając.

Zamknij się, Match – dodał, widząc, że Match otwiera usta. Sądząc po zgrzytliwym wyrazie

twarzy, nie zamierzał powiedzieć nic uprzejmego.

Match istotnie zamknął się i wzruszywszy ramionami, zajął się odwiązywaniem koni od rachitycznego drzewka. Jason poszedł za jego przykładem. Gdy poprowadzili wierzchowce w stronę zapory, zbliżył się do nich sam Ojczulek.

–Jedźcie z Bogiem, panowie – powiedział uprzejmie. – I opowiedzcie dalej o naszym słusznym proteście. Tych dwóch przeprowadzi was za zaporę...

Tym razem udało się. Match syknął tylko, poczuwszy ból w stłuczonej kostce. Ale usta zamknął.

–Wielceśmy radzi, gospodarzu – skłonił się Jason, mając nadzieję, że Ojczulek nie dosłyszy, co Match mamrocze pod nosem. – Zaniesiemy wieści o was jak kraj długi i szeroki,

we wszystkich siołach i przysiółkach, opowiadając o waszej słusznej sprawie...

Jason przygryzł język. Nie przesadzaj, skarcił się w myśli. Ojczulek jednak nie dopatrywał się ironii. Może nie chciał.

–Wielcem rad – uśmiechnął się. – Pamiętajcie, chłop potęgą jest...

Już to słyszałem, pomyślał Jason. Skłonił się tylko lekko. Chwycił lęk siodła, wskoczył na konia. Match już ruszał. Ojczulek patrzył za nimi z chytrym uśmiechem. Match odwrócił się do niego.

–I tak wam wpięprzą – rzucił na odchodnym. Ruszył naprzód, nie oglądając się na przyłizanego chłopca, z którego twarzy znikł chytry uśmieszek.

Za zakrętem gościniec biegnący nieco pod górę, otoczony z obu stron młodnikami sosnowymi, gęstymi, przetykanymi gdzieniegdzie strzelającymi w górę brzózkami, stawał się szerszy i bardziej piaszczysty. Kiedyś zapewne prowadzono tu intensywny wyrąb, korzystając z tego, że sosny, nie tak wcale pospolite w puszczy, rosły blisko gościńca. Pozostawiono przy tym kilka drzew, które strzelały w górę, dziwnie wysokie i samotne, otoczone zewsząd kilkunastoletnimi najwyżej, gęsto stłoczonymi sosenkami. Te wysokie to nasienniki, pomyślał Jason. Nie pamiętał już, skąd wiedział, że tak należy robić. Jakiś przewidujący leśniczy nie pozwolił wyrąbać

wszystkiego, pozwalając by pozostawione drzewa rozsiewały swe nasiona na porębie, nie pozwalając, by zarosła leśnym chwastem.

W dalekiej perspektywie ujrzeli następny chłopski wóz, stojący w poprzek gościńca. Nie mają te kmioty umiaru, przemknęła Jasonowi przez głowę niechętna myśl. Następną blokadą, znów trzeba będzie wracać, przedzierać się przez chaszczę. Ale coś mało tych chłopów, po prawdzie to prócz tego, co to śpi zapewne na siedząca, oparty o koło, z głową spuszczone na piersi. Pijany pewnie... Reszty nie widać. Może da się przeskoczyć.

Spojrzał na towarzysza. Match doszedł niechybnie do podobnych wniosków, bo ponaglił konia. Zbliżali się coraz szybciej do wozu tarasującego przejazd. Dostrzegli jeszcze dwóch, leżących na poboczu. Pijani pewnie... Leżą tak, z rozrzuconymi szeroko rękoma. Ani drgną, nie słyszą zbliżających się koni. Ech, bydlę prawdziwe te chłopy, tak się uchlać do nieprzytomności i zasnąć. Można by ich pozarzynać, nie zauważyliby nawet kiedy. Tak, pozarzynać, stąd ta czerwień plamiąca pierś siedzącego na piasku gościńca, opartego o koło człowieka...

Zwolnili. Gdy podjechali bliżej, uspokajając chrapiące, nerwowo podrzucające głowy konie, dostrzegli zerwaną uprząż.

Match zeskoczył z konia, podał wodze Jasonowi. Sam rozglądał się uważnie, rejestrując szczegóły.

Trzech. Jeden na drodze, dwóch na poboczu, z twarzami ukrytymi w wysokich wrzosach. Zerwana uprząż, chyba konie same zerwały, tak, wóz stoi przechylony, oś wbita głęboko w miękki piasek gościńca. Pękło lite drewniane koło. Żadnych śladów.

–To zbóje? – usłyszał niepewny głos Jasona. – Powiedz, Match, to zbóje? Zabili i obrabowali?

Match podszedł do siedzącego, opartego o koło człowieka z piersią zalaną skrzeplą już krwią. Chwycił go za włosy, uniósł spuszczone na piersi głowę. Słyszał, jak Jason za nim wciąga głośno powietrze.

Z uniesionej bladej, pokrytej zaschniętą krwią i śluzem twarzy patrzyły krwawo puste oczodoły. Szeroko rozerwane gardło wskazywało, jak zginął. Rozerwane, nie przecięte.

–To nie zbóje, Jason – puścił głowę, która opadła na piersi pod dziwnym kątem. Kark też złamany, zauważył w myśli.

–Nie, Jason, to nie zbóje – powtórzył – to już to... Spojrzał wymownie na Jasona.

Jason z pobladłą twarzą, niechętnie gramolił się z siodła. W widoczny sposób walcząc ze sobą, podszedł, przykucnął przed siedzącym trupem. Wyciągnął rękę. Trzymał ją przez chwilę, sztywno wyciągniętą w powietrzu. W końcu przemógł się i położył dłoń na ramieniu zabitego...

Czarny kształt, rozmazany, niepochwytny szybuje w powietrzu. Błysk kłów tuż przed oczyma, otchłań szeroko rozwartej paszczy. Ciemność...

Gdy Jason ocknął się, spostrzegł, że siedzi na piasku, ściskając skronie. Match nie przynaglał go. Czekał, aż dojdzie do siebie.

Wreszcie Jason ochryplym głosem powiedział, co zobaczył. Match nie krył rozczarowania.

–Tylko tyle? – spytał niechętnie. Jasonowi nie udało się zapanować nad sobą.

–Co znaczy, tylko tyle! – rozdarł się. – Co ty sobie do cholery myślisz? Że powiem ci wszystko wyłożone, jak w księdze, z komentarzami i odnośnikami? Z iluminowanymi inicjałami wyobrażającymi potwora? Czy ty wiesz, ile to mnie kosztuje? Czy ty, kurwa, w ogóle wiesz, jak to jest?

Match milczał. Jason przerwał i opuścił głowę.

–Przepraszam – powiedział po chwili. – Ale ja naprawdę tylko tyle zdołałem zobaczyć.

Chcesz...

Urwał, mając nadzieję, iż Match jednak nie będzie chciał. Niestety, płoną. Gdy z trudem podnosił się z pobladłą twarzą znad leżących, z niechęcią pomyślał, że nie na wiele się to zdało. Nie dowiedzieli się nic więcej.

–Cholera, niewiele tego. – Match spojrzał na Jasona. – Nie, nie myśl, że mam do ciebie pretensje. Ci chłopci zostali zaskoczeni, niewiele widzieli... Szlag by to trafił, naprawdę niewiele – dodał ze złością.

–Match, przecież jesteś, jakby to rzec, specjalistą... – zaczął niepewnie Jason.

Match spojrzał na niego uważnie. Nie wyczuł drwiny w jego głosie. Jason mówił szczerze. Szlag by to trafił, on rzeczywiście uważa mnie za specjalistę, zauważył ze zdziwieniem. I ma nadzieję, że dam sobie z tym radę. Kurwa mać, ta ruda dziewczyna...

–Posłuchaj, Jason – powiedział po chwili. – Na tym świecie nie ma specjalistów od tych

potworów. One nie są stąd. Są obce. Ja, owszem, spotkałem w życiu kilkanaście. Przeżyłem, co

rzeczywiście stawia mnie w uprzywilejowanej pozycji wobec większości ludzi, którzy mieli

wątpliwą przyjemność i niewątpliwego pecha wejść im w drogę. Nawet zabiłem kilka...

Nasłuchałem się o nich, wierz mi, aż za dużo... Nadal jednak wiem o nich niewiele, bardzo

niewiele.

Przerwał. Spojrzał na jucznego luzaka. Raczej miecz, pomyślał. W tym gąszczu kusza na wiele się nie przyda. Niedobrze.

–Jason, zostaniesz tutaj – Match zaczął odwiązywać przytroczoną pochwę.

–Człowieku, nie chcesz chyba... – Jason z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy – Ty nie chcesz chyba tam iść... To bez sensu, to bydlę może już być za siedmioma górami. A jeśli nie jest, to tym bardziej...

Bez rezultatu. Match spokojnie wyciągnął miecz z pochwy, krytycznie przyjrzał się ostrzu.

–Match, sam mówiłeś kiedyś, że one są tu obce. Nie przeżywają długo, nie ma dla nich miejsca w tym świecie... To niech sobie spokojnie zdechnie, co nam do tego... Człowieku, posłuchaj... – dodał bezradnie. – Zastanów się...

–To nie takie proste, Jason – usłyszał spokojną odpowiedź. – Z tego, co mówiłeś, choć niewiele tego było, wnioskuję, że to mantikora. Paskudne bydlę. Nie znajdzie tu naturalnych przeciwników, za to pożywienia, ile zechce. A wykończą ją dopiero jesienne chłody. Jeżeli nie pamiętasz, to właśnie jest koniec lipca, pełnia lata. Jason, tą drogą będą jeździć ludzie...

Wbił miecz w piasek, naciągał długie do łokci, nabijane ćwiekami rękawice.

–Chłopi zginęli z rana. Stężenie już się cofnęło, a jeszcze nie śmierdzą, choć ciepło.

Prawdopodobnie było ich czterech, mantikora zabiła wszystkich, a jednego uniosła, aby go

zeżreć w cichości i spokoju. Nie zaleciała daleko, one dobrze nie latają, a z takim obciążeniem

tym bardziej. Jestem pewien, że zapadła gdzieś niedaleko. Nażarła się, jest ociężała, powinienem sobie z nią poradzić...

Przynajmniej taką mam nadzieję, przemknęła mu myśl, której jednak nie wypowiedział na głos.

–Match – jęknął Jason. – Match, ja wiem, ale...

–Jason, przypomnij sobie kupców, zostali przy blokadzie, mówili, że rano ruszą.

Przypomnij sobie rudą dziewczynę. Tego starego dziadka. Dojadą tu rano, mantikora znów

będzie głodna, będzie tu na nich czekać. Nie odleci daleko. Jason, ja też nie chcę... Nie chcę, ale

muszę... Sam wiesz.

Odwrócił się w stronę lasu. Ponieważ nie miał pojęcia, w jakim kierunku szukać, ruszył wprost przed siebie. Kierunek dobry jak każdy inny.

–Match, kurwa, przecież mnie tu nie zostawisz – dobiegł go z tyłu cichy jęk, przerywany

jakby szcękaniem. – Przecież nie zostawisz mnie samego...

Match nie zatrzymał się.

–Nic ci tu nie grozi – rzucił przez ramię. – Chcesz, odtroczyć kuszę, raźniej ci będzie...

I nie postrzel, jak będę wracał, dodał w myśli. Jeżeli będę...

Zamknęły się za nim gęste gałązki młodych sosenek. Zniknął.

Jason drżącymi rękoma, niezdarnie odtroczył kuszę, wsunął nogę w jej strzemień i z wysiłkiem nacisnął napinającą cięciwę dźwigni. Dwukrotnie usiłował trafić rowkiem bełtu w szczelinę orzecha. Udało się za trzecim razem.

Stał w zapadającym wolno, letnim zmierzchu na środku piaszczystego gościńca, odwracając się i podrywając kuszę na każdy szelest. W końcu wyprowadzony z równowagi denerwującym brakiem oczu z tyłu głowy, siadł, opierając się plecami o lite, drewniane koło. Starając się nie dostrzegać swego milczącego sąsiada, siedzącego z głową spuszczoną na pokrytą zakrzepłą krwią pierś, strzelał wkoło rozbieganym wzrokiem. Ścisnął kolbę kuszy aż do bólu.

Match przedzierał się tymczasem przez gęsty młodnik. Nie było to łatwe, młodnik był naprawdę gęsty, a wczesny jeszcze na gościńcu zmierzch tutaj zamienił się już prawie w noc. Kłujące igły biły w twarz, pajęczyny lepiły się do powiek. Niesiony przed sobą miecz zawadzał co chwila. Match przełożył go pod pachę, klingą w tył.

Całe przedsięwzięcie zaczęło wyglądać zupełnie inaczej, niż na gościńcu. Już tam oceniał swe szansę raczej niewesoło. Teraz przeklinał swój przedwczesny optymizm. Nie było niewesoło, było całkiem źle.

Pocieszał się nieco, że mantikora też niechętnie przedzierałaby się przez taki kłujący gąszcz. Jej błoniaste skrzydła były zbyt delikatne. Przypomnił sobie tę jedyną, którą widział przed laty, ustrzeloną celnym trafieniem w gardło przez przytomnego kłusownika. Dziwił się wtedy, jak tak delikatne, cienkie, porwane podczas upadku przez gałęzie skrzydła mogą unieść takie cielsko. Tak, mantikora zapadła raczej na jakiejś polance.

Znalazł dziczą ścieżkę. Łatwiej było się po niej poruszać, choć Match, nawet zgięty, był jednak wyższy od przeciętnego dzika. Nie plątał się już w gałęziach, nadal jednak smagały go po twarzy, zmuszając do ciągłej uwagi i przymykania oczu. Trzeba skombinować nową pochwę na miecz, taką do troczenia na plecy, pomyślał. Taką, w jakich Maurowie noszą swoje krzywe miecze. Wygodniej dobyć, a i nie zawadza. I jeszcze jakąś przepaskę, te kudły włożą do oczy, jak człowiek skrada się tak pochylony.

Dziczą ścieżka doprowadziła do polanki, jak to zwykle bywa z dziczymi ścieżkami. Polanka porośnięta była wysokimi trawami, wygniecionymi gdzieś przez wylegające się dniami watahy. Match miał nadzieję, że zanim jeszcze zobaczy potwora, zdoła wyczuć jego kwaśny, jaszczurczy odór. A raczej, zanim potwór jego zobaczy. Zaczął węszyć. Nic.

Przeszedł polankę, brnąc prawie do pół uda w wysokich trawach. Trawy przechodziły w miękkie dywan mchów, który sprężynował pod nogami, a buty zapadały się w nim prawie po kostki. Rozejrzał się. Rzadko rosnące, ciemne jałowce. Wyschnięte, proste pnie martwych brzóz...

Match istotnie nie był specjalistą od potworów z innych światów. To, co parskalo i pluło, siedząc na zwalonym pniu i wlepiając w niego wściekłe, żółte, przecięte pionowymi szparkami źrenic oczy, nie było mantikorą.

Match stanął jak wryty, wyciągając przed siebie sztych trzymanego oburącz miecza. Stworzenie zasyczało głośno, szczerząc ostre kielki. Pręgowany ogon nerwowo uderzał o boki.

Trzymając broń przed sobą, Match przyglądał mu się przez chwilę. Stwór był mały,

niewiele większy od żbika. Nieco nawet podobny – kocia głowa, z położonymi teraz wściekle, przylegającymi do czaszki uszami. Długi, nerwowo poruszający się ogon. Kocie parskanie i syk. Nawet siedział podobnie do dużego, tłustego kocura, skulony, z dziwnymi fałdami marszczącej się po bokach skóry.

Chryste, trzeba było zabrać kuszę, przyszła Matchowi do głowy nieco spóźniona refleksja. To nie jest mantikora, nażarta i ociężała. Jak wszystkie stwory gadziej proveniencji, o chłodnym zmięczeniu i nocą powolna i nieruchawa. Ten tutaj nie wygląda na ociężałego. Nie ucieknie, jest wyraźnie wściekły i zapewne bardzo szybki.

Teraz nie można się już cofnąć. Match zaczął zataczać końcem miecza powolne kręgi, postąpił krok do przodu. Stwór śledził poruszające się ostrze nieruchomymi, niemrugającymi ślepiami, poruszając całą głową. Syczał coraz głośniej. Match puścił rękę lewą ręką, uniósł ją do góry, poruszając wolno dłonią skrytą w skórzanej rękawicy. Nie przerywał zataczania kręgów ostrzem, chciał zdezorientować stwora, licząc na brak podzielności jego uwagi.

Syczenie nasilało się, przeszło w głęboki, warczący jęk. Pręgowany ogon coraz szybciej uderzał o pokryte fałdzistą skórą boki. Jeszcze jeden krok. Pod butem trzasnęła gałązka.

Miejsce, gdzie przed chwilą tkwił przycupnięty stwór, było puste. Match ledwie zdążył zauważyć moment, w którym stwór bezszelestnie uskoczył w tył. Pojawił się prawie natychmiast tuż obok, przypadł do mchu.

Zaraz skoczy. Match sprężył się, począł wolno przesuwając się w bok, wciąż śledząc uważnie stwora. Nie zamierzał ułatwiać mu zadania.

Stwór, zdezorientowany, zasyczał głośno. Nie skoczył. Wciąż sycząc, uniósł się nagle na tylne łapy, stanął wyprostowany. Rozłożył szeroko przednie łapy. Parskał wściekle z szeroko otwartą, błyszczącą białymi zębami paszczą.

Jakaś część umysłu Matcha mimo woli rejestrowała szczegóły wyglądu stwora. Płaska, kocia czaszka, stulone uszy. Długie przednie łapy, znacznie dłuższe od tylnych, co było doskonale widać w tej pozycji. Skóra po bokach, rozpięta pomiędzy przednimi a tylnymi łapami, prawie jak u nietoperza. Szare, pręgowane futro, jak u pocziwego kota – dachowca. Długie pazury, chowane i wysuwane co chwila.

Stał i syczał. Coraz głośniej. Wydawał się znacznie większy, niż wtedy, gdy siedział.

Match zrobił kolejny krok, z wyciągniętym przed siebie, pewnie trzymanym, nieruchomym już ostrzem. Jeszcze krok, jeszcze jeden i będę mógł go sięgnąć, myślał. Stój tak, stój...

Z tej niewygodnej pozycji stwór skoczył. Wysokim, nieprawdopodobnym łukiem nad

grożącym mu ostrzem, celując pazurami wszystkich czterech łap prosto w oczy Matcha. Ten szarpnął się w bok, wiedząc, że miecz jest w tej chwili na nic. Ręką w nabijanej ćwiekami rękawicy próbował osłonić twarz. Prawie mu się udało, czuł jednak pazury tnące policzek. Na szczęście pazury tylko jednej łapy.

Cudem nie upadł. Odskoczył w bok, czując ciekące po twarzy gorące strumyki. Stwór zniknął.

Match uniósł miecz, rozglądając się niespokojnie. To tylko dlatego, że obawiał się miecza, przeszła mu przez głowę niewesoła myśl. Dlatego skoczył nie wprost, wolniej niż zwykle... Ale i tak... Szybki jest, za szybki...

Rozglądał się, usiłując przebić wzrokiem gęstniejący mrok. No, dalej, gdzie jesteś. Cholera, zaraz będzie ciemno. On widzi w ciemności, ja nie... No, dalejże, nie chowaj się...

Kątem oka dostrzegł poruszenie, niewygodnie, z lewej strony. Nie próbował nawet odwracać się, wiedział, że nie zdąży. Rozpaczliwie, na odlew machnął lewą ręką.

Trafił. Lecący wprost na niego stwór, celujący w odsłoniętą szyję, nadział się wprost na pięść w nabijanej ćwiekami rękawicy. Był lekki, nawet biorąc pod uwagę niewielkie rozmiary. Uderzenie odrzuciło go, padł na miękki mech. Rozległ się wrzask, dziwnie znajomy, lecz znacznie głośniejszy. Jak kot, któremu nadepnięto na ogon. Match doskoczył, ciął na odlew. Ostrze nieszkodliwie zagłębiło się w mchu. Potwór był nadal bardzo szybki.

Tym razem jednak nie zniknął, nie odskoczył daleko. Przypadł do mchu. Match próbował doskoczyć do niego, noga uwięzła mu w jakimś wykrocie, ukrytym w miękkim mchu. Upadł na jedno kolano.

Gdy padał, stwór właśnie odbijał się od ziemi. Zmierzał z wrzaskiem po wysokim łuku tam, gdzie była głowa Matcha. Jeszcze przed chwilą. Stwór w locie usiłował zmienić kierunek, wijąc się, wyciągając łapy i kręcąc ogonem, jak kot rzucony z nienacka prosto na ścianę. Z niewygodnej pozycji Match uderzył, sięgając samym końcem ostrza.

Stwór padł na mech. Nie tak jak przedtem, na cztery łapy, padł jak rzucona, bezwładna szmata. Wciąż parskał i pluł, usiłując rzucić się na przeciwnika, pomimo przeciętego w połowie ciała kręgosłupa. Bezwładne, tylne kończyny ciągnął za sobą, znacząc mech lepką czerwienią.

Match nie czekał, aż się wykrwawi. Mimo iż zdychający stwór mógł być jeszcze niebezpieczny, ostrożnie zbliżył się. Bez trudu uniknął niemrawego ciosu pazurzastej łapy, wznosił oburącz miecz i jednym ciosem przyspilił potwora do mchu. Stwór zaszamotał się krótko. Po chwili znieruchomiał.

Po krótkiej chwili, aby tylko uspokoić bijące serce, Match wyszarpnął miecz i nie oglądając się za siebie ruszył w stronę gościńca. Nie czuł specjalnej satysfakcji, wiedział, że pomógł mu

tylko przypadek. Mało brakowało, myślał, mało brakowało, a by mnie dostał. Jeszcze trochę, a mógłbym tylko stać w ciemności i czekać. Pewnie niezbyt długo. Cholera, wszystkie są takie szybkie. I obce, nie wiadomo, co mogą zrobić. Tak, żaden ze mnie specjalista...

Gdy zbliżał się do gościńca, poweselał trochę. Cóż, przynajmniej dziś nic mu więcej nie grozi.

Jednak nie. Gdy rozgarniał przed sobą ostatnie już przed skrajem młodnika gałęzie, szcęknęła cięciwa kuszy i bełt świsnął koło ucha. Rzucił się w bok. Bez sensu. Bełtu, który cię zabije, nie usłyszysz.

Podniósł się. Mógł to zrobić śmiało, napięcie kuszy zabiera jednak trochę czasu, a wiedział, że ma przed sobą tylko jednego człowieka, który uparł się go zabić.

Jason, nie patrząc, starał się napiąć kuszę. Nie szło mu to zbyt sprawnie.

–Jason, rzuć to – powiedział Match cierpko – Już po wszystkim...

–Już po... – Jason spoglądał nieprzytomnie, jakby wciąż nie poznając, kto przed nim stoi.

–Już po... – powtórzył, dopiero teraz dostrzegając podrapaną twarz Match i umazany krwią miecz. Zaczęło do niego docierać.

–Zabiłeś ją, tak? – roześmiał się histerycznie. – Zabiłeś! Dałeś radę! Mówiłem ci przecież...

–Po pierwsze, nie ją, a jego – z sarkazmem stwierdził Match. – Po drugie, to o ile pamiętam, mówiłeś coś zgoła przeciwnego. Nieważne zresztą...

Starannie wycierał zakrwawione ostrze skrajem kapoty zabitego chłopca. Jason z rozmachem klapnął na ziemię.

Odprężenie, które sprawiło, iż Match był zjadliwy i sarkastyczny, u Jasona zaczęło się przejawiać tym, że stał się ciekawy. I gadatliwy.

–To nie była mantikora? – spytał. – Co w takim razie?

–Gryf – odparł krótko Match. Nie miał ochoty na pogaduszki.

–Gryf? – Jason zerwał się na nogi. – Gryf? Match, ja w życiu nie widziałem gryfa...

–I powinieneś być zadowolony – uciął Match krótko. – Bo to mógłby być twój ostatni widok w życiu. Zbieraj się, ruszamy.

–Match – zaczął Jason błagalnie.

–Nawet o tym nie myśl. Ciemno się robi, trzeba ruszać. A ty przecież o mało się przed chwilą nie zesrałeś ze strachu. Mało mi łba nie odstrzeliłeś...

–Match, proszę... – Jason nie rezygnował – pójdziemy razem, tylko na chwilę...

–No dobrze – zdecydował po chwili Match. – Pokażę ci to ścierwo. Inaczej się nie odczepisz, na tyle już cię znam. Tylko pośpiesz się.

Na widok ścierwa na skraju polanki Jason wybałuszył oczy ze zdziwienia

–To jest gryf? – zapytał. Podniósł gałąź, ostrożnie szturchnął. – Co on taki mały?

–Widocznie był ostatni z miotu – odparł oschle Match. – Napatrzyłeś się? To idziemy.

–Zaraz, zaraz! – Jason nie dał się przekonać. – I takie skrzyżowanie kota z nietoperzem tak ci gębę pochlastało? Takie coś? Poza tym widziałem gryfa nie raz. Jeden znajomy rycerz miał takiego w herbie, na tarczy. Miał też gobelin, gryf był na nim wyobrażony jak żywy! I wysoki był na półtora chłopca! Ten wprawdzie trochę podobny, zwłaszcza jak te łapy rozłożyć, i z pyska też, ale taki mały?

–Jason, przypomnij sobie chłopów. Nawet nie zdążyli spostrzec, co ich zabija. Ten tutaj może nie jest za duży, ale jest szybki, bardzo szybki. Podejrzewam, że zje to samo, co dajmy na to żbik, ptaki, małe zwierzęta, ale jak wszystko, co przyjdzie stamtąd, instynktownie i śmiertelnie nienawidzi ludzi. Nie ucieka przed nimi, ale rzuca się bez namysłu. Zabija skutecznie, bardzo skutecznie. Wierz mi, niewiele brakowało, bardzo niewiele...

Jason zawstydział się nieco. Dostrzegł bladą jeszcze twarz Matcha, z której nie zdążyło opaść napięcie. Krwawe bruzdy na policzku, rozerwany rękaw. Match poszedł za jego wzrokiem, szramę na przedramieniu spostrzegł dopiero teraz. Przedtem jej nawet nie czuł. To wtedy, kiedy dałem mu w łeb, pomyślał.

–A co do wizerunków... – powiedział. – Co do wizerunków, to artyści wyolbrzymiają zwykle. Bo pomyśl, chciałbyś mieć w herbie coś wielkości przerośniętego żbika?

Tak, co do wizerunków, to Match ma rację, przyznał Jason obiektywnie. Widział kiedyś portret damy serca, który z dumą pokazał mu pewien rycerz. Nikt o zdrowych zmysłach nie mógł przypuszczać, że po ziemi mogło chodzić coś tak strasznie

zniekształconego.

–Tak, mało brakowało. Miałem po prostu szczęście, potknąłem się w najbardziej odpowiedniej chwili. Gdyby nie to, to ja bym tu w tej chwili leżał. A ty mógłbyś szturchać mnie tym patykiem. Oczywiście, o ile on by ci na to pozwolił. Osobiście nie sądzę – Match przerwał na chwilę.

–A najśmieszniejsze jest to... – podjął po chwili. – Najśmieszniejsze jest to, że on prawdopodobnie nie przeżyłby do jutra.

Jason uniósł brwi ze zdziwienie.

–To kocur, Jason. Samiec – wyjaśnił Match. – Przybył tu najwidoczniej niedawno.

Pierwsze, co zrobił, to zgodnie ze swym zwyczajem zaznaczył teren. No, obsikał go.

Miejscowe żbiki dopadłyby go najdalej tej nocy. Nie lubią konkurencji. One mają równe

szansę, ja nie widzę w nocy, one tak. Mają pazury, są szybkie, tak jak on. I jest ich wiele, a on

sam. Ten nieszczęsny skurwiel do rana byłby w strzępach. To wszystko było niepotrzebne...

–A jeśli nie? Jeśli dopadłyby go dopiero następnej nocy? – odpowiedział cicho Jason.

Gdy wsiadali na konie, Jasonowi przyszedł do głowy jeszcze jeden pomysł.

–Hej, Match – zaczął. – W świecie, z którego on tu przybył, jest ich wiele? – Tak. Wiele takich jak on, i wiele innych, jeszcze gorszych...

–Wiesz, przyszło mi tak do głowy... W tamtym świecie, skoro ich tak dużo, to polowanie na takie stwory to może być całkiem niezłe zajęcie. Pewnie popłatne.

–Jason, posłuchaj – w głosie Matcha brzmiała solenna powaga. – Jak wiesz, musiałem...

Wiesz dlaczego. Bo w pewnym sensie jestem za to odpowiedzialny. Bo to po części moja wina,

że taki bydlak się tu pojawił. Dobrze, udało się, ale jeszcze mi się nogi trzęsą...

Ruszył gościńcem. Milczał chwilę.

–I wiesz co? – podjął po chwili poważnie. – Jak pomyślę, że ktoś mógłby na co dzień, dla

pieniędzy... To musiałby być idiota. Tak, kompletny idiota...

IV

Pociągnąwszy krzywe drzwi, zawieszane z braku zawiasów na starych skórkach od słoniny, Jason pomyślał, że to widać lokalna specjalność. Cóż, skoro spełniają swe zadanie równie dobrze...

Karczma poza tym drobnym szczegółem różniła się jednak od tej, którą tak dobrze zapamiętał. Położona była przy uczęszczanym szlaku, otaczały ją zadbane budynki gospodarskie, stajnie, stodoła. Karczmarz nie mógł się uskarżać na niedostatek gości, przy koniowiązie stało kilkanaście koni, na podwórzu pachołkowie pilnowali kupieckich wozów. W każdym razie starali się robić takie wrażenie, co przeszkadzało im w widoczny sposób w spokojnym opróżnianiu kolejnych garncy piwa.

Match nie chciał zajeżdżać do karczmy. Swoim zwyczajem wolał zanoć w lesie, pożywiwszy się wprzódy tym, co mieli ze sobą w sakwach. Jason miał jednak dosyć. Gdyby nie napotkali karczmy, bez szemrania zjadłby nieśmiertelną wędzoną słoninę, zagryzając plackami jęczmiennymi. Chleb skończył się bowiem przed paroma dniami. Match zdawał się nie zwracać na to uwagi. Gdyby Jason nie wyłudził kilku jęczmiennych podpłomyków od blokujących drogę chłopów, byłaby sama wędzonka. Popijana wodą z napotkanych strumyków.

Gdy wyjechali z lasu i ukazała się karczma stojąca pośród pól, Jason stanowczo odmówił dalszej drogi. Skręcił z traktu na prowadzącą do niej ścieżkę.

–Nic z tego, Match – widząc jego minę, uprzedził ewentualne protesty. – Już tutaj czuję

pieczeń baranią. Podczas podróży z tobą już prawie zapomniałem, jak to pachnie. I właśnie

zamierzam sobie przypomnieć. Tak, Match, będę żarł, aż pękne. Będę pił wino, aż zwałę się

pod stół. Nie przeszkodzisz mi w tym.

Match nie miał zamiaru przeszkadzać. Ruszył za Jasonem, nie mówiąc ani słowa. Kręcił tylko z dezaprobatą głową. Jason obejrzał się.

–Nie kręć tak głową, nie kręć! – roześmiał się, czując, że już wkrótce będzie mógł sobie

pofolgować. – Nie pamiętam już, kiedy zjadłem coś porządnego. W klasztorze tylko jagły, u

ciebie dziczyzna. Nie obraż się, ale kucharz z ciebie żaden. No, może te pstrągi. A choćby

porządne piwo! Wiem, przyzwyczałeś się do tych klasztornych szczyn, ale to jeszcze nie

powód, żeby w końcu nie napić się czegoś porządnego...

Ruszył szybciej. Match nie miał nic przeciwko dobremu jedzeniu. Czuł jednak, że marnuje czas, że powinni jechać dalej.

–Match, i tak mieliśmy zatrzymać się na noc – Jason domyślał się powodów jego niechęci.

–I tak jutro z rana ruszymy. Co nam szkodzi, raz zjeść dobrze, przespać się na sianie, a nie na

mchu, gdzie mrówki za kołnierz włożą...

Wykrzywił się pociesznie.

–Sam pomyśl, wędzonka na zimno, wędzonka na patyku, opiekana nad ogniskiem, wędzonka na sto innych sposobów. Wiesz, jak przejeżdżamy przez wieś, jak widzę świnię...

Nie, nie powiem nawet, co bym z nią zrobił najchętniej. W każdym razie nie wędzonkę...

Cholera, świnia ma tyle innych części, nie tylko tę słoninę, którą jest owinięta...

Racja, pomyślał Match. Nie tracimy czasu, i tak mieliśmy się zatrzymać. Nie potrafił jednak wykrzesać z siebie zadowolenia, jakim promieniał Jason. Nie czuł głodu. Mimo upływu czasu napięcie, które odczuwał podczas walki z gryfem, nie opuściło go do końca. Wciąż zastanawiał się, co jeszcze czeka go dalej, na końcu drogi.

Z drugiej strony dobrze byłoby przespać się na sianie. Zaczynał odczuwać ból w ponaciąganych w walce mięśniach. Piekł podrapany policzek. Dobrze byłoby przemyć, może karczmarz będzie miał gorzałkę. Nie była zbyt popularna, jednak chłopci odkryli ostatnio, że można się nią upić znacznie szybciej i dokładniej niż piwem. Trzeba przemyć, inaczej będzie się długo paskudzić, jak po kocie...

–Jason, zamknij się wreszcie – nieprzerwany monolog Jasona zaczynał działać mu na

nerwy. – Przecież jadę, nic nie mówię...

Jason nie darował sobie ostatniego słowa.

–Nie pożałujesz – błysnął zębami w uśmiechu. – Zobaczysz, jeszcze wyjdiesz przy mnie

na ludzi...

Match nie pożałował. Pożałował natomiast Jason, gdy tylko rozejrzał się po przestronnej, jasno oświetlonej blaskiem z wielkiego paleniska i smolnymi łuczywami izbie.

Wszedł do izby, rozejrzał się, zamierzając wezwać karczmarza. Powiódł wzrokiem po siedzących przy zбитych z grubych desek, ciężkich, pozalewanych winem i piwem stołach. Szukał karczmarza lub któregoś z posługujących ucztującym pacholków. Karczma była duża, ruch panował spory, więc karczmarz sam nie mógłby sprostać.

Zamiast karczmarza lub pomocnika zobaczył siedzącego za stołem zwalistego mężczyznę, którego widok zmroził mu krew w żyłach. Cofnął się, wpadając na stojącego za nim Matcha.

Znał mężczyznę, siedzącego za stołem w otoczeniu kilku hałaśliwie walących kubkami w blat, śpiewających sprośną piosenkę zbrojnych. Nie mógł zapomnieć tej nacechowanej bezmyślnym okrucieństwem twarzy. Widział ją całkiem niedawno.

Człowiekiem, który wpatrywał się w niego wzrokiem już zamglonym przez wypite wino, był Kiciak. Giermek panicza Gilberta.

Jason stał jak sparaliżowany. Wrócił zapomniany już, zda się, lęk. Znow poczuł się zdany na jego łaskę i niełaskę.

Szturchnięcie z tyłu przywróciło go do rzeczywistości.

–Co jest? – spytał Match. – Tak się paliłeś do tej pieczeni, a teraz...

Jason oprzytomniał. Dotarło do niego, że Kiciak nie chwycił za broń, nie przewrócił stołu, podrywając się z ławy. Jego spojrzenie prześlizgnęło się obojętnie po twarzy Jasona. Po chwili odwrócił się, przyłączył się do śpiewających.

Nie poznał mnie, uświadomił sobie Jason. Nie ma się co dziwić, wyglądał nieco inaczej. Zwłaszcza w tym stroju. Nie wyglądał, jak kiedyś, na kupca. Raczej na byłego żołnierza, który teraz jeździ po kraju w poszukiwaniu szczęścia i zarobku. A twarz... Nawet szkoda gadać, krótko ostrzyżone włosy, wychudłe policzki, blizny... Nie mógł poznać.

–Co z tobą? – usłyszał za sobą powtórne pytanie. – Rozmyśliłeś się czy co? Zapach

nie taki

czy towarzystwo ci nie odpowiada?

Owszem, nie odpowiada, pomyślał Jason.

–Nic, nic – odpowiedział. – Chodź, siądziemy gdzieś...

Znaleźli miejsce w przeciwnym kącie izby, gdzie jeden z pijących widać już od dawna kupców zwałił się właśnie pod stół. Jak spod ziemi wyrósł przy nim pacholek, który ujął go pod pachy i z wysiłkiem pociągnął do wyjścia. Postękiwał przy tym, bo kupiec był słusznego wzrostu.

Match odsunął drugiego biesiadnika, który wprawdzie nie spadł jeszcze z ławy, ale był tego bliski. Match miał nadzieję, że nastąpi to już niebawem, przy stole nie było wiele miejsca. Usiedli ciasno stłoczeni.

–Hej, karczmarzu – zawołał Match do przebiegającego obok człowieka w zatłuszczonym fartuchu. Ten zbył go niecierpliwym machnięciem ręki.

–Hola, hola – krzyknął do mozołącego się ze swym pryncypałem pacholika. – Nie tak szybko, najpierw trzeba zapłacić. Cholera, z nimi tak zawsze, nażrą się, nachlają, a potem płacić nie ma komu...

Kiciak i jego wesoła kompania umilkli. Spoglądali z aprobatą na karczmarza, trzymającego w garści duży zardzewiały tasak. Może rąbał właśnie mięso na pieczeń, a może... Wyraźnie pochwalali taki sposób egzekwowania należności.

Pacholek skrzywił się tylko, puścił trzymanego pod ramiona bezwładnego kupca. W zapadłej nagle ciszy słyhać było jak jego głowa uderzyła o polepę. Na ten dźwięk wszyscy, nie wyłączając giermka, drgnęli.

Pacholek schylił się nad pryncypałem. Odsupłał węzeł zawieszony u jego pasa sakiewki, pogrzebał w niej. Podał monety karczmarzowi. Ten spojrzawszy na to, co trzyma w garści, zaczął wylewnie dziękować.

–Wystarczy? – przerwał pacholek niecierpliwie.

–Aż nadto, szlachetny panie, aż nadto!

–To zamiast stać, pomóż mi zatargać tego starego sukinsyna na wóz. Psiamać, zawsze tak

**jest, mnie to każe wozu pilnować, a sam jak ta świnia... Żadnej karczmy nie ominie!
A potem ja**

po uszach od szanownej małżonki dostają, że nie upilnowałem!

Stary sukinsyn poruszył się, zabelkotał coś.

–Szybciej, karczmarzu, zaraz będzie rzygał – ostrzegł pacholek. Karczmarz zakręcił się. Rozejrzał.

–Hej, Benny – krzyknął, dostrzegłszy przemykającego się w cieniu pod ścianą pomocnika. – Rusz no się, pomóż szlachetnemu panu opuścić nasze gościnne progi! A żywo!

–Żywo – przytaknął pacholek. – Bo nie zdążymy... Bierz go z przodu, Benny czy jak ci tam...

Sam chwycił kupca za nogi.

–Ja wolę z tyłu – dodał uśmiechając się chytrze. – Czy ktoś byłby łaskaw przytrzymać

drzwi? Dziękuję...

Zniknęli za drzwiami.

Karczmarz odetchnął z ulgą. Podeszedł do stołu Matcha i Jasona.

–Wybaczcie, szlachetni panowie – usprawiedliwił się. – Ale sami wiecie, jak to jest.

Trzeba swego pilnować, inaczej człowiek by z torbami poszedł... Czym mogę służyć,

szlachetni panowie?

–Najpierw wina – to Match, widząc, iż Jason wciąż przygląda się pijącym w przeciwległym kącie zdecydował się zamawiać. – Potem...

Przerwał mu chóralny rechot. W drzwiach stanął Benny, którego wygląd świadczył o tym, że jednak nie zdążyli.

–Wybaczcie jeszcze chwilę – karczmarz podbiegł do stojącego z nieszczęśliwą miną chłopaka. Zamierzył się, wydawało się, że uderzy. Opuścił jednak rękę.

–Gdzie, zarzygańcu jeden, tu porządna karczma! Tu ludzie jedzą! Won mi do koryta, umyć się! Cholera, nawet gościa wyprowadzić nie potrafi...

Benny próbował coś tłumaczyć, ale gdy karczmarz znów uniósł rękę, zniknął za

drzwiami.

– Tak to już jest, panowie – karczmarz wrócił do Matcha i Jasona, począł tłumaczyć. – Taka praca... Najgorsze to te kupce, mówię wam. Taki żołnierz jako wy, szlachetny panie, to łeb do wina ma. Jak się uchleje, to najwyżej zwady szuka... A u mnie, wicie, porządna karczma, w izbie prac się nie pozwalam. Na podwórzec trza wychodzić, wszyscy wiedzą... – A jak nie wiedzą? – spytał Match.

– Jak nie wiedzą? – zdziwił się karczmarz. – A, wy pewnikiem pierwszy raz u mnie. To jak byście nie wiedzieli, panie, to Basile wam wytłumaczy, jak się trzeba zachować...

Wskazał wzrokiem w kąć. W ciemnym kącie siedział Basile, ponury drab w kubraku bez rękawów, o twarzy nieskażonej żadną myślą. W pierwszej chwili Match pomyślał, że Basile stoi. Wytężył wzrok, chcąc dostrzec szczegóły w mrocznym, zadymionym kącie. Mylił się, ponury drab siedział na niskim zydlu. Był po prostu duży, bardzo duży.

– Basile ma wprawę – powiedział karczmarz – nie to co ten szczył... Ale i on nauczy się

jeszcze, nauczy... I wicie, panie, jak Basile nie poradzi, to są jeszcze inne sposoby – dodał

znacząco.

Match roześmiał się tylko.

– My spokojni ludzie, panie karczmarzu – odparł. – My tylko zjeść i napić się przyszliśmy.

Nie w głowie nam burdy i sprawdzanie tych waszych innych sposobów. Popatrzcie tylko na

nas, czy my wyglądamy na rozrabiaków?

Karczmarz zmierzył ich uważnym spojrzeniem. Popatrzył na poprzecinane bliznami twarze, skórzane kubraki, nabijane ćwiekami rękawice leżące na blacie stołu. Na owiniętą pasem pochwę miecza, którą Match trzymał na kolanach.

– Nie, skąd – skłamał szybko. – Tak tylko sobie gadam, na wszelki wypadek. Tylko jeszcze

jedno, szlachetny panie. Broń trza w kącie zostawić, o, tam, gdzie Basile siedzi. Zwyczaj taki...

Match wzruszył ramionami. Podał miecz karczmarzowi. Jason poszedł za jego przykładem.

–Bądźcie zatem łaskawi, dobry człowieku... – powiedział Match. – Myśmy zdrożeni, dupska z ławy ruszać się nie chce...

Karczmarz skinął ręką. Podbiegł pacholek, odebrał od niego broń.

–No to do rzeczy – spytał karczmarz rzeczowo. – Co szlachetni panowie sobie życzą? Popatrzył wyczekująco.

–No, miało być wino. I jeszcze pieczeń barania, na początek...

–Wino, dwa dzbany... Dobrze. – karczmarz podrapał się za uchem brudnym paluchem. – Ale pieczeni nie ma. Wyszła.

–Jak to wyszła? – zdenerwował się Match. Wprawdzie przedtem nie miał specjalnej ochoty, ale gdy poczuł zapach pieczystego, wypełniający izbę tylko przełykał ślinę. Zdał sobie sprawę, że dość już ma dziczyzny.

–No, skończyła się – wyjaśnił karczmarz cierpliwie. – Dziś już nie będzie. Może być sarnina...

–A to? – Match wskazał pacholka, niosącego drewnianą tacę. Z tacy unosił się zapach delikatnej, szpikowanej czosnkiem baraniej pieczeni. Może nawet jagnięcej.

Karczmarz odwrócił się. Machnął lekceważąco ręką.

–A, tamto. To ostatnia porcja.

–Chwileczkę, przyjacielu – Match zdenerwował się na serio. – My tu byliśmy pierwsi. Ten człowiek, który w tej chwili zabiera się do jedzenia, przyszedł później...

–Ale zamówił wcześniej – odparował zimno karczmarz. – Nie tracił czasu na gadanie... To co, zamawiacie coś do tego wina? Raczcie się pospieszyć, tu się pracuje...

Match zaczął się podnosić z ławy. Jason szarpnął go za rękaw, widząc, że Basile też prostuje się w swoim ciemnym kącie. Głową zdawał się sięgać powały.

–Match, daj spokój – powiedział Jason. – Weźmy tę sarninę...

Match nie zwrócił na niego uwagi. Na Basile'a także. Karczmarz cofnął się o krok.

–No, można jeszcze coś innego. Na zamówienie – powiedział pojednawczo. – Może

być prosię z różna...

–Może być – zgodził się Match. – A co znaczy na zamówienie? – zaniepokoił się.

–Na zamówienie, znaczy, trzeba poczekać. Aż przygotujemy.

–Jak długo? – spytał Match nieufnie.

–Króciutko! – zapewnił karczmarz. – Sami panie pomyślcie, ile czasu piec się może takie prosię? Młodziutkie to, delikatne! Raz, dwa i będzie gotowe... A panowie posiedzicie tymczasem, winka popijecie... To co, zamawiacie?

–Zamawiamy – zdecydował Match, spoglądając na Jasona. Ten tylko skinął głową.

–To tak, wino, dwa dzbanki, prosię z różna... – podsumował karczmarz. Rozejrzał się.

–Hej, Benny – krzyknął do pomocnika, który zdążył już wrócić do izby. – Skocz no do zagródki, przy chlewiku. Złap jedno prosię, poczekaj...

Popatrzył na Matcha i Jasona.

–Wybierz takie spore. Tylko biegiem, szlachetni panowie czekają...

Match wymienił z Jasonem niewesołe spojrzenia. Jason tylko kiwnął głową.

–Zaczekaj, Benny – krzyknął. – Nie fatyguj się... Zrezygnowany odwrócił się do karczmarza.

–Niech już będzie ta sarnina...

Sarnina nie była na zamówienie, jednak i na nią trzeba było poczekać. Karczmarz, przynosząc wino, mruzczał coś o grymaśnych gościach, co to sami nie wiedzą, czego chcą. Przetarł stół brudną szmatą, nie wiadomo, po co, bo dzbanki postawił z takim rozmachem, że aż huknęło. Wino prysnęło na deski, odskoczyli.

Nawet to, że zapłacili za wino zaraz po przyniesieniu, nie poprawiło humoru karczmarza. Zapytany, kiedy wreszcie dostaną coś do jedzenia, odpowiedział opryskliwie „jak się zrobi”. Po czym zniknął. Na dłuższy czas.

–Pamiętaj, Jason, żeby więcej tu nie przychodzić – burknął Match. Jason nie odpowiedział. Match zaniepokoił się.

–Jason, co z tobą? – spytał. – Odkąd weszliśmy, jesteś jakiś taki... Przecież tak paliłeś się do tej wyżerki. Zgoda, wyjątkowo tu paskudnie, ale wino przecież niezłe...

–Nie o to chodzi – odpowiedział po chwili Jason, wciąż wpatrując się w siedzących w przeciwległym końcu izby. Skończyli się już wydzierać. Teraz popijali tylko, wodząc dokoła ponurymi spojrzeniami. Szukają zaczepki, uświadomił sobie Jason. Nudzi im się najwidoczniej.

–Nie o to chodzi – odwrócił się do Matcha. – Popatrz na tych tam...

–Widzę – odparł Match. – Od początku. Nie martw się, nam nie podskoczą... Kiciak i jego

weseli towarzysze z braku lepszego celu zabawiali się z psem wałęsającym się po izbie i

nachalnie dopominającym się jedzenia. Pies był tłusty, nie mógł być inny, zważywszy na ilość

resztek walających się pod stołami. Nie mógł być głodny, jednak wychodząc z założenia, że to,

co stoi na stołach musi być lepsze od tego, co dają psu, obnosił po całej izbie ostentacyjnie

pokrzywdzoną minę, dopominając się o datki wprost ze stołów. Długoletnia widać praktyka

pozwalala mu niezwykle zwinnie, jak na jego tuszę, unikać kopniaków wymierzanych przez

nagabywanych gości.

Jason zdał sobie sprawę, że Match ma rację. Wciąż podświadomie obawiał się, że wygląda na łatwy cel. Wciąż czuł się w skórze kupca. Tymczasem teraz nie wyglądał na kogoś, kogo można bezkarnie zaczepiać. Odetchnął z ulgą.

Kiciak i jego kompani podeszli do sprawy starannie i metodycznie. Jeden wabił psa sporą, dobrze jeszcze obrośniętą mięsem i tłuszczem kością. Pies podchodził dosyć nieufnie, widać nieczęsto spotykał się z takimi wyrazami sympatii, jednak smakowity zapach przywabił go coraz bliżej. Wkrótce przestał zwracać uwagę na otoczenie, wpatrzony w kość, którą kompan Kiciaka raz po raz zabierał wprost sprzed pyska, tak że pies zwierzał jedynie szczęki z głośnym kłapnięciem. Nie widział Kiciaka, który osobiście wstał z ławy i zachodził go od tyłu.

Jeszcze jedno kłapnięcie, podskok i kość wreszcie znalazła się w pysku. Pies nie zdążył się nacieszyć zdobyczą, rozległ się bolesny skowyt, gdy ciężki but spotkał się z tłustym psim tyłkiem. Pies kulejąc i skowycząc niewyraźnie dał nura pod stoły.

Kości nie wypuścił.

Kiciak wraz z kompanami wybuchnął radosnym rechotem, zadowolony z udanego dowcipu.

–Widzisz, Match, ten, co teraz przykopał temu psu... – wskazał Jason ruchem głowy. – To

Kiciak. Pamiętasz, mówiłem ci. Giermek panicza Gilberta. Jeden z tych, co mnie tak urządzili...

Nie poznał mnie...

Match nie spojrział nawet.

–Więc co? – spytał tylko. – Chcesz go załatwić, odegrać się? Radzę w takim razie wyjść

wcześniej, poczekać, ustrzelić z kuszy. Nie musimy się spieszyć, oni tu jeszcze zostaną,

zdążymy spokojnie zjeść...

Jason zdziwił się. Match mówił całkiem serio.

–Co ty? – spytał.

–No, tutaj będzie trudniej. Nie mówię o nich – Match lekceważąco wzruszył ramionami. – Ich jest, poczekaj, chyba ośmiu, ale wszyscy już pijani. Ale karczmarz może robić trudności...

–Match, ja nie zamierzam się odgrywać – powiedział Jason oszołomiony. – Ja tak tylko...

Nie zdążył wyjaśnić, co tylko. Wreszcie pojawił się pacholek z tacą dymiącej sarniny i

dużym bochnem chleba.

Match sięgnął po nóż do cholewy. Ukroił potężną pajdę, położył na niej kawałek pieczeni. Wgryzł się w chleb z apetytem.

Tymczasem Jason czuł, że odeszła mu ochota do jedzenia. On ma rację, myślał. Nie można sukinsynowi darować. Nie można pozwolić, żeby dalej krzywdził ludzi, trzeba mu pokazać, że jemu też można zrobić krzywdę. Nie, żeby od razu zabijać, trochę tylko... Tak, kurwa, tylko ja się do tego nie nadaję, zupełnie nie nadaję...

–Co, nawet nie jesz? – spytał Match niewyraźnie, żując potężny kęs. Jason z ociąganiem wyjął swój nóż, ukroił chleb.

Sarnina nie była najgorsza, spostrzegł po chwili. O niebo lepsza od tej, którą piekli na ogniskach. Delikatna, podlana gęstym sosem, dobrze przyprawionym korzeniami. Skruszała. Te sarny, które jadał ostatnio, nie zdążyły nawet dobrze ostygnąć przed upieczeniem, a co dopiero skruszeć. Poczul się trochę lepiej.

Jednak nawet teraz spoglądał co chwila w kierunku stołu po przeciwległej stronie izby. Ocierając z brody spływający z nasiąkniętego chleba sos, zobaczył, że nastrój znów się psuje. Pies nie przyszedł drugi raz, znowu zaczynało być nudno. Podjęta ponownie sprośna piosenka śpiewana była bez przekonania, wkrótce urwali ją w połowie refrenu, co wszyscy przyjęli z ulgą. Ryczeli bowiem wyjątkowo nieskładnie, a i tak wszyscy wiedzieli, co robi sprytny parobek z urodziwą młynarzówną. Piosenka była stara, a szczegóły ich pożycia, aczkolwiek drastyczne, wszyscy znali na pamięć.

Przerwawszy popisy wokalne, kompania Kiciaka znów zaczęła wodzić po izbie ponurymi spojrzzeniami. Owszem, są pijani, zauważył ponuro Jason, ale nie na tyle, by osunąć się pod stoły czy choćby poczuć potrzebę wyjścia na świeże powietrze. Są pijani na tyle, by szukać zaczepki. Złuszcząc się coraz bardziej, im dłużej jej nie znajdują. Jason miał nie najlepsze przeczucia. Spodziewał się rozróby.

Nie czekał długo. Gdy tylko zajął się swoją pieczenią, nakładając starannie odkrojone, soczyste plastry mięsa na następną pajdę chleba, usłyszał łomot, zakończony mokrym trzaskiem, jaki wydaje rozbijający się, wypełniony winem gliniany dzban. Zaraz rozległ się chóralny, radosny śmiech.

Jason zobaczył, jak Benny niezgrabnie usiłuje się podnieść z zalanej winem, pokrytej resztkami potłuczonych dzbanów polepy. Krew z czoła rozciętego o skorupy zalewała mu oczy.

Kiciak, o którego wystawioną w ostatniej chwili nogę potknął się Benny, śmiał się tak, że aż łzy ściekały mu po policzkach. Jeden z jego kamratów, zachęcony ogólnym zachwytem kopnął w tyłek próbującego wstać chłopaka. Trafił w kręgosłup, chłopak wyprężył się tylko i padł z powrotem w skorupy. Na chwilę znieruchomiał. Ogólny śmiech zahuczał jeszcze głośniej.

Śmiał się nie tylko Kiciak i jego kamraci. Jak spostrzegł Jason, siedzący tuż obok niego, wyglądający przed chwilą na zupełnie już nieprzytomnego tłusty szlachcic zanosił się od śmiechu, podtrzymując trzęsące się brzuszysko. Z rozdziawionej, zatłuszczonej gęby zwisał kawałek na wpół przeżutego mięsa. Mimo upijania zauważył spojrzenia Jasona.

–Wii... – zaczął, krztusząc się ze śmiechu. Nie szło to zbyt składnie. – Widzieliście?

Jak

mu... Jak mu przy... Ale jaja!

Łzy pociekły po zatłuszczonej, pokrytej niechlujnym zarostem gębie.

–Ale jaja! – powtórzył. – Ech, jeszcze raz by się przydało! Widzieliście, jak uciesznie podskoczył?

Znów chwycił go atak śmiechu, aż poczerwieniał i żyły nabrzmiały na skroniach.

–Widziałem – potwierdził krótko Jason. Nie zastanawiając się, nie wstając z ławy, z półobrotu wpakował pięść w środek trzęsącego się kałduna. Miał wrażenie, że ręka wchodzi po łokieć.

–Hep! – powiedział szlachcic na wdechu i to były jego ostatnie tego wieczoru słowo. Siedział przez chwilę bez ruchu, w czym nie było nic dziwnego, cios Jasona, choć zadany ze złością i z całej siły, nie mógł poruszyć takiej masy. Wytrzeszczył tylko oczy, wydawał dziwne dźwięki, usiłując zaczerpnąć powietrza. Chociaż przed chwilą wydawało się to niemożliwe, poczerwieniał jeszcze bardziej. Wreszcie wolno odchylił się do tyłu, spadł z ławy, z hukiem uderzając potylicą o belki ściany.

O dziwo, niewielu z obecnych, pochłoniętych wesołością spowodowaną przednim dowcipem Kiciaka zauważyło jego upadek. Za wyjątkiem karczmarza. Ten był czujny. Mimo iż tak jak wszyscy ze śmiechem obserwował wysiłki chłopaka, miał jednak baczenie, co się dzieje dokoła. Podbiegł do Jasona.

–Nie wolno! – krzyknął, wymachując brudną ścierką. – Nie wolno! Tu porządna gospoda,

bić się nie można! Jak kto chce, to na dwór może wyjść, tam prac się, ile wola! Ale nie tu!

Jason poczuł zalewającą go złość. Wstał z ławy, oddzielony od karczmarza blatem stołu popatrzył mu wściekle w oczy.

–Basile – wrzasnął karczmarz. – Panowie wychodzą!

–Wolnego, gospodarzu, wolnego – odezwał się spokojnie Match. Nie wstawał, bawiąc się niedbale trzymanym nożem. – O co wam właściwie chodzi, dobry człowieku?

–Nie wolno bić! Tu porządna karczma!

–Ktoś kogoś uderzył? – zdziwił się Match obłudnie. Podrzucił nóż, chwycił za klingę.

Karczmarz przyglądał się niespokojnie.

–On uderzył! – wskazał oskarżycielsko Jasona. – Uderzył pana Erazma, rycerza na służbie szeryfa Nottingham. Basile! – wrzasnął niecierpliwie.

–Ejże, dobry człowieku – Match uśmiechnął się złowrogo. – Widzieliście? Bo coś mi się wydaje, że musielibyście mieć w dupie oczy. Boście to właśnie dupskiem w naszą stronę stali. Przeto nie rzucajcie oskarżeń, nie strzępcie ozora nadaremnie. Bo kiedyś trafi się kto mniej uprzejmy ode mnie, i przytnie go wam, gospodarzu... My spokojni ludzie... Pomyślcie trochę, może sam spadł? Pijany przecież...

Znów podrzucił nóż.

–I odwołaj tego swojego cyklopa – dodał, popatrując na Basile'a, który stanął za pryncypałem, czekając dalszych poleceń. Sam nigdy nie robił nic z własnej inicjatywy. Stojąc

rzeczywiście sięgał belek wiązania stropu. Match patrząc na niego pomyślał, że płaskie, niskie

czoło jest skutkiem ustawicznego uderzania o nadproża.

–Kogo? – odruchowo zdziwił się gospodarz.

–Tego, co stoi tam, za tobą – wyjaśnił Match uprzejmie. – Zanim zrobi sobie krzywdę... Basile nie dał po sobie w żaden sposób poznać, że to usłyszał. Karczmarz jednak

stwierdził, że pomylił się w ocenie. Powinien wziąć ze sobą dodatkowe argumenty, nie robić awantury z pustymi rękoma. Nie miał złudzeń, co stanie się zanim Basile zgniecie Matcha w swoim uścisku.

–Na miejsce – warknął. Basile bez słowa odwrócił się i poczłapał w swój ką.

–Tu porządna karczma – dodał karczmarz dla ratowania twarzy. – Nie gadajcie mi, panie,

żeście go nie tknęli. Ja ten interes prowadzę dwadzieścia lat, ja nie muszę widzieć, wystarczy

to, co usłyszę. A rycerz Erazm pije tu codziennie, i nigdy nie spada pod stół, dopóki pacholki z wozem nie przyjadą, żeby na służbę go zabrać...

Match ze smutkiem pomyślał, że wszystko w Nottingham widocznie schodzi na psy,

skoro szeryf trzyma w służbie takich rycerzy. Cóż, długo był spokoj, teraz tacy pewnie wystarczają...

–Może zjadł co paskudnego? – wykrzywił się do karczmarza. – Może mu zaszkodziło?

–Ej, panie – oburzył się gospodarz. – Nawet nie mówcie takich rzeczy! Tu porządna karczma, jedzenie dobre i porządek musi być, bić nie można. Ino na dworze, jak mówiłem.

Match popatrzył przed siebie. Benny po kopniaku w kręgosłup przyszedł już trochę do siebie. Ocierał krew z twarzy, próbował wstać. Śmiech już ucichł, zabawy nie starczyło na długo. Kiciak i kamraci przycichli, obmyślali widać dalszy ciąg.

–A to, gospodarzu? – wskazał Match zgiętego wciąż z bólu chłopaka. – To nie narusza waszego porządku?

–Nie, nie narusza. To mój brataniec, brat go na naukę przysłał, sam zamiaruje karczmę otworzyć. To niech się gówniarz uczy. Karczmarz, co sobie z gościem nie umie poradzić, to kutas... – wyjaśnił gospodarz cynicznie.

–Was widać też tak uczyli, gospodarzu? – skrzywił się Match.

–A żebyście wiedzieli! – uniósł się karczmarz. – Żebyście wiedzieli! Tak, i jeszcze gorzej! Dlatego teraz sobie radzę!

Osobliwe obyczaje w tym zawodzie, pomyślał Match. Odechciało mu się dalszej dyskusji. Pociągnął za rękaw Jasona, który wciąż stał z pobladłą z gniewu twarzą.

–Siadaj – powiedział. – I jedz, już wystygło. To, jak sam słyszałeś, tylko metody wychowawcze. A ponadto zostanie w rodzinie...

Jason nie reagował. Zaciskał tylko pięści.

–Siadaj – powtórzył Match. – Już chyba im wystarczy, chłopak, jak mądry, zaraz zejdzie

im z oczu...

Mylił się.

Benny dźwignął się w końcu na kolana. Giermek z ujmującym uśmiechem nie pasującym do paskudnej gęby, siedząc rozparty przed nim na ławie, wyciągnął rękę, jakby w zamiarze pomocy. Chłopak odruchowo chwycił podaną dłoń.

Szarpnięty przy akompaniamencie urągliwego ryku stojących dookoła zbrojnych poleciał do przodu. Kiciak nie puścił ręki, tak, że chłopak znów padł twarzą na polepę.

Giermek uśmiechnął się zadowolony, spojrzął po kompanach, którzy przyjęli ten nowy wyczyn pełnym uznania rechotem.

Chłopak poruszył się, znów ociężale uniósł się na kolana. Giermek znów wyciągnął pomocną dłoń. Benny, jakby niepomny niedawnego doświadczenia, znów wyciągnął rękę. Match tylko pokręcił głową. Chłopak nie miał zadatków na dobrego karczmarza, zbyt wolno się uczył.

To, co Match za chwilę zobaczył, zaskoczyło go. Benny, gdy tylko zacisnął rękę na wyciągniętej dłoni, szarpnął silnie. Nie mógł wprawdzie pociągnąć za sobą dwukrotnie cięższego giermka, ale zaskoczył go. Drugą ręką wymierzył cios prosto między niedowierzająco spoglądające, przekrwione z nadmiaru wina oczy. Prawie się udało.

Wprawdzie pijany, Kiciak był wciąż bardzo szybki. Za szybki dla zmaltretowanego chłopczyny, który ledwie widział poprzez zalewającą oczy krew z rozciętego czoła. Schwycił pięść chłopaka tuż przed swoją twarzą. Wciąż z wrednym uśmiechem wykręcił rękę, aż chrupnęło w stawach. Benny zaskowyczał i upadł. Giermek skinął na kamratów. Dostali go w trzech, zaczęli kopać.

Z twarzy Kiciaka zniknął uśmiech. Zaczął naciągać powoli nabijane ćwiekami, długie do łokcia rękawice.

–Postawcie go! – rozkazał.

Jason wparł ręce w stół, sprężył się do skoku. Match chciał go przytrzymać, nie zdążył. Ośmiu, pomyślał, sam przeskakując stół. A my tylko z nożami... Ale oni też... Ruszył do przodu, starając się wyskoczyć przed Jasona. Przeciwnicy jeszcze nic nie spostrzegli, zbyt byli zajęci Bennym.

–Stać! – osadził wszystkich w miejscu ostry głos.

Karczmarz stał pośrodku izby, trzymając wydobyty nie wiadomo skąd arbalet kulowy. Wymierzony prosto w giermka.

–Wystarczy! – krzyknął. – Siadajcie spokojnie albo wynocha!

Arbalet, nie kusza, zauważył Match z uznaniem. Zna się na rzeczy. Używanie kuszy w pomieszczeniach pełnych ludzi nie było najlepszym pomysłem. Zwłaszcza do takich celów, jak zaprowadzanie porządku. Wystrzelony z kuszy bełt, po przebiciu niesfornego, skorego do rozróby gościa mógł przejść na wylot, kładąc trupem

innych, spokojnie spożywających posiłek. Nie podniosłoby to zapewne renomy karczmy.

Giermek zamarł bez ruchu. Arbalet trzymany w pewnych dłoniach celował prosto w czoło. Kiciak wiedział, co robi taka ołowiana kula, wystrzelona z małej odległości. Widział kiedyś człowieka trafionego w twarz. Poznać go można było wyłącznie po odzieniu. Ostrożnie odsunął od siebie ręce, pokazał otwarte dłonie.

–Co wy, gospodarzu, pożartować nie można? – spytał ponuro.

–Można – usłyszał w odpowiedzi. – Ale już wystarczy. Pożartowaliście sobie, iście boki można było zrywać. A teraz siadajcie...

Kiciak rozejrzał się. Sytuacja była niezbyt korzystna.

–Na żartach się nie znacie? – powtórzył pojednawczo. – Odlóżcie to, gospodarzu, wina lepiej dajcie...

–Kiciak, on jest jeden, a nas... – jeden z kamratów był biegły w obliczeniach. – Skoczyć na niego kupą, strzeli najwyżej raz... A wtedy go pod buty...

–Ty, Śmierdziel, nie bądź taki chybki... – osadził go Kiciak. – To we mnie celuje, nie w ciebie. Co mi z tego, że go potem weźmiecie pod buty...

–Może nie trafi... – chudy drab z płowymi, zwisającymi wąsami, zwany Śmierdzielem nie rezygnował. Kiciak zdenerwował się.

–Zamknij gębę! – wrzasnął. – Te twoje pomysły to ja sobie zapamiętam, poczekaj jeszcze! Jeszcze do nich wrócimy!

Śmierdziel istotnie zamknął gębę. Kiciak urazy pamiętał zwykle długo.

–Już dobrze, gospodarzu, już siadamy – Giermek sięgnął do sakiewki u pasa. – Spokojnie!

–krzyknął, widząc drgnienie wymierzonej w siebie broni.

Wysupłał monetę, rzucił obok leżącego wciąż chłopaka. – Naści – powiedział. – To co, teraz w porządku, gospodarzu?

–Wsadź to sobie... – zabełkotał Benny przez okrwawione wargi. Dostyc głośno, tak, że wszyscy ryknęli śmiechem. Kiciak ze złością zgromił wzrokiem kamratów. Śmiech zgasł, acz nie całkiem.

–Ot, zادیorna sztuka, podoba mi się – pochwalił giermek nieszczercze. – Na co się, kurwa, tak gapiecie? Na jasełka przyszliście? – wrzasnął w końcu.

Zaczęli się cofać. Arbalet wymierzony w Kiciaka obniżył się.

Może to już koniec, pomyślał Jason z nadzieją. Jak usiądą, trzeba kończyć i zabierać się stąd. Nic tu po nas.

Karczmarz wciąż trzymał broń wymierzoną w kierunku giermka. Nie zamierzał odpuszczać, póki wszyscy nie usiądą na swoich miejscach. Kątem oka złowił ruch, drgnął odruchowo.

Jeden z pijących, zawiedziony widąc mało efektownym zakończeniem sprawy cisnął ogryzioną kością. Celował w jednego z trzech Kiciakowych kamratów, którzy z popuszczanym ponuro wzrokiem stali wciąż nad gramolącym się z polepy chłopakiem. Chciał dołożyć swoje do pognębiaenia rozrabiaków. Jednak zamiary były dużo lepsze od wykonania.

Gnat poleciał wysokim łukiem, omijając o cale karczmarza. Ten szarpnął się, odwrócił na moment.

To wystarczyło.

Jeden z kompanów giermka, chyba Śmierdziel zareagował szybko. Ciężki, gliniany kufel trafił karczmarza w czoło. Gospodarz poderwał broń, nacisnął odruchowo spust. Ołowiana kula zawyła w powietrzu. Z trzaskiem wybiła duży otwór w deskach zamkniętej na głucho okiennicy. Posypały się trociny. Karczmarz zatoczył się.

Skoczyli na niego wszyscy.

Match, zrywając się do skoku, dosłyszał ostrzegawczy okrzyk. Odwrócił się w samą porę, by złapać szybujący ku niemu z ciemnego kąta obnażony miecz. Basile błysnął zębami w uśmiechu, schylił się, szukając czegoś za sobą.

Psiakrew, mógł rzucić w pochwie, pomyślał Match chwytając pewnie rękojeść. Przecież to ostre... A, może lepiej, wyciągać nie trzeba.

Basile wyłonił się z kąta, trzymając wielką, sękatą pałę.

Kiciak i jego kompania nie stosowali się do zwyczajów panujących w karczmie. Co najmniej czterech miało miecze. Sam Kiciak, dostrzegłszy Matcha, dał nura za stół. Widocznie swój miecz miał właśnie tam.

Widząc atak Matcha, dwóch z tych, co byli uzbrojeni, skoczyło ku niemu. Nie zastawił się, wszedł w środek między nich, tnąc od razu jednego nisko, po udach nieosłoniętych kolczugą. Zbrojny zrobił jeszcze kilka kroków, po czym padł, zaciskając dłonie na tryskającej krwią ranie. Drugi usiłował ciąć z półobrotu, nie trafił, przeniosło go dalej. Prosto pod wzniesioną, dębową pałę. Match usłyszał tylko

leпки trzask, gdy pała zetknęła się z czaszką. Coś ciepłego opryskało mu twarz.

Dojrzał innego, który właśnie zamierzał się od tyłu na Basile'a. Skoczył szybkim wypadem. Zbrojny spostrzegł ruch, nie zdążył się obrócić. Było trochę daleko, cięcie Matcha trafiło samym sztychem, rozcinając jednak kolczugę jak Inianą koszulę. Zbrojny opuścił głowę, z niedowierzaniem patrząc na wylewające się z brzucha wnętrzności. Match nie patrzył dłużej. Widywał już takie rzeczy, nie był ich ciekaw. Zwrócił się do pozostałych przeciwników.

Nie było pozostałych. Jedynie przeskakujący przez stół Kiciak spadał właśnie z niego na twarz. Załamała się pod nim noga, w kolanie której tkwiło rzucone przez Jasona ostrze.

Match opuścił miecz, rozejrzał się. Jedyny przeciwnik, który wyszedł cało, życie zawdzięczał szybkiej orientacji. Zamiast rzucać się do walki, od razu skoczył w kąt. Teraz siedział tam, osłaniając głowę rękoma. Basile ze złym uśmiechem wznosił swą, umazaną czymś czerwonym i białawym pałę.

–Zostaw, Basile – powiedział Match. Basile niechętnie opuścił pałę. Nie odmówił sobie jednak przyjemności wymierzenia kopniaka. Coś trzasnęło głucho, kompan Kiciaka znieruchomiał.

–Mówiłem, zostaw – powtórzył Match niechętnie. Znowu flaki na polepie, pomyślał, patrząc na ciętego w brzuch zbrojnego, który leżąc na boku wytrzeszczał szkliste, martwe oczy.

Drugi, ten z przeciętym udem przestał rzucać się już w kałuży krwi, przecięta tętnica udowa nie

dała mu zbyt dużo czasu.

To dwóch, policzył Match. Trzeci, ten bez głowy, to robota Basile'a. Niezła zresztą, tylko zęby zostały, te z dolnej szczęki. Reszta...

Trzem pozostałym spomiędzy oczu sterczały trzonki ostrzy Jasona. Kiciak dostał w kolano, gdy opadał na zranioną nogę wbił ostrze głębiej, druzgocąc zupełnie rzepekę. Piątym był jeden z ucztujących za stołami, na pierwszy rzut oka kupiec. Siedział sztywno oparty o ścianę, trzonek sterczał mu z czoła. Otwarte szeroko oczy śmiesznie zezowały na boki, jedno bardziej. Ciekawe, czy to od uderzenia, czy już przedtem tak było, przeleciało Matchowi przez głowę. Przedtem, za życia trafionego, nie zdążył się przyjrzeć.

Jason wpatrywał się w jęczącego giermka. Match trącił go w ramię.

–Cholera, gdybym usłyszał od kogoś, to bym nie uwierzył – powiedział. – Pięciu. Tylko

dłaczego ten?

Wskazał na kupca za stołem. Jason bezradnie rozłożył ręce.

–Straty uboczne? – zrozumiał Match.

Jason spojrział nieprzytomnie. Jeszcze do niego nie dotarło.

–Niepotrzebnie wstawał... – powiedział tylko.

Karczmarz zbierał się z podłogi. Nie licząc kilku kopniaków, jakie zdążył z początku oberwać, cała zabawa go ominęła. Panowała dziwna w tej izbie cisza, przerywana jedynie jękami Kiciaka, ściskającego roztrzaskane kolano.

Jason schylił się nad nim.

–Przytrzymaj mu nogę, Match – powiedział. Sam zaczął rozwierać śliskie od krwi, zaciśnięte na sterczącym z kolana trzonku palce. Udało się po chwili.

–Zaciśnij zęby – powiedział do giermka, który spoglądał błędnym, pełnym bólu wzrokiem.

–Trzymasz, Match?

Match potwierdził skinieniem głowy. Jason szarpnął za trzonek. Mokre od krwi palce omsknęły się...

Giermek zawył, zaszarpał się. Basile podskoczył, przygwoździł jego ramiona do ściany. Jason uchwycił trzonek przez połę kurtki, szarpnął jeszcze raz. Tym razem wyszło. Kiciak szarpnął się tylko konwulsyjnie, krew popłynęła z przygryzionych warg.

Jason wstał.

–Możecie go puścić – powiedział. Wycierał zakrwawione ostrze, przyglądając się odłamkom kości bielejących w miejscu czegoś, co było niegdyś kolanem. Do końca życia

będzie sztywne, oceniło coś chłodno w głębi umysłu. Już nigdy nie będzie chodził normalnie.

Nie czuł satysfakcji. Nie tak to sobie wyobrażał.

Znów pochylił się nad opartym o ścianę rannym. Mimo bólu oczy giermka były przytomne. Już rozumiał, co się stało. W spojrzeniu nie było nienawiści, było tylko przerażenie.

Kiedyś, jako młody smarkacz Jason ustrzelił lisa. Ze swego pierwszego, wygranego w kości łuku. Łuk był zrobiony przez koleżkę Jasona, krzywy, krótki, o słabym naciągu. Strzały nie leciały daleko, zresztą też nie były najlepsze, opierzone wyrwanymi kogutowi lotkami, przywiązanymi byle jak. Groty zrobili z gwoździ.

Strzelanie do celu nijak nie wychodziło, strzały leciały, dokąd chciały, starannie tylko omijając tarczę. Dlatego też Jason zdziwił się niepomiernie, gdy strzeliwszy kiedyś do zakradającego się do kurnika lisa, trafił pierwszym strzałem, z dwudziestu kroków. Niezbyt czysto, w zad zwierzęcia, przerywając przypadkiem rdzeń kręgowy. Lis próbował uciekać, ciągnąc za sobą bezwładne tylne nogi. Gdy Jason podniecony swym myśliwskim wyczynem dopadł zwierzę, nie uciekało już. Dyszało tylko ciężko, patrząc właśnie takim, pełnym bólu i wyrzutu wzrokiem. I za nic nie chciało umierać. Jason stał, patrząc bezradnie na męczarnie zwierzaka, który po chwili zaczął zwijać się usiłując chwycić zębami drzewce strzały. Nie mógł na to patrzeć, chciał dobić, ale lis miał twarde życie. Dobił w końcu, używając kija, waląc gdzie popadnie, ale trwało to długo. Bardzo długo.

Giermek przypominał właśnie tego lisa, jęcząc cicho i ściskając strzaskane kolano. Jasonowi przed oczyma stanął obraz, jak tłucze Kiciaka wielkim kijem, a ten wciąż nie umiera... Zacisnął na chwilę powieki. Nie mógł... Mimo wszystko nie mógł.

–Chociaż kota mogłeś zostawić w spokoju – powiedział tylko, spoglądając znów w przepelnione bólem oczy. Nie dostrzegł zrozumienia.

–Nie poznajesz mnie? – spytał po chwili.

Kiciak ledwo widocznie zaprzeczył ruchem głowy. Z przygryzionych warg po brodzie spłynęła strużka krwi.

Nie poznaje, pomyślał Jason. A cóż to zmienia? Nic, odpowiedział sam sobie. Zupełnie nic...

Wstał. Zamierzał wyjść stąd jak najszybciej.

Match jeszcze raz przegarnął węgle w ognisku, dołożył kilka gałązek. Zajęły się z trzaskiem, płomień na chwilę wyskoczył w górę. Noc była zimna, rosa, opadła nad ranem, przemoczyła derki i płaszcze, którymi byli przykryci. Matcha obudziło dojmujące zimno i lodowate krople spadające na kark. Chciał dołożyć do ognia, ale w

nocy wyczerpały się zapasy zgromadzonego opału. Gdy zatrzymywali się na popas, było już późno, nie chciało im się zbytnio łązić po krzakach w poszukiwaniu gałęzi na ognisko, zadowolili się tym, co było w pobliżu.

Gdy Jason z wysiłkiem przyciągnął wielką, sosnową karpę, Match uznał, że wystarczy. Karpa powinna tlić się do rana. Niestety, okazała się zbyt spróchniała.

Match obudził się wcześniej, jeszcze przed wschodem słońca. Rozdmuchał powleczone warstwą siwego popiołu węgle, po czym spędzał czas, dorzucając do ogniska najmniejsze nawet gałązki, które miał w zasięgu ręki. Zupełnie nie chciało mu się wychodzić spod przykrycia, pod którym kulił się, usiłując choć trochę się rozgrzać.

Dzień zapowiadał się piękny, jednak o tej porze, gdy spoglądał na srebrne od rosy trawy, na kropelki nanizane na pajęczyny, gdy widział skraplającą się w powietrzu parę własnego oddechu, Match miał przykre wrażenie, że jest już na to wszystko za stary. Miał dość noclegów pod gołym niebem.

Z cienkich, dorzuconych do ogniska gałązek strzelił ostatni płomień. Match rozejrzał się. Wszystko, co ostatniego wieczora przynieśli, zostało już spalone, do ostatniego patyczka.

Zaklął pod nosem, począł gramolić się z pośłania. Po chwili stanął na nogi, usiłując zapanować nad szczękaniem zębami, zastanawiając się, co dalej. Wiedział, że nawet, jeżeli naznosi drewna i rozpali ponownie ogień, to i tak już nie zaśnie. Z zazdrością spojrzął na zakutanego z głową w derki Jasona, który spał w najlepsze.

W końcu postanowił pójść jednak i naznosić opału, choć wiedział, że gdy słońce wzniesie się wyżej, to na polance robi się gorąco. Chciał jednak trochę się rozgrzać, rozruszać. Ognisko się przyda, pomyślał, choćby wędzonkę przypiec. Za chwilę jednak przypomniał sobie, co Jason wczoraj mówił o wędzonce. Podeszedł do sakwy, otworzył ją, krzywiąc się na sam zapach. Jason miał rację, wędzonka była na najlepszej drodze do tego, aby uciec z sakwy o własnych siłach.

Mruknął przekleństwo. Trzeba wynieść dalej, wyrzucić, postanowił. Cholera, trzeba ją było wczoraj wyjąć, powiesić w dymie, może by pomogło. A tak w sakwie zaśmierdła się na amen.

Nadział oślizgły kawał słoniny na nóż, ruszył, niosąc ją przed sobą w wyciągniętej ręce. Gdy przeszedł kilkadziesiąt kroków, cisnął go do lisiej jamy. Zgarnął butem piasek, przysypał, starannie wytarł nóż mchem. Miał nadzieję, że lis ma jeszcze kilka wyjść ze swojej nory. Bo to było już całkiem nie do użytku.

Uporawszy się z problemem wędzonki zamierzał nazbierać drewna. Właśnie podnosił kawał brzoźowego pniaka, gdy usłyszał rżenie i tupot przywiązanych na

polanie koni.

Ktoś zbliżał się do obozowiska. Match cicho odłożył pniak, nasłuchiwał chwilę. Ruszył ostrożnie z powrotem.

Nie było daleko. Po chwili schowany za rosnącym na skraju polanki jałowcem rozchylił kłujące gałązki. Nisko stojące słońce raziło w oczy. Zobaczył tylko przykucniętą nad śpiącym Jasonem postać. Tylko jedną. Dostrzegł też dwa konie, osiodłanego i jucznego luzaka.

Przykucnięty nad Jasonem człowiek sięgał właśnie do cholewy. Match nie czekał dłużej.

– Nawet nie próbuj – krzyknął. – Wstań i ręce z dala od siebie! Przykucnięty człowiek podskoczył jak oparzony, padł na tyłek.

– Dobrze! – krzyknął Match – Teraz na twarz, bo wsadzę bełt w gardło! Człowiek posłuchał, przekręcił się na bok, rozciągnął na ziemi. Jason, zbudzony widać krzykiem, zaczął się poruszać pod przykryciem. Match zaklął. Ruszył do biegu, by dopaść leżącego, zanim oprzytomnieje i zdąży zrobić cokolwiek. Po paru krokach zwolnił.

– Panie, nie strzelajcie, to ja! – usłyszał stłumiony, lecz znajomy głos.

– Ja, to znaczy kto? – spytał dla pewności.

– Basile – stęknęło głucho. Basile dokładnie wypełniał polecenia, wciskał twarz w mokrą od rosy trawę. Match podszedł bliżej, podniósł pochwę z mieczem. Tak czuł się pewniej, spoglądając z góry na olbrzyma, który nawet leżąc, miał imponujące rozmiary. Zajmował na trawie bardzo dużo miejsca.

Jason wychynął spod derki, rozglądał się zapuchniętymi od snu, jeszcze nieprzytomnymi oczyma. Po chwili usiadł. Match trącił Basile'a końcem pochwy.

– I co tak leżysz jak glizda na mrozie? – spytał cierpko.

– Kazaliście, panie – padła stłumiona odpowiedź. Basile nawet nie drgnął.

– Match, co się dzieje? – spytał Jason niewyraźnie. Ziewnął rozziewając. – Ano, nasz duży przyjaciel przyciągnął tu za nami. A po co, to już nam sam powie. – Match szturchnął leżącego. – Szybko i bez wykrętów. Jason, rusz się wreszcie, napnij kuszę. Jak tak leży, strasznie niewyraźnie mówi, trudno zrozumieć. A nie pozwolę mu wstać, dopóki w niego nie wycelujesz... Za duży jest... Jason ziewnął jeszcze raz.

– Daj, kurwa, spokój, Match – powiedział niechętnie. – Przecież wczoraj był po

naszej stronie. Po co zaraz kusza?

Match zezłościł się. Cały Jason i ta jego wieczna naiwność.

–Wczoraj, to on był po stronie karczmarza – uciął krótko. – Bo mu za to płaci. A dzisiaj, to mógł cię nożem pchnąć, jak spałeś. Nawet byś się nie obudził... Nie lubię takich, co podchodzą do śpiących bez słowa...

–Po co miał pchnąć? – Jason nie był przekonany. – Żeby nas obrabować? Nie sądzę...

–Jason, przestań pieprzyć i zrób wreszcie, o co proszę! Poskutkowało. Jason wygramolił się spod okrycia, skulony z zimna poszedł do stery juków. Klnąc pod nosem, począł kręcić korbą kuszy. Gdy skończył, załadował bełt.

–Zadowolony jesteś? – spytał niechętnie.

–Prawie – odparł Match odskakując w bok. – Do końca będę zadowolony wtedy, kiedy zamiast we mnie wycelujesz w niego.

Jason bez słowa wycelował w Basile'a. Match znów szturchnął leżącego.

–No, podnieś się, tylko powoli.

Basile siadł. Popatrywał niepewnie na Matcha, który stał nad nim z wydobytym mieczem.

–No i jak sądzisz, Jason, po co nasz przyjaciel pojechał za nami? – spytał Match z przekąsem.

–Najlepiej go o to zapytaj – Jason wciąż ziewał. – Pospiesz się, nie będę tak stał z tą kuszą...

–To usiądź – odparował Match, coraz bardziej zły. Nie lubił, gdy ktoś kwestionuje jego podejrzenia. Nie lubił, gdy ktoś jedzie za nim. Nie lubił obcych skradających się do obozowiska. Złość wyładował na Basile'u, który siedział wciąż z głupkowatym uśmiechem przyklepionym do warg, wodząc wzrokiem od niego do Jasona.

Match zamierzył się, jakby chciał pchnąć go mieczem.

–No, gadaj, byle szybko! – warknął. – Czego tu szukasz?

Basile zmarszczył brwi, jakby odpowiedź na to proste pytanie wymagała starannego namysłu. Zezował przy tym podejrzliwie na połyskliwe ostrze tuż przy gardle. Sztych dotknął szyi.

–Nie wymyślaj mi tu na poczekaniu – ostrze nacisnęło skórę. – Gadaj szybko, bo jak nie...

Basile bał się poruszyć. Jason, widząc z daleka kropelkę krwi spływającą spod ostrza nie

wytrzymał.

–Człowieku, uspokój się! – wrzasnął. – Zabierz ten miecz, przecież on nie może nic powiedzieć, żeby sobie samemu gardła nie podciąć!

Przez chwilę Match nawet nie drgnął. Wreszcie odsunął sztych od gardła, niedużo, najwyżej na cal. Basile z ulgą wypuścił powietrze. Przedtem obawiał się nawet oddychać.

–Panie, dlaczego tak? – spytał po chwili, z urazą w głosie. – Ja tylko spyzę wiozłem... Dla

was...

Matcha zatkało. Basile na widok jego miny dodał:

–Przecie wyjechaliście, posiłku nie kończąc. Połowa prawie została. Gospodarz zaraz potem kazał odgrzać i komu innemu podać... Znaczy, zaraz potem, jak tylko trupy posprzątałim, polepę świeżym piaskiem wysypalim, coby krwie nie było widać. Bo interes musi się kręcić! – zakończył dumnie, przypomniawszy sobie często powtarzaną przez pryncypała sentencję.

–Co ty mi tu takie rzeczy... – Match był zdezorientowany. – To czegoś się nie okrzyknął? Czegoś się skradał? Coś mi się tu...

Jason już otwierał usta, by powiedzieć, aby Match przestał się wreszcie wygłupiać, ale nie zdążył. Uprzedził go Basile.

–Budzić nie chciałem – wyjaśnił. – Wiedziałem, żeście strudzeni, tylu zarąbać, to nie w kij

dmuchał... Wiecie, ja tylko jednego, ale do dzisiaj ręka mnie boli, taki twardy miał czerep...

Pałkę aż odbiło, boli teraz, o tutaj...

Pokazał spuchnięty nadgarstek. Jason tylko przygryzł wargi, żeby nie parsknąć śmiechem. Nie chciał, by Match obraził się na resztę dnia. I tak zresztą sądził, że bez tego się nie obejdzie, sytuacja była zbyt głupia.

–Budzić nie chciałem, a poza tym... – Basile rozjaśnił się cały. – Poza tym, to chciałem zrobić wam niespodziankę... – dokończył nieśmiało, zerkając spod oka. W połączeniu ze zwalistą postacią i fizjonomią, którą trudno byłoby uznać za urodziwą, dało to przekomiczny efekt. Jason nie wytrzymał. Jeszcze powinien się zaczerwienić, jak panienka, pomyślał, śmiejąc się na całe gardło. Basile zaczerwienił się jak panienka. Spuścił oczy.

–Przepraszam, nie gniewajcie się, panie... – powiedział cicho.

–Basile, wymyśl coś bardziej sensownego – powiedział wolno Match, starając się nie zwracać uwagi na śmiech Jasona. – Bo w to, to ja nie uwierzę...

–Żebym tak zdrów był... – Olbrzym walnął się w pierś, aż echo zadudniło po lesie. – Żebym tak zdrów... Toć przecież możecie zobaczyć, kosze pełne...

Wskazał na jucznego luzaka.

–Jason, trzymaj go tu pod kuszą – zdecydował Match. – Ja sprawdzę... Odsunął miecz od szyi Basile, zręcznym ruchem schował go do pochwy. Już chciał ruszać, gdy zobaczył jak Jason zdecydowanym ruchem rozładowuje kuszę, kładzie ją na ziemi.

–Co ty robisz? – krzyknął Match. – Mówiłem ci...

Jason tylko popukał się w czoło, patrząc na Matcha wymownie. Sam ruszył w stronę jucznego luzaka. Gdy podszedł, koń zaparskał, poruszył się niespokojnie.

–No, stary, no... – Jason uspokajająco poklepał go po szyi, przytrzymał wodze. Koń stanął

spokojnie. Jason odwiązał konopny sznurek, podniósł wieko jednego z dwóch dużych,

wiklinowych koszy, przytroczonych po obu bokach. Spojrzał do środka i chwilę stał, jakby nie

wierząc w to, co widzi. Wreszcie odwrócił się i spojrzał przeciągle na Matcha.

–Ech, ty... – powiedział tylko. – Basile, chodź, pomożesz mi, sam przecież nie uradzę.

Olbrzym spojrzał pytająco na Matcha. Ten tylko skinął głową.

Jason cisnął w krzaki ogryzione gęsie udo. Beknął przeciągle.

–Uff, dobre było... – powiedział z żalem. – Nie uważasz, Match, że gęś powinna mieć

cztery nogi?

Match nie odpowiedział. Zdawał się całkiem pochłonięty swym zajęciem. Zajęcie to było nieskomplikowane, polegało na przecieraniu natłuszczoną szmatką klingi miecza.

–Zostaw to już, wystarczy, bo przetrzesz – zniecierpliwiał się Jason. – Zjedz coś wreszcie...

–O broń trzeba dbać – Match nie podniósł głowy, przyglądając się w skupieniu lśniącej klindze. – Wilgoć jest w powietrzu, taką twardą stal zaraz chwyta rdza, wżery się robią... A jak się porobią, to ostrzyć trudno...

Z pasją przeciągnął szmatką po błyszczącej już jak lustro powierzchni metalu. Jeszcze raz. Jason wraz z Basile'em przyglądali się zafascynowani. Posilali się już długo, a Match wciąż przecierał. I wyraźnie nie zamierzał skończyć.

Jason wzruszył ramionami. Stwierdził właśnie, że zostało mu w żołądku trochę miejsca. Sięgnął po kozi ser. Basile podał skórzany bukłak.

–Ser, jak nie popić winem, może zaszkodzić – wyjaśnił poważnie – zwłaszcza na pusty

żołądek.

Jason zgodził się w całej rozciągłości. Przypatrywał się z rozbawieniem, jak pochłoniętemu konserwacją broni Matchowi chodzi grdyka. Zastanawiał się, jak długo jeszcze wytrzyma.

Gdy przytargali wypełniony po brzegi kosz, Match wymówił się od jedzenia. Skrzywiony niechętnie, stwierdził, że nie zwykł jadać o tak wczesnych porach. Nalegania Basile'a zbył niewyraźnym burknięciem. Basile chciał dalej namawiać, umilkł dopiero, gdy Jason kopnął go w kostkę. Nic jednak nie rozumiał.

Match długo nie wytrzymał. Schował wreszcie miecz, starannie złożył natłuszczoną szmatkę. Wstał.

–Pójdę nazbierać drzewa do ogniska – oznajmił wszem i wobec, nie patrząc na nikogo.

Jason nie odpowiedział. Słońce stało już wysoko, grzejąc mocno, jak to w lipcu. Sam został

już tylko w skórzanym kubraku bez rękawów, czując, że za chwilę zdejmie i kubrak. Rzeczywiście, drewno na opał było bardzo potrzebne...

–Idę już – dodał Match, nie ruszając się z miejsca.

–Idź, idź – odparł wreszcie Jason. – A my tu jeszcze serka... Basile, podaj ten bukłaczek! Match stał chwilę niezdecydowany, wreszcie ruszył w stronę lasu. Basile patrzył za nim ze

zmarszczonym czołem, jednak nie spytał o nic. Potrząsnął tylko bukłaczkiem.

–W tym już prawie nic nie ma – stwierdził. – Zaraz przyniosę drugi...

–Zaczekaj – powstrzymał go Jason. – Na razie wystarczy, trzeba coś zostawić, jak wróci... Skinął głową w kierunku, w którym zniknął Match. Basile pokręcił głową.

–Są jeszcze... – zliczył mozolnie na palcach. – Jeszcze cztery! Po chwili jednak rozradowanie zniknęło z jego twarzy.

–A szlachetny pan? – zapytał. – Powiedzcie, dlaczego na mnie krzyw? Co ja zawinił?

Żaloszny wyraz twarzy był tak zabawny, że Jason się roześmiał. Basile nie obraził się. Przez

chwilę patrzył tylko, potem gromko zawtórował.

–Ty nic – wyjaśnił Jason, gdy już przestali się śmiać. – On na siebie jest zły, dlatego tak

długo go trzyma. Nie martw się, przejdzie mu niedługo, na tyle go znam... On po prostu nie lubi

się mylić. A jak się już pomyli, co osobliwie często się zdarza, to za cholerę się do tego nie

przyzna. Trzeba poczekać. Podejrzewam, że już niedługo, głodny jest, a ty takie specjały

przywiozłeś...

Rzeczywiście, objadł się już po dziurki w nosie, a zaledwie naruszyli zawartość jednego z koszy. Prócz przysmaków, przeznaczonych do szybkiego spożycia, takich jak pieczona gęś, pasztet z dziczyzny, zimna pieczeń barania, Jason zauważył, że na dnie leżą półcie wędzonki, gomółki sera. I to jakiej wędzonki! Nie takiej tłustej słoniny, to był dobrze poprzerastany boczek.

–W drugim koszu są dwie szynki – Basile rozpromienił się znów, widząc jak Jason zagląda

do kosza. – Chciałem więcej, ale tylko dwie zostały...

Jason zmarszczył brwi. Dotąd nie zastanawiał się nad pochodzeniem przysmaków, zbyt był zajęty ich pochłanianiem. Teraz jednak postanowił spytać.

–Basile, przyznaj się, podpieprzyłeś to wszystko gospodarzowi? – właściwie nie było to pytanie, było to stwierdzenie.

–Jakżeby to? – obruszył się olbrzym. – Jakże to, gospodarza okradać? Poczerwieniał znów, lzy stanęły mu w oczach. Jason uśmiechnął się na widok tej skrzywdzonej niewinności.

–Nie powiesz mi jednak, że karczmarz dał ci to wszystko w prezencie dla nas – powiedział z powątpiewaniem. – Nie wygląda na takiego...

Basile znów huknął się z rozmachem w pierś.

–Żeby tak... – zaczął zapewniać. – Żeby tak jutra nie doczekał, wszystko mi się należało! Nic nie podpieprzyłem, nic! No, może te szynki, ale nic więcej...

–Przestań, wierzę ci! – przerwał mu Jason. – Przestań się już walić, huk taki, że Match znów zaraz przybiegnie, pomyśli, że coś nas napadło, smok ani chybi... Przestań, i opowiedz wszystko od początku...

Basile zastygł z pięścią wzniesioną do kolejnego uderzenia. Zamiast walnąć się w pierś, podrapał się z namysłem po głowie.

–Od początku, mówicie... Ano, od początku, to było tak: jakem się urodził, to wszyscy mówili...

–Nie, nie – przerwał Jason pospiesznie. – Aż tak dokładnie to nie trzeba, wystarczy, jak opowiesz, co było wczoraj, jakeśmy już odjechali...

–Wczoraj, mówicie panie? – Basile z namysłem smarknął w palce. – Ano wczoraj... - zamyślił się zmarszczywszy czoło.

–Właśnie, wczoraj – poddał Jason w końcu po przedłużającej się ciszy. Olbrzym zmarszczył się jeszcze bardziej, próbując sięgnąć pamięcią w przeszłość.

–Ano wczoraj... – podjął wreszcie. – Wczoraj to było całkiem zwyczajnie. Jakem powiedział gospodarzowi, że odchodzę...

–Zaraz, Basile – przerwał Jason. – Jak to, odchodzisz?

–No, odchodzę, znaczy, służbę wymawiam. To gospodarz powiedział, że nic na koniec nie zapłaci, że to wcześniej trzeba, a nie tak. No to ja mu mówię, że przecie

nigdy nie płacił, a kiedyś mówił, że będzie... Po prawdzie, to i ja nigdy nie nalegałem, mnie było niepotrzebne, wikt u niego miałem. A i liczyć za bardzo nie potrafię, to i po co mnie, on mówił, że gotowiznę dla mnie przechowa... Ale teraz to ja powiedziałem, że potrzebuję, to on, dobry pan, zgodził się, żebym w towarze wziął. Szynek tylko bronął, mówił, że więcej nie ma... Wiecie, na co gotowizna, jak się w drogę wyrusza, to spyża ważna, żeby na głodnego nie jechać... A wiecie, konie to po tych, coście ich, panie wczoraj... Nie chciał gospodarz dać, mówił, że jego za szkody. A przecie nijakich szkód nie było, a dziurę w okiennicy to sam wybił. Tylko krew

przysypać piaskiem, nie pierwszozna to przecie. Ale w końcu dał, on dobry człowiek, choć czasami skąpy...

–To za twój zarobek?

–Tak, mówiłem, że ja nie złodziej! – rozpromienił się Basile. – To za mój zarobek, uczciwy...

Jason innym wzrokiem spojrział na zawartość koszy.

–A długo służyłeś u karczmarza? – spytał niepewnie. Basile zastanowił się. Sprawa widać

była trudna.

–Widzicie, panie... – poskrobał się z zastanowieniem po głowie, z trudem sięgając pamięcią do minionych czasów. – To było... To było... Już wiem! Zanim Benny, znaczy się, ten

smarkacz, co to go tak pobili...

–Wiem, wiem – wtrącił Jason. Basile miał zwyczaj rozpraszania się w szczegółach.

–Zanim Benny na nauki do gospodarza przyszedł!

–A długo Benny te nauki już pobiera? – spytał jeszcze Jason, bez szczególnej nadziei na precyzyjną odpowiedź. Mylił się.

–Od takiego! – odpowiedział Basile. Pokazał mniej więcej łokieć od ziemi. Biorąc pod uwagę obecny wzrost Benny'ego, musiało to być bardzo dawno.

–Jedzcie, panie, to wszystko zarobione – zapraszał. – Uczciwie! Zarobione może i uczciwie, ale ten twój pryncypał to lepszy skurwysyn, pomyślał Jason, odrywając kawałek najdroższej kiełbasy, jaką kiedykolwiek jadł.

–Basile, nie dziwię się właściwie, że odszedłeś – zaczął po chwili. – Ale dlaczego

właśnie wczoraj? I dlaczego nas akurat tą strawą częstujesz?

–Nie smakuje wam, panie? – zmartwił się olbrzym. Sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał się rozpląkać. Jason co prędzej odgryzł potężny kęs kielbasy.

–Smakuje, smakuje – zapewnił niewyraźnie. – Dawnom takiej nie kosztował! Święta prawda, pomyślał. Przełknął kielbasę, dziwiąc się, że nie staje mu w gardle.

–Ale powiedz jednak, dlaczego właśnie dla nas?. Basile tym razem nie zastanawiał się.

–Bo wyście, panie, za chłopakiem się ujęli.

–Zwyczajna to rzecz – odparł niepewnie Jason, sam wstydząc się tej odpowiedzi. Przypomniawszy sobie, jak długo zwlekał z pomocą.

–A nie! – zaprzeczył gwałtownie olbrzym. – Wcale nie! Po prawdzie to wy byliście pierwsi. Benny dobry chłopak, ale zawsze go bili, on jak ten szczeniak, zawsze warczy, zęby pokazuje. To i nieraz go skatowali, gospodarz śmiał się tylko, mówił, że mu to dobrze robi. Wiecie, panie, ja wiem, że on mądry, ale mnie zawsze się widziało, że bicie nikomu na dobre nie wychodzi... Ale co tam, gospodarz zawsze mówił, że głupi jestem... To może jego racja była...

–Nie, Basile – zaprzeczył Jason poważnie. – Nie jesteś głupi...

–A, co wy tam gadacie, panie – zawstydził się Basile. – Ja sam wiem, że rozum u mnie mały, od zawsze mi to mówią... Co mi tam! Raz tylko spróbowałem chłystka bronić. To gospodarz po gębie mnie wytrzaskał...

–Jak to, wytrzaskał? – zdziwił się Jason. – Ty, taki chłop jak dąb, dałeś się wytrzaskać? Przecież jakbyś chciał...

–Przecie on pan – oczy Basile rozszerzyły się – On pan, a ja sługa! Jego prawo!

Jason nie zaprzeczał. Istotnie, jego prawo. Tylko nieładnie jakoś, pomyślał.

–Ja chciałem się odwdzińczyć, za chłopaka – dokończył Basile swą nieskładną opowieść. –

On był zawsze dla mnie dobry, mimo że pana gospodarza krewniak... Nic nosa nie zadzierał.

Umilkł, lecz kręcił się niespokojnie, zerkając na Jasona.

–Dziękuję ci zatem – powiedział ten po chwili – ale chcesz mi coś jeszcze powiedzieć, jak

mi się zdaje...

Basile milczał, nie mogąc widać zebrać się na odwagę. Jason domyślał się już, o co może mu chodzić. Cholera, Match się wścieknie, pomyślał tylko. Basile z zakłopotaniem obracał w dłoni ułamany kozik, który dobył z cholewy.

–Bo ja chcę do was – wypalił wreszcie, zebrawszy się na odwagę. – Znaczy, na służbę...

Jason nie wiedział, co odpowiedzieć, widząc błagalne, pełne nadziei spojrzenie Basile'a.

Odwrócił wzrok.

Olbrzym, źle widać rozumiejąc jego wahanie, chwycił go za rękaw.

–Panie, ja się przydam – powiedział prosząco. – Silny jestem, przydam się! Nie odpędzajcie, proszę...

Nie usłyszawszy odpowiedzi, przybliżył się do Jasona, usiłując zajrzeć mu w twarz.

–Nie odpędzajcie – powtórzył. – Przydam się, konie umiem oporządzić... Zawsze chciałem

u takich, jak wy...

–Takich, jak my... – powiedział wolno Jason. – Basile, powiedz, jak sądzisz, kim jesteśmy?

Basile puścił jego rękaw. Na twarzy odbiło się zdumienie.

–Jakże to? – wyjąkał. – Przecie widać, że wy wędrowni żołnierze. Najmici. Tacy, co służą temu, kto najlepiej zapłaci... Widać chobrze z was panowie, musi dużo za swą służbę bierzecie. To i sługa wam się przyda... Powiedzcie, mogę zostać? Ja dużo nie potrzebuję, ino wikt i garniec piwa, bo bez tego krzywda mi... Ale ino garniec, więcej nie trza – zastrzegł poważnie. Znów uniósł rękę, by huknąć się w pierś. Jason powstrzymał go w ostatniej chwili.

–Nie chcę ja zapłaty, na co mi! – dodał Basile. – No, może jak co złupimy, to wtedy... Powiedzcie, panie, weźmiecie mnie?

–Basile, my... – zaczął Jason i urwał. Jak tu takiej bezmyślnej górze mięsa wyjaśnić cel ich podróży? W dodatku bezmyślnej, ale pełnej zapału. Spróbował jednak.

–Posłuchaj, my nie jesteśmy najemnikami. Przy okazji, nie nazywaj najemników

najmitami, mogą się obrazić. Nieważne zresztą. W każdym razie, nie masz co liczyć na łupy, a

nawet nie zawsze na wikt. Basile, wybacz, przyjacielu, ale naprawdę nie potrafię ci tego wytłumaczyć, nie zrozumiesz...

Po olbrzymie nie było znać urazy.

–Spróbujcie, panie – powiedział tylko. – Bo ja i tak chcę u was służyć...

Jason mimo wszystko spróbował. Starał się mówić jak najprościej, tak dobierać słowa, by były jak najbardziej zrozumiałe. Wątpił co prawda w ich efekt, widząc niskie czoło Basile'a zmarszczone w wysiłku, ale nie przerywał, dopóki nie skończył.

Gdy zapadła cisza, Basile przez dłuższy czas nic nie powiedział. Drapał się tylko w głowę, przegarniał ciemne kosmyki spadające na niskie czoło. Jason, widząc to, pomyślał, że cała przemowa była na nic. Olbrzym wyglądał, jakby w istocie nic nie rozumiał. Cholera, trzeba będzie powiedzieć wprost, pomyślał z przykrością. Przegonić, na dobrą sprawę. A on tak się starał... Będzie miał żal, nie zrozumie dlaczego. A przecież chyba nie ma dokąd wrócić.

–Basile, gospodarz przyjmie cię z powrotem? – spytał w końcu. Olbrzym drgnął.

–A po co? – spytał nieufnie.

–No, widzisz chyba, że nie możesz z nami zostać. Nie masz po co, nie zarobisz nic u nas. Nie ma tu dla ciebie żadnej przyszłości...

–Nie, panie – odparł Basile. Nie zostało śladu z niepewności, ton nie był już błagalny. – Ja z wami zostaję. Zobaczycie, przydam się...

–Chyba nie rozumiałeś...

–Zrozumiałem, panie, tyle, ile trzeba. Idziecie walczyć ze złem, takim, przed którym nie można uciec, nie można się schować. To i ja się przydam. Nie jestem mądry, ale zawsze mogę pomóc, konie oporządzić, broń wyczyścić. Silny jestem. A jak się trafi, to może i ja jakie zło zduszę, takie mniejsze, z którym sobie poradzę. Albo pałą w łeb zdzielę. Bo to większe, to już wy musicie...

–Zastanów się jeszcze – przerwał Jason.

–Nie, panie, nie ma się co zastanawiać – Basile spokojnie zaprzeczył ruchem głowy. – Jak co jest złe, to mu trzeba przy... Wybaczcie, panie, ale tu naprawdę nie ma się

co zastanawiać... Trzeba zadusić, będzie w porządku...

–A jak ciebie zadusi? Basile zdziwił się.

–To też będzie w porządku! – oznajmił, niespieszony. – Jego prawo!

Jason, mimo oszołomienia, był zachwycony. Poraziła go prostota rozumowania Basile'a. Ma rację, też będzie w porządku, pomyślał. Trzeba powiedzieć Matchowi, że taki, za przeproszeniem, tłuć... Ech, te wszystkie rozmowy o przeznaczeniu, zapłacie... A to wszystko jest takie proste!

Popatrzył z uznaniem na niezdarnego olbrzymia.

Match wrócił na polanę, nie niosąc nawet najmniejszego patyczka. Usiadł bez słowa.

–Gdzie to drzewo? – nie mógł sobie darować Jason. – Przemarziśmy tu srodze, trzeba

ognisko rozdmuchać...

Usłyszał tylko prychnięcie. Match sięgnął zdecydowanie, urwał kawałek kielbasy.

–No co? – powiedział niewyraźnie, żując potężny kawał. – Wyglupiłem się, zgoda. Wiem, znając ciebie będziesz mi to wypominał jeszcze długo... Co, czekasz jeszcze na przeprosiny?

–Zgadzam się, wyglubiłeś się – odparł Jason. – Przez grzeczność nie przeczę. I nie czekam na przeprosiny. Ja nie...

Match zrozumiał i nie zwlekał.

–Wybacz, Basile – powiedział. – Źle cię oceniłem, musisz jednak pojąć...

–On miał ciężkie dzieciństwo... – wpadł mu w słowo Jason, zwracając się do Basile'a. – Nikt mu nie dał nigdy takiej kielbasy...

Wiedział, że może sobie pozwolić na kpiny. Match, gdy już mu przeszło, nie zwracał zazwyczaj na nie uwagi, puszczając największe impertyncje mimo uszu.

–Żebyś wiedział – odparł tylko. – Takiej w każdym razie nikt.

–Co wy, panie – Basile zawstydził się znów. – Prawi byliście, to ja, jak ten głupi...

–Daj spokój, Basile, nie tłumacz się – przerwał Jason. – Nawet gdybyś mnie nożem pchnął, to on za tę kielbasę by ci wybaczył. Zobacz, jak wcina, a mówił, że nie jest głodny...

–Zgłodniałem, szukając drewek – odparował Match. – No, odczep się już ode mnie, i tak zjadłeś co lepsze...

Teraz z kolei Jason się obruszył. Sięgnął do kosza, z oburzeniem demonstrując wyjmowane po kolei, nieco tylko naruszone produkty.

–Co ty, sam zobacz, zostawiłem wszystkiego po trochu! Nic sam do końca nie zjadłem...

–A ta gęś to kaleka była, bez obu nóg? – Match skrzywił się.

–No, z tą gęsią, to sam wiesz – Jason zawstydził się trochę. – Ale wszystko inne zostało! Zawsze odwrócisz kota ogonem! – rozdarł się w końcu, widząc jak Match uśmiecha się pod nosem.

–Wiesz co, powiem ci lepiej, po co nasz przyjaciel pojechał za nami – Jason postanowił zmienić temat. – Zdziwisz się!

Opowiedział całą rozmowę. Basile tylko szczyrzył zęby w uśmiechu. Match, gdy usłyszał wszystko, nie zdziwił się. Rozzłościł się tylko.

–Pozwól na słówko – rzucił krótko, wstając. Poszedł w kierunku koni. Jason zdziwiony

ruszył za nim.

Match nie bawił się w żadne wstępy.

–Coś ty mu odpowiedział? – spytał ostro... Jason zmieszał się...

–Nic – odparł po chwili. – Na razie nic... O co ci chodzi?

–O nic, skoro nic odpowiedziałeś... – odetchnął Match z ulgą. – Niech sobie to wybije z

głowy. Powiedz mu to...

–Sam mu powiedz, jak chcesz – Jason zdenerwował się. – Kurwa, on chce pomóc...

–Jason, to nie jest wyprawa krzyżowa, nie potrzebuję ochotników, nie potrzebuję go. To ja sam muszę, przecież wiesz. To moja sprawa...

–Jasne, mnie też nie potrzebujesz! To tylko twoja sprawa...

–To co innego – usiłował wtrącić Match. Bezskutecznie.

–Wiesz co, wypchaj się! – usłyszał. – Sam mu powiedz, jak chcesz, na mnie nie licz... Mnie on, kurwa, nie przeszkadza, a myślę, że może się przydać. Tak, jak dotąd... Powinieneś mu, kurwa, podziękować, a nie przepędzać!

–A to za co? – spytał Match, też już podniesionym głosem.

–A choćby za to, że ci wczoraj rzucił miecz! Choćby za to, że pomyślał, że możemy być głodni, nie przyszedł z pustymi rękoma! Choćby za tę kielbasę, którą żarłeś z takim smakiem! Wiesz co? Ta kielbasa to zapłata za kilka lat jego służby... To wszystko co ma!

Jason nie pozwolił sobie przerwać, mimo iż Match próbował coś powiedzieć.

–Tobie, kurwa, to nikt nigdy nie był potrzebny! – ciągnął dalej, coraz głośniejsze. – Zawsze

musisz wszystko sam, całe życie! Tylko ty sobie ze wszystkim poradzisz, a jak sobie nie

poradzisz, to znaczy, że nikt nie może. Stąd twoje wszystkie problemy, pomyśl sobie o tym

kiedyś! Po co ja zresztą gadam, to na darmo, ty i tak wiesz lepiej! Nie wierzyłem do końca, jak

opowiadałeś to wszystko, że nie jesteś człowiekiem, że jesteś tworem jakichś niedoprowadzonych do końca przemian, że jesteś przeznaczony do czegoś od urodzenia, a

nawet i wcześniej... Nie wierzyłem, ale teraz zaczynam wierzyć. Bo człowiek, kurwa, nie może

być taki zarozumiały...

Jason odwrócił się i pomaszerował do wygasłego ogniska.

–Jak chcesz, to go przepędź – rzucił jeszcze na odchodnym. – Mnie też możesz.

Jechali szerokim traktem pośród poprzecinanych niskimi, kamiennymi murkami pastwisk. Dzień był gorący, Jason z utęsknieniem myślał, kiedy wreszcie dojadą do miasta.

Match wysforował się do przodu. Przez cały czas, od kłótni na polanie odzywał się jedynie półsłówkami. Nie protestował wprawdzie, gdy Jason powiedział, iż Basile może jechać z nimi. Z kamienną twarzą przyjął wylewne podziękowania olbrzyma,

puścił mimo uszu zapewnienia i obietnicy wiernej służby. Na Jasona nawet nie spojrzął. W ponurym milczeniu osiodłano konie, spakowano porozrzucany dobytek.

Wyjeżdżając z lasu, napoili konie w napotkanej strudze. Jason z rozkoszą wykąpałby się, nawet w tak płytkiej wodzie, spojrzawszy jednak na Matcha, nie śmiał zaproponować. Match burknął tylko, że powinni znaleźć się w mieście przed zmrokiem, dorzucił coś o guzdraniu, Jason próbował zagadać coś pojednawczo, lecz nie odniosło to skutku. Ruszyli więc dalej.

Basile jadący na śmiesznie małym w porównaniu z nim koniku nie odzywał się z początku, nie śmiać przerwać ponurego milczenia. Skoro jednak Match ruszył przodem, począł jeszcze raz opowiadać, jakie to rozliczne pożytki będą z niego mieli.

–Dobra, Basile – przerwał mu w końcu Jason. – Owszem, silny jesteś, łeb pałą rozbić potrafisz, to sam widziałem. Ale wiesz, to jeszcze nie wszystko, taką pałą ze wszystkimi nie poradzisz... Nie, żebym cię chciał zniechęcać, ale zawsze...

–Basile nie da się łatwo zniechęcić.

–Co prawda, to prawda – odparł pogodnie. – Ale co ma być, to będzie. Prawda, ja do korda ręki nie mam, to nie na mój rozum... Ale jak trza, to też potrafię przypieprzyć, nie bójcie się...

–Posłuchaj, to nie to co pijanego z karczmy wyrzucić – ostudził go Jason. – To nie takie łatwe.

–A wyrzucanie z karczmy to łatwe? – oburzył się olbrzym. – Wiecie, panie, ile ja się musiałem uczyć? To naprawdę nie takie proste, jak się wydaje. Rzuca się taki, czasami próbuje nożem dźgać... A jemu nic nie można zrobić, nie można uderzyć, tylko wyrzucić na pysk! Bo to gość, z niego żywa gotowizna jest! Bywają zaś tacy, co i kilka razy potrafią wracać... Najlepiej... Przerwał na chwilę, oczy zamglily się z rozmarzenia.

–Najlepiej, jak taki pasa nie zdejmie. Wtedy, to jedną ręką za kołnierz, drugą za pas. Zauważyliście, panie, że drzwi się na zewnątrz otwierają?

Jason przytaknął. Istotnie, tak było w większości karczm, jakie w życiu odwiedził.

–To właśnie dla takich – wyjaśnił Basile. – Żeby bez kłopotów drzwi łbem otworzyć. Jeden poradzi. Ale cóż, najczęściej pasy odpinają, jak sobie popiją. Wtedy trudniej, portki mogą się podrzeć... Czasem bez pałki się nie obeszło. Tylko, że wtedy gospodarz niezadowolony bywał, gniewał się srodze. W ucho potrafił zdzielić... Mówił, że psuję mu tę, no...

–Reputację – podpowiedział Jason.

–Macie rację, reputację – ucieszył się Basile. – Nie wiem, co to znaczy, ale tak właśnie gospodarz mówili. Widzę, panie, wyście uczone, nie przymierzając, jak sam gospodarz...

–To jednak nie to samo... – Jason nie zwrócił uwagi na szczery podziw. – Mówię o tych gościach. Sam mówisz, że ci z kordem nie idzie. Wiesz, jak kto na ciebie z mieczem idzie, to sama siła nie wystarczy, trzeba czegoś więcej... Inaczej z daleka cię nadzieje, jak prosię na rożen...

Jason skrzywił się mimo woli, przypomniawszy sobie przepis karczmarza na pieczone prosię. Po pierwsze, trzeba je złapać... Jadący obok niego olbrzym, wyglądający, mimo iż koń był pokaźny, jakby siedział na mizernym osiołku, nie stropił się na jego słowa. Pociągnął tylko biegnącego za nim, jucznego luzaka. Mimo iż uczynił to z pozoru lekko, koń wyrwał do przodu wyciągając szyję. Gdy zrównał się z nim, Basile, bez zatrzymania pochylił się w jego stronę i począł odwiązywać podłużny, owinięty w brudne skóry pakunek, przytroczony do juków. Rzemienie były mocno zaciśnięte, szło mu niesporo.

–A kto mówi, że nie trzeba? – spytał niewyraźnie przez trzymane w zębach wodze. – Zaraz

zobaczycie...

Mamrotał coś jeszcze, klnąc zapewne odporne rzemienie. Koń zaczął zwalniać, wstrzymywany przez naprężone wodze. Jason już chciał powiedzieć, że może lepiej zatrzymać się, kiedy zniecierpliwiony Basile wypluł wodze, chwycił za pakunek i szarpnął. Luzak zatoczył się, grube rzemienie pękły z trzaskiem.

–Słaba teraz skóra – mruknął olbrzym, wzruszając ramionami. – Kiedyś to lepsze rzemyki robili... Teraz to tylko pociągnąć, i już...

–Lepiej stańmy na chwilę. Chyba ci za dobrze poszło, zobacz, juki też zaraz spadną, musiałeś coś jeszcze pozrywać.

Juki wyraźnie zjeżdżały na jedną stronę. Jason zaniepokoił się, jeszcze chwila, i będą zbierać jedzenie z gościńca.

–A, mać jego... – Basile spostrzegł niebezpieczeństwo. – Prr! Stój, psiamać! Nie mogąc złapać puszczonego luzem wodzy, w końcu zdzielił konia między uszy. Ten stanął natychmiast jak wryty. Luzak też się zatrzymał. Basile zeskoczył, podbiegł do luzaka.

–Widzicie, miałem rację! Marne rzemienie robią, marne...

Pokazał urwany pasek. Skóra pękła przy samej klamrze, tam, gdzie osłabiona była

przez dziurkę.

Olbrzym przyglądał się zafrasowany.

–I co my teraz zrobimy?

Jason pogrzebał w sakwie przy siodle. Pamiętał, że powinien tam być zwój mocnego konopnego sznura. Woził go ze sobą na wszelki wypadek. Podjechał do nich Match, zaniepokojony, że zostali w tyle.

–Co, nawet juków stroczyć porządnie nie potraficie? – spytał tylko. Widać jeszcze mu nie przeszło, pomyślał Jason. Postanowił nie wdawać się w dyskusję, wyciągnął z sakwy zwój sznura, podał Basile. Ten spoglądał nic nie rozumiejąc.

–No, przywiąż sznurem, może wytrzyma.

Basile zaskoczył. Rozpromienił się zaraz i wziął do roboty. Rozwinął sznur, przewlekł przez pętle juków i ucha koszy, przerzucił przez koński grzbiet. Schylił się i cudem unikając kopnięcia tylną nogą przeciągnął koniec sznura pod końskim brzuchem. Zrobił zgrabną pętlę i pociągnął. Koń tylko stęknął.

–Hej, nie tak mocno, bo go udusisz! – krzyknął Jason zaniepokojony.

–Jason, pomóż mu, psiakrew! – zniecierpliwił się Match. – Przecież widzisz, że nie ma o tym pojęcia!

–A ty nie możesz? – nie wytrzymał Jason.

–To twój kłopot – padła zimna odpowiedź. – Ja nie najmowałem się do tresury niedźwiedzi, nigdy mnie to nie bawiło.

Ściśnięty w połowie sznurem koń zaczynał się denerwować, szarpał się i parskał. Basile chwycił jedną ręką za wodze, drugą starał się rozluźnić linkę. Sytuacja wymagała szybkiego działania, więc Jason zrezygnował z dyskusji. Zgramolił się z siodła, przytrzymał luzaka za uzdę. Koń szarpał łbem.

–Dobrze było, Basile, tylko spróbuj poluźnić. Szybko, bo go nie utrzymam... Olbrzym starał się jak mógł, ale pętla zacisnęła się. Rzucając niespokojne spojrzenia starał się rozsypać węzeł. W końcu Match również zeskoczył z konia.

–Odsuń się! – warknął. Basile próbował coś tłumaczyć. – Odsuń się, mówię! Jason, trzymaj go!

Koń zaczął tańczyć po gościńcu. Match próbował sięgnąć do węzła, bez rezultatu. W końcu sięgnął do cholewy, chlasnął nożem sznur na grzbiecie, tuż przy

wiklinowym koszu. Całe dobro przytroczone do końskiego grzbietu pospadało się w piasek gościńca. Włącznie z koszem, który na szczęście padł tak, że się nie wywrócił. Koń sapnął z ulgą i uspokoił się.

Jason poklepał go jeszcze po szyi, po czym rozejrzał się. Basile wyglądał, jakby miał się za chwilę rozplakać. Pociągał nosem. Match był wściekły, patrzył na opleciony wikliną gliniany gąsiorek z utraconą szyjką. Czerwone wino wsiąkało w szary, suchy piasek. Prawda, nawet go nie spróbował, pomyślał Jason. No cóż, nie trzeba było się obrażać...

–Co cię tak śmieszy? – spytał Match zgryźliwie, widząc uśmiezek na jego twarzy.

–Nic specjalnie... – Jason walczył z ogarniającą go wesołością. W końcu, widząc trzęsącą się brodę Basile'a nie wytrzymał. Match przez chwilę przyglądał mu się z niedowierzaniem i oburzeniem. Wreszcie, gdy zobaczył minę nic nie rozumiejącego olbrzyma, sam parsknął śmiechem.

Basile po chwili przyłączył się do nich.

–No, dobrze... – stęknął Match, ocierając łzy z oczu. – Teraz wy zajmiecie się zrobieniem porządku. A ja... A ja posiedzę sobie, i popatrzę... Nie można was zostawić bez nadzoru...

–Hej, Match – zaprotestował Jason. – Tak naprawdę, to ty to wszystko zwałeś... Dobrze już, dobrze, żartowałem tylko... Chodź, Basile, bierzemy się do roboty...

Poszło, o dziwo, sprawnie, mimo iż Match nie omieszkał wtrącać uwag i dobrych rad. Gdy uporali się ze wszystkim, usiedli obok na poboczu gościńca. Jason podał Matchowi skórzany bukłak, który wcześniej wyciągnął z kosza.

–Nigdy nie wkładaj wszystkich jajek do jednego koszyka – powiedział sentencjonalnie,

gdy Match zajął się winem. – Co prawda, nie powinienem, przecież obraziłeś się na to wino...

Match odjął bukłak od ust, otarł wargi.

–Powiedz, co was skłoniło do tego, hmm, przepakowywania na środku gościńca? – postanowił puścić uwagi mimo uszu. – I to jeszcze bez przerywania jazdy.

–Co nas... A, rzeczywiście – przypomniał sobie Jason. – Basile chciał coś pokazać. Mówiłem mu właśnie, że sama siła w walce nie wystarczy, że trzeba jeszcze czegoś...

–Myślałeś może o rozumie?

–A co, przydałby ci się? – odciął się Jason w imieniu Basile’a. – Nie czepiaj się, to dobry

chłopak... Tak zaś poważnie, to myślałem o jakiejś broni dla niego, nie może tak z gołymi

rękami... Mówił, że z kordem mu nie wychodzi, trzeba by jaki, bo ja wiem, morgenstern...

Match pokręcił przecząco głową. Jason zniecierpliwiał się.

–O co ci chodzi? Nie ufasz mu?

–Jason, ja się jeszcze nie przyzwyczailem, żeby ufać tobie. Nie w tym jednak rzecz, popatrz lepiej...

Wskazał na obiekt ich sprzeczki. Basile właśnie trzymał w ręce przedmiot, który odwinął z zabrudzonych skór. Właśnie ten przedmiot, który chciał pokazać, stał się powodem całego zamieszania.

Jason rozdziawił usta. Basile uśmiechnął się, machnął niedbale, bez wysiłku ręką.

–Mówiliście, panie, że trza czegoś więcej! Olbrzym potrząsał wielką maczugą.

–I co, wystarczy? – zapytał. – Ja do tego zwyczajny, mam wprawę! Match wstał, by przyjrzeć się bliżej. Jeszcze nigdy nie widział takiej broni.

Maczuga grubości uda dorosłego mężczyzny zrobiona była z dębowej, powęźlonej gałęzi, okuta na głowicy zardzewiałym żelastwem. Nasączona olejem, w wyslizganej od długoletniego użytku rękojeści miała wypalony otwór, przez który przewleczono rzemyk. Poniżej okucia głowica nabijana była ostrymi kawałkami krzemienia.

Była bardzo stara. Widać przechodziła z pokolenia na pokolenie.

–Pokaż – zażądał Match. Basile zsunął z przegubu rzemyk, ujął maczugę w pół i podał. Match ujął wyslizganą rękojeść, próbował dźwignąć jedną ręką. Mięśnie naprężyły się, chwilę utrzymał broń w poziomie. Tylko chwilę. Głowica stuknęła o ziemię.

–Pokaż to jeszcze raz...

–Co? – Basile nie zrozumiał.

–To, co zrobiłeś przed chwilą. No, weź i machnij... Olbrzym wzruszył ramionami. Wyjął z ręki Matcha rękojeść maczugi i uniósł, nie zwracając sobie nawet głowy zakładaniem rzemyka na nadgarstek Powietrze tylko zaświstało na krawędziach

ułamków krzemienia.

–Nie mam więcej pytań... – Match usiadł z powrotem.

–Zaraz, ale ja mam... – Jason z niedowierzaniem przyglądał się, jak maczuga przecina powietrze. – Basile, odłóż to, bo jak ci wypadnie z ręki... No, odłóż to na chwilę, siadaj...

–Nie wypadnie – zapewnił poważnie Basile. Nawet niezadyszany, zaczął pieczołowicie zawijać broń w skóry.

–Basile, skąd ty to masz? Kto tego wcześniej używał, olbrzym z gór?

–Nie, wcześniej tatko używali, zanim go powiesili. A jeszcze wcześniej dziadunio, też, zanim go powiesili...

Jason nie musiał już pytać, jakim to rzemiosłem trudnili się szanowni przodkowie.

–U nas w rodzinie to normalne – dokończył Basile bez specjalnych emocji. – Mnie też

pewnie kiedyś...

–Tfu! – splunął Jason. Ograł kiedyś pewnego szlachcica, który później doniósł na niego do miejscowego szeryfa. Szeryfów uznawał tylko jeden wymiar kary, o czym Jason przekonał się, siedząc w lochu, z którego codziennie zabierano jednego ze współwięźniów. Nigdy żaden nie wracał. Szeryf na szczęście uznawał też łapówki, lecz od tej pory Jason niechętnie słuchał o szubienicach. Wystarczyły mu opowieści czekających wraz z nim na swą kolej skazańców oraz rozmownego strażnika.

–A może i nie? – Basile zadumał się. – Przecie teraz już nie będę musiał na gościńcu łupić, teraz to ja za sługę u was jestem... To lepiej, bo tamto...

Przerwał, jakby zawstydzony. Wbił wzrok w ziemię.

–No, opowiadaj – ponaglił go zimno Match. Spojrzał znacząco na Jasona, jakby chciał powiedzieć, że jednak jego na wierzchu. Jason odwrócił wzrok. Psiakrew, chyba miał rację, pomyślał. Pomyliłem się, tak porządnie wyglądał, a to zwykły zbój z gościńca... Ze zbójeckiej rodziny, dziedzicznie obciążony. Co z tego, że potem u karczmarza służył. Natura w końcu ciągnie wilka do lasu...

–Co tu mówić? – Basile uciekał ze wzrokiem.

–Najlepiej wszystko, od początku – Match rozsiadł się wygodnie. – Mamy czas, posłuchamy... No, zaczynaj, nie wstydz się...

Basile spoglądał niepewnie. Wreszcie jednak, widząc ich spoważniałe twarze, zaczął mówić.

–Bo wiecie, panowie, u nas w rodzinie, to my tak zawsze... Z dziada pradziada, jak to

mówią. Ja to pradziada nie pamiętam, nawet dziadunia, ale tatko zawsze mówili... No, mówili,

że to dla chłopa najlepszy fach. I rzeczywiście, w chałupie nigdy nic nie brakowało. Znaczący,

tego, w jaskini, nie w chałupie, bo po prawdzie to my w jaskini mieszkaliśmy, w górach... Tatko

zawsze opowiadał, że zbój honor swój powinien mieć, profesję szanować. Bo trzeba wam

wiedzieć, że u nas w rodzinie tradycja taka, z ojca na syna...

Basile spojrzał dumnie.

–Tatko opowiadali, że kiedyś dziadunio, to nawet nie wszystkich bijął – kontynuował

Basile po chwili. – Jeno tych, co opór stawiali, a i to nie wszystkich. Dziadunio, wiecie, swoje

miejsce miał przy moście, takim starym, co to go, powiadali, jeszcze trolle kiedyś zbudowały, i

myto za przejazd brały. A jak trolli nie stało, to dziadunio pomyślał, że takie dobre miejsce nie

może się zmarnować. Wprawdzie mostu nie naprawiał jak trolle, ale nic to. Solidnie był

zbudowany, bez napraw wytrzymał, jeszcze długo posłuży. Dziadunio dobry był, zawsze jak

kogo zdybał, to parę miedziaków zostawiał, żeby na piwo mieli. A czasami nawet nie rabował.

Miał taki zwyczaj, najpierw zadawał trzy pytania, potem dopiero bijął. Jak kto dobrze choć na

jedno odpowiedział, to puszczał zaś wolno... Tylko kiedyś, jak tatko mówili... Kiedyś

upił się z

takim, co to dobrze odpowiedział. No i obudził się w lochu, związany w kij, a potem to już

szybko poszło...

Olbrzym urwał, zadumawszy się nad ludzką niewdzięcznością i niesprawiedliwością.

–Tatko dorosły już był, zajął miejsce dziadunia. Też starał się zachować tradycję, też zadawał trzy pytania. Ale bijał już wszystkich, bo wprowadzie pytania mu dziadunio powtórzył, ale nie zdążył powtórzyć odpowiedzi. A może i powtórzył, tylko tatko nie zapamiętał. Możliwe... Dobry był tatko, ale do nauki ciężki. Nieraz dziadunio ponoć się złościł... Ale na dobre to wyszło, bo tatko nie miał się z kim upić. Długo pracował na moście. Dopiero aż z kuszy go postrzelili, rannego schwyтали, a później...

–Dobra, dobra – przerwał Jason z niesmakiem. – Domyślamy się, co później...

–Ano, nietrudno się domyślić – przytaknął Basile. – Potem to na mojego starszego brata popadło, że to on będzie teraz musiał iść do pracy. Tatko go od małego przyuczał. Dobrze, mówił, że choć pierworodny się udał, bo ten zasrany kurdupel... Miał rację, zawsze byłem cherlawy, nie to co braciszek. Tatko bał się, że sobie nie poradzę. Zawsze przepowiadał, że marnie skończę, bez żadnego fachu w rękach. Ale zaraz po tym, jak tatko zadyndał, braciszek poszedł na niedźwiedzia... Bo wiecie, my barcie w lesie mieliśmy i niedźwiedź okrutnie je psował. To braciszek rohatynę wziął i mówi, poczekaj, ty skurwysynu...

Łza błysnęła w oku Basile'a. Zamilkł i otarł ją ukradkiem.

Tak to się zwykle kończy, pomyślał Jason. Jak się chodzi z patykiem na grubego zwierza, to się nie ma co dziwić. Zawsze mówiłem, że tylko z kuszy, z daleka, najlepiej z drzewa. Wróc, niedźwiedź przecież potrafi wleźć na drzewo... Najlepiej zostawić takiego w spokoju, niech sobie żyje...

–I co, niedźwiedź go rozdarł? – spytał Match prosto z mostu. Jason spojrzał na niego

karcąco. Więcej delikatności...

Basile zaprzeczył zdziwiony.

–Nie, nie rozdarł. Mały był, braciszek nawet nie musiał go nadziać, ino z piachy zdzielił.

Gorzej było. Bo jak braciszek wracał z lasu, to u smolarzy zanocował. I już z ich

chaty nie

wyszedł... Dopiero w dwie niedziele później, jakeśmy się dowiedzieli, tośmy z mamuską po

niego ruszyli, żeby do dom przywieźć... Mówię wam, jak mamuska zobaczyła, jak tak leży, to

mało jej serce nie pękło...

Basile pociągnął nosem. Match odwrócił wzrok. Zbóje nie zbóje, pomyślał, przykra sprawa. Musiało to być paskudne przeżycie, widzieć rozpacz matki po stracie syna. I to zaraz po tym, jak tatusia obwiesili...

Otarłszy łzy, Basile uspokoił się trochę. Pociągnął jeszcze raz nosem i podjął:

–Wierzcie mi, mało jej serce nie pękło. Mnie też paskudnie się zrobiło, jak to zobaczyłem.

Mamuska włosy z głowy rwać poczęła, krzyczeć okrutnie... Won, ty dziwko, krzyczała, won,

od mojego syna. A ty, ty się przestań gzić w biały dzień, tylko do domu wracaj, do roboty, bo

nie ma co do garnka włożyć...

Jason parsknął śmiechem. Rzeczywiście, gorzej...

–Nie śmiecie się – obruszył się Basile. – To jeszcze nie wszystko. Bo braciszek też zaczął

plugawie przeklinać i powiedział, że on teraz porządny człowiek. Że się ożeni i będzie żył

uczciwie. Tfu, własnej matce tak powiedzieć! Jeszcze powiedział, że się nas wstydzi, bośmy zbóje, i żebyśmy więcej tu nie przychodzili. Bo co o nim ludzie powiedzą... To co było robić? Poszliśmy, tylko mamuska skopała go jeszcze na odchodnym...

Match z trudem utrzymywał powagę. Rzeczywiście, wolałby już być prostym zbójem.

–Tak zaczęły się moje nieszczęścia. Mamuska zła była, parę dni minęło i już powiedziała,

że czas przestać bąki zbijać. Marsz do pracy, powiedziała, darmożądzie, zarobić na utrzymanie. Prawda, tylko ja zostałem. Wziąłem sprzęt i poszedłem na most. Nijako mi trochę

było, nieprzygotowany taki. Nawet trzech pytań nie znałem, tatko nie powiedzieli, a braciszka

wstyd było pytać... Mógł psami poszczuć, tak jak obiecywał... Nie szło mi, chociaż ruch był jak

w dzień targowy. Pod koniec dnia to samych wybitych zębów miałem z koszyk. I sześć

miedziaków... Może to dlatego, że pytań nie znałem... Jak przyszedłem do domu, to mamuśka

tylko w pysk mnie zdzieliła. Gdzie pieniądze, pytała. A ja, wiecie, te miedziaki... Te miedziaki

pod koniec dnia, to dałem takiemu jednemu. Co to, jakem mu zagroził, że bić będę, to ukląkł

przede mną i o litość błagał. Pokazywał pustą sakiewkę przy pasie, mówił, że już go zbóje, co

przy poprzednim moście stoją, złupili...

Jason tylko pokiwał głową. Numer z pustą sakiewką był stary jak świat. Aż dziw, że ktoś się jeszcze na niego nabrał... No cóż, Basile, pomyślał, twój tatko miał rację. Nie nadajesz się...

–Płakał, mówił, że ma w domu głodne dzieci, żeby mu darować... Żeby koni i wozu nie

zabierać, bo nie jego, ino pożyczzone. Żal mi się go zrobiło, puściłem wolno, dałem te moje

miedziaki, niech dzieciśka nakarmi... Biedny widać, skoro na konie go nie stać. Tak mi

dziękował, wiecie, aż mi się przyjemnie zrobiło... Ale mamuśka była wściekła, zaraz bladym

świtem do roboty pognała... Niechętnie szedłem, wiedziałem, że to nie dla mnie...

Popatrzył na słuchaczy. Ci nie zaprzeczali. Z całej opowieści wynikało jasno, że Basile nie nadawał się do tradycyjnego rodzinnego zawodu. Mimo niezaprzeczalnych warunków fizycznych.

–Niechętnie szedłem, ale co było robić. Bałem się tylko, żeby śmiać się ze mnie nie zaczęli. Jak tylko pierwszy się pojawił, na wozie z beczkami wina, to wyskoczyłam od razu, chciałem bić, mimo że z pacholkami jechał. Tylko trzech ich było. Już chciałem jednego zdzielić, kiedy pan, co powoził, krzyknął na mnie. Tak mnie zdziwił, że się wstrzymałem. Bo wiecie, inni to od razu, jak mnie zobaczyli, prosili, by im życie darować, a ten nic, nawet się nie przeląkł. Popatrzył tylko tak, spytał, czego sobie Życzę. Języka w gębie zapomniałem, nie krzyknąłem „pieniądze albo życie”, czy co tam zawsze się krzyczy. A on śmiać się zaczął. Śmiał się i mówił, że w ten sposób, to nie zarobię nawet na pieprz do gówna, tak właśnie powiedział. Że to nie tak się robi, że jestem zbójem a... a...

–Anachronicznym – podpowiedział machinalnie Jason.

–Tak właśnie powiedział – ucieszył się Basile. – Jakem go zapytał, co to znaczy, to powiedział, że tak to można było kiedyś, ale teraz tak się nie robi. Że siedzę tu na zadupiu i nie wiem nawet, jak wygląda zbój w dzisiejszych czasach... A trzeba wam wiedzieć...

–A jak wygląda? – zainteresował się Match.

–A trzeba wam jeszcze wiedzieć, że był to pan gospodarz, u którego do wczoraj służyłem -dopowiedział z rozpędu olbrzym. – Nie mówił po prawdzie, jak wygląda, ale powiedział, że samemu to dobrze w nosie dłubać, albo i co paskudniejszego robić...

Basile zaczerwienił się pod badawczym spojrzeniem Matcha.

–No, wiecie sami, panie, co paskudnego chłop może robić samemu – wykrztusił wreszcie. – Sami wiecie...

–Wiem – odparł krótko Match. Jason spojrzał na niego uważnie. Na szczęście Match nie spostrzegł.

–Mówił, że teraz kupą trza, bo kupy to nikt nie ruszy. Żeby brać przykład choćby z takiego Robin Hooda albo Wieprza, równie ponoć, jeśli nie bardziej sławnego zbója. Powiadał pan gospodarz, że ów Wieprz to tylko całą bandą łupił, a tak dobrze mu szło, że w swej komyszy to na workach złota spał. W jedwabie się ubierał, panny do lasu porywał, przebierać w nich mógł. Jak mu się która znudziła, to kamratom ją oddawał, a se zaraz nową łapał. Osobliwie ponoć w rudych gustował...

–Nic nie mówiłeś o pannach – zdziwił się obłudnie Jason. – Te worki złota to ci jeszcze odpuszczę, ale panny... Coś w tym jest, zwłaszcza jeśli chodzi o rude...

–Zamknij się – warknął Match. – A ty się streszczaj, do rzeczy! I zapamiętaj sobie, Robin Hood nie był żadnym zbójem tylko banitą! Walczył z wielmożami, a to co bogatym złupił, to na pożytek obracał! Rozdawał ubogim!

–A co za różnica? – zdziwił się Basile. – Dla tych bogatych? A i nie powiecie przecież, że dla siebie nic nie zostawił, ani odrobinki?

–Nie zostawił – mruknął Match bez przekonania. – Ubodzy go żywili i schronienie dawali, w zamian za ochronę, w zamian za to, że za nich walczył...

–Ale żywili go za to, co im dał – odparł Basile niepewnie. – Za to, co złupił bogatym...

Jasona aż zatkało z zachwytu. Po pierwsze, na widok Matcha, który wyglądał, jakby za

chwilę miała go zalać nagła krew. Po drugie, dawno nie słyszał tak logicznej argumentacji.

–Nie gniewajcie się, już kończę – sumitował się Basile, speszony ciszą, która nagle zapadła. – Powiedział pan gospodarz, że jeśli tak samopas będę grasował, to marny koniec

mnie czeka. I wierę, słusznie prawił, jak wspomniałem sobie tatkę i dziadunia. Bo pradziadka to

nie pamiętam, ale jego zdaje się kołem połamali. Albo na pal wbili, wszystko jedno zresztą,

tatko sam nie pamiętał. To zapytałem, czy nie wie przypadkiem, gdzie tu kamratów można

dobrych znaleźć. A on na to, że w dzisiejszych czasach, to na zbója trza się długo uczyć, nie

każdy cham z gościńca się nadaje. Musi umieć mieczem robić, ludźmi dowodzić, nawet

dwornie się wyrażać, na wypadek, gdyby hrabiankę jaką na trakcie zdybał. Popatrz, mówi, na

siebie, smarkasz co chwila w palce, łachy na grzbiecie masz byle jakie, czy tak ma wyglądać

porządny zbój? A tą swoją pałą to możesz kmiotów straszyć, nie kupców, z których

każdy z

pachołkami jeździ i z kordem przy boku. Po prawdzie miał rację... Powiedział jeszcze, że aby

się mieczem nauczyć robić, to trza najlepiej do straży na naukę się wkupić. Zasmucił mnie bardzo, bo tym moim zbójowaniem, to faktycznie jeszcze niewiele zarobiłem. I zanosilo się, że nieprędko zarobię. Widział chyba, że mi nie do śmiechu, bo mówi, że tak się przypadkiem składa, że pomocnika do karczmy potrzebuje, może być nieuczony, byle był silny. Jak chcę, to się nadam, uzbieram na naukę. Tak i zgodziłem się. Służyłem wiernie, ale wciąż mówił, że na naukę jeszcze za mało zarobiłem. Dopiero jak was wczoraj zobaczyłem, no, to resztę już wiecie...

Basile zamilkł, spoglądając niepewnie na Matcha. Jason tymczasem odwrócił głowę, walcząc z paroksyzmami śmiechu. Nie chciał jeszcze bardziej speszyć olbrzyma. Match sam nie wiedział, co powiedzieć. Ociężale wstał, przeciągnął się.

–Dobra, Basile – zdecydował wreszcie. – Możesz jechać z nami. Ale na panny, zwłaszcza

rude, nie licz specjalnie...

Basile rzucił się, jakby chciał go pocałować w rękę. Match szarpnął się do tyłu. Mrucząc coś gniewnie, ruszył w stronę koni.

Gdy ruszyli, przez dłuższą chwilę nie odzywali się. Ciszę mącił jedynie stukot kopyt i wesołe pogwizdywanie Basile'a. Wreszcie Match przerwał milczenie.

–Psiakrew, nie można go zostawić, przecież zginie. Głupi jest jak funt hufnali... Ubiją go

albo znowu jakiś cwaniak weźmie go na służbę. Na dziesięć lat za darmo. Może w mieście

znajdziemy mu jakieś miejsce, choćby w straży miejskiej...

Jason nie odpowiedział. Jechał, patrząc przed siebie. Match uświadomił sobie, że kąciki ust drgają mu podejrzenie.

–Dobrana z nas kompania – stwierdził skwaszony. – Oszust, którego nawiedzają wizje,

niewydarzony zbój i...

Urwał. Jason uśmiechnął się.

–Dokończ – powiedział. – I jeszcze kto?

Zamiast odpowiedzi Match popędził konia. Jason uśmiechnął się szerzej.

–Popatrz na to z drugiej strony – krzyknął w kierunku pleców Matcha. – Zawsze możemy

zarabiać jako trupa kuglarzy.

Z przodu doleciało niewyraźnie przekleństwo.

Miasto było już zaledwie o pół godziny jazdy. Mogli zdążyć przed zmierzchem zapadającym późno o tej porze roku. Jednak Match, któremu dotąd tak się spieszyło, od pewnego czasu zwalniał wyraźnie. Aż wreszcie zatrzymał się. W mizernym zagajniku, ostatnim rzadkim skupisku drzew przed miejskimi murami.

–Zanocujmy tu, zaraz pewnie zamkną bramy. Bez sensu stać pod murem do samego rana.

Jason tylko zaklął pod nosem. Od rana szykował się na porządny nocleg, gdzieś na sianie,

nad jakąś stajnią. Na to, że Match zatrzyma się w zajeździe nie liczył, ale nawet stryszek nad

stajnią byłby lepszy od odgniatania kości na ziemi. Twardej i zimnej, osobliwie nad ranem. Już chciał zaprotestować, w ostatniej jednak chwili się wstrzymał. Zrozumiał, że Match chce choć do rana odwlec ten moment, chce spędzić ostatnią może na długi czas noc pod gołym niebem. Poczuć się wolnym przed zamknięciem w dusznych murach.

Trudno, pomyślał Jason, niechętnie zsuwając się z siodła. Odparzony przez całodzienną jazdę w upale tyłek nie dawał o sobie zapomnieć.

Noc zapowiadała się ciepła. I dobrze, bo w mizernym zagajniku trudno było o gałęzie na opał. Najgrubsze drzewa nie przekraczały grubości ręki. Basile z dużym samozaparciem usiłował zgromadzić choć trochę opału, wrywając w końcu z korzeniami co większe krzewy i rąbiąc je pożyczonym od Matcha toporkiem. Szło niesporo, mały toporek ginął wręcz w olbrzymiej garści, która obejmowała prawie całe stylisko. Gałęzie były zielone, mokre i sprężyste. Rąbanie ich, przy braku pieńka było czynnością mozolną. I prawdę mówiąc, przynoszącą mizerne efekty.

Basile nie zrażał się. Wreszcie udało mu się rozpalić ogień. Ognisko, które nie dawało wcale ciepła, nie rozjaśniało zapadającego mroku. Miało jednak inną, niezaprzeczalną zaletę -gęsty dym, jaki z niego buchał, niewątpliwie odstraszał

komary.

I nie tylko. Szło na zmianę pogody, dym nie wznosił się w niebo. Snuł się uparcie przy ziemi, gęstniejący i najwyraźniej trzymający się w niewytłumaczalny sposób zagajnika. Wreszcie z załzawionymi oczyma zgodnie zasypali ognisko piaskiem. Piasku przynajmniej było pod dostatkiem.

Rozmowa nie kleiła się. Match siedział zamyślony, z przymkniętymi oczyma. Nie rozłożył nawet derki. Jason wypakował z zapasów jakieś jedło, ale nikt nie przejawiał szczególnego apetytu. Tylko Basile usiadł z boku najwyraźniej szczęśliwy. On nie przejmował się niczym, ani zapowiadającym się niewygodnym noclegiem, ani tym, co przyniesie następnego dnia. Jason miał wrażenie, że Basile nigdy nie poświęcał większej uwagi temu, co miało czy mogło nadejść. W duchu mu tego teraz pozazdrościł. Basile spełnił swe marzenia. Dostał się na służbę do żołnierzy fortuny. I nic nie mogło go wyprowadzić z błędu.

Jason, na swe nieszczęście, zaczął się zastanawiać nad tym, co przyniesie jutro. Gdy cel podróży był już bliski, zaczęło go nurtować jedno pytanie. W końcu postanowił zapytać głośno.

–Wiesz co – zaczął wreszcie. – To śmieszne, ale do tej pory nie powiedziałeś, dokąd w

końcu zmierzamy... Wszystko wydawało się tak oczywiste, tak... bo ja wiem, przesądzone, że

nawet się nad tym nie zastanowiłem... Zresztą, nie pytałem dotąd. Ale teraz. Jesteśmy już tak

blisko...

Match nie otworzył nawet oczu. Nie okazał nawet zdziwienia, zajęty swoimi myślami.

–Do Nottingham – mruknął tylko.

–Nie może być? – z przekąsem spytał Jason. – Wybacz, Match, ale tego zdołałem się już wcześniej domyślić. A jakbym się nie domyślił, to całkiem niedawno, jeszcze przed zmierzchem, wystarczyło tylko spojrzeć. I zobaczyć, z daleka co prawda, wieżę zamkową...

Match nie zwrócił uwagi na ironię. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie słuchał. Jason kontynuował swe rozważania.

–Dobrze, wiem zatem, że do Nottingham. Od początku zresztą wiedziałem. Ale z kim

mamy się tam spotkać? Widzę przecież, że od tego spotkania wiele zależy, że może coś

wyjaśnić. Domyślam się, że dowiemy się czegoś, od czego zależy to, co będziemy robić dalej.

Dobrze, niech ci będzie, to, co ty będziesz musiał zrobić – dodał, słysząc kolejne niechętnie

mruknięcie.

Przez chwilę panowała cisza. W końcu Match odpowiedział.

–Jedziemy do szeryfa.

Nic więcej. Żadnego komentarza. Jason zaczynał się niecierpliwić.

–Do samego szeryfa, powiadasz. – w głosie była gryząca ironia. – A czy on o tym wie? Bo

jeśli nie... Jeśli nie, to możemy nie zostać do niego dopuszczeni. W najlepszym przypadku. Bo

mogę sobie wyobrazić i gorsze...

Jason zawiesił głos, licząc na to, że to wreszcie poruszy nieco Matcha. Nic z tego.

–Tak, mogę gorsze. Na przykład, straż może nas przepędzić, psami poszczuć. Albo i w

lochu zamknąć, popatrz tylko, jak wyglądamy... Nie powiedziałbym, że wzbudzamy zaufanie.

Match wreszcie otworzył oczy.

–Szeryf mnie oczekuje – wyjaśnił z lekkim zdziwieniem. – Przecież już prawie rok temu mnie wzywał... Myślałem, że wiesz...

–Skąd mam wiedzieć? – zirytował się Jason. – Nawet nie raczyłeś wspomnieć...

–Co, nie widziałeś tego? Tak jak inne rzeczy... Nie domyślałeś się w końcu? Jason uspokoił się. Zauważył już wcześniej, że Match zwykle przecenia jego możliwości. Nie, to nie tak, on po prostu nie rozumie ich istoty. Trudno zresztą się dziwić, Jason sam do końca nie rozumiał. Jednak usiłował już kilka razy tłumaczyć Matchowi przynajmniej to, do czego sam doszedł. Jak dotąd bez rezultatu, Match uparcie sądził, że Jason potrafi więcej. I bywał rozczarowany, gdy wizje Jasona nie potrafiły

dać dokładnego wytłumaczenia.

–Match, to nie tak – Jason spróbował po raz kolejny. – Zrozum wreszcie, że ja nie widzę wszystkiego, wszystkiego, co się kiedyś działo, dzieje czy dzieć będzie.

I całe szczęście, pomyślał. Jeszcze by tego brakowało.

–Ja muszę mieć, bo ja wiem, jakiś punkt zaczepienia – kontynuował. – Jakąś opowieść, przedmiot, w końcu... Do diabła, przecież tyle razy ci już mówiłem... – zirytował się znów. Popatrzył z niechęcią na Matcha, który znów przytknął oczy.

–Niech to diabli, zdaje mi się, że trochę to rozumiem – ciągnął po chwili, trochę się uspokoiwszy. – To jakby twoje myśli, to, co sam pamiętasz czy przeczuwasz... Jakbym to w jakiś sposób odbierał. Aura otaczająca przedmioty... Jakieś silne emocje... Ach, do diabła z tym, i tak tego nigdy do końca nie pojmę. A ty tym bardziej...

Zamilkł. To było bez sensu. To nie dawało się ująć w słowa. Nie dawało się opisać. To tak, jakby próbować opisać słowami... Bo ja wiem, zastanowił się, na przykład miłość. Uniesienia

przeżywane z kobietą. Niby proste, ale... Trzeba być jakimś pieprzonym bardem albo innym wierszokletą. A i tak większości z nich się to nie udaje.

–To było, zaraz, prawie przed rokiem – głos Matcha przerwał jego rozmyślenia. Jason ocknął się. Match, jak to zwykle on, nie zadawał niepotrzebnych pytań. Uznając racje Jasona, dawał mu punkt zaczepienia. Tak po prostu...

–Szeryf przyjechał do klasztoru. Sam, osobiście, nie ograniczył się do wysłania posłańca. Sądził widać, że tak ma większe szansę, by mnie namówić...

Młody braciszek kulił się z zimna w swym cienkim habicie. To było paskudne zajęcie. Już wolałby harować przy karczowaniu pól, co było najcięższą pracą, jaką mógł przydzielić przeor. Przy karczowaniu przynajmniej by się rozgrzał. A tutaj... Tutaj były długie, beznadziejne godziny czekania. Na ogół na nic. I jeszcze to zimno, wilgotny ziąb przedwiośnia.

W klasztorze nie było funkcji furtiana. Z braku murów, a więc i furty. Od czasu do czasu jednak przeor powierzał pełnienie tej funkcji. Najczęściej tym, którym udało się podpaść. Braciszek sam sobie był winien.

Z braku murów i furty fantazja przeora nakazywała wyznaczonym na zaszczytną funkcję furtiana pełnić swą służbę tam, gdzie kończyły się opłotki. W szczerym polu, gdzie jedynym schronieniem była rozpadająca się szopa na narzędzia ogrodnicze. Przypadkiem stojąca w miejscu, które przy odrobinie wyobraźni można było uznać za

wjazd do klasztornych zabudowań.

Najgorszy w tej służbie nie był ziąb, który trzeba było znosić w zimie, ani upał latem. Najgorsza była nuda. Mało kto przybywał do leśnego klasztoru, nie było szans, aby furciar mógł udowodnić swą przydatność. Godziny dłużyły się, tym bardziej, że nie było absolutnie nic do roboty. Zaś przeor od czasu do czasu sprawdzał, czy wyznaczony braciszek spełnia swe obowiązki. To znaczy, czy tkwi w odpowiednim miejscu. Przy czym chowanie się w szopie było bardzo źle widziane i mogło zaowocować przedłużeniem zaszczytnych obowiązków.

Braciszek stał więc przy zbitej z desek ścianie i przytupywał dla rozgrzewki. Wstawał właśnie późny, przedwiosenny poranek, wilgotny, zimny i zamglony. W tej mgłę ginęła droga, nie sposób było dojrzeć nawet pobliskiej ściany lasu. Braciszek stał, usiłując liczyć upływające godziny. Wciąż wychodziło mu, że w zasadzie powinien być już wieczór, czemu przeczyło wszystko to, co widział dokoła.

I wtedy usłyszał konie. Mlaskanie kopyt po rozmięklej drodze. Zmartwił.

Przez głowę przebiegły różne myśli. O zbójach, którzy pragną najechać i złupić klasztor. O upiorach w pordzewiałych zbrojach, siedzących na kościotrupach koni. O innych, równie mało przyjemnych rzeczach. Chciał odwrócić się, pobiec ku bezpiecznym zabudowaniom, ostrzec innych. Nie mógł, nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Stał tylko, mając pod nosem słowa

modlitwy. Nie miał wielkiej nadziei, że to coś pomoże, lecz było to jedyną rzeczą, na jaką się zdobył.

Odgłosy przybliżały się. Nawet niewprawne ucho powiedziało braciszce, że jeźdźców było co najmniej kilku. Przez tłumiącą odgłosy, mylącą mgłę słyszał już, prócz odgłosu kopyt, także pobrząkiwanie, uprzęży lub oręża. Słyszał stłumioną rozmowę. Nieznajomi zbliżali się.

Wkrótce przez rzednące kłęby mgły mógł ich dostrzec. Na szczęście byli to ludzie, nie upiory. Kilku zbrojnych, jednakowo ubranych. Noszących czyjeś barwy, nie wiedział, czyje, lecz było to nieistotne. To poczet, nie zbóje. Może od razu nie złupią.

Podniesiony na duchu braciszek przerwał modlitwę. Jeźdźcy zbliżyli się jeszcze bardziej, na jego widok zatrzymali się.

–A co on tu robi? – zdziwił się jeden z nich, wielki drab o zarośniętej gębie. Jechał na czele, widać był dowódcą. – Hej, mnichu, a daleko do klasztoru?

–Przecie to już – zdziwił się mniszek. – Co, nie widzicie?

Obejrzał się. Rzeczywiście, mogli nie widzieć. Mgła za nim była tak samo gęsta jak

przed nim, zabudowania zupełnie w niej ginęły.

–Patrzcie go, jaki mądrała – odezwał się drugi z żołnierzy. – Odpowiadaj, jak pytają, bo jak nie...

–Zamknij się, Patrick – osadził go ten zarośnięty. – Myślałby kto, żeś sam taki mądry. A kto niedawno mało się ze strachu nie zesrał, żeśmy pobłądzili w przeklętym lesie? Mimo że gościniec prosty jak sierpem rzucił, a nigdzie z niego nie zjeżdżaliśmy? I każdy dupek wie, że do klasztoru prowadzi, nie gdzie indziej? Kto jęczał, że się w bagnach potopim?

Mówił z dziwnym akcentem. Braciszek nie słyszał jeszcze takiego. Patrick zamknął się rzeczywiście.

–Wybacz, bracie – zwrócił się zbrojny do spłoszonego braciszka. – Znaczy, dojechaliśmy

zatem.

Odwrócił się.

–Co rozkażecie, panie? – zapytał.

Jeden z mężczyzn, trzymający się dotąd z tyłu, wysunął się bliżej. Nie wyróżniał się strojem, okryty takim samym, błyszczącym od wilgoci płaszczem. Jednak braciszek od razu poznał, że nie jest to zbrojny. To jakiś wielki pan, pomyślał i skłonił kornie głowę.

–Dobrze – odezwał się wielmoża. – Ty, Wulf, jedziesz ze mną, ten mnich poprowadzi.

Reszta tu zaczeka, to nie potrwa długo. Nie będziemy robić całego najazdu – uśmiechnął się.

Braciszek stał jak wrośnięty. Bał się zejść z posterunku.

–No, ruszaj, bracie – łagodnie ponaglił go Wulf.

–Ale ja... – wyjąkał braciszek.

–Ruszaj, jak jaśnie wielmożny szeryf Nottingham ci każe – Wulf zniecierpliwił się trochę.

–Zaraz – wstrzymał go szeryf, widząc przerażenie braciszka. – Powiedz, bracie, co ty tu właściwie robisz, o tej porze, w taki ziąb...

–Ja... – zaczął mnich niepewnie. – Ja jestem furtianem...

Szeryf rozejrzał się. Popatrzył na krzywy płótek, rozwalającą się szopę. Uniósł brwi ze zdziwienia.

–Panie, ja go zaraz... – Wulf groźnie popatrzył na braciszka. – Hej, mnichu, nie rób sobie

żartów z wielmożnego pana, bo jak ci...

Braciszek skulił się.

–Spokojnie – szeryf znał przeora i jego niekonwencjonalne metody. – Nie możemy przeszkadzać w pełnieniu tak odpowiedzialnej funkcji. Niech zostanie. Powiedz tylko,

braciszku...

Mnich zrozumiał od razu.

–Tak jak droga prowadzi, panie. Wnet kaplicę zobaczycie. Wszyscy tam będą, przeor też,

pora modlitwy...

Szeryf i Wulf nie czekając dłużej, ruszyli przed siebie. Zanim zniknęli we mgle, szeryf odwrócił się do mnicha.

–Nie zapomnij zamknąć za nami furty... – rzucił na odchodnym.

Nie wracali długo. Mgła podniosła się, wstał pochmurny dzień. Braciszek dalej trząsał się z zimna, ale dziękował Bogu za nieoczekiwaną rozrywkę, która spowodowała, że czas tak się nie dłużył. Przyglądał się zbrojnym, podziwiał ich marsowe miny. Ich wielkie, silne konie, broń przy boku. Nawet wielkiego, kudłatego psa, którego mieli ze sobą.

Braciszkiowi czas się nie dłużył. Dłużył się za to zbrojnym. Po jakimś czasie zaczęli, pomrużując do siebie, opowiadać sprośne dowcipy i historyjki, w których kobiety, a zwłaszcza ich konkretne fragmenty odgrywały główną rolę. Popatrywali przy tym na mnicha, ciekawi, jakie wrażenie na nim to robi. Czy sploni się ze wstydu, czy zasłoni sobie uszy. Zawiedli się srodze. Braciszek traktował ich opowieści jako niespodziewany uśmiech losu, chłonąc je z rozdziawioną gębą. Brak spodziewanej reakcji bardzo ich zawiódł. Zamilkli w końcu.

Wreszcie Patrick, ten, co to ponoć wystraszył się w lesie, przeszedł do

bezpośrednich zaczepek. Brak reakcji mnicha tylko go rozsierdził.

Braciszek, zawiedziony wprawdzie tym, że zbrojni nie kontynuują swych wesołych opowieści, znalazł sobie inne zajęcie. Przyglądał się z podziwem psu, który ułożył się nieopodal sztywno siedzących w kulbakach jeźdźców. Było to wielkie, silne zwierzę, z rodzaju tych, co to mogą w pojedynkę zagryźć wilka. Być może właśnie do tego układany był pies, być może po to potrzebny był w podróży przez las. Mimo swej wielkości i groźnego wyglądu w tej chwili zachowywał się całkiem pokojowo. Nie zwracając żadnej uwagi na otoczenie, poświęcał się zwykłemu psiemu zajęciu. Wylizywał sobie jaja.

–Hej, mnichu – zgrzytliwy głos Patricka sprawił, że mnich drgnął. – Podoba ci się nasz piesek?

–Podoba – odparł krótko braciszek. Pies rzeczywiście mu się podobał, lubił zwierzęta. Nie podobał się za to Patrick. Postanowił usunąć się dalej.

–A dokąd to? – Patrick chyba szukał zaczepki. – Tak schodzić z posterunku? Nie bój się,

nie zjemy cię. Chyba, że nasz piesek... Hej, mnichu, a wiesz, dlaczego pies liże sobie jaja?

Mnich nie odpowiedział. Nie zastanawiał się nad tym do tej pory, i, szczerze mówiąc, nie był specjalnie zainteresowany.

–Bo może! – zarechotał Patrick. Tylko on. Zezłościło go to wyraźnie.

–Wiesz, braciszku, on gardło może rozerwać od razu. A nogę, nogę to przegryza jednym kłapięciem... Co, boisz się go, no powiedz, boisz się?

–Nie – odpalił mnich zgodnie z prawdą. Zupełnie niepotrzebnie, jak sam się po chwili zorientował.

–To się zaraz przestraszysz – warknął zbrojny i zsunął się z kulbaki. – Zobaczysz, zaraz zobaczysz...

–Patrick, nie... – mruknął ostrzegawczo któryś ze zbrojnych.

–No co ty? Tylko go trochę postraszę...

Stanął przed psem, nie zbliżając się jednak zbyt blisko. Popatrzył na mnicha. Braciszek przestraszył się jednak. Nie uciekał, było za późno, wiedział, że w takim wypadku pies dopadłby go, zanim przebiegłby kilka kroków. Znał zwierzęta, wiedział, że kiedy zbrojny poszczuje psa, tylko bezruch może go uratować. Przymknął oczy.

–Boisz się! – stwierdził triumfalnie Patrick. – Zaraz zobaczysz...

–Patrick, nie rób tego – krzyknął ostrzej któryś ze zbrojnych. – Nie rób, bo...

–Bierz go! – warknął Patrick. – No, bierz...

Mnich zacisnął mocniej powieki, spodziewając się głuchego, bulgotliwego warczenia, które zwykle poprzedza atak takich dużych psów. Cisza. Ostrożnie uchylił powiek, spojrział.

Pies nie ruszył się. Przechyliwszy łeb, przyglądał się Patrickowi. Po chwili, jakby nie widząc nic interesującego, powrócił do przerwanej uprzednio czynności.

–Ech, ty! – wrzasnął Patrick. – Kundlu przeklęty... Bierz go, mówię! – Patrick, nie! – ostrzeżenie przyszło za późno. Zbrojny zdążył zrobić krok w stronę psa, wyciągając rękę do nabijanej ćwiekami obroży. Za chwilę leżał na wznak, osłaniając krwawiącym przedramieniem gardło. Pies stał nad nim z głuchym, bulgocącym warczeniem.

–Co tu się, kurwa, dzieje? – dobiegł z tyłu gniewny głos z cudzoziemskim akcentem. Wulf. Nikt nie spostrzegł, jak nadchodzi, prowadząc konie, swojego i szeryfa.

–Co jest, kurwa, pytam ostatni raz! – Wulf spojrział na mnicha, zreflektował się. – Powiedz, co się tu stało? Czepiali się ciebie?

–Nnie... – wyjąkał braciszek. Miał jeszcze miękkie nogi. – Nic takiego się nie stało - dokończył już śmieiej.

–Nic się nie stało... – Wulf pokręcił głową z powątpiewaniem. – Znam ja was, sukinsyny... Gadać mi tu zaraz! – warknął groźnie na zbrojnych.

Zbrojni spoglądali w ziemię, z wyjątkiem Patricka, któremu niedostępny był taki luksus. Pies stał wciąż nad nim, na bladą, wykrzywioną strachem twarz kapąły z warczącego pyska kropelki śliny.

–Nic takiego... – mruknął wreszcie niepewnie któryś ze zbrojnych. – Patrick drażnił pieska...

Wulf zaśmiał się chrapliwie. Podszedł do leżącego, poklepał zwierzę po szyi. Warczenie ustało.

–Ty durniu – mruknął Wulf. – Wiesz, że on cię nie lubi. Raz ci już dupsko rozerwał. Dobry

piesek, dobry... No, zostaw to ścierwo...

Pogłaskał psa, który bez oporów dał się odprowadzić na bok.

–A ty wstawaj i na konia! I wielmożnemu panu w oczy nie leż! Poczekaj, wrócimy, to się z

tobą policzę! Formować szyk, wielmożny pan zaraz wraca! Żywo!

Zbrojni z widoczną ulgą ustawiali się do drogi. Najwidoczniej gniew Wulfa potrafił być dotkliwy.

Braciszek obejrzał się. Drogą nadchodził szeryf. Oczy braciszka rozszerzyły się ze zdumienia. Tym, kto go odprowadzał nie był przeor. Obok szeryfa szedł ten długowłosy, brodaty dziwak. Ten, któremu przeor łaskawie zezwolił na osiedlenie się na klasztornej ziemi. Ponure indywiduum, patrzące spode łba, nie odzywające się prawie nigdy. Zresztą, nikt specjalnie nie próbował go zagadywać. Swym wyglądem budził zbyt ni lęk. Lęk, który pozwalał poskromić zbyt ni ciekawość.

Idący zatrzymali się. Stanęli naprzeciw siebie. Milczeli chwilę.

–Wracaj – dotarli wreszcie do uszu braciszka słowa szeryfa, wypowiedziane cichym głosem. Ton nie był rozkazujący, raczej proszący. Nie taki, jakiego należało się spodziewać u królewskiego szeryfa rozmawiającego z takim oberwańcem.

–Wracaj, jesteś potrzebny – powtórzył cicho szeryf.

Stojący przed nim człowiek długo nie odpowiadał. Patrzył szeryfowi prosto w oczy, z twarzy nie można było niczego wyczytać.

–Moja wojna się skończyła – odparł wreszcie spokojnie. Odwrócił się i odszedł bez słowa.

–Wystarczy? – drwiący głos Matcha przerwał wizję. – Zobaczyłeś, co chciałeś?

Wystarczył taki, jak to powiedziałaś, punkt zaczepienia?

Jason przetarł twarz zmęczonym gestem.

–Zobaczyłem – odparł – ale chyba niedokładnie to, co chciałem. Jestem zmęczony, Match,

wyobraźnia płata figle... Czy też jasnowidzenie, jak chcesz to nazwać...

Był zniechęcony. Match chyba też.

–Przepraszam – odezwał się po chwili Jason. – Dziś już więcej nic z tego chyba nie będzie.

Porozmawiamy normalnie, chciałbym cię o kilka rzeczy zapytać...

–Dobrze – Match zgodził się bez oporu. – I tak nie mamy nic innego do roboty. Tylko... Wskazał Basile’a siedzącego nieopodal.

–Nie chcesz, żeby słuchał? – zrozumiał Jason. Match pokiwał głową.

–A po co ma wiedzieć takie rzeczy? Lepiej dla niego, jak nie wie...

Jason spojrzął na olbrzyma. Basile wyglądał na całkiem zadowolonego. Siedział sobie, pochłonięty bez reszty własnymi sprawami. Polegały one na dłubaniu w nosie, co czynił bardzo dokładnie i sumiennie. Nie słuchał, co przy nim mówiono.

–A zresztą – Match machnął ręką, zobaczywszy to samo, co i Jason. – I tak nie rozumie... Takiemu to dobrze... – dodał z nutą zawiści.

–Powiedz, Match, czego właściwie chciał wtedy szeryf? – Jason nie zwlekał z pytaniami. – Po co przyjechał?

–A niech cię, Jason – mruknął Match ze zniechęceniem. – Toć dopiero mówiłem! Nie słuchałeś, czy co?

–Mówiłem ci, że chcę zobaczyć. Staralem się. A zobaczyłem nie całkiem to. Ale przez to... przez to nie słuchałem, co mówiłeś...

–Dobrze – Match zrezygnował z dalszej dyskusji na ten temat. Do niczego to nie prowadziło, nigdy. Zresztą stwierdził, że prościej opowiedzieć jeszcze raz, co go to kosztuje...

–Więc, jak już mówiłem... – nie omieszkał podkreślić. – To wtedy się znów zaczęło. Takie

pierwsze oznaki. Niejasne pogłoski. Trudno je odróżnić od zwykłego, ludzkiego bajania.

Ludzie zawsze opowiadają o różnych niesamowitych rzeczach. Takich, jak na przykład ciele z

dwiema głowami. Albo o potworach i tajemniczych znakach. Cóż, zlekceważyłem to wtedy.

Poza tym... Poza tym miałem dość, serdecznie dość. Wszystkiego.

Match urwał na chwilę. Wstał, rozciągnął derkę na trawie. Położył się wygodnie.

–Tobie radzę to samo, Jason – powiedział. – To będzie dłuższa opowieść. Wiesz, dopiero

teraz do mnie dotarło, dopiero teraz mi uświadomiłeś, że powinienem powiedzieć ci o wiele

więcej. Rzeczy może nie takie ważne...

Uśmiechnął się nieznacznie.

–Nie takie ważne i ponure. Może nie tak interesujące. Ale istotne. Może to moja wina, że

nie zdołałeś pojąć, wytłumaczyć...

Jason posłuchał Matcha. Rozłożył swoje posłanie, wyciągnął się wygodnie. Odparzony w siodle tyłek piekł nieznośnie. Marzył o wymoczeniu go w zimnej wodzie. Cóż, na razie nic z tego...

Nie pytał o nic więcej. Wiedział, że Match nie był skory do zwierzeń, ale kiedy już raz zaczął, na ogół doprowadzał sprawę do końca. Czekał więc cierpliwie na podjęcie opowiadania. Nie trwało to długo.

–Jak wiesz, zacząłem służbę u szeryfa na mocy pewnej umowy. Nie, nie chodzi mi o tę, na

którą ja się sam zgodziłem. Tę, która oferowała mi życie w zamian za...

Match przerwał. Tylko na chwilę.

–Mniejsza z tym, wiesz, o co chodzi – mruknął niechętnie. – Chodzi o tę drugą, zawartą

między druidami a szeryfem. Nigdy nie zrozumiałem do końca, o co w niej chodziło.

Prawdopodobnie o to, żebym zapłacił. Bo we wrodzoną dobroć i prawość druidów dawno

przestałem wierzyć. Gdyby chcieli, pozwoliliby mnie zabić bez wahania. Albo i sami zabili.

Ale nie, to było widać zbyt proste. Widać trzeba było, abym poniósł konsekwencje swojej...

niewiedzy? Nierozwagi? Aby musiał się z tymi konsekwencjami spotkać osobiście,

abym

musiał z nimi walczyć. Teraz wreszcie zaczynam rozumieć. Mimo wszystko byłem ważny.

Byłem niezbędny. Teraz wiem, że na wypadek taki, jak teraz. Kiedy to, co obudziłem, znów

stało się aktywne. Groźne. Groźne tak, jak nigdy przedtem, sądząc po pogłoskach, po całym

zamieszaniu. Po tym, co mówiłeś w gorączce na koniec. Z czym trzeba się będzie zmierzyć. A

tylko ja mogę spróbować. Wiesz, kim jestem. Widać jestem jedyny. I, jak wiesz, nawet to może

nie wystarczyć. Pewnie nie wystarczy...

Oto cały Match i jego wrodzony optymizm. Nie ma to jak pozytywne myślenie, stwierdził w duchu z przekąsem Jason.

–To zresztą teraz nieważne – Match jakby domyślił się tych spostrzeżeń. – Będzie, co ma być. Wracajmy do rzeczy. Tak, Jason, wtedy odmówiłem. Służyłem u szeryfa ponad dziesięć lat. W końcu... W końcu nawiązało się między nami jakieś porozumienie. Szybko zacząłem go szanować. Potem chyba nawet polubiłem. On też odnosił się do mnie, bo ja wiem... Z szacunkiem? Nie wiem, może nawet mnie lubił. A w każdym razie, po pewnym czasie miał do mnie zaufanie. A ja tego zaufania nie zawiodłem. W końcu miałem dość tej służby. Powiedziałem mu to kiedyś. Wydawało mi się, że spłaciłem długi. Nie miałem racji, teraz wiem, że nie miałem. Moich długów nie da się spłacić. Może dlatego, że w wielu przypadkach nie ma już komu... Widzisz, wtedy nie mogłem już znieść otaczającej mnie nienawiści. Bo nienawidzono mnie. I gdy byłem na miejscu, nie mogli zapomnieć. Szeryf nie mógł zwolnić mnie ze służby. Nie mógł złamać umowy. Miałem pozostać w jego służbie na zawsze. Mógł jednak zrobić jedno. Obejść umowę, nie naruszając jej. Wprawdzie wyjście, jakie mógł zaproponować nie było zbyt pociągające, ale dla mnie wtedy wszystko wydawało się lepsze niż codzienne nienawistne spojrzenia. Niż pamięć krzywd, ciągle żywa. Król szykował wtedy kolejny ze swych idiotyzmów, zwany wyprawą w obronie wiary. Krucjatą. Każdy z poddanych powinien, wedle woli króla, rzucić wszystko i wyruszać, by pognębić pogan. A jeśli osobiście nie chciał, mógł wystawić poczet, który w jego imieniu odbierze muzułmanom grób Pański, i inne rzeczy równie niezbędne królowi do szczęścia. Szeryf, oczywiście, nie miał najmniejszego zamiaru bronić wiary osobiście. Wystawił poczet, nawet zacny, wykosztował się. Wiedział, że wtedy będzie miał święty spokój. Znalazł się nawet ochotnik, który w swej głupocie ochoczo podjął

się przewodzenia tej wyprawie. Na chwałę Boską i zapewne swoją. Hrabia Gisbourne, oczywiście. I drugi ochotnik. Ja. Match zaśmiał się sardonicznie.

–Tłumaczy mnie tylko to, że jedynie w ten sposób mogłem zejść ludziom z oczu. Szeryf nie złamał umowy, trochę ją tylko nagiął. Nadal byłem w jego służbie. Ale daleko.

Rzeczywiście, musiał być bardzo zdesperowany, pomyślał Jason. Na samą myśl, że mógł znaleźć się normalny człowiek, który na własną prośbę wyruszyłby na wyprawę krzyżową, Jasonowi robiło się zimno. Sam nigdy nie miał zrozumienia dla takich pomysłów.

–Masz rację, było paskudnie – Match trafnie ocenił jego milczenie. – Nawet bardzo paskudnie. I bezsensownie. Zresztą, nie będę się rozwodził, z tego, że nic nie mówisz, wynika,

że masz podobne zdanie. Nie takie, jak ci durnie w błyszczących pancerzach. Którzy, mimo

wzniosłych ideałów, bardzo szybko okazują się zwykłymi mordercami, żądnymi łupów i

chwały. Nie wzdragający się przed mordowaniem bezbronnych, kobiet i dzieci, tylko dlatego,

że inaczej oddają cześć Bogu. Zanim zginą, a to bywa tam dosyć szybko. Tak, jak Gisbourne.

Ale sam sobie winien. Tylko idiota tkwi na pustyni w pełnym słońcu, mając na sobie pod pełną

zbroją watowaną kurtkę. Pamiętam, stał tam wtedy sztywno wyprostowany w siodle, jakby kij

połknął. I robił się coraz bardziej czerwony. Co rusz ktoś w szyku padał, nie mogąc

upału, nie mogąc się doczekać ataku Saracenów. Saraceni nie byli głupi, otoczyli nas, krążyli

dokoła na swych lekkich koniach, bez idiotycznych pancerzy. Co i rusz widzieliśmy któregoś w

oddali, na diunach, jak sprawdzał, czy jeszcze długo wytrzymamy. Na diunach,

daleko, za

daleko, by sięgnąć bełtem. A wyglądało na to, że długo nie wytrzymamy, więc po co bezmyślnie szarżować, gdy można po prostu poczekać? Tak więc co i rusz ktoś z naszych walił

się na piasek, a hrabia lżył nas okropnie z wysokości swego konia. I czerwieniał coraz bardziej.

Aż w końcu zachwiał się i zwałił w piach. Zanim skonał, chłopaki obdarli go ze wszystkich

cenniejszych rzeczy. Potem pobili o jego sakiewkę. Nie nacieszyli się nią zbyt długo...

Wieczorem Saraceni zaatakowali. Ci, co mieli szczęście, zginęli szybko. Ja nie miałem. Czy

wiesz, Jason, jak wygląda niewola u Saracenów? Ich więzienie?

Jason nie wiedział. Mógł się tylko domyślać.

–To taki dół, wykopany w ziemi. Głęboki, z wierzchu przykryty zbitą z żerdzi kratą. Wodę

spuszczają w dzbanku, rzadko, po uważaniu. Jedzenie, jeżeli można to nazwać jedzeniem,

zrzucają po prostu do dołu. A na górę nie wyciągają nic... Więc dół robi się coraz płytszy. W

końcu trzeba wykopać nowy.

Jason usiłował sobie wyobrazić pobyt w takim dole. Nie bardzo mógł.

–Długo tak siedziałeś? – spytał przez ściśnięte gardło.

–Nawet nie pytaj. Długo. Myślałem, że tam zdechnę... Ale nie zdechłem.

Pewnego dnia ten, kto się nami zwykle zajmował, strażnik, taki spaśny sukinsyn, wywołał moje imię. Z początku nie zrozumiałem, nie bardzo już wtedy miałem kontakt z rzeczywistością. W końcu usłyszałem. I wiesz co? Ucieszyłem się. Match odkaszlnął, popił wina z bukłaczka.

–Myślałem wtedy, że utną mi łeb. Tak robili, od czasu do czasu wywoływali kogoś,

diabli

wiedzą, według jakich kryteriów. Kilka razy ten spaśny sukinsyn pokazał nam uciętą głowę.

Trzymał ją za włosy nad naszym dołem i zaśmiewał do łez. Myślałem, że to wreszcie koniec, że

to się wreszcie skończy... Ale okazało się, że nie. Pognali mnie gdzieś, jak daleko, nie

pamiętam. Do jakiegoś obozu, na wybrzeżu, jak się później dowiedziałem. A tam... Tam, zamiast pieńka czy zastruganego pala czekał na mnie rycerz. Chrześcijanin. Było akurat jakieś kolejne zawieszenie broni. Rycerz przywiózł glejt. Dla siebie i dla mnie. Match znów urwał opowieść.

–I co dalej, panie? – odezwał się Basile. Match i Jason drgnęli. Nie sądzili, że poza dłubaniem w nosie Basile słucha opowieści Matcha. Nie podejrzewali go o taką podzielność uwagi.

–Nie pamiętam dobrze drogi do Anglii. Jakiś statek, porty, kolejny statek. Wolno dochodziłem do siebie. Tak naprawdę, to dopiero, gdy zobaczyłem kredowe klify, naprawdę dotarło do mnie, że wracam. Zacząłem rycerza wypytywać. Niestety, nie wiedział zbyt wiele. Albo nie chciał powiedzieć. W ogóle był małomówny i odnosił się do mnie podejrzliwie. Nie miał też żadnych dalszych poleceń w stosunku do mnie. Poza tym, by zawieźć mnie do klasztoru. Niedaleko Nottingham. W tym klasztorze nikt mnie o nic nie pytał. Pomogli dojść do zdrowia, zresztą szybko poszło, jak to zwykle ze mną. Mogłem tam zostać, nikt mnie nie wyganiał. I nie namawiał do pozostania. W końcu... w końcu dowiedziałem się o tym klasztorze. Klasztorze w puszczy Sherwood. Porozmawiałem z Piotrem, gdy kiedyś przyjechał do miasta. Zgodził się, bym zamieszkał na jego ziemiach, nie od razu, niezbyt chętnie, ale w końcu się zgodził. Teraz wiem, że ktoś przemówił za mną...

Szeryf, domyślił się Jason. Bo na pewno nie druidzi. Pomijając już fakt, że nie sposób pomyśleć, by mieli jakiegokolwiek kontakty z Kościołem, to do nich nie pasowało. Oni działali z zimnym wyrachowaniem...

Jason aż usiadł na swym posłaniu. Coś zaczynało mu świtać. Nie, to jeszcze nie to. Zrezygnowany z powrotem opadł na derkę.

–Wtedy, gdy szeryf po raz pierwszy przyjechał, nie wiedziałem wszystkiego. Nie wierzyłem w naglące pogłoski, bagatelizowałem je. Uznałem, że wszystko się już skończyło,

przed laty. Że otwarta przez mnie brama zamknęła się sama, albo uśpiła, kto ją tam wie. To, co

mówił szeryf, można było tłumaczyć normalnie, niekoniecznie zaraz mocami nadprzyrodzonymi. Ludzie zawsze ginęli w lesie. I choć często składano to na karb

wilkołaków, znacznie częstsze były zwykłe wilki. Albo jeszcze bardziej prozaicznie, zbóje na

gościńcu. Prócz tego uznałem, że spłaciłem wszystko. Ze nic nie jestem nikomu winien.

Myliłem się. Byłem winien, winien jak diabli.

Jason chrząknął. Nie lubił, jak Match wpada w samooskarżenia. Może i słusznie, ale to do niczego nie prowadzi.

–To tym razem nie to o czym myślisz – zaprzeczył Match, słysząc znaczące chrząknięcie.

–To całkiem inny dług. To było inaczej. Gdy wróciły niedobitki sławetnej wyprawy, wszyscy

twierdzili, że już na pewno nie żyję. Tymczasem szeryf nie uwierzył. Nie było naocznego

świadka mojej śmierci. Tłumaczeniom, że jeżeli dostałem się do niewoli, to i tak już na jedno

wyszło, szeryf nie dał wiary. Zaczął szukać. Wysyłać umyślnych. Szukać innych

powracających z Jerozolimy, wypytywać ich. I choć wszyscy tłumaczyli, że to na nic, nie rezygnował. Aż w końcu się udało. Nie wiedzieć, jakim cudem, ale udało się. Mimo to, że nawet o znacznych rycerzach, przebywających w niewoli, nie zawsze docierały wieści. Mimo że można było spodziewać się za nich okupu. Co dopiero mówić o takich, jak my. Nas nikt nawet nie liczył. Saraceni nie zadawali sobie trudu, próżnego zresztą, bo liczba zmniejszała się z dnia na dzień. Szeryf jednak dopiął swego. Poświęcił wiele trudu, wiele pieniędzy. Wykupił mnie, nie żałując własnej szkatuły. Dlaczego? Nie wiem. Nawet nie śmiem się domyślać. Wtedy, kiedy przyjechał po raz pierwszy, nie wiedziałem o tym. Dopiero później powiedział mi przeor. Dużo później, dopiero po twoim przybyciu. A również o tym, że to jego wstawiennictwu zawdzięczam zgodę na osiedlenie się na klasztornej ziemi. Czego zresztą przeor nie omieszkiał mi wypomnieć. Cóż, trudno się dziwić...

Match znów pociągnął z bukłaczka. Jason wyciągnął rękę. Też męczyło go pragnienie.

–Tak więc nie masz się czego obawiać, Jason – podsumował Match. – Szeryf mnie przyjmie, nie ma obawy. On na mnie czeka. Nie naciskał wtedy, wiedział, że prędzej czy później przyjadę. Że nie cofnę się przed spłatą długu. Tego starego i tego nowego.

Match leżał z przymkniętymi oczyma. Spał lub przynajmniej sprawiał takie wrażenie. W przypadku Basile nie było wątpliwości, zawinięty w przykrótką derkę chrapał donośnie. Temu to dobrze, po raz kolejny z zazdrością pomyślał Jason.

Sam nie mógł zasnąć. Historia, której wysłuchał, rzuciła nowe światło na całą sprawę. Match powiedział coś ważnego. Jason był tego pewien. Nie mógł sobie tylko uświadomić, co.

Było to coś, co zaczynało wreszcie pasować do ogólnego, wciąż chaotycznego obrazu. Jason potrząsnął głową. Coraz mniej czasu, coraz bardziej zbliża się rozstrzygnięcie.

Umowa. Dziwna umowa, której Match był przedmiotem. Umowa, która zakładała utrzymanie go przy życiu. Pod kontrolą. Co skłoniło szeryfa, by taką umowę zaakceptował? Czy właśnie tu tkwi klucz do zagadki?

To proste, pomyślał Jason zniechęcony. W obliczu zagrożenia, zagrożenia obcego i niesamowitego, zagrożenia, któremu tylko Match mógłby stawić czoła. I to też nie na pewno, była to jedynie szansa. Niewielka, ale jedyna. Szeryf nie miał wyboru. Owszem, był człowiekiem rozsądnym i w gruncie rzeczy uczciwym. Umowa nie mogła mu się podobać. Ale musiał uwierzyć druidom. Po tym, co zobaczył i usłyszał.

Jason palnął się w czoło. Sam widział, może nie bezpośrednio, ale zawsze, widział równie wiele, co szeryf. Usłyszał też niemało. Przeżył coś, w co samemu trudno mu było uwierzyć. Ale miał wątpliwości. Nie wierzył do końca, gdzieś głęboko tkwiły jakieś niejasne podejrzenia. Coś się nie zgadzało.

Było wiele niejasności. Żeby daleko nie szukać, chociażby sprawa dziwnych i krwiożerczych stworów, przenikających do tego świata przez bramę. Bramę otwartą ponoć

przez Matcha. Przecież takie stwory pojawiały się już nieraz. Świadczyły o tym niezliczone opowieści i klechdy. Chociażby większość z nich była tylko zmyśleniem, to przecież gdzieś, głęboko na dnie musiało tkwić ziarno prawdy. Choćby w jednej na tysiąc. Ludzkie bajania mogły zniekształcać i przeinaczać prawdę, smoki w bajkach mogły zyskiwać skrzydła i rogi, zamiast smrodem ziać ogniem i siarką. Gryf mógł być wysoki na półtora chłopca. Ale coś musiało być na początku, być pierwowzorem.

Archetypem, od którego wszystko się wzięło. A to oznaczało...

Zbyt kruche podstawy, skarcił się Jason. Za wcześnie na ostateczne wnioski, za mało danych, na których można się oprzeć. Jednak nie mógł porzucić rozpoczętego rozumowania. Skądś się to wszystko musiało brać. A wniosek był tylko jeden – były na świecie inne otwarte bramy. Niezamknięte lub otwierające się okresowo. Może otwarte jeszcze od czasów obcych, tajemniczych plemion. Może otwierane z tamtej, nieznaney strony. Ale musiały istnieć, to było jedyne logiczne wytłumaczenie. Smoki przecież istniały także we wschodnich podaniach. Trudno było przypuszczać, by zaleciały tam aż z Anglii, z lasu Sherwood. Nie mogły. Nie miały skrzydeł.

Dlaczego więc akurat ta brama jest taka ważna? Czyżby prowadziła w jakieś szczególne miejsce? Być może... Za chwilę jednak Jason przypomniał sobie, co kiedyś powiedział Match, że brama może prowadzić wszędzie. Zależy to tylko od woli. Od mocy, którą się ktoś posłuży.

To na nic, w ten sposób nic nie wymyślę, z rezygnacją skonstatował Jason. Za mało danych. Wciąż wiele pytań. Wciąż brak odpowiedzi.

Ten Copperfield. Jason nie miał wątpliwości, ten szarlatan nie był żadnym czarodziejem. Skąd wobec tego wziął swój „czynnik pomarańczowy”? Sam go nie zrobił, to pewne. Ktoś mu go zatem dał. Tylko kto? Jason, mimo swych długich wędrówek po kraju nie spotkał nigdy nikogo, kto zasługiwałby na miano prawdziwego czarodzieja. Wszyscy, których spotkał, byli marnymi kuglarzami. Oszustami. Zazwyczaj marnie kończyli. Czarodzieje byli tylko w legendach. Czy wzięli swój pierwowzór od oszustów, czy też może...? Byli alchemicy, mieszający różne substancje, w nadziei na uzyskanie złota. Żaden nie mógł pochwalić się sukcesem.

Jednak tajemnicza pomarańczowa ciecz była faktem. Widział jej skutki w wizji. Skąd zatem pochodziła? Może... stamtąd? A może nie...

Było to trudne do uwierzenia. Wręcz niemożliwe. A jednak...

Jason znał tylko jedną grupę ludzi, która miała rzeczywiste, nie do podważenia osiągnięcia i doświadczenia w produkcji tajemniczych środków i eliksirów. Jedynych skutecznych, o jakich słyszał.

Byli to druidzi. Ich wiedza w tej dziedzinie była ogromna. Wystarczyło popatrzeć na Matcha. Był tego żywym dowodem.

Śmierć barona Godfrey'a. Tajemniczy bełt, przebijający z ogromnej odległości zbroję. Rozwiązanie, które wyprzedzało wszystko, co do tej pory wymyślono. Wręcz pochodzące... Z innych czasów?

Druidzi. Tajemniczy, niedostępni. Posiadający niewiarygodną wiedzę. Dokonujący

rzeczy niemożliwych dla normalnych ludzi. Rzeczy, o których krążyły tajemnicze podania. Potężni. Mądrzy. I coraz bardziej nieliczni.

Twardzi, bezwzględni i bezlitośni. Cieszący się nieograniczoną władzą u współwyznawców. Coraz mniej licznych.

Ich wiara, ich system wartości nie wytrzymał bezlitosnej konkurencji. Konkurencji z systemem wartości lepiej przystosowanym do współczesnych warunków. Łatwiejszym i bardziej atrakcyjnym dla coraz liczniejszych ludzi. Bardziej zrozumialiśmy, trafiającym do podstawowych pragnień i instynktów człowieka.

Jason nie był szczególnie religijny. Nie był specjalnie przywiązany do wiary. Jego chłodny umysł pozwalał sobie częściej wątpić, niż było to dopuszczalne. Nie podzielał jednak niechęci Matcha do chrześcijaństwa. Owszem, nie brał udziału w krucjatach, nie widział jego najbardziej krwiożerczego i wynaturzonego oblicza. Choć zdawał sobie sprawę z wielu okrucieństw, jakich dopuszczali się kapłani i wierni. Lecz oni byli tylko ludźmi. Niegorszymi od innych. Często lepszymi.

To Kościół był zwornikiem cywilizacji. I wycinanie świętych gajów, niszczenie pogańskich świątyń, nawracanie i podporządkowywanie sobie kolejnych plemion było jednak postępem. Tylko chrześcijaństwo mogło utrzymać w całości ciągle zaludniający się świat. Tylko Kościół, instytucja ponadnarodowa, ponad plemienna mógł utrzymać w ryzach nieokrzesanych władców. Zgoda, realizując swoje własne cele. Ale nie była to zbyt duża cena.

To mnisi przechowywali i pogłębiali wiedzę. To w klasztornych gospodarstwach stosowano nowe metody uprawy, mogące wyżywić rosnącą liczbę ludności. To papież i biskupi decydowali, kto usiądzie na tronie. Kto zostanie pomazańcem bożym, który dopiero po uzyskaniu namaszczenia staje się dla ludu władcą niekwestionowanym. Posiadającym władzę z nadania samego Boga.

Tak, wycinanie świętych gajów mogło być przykre dla bezpośrednio zainteresowanych. Ale nie było innej drogi. Nie było powrotu do nieskończonych, plemiennych waśni. Nie ma odwrotu od podporządkowania sobie ziemi, czynienia jej poddaną.

Skończył się czas druidów. Skończył się czas plemiennych bogów. Nadeszły inne, nowe czasy. To, co głosili druidzi, kanony wierzeń, sposób życia, wyczerpały się. Nie skończyły się nagle, po prostu wyczerpały. Odeszły, tak jak wszystko inne na tym świecie, gdy wypełni się jego czas.

Jason zamknął w końcu oczy, owinął się burką. Rozmyślał dalej.

Może chrystianizm też się wyczerpie. Powie wszystko, co miał do powiedzenia. Nauczy wszystkiego, czego mógł nauczyć. Jego zasady, przykazania staną się

ogólnie uznawanym

kanonem. Uznawanym za oczywisty. Może kiedyś Kościół przestanie po prostu być potrzebny. Przystanie nadążać za zmieniającym się światem, stanie się anachroniczny. Może nawet... szkodliwy? Hamujący postęp? Może kiedyś, po wiekach. Ale na pewno nie teraz. Teraz to do niego należy przyszłość.

Jason rozmawiał kiedyś z pewnym świątłym mnichem, bibliotekarzem w słynnym na cały kraj klasztorze. Mnich odczytywał mu fragmenty starych kronik. Opowiadał o milenium. Opowiadał, jak wszyscy stłoczyli się w kościołach, czekając... Na co? Nikt tak naprawdę nie wiedział. Ale był w zgromadzonym, modlącym się tłumie ogromny lęk. Lęk, który nie oszczędzał nikogo, ani królów, ani biskupów, ani zwykłych ludzi. Czy z biciem dzwonu na północ rozlegną się trąby wzywające na Sąd? Czy z końcem tysiąclecia wiązą się jakieś Boskie zamiary? Czy Bóg po prostu zwinie cały interes, uznając, że wypełniły się ludzkie losy?

Nie zwinął. Po ostatnim uderzeniu dzwonu nie stało się nic. Ludzie trwali przez chwilę w osłupieniu. Królowie, biskupi i zwykli ludzie. Potem zaczęli się głośno modlić. Była to modlitwa dziękczynna. A potem... Potem powrócili do codziennych zajęć. Do planów na przyszłość. Do pracy. I do występku.

Być może Bóg uznał, że mamy jeszcze co nieco do zrobienia, powiedział wtedy mnich z zagadkowym uśmiechem, zamykając opasy tom kronik.

Co będzie po wiekach? Jak będzie wyglądało następne milenium? Jak będzie wyglądał świat?

Kim będzie papież przełomu tysiącleci? Czy będzie triumfował, jak ten, przed laty?

A może będzie tak, jak teraz druidzi, z lękiem patrzył na swą kurczącą się domenę? Stary człowiek, przygięty wiekiem i chorobą, któremu wszystko przecieka przez palce. Ponoszący kolejne porażki. Z uporem głoszący ideę, która dawno stała się oczywistością. Która wrosła w cywilizację tak, że stała się niepotrzebna. Która została pustą skorupą, pozbawioną treści w zmieniającym się świecie. Która nie ma już nic do zaoferowania.

Słyszany, ale nie słuchany. Podziwiany, ale odnoszący kolejne porażki. Tracący po kolei wszystko. Którego sukcesy ograniczą się do jednego plemienia, które jeszcze nie przekroczyło progę. Ale przekroczy, to nieuniknione. Nieodwołalne. To tylko kwestia czasu.

Stary, zmęczony człowiek, zasklepiony w uwielbieniu tych, co jeszcze pozostali. Nazywający ich nadzieją dla reszty świata. Sumieniem świata. Że to oni, właśnie to ostatnie plemię poniesie znów wiarę w świat. Jeżeli tylko będą stosowali się do nakazów. Jeżeli dochowają wiary. Zachowają tożsamość. To oni będą wzorem dla

świata. Świata, który stoczył się w błędy.

Ten świat przygląda się obojętnie. Ta obojętność jest najgorsza. Świat nie walczy. Świat to wszystko coraz mniej obchodzi. Wszystko to, co najważniejsze. Wszystko to, co najświętsze. Gdyby chcieli się przeciwstawić. Gdyby chcieli walczyć. Wtedy byłoby łatwiej. Ale nie jest. Niełatwo walczyć z obojętnością.

Co będzie później? Co będzie, gdy go zabraknie? Stary człowiek dobywa resztek sił. Jeszcze jest czas... Spogląda na współplemieńców, tych, co przy nim pozostali. Widzi przywiązanie. Uwielbienie. I znów wzbiera nadzieja. Jeszcze nie wszystko stracone. Jeszcze jest czas...

Jason zerwał się z postania. Głęboko odetchnął, starając się uspokoić bijące gwałtownie serce.

Czy to była wizja? Tego, co kiedyś będzie, co może być? Czy tylko sen? A może po prostu majaczenia zmęczonego umysłu?

Nie wiedział. Był zbyt zmęczony, nie potrafił jasno myśleć. Osunął się z powrotem na derkę. Słuchając, jak Basile pogwizduje we śnie przez nos, wsłuchiwał się w bicie własnego serca.

Dość tego, Jason, nakazał sobie. Pomyśl o czymś innym.

Długo leżał bez ruchu.

–Match, śpisz? – zapytał wreszcie. Cisza, równy oddech.

–Match, śpisz? – spytał głośniejsze. Match poruszył się.

–Uhm... – mruknął niewyraźnie. – Tak, śpię...

–Nie łyj – powiedział Jason. – Jakbyś spał, to byś nie odpowiedział. Match usiadł na postaniu.

–Czego chcesz? Wyglądał na rozbudzonego.

–Wiesz, pomyślałem sobie, że szeryf może na ciebie czeka. Ale czy straż nas wpuści? Match ziewnął rozdzierająco.

–Czy ty nie masz większych zmartwień? Zwłaszcza teraz?

–Chwilowo nie – odparł Jason. – Tak przyszło mi na myśl...

–To się nie obawiaj. W Nottingham wszyscy mnie znają, nie martw się, dobrze

zapamiętali. Nie sposób, żeby nie poznali.

Położył się znowu. Owinął burką nawet z głową, mimo iż było ciepło. Najwidoczniej dawał do zrozumienia, że nie ma dalszej ochoty na rozmowę.

–Wpuszczą na pewno – dodał jeszcze, głosem stłumionym przez derkę. Demonstracyjnie zachrapał. Jason potrząsnął go za ramię.

–Match! – powiedział nagle.

–Co jest? – zamruczał Match.

–Śpij szybko, zaraz świta! Spod derki dobiegło niewyraźne przekleństwo.

–Wpuszczą na pewno? – w głosie Jasona można było wyczuć gryzącą ironię.

Match nie odpowiedział. Nawet nie spojrzał tym swoim wzrokiem pełnym wyrzutu i zranionej ambicji, jakim spoglądał, gdy okazywało się, że nie miał racji. Jak pomyślał z rozbawieniem Jason, ostatnio zdarzało się to nader często. Zwłaszcza dzisiejszego ranka, odkąd wjechali do miasta.

Nottingham. Miasto zmieniło się od czasów, które pamiętał Match. Rozbudowało się. Nie było już tym miastem, którego nienawidził przez całe lata, które najpierw było symbolem, siedzibą wroga. Obiektem do zdobycia i spustoszenia. A w końcu stało się więzieniem.

Nie poznawał dobrze znanych miejsc. Wszędzie nowe domy, stajnie, kramy. Bruk na uliczkach, które pamiętał jako błotniste, pełne wybojów i śmieci. Owszem, śmieci i gnój były nadal. Nawet więcej niż kiedyś. Ale kopyta koni stukały po kamieniach, nie grzęzły w lepkim błocie.

Nawet szczury wydawały się tłuściejsze, bardziej zadowolone z życia.

Gdy dojeżdżali do miejskiej bramy, Jason spostrzegł, że twarz Matcha stężała. Gdy mijał nielicznych, zdążających do miasta ludzi, kupców i wieśniaków, prostował się mimowolnie w siodle, spoglądał mijanym wyzywająco w oczy. I napotykał obojętność. Żadnej reakcji. Żadnego błysku rozpoznania. Żadnego lęku. Lęku przed osławionym Wieprzem z Nottingham.

Przejechali przez bramę, w której senny strażnik w opuszczonym na same oczy hełmie nie poświęcił im najmniejszej uwagi. Nie tylko im zresztą. Strażnik nie poświęcał uwagi nikomu. Gdyby nie wydobywające się czasami spod okapu hełmy odgłosy smarknięć, można byłoby go wziąć za stracha na wróble, stał tak samo nieruchomo i obojętnie. Długa glewia stała niedbale oparta o mur. Innej widocznej broni strażnik nie posiadał.

Match, mijając go, wymamrotał pod nosem jakieś przekleństwo.

Prawda, pomyślał Jason, przecież długie lata służyłeś u szeryfa. Chyba nawet pod koniec stałeś się dowódcą straży. I to teraz nie podoba ci się.

Jason miał rację. Za czasów Matcha taki strażnik nie miałby szans na dalszą karierę. O ile w ogóle zostałby strażnikiem.

Mimo iż nie był to dzień targowy ani żadne święto, ulice były ludne. Gdy wyjechali z cienia bramy Match zatrzymał się i rozejrzał bezradnie. Przez chwilę wydawało się, że

nie wie, dokąd jechać. Wreszcie ruszył, napierając końską pierśią na przechodniów.

Ci rozstępowali się niechętnie, dało się słyszeć słowa świadczące o jakimś braku szacunku. Złe spojrzenia, zupełnie pozbawione lęku.

Match musiał w końcu zrozumieć, że nikt go nie poznaje. Nikt nie wie, że przed laty był w tym mieście powszechnie znienawidzony. Że nie spełnią się obawy, które dręczyły go od wielu dni, w których nieskończoną ilość razy wyobrażał sobie swój wjazd do miasta. Wyobrażał sobie nienawistne spojrzenia, ludzi rozstępujących się ze strachem, szmer nieprzyjaznych głosów. Owszem, nienawistne spojrzenia były. Wtedy, gdy przypadkiem kogoś potrącił.

Nie tak to sobie wyobrażał. I wtedy po raz pierwszy Jason dostrzegł na jego twarzy wyraz zagubienia i niepewności. O mało się nie roześmiał. Wyraz twarzy Matcha dziwnie przypominał Basile'a, który rozglądał się dokoła z ciętym zachwytem i absolutną bezmyślnością wypisaną na twarzy.

Basile był usprawiedliwiony. Pierwszy raz w życiu trafił do miasta.

Zażywny mieszczanin bezceremonialnie wepchnął się pomiędzy nich. Koń Matcha chrapnął, szarpnął się w bok. Zanim jeździec zdążył nad nim zapanować, przycisnął do drewnianej barierki starszawą jejmość. Jejmość upuściła koszyk, z koszyka wysypały się jajka. Większość się stłukła.

Kobieta rozdarła się piskliwie, używając słów, które jako żywo nie przystoją szacownej kramarce w średnim wieku. Jasonowi opadła szczęka. Dawno nie słyszał tak kunsztownych przekleństw.

Match w końcu zapanował nad tańczącym rumakiem. Nie było to łatwe, koń, rzekomo dar wracającego z krucjaty rycerza, należał do tych bardziej nerwowych. W lesie, na gościńcu nie było z nim większych problemów, o ile dosiadający go człowiek pamiętał, że ma niemiły zwyczaj ocierania się o każde napotkane drzewo, jakby go strasznie coś swędziało. Ale w mieście, w gwarnym tłumie koń stracił się zupełnie. Stulił uszy, opuścił łeb, rzucał na boki niespokojne spojrzenia. Wypisz, wymaluj, jak jego jeździec, zauważył Jason ze śmiechem.

Starszawą jejmość klęła dalej. Match wstrzymywał konia, coraz bardziej czerwieniejąc. Dokoła zaczęli gromadzić się ciekawscy, nie szczędząc okrzyków zachęty i uznania dla pyskatej kobiety.

Jason ocknął się. Trzeba coś zrobić, zanim Match wybuchnie. Albo zanim zabije go ta panusia. Na szczęście Match znalazł lepsze rozwiązanie niż rozplatanie kobiety na dwoje. Sięgnął do sakiewki i nie patrząc rzucił kilka monet. Kobieta zerknęła czujnie i zaczęła jeszcze głośniejsze zawodzić. Tym razem były to podziękowania i życzenia długiego, pomyślnego życia. Match, o ile to w ogóle możliwe, poczerwieniał jeszcze

bardziej. Chciał wycofać się, jednak utrudniali to tłoczący się gapie.

Pomógł Basile. Widząc, co się dzieje, napał na stłoczonych, kpiących już w żywe oczy ludzi. Wystarczyło, że uniósł w górę wielką jak bochen chleba pięść. Tłumek ucichł w mgnieniu oka, gapie rozstępowali się, patrząc w ziemię. Można było ruszać.

Z twarzy Match zniknął powoli krwisty rumieniec. Jason podjechał do niego.

–Coś ty zrobił? – spytał.

–Jak to co? – syknął Match wściekle. – Przecież nie chciałem, to głupie bydlę się spłoszyło.

Rękawicą chlasnął konia między uszy. Koń jeszcze bardziej zmrużył oczy, ale nic ponad to. Był przyzwyczajony.

–Nie o to chodzi... – Jason spojrzał na niego uważnie. – Ileś ty jej dał?

–Nie tak dużo... – odpalił Match. – Tyle, ile było trzeba...

–Ile? – naciskał Jason. Match popatrzył w bok.

–Nie wiem... – przyznał po chwili. – Jason, przecież trzeba było zapłacić... – Ale nie tyle! Chryste, Match, za tyle, to ona może sobie kupić całe stado niosek, nie tylko kilka jajek. I na dodatek koguta! Match spojrzał wyniośle i z urazą.

–Ty, Jason, zawsze będziesz skąpiradłem. Zgoda, wiem, że to twoje pieniądze, ale to nie powód, żebyś od razu wypominał. Zresztą, oddam ci...

Oddasz, oddasz, pomyślał Jason. Ciekawe, kiedy? I z czego?

Match popędził konia, wysforował się naprzód. Dojeżdżali do bramy zamkowej. Widząc dwóch strażników, zgoła innych niż ten stojący w bramie miejskiej, Match rozpogodził się trochę. Wreszcie jakiś porządek. Zbrojni wyglądali na czujnych, nie spali na posterunku, nie smarkali. Głowie trzymali prawidłowo, nie odstawiali ich, opartych o mur. Przy pasach mieli krótkie miecze, dobre do walki pieszej. Spod okapów hełmów, nisko nasuniętych na oczy, błyskały uważne spojrzenia.

Na widok zbliżającego się Matcha wyprostowali się. Wreszcie jakiś porządek, pomyślał ponownie Match. No, Jason, teraz zobaczysz... Myślisz, że nie wiem, co znaczą te twoje krzywe uśmieszki... Myślisz, że ich nie zauważyłem...

Zbliżając się do strażników, władczo skinął ręką, nakazując, by usunęli się z drogi. Odwrócił się do Jasona, posyłając mu znaczące spojrzenie.

Zanim jeszcze pojął, co oznacza wesoły, kpiący uśmiech Jasona, usłyszał trzask

krzyżowanych glewii.

–Nie wolno!

Wydawało się z początku, że to jedyne słowa, jakie znają strażnicy przed bramą Ten, co pojawił się za nimi, w cieniu bramy, sprawiał wrażenie niemowy. Braki w elokwencji rekompensował sobie, wodząc napiętą kuszą po oczekujących.

–Nie wolno!

Była to jedyna odpowiedź, jaka padła na żądanie Matcha, by dali wolną drogę. Jedyna, jakiej strażnicy udzielili, gdy podniósł głos. Jedyna, gdy spytał, czy wiedzą, kim jest. A także jedyna, gdy zsiadł z konia i zaczął ich kląć.

Bardziej wyczerpująca odpowiedź padła dopiero wtedy, gdy Match, zachrypnąwszy od przekleństw, ucichł na chwilę, a następnie cichym, jadowicie spokojnym głosem poprosił strażników, by wyjaśnili, dlaczego właściwie nie wolno.

–Nie wolno i już! – usłyszał wyczerpujące i ostateczne wyjaśnienie. Poparte nieartykułowanym mruknięciem osobnika z kuszą. Oraz niedwuznacznym podrzuceniem tejże

kuszy.

Jason, trzymając się wraz z Basile'em przezornie nieco z tyłu, krztusił się od z trudem hamowanego śmiechu. Match uznawał tylko proste, bezpośrednie sposoby. Gdy nie skutkowały, wściekał się tylko. Wściekał, zamiast pomyśleć. No cóż, niech jeszcze próbuje, postanowił na widok spojrzenia Matcha. Znowu się pomyliłeś, pomyślał złośliwie.

Match znowu zaczął kląć. Tym razem głosem cichym i spokojnym. Bez rezultatu.

Dosyć tego. Jason zsiadł z konia, podszedł do Matcha, słuchając jego monologu o świńskich cyckach, pieprzonych gównojadach i świńskich psach. Wyjął zza paska małą sakiewkę i bawił się podrzucając ją w dłoni. Trzy pary oczu poczęły śledzić jego manipulacje. Napięta kusza opadła nieco.

Brzęk monet dawał się słyszeć wyraźnie, nawet w potoku przekleństw. Glewie zakołysały się lekko.

–Wy świńskie ryje – Match zaczynał się już powtarzać. – Pytam po raz ostatni, najostatniejszy! Czy usuniecie się z drogi, czy mam wyrwać wam te śmierdzące kulasy i rzucić

psom do zabawy?

Na strażnikach nie robiło to większego wrażenia. Całą ich uwagę pochłaniał Jason i jego sakiewka. A raczej przede wszystkim sakiewka. Jeden ze zbrojnych zaczął uśmiechać się szeroko.

–Śmierdziele sakramenckie! Czy wy wiecie, komu zagradzacie drogę? Czy wiecie, kim ja...

–Nie wiedzą – przerwał mu stanowczy głos, dobiegający z mrocznej bramy. – Nie mogą cię pamiętać, są tu nowi...

Szeryf wyszedł z cienia, odsuwając strażnika z kuszą. W oczach pozostałych ukazał się straszny żal i zawód.

–Powtarzasz się, Match – szeryf taksował wzrokiem przybyłych. – Kiedyś umiałeś lepiej

przeklinać, wyszedłeś z wprawy.

Popatrzył na Jasona i jego sakiewkę.

–Muszę cię ostrzec, przyjacielu, że moich strażników nie można przekupić...

–Każdego można – wyszczerzył zęby Jason, chowając sakiewkę. Czynności tej towarzyszyło potrójne westchnienie, pełne poczucia niewysłowionej krzywdy. Szeryf groźnie spojrzał na strażników. Wyprostowali się gwałtownie.

–Nie można, kiedy jestem w pobliżu. – wyjaśnił szeryf. – A ja zawsze jestem, przynajmniej im powinno się tak wydawać. Nic się przede mną nie ukryje. Bywały precedensy...

Jason nie uwierzył. Był pewien, że by się udało. No cóż, skoro tak twierdzi...

–Odprowadzić konie szlachetnych panów – rozkazał zbrojnym szeryf. Popatrzył na Basile'a.

–I jego też – dodał. – Znaczy, nie jego konia, tylko jego samego, i nie do stajni, tylko do

czeladnej... Pozwólcie za mną. Nie czekając, wkroczył w cień bramy.

Sala zamkowa nie zmieniła się zbyt wiele od czasów, które pamiętał Match. Może tylko wiszący na ścianie gobelin był bardziej zjedzony przez mole. Może sprzęty wyglądały zasobniej niż kiedyś. Widać przyszły wreszcie lepsze czasy. Szeryf powetował

wreszcie straty, jakie poniósł w pamiętnej wojnie.

Wino też było lepsze, niż Match pamiętał. Co prawda, nie miał wtedy okazji do kosztowania go tu, w słonecznej komnacie. Gdy był już dowódcą straży, dostąpił w końcu zaszczytu zasiadania przy niskim stole. Ale na niski stół też nie trafiało najlepsze wino. Wtedy był czas oszczędności.

Teraz nie był już dowódcą straży. Sam nie wiedział, kim tak naprawdę jest. Gościem? Chyba nie całkiem.

Kimkolwiek by był, szeryf traktował go jak gościa. Jak równego sobie. Jasona również, pomijając krótkie zmarszczenie brwi na jego widok. Wyglądało to tak, jakby usiłował sobie coś przypomnieć.

Sam szeryf przekroczył już pięćdziesiątkę. Jego włosy i broda, niegdyś wyzywająco czarne, teraz przybrały barwę soli z pieprzem. Trzymał się jednak prosto, nie było po nim znać ciężaru lat. Tylko on sam coraz częściej zdawał sobie z niego sprawę.

Sługa przyniósł nowy dzban wina i dyskretnie zniknął.

Match zaczynał się niecierpliwić. Nie był przyzwyczajony do konwenansów, chciał jak najprędzej przejść do konkretów. Zdawał sobie sprawę, że takie przyjęcie miało go uhonorować. W dodatku więc czuł się zażenowany. Pamiętał o tym, o czym nie wiedział, gdy ostatni raz rozmawiał z szeryfem. Pamiętał o swym długu.

Tymczasem Jason czuł się jak najlepiej. Zadowolony, że ktoś wreszcie traktuje go tak, jak lubił. Z lubością sączył wino. Było lepsze niż to, które zorganizował Basile.

Szeryf spostrzegł wreszcie, że Match czuje się nieswojo.

–No dobrze, Match – powiedział. – Przejdźmy do naszych spraw. Oczekiwałem cię tutaj,

mimo twojej wcześniejszej odmowy. Ale wiesz co? Chyba nie będziemy zanudzać twojego

towarzysza...

Zwrócił się do Jasona.

–Pozwolicie, panie, że sługa wskaże wam komnatę? Na pewno chcielibyście odpocząć po

podróży...

–Nie – przerwał Match. – Jason zostanie. On jest, że tak powiem, bezpośrednio

zainteresowany...

–Czyżby? – spytał sceptycznie szeryf, wciąż uparcie przypatrując się Jasonowi.

–Gdyby nie on, pewnie nie byłoby mnie tutaj – zapewnił Match. – On wie być może więcej od nas...

Szeryf wciąż przyglądał się Jasonowi. Jakby wciąż szukając czegoś w zakamarkach pamięci.

–Siedzę w tym wszystkim po same uszy – zapewnił Jason, szczerząc zęby.

–Jak jeszcze powiesz, że rozumiesz, to chyba nie uwierzę – mruknął szeryf. Uśmiech znikł z twarzy Jasona. Szeryf miał rację.

–No dobrze, panie...

–Jason.

–Jason skąd?

–Znikąd. Po prostu Jason.

**–Nieważne zresztą – szeryf potrząsnął głową, pociągnął łyk wina ze swojego kubka.
– Skoro tak, to przejdźmy do rzeczy...**

Match stał się dziwnie milkliwy. Cały ciężar opowiadania spadł więc na Jasona. Początkowo nie wiedział, ile może powiedzieć, jak głęboko sięgnąć. Spoglądał początkowo pytająco na Matcha, jednak Match ani razu nie dał do zrozumienia, że cokolwiek należy pominąć. Jason powiedział więc wszystko. Wszystko, co usłyszał od Matcha i przeora. Wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie pół roku. Pomiął jedynie swoje własne przemyślenia. Pomiął wątpliwości, jakie ostatnio zaczęły go nachodzić.

Szeryf słuchał uważnie, bawiąc się pustym już kubkiem. Czasami wtrącał pytania. Jason zorientował się z nich, że i szeryf siedzi w tym po uszy, jak sam przedtem się wyraził.

Trwało to długo. Gdy Jason wreszcie skończył, szeryf odstawił kubek.

–Tak – powiedział zamyślony. – Jak widzę, wygląda to gorzej, dużo gorzej... Urwał, potarł z namysłem czoło.

–Gorzej niż...? – zapytał Jason.

–Gorzej, niż mi się wydawało. Dobrze, teraz moja kolej. Chwilę tylko, zaschło mi w

gardle, a wino się skończyło.

Sługa musiał czekać gdzieś niedaleko, szeryf nawet nie podnosił zbytnio głosu. Jason podniósł pełny kubek, cmoknął z uznaniem.

–Przed rokiem miałem gościa – zaczął szeryf. – Nigdy bym się nie spodziewał, że przyjdzie do miasta. Powiem więcej, przez te wszystkie lata zaczynałem mieć nadzieję, że w

ogóle nie przyjdzie. Że to wszystko, co kiedyś mówił, mogło się nie sprawdzić, nawet nie być

prawdą. Niech to diabli, zaczynałem przypuszczać, że mnie oszukał. Wiecie co? Zaczynałem

się z tego cieszyć. Niestety, tak nie było.

Szeryf spojrzał na Matcha.

–Wiesz, o kim mówię?

–Wiem – potwierdził Match beznamiętnie. W ogóle od samego początku sprawiał wrażenie, jakby to wszystko go nie dotyczyło.

–Więc przyszedł – ciągnął szeryf. – Na swój własny sposób. Wlazł prosto tutaj. Potem strażę przysięgały, że nikogo nie wpuszczono. Usiadł, tam gdzie ty teraz siedzisz...

Wskazał na Jasona.

–Tak samo bezczelnie rozparty – szeryf uśmiechnął się. Jason wyprostował się machinalnie. – I wiecie co? Ten sukinsyn nic się nie zmienił! Przez te wszystkie lata!

–To normalne – wtrącił Match.

–Nie – rzucił sucho szeryf. – To nienormalne.

–W tym przypadku tak.

–Cały ten przypadek jest nienormalny – w głosie szeryfa była złość. – Mniejsza z tym. Rozparł się na tej ławie i zaczął mnie opieprzać. Że złamałem umowę. Że straciłem cię z oczu. Wypuściłem z rąk. I teraz na mnie spadnie wszystko to, co się stanie. Na moje sumienie. To ja będę winien. I że mam jedną, jedyną szansę. Natychmiast cię odszukać, o ile nie jest za późno. Spytałem tylko, co wtedy, jak jest

za późno. Powiedział...

Szeryf przerwał. Znów pociągnął łyk wina.

–Powiedział, że wtedy to i tak wszystko jedno. I ma tylko nadzieję, że zginę pierwszy. Zaraz zresztą poprawił się. Powiedział, że to on mnie zabije – szeryf uśmiechnął się złym uśmiechem. – Bo takiego durnia jeszcze nie widział...

–A co wy na to, panie? – spytał Jason.

–No cóż, wściekłem się. Bo co sobie będzie pozwalał! Powiedziałem, że zawołam straż, i zaraz wyrzucą go stąd na zbity pysk. A on na to... On po prostu uśmiechnął się tym swoim wrednym uśmieszkiem i powiedział, żebym wołał, jeśli wola... Owszem, zawołałem. Prawie gardło sobie zdarłem od wrzasku. Ale nikt nie przyszedł. Nikt nawet nie odpowiedział. A przecież zawsze są blisko, w zasięgu głosu...

–To też normalne – wtrącił znów Match.

–Może dla ciebie. Bo dla mnie nie. Zorientowałem się, że jestem zdany na jego łaskę, nikt mi nie pomoże. W moim własnym zamku! Wśród mojej straży!

Szeryf parsknął gniewnie, jeszcze raz przeżywając tamtą, upokarzającą sytuację. Po chwili się uspokoił.

–Powiedziałem, że spróbuję. Co mogłem zrobić? Spróbuję, o ile się uda, ale za nic nie ręczę... On na to...

–Zaraz – przerwał Jason. – Poczekajcie, panie. Match był wtedy w klasztorze... On o tym nie wiedział?

–Chwileczkę... – zastanowił się szeryf. – Rzeczywiście, chyba nie wiedział. Był... zdenerwowany. Wszyscy wiedzieli o twoim wyjeździe na krucjatę, Match. Wieści rozniosły się

szybko. Mówiono, że pojechałeś odbywać pokutę...

Match uśmiechnął się krzywo. Istotnie, odbył.

–Ale o twoim powrocie wiedziało niewielu. Tutaj, prawdę mówiąc, nikt. Tak, on nie wiedział... I był zdenerwowany, teraz dopiero to do mnie dotarło...

–Daj spokój, szeryfie – Match skrzywił się z powątpiewaniem. – Druid zdenerwowany? Nie uwierzę...

–Mów, co chcesz. Może to nie było zdenerwowanie. Ale to tak... Wiesz, on zawsze

sprawia wrażenie zimnego. To on stawia warunki, on rozstawia figury na szachownicy. Ale ja z nim rozmawiałem kilka razy. I wydaje mi się, że potrafię zauważyć, kiedy mu na czymś zależy. To takie trudne do uchwycenia. Ale przecież on też ma jakieś cele, mimo że ich nie zdradza... Nie wierzysz? Trudno...

Match siedział nieporuszony. Szeryf wzruszył ramionami.

–Powiedział, że wróci niebawem. I wyszedł, tak po prostu, bez pożegnania. Wtedy pojechałem do ciebie. Nie, nie od razu. Dopiero wtedy, gdy zaczęły dochodzić niepokojące wieści. Kiedy w lesie znów zaczęli ginąć ludzie. Kiedy zaczęto znów mówić o pojawianiu się dziwnych rzeczy. Uznałem, że niestety miał rację, że znów się zaczyna. Może nawet to, co przepowiadał, coś znacznie groźniejszego niż kiedykolwiek dotąd. Posłuchałem go, niechętnie, ale posłuchałem. Pojechałem do ciebie, Match. Wiesz, z jakim rezultatem.

–Przepraszam.

Jason spojrział na Matcha ze zdziwieniem. Nie spodziewał się, że padnie to słowo. To nie było w stylu Matcha, tak od razu...

–Nie przepraszaj, nie masz za co – szeryf także był zdziwiony. Tak, pomyślał Jason, on zna go dłużej ode mnie.

–Mam – Match patrzył w podłogę, posypaną uschłymi łydygami tataraku. – Powinienem przyjechać. Byłem to...

–Winien? – spytał szeryf. – Nie, Match, nie byłeś. I, psia krewo, nie mówmy więcej o tym. Nie licytujmy się, bo nic z tego nie będzie! Odwrócił się gniewnie. Zapadła cisza.

–No dobrze, panowie – odezwał się w końcu Jason. – Skoro nie będzie, to może kontynuujemy...

Obaj rzucili mu złe spojrzenia. Jason aż skurczył się na swej ławie.

–Nie przyjechałeś – podjął szeryf po dłuższym milczeniu. – On pojawił się znowu.

Obawiałem się tego spotkania, przyznaję. Ale on wysłuchał spokojnie tego, co miałem do

powiedzenia. Wysłuchał, że rozmawiałem z tobą, i ty odmówiłeś. Uśmiechnął się wrednie i

powiedział, że to wystarczy. Że miałem szczęście. Nawet nie pytał, gdzie jesteś. Po prostu

wyszedł. I to wszystko.

–Wszystko? – zdziwił się Jason.

–Tak, wszystko – odparł szeryf. – Nie raczył się więcej pojawić. A ja nie powiem, żebym za nim tęsknił.

Splunął na posypaną zeschniętym tatarakiem kamienną posadzkę.

–Dlaczego nie przyjechałeś drugi raz? – spytał Match. – Po mnie? Przecież gdybyś powiedział wszystko, wszystko, co się zaczęło dziać... Przecież bym przyjechał...
Wtedy nie

zdawałem sobie sprawy, że to tak poważne, że znów dzieje się źle... Dopiero Jason, dopiero te

jego wizje i prorocтва, dopiero to mi uświadomiło... Dlaczego nie nalegałeś?

Match mówił cicho, ale z napięciem w głosie. Szeryf nieoczekiwanie uśmiechnął się.

–Dlaczego? – spytał. – Pytasz dlaczego nie powiedziałem, że zaczynają się poważne problemy? Widzisz, to jest najdziwniejsze. Coś, co najbardziej mnie zastanawia. Bo te

problemy w porównaniu z tymi, które były kiedyś, które pamiętamy, nie są poważne.

Słowa zawisły w powietrzu. Jason zaczął słuchać uważniej.

–Pamiętasz, Match, co pojawiała się kiedyś? – ciągnął szeryf. – Było to coś, z czym prawie nie potrafiliśmy walczyć. Z czym tak naprawdę nie wygraliśmy. Bo tak naprawdę, z małymi wyjątkami, samo zdechło. Wtedy rzeczywiście było tego wszystkiego pełno – wyvern, wilkołaki, nawet pieprzony smok! Do wyboru. A teraz? Teraz to chłopci zatłukli wilkołaka, owszem, zagryzł kilka osób. Zaczęło ginąć bydło na polach. Ktoś tam widział, zaraz, jak to się nazywa? Mantikora? Ale bydło zawsze ginęło. Owszem, plotki krążą paskudne. Ale plotka, jak to plotka, zawsze wyolbrzymia.

–Zaraz – przerwał Jason. – A gryf? Sam widziałem... ,,:

–Nie pierwszy przecież – zauważył szeryf. – Prawda, Match? Match niechętnie przytaknął. Rzeczywiście, zdarzało się.

–Widzisz, Match, zacząłem się zastanawiać. I doszedłem do wniosku, że nie ma

porównania z tamtymi czasami. Jeżeli dobrze pomyśleć, to przecież zawsze takie paskudztwa

się pojawiały. Zawsze i wszędzie...

Zgadza się, pomyślał Jason. Bystry człowiek z tego szeryfa, zwraca uwagę na te same rzeczy. Co szczególnego jest w tym, co dzieje się teraz?

–No i cóż to szczególnego się teraz dzieje? – spytał szeryf. – Ma być gorzej, zbliża się coś

straszego. Ale to tylko słowa. Jego...

Szeryf spojrzał wymownie na Jasona.

–I twoje.

Jason nie komentował. Szeryf znużonym gestem potarł czoło.

–Match – powiedział po chwili. – Może jednak on ma rację. Może spotkamy się z czymś strasznym. Może grozi nam zagłada. Ale ja, po tylu latach, już nie potrafię się bać. Coś się wypaliło. Jestem już zmęczony, nie widzę jasno. Nigdy zresztą nie widziałem. Jednak to, że wszystko jest normalnie, jak zawsze... To właśnie mnie niepokoi. Szukam wszystkiego, co mogłoby temu przeczyć, szukam rozpaczliwie. I niewiele znajduję.

–Wszystko jest normalnie? – spytał Match.

–W zasadzie tak – odparł zmęczonym głosem szeryf. – Ostatnio nawet te wszystkie pogłoski przycichają. Ot, niedawno, zdarzyło się, że zniknął z pastwiska buhaj rozplodowiec, duma mojego sąsiada, sir Henryka. Zniknął, nie zostawiając śladów, żadnych śladów. Krwi, walki, nawet racic...

–To mógł być wyvern – ożywił się Match.

–Nie był – pokręcił głową szeryf z błyskiem rozbawienia w oczach.

–Skąd wiesz? – obruszył się Match. – Ja naprawdę sporo wiem o tym wszystkim...

–To nie był wyvern, jestem pewien.

–A to niby dlaczego? Sam mówiłeś, że nie było śladów na ziemi. Tylko wyvern, i to nieźle wyrośnięty może unieść w powietrze dorosłego byka...

–Stąd wiem, że wyvern zeżarłby tego buhaja, a nie sprzedawał na jarmarku w mieście. A tak właśnie schwytano sprawcę. To nie był wyvern, tylko niejaki Tłumok,

pomocnik kowala z pobliskiej wsi...

Jason roześmiał się. Match nie. Nie lubił, gdy stroić sobie z niego żarty. W tym przypadku poczuciem humoru Match potrafił dorównać kotom, jak wiadomo najbardziej obraźliwym i pozbawionym poczucia humoru stworzeniom.

–Okręcił racice buhaja szmatami, żeby nie było śladów, i tak wyprowadził z pastwiska.

Wszyscy zastanawiali się, jak mu się to udało, ten byk to był naprawdę wściekły bydlak. Swoją

drogą, onże Tłumok w pełni zasłużył sobie na swój przydomek. Trzeba być idiotą, żeby na

jarmarku próbować sprzedać kradzionego byka, który był sławny w całym hrabstwie...lak

chcesz, Match, możesz sobie z nim pogadać, znaczy, z Tłumokiem, nie z bykiem. Siedzi tu

sobie w lochu, aż zadecyduję, co z nim zrobić...

Match nie przejawiał specjalnej ochoty do konsultacji z Tłumokiem. Był zły.

–Wiesz, po co to mówię? – spytał szeryf. Match milczał. Odpowiedział za niego Jason.

–Gdyby nie głupota, rzeczywiście niebotyczna, onego Tłumoka, buhaj zniknąłby bez śladu. I byłoby na wyverna...

–Właśnie – potwierdził szeryf. – I właśnie dlatego mam mieszane uczucia... Match nie ma mieszanych uczuć, zauważył Jason, spostrzegłszy zaciśnięte wargi. On wie. On czeka. Boże, spraw, żeby nie miał racji.

–Dosyć na dzisiaj – zdecydował szeryf, usiłując nalać sobie wina z pustego dzbanka. – Skaranie z tą służbą... Match, rozumiem, że zostajesz?

–Tak – potwierdził Match. – Zostaję. Chyba na dłużej. Zatrzymamy się w mieście... Mam

przecucie...

Cholera, ten znowu ma przecucie, skrzywił się Jason. Nie tylko on. Szeryf też nie wyglądał na zachwyconego.

–Mam przecucie, że jednak nie masz racji. Coś się szykuje, wierzcie mi – dokończył bezbarwnie.

A niech cię, zaklął w duchu Jason. Po raz pierwszy usłyszałem coś pokrzepiającego, a ty musisz...

Match wstał z ławy. Spojrzał na Jasona.

–Zaczekaj, Match – powstrzymał go szeryf. – Zdaję sobie sprawę, że pewnie nie masz

ochoty być moim gościem. Dlatego chcę ci zaproponować... Nie, nie marszcz się tak, nie

stanowisko dowódcy straży. Zresztą jest zajęte, a na nowego dowódcę nie narzekam...

Match skrzywił się.

–Jasne – spostrzegł to szeryf. – Wiem, że ci nie dorównuje, zbrojni też nie tacy, jak za twoich czasów. Ale teraz są inne czasy, ci w zupełności wystarczają. I są tańsi od tych twoich zabijaków... Wracając do rzeczy. Nie chcę cię krępować okazywaniem ci gościny, znam cię na tyle, że wiem, iż czułbyś się źle. Nie zaprzeczaj...

–Ani myślę... – mruknął Match.

–Chcę zaproponować coś innego. Widzisz, brakuje mi Gisbourne'a. Kogoś, kto zająłby miejsce hrabiego, Panie, świeć nad jego duszą. Kogoś, komu mógłbym zaufać... Czy się zgodzisz?

Match nie odpowiedział od razu.

–Szeryfie – powiedział w końcu, wolno i z namysłem. – Po pierwsze, byłbym zaszczycony propozycją gościny w twym zamku. Choć masz rację, czułbym się źle. Twoja druga propozycja... Też jestem zaszczycony. Tylko widzisz, ja nie zostanę tu zapewne długo. Tak, to przecucie. I proszę, nie zaprzeczaj. Nie mogę podjąć się czegoś, o czym wiem, że wkrótce będę musiał porzucić... – Zdaję sobie z tego sprawę, Match. Przyjmij, że na jakiś czas...

–Zgoda – odparł Match. Nic więcej. Szeryf zwrócił się do Jasona.

–Wam, panie, również ofiaruję gościnę – powiedział oficjalnie. – Choć od razu zastrzegam, nie liczcie specjalnie na stanowisko...

–Dziękuję – roześmiał się Jason. – Ale wybaczcie, panie, ja nie przywykłem... Co tu dużo mówić, lepiej mi będzie w zajeździe, a i wam kłopotu nie przysporzę. Tęskniłem za miastem, już w Lincoln...

–Lincoln! – wykrzyknął szeryf.

–Co, Lincoln? – wymamrotał Jason zaskoczony. Match spojrzał zaintrygowany. Szeryf uśmiechnął się złośliwie.

–Rynek w Lincoln – wyjaśnił. – A na rynku pręgierz. Zastanawiałem, skąd znam waszą

twarz, panie... Wyglądaliście, co prawda, trochę inaczej, bez tych blizn... Zresztą, pod

pręgierzem każdy wygląda inaczej...

Jasona zatkało. Tylko na chwilę.

–Mówicie, panie, o tej pożałowania godnej pomyłce... – zaczął z godnością. – Ten tłusty sukinsyn z rudymi kłakami nie miał żadnych podstaw... Zresztą, wszystko się niebawem wyjaśniło.

–A właśnie – zaciekawiał się szeryf – Może mógłbyś opowiedzieć, jak się wyjaśniło. Bowiem mój przyjaciel i kuzyn, co prawda daleki, królewski szeryf miasta Lincoln, u którego bawiłem w gościnie... Tak, ten właśnie tłusty sukinsyn z rudymi kłakami. Otóż mój przyjaciel mówił, że pręgierz to tylko początek. Ze później czeka cię szubienica. A ty jakoś nie wyglądasz na odciętego od stryczka...

Jason skrzywił się boleśnie. Niechętnie wracał pamięcią do tego szczegółu swej biografii.

–Jak już mówiłem, wszystko się wyjaśniło – wyjaśnił wciąż godnie i sztywno. – Zostałem

oczyszczony z zarzutów i wypuszczony...

–Ciekawe, ciekawe... – pokręcił szeryf z powątpiewaniem głową. – William, mój przyjaciel i krewniak opowiadał wszakże, że złapano cię na oszustwie. Mało tego, gdy

oszukańczo pozbawiłeś pewnego mieszczanina sakiewki, konia, nie wspominając o pierścieniach, to jeszcze nastawiałeś na jego życie.

–Co, ja nastawałem?! – zerwał się Jason. – Ja nastawałem?! To ten skurwysyn, jak już

splukał się do samych gaci, to skądś wyciągnął sztylet! Może zresztą z tychże właśnie gaci. I to

on rzucił się na mnie. To co było robić? Dałem w łeb, aż się nogami nakrył. Skąd mogłem

wiedzieć, że to szacowny rajca miejski? Nie wyglądał. A co do oszukiwania...

Jason nadął się jeszcze bardziej.

–Ja nigdy nie oszukuję! Nie muszę!

Faktycznie, nie musisz, pomyślał Match, obserwujący całą scenę z rozbawieniem. Po raz pierwszy widział Jasona przypartego do muru.

–Ciekawe, ciekawe...

–Co tak w kółko powtarzacie, panie, ciekawe i ciekawe! – zirytował się Jason.

–Ano ciekawe jest to, co opowiadał mój daleki kuzyn – zastrzegł się szeryf. – Ciekawe jest, że ponoć nie był to wasz pierwszy przypadek. Jak powiadał pewien szlachcic, który miał przyjemność, a raczej pecha z wami zagrać. Powtórzył to szeryfowi...

–Zwykle oszczerstwa – zgrzytnął Jason zębami.

–Być może, być może – uśmiechnął się szeryf. – Może i był to podły oszczerca. Ale skąd znalazło się dwóch innych, mówiących to samo?

–Cóż, wielka jest zawiść ludzka – wymijająco odparł Jason. – Ot, zazdrościli mi szczęścia. Bo im nie dopisało. Powtarzam jednak, oczyszczono mnie ze wszystkich zarzutów i uwolniono...

–I może jeszcze przeproszono? – zakpił szeryf. – Cóż, może i tak było. Zastanawia mnie

jednak, jakich to argumentów użyłeś, by przekonać o swej niewinności. Znam Williama,

surowy to sędzia, dziwi mnie, że puścił cię wolno. Pamiętam, obiecywał ci stryczek...

Jason skrzywił się na samo wspomnienie. Pamiętał cieśli, zwawo pracujących nad

budową szafotu. Zbyt żwawo, jak na jego gust. Odpowiedzi udzielił jednak z dużą przyjemnością.

–To bardzo proste, szeryfie. Z doświadczenia wiem, że nikt nie bywa głuchy na właściwe

argumenty. Przedstawiłem twemu szanownemu kuzynowi, szeryfowi Lincolnshire dokładnie

sto pięćdziesiąt argumentów. Chciał nieco więcej, ale te w ostateczności wystarczyły.

–Chcesz powiedzieć, że przekupiłeś królewskiego szeryfa? Tego tłustego, rudego sukinsyna Williama?

Szeryf aż otworzył usta z niedowierzaniem. Jason tylko z politowaniem pokiwał głową.

–Dokładnie tak...

–Niech to diabli, że mnie nikt nigdy nie próbował przekupić – mruknął szeryf z wyczuwalnym w głosie żalem. – A nieraz by się przydało... Oj, bywały czasy, że bardzo by się

przydało... Nie ciesz się tak – dodał, widząc triumfalny uśmiech na twarzy Jasona. – Nie ma z

czego. Widzisz, to co powiem, to tylko tak teoretycznie... Otóż w Nottingham drobniejszymi

przestępstwami, takimi jak rozboje, wymuszenia, oszustwa, zajmuje się rada miejska. Match ci

o tym nie mówił, bo za jego czasów nie pozwalałem na takie fanaberie. Ale teraz czasy

spokojniejsze i pora, by szacowni mieszczanie brali sprawy w swoje ręce, zwłaszcza sprawy

paskudne i wymagające dużego nakładu pracy. Cóż, lata lecą i sprawowanie sądów zaczęło

mnie od jakiegoś czasu męczyć. Strasznie nudne takie wysłuchiwanie tych wszystkich łgarstw.

Zwłaszcza że odkąd miasto się rozrasta, to i przestępców jakby więcej. Wyobraź sobie, że

niedawno trzeba było zbudować nowy pręgierz. Stary był już bardzo wyeksploatowany, i, co tu

dużo mówić, ostatnio była do niego kolejka, zwłaszcza w święta i dni targowe...

–Dlaczego mi to mówicie, panie? – obruszył się Jason.

–Tak tylko, teoretycznie – zbył go szeryf machnięciem ręki. – Otóż, jak mówiłem, lżejszymi przestępstwami zajmuje się rada miejska. Ja zostawiam sobie tylko sprawy majątkowe, jakieś spory sąsiedzkie o pastwisko czy miedzę. Opłaty dla urzędu większe... Ale chciałbym ci uświadomić, że pomimo iż szacowni rajcy zajmują się lżejszymi przestępstwami, to ferowane przez nich wyroki wcale nie są lżejsze.

Szeryf podrapał się w głowę z udanym zastanowieniem.

–Zaraz, ile to dni przestał pod pręgierzem ten ostatni oszust? Ten, co to miał takie sprytne kości, szlifowane podobno... Za nic nie pamiętam, ale chyba nie mniej niż trzy dni... A pospólstwo zwykło ciskać w takiego gnojem i zdechłymi kotami...

–Cóż, ciekawe to, co mówicie, panie – wycedził Jason, patrząc szeryfowi prosto w oczy. – Powiadacie zatem, że pospolita przestępczość szerzy się w mieście? Ze szczególnym uwzględnieniem oszustów? Cóż, dziękuję, panie, za ostrzeżenie. Będę uważał, aby z byle kim do gry przypadkiem nie usiąść. A nuż będę miał pecha i trafi się oszust...

Jednak wewnątrz czuł nieprzyjemne ściskanie w żołądku. Pamiętał gnój i zdechłe koty, w Lincoln też ich nie brakowało. Gdyby nie Izaak, gdyby nie znalazł dojścia do tego rudego sukinsyna, kto wie, jak by się to wszystko skończyło. Zresztą, wiadomo przecież. A niech to, rzeczywiście trzeba będzie uważać, pomyślał.

–Widzę, że jesteś rozsądny i nie puszczasz dobrych rad mimo uszu – odparł poważnie szeryf. – To dobrze. Gdyby coś niemiłego przydarzyło się przyjacielowi Matcha, byłbym niepokieszony.

–Ja również – z naciskiem wtrącił Match.

–Daj spokój, ufam, że twój przyjaciel będzie rozsądny i należycie ostrożny...

–Dobrze już – zniecierpliwiał się w końcu Jason. – Doceniam troskę, także i twoją, Match, ale potrafię sobie poradzić...

Szeryf i Match spojrzeli po sobie z powątpiewaniem.

–Nie patrzcie tak – Jason postanowił zmienić temat. – Ja dam sobie radę, nie ma problemu.

Ale jest jeszcze jedna sprawa, o której o mało nie zapomniałem... Jedna prośba do was,

szlachetny panie...

Spojrzał na szeryfa.

–Zamieniam się w słuch – powiedział ten uprzejmie. – Jeżeli tylko będzie w mojej mocy...

–Będzie, będzie – zapewnił Jason, przerywając te uprzejmości. – Chodzi o Basile’a, wiecie, panie, tego dużego...

–Delikatnie to ująłeś – uśmiechnął się szeryf. – Istotnie, dużego. To wasz sługa? Jeśli tak, to umieścimy go...

–Nie – przerwał Jason bezceremonialnie.

Szeryf, niezbyt przyzwyczajony do takiego prowadzenia rozmowy, ledwie dostrzegalnie zmarszczył brwi. Dostrzegł to Match.

–Może ja wyjaśnię – wtrącił szybko, nie chcąc, by Jason zbytnio wytrącił szeryfa z równowagi. Zdążył poznać Jasona na tyle, by wiedzieć, iż potrafił on być czasem irytujący. –

Nie jest naszym sługą, ubzdurał sobie, że jesteśmy najemnikami, wędrownymi żołnierzami

fortuny. Chciał zostać czymś w rodzaju ucznia. Zaś w obecnej sytuacji... W obecnej sytuacji,

jak sam przyznasz, jest to raczej bez sensu...

Szeryf kiwnął głową. Istotnie, nie bardzo wyobrażał sobie prowadzenie szkolenia najemników pod swoim bokiem.

–Na szczęście Basile posiadał jeszcze jedno marzenie, znacznie bardziej realne i łatwiejsze

do zrealizowania. Chciałby mianowicie zostać zbrojnym w służbie jakiegoś możnego pana. Po

nocach śniła mu się zaszczytna służba i hojne wynagrodzenie... Coś mi się widzi, panie, że

pasujecie mu w sam raz...

Widząc dziwny wyraz twarzy szeryfa dodał szybko:

–Naturalnie, jako możny pan, któremu chciałby poświęcić swą służbę... Szeryf milczał

chwilę.

–Wiesz, Match, czasami jesteś równie irytujący jak twój przyjaciel... – stwierdził po chwili. – Oczywiście, jeśli chodzi o formę twych wypowiedzi. Zapomniałem już, jak to z tobą

było...

Wstał z wyścielonej skórą ławy, zaczął się przechadzać po komnacie. Suche łodygi tataraku chrzęściły pod butami.

–Więc jak? – spytał wreszcie Match, widząc, że szeryf nie zamierza przerwać spaceru.

–Dodałbyś chociaż „panie” – parsknął szeryf. – Psiakrew, nawet od Gisbourne’a tego wymagałem!

–Więc jak, panie? – układnie powtórzył pytanie Match. Jason nie potrafił zapanować nad uśmiechem. Szeryf rzucił mu złe spojrzenie.

–Nie – powiedział. – Niech już ci będzie. Tak to wymawiasz, że nie mogę się powstrzymać od poszukiwania kpiny w twoim głosie. Twoje „panie” jest bardziej pozbawione szacunku, niż jego brak... Nie uśmiechaj się tak!

To ostatnie było skierowane do Jasona...

–On mnie też denerwuje – pośpiesznie zapewnił Jason. – Ale już się przyzwyczailem. Wy

też, panie, wkrótce się przyzwyczaiacie. Najlepiej nie zwracać uwagi...

Szeryf już nic nie odpowiedział. Usiadł z powrotem na ławie. Sięgnął po kubek. Tak jak przedtem nie było w nim wina, skończyło się już dawno.

–Ten Basile też taki dowcipny? – rzucił krótko.

–Nie – Jason mógł odpowiedzieć całkiem szczerze. – I prawdę mówiąc, z rozumem u niego nie najlepiej... Ale jest silny i odważny...

–Takich to ja mam na pęczki – westchnął szeryf. – Bez rozumu, silnych i odważnych...

–On jest bardzo silny – wtrącił się Match.

–I pewnie ma bardzo mało rozumu – odparował szeryf. – No dobrze, niech będzie, wprowadź zbrojnych mam dosyć, ale i dla niego znajdzie się miejsce. Może wyjdzie na ludzi...

Basile już wychodził na ludzi, pomyślał Jason. Na sławetnym moście. I nie bardzo mu się to udawało. Nie powiedział tego na głos. Cóż, może tym razem będzie lepiej...

–Wulf da sobie z nim radę – ciągnął szeryf w zamyśleniu. – Nie takich idiotów wykierował...

–Wulf? – spytał Match.

–Obecny dowódca straży – wyjaśnił szeryf. – Niezły jest. Widziałeś go zresztą, tam, w klasztorze.

Match skinął głową. Istotnie, przypomniał sobie. I istotnie, Wulf zrobił na nim dobre wrażenie. Match rzadko się mylił w ocenie żołnierzy.

Wulf, pomyślał Jason. Ten potężny chłop z cudzoziemskim akcentem. On też go widział, w swojej wizji. Na nim też Wulf robił dobre wrażenie.

–Skąd on jest? – zaciekał się.

–Diabli wiedzą – szeryf bezradnie potrząsnął głową. – Z jakiegoś zadupia. Kilka razy próbowałem go wypytać, ale plótl takie bzdury, że zrezygnowałem. Ponoć był poddanym cesarza niemieckiego, z wschodnich krańców cesarstwa. Ale jak opowiadał o swoim kraju... Ech, szkoda gadać, oni tam chyba jeszcze na drzewach siedzą... Ale nie szkodzi, jako dziecko wyruszył tutaj, liznął trochę obycia. A żołnierz dobry...

–Dobra, Jason, daj spokój – przerwał Match. – Pora kończyć na dzisiaj. Dziękuję, panie, przede wszystkim za Basile'a...

–Nie ma o czym mówić – zbył go szeryf. – Dobrze, sługa wskaże ci komnatę...

–Myślałem... – zdziwił się Match z wyczuwalną niechęcią.

–Wiem, co myślałeś. Myślałeś, że pójdziesz tam, gdzie kiedyś mieszkałeś, w koszarach straży. Nie, Match, przyjąłeś przecież moją propozycję. Jesteś teraz kimś w rodzaju Gisbourne'a. Oczywiście, za przeproszeniem, nie porównuję tu osób, a jedynie funkcje. Toteż nie możesz mieszkać w koszarach, powaga stanowiska nie pozwala...

Match mruknął coś niechętnie. W życiu nie nocował w zamkowej komnacie.

–Spodoba ci się – rzekł szeryf, przyglądając mu się uważnie. – Przyzwyczaisz się. Nie

będziesz chciał się zamienić, zobaczysz...

W życiu, pomyślał Match z powątpiewaniem.

–Zaś wy, panie, nieodwołalnie zdecydowaliście zamieszkać w zajeździe? – zwrócił się

szeryf z kolei do Jasona. – Cóż, jestem w stanie zrozumieć potrzebę niezależności. Pozwólcie

zatem, że polecę wam zajazd „Pod Głową Saracena”. Jego właściciel wprowadzie w życie

Saracena na oczy nie widział, ale karmi uczciwie. I pluskiew podobno jakby mniej...

Jason podniósł się z ławy.

–Dziękuję wam, szlachetny panie, za gościnę – skłonił się ceremonialnie. Szeryf również

uprzejmie skinął głową. Jason ruszył do wyjścia.

–Szlachetny panie... – krzyknął za nim szeryf. Zamierzał jeszcze raz przypomnieć

Jasonowi, by był ostrożny. Złośliwie, jak to miał w zwyczaju.

Jason przystanął, odwrócił się z uśmiechem.

–Wystarczy Jason – powiedział. – Nie jestem szlachetnym panem, nie dla was, szeryfie.

Przecież od razu wiedzieliście, kim jestem. I nie zawołaliście sług, aby mnie wyrzucili. Nie

poszczuliście psami, a wiem, że macie niezłe, zwłaszcza jednego...

Przypomniał sobie pieska i nieszczęsnego Patricka.

–Toteż mówcie do mnie Jason. Po prostu. I dziękuję wam. Za Basile’a i nie tylko...

Przepraszam, zagadałem się. Cóż chcieliście, panie?

Szeryf zmieszał się. Po chwili powiedział cicho:

–Pamiętaj o zdechłych kotach, Jason... I o rajcach tego miasta...

–Spróbuję – odparł Jason pogodnie. – A koty... Gorzej, jak rzucają żywe. Zdechłe nie drapią...

Skłonił się jeszcze raz i wyszedł.

A tak miło zapowiadał się wieczór, pomyślał melancholijnie Jason. Jechał ciemną drogą, eskortowany przez dwóch napierających z obu boków ponurych, małomównych zbrojnych. Trzeci jechał z tyłu. Ten nie był aż tak małomówny. Od czasu do czasu, gdy Jason usiłował zwolnić słyszał z tyłu przynaglenia przeplatane przekleństwami. Nie było wyjścia, trzeba było jechać. Jednak nie sama jazda była najgorsza. Najgorsze było to, że nikt nie wyjawiał Jasonowi celu tej przejażdżki.

Dawno minęli miejską bramę, wyjechali na zasnute mgłami pola. Coraz bliżej do ciemniejącej na horyzoncie ściany lasu.

Gdy tylko wyjechali z bramy, Jasonowi przestało się to zupełnie podobać. Nie znaczy to, że z początku się podobało, co to, to nie. Najpierw próbował pytać. Nie uzyskał odpowiedzi. Gdy zatem oświadczył, że nigdzie dalej się nie ruszy, poczuł dotyk czegoś ostrego na plecach. Z takimi argumentami, popartymi mrukliwym przekleństwem już więcej nie dyskutował. Pojechał posłusznie, starając się jedynie wlec jak najwolniej można. Zawsze był zwolennikiem poglądu, że co się odwlecze, to pewnie uciecze. Biorąc zaś pod uwagę nieznaną i mocno podejrzaną cel nocnej przejażdżki, Jason uznał, że nie ma się do czego spieszyć.

A tak było przyjemnie, pomyślał znów. Tym razem z żalem. Szeryf miał rację, zajazd „Pod Głową Saracena” rzeczywiście był niezły. Nie tylko w porównaniu z karczmami, w których Jason ostatnio bywał.

Rozsiadł się na szerokiej ławie, słuchając gwaru wypełniających nisko sklepioną izbę bywalców. Izba była duża, zaś niski, podparty poczerniałymi belkami sufit jeszcze potęgował to wrażenie. Noc zapowiadała się ciepła, więc ciężkie okiennice były otwarte na oścież. Dym z wielkiego paleniska nie dokuczał zbyt.

Jason sączył piwo, delektując się smakiem, wspominając mimochodem, jakie świństwo pijał przez prawie pół roku. Przyglądał się gwarnemu tłumowi.

Mieszczanom, wędrownym kupcom i handlarzom, zbrojnym przepuszczającym swój ciężko zarobiony żółd. Chichoczącym dziewczkom o łatwej do odgadnięcia profesji. Pachołkom krzającą się po izbie, roznoszącym dzbany piwa i gliniane misy zjadłem.

Obok niego, na ławie siedział jakiś szlachcic. Wyglądał na niezbyt zamożnego pana na niewielkim kasztelu, z odzienia niezbyt różniącego się od bogatego wieśniaka. Jednak wielki, zabytkowy miecz, jaki trzymał na kolanach, świadczył o jego stanie. Prócz miecza szlachcic miał ogorzałą twarz i ciągły słowotok, którego tematem była hodowla owiec na podmokłych łąkach. Temat niezbyt interesował Jasona, lecz szlachcic był niezwykle natarczywy. Jason mimo woli poznał wkrótce wszystkie problemy hodowlane, z jakimi borykał się szlachcic. A nie było ich mało.

Jason chętnie zmieniłby temat rozmowy, a jeszcze chętniej rozmówcę. Niestety, sąsiad z drugiej strony, ponury, chudy jak tyka zbrojny w barwach miejskiej straży nie był w

najmniejszym stopniu zainteresowany konwersacją. Był najprawdopodobniej na lewiznie, o czym świadczyła glewia oparta w kącie o ścianę. Strażnik miejski miał jeden cel, upić się jak najprędzej, zanim jego nieobecność na służbie zostanie zauważona. Ten zbożny cel nie pozostawiał mu wiele czasu na rozmowę. Wychylał coraz to nowe kubki najtańszego wina. Sądząc z zapachu, jaki rozchodził się dokoła, wino wzmacniane było jakimś destylatem.

Jednak mimo pewnych braków towarzyskich Jason czuł się szczęśliwy. Czuł się jak za dawnych, dobrych, zapomnianych już prawie czasów. W porządku, pomyślał rozleniwiony. Teraz coś zjemy, a potem... Potem się zobaczy.

Przypomniawszy sobie, jak to nie tak dawno postanowił zerwać nieodwołalnie ze swym dawnym zajęciem. Teraz nie był już taki pewien. Zaczął uważać tę decyzję za zbyt pochopną, spowodowaną urazem i ciężkimi przeżyciami. Wtedy, owszem, była zrozumiała, ale teraz...

Nie chciał sam sobie przyznać, że to dobre rady szeryfa odniosły wręcz przeciwny skutek. Podrażniły ambicję. Podziały jak wyzwanie.

Zaczął uważniej rozglądać się po izbie. Nie szukał długo. Oto kupiec, wygląda na takiego, co to dobrze sprzedał na targu swój towar. Ani chybi dolega mu zbyt ciężka sakiewka, obciąża niepotrzebnie pas. A ten drugi... chyba znajomy pierwszego, też nie wygląda na ubogiego. Trochę rozochocony wypitym winem, ale jeszcze nie pijany. W średnim wieku. Tacy są najlepsi, sprawiają najmniej kłopotów.

Nie ma się co spieszyć, zganiał się Jason. Najpierw trzeba coś zjeść. Oni nie uciekną. A nawet jak uciekną, to znajdą się inni. Nie brak tu gości, znajdzie się właściwych...

Był jeden problem. Jason nie miał kości. Swoje stracił pamiętnej nocy. Podczas dotychczasowej podróży nie było okazji, by się w nie zaopatrzyć. Oznaczało to, że nie będzie mógł zacząć od swego ulubionego sposobu, od niewinnej zabawy kośćmi. Trzeba będzie poczekać, aż ktoś inny zacznie. Jason rozejrzał się. Izba była duża, oświetlona kilkoma łuczyczami i odblaskiem z paleniska. Kąty ginęły w mroku. Na razie nie było widać, by gdzieś, przy którymś ze stołów ktoś rozpoczynał grę.

Cierpliwości, przykazał sobie Jason. To duży zajazd, dużo gości. Prędeż czy później ktoś zacznie.

I cierpliwość została wynagrodzona. Wyczulone ucho posłyszało przez gwar charakterystyczny dźwięk. Grzechot, którego nie sposób pomylić z czymś innym. Dźwięk, który podział na niego jak ostroga na rasowego rumaka. Jason uśmiechnął się zadowolony, cisnął do połowy ogryziony gnat pod stół. Wstał i dopiero wtedy omiół wzrokiem izbę.

Kości toczyły się po sąsiednim stole. Jason uważnie przyjrzał się grającym. Dobrze. Jeden to kupiec, widać na pierwszy rzut oka. Dokładnie spełniający warunki – zażywny, w średnim wieku. Podпиты na tyle, by stracić zahamowania, by stać się lekkomyślny. Drugi... Jason skrzywił się trochę. Drugi był szlachcicem. Zbyt młodym i zbyt pijanym jak na gust Jasona. Trudno.

Jason wziął ze stołu gliniany kubek. Stanął obok grających i z wystudiowanym tępym wyrazem twarzy zaczął przyglądać się grze. Starszy wygrywa, spostrzegł. A młody szlachcic zaczyna się denerwować. Ale jest już na tyle pijany, że wkrótce będzie miał dość.

Kupiec spostrzegł, że Jason przygląda się grze. Rzucił mu uważne, taksujące spojrzenie. Jason uśmiechnął się w odpowiedzi najbardziej bezmyślnym uśmiechem, na jaki mógł się zdobyć. Pociągnął z kubka i czknął. Kupiec uspokojony powrócił do gry.

Oho, pomyślał Jason, on udaje. Udaje bardziej pijanego niż jest. Ciekawe...

Przyjrzał się uważniej grającemu. Nie, to nie jest zawodowiec, ocenił. Po prostu jest na tyle bystry, by zwietrzyć okazję. Nie oszukuje, nie musi oszukiwać, zresztą, chyba nawet nie potrafi. Ale dla jego przeciwnika, pijanego szlachciury nie jest to potrzebne. Zawsze człowiek, który potrafi się kontrolować, wygra z pijaczną. Nie pomoże żadne szczęście.

Istotnie, nie pomogło. Szlachcic już się nawet nie denerwował, kiedy dobrze znanym Jasonowi gestem wywracał sakiewkę na drugą stronę. Był zbyt pijany, głowa mimo wysiłków opadała mu na stół. W końcu wymamrotał coś pod nosem i chwiejnie wstał. Ta gra była skończona.

Kupiec wypadł na chwilę z roli. Szybkim, drapieżnym gestem zgarnął monety ze stołu. Zbyt szybkim jak na pijanego, którego niezbyt udatnie naśladował. Niechętne skrzywienie ust wskazywało, że nazbyt optymistycznie oszacował zasoby przeciwnika. Wygrana nie była duża.

Rozejrzał się. Jednak przy stole nie było więcej chętnych do gry. Wtedy jego wzrok zatrzymał się na Jasonie, który wciąż stał z uśmiechem przyklejonym do warg.

Jason poczuł, jak prześlizguje się po nim badawcze spojrzenie. Jak zatrzymuje się na pasie z pękatą sakiewką. Jason w duchu uśmiechnął się szerzej. Owszem, była wypchana, ale miedziakami. Nie miał zamiaru ryzykować w nieznanym mieście, w nieznanym zajeździe. Pieniądze zostawił Matchowi, wziął tylko tyle, by starczyło na nocleg, posiłek, wino. I może jeszcze na początek...

–Hej, żołnierzu, siadajcie – powiedział kupiec bełkotliwie. Zbyt bełkotliwie. – Napijcie się...

Wskazał szerokim gestem stojący przed nim dzban. Jason przyjął zaproszenie.

Zastanawiał się przedtem, czy jego obecny wygląd nie uniemożliwi zarobkowania dawnym sposobem. Mylił się. Poznaczona bliznami twarz, krótko obcięte siwiejące włosy, podniszczony skórzany kubrak pozwalały wziąć go za żołnierza. Starego, doświadczonego żołnierza, może weterana, może najemnika. Takiego, który na wojaczce mógł już zdobyć niewielkie zasoby, niewielkie, lecz godne uwagi dla gracza, który chciałby go ich pozbawić. Sprawiał wrażenie wojaka sprawnego do miecza, lecz niezbyt rozgarniętego. Tak, to równie dobry kamuflaż, jak postać kupca. Kto wie, czy nie lepszy, zastanowił się Jason.

Nie musiał długo czekać na propozycję. Gdy ujął kości, poczuł euforię. Znow poczuł ten delikatny prąd, idący od koniuszków palców. Znow wiedział. Nie stracił swych zdolności, jak się skrycie obawiał.

Kości potoczyły się po stole. Znow tak jak dawniej. Jakby nie było tego wszystkiego. Tych dni wypełnionych bólem i strachem. Tych wszystkich zagadek i tajemnic. Lęku przed przyszłością. Znow jest tak, jak kiedyś.

Kupiec wygrywał. Raz po raz Jason, mrużąc niewyraźnie przekleństwa sięgał do sakiewki. Chuchał w garść i ze złością walił pięścią w stół, gdy przegrywał. Kupka miedziaków przed kupcem stale rosła. Wreszcie Jason poskrobał się z namysłem w czoło, westchnął boleśnie i sięgnął w zanadrze, wydając kilka sztuk srebra. Kupcowi zaświeciły się oczy.

Jason położył na stole srebrną monetę. Zabrał ją. Znow położył. Rzucił kości.

Przegrał. Zaklął bełkotliwie pod nosem. Położył następną.

Ta będzie ostatnia, pomyślał, widząc zadowoloną gębę przeciwnika. Już myślisz, że mnie masz, że będę grał do końca i przegrywał. Zdziwisz się...

Potrząsał kośćmi w garści. Czekał na ten nieuchwytny znak, na pewno, że to właściwa chwila do rzutu. Skupił się.

Huknęły ciężkie, dębowe drzwi. Drzwi, jak pamiętał Jason, zawieszono na solidnych, kutych zawiasach, nie na żadnych skórkach od słoniny. Tak, pomyślał, ten zajazd niewątpliwie różni się standardem. Potrząsnął głową, zniecierpliwiony. Huk uderzających o framugę drzwi wytrącił go ze skupienia. Skoncentrował się ponownie. Jeszcze trochę... Cholera, ktoś stoi za plecami. Przeszkadza, ale to trudno...

Poczuł na ramieniu ciężką rękę.

–Pójdziecie z nami – usłyszał.

Jason wypuścił kości z ręki. Bardziej zaskoczony niż przestraszony. Dostrzegł błysk strachu w oczach przeciwnika, który wpatrywał się w coś za jego plecami. Widząc ten strach, Jason też poczuł ukłucie. Czyżby szeryf nie przesadzał? Wstał powoli, odwrócił się.

Było ich trzech. Trzech dużych, zwałistych drabów w pełnym rynsztunku. Strażnicy. Jason przyjrzał się uważniej. Z ulgą zauważył, że nosili barwy szeryfa, nie miejskiej milicji. O co im, do diabła, chodzi?

–O co chodzi, do diabła? – powiedział na głos. Gwar w zajęździe zamilkł. Wszystkie oczy wpatrywały się w niego.

–Pójdziecie z nami – powtórzył ten, którego ciężką łapę strącił z ramienia. Jason roześmiał się mimo zdenerwowania i niepewności.

–A to niby dlaczego? – spytał zadziornie.

Strażnik skinął dłonią. Dwaj pozostali podskoczyli, stanęli z boków, chwytając za ramiona. Jason szarpnął się. Nie spodziewał się takiego traktowania. Zbrojni wzmocnili chwyt, był unieruchomiony.

–Bo taki mam rozkaz – wyjaśnił ten pierwszy, chyba dowódca. – A tobie nic do tego...

–Zaraz – Jason mógł już tylko krzyżeć. Trzymający go uniemożliwiali wszelki opór. Trzeba przyznać, że znali się na rzeczy. Jason czuł dojmujący ból wykręconych łokci...

–Co jest, wasza mać...? – rozdarł się. – Jakie rozkazy?

–Jakie rozkazy, to gównu ci do tego – zbrojny udzielił wyczerpującej odpowiedzi. – A teraz ruszaj się. I spokojnie, nie próbuj wierzgać, to...

–To co? – wykrzyknął Jason. I spróbował. Po chwili już wiedział, co strażnik ma na myśli.

–To będzie mniej bolało... – dokończył zbrojny. Zupełnie niepotrzebnie. Jason popchnięty do wyjścia ruszył potulnie jak baranek. Może ktoś zobaczy, pomyślał, gdy tylko powoli słabnący ból na to pozwolił. Jakże to tak, zabrać człowieka? Tak po prostu, wyciągnąć od stołu i poprowadzić nie wiadomo gdzie? Nie wiadomo po co? Ktoś powinien zaprotestować, choćby zapytać, nie można tak człowieka...

Okazało się, że można. Zanim wyszli zdążył jeszcze zauważyć, jak bywalcy zajazdu zajęli się znów swymi kubkami i dzbanami. Nie krzyknął, choć jeszcze przed chwilą zamierzał. Nie warto.

Jason chciał wyjaśnić, że jest znajomym samego szeryfa. Że sam szeryf rozmawiał z nim dzisiaj, nawet pił wino. I że jak go natychmiast nie puszczą, to będzie zmuszony zanieść skargę, co źle się dla nich skończy.

Dowódca zbrojnych usłyszawszy to, zatrzymał się na chwilę. Przybliżył twarz do twarzy Jasona i zionąc skwaśniałym piwem oznajmił półgłosem:

–Wprawdzie gównu ci do moich rozkazów, ale żeby oszczędzić sobie fatygi, powiem ci o

jednym. Otóż rozkazano mi, że jak tylko jadaczkę otworzysz, to mamy ci ją zatkać, choćby

szmatą. Więc zamknij się, bo jak widzisz, szmaty nie mamy...

Zamiast tego uniósł wielką włochatą pięść. Jason posłusznie się zamknął.

Spróbował jeszcze później. Wtedy, gdy kazano mu wsiadać na konia. Nie chciał, do czasu, aż dowódca zbrojnych wyjął krótki miecz. I obiecał, że tym mieczem podsadzi na kulbakę. Drugi raz, gdy spostrzegł, że nie kierują się w stronę zamku czy koszar, gdzie mógł spodziewać się lochów. Gdy zobaczył, że jadą we wręcz przeciwną stronę, w stronę zamkowej bramy. Po krótkiej szamotaninie Jason uzyskał tyle, że dowódca odpowiedział na pytanie, gdzie właściwie zabiera Jasona.

–Na przejażdżkę – rzucił krótko. Pozostali zarechotali.

Przez dalszą drogę Jason wykręcał sobie szyję, usiłując dostrzec, czy nie wiozą ze sobą rydla. Albo łopaty. A w miarę zbliżania się do ciemnej ściany lasu czuł coraz większą desperację.

–A niech cię diabli wezmą, ty draniu! Żeby cię tak...

Celem przejażdżki okazała się opuszczona chata pod samym lasem. Zbudowana z grubych belek, kryta niezbyt nawet zniszczonym gontem, nie wyglądała na chłopską. Nie otaczały jej szczątki zabudowań gospodarskich, nie było śladów zdziczałego ogródka warzywnego. W istocie, budynek służył niegdyś straży jako posterunek przy wylocie leśnego gościńca.

Jasona mimo oporu ściągnięto z konia. Gdy wzdragał się wejść w ciemny otwór drzwi, dostał kopniaka w tyłek. Potężnego kopniaka, po którym zatoczył się i wpadł do środka. Gdy wstawał z brudnej polepy, do izby wszedł ktoś, przyświecając sobie pochodnią, którą po chwili zatknął w żelazny uchwyt wbity w ścianę.

Tym kimś był szeryf Nottingham.

–Musimy porozmawiać – oznajmił bez wstępów, patrząc na gramolącego się z ziemi Jasona.

–Niech cię szlag trafi! Pieprzę wszystkie rozmowy i pieprzę ciebie osobiście!

–Skończyłeś? – przerwał szeryf spokojnie. Nijakiego szacunku, pomyślał.

–Nie, kurwa, nie skończyłem! Ty nieczuły sukinsynu! Nie mogłeś normalnie? Jezu, o mało się nie zesrałem!

Szeryf nie przerywał. Siadł na kulawym zydlu, nie przejmując się kurzem, jaki zalegał na nim grubą warstwą.

–Te twoje bydlaki wykręciły mi ręce! Nie chcieli powiedzieć, dokąd mnie zabierają! I po co zabierają!

–Tak im kazałem – wyjaśnił szeryf.

–Kazałeś! – Jason nie posiadał się ze złości. – I jeszcze jeden kopnął mnie w dupę! Przed chwilą!

–Tego nie kazałem.

–Wdzięczny jestem niewymownie...

–Ale wiedziałem, że tak będzie – dorzucił szeryf, uśmiechając się nieznacznie. – Zawsze tak robią, wiem o tym...

–Wiedziałeś, i nie zabroniłeś? – Jason nieproszony również usiadł, wybierając koślawą ławę. Mimo wzburzenia pamiętał o przetarciu jej z kurzu znalezioną na podłodze szmatą. – Chociaż chciałeś tylko porozmawiać? Nie wrzucić do lochu? Nie

zatłuc i zakopać pod lasem? Niech cię szlag trafi...

–Nie zabroniłem – potwierdził szeryf. – Jeśli cię to pocieszy, nie zachęcałem także. Skończ wreszcie te żale. Nie zamierzam przeproszać, nie mogłem inaczej. Jak porozmawiamy, to zrozumiesz, jesteś na tyle inteligentny. Będziesz wiedział, że to jedyny sposób.

–Inteligentny, psiakrew – fuknął jeszcze Jason, ale istotnie się uspokoił. Ciekawość zaczynała brać górę. Otrzepał kubrak z kurzu.

–Jesteś mi winien... – powiedział jeszcze. – Jesteś mi winien... Zaraz policzę...

–A to niby za co? – zdziwił się szeryf.

–Za to, co włożyłem w tego jelenia. Na dobry początek... Widząc, że szeryf nic nie rozumie, wyjaśnił:

–No, wiesz, jeleni to ten, z którym właśnie grałem. Musiałem na początku zainwestować,

dać mu wygrać. Po to, żeby nabrał zaufania. I właśnie wtedy, kiedy miałem zamiar wygrywać,

zjawili się ci twoi... – wskazał na drzwi, za którymi, jak sądził, pozostali zbrojni. – Tak więc jeleni jest do przodu, a ja...

–Jeszcze będziesz miał okazję – pocieszył go szeryf. – Jeszcze nagrasz się do woli. Tylko pamiętaj o kotach...

–No trudno, niech będzie moja strata – Jason postanowił okazać wielkoduszność. – Nie było tego wiele. Dobrze, czemu więc zawdzięczam...?

–Musimy porozmawiać, Jason – zaczął szeryf. – Tylko my dwaj. A wiesz, dlaczego?

Jason był już zupełnie spokojny. Zrozumiał wszystko.

–Owszem – przytaknął. – Bo mamy wątpliwości. Tylko my dwaj. A tym, kto ma się o tej rozmowie nie dowiedzieć, jest Match.

–Prawie się zgadza. Jeżeli chodzi o wątpliwości. Bo w kwestii Matcha... W tej kwestii się mylisz. Nieważne, czy się dowie, czy nie. Nie on...

Jason zrozumiał natychmiast, o kogo chodzi.

–Myślisz, że wie aż tyle? Że jest, że tak powiem, na bieżąco? – Szeryf poważnie skinął

głową.: – Wszystko na to wskazuje. On... czy też oni... Tylko pozornie siedzą sobie gdzieś w

tym swoim lesie, nosa nie wychylając. Wiedzą więcej, niż nam się wydaje. Ale chyba o tobie

wiedzą niewiele...

Rzeczywiście, pomyślał Jason. Mogą nie wiedzieć. Czy to ważne? Tak, ważne, odpowiedział sam sobie. Bo coś tu nie pasuje...

–Coś tu nie pasuje – powiedział szeryf. – Prawda, Jason? Jason potwierdził roztargnionym skinieniem głowy.

–Wymusili na mnie umowę – zaczął szeryf. – Nie, nieprawda, nie wymusili. Sam się zgodziłem. Ale od samego początku odnoszę wrażenie, że zostałem oszukany. Że nie skorzystałem na tej umowie. Że nie była konieczna. Wtedy też tak mi się wydawało, ale uległem sugestii. A przecież...

Szeryf urwał na chwilę, spojrzał na Jasona.

–Wiesz, ty powiedziałaś mi wszystko, co wiesz. Proponuję teraz, że ja opowiem wszystko

ze swojej strony. Może z tych dwóch punktów widzenia uda nam się złożyć jakąś sensowną

całość. Co ty na to?

Jason kiwnął głową. Przeszła mu już złość.

–Dobrze – szeryf rozsiadł się wygodniej. Nie było to łatwe, chwiejny zydel nie miał jednej

nogi. – Jak mówiłem, z mojego punktu widzenia umowa nie była konieczna. Już wtedy

wygrywaliśmy. Owszem, było pewne ryzyko, że nie zdążę, że wykończę się wcześniej

finansowo, że ktoś przyjdzie mi z pomocą. Taką pomocą, której bym nie przetrzymał, wiesz,

jak wygląda sąsiedzka pomoc. Albo, co gorsza, królewska. Ale mogłem zaryzykować, mało

**tego, przed tą pamiętną rozmową, podczas której druid złożył swoją ofertę...
Przedstawiając ją**

**jako propozycję nie do odrzucenia zresztą. Otóż przed tą rozmową ja już byłem
zdecydowany.**

**Mimo iż nie wiedziałem, jak naprawdę przedstawiają się siły banitów. Ale
domyślałem się już, że wygram...**

**–Ty nie wiedziałeś – powiedział wolno Jason. – Ale druid wiedział, wiedział bardzo
dobrze.**

**–Właśnie – potwierdził szeryf. – On wiedział dobrze to, o czym ja dowiedziałem się
dopiero później, dużo później. To wszystko się już kończyło. Z paru powodów. Po
pierwsze, Match nie potrafił zapanować nad tymi wszystkimi, którzy zaczęli do niego
ściągać. Tymi wszystkimi, którzy byli prawdziwymi rzeźmieszkami, nie takimi
idealistami, jak on sam. Zaczęły się grabieże, gwałty. Kmiotki zaczęli się burzyć. On
już i tak tracił poparcie. A my się też do tego przyczyniliśmy. Kazaliśmy wybierać: on
albo my. Niszczyliśmy mu zaplecze. Druid to wszystko wiedział. I to, czy wycofał
swoje poparcie, wtedy już było bez większego znaczenia. Zaryzykuję twierdzenie, że
bez żadnego.**

–Co więc było celem?

**–Właśnie, cel – szeryf popatrzył na Jasona z ukosa. – Musiał być jakiś cel, jak
wiesz. Ja, wstyd się przyznać, zacząłem się nad tym zastanawiać dosyć późno. Zbyt
przysłoczył mnie swą elokwencją. Wiesz, to całe gadanie... Mniejsze zło, przegrana
walka, idą inne czasy, trzeba oszczędzić ofiar. I tak nie wygramy, ale zmniejszymy
koszty... Cała ta pieprzona szlachetność, wzniosłe motywy. Przekonał mnie wtedy,
potrafi być sugestywny i przekonujący. A poza tym przestraszył. Opowiedział rzeczy,
od których stawały włosy na głowie. Które kosztowały mnie wiele bezsennych nocy.
Które zresztą były prawdziwe...**

–Tak sądzisz? – spytał Jason zmrużywszy oczy.

**–A ty nie? – odparował szeryf. – Nie udawaj. Zresztą, mimo iż uwierzyłem,
postarałem się o weryfikację tego wszystkiego, tego o obcych, innych ludach. O
tych, co odeszli. Poszukałem informacji z innych źródeł. Dużo mnie to kosztowało,
dużo czasu, trudu i pieniędzy. Nie chcę cię tu zanudzać szczegółami. Ale wierz mi,
źródła były wiarygodne. Zaś biorąc pod uwagę cenę, nawet bardzo wiarygodne.
Wszystko się zgadza, Jason. On mówił prawdę.**

–Tylko czy całą prawdę?

Szeryf spojrzał na Jasona uważnie.

–Muszę uważać, żeby cię nie niedoceniać – mruknął na wpół do siebie. – Znowu masz

rację. Gdy po raz kolejny rozpamiętywałem tę rozmowę, też przyszło mi to do głowy. Nic

przecież trudnego. Już to, co mi powiedział, wystarczyło, bym całkiem i po prostu zgłupiał. Nie

w głowie było mi zadawanie pytań. Z tej całej rozmowy zapamiętałem jedno. Takie wrażenie.

Słabe, trudno pochwytne.

Ale jestem go pewien, ty akurat powinienes to zrozumieć. Z twoimi zdolnościami... O ile dobrze spostrzegłem, ty też często kierujesz się wrażeniami. Intuicją. To prawda, pomyślał Jason. Ostatnio coraz częściej.

–Miałem wrażenie – ciągnął szeryf – że jemu na tej umowie bardzo zależy. Że jest coś

ważnego. Wtedy zdawało mi się, że jego argumenty są wystarczające. Że chodzi o to, co

powiedział, wiesz, to mniejsze zło i tym podobne duperele. Wtedy wydawało mi się to wystarczające. Logiczne. W pełni wyjaśniające motywy. Ale teraz... Z tą wiedzą, którą uzyskałem później... Coś tu śmierdzi, Jason.

–Z tym się zgadzam – mruknął Jason po chwili milczenia. – Śmierdzi, i to jeszcze jak. Tylko co konkretnie?

–Nie wiem – szeryf bezradnie rozłożył ręce. – Wierz mi, łamię sobie nad tym głowę od dawna.

Jason wstał z ławy. Zaczął się przechadzać po izbie. Lepiej mu się wtedy myślało.

–Nie kręć się jak gówno w przerębli – zniecierpliwził się szeryf po dłuższej chwili. Jason zatrzymał się.

–Co by było, gdybyś nie przyjął tej... umowy? – spytał zniecierpliwiony.

–No, jak to co? – spytał niepewnie szeryf. – Przecież mówiłem. Niedługo by się wszystko skończyło, niezależnie od wszystkiego...

–To j uż wiemy – rzucił Jason niecierpliwie. – Pytanie, j ak by się skończyło? Szeryf wstał z zydlą. Zydel przewrócił się, wznosząc chmurę kurzu, który wirował wolno w

migotliwym światłem łuczywa.

–Masz rację – powiedział wolno. – Kurwa, masz rację.

Podniósł kulawy zydeł, przyjrzał mu się i odrzucił z niesmakiem. Usiadł na ławie.

–Siadaj, zmieścisz się i ty – powiedział do Jasona. Jason posłuchał.

–Masz rację – powtórzył szeryf. – Skończyłoby się inaczej... Urwał, zamyślił się.

–Dokończ – ponaglił go Jason. Szeryf uniósł głowę, spojrzał mu prosto w oczy – Zabiłbym go. Normalnie, albo w walce, albo później. Kazałbym powiesić.

Tak czy inaczej by zginął. Jason pokiwał głową.

–Więc mimo to, że odzęgnują się od niego... Mimo że, jak mówią, jest czymś potwornym,

wynaturzonym, nieprzewidywalnym... Mimo że przez swą głupotę czy nieświadomość zrobił

coś, czego skutki były straszne...

Jason popatrzył na rozmówcę.

–Mimo to zawierają umowę, która ma zapewnić mu życie...

–Nie tylko – szeryf pokręcił głową. – Ta umowa przewidywała, że trzeba go złamać. Zabrać mu dumę, zabrać wszystko. Nie zostało to powiedziane wprost, ale przecież jasno z niej wynikało. Miał tylko przeżyć. Wiesz, Jason...

Jason spostrzegł, jak szeryf zaciska pięści.

–Ja też zapłaciłem wiele. Nie mówię o swym strachu, o tych wszystkich zmorach. O lęku,

który mi zaszczepili na długie lata. Jason, możesz wierzyć lub nie. Ja go szanowałem. Nie

podobało mi się to, co musiałem mu zrobić. Nie podoba mi się do dzisiaj. Cięży to na mnie, ten

dług wobec niego. I nigdy go nie spłacę. Wiem, możesz myśleć, że to tylko złość, tylko złość na

to, że zostałem wykorzystany... Myśl sobie, kurwa, co chcesz...

To dlatego to wszystko, pomyślał Jason. Dlatego poświęciłeś tyle, by wykupić go z niewoli. Nie było to łatwe, o nie. To dlatego zacząłeś go traktować jak równego sobie.

–Miałem być jego strażnikiem – szeryf wyrzucał słowa ze złością. – Miałem pilnować, by

nie zginął, bo a nuż się przyda. Bo można go będzie wykorzystać. Będzie łatwiej, on już będzie

posłuszny. Wytresowany. Obciążony dodatkowymi czynami, których ja każę mu dokonać. Za

które kiedyś każą zapłacić. Łatwiejszy do sterowania. Bo jego zdolności nie można zmarnować, nie warto...

Smolne łuczywo trzaskało, światło pełgało po opuszczonej izbie. Jason przymknął oczy. Zaczynało się układać. Pojawiał się jasny obraz, mozaika zmieniała się, kamyki przeskakiwały na właściwe miejsca. I to, co się wyłaniało, nie było przyjemne.

–Co w związku z tym wszystkim? – przerwał Jason ciężkie milczenie. – Wciąż nie wiemy wszystkiego. Owszem, wiemy sporo, ale nie wiemy tego najważniejszego. Jaki jest cel?

–Obawiam się, że się na razie nie dowiemy – szeryf mówił ze znużeniem. – Jak wiesz, to wszystko, co się dzieje, nie tłumaczy tego całego gwałtu. Możemy mieć tylko przeczucia. I mamy je, Jason...

Szeryf popatrzył Jasonowi prosto w oczy.

–Mamy je – powtórzył. – Ty i ja. Że coś się stanie. Coś niedobrego, w co jesteśmy już

wciągnięci, co nas nie minie. Ja wierzę w przeczucia, Jason. Ty zresztą też.

Prawda, stwierdził Jason. Teraz już tak.

–Ale nie zamierzam siedzieć z założonymi rękoma. Nie poddam się przeznaczeniu, o którym ciągle powtarza Match. Nie mam zamiaru płacić za niepopołnione winy. Ani dopuścić, by płacił kto inny...

–Szeryfie, ja już więcej nie pomogę – Jason też był znużony. – Moje wizje już nie pomagają, nie wyjaśniają...

–Nie mówię o wizjach. Mam dla ciebie zupełnie inną rolę. Jason domyślił się, o co chodzi. Pokiwał z namysłem głową.

–Tak, dobrze myślisz – szeryf uśmiechnął się. – Będziesz słuchał. Słuchał, co ludzie mówią. Dowiesz się więcej, na pewno więcej niż ja czy Match. Jak wiesz zresztą, on i tak ma zupełnie odmienny pogląd na wszystko. Jest zbyt ukierunkowany.

–Mam być twoim szpiegiem? – Jason uśmiechnął się niewesoło.

–Nie moim, psiamać – oburzył się szeryf. – Co ty sobie do cholery myślisz?

–Przepraszam, to rzeczywiście bez sensu – usprawiedliwił się Jason. – Po prostu nigdy nie byłem w takiej sytuacji...

–To będziesz. Zawsze jest ten pierwszy raz. I nie mów, że nie umiesz słuchać, że nie umiesz naciągać ludzi na zwierzenia. Od razu się na tobie poznałem.

Szeryf parsknął ze złością. Nie spodziewał się takich głupich skrupułów.

–Jest jeszcze jedna rzecz – podjął po chwili. – Może być bardzo istotna, bardziej niż te

wszystkie nieszczęsne stwory, co tak niepokoją naszego przyjaciela druida. I Matcha zresztą.

Otóż chodzą pogłoski, potwierdzone pogłoski, że w lesie się coś szykuje. Pojawił się ponoć nowy przywódca, co to chce uwolnić lud od ciemnych. Uwzięli się na moje hrabstwo, uważasz. Na razie to jeszcze nic strasznego, pobili paru komorników, nic ponadto. Ale kiedyś też się tak niewinnie zaczynało. Niepokojące jest co innego. Otóż przywódca tej kolejnej leśnej bandy każe nazywać się Robin Hoodem. Nie tak, jak Match, jego następcą. Match był skromniejszy. Ten przyjął to imię. A głupi lud ponoć w to wierzy. Twierdzi, że Robin przed laty nie zginął.

Jason spojrział z ciekawością. Nie widział specjalnie związku, ale wszystko, co działo się w tej przeklętej puszczy, zasługiwało na uwagę.

–Mówię, głupie kmioty w to wierzą. Trochę w tym i mojej winy. Widzisz, gdy zginął

Robin z Locksley, kazałem go ukradkiem pochować w niewiadomym miejscu. Grób przykryć

darnią, żeby nie zostało śladu. Żeby nie stał się obiektem, bo ja wiem, kultu czy czegoś

podobnego. Teraz to się obróciło przeciw mnie. Nie ma grobu, znaczy nie zginął. Logiczne.

Tego, że dziś byłby to stary pierdoła, nie biorąc pod uwagę...

Szeryf zaśmiał się sardonicznie. Robin byłby w tym samym niemal wieku, co on sam.

–Zresztą, może sądzą, że jest wiecznie młody. W każdym razie spróbuj coś przewąchać na

ten temat. Jedno w tym jest podejrzane, przecież nic w tym pieprzonym lesie nie dzieje się bez

zgody druidów. Bez ich wiedzy, a nawet przyzwolenia. A nawet bez ich poduszczenia. A ten,

nasz przyjaciel, nie zająknął się o tym ani słowem... Ciekawe...

Jason przytaknął. Tak, to było zastanawiające. Przecież, na dobrą sprawę, mogło by się powtórzyć to, co już było. Znow trzeba by wybierać między złem większym i mniejszym. Może ograniczać straty. Bo przecież to było bez sensu, nie miało szans powodzenia. Jak kiedyś. I co, ani słowa na ten temat?

–Dobra, Jason – szeryf ociężale podniósł się z ławy. – Późno się robi, trzeba wracać do miasta. Stary już jestem, nie na moje lata takie wycieczki. Przemyśl sobie to wszystko, Jason. I zrób to, co ci mówiłem. O co cię proszę.

–Na swój zwykły, ujmujący sposób – skomentował zimno Jason. – Zwłaszcza, jeżeli chodzi o sposób zaproszenia do rozmowy...

–Nie zamierzam się tłumaczyć. Wiesz, że nie mogło być inaczej. Nikt nie może cię powiązać ze mną. Tylko wtedy czegoś się dowiesz. Po prostu zwinęli, cię przez pomyłkę, biorąc za kogoś innego. Wytłumaczyłeś się jakoś. Jason, zbyt wielu ludzi widziało cię w zajeździe, nie mogłem wysłać posłańca, który przy wszystkich zaprosiłby cię na rozmowę ze mną. Byłbyś spalony...

–Wiem, wiem – uśmiechnął się Jason. – Tak tylko sobie gadam. Ponarzekać nie można? A kto mi zapłaci za mój strach?

Szeryf nie odpowiedział.

–Powinniście jeszcze co najmniej podbić mi oko – zażartował Jason ponuro. – Może porwać kubrak. Wyglądałoby to jeszcze wiarygodniej...

Droga powrotna była znacznie milsza. Jasonowi towarzyszył tylko jeden strażnik, dowódca. Pozostali wraz z szeryfem odjechali inną drogą, by wrócić do miasta później, przez inną bramę. Jasona śmieszyła nieco ta konspiracja, ale zdawał sobie sprawę, że mimo pozornej śmieszności jest potrzebna.

Strażnik był milczący. Odpowiadało to Jasonowi. Mógł spokojnie przemyśleć parę rzeczy.

Tak, zaczynało się składać. Wprawdzie to, co powiedział szeryf nie było niczym specjalnie nowym, Jason domyślał się tego od dawna, ale ta rozmowa bardzo mu pomogła. Utwierdziła w słuszności rozumowania. Może starczy czasu, by zrozumieć do końca...

To nie przeznaczenie. To nie zapłata za dawne winy. To gra. Gra, w której nie wiadomo, co jest wygraną. Nie wiadomo, kto jest przeciwnikiem. Gra, w której Match być może jest tylko narzędziem.

Coś nadchodzi. Coś się zbliża, coś złego, nieodgadnionego. Co do tego nie ma wątpliwości. Z czym przyjdzie się zmierzyć? A może z kim?

Dojeżdżali do bramy. Strażnik spał schowany w wykuszu. Obudził się dopiero na stukanie kopyt po bruku, poderwał się najwyraźniej przestraszony. Towarzyszący Jasonowi zbrojny mruknął coś niechętnie. Jason uśmiechnął się pod nosem. To się zmieni, nastąpiły nowe porządki. Przybył ktoś, kto zaprowadzi porządek, weźmie was za twarz.

Wjechali w wąskie, miejskie uliczki uspionego miasta. Zbrojny wstrzymał konia.

–Wracajcie do zajazdu, panie – mruknął. Jason zeskoczył z wierzchowca. Nie było daleko,

nie chciał zajeżdżać, oznajmiając swoje przybycie gromkim stukotem podków. Wolał podprowadzić konia, wślizgnąć się po cichu, by nie prowokować niepotrzebnych pytań.

Przypuszczał, że gospodarz obudzi się i tak, znał takich, byli zwykle czujni. Ale zaspany nie

zaciekawia się specjalnie, gdzie podziewał się jego gość.

Ku zdziwieniu Jasona zbrojny także zsiadł z konia.

–Coś jeszcze, mój dobry człowieku? – spytał Jason. Zbrojny podszedł bliżej.

–Wielmożny pan kazał wam powiedzieć, żebyście nie mieli żalu – mruknął.

–Coś takiego? – kpiąco spytał Jason. – Cóż za delikatność! Jaka wrażliwość! I, co by tu nie mówić, nieśmiałość! Nie mógł to sam mi tego powiedzieć?

Zbrojny pokręcił głową. Jason nie zdążył się uchylić. Gdy leżał na bruku,

przełykając krew spływającą do gardła z rozbitego nosa, usłyszał, jak zbrojny mówi przeproszającym tonem:

–Nie zrozumieliście, panie. Wielmożny pan kazał powtórzyć, że przeprasza, ale to był

wasz pomysł. Bardzo dobry, jak powiedział...

Jason siadł, obmacując krwawiący nos. Chyba nie złamany... Niech go szlag, rzeczywiście, to mój pomysł. Ale czy musiał brać go na serio? Tak, szeryf był konsekwentny. Teraz nie wyglądało to podejrzanie. Wyciągnęli człowieka z karczmy i zanim zdążył się wytłumaczyć...

Jason wstał, mrużąc przekleństwa i przełykając wciąż spływającą do gardła krew. Potykając się, ruszył w kierunku zajazdu.

Wczesna jesień zasnuwała pola mgłą. Las przystroił się w jaskrawe barwy. Puszczańskie buki pyszniły się już wszystkimi odcieniami, od żółci, poprzez czerwień aż do brązu. Padał deszcz.

Match nie cieszył oczu pięknem jesiennych liści. Prawdę mówiąc jesień obchodziła go tylko na tyle, na ile nieubłagane przypominała o upływie czasu. Czasu, który tracił.

Historia zatoczyła koło. Znow był w służbie szeryfa. Znow prowadził podjazd po leśnych szlakach. Znow dowodził zbrojnymi. Była jedna istotna różnica. Cały czas czekał. Ciągle miał wrażenie, że traci czas.

Owszem, były też inne różnice. Nie był już zwykłym dowódcą straży. Był zaufanym szeryfa, jak mówiono w mieście. Kimś, kto zastąpił hrabiego Gisbourne a. Nie było to dla niego zbyt istotne. Owszem, mieszkał na zamku, nie w koszarach. Na ucztach nie stał pod ścianą, ale zasiadał przy stole. Nawet przy wysokim. Co z tego, kiedy w ucztach nie gustował.

Ku swemu zdziwieniu, nawet wtedy, gdy mieszkańcy miasta zaczęli kojarzyć, kim jest, nie odczuwał ich nienawiści. Nikt nie okazywał mu pogardy. Pogardy, którą dobrze zapamiętał z minionych lat. Pogardy zaprawionej lękiem, która powodowała, że odwracano od niego twarzę. By tej pogardy nie okazać. Obecnie okazywano jedynie lęk. I, co bardzo go dziwiło, szacunek. Dziwił się, dopóki szeryf mu tego nie wytłumaczył.

–Widzisz, Match – powiedział kiedyś, gdy Match w przypiływie rzadkiej u niego otwartości powiedział o swych spostrzeżeniach. – Możesz zrobić dowolne świństwo. Popęlnić dowolną zbrodnię. Ale tylko wtedy, gdy jesteś silny. Gdy jesteś słaby, ludzie nie wybaczą. A ty... ty, mimo tego, co kiedyś uczyniłeś, jesteś silny. Cieszysz

się moim poparciem i zaufaniem, oni to wiedzą. W związku z tym nie potrafią tobą pogardzać. Mogą cię nienawidzić, zgoda, pewnie tak jest. Ale muszą cię podziwiać. I bać się.

Coś w tym było. Szeryf miał rację. Aby do końca udowodnić to Matchowi, przywołał przykład znanego im obu rycerza, osiadłego w pobliskim zamku. Rycerz posiadał ten zamek po długoletniej walce ze swym sąsiadem. Zanim jego starania zostały uwieńczone powodzeniem, kilkakrotnie najeżdżał i pustoszył ziemie swego rywala, palił wsie, wyrzynał chłopów. Co było zresztą normalne w takich sąsiedzkich waśniach. Robił to jednak nad miarę okrutnie. Miał szczęście, jego prywatna wojna zniknęła w zgiełku tej większej. W dodatku miał coś na swego wroga, ów nieszczęsny człowiek opowiedział się kiedyś nie po tej stronie, co powinien. Tak więc, gdy został pokonany i napastnik zajął jego posiadłość, zabiwszy go wprzód, król bez specjalnych oporów zatwierdził ten stan rzeczy swym nadaniem. I teraz dzielny rycerz cieszył się bezwzględnym podziwem i szacunkiem tych, których rodziny kiedyś z zapalem mordował.

Teraz on był panem. Tak to bywa na tym świecie, podsumował cynicznie szeryf. Match nie miał powodów, by się z nim nie zgodzić.

Deszcz padał coraz większy. Leśną drogą płynęły już całe strumienie wody, niosąc ze sobą igliwie, osadzając je na zagradzających im drogę korzeniach sosen. Match otulił się szczelniej burką. Bez sensu, i tak była już przemoknięta do cna.

Miał przez cały czas poczucie, że wszystko, co robi, jest bez sensu.

Przedtem wyobrażał sobie, że Nottingham będzie tylko krótkim przystankiem. Że od razu napotka to, na co przygotowywał się od dawna. Czemu będzie musiał wyjść naprzeciw. Nie wiedział, co to miałyby być. Nie próbował nawet się domyślać. Nie zastanawiał się, co będzie później. To było nieważne. Zresztą, czy miało jeszcze być jakieś „później”?

W Nottingham nie czekało na niego nic. Nic z tego, czego się spodziewał. Poczul się jak rycerz, który przygotowuje się do śmiertelnego pojedynku z silniejszym, osławionym przeciwnikiem, zbiera swe wszystkie siły, na wszelki wypadek żegna się z bliskimi. Przez całą noc nie może zasnąć, próbując przewidzieć wszystkie ewentualności i możliwe podstępny. Nieskończoną ilość razy sprawdza rynsztunek, ostrzy broń. I rankiem, kiedy już wyjdzie na udeptaną ziemię dowiaduje się, że nie ma przeciwnika. I owszem, pewnie będzie musiał walczyć, ale jeszcze nie wiadomo, kiedy. Ani z kim.

Match przybył do Nottingham gotowy, przygotowany najlepiej, jak tylko mógł. I zastał pustkę. Nie mógł się w tej pustce odnaleźć.

Nie narzekał na brak zajęć. Poświęcał się im chętnie, pomagały wypełnić bezsensownie upływające dni. Szeryf dostrzegał chyba jego rozdrażnienie, bo starał się jak mógł, by Match nie pozostawał beczynny. Jednak codzienne zajęcia były jałowe. Nie tego się spodziewał. Nie tego oczekiwał.

Przestały napływać niepokojące wieści. Nie pojawiło się nic nowego, czego nie można było wytłumaczyć w normalny sposób. Z rzadka tylko powtarzano niejasne pogłoski, że w puszczy coś się szykuje. Że ktoś znów chce wzniecić rebelię. Odkąd Match przybył do miasta, były to tylko pogłoski, powtarzane przy kubkach piwa, opowiadane przez baby na targu. Nie było już żadnych oznak, które by to potwierdzały. Nikt nie bronił dostępu do leśnych wiosek. Daniny spływały z nich opieszale, lecz to było normalne, dziwić by się należało, gdyby było inaczej. Nikt nie zabił żadnego z poborców. Nie pobił nawet. Ba, nawet nie zelżył grubym słowem. Match w końcu przestał się tym interesować. Odkąd pamiętał, zawsze opowiadano, że w puszczy coś się dzieje. Czasami nawet nie bez podstaw, ale tylko czasami.

Ten spokój był dla Matcha jeszcze cięższy do zniesienia, niż napięcie miesięcy poprzedzających przybycie do miasta. W dodatku został sam. Bez jedyne go człowieka, któremu po raz pierwszy od lat spróbował zaufać.

Rzadko spotykał Jasona. Jason nie pojawiał się na zamku, Match widywał go najczęściej w karczmach i na targu. Zwykle z daleka. Jason nie przejawiał chęci do spotkań, nawet do rozmowy. Match nie dziwił się. Przypuszczał, że wreszcie Jason znalazł to, do czego przez cały

czas tęsknił, znalazł swoje dawne życie. Te spędzone razem miesiące to był tylko krótki epizod. Obiektywnie patrząc, niezbyt zresztą miły.

Match to rozumiał. Nie dziwił się. Ale sam stwierdzał ze zdziwieniem, że to boli...

Dawno nie miał tak dobrej passy. Takiej, która trwałaby tak długo.

Jason zgarnął monety ze stołu, starając się nie śmiać z miny siedzącego przed nim, splukanego do cna przyjezdnego kupca. A było to śmieszne. Kupiec nie przejawiał złości. Nie przejawiał rozpacz. Na twarzy miał wyraz zaskoczenia i kompletnej niewiary w to, co się stało. Jeszcze do niego całkiem nie dotarło. Demonstrował ten osobliwy wyraz twarzy, zwany w kręgach, w których obracał się Jason, kocią mordą.

Jason zdusił w sobie skrupuły. Skrupuły, które powtarzały mu natrętnie, że pozbawił właśnie kupca całego zarobku. Zabrał mu wszystko, co uzyskał ze sprzedaży towarów, które gromadził nie wiadomo, jak długo. Odbije sobie następnym razem, pocieszył się, by stłumić wyrzuty sumienia. Przecież został mu wóz i konie, będzie miał środek transportu na następny targ.

Jason pilnował, by nie ogrywać ludzi do końca. Choćby nawet chcieli, jak ten

nieszczęśnik. Nie warto dla pary nędznych koni i rozpadającego się wozu ryzykować, że spotka się z desperacją. Z desperacją, która zwykła się chwytać różnych środków.

Wstał od stołu, udając, że nie słyszy płaczących błagań o ten jeszcze jeden rzut. Rzut, który odwróci zły los, przełamie passę.

Nottingham było dużym miastem. Miastem, które posiadało znakomicie prosperujący targ. W którym zawsze było wielu przyjezdnych. Takich, którzy jeszcze nie grali z Jasonem.

Od dawna nie miał tak dobrych zarobków. Co prawda nigdy nie pozostawał tak długo w tej samej miejscowości, to było zbyt niebezpieczne. A teraz już miesiąc... Aż dziw, że nie poznali się na nim. Mało tego, nie zdarzały się nawet sytuacje potencjalnie niebezpieczne. Początkowo Jason sądził, że zawdzięcza to szczęściu. Później jednak musiał zweryfikować swe poglądy.

Pierwsza niemila sytuacja zdarzyła się, gdy przed ostatnim rzutem kośćmi przeciwnik poważnie zapewnił, iż lepiej byłoby, gdyby to on ten rzut wygrał. Że to przeciwne naturze, aby jeden człowiek miał szczęście, a drugi go nie miał. Jason początkowo zachnął się tylko. Ten człowiek nie przegrał wcale dużo, a sądząc po dostatnim odzieniu, nawet większa przegrana nie stanowiłaby dla niego uszczerbku. Widząc jednak zaciętą twarz przeciwnika, stwierdził, że chodzi o zasadę.

Nie zamierzał rezygnować przez zwykłą przekorę. Przeciwnik nie wyglądał na groźnego, mały, niepozorny, w średnim wieku. Szacowny miejscowy mieszczanin. Jednak gdy wyciągał rękę, by zgarnąć miedziaki ze stołu, zobaczył, jak się pomylił. Chuderlawy człowiek wstając przewrócił ławę na której siedział i ruszył prosto na niego, bełkocząc coś o oszustach i wydrwigroszach.

Jason nie widział innego wyjścia, jak przyjąć pozycję i odeprzeć atak. Zwykle czynił to niechętnie, nie mając innego wyjścia, ale teraz nie czuł wielkiego zagrożenia. Ufał, że sobie sam poradzi. Poza tym, zezłościł się. Poderwał się z ławy i zacisnął pięści, oczekując przeciwnika. Miał trochę czasu, gdyż chuderlawy przeciwnik gramolił się na niego poprzez szeroki stół.

Jednak Jason nie doczekał się walki. Dwóch stojących obok stołu, spokojnie przyglądających się dotąd ludzi nagle skoczyło sobie do oczu. Wyglądali na czeladników murarskich, sądząc po poplamionych wapnem ubraniach. Jeden popchnął drugiego prosto na stół. Ten, wymachując nieporadnie wielkimi jak bochny pięściami przypadkiem trafił chuderlawego człowieczka prosto w ciemię. Rozległ się głuchy trzask i człowieczek spadł bezwładnie pod stół. Czeladnicy wykrzyknęli jeszcze parę przekleństw, po czym podali sobie ręce i zgodnie ruszyli napić się jeszcze piwa.

Jason odetchnął z ulgą. Zawsze lepiej, gdy nie dochodzi do konfrontacji, nawet wtedy, gdy siły są tak nierówne. Pomyślał, że jednak ma szczęście...

Za drugim razem było gorzej. Jason źle ocenił przeciwnika. Przecenił jego zasoby. Gdy ograł go do końca, nobliwy kupiec sięgnął po sztylet, krzyząc, że teraz to już wszystko jedno. Nie ma już nic, i jedyne, co chce jeszcze w życiu zrobić, to zabić sukinsyna, który do tego doprowadził. Był pijany, ale nie aż tak, by nie móc zrealizować swego postanowienia.

Nie było wyjścia. Nie można było się cofnąć, krąg przyglądających się grze napierał na plecy. Próby perswazji jeszcze pogorszyły sytuację. Jason uniósł obie ręce. Wiedział wprawdzie, że się obroni. Ale mógł to zrobić tylko w jeden sposób. A to oznaczało kłopoty... Jason przypomniał sobie o rajcach miejskich. I o pręgierzu.

Nie było wyjścia. Za chwilę bełkoczący przekleństwa człowiek skoczy do przodu. Miał przewagę, był duży. Nie ma się gdzie cofnąć, przytłoczy samą masą. I ten sztylet...

Zanim doprowadzony do szaleństwa pechowy gracz zdążył rzucić się do przodu, unieruchomiły go potężne ramiona. Człowiek, na którego Jason nie zwrócił prawie uwagi, potężny drab w sfatygowanym odzieniu chwycił desperata w potężny uścisk. Bełkotał coś o nieoczekiwanym spotkaniu, dawno nie widzianym przyjacielu, jedną ręką poklepując trzymanego w żelaznym uścisku po plecach. Jeszcze niedawno wyglądał na kompletnie pijanego, zainteresowanego jedynie swym dzbanem taniego wina. Teraz Jason złowił uważny błysk oczu. Zobaczył, że pozornie pijany człowiek unieruchomił jak w kleszczach trzymającą sztylet dłoń.

Ich oczy spotkały się. Jason zastosował się do niemego rozkazu. Wcisnął się w tłum za sobą.

Teraz nie można było mówić o szczęściu. Jason zastanawiał się tylko, czy dyskretna opieka, jaką nad nim roztaczano, obejmuje też problem rajców miejskich i ich surowych sądów. Nie korciło go jednak, żeby sprawdzać...

No, dosyć na dzisiaj, pomyślał Jason. Jeszcze może kubek wina... Podczas gry często maczał usta w kubku, udając, że pije. Potrafił dyskretnie wylewać wino pod stół, tak, aby nikt nie spostrzegł, że udaje. Dziś już nie zamierzał grać. Teraz napije się dla przyjemności.

Nigdy nie sądził, że nadmiar pieniędzy może przyprawiać o troski. Teraz zrozumiał. Nie miał zaufania do lichwiarzy w Nottingham, mieście, którego nie znał. Coraz częściej zastanawiał się, co począć z pęczniejącymi skórzanymi woreczkami. Przechowywanie ich w zajmowanej izbie było proszeniem się o nieszczęście. Trzeba trochę przystopować, obiecał sobie. Na czorta ci, Jason, tyle pieniędzy... Niedługo

będziesz mógł kupić to całe pieprzone miasto...

–Panie... – natarczywy głos wyrwał go z zamyślenia. Podniósł głowę.

–Może zagramy, panie?

Jason pokręcił przecząco głową. Nie dzisiaj, na dziś wystarczy. Z przyzwyczajenia jednak otaksował rozmówcę. W ogóle nie ma o czym mówić, pomyślał, na pierwszy rzut oka nie śmierdzi groszem. Spadaj, człowieku, w swoją stronę...

Na głos powiedział uprzejmie:

–Nie dzisiaj, na dziś mam dosyć... Może jutro – rzucił niezobowiązująco. Mężczyzna nie

rezygnował.

–Szkoda – powiedział. – Jutro ruszam do Lincoln, samotrzeć. Ze szwagrem i Roxanną...

Popatrzył wyczekująco. Jason drgnął.

–W Lincoln... – zaczął powoli. – W Lincoln najlepsze obwarzanki są na Placu Targowym...

–...Roxanna lubi je tylko jesienią – dokończył mężczyzna. Jaka Roxanna do cholery, pomyślał po raz któryś Jason. W życiu nie znałem żadnej Roxanny...

–Dobrze, zagramy – zgodził się ze znużeniem. – Ale nie tu, w tym hałasie. Chodźmy do alkierza...

Jak zwykle, kilka pensów rzuconych karczmarzowi pozwoliło skorzystać z alkierza. Trzeba było tylko poczekać, aż pomocnicy karczmarza zrobią miejsce, bezceremonialnie wywlekając pijanych już gości. Jak zwykle...

–Może byśmy tak zaczęli – mruknął mężczyzna, gdy zniknął już pacholek, który przyniósł dzban wina. Rzucił kości na stół.

–A po co? – spytał Jason niechętnie.

–Dla zachowania pozorów – zganił go nieznajomy, wyciągając miedziaki z mieszka. Jason pokiwał głową. Trudno, jak trzeba, to trzeba.

–Co nowego? – mężczyzna przeszedł od razu do rzeczy. Grzechotał trzymanymi w dłoni kośćmi. Jason zmrużył oczy.

–Można to określić jednym słowem – popatrzył na toczące się kości. Gdy znieruchomiały, sięgnął po nie.

–Jakim? – padło szybkie pytanie.

–Gówno.

Człowiek skrzywił się. Jason potrząsnął kośćmi, rzucił. Przegrał. Patrzył, jak rozmówca zgarnia monety na swoją stronę stołu.

–A konkretniej?

–Konkretniej, to też gówno, tylko większe – Jason skrzywił się. – Inaczej mówiąc, nic nowego...

–Niedobrze – zatroskane spojrzenie, niechętnie pokręcenie głową. Nieznajomy przesunął na środek kupkę monet. Sporo, zauważył Jason. Ciekawe, czy gra za swoje, czy dostał na wydatki.

Znów grzechot kości w dłoni. Jason spostrzegł charakterystyczny ruch nadgarstka. On wie, co robi, pomyślał. To zawodowiec.

Jason odbył już kilka takich spotkań. Ale nigdy nie rozmawiał dwa razy z tym samym człowiekiem. Zaczynał się zastanawiać, jak wielu takich niepozornych, niczym się nie wyróżniających z tłumu ludzi szeryf ma na swoje usługi. Rozmawiał już z kupcem, mieszczaninem, rzemieślnikiem. Kiedyś kwestię o Lincoln wygłosił zapijaczony zgodnie z profesjonalnym obyczajem borowy z fioletowym nochalem. Jason zaczynał rozumieć, dlaczego straż była tak nieliczna, nieproporcjonalnie nieliczna jak na tak duże miasto. Ciekawe, czy ci ludzie potrafią co innego, nie tylko zdobywać informację. Potrafią, odpowiedział sam sobie. Niedawno przecież widział. A ten potrafi grać. I zapewne oszukiwać.

Kości znów potoczyły się po stole. Kolejny rzut. Jason znów przegrał.

–Nic nowego w sprawie człowieka w kapturze?

Nigdy nie wymieniali imion. Zawsze jakieś określenia, nigdy wprost. Jason pokręcił głową.

–Nic ponadto, co wiedzieliśmy już przedtem – odparł. – Zbiera ludzi. Jest nieuchwytny. Jest wcieleniem Robina albo nim samym...

–Ciszej – syknął nieznajomy. Jason uznał to za przesadę. W tym hałasie i tak nikt nie mógł usłyszeć. Bywalcy karczmy właśnie ryczeli zgodnym, aczkolwiek niezbyt zestrojonym chórem znaną piosenkę o królewnie, grajku i niemiłosiernym królu.

Zwolenniku radykalnych rozwiązań.

–Dobrze – zgodził się Jason dla świętego spokoju. – Otóż człowiek w kapturze robi to, co robił już od dawna. W każdym razie wieści na to wskazują. I wiesz co? Na mój gust robi to albo nieudolnie, albo bez przekonania. Bo jak na razie gównem z tego wychodzi. Poza plotkami... Może po prostu jest leniwy... A może...

–A może na coś czeka? – spytał cicho nieznajomy. – O tym nie pomyślałeś?

–Pomyślałem – odparł Jason nieco głośniejszym głosem. Piosenka doszła do zwrotki opisującej wspólną rozpacz królowej i grajaka. Pijani biesiadnicy śpiewali z uczuciem, jakby to im

przydarzył się taki niemiły i, co tu dużo mówić, nieodwracalny wypadek.

–Pomyślałem – powtórzył, gdy śpiew nagle się urwał. Nie było już o czym śpiewać. – Ale

nie bardzo sobie mogę wyobrazić, na co...

Nieznajomy pokręcił głową, zgarniając kolejną wygraną. Dość tego, spostrzegł Jason. Tego już za wiele. Postanowił się skupić.

–Pomyśl – usłyszał. – Może na wsparcie? Może nie chce popełnić błędu, rozpoczynając nie w pełni przygotowany?

–A niby skąd mamy się tego dowiedzieć? – Jason niecierpliwym gestem sięgnął do sakiewki. – Z puszczy nie dociera wiele informacji. Te, co docierają, są mało wiarygodne. Przesadzone. Gdyby je brać poważnie i bez zastrzeżeń, to on urasta...

–Właśnie – mężczyzna pokiwał głową. – Urasta. I problem w tym, żeby za bardzo nie urósł...

Pokiwał głową w zadumie. Szybkim gestem wyrzucił kości. Spojrzał na nie i uśmiechnął się.

–A skąd masz się dowiedzieć... To już twoje zmartwienie. To, że niewiele wiemy...

Właśnie to jest niepokojące...

Po raz ostatni zgarnął pieniądze ze stołu. Jason ze zdziwieniem spostrzegł, że znowu przegrał...

–To beznadziejne – powiedział zniechęcony. – Rozwieszam uszy na prawo i lewo, gadam

z każdym, kto przejawia na to ochotę... I nic. Nic nowego...

Nieznajomy pokręcił głową.

–Jest jedna rzecz... – zaczął. – Ktoś zaczyna się tobą interesować. Powinienem cię przestrzec...

–A to nowina – rozzłościł się Jason. – Niech to szlag, od dawna już się tego spodziewałem. Już dawno powinienem dać sobie spokój, zmienić otoczenie. Przecież to było tylko kwestią czasu, aż ktoś się mną zainteresuje. Mówiłem, nie można w ten sposób, nie tak długo... Nie można ciągle grać w jednym miejscu. Ale do was to nie dociera... A teraz wreszcie ktoś rozwali mi łeb albo, co gorsza, zajmie się mną rada miejska... Dobra, powiedz szeryfowi, że na razie muszę przestać, nie uśmiecha mi się pręgierz...

–To nie to, co myślisz – nieznajomy uśmiechnął się. – Owszem, rajcy się tobą

interesowali. Już parę razy na ciebie doniesiono. Ale ktoś powiedział szacownym

mieszczanom, że mają się od ciebie odczepić. Nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Donosicielei zniechęcać, na wszelkie możliwe sposoby. Nie martw się, oni nie wiedzą, o co

chodzi. Myślą, że jesteś jednym z...

Jason nie słuchał dalej. Na co mi przyszło, pomyślał. Przerwał niecierpliwym gestem.

–Dobrze już, dobrze... Ale jeżeli nie oni, to kto?

–Dobre pytanie – nieznajomy utkwiał w Jasonie uważne spojrzenie. – Kto? Nie wiemy. Ale rozpytywano się o ciebie, choćby u karczmarza.

Karczmarz też? No pewnie, musi być bardzo przydatny dla szeryfa.

–Rozpytywano bardzo dyskretnie – ciągnął niepozorny człowiek. – Nie tylko

rozpytywano... Parę razy ktoś chodził za tobą.

–Myślałem, że to od was – skrzywił się Jason. Parę razy to zauważył. Wyczuwał zawsze.

–Od nas też – padła sucha odpowiedź. – Stąd wiemy. Musisz uważać... Ale to dobrze... Tak, pomyślał Jason, istotnie muszą uważać. Było jeszcze jedno... Ale nie wiedział, czy

może się tym podzielić z tym człowiekiem. Nie wiedział, na ile jest wtajemniczony...

–Dlaczego dobrze? – spytał.

–Bo jest jakiś punkt zaczepienia. Coś się dzieje...

Coś się dzieje... Dobrze, bo jest punkt zaczepienia. A ja tymczasem dostanę w łeb albo nożem w zaułku, pomyślał Jason niechętnie.

–Dlaczego więc nie złapiecie po prostu tego, który za mną chodzi? Nie wypytaacie? Czyżby

kat miał akurat wolne?

Niepozorny człowiek skrzywił się.

–Tak się nie robi. Widzisz, kiedy oni nie wiedzą, że my wiemy...

Jason nie był przekonany. Widać nie sprawiał wrażenia przekonanego, bo nieznajomy urwał.

–No dobrze – podjął po chwili. – Powinieneś w zasadzie wiedzieć... Otóż próbowaliśmy. Nie udało się.

–Dlaczego? – spytał krótko Jason.

–Nic w tym dziwnego. Ci dwaj, którzy mieli go zwinąć, przysięgają, że nagle zniknął. Kłamią. Widziano ich, jak podeszli do niego i rozmawiali, czemu zaprzeczają. To proste, zostali przekupieni. Albo zastraszeni, bo...

Nie musiał kończyć. Jason domyślił się. Gdyby byli przekupieni, to przy odpowiedniej perswazji przyznali by się do tego. Jason nie miał wątpliwości, że taką perswazję zastosowano. Przekupstwo więc odpadało. Ale Jason wiedział, że jest jeszcze inna możliwość...

–Jeszcze jedno – powiedział mężczyzna. – Nie mówiłeś nic o wilkołaku... Jason roześmiał się niewesoło.

–Przecież to bzdura – odparł niechętnie. – Zgoda, od tygodnia ludzie gadają, że ponoć spustoszył jakąś wioskę. Podobno żywa dusza nie uszła. Wielki na półtora chłopca i zarośnięty, że aż strach. Nie masz czym się zajmować, tylko takimi bzdurami? Pewnie znów nie ma w tym ani słowa prawdy, znowu wilki zagryzły owieczkę i z tego ta cała afera...

–Tym razem nie – odparł mężczyzna. – Tylko dla twojej wiadomości... To była prawda. Nie powtarzaj tego, po co wzbudzać niepokój. Sprawa i tak załatwiona.

–Co ty gadasz? – Jason wybałuszył oczy. Nie wierzył w wilkołaki. Owszem, widział już dziwne rzeczy. Choćby gryfa. Ale wilkołak?

–Żołnierze go ustrzelili. Nie dziw się, to się zdarza. Ludzie czasem zamieniają się w wilki, zawsze tak było. Ty zdaje się jesteś z miasta? Pomieszkałbyś na wsi, tak jak ja kiedyś. Blisko

tej przeklętej puszczy. Przestałbyś się dziwić... Za to w czasie pełni niechętnie byś się włóczył po lesie...

Człowiek opróżnił do końca swój kubek.

–W życiu nie widziałem... – zaczął Jason zdetonowany. Zastanawiał się, czy rzeczywiście ludzie zawsze przemieniali się w wilki. Czy raczej wilkołaki pojawiały się skądinąd.

–Nie masz czego żałować – oświadczył mężczyzna z przekonaniem. – Nic specjalnego. Nawet mało podobny do wilka, wilcze ma tylko obyczaje. Wygląda, jak... – rozejrzał się.

–Wygląda, jak nie przymierzając ten dobry człowiek – pokazał na siedzącego opodal, zalanego w trupa jegomościa. Istotnie, jegomość zarośnięty był po same oczy, posiadał też wyjątkowo krzywy i okazały zgryz. W lesie można by się pomylić, pomyślał Jason, przyglądając się nieszkodliwemu, pijanemu w sztok człowiekowi. Gdyby tak jeszcze zdjąć to odzienie... Jason wiedział, że wilkołaki zwykle nie noszą odzienia. Nawet zarzyganego.

Zaufany szeryfa wstał.

–To tyle – powiedział na odchodnym. – Więcej nic nie mam. Skontaktujemy się z tobą...

Zawsze tak mówią, pomyślał Jason, patrząc za odchodzącym. Mógłby chociaż zapłacić za

wino. Nigdy nie płacą...

Poniewczasie pożałował, że nie powiedział wszystkiego. Nie powiedział najważniejszego.

Jason wiedział, że ktoś się nim interesuje. Nie dlatego, że spostrzegł kogoś, kto za nim chodzi. To nie było takie proste, takie pospolite. Było znacznie bardziej niepokojące. Ktoś wiedział już, kim jest. Jakie posiada zdolności. Spostrzegł to w czasie gry, gdy maksymalnie skupiony korzystał ze swego daru. Tego skromniejszego, pozwalającego wygrać.

Wzdrygnął się, przypomniawszy to uczucie. Paskudne uczucie, jakby ktoś oślizgłymi, zimnymi paluchami grzebał mu pod czaszką. Jakby ktoś wciskał mu się do głowy, usiłując patrzeć jego oczyma. Zorientował się, że spotkał kogoś takiego, jak on sam.

Za pierwszym razem mimowolnie stawiał opór. Później zrozumiał, że to był błąd. Stawiając opór pokazał, kim jest. Co potrafi.

Gra się zaczęła. Gdzieś niedaleko krążył przeciwnik, ten, na którego czekali. Ktoś, kto stał po drugiej stronie. Po stronie kogo? Lub czego?

Pożałował po raz kolejny, że został sam. Musiał być sam. Była niewielka szansa, iż to, że przybył do miasta wraz z Matchem zostanie uznane za przypadek. Bardzo niewielka, ale była.

Zostałeś sam, pomyślał Match. Trudno, zawsze byłeś. Nie masz przyjaciół.

Nie możesz mieć.

I nigdy nie miałeś...

Deszcz ustawał. Jadący za Matchem żołnierze przestali kulić się w kulbakach. Klęli zapewne bezsensowne rozkazy, nakazujące patrolowanie obrzeży puszczy. Nie działało się przecież nic, co uzasadniałoby taką potrzebę. Klęli ze szczerego serca szeryfa, który wydawał

rozkazy, zmuszające do błąkania się po lesie w taki deszcz. Klęli co sprytniej szych kamratów, którym udało się wykręcić lżejszą służbą.

Nie klęli Matcha. On zawsze był z nimi. Mókł tak samo.

Match kląłby także, gdyby nie wiedział, że alternatywą była beczynność. Beczynność, która coraz bardziej doskwierała. Wobec której nawet najbardziej bezsensowna służba nabierała sensu.

Tak jak dzisiaj. Jechali sprawdzić, co dzieje się w dawno opuszczonej wiosce. Ponoć biwakowali w niej jacyś ludzie. Match dałby sobie głowę uciąć, że to nieprawda. Może ten, kto o tym doniósł, był pijany. Może przekręcił fakty. Ta wioska, a raczej jej ruiny, nie miały żadnego znaczenia. Nie było tam nawet studni, ta zniszczona została jeszcze podczas poprzedniej wojny. Wojny, którą prowadził jeszcze Match, przed laty. Zostały tylko zarośnięte przez lata, popróchniałe zręby chat.

Już niedaleko. Niedługo będzie można się rozejrzeć, stwierdzić, że nic się nie wydarzyło i wracać. Tylko po co? Match wstrząsnął się. Do czego?

W dalekiej, mglistej perspektywie drogi zobaczył niewyraźną postać. Brutalnie ściągnął wodze. Poznał, kto czeka na niego w to mgliste, choć ciepłe jesienne popołudnie. A raczej wiedział już, zanim mógł rozpoznać odległą sylwetkę.

Za sobą usłyszał parskanie koni. Oddział zatrzymywał się, zbrojni dobywali broni. Łucznicy zdejmowali osłony z cięciw, odrzucali płaszcze zakrywające kołczany. Gdy ktoś zagradał drogę w puszczy Sherwood, nie wróżyło to niczego dobrego. Jeszcze było daleko. Nie rozpoznali stojącego nieruchomo na środku traktu jeźdźca.

Nie wiedzieli, że to tylko samotna kobieta.

Match wiedział. Gestem nakazał, by zbrojni zostali na miejscu. Sam wolno ruszył naprzeciw. Wolno, bardzo wolno. Wiedział już, że właśnie spotkał to, na co czekał. Że dziś się dowie.

Ze po raz pierwszy od lat spojrzył jej w twarz. Jeżeli się odważy.

O tym, że Marion żyje gdzieś niedaleko, wiedział od dawna. Nie wiedział gdzie, nie miał odwagi się dowiedzieć. Nie było po co. Nie było jak.

Los nie obszedł się z nią dobrze. Przypuszczał, że lepiej, niż z nim, ale trudno było porównywać. Trudno było porównywać swą sytuację do położenia szlachcianki, która stała się trędowata. Od której odwrócili się wszyscy, których kiedyś znała i kochała. Otoczona pogardą, a co jeszcze gorsze, niezdrową ciekawością. Szlachcianka, zbójcka kochanka. Kobieta ścigana przez prawo, która w jakiś sposób uniknęła swego losu. Więzienia, tortur, a w najlepszym wypadku szubienicy. Bo w gorszym... To, że stanęła kiedyś po stronie banitów, było niczym w porównaniu z oskarżeniami o jeszcze gorsze rzeczy. Przecież zadawała się też z druidami, odprawiającymi swe przeciwne Bogu i naturze plugawe obrzędy. Przebywała wśród nich przez lata całe. Po co? Przecież to oczywiste... Była ich narzędziem, potrzebnym do niepojętych i

paskudnych czynów. Każdy wie, że kobieta, ulubienica szatana, najlepiej się do tego nadaje. Do zaspokajania jego zwierzęcych chuci także...

Tu szubienica nie wystarczała. Tylko ogień mógł oczyścić zbląkaną duszę z grzechu. Tylko ogień, poprzedzony szczerym wyznaniem wszystkich win.

Ale ku rozczarowaniu wszystkich stos ominął wiedźmę. Nie zmuszono jej do wyznania, ile razy i w jakich pozycjach spółkowała z diabłem. Ile dusz niewinnych za jego poduszczeniem zgubiła. Nakazano puścić ją wolno. I zakazano czynić jakiegokolwiek wstręty.

Lud był rozczarowany i zawiedziony. Nic przecież nie może się równać porywającemu spektaklowi, gdy stos trzaska wesoło, a płomień poczynają lizać

bose stopy przywiązanej do słupa więdźmy. Nic nie dorówna uciesznym wrzaskom i podrygiwaniom czarownicy na wolnym ogniu, nawet łamanie kołem czy ćwiartowanie. A jeszcze te zeznania, odczytywane wprzód przez herolda! To nie to samo, co wyznania zwykłego koniokrada czy zbrojcy. Można się z nich wiele dowiedzieć. Na przykład, kto z sąsiadów, pozornie dobrych chrześcijan, sprzyjał w ukryciu szatanowi. Albo o obyczajach seksualnych szatana. Perwersyjnych wprawdzie i przeciwnych naturze, ale jakże podniecających. W dodatku wszystko to prawdziwe i wiarygodne, bo przecież wydobyte na torturach.

Szeryf pożałował ludowi widowiska. Nie tylko tego finalnego, publicznego. Nawet nie pozwolił na zwykłe przesłuchanie więdźmy. Nakazał puścić ją wolno. A lud, jak to lud, nie zwykł kwestionować postanowień władzy. W końcu łamanie kołem zwykłego zbrojcy okazało się także ciekawe.

Ale nikt nie zapomniał. Być może szeryf miał jakieś swoje, neodgadnione prostym ludziom zamysły. Ale więdźma była więdźmą, wszyscy o tym dobrze wiedzieli. I na zawsze miała taką pozostać. Miała być tą, na widok której ludzie zawsze będą słuwać i odwracać twarze. Zawsze będą czynić gest, chroniący od uroku, mniej lub bardziej ostentacyjnie. I oczekiwać sprawiedliwości Bożej.

Z początku zdarzali się tacy, co chcieli trochę tę nierychliwą sprawiedliwość wspomóc. Na tyle, na ile mogli. Ciskali kamienie i gnój. Próbowali podpalić ubogi dworek, pozostały z resztek majątku jej zmarłych dawno rodziców. Zdarzało się, że kobiety zamiast pod nogi pluły w twarz.

Szeryf nie docenił tej gorliwości. Schwytanych podpalaczy kazał bezlitośnie wychłostać. Więcej nikt nie próbował. Ale nienawiść stała się jeszcze większa. I trwała, przez długie, długie lata. Nawet wtedy, gdy zapomniano o Matchu, Wieprzu z Nottingham. Zapomniano o jego czynach i zbrodniach.

Nienawiść trwała do dziś. Musiała żyć nią otoczona, czując jej stałą obecność. Samotna kobieta w dworku na skraju puszczy.

Stała nieruchomo, czekając aż podjedzie. Gdy zatrzymał się przed nią, na twarzy pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech.

–Witaj, Match – powiedziała po prostu.

Nie odpowiedział. Stał po prostu i patrzył. Patrzył prosto w twarz, tak długo nie oglądając. Twarz zachowaną przez te wszystkie lata w pamięci. Taką, jaka była kiedyś. Jaka była teraz. Nie wiedział już, czy przez ten cały czas widział każdego dnia twarz dwudziestoletniej dziewczyny. Czy może tę, na której minione lata odcisnęły swe ślady. Tę, którą widział teraz.

Srebrne nitki w wilgotnych od deszczu i mgły kasztanowatych włosach. Delikatne

zmarszczki, biegnące do opuszczonych kącików ust. Rysy wyostrome przez lata cierpienia.

I zielone oczy, w których dostrzegał coś nowego, coś, czego nigdy przedtem nie widział. Dostrzegał pustkę.

Nie widział w nich nienawiści. Nie widział wyrzutów. Tylko żal.

We dwoje na mglistej, leśnej drodze. Zniknęli gdzieś pozostawieni w tyle zbrojni. Tylko las. Tylko mgła. I oni.

Bez słowa skinęła ręką. Zawróciła swego konia. Match ruszył za nią. Wiedział, że zbrojni wrócą do zamku, już tak bywało.

Jechali wolno, miękkie, mokre igliwie i liście tłumiło odgłos kopyt. Mgła wisiała dokoła, zamazywała ciemne kształty mijanych drzew i zarośli. Białe kłęby rozstępowały się przed nimi. Zamykały się z tyłu, jakby nie było tej drogi. Jakby nie było na świecie nic innego. Tylko oni.

Match widział smukłą, otuloną burym płaszczem, siedzącą po męsku sylwetkę. Widział wilgotne włosy rozsypane na plecach. I nie potrafił myśleć o niczym. Nawet o tym, co powie, gdy już dojadą tam, gdzie zmierzali.

Mgła poczyniała rzednąć, lecz zamiast niej na wąską ścieżkę zaczął spływać zapadający mrok wczesnego, jesiennego zmierzchu. Las był mroczny, wielkie świerki zwieszały swe łapy nad traktem. Cisza przerywana niekiedy parsknięciem konia, szczękiem uprzęży, podkreślana głuchym odgłosem końskich kopyt na miękkim poszyciu.

Już wiedział, dokąd jada. Może rozpoznał drogę, może gdzieś z głębi umysłu napłynęły wspomnienia. Może po prostu zrozumiał.

Polana z wielkim, rozłożystym dębem. Grube, powęzłone gałęzie, zwieszające się nisko. Ciemne kształty jałowców, otaczające ją zwartym kręgiem. Miejsce szczególne.

Dym tłącego się ogniska, ścielący się nisko nad ziemią, snujący się i wyginający w fantastyczne kształty. Sucha, chrzęszcząca pod kopytami wysoka trawa. Miejsce znane ze wspomnień.

Ta polana była szczególna. Była jednym z osobliwych miejsc, gdzie przenikają się tajemnicze podziemne szlaki. Tutaj czuło się przenikającą wszystko pradawną moc. Którą można było osiąść, czerpać ją z głębin ziemi. Można się było z tą ziemią zespolić, poczuć jedność. To miejsce było takie, jak dawniej. Przed wiekami, przed tysiącami lat. Od zawsze.

Wierzchowce puszczone luzem odchodzą dalej. Strzelają w górę iskry, rozbłyska płomień podsyczonego ogniska. Odblaski światła wydobywają z mroku czarne sylwetki jałowców. Otaczających kręgiem polanę jak przysadzista, groźna, leśna straż. Szeleszczą suche, poskręcane liście rozłożystego dębu.

Miejsce, które może dać siłę, mogącą przewyciężyć te wszystkie minione lata. Miejsce, w którym można wszystko powiedzieć, w którym nie można skłamać. Bo i tak można oddzielić prawdę od fałszu. Które może dać jeszcze jedną szansę.

Albo zniszczyć. Zniszczyć do końca. Jeżeli coś jeszcze pozostało do zniszczenia.

Iskry ogniska odbijające się w zielonych oczach. Ciepło ciała, tak bliskiego. Oddech na policzku. Można wszystko powiedzieć. Bez słów.

Zapach włosów. Bury płaszcz opada na suchą, szeleszczącą trawę. Palec położony delikatnym gestem na wargach. Nie trzeba słów. Na słowa przyjdzie jeszcze czas. Teraz jest tylko chwila. Ta chwila.

Twardniejące pod palcami sutki. Szybki, coraz szybszy oddech. I pustka w zielonych oczach. Już bez żalu. Bez smutku. I bez nadziei.

Szary popiół wygasłego ogniska. Szary, zwiewny snujący się nad nim dym. Błyszcząca szarym srebrem rosa na szarej, zeszczałej trawie. Szary, jesienny świt.

Pod burką, w zgięciu łokcia rozsypane kasztanowate włosy. Przetykane srebrnymi nitkami. Dużo tych nitek, za dużo. Lśnią szarym srebrem W mętym świetle poranka.

Nadszedł czas słów. Teraz już trzeba powiedzieć, nic innego nie wystarczy. To za mało, aby zasypać przepaść, która otwarła się przez lata. Której pewnie i tak nie da się zasypać. Jak zamknąć w słowach dwadzieścia lat?

–Przepraszam, Match – usłyszał. Nie zdziwił się, spodziewał się tych słów. Wiedział, czego dotyczą.

–Przepraszam – powtórzyła cicho Marion. – To był błąd...

Chciał zaprzeczyć. Nie mógł, miała przecież rację. To był błąd. Już za późno. Już nie ma przyszłości. Skończyła się wczoraj.

Marion siedziała zgarbiona nad wygasłym ogniskiem. Nadpalonym patykiem rozgarniała popiół. Uniosła głowę.

–Proszę, nie mów nic więcej – powiedziała. – Nie mów nic. To nic nie zmieni, już nie...

Czy to ulga, że tak po prostu, zwyczajnie? Że nie trzeba wyrzucać z siebie tego

wszystkiego? Match nie wiedział. Nie chciał wiedzieć. Gdzieś tliła się świadomość, że to po prostu nieważne, nieistotne... Spojrzała mu prosto w twarz.

–Wiesz, cały czas się zastanawiam, dlaczego ja? – powiedziała po chwili. – Dlaczego właśnie ja mam ci to powiedzieć? Dlaczego mnie to nakazano?

W oczach zabłyśły łzy.

–Chyba wiem... – odpowiedziała cicho sama sobie. – To pytanie jest złe, nie odpowiedź.

Nie dlatego, ale za co...

Wyciągnął rękę, delikatnie starł z policzka spływającą łzę. Zadrżała i odsunęła się.

–Nie utrudniaj, Match... – w głosie była prośba. Niechętnie, wolno cofnął dłoń. Miała rację. Było wystarczająco trudno.

Znów schyliła głowę. Zaczęła, nie patrząc na niego.

–Stałam się twoim przeznaczeniem, Match. To ja mam ci przekazać to, co masz zrobić. Co

musisz zrobić. Przekażę to, choć czuję, jak po trosze umieram. Bo to, co przekażę, to śmierć.

Twoja śmierć.

Pokiwał spokojnie głową. To nie śmierci się bał. Gorsze było to, co działo się teraz.

–Wiesz, kto mnie przysyła. I wiesz, dlaczego musiałam przyjąć tę misję. Oboje wiemy.

Masz stanąć do walki, Match. Stanąć do walki z kimś, kogo tu sam sprowadziłeś. Z kimś, kto

przyszedł twoim śladem. Z kimś, kto jest taki, jak ty. Kto jest...

Marion urwała. Pochylenymi plecami wstrząsnął dreszcz.

–Gorszy ode mnie? – spytał Match. Znał odpowiedź.

–Tak, gorszy. Sprawniejszy. Bardziej bezwzględny. A najważniejszą różnicą jest to, że on wie. Celowo robi to, co ty uczyniłeś nieświadomie. On chce panować, Match. I sprzymierzy się z każdym. Nawet z tamtej strony...

–Ten, który mieni się Robin Hoodem – wolno, w zamyśleniu mruknął Match. – Który idzie moim śladem, robi to, co ja kiedyś.

–Musisz go zabić. Musisz... spróbować. I musisz wiedzieć, że nie będzie to uczciwa walka. On nie jest sam. Nawet jak go zwyciężysz, nie ujdiesz żywy. Ale to nie jest ważne. Tak mi powiedziano. Ważne jest, by zginął.

–Tak, to nie jest ważne...

Podrzuciła głowę, usłyszawszy to. Spojrzała prosto w twarz.

–Masz rację – powiedziała twardo. – Musisz zapłacić. Oboje musimy... Tak, pomyślał

Match. Muszę zapłacić. Choćby dlatego, że jeśli on pozostanie przy życiu, znów zaczniesz się

wszystko od początku. On musi zginąć. Nawet gdyby był tylko zwyczajnym człowiekiem.

Nawet wtedy to, co robi, pociągnie za sobą w konsekwencji zniszczenie i cierpienie. Bowiem

największym nieszczęściem tego świata są charyzmatyczni przywódcy. Z ich powodów

popłynęło już wiele krwi. I jeszcze popłynie.

Ale on nie jest zwyczajny. Nie wiadomo, czy jest tylko człowiekiem. Mój nieznaną brat, przepłynęła przez umysł Matcha ironiczna myśl. Młodszy i zdolniejszy.

Nie ma na co czekać. Nie ma co przedłużać. Match wstał, nie mogąc wyrzucić z umysłu widoku bezradnie schylonych pleców.

–Wybacz mi, Marion – powiedział głucho. – Wybacz mi wszystko... Chwyciła jego rękę, przywarła całym ciałem.

–Zostań... – szepnęła.

Z trudem wyswobodził się. Jakby coś w niej się załamało, opadła na rozłożoną na trawie burkę. To nie w porządku, kołatała się uparta myśl. Nie odchodzi się tak, nie tak...

–Muszę – powiedział. Jakkolwiek banalnie i nieszczerze by to zabrzmiało.

–Zostań... – szept był cichy, prawie niesłyszalny. Ale było w nim wszystko. Przebaczenie i nadzieja. Żal i zwątpienie. I lęk.

Cokolwiek powiem, będzie źle, pomyślał tępo Match. Lecz nie gorzej niż dotąd.

–Marion... – zaczął. – Ten świat...

Podniosła głowę i po raz ostatni spojrzała mu prosto w oczy. Spoza pustki wyzierała złość.

–Niech wszyscy diabli wezmą ten świat... – powiedziała powoli.

–Kiedy? – spytał Jason tylko. Match przetarł twarz zmęczonym gestem.

–Nie wiem... – powiedział. – Niedługo... Myślę, że niedługo...

Odnalazł Jasona zaraz po powrocie z lasu. Dochodziło południe, lecz Jason spał jeszcze nakryty z głową skórami w swojej małej izdebce na poddaszu zajazdu. Obudził się z paskudnym uczuciem, że jest za wcześnie. A zwłaszcza za wcześnie na złe wiadomości.

Z trudem hamując ziewanie, wysłuchiwał tego, co Match miał do powiedzenia. Nie przerywał, tylko chwilami marszczył brwi z zastanowieniem. Match nie zwracał na to uwagi.

–Dowiem się kiedy, nie obawiaj się – dodał Match po chwili. Zupełnie niepotrzebnie. Jason otrząsnął się już ze snu, przyjrzał mu się uważnie. Jest wytrącony z równowagi, zorientował się. Jeszcze go takim nie widziałem. Czyżby dlatego, że nie tego się spodziewał? Istotnie, to wszystko było zaskakujące, Jason sam nie wiedział, co sądzić. Trudno, trzeba spróbować, postanowił.

–Match – zaczął. – Przepraszam, ale byłem niezbyt przytomny. To zawsze, jak się mnie obudzi bladym świtem...

Jak na ironię doszedł ich dźwięk dzwonu, wybijającego południe. Jason skrzywił się.

–Mogliby tak nie hałasować... – mruknął niechętnie. Wypił wczoraj trochę za dużo i źle reagował na wszelkie donośne, metaliczne dźwięki. Sięgnął do dzbana stojącego obok posłania, mając nadzieję, że jest w nim woda. Na szczęście była.

–Match, przepraszam... – powiedział, odstawiwszy dzban i otarłszy usta. – Powiedz jeszcze raz, ze szczegółami... Może teraz do mnie dotrze.

Match spojrzał z ukosa, podejrzliwie. Ale zaczął. Jeszcze raz od początku. Tym

razem, sam się sobie dziwiąc, powiedział wszystko. Jason słuchał z przymkniętymi oczyma.

Gdy Match skończył, zapadła długa cisza. Wreszcie Jason otworzył powieki. Trzeba to wszystko spokojnie przemyśleć, postanowił. Jeszcze jest czas.

Match zabawiał się, wbijając ostrze sztyletu w nieheblowane, pełne drzazg i sęków deski podłogi. Nie miał daleko, siedzieli obaj na rozłożonym na ziemi pościu. Innych sprzętów Jason w izbie nie posiadał, zauważył Match z niechęcią.

–I co? – spytał wreszcie, zniecierpliwiony przedłużającym się milczeniem.

Jason nie odpowiedział. Jakby nie słyszał.

–Co o tym sądzisz? – ponowił pytanie Match. Nie po to, aby poznać opinię Jasona. Już nie

przywiązywał do niej wagi, teraz już była nieważna. Już wszystko się zdecydowało. Zapytał

tylko, by przerwać ciszę.

Jason pokręcił bezradnie głową. Jeszcze nie wiedział. Jeszcze się nie składało. Choć było wiarygodne. Wystarczająco paskudne, aby uwierzyć.

–Nie wiem, Match – powiedział cicho. – Jeżeli oczekujesz rady, to wybacz...

–Nie oczekuję – zaprzeczył Match. – Widzisz, ja tylko przyszedłem powiedzieć... No, żebyś wiedział, jak się to wszystko ma skończyć. Jeżeli cię to jeszcze obchodzi...

Jason nie zaprotestował. Wiedział, że Match czuje do niego żal. O to, że unikał go ostatnimi czasy. Mógł się tylko domyślać, jakie znaczenie miały dla Matcha te wszystkie rozmowy. Rozmowy, w których po raz pierwszy w życiu ktoś go wysłuchał. Nie zaprotestował, gdyż poznał już Matcha na tyle, by wiedzieć, jak zareaguje. Po prostu zamknie się w sobie. Nie uwierzy.

Match zawsze, gdy do wyboru było kilka możliwości, wybierał tę najgorszą.

Cóż, może to nie jest najgorsze podejście do świata, pomyślał Jason. W ten sposób mógł być mile rozczarowany.

–Posłuchaj, ja i tak będę wiedział do końca... – zaczął w końcu Jason.

–Nawet o tym nie myśl – przerwał Match ostro. Jason urwał.

–O czym? – spytał niewinnie po chwili. Match zacisnął pięści.

–To tylko moja sprawa – odparł szybko, gniewnie. – Nic ci do tego, nie wyobrażaj sobie...

Potrząsnął gniewnie głową.

–Czego mam sobie nie wyobrażać? – naciskał dalej Jason. No, dalej, wyrzuc to z siebie, pomyślał, widząc pobladłą ze złości twarz. Ze złości i chyba bezradności. Match najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć. Jason nie zamierzał mu ułatwić. Cisza przedłużała się.

–Jason, to tylko moja sprawa – Match zaczął z mówić z trudem. – Nic ci do tego, to cię nie dotyczy. Kim, ty, do cholery jesteś? Kim jesteś dla mnie? Jesteś...

–Dokończ – powiedział zaciskając szczęki Jason, widząc jak Match odwraca głowę.

–Dobrze – usłyszał w odpowiedzi. – Dokończę. Spotkaliśmy się przypadkiem. Owszem, pomogłeś mi zrozumieć niektóre sprawy. Wysłuchałeś mnie. Ale zrozum, teraz nie możesz pomóc. Nie nadajesz się do tego. Jesteś tylko...

–Zwykłym człowiekiem? – spytał Jason. – W przeciwieństwie do ciebie? Nie Match, już nie jestem. Nie jestem, odkąd cię spotkałem...

Match nie odpowiedział.

–Milczysz? Dobrze, to ja ci powiem. Mówisz, spotkaliśmy się przypadkiem. A gdzie twoja

niewzruszona wiara w przeznaczenie? Nie nadaję się. Może. A ty się nadajesz? Do tego nikt się

nie nadaje, nawet ty. Myślisz, że to tylko ciekawość, tak, nie zaprzeczaj. Nie kręć tym głupim

łbem, do cholery! Owszem, ciekawość też jest. Ale jest jeszcze coś innego. Jest lojalność. Są zobowiązania wobec kogoś, kto uratował mi życie. Bo inaczej zamarzyłbym wtedy, w tym lesie. Już niewiele brakowało. Tylko tyle ci powiem... Mógłbym więcej, ale ty nie zrozumiesz... Nie, ty nie chcesz zrozumieć, bo w pewne rzeczy z zasady nie wierzysz. Bo tak jest ci łatwiej! Wygodniej! Bo wtedy możesz wszystko zwalić na innych, na cały świat! Ty nie masz przyjaciół, Match! Bo sam tak, kurwa, wybrałeś!

Jason przerwał swój monolog, przechodzący pod koniec w krzyk. Splunął na podłogę z nieheblowanych desek. Biorąc pod uwagę wieloletnie złogi brudu, nagromadzone na niej, niewiele to zaszkodziło.

W dzbanku pozostało jeszcze trochę wody. Jason pociągnął łyk, krzywiąc się z niesmakiem. Ośpienie po przedwczesnej pobudce ustępowało. Zastępował je tępy ból głowy.

Nie spojrział nawet na Matcha.

–Jak – powiedział cicho, zmuszony to tego łomotaniem w skroniach. – Może się nie nadaję, Match. Może to tylko ciekawość, niech ci będzie. Skoro nie potrafisz nawet pomyśleć,

że ktoś może mieć inne motywacje. Ale mam zamiar być przy tym do końca. Może to

zarozumiałość, ale może na coś się przydam. I co mi zrobisz? Nie pozwolisz? Musiałbyś mnie

zabić. Może spróbujesz? Ja nie opuszczam przyjaciół, Match, choćby nawet nie rozumieli, co

to słowo znaczy... Choćby nawet... A, szkoda jęzor strzępić...

W pancerzu, którym Match okrywał się przez wiele lat, pojawiła się pierwsza szczelina.

–Jason... – zaczął. Głos odmówił mu posłuszeństwa. Jason spojrział na niego.

–Wybacz – usłyszał po chwili. – To nie tak... To, kurwa, nie tak. Nie wiem... Nie potrafię, sam wiesz... Chodzi tylko o to, że to nie ma sensu. Możesz tylko zginać, zupełnie niepotrzebnie.

–Tym będę się martwić później, kiedy przyjdzie na to czas – uciął Jason sucho.

–To nie tak, jak myślisz...

–Daj spokój – roześmiał się Jason i skrzywił się, gdy potężnie łupnęło go w skroniach. – Daj spokój – ciągnął już poważnie, starając się unikać zbędnych ruchów. – Match, to jest także moja sprawa, nie ucieknę od niej. Wiem to odkąd się spotkaliśmy, od samego początku. Może to był przypadek, ale tak musi być.

Jason skrzywił się pociesznie.

–Widzisz? – zapytał. – Wszystko przez ciebie... Już nawet zaczynam pieprzyć, jak ty... O

przeznaczeniu... Zresztą, nieważne.

Spowaźniał jeszcze bardziej.

–Przez ostatni czas próbowałem się czegoś dowiedzieć. Opowiem ci wszystko. To nie tak,

jak myślałeś, Match. Ja nie znalazłem sobie wygodnej przystani. Próbowałem się czegoś

dowiedzieć, nie tylko zresztą ja. Cóż, niewiele z tego wyszło. Ale trafiłem na coś interesującego.

W oczach Matcha pojawiły się iskierki zainteresowania. Jason, dostrzegłszy to, odetchnął z ulgą. Z Matchem nękanym wątpliwościami i wyrzutami sumienia rozmowa była trudna. Zazwyczaj jednostronna.

Jason rozsiadł się wygodniej. Opowiedział o swych spostrzeżeniach. Match, wysłuchawszy go, zamyślił się.

–Tak, wiem, to niewiele... – powiedział Jason, widząc, że nic nie mówi. – Ale mam wrażenie...

Potań z namysłem czoło.

–Mam wrażenie, że jestem już blisko. A co ważniejsze, mam też wrażenie, że moja osoba

stała się istotna...

Match z powątpiewaniem pokręcił głową.

–Może nie osoba, co moje zdolności... – wyjaśnił Jason, widząc pytające spojrzenie. – Ktoś się tym interesuje. Ciekawe, kto...

–Nie chcę cię zniechęcać, ale nie wydaje mi się... – Match był sceptyczny. – Przecież już wiadomo, o co naprawdę chodzi. Z czym mam się zmierzyć... Nie wiadomo jeszcze, kiedy...

–I dobrze! – wpadł mu Jason w słowo. – Zawsze przyda się trochę czasu... Może jeszcze czegoś się dowiem.

Match wciąż kręcił głową. Znów wybrał najgorszą z możliwości, pomyślał ze złością Jason. Jest niepoprawny. Znów jest przekonany o nieuchronności tego, co ma nastąpić. Ech, szkoda czasu, nie ma na niego rady...

–Jeszcze mamy czas – powiedział Jason na głos – Więc możemy odłożyć dalszą rozmowę

choćby na jutro. Przepraszam, ale nie czuję się na siłach, gdy ktoś obudzi mnie o nieludzkiej

porze...

Tym razem Match zrezygnował ze swych zwykłych, złośliwych uwag. Bez słowa zaczął zbierać się do wyjścia. Bez słowa, i jak zwykle bez pożegnania.

Jason przemógł nieodpartą chęć zwalenia się z powrotem na posłanie i zamknięcia oczu. Jeszcze musiał coś powiedzieć.

–Match, jeszcze jedno... – zaczął cicho.

Match odwrócił się od wyjścia. Spojrzał pytająco.

–To nie był błąd, Match. Naprawdę nie był...

Jason oczekiwał wybuchu złości. Może niechętnego burknięcia. Był przygotowany. Ale musiał to powiedzieć.

Zaskoczony zobaczył, że Match uśmiecha się.

–Podglądałeś, draniu – stwierdził tylko. Nie było w tym gniewu. Ani wyrzutów.

Odwrócił się i wyszedł, cicho zamykając za sobą krzywe, zbite z koślawych desek drzwi.

Jason słyszał skrzypienie drewnianych, przypominających bardziej niezbyt stromą drabinę schodów. Z ulgą rzucił się na posłanie i przymknął oczy. Ciekawe, ile czasu zostało, pomyślał.

Nie bał się. Zdecydował ostatecznie. Spostrzegł ze zdziwieniem, że to właśnie dziś podjął ostateczną decyzję, decyzję, którą wcześniej odkładał w nieskończoność. Dziwił się, że tak łatwo przyszła. I że przyniosła ulgę. Już się nie bał. Już nie było po co.

Już nie można się cofnąć.

Przypomniał sobie o Basile'u. Cholera, jak się dowie, to też będzie chciał z nami pójść. Już się dopytywał... Trzeba mu to wybić z głowy, postanowił. Choć wiedział, że to się na nic nie zda. Wiedział, że Basile myśli tak samo, jak on...

Jeszcze jest czas, pocieszył się. Z tą myślą udało mu się zasnąć ponownie.

Jechali w milczeniu przez ciche, oszroniony przez pierwsze mrozy las. Tylko jeden wiedział na pewno, co czeka go na końcu tej drogi. A raczej wydawało mu się, że wiedział. Że wszystko jest jasne i proste, że jest postanowione. Już zdecydował i łatwo było mu z tym. Łatwiej, niż kiedykolwiek. Jednak mylił się. To, co na niego czekało, nie było tym, na co się przygotowywał. Z czym się pogodził przez ostatnie miesiące. Przez wszystkie lata.

Match jechał poważny i skupiony, pogodzony ze sobą. Ze swym przeznaczeniem. Za wcześnie.

Drugi wciąż miał wątpliwości. Wciąż brakowało czegoś do pełnego zrozumienia. Jakiegoś drobnego fragmentu, tak drobnego, że jego brak był nad wyraz denerwujący. I niepokojący. Nie bał się przeznaczenia, nie wierzył w nie. Bał się niewiadomego, bał się tego, że nie potrafił odgadnąć. Po raz nieskończony obracał w głowie fragmenty łamigłówek.

Jason był niespokojny. Obawiał się, że już nie starczy czasu. Czasu, aby do końca zrozumieć. Bo na to, by zapobiec, było już za późno.

Trzeci z nich nie myślał o niczym szczególnym. Nie bał się. Gdyby się nad tym zastanowił, podziękowałby błogosławionej nieświadomości. Zastanawianie się nie leżało w jego naturze.

Basile był po prostu lojalny. Jak zawsze.

Jeszcze niedawno rozmawiali. O niczym istotnym, wymieniając obojętne słowa, nie patrząc nawet na siebie. Gdy jednak minęli nagie o tej porze roku pola, wysrebrzone jedynie szronem, zamilkli. Od czasu, gdy zagłębili się w las, nikt nie odezwał się słowem.

Tylko Match wiedział, dokąd zmierzają. Dokąd ich prowadzi. Tylko Match wiedział, co napotkają na końcu drogi. A przynajmniej tak mu się wydawało. Już niewiele przed nimi zostało. Czas zaczynał się kurczyć.

Nikt nie spodziewał się zasadzki.

Nie była to wprawdzie zasadzka we właściwym tego słowa znaczeniu. Po prostu czekali na nich. Czekali, nie starając się nawet ukryć.

Gdy wyjechali zza zakrętu, w mroku wysokich świerków ujrzeli ludzi, zagradzających drogę. Pieszycy, stojący nonszalancko na środku leśnego traktu.

Match zwolnił, bardziej zaskoczony, niż zaniepokojony. Pięciu, spostrzegł, tylko pięciu. Nie zastanawiał się nawet, kim są zagradzający drogę. Jeśli chcą zagradzać, to tym gorzej dla nich... Nic go nie zatrzyma. Już nie teraz.

Podjechali bliżej. Jakaś część umysłu Matcha chłodno rejestrowała szczegóły – Najpierw te najbardziej istotne.

Dwóch miało kusze. Napięte. Wodzili nimi po nadjeżdżających, wyraźnie zdenerwowani, że jest ich aż trzech. A tylko dwa bełty do wystrzelenia. Trzej pozostali mieli miecze. Nie dobyli ich jeszcze, ale trzymali dłonie podejrzanie blisko rękojeści.

Ubrani byli różnie, przypominali strojem tych, którzy kiedyś, w tak odległych czasach prowadzili wraz z Matchem walkę w tym samym lesie. Pstrokata mieszanka wiejskiego, chłopskiego odzienia i zdobycznego, żołnierskiego ekwipunku. Ten, co stanął nieco z przodu, wyglądający na przywódcę, miał na głowie futrzaną czapę. Match przyjrzał się uważniej. Nie było to wilcze futro, jak początkowo sądził. Prędeż skóra z poczciwego, wiejskiego kundla. Pozostali kryli twarze w cieniu opuszczonych na oczy kapturów.

Match pociągnął pas, biegnący ukosem przez pierś. Kazał sobie wreszcie zrobić pochwę do noszenia miecza na plecach. Co prawda dziwnie na niego spoglądano, ale nie przejmował się. Tak było dużo poręczniej.

Gdy pociągnął pas, rękojeść miecza wysunęła się znad ramienia. Był gotów. Zatrzymali się. Tuż przed pierwszym z zagradzających drogę ludzi.

–Spierdalać – rzucił krótko Match, nie bawiąc się w dyplomację. Nawet nie uniósł dłoni do

rękojeści. Jednak coś w jego wyglądzie kazało mężczyźnie, który już sięgał ręką do uzdy,

cofnąć się o krok.

Mężczyzna opanował się szybko. Był zawodowcem, twardym i bezwzględny zawodowcem, spostrzegł Match. Szybki gest i dwaj pozostali ze zgrzytem dobyli żelaza z pochew. Kuznicy z tyłu podrzucili kusze. Mierzyli...

Match zobaczył, że obaj mierzyli w Jasona. W Jasona, który przezornie trzymał się nieco z tyłu. Match zmarszczył nieznacznie brwi. To było zastanawiające...

–Mówiłem, spierdalać po dobroci – powtórzył zimno, nie podnosząc głosu. – Bo jak nie...

–To co? – spytał przywódca, głosem nieoczekiwanie skrzekliwym. – Nie przejedziecie... Widać nie zależało mu na odpowiedzi.

–Tu, w tym lesie my decydujemy, kto może przejechać...

Match uśmiechnął się zimno. Znów krótki gest ręki. Kusze uniosły się jeszcze wyżej. Umysł Matcha zarejestrował tę sprawną i natychmiastową reakcję na niewypowiedziany rozkaz. Zawodowcy.

**–Z koni – rozkazał krótko właściciel skrzekliwego głosu i czapy z psiego futra.
Match**

odwrócił się, napotkał wzrok Jasona. Nieznacznie skinął głową. Zeskoczył z konia.

Wiedział, że w tej sytuacji walka piesza będzie łatwiejsza. Koń mógł się spłoszyć, ponieść. A nie będzie wiele czasu, oni mają przewagę. Cholera, żeby tylko Basile nic nie kombinował, zaniepokoił się Match.

Basile nic nie kombinował. Z twarzą bez wyrazu zeskoczył z konia, nie puścił go jednak swobodnie. Stojąc obok niego, wciąż trzymał wodze. Drugą ręką poklepywał go po szyi, niby to uspokajając spłoszone zwierzę. Poklepywał jednak bardzo blisko rękojeści przytroczonego do siodła ciężkiego, dwuręcznego miecza. Przytroczonego bardzo lekko, jak wiedział Match. Dającego się wyciągnąć jednym zdecydowanym ruchem.

Basile odniósł wiele korzyści ze swej służby w straży szeryfa. Jedną z nich było to, że w końcu dał się namówić do rezygnacji z używania zabytkowej maczugi. Wzdragał się na początku, mówił, że nie ma zdolności do miecza, że to na nic. Przekonał go Wulf, dowódca straży. W bardzo prosty sposób. Powiedział, że nie ma na świecie takiego idioty, którego nie nauczyłby obracać żelazem. Że do tego nie potrzeba rozumu. A jak Basile nie chce, to niech spieprza, skąd przyszedł.

Basile chciał. I rezultaty przeszły najśmielsze oczekiwania, nie tylko jego. Teraz używał ciężkiego, dwuręcznego miecza, miecza, który nie każdy mógł unieść jedną ręką. Obecnie Basile nawet potrafił nim fechtować. Naturalnie, jedną ręką.

Przywódca zagradzających drogę nieznanym ludzi odprężył się lekko.

–Tak lepiej – zarechotał zgrzytliwie. – Bo widzicie, to od nas zależy, kto pojedzie dalej. Wychodzi nam, że tylko ty, panie...

–A to dlaczego? – spytał sucho Match.

–Bo tak nam roz... – wyrwał się jeden ze stojących obok, ten z obnażonym mieczem.

–Bo tak nam się podoba – wpadł mu pospiesznie w słowo skrzekliwy. Zgromił wzrokiem towarzysza, który cofnął się o krok.

–Zdziwisz się, przyjacielu – rozpoczął Match tonem przyjaznej konwersacji. – Ale

nam się nie podoba...

–A, co gadać po próżnicy – zniecierpliwiał się człowiek w futrzanej czapie. –

Powiedziałem, możesz jechać dalej. Ale oni tu zostaną albo wrócą, jeśli wola...

Przecież o to mi chodziło, przemknęło Matchowi przez głowę. Chciałem jechać sam. Coś tu nie pasuje. Kim są ci ludzie? I co będzie, jeśli ruszy dalej?

Co będzie? Nie miał wątpliwości. Dostrzegł nieszczerzy błysk w oczach człowieka, wtedy, gdy powiedział, że będą mogli wrócić. On kłamał.

Nie będą mogli wrócić. Zostaną tutaj, na zawsze. Trzeba przez nich przejść. Może się uda. Ci trzej to nie problem, gorzej z tymi, co celują w Jasona. Trzeba zagadać, wyprowadzić z równowagi... Może wycelują w kogoś innego, może chybią...

–Hej, ludzie, dogadajmy się – Match aż drgnął, słysząc spokojny głos Jasona. Jason był

blady, lecz dłonie, które unosił w górę w bezradnym pozornie geście nie drżały. Match sprężył

się.

–Co wam zależy... – głos Jasona zadrgał lekko. Match nie był pewien, czy tylko udaje.

Obie kusze celowały w Jasona. Co ty robisz, chciał krzyknąć Match, widząc, jak ręce

Jasona splatają się na karku. Czas stanął, chwile rozciągały się w nieskończoność.

Nie zdążę, coś krzyknęło rozpaczliwie w umyśle Matcha, nie zdążę... Dlaczego nie poczekał?

Jason nie mógł czekać. Jason wiedział. Dostrzegł nieznaczny gest człowieka w futrzanej czapie, gdy ten wskazywał go kusznikom. Zrozumiał, co oznaczają wycelowane w niego groty. Zrozumiał, że to on ma tu zostać, na zawsze, że to o niego właśnie chodzi.

W krótkiej jak mgnienie oka chwili Jason wreszcie zrozumiał wszystko. Zobaczył cały obraz. Prawdziwy obraz.

Match chwycił rękojeść, zasyczał dobywany z pochwy miecz. Basile z całej siły szarpnął pochwę, pękły rzemienie troczące broń do siodła. Szarpnięty koń zatoczył się.

Match spostrzegł kątem oka, jak Jason wyrzuca rękę przed siebie. Złowił błysk lecącego ostrza. Wypad do przodu, sztych wbija się w gardło mężczyzny w czapce z psiej skóry.

Niepotrzebnie. Mężczyzna wyprężył się, pada do tyłu. Spomiędzy oczu sterczy wbite prawie do połowy ostrze.

Dopiero teraz szczękają cięciwy kusz. Bełt ze stukotem wbija się w pobliski pień. Drugi...

Wyszarpywane ostrze zgrzyta o kręgi szyjne. Za późno, cholera, za późno, obaj zdążyli nacisnąć spusty. Człowiek z przerażeniem w oczach unosi kuszę, chce się zasłonić. Broń jest ciężka, nie zdołał osłonić twarzy. Człowiek pada, zabity dwa razy. Ostrzem, które rozplątało gardło i mieczem, który znosi całą górę czaszki wraz z włosami i kapturem.

Drugi kusznik już pada. Match nie poświęcając mu więcej uwagi, odwraca się w pędzie. Zostało jeszcze dwóch.

Krótki, ostrzegawczy okrzyk. Match w wypadzie przypada do ziemi, nad głową wyje powietrze rozcinane ciężką, szeroką klingą. Podwójny, wilgotny trzask, jakby topór wcinął się w mokre drzewo. Fontanna ciepłej krwi bryzga na twarz. Po zmarzniętej, ubitej ziemi traktu toczą się dwie głowy. Ścięte jednym cięciem.

Niepotrzebnie. Jedna z głów wiruje po ziemi, zatrzymuje się tuż przed twarzą Matcha. W skroni tkwi wbite głęboko ostrze.

W drugiej, leżącej opodal ostrze tkwi w środku czoła.

Czas znów przyspieszył. Już można normalnie usłyszeć bicie własnego serca, rozciągnięte przedtem w głuche, przeciągłe tony. Można wstać. Można obetrzeć krew z twarzy.

Basile stał czujnie sprężony, wodząc na wszystkie strony ostrzem swego miecza. Trzymanego w jednej ręce. Match rozejrzał się. Jason...

Jason opadł na kolana, jakby zabrakło mu sił. Ramiona zwisały bezwładnie.

Match podskoczył do niego. Chwycił za ramiona.

–Znów mi się udało... – Jason mówił cicho, z trudem. Uśmiechnął się. – Znów pięć trafień...

Z rozciągniętych w uśmiechu warg pociekła strużka krwi. Match popatrzył w dół.

Zobaczył sterczące pod dziwnym kątem drzewce bełtu. Jason poszedł za jego wzrokiem.

–Ale nie do końca – stwierdził. Podniósł głowę, oczy uciekły mu w głąb czaszki. Zmiotczał w uścisku Matcha.

–Basile, trzymaj go – Match mówił niewyraźnie, przez zęby. Trzymał drzewce bełtu tuż pod lotkami. Upewniał się, że chwyt jest mocny, że nie ześlizgnie się dłoń mokra od krwi.

–Teraz mocno, zanim się ocknie...

Zebrał się w sobie, by wyszarpnąć wbity bełt jednym ruchem. W ostatniej chwili Jason otworzył oczy. Było już za późno, by wstrzymać rękę. Match szarpnął z całej siły. Jason rzucił się konwulsyjnie, po chwili znieruchomiał. Z rany silniej popłynęła krew.

–Prędko, Basile! – Match rzucił wyciągnięty pocisk na trawę. Basile otworzył zaciśnięte

powieki. Podał zaimprovizowane bandażę.

Gdy skończył, ostrożnie ułożył Jasona na rozłożonej na ziemi derce.

–Basile, rozpalaj ogień – rozkazał. – Trzeba go ciepło okryć. Olbrzym rzucił się, nie czekając na nic.

Niedobrze, pomyślał Match. Wysoko, żołądek albo nawet wątroba. Dużo krwi, krwotok wewnętrzny. Małe szansę.

Podniósł leżący na ziemi bełt. Przyjrzał mu się.

–Kurwa...

Bełt trafił na twardą przeszkodę, prawdopodobnie klamrę u pasa. To spowodowało, że nie przeszedł czysto na wylot, jak można się było spodziewać przy trafieniu z tej odległości. Wbił się pod kątem, powodując znacznie większe spustoszenie. Ale to nie wszystko. Źle wykuty grot popękał, rozszczepił się na stalowe igły. Brakowało znacznej części.

Match zacisnął pięść, drzewce pocisku pękło z trzaskiem. Szansę Jasona, które oceniał przed chwilą jako niewielkie, teraz wydawały się zerowe...

Wrócił Basile, wlokąc wielki pień. Match usłyszał odgłos krzesania ognia.

To na nic, przyjacielu, pomyślał. To już na nic.

Błysnął pierwszy, nieśmiały płomyczek. Basile dmuchał w kupkę chrustu. Match położył mu rękę na ramieniu.

–Zostaniesz z nim – powiedział.

–Jak to, zostanę? – zawołał Basile. – Jemu trzeba pomóc, trzeba go do miasta... Match beznadziejnie pokręcił głową.

–Nie możemy go ruszyć. Umrze od tego. Zostaniesz z nim, może...

Chciał powiedzieć, że może się polepszy. Nie potrafił. Widział wbite w siebie oczy chłopaka. Pełne rozpacz i prośby.

–Match, musimy coś zrobić. Pomóc mu...

–Nie możemy, Basile – Match opuścił wzrok. – Nie możemy. Nikt na tym świecie nie może mu pomóc. Tylko on sam...

Basile spoglądał, jakby nic nie rozumiał. Jakby do niego nie docierało. Może zresztą i nie docierało. Chwytał Matcha za ramiona. Mocno. Potrząsnął nim.

–Zrób coś, kurwa, zrób coś – wykrzyknął. – Tylko ty możesz... Ja... Ja, kurwa, nie potrafią... Nie potrafię...

Match z trudem wyswobodził się z uchwytu.

–Zostań z nim – powiedział cicho. – Tylko tyle możesz... Ja... Ja muszę ruszać... Pewnie nie wrócę.

–Musisz ruszać – Basile już nie prosił. W głosie była złość i nienawiść. – Musisz ruszać, a on tu ma umrzeć...

Match pokiwał głową. Nie chciało mu się już oszukiwać chłopaka. Nic mu się nie chciało. Nawet wyjaśniać. Na przykład, kim stał się dla niego Jason. To już było nieważne.

–Muszę ruszać... – powtórzył sam do siebie.

–Match – cichy głos, podobny raczej do jęku. Obaj z Basile przypadli do leżącej postaci. Jason był przytomny. Match był pewien, że wszystko słyszał. Nie mylił się.

–Match, posłuchaj – szept był cichy. Jason wyprężył się z wysiłkiem, po brodzie

znów pociekła strużka krwi.

–Jason, nie mów nic, nie możesz teraz mówić – Match mówił głośno, z przesadnym ożywieniem. – Odpoczniesz, to wszystko powiesz... Kiedy będziesz silniejszy...

Wargi drgnęły, rozciągnęły się w uśmiechu.

–Nie pierdol, Match – szepnął Jason. Zakrztusił się, na chwilę przymknął oczy. Z gardła

Basile wydobył się krótki szloch.

Jednak jeszcze nie teraz. Powieki znów rozchyliły się.

–Nie będzie żadnego później – powiedział Jason, trochę wyraźniej. – Musisz posłuchać... teraz...

–Jason, nie możesz... – Match przygryzł wargę. Poczuł ciepły strumyk krwi spływający z ust. – To cię, kurwa, zabije... – powiedział bezradnie.

–Ja już nie żyję – zabrzmiało to okrutnie spokojnie i pogodnie. Proste stwierdzenie oczywistego faktu, na który nic już nie można poradzić. Z którym trzeba się pogodzić. Bo jeśli nie, to co? Walczyć nie można, nie ma jak. Znów z ust spłynęły krople krwi.

Jason z całych sił zmagał się ze słabością. Z odrętwieniem i ciemnością, która czaiła się na obrzeżach pola widzenia. Nieubłagana, nadciągająca ze wszystkich stron. Z wysiłkiem poruszył wargami, lecz nie mógł wydobyć głosu. Twarz Matcha oddalała się, stawała się coraz mniejsza i dalsza. Otoczona zewsząd mrokiem. Zebrał wszystkie siły.

–Słu... chaj... Mozaika... Ostatni kamyk... Obraz...

Nie mógł już mówić. Mógł tylko patrzeć. Tylko wpijać się gasnącym wzrokiem w oczy pochylonego nad nim Matcha.

Zakrwawione wargi były nieruchome. Ale Match słuchał. I słyszał. Coś stało się z jego umysłem, coś, co pozwoliło wysłuchać, co przyjaciel miał do powiedzenia. Coś pozwoliło zobaczyć to, co i on widział. Wszystko.

Coś pozwoliło zrozumieć.

Powoli opadły powieki. Ciało Jasona zwiotczało, głowa opadła na bok. Tylko nierówny oddech świadczył o tym, że to jeszcze nie koniec. Jeszcze nie teraz.

Match wstał powoli. Twarz miał zmienioną. Zmartwiałą.

–Zostań tu, Basile – powiedział. Nie czekając na odpowiedź, ruszył do swego konia. Basile nawet nie podniósł głowy. Siedział zgarbiony, obejmując dłońmi kolana.

–Jeszcze tu wrócę – usłyszał.

Nie zdziwił się, gdy zobaczył go siedzącego na skraju drogi. Właściwie nawet oczekiwał, przez cały czas, odkąd ruszył z tamtej polany. Polany, na której tak wiele się stało. Na której zrozumiał. Za późno.

Człowiek w jasnym płaszczu z kapturem powstał na jego widok. Wszedł na środek traktu, stał nieporuszony, oczekując, aż Match zbliży się do niego. Nie odezwał się ani słowem, nie podniósł ręki na powitanie. Stał i czekał.

Match nie przyspieszył, nie popędził konia. Jechał, wpatrując się tylko w cień pod kapturem. Widział tylko cień. Nawet, gdy stanął tuż przed nim. Nic nie mówiąc, przełożył nogę przez kulbakę, zeskoczył na gościniec. Stanął naprzeciw mężczyzny.

Ten w końcu skinął głową, ręką wskazał na porośniętą suchą trawą poboczne. Match wypuścił z ręki trzymane wodze, puścił konia wolno. Wiedział, że nie odejdzie. Nie oglądając się, ruszył w kierunku zwalonej kłody, siadł nie czekając na zaproszenie. Druid nie siadał. Stanął przed nim, spoglądając z góry.

Teraz Match mógł już dostrzec skrywaną w cieniu twarz. Jasnobłękitne oczy, patrzące z uwagą i skupieniem. Długie, płowe włosy, przetykane siwizną. Znał tę twarz. Znał od dwudziestu lat.

Od dwudziestu lat nic się nie zmieniła, jakby czas nie miał dostępu do tego człowieka. Ciekawe, czy ze mną też tak będzie, pomyślał Match. Jeśli przeżyję.

–Wszedłeś na spotkanie przeznaczenia, Match – usłyszał wreszcie. – Spodziewałem się

tego. Nie mogłeś inaczej.

Nie mogłem, zadbałeś o to od początku, niechętnie przyznał Match, nie wiedzieć, samemu sobie, czy temu człowiekowi, który pojawiał się we wszystkich przełomowych momentach jego życia. Który oplatał go siecią powinności i niespłaconych długów, których Match nigdy nie chciał zaciągać. Na które się nie godził, ale które zawsze dotąd spłacał. Teraz też spłaci. Do końca.

–A miałem jakieś inne wyjście? – spytał z ironią, krzywo się uśmiechając. Druid, nawet jeśli się zdziwił, nie okazał żadnej reakcji.

–Nie miałeś – odpowiedział, krótko i zdecydowanie. – O tym zadecydowało samo przeznaczenie. Nie możesz mu się opierać...

–Dobrze więc – odparł Match. – Wyszedłem mu naprzeciw, jak sam powiedziałeś. Zrobię to, czego ode mnie oczekujesz, to jest, przepraszam, to co mi przeznaczone...

Druid drgnął, słysząc ton jego głosu. Nie tego się spodziewał. Nie ironii. Wszystkiego, tylko nie ironii.

–Match, jesteś tylko narzędziem – odparł zimno. – Narzędziem, które musi spełnić zadanie, dla którego zostało stworzone. Jeśli zaś narzędzie zniszczy się przy tym, to potem

zastąpimy je innym. Do następnych zadań. Dobrze o tym wiesz.

Match milczał długo. W końcu wstał, stanął twarzą w twarz.

–Powiedziałem już, spełnię swoje zadanie, czymkolwiek miałoby się to skończyć. Ale zanim spełnię, odpowiedz mi na pytanie, tylko jedno, obiecuję...

Mężczyzna poważnie skinął głową.

–To ci się od nas należy – powiedział.

–Nie, to nie tak – Match uśmiechnął się smutno. – Nie od was, tylko od ciebie. I nie należy, ja tylko proszę...

Uśmiech zniknął, Match był znów poważny.

–Powiedz tylko, dlaczego... Dlaczego tak...

Druid spochmurniał. Nie spodziewał się takiego pytania. To nie było łatwe, czego Match zażądał. Wiedział dobrze, o co chodzi. I wiedział, że nie znajdzie odpowiedzi, która musi być prawdziwa, żadne drobne kłamstewka, żadne odwoływanie się do przeznaczenia, powinności, czegoś tam jeszcze.

Match, widząc, że nie doczeka się odpowiedzi, zaczął znów:

–Dlaczego w ten sposób? Po co było aż tak? Po co tyle krzywdy, tyle krwi, tyle śmierci? Powiedz, jeżeli potrafisz! Jeżeli chcesz!

–Bo nie można było inaczej – usłyszał twardą odpowiedź. – Bo nie musiałeś wszystkiego wiedzieć. Bo w końcu, w końcu to ty sam powinieneś zdecydować, zapłacić za to wszystko, właśnie ty, a nie nikt inny! Ty musisz zamknąć ten krąg, nikt inny tego za ciebie nie zrobi!

Już krzyczał. Nie mówił spokojnie, cichym, równym głosem, jak zwykle. Odrzucił na

plecy kaptur, wbił wyprostowany palec w pierś Matcha.

–Chcesz prawdy, proszę bardzo – utkwiał w nim wściekłe spojrzenie. – Dobrze, powiem ci tę prawdę, tę, którą tak chcesz usłyszeć, chociaż sam znakomicie ją znasz. Jesteś czymś, czego nie powinno być. Co nie mogło się zdarzyć. Jesteś...

–Potworem? – spytał spokojnie Match.

Druid urwał w pół słowa. Ręka wparta w pierś Match opadła bezwładnie. Opuścił wzrok.

–Powiedz wreszcie, jestem potworem, czymś przeciwnym naturze? – Match uparcie nie dawał spokoju. – Czymś, czego brzydzą się sami twórcy? Choćby ty?

–Skoro chcesz – druid umykał ze spojrzeniem. – Skoro chcesz się koniecznie tak określać...

Spojrzał w mu w końcu prosto w twarz.

–Skoro tak chcesz, to jesteś... Ale nie mów, że brzydzimy się tobą. Nie, my tylko staramy

się zrozumieć, co się z tobą stało. Jak się stało. Nie oceniamy, mimo całego zła, jakiego byłeś

przyczyną. I jeszcze jedno. To nie my cię stworzyliśmy, Match, przynajmniej nie do końca. To

ty sam wybrałeś swą drogę, sam się ukształtowałeś, my tylko zaczęliśmy...

Tak, tylko zaczęliście, pomyślał Match gorzko. A potem tylko z ukrycia pociągałeś za sznurki, żebym przypadkiem nie zoczył za bardzo z tej drogi, którą dla mnie wybrałeś. Tak, sam wybrałem drogę, w tych granicach, jakie mi zakreśliłeś. Bardzo ograniczony to był wybór...

–Nie pomyślałeś o tym, że mogłeś inaczej? – spytał cicho. – Po prostu powiedzić, wtedy,

kiedy jeszcze był czas?

Nie oczekiwał odpowiedzi. W każdym razie nie takiej, mimo wszystko...

–Tobie? – skrzywił się druid szyderczo. – A kim ty byłeś? Kim jesteś? Zgoda, popełniliśmy kiedyś błąd. Trzeba było lepiej cię pilnować, rokowałeś wielkie nadzieje.

Zaniedbaliśmy to. Ale tylko tyle. Niech ci się nie wydaje, że twoje pochodzenie, te początki

stawiają cię na równi z nami. Nie jesteś jednym z nas, nigdy nie byłeś. Nie zdążyłeś się stać.

Ale nie jesteś też człowiekiem. Nigdy nie zaznałeś prawdziwego człowieczeństwa, czym by

ono było. To, co się z tobą stało, w młodości, nie pozwoliło na to. Było nieodwracalne. W

nieodwracalny i w istocie swej wyjątkowo paskudny sposób spaczyło twój charakter, twój

umysł. Nawet twoje ciało. Jesteś obcy, obcy wszystkim. Nie należysz do nikogo, Match,

jesteś...

–...nikim?

–Tak, jesteś nikim, dziwacznym tworem, który wyrwał się spod kontroli. Który powinien zostać unicestwiony, gdy tylko okazało się, kim, czym naprawdę jest...

Match miał już dosyć. Ta rozmowa do niczego nie prowadziła, była zbędna. I tak wszystko się już zdecydowało.

–Dobrze – przerwał. – Kończmy już, to nie ma sensu...

Druid zamilkł. Po chwili powiedział:

–Rzeczywiście, to nie ma sensu. Oszczędź sobie tych niewczesnych żalów, na nic się nie

zdadzą, jak wiesz...

Rzeczywiście nie zdadzą. Match już się o tym przekonał, przed chwilą do końca. Tak widać miało być. Przeznaczenie? Nic już więcej nie mówiąc, ruszył po swego wierzchowca. Po co więcej gadać, i tak nic to nie zmieni. Zbliżyliśmy się do końca.

–Zaczekaj – usłyszał za sobą.

–Po co? – spytał chłodno, nie zatrzymując się. – Przecież wszystko już postanowione. A pytania nie zdadzą się na nic...

–Siadaj, Match, to nie wszystko. Zawsze byłeś w gorącej wodzie kąpany – z ironią powiedział druid, siadając na zwalonym pniu. – Od razu ruszać, niech się dzieje, co chce... Stąd twoje problemy...

Match zaklął pod nosem, ale zawrócił. Usiadł obok.

–Chcesz mi jeszcze raz przypomnieć o powinnościach? – spytał sarkastycznie. – O przeznaczeniu? O zapłacie? Uważasz, że jeszcze mało, że nie wystarczy? Obawiasz się, że w

ostatniej chwili ucieknę, przestraszę się? Że nie zrobię tego, czego ode mnie oczekujesz?

Uśmiechnął się krzywo.

–Przepraszam, nie ty oczekujesz – sprostował. – Ty niczego nie oczekujesz, to tylko przeznaczenie... Nie martw się, stanę mu naprzeciw. Ale jeśli myślisz, że to, co masz zamiar

jeszcze powiedzieć, pomoże mi w jakiś sposób, utwierdzi w decyzji, to się mylisz. Już

wystarczy, druidzie, wystarczy...

Druid siedział nieporuszony. Nie spojrzał na Matcha, nie odwrócił nawet głowy.

–Nie drwij z przeznaczenia, Match – odparł po chwili. – Nie drwij z niego, ani nie próbuj

się przeciwstawiać. Bo zakpi z ciebie okrutnie albo cię zniszczy...

Wciąż siedział, nie patrząc na rozmówcę, mówiąc jakby do siebie. Jakby nagle przestało mu zależeć, czy Match w ogóle słucha wypowiedzianych cicho słów.

–Wiem, sądzisz, że już zniszczyło. Że nie pozostawiło ci żadnego wyjścia, innego, niż ta

ostatnia, jak sądzisz, walka. Bo wiesz, że nie wyjdiesz z niej z życiem, nawet, jeśli spełnisz to,

czego od ciebie oczekujemy. Mylisz się...

Druid przerwał na chwilę. Sięgnął do leżącej obok pnia sakwy, jakby chciał coś z niej wyjąć. Rozmyślił się jednak, jeszcze nie teraz. Jeszcze będzie czas.

–Mylisz się, Match – podjął, nadal cicho, bez nacisku. – Mylisz się, właśnie w tej chwili.

Właśnie teraz przeznaczenie zakpiło sobie z ciebie, z twojej gotowości do poświęcenia. Z

twojej ofiary, którą tak ostentacyjnie składasz z samego siebie. Myśląc, że właśnie przez to

stajesz się lepszy, że spłata zaciągniętych długów, zadośćuczynienie za wszystko, co zrobiłeś,

czyni cię kimś innym, niż byłeś dotąd. Nie, Match, nawet tego nie będziesz miał. Nie dostąpisz

tej radości, tego oczyszczenia, nawet za najwyższą cenę, którego tak w istocie pragniesz, choć

nie przyznajesz się do tego. Obwiniając o swe uczynki wszystkich dokoła, tylko nie siebie... Ty

przecież nie jesteś winien tej całej krwi, zdrady... To paskudne siły tak tobą pokierowały, nie

ty...

Nie doczekał się żadnej reakcji, mimo iż się spodziewał. Match siedział bez ruchu, wpatrując się w przestrzeń nieruchomym wzrokiem. Wyglądał tak, jakby go to wszystko nie dotyczyło. Nie docierała drwina, wyraźnie teraz już słyszalna w głosie druida.

–Widzisz, mimo że jesteś tylko narzędziem, to nie ma sensu niszczyć narzędzia bez potrzeby. Nawet tak niebezpiecznego, jak ty. Zawsze przecież jeszcze może się kiedyś

przydać... Wiem, ty wolałbyś zakończyć wszystko właśnie dzisiaj. Wreszcie uzyskać spokój i pogodzenie... Właśnie, z kim? Z tymi, których zabiłeś? Z tymi, których zdradziłeś? Nie, dla nich już nic nie zrobisz. Możesz pogodzić się wyłącznie sam ze sobą, tylko to ci zostało.

Roześmiał się szyderczo. Tak naprawdę nigdy nie lubił tego siedzącego obok człowieka, jak z wyższością nazywał go w myślach. Tylko po to, by pokryć lęk, jaki w nim budził, on i jego możliwości. Niepojęte i przeciwne naturze. Nigdy natomiast nie poczuł najłżejszego drgnienia współczucia, nawet najśłabszego poczucia winy

wobec tego, co mu zrobił. Kiedyś, i później. Poczucia winy wobec tego, co jeszcze zrobi, co właśnie zamierza.

Siedzący obok, ponuro zamyślony człowiek był przecież jego dziełem. Wprawdzie nie do końca ukształtowanym tak, jak zamierzał, ale w końcu okazało się, że będzie przydatny, choć bardzo odległy od ideału. Będzie narzędziem, topornym i trudnym w użyciu, ale przecież takim, co w końcu spełni swą rolę. Nawet nieświadomie. Cóż, w końcu lepiej dla niego...

Dużo trudu to kosztowało. Wiele delikatnych zabiegów. Wiele ciosów, które trzeba było zadać na odlew, gdy zawodziły subtelniejsze sposoby. Wiele razy obawiał się, że nic z tego nie będzie, że trzeba zapłacić za zaniedbania, znów czekać długo, bardzo długo. I następnym razem bardziej się pilnować.

Jednak w końcu powiodło się. Narzędzie zmierzało prosto do wytyczonego celu.

–Nie będzie zapłaty, Match – słowa były twarde, zdecydowane. – Nie będzie zadośćuczynienia. Nie pogodzisz się ze sobą, jeszcze nie teraz. Nie umrzesz dziś z radością. Bo

dla nas jest to niepotrzebne. Są prostsze sposoby. Choćby tobie się to bardzo nie podobało...

Match wreszcie zaczął sprawiać wrażenie, że dociera do niego to, co usłyszał. Spojrzał w twarz druida, wciąż nie okazując żadnych emocji. Słuchał tylko, nie przerywając. Nie zadając pytań.

–Aby twoje przeznaczenie się dokonało, abys spełnił to, co musi się stać, twoja śmierć

okazała się niepotrzebna. Zbędna. Nie musisz walczyć twarzą w twarz. Wystarczy...

Urwał, sięgnął do sakwy, wyjął z niej bełt. Na pierwszy rzut oka zwyczajny, krótki bełt do kuszy. Zważył go w otwartej dłoni.

–To twoje ułaskawienie, Match – powiedział z drwiącym uśmiechem. – Co, nie cieszysz

się? Nie pociąga cię perspektywa odjechania z powrotem, cało, zamiast tego, że rozsiekają cię

tam na strzepy?

Podał mu bełt. Match wziął go bez słowa, zacisnął palce. Druid podjął, już bez

drwiny:

–Przeznaczenie dokona się bez uczciwej walki na śmierć i życie. Niepotrzebne dla niego

jest twoje poświęcenie. A twoje uczucia, twoja potrzeba ekspiacji? Nie jest warta nawet

splunięcia, Match. Nikogo to nie obchodzi. Prócz ciebie, ale ty się akurat niezbyt liczysz. A

twoje uczucia wcale. Zrobisz to, co musisz, bez zapłaty. I bez wątpliwości, nic innego ci nie

pozostało. Zostaniesz dalej ze swym długiem, ciężącym jak dotąd. Może kiedyś dam ci

możliwość jego spłaty. Może jest ci to przeznaczone. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj to niepotrzebne...

Match wstał. Trzymając bełt w zaciśniętej pięści, popatrzył z góry na siedzącego.

–Co zatem? – spytał spokojnie.

–Nie złościsz się? – spytał druid bez zdziwienia. – Pogodziłeś się wreszcie z

przeznaczeniem? Wiesz już, gdzie twoje miejsce? Dobrze, znaczy to, że wreszcie zrozumiałeś.

Posłuchaj więc. A potem bądź wdzięczny. Bo to, co masz zrobić, będzie dużo łatwiejsze...

Również wstał, podszedł do konia, który grzebał kopytem w miękkim gruncie. Poklepał go po szyi. Koń szarpnął się, zachrapał. Druid brutalnie szarpnął wodze.

–Taki sam, jak ty, Match, tylko by wierzgał. Nie chce się pogodzić z tym, do czego jest przeznaczony, stawia się, walczy. Wydaje mu się, że może coś przez to uzyskać. Tymczasem wystarczy tylko szarpnąć uzdę, zaraz się uspokoi...

–Do rzeczy – przerwał Match te wynurzenia, Nie interesowały go analogie.

–Masz rację, już czas, nie możemy pozwolić czekać. Dobrze, Match, jak mówiłem, nie musisz z nikim walczyć, nie musisz się poświęcać. Już niedaleko do celu, do którego zmierzałeś. To już za tym lasem, tam na ciebie czekają.

Wskazał pasmo lasu, zamykające ciemną linią przestrzeń pól. Rzeczywiście, nie

było już daleko.

–Pojedziesz aż do rozstajów, tam zatrzymasz się. Wystrzelisz ten bełt, który ode mnie dostałeś. Wtedy będziesz mógł wracać. Dokona się to, po co tu przyjechałeś...

–W co mam wystrzelić? – spytał chłodno Match. Nie dziwił się niczemu. Druid wskazał na nisko wiszące nad ciemną ścianą lasu blade, zimowe słońce.

–Choćby w słońce – odparł krótko. Match tylko kiwnął głową, podszedł do konia.

Wyciągnął bez słowa rękę po wodze, trzymane wciąż przez druida. Ten zdziwił się:

–Co, o nic nie spytasz? Nie masz żadnych wątpliwości? Chociażby, po co to wszystko...

–Nie – uciął sucho Match. – Nie mam żadnych pytań. Ani żadnych wątpliwości. Ty decydujesz, jak zawsze...

Wciąż wyciągał rękę. Druid wzruszył ramionami, podał wodze.

–Zanim pojedziesz, to może jednak posłuchaj. Widzisz, każda broń, jak mówią, ma swoją

duszę, osobowość, różnie to nazywają. Mieczom nadaje się imiona, mając nadzieję, że imiona

te, ich sława, wszystko to przetrwa wieki, będzie powtarzane w sagach i legendach...

Jak Albion, pomyślał Match. Miecz, który leżał kiedyś na Okrągłym Stole. Który przypadł mi w dziedzictwie po Robinie. Który miał służyć w szlacheckich walkach, kierowany dłonią rycerza bez skazy. Którym, żeby daleko nie szukać, wyprułem flaki temu wieśniakowi, który rzucił się na mnie z okutą pałą, przypomniał sobie Match. A także innym, którzy nawet się na mnie nie zamierzali. Miecz ciął równo, nie sprawiało mu widać różnicy, w jakiej sprawie została przelana krew, która spływała po zboczach, słusznej czy nie...

–Ten bełt ma więcej niż duszę – druid, widząc, że Match zamierza wsiadać, mówił coraz

szybciej. I głośniej. – On ma, można tak powiedzieć, inteligencję...

Match dosiadł konia, stuknął piętami po bokach. Ruszył, nie oglądając się. Gonił go coraz głośniejszy głos:

–Na rozstajach wystrzel go prosto w słońce. Prosto w słońce, pamiętaj. Nie musisz

nic

więcej robić. Wystrzel i zapomnij...

Match wciąż trzymał w prawej dłoni bełt, lewą trzymając wodze. Bełt wydawał się ciepły. Jakby wibrował lekko, a może to tylko złudzenie. Wystrzel i zapomnij, powtórzył w myśli słowa druida. Wygodna zasada.

–Wystrzel i zapomnij – dosłyszał jeszcze za sobą. – Pamiętaj, on też ma swoje imię. Zowie

się Ogień Piekieł...

Koń przyspieszył, ponaglony uderzeniem w boki. Match nie oglądał się za siebie. Patrzył przed siebie na zbliżającą się z wolna ścianę lasu, ściskając w dłoni bełt. Bełt o dziwnym imieniu. Ogień Piekieł. Hellfire.

Sylwetka w jasnym płaszczu z kapturem zniknęła w oddali. Coraz bliżej ciemna ściana lasu. Wkrótce rozstaje.

Za ciemną ścianą lasu, tam, po drugiej stronie, na porośniętej suchą trawą rozległej polanie stała konno grupa ludzi. Wciąż czekali, w milczeniu, nie rozmawiając pomiędzy sobą.

Mężczyzna stojący na czele grupy odrzucił kaptur na plecy. Spod kółek misiurki wymykały się szarpane zimnym wiatrem jasne kosmyki włosów. Zaczynał się niecierpliwić. Zastanawiać się, czy dojdzie do spotkania. Ważnego spotkania, obojętne, jak się zakończy.

Człowiek, którego oczekiwał, miał odjechać z tej polany jako sprzymierzeniec. Lub nie odjechać wcale. Mężczyzna obejrzał się. Z zadowoleniem spostrzegł, że zgodnie z rozkazem pierwsi ze stojącej za nim grupy trzymali napięte kusze. Na wszelki wypadek.

Spotkanie było ważne, od dawna go oczekiwał. Potrzebował uwiarygodnienia, kogoś, kto wspierając go, jednocześnie będzie symbolem kontynuacji. Symbolem walki, prowadzonej od lat, rozpoczętej przez Robina w Kapturze. Walki, do której on teraz poprowadzi, walki aż do zwycięstwa. Walki z tymi, którzy wyzuli go z dziedzictwa. Przez których on, szlachcic, rycerski syn stał się przywódcą wyjętych spod prawa. Tylko to mu pozostało, tylko w ten sposób mógł dochodzić swych praw.

To, co im się nie udało, mnie musi się udać, pomyślał. Musi się udać. A on... On może mi w tym pomóc. Powinien pomóc, w końcu sam poświęcił tej samej sprawie wiele ze swego życia. Przegrał, lecz dzięki tej przegranej ja mogę uniknąć tych samych błędów. Winien wdzięczność, wdzięczność za to, że ktoś podjął jego dzieło.

Jeżeli zaś nie będzie chciał... Trudno. W tym lesie nie ma miejsca na dwóch takich, jak my. Jest miejsce tylko dla mnie. To za mną pójdą chłopcy z puszczańskich wiosek, do mnie dołączą wszyscy skrzywdzeni, wszyscy poszukiwacze przygód. Wyjdziemy kiedyś z tego lasu, staniemy przed bramami waszych zamków i dworów. Pewnego dnia obudzicie się i zobaczycie, że ten, którego pozbawiliście dziedzictwa, którego, jak wam się wydawało, zniszczyliście

ostatecznie, stanął u waszych bram. By zanieść wam ogień i miecz. Odebrać wszystko należne. A nawet więcej...

Jeżeli nie będzie chciał... Jeżeli nie stanie wraz ze mną, to znaczy, że jest przeciwko mnie...

Mężczyzna obrócił się znów, popatrzył na napięte kusze.

Match zatrzymał się na rozstajach. Zeskoczył z siodła. Nie spiesząc się, odtoczył kuszę i napiął, używając dźwigni. Ciężka zaskrzypiała, z metalicznym szczękiem zaskoczyła zapadka.

Podszedł kawałek w stronę lasu, brnąc w rozstępującej się przed nim z szelestem wysokiej, suchej trawie. Szron pokrywający ją rankiem stopniał już w białych promieniach słońca. Białego słońca, które stojąc nisko nad lasem, świeciło mu prosto w twarz. Tylko kretowiska od północnej strony pokryte były srebrnym nalotem.

Położył bełt w rowku łoża kuszy. Uniósł broń, przycisnął policzek do drewnianego łoża, celując w niskie słońce. Zmrużył oczy, patrząc prosto w świetlisty dysk. Delikatnie położył palce na dźwigni spustu. Nacisnął powoli, łagodnie.

Wystrzel i zapomnij...

Wciąż naciskał spust. Niepostrzeżenie pokonał opór zapadki, niepostrzeżenie jak zwykle, gdy uważnie mierzył. Kusza szarpnęła, bełt poszybował w słońce. Match nie widział oddalającego się pocisku, widział tylko czerwone kręgi. Słyszał cichnący syk rozcinanego grotem powietrza.

Mrugając oślepiionymi oczyma, rzucił broń w zeschniętą trawę. Nie czekając na nic, ruszył z powrotem. Idąc, nie myślał o niczym.

Mężczyzna na polanie znów odwrócił się, już zniecierpliwiony. Stłoczeni w grupkę konni zaczęli poruszać się niespokojnie, słyszał wymieniane półgłosem uwagi. Długo już tu czekali. Za długo.

Kątem oka dostrzegł postać, siedzącą spokojnie na skraju polany, z dala od innych. Druid, pomyślał z niejasnym niepokojem. Pojawił się jakby znikąd, kiedy tylko

przestali do wiosek docierać wysłannicy z miast, poborcy, zbrojni. Dawne kultury znów odżywały.

Mężczyźnie było to jak najbardziej na rękę. Chłopi potrzebowali tradycji, która przeciwstawiała ich panującym. Dawne obrzędy i wierzenia integrowały ich, stawali się łatwiejsi do poprowadzenia. Tak, dobrze się stało...

Jednak teraz, na widok siedzącej sylwetki w jasnym płaszczu z kapturem poczuł niepokój. Odwrócił z niechęcią wzrok, znów spojrzał na przeciwległy skraj polany. Stamtąd przybędzie, o ile w ogóle przybędzie...

Siedzący na skraju polany, pod wielkim, rozłożystym jałowcem druid zdawał się drzemać. Siedział nieruchomo, tylko z bliska można było dostrzec skryte w cieniu kaptura bystre spojrzenie.

Splecione ręce wspierał na krótkiej, jałowcowej lasce.

Już niedługo. Druid nie poruszył się, jednak oczy błędziły po bladym, zimowym niebie.

Teraz!

Gwałtownym ruchem zdjął dłonie z główicy jałowcowej laski, chwycił ją oburącz w połowie długości. Uniósł w górę.

Główicę laski zwieńczał ogromny, rubinowy, szlifowany kryształ. Promienie bladego słońca błysnęły wielokrotnymi odbiciami w fasetach klejnotu. Druid zacisnął mocniej dłonie.

Z kryształu wystrzeliła cienka jak włos nitka światła. Na czole mężczyzny, tuż pod brzegiem misiurki, wykwitła szkarłatna plamka.

Bełt osiągnął najwyższy punkt swego lotu. Zawisł jakby na chwilę w powietrzu, przechylił się. Pomknął w dół, nabierając szybkości. Wirował powoli wokół własnej osi.

Prosto na widoczną gdzieś w dole, maleńką, jaskrawą, szkarłatną plamkę. Nie schodząc ze wskazanej ścieżki, szerokiej na górze, coraz węższej w miarę opadania.

Szybko, coraz szybciej... Coraz głośniejszy świst rozcinanego grotem powietrza.

Powiew wiatru wytrącił pocisk z toru lotu. Brzechwy drgnęły ledwo dostrzegalnie, skorygowały odchylenie. Znowu prosto do celu, prosto na maleńką plamkę...

Mężczyzna wstrząsnął się. Zimno, pomyślał, to przez ten zimny wiatr... Nie słyszał

świstu pocisku. Nie słyszał cichego szumu brzechw. Nie słyszał do końca.

Na mgnienie oka przed uderzeniem, wiedziony przeczuciem uniósł głowę. Za późno.

VI

Yes I know the secret

That 's within your mind

You think all the people

Who worship you are blind

You 're just like Big Brother

Giving us your trust

And when you have played enough

You 'll just cast our souls

Into the dust

Into the dust

You thought that it would be easy

From the very start

Now I've found you out

I don 't think you 're so smart

I only have one more question

Before my time is through

Please I beg you tell me

In the name of hell

Who are you?

Who are you?

Black Sabbath, Who Are You

Obaj słyszeli, jak nadchodzi. Nie było w tym nic dziwnego. Ci dwaj ludzie, siedzący ma suchym wrzosowisku, w kręgu wielkich głazów, słyszeli zazwyczaj więcej od

innych. Wiedzieli też. Dlatego nie podnieśli twarzy, skrytych w cieniu kapturów.

Wiedzieli, kto zbliża się do kamiennego kręgu. Wiedzieli, że i on wiedział, gdzie ich znaleźć. On już należał do nich. Ale oni nie należeli do niego.

Oto rezultat wielu wieków. Może tysiącleci. To wszystko dokona się już wkrótce, to, na co czekali. Pojawił się wreszcie ostatni element.

Wieki starań i wysiłków, sukcesów i porażek. Lata błędów i cierpień. To wszystko już minęło. Skończyło się. Właśnie dziś. Powinni czuć radość. Euforię. Zastanawiali się, dlaczego nie czują. Być może to rezultat napięcia. Nawet druidzi posiadają nerwy. Nawet druidzi czują niepewność. I nawet im czasami się nie udaje. Ale nie dziś. Dziś jest tak, jak być powinno.

Gdy stanął przed nimi, niczym nie dali po sobie poznać, że go dostrzegają. Tak powinno być. To przecież tylko narzędzie. Posłuszne od dawna. Nieświadome swego losu, nazywające go przeznaczeniem. Narzędzie, które niedługo zostanie użyte.

Nieświadome narzędzie stało w milczeniu.

Druid, trzymający na kolanach jałowcową laskę, której głowica okryta była skórzanym pokrowcem uniósł głowę. Utkwił wzrok w nieruchomej postaci. Oto ten, który już przekroczył próg, pomyślał. Oto ten, który otworzy nowy świat. Już bez wahania i wzdragania. Już będzie posłuszny.

Drgnął, spostrzegłszy zimny uśmiech. Nie tego się spodziewał.

–Oto jestem – usłyszał. – Zadany cios i czyn spełniony...

Nie czekając na przyzwolenie, Match usiadł naprzeciw. Pochwę z mieczem położył w poprzek kolan.

–Powiecie mi, jak zginął? I po co?

Drugi z druidów gwałtownie odrzucił kaptur z głowy. Utkwił w Matchu spojrzenie swych wyblakłych oczu. Stary znajomy, pomyślał Match.

–Nie pozwalaj sobie za wiele – syknął druid. W głosie była złość. Ale gdzieś głęboko pod nią Match usłyszał nutki niepokoju. Nie zareagował.

–Nie poznasz przeznaczenia – powiedział druid, wciąż głosem przepelnionym złością. – Nie ty, marny robaku. Sługo. Niewolniku. Ty możesz się najwyżej cieszyć, że uniknąłeś swojego... Na razie... Pozwoliliśmy ci go uniknąć.

–Wdzięcznym niewymownie – parsknął kpiąco Match. Wytrzymał spojrzenie bladych

oczu, wytrzymał nadspodziewanie łatwo. Już nie mieli nad nim władzy. – Ale ja już nie wierzę w przeznaczenie. Nie ma przeznaczenia.

–Zamilknij – to ten z jałowcową laską. – Nie tobie mówić o takich rzeczach. Nie tobie je rozważać... Nie jesteś...

–Kim? – wpadł mu w słowo Match. – Nie jestem tobą? Nie jestem taki, jak ty? Nie mylisz się. Jestem czymś więcej. Ja już wiem...

–Co wiesz? – pytanie padło szybko, zbyt szybko. Odpowiedź również.

–Wszystko.

Nie byli zwykłymi ludźmi. Nie musieli spoglądać na siebie, by podjąć jednomyślną decyzję. Nie było żadnego ostrzeżenia.

Miecz wysunął się lekko z pochwy. Błysnął cał jasnej stali.

–Nawet nie próbuj... – ostrzegł Match, widząc wzniesioną w skomplikowanym geście

rękę. – Wiesz, że nie zdążysz. Wiesz, kim, a raczej czym jestem... Wiesz, bo sam mnie

stworzyłeś.

Wzniesiona ręka opadła. Druid wpił swoje wyblakłe oczy w twarz Matcha.

–Nie wysilaj się – Match wsunął z powrotem miecz. – To też na mnie nie działa.

Powinieneś wiedzieć. Zresztą, jak chcesz, to spróbuj...

Nic się nie stało. Po dłuższej chwili druid opuścił wzrok. Zapadła cisza.

–Czego chcesz? – spytał po dłuższej chwili ten drugi. Bardziej widać pragmatyczny.
– Zemsty? Nic ci ona nie da, już wszystko się stało. Nie wróci to, na czym ci zależało. Nie możemy ci tego oddać. Nikt nie może.

–Co, musisz pytać? – zakpił Match. – Ty też nie wierzysz w przeznaczenie? Nie wierzysz, że już zostało to ustalone i zapisane? Nie wierzysz... I masz rację...

Match rozsiadł się wygodniej. Nie spuszczał oka z rozmówców. Byli niebezpieczni. Zwłaszcza przyparci do muru. Jak szczury, zagonione do kąta.

–Porozmawiamy... – zaczął Match. – O przeznaczeniu, którego nie ma. Bo masz rację,

rzeczywiście go nie ma. To tylko łatwe wytłumaczenie, straszak na maluczkich. Na mnie też,

do czasu. Nie ma przeznaczenia. Jest tylko przypadek, ciąg wydarzeń, z których każde może

pociągnąć za sobą inne. Każde z nich może zmienić przyszłość. Przypadkowo. Nikt nie może

poznać przyszłości. Bo jest ich nieskończenie wiele, i z każdą chwilą staje się więcej. Można

wyłapać poszczególne obrazy, zdarzenia. Ale tylko prawdopodobne. Nie nieuchronne. Bo

przyszłość jest chaosem, chaosem nie poddającym się poznaniu, nieprzewidywalnym. Każdy

nasz czyn wpływa na przyszłość. Tylko nie wiadomo jak.

Match uśmiechnął się ponuro.

–Każdy czyn pociąga za sobą lawinę skutków. Możliwości jest wiele, nawarstwiają się.

Każdy skutek pociąga za sobą następne. Jakie? Spróbuj zgadnąć. Gdybyś na przykład teraz

puścił bąka, to być może z tego powodu huragan spustoszy miasta za morzem. A może nie. Jak

chcesz, spróbuj...

Match popatrzył na rozmówcę. Jednak do prób brakowało chętnych. Zamiast tego usłyszał coś, czego się spodziewał.

–Może więc posłuchasz z kolei nas – jego stary znajomy o wyblakłych oczach nie dawał po sobie poznać zdenerwowania. Przemawiał jak zwykle pewnie i autorytatywnie. – Wydaje ci się, że wiesz. Owszem, może wiesz sporo. Ale wyciągasz całkiem fałszywe wnioski. Zgoda, my też popełniamy błędy, wiesz o tym. Nie zamierzam się tego wypierać. Ale ty powinieneś zrozumieć, cel jest wielki. Ważny...

–Zaczynasz traktować mnie jak równego sobie? – Match zmrużył oczy. – Nie wyszło inaczej, to w ten sposób?

–Skoro tak twierdzisz... – skrzywił się druid. – Nieważne, co myślisz. Jak poznasz

prawdę, zrozumiesz. Zrozumiesz, że nie można było inaczej. Że trzeba było ponieść koszty. Owszem,

wiesz już, że jesteś jednym z nas, jesteś nam równy. My wiemy już, że należy cię inaczej traktować jak partnera...

–Zapomnij o tym – uciał Match. – Mylisz się. Nie jesteśmy równi. Jestem czymś więcej...

–Nie rozumiesz mnie! Nie przeczą, posiadasz pewne zdolności nas przewyższające. Ale nie wiesz wszystkiego, nie znasz prawdy, nie znasz celu. Nie znasz...

–Motywów? Mylisz się, znam je doskonale. Są stare jak świat i mało oryginalne. Wam chodzi o władzę. Władzę, którą tracicie... Którą chcecie odzyskać.

Słowa zawisły między nimi. Bo była to prawda. Był to właściwy cel.

–Wasz świat się kończy – ciągnął Match. – Nie ma tu dla was miejsca. Coraz mniej ludzi was słucha. Coraz mniej wierzy w waszych bogów. Wy sami w nich nie wierzycie, już od dawna. Przegrywacie z nową wiarą, z nową cywilizacją, która tu nastaje. I nie podoba się to wam. Chcecie to zmienić. Chcecie znów mieć władzę, chcecie, by kochano was i podziwiano. By was słuchano. Jeżeli nie tu, to gdzie indziej...

–To, co przychodzi, jest złe! – drugi druid nerwowo szarpał rzemyk pokrowca, okrywający głowicę wskaźnika celów. – To zniszczy świat, prędzej czy później! Ich wiara jest zła i fałszywa! Oni wierzą tylko w siebie, ich bóg jest taki sam, jak oni!

–Cóż... – Match w zamyśleniu pokiwał głową. – Nie twierdzą, że ten świat zmierza w dobrym kierunku. Nie moje to zmartwienie. Może sami go zniszczą. Może skończą tak, jak wy. Bez władzy, niepotrzebni. Może to zapomnienie będzie najgorsze. Może nawet, tak jak wy, widząc swój schyłek, będą próbowali tego samego. Będą próbowali narzucić swe przekonania siłą, skoro nie będzie już wiary. Uciekną się do podstępu, do wymuszenia. Kto wie, co będzie za sto lat, za tysiąc? Ale jedno jest pewne. Na razie to dla was nie ma na tym świecie miejsca. Tu i teraz to wasz świat się kończy. A temu światu, co nastanie, trzeba pozwolić iść własną drogą. Ten świat ma prawo do własnych błędów. Wy nie macie już na to wpływu...

Stary znajomy Matcha miał silniejsze nerwy. Gdy odezwał się, mówił wciąż spokojnie.

–Wciąż mówisz „wy” – zauważył. – A przecież ty też do tego świata nie pasujesz. Nie

możesz stanąć po jego stronie. Ten świat cię nie przyjmie, odrzuci cię. Nawet

zniszczy.

Dlaczego więc nie chcesz się opowiedzieć po właściwej ze stron? Teraz, kiedy, jak mówisz,

wiesz i rozumiesz wszystko?

–Dlaczego? – w głosie Matcha była tylko gorycz. – Ty pytasz, dlaczego? Druid nie odpowiedział. Nie można było znaleźć właściwej odpowiedzi. Nawet on, z całym swoim

cynizmem i wyrachowaniem nie potrafił.

Zdawał sobie sprawę, że Match nie mógł stać się jednym z nich. Pomiedzy nimi stanęło czterdzieści lat kłamstw. Lat, w którym były manipulacje i zdrada. Druid dostrzegł, jak załamuje się plan, któremu poświęcił swe długie życie. Plan przeprowadzany od pokoleń.

–Nie pytasz, dlaczego... – stwierdził Match bez zdziwienia. – Wiesz to dobrze.

Druid spróbował jeszcze raz.

–Match, wszystko, co ci kiedykolwiek powiedziałem, było prawdą. Nie mogłem powiedzieć wszystkiego. To był nieszczęśliwy splot okoliczności, nie wszystko potoczyło się

tak, jak planowano. Jak sam planowałem... Match, to ja mogłem być...

Match wstał powoli. Dłoń wciąż trzymała rękojeść.

–Zamknij się... – wycedził z tłumioną pasją. – Zamknij się albo zaraz twoje przeznaczenie

dobiegnie kresu. Prawda! Ty mówisz o prawdzie! Tak, wszystko było prawdą! Najszczęśliwą

prawdą! Tylko nie całą... Tak, wiem, mogłeś być moim ojcem. Byłeś jednym z najlepszych,

byłeś tym, który mógł zamknąć dobór prowadzony od pokoleń. Ale był lepszy od ciebie. Ten,

którego potem zabiłeś...

Oparł się o wielki głaz.

–Teraz się zamknij i nie przerywaj – wycedził. – Mruknij tylko pod nosem albo spróbuj

zaprzeczyć, a utnę ci łeb. Wiesz, że stać mnie na to. Teraz ja ci powiem, co jest prawdą. Tą

pozostałą.

Miecz nie wysunął się z pochwy nawet na cal, ale dłoń trzymająca pewnie obciążoną jaszczurem rękojeść miała wystarczającą wymowę. Druid mógł tylko słuchać. Słuchać o wszystkim, co wydarzyło się przez czterdzieści lat. Słuchać tego z ust kogoś, kto nigdy nie miał się o tym dowiedzieć. Mógł słuchać o swych czynach, dokonanych i zamierzonych. Zaś za każdy z tych czynów opowiadający o nich człowiek mógł go zabić jak psa.

Czterdzieści lat temu dobiegał szczytu wielki plan. Plan ostateczny, który miał otworzyć nowe horyzonty. Który był ostatnią szansą. Pewna kobieta miała urodzić tego, kto będzie mógł przewyciężyć okowy tego świata, w którym zostali zamknięci. To dziecko było rezultatem wieloletniego doboru. Miało być kimś wyjątkowym. Wiadomo było, kim jest jego matka. Potrzebny był jeszcze ojciec, ktoś o wyjątkowych, wymaganych cechach. Było ich dwóch. I ten drugi okazał się lepszy. Minimalnie, ale lepszy.

Ten odrzucony nigdy się z tym nie pogodził. Oto umknęła mu szansa, szansa na ukształtowanie dziecka tak, jak by sam chciał. Szansa na zagwarantowanie sobie przewagi w tym nowym świecie. Bo dziecko miało być tylko narzędziem. Miało otworzyć ten nowy świat. Ale rządzić nim miał kto inny.

Ta szansa wymknęła się z rąk. To ojciec chłopaka miał mieć na niego wpływ. To on mógł go ukształtować, tak, jak chciał.

Druid, który przegrał, postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Wiedział, że to chłopak jest ważny, nieistotne było pokrewieństwo między nim a tym, kto go ukształtuje. Ojciec chłopaka musiał zginąć. Druid wiedział, że w przypadku jego śmierci on stanie się oczywistym następcą, tylko on jeden był przygotowany. Lecz wynajęci mordercy popełnili błąd. Ojciec wprawdzie zginął, jak było to zaplanowane, ale dziecko zniknęło.

To była klęska. Chłopaka nikt nie mógł zastąpić. Realizowany przez stulecia plan załamał się. Druid miał jednak chwilę gorzkiej satysfakcji. Jeżeli nie on będzie rządził nowym światem, to nikt inny.

Lecz los okazał się nieprzewidywalny. Dziecko odnalazło się. Ale już nie było

podatne na indoktrynację. Dzieckiem był Match, przywódca rebelii.

Swe niespotykane talenty wykorzystywał w inny, nieprzewidziany sposób. Był niezależny, nie można było nim kierować. Na to było za późno. Trzeba było inaczej.

Nie można było sterować Matchem wprost. Trzeba było otoczyć go siecią intryg, tak, by szedł tam, gdzie trzeba, nie wiedząc o tym. Na to trzeba było czasu. Druid nie obawiał się. Miał czas.

Lecz los znów z niego zakpił. Match zbyt wcześnie odkrył bramę. Zbyt wcześnie przez nią przeszedł.

–Tak, to też było kłamstwo – Match popatrzył na druida. – W twoim stylu, blisko prawdy.

Ale jednak kłamstwo. Ja nie otworzyłem bramy. Ona jest ciągle aktywna. Ja tylko przez nią

przeszedłem. Tak jak wielu z was do tej pory. Bo ja różnię się tylko jednym, mam nad wami

tylko jedną przewagę. Mogę przejść, kiedy chcę... I dokąd chcę... Mogę wrócić tam, gdzie już

byłem. To właśnie jest ta umiejętność, której wam wszystkim brakuje. Bo tylko ja mogę

znaleźć świat, o który chodzi...

Popatrzył uważnie na druidów. Nie zaprzeczali. Może dlatego, że bali się, iż spełni swą groźbę. Może dlatego, że nie było sensu.

–Popraw mnie, jeśli się pomylę – powiedział Match. – Nie obawiaj się, nie utnę ci łąba... na razie przynajmniej... Prawda wygląda nieco inaczej, niż ją przedstawiłeś chociażby szeryfowi. Na tym świecie żyły kiedyś inne rasy posiadające moc. Porozumiewające się bez słów. Korzystające z mocy, a nie z narzędzi. Ale one nie odeszły. Wytępiliście je, prawie wszystkie. Zostały tylko niedobitki, do dziś kryjące się w lasach i uroczyiskach...

–Poprawka – wtrącił zimno druid. – Mówisz, wytępiliście je. To nie tak. Wytępiliśmy je wszyscy. My, ludzie... Ten świat był dla nas za mały.

–Zgoda – skrzywił się Match. – Masz rację, wszyscy mamy w tym swój udział. My, którzy wykorzystaliśmy swe mizerne w porównaniu z nimi zdolności. I ci inni, którzy wykorzystali kłamstwo i podstęp, pojęcia obce tym innym rasom. Rzeczy, przed

którymi nie potrafiły się bronić. Nie potrafiły ich nawet nazwać. Jak mówiłem, zostały tylko niedobitki... Niedobitki, które potrafiły tylko układać kamienie w kręgi. W pewnych szczególnych miejscach, miejscach posiadających niecodzienną moc. Moc przenoszenia do innych światów. Gdyby nie te kręgi, nigdy byśmy się o tym nie dowiedzieli. Nigdy nie znaleźlibyśmy tych miejsc... Tak, są inne światy. Może szczęśliwsze od tego. Inne miejsca, inne czasy, do których można dotrzeć przez bramy. Światy, w których zostali tylko oni.

Światy, które są puste i gotowe na przyjęcie tych, którzy je zaludnią. Nie ma tylko światów, w których oni i ludzie żyją zgodnie i w pokoju. Bo to jest niemożliwe. Powiedz mi, do którego ze światów chcecie odejść? Do pustego, by w trudzie i znoju zaczynać od początku? Czy raczej do takiego, gdzie można przyjść na gotowe? Zająć miasta i zamki czy też co tam oni do tej pory zbudowali? Nie odpowiadasz? Nie fatyguj się, znam cię... Znam też odpowiedź...

–Znasz. Bo nie może być inna. To nam się to należy, nam, ludziom. Tak jak tutaj. Bo to my jesteśmy do tego przeznaczeni.

–Co ja słyszę? – zdziwił się obłudnie Match. – Coś mi to przypomina... Czyńcie sobie ziemię poddaną, albowiem to człowiek jest panem stworzenia. Czy nie tak mówią ci, których tak nienawidzisz? Przed którymi chcesz uciec? Czym ty się różnisz od nich? Czy tylko tym, że oni wygrywają, a ty przegrywasz?

–Niczym – odpowiedź padła szczerą i beznamiętną. – Tak, masz rację. Jest świat, który powinien być nasz. Świat, który przepaja pierwotną moc, taką, jak kiedyś i tu istniała. Świat, który chcemy zająć. Tam będziemy czymś więcej niż tutaj, będziemy mieli większe możliwości. A cena, o której myślisz, choć wprost o niej nie wspomniałeś? Ta cena jest do zaakceptowania. Do zapłacenia. My jesteśmy stworzeni do walki, oni nie. I to oni przegrają. Zajmiemy ich zamki i pałace, ich ziemie i góry.

–Tylko jest jeden problem – Match roześmiał się. – Sami tego nie zrobicie, potrzebny jestem jeszcze ja. Tak, wiecie, że ten świat istnieje. Ale nie możecie do niego trafić, nie możecie otworzyć drogi. Tylko ja mogę... Tylko do tego jestem potrzebny. I nie tylko ja...

Druid uniósł brwi.

–Tak, nie dziw się. Ja to wiem. Powinienem dawno się domyślić. Przecież nie pójdziecie

podbijać światła we dwóch czy ilu was tam jeszcze zostało. Nawet oni, łagodni i naiwni, nie

znający prawdziwej ludzkiej natury poradziliby sobie z wami. Ty miałeś bardziej

ambitne

plany. Potrafiłeś obrócić niepowodzenie w sukces. Wtedy, kiedy mnie odnalazłeś, kiedy

zorientowałeś się, kim naprawdę jestem. Kiedy stwierdziłeś, że jestem waszym zagubionym

skarbem. Nie powiedziałeś mi prawdy. Chciałeś zdobyć coraz większy wpływ. Byłem podwójnie cenny, prócz swych możliwości miałem ludzi, których mogłem pociągnąć za sobą.

Trudno o lepszy korpus ekspedycyjny, ta gromada zabijaków i morderców, którym przewodziłem. Miałeś bardzo sprytny plan, za sprytny... Znow przeszkodził ci przypadek.

Wyrwałem się spod kontroli. Sam odkryłem coś, co miało dla mnie być tajemnicą, aż do czasu,

kiedy łaskawie uchyliłbyś jej rąbka. Przestraszyłeś się, że sam mogę coś zrobić, nie czekając na

światłe kierownictwo. Że zacznę działać na własną rękę. Przesadziłeś. Nic bym nie zrobił. Zbyt

mnie to przerastało, zbyt mało wiedziałem. Ale ty zacząłeś działać. Doszedłeś do wniosku, że

jestem zbyt niezależny, zbyt nieobliczalny. Że trzeba mnie złamać. Pozbawić woli.

Wzbudzić poczucie winy. Że ktoś musi to zrobić, ktoś musi mnie kontrolować. Wymyśliłeś więc umowę, umowę z szeryfem, której ja byłem przedmiotem. Żeby mnie przechować na lepsze czasy. Kiedy już będę zupełnie pozbawiony woli. Oplotłeś nas obu, mnie i mojego mimowolnego nadzorcę misterną siecią kłamstw. Nie oburzaj się tak, nie tylko były półprawdy. Były kłamstwa.

Match przerwał na chwilę. Tak, było wiele kłamstw. Kłamstw, które zaważyły na jego życiu. Na życiu wielu innych, nieświadomych gry, w której stali się uczestnikami.

–Wymienię kilka. Żebyś sobie nie myślał... – Match zastanawiał się chwilę. – Po pierwsze, ja nie byłem odpowiedzialny za to, co wyłaziło czasami z bramy, za te wszystkie potwory i okropności. To ty wmówiłeś mnie i innym, że jestem temu winien. Tymczasem to nie ja uaktywniłem bramę. To wasze uprzednie próby, żalodne

i kończące się niezliczonymi niepowodzeniami. Próby, czynione od wieków. Ale tym kłamstwem upiekłeś dwie pieczenie. Uzasadniłeś szeryfowi potrzebę zachowania mnie przy życiu, że niby tylko ja mogę się przeciwstawić, tylko ja mogę stanąć naprzeciw temu, co sam wyzwoliłem. I miałeś mnie w garści. Bo to ja czułem się odpowiedzialny. Wiedziałeś, że będziesz mnie miał na każde zawołanie...

–Tylko tyle? – przerwał druid. – Owszem, zgadza się. Ale co z tego?

–Jeszcze próbujesz – Match uśmiechnął się. – Jeszcze nie zrezygnowałeś. Jeszcze myślisz, że skoro się nie da inaczej, to się dogadamy. Że mnie przekonasz. No dobrze... Wracając do twojego pytania, tego pierwszego. Nie tylko tyle. Żeby daleko nie szukać, ten nieszczęsny człowiek, którego tak niedawno zabiłem. Nie zaprzeczaj, ja zabiłem. Ja nacisnąłem spust. Nieważne, czy broń była na tyle inteligentna, żeby sama wyszukać sobie cel... Ten człowiek, on nie był tym, za jakiego go podawałeś. Nie był taki, jak w tych plotkach, które rozsiewaliście. On nie stanowił zagrożenia, nie w tym sensie. Nie był kimś nieodgadnionym, nie był waszą kolejną pomyłką. To był zwykły, naiwny figurant, człowiek, który robił dokładnie to, co mu kazaleś. Chociaż wydawało mu się zupełnie co innego. On miał tylko jedno zadanie. Miał zebrać kolejną armię, armię, którą chciałeś wykorzystać. Tak jak wymyśliłeś to kiedyś. A nie do podboju twego wymarzonego świata. On miał ją tylko przygotować. Ja miałem go zabić, w imię wymyślonych przez ciebie wyższych racji. Aby chronić świat przed zagładą. Potem wszystko miało być łatwe i proste. Byłeś pewien, że już dojrzałem. Że zatańczę tak, jak mi zagrasz. Ale jednego nie przewidziałeś.

Tym razem nie powstrzymali się. Match dostrzegł szybkie spojrzenie, jaki druidzi wymienili między sobą. Byli zbyt zdetonowani, by porozumieć się inaczej. W sposób bardziej dyskretny. Pokiwał głową.

–Tak, ty już wiesz. Obaj wiecie, co spowodowało waszą klęskę. Jeden człowiek. Jeden

człowiek, którego nie wzięliście pod uwagę. Którego kazaliście zabić, ale za późno. Cóż,

niewiedza i brak przewidywania. Zarozumiałość. Tak jesteście dumni z waszych żalonych

zdolności, że nie mieści wam się w głowach, że ktoś może was przewyższać. Że może widzieć

rzeczy, których wy się tylko domyślacie.

Match stłumił śmiech, który szarpnął nim całym.

–Pomyślcie tylko! Całe wieki poszukiwań, ryzykownych prób i niepowodzeń.

Niezliczone

ilości tych, którzy zaryzykowali, i nie powiodło im się. Którzy zapłacili życiem.
Tajemne

eliksiry mające wzmacniać uzdolnienie. Tak, wzmacniały. Ale często były zabójcze.
Lata

transu i tajemnych ćwiczeń. A okazało się, że można mieć tylko śladowe
uzdolnienia, a potem

dostać w łeb... I wszystko staje się proste. Tak, jak w przypadku Jasona. On widział
więcej od was. Więcej rozumiał. A wy go zlekceważyliście. Powiem więcej, nie
dostrzeżliście na czas. Match znów roześmiał się głucho.

–Pomyślcie tylko, gdybyście wiedzieli, że to takie proste! Od świtu do nocy
walilibyście

łbami o kamienie, a nuż się uda... Jednego całego muru nie znalazłoby się w
okolicy...

Spoważniał. Druidów i tak to nie śmieszyło.

–Późno się zorientowaliście. Dopiero wtedy, gdy zaczął się domyślać całości. Gdy
zaczął

za wami węszyć, rozpytywać ludzi. Wy też zaczęliście. Zorientowaliście się, kim jest.

Postanowiliście go usunąć, zanim zrozumie do końca. Udało się, ale za późno. Zbyt
partacko.

Nie dopilnowaliście swych morderców. Zdradzili się, o co im chodzi. Kto jest ważny.
W

ostatniej chwili Jason zrozumiał do końca. I zdążył...

Zapadło milczenie. Match nie sądził, by było jeszcze coś do dodania. Pomylił się.
Oczekiwał zaprzeczeń.

–Wszystko się zgadza – druid odezwał się spokojnym głosem. – Masz rację,
straszne z nas

skurwysyny. I partacze, jak byłeś łaskaw wypomnieć. Tak, jesteście czymś więcej. Bo
macz coś,

czego nie mamy, a co chcielibyśmy mieć. Powiem to, czego nie dopowiedziałeś.

Wzięliśmy

pod uwagę tego, jak mu tam, Jasona. Dlatego nie pozwoliliśmy, byś stanął do walki z tym

człowiekiem, naszą, jak mówisz, marionetką... Tak, jak pierwotnie zamierzaliśmy.

Obawialiśmy się, że już może wiesz za dużo, że przyjdzie ci do głowy jakieś głupstwo. Że

może zechcesz przegrać. A na to nie można było pozwolić, nie można było ryzykować. Bo czy

nam się to podoba, czy nie, nie ma cię kim zastąpić. Szkoda. Ta walka miała do końca

przechylić szalę. Miała cię do końca uzależnić. Uzasadnić tobie samemu celowość tego, co

robiłeś. Na co czekałeś. Niestety, trzeba było improwizować, nie wyszło tak, jak należy. Masz

rację, chcemy się dogadać. I sądzę, że się dogadamy. Nie musisz nas kochać, Match. Ale nie

masz wyjścia. Nie masz dokąd pójść. Możesz tylko z nami...

Match zachnął się. Druid uniósł dłoń niecierpliwym gestem.

–Nie przerywaj. Ja nie przerywałem, to teraz ty posłuchaj. Tak, wyrządziliśmy ci wiele zła.

Więc co, chcesz zemsty? Co ona ci da? Zmieni to, co było? Nie, Match, ty jesteś realistą. I sam

wiesz, że nie masz wyjścia. Tylko my ci zostaliśmy. Tylko idąc z nami możesz coś zyskać.

Teraz nie muszę cię oszukiwać, zyskasz wiele... Tak, my sami nie możemy przekroczyć bramy.

Nie możemy znaleźć tego świata, tego jedyne, na którym nam zależy... Tylko ty możesz

otworzyć bramę, tu, w tej chwili... Nie mów, że tego nie chcesz... Ten świat już nie jest twój,

jesteś tu obcy, jesteś taki sam, jak my... Nie masz nic wspólnego z pozostałymi, nie mów, że

tego nie zauważyłeś... No, Match, pokaż, kim jesteś. Otwórz bramę. Otwórz, a nie pożałujesz...

Match przeciągnął się. Kamień ziębił mu plecy, zesztyniał cały. Odsunął się od zimnej, gładkiej powierzchni wrośniętego we wrzosowisko głazu.

–Nie rób ze mnie durnia – powiedział oschle.

–O co ci chodzi? – druid poderwał się. – Mówię szczerze. Obiecuję. Nie oszukam cię, nie mogę już, teraz, kiedy wiesz... Kiedy stałeś się naprawdę jednym z nas...

–Nie rób ze mnie idioty – powtórzył Match. – Te kamienie to tylko mizerna imitacja. To tylko kamienie. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Tu nie ma przejścia. To tylko jedna z waszych nieudolnych prób, kiedy jeszcze myśleliście, że to kamienie są ważne. Zapewniam cię, że nie są, i ja o tym wiem... Prawdziwa brama nie jest tutaj... Co, chciałeś mnie wypróbować bez ryzyka? Znow nie wyszło?

–Dobrze – druid zgrzytnął zębami. – Wiesz i to. W porządku. Jak mam ci udowodnić, że jestem szczerzy? Opowiedzieć ci jeszcze coś paskudnego, o czym nie wiesz? Dobrze. Pamiętasz Copperfielda? Tego niby magika i jego pomarańczowe świętowanie? Jak myślisz, skąd je dostał? Tak, to ja mu je dałem. Nawet musiałem sam zrobić, sam przepis nie wystarczył, był na to za głupi. Zresztą i tak nie zdobyłby składników, nie tutaj... Jak myślisz, skąd się wzięły? Tak, Match, nie wszystko jest kłamstwem. Stamtąd też ktoś może przyjść. Ktoś taki jak ty. Nieraz przychodził. A ten smok, który mało cię nie zabił? Wiesz, jak trudno było go sprowadzić? Tak, Match, my też coś potrafimy. Potrafimy przejść przez bramę przy użyciu naszych żalonych eliksirów zmieniających świadomość. Czasem potrafimy coś stamtąd sprowadzić, zwabić, jak jest przydatne. Owszem, nie potrafimy znaleźć tego świata, na którym nam zależy. Nie potrafimy trafić dwa razy w to samo miejsce. Tylko ty potrafisz. No co, chcesz dalszych rewelacji? Czy może uwierzyłeś w moją szczerłość? W to, że traktuję cię teraz poważnie? Jak...

–Jak partnera? – Match skrzywił się. – Dziękuję, nie skorzystam... Jakoś wam nie wierzę.

–Więc co? Zemścisz się? Zabijesz nas? No to już wiesz, że się przed tobą nie obronię! Tylko co potem?

Match podszedł do niego. Stał tuż przed nim. Druid nie cofnął się, nie opuścił wzroku.

–Nie, nie zabiję cię – wycedził Match. – Wiesz dlaczego? Tylko po to, żeby ci

udowodnić,

że nie ma przeznaczenia. Że wszystko było kłamstwem. Kłamstwem, w które sam zacząłeś

wierzyć. Że to, co można zobaczyć, co wydaje się przyszłością, niekoniecznie musi się zdarzyć.

Że zależy też od czegoś, o istnieniu czego chyba zapomniałeś. Od wolnej woli...

Wolnym ruchem obnażył miecz. Stał tak, z opuszczonym do ziemi ostrzem, zimny wiatr rozwiewał mu włosy.

–Kiedyś, na początku Jason miał wizję. Widział mnie stojącego tutaj, z ostrzem ociekającym krwią. Tak, jak mogłoby być już za chwilę.

Zaśmiał się zgrzytliwie, wsunął miecz do pochwy.

–Ale nie będzie – powiedział. – Nie ma przeznaczenia... Odwrócił się. Druid chwycił go za ramię.

–Musisz otworzyć bramę – krzyknął. – Musisz! Nie możesz odejść. Jeśli odejdiesz, będziesz nikim!

–Nikim? – spytał Match. – A kim byłem dotąd? A kim wy będziecie? Wyszarpnął ramię z uścisku. Ruszył przed siebie.

–Ten świat nie jest twój – ścigał go zły głos. Pobrzmiewały w nim nuty desperacji. –

Będziesz sam. Długo, bardzo długo. Pamiętaj, że jesteś jednym z nas. Pamiętaj, ile czasu przed

tobą. Ten świat cię nie chce. Ten świat cię odrzuci, tak jak już cię odrzucił. Bądź rozsądny,

wyberz przyszłość. Swoją przyszłość. Nie masz wyboru, Match, sam zrozumiesz, że nie masz

wyboru...

Szedł powoli, nie odwracając się. Wciąż słyszał za sobą wyrzucane z pasją słowa.

–Wrócisz do nas, sam zobaczysz. Musisz wrócić. Musisz zrobić to, do czego zostałeś

stworzony. Bo jak nie, to co będziesz robił...

Zatrzymał się. Odwrócił. Druid stał w rozwianym białym płaszczu. W jego oczach Match po raz pierwszy zobaczył błaganie.

–Przyjdiesz do nas... – powtórzył druid. Głos mu się załamał – Bo co będziesz robił...

Match popatrzył prosto w wyblakłe oczy, już nie butne i bezwzględne.

–Powiem ci, jak najuprzejmiej potrafię – uśmiechnął się, widząc na twarzy druida przyływ nadziei. Desperackie oczekiwanie, że coś się zdarzy. – Nie twój zasrany interes...

VII

...mglista i potworna czeluść pochłoneła krwawego Wieprza, a ślad po nim nie pozostał. Jeno krzyk cichnący usłyszano. I słuszną to była kara za wszystkie jego zbrodnie i nieprawości, za zdradę i tchórzostwo. Bowiem w bajce cnota nagradzana bywa, a zło czeka zguba. Kto by nieopatrznie do Przeklętej Kotliny zaszedł, usłyszeć może, osobliwie nocą, jęki i szlochania, tak straszliwe, że pomieszać zmysły niezwyčajnym mogą. To dusza potępiona krwawego Wieprza tak lamentuje, na błąkanie się wieczne w mrocznym kręgu skazana, zmiłowania daremnie wypatrując...

...pojął tedy dzielny Match swą Marion wyśnioną za żonę. I było to nagrodą słodką za wszystkie lata męki i poniewierki, jakie musiał znosić. Żyją teraz w swym domu na drugim krańcu łączy, ciesząc się sobą i przyjaciółmi, jakich kiedyś spotkali na swej drodze. A spokój, jakiego wreszcie dostąpili, jest ich nagrodą. Bo zasłużyli sobie nań...

Legenda o Matchu, wodzu banitów z puszczy Sherwood. Dwie równie często opowiadane wersje zakończenia.

Ognisko tliło się ledwie, znad szarego popiołu unosiła się leniwie smuga siwego dymu. Konie puszczzone luzem na polance usiłowały skubać szarą, zeschniętą trawę. W górze, w bezlistnych koronach drzew szumiał zimny wiatr.

Człowiek siedzący przy wygasłym ognisku podniósł ociężale głowę na odgłos kopyt. Spojrzał na nadjeżdżającego. Zaraz opuścił głowę z powrotem, przygrabionymi plecami coś wstrząsnęło. Jakby szloch. Match zeskoczył z konia, rzucił wodze, nie troszcząc się dalej o zwierzę. Stał przed siedzącym. Nie pytał. Nie potrafi zapytać. Patrzył tylko.

Basile znów uniósł głowę. Wolno nią pokręcił, odpowiadając na niezadane pytanie.

–Jeszcze nie – powiedział cicho. – Ale lada chwila...

Match podbiegł do leżącej na posłaniu z mchu, przykrytej derkami i płaszczem postaci. Ostrożnie uchylił okrycie, spojrział w twarz Jasona.

Niedobrze. Do wewnętrznego krwotoku, który już sam w sobie wystarczał, by doprowadzić do śmierci, dołączyła gorączka. Na rozpalonej twarzy wyraźnie odcinały się sine cienie pod zamkniętymi oczyma. To już niedługo. Już całkiem niedługo...

Match bezradnie przykrył znów nieprzytomnego. Wstał, podszedł do Basile'a.

–Odzyskał przytomność? – spytał.

Olbrzym nie odpowiedział. Siedział tak, skulony, objąwszy rękoma kolana, z opuszczoną nisko głową. Wyglądał tak bezradnie, jakby mniejszy...

–Odpowiadaj! – Match szarpnął go za ramię. Basile niechętnie uniósł głowę. Match dostrzegł łzy spływające po policzkach. Odeszła cała złość. Pozostała gorycz i zwątpienie.

–Tak, na chwilę... – głos Basile’a dobywał się z trudem. Chłopak przetykał łzy. – Tylko na chwilę... Chciał pić...

–Mam nadzieję, że mu nie dałeś! – Match nie potrafił nad sobą zapanować. Szarpnął Basile’a za ramię, mocno, jego głowa zakolebała się jak u szmacianej lalki.

–Nie dałem... Tak jak kazałeś... Może jestem głupi, ale kazałeś... To posłuchałem... I teraz...

Basile urwał. Match patrzył pytająco.

–Teraz żałuję! – wypalił Basile. – On tak prosił! Mówił, że gorączka go spala... Głos mu się załamał. Znów usiadł, ukrył twarz w wielkich łapskach.

–Tak prosił... – powtórzył niewyraźnie.

–Mówiłem, że dla rannego w brzuch to śmierć! – Match znów nie zapanował nad emocjami. Rozdarł się na cały głos. – Mówiłem ci...

Basile wstał. Stanął przed Matchem, górując nad nim wzrostem. Popatrzył z góry. Na brudnej twarzy łzy wyżłobiły jasne smugi.

–I co z tego? – powiedział z goryczą. – Co z tego, że mówiłeś? Co z tego, że jesteś taki

mądry, na wszystko znasz odpowiedź? I tak już wszystko wiesz...

Rzeczywiście, co z tego? Match poczuł, jak ogarnia go ostateczne zwątpienie. Co z tego, że jestem, jak on mówi, taki mądry? Że wiem, że rannemu w brzuch nie należy dawać pić? Co to, kurwa, zmienia? Co to pomoże?

–I tak wiesz, że dla niego nie ma ratunku! Że nic, ani nikt na tym świecie go nie uratuje!

Sam tak powiedziałeś...

Nic nie uratuje. Nikt nie uratuje. Nic ani nikt na tym świecie... Match poczuł gdzieś głęboko lodowate ukłucie.

–Sam, kurwa, mówiłeś...

Basile przestał krzyczeć. Mówił cicho, głosem przypominającym skowyt. Nie ma na świecie siły, która mogłaby go uratować. Nie ma na tym świecie siły... Na tym świecie. Match zacisnął pięści.

Jest inny świat. Niedaleko stąd, na wyciągnięcie ręki. Inny świat, przepelniony mocą. Przepelniony magią i wiedzą. Niedaleko...

Trzeba tylko spróbować. Szansa jest niewielka, bardzo niewielka. Ale jest. Trzeba tylko się odważyć... Tylko spróbować...

Trzeba przejść przez to jeszcze raz. Dla niego...

–Basile!

Cisza. Opuszczone gestem bezradności ramiona.

–Basile!

Wreszcie jakaś reakcja. Chłopak odwrócił się, spojrzał spode łba.

–Odczep się! – powiedział cicho i z rozpaczą. – Odczep się, gównie obchodzisz mnie ty i

twoje rozkazy...

Końmi nie dojedziemy, nie da się. To niedaleko, ale trzeba się przedzierać przez wykroty i wiatrołomy. Trzeba go zanieść...

–Basile! – w głosie zabrzmiał rozkaz. Basile odruchowo wyprostował się. – Dasz radę go nieść?

–Dam – odpowiedział machinalnie Basile. Twarz ożywiła się. – Do miasta? Ożywienie zniknęło. Na twarzy Basile'a odbiło się powątpiewanie.

–Przecież mówiłeś, że to nic nie da... – chłopak urwał na chwilę. – Match... – podjął wreszcie z wahaniem. – To nic nie da... Może lepiej, by spokojnie...

–Umarł? – przerwał Match ze złością. – Nie, nie lepiej. Nie idziemy do miasta...

Basile rozjaśnił się. Match pozazdrościł mu. On mi ufa, pomyślał z pewnym zdziwieniem. Wierzy, że coś poradzę. A ja... Ja nie wiem... I boję się...

Krąg zdawał się drzemać pod całunem gęstej, zimnej mgły zalegającej nad ziemią cienką warstwą. Głazy zapadnięte głęboko w mech, niektóre ledwie widoczne, inne

wydzwignięte na powierzchnię siłą niezliczonych zimowych mrozów i wiosennych roztopów lśniły wilgocią. Jak zawsze.

Ktoś, kto zabłąkałby się w ten zakątek puszczy mógłby nawet nie spostrzec kręgu, nie uświadomić sobie, w jak niezwykle miejsce trafił. Młode drzewka rozpychały się w szczelinach głazów, gęste krzaki poszycia leśnego i grube wiekowe drzewa przesłaniały formę, w jaką ułożone były kamienie. Nie można było ogarnąć wzrokiem kręgu, można było dostrzec tylko kilka najbliższych kamieni. Trzeba było wiedzieć. Krąg tu jest. Krąg czeka.

Nad olbrzymim głazem, wyznaczającym centrum migotliwie drga powietrze, załamując promienie światła. Światła, sączącego się przez szczeliny w warstwie mgły.

Krąg drzemał od lat pod całunem gęstej, zimnej mgły. I czekał. Czekał od lat. Tylko głazy zapadały się coraz bardziej, kryjąc z wolna pod dywanem mchu.

Stanęli na szczycie wydmy. Basile dyszał ciężko, składając ostrożnie bezwładne ciało na miękkim mchu.

Przed nimi, u stóp wydmy, rozciągała się rozległa kotlina. Ledwie widział przeciwległe zbocza. Była regularnego kształtu, prawie idealnie okrągła.

Całą kotlinę zalegała gęsta mgła. Wystawały z niej jedynie czubki drzew, ostre, ciemne sylwetki świerków, sprawiające wrażenie niezwykle ciemnych na tle szarej mgły.

Z kotliny ziało chłodem. Obcością.

Tak jak wtedy. Jak przed laty. Znow mgła wirowała wolno. Znow nad kotliną wisały ciężkie, szare chmury. Wirujące tak jak mgła w kotlinie.

Match przetarł spocone od ciężkiego, pospiesznego marszu czoło. Spostrzegł krew na dłoni. To od tego przedzierania się przez zarośla.

Popatrzył w dół, gdzie tuż pod stopami zalegała ciężka, prawie dotykalna mgła. To na nic, powiedziało zaczajone gdzieś w głębi umysłu zwątpienie. To się nie uda. I tak będzie za późno. Pewnie już jest... On przecież umiera... Może już umarł. Match nie miał odwagi odwrócić się, by sprawdzić.

Z tyłu dobiegł jęk. Jakby w odpowiedzi na zwątpienie. Jeszcze nie. Póki życie, poty nadzieja...

Mgła wirowała coraz szybciej. Czas nadchodził. Trzeba zdecydować, zdecydować, kiedy jeszcze można. To jedyna szansa, choćby nie wiadomo jak nikła...

Decyzja i tak już została podjęta. Match odwrócił się gwałtownie. Przykucnął nad Jasonem.

Dotknął delikatnie rozpalonego czoła, startł krople potu. Jason był nieprzytomny. I dobrze, pomyślał Match, nie będzie czuł, jak będę niósł go na dół, tam, w tej mgle. Nie będzie łatwo, jest ciężki i bezwładny.

Nie będzie czuł bólu. Nie będzie czuł nic. Nie dotknie go straszliwa moc bramy, nie wypali mu umysłu.

Match wyprostował się. Spojrzał na Basile'a. Olbrzym stał z opuszczonymi bezradnie rękoma. W oczach dostrzec można było oczekiwanie. Czekał na decyzję.

–Dam ci trochę czasu – rzucił Match bez żadnych wstępów. – Pobiegniesz przed siebie, jak

tylko możesz najszybciej. Nie będziesz zwlekał, nie będziesz się oglądał. Im dalej zdołasz

odbiec, tym lepiej dla ciebie.

Basile nie poruszył się. Nie takiej decyzji oczekiwał.

–Ruszaj, do naglej...! – Match podniósł głos, aż do krzyku. – Nie dam ci wiele czasu, nie

mogę! Nawet nie wiem, czy zdążysz!

Przeczący ruch głowy.

–Nie rozumiesz, ty młocie? Ruszaj, nic tu po tobie! Ruszaj, bo...

Bo co, przemknęło Matchowi przez głowę. Straci rozum? Żeby stracić, trzeba go mieć. On, kurwa, nic nie rozumie. Nie jest świadomy, w jakiej znalazł się sytuacji. Kurwa, nie ma czasu, żeby tłumaczyć...

Matcha zaczęło ogarniać zwątpienie i rozpacz. On nie zrozumie. We łbie mu się pomiesza i zginie mamie. Trzeba wybierać. Jason albo ten debil... Kurwa, znów trzeba wybierać...

–Idę z tobą – Basile był poważny, tak poważny, jak nigdy dotąd. – Ktoś musi go zanieść. Wypada, że ja...

–Zrozum, zmysły ci się pomieszają – spróbował jeszcze Match. Wiedział, że to się na nic nie zda.

–Nie pomieszają – zapewnił Basile. Schylił się nad Jasonem. Match chwycił go za ramię.

–Zaczekaj...

**–Już powiedziałem – olbrzym nie podniósł się z klęczek. Nie odwrócił nawet głowy.
– Już powiedziałem – powtórzył stanowczo, ze stanowczością, jakiej Match nigdy u niego nie słyszał. Jakiej nawet się nie spodziewał. – Nie powstrzymasz mnie. Musiałbyś mnie zabić. A nie o to ci chyba chodzi?**

Match opuścił ręce. Tak, nie o to chodzi.

–Basile... – zaczął, czując, jak coś dławi go w gardle.

Basile, starannie podtrzymując głowę Jasona, dźwignął się z klęczek. Spojrzał pytająco.

–Nic, nic... – Match nie zdobył się na więcej. – Ruszajmy już...

Podszedł bliżej. Spojrzał w twarz nieprzytomnego przyjaciela. To jedyna szansa, naprawdę jedyna. Nie wiedział sam, kogo chce w ten sposób przekonać. Chyba jednak siebie. Co będzie tam, po drugiej stronie? Czy w ogóle będzie jakakolwiek druga strona?

Powieki rannego drgnęły. Match spostrzegł wpatrzony w siebie, błyszczące od gorączki oczy. Wargi poruszyły się. Match delikatnie pogładził pokryty szorstką szczeciną zarostu policzek.

–Nic nie mów – szepnął. – Śpij...

W oczach Jasona była prośba. Nie, nie prośba, te oczy coś nakazywały, czegoś żądały. Jason próbował unieść rękę. Nie zdołał. Wargi znów zadrgały. Match nachylił się.

–Wróć... – usłyszał cichy szept. – Wróć po nią...

Gałki oczne zadrgały, błysnęły białka. Powieki znów opadły. Match przypadł do Jasona. Po długiej jak wieki chwili poczuł na policzku słaby oddech.

Wróć po nią... Nie wiadomo, czy w ogóle przeżyjemy. Nie wiadomo, dokąd trafimy. Nie wiadomo, czy będzie można wrócić. A jeśli nawet, mętnie pomyślał Match, czy będę miał odwagę wrócić? Czy mam po co wracać?

–Wrócę, Jason – wyszeptał. – Wrócę na pewno...

Wyprostował się ze ściągniętą twarzą. Napotkał spojrzenie Basile'a. Popatrzyli

sobie w oczy.

–Ruszamy – powiedział Match. Nic więcej.

Basile skinął głową.

Match zrobił pierwszy krok na stoku wydmy. Drugi. Pod stopami osypywał się piasek. Za sobą słyszał sapanie Basile'a.

On nie ma wątpliwości, pomyślał. Nie zadaje sobie pytań, co będzie tam, za tą mgłą. W ogóle nie zadaje pytań. Nie obawia się, że utraci rozum. Zresztą, jaki tam u niego rozum...

Krztusząc się szarpiącym wnętrzości śmiechem, Match zrobił następny krok. Okryła go mgła, tak gęsta, że aż dotykalna. Poczul na twarzy drobne, lodowato zimne kropelki.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-04-07

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/